



**UUK**

# TOM CLANCY

# BEZ SKRUPUŁÓW

Przekład: Szymon Maślicki

Data wydania: 1999

Data wydania oryginalnego: 1993

Tytuł oryginału: Without Remorse



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI . . . . .	2
Podziękowania . . . . .	4
Przeprosiny . . . . .	5
Prolog — Punkty styku . . . . .	7
1 — Sierotka . . . . .	15
2 — Spotkania . . . . .	29
3 — Niewola . . . . .	47
4 — Brzask . . . . .	67
5 — Zobowiązania . . . . .	82
6 — Zasadzka . . . . .	94
7 — Rekonwalescencja . . . . .	113
8 — Pozoracja . . . . .	128
9 — Wysięk . . . . .	143
10 — Patologia . . . . .	161
11 — Wdrażanie . . . . .	175
12 — Kwatermistrzostwo . . . . .	193
13 — Przydział zadań . . . . .	207
14 — Nauki . . . . .	230
15 — Nauka w praktyce . . . . .	246
16 — Manewry . . . . .	261
17 — Komplikacje . . . . .	279
18 — Wtręt . . . . .	296
19 — Odrobina miłosierdzia . . . . .	310
20 — Dekompresja . . . . .	330
21 — Możliwości . . . . .	355
22 — Tytuły . . . . .	368
23 — Altruizm . . . . .	380
24 — Śmigłowce . . . . .	390
25 — Odlot . . . . .	397
26 — Tranzyt . . . . .	401
27 — W stronę celu . . . . .	405

28 — Pierwszy w akcji...	424
29 — ...wraca ostatni	440
30 — Podróż bez biletu	463
31 — Powrót łowcy	481
32 — Na tropie	497
33 — Maskotka	513
34 — Podchodzenie	528
35 — Przełom	546
36 — Niebezpieczna substancja	565
37 — Sąd boży	590
Epilog.	613

# Podziękowania

Bez ich pomocy nic by z tego nie wyszło: dziękuję więc Billowi, Darrellowi i Pat za ich „profesjonalne” porady — a także, za to samo, Craigowi, Gurtowi i Gerry’emu. Aha, i Russellowi, za jego zaskakującą wiedzę.

Już *ex post facto* podziękowania największego kalibru składam: Shelly, za jej wkład pracy, Craigowi, Gurtowi, Gerry’emu, Steve’owi P., Steve’owi R. i Victorowi za wyjaśnienie mi najprostszych spraw.

# Przeprosiny

W pierwszym wydaniu „Bez skrupułów” znalazł się fragment wiersza, który trafił do mnie przypadkiem, i którego tytułu ani nazwiska autora nie byłem w stanie ustalić. Wiersz ten wydał mi się idealny jako epitafium dla mojego przyjaciela Kyle’a Haydocka, który zmarł na raka w wieku 8 lat i 26 dni — dla mnie zawsze będzie z nami.

Później dowiedziałem się, że tytuł tego wiersza brzmi „Ascension”, a autorką tych wspaniałych strof jest Colleen Hitchcock, niezwykle utalentowana poetka z Minnesoty. Chciałbym skorzystać z okazji i polecić jej wiersz wszystkim studentom literatury. Mam nadzieję, że jej poezja wywrze na nich równie wielkie wrażenie, tak jak to się stało w moim przypadku.

*Pamięci Kyle'a Haydocka*

*(5 lipca 1983 — 1 sierpnia 1991)*

*Zważ, gdzie kres, a gdzie źródło jest człowieczej sławy.  
Mojej — w przyjaciółach, przez los mi zesłanych.*

William Butler Yeats

*Arma virumque cano*

Wergiliusz

*Biada ci wzbudzić gniew w ludziach cierpliwych*

John Dryden

# Prolog — Punkty styku

## Listopad

Nie było tak do końca jasne, czy „Camille” był najpotężniejszym huraganem w historii czy tylko największym tornadem, ale tak czy owak, poradził sobie bez trudu z platformą wiertniczą, nad którą mozolił się teraz Kelly. Nieważne. Butle na plecy, ostatnie zanurzenie w falach Zatoki Meksykańskiej, i po robocie. Huragan zdruzgotał wszystkie nadbudówki platformy i nadwerężył wszystkie cztery potężne podpory, wyginając ich stalowe słupy i kratownice jak makaron. Wszystko, co dało się bezpiecznie wymontować, już dawno wycięto palnikami i opuszczono na pokład barki, służącej zarazem jako baza dla ekipy nurków. Nad falami sterczała teraz goła, stalowa konstrukcja, w której za parę dni mogły się zagnieździć pierwsze ryby. Kelly dobrze życzył rybom i rozmyślał o nich zeskakując na pokład kutra, którym mieli dopłynąć do platformy. Zadanie wymagało pracy aż trzech nurków, Kelly był z nich najważniejszy — był szefem. Płynąc, omówili jeszcze raz kolejność prac. Krążący w oddali drugi kuter próbował odpędzić licznych rybaków, którzy nie mieli tu wprawdzie czego szukać — Kelly miał im spłoszyć ryby na najbliższych parę godzin — ale koniecznie chcieli zaspokoić ciekawość. Faktycznie, będzie na co popatrzeć. Kelly uśmiechnął się krzywo i z ustnikiem w zębach, wywinął kozła w tył, za burtę.

Pod wodą wszystko wyglądało zawsze trochę niesamowicie, ale także przytulnie. Słoneczne światło błędziło pod sfalowaną powierzchnią, układając się w kurtyny promieni wokół stalowych podpór podwodnej konstrukcji. Za dnia widzialność była w tych wodach doskonała. Wszystkie ładunki wybuchowe czekały przytwierdzone we właściwych miejscach. Każda kostka miała wymiary piętnaście na piętnaście centymetrów przy ośmiu centymetrach grubości. Materiał C-4. Kelly i pozostała para przez ostatnie dni przymocowali ładunki do podpór i ustawili zapalniki tak, aby całą falę uderzeniową skierować na słupy. Na początek Kelly sprawdził pierwszy rząd kostek, ten o trzy metry nad dnem, śpiesząc się, bo nie było czasu, żeby marudzić. Pozostała dwójka płynęła za nim, rozwijając kable i mocując je do kolejnych zapalników. Nurkowie, którzy pracowali z Kellym, byli miejscowi, zaprawieni w wyburzaniu podwodnym i wyszkoleni prawie tak dobrze, jak sam Kelly, co nie zmieniało faktu, że wszyscy skrupulatnie sprawdza-



li nawzajem swoją robotę. W tej branży prawdziwego mistrza można poznać po ostrożności i metodycznym stylu pracy. Z niższym poziomem ładunków uwinęli się w dwadzieścia minut i z wolna podплыли wyżej, raptem trzy metry pod falami, gdzie dokładnie, powoli i starannie powtórzyli to samo z drugim rzędem. Przy C-4 nie ma co się śpieszyć ani ryzykować.

\* \* \*

Pułkownik Robin Zacharias skupił całą uwagę na zadaniu, bo bateria rakietowych pocisków przeciwlotniczych SA-2 czekała za najbliższym łańcuchem wzgórz. Jej wietnamska obsługa zdążyła do tej pory wystrzelić salwę trzech pocisków w poszukiwaniu myśliwców bombardujących, które Zacharias miał dzisiaj ochraniać. Nawigatorem-observatorem pułkownika, czyli człowiekiem na tylnym siedzeniu jednosilnikowego *F-105G Thunderchief*, był Jack Tait, podpułkownik i skądinąd specjalista w zwalczaniu systemów obrony powietrznej. Tait i Zacharias zaliczali się do współautorów doktryny, którą sami wprowadzali dzisiaj w życie, doktryny nazywanej Wild Weasel — „Dzika łasica”. Samolot pułkownika zmienił się w łasicę, która miała przemknąć przez niebo, sprowokować Wietnamczyków do odpalenia salwy rakiet, a potem zanurkować pod wystrzelonymi pociskami i dopaść wyrzutni zanim ich obsługa zdąży wystrzelić ponownie. Gra była ostra i bezlitosna. W niczym nie przypominała łowów, wyścigu między myśliwym i ofiarą. Najbardziej była podobna do pojedynku dwóch myśliwych, z których jeden jest mały, śmigły i wrażliwy na każdy cios, a drugi potężny, gruboskórny i nieruchawy. Stanowisko wietnamskich wyrzutni doprowadzało kolegów Zachariasia do białej gorączki. Wietnamski dowódca umiał wyczyniać ze swoim radarem prawdziwe cuda i dobrze wiedział, kiedy go włączać, a kiedy siedzieć cicho. Robin nie wiedział, z którym konkretnie wietnamskim sukinsynem ma do czynienia, lecz wystarczała mu w zupełności wiedza, iż ten sam przeciwnik w zeszłym tygodniu stracił już dwa *F-105G* z dywizjonu pułkownika. Nic dziwnego, że gdy tylko góra wydała rozkaz, by wznowić naloty w tym sektorze, Zacharias sam przydzielił sobie to zadanie, zresztą najzupełniej zgodne z jego wiedzą i umiejętnościami. Zacharias specjalizował się w rozpracowywaniu, forsowaniu i niszczeniu systemów obrony powietrznej. Zajęcie wymagało szybkości, refleksu i wyobraźni przestrzennej, a dla zwycięzcy główną nagrodą było to, że przeżył.

Zacharias ciągnął nisko, na stu pięćdziesięciu metrach, i nie żałując ciągu. Dłoń, na dobrą sprawę, przesuwała drążek odruchowo, bo wzrok Zacharias zdążył skupić na białych krasowych pagórkach przed nosem, a słuch na tym, co meldował mu z tylnego fotela jego obserwator.

— Mamy go na dziewiątej, Robin — usłyszał od Jacka. — Maca teren, ale nas jeszcze nie wyłapał. To co, w skręt i niżej, nie?

Zacharias wiedział już w tym momencie, że nie zrobią „skoku tygrysa” i nie znurkują na wyrzutnię ze średniego pułapu. Próbowano tego tydzień temu. Błąd był kosztowny: zginął jeden kapitan, jeden major, maszyna strącona. . . Al Wallace pochodził z tego samego miasta, z Salt Lake City. . . Znali się z Zachariasem od lat. . . Niech to diabli! Pułkownik zagryzł wargi, zapominając nawet, że zwykle stara się nie przeklinać, nawet łagodnie.

— Spróbuję go podbechtać — oznajmił i przyciągnął do siebie drążek sterowy. *Thunderchief* wyskoczył prosto w niewidzialny stożek radarowych promieni nad doliną i czekał cierpliwie, co dalej. Dowódcę baterii z pewnością wyszkolono w Rosji. Nikt nie wiedział dokładnie, ile samolotów ma na koncie Wietnamczyk — na pewno więcej niż powinien — lecz skoro tak było, z pewnością odczuwał z tego faktu wielką dumę, a duma potrafi w takich sytuacjach doprowadzić do nieuwagi i zguby.

— Odpalili. . . Puścili w nas dwie rakiety, Robin — ostrzegł Tait znad swej konsoli za plecami Zachariasa.

— Tylko dwie?

— Może oszczędzają — uświadomił pilotowi Tait. — Mam je na dziewiątej, Rob. Raz-dwa, pokaż, co potrafi prawdziwy pilot.

— Co powiesz na to? — Zacharias położył ich w skrajnie w lewo, by pokładowy radar mógł śledzić obie rakiety, ruszył ku nim, a potem zszedł błyskawicznie żmijką tuż nad ziemię i ukrył się za przeciwstokiem. Wyrównali lot niebezpiecznie nisko, lecz dzięki manewrom obie SA-2, oglupiałe i zmylone, pozostały półtora kilometra nad amerykańskim samolotem.

— Chyba pora — oznajmił Tait.

— Chyba masz rację. — Zacharias znów zakręcił ostro w lewo i uzbroił zasobniki bomb kasetowych. *F-105* przemknął tuż nad krawędzią łańcucha wzgórz i opadł w dolinę. Pułkownik spojrzął przed siebie, tam gdzie oddalony o dziesięć kilometrów i pięćdziesiąt sekund lotu wyrastał następny ciąg pagórków.

— Nie wyłączył radaru — zameldował Tait. — Wie, że ciągniemy na niego.

— Ale ma już tylko jedną rakietę.

Zacharias nie dopowiedział, że dobrze wyszkolona załoga mogła już zdążyć przeładować inne wyrzutnie, jeśli trafił jej się dobry dzień. Trudno, nie wszystko da się przewidzieć zawczasu.

— Pukają do nas ze wzgórza, tam, na dziesiątej.

Pociskami działek przeciwlotniczych można się było na razie nie przejmować, choć warto było zapamiętać tamto miejsce planując ucieczkę.

— No, to masz ten płaskowyż.

Nie było do końca jasne, czy Wietnamczyk ma ich na radarze. Być może zmienił się w jedną z kilkadziesiąt ruchomych plamek na ekranie tak pełnym zakłóceń, że operator tylko się drapał w głowę. Na niskich wysokościach ich *Thud* poruszał się szybciej niż jakikolwiek inny samolot na świecie, a doskonale ma-

lowanie maskujące płatowca dodatkowo ułatwiało zadanie. Wietnamskie radary z pewnością oświetlały stożek bezpośrednio nad doliną, czyli ten obszar nieba, w którym było aż gęsto od umyślnie stawianych zakłóceń. Tę ostatnią część zadania pułkownik przydzielił drugiej „Łasicy”. Dotychczasowa doktryna taktyczna nakazywała Amerykanom podejście na średniej wysokości i atak z lotu nurkowego, ale próbowali już tego dwa razy z wiadomymi skutkami. Zacharias postawił więc tę zasadę na głowie, nakazując dolot z niskiego pułapu i atak kasetowymi *Rockeye*. Wówczas do akcji miała wejść druga „Łasica” i dokończyć dzieła. Do Zachariasa należało wykrycie i zniszczenie wozu dowodzenia z komputerami, aparaturą, no i dowódcą systemu. Nadlatując, pułkownik robił uniki i co chwila zmieniał pułap, by nie ułatwiać zadania obrońcom z ziemi. Rakiety raketami, ale z działka także można oberwać.

— Widać gwiazdeczkę! — odezwał się nagle Zacharias. Napisana po rosyjsku instrukcja taktyczna dla stanowiska rakiet SA-2 nakazywała rozmieszczenie sześciu indywidualnych wyrzutni na obwodzie okręgu, pośrodku którego znajdowało się stanowisko dowodzenia. Kiedy dodało się do tego obrazu wszystkie drogi dojazdowe, typowy system przeciwlotniczy SA-2 przybierał wygląd gwiazdy Dawida. Pułkownikowi wydawało się to bluźnierstwem, lecz przecież nie z religijnego oburzenia skupiał teraz całą uwagę na majaczącym w siatce celownika pojeździe, w którym siedział dowódca systemu.

— *Rockeye* gotowe — rzekł na głos, jak gdyby chciał z własnych ust usłyszeć potwierdzenie. Od dziesięciu sekund lecieli równo jak po sznurku. — Wygląda, że się uda... Zwalniam bomby... Teraz!

Cztery kanciaste i zupełnie nieaerodynamiczne zasobniki oderwały się od zaczepów myśliwca i w locie uwolniły ze swych wnętrz tysiące pocisków, które rozsypały się po całym obszarze celu. Zanim bombki dotknęły ziemi, samolot był już daleko poza terenem zrzutu. Zacharias nie widział więc ludzi, szukających ukrycia w szczelinach przeciwlotniczych, lecz na wszelki wypadek nie zwiększał pułapu i położył *Thuda* na lewe skrzydło, w ciasnym zakręcie, aby się przekonać raz na zawsze, że tym razem skutecznie dopadł drani. Z odległości pięciu kilometrów mignął mu potężny kłęb dymu, jaki wzbił się dokładnie pośrodku gwiazdy.

— Należało się wam to za Ala — pomyślał. Pozwolił sobie tylko na tę refleksję. Żadnych triumfalnych beczek, nie teraz, nie tutaj. Teraz musieli jak najszybciej wyrwać się z doliny. Lada chwila miała nad nią nadlecieć zasadnicza formacja bombowa i na dobre wyłączyć wietnamski system raketowy z jakiegokolwiek akcji. I dobrze! Zacharias wypatrzył w ciągu wzgórz niewielką przełęcz i ruszył ku niej na granicy prędkości dźwięku, prosto jak strzełił. Niebezpieczeństwo zostało daleko. Na święta będziemy w domu, tak?

Seria czerwonych pocisków smugowych, która poszybowała ku nim z ziemi, stanowiła dla Zachariasa całkowite zaskoczenie. Z danych wynikało, że przełęcz będzie czysta. Nie było nawet jak zrobić uniku — pociski rwały prosto w stronę

samolotu. Zacharias poderwał nos maszyny w górę, dokładnie jak się tego spodziewała obsługa działka. Blacha samolotu zderzyła się ze strugą ognia. Maszyna zadygotała. W ciągu paru sekund dobro i zło zamieniły się miejscami.

— Robin! — rozległ się w słuchawkach stłumiony głos. Najwięcej hałasu czyniły jednak brzęczyki alarmowe. Zacharias w jednej przerażającej chwili zdał sobie sprawę, że spadają. Zanim zdążył zareagować, nastąpiły nowe kataklizmy. Płonący silnik zadławił się i stanął, a cały *Thud* wpadł w korkociąg, który mógł oznaczać tylko jedno: że nie działają stery. Reakcja Zacharias: — Skaczemy! — była zupełnie odruchowa. Jednak jęk, jaki go doleciał z tylnego fotela, kazał mu się odwrócić dokładnie w chwili, kiedy szarpał za dźwignię urządzenia awaryjnego. Robin uczynił to, choć wiedział, że nic w ten sposób nie osiągnie. Ostatni raz ujrział więc Jacka Taita w chmurze rozpylonej krwi, lecz natychmiast sam stracił przytomność, rozdarty przeraźliwym bólem w kręgosłupie — bólem tak strasznym, że podobnego nie czuł nigdy w życiu.

\* \* \*

— Do roboty — zezwolił Kelly i wystrzelił racę sygnałową. Z drugiego kutra zaczęto wrzucać do wody petardy, żeby przepłoszyć z akwenu wszystkie ryby. Kelly obserwował to przez pięć długich minut, a potem pytająco spojrzął na pracownika odpowiedzialnego za bezpieczeństwo prac.

— Cały akwen czysty.

— Skuś baba na dziada — powtórzył trzy razy Kelly, zanim wreszcie przekreślił klucz detonatora. Skutki w pełni przystawały do oczekiwań. Woda wokół potężnych podpór zmieniła się w pianę, a podcięte u góry i u samego dołu filary zachwiały się. Platforma runęła zadziwiająco powoli, ześlizgując się w jednym kierunku, coraz bliżej fal. Kiedy spód platformy uderzył w wodę, wokół konstrukcji podniosła się biała kurtyna. Wydawało się przez chwilę, że wbrew prawom fizyki platforma zacznie unosić się na wodzie, lecz oczywiście po chwili zatonąła. Cała kolekcja stalowych belek i kratownic zniknęła z oczu i spoczęła na dnie morza. Koniec kolejnej roboty.

Kelly odłączył przewody od zapalarki i cisnął końcówki za burtę.

— Dwa tygodnie przed terminem. Widać, że naprawdę panu zależało na tej premii — zagadnął go przedstawiciel zarządu firmy, który sam był niegdyś pilotem lotnictwa morskiego i umiał docenić bezinteresowny pośpiech. Mieli ostatecznie gwarancję, że przez dwa tygodnie tutejsze pokłady ropy naftowej nie wyschną. — Wściekły dobrze zrobił, że nam pana polecił.

— Kto, admirał? Pierwszorzędny facet. Tish i ja tyle mu zawdzięczamy...

— A, wie pan, latałem razem z Wściekłym równe dwa lata. Ten wiedział, co się robi z myśliwcem! Dlatego fajnie się przekonać, że się nie pomylił co do pa-

na — dorzucił przemysłowiec, który najbardziej lubił współpracę z ludźmi o podobnych doświadczeniach. Z biegiem lat zatarło się w nim wspomnienie strachu i całej reszty wojennego bagażu. — Niech mi pan powie, co to takiego? Od dawna chciałem zapytać — zwrócił się po chwili pod adresem nurka. Na ramieniu Kelly'ego widniał wytatuowany wizerunek czerwonej foki, która szczerząc się beczelnie robi stójkę na ogonie.

— To z wojska. Machnęliśmy sobie takie, całym oddziałem — zbył go Kelly.

— A jaki to był oddział?

— Niech pan nie pyta, bo nie powiem — uciął Kelly, lecz uśmiechnął się, by złagodzić własną opryskliwość.

— Założę się, że miał pan coś wspólnego z uratowaniem małego Wściekłego. Ale dobrze, w porządku, już o nic nie pytam. — Były oficer rozumiał, czemu Kelly musi ukrywać przydział. — Pięknie, panie Kelly. Do wieczora prześlemy czek na pańskie konto. Zaraz się połączę przez radio z pańską żoną, zęby pana odebrała w porcie.

\* \* \*

Tish Kelly spacerowała między wieszakami sklepu „U Bociana”, obrzucając pełnym dumy spojrzeniem inne kobiety. Ona też miała się czym pochwalić. Była wprawdzie dopiero w trzecim miesiącu i nadal mogła ubierać się w co tylko chciała — no, prawie — lecz chociaż specjalne sprawunki były na razie kwestią przyszłości, chciała wykorzystać wolne dni i przekonać się, jaki będzie miała wybór. Tymczasem podziękowała ekspedientce i wyszła, postanawiając w duchu, że jeszcze po południu przyprowadzi tu Johna i każe mu wybrać dla niej jakiś ciuch. John lubił pomagać jej w takich decyzjach. Pora była jednak ruszać do portu. Plymouth kombi, którym obydwójce przyjechali na południe ze swojego Marylandu, stał tuż za drzwiami sklepu. Przez ostatnie dni Tish nauczyła się nie błędzić po ulicach portowego miasta i nareszcie zaczęła się cieszyć, że zamiast tkwić w domu, gdzie o tej porze roku deszcz walczy o lepsze z żoną, przyjechała nad Zatokę Meksykańską, do krainy, którą lato opuszcza najwyżej na parę dni. Wyjechała ze sklepowego parkingu na ulicę i ruszyła na południe, w stronę basenu należącego do wielkiej firmy naftowej. Jechało się jej świetnie, bo trafiła na zieloną falę. Kolejne światła zmieniały się tak regularnie, że Tish nie musiała nawet zdejmować nogi z gazu.

Na widok żółtego światła kierowca ciężarówki skrzywił się paskudnie. Był spóźniony z dostawą i jechał trochę za szybko, ale za to nareszcie zaczynał przed nim świtać koniec tysiąckilometrowej trasy z Oklahomy. Westchnął i jednocześnie przydepnął pedały sprzęgła i hamulca. Westchnienie przerodziło się w tej samej sekundzie w okrzyk zaskoczenia, bo oba pedały bez oporu zapadły się aż

do podłogi. Ulica przed nimi była pusta, ale ciężarówka waliła naprzód... Kierowca w popłochu zaczął hamować silnikiem, na coraz niższym biegu, byle tylko wytracić prędkość, a jednocześnie gorączkowo naciskał na potężny klakson.

— Boże, Boże, tylko żeby mi ktoś nie... .

Tish nie widziała, co się dzieje, aż do samego końca i nawet nie odwróciła głowy w stronę, skąd dobiegało trąbienie. Jej Plymouth wyskoczył na środek skrzyżowania, a kierowca ciężarówki zapamiętał jedynie znikający pod wielką maską profil młodej kobiety, a potem straszliwe szarpnięcie i podskok kabiny. Przednie koła ciężarówki zgniotyły wóz kombi niczym kartonowe pudełko.

\* \* \*

Najgorsza ze wszystkiego okazała się jej własna obojętność. Helen była przyjaciółką. Helen umierała na jej oczach, lecz chociaż Pam wiedziała, że widok ten powinien wzbudzić w niej jakieś uczucia, wewnątrz czuła jedynie pustkę. Helen była zakneblowana, ale i tak Billy i Rick robiąc z nią to, co robili, okropnie hałasowali. Oprócz tego Helen sama próbowała coś szeptać i krztusiła się, jak ktoś, kto niedługo pożegna się z życiem, lecz na razie musi zapłacić za bilet za tę ostatnią podróż. Kasjerami byli Rick i Billy, i jeszcze Henry, i Burt. Pam próbowała sobie powtarzać, że tak naprawdę wcale tego wszystkiego nie ogląda, bo jest zupełnie gdzie indziej, gdzieś daleko, ale na próżno, bo straszny odgłos krztuszenia się co rusz przywoływał ją z powrotem do rzeczywistości — nowej, przemienionej rzeczywistości. Helen zdradziła. Helen próbowała uciec i musi za to ponieść karę. Wszystkie dziewczyny usłyszały te słowa kilkanaście razy, zanim jeszcze nastąpiła lekcja pokazowa. Henry zapowiedział, że on już się postara, żeby sobie zapamiętały tę lekcję. Pam dotknęła żebra, które jej kiedyś złamano, bo przypomniała sobie inne nauki. Helen patrzyła jej teraz prosto w oczy, lecz Pam wiedziała, że nie umie i nie może jej pomóc. Mogła co najwyżej odwzajemnić spojrzenie, współczująco, ale nie odważyła się na nic więcej. Na szczęście niedługo potem Helen przestała się krztusić i wszystko się skończyło, na razie. Pam mogła wreszcie zamknąć oczy i zapomnieć o myśli, że kiedyś przyjdzie kolej i na nią.

\* \* \*

Obsada baterii przeciwlotniczej uznała to za świetny dowcip. Zgodnie przywiązali amerykańskiego pilota do pieńka tuż przed wałem ochronnym, zrobionym z worków z piaskiem. Amerykanin mógł z tego miejsca oglądać lufy działek, które go strąciły. To, do czego przyczynił się jeniec, uznano jednak za mniej pyszny dowcip i za karę poczęstowano pilota licznymi ciosami pięści i kopniakami. Obsada odnalazła też ciało drugiego lotnika i dla kawału ułożyła je w objęciach

jeńca. Bawiło ich, że Jankes ma minę, jakby się miał zaraz rozpląkać. Wreszcie w baterii zjawił się oficer kontrwywiadu z Hanoi, sprawdził, czy nazwisko pilota widnieje na liście, którą miał ze sobą, a potem jeszcze raz nachylił się i odczytał naszywkę z nazwiskiem. Artylerzyści uznali, że sprawa musi być bardzo ważna, skoro oficer zrobił taką zaaferowaną minę i co tchu popędził do telefonu polowego. Kiedy jeńiec zemdlął wreszcie z bólu, oficer kontrwywiadu starł liściem sporą ilość krwi z ciała drugiego lotnika i rozsmarował ją po twarzy ocalałego Jankesa. Potem wydobył z chlebaka aparat i pstryknął parę zdjęć. Ostatnia czynność zdumiała artylerzystów. Czy oficer kontrwywiadu chce kogoś przekonać, że znalazł aż dwóch zabitych lotników? Bardzo dziwne.

\* \* \*

Kelly chcąc nie chcąc brał już nie raz udział w identyfikacji zwłok, lecz miał nadzieję, iż ten rozdział życia udało mu się pozostawić za sobą. Otaczali go wprawdzie życzliwi ludzie, ale fakt, że się nie zwałił na ziemię, nie oznaczał jeszcze, że żyje. W podobnych chwilach znika jakakolwiek możliwość pociechy. Nic, pustka. Kiedy Kelly wyszedł wreszcie ze szpitalnej sali, czuł na sobie uparty wzrok lekarzy i pielęgniarek. Wezwany z parafii ksiądz zrobił, co do niego należało, a potem szepnął do Kelly'ego kilka słów, których ten nawet nie usłyszał. Policjant długo wyjaśniał, że nie była to wina kierowcy. Zawiodły hamulce. Uszkodzenie, defekt, nikt tak naprawdę nie zawinił temu, co się stało. Tak to bywa, niestety. Policjant wypowiadał już te słowa wielokrotnie, przy rozmaitych podobnych okazjach, kiedy trzeba oszołomionej osobie wyjaśniać, dlaczego akurat jej świat rozpadł się na kawałki — jak gdyby bezpośrednia przyczyna miała tu jakiegokolwiek znaczenie. Policjant przekonał się zaraz, że ten pan Kelly to twardy gość, niestety. Niestety, dlatego że im bardziej się w sobie zacinał, tym bardziej cierpiał. Obiecywał sobie, że cokolwiek by się działo, obroni przed złym losem i żonę, i nie narodzone dziecko, aż tu nagle... Wypadek, nie ma winnych. Kierowca ciężarówki sam ma żonę i dzieci, sam wylądował w szpitalu, trzeba mu było dawać środki uspokajające, bo wskoczył pod własną ciężarówkę i gołymi rękami próbował wyciągać przejechaną... Kierowca liczył, że kobieta być może ocalała. Koledzy, z którymi Kelly pracował przez ostatnie tygodnie, siedzieli razem z nim i obiecywali, że wszystko załatwią, pomogą mu stanąć na nogi. I tylko tyle — tylko tyle można było zrobić dla człowieka, który wolałby się znaleźć w piekle niż doświadczyć takiego losu. Kelly nie bał się piekła, bo wielokrotnie miał okazję je oglądać. Dotąd jednak znał tylko jedno piekło i nie miał pojęcia, że może ich być więcej. Dużo więcej.

# 1 — Sierotka

## Maj

Kelly sam nie wiedział, co mu strzeliło do głowy, żeby się zatrzymać. Zjechał swoim Scoutem na pobocze i zahamował właściwie bezwiednie. Dziewczyna również nie machała ręką i nie próbowała zatrzymywać samochodów. Ot, po prostu stała sobie na skraju autostrady, spoglądając na sznury samochodów, które w pędzie obsypywały ją grudkami żwiru i owiewały spalinami. Owszem, miała postawę autostopowiczki, bo stała z jedną nogą wyprostowaną, a drugą przygiętą, to inna sprawa. Miała na sobie dobrze znoszone ciuchy, a przez ramię dyndał jej przewieszony plecak. Płowe włosy sięgające ramion, polatywały jej wokół głowy w kolejnych podmuchach mijających ją aut. Twarz dziewczyny nie wyrażała niczego, lecz Kelly to spostrzegł dopiero wówczas, gdy cisnąc na hamulec zjeżdżał na tłuczęń utwardzonego pobocza. Przyszło mu nawet do głowy, że zamiast się narzucać, powinien włączyć się z powrotem do ruchu i jechać w swoją stronę, ale zaraz uznał, że tak się nie robi, bo skoro już się coś postanowi, trzeba w tym wytrwać. Tylko co takiego postanowił? Dziewczyna przesunęła wzrokiem po samochodzie — widział to wszystko we wstecznym lusterku — a potem bez szczególnego entuzjazmu wrzuciła ramionami i podeszła bliżej. Kelly opuścił prawe okno i wychylił się przez nie.

— Dokąd? — zapytała.

Kelly zbaraniał, bo dałby sobie głowę uciąć, że to do niego należy pierwsze, sakramentalne pytanie: — Może podwieźć? Przez parę sekund wahał się z odpowiedzią, przyglądając się dziewczynie. Mogła mieć dwadzieścia jeden lat, choć sprawiała wrażenie starszej. Twarz nie tyle brudna, ile, hmm, niedomyta, ale może to kwestia kurzu na ruchliwej autostradzie. Męska koszula na ciele dziewczyny nie oglądała żelazka od miesięcy. Włosy też nieuczesane. Najbardziej jednak zaskoczyły Kelly'ego jej oczy, wspaniale szarozielone, lecz nieobecne, zapatrzone... Właśnie, w co? Kelly znał taki wyraz oczu, lecz do tej pory widywał go tylko u mężczyzn u kresu ludzkiej wytrzymałości. Sam też tak wyglądał w swoim czasie, nawet sobie tego nie uświadamiając. Nagle przyszło mu do głowy, że być może i teraz ma w oczach to samo, co dziewczyna.



— Wracam na łódkę — odrzekł wreszcie na pierwsze i jedyne pytanie. Nie miał zresztą nic więcej do powiedzenia. W oczach dziewczyny natychmiast nastąpiła zmiana.

— Ma pan jacht? — zapytała, obrzucając go spojrzeniem zachwyconego dziecka. Uśmiech, który promieniował w jej oczach, ogarnął resztę twarzy, jak gdyby dziewczyna usłyszała upragnioną wiadomość. Między jej przednimi zębami Kelly zauważył uroczą szparkę.

— Ale motorowy, nie żaglowy, i mały. Dwanaście metrów — odpowiedział i wskazał ręką kartonowe paki z wiktuałami na tylnym siedzeniu Scouta. Potem, niewiele myśląc, zapytał: — To co, zabierasz się w rejs?

— Pewnie! — Dziewczyna bez wahania szarpnęła za klamkę. Cisnęła plecak na podłogę i wsiadła.

Włączyć się z powrotem do ruchu wcale nie było tak łatwo, bo terenowy Scout miał mały rozstaw osi, a do tego mizerne przyśpieszenie. Na autostradę nadawał się jak krowa pod siodło, toteż Kelly skupił całą uwagę na jezdni. Przy prędkości, jaką wyciągali, musieli stale jechać prawym pasem, tym samym, którym inni zjeżdżali w bok albo włączali się w sznur pojazdów na dwóch pozostałych pasach. Na dodatek Scout był niezbyt zwrotny — na pewno nie na tyle, by nie bać się byle idioty, któremu się śpieszy na plażę. Z racji trzech dni wolnych od pracy, tłok był na szosie przeokropny.

„Zabierasz się w rejs?” Dokładnie tak zapytał i zapamiętał natychmiastową odpowiedź dziewczyny. „Pewnie!” No i co? No i fajnie, o co chodzi? Kelly zmarszczył brwi, niezadowolony z tego, co się działo na jezdni. Nie miał pojęcia, o co chodzi. Inna rzecz, że przez ostatnie pół roku stracił pojęcie o masie innych spraw. Po chwili skarcił się w myśli za te bezsensowne niepokoje i próbował skupić się tylko na jeździe, lecz w jakimś zakamarku myśli nadal rozbrzmiewało to samo pytanie. No i co? Inna rzecz, że człowiek rzadko może liczyć na ślepe posłuszeństwo ze strony własnych myśli.

Tłok na autostradzie nie dziwił go wcale. Pierwszy długi weekend prawdziwego lata. Samochody na sąsiednich pasach pełne były ludzi pędzących z pracy do domu i tych, którym już się udało załadować rodziny i ruszyć w drogę. Dzieci przylepiały nosy do tylnych szyb, a kilkoro pomachało nawet Kelly’emu, który jednak udał, że ich nie widzi. Nie tak łatwo żyć samotnie, zwłaszcza gdy się tak dobrze pamięta dni, kiedy było inaczej.

Kelly przesunął dłonią po szczęce, wyczuwając chropowatość zarostu. Kłująca szczecina, ręka też brudna. Trudno się dziwić, że nawet w hurtowni spożywczej patrzono na niego jak na bandytę. Zaniedbałeś się, Kelly.

I co z tego, u diabła? Kogo to obchodzi?

Kelly odwrócił głowę, by zerknąć na pasażerkę i dopiero wówczas uświadomił sobie, że nie zapytał nawet, jak jej na imię. Proszę! Zabiera zupełnie nieznaną dziewczynę na łódź! Jak w ogóle do tego doszło? Pasażerka spoglądała przed

siebie z wyrazem doskonałego spokoju na twarzy. Ładnej twarzy, choć Kelly widział ją teraz tylko z profilu. Dziewczyna była szczupła, wręcz kruchej budowy, o płowych, bo jasnych i przetykanych brązem włosach. Miała na sobie wytarte i podziurawione džinsy, z tych, które już na sklepowej półce kosztują więcej niż normalne, właśnie dlatego, że są podniszczone, sprane i „ulepszone” na podobne sposoby. Jak się to osiąga, Kelly nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Jeszcze jedna sprawa, która zupełnie nic go nie obchodziła.

Rany boskie, człowieku, jak tyś się doprowadził do takiej szajby? Jak? Kelly znał odpowiedź na własną, karcącą myśl, ale samo „jak” nie wyjaśniało jeszcze wszystkiego. Kłopot polegał na tym, że rozmaite osobne części całości zwanej Johnem Terrencem Kellym miały zupełnie różne wyobrażenia o tym, co się stało, lecz za nic nie potrafiły się ze sobą zetknąć i porozumieć na ten temat. Skutek był ten, że dawny twardy i roztropny facet rozsypał się na kawałki i żył z dnia na dzień, pogubiony w tym wszystkim i... Zrozpaczony? Niech diabli wezmą takie domysły.

A przecież Kelly wcale nie zapomniał o tym, że dawniej był kimś zupełnie innym. Pamiętał dokładnie wszystkie pułapki, z których się wymknął, mimo iż nie raz sam się dziwił, że to możliwe. Najbardziej chyba gnębiła go świadomość, że nadal nie wie, co się w nim właściwie popsuło. Nie „dlaczego” się popsuło, rzecz prosta, bo nie chodziło mu tutaj o fakty. Fakty, choćby najbardziej bolesne, to rzecz zewnętrzna, a tymczasem chodziło mu o coś wewnętrznego: o to, że sam przestał rozumieć, co się z nim dzieje. Żył nadal, tyle że bez świadomości, że czemuś to służy i bez poczucia celu. Ciągnął na autopilocie, i zdawał sobie z tego sprawę, ale dokąd wlecze go los, nie miał pojęcia.

Kimkolwiek była pasażerka, nie próbowała nawiązywać rozmowy. No i bardzo dobrze, uznał w duchu Kelly, czując podświadomie, że powinien coś sprawdzić. Zaskoczyła go instynktowna pewność tego uczucia, lecz Kelly zawsze do wierzał instynktowi i umiał rozpoznać ów szczególny, mrowiący chłód na karku i przedramionach. Rozejrzał się po jezdni, lecz jedynym źródłem niebezpieczeństwa, jakie tam dostrzegł, były samochody z mnóstwem koni mechanicznych pod maską i znikomą ilością mózgu pod czaszką kierowcy. Kelly uważnie przepatrzył całą jezdnię, lecz bez skutku. Instynkt nadal jednak nie pozwalał mu zmniejszyć czujności, więc co pewien czas Kelly znowu bez powodu zerkał w lusterko wsteczne albo opuszczał lewą rękę między nogi, gdzie pod fotelem mógł ścisnąć moletowaną rękojęść ukrytego tam *Colta*. Złapał się wręcz na tym, że bezwiednie pieści swoją broń.

Następny kretyński odruch, tak? Kelly, wściekły na siebie, cofnął dłoń i potrząsnął bezradnie głową. Przez następne dwadzieścia minut, ilekroć spojrział w lusterko, powtarzał sobie, że to ze względu na natężenie ruchu, lecz sam w to nie wierzył.

W porcie jachtowym było rojno jak nigdy. Oczywiście znów kwestia trzech dni wolnych od pracy. Samochody krążyły zajadle po niewielkim i nie wyasfaltowanym parkingu, gdyż wszyscy kierowcy chcieli zdążyć przed szczytem piątkowego zatoru, który sami oczywiście pomagali stworzyć. Nareszcie terenowy Scout znalazł się w swoim żywiole. Wysoki prześwit wozu i doskonała widoczność zza kierownicy sprawiły, że Kelly błyskawicznie wymanewrował konkurentów, podjechał do slipu, nawrócił i cofnął się aż pod samą rufę „Springera”, czyli do miejsca, które opuścił sześć godzin wcześniej. Jakaż ulgą było móc nareszcie podkręcić szyby do góry i zamknąć auto. . . Perypetie na autostradzie dobiegły końca, a na ich miejsce zaczynała już kusić bezpieczna, nie pocięta jezdniami, morska toń.

„Springer” był motorowym jachtem z napędem na dwa silniki dieslowskie, typową dwunastometrówką, wprawdzie nie seryjną lecz linią i rozkładem wnętrza przypominającą łódź Pacemaker Coho. Łódź nie była może bardzo zgrabna, ale wewnątrz miała dwie spore kajuty i mesę na śródkręciu, którą w razie potrzeby również dawało się przekształcić w kajutę mieszkalną. Oba wysokoprzężne silniki były spore, lecz bez turbodoładowania, gdyż Kelly wolał maszyny duże i niskobrotowe od małych, lecz wyżyłowanych. Na pokładzie znajdował się doskonały radar morski, wszelkie typy sprzętu łącznościowego, na które nie trzeba było specjalnego zezwolenia i przyrządy nawigacyjne, jakich nie powstydziliby się rybacy z trawlerów przybrzeżnych. Na kadłubie z włókna szklanego nie widać było ani pyłka, a chromowane relingi nie wiedziały, co to rdza, choć z drugiej strony Kelly umyślnie nie polakierował górnego pokładu, jak czyniła to większość właścicieli jachtów, gdyż uznał, że w tym akurat wypadku szkoda zachodu. „Springer” nie był luksusową zabawką, lecz koniem pociągowym. Tak przynajmniej utrzymywał Kelly.

Wysiedli z samochodu, a Kelly otworzył tył i zaczął przenosić kolejne kartony na pokład. Młoda pasażerka miała dość rozumu, żeby usunąć się na bok i nie przeszkadzać, dokładnie tak, jak sobie tego życzył właściciel jachtu.

— Ej, Kelly! — dobiegło ich wołanie z pomostu „Springera”.

— Cześć, Ed! I co to było?

— Co? Spieprzony licznik. Szczotki w prądnicy trochę się zużyły, więc ci je zmieniłem na nowe, ale moim zdaniem to licznik nawalił. Też go wymieniłem! — Ed Murdock, główny mechanik bazy jachtowej ruszył w dół i dopiero po drodze spostrzegł dziewczynę. Skutek był taki, że potknął się na ostatnim stopniu i omal nie wyrznął nosem w pokład. Kiedy się pozbierał, omiół dziewczynę taksującym wzrokiem i z uznaniem skinął głową.

— Coś jeszcze? — zapytał niecierpliwie Kelly.

— Napełniłem ci bunkry. Paliwa potąd, silniki zagrane — burknął Murdock, odwracając się do Kelly’ego. — Szczegóły znajdziesz na rachunku.

— Świetnie. Dziękuję, Ed.

— Aha, Chip mówił, żeby ci przekazać, że znowu się pytał jakiś chętny. Więc gdyby ci przyszła ochota sprzedać. . .

— Bez żartów, Ed — zgasił go Kelly.

— Wiem, że masz gust — odezwał się Murdock, zbierając narzędzia. Odszedł ubawiony, że udało mu się przemycić zaczepkę. Kelly pojął dwuznaczność dopiero po krótkiej chwili i także się roześmiał, a potem zabrał się za przeładunek reszty prowiantu.

— Mam coś zrobić? — zapytała dziewczyna, kiedy układał kartony w mesie. Stała do tej pory biernie. Kelly odnosił wrażenie, że dziewczyna trzęsie się lekko i próbuje to ukryć.

— Najlepiej siądź sobie na górze i złap trochę opalenizny. — Wskazał swojej pasażerce drogę na pomost. — Jeszcze tylko parę minut i wypływamy.

— Dobra — zgodziła się z uśmiechem tak promiennym i ciepłym, jak gdyby wiedziała dokładnie, co najbardziej doskwiera Kelly'emu.

Ucieszony Kelly przeszedł do swojej kajuty na rufie. Dobrze, że łódka posprzątana, wszędzie klar, nawet w toalecie czysto. Kelly złapał się na tym, że wpatruje się w lustro, jak gdyby właśnie tam chciał znaleźć odpowiedź na rzeczowe pytanie, które brzmiało: — No, stary, świetnie, tylko, kurwa, co teraz?

Odpowiedź nie chciała się zmaterializować, lecz zwykłe poczucie przyzwyczajenia kazało Kelly'emu przy okazji trochę się ochlapać i uczesać. Dwie minuty później wrócił do mesy, sprawdził, czy kartony nie zwałą się przy kołysaniu, po czym wrócił na pokład.

— Jest taka sprawa. . . — zaczął. — Chodzi o to, że. . . Zapomniałem cię o coś zapytać. . .

— Wiem. Jestem Pam — oznajmiła dziewczyna, wyciągając rękę. — A ty?

— Kelly — odburknął, nie bardzo wiedząc, jak się znaleźć.

— To jak mam mówić, Kelly czy panie Kelly? A w ogóle, to dokąd płyniemy?

— Wystarczy Kelly — odpowiedział, ma wszelki wypadek tonem, który nie zachęcał do poufałości. Pam przytaknęła ruchem głowy i uśmiechnęła się jeszcze raz.

— To dokąd mkniemy, Kelly?

— Na wyspę. Mam jedną taką wyspę, ze trzydzieści. . .

— Kupiłeś sobie wyspę? — Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

— Na to wychodzi — potwierdził Kelly, który w rzeczywistości wyspę tylko dzierżawił, i to od tak dawna, że uważał ten fakt za najzupełniej oczywisty.

— No, to na co czekamy?! — zawołała dziewczyna i omiotła wzrokiem nadbrzeżny parking.

— Właśnie? Płyniemy, nie ma na co czekać. — Kelly także się roześmiał.

Jego pierwszą czynnością było przedmuchanie żez. Silniki „Springera” były zasilane ropą i nie trzeba się było specjalnie obawiać, że w zakamarkach kadłuba nagromadzą się łatwopalne opary, lecz Kelly, mimo że ostatnio trochę się za-

puścił, nie wyzbył się marynarskiej natury. Na morzu trzymał się ścisłej rutyny, pomny iż ci, którzy zapominają o rutynowych czynnościach, często przedwcześnie powiększają grono aniołków. Kiedy upłynęły przepisowe dwie minuty, Kelly włączył następny przycisk, uruchamiając lewy, a po nim prawy silnik. Obie potężne maszyny marki Detroit Diesel zaskoczyły natychmiast i ryknęły przeraźliwie, gdy Kelly podkręcił obroty, by sprawdzić wskazania przyrządów. Wyglądało, że wszystko gra.

Zszedł z głównego pomostu na pokład, żeby rzucić cumy, a potem wrócił na górę i lekko przesunął obie manetki gazu w przód. Kiedy jacht powoli wypływał ze slipu na środek basenu, Kelly zdążył jeszcze sprawdzić poziom przypiływu i wiatr — akurat była flauta — a przede wszystkim sprawdził, czy droga wolna. Gdy kręcił kołem sterowym, zwiększył nieznacznie obroty lewego silnika, dzięki czemu dziób „Springera” zatoczył w wąskim basenie ciasny łuk i wycelował prosto między nabieżniki. Kiedy to nastąpiło, Kelly zwiększył obroty także w prawym silniku, a jacht z dostojną prędkością pięciu węzłów zaczął mijać rzędy motorówek i żaglówek. Pam stała na rufie i także przyglądała się jachtom. Na kilka długich sekund zatrzymała wzrok na parkingu, a potem odwróciła się z wyraźną ulgą.

— Znasz się cokolwiek na pływaniu? — zagadnął ją Kelly.

— Nie bardzo — przyznała. Po raz pierwszy Kelly zdał sobie sprawę, że słyzy nietutejszy akcent.

— Skąd pochodzisz?

— Z Teksasu. A ty?

— W ogóle, to z Indianapolis, ale to już historia.

— A co to takiego? — zapytała, muskając tatuaż na przedramieniu Kelly’ego.

— Pamiątka z podróży — wyjaśnił. — Równie piękna jak tamto miejsce.

— Ach, stamtąd! — pojęła natychmiast.

— Właśnie stamtąd — potwierdził Kelly. Zdążyli już wypłynąć poza obręb basenu, więc można było spokojnie zwiększyć obroty.

— I co tam robiłeś?

— Nic, czym bym się chciał chwalić. Zwłaszcza przy damach — mówiąc to, Kelly obejrzał się przez ramię na dziewczynę.

— Skąd ta pewność, że jestem damą?

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, lecz zaczął już przywykać do osobliwych odezwań się pasażerki. Przekonał się poza tym, że o czymkolwiek by rozmawiali, bardzo potrzebuje towarzystwa tej dziewczyny. Pierwszy raz uznał więc, że może odwzajemnić uśmiech.

— Chyba byłoby nietaktem, gdybym z góry uznał, że nie jesteś, co?

— Wiesz, byłam już ciekawa, jak długo będziesz taki ponury — odezwała się na to dziewczyna tonem, który oznaczał, że uśmiech przypadł jej do gustu.

Jak długo? Na przykład sześć miesięcy. I co ty na to? Kelly omal nie wypowiedział tego głośno. Powstrzymał się jednak i szczerze roześmiał, bo rzeczywiście to, jak się zachowywał, było śmieszne. Dawno już się z siebie nie śmiał, a potrzebował tego.

— Przepraszam, że byłem taki. Wyglądam na strasznego mruka, co? — zapytał i dostrzegł w oczach dziewczyny błysk zrozumienia. Czy może nie błysk, a pewien wyraz, bardzo spokojny i bardzo kobiecy. Kelly aż drgnął. Przeczuiwał, co się zaraz stanie i umyślnie nie zwracał uwagi na podszepty świadomości, mówiące, że czegoś takiego rozpaczliwie potrzebował od wielu miesięcy. Nie chciał za nic słyszeć tej ostatniej wymówki, a już zwłaszcza od samego siebie. Samotność to stan zbyt paskudny na to, aby go jeszcze pogłębiać rozpamiętywaniem własnej niedoli. Dziewczyna tymczasem znowu wyciągnęła rękę przed siebie, udając, że chce jeszcze raz pogłodzić tatuaż. Czy tylko o to jej chodziło? Zdziwiająco, jak ciepły okazał się jej dotyk, nawet w upalnym słońcu popołudnia. Kelly odebrał to jako jeszcze jedną oznakę chłodu, jakim nasiąknęło jego życie.

Na razie musiał jednak zająć się nawigacją. Tysiąc metrów przed nimi sunął potężny frachtowiec. Kelly szedł teraz pełną prędkością marszową, przy której automatycznie rozłożyły się tryмеры na rufie jachtu, dzięki czemu dziób mógł wyjść wysoko nad fale. Log wskazywał prędkość osiemnastu węzłów. Płynęło się gładko, dopóki „Springer” nie dostał się w ślad torowy frachtowca. Pokładem zaczęło miotać na wszystkie strony, a dziób co chwila zapadał się na metr i więcej w fale. Kelly wykręcił w lewo, by ominąć najgorszą kipieli. Mijany frachtowiec zmienił się w nitowane, stalowe urwisko.

— Kelly, gdzie tu się mogę przebrać?

— Moja kajuta jest na rufie. Jak chcesz, możesz spać w dziobowej.

— Mówisz? — Pam zachichotała. — Dlaczego myślisz, że mi na tym zależy? Kelly'ego znów zatkało. Po raz kolejny dał się zaskoczyć.

Pam zeszła pod pokład, ostrożnie trzymając się relingu. Pamiętała, by zabrać ze sobą plecak. Miała na sobie bardzo skąpe ubranie, a kiedy kilka minut później wynurzyła się z kajuty, została tylko w króciuteńkich szortach i opalaczu. Zdążyła też zrzucić buty i wyraźnie się odprężyła. Kelly nie mógł nie zauważyć jej nóg, jak u tancerki — szczupłych i bardzo kobiecych. Zdumiała go natomiast bladość skóry Pam. Poza tym opalacz dyndał dosyć luźno, a do tego okazał się wystrzępiony. Kto wie, może dziewczyna straciła ostatnio na wadze, albo rozmyślnie kupiła łaszki parę numerów za duży? Niezależnie od przyczyny, opalacz zasłaniał bardzo niewiele, odsłaniał zaś całkiem sporo. Kelly przyłapał się na tym, że zerka na sympatyczny dekolt. Natychmiast skarcił się w myślach, przy Pam trudno się było jednak od tego powstrzymać. W tej chwili dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu i usiadła tuż obok. Kelly mógł teraz zapuszczać żurawia głęboko pod opalacz i skorzystać z tej sposobności.

— Tak ci się spodobały? — zapytała go nagle Pam.

Kelly poczuł, że znowu odebrało mu mowę. Mruknął coś — jak się łudził — wymijająco, na co Pam roześmiała się głośno. Nie śmiała się jednak z niego, tylko z wyczynów załogi frachtowca, stłoczonej przy relingach. Mijany statek płynął pod włoską banderą, a pół tuzina marynarzy skorzystało ze sposobności, by przesłać Pam całusa. Dziewczyna bez wahania odwzajemniła gest.

Kelly poczuł ukłucie zazdrości.

Na wszelki wypadek zakręcił kołem sterowym w lewo, przecinając fale, która szła od dziobu frachtowca, a kiedy zrównał się z pomostem nawigacyjnym Włocha, dał kurtuazyjny sygnał syreną. Był to jeszcze jeden dobry morski zwyczaj, rzadko wyznawany przez małe jachty motorowe. Oficer pełniący wachtę na frachtowcu zdążył już wycelować szkła morskiej lornety w Kelly'ego, a przede wszystkim w Pam, więc odwrócił się do wnętrza sterówki i wydał jakieś polecenie. Sekundę później ciszę rozdarł basowy ton potężnej syreny statku. Pam omal nie spadła z siedziska.

Kelly roześmiał się, a dziewczyna zawtórowała mu, a potem opłotła dłońmi jego biceps. Kelly poczuł na tatuażu dotknięcie ciekawskiego palca.

— Wcale nie jest taki. . .

— Wiem, o co ci chodzi — zgodził się Kelly. — Ludzie myślą, że tatuaże są w dotyku jak farba, albo coś.

— Ale dlaczego. . .

— Dlaczego go sobie sprawiłem? Tak samo jak wszyscy w naszym oddziale. Nawet oficerowie dali sobie takie zrobić. Tak nam strzeliło do głowy. Głupota.

— A mnie się wydaje strasznie fajny.

— Fajna to ty jesteś.

— Ale komplementarz — skwitowała to Pam i przytulając się, przesunęła czubkiem piersi wzdłuż ramienia Kelly'ego.

Szli teraz ze stałą prędkością osiemnastu węzłów, próbując wyjść poza obręb portu w Baltimore. Włoch był na szczęście jedynym statkiem w polu widzenia, a morze okazało się spokojne, marszczone tylko drobną falką. Kelly trzymał się głównego kanału żeglugowego, aż do przesmyku na wody zatoki Chesapeake.

— Nie chce ci się pić? — zapytała Pam, kiedy zawracali na południe.

— Chce. Jak zejdziesz do kambuza, w lodówce. . . Wiesz, gdzie?

— Wiem, wiem. Co ci przynieść?

— Cokolwiek, i sobie też weź.

— Już się robi! — odrzekła lekkim tonem. Kiedy wstawiała, Kelly znów poczuł miękki dotyk wzdłuż całej długości ramienia, aż po obojczyk.

— A to co? — zapytała po powrocie na pomost. Kelly odwrócił się i skrzywił paskudnie. Jego uwagę tak zaprzętnęła dziewczyna, że na śmierć zapomniał o pogodzie. „To” oznaczało dla Pam nadciągającą burzę, niebosięzną masę cumulonimbusów, piętrzącą się na dziesięć kilometrów ku stratosferze.

— Coś mi się zdaje, że trochę pokropi — wyjaśnił, przyjmując z rąk Pam butelkę piwa.

— Kiedy byłam mała, zawsze się tak mówiło, jak miało nadejść tornado.

— Na szczęście nie w tych stronach — uspokoił ją Kelly, lecz na wszelki wypadek upewnił się, że nic nie wala się luźno po pokładzie. Kajut nie sprawdzał, bo mimo najgorszej nawet chandry, zawsze utrzymywał tam wzorowy porządek. Z kolei sięgnął do włącznika radiostacji i natychmiast złapał prognozę dla Zatoki. Komunikat kończyło zwykle ostrzeżenie dla „małych jednostek morskich”.

— Takich jak nasza? — upewniła się Pam.

— Teoretycznie tak, ale nie masz co się bać. Wiem co robię. W końcu było się starszym bosmanem.

— A kto to taki?

— Marynarz, podoficer. Wiesz, w Marynarce. Poza tym „Springer” wcale nie jest taki mały. Najwyżej trochę będzie nami kiwało, to wszystko. Jeśli masz pietra, pod siedziskiem są kamizelki ratunkowe.

— A ty się nie boisz?

Kelly z uśmiechem potrząsnął głową.

— To ja też się nie boję — oznajmiła mu Pam i wróciła na poprzednie miejsce. Jej pierś znów dotykała ręki Kelly’ego. Kiedy Pam położyła mu głowę na ramieniu, miała w oczach dziwnie senny i marzący wyraz, jak gdyby mimo burzy spodziewała się czegoś wspaniałego.

Kelly nie bał się rzeczywiście, a przynajmniej na pewno nie sztormu. Na wszelki wypadek poczynił jednak przygotowania, bo mijając przylądek Bodkin nadal ciągnął na wschód, tak aby przeciąć tor żeglugowy. Na południe zawrócił dopiero na płytkich wodach, gdzie mógł bezpiecznie płynąć bez obawy, że po ciemku rozniesie go jakiś frachtowiec. Co parę minut podnosił wzrok na burzową chmurę, która nadciągała z prędkością mniej więcej dwudziestu węzłów. Ciemny opar zdążył już przesłonić słońce. Wiatr o tej prędkości z reguły oznaczał, że i burza będzie gwałtowna, a idąc obecnym kursem na południe, „Springer” zbliżał się do niej coraz bardziej. Kelly dopił piwo i uznał, że trzeba sobie darować następne. Lada moment zacznie się ściemniać. Ze schowka wydobyl powleczonej plastikim mapę morską i przyszpilił ją do stolika na prawo od deski rozdzielczej. Kredką świecową zaznaczył obecną pozycję i upewnił się, że płynąc w tę stronę, nie natkną się na płycizny. Kelly uważał za mieliznę każdy akwen płytszy niż dwa i pół metra. Zanurzenie „Springera” wynosiło półtora. Zadowolony z wyniku, ustawił na autopilocie odpowiedni kurs i odetchnął spokojniej. Wyszkolenie stanowiło dla niego najlepszy puklerz przeciwko niebezpieczeństwom i zbytniemu zadufaniu.

— Zaraz nas złapie — odezwała się Pam trochę niepewnym głosem i przytuliła się mocniej.



— Jeśli chcesz, możesz zejść pod pokład. Tu faktycznie za chwilę będzie mrok, no i ten wiatr... Aha, będzie kołysać.

— Ale nie utoniemy?

— Na pewno nie, chyba że uda mi się zrobić coś bardzo głupiego. Ale będę się pilnował — obiecał.

— A mogę tu zostać i oglądać burzę? — zapytała Pam. Wcale się nie paliła do rozstania z Kellym. Ciekawe, dlaczego? Kelly na wszelki wypadek ponowił ostrzeżenie.

— Tutaj naprawdę zmkniesz.

— Nic nie szkodzi. — Pam uśmiechnęła się promiennie i jeszcze mocniej przyłgnęła do jego ramienia.

Kelly zmniejszył obroty na tyle, by dziób jachtu opadł między fale. Nie było sensu się śpieszyć. W dodatku przy małej prędkości Kelly potrzebował tylko jednej ręki do obsługi manetek i koła. Drugą, wolną ręką objął Pam, która znowu położyła mu głowę na ramieniu. Sztorm mógł sobie teraz nadciągać; dla Kelly'ego świat i tak zaczynał wracać do upragnionej normy. Tak przynajmniej podpowiadały mu emocje. Rozsądek podszeptował co innego, a oba przeczucia nie dawały się wzajemnie pogodzić. Rozsądek, cóż... Dopytywał się, kim właściwie jest nowa dziewczyna. Emocje śmiały się z takiego pytania. Czy to ważne, kim jest Pam? Ważne, że się zjawiała, i to w samą porę. Kłopot polegał jednak na tym, że Kelly nigdy nie dawał się powodować emocjom. I co teraz? Bezradny, wbił wściekle spojrzenie w horyzont.

— Coś nie tak? — zapytała go Pam.

Kelly chciał już coś powiedzieć, lecz ugryzł się w język, przypominając sobie, że nie jest tak źle płynąć jachtem, za całe towarzystwo mając niebrzydką dziewczynę. Od tej chwili głos rozsądku zaczął w nim zdecydowanie przycichać.

— Nie, skądże. Trochę się biłem z myślami, ale nieważne.

— Przecież widzę, że czymś się gryziesz.

— Nieważne — uciał Kelly. — Może jeszcze o tym pogadamy, ale na razie niczym się nie przejmuj. Płyniemy, i fajnie.

Kilka minut później dopadł ich pierwszy szkwał, tak silny, że jacht z miejsca złapał parę stopni przechyłu na lewą burtę. Żeby to zniwelować, Kelly musiał przełożyć ster i ustawić się dziobem pod wiatr. Na deszcz nie trzeba było długo czekać. W ślad za pierwszym ostrzegawczym prysznicem na jacht runęła ściana wody, która kolejnymi falami zamiatała powierzchnię zatoki Chesapeake. W ciągu kilku sekund widzialność zmalowała do kilkuset metrów, a niebo pociemniało jak o zmierzchu. Kelly upewnił się, czy włączył światła topowe. Fale podnosiły się coraz wyżej, i nic dziwnego, bo wiatr zdążył już przekroczyć trzydzieści węzłów. Burza i fale szły jednak ku nim prosto od dziobu. Kelly uznał, że chociaż mogą płynąć dalej, obecne miejsce nadaje się świetnie na kotwicowisko, a następną podobną sposobność będą mieli dopiero za pięć godzin. Spojrzenie na mapę po-

twierdziło słuszność planu. Kelly na chwilę włączył radar i sprawdził dokładną pozycję „Springera”. Zatoka miała w tym miejscu trzy metry głębokości, piaszczyste dno oznaczono na mapie skrótem „twd”, nic tylko brać się za kabestan. Kelly ustawił „Springera” pod wiatr i zmniejszył obroty. Śruby popychały jacht tylko na tyle, by nie dać się zepchnąć wichurze.

— Weź ode mnie ster — polecił Kelly dziewczynie.

— Ale ja nie umiem!

— Nie musisz nic umieć. Trzymaj koło tak jak teraz, a potem ci powiem, co dalej. Muszę biec na dziób i spuścić kotwice. Dobra?

— Uważaj na siebie! — krzyknęła Pani w porywistym wietrze. Fale sięgały już dwóch metrów, a jacht skakał w dół i w górę jak opętany. Kelly ścisnął dziewczynę za ramię i ruszył na dziób.

Rzeczywiście musiał na siebie uważać, lecz miał na nogach buty z antypoślizgową podeszwą, a poza tym wiedział, co robi. Kiedy obchodził nadbudówkę, ani na chwilę nie zdejmował rąk z relingu. Po minucie był już na dziobówce, gdzie czekały dwie przymocowane do pokładu kotwice, jedna zwykła, typu Danforth i druga płużąca, typu CQR — obie wręcz za duże jak na rozmiary jachtu. Pierwszy za burtę poleciał Danforth. Kelly machnął ręką, każąc Pam wykręcić kołem sterowym w lewo, a kiedy „Springer” przesunął się kilkanaście metrów na południe, do pierwszej kotwicy dołączyła CQR. Kelly zdążył wybrać luz na obu sznurach kotwicznych i upewnić się, że trzymają. Mógł spokojnie wracać na pomost.

Pam uspokoiła się dopiero wówczas, gdy Kelly na powrót usiadł obok niej na plastikowym siedzisku. Wokół nich wszystko ociekało wodą. Pam i Kelly także zdążyli przemoknąć do nitki. Kelly przesunął manetki obu silników na bieg jałowy, a wówczas wiatr natychmiast zepchnął „Springera” prawie trzydzieści metrów do tyłu — nie dalej, gdyż obie kotwice dobrze trzymały. Kelly zrobił skwaszoną minę, bo rozstęp między kotwicami wydał mu się trochę nieprawidłowy. Powinien być większy. Trudno, tak naprawdę wystarczyłaby i jedna kotwica. Drugą zarzucił na wszelki wypadek. Nareszcie uznał, że wszystko jest w porządku i wyłączył oba diesle.

— Właściwie mógłbym iść przez ten sztorm aż na miejsce, tylko po co? — rzekł tytułem wyjaśnienia.

— Czyli zjeżdżamy na pobocze i lulu?

— Dokładnie tak. Jeśli chcesz, możesz zejść do swojej kajuty i...

— Chcesz, żebym sobie poszła?

— Nie, nie. Tylko wiesz, możesz nie mieć ochoty tu moknąć, i w ogóle... —

Kelly przerwał, bo Pam delikatnie zakryła mu usta dłonią. W szalejącej ulewie prawie nie dosłyszał tego, co powiedziała.

— Ale ja mam ochotę tu moknąć.

Dziwnym trafem Kelly nie dopatrzył się w tym zdaniu żadnej sprzeczności.

W następnej chwili zaczął sobie zadawać pytanie, dlaczego obydwójce odwrócali to, co i tak musiało przyjść. Obydwójce od początku znali tę prostą prawdę. Emocje i rozsądek Kelly'ego znów stoczyły krótką potyczkę, w wyniku której rozsądek znów musiał skapitulować. Kelly pomyślał, że nie ma się czego bać. Miał przed sobą nie przeciwnika, lecz kogoś równie samotnego jak on. Jakże łatwo było teraz zapomnieć o wszystkim... Samotność miała to do siebie, że nie unaoczniała straty, a tylko podszeptowała, że czegoś brak. Trzeba było dopiero takiego spotkania jak to z Pam, by na nowo ukazać Kelly'emu kontury pustki, jaka panowała w jego życiu. Skóra Pam była miękka i ciepła, choć spływała wodą. Dotyk był zupełnie inny od tego za pieniądze, którego Kelly w poprzednim miesiącu próbował dwukrotnie i za każdym razem czuł się później jeszcze gorzej.

Tym razem było inaczej — tym razem wszystko działało się naprawdę. Rozsądek po raz ostatni krzyknął, że tak nie można, że Kelly poznał tę dziewczynę parę godzin temu, na ulicy, czy raczej na szosie! Emocje odbiły piłkę, stwierdzając, że wszystko to są rzeczy bez znaczenia. Pam zdawała sobie chyba sprawę z zamętu w myślach Kelly'ego, bo jednym ruchem ściągnęła opalacz przez głowę. Rozsądek umilkł.

— Naprawdę mi się spodobały — szepnęła Kelly, wyciągając dłoń. Delikatnie dotknął piersi Pam i przekonał się, że w dotyku są równie wspaniałe jak w wyglądzie. Pam przewiesiła opalacz przez koło sterowe i przytuliła twarz do twarzy Kelly'ego, a jednocześnie przyciągnęła go do siebie, z arcykobiecą stanowczością. Nie było jednak w tym geście zwierzęcej pasji, tylko coś zupełnie innego, czego Kelly nawet nie umiał nazwać. Nie starał się nawet zgłębić tego uczucia, odkładając to na sposobniejszą chwilę.

Wstali teraz obydwójce. Pam pośliznęła się i prawie upadła, lecz Kelly przytrzymał ją, a potem uklęknął i pomógł jej zsunąć szorty. Pam zaczęła rozpinąć mu koszulę, a Kelly znów objął dłońmi jej piersi. Koszula nie opadła na pokład jeszcze przez długą chwilę, bo ani jedno, ani drugie nie chciało przerwać uścisku. Wreszcie jednak, nie bez szamotaniny z rękawami, koszula znalazła się na ziemi, a zaraz potem dołączyły do niej dżinsy. Kelly zrzucił buty i bieliznę. Stali z Pam naprzeciwko siebie, gotowi znów się objąć. Pokład falował i skakał im pod stopami, a skórę siekł wiatr i ulewa. Pam wzięła Kelly'ego za rękę, pociągnęła go na środek pomostu i gestem poprosiła, by położył się na wznak na pokładzie. Uklęknęła nad nim, usiadła mu na brzuchu i chociaż Kelly próbował się podnieść, raptownymi ruchami bioder zmusiła go do bierności i posłuszeństwa. Sposób, w jaki się kochali, zaskoczył Kelly'ego równie mocno, co reszta wydarzeń popołudnia. Jego krzyk słychać było poprzez wicher, a kiedy otworzył oczy, tuż nad sobą ujrzął twarz Pam i jej uśmiech.

— Przepraszam cię, Pam, ja naprawdę...

— Naprawdę zawsze jesteś taki świetny? — przerwała te przeprosiny z chichotem.

Dopiero długo później Kelly mógł już spokojniej opleść ramionami jej szczupłą postać. Leżeli tak na pokładzie, dopóki burza nie oddaliła się. Kelly bał się wypuścić dziewczynę z objęć — bał się zaś dlatego, że to, co się wydarzyło, wydało mu się nagle po prostu niemożliwe, nierzeczywiste. Kiedy wiatr zrobił się chłodniejszy, zeszli wreszcie pod pokład. Kelly znalazł dla nich ręczniki i pomógł Pam się wytrzeć. Odwzajemniła mu się tym samym. Próbował się do niej uśmiechać, lecz powróciło dojmujące poczucie straty, spotęgowane jeszcze niedawnym uniesieniem. Tym razem to Pam wydawała się zaskoczona. Usiadła obok Kelly'ego na podłodze mesy i przytuliła jego twarz do piersi. Kelly płakał. Nie pytała, dlaczego. Zamiast się odzywać, przycisnęła go do siebie jeszcze mocniej i czekała, aż się uspokoi.

— Przepraszam — szepnął wreszcie. Spróbował się odsunąć, lecz Pam go nie puściła.

— Nie musisz mi się tłumaczyć. O nic nie pytam, ale naprawdę chciałabym ci pomóc — odezwała się, świadoma, że już bardzo mu pomogła. Od pierwszej chwili, kiedy znalazła się w samochodzie, zdawała sobie sprawę, iż ma przed sobą twardego mężczyznę, który doznał okropnej krzywdy. Kelly był tak inny od ludzi, wśród których się obracała... Kiedy się nareszcie odezwał, Pam czuła na piersiach jego ciepły szept.

— To się stało pół roku temu. Nie. Siedem miesięcy. Byliśmy w Mississipi, miałem tam robotę. Dopiero co się dowiedzieliśmy, że będziemy mieli dziecko. Pojechała do sklepu, no i... Taka wielka ciężarówka, z naczepą... Ciężno się urwało, to dlatego... — Kelly nie był w stanie wykrztusić nic więcej, ale na szczęście nie było to konieczne.

— Jak miała na imię?

— Tish. To znaczy Patricia.

— A czy długo byliście ze sobą?

— Półtora roku. A potem nagle... Nic, nie ma. Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego. No, wiesz, poszedłem do wojska, wysłali mnie gdzieś daleko, robiło się różne rzeczy, ale wróciłem, koniec. Poza tym jeśli nawet coś groziło, to zawsze mnie, nie jej. Do głowy mi nie przyszło, że... — ciągnął łamiącym się głosem. Pam przyjrzała mu się w półmroku wnętrza i dopiero teraz spostrzegła trzy blizny. Ciekawiło ją, skąd się wzięły, ale nie było to w tej chwili aż tak ważne. Zamiast pytać, przycisnęła policzek do twarzy Kelly'ego. Uzmysłowała sobie, że dokładnie w tych dniach Kelly miał zostać ojcem. Miał, ale nie został.

— A ty dusiłeś w sobie to wszystko, tak?

— Tak.

— Więc dlaczego mi opowiedziałeś?

— Nie wiem — wyszeptał.

— Dziękuję ci.

Zaskoczony Kelly podniósł wzrok na dziewczynę.

— Jeszcze żaden mężczyzna nie sprawił mi takiej radości.

— Nie rozumiem.

— Pewnie, że rozumiesz. Tish też rozumie. Tak dobrze, że mi pozwoliłeś zająć jej miejsce. . . A może to ona pozwoliła, nie wiem. Musiała cię naprawdę kochać, John. Naprawdę cię kochała, i dalej kocha. Dzięki, że mogłam ci trochę pomóc.

Kelly znowu się rozszlochał. Pam przygarnęła do siebie jego głowę i tuliła go jak dzieciaka. Trwało to dziesięć minut, chociaż żadne z nich dwojga nie patrzyło na zegar. Kelly uspokoił się w końcu i pocałował Pam, z wdzięcznością, która zaraz znowu przerodziła się w namiętność. Pam opadła na wznak, pozwalając odrodzonemu mężczyźnie robić, co tylko zechce. Nagroda, jaka ją za to spotkała, dorównywała swym ogromem darowi, jaki otrzymał od niej Kelly. Tym razem to w wielokrotnym krzyku Pam utoneły odgłosy burzy. Później, kiedy zasypiali, dziewczyna pocałowała nieogolony policzek, do którego się tuliła i sama także się rozplakała, zdumiona i przejęta cudem, jaki jej zesłał dzień rozpoczęty w śmiertelnym przerażeniu.

## 2 — Spotkania

Kelly obudził się o swojej zwykłej porze, pół godziny przed wschodem słońca, słuchał wrzasku mew, i przez uchylone powieki obserwował poranną zorzę. W pierwszej chwili zdumiało go odkrycie, że na jego piersiach spoczywa czyjeś smukłe ramię, lecz po kilku sekundach fala wspomnień i uczuć wyjaśniła mu wszystko. Podniósł się z koi i szczerzej okrył Pam kocem, chroniąc ją przed porannym chłodem. Pora była zająć się łodzią.

Na razie uruchomił ekspres do kawy, a potem odnalazł kąpielówki i wyszedł na pokład. Uświadomił sobie z radością, że przed snem nie zapomniał włączyć światła pozycyjnego — przy kotwiczeniu był to obowiązkowy punkt programu. Z kolei kiedy dotarł na dziób, spostrzegł, że jedna z kotwic przestała trzymać i przewlokła się parę metrów w ślad za jachtem. Zaklął w duchu, zły na siebie, choć zasadniczo nic się takiego nie stało. Toń Zatoki była idealnie gładka, jak powleczona warstewką oliwy, a na skórze czuło się leciuteńki podmuch. Różowopomarańczowa zorza podświetlała zagajniki na dalekim wschodnim brzegu. Kelly'emu dawno się nie zdarzyło oglądać tak pięknego poranka. Zaraz potem jednak powróciły myśli, które nie miały absolutnie nic wspólnego z pogodą.

— O, żeby to... — szepnął Kelly pod adresem budzącego się dopiero świtu. Przez noc zeszywniały mu mięśnie, więc zrobił kilka skłonów, przeciągnął się, i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, jak miło jest zacząć dzień inaczej, bez kaca. Długo liczył godziny snu. Aż dziewięć? Niemożliwe! Aż tyle... Nic dziwnego, że był w takim świetnym humorze. No, nic, pora na następną poranną atrakcję: trzeba się wziąć za sprzątanie. Kelly wziął do rąk gąbkową ściągaczkę na kiju i zaczął nią wycierać wodę, która zdążyła się nagromadzić na plastikowym pokładzie.

Odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy z oddali dobiegł go niski, przytłumiony pomruk pary dieslowskich silników. Odgłos dobiegał od zachodu, akurat z miejsca, gdzie nadal wisiała resztką mgły, spychanej bryzą. Kelly, zamiast machnąć na to ręką, powędrował do sterówki i wyciągnął ze schowka lornetkę. Podniósł ją do oczu dokładnie w tej samej chwili, kiedy w soczewkach 7x50 zajaśniał potężny punktowy reflektor. Snop światła zaraz zgasł, a Kelly mrugał oślepiiony, gdy ponad wodą rozniósł się głos z megafonu.

— Przepraszam, Kelly, skąd miałem wiedzieć, że to ty! — rozległo się we mgle. Dwie minuty później znajoma sylwetka piętnastometrowego kutra Straży Przybrzeżnej kołysała się już burta w burtę ze „Springerem”. Kelly rzucił się do lewej burty i pośpiesznie przerzucił za reling gumowe odbijacze, a potem beztróskim tonem upewnił się:

— Chcieliście mnie staranować, tak?

— Bez urazy, stary. — Starszy bosman Manuel Oreza (o przydomku Dniówka) z wprawą popartą latami praktyki przestąpił wzdłuż okężnicy i wycelował palcem w odbijacze: — Co, nie wierzysz, że umiem pływać?

— Jak umiesz, to nie świeć po oczach! — fuknął Kelly.

— Za to, to już akurat objechałem kogo trzeba — zapewnił go Oreza i wyciągnął dłoń na przywitanie. — Się masz, Kelly.

W ostatniej chwili Kelly zorientował się, że Oreza podaje mu styropianowy kubek z gorącą kawą. Pozostawało tylko roześmiać się i przyjąć poczęstunek. Oreza słynął z kunsztu parzenia kawy.

— Przeprasiny przyjęte.

— Wszystko przez to, że tłuśliśmy się po Zatoce od samego wieczora. Padamy na nos, a załoga jeszcze zielona — wyjaśnił zmęczonym głosem bosman ze Straży Przybrzeżnej. Był mniej więcej w tym samym wieku, co Kelly, miał dwadzieścia osiem lat, i dla reszty swojej załogi był zgrzybiałym starcem.

— A co, kłopoty? — zapytał go Kelly.

Oreza przytaknął ruchem głowy i powiódł wzrokiem po falach.

— Mniej więcej tak jakby. Jeden kretyn w żagłowiec za dolara zagubił się wczoraj pod wieczór, wiesz, kiedy mieliśmy burzę. Szperamy, szperamy, ale gościa ani śladu.

— Szkwał miał ze czterdzieści węzłów. Solidnie dmuchnęło, Dniówka — potwierdził Kelly. — W dodatku jeszcze znienacka.

— Mnie to mówisz? Wyłowiliśmy do tej pory ludzi z sześciu żagłówek. Została nam właśnie ta jedna. Nie widziałeś wczoraj wieczorem niczego takiego?

— Nic a nic. Wypłynąłem z Baltimore, czekaj, około szesnastej... Żeby tu dopłynąć, potrzebne mi były dwie i pół godziny. Ledwo zakotwoczyłem, zaczęło dmuchać. Widzialność prawie żadna, zresztą tak lało, że zaraz zesliśmy pod pokład.

— Mówisz, że jest was więcej? — zagadnął od niechcienia Oreza i przeciągnął się. Potem podszedł do koła sterowego, podniósł mokry opalacz i cisnął go Kelly'emu. Uczynił to z miną doskonale obojętną, ale gdzieś na dnie oczu zajaśniał mu błysk zaciekawienia. Po cichu od dawna pragnął, żeby Kelly, ostatecznie jego dobry kumpel, wreszcie znalazł sobie kogoś. Kelly zasługiwał na to, a tymczasem życie zupełnie go nie pieściło.

Kelly z równie sztucznie obojętną miną oddał pusty kubek i ciągnął:

— Zaraz za mną wypływał jakiś frachtowiec. Pod włoską banderą, kontenerowiec, na oko z połową ładunku. Walił równo piętnaście węzłów. Ktoś jeszcze wyszedł z portu, czy tylko ten Włoch?

— Tylko? Marzenia! — sprostował Oreza i z zawodową irytacją zauważył: — Właśnie takich sytuacji się boję, wiesz? Wypłynie taki dryndziarz swoją stodołą, zasuwą całą naprzód i nawet nie popatrzy, co ma przed dziobem!

— Normalna sprawa: wyjdiesz ze sterówki, to też cię zaraz ochłapie. Swoją drogą, założę się, że nie postawili nikogo na oku, bo przepisy związkowe, bo późno, bo to, bo tamto... Kto wie, może rozjechali twojego faceta — zastanawiał się ponuro Kelly. Sam pamiętał takie przypadki, nawet na tak cywilizowanych wodach jak zatoka Chesapeake.

— Może i tak — bąknął Oreza, zapatrzony w horyzont, po czym wzruszył ramionami. Nie wierzył w domysły Kelly'ego i był zbyt zmęczony, by udawać, że wierzy. — To co, jak zobaczysz taką łódeczkę z żaglem w pomarańczowe i białe pasy, dasz mi znać?

— Nie ma sprawy.

Oreza spojrział okiem zawodowca na wodę przed dziobem jachtu.

— Aż dwie kotwice na taki wiaterek jak wczoraj? Poza tym ustawione za blisko siebie. Myślałem, że się lepiej spiszesz.

— Tak? — zdziwił się jadowicie Kelly. — Od kiedy to jakiś gryziپیórek bosman próbuje pouczać prawdziwych marynarzy?

Były to tylko żarty, bo Kelly zdawał sobie sprawę, iż w pilotowaniu jachtu motorowego ustępuje jednak Dniówce — choć tylko odrobinę, o czym obaj oczywiście wiedzieli. Wracając na swój kuter, Oreza uśmiechał się dziwnie, lecz dopiero kiedy znalazł się na własnym pokładzie, krzyknął do Kelly'ego:

— Aha, nie zapomnijcie wbić się w tę koszulkę, bosmanie! Na moje oko w sam raz, najwyżej kołnierzyk może być ciasny!

Zanim Kelly zdobył się na odpowiedź, ubawiony Oreza zniknął za drzwiami sterówki. Wewnątrz mignął Kelly'emu ktoś jeszcze — jakiś cywil. Dziwne. W chwilę później silniki ożyły, a kuter Straży Przybrzeżnej ruszył na północny zachód.

— O, cześć! — rozległ się głos Pam. — Co się dzieje?

Kelly odwrócił się i przekonał, że Pam ma na sobie to samo, co w chwili, kiedy ją przykrywał kocem, to znaczy nic. Ugryzł się w język, aby wytrwać w postanowieniu, że nie da się już niczym zaskoczyć tej dziewczynie. No, chyba że Pam zrobi coś, czego się można spodziewać. Będzie to naprawdę powód do zdumienia. Włosy dziewczyny były splątane, a oczy dziwnie nieobecne, jak gdyby Pam przez całą noc nie spała.

— Podpłynęła do nas Straż Przybrzeżna. Szukają jakiejś zagłóWKi. Jak ci się spało?



— Doskonale — bąknęła Pam i podeszła bliżej. Wyraz jej oczu był tak łagodny, jak gdyby śniła na jawie. Trochę za wcześnie na podobne stany, dopiero ranek... Kelly, sam rozbudzony jak nigdy, musiał jednak uznać, że Pam wygląda prześlicznie.

— Dzień dobry.

Pocałunek. Dotyk. Pam podniosła ramiona do góry i spróbowała wykręcić piruet. Kelly objął ją za szczupłą kibić i unióśł wysoko w górę.

— Co ci zrobić na śniadanie? — zapytał.

— Śniadanie? Ja nie jem śniadań — odpowiedziała mu Pam i sięgnęła ku niemu ręką.

— Aha — Kelly uśmiechnął się niepewnie. — Dobra, jak uważasz.

Nim upłynęła godzina, Pam zmieniła zdanie. Kelly na kuchence usmażył jajka na boczku, a Pam zmiotła je z talerza w takim tempie, że mimo sprzeciwów, doczekała się natychmiast dokładki. Dokładne oględziny wykazały, że dziewczyna, z natury szczupła, jest na dodatek niedożywiona do tego stopnia, że sterczą jej żebra. Odkrycie podsunęło Kelly'emu nowe pytania z serii tych, których nie mógł zadać. Mógł natomiast łatwo zaradzić stanowi, w jakim znajdowała się Pam. Prawdziwy początek dnia nastąpił więc dla nich dopiero wówczas, gdy dziewczyna zjadła cztery jajka, osiem plastrów smażonego boczku i pięć grzanek, czyli dwa razy tyle, ile zjadł sam Kelly. Teraz pokazał jej, jak się obsługuje urządzenia w jachtowej kuchence, a sam wyszedł na pokład, by podnieść obie kotwice.

Ruszyli w dalszą drogę w leniwym tempie, tuż przed ósmą. Sobota zapowiadała się słonecznie, wręcz upalnie. Kelly włożył okulary słoneczne, wyciągnął się w kapitańskim fotelu i aby nie zapaść w drzemkę, raczył się kawą z ulubionego kubka. Płynęli kursem na zachód, a Kelly trzymał się skraju głównego kanału żeglugowego, by uniknąć kolizji z setkami motorówek, którymi w taki dzień jak ten wędkarze na pewno wyprawiają się z portów w poszukiwaniu okonia.

— Co to za pudełka? — zapytała Pam wskazując na pławy, unoszące się na falach po lewej burcie.

— Boje. Podtrzymują pułapki na kraby. Wiesz, takie klatki. Kraby wchodzą do nich, a potem nie mogą wyjść. Boje wskazują, gdzie rybacy zastawili pułapkę. — Kelly podał Pam lornetkę i wskazał miejscowej budowy rybacką krypę pięć kilometrów na wschód od ich pozycji.

— I tak łapią te biedne kraby?

Kelly roześmiał się.

— Pam, przypomnij sobie boczek, który jadłaś na śniadanie. Nie w mówisz mi chyba, że ta świnka popełniła samobójstwo?

— No, nie. — Pam posłała mu szatańskie spojrzenie.

— Więc bez przesady. Kraby to w końcu tylko wielkie morskie pająki, chociaż smaczne, nie powiem — dokończył Kelly i obrócił ster w prawo, by ominąć czerwoną pławę, tym razem o wrzecionowatym kształcie.

— Ale to okrutne zajęcie.

— Życie takie bywa — palnął Kelly, zanim ugryzł się w język. Pam zareagowała na te słowa równie spontanicznie, co Kelly na jej, bo zwiesiła głowę i szepnęła:

— Mnie to mówisz?

Kelly nie popatrzył na nią bacznie tylko dlatego, że w porę się powstrzymał. W słowach Pam było tyle ukrytej treści, że mogły oznaczać tylko jedno: to, że nie tylko Kelly'ego dręczą po cichu demony. Niezręczna chwila jednak minęła. Pam przysiadła obok Kelly'ego na fotelu i przytuliła się, a świat odzyskał równowagę. Po raz ostatni instynkt ostrzegł Kelly'ego, że coś jest nie tak. I co z tego? Na pełnym morzu nie ma demonów, więc o co chodzi?

— Lepiej zrobisz, jak zejdiesz do kabiny.

— Czemu?

— Okropnie dzisiaj piecze. W grodzi, w największej szafce, znajdziesz olejek do opalania.

— W grodzi?

— No, w toalecie!

— Dlaczego na jachcie wszystko musi się inaczej nazywać?

— Po to, żeby marynarze mogli rządzić szczurami lądowymi! — zaśmiał się Kelly. — Skocz po ten olejek i nasmaruj się grubo, bo inaczej do obiadu będziesz wyglądać jak frytka.

Pam pokazała mu język.

— Chyba wezmę przy okazji prysznic. Mogę?

— Dobry pomysł — stwierdził Kelly, nie patrząc na dziewczynę. — Po co mamy straszyć ryby.

Pam pacnęła go w plecy i ruszyła pod pokład.

\* \* \*

— Zniknął, skubany, po prostu zniknął — warknął Oreza, zgarbiony nad stołem nawigacyjnym posterunku Straży Przybrzeżnej w Thomas Point.

— Powinniśmy znaleźć jakiejs wsparcie z powietrza, śmigłowiec, albo coś — odezwał się cywil.

— Guzik by nam to pomogło. W taką noc jak wczoraj? Nawet mewy wolały usiąść i przeczekać.

— W takim razie gdzie się podział?

— A skąd ja mam wiedzieć? Może przytopiło skubanego! — rozmarzył się Oreza i wrócił złym spojrzeniem ku mapie. — To mówi pan, że tamten ciągnął na północ, tak? Przeszperaliśmy wszystkie porty odtąd dotąd, a Max zajął się zachodnim brzegiem Zatoki. I nic. Ten opis żagłówki na pewno się zgadza?

— Czy się zgadza? Człowieku, mało brakowało, a sami byśmy mu kupili tę łajbę! — wybuchnął cywil, zły jak to tylko bywa po dwudziestu ośmiu bezsensnych godzinach, spędzonych na picciu kawy i wymiotowaniu przez burtę kutra patrolowego. Śmieszki załogi także nie poprawiały cywilowi humoru. Czuł się tak, jak gdyby ktoś mu wrzucił prosto do żołądka łopatę żelaznych opiłków. Przemógł się wreszcie i zdawkowo, sam nie wierząc w to, co mówi, przyznał: — Fakt, może się utopił.

— Wtedy problem by się sam rozwiązał, nie?

Cywil warknął ostrzegawczo na ten niewinny żarcik, a szef posterunku, siwołosy chorąży Paul English, posłał Orezie karcące spojrzenie.

— Sami wiecie, panowie — odezwał się w końcu cywil znękanym głosem — że akurat tego problemu nie rozwiąże nikt i nic. Ale płacą mi za to, żebym próbował.

— Dobrze, ale pływaliśmy całą noc. Załoga pada z nóg. Jeśli nie ma pan żadnych pilniejszych spraw, najlepiej byłoby się walnąć na koję i trochę przekimać.

Cywil posłał bosmanowi zmęczony uśmiech, który miał zatuszować poprzednią złość.

— Pierwszorzędny pomysł! Panie Oreza, z taką inteligencją pan powinien być oficerem, a nie bosmanem.

— Gdybym był faktycznie taki mądry, nie przegapilibyśmy w nocy tego mojego kumpla.

— Tego faceta, którego mijaliśmy o świcie?

— Właśnie, Kelly'ego. Był starszym bosmanem w Marynarce. W porządku facet.

— Nie za młody jak na starszego bosmana? — zdziwił się English, oglądając niezbyt wyraźne zdjęcie, zrobione przy świetle szperacza. Dowodził tym posterunkiem dopiero od niedawna.

— Awans dostał razem z medalem — wyjaśnił Oreza. Cywil poderwał głowę znad stołu.

— Aha, czyli nie sądzi pan, że to on mógłby...

— Prędzej bym się zesrał.

Cywil tylko pokręcił głową, zastanowił się chwilę i ruszył do sali sypialnej. Przed zachodem słońca mieli znów wypłynąć na Zatokę, więc naprawdę warto było się zdrzemnąć.

— Coście tam robili? — zapytał English, kiedy za cywilem zamknęły się drzwi.

— Facet załadował nam ciężarówkę sprzętu, panie kapitanie — zaczął Oreza. English jako dowódca miał prawo do takiego tytułu, a nawet gdyby go nie miał, dowódcy kutrów i tak wiedzieli, że poprawią mu w ten sposób humor. — Nie powiem, żeby się wyspał w tym rejsie.

— Podobno ma z nami często pływać, co pewien czas, o ile zajdzie potrzeba. Prawdę mówiąc, wołałbym, żeby pływał z panem.

Oreza postukał ołówkiem w mapę nawigacyjną.

— A ja dalej mówię, że najlepiej byłoby pilnować akwenu z tego miejsca. Właściciel to mój kumpel, na pewno by się zgodził.

— Słyszał pan od naszego gościa: nie, i kropka.

— Nasz, jak pan mówi, gość, to nie marynarz, panie kapitanie. Może się sobie szarogęścić na moim kutrze, jego prawo, ale niech mnie nie uczy, jak pływać i jak szukać, bo gówno się na tym zna.

Mówiąc to, Oreza zakreślił na mapie punkt, o którym wspomniał.

\* \* \*

— Nie lubię takich sytuacji, i tyle.

— Nikt ci nie każe ich lubić — odezwał się wyższy rozmówca i wydobył z kieszeni szczyrykiem nadciął gruby papier pakowy. Z opakowania wyłoniło się plastikowe pudełko, pełne białego proszku. — Parę godzin przyjdzie nad tym posiedzieć, ale zgarniemy na czysto trzysta tysięcy. Takich sytuacji też nie lubisz, co? Bo ja na przykład lubię.

— Trzysta na początek. Będzie więcej — przypomniał trzeci obecny.

— A z łodzią niby co? — marudził dalej ten, który miał skrupuły. Wysoki podniósł głowę znad stołu, przy którym pracował.

— Pozbyłeś się żagla?

— No, tak.

— W porządeczku. Żaglówkę gdzieś się upchnie... Nie, lepiej puśćmy ją na dno. Właśnie, puśćmy na dno, i po krzyku.

— Tylko co z Angelo?

Cała trójka spojrzała na nieprzytomną, krwawiącą postać, leżącą bezwładnie na podłodze.

— Jego też trzeba puścić na dno — zawyrokował wysoki tonem, w którym nie było śladu emocji. — Gdzieś niedaleko, nie ma co się szczytać.

— Dwa tygodnie, i śladu po nim nie zostanie. Tyle zwierzaków... — ten trzeci machnął ręką w stronę słonych bagnisk.

— Niech mi ktoś jeszcze powie, że to takie trudne! Sami popatrzcie: ani śladu żaglówki, ani śladu Angelo, ani śladu ryzyka, a do tego trzysta patyków. Żyć, nie umierać, co, Eddie?

— Jego kumple mogą mieć inne zdanie.

Tym razem uwaga wypływała już tylko z przekory, nie z powodu wątpliwości natury etycznej.

— Jacy znów kumple? — burknął Tony, nie podnosząc wzroku. — Zakapował ich, nie? A kapusie nie mają kumpli.

Eddie pogodził się ostatecznie z logiką sytuacji i zbliżył się do bezwładnego Angelo. Klatka piersiowa ofiary poruszała się wolno, a z licznych skaleczeń wyciekały strużki krwi. Pora była z tym skończyć. Eddie zdawał sobie sprawę, że tak będzie, a jego wcześniejsze protesty miały jedynie opóźnić to, co było nieodwołalne. Spokojnie wyciągnął więc z kieszeni mały pistolet kalibru 0,22 cala, przyłożył lufę do potylicy Angelo i pociągnął za spust. Ciało wyprężyło się w skurczu i znieruchomiało. Eddie odłożył broń i wywłókł trupa na zewnątrz, zostawiając Henry'ego i jego człowieka nad robotą. Pamiętali, żeby zabrać ze sobą kawał sieci rybackiej. Przydała się doskonale do owinięcia zwłok wleczonych teraz do małej motorówki, którą tu przyłynęli. Eddie, którego zawsze cechowała ostrożność, na wszelki wypadek rozejrzał się dookoła, lecz oczywiście w takim miejscu jak ich kryjówka nie było mowy o intruzach. Odpłynął więc kilkaset metrów i wypatrzył odpowiednie miejsce, zatrzymał silnik i w dryfie przywiązał do sieci kilka betonowych klocków. Wystarczyło ich sześć, by Angelo znalazł się na dnie, dwa i pół metra pod wodą. Eddie zaniepokoił się nawet, bo woda była w tym miejscu całkiem przezroczysta, lecz po minucie wokół sieci zaroilo się od krabów. Rzeczywiście, za dwa tygodnie z Angelo nie zostanie śladu. Metoda była chyba lepsza od tych, które stosowało się w branży na co dzień, i warto ją było sobie zapamiętać. Gorzej pójdzie z pozbyciem się żaglówki. Trzeba wyszukać jakieś głębsze miejsce — na szczęście Eddie miał jeszcze cały dzień, żeby się nad tym zastanawiać.

\* \* \*

Kelly zmienił kurs i zrobił zwrot w prawo, by nie wpakować się na ławicę rozpędzonych motorówek. Na horyzoncie, o pięć mil przed dziobem, zaczynała już majaczyć jego wyspa. Widok był może niezbyt imponujący, ot, nieznaczne wybrzuszenie nad falami, bez choćby jednego drzewka, ale za to człowiek miał tam święty spokój. Jedyne zmartwienie stanowił fakt, że słabo łąpało się stamtąd telewizję.

Historia Wyspy Armatniej była długa i uboga w wydarzenia. Obecnej nazwy, bardziej ironicznej niż zasłużonej, wyspa doczekała się w pierwszych dekadach XIX wieku, kiedy któryś bardziej przedsiębiorczy Jankes postanowił rozmieścić tu niewielką baterię armat, która by strzegła wąskiej na tym odcinku zatoki Chesapeake przed Brytyjczykami. Ci ostatni często zapuszczali się na te wody, a ich okręty rzeczywiście zagrażały nawet miastu Waszyngton. Cóż, młoda amerykańska nacja sama była sobie winna, nieopatrznie zadzierając z najpotężniejszą flotą wojenną na świecie. Jeden z brytyjskich dowódców spostrzegł obłoczki dymu nad płaską wyspą i, bardziej chyba dla rozrywki niż ze złości, wysłał którąś z jednostek na odległość skutecznego strzału. Kilka salw z długolufych armat na dolnym

pokładzie fregaty wystarczyło, by strzegący baterii jankescy ochotnicy bez dalszej zachęty rzucili się do łodzi i oddalili pośpiesznie na stały ląd. Zaraz potem desant marynarzy i Królewskiej Piechoty Morskiej wyprawił się szalupą, by wbić żelazne gwoździe w otwory zapalowe amerykańskich armat — czyli „zagwoździć je”, według popularnej jeszcze wtedy terminologii. Po tym krótkim wypadzie Brytyjczycy pożeglowali spokojnie w górę rzeki Patuxent, skąd ich armada wyprawiła się na pieszą wycieczkę do Waszyngtonu, zmuszając Dolley Madison do pośpiesznej rejterady z Białego Domu. Wówczas Brytyjczycy skierowali ostrze swej kampanii przeciwko Baltimore, ze zgoła innym, mniej pomyślnym skutkiem.

Pod jurysdykcją władz federalnych, wyspa stała się wstydlivym przyczynkiem do początku niezbyt sensownej wojny. Bezpańska i pozbawiona choćby dozorczy, który strzegłby szaińców, zarosła chwastami i stała opuszczona przez następnych sto lat. Dopiero gdy w 1917 roku Ameryka przystąpiła do pierwszej prawdziwej wojny, a Marynarce przyszło się nagle borykać z zagrożeniem, jakie stanowiły niemieckie okręty podwodne, okazało się, że Wyspa Armatnia to idealne miejsce na poligon artyleryjski. Od bazy w Norfolk dzieliło ją zaledwie kilka godzin żeglugi. Nic dziwnego, że jesienią tego samego roku, gdy zagrały dwunasto- i czternastocalowe armaty amerykańskich pancerników, jedna trzecia wyspy po prostu zniknęła, rozniesiona pociskami. Zmiana ogromnie zirytowała wędrownie ptactwo, które od niepamiętnych czasów uważało wyspę za bezpieczne miejsce, dokąd nie zapuszcza się żaden myśliwy. Prócz tych atrakcji, jedynym wydarzeniem godnym uwagi było zatopienie na wodach na południe od wyspy ponad setki statków transportowych z I wojny światowej. Statki osadzono na dnie umyślnie, bo nie było co z nimi zrobić. Z biegiem czasu przestrzeń wokół ich kadłubów zarosła sitowiem, a same jednostki także się upodobniły do archipelagu wysepek.

Do życia przywróciły wyspę dopiero nowa wojna i nowa generacja broni. Po- bliska baza lotnictwa morskiego na gwałt szukała poligonu bombowego dla swoich pilotów. Wyspa, dogodnie położona tuż obok osiadłych na dnie statków z poprzedniej wojny, nadawała się do tego celu po prostu idealnie. Wkrótce wybudowano więc tam trzy potężne bunkry obserwacyjne, z których wnętrza oficerowie mogli bezpiecznie obserwować naloty bombowców *TBF* i *SB2C* na cele przypominające ni to statki, ni to wysepki. Z parowców tylko drzazgi leciały, do chwili, kiedy to jeden z pilotów zagapił się i za późno zwolnił bombę z zaczepów. Jeden z bunkrów obserwacyjnych — na szczęście pusty — zmienił się w dymiący lej, który gwoli ładui porządku zniwelowano i zagrabiono. Po wojnie obiekty na wyspie przekształcono w stację dla kutrów ratunkowych, potrzebnych na wypadek katastrofy lotniczej na wodach Zatoki. To z kolei pociągnęło za sobą konieczność budowy betonowego nadbrzeża i remontu obu ocalałych bunkrów. Trzeba przyznać, że wyspa pozostawała zawsze sprężyną napędową miejscowej gospodarki, choć dla budżetu federalnego stanowiła worek bez dna — do momentu, kiedy

przestarzałe kutry zastąpiono śmigłowcami, a obiekty przeznaczono do demobilu. Przez kolejne lata Wyspa Armatnia stanowiła jedną z wielu pozycji na liście niepotrzebnego mienia władz federalnych, lecz na szczęście od dalszych strat wybawił Waszyngton niejaki John Kelly, który wyspę wydzierżawił i zamieszkał na niej.

Kiedy zbliżali się do sadyby, Pam wyciągnęła się na kocu i, natarta jak pieczone prosię olejkami do opalania, rozkoszowała się słońcem. Nie miała na sobie kostiumu kąpielowego, a jedynie zwyczajny stanik i majteczki, lecz Kelly'emu właściwie to nie przeszkadzało — to znaczy, trochę przeszkadzało, z przyczyn, których na razie sam nie był w stanie zgłębić za pomocą normalnej logiki. Na wszelki wypadek skupił się na sterowaniu jachtem. Będzie jeszcze czas przyjrzeć się dokładnie wdziękom pasażerki. . . Kelly powtarzał to sobie dosłownie co chwilę, lecz zaraz znów strzelał oczami, upewniając się, że dziewczyna nie rozwiąła się jak dym.

Pokręcił kołem sterowym w prawo, by nie nadziać się na dużą motorówkę rybacką, a potem jeszcze raz omiótł wzrokiem Pam. Dziewczyna zdążyła już zsunąć ramiączka stanika, w trosce o równą opaleniznę. Kelly także uwielbiał równą opaleniznę.

Dźwięk buczonej spłoszył ich oboje. Ktoś raz za razem naciskał na klakson rybackiej motorówki, którą minęli. Kelly przepatrzył jeszcze horyzont, aby się upewnić, że dźwięk dobiega właśnie stamtąd, ale innej możliwości nie było — w pobliżu znajdował się tylko hałaśliwy intruz. Na górnym pomoście Kelly spostrzegł mężczyznę, który wymachiwał ku nim rękami. Pozostawało tylko zrobić zwrot w lewo i podpłynąć bliżej. Kelly uczynił to bez pośpiechu. Oszczędzał „Springera”, bo kimkolwiek był szyper drugiego jachtu, na żegludze znał się jak koza na wyższej matematyce. Na wszelki wypadek Kelly podpłynął tylko na osiem metrów i trzymał dłoń na manetkach gazu.

— Co jest?! — zapytał przez megafon.

— Urwało nam śruby! — odkrzyknął śniady szyper. — I co ja mam teraz zrobić?

Kelly chciał mu już doradzić wiosłowanie, lecz miał jeszcze w sobie odrobinę przyzwoitości, toteż podpłynął trochę bliżej i obrzucił drugą łódź uważnym spojrzeniem. Motorówka była spora, typu *Hatteras*, do wędkowania na głębokich wodach przybrzeżnych, na oko dosyć nowa. Mężczyzna na mostku był wzrostu mniej niż średniego, dobiegał pięćdziesiątki i nie miał na sobie koszuli. Zastępowało mu ją z powrotem ciemne, gęste owłosienie na klatce piersiowej. Oprócz niego na pokładzie była jeszcze kobieta, ponura i zła.

— Jak to, urwało? — zdziwił się Kelly, gdy już podpłynął bliżej.

— Musieliśmy zahaczyć o mieliznę — wyjaśnił mu pechowy szyper. — O tam, pół mili w tamtym kierunku.

Kelly poznał miejsce, od którego sam starał się trzymać z daleka.

— Zgadza się, jest tam taka jedna łacha. Jak pan chce, mogę pana podholować. Tylko czy ma pan aby porządną linę?

— Mam! — zapewnił go natychmiast mężczyzna i popędził do schowka w forpiku. Jego towarzyszka nadal siedziała naburmuszona. Kelly na chwilę odплыnął kawałek dalej i nadal przyglądał się „kapitanowi”, jak ironicznie ochrzcił nieznanego. Ładny kapitan! Nie umie czytać map morskich, nie wie, w jaki sposób grzecznie przywołać inne łodzie, nie ma nawet pojęcia, że w takich wypadkach trzeba zawiadomić Straż Przybrzeżną! Umiał za to kupić sobie jacht motorowy, i to nie byle jaki, bo *Hatteras*. Czyżby znał się jednak trochę na pływaniu? Nie, bo typ łodzi mógł mu podsunąć sprzedający. Zaraz jednak Kelly znowu się zdziwił, bo mężczyzna wiedział jednak, co się robi z liną i prędko dał znak, by „Springer” podплыnął bliżej.

Kelly ostrożnie przybliżył się rufą do *Hatteras* i zbiegł po schodkach, by przejąć linę, którą zaraz założył na kołek cumowniczy na pokładniku.

Pam podniosła się z koca i obserwowała całą scenę. Kelly pośpiesznie wrócił na pomost i przesunął manetkę odrobinę do przodu.

— A pan niech się chwyta za radio — pouczył właściciela *Hatteras*. — Ster na wprost, chyba że powiem, żeby przelożyć. Zgodna?

— Jasna sprawa.

— Mam nadzieję — mruknął Kelly pod nosem i popchnął manetki, czekając, aż hol porządnie się napnie.

— Co im się stało? — zapytała Pam.

— Ludzie zapominają, że pod tymi falami jest jeszcze dno. Jak w nie dobrze palnąć, można się zdziwić. . . — Kelly zawiesił głos. — Może byś tak coś założyła na siebie, co?

Pam zachichotała i zbiegła pod pokład. Kelly ostrożnie zwiększył prędkość do czterech węzłów i dopiero wtedy zwrócił dziób jachtu na południe. Całą sytuację znał prawie na pamięć, bo nie pierwszy raz przyszło mu ratować kolejnego fajtlapę. W myślach Kelly zaczął już rozpatrywać pomysł, by na przyszłość wydrukować sobie blankiety rachunków na takie okazje.

Do pomostu „Springer” przybijał bardzo powoli. Kelly nie zapomniał, że ciągnie na holu drugi jacht. Zbiegł z mostku, przerzucił przez burtę odbijacze, skoczył na brzeg i przerzucił cumy przez pacholki, a potem z kolei ruszył do *Hatteras*. Właściciel zdążył już przygotować cumy. Cisnął je Kelly’emu i sam także zabrał się za odbijacze. Ciągnąc jacht przez brakujące do brzegu metry, Kelly miał okazję popisać się przed Pam muskulaturą. Po pięciu minutach obcy jacht stał bezpiecznie i ciasno przycumowany do kei, a Kelly zajął się „Springerem”.

— To wszystko pańskie?

— No, pewnie — potwierdził Kelly. — Witam na swojej mieliźnie.



— Jestem Sam Rosen — przedstawił się mężczyzna, podając dłoń. Wciągnął już na siebie koszulę, a choć uścisk jego ręki był solidny, Kelly zauważył dziwnie kobiecą miękkość skóry.

— A ja John Kelly.

— To moja żona, Sarah.

— Pański nawigator, tak? — zażartował Kelly.

Sarah okazała się niziutka i pulchna. W jej piwnych oczach migotała teraz mieszanina wstydu i rozbawienia.

— Powinno się panu podziękować za pomoc — odezwała się z wyraźnym nowojorskim akcentem.

— Drobiazg, pomogłem, bo takie są morskie zwyczaje. Ale jak się to stało?

— Mapa pokazuje w tamtym miejscu prawie dwa metry wody! Czyli jedną trzecią więcej, niż wynosi nasze zanurzenie. A w dodatku odpływ skończył się pięć godzin temu! — wybuchnęła pani Rosen. Nie kierowała złości na Kelly'ego umyślnie, lecz dlatego, że się akurat nawinał, podczas gdy Sam Rosen zdążył już się dokładnie dowiedzieć, co Sarah myśli o tym wszystkim.

— Fakt, jest tam mielizna. Od sztormów z ostatniej zimy narosła trochę, ale chyba nie aż tyle. Poza tym łacha jest mulista, bez kamieni.

Dokładnie w tej samej chwili spod pokładu wychynęła Pam, ubrana prawie normalnie. Kelly zdał sobie nagle sprawę, że nawet nie zna jej nazwiska.

— Cześć, jestem Pam!

— Może odsapniemy chwilkę? Na zagadki będziemy mieli cały dzień. Uwaga spotkała się z ogólną aprobatą. Kelly poprowadził więc całą gromadkę w kierunku domu.

— Kurczę, a cóż to znowu? — zdumiał się Sam Rosen. „To” było oczywiście jednym z bunkrów, betonowym zabytkiem z 1943 roku, z metrowej grubości stropem i o prawie dwustu metrach kwadratowych powierzchni wewnętrznej. Budowlę wzniesiono z żelazobetonu, czyli solidnie. Zaraz obok stał drugi, nieco mniejszy bunkier.

— Dawniej była tu placówka Marynarki — wyjaśnił Kelly. — Wydzierżawiłem, i tyle.

— Niezły porcik panu wybudowali — zauważył na to Rosen.

— A, niczego sobie. Mogę zapytać, kim pan jest z zawodu?

— Chirurgiem — odrzekł natychmiast Rosen.

— Naprawdę? — To wyjaśniało gładkość dłoni nowego znajomego.

— Profesorem chirurgii, nie chirurgiem — sprostowała Sarah. — Ale na morzu zupełna z niego oferma!

— Nie moja wina, że się nic nie zgadza na tych mapach! — burknął profesor. Kelly wprowadził ich tymczasem do środka. — Ile razy mam ci powtarzać?

— Ludzie, nie kłóćcie się. Co się stało, to się stało. Możemy najwyżej coś zjeść, wypić po piwku i zastanowić się, co dalej! — odezwał się Kelly, sam zdu-

miony własnym tonem. W tejże chwili nad okolicą rozniósł się ostry trzask wystrzału. Doleciał chyba z południa. Zabawne, jak daleko dźwięki potrafią się nieść ponad wodą. . .

— Co to było? — podskoczył Sam Rosen, widać również obdarzony dobrym słuchem.

— Pewnie jakiś dzieciak puka z dwudziestkidwójki do szczurów piżmowych — ocenił rzecz Kelly. — Czasem tak bywa, ale poza tym to spokojna okolica. Prawdziwy hałas bywa tu tylko jesienią, o świcie. Kaczki, dzikie gęsi. . .

— Czy to stąd te zasłony na oknach? Połuje pan?

— Przestałem — odpowiedział Kelly. Rosen posłał mu spojrzenie pełne zrozumienia. Kelly kolejny raz zmienił zdanie o gościu.

— Długo? — zapytał Rosen. — To znaczy, tam?

— Za długo. Jak się pan w ogóle domyślił?

— Sam też, zaraz po stażu, wybrałem się na Iwo Jimę i Okinawę. Statkiem szpitalnym.

— I co, akurat był sezon na kamikadze?

Rosen przytaknął.

— Ubaw po pachy. Ale pan, na czym pan służył?

— Przeważnie na brzuchu — oświecił go z uśmiechem Kelly.

— Wyszczepianie podwodne? Wygląda mi pan na pletwonurka — ocenił Rosen. — Miałem w życiu okazję zszywać paru takich fachowców.

— No, coś w tym stylu, tylko zadania miałem jeszcze bardziej durne — uciał Kelly i zajął się szyfrowym zamkiem. Po chwili stalowe drzwi stanęły otworem.

Wnętrze bunkra stanowiło dla gości zaskoczenie. Kiedy Kelly objął wyspę w posiadanie, bunkier składał się z trzech sporych, lecz zupełnie gołych pomieszczeń, teraz jednak przypominał prawdziwy dom, z przepierzeniami a nawet z dywanami. Zniknął także goły betonowy sufit, a jedyne znamię wojennej przeszłości bunkra stanowiły wąskie szczeliny obserwacyjne zamiast okien. Meble i dywany przypominały o inwencji Patrycji, lecz z lekkiego bałaganu dało się wywnioskować, że gospodarz mieszka tu obecnie sam. Bałagan to zresztą za duże słowo, bo wszystko było poukładane, ale nie kobiecą ręką. Rosenowie spostrzegli także, iż to ich wybawiciel, nie Pam, prowadzi ich do „kambuza” i wyciąga poczęstunek z wielkiej, staroświeckiej lodówki. Pam snuła się po wnętrzu ze zdumioną miną, było więc jasne, że i ona jest tu pierwszy raz.

— Przytulnie i chłodno — pochwaliła Sarah. — Za to w zimie, założę się, wilgotno tu jak cholera.

— E, nie jest wcale tak źle. — Kelly wskazał na rząd grzejników wzdłuż ścian. — Ogrzewanie parowe. Takie bunkry muszą odpowiadać rządowym normom: wszystko działa jak trzeba i wszystko kosztuje majątek.

— Skąd pan wytrzasnął taką wyspę? — nie mógł się nadziwić Sam.

— Jeden znajomy pomógł mi załatwić dzierżawę. Bunkry z demobilu, więc tanio.

— Ma pan dobrze ustawionych znajomych — odezwała się Sarah, podziwiając wpuszczoną w ścianę lodówkę.

— Tylko jednego.

\* \* \*

Wiceadmirał Winslow Holland Maxwell z Marynarki USA urzędował w sektorze E Pentagonu, czyli w najbardziej zewnętrznym pierścieniu budynków. Okna gabinetu wychodziły także na zewnątrz i można z nich było napawać się panoramą Waszyngtonu. A przy okazji obejrzeć sobie demonstrantów, co zachwycało admirała dużo mniej. RZEŹNICY NIEMOWLĄT! głośił jeden z transparentów. Nie zabrakło nawet flagi Północnego Wietnamu. Skandowane okrzyki, zbyt dosadne jak na sobotni poranek, nie do końca przebijały się przez grubą szybę. Admirał słyszał ich melodię, lecz nie rozróżniał słów. Jednak zarówno melodia, jak i słowa, doprowadzały go do białej gorączki. Piloci myśliwscy, nawet ci w stanie spoczynku, nie słyną z łagodnego usposobienia.

— Daj sobie spokój, Wściekły, bo cię zaraz szlag trafi.

— Pewno, że trafi! — stęknął Maxwell.

— Walczymy także o to, by każdy mógł sobie demonstrować, jeśli wola — przypomniał kontradmirał Kasimir Podulski. Powiedział to tonem, w którym rozsądek zmagał się desperacko z emocjami, i nic dziwnego, bo okoliczności mogły nadszarpnąć w człowieku wiarę w niezłomność zasady wolności słowa. Syn kontradmirała niewiele wcześniej zginął nad Hajfongiem, za sterami myśliwca bombardującego A-4. Pisano o tym nawet w prasie, z racji rodowodu młodego lotnika. Podczas tygodnia, który potem nastąpił, telefon w domu Podulskich seniorów dzwonił bez przerwy. Aż jedenastu anonimowych rozmówców wyrażało szyderczą satysfakcję, śmiało się, albo wręcz pytało zrozpaczoną matkę, czy wysłać jej łyżeczkę do zdrapywania syna z betonu.

— Znam ja tę grzeczną, miłą pokój, wrażliwą młodzież. Oj, znam.

— Ale jakoś ci ta młodzież nie zepsuła humoru, Kaz?

— Wrzuć mi to od razu do sejfu, ale do ściennego, Wściekły — poprosił Podulski, podając ciężki skoroszyt z brzegami oklejonymi pasiastą, biało-czerwoną taśmą. Na okładce widniał kryptonim sprawy: ZIELONA SKRZYNKA.

Oho, niespodzianka.

— Naprawdę dadzą nam się tym pobawić? — zdumiał się Maxwell — To coś nowego.

— Zeszło mi do wpół do czwartej nad ranem, żeby namówić kogo trzeba, ale owszem, udało się. Z tym, że na razie mamy myśleć tylko w naszym ścisłym

gronie. Dostaliśmy zgodę na ekspertyzę planistyczną, i nic poza tym. — Admirał Podulski opadł w głęboki skórzany fotel i zapalił papierosa. Od czasu śmierci syna wychudł mocno na twarzy, lecz z jego kryształowo niebieskich oczu nie zniknęła wrodzona bystrość.

— Jak to? Zgadzą się, żebyśmy to my opracowali plan? My? — Maxwell zdumiał się zupełnie serio. Wraz z Podulskim zmierzali do takiego celu już od paru miesięcy, choć nie robili sobie zbyt wielkich nadziei, że ktokolwiek przystanie na ich pomysł.

— My, bo kto by nas podejrzewał o takie sprawy? Dlatego — z ironią wyjaśnił urodzony w Polsce admirał. — Z tym, że mamy na ten temat nie zostawić ani papierka w archiwach.

— Jim Greer też się załapał? — upewnił się Wściekły.

— Najlepszy spec od rozpoznania, jakiego znam, chyba że schowałeś sobie lepszych na podobną okazję.

— Słyszałem, że w zeszłym tygodniu objął tamto stanowisko w CIA — ostrzegł Maxwell.

— I dobrze. Tak czy siak, nie obejdziemy się bez szpiega, a Greer dalej nosi granatowy mundur, więc o co chodzi?

— Nie muszę ci mówić, ilu sobie narobimy wrogów, jeśli się zdecydujemy.

Podulski, nie zmieniony szczególnie od 1944 roku, który w większości spędził jako pilot na pokładzie lotniskowca USS „Essex”, machnął ręką w stronę demonstrantów za oknem.

— Mamy ich już tylu, że paru więcej nie powinno ci sprawiać różnicy, Wściekły.

\* \* \*

— Dawno pan sobie sprawił tę łódkę? — zapytał Kelly w połowie drugiego piwa. Posiłek był z konieczności byle jaki: wędlina, chleb, i właśnie butelkowe piwo.

— Kupiliśmy ją w zeszłym roku, w październiku, ale pływamy dopiero od dwóch miesięcy — przyznał lekarz. — Z tym, że na kursie jachtu motorowego miałem pierwszą lokatę.

Kelly domyślił się, że ma przed sobą faceta, który przywykł do pierwszych miejsc w każdej sytuacji.

— Dobrze panu idzie z linami — zauważył, choć głównie po to, by poprawić rozmówcy humor.

— Chirurg też musi się nasupłać tych węzłów.

— A pani chyba nie jest lekarzem, prawda? — zwrócił się Kelly do Sary.

— Prawie, bo farmakologiem. Wykładałam na John Hopkins, tak jak mąż.

— Od dawna tu państwo mieszkają? — zaciekał się nieopatrznie Sam. Rozmowa natychmiast utknęła.

— Nie, dopiero co się poznaliśmy — pośpieszyła z niezbyt taktowną odpowiedzią Pam. Oczywiście Kelly natychmiast spłonął rumieńcem, gdy tymczasem para lekarzy przyjęła tę informację najspokojniej w świecie. Przez dłuższą chwilę Kelly gryzł się tym, że może być uznany za taniego uwodziciela, dopóki nie zdał sobie sprawy, że jest w tym zupełnie odosobniony. Rosenowie i Pam mieli takie skrupuły w nosie.

— Chodźmy zobaczyć, co z tą śrubą — zaproponował po chwili milczenia. — Nie ma na co czekać.

Rosen wyszedł z bunkra w ślad za Kellym. Upał stawał się coraz bardziej nieznośny, toteż warto było się pośpieszyć. W drugim bunkrze mieścił się spory warsztat. Gospodarz wybrał sobie kilka kluczy i podtoczył ku drzwiom przenośną sprężarkę powietrza. Zanim upłynęły dwie minuty, sprężarka mruczała już przy burcie jachtu Rosenów. Kelly przypinał sobie tymczasem u pasa ciężarki.

— Mogę jakoś pomóc? — upewnił się Rosen.

Kelly zaprzeczył ruchem głowy i ściągnął z siebie koszulę.

— Nie bardzo. Jeżeli sprężarka zgaśnie, i tak się zaraz o tym dowiem. Poza tym co to za głębokość? Półtora metra, dwa, po prostu żarty.

— Dla mnie i tyle to dużo — przyznał Rosen i dla odmiany przyjrzał się klatce piersiowej Kelly'ego. Trzy osobne blizny odcinały się na niej wyraźnie, choć dobry chirurg umiałby je lepiej zamaskować. Ba, gdyby jeszcze wojskowi lekarze mieli czas na zabawy w chirurgię plastyczną. . .

— Dla mnie nie. Trochę się nurkowało — mruknął Kelly, idąc ku drabinie.

— W to akurat chętnie uwierzę — powiedział Rosen sam do siebie. Cztery minuty później — Rosen sprawdzał czas na zegarku — Kelly wynurzał się już spod wody i wspinał na szczeble.

— Już wiem, co panu dolega — odezwał się i cisnął resztki obu śrub napędowych na beton nadbrzeża.

— Rany boskie? W co tak wyróżniliśmy?

Kelly przysiadł, żeby odpiąć ciężarki, a przy okazji pohamować śmiech.

— W wodę, doktorku. Po prostu w wodę.

— Ale jak to?

— Zanim pan kupił tę łódkę, kazał ją pan posprawdzać?

— Rozumie się. Bez ekspertyzy nie mogłem nawet wykupić ubezpieczenia. Znalazłem najlepszego fachowca w okolicy, zaśpiewał sobie stówkę za usługę.

— Naprawdę? Ciekawe, jakie usterki znalazł? — Kelly podniósł się z ziemi i wyłączył sprężarkę.

— Prawie żadnych. Powiedział tylko, że coś mu nie gra z cumkami. Posprawdzałem, nie były wystrzępione ani nic, no ale w końcu facet musiał coś powiedzieć, skoro wziął pieniądze. Zgoda?

— Z cumkami, mówi pan?

— Tak mi powiedział przez telefon. Kompletną ekspertyzę mam na piśmie, gdzieś ją wsadziłem, ale tak naprawdę facet powiedział mi co i jak przez telefon.

— Z cynkami, nie z cumkami! — Kelly znowu nie mógł pohamować śmiechu.

— Że jak? — Rosen rozeźlił się, gdyż nadal nie chwycił.

— Te śruby zniszczyła panu elektroliza. Reakcja galwaniczna. Jeżeli w słonej wodzie znajdują się obok siebie dwa różne metale, i tak dalej, korozja postępuje błyskawicznie. Mielizna tylko dokończyła dzieła, bo śruby były i tak do wyrzucenia. Co, nie uczyli pana o tym na kursie?

— No, coś tam mówili, ale...

— Właśnie: ale. Co dzień człowiek się uczy czegoś nowego. Niech pan tylko spojrzy, doktorze. — Kelly podniósł z betonu szczątki śrub. Metal złuszczył się i przybrał konsystencję kruchego ciastka. — Kiedyś był to brąz.

— O, cholera! — Chirurg sam wziął metal do rąk i bez wysiłku odłupał kolejną złuszczoną blaszkę.

— Ten pański ekspert miał na myśli, że trzeba wymienić cynkowe anody na zastrzałach obu śrub. Cynk umieszcza się tam po to, żeby absorbował energię galwaniczną. Takie anody trzeba wymieniać co parę lat i wtedy już odpada całe zmartwienie ze śrubami i sterem. Tak to mniej więcej wygląda. Nie znam szczegółów tych reakcji, ale wiem, o co chodzi. Ster też przyjdzie panu niedługo wymienić, ale nie ma aż takiego pośpiechu. Za to śruby... Nic, tylko czeka pana nowy zakup. Rosen spojrzął w fale i pod własnym adresem wycedził:

— Idiota.

Kelly zaśmiał się współczująco, bo mógł sobie na to pozwolić.

— Jeżeli to jest właśnie największa omyłka w pańskim życiu, to i tak straszny z pana szczęściarz, doktorze.

— Ale co ja teraz zrobię?

— Zaraz zadzwonimy do stoczni i zamówimy dwie takie śruby. Znam w Solomons jednego skutnika, znajdzie je dla nas i przyśle nam na miejsce. Może nawet uwinie się z tym do jutra. Nie ma nieszczęścia, zgoda? — Kelly wskazał na jacht. — A, przy okazji, niech no mi pan pokaże swoje mapy.

Rzeczywiście, kiedy sprawdzili daty, okazało się, że mapy akwenu pochodzą sprzed pięciu lat.

— Co roku potrzebny panu nowy komplet, doktorze.

— Niech to cholera!

— Co, nie lubi pan przyjacielskich uwag? — Kelly wciąż czuł w sobie dziwną wesołość. — Naprawdę, nie ma się o co obrażać. Uczymy się na błędach, a że nauka trochę boli, to już inna bajka. Wystarczy raz sobie zapamiętać, a potem nikt już nie będzie się śmiał.

Chirurg przestał się wreszcie naburmuszać i także pozwolił sobie na uśmiech.

— Pewnie ma pan rację. Ale Sarah i tak mi tego nie przepuści.

- Jej może pan powiedzieć, że zawiniły mapy.
- A pan potwierdzi, zgoda?
- Kelly wyszczerzył się radośnie.
- My, mężczyźni, powinniśmy się w takich wypadkach trzymać razem.
- Mam wrażenie, że sympatyczny z pana facet, panie Kelly.

\* \* \*

- No, to gdzie się ta kurwa podziała? — nie ustępował Billy.
- A skąd ja mam wiedzieć? — odwarknął Rick równie złym głosem, choć zarazem bał się, co na to powie po powrocie Henry. Obaj prawie jednocześnie odwrócili się ku dziewczynie, która była z nimi w pokoju.
- Zawsze trzymałyście się razem, nie? — zaczął Billy.
- Doris zaczęła się trząść i nie słyszała nawet dalszego ciągu słów. Miała wielką ochotę uciec z pokoju, lecz nawet to nie zapewniłoby jej bezpieczeństwa. Ręce zadrżały jej jeszcze bardziej, gdy Billy uczynił trzy kroki w jej stronę i wymierzył cios, od którego poleciała na podłogę. Wiedziała, że ją uderzy, lecz nie próbowała się uchylać.
- Gadaj, kurwo! Gadaj wszystko, co wiesz!
- Nic nie wiem! — odwrzasnęła, czując na twarzy piekący ból. Spojrzała prędko na Ricka, licząc może na wybawienie, lecz z jego twarzy także zniknęło wszelkie współczucie.
- Na pewno coś wiesz, więc gadaj. I to już! — zagroził jej Billy, po czym szarpnięciem rozpiął jej szorty i sięgnął do klamry paska.
- Zawołaj resztę towarzystwa — polecił Rickowi.
- Doris podniosła się nie czekając na rozkaz i, naga od pasa w dół, wstrząsana bezgłośnym łkaniem, czekała biernie na kolejny ból. Chociaż dygotała, nie kuliła się nawet, pewna, iż nie ma dla niej ucieczki. Była bezbronna, gdziekolwiek by się nie zwróciła. Inne dziewczyny powoli zbierały się pod ścianami, starając się nie patrzeć na winowajczynię. Doris owszem, wiedziała z góry, że Pam spróbuje dać nogę, lecz na tym kończyła się jej wiedza na ten temat. Dlatego kiedy usłyszała w powietrzu pierwsze świnięcie rzemienia, mogła się pocieszać myślą, iż i tak nie wyjawi niczego, co zaskodzi przyjaciółce. Ból mógł sobie przepalać skórę. Co z tego? Pam i tak udało się uciec.

## 3 — Niewola

Kelly starannie ułożył akwalung i resztę sprzętu w warsztacie, po czym wytoczył na pomost dwukołowy, ręczny wózek, by wyładować zakupy. Rosen uparł się, że będzie w tym pomagał. Nowe śruby miał dostać dopiero nazajutrz — przysłane motorówką z warsztatu — toteż z żeglowaniem na razie mu się nie śpieszyło.

— To mówi pan — zagadnął Kelly — że uczy pan chirurgii?

— Tak, właśnie. Już osiem lat — dodał Rosen, poprawiając stertę kartonowych pudeł na wózku.

— Nie wygląda pan na chirurga, dlatego pytam.

Rosen mężnie przyjął ten komplement: — W tym fachu nie wszyscy mamy ręce skrzypków. Mój ojciec był murarzem.

— A mój strażakiem — ucieszył się Kelly i popchnął wózek w stronę bunkra.

Za następnym nawrotem Rosen dziabnął palcem tors Kelly'ego.

— Skoro o chirurgii mowa... Widzę, że pozszywali pana niezli fachowcy. O, w tym miejscu na moje oko było z panem dość krucho.

Kelly prawie przystanął.

— Faktycznie, wtedy nie uważałem na siebie. Ale z tym, że krucho, to przesada. Drasnęło mnie tylko w płuco.

— Rzeczywiście, rzeczywiście — odchrząknął Rosen. — Przeszło całe pięć centymetrów od serca. Drobiażdżek.

Kelly zaczął ustawiać kartony w spiżarni.

— Miło pogadać z fachowcem w tych sprawach, doktorze — odezwał się po chwili i sam się skrzywił. Kula, która go wtedy uderzyła, okręciła go wokół osi, nim powaliła na ziemię. — Ale tak jak mówię, nie uważałem na siebie, to teraz mam.

— Długo pan tam tkwił?

— W sumie? Tak z półtora roku. Zależy, czy wliczać pobyt w szpitalach, czy nie.

— To coś na ścianie to Krzyż Marynarki, dobrze mówię? Właśnie wtedy go pan dostał?

— Nie, to inna historia — zaprzeczył Kelly. — Wysłali mnie na Północ, żebym kogoś znalazł i wyciągnął. Pewnego pilota ze strąconego A-6. Nawet nie byłem



ranny, ale dostałem jakiejś cholernej infekcji. Podrapałem się o jakieś ciernie, czy coś, potem posiedziałem w rzecznej wodzie, i wystarczyło. Uwierzyłyby pan? Od takiej bzdury, trzy tygodnie w szpitalu. Już wolę, jak do mnie strzelają.

— Nieciekawy kraik, co? — zapytał jeszcze Rosen, kiedy wracali po ostatnią porcję ładunku.

— Słyszałem, że można tam znaleźć sto gatunków węży. Z tego jeden gatunek niejadowity.

— I nieszkodliwy? Nie wierzę.

Kelly podał chirurgowi kolejne pudło.

— Gdzie tam nieszkodliwy. Jednym kłapnięciem odgryza człowiekowi dupę! — zażartował. — Nie, za ciekawie to mi tam nie było, ale w tym fachu nie ma co grymasić. A tamtego pilota rzeczywiście wyciągnąłem, sam admirał dał mi awans na bosmana, a przy okazji ten krzyżyk. A teraz chodźmy, pokażę panu swoją barcę.

Rosen przyjął zaproszenie i wskoczył na pokład „Springera”. Lustracja zabrała pięć minut, lecz i to wystarczyło, by doktor zdał sobie sprawę ze wszystkich różnic. „Springer” miał łazienkę i dwie kabiny, ale ani śladu innych luksusów. Było jasne, że Kelly’ego interesuje pływanie, i nic poza tym. Wszystkie mapy nawigacyjne okazały się nowiuteńkie.

Kelly wyjął z chłodziarki następane piwo dla siebie i dla gościa, po czym zapytał z uśmiechem:

— A na Okinawie, to jak było?

Stuknęli się butelkami i przeszli na „ty”, obaj zadowoleni z nowej znajomości.

— Na Okinawie? — Rosen wzruszył ramionami i odchrząknął znacząco.

— Gorąco, to na pewno. Mieliśmy mnóstwo roboty. Już nie mówię, że ten wielki czerwony krzyż na naszym pokładzie przywabił kamikadze jak muchy.

— Operowaliście pod bombami, czy jak?

— Spróbuj wytłumaczyć ciężko rannym, że muszą poczekać.

— Nie, wolałbym już strzelać do tych drani, niż czekać, aż mnie łupną — mruknął Kelly, dopijając piwo. — Chwileczkę, pozbieram tylko rzeczy Pam i możemy wracać tam, gdzie jest chociaż klimatyzacja.

Poczłapał na rufę i podniósł plecak Pam, a potem cisnął go Rosenowi, który zdążył już się wspiąć na pomost. Zagapiony Rosen podniósł jednak wzrok zbyt późno i nie zdążył chwycić pakunku, który wylądował na betonowym nabrzeżu, rozsypując po nim zawartość. Nawet z odległości kilku metrów, Kelly spostrzegł coś, co z miejsca go zaniepokoiło.

Wśród rzeczy, które wypadły z plecaka, znajdowała się duża fiołka z pomarańczowego plastiku. Bez etykiety. Wieczko puściło przy upadku, a ze środka wysypało się kilka pigułek.

Nie było sensu się łudzić, że to aspiryna. Kelly powoli przeszedł z pokładu na brzeg. Rosen podniósł opakowanie, wsypał rozsypane pigułki, a potem zatrzasnął białe plastikowe wieczko i podał fiolkę Kelly'emu.

— Wiem, że to nie twoje.

— Znasz się na tym, Sam?

W głosie chirurga słyszało się w tej chwili wyłącznie zawodowy chłód.

— Nazwa handlowa tego specyfiku to Qualude. Czyli metaqualon. Rodzaj barbituranu, silnego środka uspakajającego. Powiedzmy, że to pigułki nasenne. Sami je kiedyś stosowaliśmy, żeby zrobić pacjentom lulu. To silny środek, może nawet trochę za mocny. Podobno władze federalne miały go wycofać z rynku. Patrz, nie ma etykiety. Widać, że nie z apteki i nie na receptę.

Kelly poczuł się nagle stary i zmęczony. A przy tym jeszcze oszukany.

— No, to już wiem.

— A co, nie wiedziałeś?

— Pewno, że nie, Sam, przecież dopiero co spotkałem tę dziewczynę. Dosłownie wczoraj. Skąd miałem wiedzieć, co to za jedna?

Rosen przeciągnął się i przez chwilę bez słowa obserwował horyzont.

— Dobrze, rozumiem. Trudno, wychodzi na to, że musimy się zabawić w doktora. Powiedz mi na początek, brałeś kiedyś narkotyki?

— Ja? Nigdy w życiu! Nienawidzę tego draństwa. Przecież tym się można raz-dwa wykończyć!

Gniew Kelly'ego przyszedł nagle i ciężko było go pohamować, lecz na pewno nie był wymierzony w Rosena. Profesor przyjął ten wybuch spokojnie, i również spokojnie oznajmił:

— Nie masz się co tak żołądkować, John. Masa ludzi zdążyła się uzależnić, dlatego pytam. Jak do tego dochodzi, mało ważne. Złością też wiele tutaj nie zdziałasz. Weź głęboki oddech, o tak, i zrób powolny wydech. Serio, zrób tak!

Kelly usłuchał i prawie się roześmiał, tak nieprawdopodobna wydała mu się cała ta sytuacja.

— Zupełnie jakbym słyszał mojego starego.

— Strażacy to niegłupi ludzie. — Rosen zastanowił się. — To od czego zaczniemy? Zgoda, twoja dziewczyna napotyła sobie kłopotu z tym świństwem, ale chyba nie warto jej skreślać, co? Ty też wyglądasz mi na faceta z głową. Decyduj, mamy spróbować jej pomóc, czy lepiej machnijmy ręką?

— To chyba ona powinna decydować — sprzeciwił się Kelly, a w jego głosie dało się słyszeć gorycz. Czuł się oszukany, zdradzony. Zakochał się, prawie już to wyznał, aż tu nagle okazuje się, że niechcący ulokował uczucia w narkotykach, czy raczej w tym, co narkotyki uczyniły z normalnej dziewczyny. Wyglądało na to, że niepotrzebnie marnował czas na całą tę historię.

Rosen odezwał się tym razem o wiele bardziej surowo:

— Owszem, decyzja należy do niej, ale trochę też i do ciebie. Poza tym jeśli zaczniesz się rzucać jak idiota, w niczym jej nie pomożesz.

Kelly'ego ogarnęło zdumienie, gdyż zważywszy na okoliczności, Rosen rozumował rozsądnie i trzeźwo.

— Z ciebie musi być niezły lekarz, co?

— Niezły? Najlepszy w miasteczku! — obwieścił chirurg. — Prochy to nie moja specjalność, ale Sarah zna się na tym jak mało kto. Sam powiedz, chyba mieliście obydwójce masę szczęścia. To naprawdę nie jest zła dziewczyna, John, tylko że coś ją dręczy. Strach, wspomnienia, sam nie wiem. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ona mi stale wygląda na zdenerwowaną.

— Trochę tak, zauważyłem, ale...

„A nie mówiłem!” w tej samej chwili szepnął instynkt Kelly'emu.

— Zauważyłeś, że jest ładna, i mało co poza tym. Sam miałem kiedyś dwadzieścia parę lat, John. No, bierzmy się do roboty, bo nie ma na co czekać. — Tu Rosen zerknął z ukosa na Kelly'ego: — Ale chwileczkę, coś mi tu do końca nie gra. O co chodzi?

— Pewnie o to, że straciłem żonę. W listopadzie, mniej niż rok temu. — Kelly w minutę opowiedział doktorowi, co się stało.

— Aha, i pomyślałeś, że może Pam...

— Chyba właśnie tak pomyślałem. Głupota z mojej strony, co? — Kelly sam nie wiedział, czemu tak bez oporów zwierza się Rosenowi. Może lepiej nic nie mówić i zostawić decyzję Pam, i niech robi, co chce? Tylko co się w ten sposób zyska? No cóż, będzie można żądać od Pam czego się tylko zapragnie, a kiedy towarzystwo dziewczyny już się znudzi, będzie ją można odprawić, niech idzie w swoją stronę... Choć wypadki ostatniego roku nie nastrajały Kelly'ego życzliwie do świata, dobrze wiedział, że nie postąpi w ten sposób. Nie potrafił. Może inni, ale nie on. W tej chwili zdał sobie sprawę, że Rosen przypatruje mu się bacznie i z namysłem kręci głową.

— Każdego z nas coś boli, zgoda? — usłyszał Kelly. — Tobie jest z tym łatwiej, bo masz doświadczenie, i dlatego, że cię dobrze wyszkolono. Wiesz, co robić, ale ona? Zapytaj ją, okaże się, że nie ma pojęcia. To co? Weźmy się za nią — dokończył Rosen i chwycił za rękojeści wózka, tocząc nową porcję pudeł w stronę bunkra.

W środku, wraz z klimatyzowanym powietrzem, dotarła do nich obu niezręczność sytuacji. Pam próbowała zabawić Sarę rozmową, lecz niezbyt jej się to udało. Natomiast Sarah jako lekarka widziała innych ludzi okiem profesjonalisty i zaczynała już snuć pewne domysły na temat dziewczyny. Kiedy Sam wrócił do jadalni, Sarah odwróciła się bowiem ku niemu i posłała mu spojrzenie, którego treść nie uszła uwagi Kelly'ego.

— I tak to było, jednym słowem. Rzuciłam dom, jak miałam szesnaście lat — trajkotała Pam monotonnym głosem, który zdradzał dużo więcej niż to chciała

okazać. Na widok Rosena i Kelly'ego odwróciła się także i skupiła całą uwagę na plecaku w rękach Kelly'ego. W jej głosie pobrzmiwała napięta, rozpaczliwa nuta, której przedtem tam nie było.

— O, świetnie, że masz mój plecak. Potrzebne mi parę drobiazgów — odezwała się Pam zbyt pośpiesznie, prawie wyrwała plecak z rąk Kelly'ego i ruszyła ku drzwiom sypialni. Kelly i Rosen odprowadzili ją wzrokiem. Kiedy trzasnęły drzwi, Rosen podał żonie plastikową fiolkę. Sarze wystarczył jeden rzut oka na zawartość.

— Nie miałem pojęcia... — znowu zaczął się tłumaczyć Kelly. — Przy mnie chyba nic nie brała.

Zastanowił się, usiłując sobie przypomnieć, ile razy Pam zniknęła mu z oczu. Wychodziło na to, że mogła zażyć przy nim pigułki dwa albo trzy razy. Nareszcie się dowiedział, skąd się bierze ten senny, nieobecny wyraz oczu dziewczyny.

— Co powiesz, Sarah? — zagadnął Rosen.

— Trzysta miligramów. Nie tak źle, ale sama się z tego nie wygrzebie. Parę sekund później Pam wpadła do jadalni i oświadczyła Kelly'emu, że musiała coś zostawić na pokładzie. Nie trzęsły jej się ręce, ale tylko dlatego, że z całej siły spłotła obie dłonie. Kiedy się znało sytuację, wszystko wydawało się zupełnie jasne. Pam dzielnie próbowała opanować zdenerwowanie i prawie jej się to udawało, ale nie nadawała się na aktorkę.

— Co zostawiłaś? Może to? — zapytał Kelly, wyciągając ku dziewczynie fiolkę. Nagrodą za złośliwe pytanie był gest, który ukłuł go w serce jak nóż. Zasłużył na to, to inna sprawa.

Pam bowiem przez kilka sekund milczała i tylko wzrokiem pożerała fiolkę. Kelly'ego poraził właśnie nagły głód, jaki rozbłysnął w jej spojrzeniu, zupełnie jak gdyby dziewczyna w myślach zdążyła już sięgnąć po fiolkę i pośpiesznie wysypać sobie na dłoń parę pigułek w przeczuciu, iż doczeka się znowu ich zbawionego skutku. W pierwszej chwili nie obeszło jej ani trochę, co pomyślała sobie o tym inni. Ba, zapomniała wręcz, że nie jest sama. Potem jednak zdjął ją przerażliwy wstyd. Pam zdała sobie sprawę, że cokolwiek próbowała wmawiać otoczeniu na swój temat, bajeczka rozsypała się na kawałki. Najgorsze było jednak to, że Pam tylko się prześliznęła wzrokiem po Rosenach i wpatrzyła się z powrotem w Kelly'ego: w jego twarz, potem w rękę z fiolką, a potem znów w twarz. Z początku głód narkotyku szedł w parze z zawstydzeniem, lecz wstyd zwyciężył, a kiedy oczy Kelly'ego i Pam spotkały się ponownie, Pam zrobiła minę skruszonego dziecka. W tej chwili dziewczyna uświadomiła sobie jednak, że to, co zaczęło się między nimi i co być może było miłością, z sekundy na sekundę przeistacza się w pogardę i obrzydzenie. Wyraz twarzy ponownie uległ zmianie, a oddech stał się nagle prędko i urywany, by zmienić się w łkanie. Pam pojęła, że prawdziwe źródło obrzydzenia, jakie wyczuwała, tkwi w niej samej, że to ona najbardziej brzydzi się sobą. Nawet narkoman musi czasem skierować spojrzenie w głąb sie-

bie, a kiedy czyni to pod spojrzeniem obcych oczu, cierpienie staje się jeszcze głębsze i dotkliwsze.

— Ja cię strasznie... strasznie przepraszam, Kelly... Mogłam ci powiedzieć... Od razu mogłam... — zaczęła Pam i zgięła się w pół, jak gdyby chciała zniknąć z oczu, stać się całkiem niezauważalna. Szczęśliwy traf, jaki jej się przydarzył, rozwiewał się jak dym, a tuż poza złudnym oparem czekała rozpacz. Szlochająca Pam odwróciła się prędko, czując, że nie umie spojrzeć w oczy temu, kogo prawie już pokochała.

John Terence Kelly stanął w obliczu decyzji. Miał prawo czuć się zdradzony i wykiwany, lecz mimo to wciąż czuł, że potrafi znaleźć w sobie współczucie dla dziewczyny — współczucie podobne do tego, jakie ona sama okazała mu niespełna dwadzieścia godzin wcześniej. Tym, co przechyliło szalę, był skruszony wygląd Pam, a zwłaszcza wstyd, jaki odmalował się na jej twarzy. Kelly uznał, że nie powinien być bierny i czekać, co będzie dalej. Musiał działać, wiedząc, że w przeciwnym razie i on straci szacunek do samego siebie, znenawidzi się tak, jak nienawidziła siebie w tej chwili Pam.

On także czuł, że pieką go powieki. Podeszedł do dziewczyny i mocnym uściskiem ramion pomógł jej utrzymać się na nogach. Objął ją jak dziecko i przytulił jej głowę do piersi, w poczuciu, że tym razem to on musi się okazać silny za nich obydwójce. Gorzkie refleksje musiał odłożyć na potem i chociaż wcale nie było mu przyjemnie, nawet w najdalszych zakamarkach umysłu nie powstały szydercze słowa „a nie mówiłem, że tak będzie?”. Nie pojawiły się zaś dlatego, że dziewczynę spotkała ogromna krzywda, a co za tym idzie, nie był to moment na porachunki. Stali tak obydwójce przez długie minuty, a Rosenowie przyglądali im się, trochę skrępowani sytuacją, a trochę z profesjonalnym zainteresowaniem, jak to lekarze.

— Ja... Ja naprawdę próbowałam rzucić — zaczęła się tłumaczyć Pam. — Naprawdę. Tylko, że tak się bałam, no, musiałam...

— Nie ma sprawy — uciał Kelly, do którego nie bardzo dotarły ostatnie słowa dziewczyny. — Pomogłaś mi, więc teraz ja pomogę tobie. I tyle.

— Nie, posłuchaj... — Pam znowu się rozplakała i dopiero po minucie zdołała z siebie wykrztusić: — Bo ty naprawdę nie rozumiesz, kim jestem!

Kelly zlekceważył również to drugie ostrzeżenie i z cieniem uśmiechu w głosie odezwał się:

— Rozumiem dokładnie tyle, ile trzeba, Pammy. Powiedziałem, że nie ma sprawy, i już.

Nie zauważył, że podeszła do nich Sarah Rosen i zaproponowała:

— Chodź, Pam, pójdziemy się trochę przejść.

Pam skinęła posłusznie głową, a kiedy obie wyszły, Kelly i Sam Rosen spojrzeli na siebie ciężko.

— Naprawdę umiesz się zachować jak prawdziwy facet — obwieścił Rosen. Zadowolenie w głosie chirurga brało się z faktu, że uzyskał potwierdzenie własnej „diagnozy” na temat Kelly’ego. — A teraz powiedz mi, gdzie tu znajdziemy jakieś miasteczko i aptekę?

— Najbliżej byłoby do Solomons. Nie powinno jej się oddać do szpitala?

— Ostateczną decyzję zostawiam Sarze, ale moim zdaniem możemy się bez tego obejść.

Kelly przyjrzał się fiolce, którą wciąż ścisnął w ręku.

— Zaraz pójde i wyrzucę to draństwo do morza.

— Nie waż się! — powstrzymał go Rosen. — Wezmę te piguły i sprawdzę numer serii na opakowaniu. Policja będzie mogła się dowiedzieć, z której dostawy skradziono tę partię. Na razie schowam fiolkę u siebie na łodzi.

— W takim razie co robimy?

— Póki co, czekamy, a potem się zobaczy.

Gdy Sarah i Pam wróciły po dwudziestu minutach, trzymały się za rękę, niczym matka i córka. Pam nie zwieszała już tak smętnie głowy, choć oczy miała nadal wilgotne.

— Nic się nie bójcie, Pam da sobie radę — oznajmiła Sarah. — Wiecie, od miesiąca sama próbowała to rzucić.

— Sarah mówi, że nie będzie tak trudno — dodała zaraz Pam.

— Pomożemy ci, spokojna głowa — zapewniła ją jeszcze raz lekarka i podała mężowi listę zakupów. — John, znajdźcie mi szybko aptekę. Wskakujcie w łódkę, i jazda. Już was tu nie ma!

— Jak z tym będzie? — odważył się zapytać Kelly pół godziny później, kiedy już przepłynęli pięć mil morskich, a wybrzeże przy Solomons zdążyło przybrać postać burozielonej kreski po północno-zachodniej stronie horyzontu.

— Sama procedura odwyku jest dziecinnie prosta, wierz mi. Trzeba tylko podawać barbiturany, żeby złagodzić moment przejścia.

— Dajecie ludziom narkotyki, żeby przestali ćpać?

— Aha — potwierdził Rosen. — Dokładnie na tym rzecz polega. Organizm potrzebuje czasu, żeby wypłukać z tkanek pozostałości tego, co się brało. Kiedy ciało uzależni się od chemii, nie wolno go jej pozbawiać tak od razu, jednym skokiem, bo można spowodować rozmaite skutki uboczne, konwulsje, drżączkę, i tak dalej. Zdarza się, że wysyła się w ten sposób lezonego na tamten świat.

— Jak to? — Kelly aż przysiadł. — Czemu nigdy jakoś o tym nie słyszałem, Sam?

— A dlaczego miałbyś słyszeć? To tylko medyczne ciekawostki, kolego. Sarah uważa, że w tym przypadku unikniemy takich atrakcji, więc nie denerwuj się aż tak. Wystarczy podać, zaraz. . . — Rosen zerknął na wyjętą z kieszeni listę. — Aha, tak się właśnie domyślałem, podajesz phenobarb i masz skutki uboczne wła-

ściwie z głowy. Słowo ci daję. A zresztą posłuchaj, czy ja się wtrącam do tego, jak sterujesz jachtem?

— Nie — odburknął Kelly, wiedząc z góry, co zaraz usłyszy.

— Właśnie. Zaufajmy sobie i niech każdy robi swoje.

\* \* \*

Marynarze ze Straży Przybrzeżnej przekonali się, niestety, że cywil wcale nie wybiera się spać. Zanim sami zdołali odespać przygody poprzednich godzin, ich pasażer zerwał się i zasiadł w sali odpraw, gdzie nad kolejną kawą wertował mapy akwenu. Dłonią zakreślał na papierze coraz większe kręgi, usiłując porównać zapamiętany kurs kutra patrolowego z trasą żaglówki, której szukali.

— Jaką prędkość może wyciągnąć taka łódeczka? — zapytał złego i poirytowanego bosmana Manuela Orezę.

— Niewielką. Przy spokojnym morzu i na porządnym wietrze, powiedzmy pięć węzłów, może więcej, jeżeli trafi się żeglarz z doświadczeniem i pomysłami. Z grubsza określa się to tak, że prędkość kadłuba to jeden i trzy dziesiąte razy pierwiastek kwadratowy z długości kadłuba przy linii wodnej. Czyli, w tym przypadku, pięć do sześciu węzłów.

Oreza miał szczerą nadzieję, że zaimponuje cywilowi tą kolejną morską mądrością. W odpowiedzi usłyszał jednak tylko cierpkie słowa:

— Ale wieczorem mocno wiało.

— Małe żaglówki nie płyną po wzburzonym morzu szybciej, nawet jeśli wieje, tylko wolniej. Dlaczego? Dlatego, że kadłub zamiast płynąć wyłącznie w przód, ciągnie to w dół, to w górę.

— Dlaczego w takim razie dał mu pan się wymknąć?

— Chwileczkę, umówmy się, że to nie ja dałem mu się wymknąć, zgoda? — Oreza nie wiedział dokładnie, jaką rangę posiada jego pasażer, ale takiej zniewagi nie puściłby płazem nawet oficerowi Marynarki, z tym, że prawdziwy oficer Marynarki nie trułby mu nigdy w ten sposób, tylko wysłuchałby argumentów i zrozumiał, w czym rzecz. Bosman policzył w myślach do dziesięciu. Pożałował, że na miejscu zabrakło kogoś starszego rangą, kto umiałby wyjaśnić sprawę. Cywile dają posłuch oficerom, co nawiasem mówiąc, wiele mówi o inteligencji cywilów. — Dlaczego to mówię? Dlatego, że sam pan mi kazał trzymać się daleko z tyłu za żaglówką, może nie? A ja ostrzegałem, że przy takiej pogodzie zgubimy jej echo wśród zakłóceń. Dokładnie tak, jak się stało. Te nasze radary są stare i przy złej pogodzie diabła warte, na pewno nie nadają się do poszukiwań takiej drobiny jak ta cała żaglówka.

— Już mi to pan mówił.

Oreza zdołał się powstrzymać od odpowiedzi, choć miał już na końcu języka, że będzie tak powtarzał dopóty, dopóki cywil nie przestanie się upierać przy swoim. Dobrze się stało, że zmilczał, bo siwowłosa English posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Dniówka zaczerpnął głęboki oddech i zapatrzył się w mapę.

— No, to gdzie się podział, pańskim zdaniem?

— Do licha, Zatoka jest w końcu dosyć wąska, więc w grę wchodzi oba brzegi na raz. Każdy dom nad wodą ma pomost jachtowy, a poza tym pełno rzeczek, dopływów, i czego tam jeszcze. Na miejscu tego faceta popłynąłbym w górę takiej odnogi. Łatwiej byłoby mi się ukryć, niż gdybym przybił do pierwszego lepszego pomostu, zgoda?

— Chce mi pan powiedzieć, że ten facet się nam wymknął, tak? — skwitował to ponuro cywil.

— Głowę dam sobie uciąć, że tak — potwierdził Oreza.

— Trzy miesiące roboty, trzy miesiące podchodów na marne. A pan mi tutaj: „wymknął się”.

— A co ja na to poradzę — bosman zawiesił głos. — A, zresztą, niech pan pomyśli. Facet popłynął raczej na wschód, niż na zachód, tak? Lepiej iść z wiatrem, niż halsować pod wiatr. Tyle dobrego. Gorzej, że taką małą łódkę można raz-dwa wyciągnąć z wody, wsadzić na przyczepę, i chodu. Od tamtej pory facet zdążyłby już dojechać do Massachusetts.

Cywil oderwał się wreszcie od mapy.

— Poczestował mnie pan dobrą nowiną, nie ma co!

— Wolałby pan, żebym panu wstawiał jakieś głodne kawałki?

— Trzy miesiące!

Oreza i English pomyśleli jednocześnie, że pasażer jest z tych, którzy nie potrafią się pogodzić z porażką. Umiejętność taka nie przychodzi sama, ale na morzu zdobywa się ją prędko. Kiedy zaginie łódź albo statek i wyrusza się na poszukiwania, czasem udaje się odnaleźć rozbitków, ale nie zawsze i nie na pewno. Kiedy zaś poszukiwania idą na marne, pozostaje tylko uznać, że tym razem morze okazało się silniejsze. Ani English, ani Oreza nie cieszyli się z takiego porządku rzeczy, lecz obaj z biegiem czasu uznali go za ostateczny.

— Może jest pan w stanie wykombinować nam wsparcie z powietrza, jakiś śmigłowiec, albo coś. Marynarka ma ich cały hangar w bazie w Pax River — wtrącił się chorąży English. Chodziło mu głównie o to, by pozbyć się cywila ze strażnicy, i aby tego dopiąć, gotów był do sporych poświęceń. Intruz zdążył już dobrze zająć za skórę zarówno chorążemu, jak i jego ludziom.

— Chce pan, żebym zszedł panom z oczu? — upewnił się cywil z dziwnym uśmiechem.

— Jak to? Nie rozumiem? — zdumiał się i zgorszył English, żałując w duchu, że facet nie okazał się aż tak zupełnym durniem.



\* \* \*

Kelly przybił do własnego pomostu dobrze po siódmej. Pomógł Rosenowi wyskoczyć na brzeg, by Pam mogła prędzej dostać swoje lekarstwa, lecz sam został na pokładzie. Założył pokrowce na obie tablice przyrządów i sklarował cały jacht przed udaniem się na spoczynek. Droga powrotna z Solomons upłynęła im spokojnie. Sam Rosen potrafił udzielać obrazowych odpowiedzi, a Kelly umiał zadawać pytania. O wszystko, co go ciekawiło, zdążył się więc wypytać w czasie rejsu do Solomons, a w drodze powrotnej zamiast rozmawiać zatopił się w myślach. Zastanawiał się, jak teraz postąpić i na co się zdecydować. Na te akurat pytania nie było łatwych i prostych odpowiedzi, a porządkowanie jachtu również nie poprawiło Kelly'emu nastroju, choć bardzo na to liczył. Dużo dłużej niż trzeba grzebał się ze sprawdzaniem cum, a potem jeszcze starannie przejrzał liny na jachcie chirurga, i dopiero wtedy, z ociąganiem ruszył w stronę bunkra.

\* \* \*

Transportowy *Lockheed DC-130 Hercules* leciał wysoko ponad nawałą niskich chmur, tak samo gładko, niespiesznie i pewnie jak podczas każdej z 2.354 godzin, jakie zaliczył w powietrzu od czasu, gdy kilka lat wcześniej opuścił zakłady Lockheeda w Marietta w stanie Georgia. Lot zapowiadał się tego dnia naprawdę wypoczynkowo. Czteroosobowa załoga rozsiadła się w „dyspozytorni” i, zgodnie z instrukcją, obserwowała puste niebo oraz wskazania rozmaitych przyrządów. Cztery turbośmigłowe silniki mruczały spokojnie — słyęły zresztą z niezawodności — a ich praca wprawiała cały kadłub w lekkie drżenie, wyczuwalne nawet przez piankowe oparcia foteli. Wibracja powodowała, że po powierzchni kawy w styropianowych kubkach rozchodziły się delikatne kręgi. Jednym słowem, wszystko co działo się na pokładzie, w pełni odpowiadało lotniczej rutynie. Jednak każdy, komu dane było rzucić okiem na samolot od zewnątrz, przysięgłby, iż lot nie należy do rutynowych. *Hercules* należał bądź co bądź do 99. Dywizjonu Rozpoznania Strategicznego.

Pod obu skrzydłami transportowca, zaraz za skrajnymi silnikami, widać było podwieszane tam dwa dodatkowe samoloty, a raczej samolociki — bezpilotowe zwiadowcze *174SC*. Początkowo nadano im w lotnictwie miano *Firebee-II* i wprowadzono do służby jako latające, odrzutowe tarcze strzelnicze, lecz z biegiem czasu znaleziono dla nich nowe zastosowania, a przy okazji przezwano „Łowcami bizonów”. W ładowni w tylnej części kadłuba transportowca siedziała więc druga załoga, zajęta w tej chwili przygotowywaniem obu bezpilotowych samolocików do lotu. Zadanie było tak utajnione, że nawet obsługa nie miała pojęcia, o co chodzi, lecz na szczęście wiedza ta nie była nikomu potrzebna. Wystarczyło odpowiednio zaprogramować samolociki, nakazać im kolejne manewry

i czynności, a potem już tylko wysłać w drogę. Starszy technik, trzydziestolatek w randze sierżanta, zatopił się w przygotowaniach maszyny oznaczonej jako „Cody-193”. Stanowisko kontrolne miał umieszczone w ten sposób, że mógł przez okienko dokonywać stałych oględzin „Łowcy”, choć tak naprawdę nie było po temu żadnych rozsądnych powodów. Inna sprawa, że sierżant uwielbiał samolocik jak dziecko, które dostało do rąk szczególnie pasjonującą zabawkę. Sierżant zajmował się maszynami bezpilotowymi od dziesięciu lat i skądinąd wiedział, że „Cody-193” zdążył już zaliczyć sześćdziesiąt jeden lotów zwiadowczych. W tym rejonie świata był to z pewnością wynik rekordowy.

„Cody-193” mógł się pochwalić wspaniałym rodowodem, bo w końcu te same zakłady (Teledyne Ryan w kalifornijskim San Diego) opuściła niegdyś maszyna Charlesa Lindbergha, słynny „Spirit of St. Louis”. Zakłady nigdy jednak nie umiały rozreklamować tego faktu i przez wiele lat brnęły po prostu od jednego skromnego kontraktu do następnego. Stabilizację finansową Teledyne Ryan osiągnęło wreszcie dzięki latającym celom. Wybór był trafny, bo samoloty myśliwskie muszą ćwiczyć walkę powietrzną na konkretnych obiektach — w tym wypadku na *Firebee*, miniaturowym, zdalnie kierowanym odrzutowcu, którego zadaniem było dać się strącić ku chwale amerykańskiego lotnictwa myśliwskiego. Sierżant zapewne nie zgodziłby się z takim opisem, bo jako „pilot” latającej tarczy uważał za swój obowiązek pokazać młodocianym orłom, że *Firebee* potrafi się wywinąć ich rakietom i zagrać im na nosie. Nic dziwnego, że piloci z myśliwców po pewnym czasie znali już nazwisko sierżanta i głośno je przeklinali — choć lotnicze obyczaje nakazywały im zarazem za każdą nieskuteczną salwę stawiać technikowi butelkę czegoś mocniejszego. Tymczasem kilka lat po wejściu *Firebee* do służby, ktoś zorientował się nareszcie, że bezpilotowe odrzutowce nadają się nie tylko do corocznych zawodów strzeleckich imienia Wilhelma Tella. Można je było przecież wysłać wszędzie tam, gdzie dotąd nadstawiały karku na niskich pułapach żywe załogi samolotów rozpoznawczych.

Turbina „Cody-193” zdążyła osiągnąć maksymalne obroty, ale ponieważ zaczepy nadal trzymały, „Łowca bizonów” nadal wisiał pod skrzydłem *Herculesa*, przydając mu dodatkowej prędkości. Sierżant po raz ostatni spojrzął na swoją „zabawkę”, zanim z powrotem nie zajął się konsolą. Na lewym boku „Łowcy”, tuż przed skrzydłem, wymalowano sześćdziesiąt jeden spadochroników. Przy odrobieniu szczęścia, za parę dni może uda się domalować sześćdziesiąty drugi? Chociaż sierżant nie znał dokładnie treści najnowszego zadania, sama chęć popisania się umiejętnościami pupilka kazała mu wyjątkowo starannie przygotować zabawkę do lotu.

— Uważaj na siebie, malutki — szepnął sierżant i zwolnił zaczepy. „Cody-193” rozpoczął samodzielny lot.

\* \* \*

Sarah przygotowała dla nich coś na gorąco. Kelly wyczuł posiłek zanim jeszcze przekroczył próg. Wewnątrz, w największej izbie, natknął się na Rosena.

— Gdzie Pam?

— Daliśmy jej parę pigułek — odrzekł lekarz. — Powinna już chyba spać.

— Tak, zasnęła — potwierdziła Sarah, która zmierzała w stronę kuchni. Zastąpiła ją przed chwilą. Biedactwo, jest taka wyczerpana, mówiła mi, że od dawna ma kłopoty ze snem. Teraz nareszcie to sobie odbije.

— Ale jak to, skoro brała środki nasenne. . .

— Nie uwierzysz, John, jak różnie potrafi reagować organizm — pośpieszył z wyjaśnieniem Sam. — Broni się na przykład przed lekarstwami, próbuje je zwalczać, a jednocześnie zupełnie się od nich uzależnia. W najbliższym czasie największe kłopoty Pam będzie miała ze spaniem.

— I nie tylko — dopowiedziała Sarah. — Mała bardzo się czegoś boi. Bardzo. Ale czego konkretnie, nie chciała powiedzieć. — I po namyśle lekarka dodała, uznając, że Kelly ma prawo to wiedzieć: — Ktoś ją bardzo skrzywdził, i to nie raz, tylko przez długi czas. Nie wypytywałam, kto ani jak, John, ale wierz mi, ktoś rzeczywiście zmienił jej życie w piekło.

— Co takiego? — Kelly, który usiadł na kanapie, podniósł głowę. — Ale co masz na myśli?

— Po prostu, że ktoś ją napastował seksualnie — odpowiedziała zawodową formułką Sarah, która próbowała zostawić dla siebie swoje prawdziwe odczucia.

— To znaczy zgwałcił? — zapytał cichym głosem Kelly. Czuł, że mięśnie ramion tężeją mu na kamień.

Sarah przytaknęła, nie kryjąc już oburzenia.

— Owszem, prawie na pewno. I na pewno więcej niż raz. Poza tym na plecach i pośladkach Pam ma ślady bicia.

— Nie zauważyłem.

— Bo nie jesteś lekarzem — zawyrokowała Sarah. — Jak to się stało, żeście się poznali?

Kelly opowiedział jej o spotkaniu na autostradzie, przypominając sobie przy okazji dziwny wyraz oczu dziewczyny. Nareszcie wiadomo, czego było to skutkiem. Tylko jak mógł przegapić te wszystkie szczegóły? Dlaczego był taki ślepy? Kelly wściekł się na siebie.

— Pewnie właśnie dlatego postanowiła uciec. . . Ciekawe, czy to ten sam człowiek wmusił jej te barbiturany? — zastanawiała się Sarah. — Paskudne z niego indywiduum, nie ma co. . .

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ktoś torturował Pam i uzależnił ją od tych prochów? Po co, na co?

— Nie wściekaj się na to, co powiem, Kelly. . . Rzecz w tym, iż nie możemy wykluczyć, że Pam była w przeszłości prostytutką. Ten numer z wciśnięciem lekarstw to stary sposób alfonsów, żeby podporządkować sobie dziewczynę. . . — Sarze wszystkie te słowa nie przechodziły łatwo przez gardło, lecz sprawa była poważna, a Kelly miał prawo wiedzieć, z czym będą się borykać. — Pam jest młoda, ładna, uciekła z domu, który też, pożałuj Boże. . . Urazy na skórze, niedożywienie, po prostu podręcznikowy przypadek.

Kelly wbił oczy w posadzkę.

— Ale ona naprawdę nie jest z takich. . . Po prostu nie rozumiem. . . Nawet teraz, gdy wypowiadał te słowa, rozumiał dużo więcej, niż się do tego chciał przyznać. Doskonale pamiętał łatwość, z jaką do niego przylgnęła, pewność jej uścisku. Ile w takim geście brało się z uczucia, a ile było kwestią zwykłej wprawy? Kelly wolał nie szukać zbyt dociekliwie odpowiedzi na takie pytania. I co teraz? Co postanowić? Słuchać się rozsądku czy serca? A w ogóle, to dokąd niby prowadzą takie podszepty?

— To twarda dziewczyna, John. Będzie naprawdę próbowała się z tego wyciągnąć — uspokoiła go nie pytana Sarah. — Fakt, że cztery lata włóczyła się po świecie i diabli wiedzą, czym się zajmowała, ale nawet to nie potrafiło jej złamać, albo nie do końca. Tyle, że sama nie da sobie z tym rady. Jesteś jej potrzebny, i dlatego muszę cię o coś zapytać. Zostaniesz z nią, żeby jej pomóc?

Kelly podniósł głowę i spostrzegł, że Sarah patrzy mu prosto w oczy. Odważemnił jej wzrok spojrzeniem niebieskich oczu, które przybrały barwę lodu. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić, więc na wszelki wypadek zapytał:

— Widzę, że wy z Samem naprawdę się tym strasznie przejmujecie, tak?

Sarah pociągnęła łyk ze szklaneczki, którą zdążyła sobie nalać. Była kobietką niewielkiego wzrostu, niezbyt ładną i z wyraźną nadwagą, a jej czarne włosy nie widziały salonu fryzjerskiego od wielu miesięcy — jednym słowem wyglądała jak uosobienie baby, która za kierownicą auta niezmiennie ściąga na siebie furie wszystkich kierowców płci męskiej. Kiedy się jednak odzywała, z jej słów było zdecydowanie, stanowczość i oczywista inteligencja.

— A czy ty, John, masz w ogóle pojęcie, co się dzieje z narkotykami w tym kraju? Dziesięć lat temu przypadki uzależnienia były tak rzadkie, że nawet ja mało kiedy się z nimi spotykałam. Owszem, pewnie, słyszało się o czymś takim, czytałam artykuły z kliniki Lexington, a od wielkiego święta trafiał nam się na oddziale przypadek heroinisty. Nie za często. Ludzie wyobrażali sobie, że narkomania dotyczy Murzynów, a i to sporadycznie, wobec czego nie ma się czym przejmować. Pomyłka, za którą przychodzi nam teraz drogo płacić. Może uszło to twojej uwadze, ale tamte dawne dobre czasy minęły, prysnęły jak bańka mydlana. Prowadzę jeszcze kilka projektów badawczych, ale poza nimi cała moja praktyka to odwyk dla główniarzy uzależnionych od narkotyków. A wierz mi, że nie tego mnie uczono na studiach. Jestem naukowcem, nie policjantem! Jestem specjalistką od

skutków ubocznych połączeń różnych leków, obchodzą mnie struktury chemiczne, to, w jaki sposób komponować nowe leki, żeby zwalczać choroby... Tylko co z tego, skoro prawie cały czas, jaki spędzam w klinice, walczę, żeby utrzymać przy życiu dzieciaki, małych, którzy powinni w tym wieku się uczyć, jak się pije piwo, a nie szpirować sobie organizm jakimś chemicznym gównem, którego miejsce jest w zakichanym laboratorium, a nie na ulicy!

— I nie zanosi się, że będzie lepiej — dodał osowiały Sam.

— Właśnie — przytaknęła mu Sarah. — Aha, już dziś wiadomo, że następnym przebojem na ulicy będzie kokaina. Ta dziewczyna naprawdę cię potrzebuje, John.

Kelly'emu wydawało się, że wokół lekarki unosi się w tej chwili burzowa chmura energii.

— Naprawdę dobrze by się stało, gdybyś spróbował jej pomóc, chłopcze. Masz przy niej być, słyszysz? Ktoś wpędził ją w okropne gówno, ale dziewczyna walczy. To człowiek, nie marionetka!

— Zgadza się — przytaknął z pokorą Kelly i uśmiechnął się nagle do Rosenów. Wszystko wydawało mu się wreszcie jasne. — Jeśli się martwicie, co ja na to, możecie przestać. Dawno się zdecydowałem.

— I dobrze — skwitowała te słowa Sarah.

— Tylko od czego mam zacząć?

— Najbardziej ze wszystkiego dziewczyna potrzebuje w tej chwili wypoczynku, dobrego jedzenia, no i czasu, żeby pozbyć się barbituranów z organizmu. Na razie będziemy jej podawać phenobarb, na wszelki wypadek, gdyby miała trudności z odwykiem. Nie spodziewam się niczego takiego, nawiasem mówiąc. Zbadałam ją, kiedy popłynęliście obaj do Solomons. Fizycznie największe dolegliwości Pam to wyczerpanie i niedożywienie, a nie lekomania. Na początek powinna przytyć ze sześć kilo. O ile będziemy ją umieli wspomóc, powinna wyjść z nałogu bez większych trudności.

— My? Chyba ja? — zdumiał się Kelly.

— Na razie tyle. — Sarah spojrzała w stronę otwartych drzwi sypialni i westchnęła, czując jak przechodzi jej napięcie. — Biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest Pam, po tym phenobarbie będzie spała jak zabita aż do rana. Jutro zaczniemy ją karmić, urządzimy jej ćwiczenia... Ale na razie, nakarmimy siebie! — obwieściła na koniec Sarah.

Podczas kolacji rozmowa umyślnie się obracała wokół innych tematów. Kelly sam nie zauważył, kiedy wdał się w długi wywód na temat profilu dna zatoki Chesapeake, ani też chwili, w której przeszedł do rozważań na temat najlepszych miejsc na ryby. Wkrótce stanęło na tym, że Rosenowie zostaną na wyspie aż do poniedziałku wieczór. Rozmowy przeciągały się, a kiedy cała trójka wstawała od stołu, wybiła już dziesiąta wieczór. Kelly sprzątnął kuchnię i zmył naczynia, a potem cichutko wślizgnął się do sypialni, gdzie przywitał go spokojny oddech Pam.

\* \* \*

„Łowca bizonów” miał nieco ponad cztery metry długości, a jego masa wynosiła zaledwie tysiąc czterysta kilogramów, z czego prawie połowę stanowiło paliwo. Pod oderwaniu się od skrzydła *Herculesa*, bezpilotowy samolocik zaczął pikować ku ziemi i w ten sposób osiągnął prędkość marszową, wynoszącą niemal tysiąc kilometrów na godzinę. Pokładowy komputer nawigacyjny, dzieło firmy Lear-Siegler zaczął już mierzyć czas lotu i wysokość. „Łowca” poruszał się po z góry zaprogramowanej trasie, na z góry ustalonych wysokościach. Wszystkie te szczegóły trzeba było zawczasu wprowadzić do pamięci urządzeń, które z punktu widzenia następnej generacji sprzętu wydawały się koszmarnie prymitywne. Mimo tych niedostatków, „Cody-193” prezentował się nader okazale i profilem przypominał najbardziej błękitnego rekina o wystającym nosie i z paszczą w postaci chwytu powietrza pod przednią częścią kadłuba. Na poligonach w USA chwyt ozdabiano często domalowanymi rzędami zębów. „193” tymczasowo pomalowano inaczej, w eksperymentalny wzór kamuflażu. Od spodu samolocik był matowo biały, a od góry pokrywały go brązowe i zielone łaty. Liczono na to, że w ten sposób trudniej go będzie zauważyć zarówno z ziemi, jak i z powietrza. Co więcej, zbudowano go według technologii *stealth*, choć w owym czasie nie istniał jeszcze ten termin. Powierzchnię obu skrzydeł pokrywała warstwa substancji pochłaniającej promienie radarowe, a chwyt powietrza przesłonięto specjalną siatką, eliminującą echo radarowe wirujących łopatek turbiny odrzutowej.

„Cody-193” przeciął granicę Laosu i Północnego Wietnamu o godzinie 11:41 i 38 sekund, czasu lokalnego. Nadal obniżał lot i wyrównał go po raz pierwszy na wysokości zaledwie 150 metrów nad ziemią, po czym zakreślił na północny wschód. Lecił już nieco wolniej, gdyż gęste warstwy powietrza tuż nad ziemią utrudniały manewry. Niski pułap lotu i małe rozmiary czyniły z pędzącego „Łowcy” cel niełatwy, choć oczywiście możliwy do wykrycia. Rozrzucone na przedpolach pierwsze stanowiska szczelnego i nowoczesnego systemu wietnamskiej obrony powietrznej w końcu wypatrzyły go. Samolot-robot sunął wprost na rozmieszczone niedawno stanowisko sprzężonego działka 37 mm, którego obsługa połapała się w porę i obróciła obie lufy na tyle prędko, by puścić w intruza serię dwudziestu pocisków. Trzy pociski przeszły o kilkadziesiąt centymetrów od samolociku, lecz chybiły. „Cody-193” nie zauważył napaści, nie uskoczył w bok i nie manewrował, by ująć przed celownika. Pozbawiona mózgu i oczu maszyna ciągnęła uparcie przed siebie, podobna w tym do kolejki elektrycznej, która miarowo krąży po swym torze wokół świątecznej choinki, choć jej nowy właściciel zdążył już odśpiewać kolędy, wyspać się, a teraz je w kuchni śniadanie. Lot „Łowcy” obserwował jednak ktoś jeszcze. Na pokładzie krążącego w oddali *EC-121 Warning Star* śledzono jego lot za pomocą szyfrowego przekaźnika radarowego, umieszczonego na szczycie pionowego statecznika „193”.

— Leć, jak leciałeś, malusi — szeptem zachęcił bezzałogową maszynę major pochylony nad ekranem radiolokatora. On jeden znał szczegóły zadania, znaczenie lotu i przyczyny, dla których trzymano tę akcję w tak ścisłej tajemnicy. Obok siebie miał rozłożoną ćwiartkę mapy topograficznej. Bezzałogowy samolot skręcił na północ dokładnie w oznaczonym miejscu, zszedł na wysokość stu metrów i odnalazł właściwą dolinę, a następnie ruszył z jej biegiem, w górę dopływu Rzeki Czerwonej. Major odetchnął, widząc, że programiści przynajmniej tym razem nie spieprzyli roboty.

„193” zdążył już zużyć jedną trzecią zapasu paliwa, a pozostałą część spalał na tej wysokości w błyskawicznym tempie. Leciał teraz poniżej szczytów wzgórz po obu krańcach doliny, choć nie widział oczywiście ich wierzchołków. Programiści zrobili, co tylko mogli, lecz o mały włos wszystko zakończyłoby się w pewnej chwili fiaskiem: podmuch wiatru pchnął samolocik w prawo, i zanim autopilot zdążył skorygować zmianę kursu, „193” przemknął zaledwie o dwadzieścia metrów od wysokiego drzewa, które akurat sterczało w tym miejscu. Z pobliskiego wzgórza dostrzegła „Łowcę” para żołnierzy z obrony terytorialnej. Oni także otworzyli ogień, i także chybili. Jeden z nich ruszył nawet w dół zbocza, żeby zbiec do telefonu polowego, lecz jego towarzysz w porę go powstrzymał. „193” pędził prosto przed siebie. Nie było szans, aby w porę zawiadomić kogo trzeba o jego przelocie. Żołnierze uznali, że oddając serię strzałów, w zupełności spełnili swój obowiązek. Starszy rangą zafrasował się na chwilę, bo ich spadające pociski mogły ugodzić pewien ważny cel na dnie doliny, no, ale było już za późno na takie refleksje.

\* \* \*

Pułkownik Robin Zacharias z Sił Powietrznych USA człapał przez splacę błota, który w normalnej jednostce wojskowej i w normalnym kraju nazywano by zapewne placem musztry. Tu jednak, gdzie się znajdowali, nie było mowy o defiladach. Zacharias przebywał w niewoli od sześciu miesięcy, z których każdy dzień zmuszał go do nowych zmagani i przyprawiał o rozpacz głębszą i bardziej mroczną, niż można sobie wyobrazić. Zestrzelono go podczas osiemdziesiątego dziewiątego lotu bojowego, tuż przed spodziewanym powrotem do domu, w dodatku po udanej akcji, której finał był wyłącznie skutkiem wyjątkowego pecha. A w dodatku, przy trafieniu poniósł śmierć nawigator Zacharias, podpułkownik Jack Tait. Kto wie, czy Tait nie miał więcej szczęścia? Pułkownik powracał do tej myśli, idąc na ślepo przez placyk, pod lufami dwóch drobnych, nieprzyjaznych żołnierzy. Przed spacerem skrępowano mu ręce na plecach, a kostki nóg spięto łańcuchami. Tamci bali się go, choć byli uzbrojeni i choć strażnicy z wież ani na sekundę nie spuszczaali go z oka. Amerykański pilot był tym zdumiony. Czyżby stanowił aż taki postrach dla tych sukinsynów?

Zacharias nie czuł się ani silny, ani groźny. Kontuzjowane przy katapultowaniu plecy nadal dokuczały mu okropnie. Spadł ze spadochronem na ziemię zwijając się z bólu, a próba ucieczki była śmieszna: przez pięć minut zdołał się odczołgać równe sto metrów od miejsca, w którym wylądował. W dodatku czołgał się wprost ku stanowisku tego samego działka przeciwlotniczego, które rozwalilo mu samolot.

Cierpienie zaczęło się właśnie tam. Potem popędzono go uliczkami trzech kolejnych wiosek, ciskano w niego kamieniami i opluwano, by wreszcie zamknąć go tutaj. Czyli nie wiadomo gdzie. Po placyku kroczyło stadko mew. Pułkownikowi dało to do myślenia. Czyżby trzymano go niedaleko morza? Ale zaraz... Wystarczyło sobie przypomnieć pomnik w Salt Lake City, o kilka przecznic od domu, w którym Zacharias spędził dzieciństwo. Mewy gnieźdzą się nie tylko nad morzem. Podczas ostatnich miesięcy torturowano i gnębiono pułkownika na rozmaite sposoby, lecz w ostatnich tygodniach szykany nieoczekiwanie złagodniały. Zacharias wmawiał sobie, że tamci zmęczeni się robotą oprawców. A może to spóźniony gwiazdkowy prezent od Świętego Mikołaja? Pułkownik wbił wzrok w ziemię. Znikąd nadziei ani pociechy. W obiekcie przebywali inni więźniowie poza nim, ale nie udało mu się z nimi porozumieć, tym bardziej że jego cela nie miała okien. Dwa razy tylko mignęła mu czyjaś nieznajoma twarz. Przy obu spotkaniach pułkownik próbował krzyknąć, zwrócić na siebie uwagę, lecz strażnicy natychmiast ciosami kolb powalali go na ziemię. Obaj zaobserwowani Amerykanie spostrzegli go, ale nie próbowali się odzywać. Uśmiechali się tylko i kiwali głowami, jak gdyby chcieli przeprosić za to, że tylko na tyle mogą sobie pozwolić. Amerykanie byli w tym samym wieku, co Zacharias i zapewne w tej samej randze. Pułkownik spodziewał się najgorszego z wielu stron naraz, lecz w rzeczywistości najbardziej niepokoiło go to, iż w szkoleniowych opisach wietnamska niewola wyglądała zupełnie inaczej. Nie osadzono go w „Hanojskim Hiltonie”, dokąd podobno przewożono wszystkich Amerykanów wziętych do niewoli. Poza tym Zacharias nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, a niewiedza bywa groźna i straszna, zwłaszcza w przypadku kogoś, kto przez ostatnich dwadzieścia lat przywykł do tego, że to on jest absolutnym panem własnego losu. Pocieszała go jedynie myśl, że gorzej już być nie może. Niestety, bardzo się mylił.

— O, pan pułkownik Zacharias. Witam! — dobiegł go czyjś głos z drugiej strony placu. Amerykanin podniósł głowę i ujrzał białego mężczyznę, wyższego od siebie i ubranego w zupełnie inny mundur niż wietnamscy strażnicy. Mężczyzna uśmiechał się i szybkim krokiem wyszedł pułkownikowi na spotkanie. — Trochę tu inaczej niż w Omaha, przyzna pan?

Dokładnie w tej samej chwili Zacharias usłyszał świst silnika, przenikliwy wizg, który nadciągał z południowego zachodu. Odwrócił się instynktownie w tamtą stronę, jak przystało na rasowego lotnika. Piloci oglądają się na samoloty



niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdują. Zanim strażnicy spostrzegli, co się dzieje, skrzydlaty kształt przemknął już nad placem.

„Łowca bizonów”! Zacharias na widok bezpilotowej maszyny wyprostował się i zaczął ją prowadzić wzrokiem, z głową zadartą w stronę, gdzie majaczyło ciemne okienko kamery fotograficznej. W duchu modlił się, by kamera działała. Strażnicy połapali się wreszcie w sytuacji i cios kolbą prosto w nerki powalił Zachariasa na ziemię. Amerykanin zmełł w ustach przekleństwo i próbował przecze-kać ból, gdy nagle tuż przed twarzą zamajaczyła mu para wojskowych oficerek.

— Nie mamy co się tak podniecać — pouczył go ich właściciel. — Samolocik leci do Hajfongu liczyć statki. A teraz, przyjacielu, może byśmy się tak podnieśli i przywitani?

\* \* \*

„Cody-193” nadal ciągnął na północny wschód, prawie nie zmieniając prędkości i na stałym pułapie, choć dolatywał już do zewnętrznego pierścienia obrony przeciwlotniczej, rozciągniętej gęstym pasem wokół jedyne większego portu w Północnym Wietnamie. Obiektywy kamer na pokładzie „Łowcy” zarejestrowały obecność kilku baterii przeciwlotniczych, stanowisk dozoru i gromadki żołnierzy uzbrojonych w *Katasznikowy*. Za każdym razem wszystkie te stanowiska usilnie próbowały strącić samolocik. Jedynym zabezpieczeniem dla „193” były jego małe rozmiary, gdyż poza tym leciał prostym i równym kursem, pozwalając obiektywom utrwalac kolejne ujęcia na specjalnym filmie szerokości 5,65 cm. Do „Łowcy” strzelano ze wszystkiego, oprócz wyrzutni pocisków rakietowych ziemia-powietrze. Na to ostatnie nie pozwalał niski pułap lotu „193”.

— Jazda, jazda, maleństwo! — popędzał maszynę major Sił Powietrznych z odległości ponad trzystu kilometrów. Cztery tłokowe silniki *Warning Star* wyły na maksymalnych obrotach, utrzymując wysokość niezbędną do zachowania kontaktu z „Łowcą”. Major nie odrywał spojrzenia od płaskiego szklanego ekranu, na którym migotało echo przekaźnika ze „193”. Inni kontrolerzy na pokładzie *Warning Star* śledzili trasy lotu innych amerykańskich maszyn, które w tym dniu krążyły nad Wietnamem, a także utrzymywali łączność z CZERWONĄ KORONĄ, jak brzmiał kryptonim okrętu wojennego, który wspomagał działania powietrzne od strony morza.

— A teraz na wschód, kochanie. No, proszę!

Dokładnie o oznaczonej porze „Cody-193” wszedł w ostry wiraż w prawo, zszedł odrobinę niżej i z wyciem silnika przemknął na maksymalnej prędkości ponad nabrzeżami portowymi Hajfongu. Ścigała go setka pocisków smugowych z portowych działek. Dokerzy i marynarze z rozmaitych statków poderwali głowy, zaciekawieni lecz i zdenerwowani, a przede wszystkim wystraszeni faktem, że na ich niebie zamajaczył kawał wrogiego metalu.

— Świetnie! — wykrzyknął major, na tyle głośno, że sierżant Sił Powietrznych przy sąsiednim stanowisku posłał mu poirytowane spojrzenie. Zasada głosiła, że w tym samolocie każdy ma się zachowywać cicho. Nie zrażony tym major przycisnął włącznik mikrofonu, łącząc się z CZERWONĄ KORONĄ.

— „Cody 193” zaliczył bingo.

— Odebrałem, mamy bingo na „193” — nadeszła natychmiastowa odpowiedź. Obie strony posłużyły się hasłem „bingo” rozmyślnie nieprawidłowo. Zwykle słowo to oznaczało, że na pokładzie samolotu kończy się paliwo, ale posługiwano się nim tak często, iż doskonale nadawało się na zastonę dymną. Szezegowy Marynarki, czuwający przy odbiorniku, z miejsca nakazał załodze krążącego już śmigłowca, by przetarła oczy i czekała.

Bezzałogowy samolocik punktualnie przeciął linię wybrzeża, jeszcze przez kilka kilometrów utrzymał niski pułap lotu, a potem po raz ostatni zaczął się wspinać, zużywając ostatnie czterdzieści litrów paliwa. Pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża położył się w płytki zakręt i zaczął krążyć, a w jego kadłubie włączył się następny przekaźnik, tym razem zestrojony z radarami poszukiwawczymi amerykańskich okrętów. Jeden z tych ostatnich, niszczyciel USS „Henry B. Wilson” wychwycił spodziewane echo w ustalonym miejscu i o wyznaczonej godzinie. Obsługa wyrzutni raketowych wykorzystała tę okazję, by poćwiczyć namierzanie celów powietrznych, lecz po paru sekundach wyłączyła radary, bo taka zabawa mocno denerwowała lotników.

Krążący teraz na wysokości półtora kilometra „Cody-193” zużył resztki paliwa i zmienił się w szybowiec, a kiedy jego prędkość spadła do przewidzianego minimum, ukryte ładunki odrzuciły klapę w górnej części kadłuba i uwolniły spadochron. Śmigłowiec Marynarki już czuwał, a biały spadochron rzucał się w oczy z daleka. Bez paliwa samolocik ważył niespełna siedemset kilogramów, czyli tyle, ile ośmiu dorosłych mężczyzn. Widzialność i wiatr sprzyjały temu, co nastąpiło potem. Liny z zaczepami zahaczyły się o spadochron już przy pierwszym podejściu, a śmigłowiec natychmiast zawrócił i ruszył w stronę pokładu lotniskowca USS „Constellation”. Samolocik spoczął tam na specjalnej podstawie, kończąc swój sześćdziesiąty drugi lot bojowy. Zanim jeszcze śmigłowiec zdążył usiąść na lądowisku, podoficer służb technicznych odkręcał już pokrywę komory fotograficznej i wyjmował z łoża ciężką kasetę z filmem. Film natychmiast znalazł się pod pokładem, gdzie następny technik wniósł go do świetnie wyposażonej ciemni i po sześciu minutach pracy wytarł do sucha, po czym przekazał oficerowi rozpoznania. Zdjęcia nie były dobre — były świetne. Można się było o tym przekonać, oglądając kolejne kadry na podświetlanej jarzeniówkami przeglądarce.

— I jak tam, poruczniku? — z pewnym napięciem w głosie zapytał nowo przybyły kapitan.

— Już panu mówię, chwileczkę... — Podporucznik pokręcił szpulą i wskazał na trzeci kadr. — Proszę, tutaj ma pan nasz pierwszy punkt orientacyjny... Tu-

taj drugi, lecieliśmy równo jak po sznurku. . . O, a tutaj będzie początek serii. . . W dół doliny, teraz skok nad wzgórzem. O, wreszcie! Ile tego jest, raz, dwa, całe trzy kadry! I to udane, słońce akurat dobrze przyświeciło, widzialność, że proszę ja kogo. . . A wie pan, czemu nazywamy te maszyny „Łowcami bizonów”? Dlatego, że. . .

— Proszę pokazać! — Kapitan prawie odepchnął młodszego kolegę od przeglądarki. W kadrze znajdowała się sylwetka Amerykanina, w towarzystwie dwóch strażników i kogoś jeszcze. Oficerom chodziło jednak właśnie o Amerykanina.

— Proszę! — Podporucznik podał szkło powiększające. — Z tego ujęcia możemy zrobić kapitalne powiększenie, a jeśli dostaniemy trochę czasu, możemy popracować nad negatywem. No, więc nazwa wzięła się stąd, że z takim obiektywem można zajrzeć bizonowi pod o. . .

— Hmm! — Po czarnej twarzy na negatywie kapitan mógł się zorientować, że postać ze zdjęcia ma białą skórę. — Cholera, za nic nie mogę poznać. . .

— Już my się tym zajmiemy, panie kapitanie. Od tego jesteśmy — przerwał mu podporucznik, który w odróżnieniu od kapitana należał do służb rozpoznania. — Zrobimy, co będzie trzeba.

— Ale to ktoś z naszych!

— Nikt mi nie wmówi, że nie, panie kapitanie. A ten drugi, to już nie nasz. Zabiorę ten materiał do obróbki, zrobią nam pozytywy i powiększenia. W sztabie skrzydła będą chcieli sobie przy okazji obejrzyć ujęcia z obiektywów burtowych.

— Mogą z tym poczekać.

— Niestety, nie mogą! — zauważył podporucznik, sięgnął po nożyce i wyciął z taśmy najważniejsze klatki. Reszta szpuli trafiła do rąk bosmana. Kapitan i podporucznik zniknęli w ciemni. Przygotowania do lotu maszyny o kryptonimie „Cody-193” zajęły równe dwa miesiące. Kapitan nie mógł się doczekać chwili, w której pozna wreszcie informacje utajnione na trzech klatkach błony fotograficznej.

Godzinę później wiedział już wszystko, ale też w godzinę później siedział na pokładzie samolotu lecącego do bazy lotniczej w Danang. Po następnych sześćdziesięciu minutach leciał do bazy lotnictwa morskiego Cubi na Filipinach, skąd samolotem łącznikowym przerzucono go na lotnisko w bazie Clark. Z Clark transportowy *KC-135* miał go zabrać prosto do Kalifornii. Mimo że następne dwadzieścia godzin spędził beczynnym w powietrzu, spał krótko i z przerwami. Trudno się było temu dziwić, bo zagadka, którą rozwiązał, mogła w każdej chwili zmienić bieg całej polityki kraju.

## 4 — Brzask

Kelly przespał prawie osiem godzin, gdy obudził go poranny krzyk mew. Zorientował się, że leży sam. Wszedł na dwór i znalazł Pam na molo, zapatrzoną w wodę, zmęczoną i, co najgorsze, wciąż niezdolną zmrużyć oka. Nad całą Zatoką trwała cisza wczesnego świtu, a szklistą toń pokrywało mnóstwo kręgów wszędzie tam, gdzie żerujące błękitki rzucały się, by złapać owada. Początek dnia był pozornie idealny: twarz owiewał łagodny zachodni wietrzyk, i tylko w niezwyklej ciszy słychać było dalekie dudnienie motoru rybackiej łodzi, tak odległej, że niewidocznej z wyspy. W takich chwilach człowiek staje pokorny i samotny wobec natury, lecz Kelly wiedział, iż Pam myśli o tym, że dręczy ją jej własna samotność. Najciszej jak tylko umiał, podszedł do niej i obiema rękami objął w tali.

— Jak się masz.

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę. Kelly stał nieruchomo, leciutko obejmując dziewczynę, tylko na tyle, by czuć jego obecność. Uścisk był delikatny i opiekuńczy. Nigdy nie wiadomo, czy jeden nierozważny gest nie zburzy całego zaufania kogoś, kto przeszedł takie piekło, jak Pam.

— No, to teraz już wiesz — odezwała się Pam ledwo dosłyszalnym głosem. Nie miała nawet siły, by się odwrócić i spojrzeć Kelly'emu w oczy.

— Wiem — odpowiedział równie cicho Kelly.

— I co? Co sobie myślisz? — Głos Pam zmienił się w bolesny szept.

— To znaczy, o czym sobie myślę, Pam? — Kelly poczuł, że dziewczyna zaczyna drżeć. Pohamował się w ostatniej chwili, by nie objąć jej mocniej.

— No, o mnie.

— O tobie? — Tym razem Kelly zaryzykował i przysunął się jeszcze trochę bliżej, a potem zaplótł palce na brzuchu Pam. — Myślę, że jesteś piękna. Że miałem szczęście spotykając cię.

— Ja ćpam, wiesz?

— Rosenowie mówią, że próbujesz rzucić. A ja im wierzę.

— Bo nie wiesz wszystkiego. Ja nie tylko ćpałam, ja jeszcze. . .

— To mnie akurat mało obchodzi, Pam — przerwał jej szorstko Kelly. — Ja też nie byłem aniołkiem. Poza tym coś ci się jednak udało. Dzięki tobie mam wreszcie jakiś powód do radości. Nie żartuję, naprawdę nie myślałem, że to jesz-

cze kiedyś nastąpi. — Kelly przycisnął ją mocniej do siebie. — I nic mnie nie obchodzi, co robiłaś, zanim cię spotkałem. Zapamiętaj sobie, że odtąd już nie jesteś sama. Jeśli tylko chcesz, to ci pomogę.

— Zmienisz zdanie, kiedy się dowiesz... — zaczęła ostrzegawczo.

— Spróbuję zaryzykować. Poza tym wydaje mi się, że dowiedziałem się już całkiem sporo. Wiem, że cię kocham.

Własne słowa zdumiały go tak samo jak dziewczynę. Dotąd bał się dopuścić je do siebie nawet w myślach. Rozsądek podpowiadał, żeby milczeć, lecz tym razem rozsądek najpierw schował się do mysiej dziury, a potem, już po fakcie, przytaknął gorliwie takiemu obrotowi rzeczy.

— Co ty opowiadasz? Dlaczego? — spytała Pam z niedowierzaniem.

Kelly odwrócił ją twarzą do siebie i uśmiechnął się szeroko.

— Skąd mam wiedzieć, dlaczego?! Może dlatego, że jesteś taka rozkochana, albo że kapie ci z nosa! — Pogładził jej piersi przez koszulę i dokończył: — A może dlatego, że masz trochę serca. Obojętnie, czy ci czegoś brakuje, czy nie, serce masz tam, gdzie trzeba.

— Ty naprawdę nie żartujesz — uświadomiła sobie i utkwiała wzrok w jego klatce piersiowej. Po długiej chwili podniosła oczy i uśmiechnęła się. Kelly pomyślał, że ogląda już drugi świt tego dnia. Pomarańczowe światło wschodzącego słońca rozświetlało twarz Pam i rozbłyskiwało w jej płowych włosach.

Kelly otarł łzy z twarzy dziewczyny. Nawet jeśli drzemały w nim jeszcze jakieś wątpliwości, zniknęły, przegnane dotykiem mokrych policzków dziewczyny.

— Musimy ci sprawić jakieś ciuchy. Wyglądasz jak doker, nie jak dama.

— Daleko mi do damy.

— Bliżej, niż myślisz.

— Wiesz... Tak się boję!

Kelly znowu przygarnął ją do siebie.

— To nic złego, że się boisz. Myślisz, że ja się nigdy nie bałem? Najważniejsze to uświadomić sobie, że na pewno dasz sobie radę.

Kelly sam nie wiedział, kiedy miękkimi ruchami zaczął gładzić Pam po plecach. Naprawdę nie planował takiego finału ich rozmowy. Podniecenie minęło jednak w mgnieniu oka, gdy uświadomił sobie, że gładzi blizny po rzemieniach i sznurach. Bez słowa zapatrzył się w wodę. Całe szczęście, że Pam nie mogła w tej chwili widzieć wyrazu jego twarzy.

— Na pewno zgłodniałaś — odezwał się wreszcie i odsunął, choć nie wypuścił z rąk dłoni Pam.

— Okropnie — przytaknęła.

— Zaraz coś wymyślimy.

Kelly poprowadził Pam za rękę z powrotem do bunkra. Naprawdę uwielbiał czuć jej dotyk. Po drodze spotkali Sama i Sarę, wracających z przechadzki z drugiego końca wyspy.

— Jak się mają nasze nierozłączki? — zawołała Sarah z szerokim uśmiechem. Uśmiechała się dlatego, że nawet z odległości dwustu metrów mogła z góry przewidzieć odpowiedź na własne pytanie.

— Są głodne! — odkrzyknęła Pam.

— Najpierw śniadanie, a potem zabawa z wałem! — zapowiedział Kelly.

— Co takiego? — Pam stanęła jak wryta.

— Musimy zmienić śruby na wałach. No, wiesz, w łajbie Sama.

— Ach, po prostu. . .

— Jesteś moją załogą, więc musisz mi ufać! — żartobliwie podsumował Kelly, lecz Pam nadal nie była pewna, czy aby nie żartuje.

\* \* \*

— Ależ dłubanina! — sapnął Tony, upijając kawę z papierowego kubka.

— Dla mnie nie przyniosłeś? — Niewyspany Eddie był wściekły jak rzadko.

— Nie trzeba było mi, kurwa, mówić, żebym wyniósł ekspres na zewnątrz. Teraz sam sobie przynieś!

— Pewno, że musiałeś wynieść, po co mi jeszcze cały ten dym i smród? Chcesz, żebyśmy tu wszyscy zaczadzieli? — pinił się Eddie Morello.

Tony także miał trochę dosyć, więc uznał, że pokłóci się z krzykaczem przy innej okazji.

— Nic nie powiedziałem, człowieku. Jak chcesz kawy, idź i sobie przynieś, ekspres stoi zaraz za drzwiami. Kubki tak samo.

Eddie zabułgotał coś, lecz rzeczywiście podniósł się i wyszedł. Trzeci z obecnych, Henry, nie wdawał się w ich dysputę, zajęty ładowaniem towaru do małych plastikowych pakunczków. Wyglądało, że przedsięwzięcie okaże się jeszcze bardziej opłacalne, niż zaplanował. Co istotniejsze, dwaj pomagierzy bez oporów uwierzyli w bajeczkę o Angelo, dzięki czemu ubywało im wszystkim kolejny partner przy podziale i dodatkowy kłopot. Odważyli i rozsypali do woreczków towar wartości trzystu tysięcy dolarów. Jutro rozprowadzi się go między detalistów, ale na razie. . . Na razie nie wszystko szło, jak powinno, bo planowane „parę godzin” roboty przerodziło się w całonocny maraton. Okazało się, że zajęcie, na którym tak się bogacą inni, nie jest wcale takie łatwe, jak się wydaje. Trzy butelki bourbona, które wzięli ze sobą na wypadek, gdyby im się dłużyło, także poplątały im trochę szyki. Ale co tu marudzić? Trzysta tysięcy dolarów czystego zysku za szesnaście godzin roboty to chyba wcale nie tak źle? W dodatku to dopiero początek. Henry Tucker chciał tym razem zachęcić partnerów do jeszcze większej przewalki.

Eddie nie mógł przestać myśleć o tym, jak świat przyjmie zniknięcie Angelo. Było jednak grubo za późno, żeby się wycofać, bo skoro Angelo nie żył, również Eddie musiał robić i mówić wszystko, co mu podpowiadał Tony. Eddie był

zły, więc ze wściekłą miną wystawił głowę przez pusty iluminator i zapatrzył się w wysepkę leżącą na północ od ich wraku. Słońce odbijało się od kabiny — zapewne od szyb — zakotwiczonego przy wysepce wielkiego jachtu motorowego. Ech, warto by sobie kiedyś sprawić takie cacko! Eddie Morello uwielbiał wędkowanie. I dzieciaki zabierze się, niech mają jakąś wycieczkę... Chociażby dla niepoznaki, przy okazji.

Na ryby? A może na kraby? Eddie prawie się roześmiał, ubawiony, że nareszcie się dowiedział, jaką przynętę lubią skorupiaki, ale kiedy przypomniał sobie resztę szczegółów, przebiegł go dreszcz. Czy aby na pewno dobrze zrobił, wdając się w interesy z tamtą dwójką? Przecież bez nich ani by mu nie powstało w głowie zrobić to, co zrobił niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej, to znaczy zabić Angelo Vorano. Angelo nie należał jednak do ich spółki, a Tony Piaggi owszem, i to bardzo. Tony opiekował się nimi, bo tylko on z ich trójki miał kontakty z rodziną. Mógł się więc nie obawiać, że spadnie mu włos z głowy, przynajmniej na razie. Eddie wiedział, że w tych sprawach trzeba uważać.

— Jak myślisz, co było w tej kabinie? — zapytał tymczasem Henry Tucker, żeby nie siedzieć w milczeniu.

— Niby w jakiej kabinie? — zdziwił się Piaggi.

— No, kiedy ten statek jeszcze pływał, wygląda, że coś tu było, nie? — wyjaśnił Tucker, zalepiając ostatnią kopertkę z proszkiem. Wsadził ją do plastikowego, pełnego już kartonu na piwo i dorzucił, zupełnie zgodnie z prawdą: — Jakoś o tym wcześniej nie pomyślałem, wiesz?

— Co tu było? Cholera wie. Może kabina kapitana, albo coś? — zastanowił się na głos Tony, zadowolony, że nie musi myśleć o obrzydliwym zajęciu, na którym im zesłała cała noc.

— Chyba masz rację. Tak blisko mostka, na pewno tu mieszkał kapitan — przytaknął Henry, wstał i przeciągnął się, rozmyślając o niesprawiedliwości losu. Dlaczego to on musi odwalać całą robotę? Odpowiedź była jednak zupełnie prosta. Tony był pełnoprawnym członkiem mafii, co zwalniało go od takich obowiązków, a Eddie miał szczerzy zamiar zostać kimś takim jak Tony, więc już teraz uważał, by sobie nie zabrudzić rączek. Henry wiedział z góry, że Eddiemu nie uda się spełnić marzenia. Nie dla Eddiego taki zaszczyt, i nie dla Angelo. I bardzo dobrze. Henry nie popełnił tego głupstwa, żeby zaufać Angelo, a teraz nareszcie się go pozbył. Z innymi ludźmi z mafii współpracowało mu się zupełnie nieźle, chociażby dlatego, że potrafili dotrzymywać danego słowa. Henry miał gwarancję, że mogą sobie ufać — oczywiście dopóty, dopóki tamtym będzie się dostarczać towaru — i ani minuty dłużej; Tucker nie łudził się, że jest inaczej. Swoją drogą, ładnie ze strony Angelo, że poznał ich ze sobą, przedstawił Tony'ego i Eddiego... Śmierć Angelo zaś wywołała u Henry'ego tę samą reakcję, co u pozostałej dwójki, to znaczy żadną. Tucker zamknął plastikowe pudło i jeszcze raz powtórzył w my-

ślach, że powinno się pomagać innym — nawet krabom. Kraby też potrzebują pokarmu.

Na szczęście zanosilo się, że na pewien czas będzie to ostatnia egzekucja. Tucker nie bał się mokrej roboty, ale szczerze nie cierpiał komplikacji, jakie się z tym często wiązały. Porządny interes to taki, w którym wszystkie trybiki kręcą się bezszelestnie, bez hałasu, tak aby każdy miał w tym zysk. Zasada głosiła, że trzeba starać się zadowolić wszystkich bez wyjątku, łącznie z klientami, którzy czekali już na ulicy na towar. Ta partia miała szanse przypaść im do gustu. Heroina była pierwszorzędna, azjatycka, po naukowo opracowanej przeróbce i lekko tylko zmieszana z nietoksycznymi wypełniaczami. Cudo, które wysłać ćpaczy na najwyższą orbitę, a potem otuli ich wielkim spokojem i całkowicie przesłoni rzeczywistość, przed którą uciekali. Zateśkną zaraz znowu po pierwszym euforycznym kopie, a kiedy zateśkną, powrócą na ulicę, do detalistów, którzy za tak pierwszorzędny towar zażyczą sobie nieco więcej niż zwykle. Odmiana zyskała już wśród handlarzy przydomek „słodkiej azjatyckiej”. Dołączenie do grona ulicznych hurtowników, wiązało się ze sporym ryzykiem. Policja natychmiast sprawdzała, kto tak naprawdę kryje się za nową ksywą, zaczynała węszyć i zadawać konkretne pytania, kto, co... Inaczej się jednak nie dało. Henry Tucker miał monopol na towar nowy i pierwszej klasy, więc wkalkulował sobie całe ryzyko w koszty i odpowiednio dobrał współników. Chodziło mu o ludzi z doświadczeniem, z powiazaniami, no i ostrożnych. Miejsce, które wybrał do przepakowywania dostaw, również spełniało wszystkie warunki bezpieczeństwa. Ze wszystkich stron pięć kilometrów czystego przedpoła, no i szybka motorówka, żeby w razie czego dać dyla. Pewnie, że nawet mimo to, ryzyko istniało nadal, ale po pierwsze, całe życie było niebezpieczną zabawą, a po drugie — w tej branży ryzyko mierzy się proporcjonalnie do możliwych zysków. W tym wypadku zyskiem za kilkanaście godzin pracy było dla Henry’ego Tuckera sto tysięcy dolarów — wolnych od podatku, a jakże — czyli suma, dla której warto było nastawiać tyłka. Tucker gotów był na wiele więcej, byleby tylko wykorzystał rodzinne powiazania Piaggiego. Dobrze, że Piaggi połknął haczyk. Jeszcze trochę, a makaroniarze nabiorą podobnych mocarstwowych ambicji, jak sam Henry. A wtedy...

\* \* \*

Motorówka z Solomons przybiła parę minut przed umówioną godziną, przywożąc śruby. Rosenowie nie doradzali Kelly’emu, by znalazł dla Pam jakieś zajęcie, lecz sposób był prosty i narzucał się sam przez się. Kelly znowu wytoczył przenośną sprężarkę na nabrzeże i zapuścił silnik. Zadaniem Pam było obserwowanie manometru i stosownie do jego wskazań regulowanie dopływu powietrza. Kelly wytłumaczył jej wszystko, a potem przyniósł z warsztatu potrzebne klucze i rozłożył je na betonie.



— Jak pokażę ci jeden palec, podasz mi nasadowy. Dwa palce — oczkowy, a trzy palce, ten ostatni. Zapamiętasz?

— Jasne — zapewniła go Pam, której zaimponowała fachowość Kelly'ego. Rosenowie wiedzieli, że trochę się wygłupia, lecz nikomu zupełnie to nie przeszkadzało.

Kelly po drabince zszedł pod wodę. Na początek musiał sprawdzić gwinty na końcówkach obu wałów napędowych. Wydawały się być w porządku. Kelly wystawił więc nad wodę jeden palec i otrzymał żądany klucz, za pomocą którego zdjął nakrętki zabezpieczające i podał je kolejno na brzeg. Cała procedura zajęła mu piętnaście minut. Nowe, błyszczące śruby napędowe znalazły się na swoich miejscach, a po nich na zastrzały wałów trafiły nowe anody ochronne. Tym razem Kelly uważniej się przyjrzał obu piórom sterowym i uznał, że do końca sezonu jakoś wytrzymają, choć Sam będzie musiał mieć na nie oko. Jak zwykle poczuł ogromną ulgę wychylając się z wody i oddychając powietrzem, które nie miało posmaku gumy.

— Ile ci jestem winien? — zapytał Rosen.

— Niby za co? — Kelly odłożył maskę i pstryknął wyłącznikiem sprężarki.

— Konkretna robota, konkretna zapłata. Taką mam zasadę — wyjaśnił chirurg tonem sprawiedliwego w Sodomie.

Kelly szczerze się roześmiał.

— Umówmy się tak. Jeżeli kiedyś nawali mi kręgosłup, zoperujesz mnie za darmo. Jak się u was w klinice mówi na takie układy?

— Koleżeńska przysługa. Ale to między lekarzami, a ty nim nie jesteś.

— A ty nie jesteś nurkiem, ani nawet porządnym marynarzem. Ale wiesz co, Sam? Nad tym, to akurat możemy dzisiaj trochę popracować.

— Po co? Miałem pierwszą lokatę na kursie łodzi motorowych! — huknął Rosen.

— Już mówiłeś. Tak samo mówili zawsze gówniarze prosto po szkole, kiedy trafiali do nas do oddziału. I wiesz, co im odpowiadaliśmy? „Bardzo pięknie, synku, ale tu nie szkoła tylko Marynarka”. Poczekaj, schowam tylko te wszystkie graty i popłyniemy. Pokażesz mi, ile naprawdę umiesz przy sterze.

— Ale wędkarzem jestem na pewno lepszym od ciebie, założę się o co chcesz — obwieścił Rosen.

— Zaraz się będą zakładać, który umie dalej nasikać — zauważyła cierpkim tonem Sarah patrząc na Pam.

— Pewnie, ale po kolei — zaśmiał się Kelly w drodze do warsztatu. W dieście minut umył maskę, złożył sprzęt i przebrał się w czystą koszulkę i krótkie spodnie. Rozsiadł się na pomoście i obserwował, jak Rosen przygotowuje jacht do rejsu. Chirurg, nawiasem mówiąc, zaimponował Kelly'emu, szczególnie zwinnością, z jaką się uporał z cumami.

— Następnym razem pamiętaj, żeby na chwilę włączyć dmuchawy, zanim zapuścisz silniki — odezwał się, kiedy Rosen zaczął już się krzątać na pomoście.

— Przecież ten grat to ropniak.

— Po pierwsze, nie grat, tylko co najmniej łajba. A po drugie, warto wyrobić sobie pewne nawyki. Może ci się jeszcze zdarzyć pływać na silnikach benzynowych. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Powiedzmy, że wyjedziecie gdzieś dalej na wakacje i wynajmiecie łódź. Co wtedy?

— Niby racja.

— Na stole operacyjnym też trzeba się trzymać określonej procedury, dobrze mówię? — upewnił się Kelly. — No, trzeba, czy nie trzeba?

— Zgoda — mruknął już innym tonem Rosen.

— No, to odbijaj. — Kelly machnął ręką, a Rosen posłusznie wypełnił polecenie, i to w swoim mniemaniu całkiem zręcznie. Kelly był innego zdania.

— Mniej machaj sterem, a więcej śrubami. Nie zawsze jest tak, że wiatr sam cię odpycha od nadbrzeża. Śruby naprawdę popychają wodę, a ster tylko ją trochę miętoli. W dodatku na silnikach zawsze możesz polegać, zwłaszcza przy małych prędkościach, a na sterze niekoniecznie. Poza tym ster może się ułamać. Musisz się nauczyć, jak sobie radzić bez niego.

— Tak jest, panie kapitanie — odburknął Rosen, który przywykł, że to on wydaje wszystkim polecenia, a tutaj poczuł się nagle jak stażysta w klinice. Czterdzieści osiem lat na karku. Nie za późno, żeby uczyć się wszystkiego od początku?

— Ty jesteś kapitanem, a ja tylko pilotem. To moje wody, Sam — uspokoił go Kelly i zerknął na rufowy pokład. — A wy, moje panie, przestańcie tak chichotać, bo zaraz wasza kolej. Uważajcie lepiej, co się dzieje! — A pod adresem Sama dodał już ciszej: — Nie zwracaj na nie uwagi, naprawdę fajnie ci idzie.

Po upływie kwadransa stanęli w leniwym dryfie i, korzystając z przyptywu, zarzucili wędziska. Pogoda była jak na zamówienie. Wędkowanie nie ciekawiło Kelly'ego, który wolał się wycofać na pomost i stanąć na oku. Sam uczył tymczasem Pam, co się robi z przynętą i haczykiem. Wszystkich zaskoczyło, jak bardzo Pam wciągnęły te zabawy. Sarah sprawdziła, czy dziewczyna dobrze się nasmarowała olejkami do opalania, bo przy jej bladej cerze ze słońcem nie było żartów. Kelly zastanawiał się, czy opalenizna podkreśli dawne blizny Pam. Stojąc na pomoście, w myślach zapytywał sam siebie, skąd biorą się mężczyźni, którzy maltretują kobiety. Spod przymrużonych powiek obserwował falujące, usiane jachtami morze. Ilu takich mężczyzn miał w tej chwili w polu widzenia? I jak ich poznać, skoro nikt nie ma swojej tajemnicy wypisanej na twarzy?

\* \* \*

Załadunek motorówki nie zajął wiele czasu. Wyruszając, zabrali ze sobą spory zapas chemikaliów, który trzeba było w przyszłości co pewien czas uzupełnić. Na

szczęście Eddie i Tony mieli dostęp do hurtowni chemicznej, której właściciel chciał się wkupić rodzinie.

— Muszę go sam zobaczyć — odezwał się Tony, gdy wyruszali w drogę powrotną. Eddie myślał, że pójdzie mu to lepiej, lecz koniec końców wymanewrował sześciometrową motorówką między kępami sitowia i trafił na miejsce. Woda zachowała poprzednią przejrzystość.

— Rany koguta! — sapnął Tony.

— Będzie urodzaj na kraby — zauważył w odpowiedzi Eddie, zadowolony z efektu. Zemsta była, owszem, zasłużona, ale widok przyprawiał całą trójkę o mdłości. Nad trupem uwijały się już dobre dwa wiadra krabów. Skorupiaki dokładnie obsiadły twarz Angelo i wystającą spod sieci, obnażoną rękę. Na miejsce ściągало ich coraz więcej, bo odór padliny zdążył się roznieść po wodzie niczym najlepsza reklama przekąski. Eddie wiedział, że na suchym lądzie pierwsze zjawiają się wrony i inne ścierwojad.

— Jak myślicie, ile to potrwa? Dwa, góra trzy tygodnie, i gotowe. Był Angelo, i nie ma.

— A jeżeli ktoś...

— A, skąd! — uciał Tucker, który nie zadał sobie nawet fadygi, by spojrzeć, co się dzieje na dnie. — Na żaglówki tutaj za płytko, a motorówki też się tu specjalnie nie zapuszczają. Kilometr stąd mają fajny, szeroki kanał żeglugowy, podobno ryba tam bierze jak nigdzie. Ci od łapania krabów też tu chyba nie zaglądną.

Piaggi zdążył już zwymiotować do wody, lecz z trudem przyszło mu oderwać wzrok od widowiska. Błękitne kraby typowe dla zatoki Chesapeake z zapalem rozkrawały szczypcami ciało spulchnione już działaniem ciepłej wody i bakterii. Kęś po kęsie odkrawały nowe drobiny i mniejszą parą szczypiec podawały je sobie do niesamowitych z wyglądu otworów gębowych. Piaggi był ciekaw, czy pod warstwą krabów nadal dałoby się odnaleźć twarz i parę oczu zapatrzoną w odległy świat, lecz nie można tego było sprawdzić. W dodatku niewykluczone, że skorupiaki zabrały się za oczy na samym początku. Przeróżające było tak naprawdę tylko to, że Angelo był może pierwszą osobą wyprawioną w ten sposób na tamten świat, lecz na pewno nie ostatnią. Angelo oczywiście nie żył, kiedy lądował na dnie, ale Piaggiemu jego los wydawał się okropniejszy niż inne. Faktycznie, nawet trochę mu było szkoda tego Angelo, choć oczywiście nie dało się inaczej, a poza tym... Poza tym Angelo dobrze sobie na to zasłużył. Trochę tylko szkoda, że trzeba będzie ukrywać przed światem, w jaki sposób skończył, ale trudno. Znów, inaczej się nie można, bo tylko w ten sposób nie da się glinom materiału do domysłów. Bez dowodu rzeczowego w postaci zwłok trudno oskarżyć kogoś o morderstwo. W dodatku nowy sposób już wkrótce mógł się przydać ponownie. Jedyne kłopot stanowiło przetransportowanie ciała na miejsce, no i dopilnowanie, by inni trzymali język za zębami. Ludzie tacy już są, że potrafią głupio wychla-

pać każdą tajemnicę. Tony Piaggii miał w pamięci świeży przykład Angelo. Całe szczęście, że Henry w porę się o wszystkim dowiedział.

— To co, gdy wrócimy do miasta, od razu walimy na paszteciki z krabów? — zapytał ich ze śmiechem Eddie Morello, który chciał się przekonać, czy Tony znowu zwymiotuje.

— Wypierdalajmy stąd, i to już! — odpowiedział Piaggi i opadł na krzeselko. Tucker zwiększył obroty i zaczął kluczyć wśród szuwarów, szukając trasy na szersze wody Zatoki. Piaggi potrzebował ładnych paru minut, by wymazać z pamięci podwodny obrazek. Najważniejsze to zapomnieć o drastycznych szczegółach i utrwalić w sobie przekonanie o skuteczności metody. Pewno przyjdzie im jeszcze tutaj wrócić z nowym ładunkiem. Spoglądając na plastikowe pudło, Tony zastanawiał się, czy za parę godzin i on nie będzie się śmiał na wspomnienie sposobu, w jaki wykończyli Angelo. Ostatecznie dobrze im się to opłaciło: w pudle, pod warstwą lodu i piętnastu puszek piwa Bohemian, spoczywało dwadzieścia zapieczętowanych woreczków z heroiną. Gdyby nawet, co mało prawdopodobne, ktoś ich zatrzymał na tych wodach, i tak by się nie domyślił, co się kryje pod piwkiem, paliwem numer jeden wśród motorowodniaków z Zatoki. Tucker sterował prosto na północ, a obaj jego towarzysze wystawili za burtę wędziska, udając, że szukają najlepszego łowiska na całej Chesapeake.

— Przynęta już wrzucona — odezwał się po chwili Morello i roześmiał się tak serdecznie, że i Piaggi musiał się uśmiechnąć.

Ubawiony Tony umilkł jednak zaraz i ostrym tonem polecił:

— Rzuć mi jedno piwo, chłopcze!

Jako pełnoprawny członek mafii nie lubił zbyt dużych poufałości z niższymi od siebie. Trzeba się szanować.

\* \* \*

— Idioci — mruknął sam do siebie Kelly. Sześciometrowa motorówka rwała na złamanie karku, i to tak blisko innych łodzi, że mogła innym rybakom pozrywać żyłki — nie mówiąc już o tym, że ciągnęła za sobą sporą falę. Nieładnie. Na morzu tak się nie robi. Kelly nieodmiennie przestrzegał marynarskiej etykiety, wiedząc, że jeśli jej zaniedbać, łatwo... Właśnie, co? Przecież jeszcze łatwiej kupić sobie motorówkę i pływać, nie przejmując się nikim i niczym. Nie trzeba było do tego żadnych kursów, uprawnień, dokumentów, w ogóle nic. Kelly sięgnął po lornetkę 7x50, własność Rosena, i wycelował szkła w nadpływającą motorówkę. Trzech frajerów, jeden pozdrawia rybaków, wymachując puszką po piwie. Ech...

— Wychrzaniać stąd, fajfusy! — warknął cicho. Banda palantów z motorówki chłała piwo i chociaż nie było jeszcze jedenastej, na pewno miała już dobrze w czubie. Kelly uważnie przyjrzał się całej trójce i w skrytości ducha był zadowolony, że nie podpłynęli bliżej niż na pięćdziesiąt metrów. W szklach lornetki

mignęła mu nazwa łodzi: „Ósemka Henry’ego”. Warto było to sobie zapamiętać i na przyszłość trzymać się od tej motorówki z daleka.

— Bierze! — wrzasnęła z pokładu Sarah.

— Uwaga, z prawej idzie fala! — ostrzegł Kelly. Przybój uderzył w nich minutę później i położył ich Hatterasa w serię dwudziestostopniowych przechyłów.

— Macie — zauważył Kelly pod adresem swojej załogi. — Lekcja pogładowa, jak się nie postępuje na morzu!

— Rozkaz! — odkrzyknął Sam.

— Ale i tak wzięła! — oświadczyła im Sarah i z wysiłkiem przyciągnęła rybę w poblizze burty. Kelly uznał, że lekarka radzi sobie wcale zrećźnie. — Jaka wielka!

Rosen chwycił podbierak i wychylił się, a kiedy znów się wyprostował, w sieci rzucała się duża czarna ryba, zwana babką. Na oko z pięć, sześć kilogramów. Sam przechylił podbierak nad pojemnikiem z wodą, w którym ryba miała teraz czekać na śmierć. Dla Kelly’ego całe to zajęcie traciło niepotrzebnym okrucieństwem, lecz ostatecznie chodziło o zwykłą rybę. Kelly naogładał się już w życiu gorszych rzeczy.

W następnej chwili Pam zapiszczała radośnie, bo i jej żyłka nagle się napięła. Sarah pomogła jej zatknąć wędzisko w specjalnym uchwycie i zaczęła udzielać wskazówek. Kelly patrzył na to bez słowa, zdumiony zażyłością między lekarką, a Pam — przyjaźnią tak samo zadziwiającą jak to, co i jego połączyło z dziewczyną. Być może Pam podświadomie wyczuła w Sarze matkę, lepszą niż tamta prawdziwa i pozbawiona uczuć. Jakkolwiek było, Pam pilnie słuchała poleceń i patrzyła w Sarę jak w obraz. Sam także to zauważył i odwzajemnił porozumiewawczy uśmiech Kelly’ego. Pam wędkowała pierwszy raz w życiu i nic dziwnego, że dwa razy paskudnie się potknęła, wodząc wędziskiem wokół jachtu. I tym razem Sam z podbierakiem w ręku musiał czynić honory domu. Zdobyczą okazał się czterokilogramowy błękitek.

— Wyrzucicie to paskudztwo do wody! — doradził Kelly. — Smakuje jak ścierka!

Sarah aż fuknęła.

— Wyrzucić pierwszą rybę Pam? Co to za pomysły, Kelly? Gadasz jak hitlerowiec! Znajdziesz u siebie w lodówce cytrynę?

— Pewnie, a bo co?

— A bo to. Pokażę ci, co można zrobić z takim błękitkiem. — Sarah szepnęła coś Pam na ucho, a dziewczyna roześmiała się. Błękitek powędrował do pojemnika, w którym rzucała się poprzednia zdobycz. Kelly’ego przez moment zaciekało, czy obie ryby potrafią się zaprzyjaźnić.

\* \* \*

Wysiadając ze służbowego auta na cmentarzu wojskowym w Arlington, „Wściekły” Maxwell pomyślał, że dla cholernie wielu Amerykanów Dzień Pamięci to tylko okazja, by obejrzeć sobie w telewizji wyścig samochodowy w Indianapolis, odpocząć od roboty, albo oficjalnie rozpocząć sezon plażowania. Że tak jest, świadczyły najlepiej pustki na ulicach Waszyngtonu. Admirał i ludzie z jego otoczenia mieli jednak inny stosunek do tej daty. Dzień należał przecież właśnie do nich — do nich i do poległych kolegów. Inni mogli więc zajmować się czym chcieli, lecz nie Maxwell i nie admirał Podulski, który także wysiadł z auta. Ruszyli przed siebie niespiesznie i w niezgodnym rytmie. Syn Casimira, podporucznik Stanislas Podulski spoczywał nie w Arlington, tylko zupełnie gdzie indziej, gdzie dokładnie, tego ojciec miał zapewne nie wiedzieć nigdy. Jego szturmowcy A-4 zdmuchnęła z nieba wietnamska rakietka ziemia-powietrze. Meldunki mówiły o niemal bezpośrednim trafieniu, a młody pilot do ostatniej sekundy nie widział pocisku i dopiero w chwili trafienia zaklął krótko, co odebrano przez radio na częstotliwości dozoru. Niewykluczone, że przy wybuchu eksplodowała także któraś z bomb podwieszonych pod skrzydłami. Szturmowiec zniknął na zawsze w tłustym obłoku czarnego i żółtego dymu i zostały z niego tylko szczątki. Wiadomo było poza tym, że przeciwnik nie zawraca sobie głowy poszukiwaniami zwłok strąconych lotników. Syn admirała nie leżał więc, niestety, wśród towarzyszy broni. Kaz Podulski nie lubił o tym zresztą mówić i w ogóle rzadko się dzielił własnymi uczuciami.

Kontradmirał James Greer czekał już na nich. Stał pięćdziesiąt metrów od asfaltowej alejki i spokojnie układał kwiaty obok amerykańskiej flagi na grobie swojego syna.

— James? — odezwał się do niego Maxwell. Greer, znacznie młodszy od niego, odwrócił się i zaszalował, by przynajmniej w ten sposób okazać dwójce wdzięczność za to, że pamiętała. Na uśmiech nie mógł się jakoś zdobyć. Wszyscy trzej admirałowie mieli na sobie granatowe mundury, licujące z powagą chwili. W słońcu pobłyskiwały złote galony na rękawach. Bez słowa ustawili się w szeregu przed nagrobkiem podporucznika Roberta White Greera z Piechoty Morskiej USA i zaszalowali, wspominając malca, którego brali na kolana, któremu później pozwalali jeździć na rowerze po terenie bazy morskiej w Norfolk i bazy lotnictwa morskiego w Jacksonville w towarzystwie małego Podulskiego i Wściekłego juniora. Młody Greer wyrósł na silnego i zaczepnego chłopaka, który biegł do portu, ilekroć ojciec wracał z rejsu i marzył tylko o tym, by pójść w jego ślady. Zabrało mu szczęścia dopiero przed dwoma laty, siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Danang. Trzej mężczyźni wiedzieli o kłątwie, jaka ciąży nad ich zawodem, to jest o tym, że synowie chcą robić to samo, co ojcowie, lecz nie wspominali o tym głośno. A skąd brały się pragnienia ich synów? Z chęci, by

dorównać rodzicom, z oddania wobec własnego kraju, a przede wszystkim z pragnienia, by bronić innych. Wszyscy, którzy tego dnia stawili się na cmentarzu, nadstawiali karku. Bobby Greer i Staś Podulski mieli po prostu mniej szczęścia. Wściekły junior miał go trochę więcej.

Greer i Podulski powtarzali sobie w takich chwilach, że poświęcenie nie poszło na marne, że za wolność zawsze się płaci wysoką cenę, że bez ofiar nie byłoby dzisiaj amerykańskiej flagi, konstytucji, ani święta, które Amerykanie mieli w dodatku prawo traktować każdy po swojemu. Obaj admirałowie zdawali sobie jednak sprawę, że powtarzają frazesy. Po śmierci Bobby'ego małżeństwo Greera rozpadło się, a głównym tego powodem była zwyczajna rozpacz. Żona Podulskiego również zmieniła się nie do poznania po stracie syna. Obaj admirałowie mieli po kilkoro dzieci, lecz pustka po utracie ukochanego syna stała się dla nich obu przepaścią nie do pokonania. Mogli sobie tylko powtarzać, że, owszem, poświęcenie było warte nawet najwyższej ceny, ale czy w to wierzyli? Nikt o zdrowych zmysłach nie wytłumaczy sobie rozsądnie, że można i trzeba się pogodzić ze stratą tej miary. Prawdziwe odczucia oficerów były takie same, jak zwyczajnych ludzi. Nic dziwnego, że i oni mieli swoje, jak to oględnie określali, „wątpliwości” na temat obecnej wojny. Między sobą używali zresztą dużo mniej dyskretnych określeń.

— A pamiętacie, jak Bobby wskoczył do basenu, żeby wyciągnąć córeczkę Mike'a Goodwina? Utopiłaby się jak nic! — przypomniał Podulski. — Mike napisał mi niedawno parę słów. Mała Amy urodziła tydzień temu bliźniaki, dwie dziewczynki. Wyszła za mąż za inżyniera z Houston. Facet pracuje w NASA.

— Nawet nie wiedziałem, że jest już po ślubie. Ile to już ona ma lat? — zaciekał się Greer.

— Czekaj, dwadzieścia. . . Dwadzieścia pięć? Pamiętacie, była taka piegowata, w Jacksonville wszyscy dostawali piegów, zawsze takie słońce. . .

— Mała Amy. — Greer zamyślił się. — Ależ te dzieci rosną.

W duchu pomyślał, że Amy może by się i nie utopiła w ów gorący, lipcowy dzień, lecz w ten sposób miał przynajmniej jeszcze jedno wspomnienie związane z synem. Ocalił komuś życie, zaraz, nie jedno, lecz trzy. No, proszę! Greer sam nie wiedział, czy myśli zupełnie serio.

Całą trójką odwrócili się i bez słowa ruszyli ku alejce. Przy asfalcie musieli się na chwilę zatrzymać, bo w górę stoku wspinał się wojskowy kondukt z 3. Pułku Piechoty. „Stara Gwardia” czyniła zadość tradycji, składając do ziemi kolejnego poległego. Admirałowie znów stanęli w szeregu i zaszalutowali, oddając cześć poległemu i fladze okrywającej trumnę. To samo uczynił młody podporucznik na czele konduktu i spostrzegł przy okazji, że jeden z admirałów nosi na piersi błękitną baretkę Medalu Honoru. Widok wystarczył, by młody oficer odsalutował z prawdziwym szacunkiem.

— No, to mamy kolejnego — odezwał się z goryczą Greer, kiedy znów zostali sami. — Wielkie nieba, w imię czego musimy tak ciągle grzebać tych chłopaków?

— Tak przysięgaliśmy. Mamy zapłacić każdą cenę, wziąć na siebie każde brzemie, wesprzeć każdego z przyjaciół, stawić czoła każdemu wrogowi... — przypomniał mu Kaz. — Pamiętacie, jakie to niedawne czasy? Ale kiedy przyszła pora, żeby wyłożyć karty na stół, gdzie się podzieli wszyscy ci dranie?

— Każdy z nas jest taką kartą, Kaz — uświadomił mu „Wściekły” Maxwell.

— Tylko zamiast zielonego stolika, zielony cmentarz.

Każdy normalny człowiek płakałby przy takiej okazji, lecz wśród trójki obecnych obowiązywały inne zasady. Admirałowie patrzyli bez słowa na stoki usiane białymi nagrobkami. Zbocze stanowiło niegdyś wielką murawę u wjazdu do domostwa Roberta E. Lee. Dom nadal trwał na szczycie wzgórza, a fakt, że otoczono go cmentarzem wojskowym stanowił gest okrutnej zemsty władz, które czuły się zdradzone przez jednego z najlepszych oficerów. A mimo to nawet generał Lee oddał dom swoich przodków we władanie tym, których kochał najbardziej ze wszystkich. Maxwell dopatrywał się w tym szyderstwa historii.

— Jak tam sytuacja w domku opodal rzeki, James?

— W Firmie? Szkoda gadać, Wściekły. Otrzymałem oficjalne polecenie, żeby wyczyścić tę stajnię. Potrzeba będzie spora miotła.

— A usłyszałeś już coś oficjalnie na temat ZIELONEJ SKRZYNKI?

— Nie! — Kiedy Greer odwrócił się, z jego twarzy po raz pierwszy tego dnia zniknął ponury wyraz. Nowina była zapewne taka sobie, lecz zawsze lepsza niż nic. Podobnego zdania była pozostała dwójka. — To mam pytać?

— Jeżeli zgodzisz się nam trochę pomóc.

— Po cichu, tak?

— Znasz losy operacji MACZUGA — odezwał się na to Podulski.

— Mieli cholerne szczęście, że w ogóle zdążyli stamtąd prysnąć — potwierdził Greer. — Czyli o ZIELONEJ SKRZYNCIE nikomu ani mru, mru?

— Absolutnie nikomu.

— Dobrze, powiedzcie najpierw, czego wam potrzeba. Dostaniecie wszystko, co mogę dla was ściągnąć. To ty będziesz robił trójkę, co, Kaz?

— Zgadza się.

Każde oznaczenie sztabowe z liczbą 3 oznaczało Wydział Operacji i Planowania. Podulski miał dar do tego typu spraw. W porannym słońcu oczy admirała błysnęły niczym para złotych skrzydeł nad kieszenią jego munduru.

— Świetnie — ucieszył się Greer. — Aha, jak się ma mały Wściekły?

— Lata teraz w liniach Delta. Na razie jako drugi pilot. Za jakiś czas zostanie kapitanem, a ja za miesiąc dziadkiem.

— Co ty powiesz? Gratulacje, stary!

— Nie mam do niego pretensji, że rzucił wojsko. Dawniej miałem, ale jakoś mi przeszło.



— Jak się nazywał ten pletwonurek z SEAL, który po niego się wybrał?  
— Kelly. Ten też odszedł do cywila — dodał Maxwell.  
— Powinieneś mu być za to zorganizować jakiś lepszy medal — odezwał się Podulski. — Czytałem tamten rozkaz. Nikt by nie wymyślił okropniejszej akcji.  
— Dałem mu awans na bosmana. Medalu nie wycisnąłem, nie było siły — westchnął Maxwell. — Nikt nie dostanie odznaczenia za to, że wyratował syna samemu admirałowi. Wiecie, jak to jest.  
— Pewnie — skwitował to Podulski i podniósł wzrok ku szczytowi wzgórze. Kondukt zatrzymał się, a gwardziści zaczęli zsuwać trumnę z lawety. Młoda wdowa patrzyła, jak dobiega kresu ziemski pobyt męża.  
— Pewnie. Sam wiem, jak to jest.

\* \* \*

Tucker wprowadził motorówkę do slipu, co nie było takie trudne, kiedy się miało do pomocy śrubę główną i mniejszy napęd zaburtowy. Zgasił silnik, chwycił za cumy i zarzucił je czym prędzej. Tony i Eddie zdążyli już chwycić się za pudło z piwem. Tucker pozbierał jeszcze porozrzucane graty i zapiął pokrowce nad deską rozdzielczą i paroma newralgicznymi punktami łodzi, a potem spokojnie dołączył do pary czekającej na parkingu.

— Nie poszło tak źle — ocenił całą operację Tony. Pudło znalazło się już we wnętrzu wielgachnego Forda kombi, model Country Squire.

— Jak myślicie, kto wygrał w Indianapolis? — zagadnął Eddie. Wyruszając na Zatokę, zapomnieli wziąć ze sobą radia.

— Postawiłem kupę szmalcu na Foyta, ale tak bardziej dla hecy.

— Nie na Andrettiego? — zdumiał się Tucker.

— Na Andrettiego? Co z tego, że też makaroniarz, kiedy pechowy? Totalizator to poważna sprawa — przypomniał im Piaggi. Angelo należał już do przeszłości, a to, co zrobili z jego ciałem, rzeczywiście mogło się wydawać zabawne. Tyle, że człowiek już nigdy w życiu nie przełknie pasztetu z krabów.

— No to bywajcie! — odezwał się wreszcie Tucker. — Wiecie, gdzie mnie szukać.

— Forsę dostaniesz, spokojna głowa — wychylił się bez zaproszenia Eddie. — Za tydzień, w tym samym miejscu, co zawsze. Tylko co będzie... Co będzie, jak zabraknie towaru? Masz jeszcze zapas?

— Mam taki zapas, że nie zabraknie wam do końca życia — zapewnił go Tucker.

— Założę się, że masz jakiś świetny kanał — naciskał go dalej Eddie.

— Angelo też się wypytywał o to samo, więc umówmy się, panowie, w jednej sprawie. Gdybym wam powiedział, skąd biorę towar, przestałbym wam być potrzebny w interesach, zgoda?

— Co, nie ufasz nam? — Tony Piaggi uśmiechnął się słabo.

— Jeszcze jak ufam. — Tucker odwzajemnił uśmiezek. — Ufam, że potraficie upłynnić towar i że podzielicie się ze mną pieniędzmi.

Piaggiemu spodobała się ta odpowiedź.

— Lubię łebskich partnerów. Żebyś nam tylko nie zgłupiał, zawsze się jakoś dogadamy. Aha, masz znajomości w banku?

— Nie, nie mam. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym — skłamał Tucker.

— To się zacznij zastanawiać, Henry. Możemy ci pomóc założyć konto. Bank porządny, zagraniczny, wszystko jak trzeba, numer zamiast nazwiska i reszta bajerów. Jak chcesz, możesz wysłać kogoś znajomego, żeby zobaczył. Pamiętaj, tamci sprawdzają, kto obraca większymi sumami, więc bez szaleństw. Jak zaczniesz szastać forszą, wystawisz się jak nic. Masa naszych znajomych nie uważała i źle na tym wyszła.

— Ja zawsze na siebie uważam, Tony.

— I bardzo dobrze. W tej branży ostrożność to podstawa. Ci gliniarze robią się coraz sprytniejsi.

— I tak mogą mi skoczyć — uciął Henry, nie dodając, że to samo mogą zrobić obaj jego partnerzy. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

## 5 — Zobowiązania

Do Centrali Wywiadu Marynarki USA w Suitland w stanie Maryland przesyłkę doręczył pewien kapitan, zmęczony długim lotem i zmianą czasu. Grupę sztabowych ekspertów od rozpoznania fotograficznego uzupełniono fachowcami ze 1127. Jednostki Wsparcia Sił Powietrznych USA z Fort Belvoir. Pełna procedura zabrała dwadzieścia godzin, lecz na szczęście materiał z kamer „Łowcy bizonów” okazał się nadzwyczaj ostry, a Amerykanie stojący na ziemi zrobili to, o czym im nie raz przypominano, to znaczy podnieśli wzrok i zapatrzili się w przelatujący obiekt.

— Patrz, jak przyładowali biedakowi za to, że tak się starał — zauważył bosman z Marynarki pod adresem kolegi z Sił Powietrznych. Na zdjęciu północnowietnamski żołnierz podnosił karabin i odwracał go kolbą w stronę jeńca. — Chciałbym cię ja, skurwielu, dopaść w ciemnym zaułku.

— I co ty na to? — Starszy sierżant podsunął bosmanowi małe zdjęcie legitymacyjne.

— Odległość taka mała, że mogę się założyć, o co chcesz.

Obaj eksperci z rozpoznania dziwili się trochę, że dano im do dyspozycji tak niewielką liczbę zdjęć z kartoteki, dla porównania z materiałem z Wietnamu, ale kiedy już rozpoznawali czyjąś twarz, to na sto procent. Tak było i tym razem. Obaj eksperci nie mieli jednak pojęcia, że mają przed sobą serię fotografii człowieka, którego oficjalnie nie ma wśród żywych.

\* \* \*

Kelly umyślnie nie budził dziewczyny, zadowolony, że śpi bez pomocy kolejnych prosków. Wstał, ubrał się i dwa razy obiegł wyspę dookoła — jej obwód wynosił mniej więcej kilometr — żeby wypocić z siebie trochę energii w nieruchawym porannym powietrzu. Rosenowie także zerwali się skoro świt, bo wpadli na niego, kiedy stał na molo i odpoczywał po biegu.

— Nie ten sam człowiek! Nie tylko jej się poprawiło! — zauważyła Sarah i zawiesiła głos. — Jak tam Pam? Mielicie dobrą noc?

Słyszac tak postawioną kwestię, Kelly zaniemówił, a potem wyjąkał:

— Co proszę?

— Kurczę, Sarah, tobie to zawsze się uda... — zauważył Sam i spojrzał w bok, tłumiąc śmiech. Jego żona poczerwieniała bardziej niż poranna zorza.

— Mała namówiła mnie wczoraj wieczorem, żeby nie dawać jej środków — wyjaśniła po chwili. — Trochę się bała, jak to będzie, ale uparła się, że spróbuje, a ja dałam się w końcu przekonać. Tylko o to pytałam, John, więc przepraszam, jeżeli...

Czy w takim razie mieli dobrą noc? Najpierw Kelly bał się nawet dotknąć Pam, bał się wrażenia, że zmusza ją do czegośkolwiek. Pam naturalnie zrozumiała rzecz dokładnie odwrotnie i uznała, że Kelly już jej nie chce. A potem na szczęście... Potem wszystko jakoś się ułożyło.

— Wszystko świetnie, tyle że wbiła sobie do głowy jak ta durna, że... — Kelly ugryzł się w język. Pam, jeśli zechce, może sama o tym porozmawiać z lekarzką, więc nie powinien jej w tym wyřęczać. To nie jego rola, zgoda? — Chciałem powiedzieć, że spała jak aniołek. Inna rzecz, Sarah, że wczoraj tyle się nadenerwowała...

— Nie pamiętam, żeby mi się trafiła równie gorliwa pacjentka. — Tu Sarah dziobnęła Kelly'ego palcem w tors: — Ciesz się, młodzieńcze, bo bardzo jej pomogłeś.

Kelly odwrócił wzrok, bardzo zmieszany całą sytuacją. Co miał niby odpowiedzieć? Że cała przyjemność po jego stronie? Po cichu nadal uważał, że bezczelnie wykorzystuje dziewczynę i stawia ją w sytuacji bez wyjścia. Wychodziło na to, że zgarnął dziewczynę, która nie ma dokąd iść, a teraz... Dyktuje jej warunki? Nie, to nieprawda. Przecież ją kochał. Niewiarygodne, ale tak właśnie było. W jego życiu pojawił się nareszcie cień pewnej normalności. Może na dobre? Pam zdrowiała przy nim, owszem, ale przy okazji umiała uzdrowić także jego.

— Co tu gadać, ona się cały czas boi, że nie będę umiał... Bo tyle w końcu przeszła, same niedobre rzeczy. A ja naprawdę... Naprawdę mało mnie obchodzi, co było. Masz rację, Pam jest bardzo silna. Do diabła, a ja to niby jestem święty, czy co? Sami wiecie, że księdza ze mnie nie będzie.

— Pozwól jej o tym mówić, Pam akurat tego potrzebuje — uświadomił Kelly'emu Sam Rosen. — Zanim będziecie mogli to wszystko poskładać, musicie poznać każdy klocek.

— Tylko czy jesteś pewien, że chcesz to usłyszeć? — zaniepokoiła się Sarah i patrząc Kelly'emu w oczy dodała: — Możesz się dowiedzieć o takich sprawach, że cię skreśli.

— E, tam. Co może być gorszego od wojny? — uciał Kelly i zmienił temat. — A co zrobimy z tymi jej... lekarskami?

Kiedy padło to pytanie, wszystkim dziwnie ulżyło. Sarah mogła znów się znaleźć w ulubionej roli.

— Twoja mała ma już najgorsze za sobą. Gdyby miała dostać szoku, głodu narkotycznego i tak dalej, już by się to stało. Przez najbliższe dni będzie podenerwowana, raz słabiej, a czasem mocniej. Jeżeli będzie niedobrze, musisz jej zaaplikować phenobarb. Wypisałam ci na kartce dawkowanie, ale moim zdaniem, będzie umiała obejść się nawet bez tego. Ma dużo silniejszy charakter, niż myśli. Poza tym kto jak kto, ale ty na pewno zauważysz, jeśli zacznie się trząść i będzie odczuwała napięcie. Pamiętaj, że w takiej sytuacji masz się nie zastanawiać, tylko zmusić ją, żeby wzięła tabletkę.

Sugestia, że miałyby zmuszać Pam do czegokolwiek, rozsierdziła Kelly'ego.

— Łatwo ci mówić, jako lekarzowi. Nie wyobrażasz sobie chyba, że. . .

— Przestań tak kłapać dziobem, John. Nie chodzi mi o to, żebyś jej rozchyłał szczęki nożem. Po prostu, jeśli jej wytłumaczysz, że tabletki to właśnie to, czego jej potrzeba, Pam cię na pewno posłucha. Jasne?

— Długo tak ma być?

— Tydzień, góra dziesięć dni — uznała Sarah po namyśle.

— A co potem?

— Potem możecie zacząć planować szczęśliwą przyszłość we dwoje — parsknęła lekarka.

Sam wolał się powstrzymać od uwag na tematy prywatne, więc zapowiedział tylko:

— Chcę, żeby dziewczyna przeszła komplet badań. Kiedy masz znowu się pojawić w Baltimore, Kelly?

— Za parę tygodni, może nawet wcześniej. A bo co?

Sarah wyreczyła męża w odpowiedzi:

— Zbadałam ją na ile mogłam, ale to za mało. Pam od wieków nie była u lekarza, więc naprawdę będzie lepiej, jeśli przejdzie komplet badań, analiz. . . Chyba się zgadzasz, Sam?

— Jasne. Znasz Madge North?

— Znam. Rzeczywiście, może być u niej — wyraziła opinię Sarah. — Aha, Kelly, tobie też by nie zaszkodziło pójść na takie badania.

— A co, wyglądam na chorego? — Kelly rozłożył ramiona i dla popisu wyprężył imponujący tors.

— Bez takich tekstów, proszę! — zgasiła go Sarah. — Masz się zgłosić na badania razem z Pam, i tyle. Muszę wiedzieć, że obydwójce jesteście zupełnie zdrowi i basta. Rozumiemy się?

— Tak, pani doktor.

— Jeszcze jedno. Tylko posłuchaj uważnie — Sarah nie miała zamiaru umilknąć. — Przy okazji dziewczyna powinna pójść do psychiatry.

— Niby dlaczego?

— Dlatego, że życie to nie bajka, John, ani nie film. W życiu nie daje się zapomnieć o troskach i odjechać szczęśliwie prosto w zachodzące słońce, dlatego!

Tę dziewczynę zmuszano do różnych rzeczy, a oprócz tego brała narkotyki i z tego wszystkiego zaczęła sobą gardzić. W takiej sytuacji ludzie często zaczynają sami siebie winić za to, że padli czyjąś ofiarą. Żeby jej to wybić z głowy, potrzebna jest pomoc, terapia. Nie twierdzę, że sam w niczym nie pomożesz Pam, ale dobrze byłoby, gdyby trafiła do kogoś, kto się na tym zna. Dobrze?

— Jasne! — zgodził się nareszcie Kelly.

Sarah przyjrzała się mu uważnie.

— W porządku. Wiesz, lubię cię. Zwłaszcza za to, że umiesz słuchać.

— A mam jakieś inne wyjście? — zapytał Kelly z niewyraźnym uśmiechem.

— Tak naprawdę, to nie — roześmiała się Sarah.

— Zawsze taka była — poskarżył się na żonę Sam. — Komenderuje, i tyle. Byłaby świetna jako pielęgniarka. Ludzie wołają, kiedy lekarze są bardziej oględni, ale siostrą dają się popychać bez oporu.

Sarah udała, że kopie męża w kostkę.

— Tak? To lepiej, żebyśmy nie wpadł w łapy takiej siostrze! — roześmiał się Kelly.

\* \* \*

Pam przespała koniec końców całe dziesięć godzin, i to bez pomocy barbituranów. Obudziła się jednak z przeraźliwym bólem głowy, który Kelly próbował uśmierzyć aspiryną,

— Daj jej tylenol. Mniej drażni żołądek — doradziła mu Sarah, bądź co bądź farmaceutka, po czym sama zajęła się Pam. Sam pakował tymczasem rzeczy. Wynik oględzin mniej więcej zadowolili Sarę: — Masz przytyć trzy kilo, zanim się tu znowu zjawię. Słyszysz? Poza tym masz spać po dziesięć godzin.

— Ale...

— John przywiezie cię do nas, żebyśmy ci mogli na koniec zrobić dokładne badania. Za dwa tygodnie, zgoda?

— Jasne — przytaknął Kelly, powtórnie ulegając lekarce.

— Ale zaraz...

— Nie ma rady, Pam. Zmusili mnie, obydwójce do spótki — odezwał się Kelly podejrzanym głosem.

— Naprawdę nie zostaniecie dłużej?

— Niestety. — Sarah potrząsnęła głową. — Powinniśmy się zabrać wczoraj wieczór, ale co tam! A ty, John, pamiętaj, że jeśli się nie pokażecie, zadzwonię tu i was zdrowo opieprzę.

— O, rany, Sarah, z ciebie to jest pyskata baba!

— Co ty tam wiesz. Zapytaj Sama, niech on ci opowie.

Kelly odprowadził lekarkę aż do pomostu. Rosen zdążył tymczasem uruchościć silniki. Sarah i Pam wyściskały się na pożegnanie. Kelly usiłował poprzestać

na uścisku dłoni, lecz Sarah ucałowała go serdecznie. Sam zbiegł do nich, by także się pożegnać.

— Nowy komplet map! — przypomniał mu Kelly.

— Tak, panie kapitanie.

— Pomogę ci przy cumach.

Rosen chciał mu koniecznie pokazać, ile się przy nim nauczył. Dał maszynami wstecz i niemal wyłącznie na prawym silniku wykręcił dziób ku morzu, wokół środkowego punktu jachtu. Rzeczywiście, przez ubiegłe dni uzupełnił trochę wiadomości. W chwilę później zwiększył obroty obu silników i ruszył prosto przed siebie, gdzie na pewno czekała głęboka woda. Pam stała na brzegu i ścisnęła Kelly'ego za rękę do chwili, kiedy jacht Rosenów zmienił się w biały punkcik na horyzoncie.

— Zapomniałam jej podziękować — odezwała się wreszcie.

— Wcale nie zapomniałaś, po prostu nie zrobiłaś tego głośno. Powiedz, jak się dzisiaj czujesz?

— Minęły mi te bóle głowy.

Kelly przyjrzał się jej uważnie. Pam powinna sobie umyć i uczesać włosy, ale oczy miała jasne, bez dawnego mętnego wyrazu, a kroki stawiała sprężysto i pewnie. Kelly miał ochotę ją pocałować i zaraz tak uczynił.

— To co robimy?

— Musimy porozmawiać — szepnęła Pam. — Chyba pora.

— Zaczekaj. — Kelly wpadł do warsztatu i wynurzył się z parą składanych krzesłek. Rozłożył je i gestem zaprosił Pam, by usiadła. — Dobra, opowiedz mi, jaka to jesteś okropna.

Pamela Starr Madden za trzy tygodnie miała skończyć dwadzieścia jeden lat. Oprócz daty urodzenia i nazwiska Kelly dowiedział się także, iż Pam pochodzi z rodziny, co tu gadać, zwyczajnie biednej, z zapadłego kąta północnego Teksasu. Dorastała pod surowym okiem ojca, jednego z tych ludzi, którzy potrafią doprowadzić do obłędu nawet pastora-baptystę. Donald Madden za religię dałby się pokrajać, ale pojmował z niej tylko zewnętrzne formy, nie zaś treść. Był dla siebie i dzieci tak surowy, bo nie potrafił kochać; pił dlatego, że nie dawał sobie rady z życiem — i za to też miał do siebie pretensje — ale im był surowszy, tym gorsze osiągał skutki. Kiedy któreś z dzieci cokolwiek zbroiło, lał je pasem albo kijem, dopóki nie obudziło się w nim sumienie. A budziło się ono przeważnie wtedy, gdy Maddenowi zdążyła już omdleć ręka. Pamela nie była więc szczęśliwym dzieckiem, a ostatnią kroplą stało się dla niej zdarzenie nazajutrz po dniu jej szesnastych urodzin, kiedy się zasiedziała w kółku parafialnym i niechcący wybrała się z grupką przyjaciół na spacer. Czuli, że w tym wieku ma już prawo do takiej eskapady, ale pomyliła się, choć chłopak, z którym szła pochodził z prawie tak samo surowego domu, co ona, i na pożegnanie bał się ją nawet pocałować. Dla Donalda Maddena nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy w tenże piątko-

wy wieczór Pamela zjawiała się pod domem całe dwadzieścia minut po dziesiątej, ujrzała, że palą się tam wszystkie światła, a wewnątrz czeka rozjuszony ojciec i doszczętnie zahukana matka.

— Wyzywał mnie od takich... — Pamela wbiła wzrok w trawę. — Ale przecież ja wcale taka nie byłam. Nawet mi się nie śniły takie sprawy, zresztą Albert był taki niewinny... Zresztą ja sama też, jeszcze wtedy...

Kelly ścisnął ją za rękę.

— Nie musisz mi nic więcej mówić, Pam.

Opowiadała mu jednak to wszystko nie z przymusu. Kelly rozumiał to, więc słuchał dalej.

Tamtego wieczora Pamela Madden przeżyła najgorsze lanie w całym szesnastoletnim życiu. W nocy wyśliznęła się przez okno swojego pokoju na parterze i piechotą przeszła sześć kilometrów do najbliższego, wyludnionego i zapadłego miasteczka. Przed świtem złapała stamtąd pierwszy autobus, linii Greyhound, i dotarła nim do Houston. Nie wybierała tego miasta, pojechała po prostu tam, dokąd zapowiadała tablica na autobusie. Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby wysiąść gdziekolwiek wcześniej. O ile się umiała zorientować, rodzina nawet nie zawiadomiła policji i nie poszukiwała jej jako zaginionej. W Houston mieszkała byle gdzie i chwytła się najgorszych zajęć, ale czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa i koniec końców postanowiła, że spróbuje szczęścia gdzie indziej. Za zaoszczędzone, bardzo niewielkie pieniądze kupiła bilet na następny autobus — tym razem linii Continental Trailways — i wysiadła dopiero w Nowym Orleanie, chuda jak chart, niedoświadczona i bardzo tym wszystkim przerażona. Do tej pory nie przyszło jej nawet do głowy, że istnieją mężczyźni, dla których młodzianka uciekinierka z domu to prawdziwa okazja. W Nowym Orleanie prawie natychmiast wypatrzył ją elegancki i wyszczekany dwudziestopięciolatek, niejaki Pierre Lamarck, który najpierw jej współczuł, a potem postawił kolację, proponując mieszkanie i pomoc. Trzy dni później Lamarck stał się jej pierwszym mężczyzną. Nim upłynęło następnych siedem dni, mocny cios w twarz pouczył szesnastolatkę, że powinna bez oporu znaleźć się w łóżku innego faceta, komiwożacza ze Springfield w stanie Illinois, któremu Pam tak bardzo przypominała własną córkę, że zastrzegł sobie jej towarzystwo na całą noc. Lamarck zainkasował za pośrednictwo w tych atrakcjach dwieście dolarów. Następnego dnia Pam połknęła jedną po drugiej wszystkie pastylki z fiołki na komodzie u swojego opiekuna, lecz jedynym skutkiem okazały się wymioty i następne lanie, tym razem za krnąbrność.

Kelly wysłuchał tego wszystkiego najspokojniej w świecie, z pogodną miną, z jasnym wzrokiem i regularnym oddechem, choć wewnątrz czuł, że cały kipie. Dręczyła go okropnie myśl o dziewczynach w Wietnamie, tak młodych i dziecinnych z wyglądu, o kobietach, których usługi kupował po śmierci Tish... Nigdy mu jakoś nie przyszło do głowy, że prostytutki robią to, co robią, niekoniecznie dla przyjemności. Nie myślał o tym wcale, biorąc ich udawane emocje za rzeczywi-



ste uczucia. Czy oznaczało to, że jest człowiekiem złym, zepsutym, bez honoru? Tak się złożyło, że nieraz w życiu płacił za wdzięki młodych kobiet, których losy układały się zapewne w historię wcale nie tak różną od opowieści Pam. Kelly czuł, że pali go od środka biały płomień wstydu.

W wieku dziewiętnastu lat Pam uciekła od Lamarcka i kolejno od trójki następnych alfonsów. Zawsze jednak musiała się wplątać w podobną sytuację. Ten, u którego mieszkała w Atlancie, lubił chłostać dziewczyny na oczach kumpli, żeby się popisać. Zwykle używał do tego celu cienkiego kabla. Alfons z Chicago wtajemniczył Pam w uroki heroiny, by ułatwić sobie zadanie z dziewczyną, która wydawała mu się zbyt niezależna. Następnego dnia Pam udowodniła jednak, że się nie pomylił co do niej, bo uciekła. Widziała na własne oczy, jak inna dziewczyna umiera od działki brudnego, surowego narkotyku, a doświadczenie to przeraziło ją o wiele bardziej niż bicie. Do domu powrócić nie mogła — zadzwoniła do rodziców tylko raz, lecz jej matka trzasnęła słuchawką, zanim Pam zdążyła wykrztusić, że potrzebuje pomocy. Nie ufała służbom pomocy społecznej, które być może mogłyby skierować ją na właściwszą drogę, więc koniec końców znalazła się w Waszyngtonie i żyła tam jako doświadczona uliczna prostytutka, a przy okazji lekomanka, bo tylko dzięki prochom mogła znieść siebie samą w obecnej postaci. Znieść tak, ale nie do końca. Kelly był zdania, że właśnie ta resztką niepokoju ocaliła ją mimo wszystko. Przez te wszystkie lata Pam dwa razy przerywała ciążę, trzykrotnie leczyła się z chorób wenerycznych, cztery razy była aresztowana, lecz nigdy nie trafiła przed sąd.

Widząc, że Pam płacze, Kelly przysunął się bliżej.

— Teraz wiesz, kim naprawdę jestem?

— Wiem, Pam. Wiem, że jesteś naprawdę odważną dziewczyną, i damą. — Kelly objął ją mocno. — Nic się nie stało, mała, nie rycz. Nie tobie jednej zdarzyło się narozrabiać. Dopiero żeby się wyplątać potrzeba odwagi, a jeszcze większej trzeba na to, żeby komuś o tym wszystkim opowiedzieć, wiesz?

Ostatni rozdział opowieści zaczął się w Waszyngtonie, a jego „bohaterem” stał się niejaki Roscoe Fleming. Pam była już porządnie uzależniona od lekarstw, lecz wciąż wyglądała młodo i świeżo — przynajmniej wówczas, gdy ktoś pomógł jej się doprowadzić do porządku, na przykład po to, by uzyskać lepszą cenę za jej usługi. Fleming, bo tak nazywał się ów ktoś, wpadł na jeszcze jeden pomysł: jego znajomy, niejaki Henry, dłużył trochę przy narkotykach i chciał zwiększyć obroty, a ponieważ był facetem z natury ostrożnym, zbierał sobie całą stajnię dziewczyn, które rozprowadzały jego towar między ulicznych detalistów. Kupował te dziewczyny od alfonsów, zawsze w innych miastach i zawsze za gotówkę, co samym dziewczynom wydawało się metodą dość złowrobną. Tym razem Pam spróbowała dać drapaką prawie natychmiast, lecz Henry schwytał ją i tak pobił, że złamał jej trzy żebra. Dopiero później Pam dowiedziała się, że i tak miała szczęście, i że kara była łagodna. Henry skorzystał z tej okazji, by naszpikować ją barbiturana-

mi. Prochy rzeczywiście pomagały Pam znieść ból i zwiększyły jej uzależnienie. Kuracji dopełniło oddanie Pam do dyspozycji wszystkich współników Henry'ego, którzy mogli ją mieć na każde żądanie. Dzięki temu Henry osiągnął to, co się nie udało jego poprzednikom — do reszty zastraszył Pam.

Pięć miesięcy bicia, wymuszonych stosunków i prochów uczyniły z Pam bezwolnego robota. Poczucie rzeczywistości wróciło do niej zupełnie nagle, przed czterema tygodniami, kiedy dziewczyna potknęła się w drzwiach o zwłoki dwunastolatka z brudną igłą w zagłębieniu łokcia. Pam nie dała nic po sobie poznać, lecz postanowiła twardo ograniczyć ćpanie. To ostatnie zupełnie nie przeszkadzało współnikom Henry'ego, bo na trzeźwo dziewczyna wydawała im się dużo atrakcyjniejsza w łóżku. W swej naiwności przypisywali to wrażenie własnej jurności, nie zaś temu, że do Pam docierało teraz więcej niż przedtem. Pam tymczasem wypatrywała sposobności i czekała, aż Henry zniknie na parę dni. W takich razach współnicy przestawali tak dbać o dyscyplinę, a każdy robił co chciał. Przed pięcioma dniami Pam spakowała więc cały dobytek, czyli niewiele, i puściła się pędem przed siebie. Nie miała przy sobie ani centa — Henry nigdy nie zostawiał swoim dziewczynom gotówki — więc próbowała wydostać się z Baltimore autostopem.

— Powiedz mi, co to za jeden, ten Henry — poprosił cicho Kelly, gdy skończyła.

— Murzyn. Ma ze trzydzieści lat. Mniej więcej twojego wzrostu.

— Tylko ty jedna uciekłaś, czy ktoś jeszcze?

Głos Pam w jednej chwili stężał.

— Przede mną próbowała tylko jedna. Gdzieś tak w listopadzie. Henry ją... Zabił ją za to. Myślał, że dziewczyna chciała iść na policję, więc ją... A my wszystkie musiałyśmy patrzeć. Straszne...

— To dlaczego w ogóle próbowałaś, Pam? — zapytał szeptem Kelly.

— Wolałabym umrzeć, niż tam wrócić — szepnęła, nareszcie dopuszczając do siebie tę myśl. — Naprawdę chciałam umrzeć. Jak tamten chłopiec na progu. Wiesz, jak to jest, kiedy się umiera? Koniec filmu. Zero. A ja im w tym pomogłam. Pomogłam im go zabić.

— Ale jak się stamtąd wydostałaś?

— Poprzedniego wieczoru, zanim zniknęłam... Dałam im wszystkim, po kolei. Kiedy mnie złomotali, zaraz mieli lepszy humor... Mogłam im zniknąć z oczu. Rozumiesz? Rozumiesz, czy nie?

— Zrobiłaś tak, bo inaczej się nie dało. Pewnie, że rozumiem — odrzekł Kelly, wkładając cały wysiłek w to, by nie podnosić głosu. — I dzięki Bogu.

— Wcale bym się teraz nie zdziwiła, gdybyś mnie odwiózł na ląd i kazał iść, skąd przyszedłam. Może tato miał rację, kiedy mówił o mnie to wszystko.

— Pamiętasz, Pam, jak chodziłaś do kościoła?

— Pamiętam.

— A pamiętasz tę przypowieść, która się kończy: „Idź, i nie grzesz więcej”? Myślisz, że ja byłem zawsze taki grzeczny? Myślisz, że ja nie mam się czego wstydzić? Że nigdy się nie bałem? Nie ty jedna przeszłaś takie męki, Pam. Czy masz w ogóle pojęcie, jaka jesteś dzielna, że umiałaś mi opowiedzieć o tym wszystkim?

— Miałaś prawo wiedzieć — oznajmiła Pam odrętwiałym głosem.

— Miałem, więc teraz wiem, i myślisz, że cokolwiek to zmienia? — Kelly zawiesił głos. — A zresztą, owszem, zmienia. Teraz wiem, że jesteś jeszcze odważniejsza niż myślałem.

— Tak? Jeszcze ci przyjdzie zmienić zdanie.

— Co do przyszłości, martwię się tylko o tych przyjemniaczków, od których uciekłaś.

— Gdyby mnie znaleźli... — Głos Pam znów zawibrował strachem. — Przecież mogą mnie zauważyć, ile razy pojedę do miasta!

— Będziemy uważać — obiecał jej Kelly.

— Już nigdy nie będę bezpieczna. Nigdy, nigdy!

— Znam tylko dwa sposoby, żeby to zmienić. Po pierwsze, możesz się do końca życia ukrywać i uciekać. Albo, po drugie, możesz się z nimi rozprawić.

Pam natychmiast potrząsnęła głową.

— A ta dziewczyna, którą zabili? Wiedzieli, wiedzieli z góry, że poszła na policję. Dlatego nie mogę zaufać gliniarzom. Zresztą o czym ty mówisz? Nie masz pojęcia, jacy to straszni ludzie!

Kelly spostrzegł, że Sarah nie myliła się w diagnozie. Pam włożyła na siebie opalacz, lecz początki opalenizny uwidoczniły szramy na jej plecach. Blizny reagowały na słońce inaczej niż zdrowa skóra. Kelly miał przed sobą echa pręg i razów, które zadano Pam dla przyjemności. Historia bólu, którą oglądał, zaczęła się od Pierre’a Lamarcka, a ściślej mówiąc od Donalda Maddena — małych i tchórzliwych mężczyzn, którzy radzili sobie z kobietami za pomocą jednego tylko argumentu.

Mężczyzn? Kelly zawahał się.

Nie.

Poprosił Pam, by na chwilę została sama i popędził do warsztatu. Kiedy wrócił, ustawił osiem puszek po piwie i lemoniadzie na ziemi, dobre dziesięć metrów od leżaków i rozkazał Pam:

— Zatkaj uszy.

— Po co?

— Proszę cię, zrób to.

Kiedy Pam zastosowała się do życzenia, prawa ręka Kelly’ego zanurkowała pod koszulę i wyszarpnęła stamtąd pistolet, Colta kalibru 0,45 cala. Kelly oburącz podniósł broń do oka i zatoczył łuk, w półsekundowych odstępach oddając serię wystrzałów. Puszek przewracały się albo frunęły na metr w górę, a ich podskokom wtórował huk strzałów. Zanim ostatnia z nich zdążyła wylądować z powrotem na

ziemi, Kelly wyrzucił pusty magazynek i zastąpił go następnym, a potem znów przemieścił siedem z ośmiu puszek. Następnie upewnił się, że komora nabojoowa jest pusta, zwolnił kurek i schował broń za pasek u spodni, a kiedy znów usiadł obok Pam, oświadczył:

— Nie tak trudno zastraszyć młodą dziewczynę bez żadnych przyjaciół ani rodziny, Pam, ale mnie zastraszyć trochę trudniej. Niech tylko komuś przyjdzie do głowy, żeby cię skrzywdzić, będzie miał ze mną do czynienia.

Pam przyjrzała się podziurawionym puszkom i przeniosła wzrok na Kelly'ego, który był dumny z siebie i własnych umiejętności strzeleckich. Pokaz pozwolił mu trochę się wyładować, zwłaszcza że kiedy się składał do kolejnych strzałów, w myślach obdarzał każdą puszkę twarzą i nazwiskiem. Teraz jednak nie miał wątpliwości, że popis nie zrobił na Pam pożądanego wrażenia. Trudno. Takich spraw nie załatwia się natychmiast.

— Nieważne — mruknął i przysunął się do Pam. — No, więc dobrze, opowiedziałas mi wszystko, tak?

— Tak.

— I co, myślisz sobie, że zmienię teraz zdanie na twój temat?

— Nie. Powiedziałeś, że nie zmienisz. Chyba ci wierzę, wiesz?

— W takim razie uwierz jeszcze, że nie wszyscy faceci są tacy jak ci, na których trafiłaś. Takich jak oni jest naprawdę niewielu, słowo daję. Miałas zwyczajnego pecha, i tyle. Nie rób sobie wyrzutów, że to, że tamto. Ludzie giną w wypadkach albo chorują, albo nie mają szczęścia. Ja też się naoglądałem w Wietnamie takich pechowców. Niczego im nie brakowało, po prostu powinęła im się noga. Sam o mały włos bym skończył tak samo jak oni. Wystarczy skrócić w lewo zamiast w prawo, wdepnąć w coś, albo na chwilę się zagapić, i już. Sarah chce cię umówić z paroma lekarzami, żebyś mogła z nimi spokojnie o tym wszystkim porozmawiać. I o chyba dobry pomysł, tak myślę. Postawimy cię na nogi, zobaczysz.

— A potem co? — zapytała Pam Madden. Kelly prawie się zachłysnął z emocji, lecz było za późno na namysły.

— Potem? Czy chcesz ze mną zostać...? Pam? Chcesz?

Dziewczyna poderwała głowę, jak gdyby Kelly wymierzył jej policzek. Reakcja stanowiła dla niego zupełne zaskoczenie.

— Co ty bredzisz! Mówisz tak tylko dlatego, że ci tak wypada, że...

Kelly podniósł się i wziął Pam pod ramiona, pomagając jej wstać.

— Nie pleć tyle, tylko posłuchaj. Byłaś chora, i tyle, a teraz dochodzisz do zdrowia. Życie cię nie pieściło, przeciwnie, robiło co mogło, żeby cię złamać, ale nie złamało, bo się nie dałaś. Nie dałaś się, a ja wiem o tym i w ciebie wierzę! Jasne, że nie ma cudów, nic nie poprawi się od razu, ale zobaczysz, po tym wszystkim będziesz jeszcze najfajniejszą dziewczyną na świecie!

Kelly odstąpił od Pam i opuścił ręce. Trząsł się cały z wściekłości, lecz nie z powodu krzywd, jakie wyrządzono Pam. Wściekał się na siebie, bo sam nie chcący zaczął narzucać dziewczynie własne zdanie.

— Przepraszam. Nie chciałem ci niczego wmawiać na siłę. Naprawdę, nieważne. Tylko cię proszę, Pam. . . Zaczynj w siebie wierzyć! Chociaż trochę!

— Myślisz, że to tak łatwo? Robiłam tyle okropnych rzeczy.

Sarah nie myliła się twierdząc, że Pam powinna się znaleźć pod opieką lekarzy. Kelly nie mógł sobie darować, że nie potrafi jej ani przekonać, ani pocieszyć.

\* \* \*

Następnych kilka dni złączyło się w jeden, gdyż wszystkie upłynęły im na tym samym. Pam mogła robić w życiu mnóstwo strasznych rzeczy, lecz naprawdę okropna okazała się przy kuchni. Dwa razy płakała, doprowadzona do łez własną bezradnością, a Kelly czynił heroiczne wysiłki, by bez słowa sprzeciwu, ba, wśród komplementów zjeść wszystko, co mu upichciła. Na szczęście Pam umiała uczyć się na błędach i w okolicach piątku odkryła, że smażąc hamburgera można otrzymać inny wynik końcowy niż kawał dymiącego węgla. Kelly nie odstępował jej ani na krok podczas tych zmagani, dodawał jej otuchy i próbował nie narzucać swojego zdania. Szło mu coraz lepiej, a najlepszą pomocą okazały się uśmiech, pieszczotliwe dotknięcie i pochwały. Wkrótce Pam zaczęła naśladować jego zwyczaj zrywania się o świcie. Kelly namawiał ją też do ćwiczeń fizycznych, ale z tym szło jej o wiele gorzej. W zasadzie Pam była zdrowa, lecz lata bezczynności odzwyczały ją od wysiłku. Na początek Kelly namówił ją, by maszerowała zamiast biegać i zalecił jej dwa codzienne kółka wokół wyspy. Pod koniec tygodnia Pam była już w stanie zdobyć się na pięć okrążeń. Popołudniami opalała się na słońcu, z braku kostiumu po prostu w majteczkach i zwyczajnym staniku. Rzeczywiście zaczęła ją chwytać opalenizna, przy czym Pam nie komentowała głośno bledszych w odcieniu szram na plecach. Na widok tych śladów Kelly dostawał białej gorączki. Pam tymczasem zaczęła też bardziej dbać o swój wygląd, co dzień brała prysznic, myła włosy i szczotkowała je do jedwabistego połysku, a Kelly nie mógł się jej za to nachwalić. Ani razu nie poprosiła o dawkę phenobarbitalu, który pozostawiła jej Sarah, a kiedy parę razy brak środków dokuczał jej wyjątkowo mocno, szła na spacer. Próbowwała poza tym, i to z powodzeniem, przesywać nocie i nie drzemać w dzień. W jej uśmiechu pojawiło się więcej pewności siebie, a Kelly dwukrotnie przyłapał ją na tym, że patrzy w lustro i widzi tam coś innego niż tylko ból.

— Ładnie się wymyły, prawda? — pochwalił delikatnie fryzurę Pam, kiedy w sobotę pod wieczór dziewczyna wyszła spod prysznic.

— Może — odrzekła ostrożnie.

Kelly podniósł z umywalki grzebień i zaczął rozczesywać mokre włosy Pam.

— Wypłowiły ci na słońcu, słowo daję.

— Nie, to brud zszedł. Tak od razu się go nie zmyje — sprostowała, przytulając się lekko. Kelly nadal mocował się ze splątanymi włosami, usiłując nie ciągnąć zbyt mocno.

— Ale w końcu zszedł, Pammy? Sama powiedz?

— No, chyba trochę tak. Może. . . — szepnęła pod adresem twarzy w lusterku.

— Powiedz, trudno było to z siebie wyrzucić? Co?

— Bardzo trudno.

Tym razem w uśmiechu Pam dało się wyczytać prawdziwe przekonanie i ciepło.

Kelly odłożył grzebień i pocałował Pam w karczek. Obserwowała to w lusterku i drgnęła dopiero wówczas, gdy znów wziął do ręki grzebień i wrócił do przerwanej czynności. Gest wydawał się Kelly'emu nader niemęski, lecz sprawił mu ogromną przyjemność.

— Popatrz teraz. Prościuteńkie, żadnych kudłów.

— Naprawdę przydałaby się suszarka do włosów.

— Po co? — Kelly wzruszył ramionami. — Zawsze się obywałem bez.

Pam odwróciła się i wzięła go za rękę.

— Może być potrzebna. Jeżeli się nie rozmyśliłeś.

Kelly milczał przez dobre dziesięć sekund, a kiedy się odezwał, mówił dziwnie cicho. Tym razem to on bał się sytuacji.

— Jesteś pewna?

— Nie rozmyśliłeś się, co?

— Pewnie, że nie!

Podnieść mokrą i nagą, znów rozczochraną Pam z podłogi wcale nie było tak łatwo, ale w takich chwilach nie obejdziesz się bez mocnego uścisku. Kelly zauważył przy okazji, że Pam zmienia się w oczach. Żebra sterczały jej dużo mniej wyraźnie niż jeszcze przed paroma dniami — regularne i zdrowe posiłki sprawiły, że przybrała na wadze. Najbardziej jednak zmieniła się jej wewnętrzna postać, bo w Pam zaszedł rodzaj cudu. Kelly zachodził w głowę, na czym polega ów cud i bał się przyznać, że sam się do niego przyczynił. Wiedział jednak, że to prawda. Po chwili puścił więc Pam z objęć i jeszcze raz przyjrzał się jej wesołym oczom, sam zachwycony, że wszystko tak się świetnie ułożyło.

— Ale wiesz, ja chrapię, i w ogóle bywam różny — przestrzegł Pam, nie zdając sobie nawet sprawy z własnego wyrazu twarzy.

— Wiem, jaki bywasz — zapewniła go i mocno pogładziła gęste włosy na jego torsie, opalonym i poznaczonym bliznami z odległej wojny. Jej własne blizny skryły się głęboko pod skórą, lecz to samo dało się powiedzieć także o Kellym. Wspólnie mieli szansę się z nich wyleczyć, Pam była już tego najzupełniej pewna. Przyszłość nie wydawała jej się już mroczną jamą, w której trzeba się ukryć i o wszystkim zapomnieć. Przyszłość niosła ze sobą nadzieję.

## 6 — Zasadzka

Najgorsze mieli już za sobą. Pozostało odbyć krótki rejs do miasteczka Solomons, gdzie Pam udało się załatwić najpilniejsze sprawunki i przystrzyc włosy w jedynym zakładzie fryzjerskim. Nie upłynęły jeszcze pełne dwa tygodnie od jej spotkania z Kellym, kiedy zaczęła biegać dla polepszenia formy, a zarazem przybierać na wadze. Już teraz, choć nie minęło aż tak wiele czasu, mogła się więc pokazać w kostiumie bikini bez obawy, że przerazi świat widokiem sterczących żeber. Ożyły także mięśnie jej nóg. Co nie oznaczało wcale, że udało się z niej wypędzić wszystkie demony. Dwa razy zdarzyło się, że Kelly'ego obudziło w nocy jej konwulsyjne drżenie, zimny pot i pomruki, mniej wyraźne niż słowa, lecz aż nadto zrozumiałe. Za każdym razem pod dotykiem Kelly'ego Pam uspokajała się — czego nie dało się powiedzieć o samym Kellym. Tymczasem nauczył dziewczynę sztuki sterowania „Springerem” i chociaż zdarzały się jej jeszcze kiksy, uznał ją za pojętną uczennicę. Zaczęli się nawet razem kąpać, a Kelly nie mógł wyjść z podziwu, iż dziewczyna z dalekiej teksaskiej prowincji w ogóle umie pływać.

Przeważnie jednak Kelly bujał w obłokach, oczarowany widokiem, głosem, zapachem, a nade wszystko dotykiem Pam Madden. Nie bez niepokoju odkrył, że kiedy traci ją z oczu choćby na parę minut, denerwuje się, jak gdyby z lęku przed utratą dziewczyny. Na szczęście Pam zawsze była blisko i widząc niespokojne spojrzenie Kelly'ego, uśmiechała się figlarnie. Zawsze? Prawie zawsze. Czasami Kelly dostrzegał u niej zupełnie inny wyraz twarzy, mroczny jak przeszłość albo jak przyszłość inna od tej, jaką zdążył już obmyśleć dla nich dwojga. Żałował po cichu, że nie zna sposobu, by rozmontować Pam na części i usunąć wszystko, co popsute. Tę część zadania musiał jednak powierzyć komu innemu. W ogóle bardzo często, Kelly pod byle pretekstem zbliżał się do Pam i przesuwając czubkami palców po jej skórze, jak gdyby chciał się upewnić, że dziewczyna jeszcze tutaj jest.

Dziesiąty dzień od wyjazdu Rosenów Kelly i Pam uczcili na swój sposób; wypłynęli jachtem na pełne morze, przywiązali fiolkę phenobarbitalu do sporego kamienia i cisnęli całość do wody. Plusk, jaki się rozległ, brzmiał jak podzwonne dla przynajmniej jednego z licznych utrapień Pam. Kelly stał za nią, obejmując

ją w tali i spoglądał na dalekie motorówki. Przyszłość zapowiadała się lepiej niż przeszłość.

— Miałeś rację — przyznała Pam, głaszcząc go po ramieniu.

— Czasem mam. — Kelly uśmiechnął się nieznacznie, ale następne słowa dziewczyny sprawiły, że opadła mu szczeka.

— Tylko, że wiesz, John... Oprócz mnie są jeszcze inne, inne dziewczyny, które Henry... Mówiłam ci o Helen, tej, którą zabił.

— Mówiłaś, no i co?

— Muszę tam wrócić, muszę je jakoś wyciągnąć, zanim Henry... Zanim je wszystkie pozabija.

— To niebezpieczna sprawa, Pammy — przypomniał jej spokojnym tonem.

— Tak, wiem... Ale inaczej co z nimi będzie?

Kelly wiedział, że nowa troska stanowi pomyślny objaw. Pam na powrót stała się normalnym człowiekiem: tylko normalnym ludziom nie jest obojętny los innych.

— Nie mogę się tu ukrywać do końca życia, sam powiedz!

Kelly wyczuwał jej strach, wyraźny mimo śmiałego tonu. Przytulił dziewczynę mocniej do siebie i przyznał:

— Nie możesz. Co racja, to racja. Nie ma siły, żeby tak zniknąć ze świata.

— Na pewno ufasz temu znajomemu z policji? — zapytała.

— Ufam, pewnie, bo wiem, co to za jeden. To taki porucznik, parę lat temu wyświadczyłem mu przysługę. Szukali pistoletu, który ktoś upuścił do wody, a ja pomogłem im go znaleźć. Gliniarz ma u mnie mały dług. A poza tym, pomagałem im później szkolić płetwonurków, więc się przyzwyczailiśmy do siebie. — Kelly zawiesił głos. — Ale mówię ci, Pam, że naprawdę nie musisz do tego wracać. Jeśli chcesz zapomnieć o tym wszystkim, w porządku. Jeśli o mnie chodzi, mogę spokojnie nie postawić więcej nogi w Baltimore, oprócz tego, że mam się pojawić na badania.

— Zrobią z innymi to samo, co ze mną. Albo już robią. Jeśli im nie przeszkodzę, wtedy naprawdę nie opędzę się od tych wspomnień do końca życia, rozumiesz?

Kelly zastanowił się nad tym i przypomniał sobie własne stadko demonów. Są wspomnienia, od których nie ma ucieczki. Wiedział o tym, bo nie raz próbował uciekać. Na swój sposób demony Pam były jeszcze okropniejsze niż jego własne. Jeśli chciał zatrzymać dziewczynę przy sobie, nie miał wyjścia: musiał je powybijać i zniszczyć. Dobra. Zaraz znajdę ten telefon.



\* \* \*

— Porucznik Allen — rzucił burkliwie do słuchawki mężczyzna w zachodniej komendzie rejonowej. W całym biurze szwankowała dziś klimatyzacja, a na biurku piętrzyła się sterta zaległej roboty.

— Cześć, Frank. Mówi John Kelly — zabrzmiało w telefonie. Policjant rozpromienił się.

— Jak się masz, chłopie! Jak tam życie pośrodku Zatoki? — zapytał i westchnął w duchu, bo sam wiele by dał, by zamienić się z Kellym na miejsca.

— Cisza, spokój. A u ciebie?

— Żeby tam cisza! — sapnął Allen i rozparł się w obrotowym fotelu. Był gruby, choć jak większość policjantów z tego pokolenia zaczynał służbę tuż po II wojnie światowej, po zwolnieniu z wojska, gdzie służył jako artylerzysta w piechocie morskiej. Ze służby patrolowej na chodnikach East Monument Street Allen awansował stopniowo do Wydziału Zabójstw. Praca nie była aż tak absorbująca jak sobie to wyobrażali inni, choć co rusz trzeba było się naocznie przekonywać, że ludzie nie żyją wiecznie. Allena zastanowiła zmiana w głosie Kelly'ego.

— Co się dzieje, stary?

— Wiesz, poznałem taką jedną osobę, może warto, żebyś z nią pogadał.

— A to czemu? — zapytał policjant, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów i zapalek.

— To trochę twoja działka, Frank. Informacja w sprawie zabójstwa.

Policjant przymrużył oczy i zmusił się do szybszego myślenia. Jego następne pytanie brzmiało:

— W takim razie kiedy i gdzie?

— Sam jeszcze nie wiem. Na pewno nie przez telefon.

— Coś poważnego?

— I niech to zostanie między nami, dobra?

Allen przytaknął odruchowo i wyjrzał przez okno.

— Jasna sprawa.

— Gangi narkotykowe.

W mózgu Allena przeskoczyła kolejna zapadka. Kelly napomknął mu przez telefon o „osobie,” nie o „facecie” czy kimś takim. Musiało to oznaczać, że „osoba” jest płci żeńskiej, tak przynajmniej uznał Allen. Kelly nie był głupi, ale w tych sprawach łatwo dawał się pociągnąć za język. Owszem, do Allena dotarły poufne informacje o gangu, który posługuje się kobietami, choć nie wiadomo dokładnie, jak i po co. Tylko tyle. Allen nie miał z tamtą sprawą nic wspólnego. Prowadzili ją Emmet Ryan i Tom Douglas z komendy miejskiej, a Allen zasadniczo nie miał prawa wiedzieć nawet tego.

— Wiesz, sam słyszałem co najmniej o trzech różnych gangach. Wszystkie handlują narkotykami i wszystkie się specjalnie nie cackają — oznajmił więc Allen równym głosem. — Musisz mi opowiedzieć trochę więcej.

— Ta osoba nie chce się w to mieszać. Może ci przekazać parę informacji, ale tylko parę i tylko tobie, Frank. Jeżeli coś się będzie działo, możemy zmienić zdanie. Jeśli to prawda, to co usłyszałem, tamten gang naprawdę nie żartuje.

Allen miał się nad czym zastanawiać. Nie znał wprawdzie szczegółowo przeszłości Kelly'ego, lecz wystarczyło już to, co wiedział: mianowicie, że Kelly to zawodowy nurek, członek formacji SEAL, która na borych wodach delty Mekongu wspomagała 9. Dywizję Piechoty. Mądra morska, jednym słowem, ale mądra inteligentna, fachowiec. Jego usługi zarekomendowała policji jakaś szycha z Pentagonu. Kelly rzeczywiście doskonale sobie poradził ze szkoleniem policyjnego oddziału nurków, a przy okazji zainkasował za usługę niezłą sumkę. O tym ostatnim Allen także nie zapomniał. „Osoba” musiała być kobietą, bo w wypadku mężczyzny Kelly nigdy by się tak nie troszczył o dyskrecję. Facetów po prostu nie stać na taką opiekuńczość względem innych mężczyzn. Ciekawa sprawa, ciekawa...

— Nie wciskasz mi czasem kitu, co? — upewnił się jeszcze.

— Ani tobie, ani nikomu, znasz mnie — zapewnił go Kelly. — Proponuję taki układ: będziesz miał źródło informacji, ale nie świadka, to raz. A dwa, że spotykamy się w zupełnej dyskrecji. Co ty na to?

— Co ja na to? Gdybym rozmawiał akurat nie z tobą, tylko z kimś innym, to bym mu kazał przyjść do mnie do biura, inaczej nici. Ale w porządku, zgoda. Coś ci jestem winien za pomoc przy sprawie Goodinga. Przydupiliśmy go, nawiasem mówiąc. Dożywocie i trzydzieści lat z drugiego oskarżenia. Mam u ciebie dług, więc zgoda. Umowa stoi?

— Stoi. Straszne dzięki. Jak wyglądasz z czasem?

— W tym tygodniu pracuję po południu. — Rzeczywiście, chociaż była już czwarta, Allen dopiero pojawił się w biurze. Nie mógł wiedzieć, że Kelly dzwonił już do niego trzykrotnie, bez zostawiania wiadomości. — Kończę robotę około północy, czasem o pierwszej. Zależy, co się dzieje — wyjaśnił. — Czasami bywa tak, że siedzę aż do skutku.

— Jutro o północy. Będę czekał przed drzwiami, podjedziemy może coś przegryźć.

Allenowi cały układ za bardzo przypominał film z Jamesem Bondem. Tajne schadzki, podchody. Z drugiej strony ktoś taki jak Kelly nie robiłby go chyba w balona? Na policyjnej robocie Kelly znał się jak wilk na gwiazdach, ale poza tym dało się z nim pogadać.

— Jak uważasz, kolego. To co, do jutra?

— Bywaj, Frank. I dzięki.

Trzasnęła odkładana słuchawka. Allen zabrał się za stos papierzysek, lecz przedtem zapisał sobie coś w kalendarzu, który stał na biurku.

\* \* \*

— Masz stracha?

— Trochę — przyznała.

Kelly uśmiechnął się.

— Normalna sprawa. Ale słyszałaś, co powiedziałem. Tamten nie ma pojęcia, kim jesteś. Jeśli będziesz chciała, zawsze możesz się wycofać, a ja zawsze będę miał przy sobie broń. Chodzi o zwykłą rozmowę. Przywitamy się, pogadamy, a potem powiemy mu „do widzenia”. Kwestia jednego dnia, czy nawet jednego wieczoru. Aha, poza tym nie ruszę się od ciebie ani na krok.

— Ani na jeden kroczek?

— Chyba, że pójdziesz zrobić siusiu, kochanie. W toalecie musisz już sama na siebie uważać.

Pam wyraźnie poprawiał się humor. Ruszyła prosto do kuchni ze słowami:

— Muszę nam przyszykować jakiś obiad.

Kelly wyszedł na dwór. Czuł w sobie dziwną chętkę, żeby poćwiczyć strzelanie, lecz robił to już dzisiaj, więc pozostawał mu tylko spacer do bunkra warsztatowego. W środku Kelly wyjął z kabury wiszącej na ścianie swoją czterdziestkępiątkę i kilkoma sprawnymi ruchami rozłożył Colta na części. Kiedy spojrzał w lufę pod światło, przekonał się, że jest okopcona i brudna. Szmatką, rozpuszczalnikiem karabinowym i szczoteczka do zębów oczyścił do połysku wszystkie powierzchnie, a potem pokrył je leciuteńką warstewką oliwy. Nie za dużo, bo oliwa w nadmiarze przyciąga brud i kurz, a to mogło w najmniej sposobnej chwili przynieść skutek w postaci zacięcia. Po skończonej pracy, wprawnie i szybko złożył Colta. Umiałby to zrobić — i czasem rzeczywiście robił — nawet z zamkniętymi oczami. Pistolet miło ciążył w dłoni. Kelly parę razy trzasnął, odciągając zamek, żeby się upewnić, że złożył broń jak trzeba i jeszcze raz uważnie się jej przyjrzał.

Zadowolony z oględzin, wydobyl z szuflady dwa pełne magazynki i dodatkowe nabój, załadował broń i odciągając zamek wprowadził nabój do lufy. Wyjął magazynek i w opróżnione miejsce wsunął kolejny nabój. Z ośmioma nabojami w pistolecie i z zapasowym magazynkiem mógł teraz wystrzelić piętnaście razy z rzędu i stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. Pocisków byłoby za mało, gdyby chodziło o spacer po wietnamskiej dżungli, lecz zdaniem Kelly'ego wystarczyłoby na ciemne zaułki miasta. Kelly umiał w dzień i w nocy trafić z dziesięciu metrów prosto w głowę, i to jednym dobrze wycelowanym strzałem. Nawet pod ostrzałem nie drżały mu ręce, a i zabijanie nie było dla niego nowością. Gotów był więc przeciwstawić się każdemu zagrożeniu, zwłaszcza że nie chodziło o wietnamską partyzantkę. Wyprawiali się do miasta w nocy, a noc była sojusznikiem Kelly'ego. Na ulicach kręci się wtedy mniej ludzi i łatwiej jest w porę dostrzec niebezpieczeństwo. Możliwość zasadzki istniała jedynie wówczas, gdy-

by druga strona dowiedziała się zawczasu o wycieczce — ale takiej możliwości nie było. Wystarczy zachować odrobinę czujności. . . Kelly wiedział, że przyjdzie mu to z łatwością.

Na obiad Pam podała jedyne danie, jakie jej wychodziło, to znaczy kurczaka. Kelly miał już ochotę odkorkować butelkę wina, lecz rozmyślił się w porę. Po co kusić dziewczynę alkoholem? Może warto samemu przestać pić? Niewielka strata, a poza tym dodatkowe poświęcenie umocniłoby jeszcze bardziej ich wspólny związek.

Przy jedzeniu rozmawiali o tym i owym, unikając poważnych tematów. Kelly wyparł z siebie wszelkie myśli o zagrożeniu. Nie było sensu zaprzętać sobie nimi głowy. Nadmiar wyobraźni częściej bywa przeszkodą niż pomocą.

— Naprawdę myślisz, że trzeba zmienić te zasłony? — zapytał.

— Zupełnie nie pasują do mebli, mówię ci.

— To takie ważne, w łódce? — Kelly odchrząknął ze zdziwieniem.

— Kiedy wiesz, tak jak teraz, trochę tam nudno. . .

— Aha, nudno! — powtórzył i zaczął zbierać talerze ze stołu. — Zaraz mi powiesz, że wszyscy faceci są tacy sami. . . — dodał, nim przerażony nie zatrzymał się w pół słowa. Pierwszy raz zdarzyło mu się chlapnąć coś tak głupiego. — Przepraszam, nie chciałem. . .

— Za co mnie przepraszasz? — Pam uśmiechnęła się szelmowsko. — Pewnie, że trochę jesteście tacy sami. I nie denerwuj się tak, kiedy o czymś ze mną rozmawiasz, co?

— Dobra. — Kelly odetchnął i z ulgą przygarnął Pam do siebie. — Skoro tak to wszystko widzisz, nie pozostaje mi nic. . . nic tylko. . .

— Mmm. — Pam przytuliła się także i bez oporów dała się pocałować. Ręce Kelly'ego, które zaczęły zaraz błędzić po jej plecach, nie natrafiły na ślad stanika pod bawełnianą bluzką. Pam zachichotała.

— Byłam ciekawa, jak szybko zauważysz.

— To przez te świece — zaczął się tłumaczyć.

— Kolacja przy świecach to wspaniały pomysł, tylko że czuć stearynę. Pam miała rację. W bunkrze było kiepsko z wentylacją. Następna sprawa, którą przyjdzie się zająć. Błądząc dłońmi po kolejnych, coraz miłszych okolicach ciała Pam, Kelly mógł sobie wyobrazić pracowitą przyszłość.

— Utyłam trochę, czy nie? No, powiedz!

— Albo mi się wydaje, albo. . .

— Może troszeczkę! — przyznała Pam, kładąc mu na dłoniach własne dłonie.

\* \* \*

— Musimy ci kupić jakieś nowe łaszki — odezwał się Kelly, wpatrzony w twarz Pam. Tym, co tam widział, był nowy wyraz pewności siebie. Umyślnie

kazał dziewczynie sterować jachtem, według wskazań kompasu, i to przez całą drogę wokół latarni morskiej na wyspie Sharp. Od toru żeglugowego, który został na wschodzie, trzymali się możliwie daleko z uwagi na spory ruch statków.

— Dobry pomysł — przytaknęła Pam. — Tylko, że ja nie znam żadnych fajnych sklepów.

Mówiąc to, sprawdziła wskazania kompasu jak urodzony sternik.

— Nietrudno takie znaleźć. Wystarczy popatrzeć, co stoi na parkingu.

— Dlaczego?

— Zwyczajnie. Jak widzisz przed sklepem pełno Cadillaków i Lincolnow, na pewno znajdziesz coś ciekawego — wyjaśnił Kelly. — Stuprocentowy sposób.

Pam roześmiała się. Dokładnie o to mu chodziło. Kelly sam się zdumiewał, jak gruntownie zdążyła wrócić do siebie. Chociaż, oczywiście, do pełnej normalności było jeszcze bardzo daleko.

— Gdzie będziemy nocować?

— Na jachcie. Tak będzie bezpieczniej.

Pam nie oponowała, lecz mimo to Kelly wyjaśnił jej swoją decyzję.

— Zgoda, zmieniałaś wygląd, a mnie tamci w ogóle nie widzieli na oczy. Ani mnie, ani mojego wozu, ani jachtu. Frank Allen nie wie, jak się nazywasz. Nie wie nawet, czy jesteś kobietą czy mężczyzną. Chodzi o podstawowe zasady bezpieczeństwa, bo wydaje mi się, że nic nam nie grozi.

— Sam wiesz najlepiej — odezwała się Pam i posłała mu uśmiech. Kelly'emu aż serce urosło na widok takiego zaufania. Scena utwierdziła go jeszcze bardziej w dobrym mniemaniu o sobie.

— Wieczór ma być deszczowy — zaznaczył, wskazując na daleki wał chmur. — I bardzo dobrze. Przynajmniej pogorszy się widzialność. Najwięcej akcji robiliśmy właśnie w porze deszczu. Kiedy człowiek zmoknie, przestaje się pilnować.

— Chyba naprawdę się na tym znasz, co?

Odpowiedzi towarzyszył uśmiech pełen męskiej dumy.

— Uczyłem się w najlepszej szkole, mała.

Po kolejnych trzech godzinach żeglugi zawinęli do portu. Kelly wyłączył ze skóry, żeby pokazać, jaki jest czujny, dokładnie sprawdził parking, upewnił się, że Scout stoi na swoim miejscu, a kiedy cumował jacht, kazał Pam schować się pod pokładem. Podjechał samochodem pod sam jacht. Zgodnie z poleceniem, Pam przeskoczyła ze „Springera” prosto do wozu, nie rozglądając się na boki. Z miejsca opuścili teren ośrodka jachtowego, a ponieważ było jeszcze dosyć wcześnie, podjechali do podmiejskiego centrum handlowego w Timonium, gdzie Pam w dwie godziny — które Kelly'emu wydawały się wiecznością — wybrała sobie trzy niebrzydkie komplety ubrań. Kelly zapłacił za to wszystko gotówką, a Pam przebrała się w najładniejszą z trzech kreacji, czyli w stonowaną spódnicę i bluzkę. Całość pasowała do stroju Kelly'ego, który był w marynarce, ale

bez krawata. Kelly'emu podobało się zresztą, że nareszcie jego strój odpowiada wysokości jego dochodów. Bardzo przyjemne uczucie.

Na obiad zatrzymali się w tej samej okolicy, w eleganckiej restauracji. Wybrali sobie miejsca w ustronnym kącie sali. Kelly za nic nie przyznałby tego głośno, lecz naprawdę zdążył się już stęsknić za dobrym jedzeniem. Pam umiała sobie poradzić z kurczakiem, ale co tu dużo gadać, w kuchni musiała się jeszcze wiele nauczyć...

— Świetnie wyglądasz. Jesteś taka... spokojna — zauważył, kiedy pili kawę.

— W życiu bym nie pomyślała, że kiedyś będę się jeszcze tak czuła. Wiesz, wszystko było tak niedawno. Sam pomyśl, niecałe trzy tygodnie, tak?

— Dokładnie. — Kelly odstawił filiżankę. — Jutro pofatygujemy się do Sary i tych jej znajomych medyków. Zobaczysz, Pam, za parę miesięcy wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Delikatnie ścisnął jej lewą dłoń, wyobrażając sobie złoty pierścionek, jaki niedługo pojawi się na środkowym palcu.

— Teraz już ci wierzę, kiedy tak mówisz. Naprawdę wierzę.

— Świetnie.

— A teraz, co będziemy robić? — zapytała. Skończyli już jeść, a do umówionego spotkania z porucznikiem Allenem pozostało sporo czasu.

— Może pojeździmy po mieście? Pokręcimy się trochę — zaproponował Kelly. Zostawił pieniądze na stoliku i zaprowadził Pam na parking.

Na dworze zmierzchało. Słońce prawie całkowicie zniknęło za horyzontem, a co gorsza zaczynało kropić. Kelly skręcił w York Road i ruszył na południe, w kierunku miasta. Czuł się najedzony i wypoczęty, pewny swego i gotów na najdłuższe nocne rozmowy. Kiedy wjeżdżali w obręb Towson, dostrzegł obok szosy rdzewiejące od niedawna szyny tramwajowe. Widok podpowiedział mu, że miasto i czyhające tam niebezpieczeństwa są już blisko i dlatego wzmógł czujność. Co rusz zerkał na wszystkie strony, przepatrywał jezdnie i chodniki i dziesięć razy na minutę sprawdzał wsteczne lusterko. Jeszcze kiedy wsiadali do auta odłożył na zwykłe miejsce swojego Colta. Pistolet spoczywał teraz w kaburze tuż pod siedzeniem kierowcy, skąd w razie potrzeby można go było błyskawicznie wyciągnąć — na pewno szybciej niż zza paska. Poza tym pod siedzeniem pistolet nikogo nie uwierał w brzuch.

— Pam? — odezwał się, śledząc ruch innych samochodów i upewniając się, że zamknęli od środka wszystkie drzwiczki. Ten ostatni środek ostrożności zatrzącał już zupełną paranoją, tym bardziej że Kelly czuwał.

— Tak?

— Jak bardzo mi ufasz?

— No, ufam ci, John, i tyle.

— W której dzielnicy, no... Pracowałaś?

— O co ci chodzi?

— O to, że jest ciemno i pada deszcz, a ja mam ochotę sam się przekonać, jaka była ta twoja dzielnica. — Kelly nie musiał patrzeć na dziewczynę, by wyczuć, jak sztywnieje. — Spokojnie, nie denerwuj się tak. Będę naprawdę uważał. Jeżeli zobaczysz coś, co cię zaniepokoi, dam takiego dyla, że sama nie uwierzysz.

— Boję się — odrzekła w pierwszym odruchu Pam, lecz zaraz umilkła, bo koniec końców ufała swojemu mężczyźnie, a skoro ufała... Kelly tyle dla niej zrobił. Musiała mu zaufać, albo raczej musiała mu udowodnić, że mu ufa. Okazać to. Przekonać go do siebie. Dlatego zapytała: — Ale obiecujesz, że będziesz uważał?

— Słowo ci daję, Pam — zapewnił ją jeszcze raz. — Jak tylko zobaczysz, że coś jest nie tak, zmywamy się i cześć.

— W takim razie zgoda.

Godzinę później byli już na miejscu. Kelly nie mógł wyjść ze zdumienia, ile rozmaitych rzeczy można przegapić, jeśli się o nich nie wie. Mało to razy jeździł po tych samych ulicach, w tej samej części miasta? Nigdy się tu jednak nie zatrzymywał i nigdy nie zauważył nic dziwnego. A przecież przed długie lata fakt, że żył, zawdzięczał tylko spostrzegawczości i refleksowi, a co za tym idzie, zauważał każdą przygiętą gałązkę, każdy krzyk spłoszonego ptaka i każdy odcisk stopy na błotnistej ścieżce. Sto razy przejeżdżał przez tę okolicę i nie zauważył niczego, a czemu? Dlatego, że tutaj znajdował się w innego rodzaju dżungli, pełnej zupełnie innych drapieżników. Kelly udawał, że wcale go to nie dziwi. Ostatecznie, czego innego mógł się spodziewać? Zarazem jednak zdał sobie sprawę, że zawsze wyczuwał na tych ulicach niebezpieczeństwo, choć nie tak wyraźnie i jasno, jak powinien.

Otoczenie wydawało mu się idealne — mroczne i ciemne pod pochmurnym, bezksiężycowym niebem. Jedyne oświetlenia dostarczały nieliczne neony. W kręgach światła niektóre chodniki wyglądały na opuszczone, podczas kiedy inne tętniły życiem. Co pewien czas przeciągała nowa fala ulewy, choć chwilami deszcz słabł i zmieniał się w mżawkę. Warunki z pewnością zniechęcały ciekawskich, co nawet odpowiadało Kelly'emu, bo jeździł teraz wciąż po tych samych ulicach, notując w pamięci każdą kolejną zmianę. Zauważył przy okazji, że na ulicach nie palą się niektóre latarnie. Niedbalstwo pracowników służb miejskich czy pomysłowość ulicznych „biznesmenów”? Zapewne jedno i drugie. Faceci od zmieniania żarówek nie zarabiają znów aż tak wiele, więc jeśli im się wciśnie dwudziestodolarowy banknot, nie będą się przesadnie śpieszyć z robotą albo wkręcą żarówkę nie do samego końca. Podłe oświetlenie dyktowało resztę nastroju tych ulic, ciemnych choć nie opustoszałych. A ciemność zawsze była sojusznikiem Kelly'ego.

Kiedy patrzył na tę okolicę, wydawała mu się ona wręcz... smutna. Tak, smutna. Zapuszczone witryny dawnych sklepików spożywczych ziały pustką. Widocznie ich właściciele przegrali w konkurencji z supermarketami, które same z kolei

splonęły podczas zamieszek w sześćdziesiątym ósmym, zostawiając ziejącą dziurę w gospodarce dzielnicy. Potrzaskany cement chodników pokrywały najrozmaitsze odpadki. Czy ktoś w ogóle tu mieszka? Kim są tutejsi ludzie? Czym się zajmują? O czym marzą? Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy byli przestępcami. Czy na noc chowają się do mysiej dziury? A jeśli tak, to w jaki sposób sobie radzą w ciągu dnia? Azjatyckie doświadczenie nauczyło Kelly'ego, że jeżeli odda się teren przeciwnikowi we władanie choćby na jedną cząstkę doby, wróg umocni się i za chwilę spróbuje rozszerzyć swoje władztwo na pełne dwadzieścia cztery godziny. Nie, przeciwnikowi nie wolno było odstępować ani skrawka terenu, ani minuty — w ogóle niczego, co by mu się mogło przydać, bo właśnie w ten sposób przegrywa się wojnę. Na tutejszych ulicach również trwała wojna, a siły dobra wyraźnie ją przegrywały. Prawda tego stwierdzenia boleśnie ukłuła Kelly'ego. Nie jest miłą rzeczą patrzeć na tak sromotną klęskę.

Handlarze narkotyków wyglądali bardzo rozmaicie, o czym Kelly przekonał się, kiedy krążył po ich rewirach. Biła od nich siła i pewność siebie, bo o tej porze stawali się panami tych ulic. Jedynym zagrożeniem byli dla nich konkurenci z tej samej branży, uwikłani w darwinowską walkę, której wynik decydował, kto rządzi którym kawałkiem chodnika, albo kto może sobie rościć niepodważalne prawo do tej, a nie innej rozbitej witryny. Jak zawsze przy takich zmaganiach, po pierwszych bojach sytuacja stabilizowała się, i nic dziwnego, bo przecież chodziło o to, by zarobić, nie o to, aby się nawzajem powybijać.

Kelly skręcił w kolejną, nową ulicę i na samą myśl o tym zaśmiał się z ironią. Nowa ulica? Gdzie tam. Wszystkie tutejsze ulice były stare, tak stare, że tak zwani porządni ludzie wyprowadzili się stąd całe lata temu do zielonych dzielnic podmiejskich, pozwalając napłynąć na swoje miejsce innym ludziom, z założenia mniej „porządnym”. Ci ostatni także się wyprowadzili, a cały cykl powtarzał się przez kilka pokoleń dopóty, dopóki w jakiś sposób nie doszło do katastrofy, która nadała temu miejscu obecną postać. Dopiero po dobrej godzinie Kelly pojął, że naprawdę mieszkają tu także zwyczajni ludzie, nie tylko kryminaliści i włóczędzy grzebiący w śmietnikach. Od strony przystanku autobusowego szła kobieta, prowadząca za rączkę dziecko. Ciekawe, skąd wracają? Z wizyty u cioci? Z biblioteki publicznej? Na pewno z miejsca, dla którego warto było przemierzyć niebezpieczny teren między przystankiem a domem — teren groźnych widoków i dźwięków, rewir groźnych ludzi, którzy jakże łatwo mogli skrzywdzić dziecko.

Kelly wyprostował się za kierownicą i przymrużył oczy. Oglądał już w życiu takie sceny. Nawet w Wietnamie, gdzie wojna trwała jeszcze zanim Kelly się urodził, nawet tam istnieli rodzice z dziećmi — nawet tam, pomimo wojny, ludzie rozpaczliwie pragnęli normalnie żyć. Nawet podczas wojny dzieci muszą się czasem bawić, nawet wówczas trzeba je pieścić i kochać. I także, na ile tylko pozwala pomysłowość i odwaga rodziców, chronić je przed brutalnością świata. Zupełnie tak samo było tutaj. Jak okiem sięgnąć, widziało się ofiary wojny, ludzi



w mniejszym lub większym stopniu niewinnych — nie mówiąc już o dzieciach, które były zupełnie niewinne. Z odległości pięćdziesięciu metrów Kelly patrzył, jak młoda matka przeprowadza dziecko przez jezdnię i skręca za róg ulicy, przy którym narkotykowy detalista dobija właśnie targu. Zwolnili, by ją przepuścić. Kelly miał cichą nadzieję, że troska i miłość, jaką matka okazywała dziecku tego wieczora nie pójdą na marne. Czy handlarze zauważyli ją? A czy w ogóle zniżali się do tego, by zauważać zwyczajnych ludzi? Może traktowali ich jako alibi? Jako potencjalnych klientów? Jako kłopot? Ofiarę? A co z dzieckiem? Czy handlarzy choć trochę obchodził jego los? Zapewne nie.

— Kurwa — szepnął przygnębiony. Czuł się tu na tyle obco, że nawet się tym wszystkim nie zdenerwował.

— Co mówiłeś? — Pam nie dosłyszała. Siedziała dotąd w milczeniu, przycupnięta byle dalej od okna.

— Nic, nic. Przepraszam — zbył ją Kelly i wrócił do swoich obserwacji, które zaczynały go coraz bardziej bawić. Zajęcie przypominało mu akcję zwiadowczą. Zwiad robi się po to, aby się czegoś dowiedzieć, a Kelly'ego zawsze cechował pęd do wiedzy. Oto natknął się na coś zupełnie dla siebie nowego — co z tego, że zjawisko było złe, destruktywne i ohydne? Dzięki temu czuło się w nim żyłkę niebezpieczeństwa. Kelly poczuł mrowienie w dłoniach, zaciśniętych na kierownicy.

Amatorzy narkotyków także bywali różni. W niektórych dało się łatwo rozpoznać bywalców tej dzielnicy, zwłaszcza po kolorze skóry i po obszarpanym ubraniu. Część z nich wyglądała na bardziej zaćpanych niż inni, choć Kelly nie bardzo wiedział, dlaczego. Czy ci przytomniejsi padli ofiarą narkotyku dopiero niedawno, a ci ledwo powłóczący nogami byli weteranami samoznisczenia i osłabieni coraz śmielej kokietowali śmierć? Patrząc na nich, normalny człowiek mógł się przerazić, bo ludzkie wraki doprowadziły się do obecnego stanu stopniowo, powoli, działka po działce. Co popycha ludzi w taki obłąd? Kelly'ego tak zaprzątnęła ta myśl, że odruchowo zdjął nogę z gazu. Nie umiał znaleźć rozsądnej odpowiedzi.

Od czasu do czasu widziało się jeszcze inny rodzaj klienteli — ludzi w samochodach dość drogich i tak wypolerowanych, że było jasne, iż przyjechały z podmiejskich osiedli, gdzie nie wypada inaczej. Mijając jeden z takich wozów, Kelly obrzucił kierowcę szybkim spojrzeniem. Facet miał na szyi krawat! Fakt, że rozluźnił go pod kołnierzykiem, pewnie dlatego, że denerwowała go wyprawa do podejrzanej dzielnicy. Jedną rękę facet trzymał na kierownicy, a drugą odkręcał już szybę. Nie zdejmował nogi z gazu, by moc uciec natychmiast, kiedy zacznie się dziać coś złego. Patrząc w lusterko wsteczne Kelly uznał, że facet jest na granicy hysterii. Trudno mu się było zresztą dziwić. Ale mimo to — przyjechał! O, proszę. Za okno samochodu powędrował zwitek banknotów, a na jego miejsce podano co innego. Samochód ruszył z kopyta, tak prędko, jak tylko pozwalał na to duży ruch. Dla draki Kelly przejechał parę ulic w ślad za Buickiem. Skręcili najpierw

w prawo, a potem w lewo, na arterię przelotową, gdzie Buick zjechał na lewy, najszybszy pas i nie opuszczał go już. Kierowca rwał ile koni w silniku, byle dalej od nieciekawej części miasta, chociaż pilnował się zarazem, by nie zarobić mandatu za prędkość.

Właśnie, a co z policją? Kelly zrezygnował z pogoni i prawie na głos zapytał: gdzie jest policja, do cholery?! Na oczach całej dzielnicy, gromadnie i beztrudnie łamano prawo, a policji tymczasem ani śladu. Zgorszony Kelly znowu zawrócił w stronę ciemnych ulic, gdzie królowali handlarze. Jakaż przepaść ziała między tymi widokami, a jego własnym dzieciństwem na ulicach Indianapolis, raptem dziesięć lat temu! Jak to się stało, że wszystko zmieniło się tak bardzo i tak prędko? Kiedy się to stało? Kelly musiał coś przegapić podczas lat służby w marynarce, a późniejsze życie na wyspie także ograniczyło jego wiedzę o świecie. Okazało się oto, że jest frajerem, naiwniakiem, turystą we własnym kraju.

Spojrzał na Pam i przekonał się, że jest spokojna, mimo pewnego napięcia. Uliczna menażeria była może niebezpieczna, lecz im przynajmniej nie zagrażała ani trochę. Kelly pilnował się, żeby pozostać niezauważonym, więc cały czas jechał z tą samą prędkością, co inni i jeździł na chybił trafił, to tą, to znowu inną ulicą „dzielnicy handlowej”. Powtarzał sobie, że nie uśpił własnej czujności i chociaż wypatrywał na ulicach zorganizowanej działalności, sam jeździł możliwie chaotycznie, by nie rzucać się w oczy. Gdyby ktoś z ulicznych handlarzy gapił się na niego, natychmiast sam by to zauważył. Poza tym zawsze można było liczyć na Colta. Uliczni bandziorzy mogli udawać chojraków, ale nie umywali się ani trochę do dawnych przeciwników Kelly’ego: żołnierzy armii północnowietnamskiej i partyzantów z Wietkongu. Tamci byli dobrzy w swym rzemiośle, ale Kelly był jeszcze lepszy. W porównaniu z tamtymi niebezpieczeństwami, groźba, jaka się kryła na ulicach Baltimore była po prostu niczym.

Pięćdziesiąt metrów przed nimi stał handlarz w jedwabnej koszuli, brązowej albo może beżowej. Odbijała światło tak, że natychmiast można było poznać, że to prawdziwy jedwab. Kelly gotów był się o to założyć. Takie szumowiny, a tak się stroją! Nie wystarczy im, że drwią z prawa i porządku? Gdzie tam, muszą pokazać całemu światu, kto tu jest najważniejszy.

Głupio z ich strony. Kelly uznał taką ostentację za błąd. Po co ściągać na siebie uwagę? Kiedy się robi coś niebezpiecznego, najlepiej ukryć własną tożsamość, ukryć nawet własną obecność. Poza tym zawsze trzeba sobie zostawić chociaż jedną drogę ucieczki.

— Dziwne, że tak im się na to pozwala — szepnął.

— Co mówiłeś? — Pam odwróciła się ku niemu.

— Mówię, że to głupota. — Kelly machnął dłonią w stronę handlarza na logu ulicy. — Powiedzmy, że policja nie kiwnie palcem, dobrze, ale co będzie, jeżeli ktoś... Zaraz, przecież ten gość musi mieć przy sobie harmonię forszy?

— Tysiąc albo i dwa — przytaknęła Pam.

— No, więc co będzie, jeśli ktoś będzie go chciał obrobić?  
— Zdarza się. Ale oni zawsze mają przy sobie broń. Poza tym, jeżeli tylko ktoś spróbuje. . .

— Ach, już rozumiem. Ten drugi pod samą ścianą, tak?

— Właśnie. Prawdziwy handlarz to ten drugi. Ten na chodniku jest tylko na posyłki, ale to nie on. . . . Jak to się mówi, John?

— To nie on zawiera transakcję — odrzekł cierpkim tonem Kelly. Zirykował się, bo Pam uświadomiła mu, iż przegapił ważny szczegół. Obiecywał sobie ostrożność i rozwagę, a tu — bęc! Widocznie poczuł się zbyt bezpieczny. Błąd.

— O to chodzi. Popatrz teraz, co będą robić — szepnęła Pam.

Istotnie, Kelly nareszcie mógł sobie obejrzeć transakcję w całej rozciągłości. Klient w samochodzie, zdaniem Kelly'ego następny przybysz z willowych przedmieść — wręczył pieniądze (był to domysł, bo zawartości jego dłoni nie było widać, lecz Kelly nie przypuszczał, by w grę wchodziła karta BankAmerica). Pomocnik wsadził rękę za pazuchę i wyciągnął coś stamtąd, a kiedy klient odjechał, ruszył w stronę ślepej witryny i w jej cieniach przekazał pieniądze komu innemu. Było zbyt ciemno, by Kelly mógł to sobie obejrzeć dokładnie.

— Już rozumiem. Pomocnik ma przy sobie tylko trochę towaru, inkasuje pieniądze, ale zaraz oddaje je w ręce szefa. Szef trzyma całą kasę, ale na wszelki wypadek ma w kieszeni pistolet. Ci faceci nie są tacy głupi, jak myślałem.

— Głupi to oni nie są.

Kelly skinął głową i w myślach skarcił się za dotychczasową beztroskę. Już drugi mylny wniosek. Trudno, po to robi się zwiad, żeby się uczyć na błędach.

Najważniejsze, to wystrzegać się zadufania. Pierwsza lekcja: przeciwników jest dwóch, w tym jeden uzbrojony i dobrze schowany w cieniach pod ścianą. Kelly usiadł wygodniej i skupił wzrok na potencjalnych wrogach. Celować trzeba w tego pod ścianą, bo „pomocnik” to zwyczajne popychadło albo czeladnik, który się nie liczy. Chłopak na dorobku, żyjący z prowizji. Prawdziwym przeciwnikiem był jego szef, niewidoczny i groźny. Zupełnie jak w życiu, co? Kelly uśmiechnął się na wspomnienie pewnej akcji. Celem był lokalny politruk wojska Północy. Akcja była tak ważna, że otrzymała nawet kryptonim. PŁASZCZ. Przez długie cztery dni Kelly musiał się skradać w ślad za przyjemniaczkiem, i to już po tym, jak udało się zidentyfikować, że chodzi o właściwą osobę. Chodziło o to, by najpierw poznać, kto zacz, później rozszyfrować jego trasę i nawyki, a wreszcie znaleźć najlepszy sposób, by jegomością skasować. Kelly nie zapomniał wyrazu twarzy politruka w chwili, gdy kula trafiła go prosto w pierś. Strzał, a potem pięciokilometrowy sprint do lądowiska. Wietnamska grupa pościgowa pobiegła na szczęście w drugą stronę, zwabiona ładunkiem pirotechnicznym, który Kelly zastawił specjalnie w tym celu.

Co by było, gdyby człowiek w cieniach pod ścianą miał stać się jego nowym przeciwnikiem? Jak byłoby go najłatwiej podejść? Ciekawa łamigłówka. Kelly ku

swojemu zaskoczeniu poczuł się trochę jak bóg, pan życia i śmierci, orzeł, który z wysokości przepatruje równinę, drapieżca z wierzchołka łańcucha pokarmowego, na razie jeszcze nie głodny, na razie wyczekujący okazji. . .

Kelly rozpromienił się. Nie zwracał uwagi na ostrzeżenia instynktu. Coś jednak go zastanowiło. Samochód, który się pojawił na ulicy, zdążył już mu parę razy mignąć przed maską. Sportowy Plymouth Roadrunner z niskim zawieszeniem, czerwony jak lukrowane jabłuszko. Dziwne. Czy to ciągle ten sam. . . ?

— Kelly! — Pam zeszywniała nagle.

— Co jest? — Kelly odruchowo sięgnął pod fotel i na milimetr wysunął pistolet z olstra. Dotyk wytartych drewnianych okładzin rękojeści przywrócił mu spokój, lecz sam fakt, że sięgnął po broń, że musiał znaleźć sposób, by się uspokoić, stanowiły sygnał, którego nie można było dłużej lekceważyć. Rozważna część natury Kelly'ego odzyskała przewagę, do głosu doszedł instynkt walki. Kelly aż się ucieszył, że tak prędko wróciła mu przytomność umysłu. Jak na zawołanie.

— Ja znam ten samochód! To. . .

— Spokojnie, już się stąd zabieramy! — przerwał Kelly. — Masz rację, nie ma co się tutaj dłużej kręcić.

Dodał gazu i skręcił na lewy pas, by ominąć czerwonego Roadrunnera. Zastanowił się, czy nie kazać Pam się schować, lecz nie było takiej konieczności. Za minutę nie zostanie już tu po nich śladu, więc. . . O, cholera!

Wszystko zepsuł kolejny klient z przedmieścia, tym razem ktoś w czarnym kabriolecie Karmann-Ghia, facet, który w tej chwili dostał towar do ręki i w pośpiechu wyskoczył zza czerwonego Plymoutha, po czym natychmiast zahamował, bo z przodu w identyczny sposób włączył się do ruchu następny wóz. By uniknąć zderzenia, Kelly z całej siły nadepnął na hamulec. Stłuczka w takiej sytuacji? O, nie. Wycucie zawiodło go jednak, bo zatrzymali się prawie okno w okno z Roadrunnerem, którego kierowca dokładnie w tej samej chwili otworzył drzwiczki, by wysiąść. Zamiast wyjść przed maskę, kierowca postanowił okrążyć samochód od tyłu, a kiedy się odwracał, jego twarz znalazła się o metr od skulonej we wnętrzu Scouta Pam. Kelly patrzył w tę samą stronę, świadomy, że właśnie stamtąd może im coś zgrozić. O tym, że się nie pomylił, świadczyło najlepiej spojrzenie, jakim rozbłyły oczy kierowcy z Roadrunnera. Pam została rozpoznana.

— Nic nie mów, już wiem. — Kelly powiedział to z nienaturalnym spokojem. Zakręcił kierownicą jeszcze bardziej w lewo i nadepnął na pedał gazu, omijając sportowy kabriolecik. Po paru sekundach skręcili w lewo, za róg, by jak najszybciej wyjść z rejonu zagrożenia.

— Poznał mnie! — W głosie Pam wibrowała histeria.

— Nic się nie martw — odparł machinalnie Kelly, skupiony na obserwacji ulicy w lusterku wstecznym. — Już się stąd zabieramy. Jesteś ze mną, więc nic ci nie grozi.

W duchu Kelly wyklinał się jednak od idiotów. Co będzie, jeśli tamci ruszą w pościg? Ich wóz ma trzy razy tyle koni mechanicznych. . .

— To dobrze. — Pam powiedziała to w tej samej chwili, w której zza zakrętu — tego samego, który Kelly pokonał dwadzieścia sekund wcześniej — zamigotała para jasnych, nisko osadzonych reflektorów. Ścigającym ich samochodem zarzuciło przy skręcie. Podwójne reflektory. Nie ma co się łudzić, to nie Karmann-Ghia.

Instykt podpowiedział Kelly'emu, że jest niedobrze. Nie wiadomo jeszcze, co będzie, ale warto obudzić się i przetrzeć oczy.

I to już.

Kelly oburącz uchwycił kierownicę. Za wcześnie, żeby sięgać po pistolet. Najpierw trzeba ocenić sytuację, która rzeczywiście nie wyglądała dobrze. Scout nie nadawał się do zabaw w ściganego. Nie był nisko osadzonym, sportowym wozem, tylko terenówką z czterema cylinderkami pod maską. Plymouth Roadrunner miał osiem cylindrów, każdy z nich większy od zapasu mocy, jakim dysponował Kelly. Co gorsza, Roadrunner był zrywny i świetnie brał zakręty, podczas gdy Scout najlepiej się sprawdzał w jeździe po wertepach z prędkością dwadzieścia pięć na godzinę. Niedobrze.

Kelly patrzył to przed siebie, to w lusterko wsteczne. Nie odskoczyli daleko, a Roadrunner doganiał ich coraz prędzej. Prędko! Trzeba wykorzystać posiadane środki. Samochód nie był taki beznadziejny. Masywny jak czołg, z grubymi, solidnymi zderzakami i wysokim prześwitem. W sam raz, żeby kogoś staranować. Pal diabli karoserię. Plymouth to wóz dla ludzi, którzy lubią chuchać i pucować lakier, a Scout. . . Scout to broń, pod warunkiem, że się wie, jak jej użyć. Kelly otrząsnął się zupełnie z poprzedniego odrętwienia.

— Pam — powiedział jak tylko mógł najspokojniej. — Zrób mi przyjemność i przykucnij na podłodze, dobrze?

— A co, gonią. . . ? — Pam prawie się odwróciła. W jej głosie rozbrzmiewał strach. Kelly popchnął ją prawą ręką ku podłodze.

— Tak, wygląda, że za nami jadą. Nic się nie martw, ja już się nimi zajmę — obiecał Kelly, po cichu dumny, że tak spokojnie reaguje na sytuację. Owszem, byli w niebezpieczeństwie, ale dla Kelly'ego to przecież nie pierwszozna. Ocierał się o śmierć częściej niż fagasy z Roadrunnera. Skoro proszą się o lekcję pogładową, kij im w oko, doigrają się.

Kiedy Kelly skręcał ostro w lewo, poczuł mrowienie w rękach na kierownicy. Zaraz za zakrętem zahamował i znowu ostro skręcił, tym razem w prawo. Scout nie wchodził tak gładko jak Roadrunner, ale tutejsze ulice były szerokie, a kiedy jechało się przodem, można było sobie wybrać trajektorię i moment manewru. Kelly uznał, że choć ciężko będzie uciec pościgowi, wystarczy podjechać pod niedaleki posterunek policji. Tam bandziory nie odważą się ich nękać i ruszą w swoją stronę.

A jeżeli zaczną strzelać? Może uda im się nawet unieruchomić Scouta, lecz gdyby przyszło co do czego, Kelly miał swojego Colta, zapasowy magazynek i pudełko nabojów w schowku w desce rozdzielczej. Tamci mogą mieć broń, ale na pewno nie potrafią się nią sprawnie posługiwać. Wystarczy podpuścić ich bliżej, a wtedy... Ilu ich jest? Dwóch? A może trzech? Trzeba to było wcześniej sprawdzić. Kelly skarcił się za niedbalstwo i dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie miał ani sekundy czasu na obserwację.

Spojrzał znowu w lusterko i po paru sekundach doczekał się nagrody za cierpliwość. Światła przypadkowego samochodu omyły sylwetkę Roadrunnera. Trzech pasażerów. Kelly nie wiedział tylko, jaką posiadają broń. Jeżeli śrutówkę to niedobrze. Byłoby naprawdę źle, gdyby mieli przy sobie pistolet maszynowy. Tylko skąd? Uliczne szumowiny to nie wojsko.

Doświadczenie podszeptało jednak Kelly'emu, że nie może wykluczyć żadnej możliwości. Nawet takiej.

Na bliską odległość Colt, kalibru 0,45 cala, był bronią równie zabójczą, co strzelba. Kelly był wdzięczny losowi, że nie zaniedbywał cotygodniowych treningów. Znowu zakręcił w lewo, uświadamiając sobie, że w ostateczności może podpuścić przeciwników bliżej i wciągnąć ich w zasadzkę ogniową. Na temat zasadzek Kelly wiedział całkiem sporo. Zwabić, osaczyć, rozwalić.

Roadrunner był dziesięć metrów za nimi, a jego kierowcy wyraźnie skończyły się pomysły. Kelly nie zazdrościł mu kolejnej decyzji. Żadna sztuka dogonić wolniejszy samochód, sztuka dobrać się do faceta, który siedzi w metalowej skorupie o wadze jednej tony. I co teraz, przyjacielu? Może mnie staranujesz?

Nie. Drugi kierowca nie był pełnym idiotą. Z tylnego zderzaka Scouta sterzał hak holowniczy. Gdyby tamci próbowali Kelly'ego stuknąć, hak w mig przedziurawiłby im chłodnicę. Jaka szkoda.

Roadrunner zanurkował w prawo. Kelly w porę zauważył mignięcie świateł na asfalcie i kiedy drugi kierowca wycisnął pełną moc z ośmiu cylindrów swego wozu, sam także szarpnął kierownicą w prawo. Okazało się natychmiast, że prześladowca za nic w świecie nie chce sobie zadrapać lakieru. Zapiszczały hamulce. Roadrunner uniknął zderzenia, ale został z tyłu. Żałujemy paru centów na blacharza i czerwony lakier? Nareszcie dobra nowina! Kiedy Roadrunner spróbował zajechać ich od lewej, Kelly znów zagroził mu drogę. Wyścig przypominał mu regaty, w których chodzi o staranowanie drugiej żaglówki.

— Co się dzieje, John?! — zapytała Pam drżącym głosem.

— To się dzieje, że tamci trochę się pogubili.

— To wóz Billy'ego. On zawsze się ściga.

— Billy, powiadasz? Billy za bardzo kocha swój wozik. Jeżeli chcesz komuś zrobić krzywdę, musisz się liczyć z kosztami...

Aby zaskoczyć przeciwników, Kelly z całej siły nacisnął na hamulec. Scout prawie się zarył maską w asfalt, a Billy miał okazję obejrzeć sobie z bliska

chromowany hak holowniczy. Kelly natychmiast dodał gazu i odskoczył, obserwując w lusterku, co zrobią faceci z Roadrunnera. Było jasne, że chcą im nadal siedzieć na karku, ale boją się starcia. Normalne u takich butnych, zarozumiałych wypierdków.

Kelly wiedział już, co robi. Postanowił wciągnąć tamtych w pułapkę powoli, bez pośpiechu, tak by nie utrudniać sobie życia. Zdawał sobie sprawę, że manewr będzie wymagał uwagi i precyzji, i że trzeba już się zacząć rozglądać za odpowiednim miejscem. Z całej siły wcisnął gaz i zanurkował w kolejny zakręt. Omal ich nie okręciło wokół osi, lecz Kelly z góry wziął to pod uwagę. Wyszedł z zakrętu sprawnie, choć na tyle chwiejnie, że Billy — czy jak mu tam — z pewnością zaczął go lekceważyć jako kierowcę. Dzięki zwrotności i szerokim oponom Roadrunner łatwo wziął zakręt i nadal sunął nieco z tyłu i z prawej za Kellym. Jedno stuknięcie w zderzak i Scout poleci na najbliższą ścianę. Kierowca Roadrunnera uważał się już za pana sytuacji.

Pora działać.

Kelly nie mógł skręcić w prawo, gdzie czyhał Billy, więc ostro zakręcił kierownicą w lewo, w ulicę, która prowadziła przez rzędy pustych parceli. Widocznie przygotowywano teren pod kolejną autostradę. Gruzy wywieziono, a piwnice zasypano ziemią, którą wieczorna ulewa zmieniła w grząskie bagno.

Kelly spojrzął przez ramię na drugi wóz. Oho, coś się dzieje. Tamci opuszczali przednią prawą szybę. Nic, tylko przymierzają się do strzału. Uważaj, co robisz, Kelly... Trzeba było wykorzystać nawet taki rozwój sytuacji. Kelly pokazał tamtym swoją twarz: zagapił się w czerwony wóz, z otwartymi ustami i przerażoną miną. Potem znowu przydeptał hamulec i skręcił w bok. Scout przeskoczył ponad wysokim krawężnikiem. Było jasne, że ofiara wpadła w panikę. Pam aż krzyknęła, kiedy podrzuciło ich na wybojach.

Kierowca Roadrunnera dobrze wiedział, że ma mocniejszy silnik, lepsze opony i doskonałe hamulce, a oprócz tego pierwszorzędny refleks. Wiedział o tym także Kelly i właśnie na to liczył. Roadrunner także zahamował i zakręcił natychmiast w ślad za terenówką, ruszając przez krawężnik prosto na pusty plac, gdzie niegdyś stały domy. Czyniąc to, wpadł w pułapkę Kelly'ego, bo po dwudziestu metrach zwyczajnie ugrzązł w miejscu.

Kelly zdążył już zredukować bieg. Błoto było głębokie na dwadzieścia centymetrów, więc nie było jasne, czy i Scout nie utknie w nim na chwilę, ale skończyło się na strachu. Kelly poczuł, jak wóz zwalnia, jak tonie w kleistej mazi, jak duże opony z traktorowym bieżnikiem odzyskują przyczepność i wypychają Scouta z mokradła. Hurra. Dopiero teraz można się było śmiało obejrzeć.

Aby domyśleć się reszty, wystarczyło popatrzeć na reflektory. Niziutko zawieszony Roadrunner zjechał nagle w lewo, a kiedy jego szerokie koła zabukowały w galaretowatej mazi, zwolnił i wreszcie stanął. Potężny silnik wył na wysokich obrotach, ale obracające się koła kopały sobie tylko coraz głębszy grób.

Reflektory świeciły coraz bliżej powierzchni gruntu, a kiedy gorący blok silnika dotknął kałuż, spod Roadrunnera wzbily się kłęby pary.

Koniec wyścigu.

Z Roadrunnera wysiadła prędko trójka mężczyzn, lecz natychmiast przystanąła bezradnie. Nie w smak im było powalać sobie błotem lakierki. Czyściuteńki do niedawna samochód utknął w błocie niczym osowiała maciora. Plany wielkiej zemsty pokrzyżowały napastnikom głupi deszcz i błoto. Kelly ucieszył się, że nie zapomniał, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

Prześladowcy wpatrywali się w niego. Dzieliło ich trzydzieści metrów błota.

— I co, farmazoni?! — wrzasnął Kelly przez mżawkę. — Macie, o coście się prosili, kutasy!

Ruszył z miejsca, ostrożnie i nie spuszczać oka z Roadrunnera. Tylko temu zawdzięczał zwycięstwo w tym wyścigu: uwadze, sprytowi, doświadczeniu. I oczywiście odwadze, ale nad tą ostatnią cechą Kelly zastanawiał się tylko przez króciutką chwilę, ot, troszeczkę. Powoli wyprowadził Scouta na asfalt, wrzucił wyższy bieg i dodał gazu. Bryły błota odrywały się od opon i tłukły w nadkola.

— Dobra jest, Pam, możesz usiąść. Nieprędko ich zobaczymy.

Pam usłuchała i obejrzała się na sportowy wóz i zbladła, widząc go tak blisko.

— Jak tyś to zrobił?

— Dałem się im zapędzić w miejsce, które sam wybrałem — wyjaśnił Kelly. — Mają fajny samochód, w sam raz do wyścigów po ulicach, ale na bezdrożach jest do niczego.

Pam uśmiechnęła się, żeby mu zrobić przyjemność, nie dlatego, że czuła ulgę. Dalej się trzęsła, ale chciała pokazać Kelly'emu, że wcale tak nie jest. Kelly sprawdził czas. Następna zmiana zaczynała się na komendzie policji mniej więcej za godzinę. Ponieważ wyglądało, że Billy i jego załoga utknęli w błocie na dobre, mądrze byłoby gdzieś się przyczaić i poczekać, tym bardziej że Pam nadal wyglądała niewyraźnie. Kelly przejechał jeszcze kawałek, znalazł spokojną uliczkę i zatrzymał samochód.

— Jak się czujesz? — zagadnął.

— Tak się bałam. . . — Pam znowu się wzdrygnęła.

— Słuchaj, jeżeli chcesz, możemy z miejsca wracać na jacht i. . .

— Nie! To Billy mnie zgwałcił! To on zabił Helen! Muszę coś zrobić, bo inaczej zniszczy resztę dziewczyn.

Kelly rozumiał, że Pam przekonuje w tej chwili nie tyle jego, ile siebie samą. Bywał już świadkiem takich zachowań. Odwaga i strach chodzą w parze i nie da się ich rozdzielić. Tylko dzięki temu ludzie decydowali się na najbardziej niebezpieczne akcje i dobierali je sobie specjalnie, aby pokonać strach. Pam naoglądała się koszmaru, ale kiedy się z niego wyrwała, chciała tego samego dla innych.

— Jak chcesz. Ale po rozmowie z Frankiem wyrwyamy z tego Dodge City. Nic tu po nas.



— Naprawdę już się nie boję — skłamała Pam, wiedząc, że Kelly i tak się nie da nabrać. Zawstydziała się zaraz, nie rozumiejąc, z jakim taktem Kelly podchodzi do całej sytuacji. Kelly zaś chciał jej powiedzieć, że to prawda i że Pam naprawdę wygrała z własnym strachem. Zmilczał jednak. Innym razem. Zamiast tego, zadał nowe pytanie:

— Ile mają tych dziewczyn?

— Trzymają Doris, Xanthę, Paulę, Marię i Robertę... Wpadły tak samo jak ja, John. Była jeszcze Helen... Zabili ją, a nam kazali na to patrzeć.

— Jeśli się postaramy, znajdziemy na to wszystko jakiś sposób, kochanie. — Kelly objął ją mocno. Po pewnym czasie Pam przestała dygotać.

— Pić mi się chce — szepnęła.

— Sięgnij na tylne siedzenie, do torby.

— Zapomniałam. — Pam uśmiechnęła się i odwróciła się, żeby znaleźć Coca-Colę. Naraz zamarła bez ruchu i zachłysnęła się. Kelly poczuł na skórze znajome, nieprzyjemne mrowienie, podobne do ładunku elektrycznego. Sygnał niebezpieczeństwa.

— Kelly!!! — wrzasnęła Pam. Patrzyła w tył, w stronę lewego boku ich samochodu. Kelly sięgał już w półobrocie po pistolet, lecz zdecydował się na to zbyt późno i domyślał się z góry, że przegrał. Przemknęło mu przez mózg, że zrobił błąd, okropny i kosztowny błąd, tylko jaki? Kiedy? Potem zabrakło mu czasu na refleksje, bo zanim zdążył złapać rękojeść Colta, powietrze rozdarł błysk, a zaraz potem coś uderzyło go w głowę z taką siłą, że wszystko ogarnęła ciemność.

## 7 — Rekonwalescencja

Opuszczonego Scouta wypatrzył najzwyczajniejszy patrol policyjny. Szeregowy Chuck Monroe, w mundurze dopiero od półtora roku, więc od bardzo niedawna za kierownicą własnego radiowozu, od początku służby patrolowej rozmyślnie zapuszczał się w te okolice. Nie chodziło mu o to, by popędzić kota handlarzom, bo od czego w końcu są chłopcy z Wydziału Narkotyków, tylko o to, by przedefilować z flagą — jak się to mówiło w Piechocie Morskiej — i pokazać, że policja nie śpi. Monroe miał dwadzieścia pięć lat, niedawno się ożenił i stał się na tyle cyniczny, by to, co się działo w mieście, w dzielnicy, w której sam kiedyś dorastał, naprawdę go nie złościło. Scout zupełnie nie pasował do typowych samochodów na tych ulicach. Monroe postanowił rzecz sprawdzić i podjechał, żeby spisać numery. Dopiero wówczas uświadomił sobie z nagłym skurczem w okolicach serca, że lewy bok auta znaczą ślady co najmniej dwóch wystrzałów ze śrutówki. Pozostawało zrobić dokładnie to, co uczynił wówczas Monroe: zatrzymać radiowóz, włączyć podwójnego koguta na dachu i zawiadomić komisariat, że coś jest nie w porządku. Monroe wysiadł, przełożył pałkę do lewej ręki, a prawą dłoń położył na rękojeści służbowego rewolweru i dopiero wtedy podszedł do opuszczonego samochodu. Szedł powoli i uważnie, jak przystało na dobrze wyszkolonego funkcjonariusza, a po drodze wytężał wzrok.

— O, kurwa! — wyrwało mu się nagle. Powrotna droga do radiowozu zabrała mu raptem parę sekund. Po pierwsze, trzeba było wezwać inne patrole i grupę dochodzeniową, no i oczywiście pogotowie. Zaraz potem Monroe przekazał przez radio prosto do komendy numer rejestracyjny odnalezionego samochodu i dopiero wtedy z apteczką w ręku popędził z powrotem w stronę Scouta. Drzwi były zamknięte, ale strzał rozwalił boczną szybę w drobny mak. Monroe sięgnął do środka, by zwolnić zamek, ale na widok tego, co zobaczył, zamarł w miejscu.

Głowa spoczywała bezwładnie na kierownicy, nadal ściskanej lewą ręką. Prawa ręka opadła na podolek. Całe wnętrze samochodu było zbryzgane krwią. Człowiek ze Scouta nadal oddychał, co mocno zdziwiło policjanta. Widać było, że strzelano ze śrutówki, i że strzały zrobiły sito z karoserii i szyby wozu, zanim trafiły ofiarę w potylicę, szyję i górną część pleców. Z paru ran w skórze na odsłoniętej szyi sączyła się krew. Rany wyglądały równie okropnie jak te, które Monroe

widział do tej pory służąc w policji i piechocie morskiej, lecz mimo to człowiek za kierownicą żył. Fakt był na tyle niezwykły, że Monroe nie otworzył apteczki. Za parę minut powinna nadjechać karetka, a niewczesne próby opatrunku mogły pogorszyć sytuację, zamiast ją polepszyć. Monroe trzymał płaskie pudło apteczki pod pachą, niczym książkę, i bezradnie przyglądał się człowiekowi za kierownicą. Nie pozostawało mu nic, jak tylko czekać. Tyle dobrego, że frajer z auta był nieprzytomny.

Co to za jeden? Monroe jeszcze raz przesunął wzrokiem po bezwładnej postaci i uznał, że warto poszukać portfela. Przełożył prędko apteczkę do lewej ręki, a prawą sięgnął do wewnętrznej kieszeni rannego. Nie zdziwił się, kiedy kieszeń okazała się pusta. Gorzej, że niechcący wywołał reakcję ze strony rannego, który poruszył się nieznacznie. Niedobrze. Monroe położył dłoń na tułowiu rannego, by uniemożliwić mu ruchy, lecz wówczas poruszyła się także głowa, a głowę naprawdę lepiej było zostawić w spokoju. Idąc za pierwszym odruchem, Monroe poderwał dłoń i przytknął ją do czaszki rannego. Musiał trafić na wyjątkowo czuły punkt, bo mokrą, mroczną ulicę rozdarł jęk bólu. Potem ciało znów opadło bezwładnie na kierownicę.

— Kurwa, pardon, stary! — wybąkał Monroe, spojrzawszy na krew kapiącą mu z palców i odruchowo wytarł dłoń o granatowe spodnie. W tej chwili usłyszał potępienie wycie syreny karetki, nie z pogotowia lecz ze straży pożarnej. Widać była najbliższej. Monroe po cichu podziękował niebiosom, bo wiedział, że sanitariusze znają się na rzeczy i za chwilę wybawią go z kłopotu.

Nim upłynęło paręnaście sekund, sanitarka — duży, biało-czerwony furgon o kanciastym nadwoziu — wypadła z ząbka i zahamowała tuż przy radiowozie. Dwóch sanitariuszy od razu podeszło do policjanta.

— A co tu takiego mamy — w głosie strażaka-sanitariusza nie było pytającego tonu. Inna sprawa, że sytuacja była najzupełniej jasna. W tej części miasta i o tej godzinie nie mogło chodzić o wypadek uliczny. W tej branży podobne przypadki nazywano naukowo „urazem postrzałowym”.

— Ja cię kręcę!

Kiedy nadjechał następny radiowóz, drugi sanitariusz zawracał już po nosze.

— Coście mi tu wysmażyli? — zapytał sierżant dowodzący zmianą.

— Postrzał ze śrutówki, z bliska, ale facet przeżył! — padł meldunek.

— Te dziury w szyi, to kiepska sprawa — orzekł lakonicznie pierwszy sanitariusz.

— Kołnierz? — upewnił się jego kolega, pochylony nad pojemnikiem ze sprzętem.

— No, pewnie. Wiesz co będzie, jak gość spróbuje poruszyć łbem. . . A, niech to! — Pierwszy łapiduch chwycił rannego za głowę, by ją unieruchomić.

— Miał papiery? — pytał tymczasem sierżant.

— Portfela nie znalazłem.

— Tablice?

— Przekazałem numery. Zaraz powinni coś wiedzieć.

Sierżant omiół latarką wewnątrz Scouta, by ułatwić zadanie sanitariuszom. Pełno krwi, poza tym wóz pusty. Na tylnym siedzeniu stało plastikowe pudło, takie jak na żywność.

— Co jeszcze? — padło pod adresem Monroe.

— Kiedy nadjechałem, było zupełnie pusto. To było. . . — Monroe spojrzął na zegarek. — Tak, jedenaście minut temu.

Obaj policjanci odstąpili, robiąc przejście sanitariuszom.

— Widzieliście już faceta w tej dzielnicy?

— Nie, panie sierżancie.

— Aha. No, to przepatrzcie chodnik.

— Tak jest — potwierdził Monroe i kwadrat po kwadracie zaczął sprawdzać sąsiedztwo wozu.

— Ciekawe, o co tu chodzi? — mruknął sierżant sam do siebie. Tak to bywa: ciało, krew, ale o najważniejszych sprawach być może człowiek nie dowie się nigdy. W tej okolicy mało które śledztwo w sprawie zabójstwa kończyło się konkretnym wynikiem. Dla sierżanta stanowiło to jeszcze jeden powód do kwaśnego humoru.

— Jak tam nasz klient, Mike? — zwrócił się do starszego z sanitariuszy.

— A jak ma być, Bert? Prawie się wykrwawił. Rzeczywiście dostał ze śrutówki — potwierdził zapytany, kończąc mocować sztywny piankowy kołnierz na szyi rannego. — W karku cała masa śrutu, w paru miejscach ołów tuż przy kręgosłupie. Krucha sprawa.

— Gdzie go zabieracie?

— W szpitalu uniwersyteckim mają komplet — przypomniał im młodszy sanitariusz. — Po tym wypadku autobusowym na obwodnicy. To co, tylko John Hopkins?

— Stracimy dodatkowe dziesięć minut — Mike zaklął. — Dobra, Phil, siadaj za kółko i podaj przez radio, co się dzieje, niech znajdą jakiegoś neurochirurga i czekają.

— Już podaję.

Sanitariusze dźwignęli ciało na opatrzone kółkami nosze. Ranny mimo swego stanu zareagował, więc dwóch policjantów — z trzech radiowozów, które tymczasem zajechały — pomogło go przytrzymać. Sanitariusze zacisnęli pasy.

— Lepiej byś się tak nie rzucał, koleś. Zaraz będziesz w szpitalu, może cię połatają — odezwał się Phil, choć nie miał najmniejszej gwarancji, że ranny słyszy. — To co, Mike, toczymy się!

Wsunęli nosze do karetki. Mike Eaton, jako bardziej doświadczony, wsiadł i z miejsca zaczął szykować kroplówkę z plazmą. Wbić igłę nie było tak łatwo, tym bardziej że ranny leżał na brzuchu, ale udało się to wreszcie, dokładnie

w chwili, kiedy karetka ruszyła. Jazda do kliniki uniwersytetu John Hopkins zajęła szesnaście minut. Mike przez cały ten czas sprawdzał, czy ranny daje oznaki życia, bo ciśnienie krwi zaczęło niebezpiecznie spadać. Przy okazji Mike wpisał do formularza szczegóły interwencji.

Ciekawiło go, kim jest bezwładny podopieczny. Na pierwszy rzut oka widać było, że wysportowany. Lat dwadzieścia sześć, może siedem. Jedno i drugie nie pasowało do obrazu handlarza narkotyków. Na stojąco, nie na noszach, taki gość mógł napędzić człowiekowi stracha, ale teraz? Teraz ze zwalistego mężczyzny zmienił się w pogrążonego we śnie, monstrualnego dzieciaka, który z otwartymi ustami łyka tlen pod przezroczystą maską. Sanitariusz znów się zaniepokoił, bo oddech był płytki i niepokojąco powolny.

— Gazu! — polecił kierowcy, Philowi Marconiemu.

— Trochę mokro, Mike, szybciej nie dam rady.

— Bez kitu, Phil! Jesteś makaroniarzem i nie jeździsz jak szajbus?

— Może jeżdżę, ale przynajmniej tyle nie chleję, ile ci twoi! — roześmiał się Phil zza kierownicy. — Łączyłem się przed chwilą ze szpitalem, majster od mózgów już czeka. Podobno spokojny dyżur, spadliśmy im jak z nieba.

— I dobrze — mruknął pod nosem Eaton, zajęty swoim rannym. Na stanowisku z tyłu karetki czuł się czasami samotnie, a bywało, że się zwyczajnie bał. Całe szczęście, że syrena tak wyje i człowiek nie słyszy własnych myśli. Z noszy kapały wciąż nowe krople krwi i rozbiegały się po podłodze karetki jak żywe stworzenia. Eaton pomyślał, że co jak co, ale do takich atrakcji nigdy się już nie przyzwyczai. Nie ma siły.

— Dwie minuty! — krzyknął zza kierownicy Marconi. Eaton przesunął się na sam tył karetki, gotowy, by otworzyć drzwi. Niewiele później poczuł, że karetka ostro zakręca, hamuje, cofa się i znów zatrzymuje, już na dobre. Zanim zdążył sam otworzyć drzwi, szpitalni sanitariusze szarpnęli za klamki.

— Ale kaszana! — zdumiał się młody praktykant. — Dobra, bierzcie go od razu na trójkę!

Dwóch krępych sanitariuszy wyszarpnęło nosze. Eaton ledwie zdążył zdjąć butelkę z kroplówką ze stojaka, ale po chwili miał ją w rękach i poniósł w ślad za noszami.

— Podobno w uniwersyteckim pełno? — zagadnął praktykant.

— Autobus się rozchrzanił — poinformował usłużnie Marconi, który zdążył już do nich dobiec.

— U nas i tak będzie miał lepiej. Kurczę blade, ten facet nie poślizgnął się na skórcie od banana. — Młody lekarz w marszu pochylił się nad noszami i dokonał szybkich oględzin. — Gość ma w tej ręce ze sto śrucin!

— Dopiero się pan zdziwi, jak odsłonimy kark — zapewnił go Eaton.

— Zając, nie facet, cholera jasna. . . — wymamrotał niepewnie praktykant.

Nosze wjechały do obszernej sali ostrego dyżuru. W kącie, za przepierzeniem, czekało wolne miejsce. Piątka medyków przeniosła rannego z wózka na stół zabiegowy i wzięła się do pracy. Z boku czekał już następny lekarz, a z nim dwie pielęgniarki.

Praktykant, Cliff Severn, sięgnął do zatrząsków i po upewnieniu się, że sanitariusze podłożyli pod głowę rannego specjalne woreczki z piaskiem, zsunął mu piankowy kołnierz. Do diagnozy wystarczył jeden rzut oka.

— Prawdopodobnie rdzeń kręgowy — orzekł z miejsca. — Dobra, na razie zatamujemy upływ krwi.

Wydał serię szybkich poleceń. Pielęgniarki podłączyły jeszcze dwie kroplówki, a Severn zsunął rannemu buty i ostrym metalowym przyrządem zrobił mu krechę wzdłuż lewej stopy. Stopa drgnęła. Świetnie: nerwy na razie działają, nie ma paraliżu. Praktykant nakłuł nogi ofiary jeszcze w kilku miejscach. Odruchy okazały się prawidłowe. No, no.

Jedna z pielęgniarek zdążyła tymczasem pobrać krew do analizy. Choć cała krzątająca mogła się wydawać chaotyczna, była w niej taka sama metoda jak w przetasowaniach drużyny piłkarskiej po wielomiesięcznym wspólnym treningu.

— Gdzie ten nasz neuro, do cholery! — mruknął Severn do siebie.

— A, jestem! — zabrzmiał nowy głos. Severn podniósł głowę znad stołu.

— O, pan profesor Rosen!

Nie padli sobie w objęcia na przywitanie, chociażby dlatego, że Sam Rosen był wściekły. Praktykant zorientował się w tym od razu i wcale się nie dziwił. Dla Rosena była to dwudziesta godzina dyżuru. Najbardziej zgnębiła go rutynowa operacja, która nieoczekiwanie przerodziła się w sześciogodzinny maraton, by ocalić życie starszej kobiecie, ofiarze upadku ze schodów. Niecałą godzinę temu sanitariusze zakryli jej zwłoki prześcieradłem. Sam powtarzał sobie, że operacja musiała się udać, musiała! Nie miał pojęcia, jak to się stało, że pacjentka zmarła mu na stole i był właściwie wdzięczny losowi, że ten piekielny dyżur przyniósł następną atrakcję. Może uda się przynajmniej tym razem.

— Co tam macie? — zapytał szorstko.

— Postrzał ze śrutówki, panie profesorze. Parę ziarenek tuż przy rdzeniu kręgowym.

— Aha. — Rosen zaplótł ręce na plecach, po czym nachylił się nad spoczywającym na brzuchu rannym. — A to szkło skąd?

— Postrzelono go w samochodzie — odezwał się Eaton zza przepierzenia.

— Usunąć, ogolić głowę — polecił Rosen, studiując ranę. — Ciśnienie?

— Pięćdziesiąt na trzydzieści — podała wynik siostra. — Puls 140, niewyraźny.

— Zanosz się na dłuższą zabawę — uprzedził wszystkich Rosen. — Ranny jest w takim szoku, że... Hmm... — I po namyśle dokończył: — Na oko pacjent się jakoś trzyma, mięśnie nie zwiotczały, więc jeśli tylko podamy krew...

Zanim Rosen dokończył kwestię, pielęgniarki podpinały już następne kroplówki, tym razem z krwią. Obsada z sali ostrego dyżuru znała swój fach. Rosen okazał swoje uznanie lekkim skinieniem głowy.

— Jak tam pani syn, Margaret? — zagadnął starszą z pary dyplomowanych pielęgniarek.

— We wrześniu zaczyna studia na Carnegie — odrzekła zapytana, nastawiając prędkość wypływu u wylotu woreczka z krwią.

— Jak pani skończy, proszę zaraz oczyścić szyję, muszę ją obejrzeć.

— Dobrze, panie profesorze.

Siostra pochwyliła szczypcy chirurgiczne, złapała nimi kłębek waty, zanurzyła w wodzie destylowanej i ostrożnie przesunęła tamponem po karku pacjenta, zmywając krew i odsłaniając kolejne rany. Zorientowała się od razu, że postrzał wygląda groźniej niż w rzeczywistości. Kiedy oczyszczała pole, Rosen kazał sobie podać sterylne fartuch. Kiedy wrócił do stołu, Margaret Wilson czekała już z otwartym autoklawem z narzędziami. Eaton i Marconi stali z boku i obserwowali, co będzie dalej.

— Ładnie to pani wyszło — rzucił Rosen pod adresem Margaret i nasadził na nos okulary. — A syn, z czego chce robić dyplom?

— Z inżynierii.

— Świetnie, świetnie — Rosen podniósł rękę i zażądał: — Pęseta!

Siostra Wilson podała mu instrument.

— Dla dobrego inżyniera zawsze się coś znajdzie — podjął swoją kwestię Rosen. Na początek wybrał małą, okrągłą dziurkę w ramieniu pacjenta, możliwie daleko od newralgicznych miejsc. Z delikatnością wręcz komiczną jak na rozmiary dłoni, zbadał otwór i wy dobył z niego pojedynczą ołowianą kulkę. Uniósł ją zaraz pod światło.

— To mi wygląda na śrut numer siedem. Ktoś wziął naszego pacjenta za gołębia. I całe szczęście, że tylko siódemka — dodał pod adresem sanitariuszy z karetki. Znając rozmiar śrutu i prawdopodobną głębokość poszczególnych ran, mógł śmiało nachylić się nad karkiem pacjenta. — Hmm... Jak jego ciśnienie?

— Już sprawdzam — odpowiedziała pielęgniarka przy drugim końcu stołu. — Pięćdziesiąt pięć na czterdzieści. Rośnie.

— Dziękuję — odmruknął Rosen, nie odrywając oczu od pacjenta. — Kto założył pierwszą kroplówkę?

— Ja! — wyrwał się Eaton.

— Strażak, a jaki fachowiec! — pochwalił Rosen i mrugnął do sanitariusza. — Czasami myślę sobie, że to wy ratujecie więcej ludzi, a nie my. Wszystko jedno, ale tego faceta uratowaliście na pewno.

— Miło słyszeć — skwitował pochwałę Eaton, który z Rosenem zetknął się pierwszy raz, ale coś już o nim zdążył usłyszeć. Profesor najwyraźniej dorastał do swej świetnej reputacji. Nie co dzień szycha z takiej kliniki jak John Hopkins

docenia wysiłki zwykłego sanitariusza ze straży pożarnej. — To co z nim będzie? To znaczy z rdzeniem i w ogóle? Rosen zamierzał to właśnie zbadać.

— Jak odruchy, doktorze Severn? — zapytał praktykanta.

— Pozytywne. Babińskiego dobry. W kończynach brak wyraźnych objawów utraty czucia — pośpieszył z odpowiedzią Severn, który czuł się jak na egzaminie i bardzo się denerwował.

— Kto wie, może ten uraz nie jest aż taki poważny. Musimy tylko raz dwa oczyścić ranę, zanim śrut zacznie wędrować. Dwie godziny panu wystarczą? — zapytał Severna, spodziewając się słusznie, że przy urazach praktykant okaże się zręczniejszym z nich dwóch.

— Dwie, może trzy.

— Doskonale. Ja się tymczasem zdrzemnę. — Rosen spojrzął na zegarek. Przejmę go od pana, bo ja wiem. . . Powiedzmy, o szóstej.

— Chce pan osobiście zrobić zabieg?

— A czemu nie? Jestem na miejscu, sprawa nieskomplikowana, kwestia odrobiny zręczności — odpowiedział Rosen, przekonany że od czasu do czasu, powiedzmy raz na miesiąc, i jemu należy się jakiś prosty przypadek. Jako profesor musiał co rusz zajmować się tymi najcięższymi.

— Jak tylko pan uważa.

— Mamy już dane pacjenta?

— Nie, panie profesorze — odezwał się Marconi. — Policja ma się zjawić za parę minut.

— Dobrze. — Rosen podniósł się i przeciągnął. — Niech mi pani powie, Margaret, czy to przyzwoite, żeby pracować o takich godzinach?

— Ja tam się lubię przestawiać — odrzekła mu siostra Wilson, nie dodając nawet, że jako kierowniczką zmiany nie ma szczególnego wyboru.

Ciekawe, co to takiego? — odezwała się po chwili.

— Co niby? — Rosen dopiero teraz podszedł do drugiej strony stołu. Reszta ekipy zabrała się tymczasem do pracy.

— No, ten tatuaż na przedramieniu — wyjaśniła siostra Wilson. Pokazała, o co chodzi i zdumiała się, widząc reakcję profesora Rosena.

\* \* \*

Kelly nie miał zwykle żadnych trudności z przechodzeniem od snu do jawy, lecz tym razem było inaczej. Kiedy trochę już zebrał myśli, przede wszystkim poczuł zaskoczenie. W ślad za niepewnością zjawiał się ból, czy może nie tyle ból, ile przytłumiona przestroga, że będzie bolało, i to mocno. Kelly zdał sobie wreszcie sprawę, że może otworzyć oczy, ale kiedy to uczynił, dostrzegł tylko szarą podłogę z linoleum. Kilka rozlanych po podłodze kropel odbijało rząd jarzeniówek



na suficie. Poczul w oczach klujące igły i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że klują go zupełnie inne igły, prawdziwe.

Żyję, pomyślał. I zaraz zapytał: Dlaczego mnie to tak dziwi?

Wokół siebie słyszał ludzką krzątaninę. Przytłumione uwagi, jakieś dalekie dzwonki. Natrętny szum powietrza dał się łatwo wyjaśnić — tuż nad łóżkiem musiała się znajdować kratka klimatyzatora, bo Kelly stale czuł na karku chłodny powiew. Coś podszepnęło mu, że powinien się poruszyć, wstać, bo leżąc nieruchomo pozostaje bezbronny, ale kiedy spróbował zmusić się do wysiłku, nie przyniosło to żadnego skutku. Za to ból obwieścił swe nadejście, stopniowo, jak kręgi na stawie, o którego powierzchnię uderzył chrząszcz. Ból zaczynał się gdzieś głęboko w lewym ramieniu i promieniował stamtąd na wszystkie strony. Dziwny ból. Kelly czuł się tak, jak gdyby poparzyło go słońce, bo cała powierzchnia skóry, od lewego ucha aż po lewy łokieć, piekła go żywym ogniem. W tej samej chwili uświadomił sobie, że o czymś zapomniał. Zapomniał o czymś bardzo ważnym.

Gdzie ja jestem, do kurwy nędzy?

Przez chwilę Kelly miał wrażenie, że czuje stłumioną wibrację. Tylko jaką? Wibrację maszyn okrętowych? Nie, taka możliwość nie pasowała mu do całej reszty. Minęło kilka sekund, nim się zorientował, że słyszy miejski autobus, ruszający z przystanku. Miasto. A więc nie statek. Tylko skąd tu jakieś miasto?

Kelly poczuł na twarzy cień, a kiedy otworzył oczy, miał na wprost siebie postać ubraną w jasnozielony bawełniany fartuch. Postać trzymała w ręku podkładkę, pewno z jakąś kartą. Kelly widział ją zbyt niewyraźnie by poznać, czy to mężczyzna czy kobieta. Nie przyszło mu nawet do głowy, by się odezwać i o cokolwiek zapytać. Jeszcze parę sekund i znów zapadł w sen.

— Postrzał w ramię, rozległy, zgoda, ale powierzchowny — tłumaczył Rosen neurochirurgowi-stażystce. Stali dziesięć metrów od łóżka pacjenta.

— Wykrwawił się i tak. Transfuzja z czterech jednostek krwi — przypomniła mu młoda lekarka.

— Tak to już bywa przy postrzale ze śrutówki. Na szczęście tylko w jednym miejscu bałem się o rdzeń kręgowy. Trochę się nagłowiłem, jak wyjąć śrut, żeby niczego nie uszkodzić, ale jakoś poszło.

— Dwieście trzydzieści siedem śrucin, ale udało się — przyznała stażystka, podnosząc do światła kliszę rentgenowską. — Wygląda, że je pan powyciągał co do jednej. Pacjent będzie miał na pamiątkę piękną kolekcję piegów.

— Może się udało, ale też siedzieliśmy nad tym. . . — sapnął wymęczony Sam Rosen. Wiedział, że lepiej byłoby powierzyć zabieg komuś innemu, lecz ostatecznie sam się zgłosił na ochotnika, więc o cóż te pretensje?

— Pan zdaje się zna tego pacjenta? — upewniła się Sandy O'Toole, która wyszła właśnie z sali intensywnej terapii.

— Znam.

— Dochodzi do siebie, ale to jeszcze potrwa. — Mówiąc to, O'Toole podała wykres z najnowszymi danymi o stanie pacjenta. — Wygląda to zupełnie dobrze, panie profesorze.

Rosen potwierdził kwestię skinieniem głowy i znów wyjaśnił stażystce:

— Po pierwsze, pacjent w doskonałej kondycji fizycznej. Po drugie, sanitariusze popisali się, bo umieli podtrzymać ciśnienie krwi. Gość prawie się nam wykrwawił, ale rany wyglądały o wiele gorzej niż w rzeczywistości. Aha, Sandy?

— Tak, panie profesorze? — Pielęgniarka odwróciła się natychmiast.

— Ten pacjent to mój znajomy. Czy nie sprawiłoby pani kłopotu, gdybym poprosił, żeby...

— Żebym się nim trochę zajęła?

— Jest pani naszą najlepszą pielęgniarką.

— Jakies specjalne wymagania? — zapytała Sandy O'Toole, zadowolona z komplementu.

— To porządny człowiek — odpowiedział Sam Rosen najpoważniej w świecie. — Sarah też go bardzo lubi.

— W takim razie naprawdę muszę się nim dobrze zająć — z tymi słowy O'Toole skierowała się z powrotem do łóżka pacjenta. Nie była wcale pewna, czy profesor przypadkiem znów się nie bawi w swatkę.

— Co mam powiedzieć tym z policji?

— Muszą poczekać. Minimum cztery godziny. Chcę być przy tej rozmowie. — Rosen spojrzął na szklany dzbanek z kawą i pomyślał, że co za dużo, to niezdrowo. Jeszcze jedna kawa i przeżarty kwasami żołądek pęknie mu jak balon.

— Więc kto to taki?

— Sam nie wiem, tak do końca. Ostatnio pływaliśmy po Zatoce i coś się nam zepsuło. Pomógł nam i zaprosił do siebie. Zostaliśmy u niego w domu aż do poniedziałku.

Rosen powstrzymał się od dalszego ciągu. Nie znał wprawdzie wszystkich szczegółów, lecz domyślał się aż za wiele i zaczynał się naprawdę bać o Kelly'ego. Pomógł mu na ile tylko mógł. Nie ocalił wprawdzie Kelly'emu życia — uczynili to sanitariusze, no i szczęśliwy los — lecz dokonał na nim popisowej wręcz operacji. Przy okazji udało mu się zdenerwować stażystkę, doktor Annę Pretlow, która zamiast sama operować, musiała stać z boku i przyglądać się ręce mistrza.

— A teraz muszę się trochę przespać — odezwał się do niej. — Dzisiaj mam zdaje się mało zajęć, prawda? Sprawdź pani, jak tam stan pani Baker po zabiegu?

— Naturalnie, panie profesorze.

— Aha, i niech mnie ktoś obudzi za trzy godziny — przypomniał Rosen w drodze do gabinetu, gdzie czekała na niego wygodna kanapa.

\* \* \*

— Milutka ta opalenizna — zauważył Billy z drwiącym uśmiechem. — Ciekawe, gdzie się tak spiekła ta nasza Pam.

Odpowiedział mu chóralny śmiech pozostałych.

— To co z nią teraz zrobimy?

Henry zastanowił się przez chwilę. Odkrył właśnie doskonały sposób na pozbycie się dowolnej ilości zwłok, o wiele bardziej higieniczny niż dotychczasowe, lecz wymagałby on kolejnego długiego rejsu motorówką, a na to akurat nie było zupełnie czasu. Poza tym źle by się stało, gdyby o metodzie dowiedzieli się pozostali: była na to po prostu za dobra. Henry miał stuprocentową pewność, że któryś z podwładnych zaraz by o niej wychlapał. Jeszcze jeden stały kłopot, z którym się przychodziło borykać.

— Znajdźcie jakieś dobre miejsce — odezwał się po namyśle. — Mogą ją sobie znaleźć, i tak nic się nie stanie.

Rozejrzał się po pokoju, zapisując w pamięci wyrazy twarzy wszystkich obecnych. Lekcja nie poszła na marne. Było jasne, że przez długi, długi czas nikt nie poważy się na następny taki numer. Nie trzeba było nawet mówić tego głośno.

— Teraz, zaraz? Lepiej będzie w nocy.

— Może być w nocy. Nie ma pośpiechu.

Rzeczywiście, nie było co się śpieszyć, tym bardziej że widok zwłok na środku pokoju mógł przez resztę dnia służyć jako lekcja pogładowa. Henry'ego wszystko to bawiło tylko trochę, ale dyscyplina musi być, trudno. Nawet jeśli ktoś zbłądził tak, że za późno na poprawę, smutny koniec może posłużyć jako nauka dla innych. Trudno było o wyraźniejszą i bardziej bolesną nauczkę. Takiego wrażenia nie mogły przesłonić nawet narkotyki.

— A co z klientem? — zapytał jeszcze Billy'ego.

Drwiący uśmiech musiał stanowić ulubioną minę Billy'ego, bo znów wypłynął mu na twarz.

— Rozwaliłem gościa. Z obu łuf, na trzy metry. Szuru, buru, cześć, cześć.

— I dobrze — skwitował rzecz Henry, po czym wyszedł. Czekwały go obowiązki. Robota, a przy okazji ściągnie się parę długów. Przynajmniej jeden kłopot z głowy. Idąc w stronę samochodu, Henry żałował po cichu, że nie da się wszystkich spraw załatwić w równie prosty sposób.

Zwłoki zostały na miejscu. Doris i pozostałe dziewczyny nadal tkwiły pod ścianami pokoju, nie zdolne nawet do tego, by oderwać wzrok od dawnej przyjaciółki. Tak, jak sobie tego życzył Henry, uczyły się na przykładach.

\* \* \*

Kelly uświadomił sobie mętnie, że gdzieś go wiozą. Pod sobą słyszał szum kółek o podłogę, a szparki między płytami wykładziny przepływały mu przed oczami jak klatki filmu. Przewieziono go do innej sali, dużo mniejszej niż ta pierwsza. Tym razem spróbował unieść głowę. Udało mu się to tylko na parę centymetrów, tylko na tyle, by dojrzeć nogi jakiejś kobiety. Jasnozielone chirurgiczne spodnie kończyły się nad kostkami, a kostki, tak, kostki były w oczywisty sposób kobiece. . . Rozległ się warkot, a cały horyzont natychmiast przesunął się ku dołowi. Kelly dopiero po chwili zrozumiał, że leży na automatycznym szpitalnym łóżku, zawieszony między parą obręczy z nierdzewnej stali. Jego ciało w niewytłumaczalny sposób samo trzymało się łóżka. Dopiero kiedy platforma przesunęła się trochę, Kelly poczuł ucisk w miejscach, w których przypięto go pasami. Nie bolało go to zresztą. Kiedy przesunął wzrokiem po pomieszczeniu, spostrzegł nad sobą kobietę, może rok czy dwa młodszą od siebie, z kasztanowymi włosami upiętymi pod pielęgniarskim czepkiem. Jasne oczy pielęgniarki miały przyjacielski wyraz.

— Dzień dobry — dobiegły go zza maseczki chirurgicznej jej słowa. — Będę się panem opiekować.

— Gdzie ja jestem? — wychrypiał Kelly.

— W klinice uniwersyteckiej John Hopkins.

— Ale co się. . .

— Ktoś do pana strzelał — wyjaśniła pielęgniarka i wzięła go za rękę. Skojarzenie, jakie się wiązało z tym miękkim dotykiem, przedarło się przez opar środków przeciwbólowych i ukłuło Kelly'ego, który jednak przed dłuższą chwilę nie mógł sobie uświadomić, co go tak niepokoi. Lęk zawirował mu w głowie, a po chwili zaczął się układać w wyraźny obraz, którego poszczególne części kolejno znajdowały swoje miejsce. Kelly'emu pilno było poskładać obraz w całość, choć coś ostrzegało go, że kiedy się tak stanie, nastąpi chwila prawdziwego przerażenia.

O wyniku tych myślowych zmagania zdecydowała niechęć pielęgniarka, Sandy O'Toole. Umyślnie nie zdjęła do tej pory maseczki chirurgicznej. Była niebrzydka i podobnie jak wiele pielęgniarek uważała, że pacjenci płci męskiej szybciej wracają do zdrowia kiedy myślą, że zależy na tym ładnej kobiecie. Skoro więc pacjent Kelly zaczął dochodzić do przytomności, O'Toole rozsypała tasiemki maski, by na dzień dobry, na lepszy początek, posłać mu promienny uśmiech. O'Toole podobała się mężczyznom, wręcz ich zachwycała wysokim wzrostem, prężnym ciałem i szczegółami urody, takimi jak szparka między przednimi zębami. Sandy zachodziła czasem w głowę, dlaczego tak szaleją właśnie za tym ostatnim drobiazgiem, ale skoro tak było, dlaczego nie posłużyć się i tą bronią w walce o uleczenie pacjenta? Uśmiechnęła się więc do Kelly'ego w przekonaniu

niu, że wprawi go w lepszy humor. Skutki okazały się tak fatalne, jak jeszcze nigdy w jej pielęgniarstwie.

Pacjent zbladł przeraźliwie. Jego twarz nie stała się kredowo biała, ale chorobliwie szara. O'Toole pomyślała w pierwszej chwili, że Kelly doznał zapaści albo obfitego wewnętrznego krwotoku — może nawet wylewu do mózgu, co mogło być skutkiem skrzepu. Gdyby mógł, zacząłby pewnie krzyczeć, ale stracił oddech, a ręce opadły mu bezwładnie na pościel. Przez cały ten czas Kelly nie odrywał wzroku od twarzy O'Toole, która dopiero po chwili zorientowała się, że to ona sama jest przyczyną szoku. W pierwszym odruchu chciała ścisnąć pacjenta za rękę i powiedzieć mu, że wszystko jest dobrze, ale nie uczyniła tego. Wiedziała, że to nieprawda.

— Boże, o Boże... Pam!

Sympatyczną, wyrazistą i męską twarz pacjenta oblekł wyraz najczarniejszej rozpacz.

\* \* \*

— Była ze mną w samochodzie — tłumaczył Kelly Rosenowi parę minut później. — Nie wiesz, co się z nią stało? Nic nie słyszałeś?

— Nie, John. Policja będzie tu za parę minut, może oni... Pewnie zabrano ją do innego szpitala.

Chirurg próbował zostawić Kelly'emu choćby strzęp nadziei. Nie znosił kłamstw i nienawidził w tej chwili samego siebie za tak nieudolne wykręty. Umyślnie sam zmierzył Kelly'emu ciśnienie i temperaturę, co równie dobrze mogła zrobić Sandy, a potem wziął się za oględziny poranionych pleców.

— Wygląda mi, że się z tego wygrzebiez. Jak to ramię?

— Kiepsko, Sam — wybełkotał wciąż oszołomiony Kelly. — Mocno dostałem?

— Ze śrutówki. Owszem, mocno, ale na szczęście... Miałeś w wozie zamknięte okno?

— Aha — potwierdził Kelly, przypominając sobie deszczowe ulice.

— Między innymi temu zawdzięczasz, że żyjesz. Mięśnie ramienia solidnie poharatane, do tego wykrwawiłeś się prawie na śmierć, ale nie zostaną ci żadne trwałe urazy. Tylko blizny. Sam cię operowałem.

Kelly ożywił się.

— Dzięki, Sam. Wcale tak bardzo nie boli. Poprzednim razem, jak dostałem, było gorzej...

— Nie gadaj tyle, John — rozkazał łagodnym głosem Rosen i uważnie przyjrzał się jego szyi. Zanotował w myślach, że trzeba koniecznie zrobić dodatkową

serię zdjęć, żeby się upewnić, czy w pobliżu kręgosłupa nie została ani jedna drobina ołowiu. — Ten środek przeciwbólowy zaraz zacznie działać, więc nie musisz strugać bohatera. U nas nie ma za to dodatkowych punktów. Umowa stoi?

— Stoi. Sam, proszę cię... Sprawdź w tych innych szpitalach, co z Pam? Proszę... — Kelly mówił to z nadzieją w głosie, choć miał niestety pewność, że wysiłki okażą się daremne.

Przez cały czas, kiedy Kelly dochodził do siebie, przed salą czekała para mundurowych policjantów. Rosen po chwili wpuścił starszego z nich do środka, polecając mu ograniczyć przesłuchanie do minimum. Policjant sprawdził tożsamość Kelly'ego i zapytał go o Pam. Od Rosena zdążył już uzyskać rysopis dziewczyny, ale potrzebował jej nazwiska. Policjant zapisał też sobie, że Kelly i Pam jechali na spotkanie z porucznikiem Allenem i po paru minutach poszedł sobie. Kelly zaczął zasypiać. Szok po zranieniu i operacji w połączeniu z działaniem leków i tak osłabiały znaczenie tego, co mówił. Rosen nie omieszkał tego wytknąć policjantowi.

— Dobrze, ale kim jest ta dziewczyna? — usłyszał w odpowiedzi.

— Nie wiem. Sam dopiero teraz poznałem jej nazwisko — wyjaśnił mu chirurg już w gabinecie. Z braku snu kręciło mu się trochę w głowie, a to, co mówił, również nie bardzo się składało w całość. — Kiedy ją poznałem, to znaczy ją i jego, dziewczyna była uzależniona od leków. Od barbituranów. Zdaje się, że mieszkali razem. Pomogliśmy jej rzucić prochy.

— To znaczy pan, i kto?

— Ja i Sarah, moja żona. Pracuje tu na farmakologii. Jeśli trzeba, może pan z nią porozmawiać.

— Porozmawiamy — zapewnił go policjant. — A pan Kelly, co to za jeden?

— Służył w Marynarce. Był w Wietnamie.

— A czy pana zdaniem też bierze narkotyki?

— Ale gdzie tam! — uciał natychmiast Rosen. — Jest w za dobrej formie jak na ćpacza. Poza tym widziałem, jak zareagował, kiedy się okazało, że Pam jest na prochach. Musiałem go osobiście uspokajać. Nie, proszę pana, jako doktor zaraz bym to zauważył.

Policjant nie wyglądał na szczególnie przekonanego tymi argumentami, ale zanotował je sobie, przekonany, że ekipa śledcza będzie miała kupę zabawy z nową sprawą. To, co początkowo zakrawało na zwykły napad rabunkowy, okazało się porwaniem i nie wiadomo, czym jeszcze. Świetnie, świetnie.

— W takim razie po co pan Kelly się wybrał do tamtej części miasta?

— Tego nie wiem — przyznał Sam. — Aha, a ten porucznik Allen, to kto?

— Z Wydziału Zabójstw, z zachodniej komendy — wyjaśnił mu gliniarz.

— Ciekawe, o czym mieli rozmawiać.

— Tego dowiemy się pewnie od porucznika, panie doktorze.

— Myśli pan, że to był napad, rabunek?

— Chyba tak. Wszystko na to wskazuje. Ulicę dalej znaleźliśmy portfel pana Kelly'ego, bez pieniędzy i kart kredytowych. Zostało tylko prawo jazdy. Okazało się, że pan Kelly miał w samochodzie broń. Ci, którzy go obrobili, musieli ją przegapić. Nie muszę panu mówić, że wożenie przy sobie nabitej broni jest nielegalne.

Do gabinetu zapukał drugi z policjantów.

— Jeszcze raz sprawdziłem nazwisko. Wcale mi się nie wydawało, że je pamiętam. Pan Kelly pracował raz dla Allena. Pamiętasz sprawę Goodinga?

— Faktycznie! — starszy policjant podniósł głowę znad notatnika. — To on znalazł pistolet!

— A potem szkolił naszych pletwonurków.

— Ale dalej nie wiemy, po co się pałętał w tamtej dzielnicy.

— Prawda — przyznał drugi policjant. — Z tym, że nie bardzo mi się chce wierzyć, że się zwąchał z takim towarzystwem.

— Nie był sam, tylko z dziewczyną. Zniknęła.

— Nie powiesz mi, że to było porwanie? Co to za jedna? Mamy ją w kartotece?

— Mamy tylko jej nazwisko. Pamela Madden, lat dwadzieścia, na odwyku po prochach, zaginiona. Oprócz tego mamy pana Kelly'ego, jego samochód i jego pistolet. I tyle. Nie znaleźliśmy łuski z tamtej strzelby, świadków nie było. Rysopis zaginionej pasuje do dziesięciu tysięcy dziewczyn. Napad rabunkowy z uprowadzeniem, jednym słowem.

Sprawa nie była aż tak nietypowa. Często rozpoczyna się śledztwo nie wiedząc prawie nic. Oprócz tego obaj policjanci wyciągnęli tylko jeden wniosek, mianowicie że i tak sprawę natychmiast przejmie od nich normalna ekipa dochodzeniowa.

— Dziewczyna była z innej części Stanów. Miała wyraźny akcent, chyba z Teksasu.

— Co jeszcze? Słuchamy, doktorze. Proszę nam powiedzieć wszystko, co pan o niej wie, zgoda?

Sam skrzywił się paskudnie.

— Wykorzystywano ją seksualnie i bito. Kto wie, czy nie była prostytutką. Moja żona twierdzi. . . Mniejsza, sam widziałem blizny na jej plecach. Ktoś bił ją rzemieniem, i to tak, że zostały jej trwałe ślady. Nie wypytywaliśmy jej za bardzo, ale owszem, możliwe, że się zajmowała prostytutką.

— Pan Kelly ma dziwne upodobania i dziwnych znajomych, co? — zauważył policjant znad notatnika.

— Policji też pomaga, sądząc z tego, co panowie mówili — warknął Rosen. — Coś jeszcze? Zaraz zaczynam obchód.

— Panie doktorze, mamy tu do czynienia z usiłowaniem morderstwa, prawdopodobnie podczas napadu rabunkowego. Kto wie, czy w grę nie wchodzi porwa-

nie. To poważne przestępstwa. Pan ma swoją procedurę, ale ja mam swoją. Jak prędko Kelly dojdzie do siebie? Chcemy z nim porozmawiać dokładniej.

— Chyba jutro. Z tym, że przez ładnych parę dni będzie z nim marnie.

— Czy o dziesiątej rano będzie dobrze?

— A, niech tam.

— Przyślemy kogoś w takim razie. — Policjanci podnieśli się z foteli. Rosen odprowadził ich wzrokiem. Dziwna sprawa, ale pierwszy raz w życiu zetknął się z prawdziwym, poważnym śledztwem kryminalnym. Pacjenci, którzy zwykle do niego trafiali, padali ofiarą wypadków drogowych albo przemysłowych, a nie napałów. Nie chciało mu się wierzyć, że Kelly może być przestępcą, a przecież do tego właśnie zmierzały wszystkie pytania policjantów. Hmmm.

Z rozmyślań wyrwało go wejście stażystki, doktor Pretlow.

— Tutaj są wyniki badań krwi Kelly'ego. — Podała przełożonemu kartę. — Rzeźączka. Tak to jest, jak się nie uważa. Moim zdaniem wystarczy penicylina. Czy jest uczulony?

— Nie jest. — Po tych słowach Rosen przymknął oczy i zaklął. Ciekawe, jakie jeszcze atrakcje przyniesie dzisiejszy dzień.

— Łagodny przypadek, panie doktorze. Infekcja wygląda na zupełnie świeżą. Kiedy się poczuje lepiej, wyślę do niego kogoś na pogadankę uświadamiającą. . .

— Proszę tego nie robić — warknął nagle Rosen.

— Ależ. . .

— Dziewczyna, od której to złapał, najprawdopodobniej już nie żyje. A my nie będziemy go zmuszać, żeby mu po niej zostały akurat takie wspomnienia — wyjaśnił Rosen, który po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl o tym, co się stało. Wcale nie poczuł się lepiej, zaliczając Pam do umarłych. Nie miał nawet specjalnych podstaw do takiego domysłu, lecz coś mówiło mu, że dziewczyna nie żyje.

— Panie profesorze, zgodnie z prawem musimy. . .

Rosen poczuł, że za chwilę eksploduje.

— Proszę pani, to nie jest jakaś kukła, tylko żywy, porządny człowiek. Widziałem, jak się zakochał w tamtej dziewczynie. Nawiasem mówiąc, prawdopodobnie ją zamordowano, więc nie chcę, żeby pamiętał tylko, że złapał od niej chorobę weneryczną. Czy wyrażam się jasno? Proszę powiedzieć pacjentowi, że infekcja nastąpiła w wyniku powikłań po zabiegu i odnotować to w jego karcie.

— Nie, panie profesorze. Nie zrobię tego.

Rosen sam zabrał się do dzieła.

— Gotowe! — oznajmił. — Proszę posłuchać, pani Pretlow. Ma pani zadatki na doskonałego chirurga. Ale niech pani sobie zapamięta, że ci, których operujemy, to żywi ludzie, i że czasami musimy uszanować ich uczucia. Jeżeli się pani tego nauczy, sama pani odkryje, jak bardzo to pomaga w pracy. A przy okazji stanie się pani lepszym lekarzem!

Wychodząc z gabinetu, doktor Pretlow nie mogła się nadziwić, o co też stary tak się wścieka.



## 8 — Pozoracja

O wszystkim zdecydował zbieg okoliczności, bo po pierwsze 20. czerwca był straszny upał, a po drugie, nic się nie działo. Tymczasem fotoreporter dziennika „Baltimore Sun” sprawił sobie właśnie nowy aparat, i to Nikona, w miejsce wysłużonego Pentaxa Honeywell. Żał mu było starego grata, ale jeszcze bardziej cieszył go świeży nabytek, który jak nowa kochanka niósł obietnicę mnóstwa niespodzianek i odkryć. Takich doznań mógł dostarczyć na przykład dołączony przez handlowców do aparatu zestaw teleobiektywów. Nikon był na rynku nową marką, toteż producentowi zależało na tym, by szybko zaskarbić sobie względy zawodowców z agencji prasowych. Tylko tym dało się wytłumaczyć fakt, że dwudziestka weteranów z dzienników w całych Stanach Zjednoczonych otrzymała za frajer drogocenne zestawy. Bob Preis znalazł się pośród szczęśliwców, gdyż trzy lata wcześniej został laureatem Nagrody Pulitzera. Tylko co tu sfotografować? Preis siedział z aucie zaparkowanym przy alejce nad Druid Lake i podsłuchiwał, co dzieje się w radiu na częstotliwościach policji, w nadziei, że trafi na coś ciekawego. Gdzie tam, puchy. Pozostawało ćwiczyć się w szybkiej zmianie obiektywów. Pod względem mechanicznym Nikon okazał się prawdziwym cackiem. Niczym żołnierz, który uczy się składać i rozkładać broń w zupełnej ciemności, Preis odgadywał dotykiem kolejne obiektywy i aby dodać autentyzmu ćwiczeniu, rozglądał się po okolicy. Jak na ślepo, to na ślepo. Chodziło o to, by się nauczyć zmieniać obiektyw z tą samą łatwością, z jaką się rozsuwa zamek błyskawiczny.

Uwagę Preisa zwróciły wrony. Trochę w bok od środka stawu, projektanci parku umieścili fontannę. Wodotrysk nie zachwycał kunsztem architektonicznym, bo był zwyczajnym betonowym walcem, wystającym z wody na dwa metry z kawałkiem. Na górnej powierzchni walca znajdowały się pionowe wyloty rur, którymi tryskała woda. Zmienny wiatr powodował, że połączone kaskady przechylały się tego dnia to w jedną, to w drugą stronę. Pośród strug wody polatywały wrony, usiłując nurkować ku powierzchni walca, bezskutecznie, bo co rusz ploszył je nowy spieniony bicz wodny. Ciekawe, co tak przywabiało te ptaszki? Preis wymacał dłonią teleobiektyw z ogniskową 200 mm i wkręcił go w aparat, a potem płynnym ruchem podniósł Nikona do oka.

— O, Chryste! — zachłysnął się z wrażenia, po czym raz za razem wypstrykał dziesięć szybkich klitek. Dopiero wtedy sięgnął po radiotelefon i polecił redakcji, by zaraz zawiadomiła policję. Kiedy skończył, zmienił obiektyw na jeszcze silniejszy, 300 mm, najdłuższy, jaki posiadał. Dokończył pierwszą rolkę filmu i założył następną, tym razem kolorową, o czułości 100 ASA. Oparł aparat o ramę okna w swoim wysłużonym Chevrolecie i wystrzelał następny film. Przy okazji zauważył, że jedna z wron prześliznęła się jakoś przez strugi wody i usiadła na...

— Boże, tylko nie to!

Na betonowej platformie pośrodku stawu spoczywały nagie ludzkie zwłoki, białe jak alabaster ciało młodej kobiety. Przez teleobiektyw Preis widział wyraźnie, jak wrona spaceruje wokół trupa, stawiając rozczapierzone pazurki po betonie i paciorkami bezlitosnych oczu lustrując tak wspaniałe, pełne rozmaitych smakołyków znalezisko. Preis odłożył aparat i prędko wrzucił bieg. Żeby dojechać jak najbliżej fontanny musiał dwa razy złamać przepisy. Ludzkie odruchy rzadko przeważały w nim nad zachowaniem typowego zawodowca, lecz tym razem Preis zadziwił sam siebie, bo z całej siły przycisnął klakson, żeby spłoszyć wronę. Ptak niespokojnie poderwał łebek, ale widząc, skąd dolatuje dźwięk, w poczuciu bezpieczeństwa znów zajął się wybieraniem najsmakowitszego kaska dla dzioba twardego jak stal. Preis na chybił trafił spróbował innej sztuczki, jak się okazało, skutecznej: parę razy włączył i wyłączył światła drogowe. Niezwykły błysk sprawił to, czego nie mógł uczynić klakson, bo ptak poderwał się i odleciał. Nigdy nie wiadomo, czy to co błyska nie stanowi poważnego zagrożenia, a poza tym posiłek i tak zaczeka. Wrona uznała, że zamiast ryzykować, lepiej będzie trochę odczekać i wrócić.

— Co tu się wyrabia?! — zawarczał policjant, zatrzymując radiowóz obok samochodu Preisa.

— Na tej fontannie leżą zwłoki. O, tam! — Fotoreporter podał aparat, by policjant mógł się lepiej przyjrzeć.

— Rany boskie! — sapnął policjant. Popatrzył chwilę i po dłuższym milczeniu oddał aparat. Kiedy Preis robił następną serię zdjęć, policjant zawiadomił przełożonych. Po chwili nad brzeg stawu zajechały następne radiowozy, jeden po drugim, całkiem jak wrony. Po chwili było ich już osiem. Dziesięć minut po nich pojawił się wóz strażacki i samochód dyrekcji parków z łódką na przyczepie. Łódź w mgnieniu oka znalazła się na wodzie. W następnej kolejności nad brzeg zajechał mikrobus laboratoryjny z ekipą patologów. Można już było ruszać ku fontannie. Preis upierał się, że też popłynie — był w końcu lepszym fotografem od specja z ekipy policyjnej — ale odprawiono go stanowczo i bezwzględnie. Musiał się zadowolić uwiecznieniem całej sceny z brzegu zbiornika, czego okropnie żałował, bo za taki materiał mógłby spokojnie dostać następną Nagrodę Pulitzera. Przeszło koło nosa — niby szkoda, chociaż za tę cenę musiałyby uwiecznić instynktowne odruchy pierzastego ścierwojada, znęcającego się nad zwłokami młodej dziewczyny.

czynny w samym centrum wielkiego miasta. Po co człowiek ma później o tym śnić po nocach? Preis i bez tego miał trudności z zasypianiem.

Nad stawem zdążył już się zebrać spory tłum. Policjanci stali w osobnych grupkach, po cichu komentując to, co się dzieje, i prześcigając się w czarnym humorze. Ze studia na Television Hill, wzniesienia po północnej stronie parku, za miejskim ogrodem zoologicznym, przysłało wóz transmisyjny. Do tego samego zoo Bob Preis często zabierał swoje dzieciaki. Malcy najbardziej uwielbiali widok lwa (ochrzczonego dość banalnie, bo Leon), niedźwiedzi polarnych i innych drapieżników, umieszczonych za bezpieczną zaporą krat i murów. Niektórych ludzi też by się przydało tak pozamykać, pomyślał Preis, patrząc jak ratownicy podnoszą ciało i wsuwają je do gumowego worka. Tyle dobrego, że się już nie męczy. Preis jeszcze raz zmienił film, by uwiecznić chwilę załadunku zwłok do wozu kombi z kostnicy. Na miejscu zjawił się także reporter z „Baltimore Sun”, przejmując pałeczkę. Kiedy reporter zadawał ostatnie pytania, Preis przekonywał się już o zaletach nowego Nikona w swojej ciemni przy Calvert Street.

\* \* \*

— John, znaleźli ją — zaczął ostrożnie Rosen.

— Nie żyje? — domyślił się Kelly, który nie podniósł wzroku, zmrożony tonem głosu doktora. Spodziewał się takiej wiadomości, ale nie tak łatwo się pogodzić z kresem nadziei.

— Nie żyje — przytaknął Sam.

— Jak?

— Jeszcze się nie dowiedziałem. Parę minut temu zadzwonili do mnie z policji. Od razu przyszedłem z tym do ciebie.

— Dzięki. Naprawdę.

Słyszając Kelly’ego, Sam uznał w myśli, że to prawda, iż czasami żywi ludzie mówią martwym głosem.

— Mnie też jej żal, John. Sam wiesz, jak lubiłem Pam.

— Wiem. Przecież wiem. I wiem, że to nie twoja wina, Sam.

— Dlaczego niczego nie zjadłeś? — Chirurg uczynił gest w stronę nietkniętej tacy.

— Nie jestem głodny.

— Jeżeli chcesz wyzdrowieć, musisz odzyskać siły.

— Po co? — zapytał Kelly ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Rosen przysiadł przy nim i wziął go za rękę. W głowie czuł pustkę, a co gorsza nie śmiał nawet spojrzeć Kelly’emu prosto w oczy. Zdążył się już dawno domyślić, o co Kelly sam siebie obwinia, lecz nadal wiedział za mało, by z nim o tym porozmawiać, przynajmniej na razie. Śmierć nie była jednak niczym nowym dla

Sama Rosena, doktora medycyny i członka Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów. Jako neurochirurg, Rosen miał stale do czynienia z uszkodzeniami najdelikatniejszej części organizmu ludzkiego, części którą najtrudniej naprawić i wyleczyć. Śmierć bliskiej osoby jest jednak tragedią, a nie kwestią doświadczenia.

— Czy mogę ci jakoś pomóc? — zapytał Kelly'ego po chwili.

— Na razie nie. Ale dzięki, Sam.

— Może chcesz porozmawiać z księdzem?

— Naprawdę na razie nie.

— To nie była twoja wina, John.

— A czyja, jeśli nie moja? Pam mi zaufała, Sam. Spieprzyłem sprawę.

— Policja ma do ciebie jeszcze jakieś pytania. Powiedziałem im, żeby przyszedli jutro rano.

Kelly tego ranka rozmawiał już z policjantami, i to po raz drugi. Powiedział im mniej więcej tyle, ile trzeba: jak się nazywała Pam, gdzie się urodziła, jak się poznali. Owszem, byli ze sobą blisko. Tak, wie, że Pam była dawniej prostytutką i że uciekła z domu. Tak, miała na skórze ślady uderzeń. Część informacji Kelly zachował jednak dla siebie. Nie mógł się na przykład zdobyć na to, by opowiedzieć resztę szczegółów, gdyż nie chciał się przyznać przed innymi mężczyznami, że tak fatalnie zawałił sprawę. Nie odpowiedział więc na wszystkie pytania, wykręcając się bólem. Rany istotnie bolały go, ale nie aż tak, by uniemożliwiało to rozmowę. Przy okazji Kelly wyczuł, że nie przypadł policjantom do gustu, ale to zupełnie mu nie przeszkadzało. W końcu sam także czuł do siebie obrzydzenie.

— Niech przyjdą.

— Przy okazji... Myślę że powinienem ci zapisać jeszcze trochę leków. Doład cię oszczędzałem, bo nie lubię chemii, ale przynajmniej będziesz mógł lepiej odpocząć...

— Chcesz mnie ogłupić jakimiś pigułkami? — Kelly aż uniósł głowę z poduszki. Rosen nieprędko miał zapomnieć wyraz jego twarzy. — Myślisz, Sam, że dla mnie to jakaś różnica?

Rosen odwrócił głowę. Znowu więc nie mogli sobie patrzeć w oczy.

— Pora by cię przenieść do normalnego łóżka. Kazałem wszystko przygotować, za chwilę urządzimy ci przeprowadzkę.

— Jak chcesz.

Rosen miał ochotę coś dodać, lecz czuł, że brakuje mu właściwych słów. Wyszedł więc po prostu.

By przenieść Kelly'ego na nowe łóżko, potrzebne były zbiorowe wysiłki siostry Sandy O'Toole i dwóch oddziałowych. Trójka najostrożniej jak mogła ułożyła rannego na nowym legowisku, a O'Toole podkręciła wezglowie, by złagodzić ból, jaki Kelly czuł w zranionej ręce i łopatce.

— Słyszałam, co się stało — szepnęła, zła na Kelly'ego, że tak się zachowuje. Zgoda, twardy facet, ale przecież niegłupi. Może należał do tych, którzy płaczą

dopiero w samotności? Na razie na pewno nie płakał, a szkoda — O'Toole wiedziała, że bez tego nie ma mowy, by się otrząsnął. Łzy pozwalają usunąć nagromadzoną w duszy truciznę, zakażającą organizm równie fatalnie jak prawdziwe toksyny. Pielęgniarka usiadła przy wezgiłowiu pacjenta i oświadczyła mu:

— Ja też jestem wdową.

— Wietnam, tak?

— Wietnam. Tim był kapitanem w Pierwszej Dywizji. W kawalerii powietrznej.

— Ach, tak — wymamrotał Kelly, nie odwracając głowy. — Żeby nie ci z Pierwszej, dawno bym nie żył. Tak się raz złożyło.

— No, więc wiem, jak to jest.

— Za tydzień będzie rok od czasu, jak straciłem Tish, a teraz znowu. . .

— Sarah mówiła mi, co się stało. Więc, panie Kelly. . .

— Jestem John — przerwał jej cicho. Nie potrafił się zdobyć na opryskliwość wobec tej kobiety.

— Dzięki, John. Mów mi Sandy. Jeżeli ktoś ma pecha, to jeszcze nie znaczy, że jest złym człowiekiem — odezwała się, licząc na to, że ton głosu przemówi do Kelly'ego lepiej niż sens tych słów.

— Jaki tam pech. Dziewczyna mówiła mi od razu, że jedziemy w niebezpieczne miejsce, a ja i tak ją tam zabrałem, bo chciałem się przekonać, czy to prawda.

— Ale broniłeś jej. Sam prawie straciłeś życie.

— Nie broniłem jej, tylko zabiłem — palnął Kelly i szeroko otwartymi oczami zapatrzył się w sufit. — Zginęła przez moją głupotę i niedbalstwo, ot, co.

— Ale to nie ty ją zabiłeś, tylko ktoś inny. Ten sam ktoś, kto próbował zabić także i ciebie. Jesteś ofiarą, nie zabójcą.

— Nie jestem ofiarą. Najwyżej ofermą.

O'Toole uświadomiła sobie, że najlepiej będzie odłożyć tę rozmowę na później. Zapytała więc:

— A jaka była twoja Pam?

— Jaka? Pechowa. — Kelly spróbował po tych słowach spojrzeć na Sandy, ale nie potrafił. W paru słowach nakreślił pielęgniarce życie Pameli Starr Madden.

— Widzisz? Tylu ludzi ją skrzywdziło albo wykorzystało, i dopiero ty się okazałeś inny — O'Toole zawiesiła głos, lecz nie doczekała się odpowiedzi. — Wiedziała, że ją kochasz, sam powiedz?

— Tak. — Kelly drgnął, kiedy to mówił. — Bo ja ją naprawdę kochałem.

— Śmiało, opowiedz o tym wszystkim — zachęciła go Sandy. — No, opowiedz.

Kelly przymknął oczy, ale potem z rozpaczą potrząsnął głową.

— Nie mogę.

O'Toole dawno nie spotkała tak upartego pacjenta. Nie potrafiła pojąć, co skłania mężczyzn do takich zachowań. Takim samym kultem twardego męskiego

charakteru odznaczał się Tim, który pojechał do Wietnamu i wrócił po ustalonym czasie jako porucznik, a później wyruszył znowu, już jako dowódca kompanii. Nie uczynił tego na ochotnika i nie był zachwycony całą perspektywą, lecz nie bał się i nie uchylał się przed zadaniem. — Taka praca — oświadczył Sandy w dniu ich ślubu, dwa miesiące przed wyjazdem. Skoro tak, to ta praca była głupia i bezsensowna, a w dodatku kosztowna: zabrała jej przecież męża i kto wie, czy nie złamała jej życia. Dlaczego ludzie tak się zabijają o jakieś państwko na drugim końcu świata? A przecież dla Tima nie były to sprawy obojętne. Był posłuszny sile, która go unicestwiła i która Sandy O'Toole kojarzyła się tylko z pustym domem i była uchwytana co najwyżej jako tępy ból na twarzy najnowszego pacjenta. Gdyby Sandra O'Toole umiała doprowadzić swoją myśl do końca, zrozumiałaby jednak, skąd bierze się i na czym polega ten ból.

\* \* \*

— Głupio żeś to urządził, tyle ci powiem.

— Myśl sobie, co chcesz — zbył uwagę Tucker. — Nie lubię, jak dziewczyny mi się ulatniają bez pozwolenia, i tyle.

— Nie mogłeś jej przynajmniej gdzieś zakopać?

— Zakopać, to potrafi każdy głupi — odezwał się Tucker i uśmiechnął się w ciemnościach sali kinowej. Siedzieli w ostatnim rzędzie starego kina w centrum miasta, wybudowanego jeszcze w latach trzydziestych. Niegdyś luksusowy obiekt dawno popadł w ruinę, do tego stopnia, że wyświetlano tu teraz filmy nawet o 9 rano, żeby dochód wystarczył przynajmniej na pensje dla obsługi. Z drugiej strony kino stanowiło doskonały punkt kontaktowy, gdzie można się było spokojnie umówić z tajnym współpracownikiem. Właśnie w ten sposób policjant miał zamiar opisać spotkanie w meldunku służbowym.

— A jeszcze głupiej, żeście razem z nią nie kropnęli tego fagasa.

— Co, mogą być kłopoty? — zaniepokoił się Tucker.

— Skąd. Przecież was nie widział, co?

— Mowa. Jasne, że nie!

— Właśnie. Pamiętaj, że nie mogę się tak bez powodu wpięprzać w tamto śledztwo. — Policjant zgarnął z tutki garść prażonej kukurydzy i zżuł ją z irytacją. — Gościa znają na komendzie. Wiedzą, że służył w marynarce, był czy tam jest pletwonurkiem, mieszka gdzieś na wschodnim brzegu Zatoki, jednym słowem wygląda mi na jakiegoś nadzianego plażowicza. Nasi rozmawiali z nim już raz i niczego się nie dowiedzieli. Śledztwo przejmują teraz Ryan i Douglas, ale coś mi się widzi, że nie znajdą żadnego punktu zaczepienia.

— Mniej więcej to samo mówiła ta mała, kiedy z nią... No, kiedyśmy z nią sobie pogadali. Poderwał ją, podwiózł i w ogóle, potem zdaje się, że nieźle się ze

sobą zabawiali, tyle że potem skończyły jej się piguły. Mówiła nam, że kazała mu jechać do miasta, żeby dokupić prochów. To co, mówisz, że nic z tego nie będzie?

— Chyba nie, ale na przyszłość trochę ostrożniej, zgoda?

— Może chcesz, żebym go dopadł w tym szpitalu? — zapytał Tucker od niechcienia. — Dałoby się załatwić.

— Za nic w świecie! Ty idioto, przecież to ma trafić do sprawozdania jako napad rabunkowy. Jeden dodatkowy numer i sprawa tak się rozkręci, że się nie pozbieramy. Po co nam to? Zostaw fagasa w spokoju, i tak nic nie wie.

— Więc nie narobi nam kłopotu? — Tucker chciał mieć co do tego zupełną pewność.

— Nie! A na przyszłość pamiętaj, że nie zaczyna się śledztwa w sprawie morderstwa, jeżeli nie ma ciała.

— Ale moi ludzie też muszą znać mores.

— Z tego, co słyszałem, coście jej zrobili. . .

— Ludzie muszą znać mores! — powtórzył Tucker z naciskiem. — Musiałem dać im lekcję poglądową, rozumiesz. Raz da się im dobry przykład i na jakiś czas ma się spokój. Poza tym to nie twoja sprawa. Czemu się nagle czepiasz?

Logika sytuacji podpowiadała, że pora wziąć się za następną garść kukurydzy.

— To masz coś dla mnie?

Tucker znowu uśmiechnął się w ciemnościach.

— Wygląda na to, że pan Piaggi na chętkę wejść ze mną w układ.

W półmroku rozległo się chrząknięcie.

— Ja tam bym mu za bardzo nie ufał.

— Ale sam nie dam rady z tym wszystkim, nie? — Tucker zawiesił głos. — Facet ma takie znajomości, że proszę siadać. Tym razem zgarniemy bank.

— Tak? Kiedy?

— Już niedługo — odrzekł Tucker dyplomatycznie. — Moim zdaniem jako następne posunięcie musimy zacząć wysyłać towar na północ. Nawiasem mówiąc, Tony wybrał się tam dzisiaj, żeby pogadać z kim trzeba.

— Fajnie, niedługo, ale na razie co? Potrzebna mi jakaś aferka, żebym miał się czym wykazać.

— Wystarczy ci trzech facetów z toną marychy? — spytał Tucker.

— A wiedzą o tobie?

— Oni o mnie? Nie. Za to ja wiem o nich.

Henry Tucker stale kierował się zasadą, że organizacja ma być mała i dyskretna. Kim jest on sam, wiedziała tylko garstka współpracowników. Co więcej, ci sami ludzie wiedzieli, co przytrafia się gadułom. Niestety, bez straszaka nie da się utrzymać dyscypliny.

\* \* \*

— Tylko nie męczcie go za bardzo, panowie — perorował Rosen za drzwiami izolatki. — Obrażenia były poważne, pacjent nadal dostaje silne lekarstwa, więc może pleść od rzeczy.

— Muszę go przepytąć, i już — skwitował to nowy policjant włączony do sprawy, sierżant z ekipy śledczej, nazwiskiem Tom Douglas. Miał około czterdziestki i sprawiał na Rosenie wrażenie równie zmęczonego, co Kelly, a na pewno równie wściekłego.

— Rozumiem to, ale powtarzam, że pacjent został poważnie ranny i jest w szoku po tym, co stało się z jego dziewczyną. Nie mogę ryzykować pogorszenia stanu.

— Im szybciej dostarczy nam potrzebnych informacji, tym prędzej będziemy mogli złapać tych drani. Pan leczy ludzi, a ja ich ścigam. Taką już mam pracę.

— Jeżeli chce pan znać moje zdanie jako lekarza, w obecnym stanie pacjent nie jest w stanie pomóc. Ma dosyć. Widać u niego oznaki klinicznej depresji, a to może zaważyć na jego szansach wyzdrowienia.

— Upiera się pan, żeby być przy tej rozmowie, tak? — domyślił się wreszcie Douglas, zły, że na domiar wszystkiego napatoczył mu się miejscowy Sherlock Holmes. W tym pojedynku wygrać mógł jednak lekarz, zresztą Douglas także miał już dosyć użerania się z medykami, więc ustąpił.

— Rzeczywiście będę miał spokojniejsze sumienie, jeśli dopuści mnie pan do tej rozmowy. Najważniejsze, to go nie zdenerwować — powtórzył Rosen i otworzył drzwi izolatki.

Detektyw przedstawił się, przeprosił, że niepokoi i sięgnął po notatnik służbowy. Sprawa zdążyła nabrać takiego rozgłosu, że na kolejnych szczeblach dawano jej kopniaka w górę, dopóki nie zatrzymała się właśnie na jego biurku. Kolorowe zdjęcie na pierwszej stronie „Evening Sun” graniczyło ryzykownie z pornografią. Burmistrz miasta obiecał, że osobiście dopilnuje, żeby policja wyświetliła sprawę. Z tej właśnie przyczyny śledztwo dostało się Douglasowi, który w duchu zastanawiał się, jak długo potrwa zapal burmistrza. Zapewne niezbyt długo. Polityk dłużej niż tydzień pamięta tylko o jednym, to znaczy o tym, żeby zyskać sobie nowe głosy wśród wyborców. Sprawa była pokrętna jak tor kuli do kręgli puszczonej z ręki Mike’a Cuellara, lecz Douglas miał ją wyjaśnić, i tyle. Poza tym wszystko, co najgorsze, już się stało.

— Więc przedwczoraj wieczór była z panem młoda kobieta nazwiskiem Pamela Madden?

— Tak — odszepnął Kelly. Do izolatki weszła pielęgniarka, Sandy O’Toole, z poranną dawką antybiotyków dla pacjenta. Zaskoczył ją bardzo widok dwóch mężczyzn u wezłowania, więc zatrzymała się w drzwiach, niepewna, czy może wejść.



— Panie Kelly, wczoraj po południu natknęliśmy się na zwłoki młodej kobiety, której wygląd pokrywa się z rysopisem Pameli Madden. — Mówiąc to, Douglas sięgnął do kieszeni marynarki.

— Nie! — Rosen zerwał się z krzesła.

— Poznaje ją pan? — zapytał Douglas, podtykając Kelly'emu zdjęcie. Miał słabą nadzieję, że uprzejmy ton pytania zniweluje szok, jaki spowodować musi policyjna fotografia.

— Do cholery ciężkiej! — Chirurg złapał policjanta za kłapy i popchnął go aż na ścianę. Pośród szamotaniny fotografia opadła prosto na pierś pacjenta.

Kelly wybałuszył przerażone oczy i podskoczył na łóżku, mocując się z pasami, które go unieruchomiały, a potem śmiertelnie blady osunął się na posłanie. Rosen i Douglas odwrócili się wstydliwie. Jedyne pielęgniarka nie spuszczała oczu z Kelly'ego.

— Wie pan, doktorze, tylko w ten sposób mogłem... — zaczął Douglas.

— Wynocha z mojego oddziału, no, jazda! — Rosen był na granicy krzyku. — Taki szok może zabić! Nie przyszło to panu jakoś do głowy, tak? Trzeba mnie było uprzedzić...

— On naprawdę musiał zidentyfikować...

— Sam mogłem to zrobić, bez niego!

O'Toole słyszała obok siebie szamotaninę. Dwaj dorośli mężczyźni przepychali się jak para przedszkolaków. Sama jednak zwracała uwagę tylko na to, co dzieje się z Johnem Kellym. Ostatecznie to dla niego przyniosła antybiotyki, które wciąż trzymała w ręku. Spróbowała zabrać Kelly'emu sprzed oczu straszną fotografię, lecz najpierw sama na nią spojrzała i zamarła w pół gestu. Kelly oswoił dłoń, pochwycił zdjęcie i wpatrywał się w nie przez długą chwilę, szeroko otwartymi oczami. Całą uwagę O'Toole zaprzętnął wyraz jego twarzy — wyraz, na którego widok aż się cofnęła. Zaraz jednak Kelly uspokoił się i prawie spokojnym głosem powiedział:

— Daj spokój, Sam. Ten pan robi to, co musi.

Po tych słowach Kelly po raz ostatni spojrział na zdjęcie, a potem pozwolił je sobie zabrać i zamknął oczy. Wszyscy zaraz się uspokoili. Wszyscy, oprócz jednej Sandy O'Toole, która dopilnowała, by Kelly przełknął pokąźną pigułę i wyszła zaraz na korytarz, by trochę dojść do siebie. Potem powędrowała z powrotem do pokoju pielęgniarek. Tylko ona zauważyła ów wyraz twarzy, bo policjant i Rosen byli zbyt zajęci szamotaniną. W pierwszej chwili Kelly okropnie pobladł, zupełnie jak w stanie szoku. Potem zaczęły się harce obok łóżka, a potem... Właśnie. Wyglądało to tak, jak gdyby Kelly'ego spotkało to nie po raz pierwszy, bo na jego twarzy zaszła błyskawiczna przemiana. Tylko przez мгновение, jak gdyby na sekundę otwarły się drzwi do nieznanego wnętrza, w którym O'Toole ujrzała coś, co przerastało jej najgorsze wyobrażenia. Coś nieubłaganego i okropnego. Kelly nie rozwierał już szeroko oczu. Przeciwnie, skupił je na czymś, czego sama

O'Toole nie umiała dostrzec. Bładość jego twarzy nie brała się już z szoku, lecz z furii, a jego dłonie zacisnęły się w pięści. Zaraz potem twarz odmieniła się po raz kolejny: w miejsce ślepej, morderczej furii pojawiło się na niej zrozumienie, a potem coś, co przerażyło Sandy najbardziej ze wszystkiego. Nie wiedziała właściwie, co ją tak wystraszyło, ale nie bała się tak jeszcze nigdy w życiu. Potem drzwi zatrzasnęły się nagle. Kelly zamknął oczy, a kiedy je otworzył, na jego twarzy zagościł nieoczekiwany spokój. Cały ciąg wrażeń trwał może cztery sekundy, podczas których Rosen i Douglas przepychali się pod ścianą. W cztery sekundy Kelly przemierzył bezmiar przerażenia, furii i nowej wiedzy, by wreszcie ukryć wszystkie uczucia pod maską. A najstraszniejsze ze wszystkiego było to, co zamigotało na jego twarzy pomiędzy zrozumieniem i obojętnością.

Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiła sobie, co to było: na twarzy Kelly'ego ujrziała śmierć. Spokojną. Zaplanowaną. Podporządkowaną zmysłom.

Lecz nawet taka śmierć pozostawała śmiercią. Śmiercią zaczajoną w myślach człowieka na łóżku.

\* \* \*

— Niech pan sobie nie myśli, że lubię takie sytuacje, panie Kelly — odezwał się Douglas, obciążając na sobie marynarkę. Obaj z Rosenem patrzyli teraz na siebie z wyrazem okropnej konsternacji.

— Nic ci nie jest, John? — Rosen podszedł bliżej i ujął Kelly'ego za przegub. Zdumiał się, bo puls pacjenta okazał się prawie normalny.

— Nic, nic — zapewnił go Kelly i pod adresem policjanta dodał: — Tak, to ona. Pam.

— Naprawdę strasznie pana przepraszam — odezwał się zupełnie szczerze Douglas. — Ale niech mi pan sam powie, czy da się zrobić coś takiego delikatnie? Nie da się, i już. Cokolwiek się stało, już się stało, a nam pozostaje tylko zidentyfikować sprawców. Musi nam pan w tym pomóc.

— W porządku — przytaknął Kelly bez przekonania. — Zaraz, ale gdzie Jest Frank? Jak to się stało, że go tu nie ma?

— Nie mogliśmy go dopuścić do śledztwa, bo pana zna — wyjaśnił sierżant Douglas i posłał Rosenowi wymowne spojrzenie. — Przy takim śledztwie nie powinno być kogoś, kto jest osobiście zainteresowany wynikiem.

Nie była to zupełnie prawda — w gruncie rzeczy Douglas kłamał jak z nut — lecz Kelly najwyraźniej dał się przekonać.

— Czy widział pan tych ludzi, którzy pana. . .

Kelly zaprzeczył ruchem głowy, wbił wzrok w pościel, a potem oderwał się głosem na granicy szeptu:

— Nie widziałem. Patrzyłem w drugą stronę. Pam coś do mnie krzyknęła, ale nie zdążyłem się odwrócić. Pam ich zobaczyła, ja skręciłem w prawo i zaraz chciałem skręcić znowu, w lewo. Tyle, że już nie zdążyłem.

— Ale co pan dokładnie robił w tamtej chwili?

— Obserwowałem ulicę. Chwileczkę, chyba rozmawiał pan z porucznikiem Allenem?

— Owszem.

— Pam była świadkiem morderstwa. Wiozłem ją do Franka na rozmowę na ten temat.

— I co dalej?

— Kręciło się koło niej jakieś towarzystwo od narkotyków. Pomyślałem sobie, że to coś w sam raz dla was, to znaczy konkretnie dla Franka Allena. Sam wiem tyle, że to jakiś gang. Handlują narkotykami i wykorzystują do tego dziewczyny, ale dokładnie jak i po co, tego nie wiem.

— Naprawdę nic pan więcej nie wie?

Kelly spojrzał policjantowi prosto w oczy.

— Naprawdę nic. Mało się przydałem, co?

Douglas odczekał dłuższą chwilę, zanim znów się odezwał. Zamiast osiągnąć przełom w ważnym śledztwie, utknął w miejscu. Nie pozostawało mu nic innego, jak jeszcze raz skłamać. By sobie to ułatwić, zaczął od faktów.

— Wie pan może, że w zachodnich dzielnicach grasuje para rabusiów. Dwaj Murzyni, średniego wzrostu, na tym kończy się nasz rysopis. Posługują się dubeltówką z obciętą lufą. Mechanizm zawsze ten sam: zwabiają ludzi, którzy chcą kupić narkotyki i obrabiają ich. Szczególnie sobie upodobali klientów z dużą forszą. Sprytnie, bo w ten sposób mają gwarancję, że większość ofiar w ogóle nie pójdzie z tym na policję. Podejrzewamy, że tych dwóch popełniło już dwa morderstwa. To może się okazać trzecim.

— I tylko tyle wiecie? — zdziwił się Rosen.

— Rabunek i morderstwo to poważne przestępstwa, doktorze.

— Ale to tylko jakieś przypadkowe poszlaki!

— To pan tak uważa, nie ja — mruknął Douglas i zwrócił się do swojego świadka: — Panie Kelly, przecież coś pan jednak musiał zauważyć. A w ogóle, to co pan robił w tamtej dzielnicy? Może pani Madden próbowała kupić. . .

— Nie próbowała!

— Spokojnie, przecież to i tak już niczego nie zmieni. Pam Madden nie żyje. Może mi pan śmiało powiedzieć. Muszę mieć jakieś informacje.

— Już panu mówiłem. Kręciło się koło niej jakieś szemrane towarzystwo. A poza tym. . . Może to głupio zabrzmieć, ale ja naprawdę głównie się znam na narkotykach.

W myślach Kelly obiecał sobie, że przyjdzie mu poszerzyć tę wiedzę.

\* \* \*

Sam jeden w łóżku, sam na sam także z własnymi myślami, Kelly gapił się w sufit, przepatrując jego białą powierzchnię niczym kinowy ekran.

Policja się myli, powtarzał sobie raz po raz. Nie wiedział, skąd bierze się w nim ta pewność, ale nie zmieniał zdania. Nie chodziło o żaden rabunek. Strzelali tamci. Ci sami ludzie, których tak bała się Pam.

Sytuacja odpowiadała temu, co opisała mu Pam. Stało się to nie po raz pierwszy. Kelly dopuścił do tego, że tamci go zauważyli, i to dwukrotnie. Nadal obwinał się za to, ale niczego tu już nie mógł zmienić, więc machnął ręką. Trudno, stało się. Ci, którzy zgładzili Pam, pozostali jednak na wolności, a skoro nie wahali się zabić dwóch kobiet, zabiją z pewnością następne. Nie to jednak zaprzętało myśli Kelly'ego, zapatrzonego w sufit z maską obojętności na twarzy.

Dobra, powtarzał sobie w myślach. Jak chcecie. Ale nie mieliście jeszcze takiego przeciwnika.

Po chwili starszemu bosmanowi Johnowi Terrence Kelly'emu przyszło do głowy coś jeszcze. Musi jak najszybciej odzyskać formę.

Obrażenia były poważne, lecz uleczalne. Kelly zdążył poznać każdy etap rekonwalescencji. Proces był bolesny, lecz konieczny i dlatego trzeba było spełniać każde polecenie lekarzy, a nawet zdobywać się na dodatkowe wysiłki. Niech będą dumni z takiego pacjenta. Najtrudniejsze przyjdzie dopiero później: biegi, pływanie, podnoszenie ciężarów. Strzelanie. A wreszcie ćwiczenie umysłu. Kelly zdał sobie zaraz sprawę, że tą ostatnią część planu zaczął już wcielać w życie.

W najgorszych sennych koszmarach nie spotkaliście kogoś takiego jak ja.

Z zakamarków pamięci powróciło przezwisko, którego Kelly dorobił się w Wietnamie.

Waż.

Kelly przycisnął guzik przy łóżku. Po dwóch minutach Sandy O'Toole weszła do pokoju i zapytała, co się dzieje.

— Zjadłbym coś — usłyszała.

\* \* \*

— Żebym już nigdy w życiu nie musiał tego robić! — wyzalał się porucznikowi Douglas. Nie po raz pierwszy.

— A co? Jak poszło?

— Nie wiem, czy ten cały profesor nie złoży na nas oficjalnego zażalenia. Trochę go ugłaskałem, ale sam wiesz, jacy oni wszyscy są.

— Ale jak Kelly? Wie coś, czy nie?

— Nic, co by się nam przydało — stwierdził Douglas. — Na razie ciągle ma kręcka po postrzale, chwilami bredzi, ale mówił, że nie widział twarzy, no, kurczę,

w ogóle nic nie widział, bo gdyby się czegoś spodziewał, to by zareagował, a tu nic. Pokazałem mu zdjęcie, żeby nim trochę potrząsnąć. No, stary, myślałem że facet wykituje mi na zawał serca. Medyków szlag trafił. Nie to, żebym się chwalił, Em. Wiem, że nie powinno się robić takich rzeczy. . .

— Nas też dotyczy ta zasada, Tom. — Porucznik Emmet Ryan podniósł wzrok znad obfitej kolekcji zdjęć. Część z nich pochodziła z miejsca napadu, a druga część z sekcji zwłok. Ujęcia przyprawiły porucznika o mdłości, i to pomimo długich lat służby. Nie chodziło tym razem o zbrodnię w afekcie ani o wyskok szaleńca. Mordercy działali z zimną krwią i dobrze wiedzieli, co czynią.

— Rozmawiałem z Frankiem Allenem. Kelly to poczciwa dusza, pomógł mu rozsypać sprawę Goodinga. Nigdzie nie notowany. Wszyscy lekarze twierdzą, że abstynent, nigdy nie ćpał.

— A co wiemy o dziewczynie?

Douglas nie musiał dodawać, że właśnie tu należy szukać decydujących poszlak. Wielka szkoda, że Kelly skontaktował się z Allenem, a nie z nimi. Allen nie miał pojęcia o śledztwie, jakie prowadzili od niedawna Ryan i Douglas. Nic, trudno. W dodatku potencjalnie najlepsze źródło informacji przeniosło się na tamten świat.

— Przysłali nam odciski. Pamela Madden. Zatrzymywana w Chicago, Atlancie i Nowym Orleanie. Za prostytutkę. Nie stawała przed sądem, nie siedziała. Znikoma szkodliwość społeczna, czy jak to tam nazwano.

Sierżant prawie zaklął na myśl o kretynach z ław sądowych.

— Jasne, Em. Komu to szkodzi? Jednym słowem wiemy o tamtych facetach dokładnie tyle samo, co pół roku temu. Sami niewiele zdziałamy. Muszą nam kogoś podesłać.

Douglas mówił rzeczy oczywiste.

— Wzmocnić ekipę, bo ktoś stuknął jakąś prostytutkę? — zgasił go porucznik. — Burmistrz dostał kota po tych zdjęciach, ale już mu wytłumaczono, kto zacz ta ofiara, więc po tygodniu sprawa przyschnie. Żadnych pytań. Myślisz, Tom, że w tydzień dowiemy się czegoś nowego?

— Gdybyś się wybrał do burmistrza. . .

— Nie — przerwał Ryan. — Zaraz by się wygadał. Znasz polityka, który umie trzymać język za zębami? Tamci mają kogoś w tym budynku, pamiętaj, Tom. Chcesz włączyć jeszcze kogoś do śledztwa? Niby kogo? Komu moglibyśmy zaufać?

— Nie musisz mi mówić, Em. — Douglas spotulniał. — Tyle że dalej drep-czemy w miejscu.

— Może Wydział Narkotyków coś zdziała?

— Może! — parsknął Douglas.

— A może Kelly?

— Co „Kelly”? Dureń odwrócił się i niczego nie widział.

— W takim razie dopytaj jeszcze kogo trzeba, dociągnij procedurę do końca i czekajmy. Wyniki sekcji jeszcze nie przyszły, więc może się jednak czegoś dowiemy.

— Jak chcesz — przytaknął przełożonemu Douglas. W pracy policjanta najczęściej można było liczyć tylko na łut szczęścia, na głupi błąd przeciwnika. Ludzie, w których sprawie prowadzono nowe śledztwo nie robili zbyt wielu błędów, lecz wszystko było tylko kwestią czasu. Obaj policjanci byli o tym przekonani. Szkoda tylko, że tak długo trzeba było czekać.

Porucznik Ryan wrócił do przeglądanych fotografii.

— Patrz, jak się z nią zabawiali. To samo było z tamtym pierwszym ciałem.

\* \* \*

— Dobrze, że ci wrócił apetyt.

Kelly podniósł głowę znad pustego talerza.

— Ten gliniarz miał rację, Sam. Co się stało, to się stało. Muszę wydobrzeć, znaleźć sobie jakieś zajęcie. . .

— Dobrze, tylko jakie?

— Nie wiem. Cholera, może znów wstąpię do Marynarki, albo coś.

— Najpierw musisz dojść do ładu z samym sobą, John. Otrząsnąć się — doradził mu Sam, siadając przy łóżku.

— Tylko mi nie tłumacz, jak. Pamiętaj, już raz przez to przeszedłem. Aha, jest taka sprawa. . . Co powiedziałeś tym policjantom na mój temat?

— No, w jaki sposób cię poznałem, i tak dalej. A bo co?

— Moja służba w Wietnamie. To ściśle tajne sprawy, Sam. — Kelly przywołał na twarz wyraz zakłopotania. — Oddział, do którego należałem, oficjalnie nigdy nie istniał, a nasze akcje. . . Niczego nie było, nikt nic nie widział. Wiesz, jak to jest. . .

— O to mnie nie pytali. A zresztą, nigdy mi nic nie mówiłeś na ten temat — odparł chirurg w zakłopotaniu. Jeszcze bardziej zdziwiła go ulga na twarzy pacjenta.

— Wkręcił mnie do tych prac dla policji jeden znajomy z Marynarki. Pomagałem szkolić policyjnych płetwonurków, stąd się znamy. Mówiłem im o sobie tyle, ile mi było wolno. Faktycznie robiłem w Wietnamie coś trochę innego, ale dali się przekonać.

— Nikomu nic nie powiem.

— Nawet ci nie podziękowałem, że tak się mną zająłeś.

Rosen wstał i ruszył ku drzwiom, lecz metr od klamki zatrzymał się nagle i odwrócił ku łóżku.

— Myślisz, że można mi zamydlić oczy?

— Tobie, Sam? Chyba nie — odrzekł ostrożnie Kelly.

— Posłuchaj, co ci powiem, John. Całe cholerne życie pracuję tymi rękami, żeby stawiać ludzi na nogi. Nie wolno się dać zwariować, nie wolno oszaleć, bo wtedy wpadasz w panikę, tracisz koncentrację i nikomu w niczym nie pomożesz. Nigdy w życiu nikomu jeszcze rozmyślnie nie zrobiłem krzywdy. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Rozumiem. Pewnie, że rozumiem.

— I co ty na to?

— Nie wiem o co ci chodzi, Sam.

— Chcę ci pomoc. Naprawdę chcę ci pomóc — odezwał się Rosen. — Słuchaj, John, ja też polubiłem tę dziewczynę.

— Przecież wiem.

— Więc jak ci mogę pomóc? — zapytał chirurg, choć bał się, że Kelly poprosi o coś, czego nie będzie umiał spełnić. Jeszcze bardziej bał się, że mógłby się nie oprzeć takiej prośbie.

— Postaw mnie na nogi.

## 9 — Wysilek

Obserwować to wszystko wcale nie było takim wesołym zajęciem. Sandy nie mogła się jednak nadziwić, jak potulnym pacjentem jest Kelly, który nie kłął, nie utyskiwał, tylko robił wszystko, co mu kazano. W każdym specjalście od rehabilitacji jest coś z sadysty, z konieczności, bo w terapii chodzi o to, by zmusić ludzi do wysiłku, który sami uznaliby za nadmierny. Dokładnie na tym samym polega w sporcie praca trenera. Liczy się jednak ostateczny cel, którym jest dobro pacjenta. Tylko co tu mówić o dobru, kiedy terapeuta nieodmiennie pogania podopiecznych, dodaje otuchy słabszym, a mocniejszym tak daje w kość, żeby popamiętali. Pierwszych namówi, drugim nadeptnie na ambicję i w krótkim czasie doprowadzi u jednych i drugich do poprawy. Terapeuta znajduje całą uciechę w tym, że inni męczą się i zwijają z bólu. Nie dla Sandy O'Toole takie zajęcia. Kelly okazał się jednak entuzjastą ćwiczeń, wykonywał je wszystkie po kolei, a kiedy specjalista zadawał mu następną porcję, brał się za nią, i tak w kółko. Doszło do tego, że terapeuta, zamiast promienieć ze szczęścia, że tak im świetnie idzie, zaczął się na serio niepokoić.

— Dosyć, dosyć. Bez przesady — przykazał pacjentowi.

— Dlaczego dosyć? — wysapał Kelly z wysiłkiem.

— Bo ma pan puls sto dziewięćdziesiąt pięć na minutę. Terapeuta nie dodał, że Kelly utrzymuje takie tempo już od pięciu minut.

— A rekordziści, jaki mają puls?

— Zero — odrzekł ponuro fizjoterapeuta. Nagrodą za żart był śmiech pacjenta i uważne spojrzenie. Kelly zwolnił tempo jazdy na trenerze kolarskim i po dwóch minutach coraz wolniejszych obrotów, z ociąganiem przestał kręcić pedałami.

— Mam go zabrać z powrotem na oddział — obwieściła O'Toole pod adresem terapeuty.

— Doskonale, byle prędko, zanim zdąży sobie zrobić krzywdę.

Kelly zsiadł z przyrządu i otarł twarz ręcznikiem, zadowolony z faktu, że tym razem O'Toole zjawiała się bez wózka inwalidzkiego czy podobnych wygłupów.

— Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?



— Kazano mi mieć cię na oku — odparła Sandy. — Co, chcesz nam pokazać, że są jeszcze na świecie twardzi ludzie?

Kelly'emu zaczynał wracać humor, lecz odpowiedź była zupełnie poważna:

— Sama wiesz, że mam ćwiczyć, zamiast się zamartwiać tym, co się stało. Tak? Ćwiczenia faktycznie dobrze robią, tylko że z ręką na temblaku nie mogę biegać, nie mogę robić pompek. Ciężarki też odpadają. Ale mogę sobie chyba pojeździć na rowerze, co?

— Chyba mnie przekonałeś. Zgoda. A teraz... — O'Toole wskazała Kelly'emu drzwi. Dopiero na gwarnym, zatłoczonym korytarzu dodała: — Wiesz, strasznie mi żal tej twojej dziewczyny.

— To ładnie z twojej strony... Dziękuję — odpowiedział i odwrócił oczy, bo po ćwiczeniach trochę kręciło mu się w głowie. — Wiesz, w wojsku człowiek łatwiej znosi takie sprawy, bo jest specjalny rytuał, trąbka, sztandar, kompania honorowa. Wszystko wydaje się od razu prostsze, człowiekowi łatwiej uwierzyć, że taka śmierć coś jednak znaczy. Owszem, dalej boli, ale przynajmniej jest to jakiś uczciwy sposób, żeby się pożegnać. Nauczyliśmy się sobie z tym radzić... Tylko że w naszym przypadku ten sposób odpada, i dla ciebie, i dla mnie. I co, jak ty sobie poradziłaś? Zająłaś się pracą, czy co?

— Zrobiłam dyplom. Prowadzę kursy. Przejmuję się pacjentami, zamiast sobą — odrzekła Sandy, bo dokładnie w ten sposób przedstawiało się teraz całe jej życie.

— No, to przynajmniej mną się za bardzo nie przejmuj. Sam wiem, na co mnie stać, a na co nie.

— A na co cię stać?

— Na niejedno — powiedział Kelly z uśmiechem, który zaraz przygasł.

— Jak mi idzie?

— Zupełnie nieźle.

Sandy postawiła tę ocenę na wyrost, o czym obydwójce doskonale wiedzieli.

Donald Madden przyleciał do Baltimore, żeby odebrać ciało córki z miejskiej kostnicy, ale zjawił się sam, bez żony, i mimo ponawianych próśb Sary Rosen nie chciał z nikim zamienić choćby słowa. Przez telefon powiedział tylko, że nie interesują go rozmowy z rozpustnikiem. Sandy słyszała tę obelgę, ale ani ona, ani Rosenowie, woleli nie wspominać o tym Kelly'emu. Chirurg opowiedział Sandy parę szczegółów na temat rodzinnego domu Pam. Wynikało z tego jasno, że sceny z ojcem Pam stanowią epilog pasujący do reszty jej krótkiego i niewesołego życia. Nie warto było o tym wszystkim mówić pacjentowi. Kelly zapytał tylko o szczegóły pogrzebu i dowiedział się, że czy tu, czy w Teksasie, i tak nie może opuścić szpitala. Przyjął uwagę w milczeniu i bez sprzeciwu, co zaskoczyło pielęgniarkę.

Lewe ramię miał nadal unieruchomione i z całą pewnością obolałe. Sandy mogła się w tym zorientować widząc grymasy bólu na jego twarzy — coraz częstsze w miarę, jak mijały godziny od czasu zażycia poprzedniej porcji środków znie-

czulających. Skargi nie były jednak w jego stylu. Nawet teraz, po półgodzinnym morderczym ćwiczeniu na rowerze, rozmyślnie maszerował jak tylko mógł najszybciej, studząc organizm niczym wyćwiczony sportowiec.

— Po co te popisy? — odezwała się zza jego pleców Sandy.

— Po co, po co? Zawsze muszą być jakieś powody? Taki już jestem, i tyle.

— To sobie bądź, ale pamiętaj, że masz dłuższe nogi ode mnie, i nie nadążam. Masz iść wolniej, słyszysz?

— Zgoda. — Kilkanaście kroków, jakie ich dzieliły od windy, Kelly przeszedł dużo spokojniej. — Ciekawe, swoją drogą, ile jest takich dziewczyn. . . Takich jak Pam?

— Za dużo — ucięła Sandy, która nie znała dokładnych danych, ale wiedziała, że szpitale odnotowują podobne przypadki jako osobną kategorię pacjentów. Sytuacja Pam nie była bynajmniej odosobniona.

— To kto im pomaga?

— Nikt. — Sandy przycisnęła guzik windy. — Nikt, a nikt. W paru miejscach otwarto niedawno oddziały odwykowe, ale mały z nich pożytek, bo pomagają likwidować skutki, nie przyczyny. Środowisko, bieda, wszystko, z czego się biorą takie przypadki, zostaje po staremu. Są programy rehabilitacyjne dla złodziei, dla zboczeńców, ale takie dziewczyny traktuje się jak psa z kulawą nogą. Nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby pomóc, najwyżej jakiej organizacji kościelnej. Gdyby ktoś oficjalnie stwierdził, że te dziewczyny są chore, może świat zwróciłby wreszcie na nie uwagę. . .

— Ale nie są chore, prawda?

— O to musiałbyś zapytać lekarzy, a nie pielęgniarkę, nawet dyplomowaną. Ja się na tym nie znam. Nadzoruję rehabilitację pacjentów po operacji, i tyle. Fakt, że w stołówce rozmawiamy zawsze z lekarzami, więc coś tam słyszałam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak krótko żyją takie dziewczyny. Większość wykańcza się raz dwa. Nawet nie wiadomo później, czy przedawkowały rozmyślnie, czy przypadkowo. Czasami ktoś je morduje, albo opiekunowie okazują się brutalni — wtedy lądują tu, w szpitalu, i dopiero wtedy okazuje się, że są na ostatnich nogach. Żółtaczką od brudnych igieł, zapalenie płuc. . . W połączeniu z ciężkim urazem skutek bywa przeważnie ten sam. Tylko czy można w ogóle coś na to poradzić? Dlaczego młode dziewczyny mają tak zdychać?

Nadjechała winda.

— Kiedy mnie wypiszecie? — zapytał Kelly niby od niechcienia, lecz podejrzenie napiętym głosem, kiedy wrócili już do pokoju.

— Najwcześniej za tydzień — odparła Sandy. — Jutro zdejmujemy ci opatrunki z ramienia.

— Naprawdę? Sam nawet mi nie wspomniał. Będę znowu mógł ruszać ręką?

— Nie, bo będzie cię za bardzo bolała.

— Ech, Sandy, i tak już boli. — Kelly uśmiechnął się krzywo. — A skoro boli, niech przynajmniej coś z tego mam.

— Dobrze. A teraz kładź się — rozkazała pielęgniarka i zanim Kelly zdążył zaprotestować, włożyła mu pod pachę termometr, a ramię owinęła gumowym paskiem i zaczęła mierzyć puls, a potem ciśnienie. Wyniki, które wpisała na karcie były dobre: 36,9°C, 64, 150/60. Najbardziej zdumiały pielęgniarkę dwa ostatnie. Niezależnie od tego, co wyrabiał pacjent, na pewno błyskawicznie powracał do formy. Ciekawe, dlaczego tak mu spieszo?

Jeszcze tydzień, powtórzył w myślach Kelly, kiedy O'Toole wyszła. Trzeba się zaraz wziąć za tę zakichaną rękę.

\* \* \*

— I co takiego nam przynosisz? — zapytał Maxwell.

— Jak zwykle, trochę dobrych wiadomości i trochę złych — odrzekł Greer. — Dobre wiadomości są takie, że w pobliżu tego miejsca prawie nie ma regularnych sił przeciwnika, więc jest spora szansa, że nie zdążą zareagować. Zaobserwowaliśmy w sumie trzy bataliony. Dwa są w trakcie szkolenia przed wymarszem na południe, a jeden dopiero co wycofano z walk przy szosie numer 9. Ten trzeci jest w rozsypce, bo w trakcie przeformowywania. Uzupełnienie stanów, nowy cykl szkoleniowy i tak dalej. Ciężkiej broni nie mają prawie wcale. Nad rzeką jest kilka jednostek zmechanizowanych, ale daleko.

— A złe wiadomości? — zapytał admirał Podulski.

— Sami chyba wiecie, nie? Wzdłuż wybrzeża siedzi tyle baterii przeciwlotniczych, że wybrukują całe niebo ołowiem. Baterie raket przeciwlotniczych SA-2 macie tutaj, tutaj, i prawdopodobnie jeszcze tutaj. — Wskazał punkty na mapie. — Dla myśliwców na pewno zbyt niebezpiecznie, Kaz, a dla śmigłowców? Pewnie, jedna czy dwie maszyny ratownicze mogą się jakoś przemknąć, ale z dużymi transportowcami lepiej w ogóle nie ryzykować. Rozważaliśmy już to wszystko podczas planowania SEDNA, pamiętasz?

— Głupie pięćdziesiąt kilometrów od plaży!

— Dla śmigłowca to cały kwadrans czy dwadzieścia minut lotu, i to w linii prostej. A sam wiesz, Kaz, że nad takim terenem nie lata się w linii prostej. Osobiście przejrzałem mapy zagrożeń. Najlepsza trasa dolotu, jaką znalazłem... Wiem, że to twoja działka, Kaz, ale ja też się trochę na tym znam, dobra? No, więc najlepszy wariant daje i tak dwadzieścia pięć minut lotu. Za dnia po prostu niewykonalne.

— Możemy wezwać B-52, żeby nam wyrąbały korytarz w obronie — zaproponował Podulski, który od dzieciństwa nie bawił się w subtelności.

— Podobno mamy wykonać to wszystko po cichu — wytknął mu Greer. — Poza tym, kolego, najgorsza wiadomość brzmi następująco: naprawdę mało komu w ogóle zależy na tej akcji. Od czasu fiaska MACZUGI. . .

— A czy to myśmy zawinili z MACZUGĄ? — wybuchnął Podulski.

— Wiem, że nie my, Kaz. — Greer zdobył się na cierpliwy ton. Podulski nie był z tych, którzy ustępują łatwo i potulnie.

— Musi się znaleźć jakiś sposób! — warknął teraz.

Całą trójką pochyłili się nad zdjęciami lotniczymi, których kolekcja okazała się imponująca: dwa ujęcia wykonały kamery satelitarne, dwa obiektywy na pokładach szpiegowskich *SR-71 Blackbird*, a trzy, wykonane z niskiego pułapu i pod sporym kątem, były dziełem bezpilotowych „Łowców bizonów”. Obóz miał kształt kwadratu, dokładnie dwieście metrów na dwieście i bez wątplenia naśladował kropka w kropkę odnośny schemat na stronicach radzieckiego podręcznika na temat budowy miejsc odosobnienia. W każdym z czterech narożników umieszczono wieżę wartowniczą o wysokości dokładnie dziesięciu metrów. Wieże zapatrzone w blaszane dachy, by ochronić przed deszczem typowe w wietnamskiej armii ręczne karabiny maszynowe *RPD*, przestarzałej rosyjskiej konstrukcji. W obrębie ogrodzenia z drutu kolczastego widać było trzy większe budynki i dwa mniejsze. Wewnątrz tych większych trzymano zapewne dwudziestu amerykańskich oficerów, prawdopodobnie w stopniu pułkowników i komandorów. Obóz należał bowiem do obiektów specjalnych.

Uwagę Greera zwróciły początkowo właśnie zdjęcia z „Łowców bizonów”. Jedno z nich okazało się na tyle wyraźne, że można było zidentyfikować twarz jeńca. Tym ostatnim był pułkownik Robin Zacharias z Sił Powietrznych USA, zestrzelony wraz ze swym *F-105G* czternaście miesięcy wcześniej. Władze Północnego Wietnamu poinformowały, że pułkownik i jego bombardier zginęli. Ba, dostarczono nawet zdjęcia zwłok obu oficerów. Kryptonim tajnego obozu, czyli ZIELENIAK, znało w Ameryce nie więcej niż pięćdziesiąt osób. Więzienie nie miało nic wspólnego ze słynnym „Hanojskim Hiltonem”, dokąd docierali nawet amerykańscy dziennikarze, tym bardziej że od czasu widowiskowej lecz daremnej operacji MACZUGA, czyli desantu na obóz w Song Tay, w „Hiltonie” trzymano prawie wszystkich amerykańskich jeńców wojennych, albo tak przynajmniej utrzymywano. Tajny ZIELENIAK leżał na uboczu, w miejscu, gdzie nikt by się nie spodziewał znaleźć takiego przybytku, i stanowił bardzo złą wróżbę na przyszłość. Niezależnie od ostatecznego wyniku wojny, Ameryka chciała odzyskać strąconych pilotów. Istnienie ZIELENIAKA wskazywało, że niektórzy z nich, choć żyją, mogą nie powrócić nigdy. Również badania statystyczne ukazywały zaskakujące, złowrózbnе odchylenie od normy: z wietnamskich doniesień wynikało, że wyżsi rangą oficerowie giną o wiele częściej niż ci młodszy. Nie było tajemnicą, że przeciwnik posiada mnóstwo dobrze ulokowanych „wtyczek”, częściowo w szeregach amerykańskiego ruchu pokojowego, dzięki czemu orien-

tuje się kim są i czym się zajmują wyżsi oficerowie amerykańscy, jaką mają specjalność i co robili w przeszłości. Istniało więc podejrzenie, że tę właśnie grupę oficerów Wietnamczycy umieścili w osobnym ośrodku, czyniąc z nich argument przetargowy w pertraktacjach z moskiewskimi sponsorami wojny. W zamian za to, co jeńcy wiedzą na temat obrony strategicznej USA, Wietnamczycy chcieli zapewne uzyskać od Rosjan dalsze wsparcie, tym bardziej że Moskwa coraz mniej interesowała się trwającą w nieskończoność wojną i flirtowała z ideą światowego odprężenia. Co krok, to nowa zawikłana sytuacja. . .

— Odważnie, nie ma co — westchnął Maxwell. Trzy kolejne powiększenia przedstawiały wystawioną w stronę kamery twarz mężczyzny. Na ostatnim ujęci widać było, jak jeden ze strażników wbija więźniowi kolbę karabinu w plecy. Twarz dawała się rozpoznać bez cienia wątpliwości. Zacharias.

— A ten drugi, to Rosjanin — odezwał się Kaz Podulski, stukając w jedno ze zdjęć z „Łowcy”. Ten mundur umiałby poznać na końcu świata.

Pozostała dwójka miała pewne wyobrażenie o tym, co myśli sobie o tym wszystkim Kaz Podulski, syn przedwojennego ambasadora Polski w Waszyngtonie, posiadacz arystokratycznego herbu i potomek rodziny, która niegdyś walczyła u boku króla Jana Sobieskiego. Tę samą rodzinę prawie do cna wymordowali w czasie wojny hitlerowcy do spółki z Rosjanami. Dwaj bracia Podulskiego walczyli w krótkiej i beznadziejnej kampanii na dwa fronty, a rok później zginęli rozstrzelani przez NKWD w lesie pod Katyniem. W 1941 roku Kaz Podulski ukończył studia na Princeton i następnego dnia wstąpił do amerykańskiej Marynarki, jako przyszły pilot lotnictwa morskiego. Nowej ojczyźnie i nowej służbie poświęcił się z tym samym zapałem i talentem, a także z tą samą zaciętością. Ta właśnie jego pasja zdawała się ostatnimi czasy niebezpiecznie przybierać na sile. Podulski zdawał sobie sprawę, że już wkrótce czeka go emerytura. Greer znał przyczynę: wystarczyło spojrzeć na zaskakująco delikatne, wykręcone przez artretyzm ręce admirała, aby się domyślić, że przy następnych okresowych badaniach nie pomogą już żadne uniki. Kaz pożegna się ze służbą i stanie wobec widma końcówki życia, za całe towarzystwo mając wspomnienie o zmarłym synu i żonę naszpikowaną lekami przeciwko depresji. Mimo wszystkich medali i pororca admirałskiego w kącie gabinetu, droga życiowa, którą zakończy Podulski, będzie mu się wydawała daremną. Teraz jednak pracował z pasją neofity.

— Musimy znaleźć sposób — upierał się Podulski. — Jeżeli nic nie wymyślimy, możemy się pożegnać z myślą, że w ogóle jeszcze kiedyś zobaczymy tych ludzi. Wiesz, Wściekły, kogo tam mogą więzić? Petera Francisa i Hanka Osborne’a.

— Pete służył pode mną, kiedy dowodziłem „Enterprise” — przypomniał sobie Maxwell. Obaj z Podulskim spojrzeli na Greera.

— Zgadzam się z waszą oceną tego obozu. I nie powiem, też miałem swoje wątpliwości. Zacharias, Francis i Osborne to na pewno ludzie, którzy by tamtych interesowali.

Pułkownik Zacharias przez kilka lat służył w bazie w Omaha, jako sztabowiec odpowiedzialny za wybór celów dla amerykańskich broni strategicznych, a ponadto posiadał wprost encyklopedyczną wiedzę na temat tajnych planów wojennych USA. Dwóch lotników z Marynarki, o których wspomniał Podulski, również znało te szczegóły. Nikt nie kwestionował ich odwagi, poświęcenia ani uporów, z jakim nie przyznawali się do tego, ile wiedzą. Byli jednak tylko ludźmi, a ich wytrzymałość miała granice. Przeciwnik zaś miał do dyspozycji nieograniczoną ilość czasu i metod.

— Słuchajcie, jeśli chcecie, mogę spróbować przekonać do całej imprezy paru ludzi z mojej firmy, ale nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei.

— Jeżeli będziemy tak siedzieć, zostawimy tych ludzi na pastwę losu! — krzyknął Podulski i palnął pięścią w biurko. Wbrew pozorom, i on nie mówił w tej chwili wszystkiego. Ujawnienie istnienia obozu albo uratowanie jeńców ukazałyby całemu światu kłamliwość wietnamskich zapewnień i z całą pewnością mogłyby zaburzyć tok rokowań pokojowych. Być może po czymś takim Nixon poszedłby na rezerwowy plan, od dawna proponowany w Pentagonie, to jest na bezpośrednią inwazję wojskową na Północny Wietnam. Z wojskowego punktu widzenia operacja — prowadzona połączonymi rodzajami sił zbrojnych — byłaby typowo amerykańska, lecz jej śmiałość, zakres i ryzyko nie miały dotychczas precedensu. Mówiło się o bezpośrednim desancie spadochronowym na Hanoi, o lądowaniu dywizji piechoty morskiej na plażach po obu stronach portu w Hajfongu, o rajdach śmigłowcowych w punktach pośrednich, a także o wsparciu ze strony wszystkich sił, jakimi Ameryka dysponowała w tamtym rejonie. Chodziło o to, by przetrącić kark przeciwnikowi i wziąć do niewoli władzę Północnego Wietnamu. Kryptonim operacji zmieniano co miesiąc — obecnie brzmiała ona CZEPEK. I właśnie o czymś takim marzyli zawodowi spece od wojny, którzy od sześciu lat musieli się przyglądać, jak ich ukochana Ameryka drepcze w miejscu i trwoni życie własnych dzieci.

— Nie myśl sobie, że mam inne zdanie na ten temat! Osborne pracował dla mnie w Suitland. Sam musiałem się pofatygować razem z kapłanem, żeby wręczyć wdowie ten zasrany telegram. Umówmy się, że ja też jestem po waszej stronie! — uspokoił go Greer, który w odróżnieniu od Kaza i Wściekłego wiedział, iż operacja CZEPEK pozostanie tylko na papierze. Politycznie rzecz była nie do przeprowadzenia, bo najpierw trzeba by poinformować Kongres, a w Kongresie istniało zbyt wiele przecieków. Inwazja stanowiła realną możliwość jeszcze w 1966, ewentualnie 1967, no od biedy 1968 roku, lecz obecnie można ją sobie było wybić z głowy. Obóz oznaczony jako ZIELENIAK istniał jednak naprawdę,

a co za tym idzie, możliwość bardziej ograniczonej akcji wchodziła rzeczywiście w grę. Prawie.

— Trochę byś się uspokoił, Kaz — zaproponował Maxwell.

— Tak jest.

Greer przeniósł wzrok z ich twarzy na mapę plastyczną doliny.

— Obaj jesteście lotnikami, więc i myślenie u was czasem ptasie.

— Niby dlaczego? — nadał się Maxwell.

Greer wskazał czerwoną linię, która biegła od nadbrzeżnego miasteczka prawie pod główną bramę obozu. Na zdjęciach lotniczych szosa sprawiała wrażenie solidnej i wyasfaltowanej.

— Siły przeciwnika skupiają się w tych miejscach. Szosa prawie cały czas idzie równoległe do rzeki. Na całym terenie roi się od baterii przeciwlotniczych, zgoda, zresztą to ze względu na te baterie potrzebna im ta cała szosa, ale lekkie działka to głupstwo, jeśli się tam wejdzie z porządnym sprzętem.

— Mówisz o inwazji — zauważył Podulski.

— A desant siłami dwóch kompanii na śmigłowcach to niby co innego?

— Zawsze cię miałem za faceta z głową, James — odezwał się do Greera Maxwell. — Wiesz co? Prawie dokładnie w tym samym miejscu strącono mojego syna. Ten płetwonurek odnalazł go i zabrał dokładnie z tego punktu, o tu.

— Chcesz powiedzieć, że jest ktoś, kto tam był? — zdumiał się Greer. Przydałby się nam ktoś taki. Tylko gdzie go teraz znaleźć?

\* \* \*

— Cześć, Sarah — odezwał się Kelly i wskazał lekarce krzesło. Wydawała mu się teraz starsza, niż podczas ich pierwszego spotkania.

— Już trzeci raz do ciebie zaglądam, John. Do tej pory zawsze spałeś.

— Głównie tym się ostatnio zajmuję. Nie szkodzi, fajnie, że się wreszcie widzimy — uspokoił lekarkę Kelly. — Twój mąż wpada do mnie parę razy na dzień.

Rozmowa okropnie się nie kleiła. Kelly powtarzał sobie, że najtrudniejsze ze wszystkiego jest spojrzeć w oczy przyjaciołom.

— Mieliśmy strasznie dużo pracy w laboratorium — zaczęła się tłumaczyć Sarah. — John, chcę ci coś powiedzieć. Strasznie mi przykro, że się to wszystko stało. To ja cię namówiłam, żebyście przyjechali do miasta. Mogłam was umówić gdziekolwiek indziej, niekoniecznie z Madge. Znam świetnego lekarza w Annapolis...

Sarah zamilkła, a Kelly aż się zdumiał, słysząc tyle winy w jej głosie.

— Naprawdę nie jesteś niczemu winna, Sarah — wtrącił. — Pomogłaś Pam jak mało kto. Gdyby jej matka była taka jak ty, może wszystko by się...

Sarah nie usłyszała go chyba, bo ciągnęła:

— Mogłam wam wyznaczyć jakiś późniejszy termin. Gdybyśmy ustalili inną porę, inny dzień. . .

Kelly uznał, że tym razem Sarah ma całkowitą rację. Niewiadome zbiegi okoliczności. Co by było, gdyby. Gdyby zaparkował samochód na innej ulicy niż tamta? Gdyby Billy ich przypadkiem nie wypatrzył? Gdybym się nie ruszył i pozwolił skurwysynowi jechać w swoją stronę? Gdyby wszystko to stało się w inny dzień, tydzień wcześniej albo później? Zawsze jakieś „gdyby”. Przeszłość wyglądała tak, jak wyglądała, gdyż setki przypadkowych wydarzeń ułożyły się akurat w taką, a nie inną całość. Łatwo było się z tym pogodzić, gdy ostateczny skutek okazywał się pomyślny, ale jeśli nie? Co by się stało, gdyby wracał z hurtowni spożywczej inną trasą? Gdyby nie zauważył Pam na poboczu autostrady i nie nacisnął na hamulec? Gdyby fiolka pastylek nie wypadła z plecaka? Czy Pam żyłaby w tej chwili? Ba, gdyby jej ojciec wykazał w swoim czasie choćby odrobinę zrozumienia, Pam nigdy by nie uciekła z domu, a Kelly nie spotkałby jej na swej drodze. Więc czy to dobrze, czy źle, że jednak ją spotkał?

— Naprawdę niczemu nie jesteś winna, Sarah. Pomogłaś tej dziewczynie, na ile tylko mogłaś. Dlaczego myślisz, że potrafiłabyś cokolwiek zmienić?

— Dlatego, Kelly, że wyciągnęliśmy ją z bagna! Dlatego, do cholery!

— Wiem, że się nam udało. Ale to ja ją tu przywiozłem, i to ja przestałem uważać, co się dzieje. Ja, a nie ty. Wszyscy mi tu powtarzają, że to nie ja zawiniłem, ale ty poszłaś dalej, bo zjawiasz się i mówisz, że to wszystko przez ciebie. — Grymas na twarzy Kelly’ego prawie przypominał uśmiech. — Łatwo byłoby się w tym wszystkim zgubić, gdyby nie jedna taka sprawa. . .

— To nie był przypadek, tak? — Sarah zaczynała rozumieć.

— Właśnie! To nie był przypadek.

\* \* \*

— Mamy go — powiedział szeptem Oreza, kierując szkła lornety w stronę dalekiej kropki na wodzie. — Dokładnie tak, jak pan mówił.

— Chodź malusia do tatusia — szepnął policjant w ciemności. Powtarzał sobie do tej pory, że akcja stanowi szczęśliwy zbieg okoliczności. Ludzie, których przyszło mu dziś aresztować, mieli w okręgu Dorchester gospodarstwo rolne. Zasadniczo uprawiali kukurydzę, lecz między rzędami kolb zasadzili przy okazji marihuanę. Sposób prosty, ale skuteczny. Gospodarstwo składało się z zabudowań mieszkalnych, stodoły i magazynów, gdzie nie zaglądał nikt ciekawski. Ponieważ właściciele byli ludźmi z głową, woleli nie wozić plonów swoją furgonetką przez most na zatoce Chesapeake, gdzie łatwo było utknąć w wakacyjnym korku i gdzie bystrooki strażnik nie dalej jak miesiąc wcześniej dał policji cynk, że wypatrzył jakiś podejrzany ładunek. Gliniarze uważali tam na narkotyki. Ale farmerzy pil-



nowali się tak dobrze, że ich interes kwitł, stając się zagrożeniem dla jednego z przyjaciół porucznika Charona. Trzeba więc było się nimi zająć.

Farmerzy posługiwali się motorówką. Na szczęście dobre niebiosa zesłały Charonowi Straż Przybrzeżną, a marynarzom ze Straży pozwoliły wziąć udział w prawdziwej akcji przeciwko handlarzom narkotycznego towaru i tym sposobem zyskać we własnych oczach. Charonowi zależało na ich usługach. Straż Przybrzeżna tak się świetnie spisła, kiedy wpędzono w pułapkę Angelo Vorano... Stojąc w zaciemnionej sterówce, porucznik Charon uśmiechnął się do siebie.

— Teraz mamy ich drapnąć? — upewnił się Oreza.

— Właśnie teraz. Ludzie, którym tamci mają dostarczyć towar, to nasi informatorzy. Nie chcę ich w to wplątywać. Tylko proszę nikomu tego me powtarzać — dodał Charon.

— Nie ma sprawy. — Bosman popchnął dźwignie obrotów i zakręcił kołem w prawo, krzycząc pod adresem załogi: — Ludzie, pobudka!

Rufa kutra aż się zagłębiła w wodę pod naporem rozpędzonych śrub. Dowódca stał na mostku i upajał się hukiem potężnych diesli. Kiedy zmieniał kurs, niewielkie, stalowe koło sterowe dygotało mu w rękach. Najzabawniejsze było to, że zanosilo się na pełne zaskoczenie, bo chociaż to właśnie Straż Przybrzeżna była na tych akwenach odpowiedzialna za prawo i porządek, zajmowała się głównie ratowaniem rozbitek i nikt jej nie kojarzył z nawodnym odpowiednikiem policji. A szkoda, szkoda — pomyślał sobie Oreza, który w ciągu ostatnich paru lat przyłapał paru podwładnych na paleniu trawki. O jego reakcji nadal krążyły wśród załóg ciche legendy.

Teraz już wyraźnie widzieli cel, dziesięciometrową rybacką płaskodenkę, z tych, których całe setki uwijały się po wodach Chesapeake. Prawdopodobnie miała stary silnik Chevroleta, za słaby, aby umknąć pogoni. Oreza pomyślał z uśmiechem, że łatwo przegapić taką krypę. Stara łajba ma swoje zalety, ale nie w sytuacji, kiedy chodzi o własne życie i wolność.

— Udawajcie, że to normalny partol — polecił mu policjant.

— Nie musimy udawać, niech pan sam popatrzy — brzmiała odpowiedź bosmana. Załoga kutra czuwała, ale bez ostentacji, a broń pozostała w kaburach. Kuter sunął kursem prawie dokładnie w stronę posterunku na Thomas Point, więc nawet gdyby tamci zauważyli intruza — a nie oglądali się za rufę — mogli łatwo dojść do wniosku, że kuter zwyczajnie wraca do bazy. Pięćset metrów. Oreza popchnął manetki gazu do samego końca, żeby wycisnąć z silników dodatkowe parę węzłów i wyprzedzić zdobycz.

— Pan English płynie! — wskazał mu jeden z marynarzy. Drugi kuter patrolowy z Thomas Point istotnie szedł od strony posterunku, kursem na zbliżenie, lecz celując w daleką latarnię morską, którą opiekował się posterunek.

— Nie są tacy mądrzy jak myślą, co? — odezwał się Oreza.

— Gdyby byli mądrzejsi, to by żyli uczciwie.

— Słusznie, słusznie.

Jeszcze tylko trzysta metrów. Na łodzi jedna z trzech osób odwróciła się wreszcie i spostrzegła białą sylwetkę kutra patrolowego. Ten, który się obejrzał, powiedział coś do współnika przy kole sterowym. Widok był prawie komiczny. Oreza mógł sobie dośpiewać w myślach każde słowo ściganych. „Ty, Straż Przybrzeżna! No, to co? Spokojnie, może tylko zmieniają się na patrolu, albo coś. Patrz, drugi kuter... Oho, coś mi się tu nie podoba... Spokój, do cholery! Naprawdę mi się to nie podoba. Siadaj i nie trzęs się tak! Nie włączyli koguta, to ich strefa patrolowa i tyle. Spokój, chłopaki!” Za chwilę któryś z nich nareszcie wykrztusi: „O, kurwa!”. Oreza uśmiechnął się pod wąsem. Wszystko stało się dokładnie, jak przewidział. Facet przy kole sterowym odwrócił się, otworzył i zamknął usta, wypowiadając spodziewane słowa, a paru marynarzy z kutra zaśmiało się na ten widok.

— Szefie, chyba się czegoś domyślają!

— Włączać koguta! — rozkazał bosman. Zamigotały policyjne światła na dachu sterówki. Oreza nawet się trochę zmartwił.

— Rozkaz!

Ścigana łódź zawróciła raptownie na południe, lecz tam przeciął jej drogę drugi kuter, ten płynący od bazy. Było jasne, że nie uda się im oderwać.

— Trzeba było oszczędzać i kupić sobie coś szybszego, chłopaki — mruknął Oreza, choć miał przeczucie, że przestępcy także zaczną się uczyć na błędach. Kupno łodzi, którą da się umknąć kutrowi patrolowemu nie stanowiło w końcu większego problemu. Na szczęście tym razem poszło gładko. Równie łatwo ścigałoby się żaglówkę, pod warunkiem, że żaden idiota policjant nie wtrącałby się do rzeczy. Ale łatwe akcje nie będą trwały wiecznie.

Ścigana łódź wpadła w potrzask między parą kutrów i zmniejszyła obroty. Chorąży English trzymał się kilkaset metrów z tyłu, Oreza zaś podpłynął bliżej i krzyknął przez megafon:

— Tu Straż Przybrzeżna, sprawdzamy dziś bezpieczeństwo wszystkich jednostek. Koła ratunkowe i tak dalej. Prosimy, żeby wszyscy zostali na miejscach i czekali, aż skończymy inspekcję.

Scena przypominała zachowanie zawodników, którzy sekundę przed końcem rozgrywki przegrali mecz. Choćby wychodzili ze skóry, i tak nie mogło to już niczego zmienić. Opór także był bezcelowy, więc pozostawało stać i czekać, z pokorą godząc się z losem. Oreza martwił się, że tego typu reakcja może kiedyś przestać być regułą. Lada dzień mógł się trafić ktoś na tyle głupi, że zamiast się poddawać, wybierze strzelaninę.

Dwóch marynarzy z kutra wskoczyło na pokład drugiej jednostki. Dwaj inni ubezpieczali ich z rufy. Chorąży English podpłynął bliżej. Oreza mógł się przekonać, że English steruje pewnie i skutecznie, jak przystało na starszego podoficera Marynarki. Jego ludzie także ustawili się z bronią na pokładzie, na wypadek, gdy-

by ktoś dostał małpiego rozumu. Trójka zatrzymanych stała bez ruchu i ze wzrokiem wbitym w deski pokładu łudziła się jeszcze, że to naprawdę tylko zwyczajna inspekcja. Marynarze Orezy weszli do kabiny na dziobie i po minucie wynurzyli się stamtąd. Pierwszy dotknął daszka czapki, sygnalizując, że wszystko gra, a drugi poklepał się po brzuchu. Pod pokładem rzeczywiście były narkotyki. Pięć klepnięć — towaru musiała więc być tam cała masa.

— Mamy ich — zauważył beznamiętnie Oreza.

Porucznik Mark Charon z Wydziału Narkotyków miejskiej komendy policji w Baltimore oparł się o budę — czy, jak ją nazywali marynarze, sterówkę — i uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał na sobie cywilne, sportowe ciuchy i regulaminową, pomarańczową kamizelkę ratunkową, więc na odległość łatwo można go było wziąć za członka załogi.

— Świetnie, ale zajmijcie się tym sami. Co pan napisze w raporcie?

— Zwykła inspekcja jednostki, aż tu nagle... Rany boskie, niechcący znaleźliśmy narkotyki! — wyjaśnił rozbawiony Oreza.

— Dokładnie tak bym to widział. Brawo.

— Dzięki, dzięki.

— Nie ma za co, kapitanie.

Przed rejssem Charon objaśnił marynarzom całą procedurę. Żeby ochronić przed podejrzeniami swoich informatorów, policja wolała przypisać całą zasługę właśnie Straży Przybrzeżnej. Ani bosmanowi, ani chorążemu specjalnie to nie przeszkadzało. Oreza mógł po takiej akcji wymalować na maszcie (a w tym wypadku na podstawie anteny radarowej) symbol zwycięstwa w postaci pięciopalczystego liścia marihuany, a załoga miała odtąd prawo przechwalać się na prawo i lewo szybką akcją na wodach Zatoki. Mogła im się nawet trafić gratka w postaci wystąpienia w charakterze świadków przed sądem okręgowym, chociaż nie było to takie pewne: przestępcze płotki były w tym wypadku tak drobne, że mogły śmiało próbować iść na ugodę z prokuratorem i przyznać się do najlżejszych punktów oskarżenia. Przy okazji w ich środowisku rozejdzie się pogłoska, że donieśli na nich najprawdopodobniej ci sami ludzie, którzy mieli odebrać dostawę. Przy dobrym układzie odbiorcy znikną z horyzontu — taki obrót rzeczy dodatkowo ułatwiłby Charonowi zadanie. W łańcuchu pokarmowym świata narkotyków powstałaby trwała luka — Charon uwielbiał ten rodzaj żargonu — a w najgorszym razie zostałby wyeliminowany z tego łańcucha potencjalny rywal. Porucznik Charon zaś doczeka się paru ciepłych słów od przełożonego, dostanie kwiecisty list dziękczynny z dowództwa Straży Przybrzeżnej i drugi z prokuratury, a zewsząd będzie się go obsypywać gratulacjami, bo nie co dzień zdarza się operacja tak dyskretna i tak skuteczna, w dodatku przeprowadzona bez szkody dla informatorów. Kapitan znów powie, że Charon to jeden z naszych najlepszych ludzi. Ale, ale, poruczniku, skąd pan bierze takich świetnych informatorów? Nooo, wie pan,

panie kapitanie, jak to jest. Dyskrecja, muszę chronić tych współpracowników. Pewnie, pewnie, rozumie się. Gratulacje, i oby tak dalej.

Postaram się, odrzekł w myślach Charon i zapatrzył się na zachód słońca. Nie chciało mu się nawet śledzić, jak marynarze zakuwają podejrzanych w kajdanki i odczytują im ich prawa jako zatrzymanych. Marynarze świetnie się bawili tym wszystkim. Z drugiej strony, to samo dałoby się powiedzieć o Marku Charonie.

\* \* \*

— No, i gdzie te zaszranie śmigłowce? — zapytywał sam siebie Kelly.

Akcja nie kleiła się od samego początku. Jego partner, Pickett, dostał nagle strasznego rozwolnienia. Lekarz nie wykluczał dyzenterii, więc Kelly musiał tym razem wyruszyć sam. Zrządzenie losu było niepomyślne, lecz akcja wydawała się na tyle ważna, że tym razem trzeba było wystawić czujkę przy każdej leśnej osadzie czy przysiółku — *ville*, jak się mówiło w Wietnamie. Kelly wyruszył więc sam i bardzo, bardzo ostrożnie brnął w górę cuchnącego cieku, który na mapie określono jako rzekę. Kelly miał dla takiej strugi zupełnie inną nazwę.

Oczywiście, skurwysyny musiały się zjawić właśnie w jego przysiółku.

Operacja PLASTIKOWY KWIAT, tak? Kelly patrzył, nasłuchiwał i drapał się w głowę, bo kryptonim wydawał mu się idiotyczny.

Mianem PLASTIKOWY KWIAT określono wietnamskie „grupy walki ideologicznej” czyli bojówki polityczne armii Północnego Wietnamu. Kelly i jego ludzie używali dużo mniej neutralnych określeń, ale też wietnamscy „ideolodzy” nie przypominali pracowników biura wyborczego w Indianapolis. Grupa PLASTIKOWY KWIAT otrzymała w Hanoi zupełnie inne przeszkolenie w sztuce pozyskiwania sobie serc i umysłów.

Wójt, starszy czy też burmistrz wietnamskiej osady był człowiekiem odważnym, czyli w tych warunkach po prostu durniem. Tej nocy przyszło mu za to zapłacić i to na oczach ukrytego w pobliżu obserwatora, bosmanmata J. T. Kelly’ego. Wietnamska grupa zawitała do wioski o wpół do drugiej w nocy i sprawnie, w sposób nieomal cywilizowany, obudziła chłopów i ich rodziny w poszczególnych chałupkach. Całą ludność popędzono na główny plac, gdzie w pyle siedzieli z ciasno skrzepowanymi ramionami głupi wójt, jego żona i trzy córki. Północnowietnamski major-politruk, który dowodził grupą PLASTIKOWY KWIAT rozkazał, by wszyscy usiedli. Mówił spokojnie i bez krzyku. Kelly słyszał każde jego słowo ze swej kryjówki dwieście metrów od placu. Osadzie należała się lekcja, bo okazało się, że nie wszyscy rozumieją, iż nie trzeba się przeciwstawiać ruchowi wyzwolenia narodowego. Ci, którzy tego nie rozumieli, nie byli źli, a tylko złądzili. Major miał szczerą nadzieję, że prosta lekcja, jaką chce przeprowadzić, wystarczy, by otworzyć ludziom oczy.

Na pierwszy ogień poszła żona wójta. Potrwało to dwadzieścia minut.

Kelly wiał się w ciemnościach i powtarzał sobie, że przecież musi coś zrobić! Zarazem karcił się i wyzywał od idiotów, bo tamtych było jedenastu, a on jeden. Major, który był ich dowódcą, mógł sobie być sadystą i skurwysynem, ale dziesięciu żołnierzy, których przyprowadził, dobrano nie tylko ze względu na prawomówność ich poglądów. Z pewnością byli karni, doświadczeni i oddani sprawie. Kelly'emu nie mogło się to pomieścić w głowie, ale fakt pozostawał faktem. I nie mógł nie wziąć pod uwagę fizycznej obecności dziesięciu przeciwników.

Gdzie ta pierdolona obława? Od chwili, kiedy Kelly połączył się z bazą — oddaloną zaledwie o dwadzieścia minut lotu śmigłowcem — minęło czterdzieści minut. Na wietnamskiego majora polowano od dawna. Jego podwładni także mogli się przydać, ale najważniejszy był major, bo wiedział, gdzie szukać miejscowych działaczy podziemia — tych, których nie wyłapała piechota morska podczas popisowej akcji sześć tygodni wcześniej. Lekcja pogładowa dla wsi stanowiła zapewne odwet za tamtą porażkę, umyślnie skierowany w osadę pod bokiem amerykańskiej bazy, jak gdyby Wietnamczycy chcieli powiedzieć, że nigdy się ich nie złapie i że będą walczyć aż do zwycięstwa.

Kelly miał wrażenie, że przeciwnik nie myli się w tych pogroźkach. Nie obchodziły go jednak losy wojny, a tylko powodzenie obecnej akcji.

Najstarsza córka wójta miała może piętnaście lat. Po drobnych, zwodniczo delikatnych kobietach w tym kraju trudno było poznać prawdziwy wiek. Męczyła się już dwadzieścia pięć minut, lecz nadal żyła. Jej krzyk niósł się przez otwarty teren aż do bagiennej kryjówki Kelly'ego, który ścisnął plastikową kolbę swojego karabinka *CAR-15* tak mocno, że omal jej nie wgniół.

Dziesięciu podwładnych wietnamskiego majora rozstawiło się przepisowo, bo jedna ich para towarzyszyła dowódcy, a kilka innych czuwało na zmianę wokół obrzeża placu, tak aby nikogo nie ominął udział w zabawie. Któryś z żołnierzy dobił wreszcie dziewczynę nożem.

Druga córka wyglądała na dwanaście lat. Kelly wsłuchiwał się usilnie w niebo, modląc się, by jak najszybciej rozległ się charakterystyczny łopot podwójnych łopat wirnika *Hueyów*. Słyszał jednak co innego: łoskot haubic kalibru 155 mm z bazy piechoty morskiej na wschodzie i wycie odrzutowych silników wysoko na niebie. Stłumione dźwięki nie mogły zagłuszyć przeraźliwych krzyków dziecka. Cóż, kiedy rachunek był wciąż ten sam — jeden Kelly przeciwko jedenastu uzbrojonym mężczyznom. Nawet gdyby czuwał tu dziś także Pickett, przy takiej przewadze nie było sensu ryzykować. Kelly miał przy sobie swój karabinek *CAR-15* z magazynkiem na trzydzieści naboji, drugi magazynek przyklejony taśmą do pierwszego i jeszcze dwa komplety po dwa magazynki w ładownicach. Do tego cztery granaty obronne, dwa zaczepne i dwie świece dymne. Najgroźniejszą bronią, jaką posiadał, była radiostacja, tyle że połączył się już z bazą dwa razy, uzyskując tylko potwierdzenie odbioru i polecenie, by czekać.

Łatwo to mówić komuś, kto siedzi spokojnie w bazie.

Dziewczynka miała dwanaście lat. Za młoda na taki koniec. Nie, w żadnym wieku nie można tak skończyć. Kelly powtarzał to sobie bezsilnie, wiedząc, że nic nie poradzi. Co osiągnie, jeśli do martwej rodziny wójta dorzuci własne zwłoki?

Skąd w ludziach tyle okrucieństwa? Przeciwnicy byli ostatecznie takimi samymi żołnierzami jak Kelly, zawodowymi wojakami, nie rzeźnikami. Cóż ich takiego opętało, że wyrzekli się człowieczeństwa? Sceny, które Kelly musiał oglądać, nie mieściły mu się w głowie. W oddali wciąż huczała artyleria, kładąc zapórę ogniową wzdłuż domniemanej trasy zaopatrzenia Wietkongu. Po niebie bez przerwy przeciągały samoloty, może szturmowce piechoty morskiej po dywanowym nalocie na jakiś cel, zapewne po prostu na pustą połąć dżungli. Nic nowego: tak w rzeczywistości wyglądała większość tutejszych celów. Bomby omijały osadę pełną przeciwnika, ale i tak nic by nie pomogły. Kelly widział aż za dobrze, że wietnamscy wieśniacy zawierzyli życie własne i swoich rodzin systemowi, który okazał się nieskuteczny. Kto wie, czy major nie wyobrażał sobie wręcz, iż okazuje miłosierdzie eliminując — owszem, drastycznymi metodami — jedną rodzinę w sytuacji, kiedy mógł śmiało i o ileż bardziej sprawnie wykończyć całą wioskę. Umarli jednak milczą, a historia o tym, jaką karę poniósł wójt z rodziną, miała rozejść się po okolicy. Wietnamczycy, koneserzy terroru, nie zabijali na ślepo.

Czas włókł się w nieskończoność, choć sekundnik wciąż cykał. Wkrótce dwunastolatka ucichła na zawsze, a jej ciało ciśnięto na bok. Kelly dojrzał przez lornetkę, że trzecia i ostatnia dziewczynka ma osiem lat. A jeszcze ta buta, z jaką sukinsyny podsycaly ognisko! Bardzo się starali, żeby nikogo z osady nie ominął ten widok.

Osiem lat. Dziecko. Nawet gardło zbyt małe, by wydało z siebie prawdziwy krzyk. Kelly obserwował kolejną zmianę warty. Dwóch następnych żołnierzy przeszło z terenu wokół placu do ogniska na środku. Rozrywka i rekreacja dla oddziału walki politycznej, który w odróżnieniu od Kelly'ego nie mógł liczyć na urlop na Tajwanie. Wartownik, najbliższy miejsca, gdzie ukrył się Kelly, nie doczekał się jeszcze swojej kolejki i zapewne nawet na to nie liczył. Wójt miał na to za mało córek, to po pierwsze, a po drugie, żołnierz prawdopodobnie czymś podpadł majorowi. Tak czy siak, stał z boku jak kołek i mógł się tylko oblizywać. Rzeczywiście patrzył cały czas w stronę ogniska, zawistnie śledząc zabawę kolegów. Trudno, może następnym razem... Dziś mógł sobie najwyżej popatrzeć, i rzeczywiście patrzył, zapominając o tym, że ma czuwać.

Kelly zorientował się, co robi, gdy pokonał już połowę drogi do wartownika. Czołgał się prędko, jak tylko mógł najciszej, co ułatwiał mu grząski grunt. Przyciskał ciało jak najbliżej ziemi, przybliżając się coraz bardziej, ponaglany skomleniem, które dobiegało od strony ogniska.

Trzeba było tak od razu, przeszło mu przez głowę.

Od razu się nie dało.

A teraz, kurwa, niby się da?

Dopomógł mu szczęśliwy traf w postaci hurgotu śmigłowca a może kilku, gdzieś od południowego wschodu. Kelly usłyszał łopot wirników pierwszy, dokładnie w chwili, kiedy z wydobytym nożem podnosił się z ziemi tuż za plecami wartownika. Wietnamczyk nie zorientował się jeszcze w sytuacji, kiedy nóż wbił mu się w podstawę czaszki w miejscu, gdzie rdzeń kręgowy styka się z mózgiem. W medycynie fachowa nazwa tego punktu brzmi *medulla*, Kelly zapamiętał to z jednego ze szkoleń. Kelly przekręcił wbity nóż niczym śrubokręt, a jednocześnie dłonią zakrył Wietnamczykowi usta. Ciało ofiary zwiotczało w jednej sekundzie. Kelly delikatnie opuścił je na ziemię, nie przez współczucie, lecz, by nie narobić hałasu.

Hałas wszczął się jednak i tak, bo śmigłowce były coraz bliżej. Major podebrał głowę, odwrócił się w stronę, skąd dobiegał huk i zorientował się w niebezpieczeństwie. Krzykiem nakazał swoim ludziom zbiórkę, odwrócił się i strzelił ośmiolatce w głowę, niemal nie czekając, aż zwlecze się z niej jeden z jego podwładnych.

Drużyna w parę sekund ustawiła się w szeregu. Major odruchowo przeliczył ludzi, spostrzegł, że jednego brakuje i przeniósł wzrok w miejsce, gdzie był teraz Kelly. Za długo tkwił jednak tej nocy przy płonącym ognisku: w ciemnościach zamajaczył mu tylko jakiś niewyraźny kształt.

— Raz, dwa, i trzy! — szepnął Kelly do siebie. W rękę trzymał obronny granat odłamkowy, odbezpieczony i z wyrwaną zawleczką. Chłopcy z Trzeciej Specjalnej Grupy Operacyjnej w skrócie 3.SGO, sami przycinali opóźniacze zapalników. Diabli wiedzą, co wyprodukuje babuleńka przy taśmie w fabryce. Opóźniacze pirotechniczne wyrabiane przez samych żołnierzy paliły się dokładnie pięć sekund. Kelly cisnął granat, gdy doliczył do trzech. Metaliczne jajo rozbłysnęło na pomarańczowo w świetle ogniska. Rzut okazał się prawie perfekcyjny, bo granat wylądował dokładnie pośrodku kręgu żołnierzy. Kelly zdążył już paść na ziemię, kiedy dobiegł go ostrzegawczy krzyk — o sekundę spóźniony.

Granat zabił i poranił siedmiu spośród dziesięciu Wietnamczyków. Kelly zerwał się z karabinem gotowym do strzału i położył ósmego trzema pociskami prosto w głowę. Ani na sekundę nie zatrzymał wzroku na czerwonej chmurze, w którą zmieniła się czaszka, bo strzelał zawodowo, nie dla przyjemności. Major żył i leżąc na ziemi sięgał już po pistolet, kiedy Kelly władował mu w pierś następnych pięć pocisków. Jego śmierć oznaczała, że akcja udała się. By mówić o pełnym sukcesie, Kelly musiał już tylko ująć z życiem. To, co uczynił, było idiotyzmem, ale w tych warunkach ostrożność mogła go tylko zgubić.

Puścił się biegiem w prawo, unosząc karabin wysoko do góry. Na placu zostało co najmniej dwóch wietnamskich żołnierzy, uzbrojonych, wściekłych i na tyle oszołomionych, że nie próbowali uciekać. Pierwszy śmigłowiec, jaki nadleciał, wystrzelił masę rac oświetlających. Kelly przeklinał ich białe światło, bo

tylko w ciemności mógł czuć się bezpiecznie. Wypatrzył jeszcze i położył następnego Wietnamczyka, bez finezji, bo wypruł w biegnącego cały magazynek. Nadal w pełnym biegu zmienił magazynek na pełny i okrążył plac, licząc na to, że wpadnie na ocalałego przeciwnika. Nie spuszczał jednak oka z zabudowań. Wieśniacy biegali w popłochu. Niektórych musiały dosięgnąć odłamki jego granatu, ale nie pora była się tym martwić. Zapatrzył się jednak na ciała ofiar, a co gorsza, kiedy się odwracał, spozjrzał prosto w ognisko. Był to błąd, bo kiedy znów popatrzył w ciemność, widział tylko niebieskie i pomarańczowe powidoki. Za plecami słyszał huk lądującego tuż obok śmigłowca, tak głośny, że ginęły w nim nawet przeraźliwe wrzaski wieśniaków. Przycupnął przy ścianie lepianki i znowu wbił wzrok w ciemność, próbując ją przeniknąć. Ocalały Wietnamczyk na pewno nie będzie biegł w stronę śmigłowca. Posłuszny tej myśli, Kelly znów ruszył w prawo, trochę wolniej niż przedtem. Od następnej lepianki dzieliło go dziesięć metrów pustej przestrzeni, rozświetlanej blaskiem ogniska. Wyrzwał zza węgła, upewnił się, że horyzont jest pusty i pobiegł przed siebie. Tym razem pamiętał, żeby pochylić głowę. Kątem oka dostrzegł mignięcie czyjegoś cienia, a kiedy spojrzwał w tamtą stronę, potknął się i runął.

Wszędzie wokół siebie czuł wirujący kurz, lecz nie potrafił określić miejsca, skąd padły strzały. Okręcił się, by umknąć kolejnej serii, lecz w ten sposób wydostał się tylko na światło. Poderwał się więc i dał susa wstecz, prosto na ścianę lepianki, gorączkowo wypatrując błysków wystrzałów. Tam! Podniósł do ramienia *CAR-15* i wystrzelił, dokładnie w chwili, kiedy w pierś ugodziły go dwa pociski kalibru 7,62 mm. Impet uderzenia okręcił go i powalił na ziemię. Dwie następne kule roztrzaskały karabin w jego rękach. Kiedy znów podniósł głowę, leżał na wznak, a nad całą osadą zaległa cisza. Spróbował się poruszyć, lecz przeszkodził mu w tym przeraźliwy ból. Potem ktoś przycisnął mu do piersi lufę karabinu.

— Tutaj, panie poruczniku! — usłyszał angielskie słowa. Następne brzmiały: — Sanitariusz!

Świat zaczął mu się przesuwać przed oczami. Wleczono go w stronę ogniska. Głowa Kelly'ego kiwała się bezwładnie. Żołnierze przeczesywali osadę. Dwóch z nich rozbijało i oglądało Wietnamczyków od majora.

— Ten kutas żyje! — odezwał się jeden z nich.

— Co ty powiesz? — Drugi żołnierz oderwał się od zwłok ośmioletniej dziewczynki, podszedł bliżej, przytknął lufę do czoła Wietnamczyka i przycisnął spust.

— Kurwa mać, Harry!

— Nie robić mi tu chlewu! — wydarł się na nich porucznik.

— Pan popatrzy, co tu wyrabiali! — odwrzasnął Harry, opadł na klęczki i zaczął wymiotować.

— A tobie co dolega? — zażartował sanitariusz. Kelly nie odpowiedział, bo nie mógł. Sanitariusz zaraz jednak pojął, w czym rzecz, bo szepnął: — O, kurwa...



— Panie poruczniku, to chyba ten, co nas wzywał!

Kelly ujrzał nad sobą kolejną twarz, należącą zapewne do dowódcy grupy Błękitni. Porucznik miał na rękawie insygnia 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej.

— Panie poruczniku, czysto! Przeczeszemy jeszcze obrzeże tej wiochy! — doleciały ich czyjeś słowa.

— Wszyscy sztywni?

— Zgadza się, panie poruczniku.

— A ty coś za jeden? — Porucznik znów przeniósł wzrok na Kelly'ego.

— Ta piechota morska ma pierdolca, słowo daję!

— M. . . marynarka! — sapnął Kelly, opryskując sanitariusza krwią.

— Co takiego? — rozległ się głos Sandy O'Toole.

Kelly otworzył nagle oczy, prędko przesunął ręką po klatce piersiowej i rozejrzał się po wnętrzu. W kącie pokoju siedziała Sandy O'Toole i czytała coś przy świetle lampki.

— A co ty tu robisz?

— Pod słuchuję czyjeś koszmary. Już drugi raz — odpowiedziała mu pielęgniarka.

## 10 — Patologia

— Pistolet znajdziesz w bagażniku — oświadczył mu sierżant Douglas. — Bez nabojów. I tak ma zostać, zgoda?

— Czy wiecie coś o Pam? — zapytał Kelly z wózka inwalidzkiego.

— Mamy już parę poszlak — uspokoił go Douglas, nie próbując nawet ukryć, że zmyśla.

Kelly pojął, że nic tu już nie działo. Ktoś wychłapał prasie, że Pam bywała w przeszłości aresztowana za prostytutkę. Po takiej rewelacji policja z reguły przestaje się śpieszyć.

Rosen osobiście podjechał Scoutem z parkingu pod wejście od Wolfe Street. Karoseria okazała się wyklepana i poszpachlowana, a od strony kierowcy wstawiono nowe okno. Kelly podniósł się z wózka i wymownie spojrzął na samochód. Obramowanie drzwiczek i słupki dachowy Scouta rozproszyły snop wystrzelonego śrutu, a to z kolei ocaliło Kelly'emu życie. Ktoś musiał się źle przyłożyć do tego strzału, aż dziwne, jak niefachowo, zwłaszcza po tak starannym i skutecznym usidleniu celu. Inna sprawa, że cel — w osobie Kelly'ego — ani razu nie zadał sobie trudu, by spojrzeć we wsteczne lusterko. Kelly zdołał skryć potok tych myśli za obojętną miną, lecz po raz tysięczny zadał sobie pytanie, jak udało mu się tak zagapić? Niby najprostsza rzecz pod słońcem, coś, co wbijał do głowy wszystkim nowicjusom w 3.SGO: zawsze pamiętaj, żeby się obejrzeć za siebie, bo a nuż ktoś chce ci wsadzić kulę w plecy. Nietrudno zapamiętać, co? Widać trudno.

Nieważne. Co było, a nie jest. . . I tak się już niczego nie zmieni.

— Wracasz prosto na wyspę, John? — zagadnął Rosen.

— Aha — potwierdził Kelly. — Mam tam trochę roboty, a poza tym muszę po tym wszystkim złapać trochę formy.

— Chciałbym, żebyś się tu zjawił, powiedzmy za dwa tygodnie, na kontrolę. Wtedy pomyślimy, co dalej.

— Jasne. Zgłoszę się na pewno — obiecał Kelly i odwrócił się, by podziękować z kolei Sandy O'Toole. Odwzajemniła podziękowania uśmiechem. Można by rzec, że prawie się zaprzyjaźnili przez tych osiemnaście dni. Prawie? Sandy mogłaby wręcz uznać ich znajomość za zażyłą, gdyby nie to, że Kelly nie palił się z okazywaniem takich uczuć. Tak jak teraz: bez słowa wszedł do samochodu i za-

piąt pas. Pożegnania nie były jakoś jego mocną stroną. Zamiast coś powiedzieć, kiwnął głową, uśmiechnął się i ruszył przed siebie, skręcając w prawo, w kierunku Mulberry Street. Pierwszy raz odkąd się znalazł w szpitalu, był sam.

Nareszcie. Obok siebie, na fotelu pasażera, czyli w miejscu, w którym ostatni raz widział Pam, spoczywała szara koperta na której Sam Rosen wypisał kulfontastym pismem: DOKUMENTACJA PACJENTA / RACHUNKI.

— Święty Boże — westchnął jeszcze raz Kelly i ruszył na zachód. Obserwował teraz w czasie jazdy nie tylko sytuację na jezdni, bo całe miasto zmieniło się w jego oczach w zupełnie nowy świat. Ulice przerodziły się w osobliwą scenę, w której aktywność jednych ludzi kontrastowała z biernością innych. Kelly omiatał wzrokiem kolejne ulice, w odruchu, którego lekkomyślnie zdążył się wyzyść, skupiając uwagę na typach, u których bierna poza mogła stanowić kamuflaż. Uświadomił sobie od razu, że musi minąć wiele czasu, zanim nauczy się odróżniać owce od wilków. Ruch był tego dnia niewielki, a poza tym w tej części miasta ludzie nie wystawali na chodnikach. Kelly zerkał na prawo i lewo, przekonując się, że inni kierowcy patrzą prosto przed siebie, starając się nie zwracać uwagi na to, co działo się wokół nich. Dawniej Kelly zachowywał się dokładnie tak samo jak wszyscy ci ludzie, którzy teraz z niechęcią hamowali przed czerwonym światłem, niemożliwym już do przeskoczenia, i którzy mocno wciskali gaz, kiedy znów zapalało się zielone. Wszyscy oni sprawiali wrażenie ludzi, którzy próbują nie patrzeć i jak najmniej widzieć, może w nadziei, że jeśli tak uczynią, tutejsze plagi będą trwać tam gdzie trwały i nie rozpełzną się dalej, ku dzielnicom, gdzie mieszkają normalni ludzie. Dokładnie na odwrót, niż się to miało z Wietnamem, prawda? W Wietnamie całe zło czaiło się za miastem, chodziło zaś o to, by go nie dopuścić do centrum. Kelly uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że powracając do domu napotyka objawy tego samego szaleństwa, co w Azji, a także ogląda ten sam rodzaj bezsilności. W dodatku okazał się tak samo ślepy i tak samo winien temu stanowi rzeczy, co reszta Ameryki.

Scout zakręcił w lewo, na południe, mijając potężną białą bryłę kolejnego szpitala. Dzielnica biurowców, banki, urzędy, gmach sądu, ratusz — potężny kawał miasta, w którym uczciwi ludzie gościli tylko za dnia i który z zapadnięciem zmroku opuszczali pośpiesznie, zwartą gromadą, bo tak było bezpieczniej. Pod dobrą policyjną ochroną, z konieczności, bo bez tych ludzi i ich interesów, miasto musiałoby niechybnie umrzeć. Albo zupełnie zejść na psy. Właśnie! Być może wszystko to nie było kwestią życia i śmierci, a tylko czasu, jaki dzielił miasto od niechybnego końca.

Głupie dwa kilometry, odezwał się w myślach Kelly. Naprawdę aż tyle? Trzeba będzie rzucić okiem na mapę. Niebezpiecznie mała odległość między tymi wszystkimi ludźmi, a tym, czego się tak obawiali. Przystając na kolejnym skrzyżowaniu, Kelly ujrzał przed sobą daleką perspektywę innych dzielnic. Miejskie

arterie zagęszczały i wydłużały pole widzenia, zupełnie jak leśne przesieki. Zielone światło. Kelly znów ruszył przed siebie.

Dwadzieścia minut później był już na pokładzie „Springera”, który czekał na zwykłym miejscu. Pozbierał rzeczy z samochodu i zniósł je do kabiny. Po następnych dziesięciu minutach diesle ożyły i zaczęły pykać miarowo, ruszyła z poszumem klimatyzacja, a Kelly zaczął się sposobić do rzucenia cum. Bez środków przeciwbólowych, których nie miał zamiaru brać, miał wielką ochotę na chwilę odpoczynku przy piwie — chociażby po to, by symbolicznie uczcić swój powrót do normalnego życia. Koniec końców zrezygnował jednak z myśli o alkoholu. Czuł w lewym ramieniu niepokojącą sztywność, i to pomimo pięciodniowej serii ćwiczeń, która powinna je była trochę rozruszać. Zaczął chodzić w kółko wokół stołu w głównej kabinie, machając ramionami jak wiatrak i aż skrzywił się, taki ból poczuł natychmiast w lewym boku. Wszedł na pokład i odcumował od kei. Murdock wyrzwał ze swojej budki i obserwował to, ale nie odezwał się ani słowem. Mała przygoda Kelly’ego trafiła do gazet, choć na szczęście dziennikarze okazali się mało lotni i nie skojarzyli sprawy Kelly’ego z zabójstwem Pam. Zbiorniki paliwa okazały się pełne, a wszystkie instalacje na oko działały jak trzeba — Kelly nigdzie natomiast nie znalazł rachunku za te usługi.

Rzucal cumy wyjątkowo niezdarnie, bo lewe ramię uparło się przy ślamazarnym tempie, innym niż to, dyktowane przez mózg. Wreszcie jednak „Springer” odbił od brzegu i ruszył ku wyjściu z basenu. Za falochronami Kelly opuścił sterówkę i usiadł przy zapasowych sterach w głównej kabinie, gdzie mógł trzymać prosty kurs na pełne wody Zatoki w klimatyzowanym chłodku i wygodzie. Oderwał wzrok od fal dopiero w godzinę później, kiedy wydostał się poza obręb głównego toru żeglugowego. Otworzył wówczas colę i popił nią dwie pastylki tylenolu. Od trzech dni nie pozwalał sobie na inne środki przeciwbólowe. Następnie rozparł się wygodniej w kapitańskim fotelu i otworzył kopertę, którą mu dostarczył Rosen. Jacht szedł południowym kursem na autopilocie.

W komplecie materiałów brakowało tylko fotografii, ale Kelly widział już jedno ze zdjęć i nie miał ochoty na więcej. Do odbitek — wszystkie kartki w kopercie stanowiły kopie oryginalnych dokumentów — dołączona była ręczna notatka. Wynikało z niej, że profesor-patolog dostał ten materiał od kolegi, który robił sekcje zwłok dla władz stanowych. Obaj prosili, żeby Sam Rosen uważał, komu pokazuje odbitki. Podpis był nieczytelny.

Na pierwszej stronie postawiono „ptaszka” przy dwóch rubrykach: „przedwczesny zgon” i „zabójstwo”. Wyniki sekcji zwłok określały przyczynę śmierci jako uduszenie zadane ludzkimi rękami. Wokół szyi ofiary widniała wąska, głęboka pręga po zgniecionych naczyniach krwionośnych. Głębokość i wygląd pręgi wskazywały, że śmierć nastąpiła na skutek ustania dopływu krwi do mózgu, a więc zanim zmiądzona tchawica zablokowała dostęp powietrza do płuc. Drobne prążki odbite na skórze wskazywały, że jako narzędzie zbrodni posłużyło naj-

prawdopodobniej sznurowało. Siniaki na gardle pochodziły prawdopodobnie od ciosów i uścisku silnej, męskiej dłoni. Wynikało z nich, że dusząc ofiarę, morderca klęczał nad nią i przyciskał ją do ziemi. Dalej następowało pięć stron gęstego maszynopisu, z których wynikało, że przed śmiercią ofiara została pobita, w różnych miejscach i różnymi narzędziami. Raport podawał wszystkie szczegóły w suchym, urzędowym języku medycyny. Osobna notatka stwierdzała, że ofiara została ponadto zgwałcona, a na jej genitaliach pozostały siniaki i inne ślady przemocy. W ciele ofiary znaleziono podczas sekcji wyjątkowo dużą ilość spermy, co wskazywało na zbiorowy charakter gwałtu poprzedzającego morderstwo. („Próbki odpowiadają grupom krwi 0+, O- oraz AB-, patrz załączona analiza serologiczna”) Rozległe zadrapania i sińce na dłoniach i przedramionach określono jako „klasyczne, obronne”. Pam do końca walczyła o życie. Napastnicy złamali jej szczękę i uszkodzili trzy inne kości, między innymi strzaskali lewą kość łokciową.

Kelly musiał odłożyć odbitki z koperty. Zanim znów je podniósł, wpatrywał się przez długą chwilę w horyzont. Nie wypowiedział ani słowa, a dłonie miał zupełnie nieruchome, lecz na pewien czas miał dosyć medycyny sądowej.

Odręczna notatka załączona na samym końcu mówiła:

Jak się możesz zorientować ze zdjęć, Sam, napastnicy to naprawdę jakieś zwierzęta. Rozmyślnie torturowali tę dziewczynę, i to całymi godzinami, to jasne. Aha, wynik sekcji pomija jeden szczegół, nie wiem, czy istotny. Sprawdź rzecz na zdjęciu numer 6. Ktoś uczesał włosy ofiary, grzebieniem albo szczotką, prawdopodobnie, a moim zdaniem wręcz na pewno już post mortem. Patolog, który robił sekcję, jakoś to przegapił, bo to młody chłopak. (Kiedy przywieziono tę dziewczynę, Allan akurat wyjechał, inaczej na pewno osobiście zrobiłby tę sekcję). Dziwny szczegół. Ze zdjęcia wynika jasno, że o pomyłce nie ma mowy. Oczywista sprawa, której nikt nie zauważył, ale tak to bywa. Chłopak pewnie pierwszy raz miał na stole taki przypadek i był zbyt zajęty głównymi urazami, żeby pamiętać o innych sprawach. Domyślam się, że znałeś tę dziewczynę — moje wyrazy współczucia. Trzymaj się. Brent.

Końcowy podpis okazał się wyraźniejszy niż ten na pierwszej stronie. Kelly wsunął odbitki z powrotem do koperty, otworzył szufladę i wydobyl z niej pudełko amunicji kalibru 0,45 cala. Załadował nią dwa magazynki i wsadził pistolet z powrotem do szuflady. Nie ma nic bardziej bezużytecznego, niż nie nabita broń. Następnie przeszedł do kuchenki i wyciągnął z szafki największą puszkę, jaką miał na pokładzie. Usiadł znowu przy sterach i palcami lewej dłoni objął puszkę, a potem zaczął ją rytmicznie podnosić i opuszczać, niczym ciężarek na siłowni. Zabawiał się w ten sposób już od tygodnia. I tym razem natychmiast poczuł upragniony ból. Ćwicząc, nie odrywał wzroku od powierzchni morza przed jachtem.

— Już nigdy więcej, Johnny — odezwał się na głos, beztroskim tonem. — Od dzisiaj żadnych błędów. Ani jednego błędu!

\* \* \*

Było wczesne popołudnie, kiedy *C-141* wylądował w bazie Sił Powietrznych Pope, sąsiadującej z ośrodkiem wojskowym w Fort Bragg w Północnej Karolinie, kończąc zwyczajny lot, rozpoczęty w odległości trzynastu tysięcy kilometrów. Czterosilnikowy transportowiec pacnął ciężko o beton pasa, gdyż mimo postojów po drodze załoga była zmęczona, a pasażerom również nie należały się pokazy kunsztu lotniczego. Podczas podobnych lotów rzadko trafiał się na pokładzie ludzki ładunek, bo oddziały powracające z terenu walk w Wietnamie ruszały do domu na pokładach wycarterowanych liniowców pasażerskich. Żołnierze umilali sobie podróż pogaduszkami z uśmiechniętymi stewardesami, które roznosiły darmowy alkohol, by tym łatwiej było powrócić do normalnego świata. Na pokładach transportowców z bazy Pope brakowało takich atrakcji. Załoga jadła w czasie lotu zwykle lotnicze racje żywnościowe i, co ciekawe, nie licytowała się przechwałkami, jak mają to w zwyczaju młodzi lotnicy.

Na dobiegu samolot zwolnił i przy końcu pasa skręcił na drogę kołowania. Piloci mogli się wreszcie przeciągnąć w fotelach. Kapitan samolotu znał całą procedurę na pamięć, lecz na wszelki wypadek, gdyby jednak o czymś zapomniał, jaszkrawo pomalowany łązik prowadził maszynę ku hangarom. Kapitan i cała reszta załogi dawno już przestali roztrząsać swoje zadanie. Ktoś musiał to robić, i kropka. Pamiętali o tej prostej prawdzie, opuszczając samolot na czas obowiązkowego odpoczynku. Po krótkim raporcie z lotu i meldunkach o ewentualnych niedomaganiach maszyny podczas ubiegłych trzydziestu godzin, ruszali do kantyny oficerskiej na kielicha, a potem w hotelu garnizonowym brali prysznic i walili się spać. Na samolot nawet nie patrzyli, wiedząc, że wkrótce znów będą nim się tłukli z powrotem.

Rutynowa natura ich zadania stanowiła osobliwy paradoks. Podczas większości poprzednich wojen chowano poległych Amerykanów tam, gdzie zginęli. Zaświadczają o tym najlepiej cmentarze wojskowe we Francji i innych krajach. Z Wietnamem sprawa wyglądała zgoła inaczej — zupełnie tak, jak gdyby zakładano, iż nie ma tam ochoty pozostać żaden Amerykanin, wszystko jedno, żywy czy martwy. Każde wyciągnięte spod ognia ciało wysyłano więc do centralnej kostnicy pod Sajgonem, a stamtąd do domu, do bazy Pope, gdzie przed ostatecznym pochówkiem w rodzinnym mieście młodego żołnierza, zwłoki jeszcze raz doprowadzano do porządku. Dzięki takiej przerwie w podróży, rodziny poległych miały czas zdecydować, gdzie się odbędzie pogrzeb. Wskazówki na ten temat towarzyszyły każdemu nazwisku na liście przewozowej.

W bazie Pope czekała już na świeży transport ciał grupa cywilnych specjalistów od pochówku. Mimo obfitości kursów i szkoleń w tej akurat dziedzinie wojsko wołało się zdawać na usługi z zewnątrz. Umundurowany oficer czuwał zawsze nad prawidłową identyfikacją poległych, gdyż ta czynność leżała jeszcze

w kompetencjach sił zbrojnych, i upewniał się, że właściwa rodzina otrzyma właściwe zwłoki. Była to ważna formalność, bo większość trumien opuszczała bazę opieczętowana i taka miała pozostać. Fizyczne urazy podczas walki w połączeniu z działaniem tropikalnego klimatu sprawiały, że rodziny wołały najczęściej nie oglądać tego, co pozostało z ich najbliższych. Identyfikacja była więc sprawą dyskusyjną i z tego właśnie powodu wojsko traktowało ją nader serio.

Kostnica była rozległa, specjalnie po to, by można było się zająć wieloma ciałami na raz. Było tu mniej tłoczno niż jeszcze kilka lat przedtem, a pracownicy pozwalali sobie coraz częściej na ponure żarty i śledzili prognozy pogody dla Azji, by z góry przewidzieć, w jakim stanie trafi do nich następna dostawa. Sam zapach wystarczał, by odstraszyć wszelkich gapiów i dlatego nieczęsto widziało się tutaj starszych oficerów, nie mówiąc już o cywilnych pracownikach Pentagonu. Widok mógłby zbytnio wstrząsnąć ich delikatną naturą. Ponieważ jednak człowiek przyzwyczaja się w końcu do najgorszych zapachów, specjaliści woleli z dwojga złego odór balsamu konserwującego i nie żalowali go przy pracy.

Kolejne ciało należało do starszego sierżanta Duane'a Kendalla. Przyczyną zgonu były rozległe rany tułowia. Kendalla udało się dowieźć do szpitala polowego. Specjalista poznał to dlatego, że część licznych blizn stanowiła świadectwo rozpaczliwych wysiłków wojskowego chirurga. Cięcia wzbudziłyby słuszny gniew ordynatora w każdym szpitalu cywilnym, lecz nawet one nie były aż tak straszne jak szarpane rany od odłamków miny-pułapki. Specjalista domyślał się, że chirurg musiał spędzić dobrych dwadzieścia minut nad rannym, zanim dał za wygraną. Czemu się nie udało? Zapewne rana wątroby. Tak wynikało z miejsca i rozmiarów nacięć. Nawet najlepszy chirurg nie pomoże. Nie da się żyć bez wątroby, i już. Najbardziej jednak uwagę balsamisty przykuła biała tabliczka pod prawą pachą zabitego. Znak, jaki na niej widniał, pokrywał się dokładnie z pozornie przypadkowym znaczkiem na wieku trumny, w której zwłoki przybyły z Wietnamu.

— Identyfikacja pozytywna — odezwał się balsamista do kapitana i sierżanta, którzy krążyli między stołami, sporządzając notatki. Oficer sprawdził potrzebne dane z tymi, które otrzymał w liście przewozowym, skinął głową i ruszył dalej. Balsamista mógł spokojnie zabrać się do pracy.

Czynności, które miał wykonać, były zawsze te same. Zabrał się do dzieła bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Co pewien czas podnosił głowę, upewniając się, że kapitan krąży wokół drugiego końca sali, a kiedy nadeszła odpowiednia chwila, pociągnął za jeden ze szwów, dzieło innego balsamisty z kostnicy pod Sajgonem. Szew rozszedł się niemal natychmiast, dzięki czemu balsamista mógł sięgnąć do odsłoniętej jamy w ciele i wydobyć cztery pakunki z przezroczystego plastiku, zawierające biały proszek. Szybko wsunął je do podręcznej torby i zaszył dziurę ziejącą w ciele Duane Kendalla. Czynił to tego dnia po raz trzeci i ostatni. Popracował jeszcze pół godziny nad kolejnym ciałem i na tym zakończył obowiązki

na ten dzień. Spokojnie umył się, wyszedł na parking, gdzie czekał na niego jego Mercury Cougar i opuścił teren bazy. Po drodze zatrzymał się przed supermarkietem Winn-Dixie, kupił tam bochenek chleba, a wychodząc wrzucił kilka monet w otwór automatu telefonicznego.

\* \* \*

— Co jest? — Henry Tucker podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

— Osiem — usłyszał. Połączenie przerwało się.

— Świetnie — mruknął do siebie i odłożył słuchawkę. Tym razem osiem kilogramów. Od drugiego balsamisty siedem. Obaj specjaliści nie wiedzieli nawzajem o swej roli, a ich dostawy pochodziły z różnych dni tygodnia. Jeśli tylko uda się wykombinować jakiś sposób na dystrybucję, a na to się właśnie zanosilo, można będzie prędko rozwinąć skrzydła.

By zdać sobie sprawę z perspektyw przedsięwzięcia, wystarczała najprostsza arytmetyka. Osiem kilogramów oznaczało osiem tysięcy gramów, które rozprowadzi się i rozcieńczy jakąś nietoksyczną substancją, powiedzmy cukrem pudrem, którego worek obiecali już Tuckerowi koledzy z hurtowni spożywczej. Całość trzeba będzie bardzo starannie wymieszać, by dokładnie wyrównać skład mieszaniny, a potem podzielić dostawę na mniejsze partie, które odsprzeda się detalistom. Jakość i coraz większa sława towaru gwarantowały, że cena na ulicy będzie odrobinę wyższa od normalnej. Biali przyjaciele Tuckera wzięli to już pod uwagę, obliczając cenę zbytu w hurcie.

Zanosilo się, że już wkrótce największy kłopot zacznie sprawiać sama skala przedsięwzięcia. Jako człowiek z natury ostrożny, Tucker rozpoczął działalność po cichu, uznając, że chciwość może najłatwiej doprowadzić do zguby. Teraz jednak wyglądało na to, że trzeba będzie darować sobie dyskrecję, tym bardziej że współnicy w najśmielszych snach nie wyobrażali sobie ilości czystej heroiny, jakie spływały teraz do Tuckera. Wspólnicy cieszyli się na razie z pierwszorzędnego towaru, więc wiadomością, ile tego jest, warto było podzielić się z nimi dopiero za jakiś czas. Co do sposobu transportu, nie wolno było im go wyjawić pod żadnym pozorem. Tucker co chwila gratulował sobie szatańskiego pomysłu i sam zdumiewał się jego elegancją i prostotą. Znał dokładnie oficjalne szacunki skali przemytu narkotyków z Europy — mówiło się o nich jako o „łącznikach”, francuskim, sycylijskim i jakichś tam jeszcze, z czego wynikało, że władze nie potrafią dać sobie rady nawet z terminologią — więc wiedział, że roczne dostawy do Ameryki stanowią równowartość mniej więcej jednej tony czystego narkotyku. W ocenie Tuckera ilość ta musiała już wkrótce podskoczyć, gdyż Ameryka zaczynała znajdować coraz większe upodobanie w narkotykach. Gdyby więc udało się sprowadzać głupie dwadzieścia kilogramów heroiny tygodniowo — a dla kurierów Tuckera



nawet dużo większa ilość nie stanowiła przecież problemu — do pierwszej tony doszłyby w ten sposób druga. Na dodatek nie trzeba się było martwić o celników. Zakładając organizację, Tucker miał na uwadze przede wszystkim jej i własne bezpieczeństwo. Po pierwsze więc, nikt spośród jego ważniejszych ludzi nie tykał narkotyków. Za ópanie groziła im kara śmierci, co Tucker zdążył im już ukazać na kilku prostych acz pouczających przykładach. Po drugiej stronie oceanu dostawami zajmowało się tylko sześć osób. Dwie z nich ściągały towar z miejscowych źródeł, którym zapewniali bezpieczeństwo zwykłym sposobem, to znaczy płacąc odpowiednio wysokie sumy odpowiednio wysoko ustawionym urzędnikom. Czwórka balsamistów, która pakowała trumny, również otrzymywała hojne wynagrodzenie. Udało się ich dobrać w taki sposób, żeby można było na nich liczyć niezależnie od okoliczności. Transportem zajmowały się Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, co pozwalało Tuckerowi ograniczyć koszty własne. Przy okazji odpadało ryzyko wpadki, z reguły największe właśnie przy transporcie towaru przez granicę. Dwóch balsamistów po amerykańskiej stronie Pacyfiku również nie narzekało na zarobki i nie zamierzało szukać sobie innego zajęcia. Kilkakrotnie, jak donosili, sytuacja zmusiła ich do tego, by pozostawić heroinę w ciałach, które następnie doczekały się pochówku z honorami. Nie ucieszyło to Tuckera, ale trudno: w interesach nade wszystko liczy się ostrożność, a poza tym stratę dawało się łatwo powetować, zawyżając uliczną cenę towaru. Obaj balsamiści doskonale wiedzieli, co by się im przytrafiło, gdyby postanowili zatrzymać część partii dla siebie i próbowali ją opchnąć gdzieś na boku.

Z kostnicy pozostawało już tylko przewieźć towar samochodem w umówione miejsce. Zajmował się tym kolejny zaufany i dobrze opłacany wspólnik, który podczas jazdy ani razu nie przekraczał dozwolonej prędkości. Popijając piwo i śledząc wzrokiem mecz baseballowy, Tucker zachwyił się po raz kolejny pomysłem, by udać, że towar przybywa Zatoką. Kryjówka na wodach Chesapeake była bezpieczna, a ponadto dawała jego nowym partnerom wszelkie powody by sądzić, że heroinę zrzuca im ktoś z pokładu statków ciągnących torem żeglugowym od Atlantyku w stronę portu w Baltimore. Wspólnicy uważali ten sposób za majstersztyk, lecz w rzeczywistości Tucker sam dowoził im heroinę ze swojej skrzynki kontaktowej. Że tamci uwierzyli święcie własnym domysłom świadczył chociażby fakt, iż Angelo Vorano bez pytania sprawił sobie idiotyczną żaglówkę i zaofiarował się z usługami, byleby mu tylko powiedzieć, gdzie ma odebrać partię. Po takim wysoku nie było wcale trudno przekonać Eddiego i Tony'ego, że Vorano to kapuś.

Przy odrobinie szczęścia Tucker miał szansę opanować handel heroiną na całym Wschodnim Wybrzeżu, przynajmniej dopóty, dopóki w Wietnamie ginęli wciąż nowi Amerykanie. Coraz częściej Tucker uświadamiał sobie, że pora zacząć snuć plany na przyszłość, bo w końcu wojna nie mogła trwać wiecznie. Na razie najpilniejszą sprawą było rozszerzyć dystrybucję na inne miasta. Dotych-

czasowe środki, choć dotąd skuteczne na tyle, że zwróciły na Henry'ego uwagę jego nowych partnerów, z dnia na dzień przestawały wystarczać. Jak na ambicje Tuckera, obecna sieć była zbyt mała. Wkrótce trzeba ją będzie rozbudować, rozszerzyć... Ale spokojnie. Po kolei.

\* \* \*

— No, to mamy cośmy chcieli! — Douglas cisnął teczkę na biurko i spojrzał ponuro na przełożonego.

— Co niby? — zapytał porucznik Ryan.

— Po pierwsze, nikt nic nie widział. Po drugie, nikt nie wie, który alfons opiekował się tą dziewczyną. Po trzecie, nikt nie ma pojęcia, co to za jedna. Dzwoniłem do jej ojca, ale powiedział mi tylko, że nie rozmawiał z córką od czterech lat i odwiesił słuchawkę. Ten jej amant gównem widział, tak samo przed, jak i po tym, jak dostał tym śrutem — dokończył policjant i usiadł.

— A burmistrzowi przestało się śpieszyć ze śledztwem — podsumował nową sprawę Ryan.

— Coś ci powiem, Em. Nic mi nie przeszkadza, że prowadzę tajne śledztwo, ale w ten sposób nigdy nie zaliczą mi żadnego sukcesu w papierach. Co będzie, jak przy następnym przeglądzie nie dostanę awansu?

— Nie rozśmieszaj mnie, Tom.

Douglas pokręcił głową i zapatrzył się w okno, a potem z goryczą w głosie zapytał:

— Ty, a jeżeli tych gości naprawdę kropnął Dynamiczny Duet?

Dwa dni wcześniej para bandziorów z obrzynom znów dała o sobie znać. Tym razem zastrzelili adwokata z okręgu Essex. Świadek z samochodu oddalonego o pięćdziesiąt metrów potwierdził, że napastników było dwóch. Czyli nic nowego. W policji panowało powszechne przekonanie, że za zgładzenie prawnika nie powinno się iść do pułła, ale tym razem Ryanowi i Douglasowi nie było do śmiechu.

— Jak już w to uwierzysz, daj mi znać — odezwał się Ryan. Obaj wiedzieli, że Dynamiczny Duet nie ma z ich sprawą nic wspólnego. Duet specjalizował się w napadach rabunkowych i miał na koncie kilka ofiar śmiertelnych. Dwukrotnie też przywłaszczyli sobie samochód ofiary i porzucili parę ulic dalej, lecz w obu wypadkach chodziło o zgrabny sportowy wóz — prawdopodobnie nie mogli się oprzeć pokusie, by się nie przejechać. Policja знаła ich wzrost, budowę, kolor skóry i nic poza tym. Z drugiej strony Duet mordował wyłącznie z chęci zysku, podczas gdy tym, którzy zamordowali Pamelę Madden chodziło o to, by zrobić wrażenie. W grę wchodziła jeszcze trzecia możliwość, mianowicie, że w mieście działa nowy morderca-psychopata. Jeszcze jedna komplikacja w i tak już powikłanym życiu.

— A byliśmy już tak blisko, co? — zagadnął Douglas. — Dziewczyna знаła ich nazwiska, rysopisy, mogłaby sama być świadkiem.

— Tylko, że skąd mogliśmy o tym wiedzieć? Okazało się dopiero po tym, jak tamten debil pozwolił ją zabić — zauważył Ryan.

— Trudno. Wrócił już, gdzie miał wrócić, my też wracamy do punktu wyjścia. — Douglas podniósł teczkę z aktami sprawy i przeniósł ją na swoje biurko.

\* \* \*

Kiedy cumował „Springera”, było już ciemno. Charakterystyczny klekot dobiegający gdzieś z góry świadczył, że nad okolicą krąży śmigłowiec. Pewnie wysłano go z jakimś zadaniem z pobliskiej bazy lotnictwa morskiego. Nie krążył jednak nad wyspą, ani nie latał zbyt długo. Powietrze na dworze było ciężkie, przesycone wilgocią i nieznośne. Jeszcze gorzej było we wnętrzu bunkra. Dopiero po godzinie klimatyzacja zaczęła brać górę nad duchotą. „Dom” wydał się Kelly’emu jeszcze bardziej pusty niż przedtem. Już drugi raz w tym roku. Pomieszczenia wydawały się większe bez drugiej osoby, która by je zapełniła. Przez kwadrans Kelly chodził z kąta w kąt, bezmyślnie, bez celu, dopóki nie zatrzymał się przed stertą ubrań Pam. Dopiero wówczas uświadomił sobie, że szuka kogoś, kto już tutaj nie wróci. Pozbierał ubrania i ułożył je w kostkę na toalecie Tish, meblu, którego Pam nie zdążyła nawet odziedziczyć. Najsmutniejsza ze wszystkiego była chyba mizerna ilość tego wszystkiego: ot, krótkie spodnie, opalacz, trochę bielizny, koszula flanelowa używana zamiast nocnej, a na samym wierzchu znoszone buty. Tak niewiele pamiątek po zmarłej.

Kelly przysiadł na krawędzi łóżka i zapatrzył się na ubrania. Jak długo to wszystko trwało między nimi? Trzy tygodnie? Naprawdę tylko tyle? Nie chodziło o to, by odkreślać każdy dzień w kalendarzu, bo przecież prawdziwy czas mierzy się zupełnie inaczej. Czas istnieje po to, by zapełnić puste przestrzenie życia, a trzy tygodnie z Pam okazały się bogatsze i pełniejsze niż wszystkie miesiące, jakie upłynęły od śmierci Tish. Wszystko to jednak odeszło w przeszłość. Pobyt w szpitalu wydawał się Kelly’emu krótkim mgnieniem, lecz zarazem szpital stał się nieprzeniknioną barierą, odgradzającą wspaniałe chwile przeszłości od teraźniejszości. Kelly mógł teraz zbliżyć się do tej bariery jak do muru i spojrzeć w przeszłość ponad jego krawędzią, ale nie mógł już dosięgnąć ani dotknąć tego, co było. Życie bywa okrutne, a pamięć często okazuje się przekleństwem, szyderczym przypomnieniem tego, co być mogło, gdyby nie jedna głupia decyzja. Co najgorsze, to właśnie sam Kelly wznosił mur pomiędzy obecną chwilą a przyszłością, której już nie będzie, w taki sam sposób, w jaki ułożył w stosik rzeczy Pam, bo przestały być potrzebne. Kiedy zamykał oczy, stawała mu przed oczami jak żywa, a w ciszy pomieszczeń słyszał jej głos. Zniknął za to zapach dziewczyny i jej dotyk. Na zawsze.

Kelly wyciągnął rękę i dotknął flanelowej koszuli, wspominając ciało, które niegdyś okrywała. Niezgrabnymi dłońmi nie raz rozpinał kolejne guziki, dopominając się kochania, lecz teraz koszula stała się kawałkiem tkaniny i okrywała co najwyżej powietrze. Kelly rozplakał się, pierwszy raz od chwili, kiedy mu powiedziano, że Pam nie żyje. Nieodwołalność tamtej śmierci wstrząsnęła nim dopiero teraz. Betonowe ściany raz po raz odbijały imię, które wykrzykiwał w nadziei, że Pam jednak go usłyszy i przebaczy mu głupotę, która stała się przyczyną jej śmierci. Być może Pam nareszcie odzyskała spokój? Kelly modlił się do Boga, by ten zrozumiał jej los i dał jej szansę, której dziewczyna nie miała za życia. Któż lepiej niż Bóg mógł osądzić charakter Pam z rozwagą i miłosierdziem? Kelly modlił się, choć sam nie był pewien, czy nie są to tylko słowa. Widział ponad sobą tylko betonowe sklepienie, a obok łóżka niepotrzebne już ubrania.

Bandyci odarli zwłoki Pam ze wszystkiego, wystawili je na ludzkie spojrzenia i słońce. Chcieli pokazać całemu światu, jak ukarali dziewczynę, jak ją wykorzystali i cisnęli na śmietnik, pod ciosy ptasich dziobów. Życie Pam Madden nie miało dla nich najmniejszego znaczenia, tyle że dziewczyna czasem im się przydawała, za życia, ale także po śmierci, kiedy jej zwłoki stały się świadectwem ich morderczych umiejętności. Dla Kelly'ego Pam stała się całym światem, lecz dla tamtych ludzi była śmieciem — zupełnie tak samo, jak rodzina wójta wioski dla wietnamskiego majora. W obu wypadkach chodziło o lekcję pogładową: kto się nam sprzeciwi, skończy tak, jak ci tutaj. Jeżeli dowie się o tym cały świat, tym lepiej. Na tym polegała pycha oprawców.

Kelly opadł na łóżko, wyczerpany pobyt w szpitalu i długim, wyczerpującym dniem poza jego murami. Nie wyłączając światła patrzył w sufit, ze słabą nadzieją, że uda mu się zasnąć. Chciał we śnie jeszcze raz ujrzeć obraz Pam. Kiedy zamykał oczy, przez głowę przemknęła mu jednak zupełnie inna myśl.

Skoro własna pycha doprowadziła go do upadku, to samo mogło dotyczyć także ich. Przeciwników.

\* \* \*

„Wściekły” Maxwell swoim zwyczajem zjawił się w sztabie kwadrans po szóstej rano. Choć jako zastępca szefa Operacji Morskich (pion lotnictwa) nie należał już do ścisłej hierarchii operacyjnej, jako wiceadmirał i dowódca nadal traktował każdy samolot w barwach Marynarki USA jak swoją własność. Z tej to przyczyny, pierwszym dokumentem, jaki Maxwell wybrał z porannej sterty było podsumowanie wczorajszych operacji powietrznych w Wietnamie. Wczorajszych, a właściwie dzisiejszych, bo ze względu na różnice czasu, wydarzenia z dzisiejszą datą miały miejsce poprzedniego dnia. Dziwactwo kalendarza zawsze irytowało admirała, mimo że poprzednią kampanię także stoczył ponad niewidzialną linią, jaka przekreślał Pacyfik.

Pamiętał dobrze tamtą wojnę. Niespełna trzydzieści lat wcześniej startował swoim myśliwcem *F4F-4 Wildcat* z pokładu lotniskowca USS „Enterprise” — młody kadet z bujną czupryną, przystrzyżoną na króciutkiego jeża. Maxwell, tuż po ślubie, rwał się do walki i miał na koncie trzysta wylatanych godzin. Wczesnym popołudniem 4 czerwca 1942 roku wypatrzył z góry trójkę japońskich bombowców nurkujących *Val*, które zamiast ciągnąć wraz z resztą grupy z pokładu „Hiryu” na lotniskowiec USS „Yorktown”, zgubiły się i leciały kursem na USS „Enterprise”. W pierwszym zaskakującym ataku prosto z chmur, Maxwell strącił dwóch Japończyków i ruszył w pościg za trzecim. Zajęło mu to dobrą chwilę, ale za to do końca życia zapamiętał każdy rozbłysk słońca na skrzydłach bombowca i długie serie, którymi japoński strzelec daremnie próbował przepędzić przeciwnika. Kiedy po czterdziestu minutach Maxwell wylądował na „Enterprise”, oświadczył sceptycznemu dowódcy dywizjonu, że przed chwilą strącił trzy japońskie maszyny. Zapisy fotokarabinu z *Wildcata* potwierdziły, że nie zmyśla. Po tym wyczynie koledzy z dywizjonu podmienili Maxwellowi w nocy jego „oficjalny” kubek do kawy. Ten stary, z wymalowanym, znienawidzonym przez Maxwella przezwiskiem Kodak, zniknął bez śladu. Zastąpił go nowy, zdobny krwistoczerwonym słowem Wściekły. Maxwell zachował to przezwisko do samego końca służby.

Cztery następne rejsy bojowe wzbogaciły jego konto jeszcze o dwanaście strąconych maszyn. Stopniowo Maxwell awansował na dowódcę dywizjonu, dowódcę skrzydła na lotniskowcu, a później na głównodowodzącego sił lotniczych całej amerykańskiej Floty Pacyfiku. Następnym etapem był już Pentagon. Przy dobrych układach Maxwell mógł się jeszcze spodziewać awansu na dowódcę floty, lecz na tym kończyły się opcje. Gabinet Maxwella w pełni odpowiadał jego pozycji i doświadczeniu. Na ścianie, na lewo od mahoniowego biurka widniała przykręcona boczna osłona silnika z samolotu *F-6F Hellcat*, którym Maxwell latał podczas walk na Morzu Filipińskim i w kampanii u wybrzeży Japonii. Na ciemnoniebieskim tle wymalowano piętnaście flag z symbolem wschodzącego słońca. Dobrze było mieć w gabinecie coś, co przypominało rozmówcom, że naczelny od samolotów sam także niegdyś latał, i to z nieprzeciętnymi wynikami. Na biurku stał też stary kubek admirała, ten z „Enterprise”. Nie służył już do tak trywialnych celów jak picie kawy czy — Boże broń — trzymania w nim ołówków.

Obecny szczyt wojskowej kariery powinien ogromnie cieszyć Maxwella i pewnie by tak było, gdyby nie treść codziennych raportów o stratach, nadchodzących z Yankee Station po drugiej stronie Pacyfiku. Dwa szturmowe *A-7A Corsair II* spadły do morza. Ze znaków taktycznych wynikało, że samoloty były z tego samego lotniskowca i należały do jednego dywizjonu.

— O co tu chodzi? — zapytał Maxwell kontradmirała Podulskiego.

— Sprawdziłem — zapewnił go Kaz. — Prawdopodobnie zderzenie w powietrzu. Anders leciał jako dowódca klucza. Jego skrzydłowy, Robertson, latał

od niedawna. Coś im nie wyszło, ale nikt tak naprawdę nie wie, jak się to stało. Żadnego ostrzeżenia o rakiecie, artyleria też odpada, bo lecieli za wysoko.

— Skakali?

— Nie. Dowódca drugiej formacji widział tylko wybuch i fruujące szczątki.

— Cel wyprawy?

Twarz Kaza wyrażała aż za wiele.

— Domniemana lokalizacja bazy transportowej. Reszta ugrupowania doleciała nad cel, zrzuciła bomby i wpakowała je, gdzie trzeba. Nie widzieli wtórnych eksplozji na ziemi.

— Jednym słowem marnowali tylko czas. — Maxwell przymknął oczy, zastanawiając się, co się do diabła dzieje z jego samolotami, jego planistami od bombardowań, z jego karierą, z Marynarką i w ogóle z całym krajem.

— Co ty opowiadasz, Wściekły. Dla kogoś był to ważny cel, bo inaczej by nie polecili, nie?

— Kaz, zabieraj się z takimi żartami.

— Już nic nie mówię. Komisja lotów zbada okoliczności zderzenia i coś postanowi, żeby nie wyglądało, że siedzą na tyłku. Powiedzieć ci, co się stało? Moim zdaniem Robertsona, tego nowego chłopaka, poniosły nerwy. To był dopiero jego drugi lot bojowy. Wydało mu się, że coś widzi, szarpnął się za daleko w bok, i bęc. Ich klucz leciał na końcu formacji, więc inni nie widzieli, jak to się stało. Do cholery, Wściekły, sami w końcu widzieliśmy takie rzeczy.

Maxwell pokiwał głową.

— Masz dla mnie coś jeszcze?

— Nasz A-6 dostał na północ od Hajfongu. Rakieta. Obaj piloci jakoś doścignęli na pokład. Cali i zdrowi. Dostaną za to Krzyż Lotniczy — zameldował Podulski. — Poza tym spokój, nie tylko na Morzu Południowo-Chińskim, bo na Atlantyku też. Na Śródziemnym zaczęły się sygnały, że Syryjczycy oblatują te swoje nowe *MIG-i*, ale na razie za wcześnie, żeby się tym martwić. Jutro mamy spotkanie z dyрекcją Grummana i rozmowy w Kongresie. Może nasi dzielni politycy coś w końcu postanowią z programem budowy *F-14*.

— Jak ci się podobały osiągi nowego myśliwca?

— Po cichu żałuję, że w moim wieku nie załapię się już na ten sprzęt. — Kaz zdobył się na uśmiech. — Ale pomyśl, stary... Jedna taka maszyna kosztuje tyle, ile za naszych czasów cały lotniskowiec.

— Postęp kosztuje, Kaz.

— Właśnie. Nie, tylko postęp — skrzywił się Podulski. — Aha, jeszcze jedno. Dzwonili do mnie z bazy w Pax River. Wygląda na to, że twój przyjaciel wrócił do domu. Przy pomoście widać jego jacht.

— Dopiero teraz mi to mówisz?

— Po co ten pośpiech? Przecież to cywil. Na pewno chrapie do dziewiątej albo i dziesiątej.

Maxwell odchrząknął znacząco.

— Ciekawy pomysł. Muszę sam kiedyś spróbować.

## 11 — Wdrażanie

Osiem kilometrów może stanowić bardzo długi spacer. Jeżeli się nie maszeruje, lecz płynie, trasa robi się naprawdę długa. A cóż dopiero, kiedy się płynie samotnie i po raz pierwszy od długich tygodni... Kelly zdał sobie z tego wszystkiego jasno sprawę, gdy minął półmetek trasy, lecz mimo że w wielu miejscach woda wokół wyspy była tak płytka, iż na stojąco dosięgało się dna, nie zatrzymywał się i nie pozwolił sobie na zwolnienie tempa. Zmienił tylko styl, żeby dać jeszcze większy wycisk lewemu ramieniu. Upragniony ból zwiastował, że w ślad za nim przyjdzie poprawa. Powtarzał sobie, że woda ma ciepłość akurat w sam raz na takie ćwiczenie, bo była na tyle chłodna, że pływak się w niej nie przegrzewa, na tyle zaś ciepła, że nie okrada ciała z cennej energii. Kilometr od wyspy Kelly poczuł, że zwalnia, więc przywołał na pomoc resztkę sił z wewnętrznych zasobów, jakie hołubi w sobie każdy mężczyzna, i ogałacając tę rezerwę parł naprzód, coraz prędzej, dopóki nie dotknął stopami mulistej ławicy, która wyznaczała wschodni brzeg Battery Island. Wówczas poczuł, że chwieje się na nogach, i że sztywnieją mu mięśnie. Zmusił się wręcz do tego, żeby podnieść się i ruszyć przed siebie. Dopiero wówczas dostrzegł śmigłowiec. Kiedy płynął, słyszał klekot wirnika, ale nie przejął się tym wcale, bo ze śmigłowcami miał do czynienia od tak dawna, że ich warkot stał się dla niego dźwiękiem równie naturalnym co bzyczenie owadów. Nie zdarzało się jednak codziennie, by śmigłowiec wylądował na jego własnej wyspie. Kelly ruszył ku maszynie i był już blisko, kiedy zatrzymał go okrzyk od strony jednego z bunkrów.

— Prosimy do nas, bosmanie!

Kelly odwrócił się, gdyż głos zabrzmiał znajomo. Przetarł zaczerwienione od soli oczy i dostrzegł nareszcie biały oficerski mundur — ani chybi admirałski, sądząc po grubych złotych naramiennikach, które pobłyskiwały w słońcu przedpołudnia.

— Admirał Maxwell!

Kelly ucieszył się z tej wizyty. Ucieszyłaby go teraz zresztą jakakolwiek zmiana.

— Szkoda, że pan nie zadzwonił, trzeba mnie było uprzedzić...



— Nie myśl, Kelly, że nie próbowałem. — Maxwell podszedł bliżej i uściśnił dłoń na przywitanie. — Wydzwaniamy tu od dobrych paru dni. Znika się, co? Jakaś robótka?

Admirał zdumiał się nagłą zmianą, jaka zaszła na twarzy chłopaka.

— Nie, nic takiego.

— To co, opłucz się z soli, a ja rozejrzę się za czymś do picia. Wielki Boże! Maxwell dopiero teraz zauważył świeże blizny na karku i plecach Kelly'ego.

Po raz pierwszy zetknęli się trzy lata wcześniej, na pokładzie lotniskowca USS „Kitty Hawk”. Wprawdzie Maxwell dowodził siłami powietrznymi na Pacyfiku, a Kelly jedynie łóżkiem w okrętowym szpitalu, dokąd trafił jako gasnący cień starszego mata, lecz z racji tego, co się stało, spotkanie miało na zawsze utkwic admirałowi w pamięci. Kilka dni wcześniej Kelly wziął udział w pewnej akcji ratunkowej, mianowicie w poszukiwaniach zestrzelonego samolotu o numerze taktycznym Nova 11, którego pilotem był porucznik Marynarki Winslow Holland Maxwell. Zbieżność nazwisk nie była przypadkowa. Po dwóch dniach pełzania po terenie tak gęstym od nieprzyjaciela, że śmigłowce bały się tam zapuszczać pod jakimkolwiek pozorem, Kelly wyniósł Maxwella juniora na plecach, rannego, ale żywego, lecz sam przy okazji dostał okropnego zakażenia od nurkowania w mętnej, stojącej, tropikalnej wodzie. Maxwell do tej pory nie umiał znaleźć właściwych słów podziękii dla kogoś, komu zawdzięczał ocalenie jedyne go syna. W okrętowym szpitalu młodziutki Kelly wydawał mu się nie do odróżnienia od syna, z tą samą zadzierzystością i tym samym rodzajem sprytu. Gdyby na świecie była jakaś sprawiedliwość, Kelly dostałby za samotniczą akcję w brunatnych nurtach Medal Honoru, lecz Maxwell nawet nie próbował marnować papieru na wnioski. Główny dowódca sił morskich na Pacyfiku oświadczyłby mu z miejsca: — Wybacz, Wściekły, wiem, że ci na tym zależy, ale nic z tego. Wiesz, zaraz by się zaczęło gadanie... — Maxwell zrobił więc tylko tyle, ile leżało w jego własnych kompetencjach.

— Proszę mi może powiedzieć coś o sobie.

— John T. Kelly, panie admirale, starszy mat... .

— O, chyba nie — przerwał mu w tejże chwili Maxwell. — Moim zdaniem wyglądacie na starszego bosmana, nie na mata.

Maxwell został na pokładzie „Kitty Hawk” jeszcze trzy dni, pod pretekstem, że musi przeprowadzić osobistą inspekcję pionu operacji lotniczych na okręcie. W rzeczywistości chciał pobyć trochę dłużej przy rannym synu i jego chorym ratowniku z pododdziałów SEAL. Był więc przy Kellym, kiedy nadszedł radiogram z wiadomością o śmierci ojca Johna. Strażak, zawał serca w czasie gaszenia pożaru. Tak było wtedy, a teraz? Maxwell zdał sobie sprawę, że znów stanął chłopakowi na drodze w jakiejś trudnej chwili.

Dawny podopieczny wynurzył się z kabiny prysznicza już w koszulce i w szortach. Widać było, że trochę zgubił dawną formę, ale za to w jego oczach pojawił się nowy, twardy wyraz.

— Daleko popłynąłeś, John?

— Niecałe osiem kilometrów.

— Niezłe ćwiczenie — zauważył Maxwell i podał gospodarzowi puszkę coli. — Masz, może trochę odsapniesz.

— Dziękuję.

— A w ogóle, to co się z tobą dzieje? To paskudztwo na ramieniu to jakaś świeża sprawa.

Kelly w krótkich słowach, po żołniersku, opowiedział co się stało. Nie krępował się swoich określeń, bo mimo różnicy wielu byli z Maxwellem ulepieni z tej samej gliny. „Wściekły” Maxwell po raz drugi znalazł się więc w roli przybranego ojca. Kiedy Kelly skończył, zauważył ściszym głosem:

— Nie pieści cię życie, John, o nie.

— Chyba nie... — przyznał Kelly i opuścił wzrok, bo sam nie wiedział, co jeszcze można tutaj dodać. — Aha, nigdy nie podziękowałem panu za tę kartkę... No, po śmierci Tish. Fajnie, że pan pamiętał. A jak tam syn?

— Dalej lata, tyle że *Boeingiem 727* w liniach Delta. Lada dzień zostanę dziadkiem — pochwalił się admirał i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo mogą takie wieści zabołec kogoś młodego i tak osamotnionego jak mieszkaniec bunkra.

— Świetnie. — Kelly zdobył się na uśmiech, bo nareszcie usłyszał jakąś dobrą nowinę. Przynajmniej jedna z rzeczy, których tknął, znalazła szczęśliwe zakończenie. — A w ogóle, to co pana tu sprowadza?

— Muszę z tobą pogadać w pewnej sprawie. — Maxwell otworzył skoroszyt i rozprostował na niskim stoliku pierwszą z map. Kelly odchrząknął na jej widok.

— Pewnie, poznaję to miejsce. — Przeniósł wzrok na oznaczony odręcznym pismem brzeg mapy i przypomniał: — To ściśle tajny materiał, panie admirale.

— Tak samo jak to, o czym chcemy porozmawiać, bosmanie.

Kelly odwrócił się i rozejrzał po wnętrzu. Admirał nie ruszał się nigdzie bez adiutanta, zwykle odprasowanego w kancik kapitana Marynarki, który nosił za nim teczkę, wskazywał przełożonemu najkrótszą drogę do toalety, wyklócał się o najlepsze miejsce do zaparkowania samochodu i wykonywał inne czynności, którymi wzgardziłby normalny, zapracowany podoficer. Kelly zdał sobie nagle sprawę, że załoga śmigłowca została na zewnątrz bunkra. Niezwykła sprawa, ale wiceadmirał Maxwell chciał odbyć tę rozmowę bez świadków.

— Dlaczego właśnie ze mną?

— Bo jesteś jedynym człowiekiem w całym kraju, który bezpośrednio poznał tamten teren.

— Poznałem, i nikomu nie polecam. — Kelly powiedział tak, gdyż nie miał miłych wspomnień z tamtego miejsca, którego dwuwymiarowy kontur na mapie natychmiast przywołał trójwymiarowe niedobre wspomnienia.

— Jak daleko się zapuściłeś w górę rzeki, John?

— Mniej więcej do tego miejsca, — Kelly przesunął palcem po mapie. — Za pierwszym razem przegapiłem pańskiego syna, więc zawróciłem i znalazłem go dokładnie tutaj.

Nieźle, nieźle. Wskazane miejsce znajdowało się kusząco blisko nowego celu.

— Tego mostu drogowego już nie ma — usłyszał Kelly. — Wystarczyło szesnaście nalotów. Teraz przęśla leżą w rzece.

— Ale zdaje pan sobie sprawę, co się z tym wiąże, prawda? Tamci na pewno zbudowali bród, albo położyli parę mostów tuż pod powierzchnią wody. Mam panu doradzić, jak je wysadzić w powietrze?

— Szkoda czasu. Nie, nasz cel znajduje się tutaj. — Maxwell postukał palcem w czerwoną kropkę, zaznaczoną na mapie.

— Zaraz widać, że się tam nie dostanę wpraw, tyle wiem. Co to takiego?

— Bosmanie, przy demobilizacji przenieśliście się ochotniczo do rezerwy floty, zgoda? — przypomniał dobrodusznie Maxwell.

— Zaraz, chwileczkę, o co chodzi?!

— Nie krzycz, synu, nie chcę cię znowu brać do wojska. — Przynajmniej na razie, dodał Maxwell w skrytości ducha. — Miałeś zgodę na dostęp do tajnych materiałów, dobrze pamiętam?

— Owszem, miałem, z powodu...

— To, o czym ci mówię, John, nie jest ściśle tajne, tylko o wiele bardziej.

Maxwell w paru słowach streścił całą sytuację, wyciągając przy okazji z teczek kilka nowych arkuszy i zdjęć.

— A to skurwysyny... — Kelly podniósł wzrok znad fotografii lotniczej.

— Chcecie zrobić rajd i wybrać naszych, jak w Song Tay?

— Chwileczkę, a co ty wiesz o Song Tay?

— Tylko tyle, ile było wolno — wyjaśnił natychmiast Kelly. — Rozmawiało się o tym trochę w naszej grupie. Koronkowa akcja. Chłopcy z Sił Specjalnych, jak się przyłożą, potrafią obmyśleć takie rzeczy, że nie wiem. Z tym, że...

— Z tym, że nie zastali nikogo w domu. Obóz był pusty. Aha, na przykład ten oto człowiek — Maxwell wskazał na zdjęcie — został zidentyfikowany bez żadnych wątpliwości jako pułkownik naszego lotnictwa. Kelly, nie wolno tego powtarzać nikomu, ale to nikomu.

— Jasna sprawa. Więc jak chcecie wszystko zorganizować?

— Na razie myślimy. Znasz tamten teren, więc byłoby dobrze wspólnie przedyskutować sprawę. Może wskażesz nam jeszcze inne sposoby.

Kelly wrócił myślami do miejsca, w którym spędził pięćdziesiąt bezsennych godzin.

— Na rajd śmigłowcowy to nieprzyjemny teren. Pełno środków przeciwlotniczych. Z Song Tay było inaczej, cel na uboczu, gdzieś w głuszy, ale ten obóz jest dwa kroki od Hajfongu. Drogi, i cała reszta. Moim zdaniem trudna sprawa.

— Nikt nie mówi, że łatwa.

— Jeżeli zrobić dolot łukiem, od tej strony, można podejść pod osłoną wzgórz, ale nie ma rady, w którymś punkcie trzeba przeskoczyć rzekę. . . Nie tu, i nie tutaj, bo wpada się prosto pod ogień z ziemi. . . Nie, tu jest jeszcze gorzej, jeśli to prawda, co jest napisane na mapie. . .

— Próbujesz mi udowodnić, że weteran SEAL potrafi zaplanować rajd śmigłowcowy na ten teren? — zapytał ubawiony Maxwell, lecz odpowiedź odebrała mu ochotę do żartów.

— Panie admirale, 3.SGO miała zawsze za mało oficerów. Co przyjechał nowy, ginął w akcji. Przez dwa miesiące musiałem pełnić obowiązki oficera operacyjnego całej grupy. Poza tym nie tylko ja, ale wszyscy wiedzieliśmy, jak planować desanty. Nie było innej możliwości, bo rajd z desantem to najtrudniejsze punkty każdej akcji. Bez urazy, ale szeregowi też potrafią myśleć.

Maxwell nachmurzył się mimo wszystko.

— A kto mówi, że nie potrafią?

Kelly zbył rzecz uśmiechem.

— No, nie wszyscy oficerowie mają tak szerokie horyzonty jak pan. Aha, więc z tą mapą. . . Taką akcję trzeba planować od końca. Zacząć od działań w sąsiedztwie celu, a potem cofnąć się i sprawdzić, jak się tam w ogóle dostać.

— Później się tym zajmiemy. Na razie powiedz mi coś o tej dolinie — rozkazał Maxwell.

Pięćdziesiąt godzin. Kelly miał w pamięci dzień, w którym zabrano go śmigłowcem z bazy w Danang, przerzucono na pokład okrętu podwodnego USS „Skate” i przetransportowano tą drogą w obszar zaskakująco głębokiej delty tej zasranej i śmierdzącej rzeki. Dalej walczący z prądem Kelly popłynął podwodnym skuterem z napędem elektrycznym, który zapewne nadal spoczywa w mule rzeki, o ile jakiś rybak nie poszarpał sobie na nim sieci. Wynurzył się dopiero wówczas, gdy skończyło mu się powietrze w butlach i zapamiętał na zawsze własny strach w chwili, kiedy nie mógł już się dłużej ukryć pod sfalowaną powierzchnią. Na otwartej przestrzeni, gdy nie mógł ryzykować i płynąć, chował się w nadbrzeżnych szuwarach i obserwował ruch pojazdów na grobli albo nasłuchiwał huku armat przeciwlotniczych ze wzgórz. Zastanawiał się też, jaką dziurę robi w nim seria z działka kalibru 37 mm, jeżeli jakiś północnowietnamski pionier natknie się na niego i zawiadomi ojca. Wszystko to wspomnienia — lecz teraz jakiś admirał każe mu ryzykować życiem innych ludzi dokładnie w tym samym miejscu i ufa mu, ufa mu tak samo jak Pam, w takiej samej nadziei, że Kelly będzie już wiedział, co zrobić. Bosman-rezerwista poczuł nagły mróz w kręgosłupie.

— Mało ciekawe miejsce. Zresztą sam pan wie, pański syn też się go wtedy naoglądał.

— Ale nie aż tak dokładnie — przypomniał Maxwell.

Owszem, Kelly po namyśle musiał przyznać rację admirałowi. Młody Wściekły posadził maszynę w chaszczach, wprawdzie z kapotażem, brzuchem do góry, ale na tyle całą, że o każdej nieparzystej godzinie mógł wzywać przez radio bazę, a potem czekać na przybycie Węża. Oczekiwanie skracał sobie piastowaniem złamanej i piekielnie bolącej nogi, a oprócz tego słuchał huku tej samej baterii przeciwlotniczej, która straciła jego A-6. Kanonada oznaczała, że nowe fale amerykańskich szturmowców nadal próbują zbombardować most, w który on sam chybił niewiele wcześniej. Pięćdziesiąt godzin. Kelly zapamiętał je do końca życia: spędził je bez odpoczynku, bez snu, za towarzystwo mając wyłącznie słowa instrukcji i własny strach. — Ile mamy na to czasu, panie admirale?

— Tego dokładnie nie wiadomo. Słowo daję, nie mam nawet gwarancji, że dostaniemy zielone światło dla tej akcji. Musimy opracować plan i dopiero wtedy przedstawimy go do akceptacji, a kiedy ją uzyskamy, zgromadzimy środki, wyszkolimy ludzi i jazda.

— A co będzie z pogodą?

— Akcję trzeba przeprowadzić jesienią, czyli tej jesieni albo nigdy.

— I mówi pan, że jeśli my się o to nie postaramy, tamci jeńcy już nie wrócą?

— Nie widzę innego wytłumaczenia, dlaczego obóz wygląda tak, jak wygląda.

— Z tym, że... Panie admirale, znam się na tych sprawach, ale umówmy się, jestem tylko podoficerem, więc...

— Tylko ty znasz to miejsce — uciał admirał, zbierając mapy i fotografie. Gdy to zrobił, wręczył Kelly'emu osobną paczkę map. — Trzy razy odmówiłeś zdawania do szkoły oficerskiej, John. Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego.

— Mam powiedzieć prawdę? Bo wtedy na pewno bym znów trafił do Wietnamu. I za drugim razem mógłbym już nie mieć tyle szczęścia.

Maxwell nie naciskał go dłużej, choć po cichu żałował, że jego najlepsze źródło wiadomości o miejscu akcji nie dorasta rangą oficerską do własnej wiedzy wojskowej. Maxwell pamiętał jednak dawne loty bojowe z pokładu „Enterprise”, kiedy za sterami maszyn siadali nie tylko oficerowie, tak jak teraz. Co najmniej jeden z tamtych pilotów wyrósł na dowódcę grupy powietrznej... A chorążowie, którzy pilotują śmigłowce? Wielu z nich to najlepsi lotnicy na świecie, choć stopień podoficerski dostają na dzień dobry, w chwili, kiedy przekraczają bramę ośrodka szkoleniowego w Fort Rucker. Nie było sensu bawić się w rozróżnianie, kto tu ważniejszy.

— Ci od Song Tay popełnili jeden błąd — odezwał się Kelly po chwili.

— Co takiego?

— Mnie się zdaje, że za długo ćwiczyli całą akcję. Jak się człowiek przetrenuje, to po pewnym czasie zaczyna mu iść coraz gorzej, zamiast coraz lepiej. Trzeba

wybrać odpowiednią grupę, potrenować z nimi dwa, góra trzy tygodnie, i wio! Dłużej można ścibolić na kursie hafciarstwa, ale nie tutaj.

— Słyszałem już takie opinie — zapewnił go Maxwell.

— Aha, czy będzie to robił ktoś z naszych, z SEAL? Płetwonurkowie?

— Sami na razie dobrze nie wiemy, Kelly. Dam ci dwa tygodnie. Przez ten czas zajmiemy się innymi aspektami przygotowań.

— Mam być w kontakcie, tak?

— Ale osobistym. — Maxwell cisnął na stół przepustkę do Pentagonu. — Żadnych telefonów ani listów. Wszystko załatwiamy na gębę.

Kelly podniósł się i odprowadził admirała do śmigłowca. Na widok dowódcy, załoga maszyny natychmiast zapuściła turbiny morskiego *SH-2 SeaSprite*. Kiedy wirnik już ruszał, Kelly złapał Maxwella pod łokieć.

— Ktoś się wygadał przed akcją na Song Tay, tak?

Maxwell zamarł w pół kroku.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Dziękuję. Już mi pan na nie odpowiedział, panie admirale. — Kelly pokiwał głową.

— Sami dobrze nie wiemy, Kelly — powtórzył Maxwell i pochylając się zanurkował pod wirnikiem. Kiedy śmigłowiec podrywał się z ziemi, znów przyszło mu na myśl, że to cholerna szkoda, iż nie udało się namówić Kelly'ego na szkołę oficerską. Chłopak okazał się zdolniejszy niż ktokolwiek by przypuszczał. Admirał zanotował sobie, że trzeba koniecznie odszukać byłego dowódcę Kelly'ego i poznać resztę szczegółów na jego temat. Admirał zastanawiał się także, co zrobi Kelly, kiedy znowu ujrzy w poczcie kartę powołania do wojska. Głupio było tak nadużywać jego zaufania — Kelly mógł przecież tak właśnie odebrać całą sytuację. Kiedy *SeaSprite* zawracał na północny wschód, Maxwell był już jednak myślami przy dwudziestu więźniach w ZIELENI AKU. To o nich w tej chwili chodziło, nie o Kelly'ego, któremu, swoją drogą, przyda się jakaś rozrywka. Tyle się w końcu ostatnio namęczył... Ta ostatnia myśl stanowiła dla admirała pewną pociechę. Przynajmniej tyle.

\* \* \*

Kelly odprowadził śmigłowiec wzrokiem, a kiedy maszyna zniknęła w mgiełce dusznego przedpołudnia, odwrócił się i pomaszerował do warsztatu. Po wysiłku spodziewał się bólu w całym ciele i ulgi w psychice, lecz, dziwna sprawa, stało się dokładnie odwrotnie. Godziny ćwiczeń w szpitalu opłaciły mu się z nawiązką. Nadal ciężko mu było wykrzesać z siebie wszystkie siły, lecz ramię bolało go mocno tylko na początku i udrekę pływania zносиło zaskakująco dobrze. Męka zaczynała się już przeradzać w zwykłą po ogromnym wysiłku, leciutką euforię.

Kelly mógł się spodziewać, że stan ten utrzyma się w nim przez resztę dnia. Warto wcześniej pójść spać, bo nazajutrz czekać będą nowe mordercze ćwiczenia. Właśnie: nazajutrz będzie już można pływać ze stoperem, na czas. Admirał wspomniał o dwóch tygodniach luzu — dokładnie tyle dał sobie Kelly na gruntowną zaprawę fizyczną przed akcją. Tymczasem nadchodziła pora na inny rodzaj przygotowań.

Bazy i posterunki Marynarki, niezależnie od skali i przeznaczenia, łączy wiele wspólnych cech. Jedną z nich jest nieodmiennie obecność warsztatów naprawczych. Na Wyspie Armatniej przez sześć lat cumowały kutry ratunkowe, które naprawiało się na miejscu i dorabiało na maszynach uszkodzone części. Kolekcja maszyn i obrabiarek, która dostała się Kelly'emu po wydzierżawieniu obiektu, odpowiadała więc wyposażeniu warsztatowemu na pokładzie niszczyciela. Zapewne przysłano gotowy zestaw maszyn i przyrządów, typowy Zestaw Numer Jeden, Typ Podstawowy, z katalogu wyposażenia okrętów. Kelly mógł się wręcz założyć, że identycznym zestawem dysponuje pierwsza lepsza jednostka Sił Powietrznych.

Włączył teraz frezarkę marki South Bend i prędko sprawdził poszczególne części i zapas chłodziwa, upewniając się, że maszyna jest sprawna. Wraz z urządzeniem na wyspę trafiła szafa z szufladami pełnymi narzędzi, mierników i surowców do dalszej obróbki. Stalowe „surowce” były zbiorem rozmaitych elementów i kształtek, które technik mógł sobie obrabiać do konkretnych wymiarów, stosownie do potrzeb. Kelly przysiadł na stołku i chwilę się zastanowił. Nie, na początek coś prostszego. Wyjął z zawieszanej na ścianie kabury swojego *Colta M1911A* kalibru 0,45 cala, rozładował i rozebrał pistolet, po czym bardzo dokładnie przyjrzał się suwadłu i lufie.

— Jeden, i drugi na zapas — mruknął do siebie. Następnie osadził w mocnym imadle zamek pistoletu i frezarką wywiercił w jego górnej powierzchni dwa płytkie otworki. Frezarka z Indiany okazała się nadzwyczaj wydajna jako wiertarka, bo wystarczyło ćwierć obrotu koła nastawczego — wyposażonego w cztery ręczne uchwyty — by wiertelko przebiło się przez stal pistoletu. Kelly zaraz powtórzył czynność i wywiercił drugi otwór o 32 milimetry od pierwszego. Równie łatwo poszło mu nagwintowanie obu otworów. Teraz potrzebny był już tylko śrubokręt. Na tym jednak kończyła się łatwiejsza część prac. Kelly miał okazję znów się przyzwyczaić do frezarki, której nie dotykał co najmniej od roku. Ostateczne oględziny ulepszanego pistoletu upewniły go, że udało mu się nie uszkodzić żadnej z części. Teraz jednak zaczynały się schody.

Kelly nie miał ani czasu, ani odpowiedniego sprzętu, żeby porządnie wykonać tę robotę. Umiał wprawdzie posługiwać się spawarką, ale za pomocą sprzętu, którym dysponował w warsztacie nie był w stanie wytoczyć potrzebnych mu, precyzyjnych części. Mógł więc tylko pomarzyć o urządzeniu, które sobie początkowo wymyślił. Gdzie tu znaleźć specjalną odlewnię? Poza tym każdy rzemieślnik mógłby się domyślić, do czego mają służyć zamówione elementy, a to oznaczało

niepotrzebne ryzyko. Kelly pocieszył się myślą, że jakoś się obędzie bez precyzji. Perfekcja dobra rzecz, byle w miarę. Czasem po prostu szkoda zachodu.

Na początek wybrał sobie pusty, surowy odlew, z kształtu podobny do małej, cylindrycznej puszki, choć węższej i z grubszymi ściankami.

I tym razem wywiercił na początek otwór, w dolnej podstawie walca, dokładnie pośrodku. Otwór miał średnicę 15 milimetrów, co Kelly zaraz sprawdził za pomocą śruby mikrometrycznej. W szufladzie znalazło się jeszcze siedem podobnych „puszek”, choć o mniejszej średnicy. Każdą z nich Kelly przyciął do wysokości 19 milimetrów i wywiercił sześciomilimetrowe otwory w ich denkach. Efektem tych starań było siedem miniaturowych stalowych „szklaneczek” o dziurawym dnie, a może mikroskopijnych doniczek z pionowymi ściankami? Kelly uśmiechnął się z zadowoleniem. Każda „szklaneczka” stanowiła osobną z serii przegród-deflektorów. Próba wsunięcia ich kolejno do „puszki” nie powiodła się jednak, gdyż okazały się za grube. Kelly zżymał się, że nie dopatrywał tak oczywistego szczegółu. Było oczywiste, że trzeba będzie z każdej „szklaneczki” zdjąć po parę milimetrów na tokarce. Kelly uczynił to, wyrównując lśniąca zewnętrzną powierzchnię walców, które ostatecznie uczynił o jeden milimetr cieńszymi od wewnętrznej średnicy „puszki”. Zajęcie okazało się mozolne. Kelly kłął na siebie przez długie pięćdziesiąt minut, zanim wreszcie mógł się uraczyć nagrodą w postaci zimnej coli. Kiedy znów spróbował wsunąć deflektory do wnętrza walca, okazało się, że pasują na tyle ściśle, że nie grzechocą, lecz na tyle luźno, iż dawało się je dość łatwo wytrząsnąć z powrotem. Doskonale. Wytrząsnął je po raz ostatni i zajął się wytaczaniem zakrętki na „puszkę”. Tę również trzeba było nagwintować, podobnie jak obrzeże cylinderka. Kelly przykręcił część na miejsce, najpierw na pusto, a potem z deflektorami we wnętrzu walca, i pogratulował sobie, że wszystko tak świetnie pasuje. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał wywiercić otworu również pośrodku zakrętki. Uczynił to, przepaszając się po raz kolejny z frezarką. Otwór miał tym razem średnicę zaledwie 5,75 milimetra. Nareszcie można było spojrzeć na przestrzał przez całe wnętrze metalowego walca — znak, że mimo roztargnienia Kelly przynajmniej wiercił w linii prostej.

Najważniejsza była jednak następna część roboty. Kelly nie śpieszył się z nastawianiem frezarki i pięć razy sprawdził wszystkie wskazania, zanim jednym długim pociągnięciem za koło nie dokończył dzieła. Przedtem jednak wziął głęboki oddech — gwint wyglądał tak jak trzeba. Ostrożność była jak najbardziej uzasadniona, bo chociaż Kelly parę razy w życiu miał okazję obserwować, jak się to robi, nigdy nie wykonywał takiej operacji własnoręcznie. Mimo że miał w warsztacie dobre narzędzia i umiał się nimi wcale zręcznie posługiwać, nie był czeladnikiem ślusarskim, a tylko przeniesionym do rezerwy bosmanem. Wreszcie jednak wyjął z imadła lufę pistoletu, złożył broń i wyszedł na dwór z pudełkiem sportowej amunicji kalibru 0,22 cala.



Duży i ciężki *Colt* nie onieśmiał Kelly'ego, lecz potrzebna do niego amunicja typu ACP kalibru 0,45 cala kosztowała majątek — na pewno znacznie więcej, niż zwyczajne sportowe naboje 0,22 cala bocznego zapłonu. Dlatego już rok wcześniej Kelly dokupił specjalną lufę wkładkową i resztę mechanizmu, który pozwalała strzelać z *Colta* właśnie pociskami 0,22 cala. Na próbę Kelly ustawił puszkę po coli w odległości pięciu metrów i załadował do magazynka trzy małe naboje. Nie krzywił się, bo nie spodziewał się huk. Ustawił się tak jak zawsze, rozluźniony, z rękoma przy bokach, a potem prędkim ruchem podniósł broń do oka, a jednocześnie przykucnął z pistoletem w oburęcznym chwycie, i w tejże chwili znieruchomiał: przykręcony do lufy cylinder dokładnie zasłaniał muszkę i szczerbinę. Nowy kłopot. Lufa powędrowała ku ziemi, a potem powtórnie do oka. Pierwszy pocisk Kelly wystrzelił właściwie nie widząc celu, toteż skutek łatwo było przewidzieć. Puszka po coli ani drgnęła. Niedobrze. Można się było za to cieszyć z tego, że tłumik działa dokładnie tak, jak trzeba. Kinowi i telewizyjni realizatorzy dźwięku najczęściej mijają się z prawdą, gdyż oddają wystrzał przez tłumik rodzajem przeciągłego „brzdęk”, podczas kiedy odgłos z naprawdę porządnego tłumika przypomina szurnięcie drucianą szczotką po drewnianej belce. Rozszerzające się gazy prochowe zamiast z hukiem wyrwać się z lufy, w ślad za wystrzelonym pociskiem wpadają do wnętrza kolejnych deflektorów, a ponieważ pocisk zasłania wszystkie otwory wylotowe, gaz rozpręża się w zamkniętych, wewnętrznych komorach tłumika, zamiast na zewnątrz. Tłumik Kelly'ego miał pięć wewnętrznych komór, a końcowa zakrętka zamykała szóstą, więc nic dziwnego, że huk wystrzału zmienił się dosłownie w szept.

Kelly'emu bardzo się by to wszystko podobało, gdyby nie drobiazg: jeśli pierwszy strzał chybił celu, niedoszła ofiara musiała z pewnością usłyszeć jeszcze głośniejszy klekot odrzucanego i wracającego na miejsce zamka. Mechaniczny szcęk broni trudno było wziąć za niewinny odgłos — tymczasem fakt, że z pięciu metrów Kelly chybił do blaszanej puszkę źle świadczył o jego umiejętnościach strzeleckich. Ludzka głowa jest oczywiście większa od puszkę, lecz Kelly'ego interesowała w głowie tylko ta część obszaru, która stanowiła strefę skutecznego rażenia. Pozostawało odetchnąć głęboko i wycelować jeszcze raz. Tym razem Kelly podniósł broń do oka płynnym, posuwistym ruchem i nacisnął spust w momencie, kiedy tłumik dopiero zaczynał zakrywać cel. Udało się — mniej więcej, bo puszkę odskoczyła w bok z ziejącą dwa palce nad dnem, półcentymetrową dziurą. Kelly uznał, że z refleksu jeszcze u niego nietęgo. Następny pocisk władował w okolice środka puszkę i nareszcie mógł się szczerze uśmiechnąć. Następny magazynek zawierał pięć nabojęw z wydrążonym wierzchołkiem. Po minucie Kelly mógł się zacząć rozglądać za następnym celem, bo z czerwonej puszkę zostało sito. Sześć z siedmiu wyszarpanych dziur ziało mniej więcej pośrodku tego, co było Coca-colą.

— Masz jeszcze cęła, Johnnie — pochwalił sam siebie Kelly i zabezpieczył pistolet. Wiedział jednak, że strzela w biały dzień do nieruchomego kawałka blachy. Dlatego powrócił zaraz do warsztatu i znów rozłożył pistolet. Wyglądało, że tłumik przeszedł próbę bez najmniejszych śladów zużycia, tyle że się zakopcił. Kelly oczyścił go starannie i lekko naoliwił wewnętrzne powierzchnie. Potem przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł: małym pędzelkiem wymalował wzdłuż górnej powierzchni pistoletu cieniutką białą kreskę. Dochodziła druga po południu. Kelly uznał, że ma prawo coś przekąsić przed popołudniową zaprawą.

\* \* \*

— Aż tyle? Nie gadaj?

— Jeszcze ci źle? — zdenerwował się Tucker. — Co jest, nie dasz rady tyle upłynnić?

— Nie bój się, Henry. Opchnę tyle, ile mi dostarczysz, spokojna głowa — odparł Piaggi, którego początkowo rozsierdziła arogancja partnera. Później jednak przyszło zastanowienie: co dalej?

— Trzy dni nam na tym zejdzie! — zaskomlił Eddie Moreli, ot, żeby też coś powiedzieć.

— Boisz się zostawić swoją starą na głupie trzy dni? — Tucker posłał mu szyderyczy uśmiech, postanawiając w następnej kolejności zrobić porządek właśnie z Eddim. Przede wszystkim za brak poczucia humoru. Włoch poczerwieniał bowiem jak burak.

— Uważaj, Henry...

— Spokój, spokój, koledzy — Piaggi powiódł wzrokiem po ośmiu kilogramach towaru, które miał przed sobą na blacie. Potem znów spojrział na Tuckera. — Wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć, skądś to wytrzasnął.

— Wiem, że wiele byś dał, Tony, ale chyba już rozmawialiśmy na ten temat, nie? No, więc dasz radę to opchnąć?

— Zapamiętaj sobie, że jak raz się zaczniesz tym kręcić, naprawdę trudno przestać. Ludzie przyzwyczajają się do ciebie. Niedźwiedź też nie przyjmuje do wiadomości, że to już ostatnie ciasteczko. Czujesz sprawę, co? — terkotał Piaggi, lecz w myślach układał nowy plan działania. Na szczęście miał znajomych w Filadelfii i w Nowym Jorku, młodych, energicznych i znudzonych wysługiwaniem się starym wąsaczom z Sycylii ze staroświeckimi zasadami. Wobec tak niesamowitego zarobku nie było nawet co się zastanawiać. Ciekawe, swoją drogą, skąd Henry tyle tego bierze. Przed dwoma miesiącami zaczynali w końcu od dwóch kilogramów. Fakt, że tak czystej postaci nie miało na rynku nic, oprócz białej sycylijskiej. Z tym, że towar Henry'ego był dwa razy tańszy. Co więcej, dostawy stanowiły kłopot Henry'ego, co dla Piaggiego stanowiło dodatkowy atut. Najbardziej jednak podobał mu się cały system zabezpieczeń. Widać było, że Henry to

facet z głową, a nie pierwszy lepszy frajer, który tylko pozuje na człowieka z branży. Henry to nie byle kto. Prawdziwy biznesmen, spokojny, czujny zawodowiec, z którym warto dobrze żyć i współpracować. Co do tego, Piaggi był coraz bardziej przekonany.

— Dostawy się nie urwą. Murowane. Moja w tym głowa, chłopie.

— Dobra — zgodził się Piaggi. — Z tym, Henry, że jest jeszcze jeden kłopot. Nie dam rady tak od razu uskładać pieniędzy za taką górę towaru. Trzeba mi było wcześniej powiedzieć, ile tego będzie.

Tucker zbeczelniał na tyle, że roześmiał się w głos.

— Nie chciałem cię wystraszyć, Anthony.

— Zaufasz mi, co do tej forsy?

Murzyn przytaknął i zerknął na Piaggiego.

— Mam cię za poważnego faceta.

Henry ryzykował nie tak wiele, gdyż wiedział, że Piaggi nie przepuści okazji zapewnienia sobie i wspólnikom regularnych dostaw. Długoterminowe zyski zapowiadały się zbyt świetnie, by strzelić podobne głupstwo. Trzeba było być takim idiotą jak Angelo Vorano, by wyobrażać sobie co innego. Angelo też się przydał na coś, bo skontaktował Tuckera z Piaggim, a poza tym dawno zdążył się zmienić w krabie gówna.

— Ale towar będzie prima, taki jak dotychczas? — wtrącił się Morello, irytując pozostałą dwójkę.

— Co, Eddie, myślisz sobie, że facet zaufa nam co do forsy i wykoleguje nas na towarze? — zdziwił się nieprzyjemnie Piaggi.

— Spokojnie, panowie, zaraz wam wytłumaczę, o co idzie. Mam w ręku stałe dostawy dobrego towaru, tak? Skąd go biorę i jak, moja sprawa. Do tego mam własne rewiry, gdzie macie mi się nie wpieprzać, ale na razie nie pobiliśmy się o ulicę i tak powinniśmy trzymać.

Obaj Włosi skinęli głowami na znak zgody, Eddie bezmyślnie, za to Tony z taktem i szacunkiem. Szacunek dał się słyszeć także w jego słowach:

— Będziesz potrzebował dystrybutorów, a my możemy się tym zająć. Masz swój rewir? Proszę bardzo, miej, nie będziemy ci wchodzić na odcisk.

Nadeszła pora na następne posunięcie.

— Udało mi się coś osiągnąć, bo myślę! A wiecie, co wymyśliłem? Od dzisiaj macie mi się nie mieszać do przygotowań.

— Jak to?

— Koniec wycieczek motorówką! Odtąd będziecie już dostawać do rąk gotowy towar.

Piaggi tylko się uśmiechnął, bo zdążył odbyć rejs już cztery razy i dawno mu się to przejadło.

— Nie będę się z tobą kłócił. Rób jak chcesz, tylko powiedz moim ludziom, gdzie i jak mają od ciebie odbierać towar.

— Towar będzie szedł osobno, a forsa osobno. Jak w porządnej firmie — oznajmił Tucker. — Nie z ręki do ręki, tylko, powiedzmy, na kredyt.

— Ale najpierw towar.

— Zgoda, Tony, niech ci będzie. Tylko żebyś dobrze wybrał ludzi, co? Chodzi mi o to, żeby nikt nie mógł mnie skojarzyć z narkotykami.

— Jak ktoś wpadnie, zaczyna śpiewać — przypomniał mu Morello. Wyczuwał, że tamci dwaj lekceważą go przy rozmowie, lecz nie był na tyle bystry, aby się zorientować, czym to pachnie.

— Nie moi — skwitował to Tucker. — Tak ich nauczyłem.

— Ach, więc to ty! — Piaggi dopiero teraz skojarzył Tuckera z wydarzeniami z gazet i skłonił głowę. — Powiem ci, że masz klasę, Henry. Ale następnym razem ostrożniej, co?

— Dwa lata przygotowywałem to wszystko. Wsadziłem kupę szmalcu, żeby rozkręcić interes i chcę, żeby pochodził jeszcze parę lat. Nie ryzykuję głupio, jeżeli nie muszę. Więc dobrze, kiedy możecie mi zapłacić za tę partię?

— Mam przy sobie równe sto patyków. — Tony machnął ręką w stronę płóciennej torby na pokładzie. Interesik rozkręcał się rzeczywiście w szybkim tempie; pierwsze trzy partie towaru rozeszły się łatwo i przyniosły niezły zysk. Poza tym Piaggi uznał, że Tuckerowi można zaufać, na tyle, na ile kogokolwiek obdarzało się w tej branży zaufaniem. Gdyby Tucker chciał go okantować, nie czekałby aż do tej pory. Poza tym nie robi się kantów z taką ilością narkotyków... — Bierz tę stówkę, Henry. Policzymy, wychodzi, że będziemy ci winni jeszcze... Pięćset tysięcy? Daj mi trochę czasu, żebym tyle uzbierał. Powiedzmy, tydzień. Przepraszam, że tak długo, ale człowieku, miało być trochę towaru, a jest hałda. Żeby znaleźć tyle gotówki, muszę się trochę pokręcić, sam wiesz.

— Powiedzmy, że czterysta, nie pięćset. Nie dusi się przyjaciół, w końcu dopiero zaczynamy. To tak, na dobry początek.

— Gest dobrej woli, co? — Piaggi roześmiał się i cisnął Henry'emu puszkę piwa. — Założę się, chłopcze, że masz w sobie ociupinę włoskiej krwi! Dobra jest, zrobimy wszystko tak, jak chcesz.

Piaggi nie mógł głośno zadać drążącego go pytania. Jak duże i jak pewne są dostawy Tuckera?

— Świetnie. A teraz do roboty. — Tucker rozpruł nożem pierwszy plastikowy worek i wysypał biały proszek do miski z nierdzewnej stali. On także cieszył się, że nie będzie więcej musiał w tym się babrać. Udało mu się wprowadzić w życie siódmą część wielkiego planu. Od tej pory niech się przy kuchni uwijają inni, z początku oczywiście pod troskliwym nadzorem. Od dzisiaj Henry Tucker z szefa staje się dyrektorem.

Mieszając sypką substancję w misce, Henry gratulował sobie inteligencji. Rozkręcił interes dokładnie tak jak trzeba, ryzykując trochę, ale nie za bardzo. Zbudował organizację od podstaw i sam miał się wszystkich obowiązków po ko-

lei. Nikt nie powie, że nie zabrudził sobie rączek przy pracy. Kto wie, czy przodkowie Piaggiego nie zaczęli w ten sam sposób? Tucker domyślał się, że Piaggi nie pamięta takich szczegółów i nie zdaje sobie sprawy, co z nich wynika. Trudno, jego sprawa. Tucker wiedział swoje.

\* \* \*

— Powtarzam, pułkowniku, że byłem zwykłym adiutantem! Ile razy musimy do tego wracać? Robiłem dokładnie takie same bzdury, co adiutanci waszych generałów, i tyle!

— I zgodził się pan na takie zajęcie? — Pułkownik Nikołaj Jewgienijewicz Griszanow żałował, że musi przepuszczać człowieka przez taki magiel, ale trudno. Pułkownik Zacharias był nie tyle człowiekiem, ile wrogiem. Rosjanin uświadamiał to sobie niechętnie. Trudno, nie było innego sposobu, żeby skłonić Amerykanina do zwierzeń.

— W waszym lotnictwie jest na pewno tak samo. Ktoś spodoba się generałowi i zaraz zaczyna w tempie awansować. — Amerykanin umilkł na chwilę i pomyślał, że to, co powie, nie wpędzi go chyba w kłopoty. — Jest jeszcze jeden powód. Pisałem generałowi przemówienia.

— W moim lotnictwie od takich spraw istnieją oficerowie polityczni Griszanow zbył żart przesłuchiwanego machnięciem ręki.

Rozmawiali już po raz szósty. Wietnamczycy byli ostrożni i zezwolili na dostęp do jeńców tylko jednemu przedstawicielowi strony radzieckiej, właśnie Griszanowowi. Dwudziestu jeńców, każdy inny. Teczka Zacharias mówiła, że pułkownik jest tyleż lotnikiem, co oficerem wywiadu, który przez dwadzieścia kilka lat służby zajmował się rozpracowywaniem systemów obrony powietrznej. Magisterium z inżynierii, wydział elektryczny uniwersytetu w Berkeley. Teczka zawierała nawet uzyskaną nie tak dawno kopię pracy dyplomowej Zacharias, „Aspekty rozchodzenia się i rozpraszania promieniowania mikrofalowego w terenie pagórkowatym”. Pracę wydobyła z uniwersyteckiego archiwum i sfotokopowała pewna poczciwa dusza, jedna z trzech, które zza oceanu pomagały Griszanowowi wzbogacić wiedzę o jeńcach. Dysertacja była z tych, które zaraz po obronie należy utajnić po wsze czasy. W Związku Radzieckim stałoby się tak natychmiast. Griszanow ocenił pracę jako majstersztyk. Zacharias analizował w niej zachowanie się promieniowania radarowego niskiej częstotliwości i fakt, że w pewnych warunkach samolot mógł uniknąć wykrycia przez radar, wykorzystując w tym celu rzeźbę terenu. Trzy lata po dyplomie, po pierwszym przydziale do dywizjonu lotnictwa myśliwskiego, Zacharias otrzymał skierowanie do bazy lotniczej Offut pod Omaha w stanie Nebraska. Jako sztabowiec dowództwa lotnictwa strategicznego pułkownik opracowywał tam profile lotu, dzięki którym amerykańskie bombowce

B-52 mogły przedrzeć się przez radzieckie zapory przeciwlotnicze. Teoretyczna wiedza z zakresu fizyki przydała się więc do tak praktycznego celu, jak planowanie światowej wojny nuklearnej.

Griszanow nie czuł w sobie nienawiści do Amerykanina, choć uważał, że powinien. Sam również był pilotem myśliwskim i niedawno przekazał następcy dowództwo pułku w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju. Po powrocie czekał na niego nowy pułk. Wojskowa kariera Griszanowa i Zachariasa układała się więc zadziwiająco zbieżnie. Zadaniem Griszanowa w przypadku wojny było powstrzymać amerykańskie bombowce przed obróceniem jego kraju w perzynę. Z kolei w czasie pokoju Griszanow miał utrudniać przyszłym napastnikom dostęp do radzieckiej przestrzeni powietrznej. Zbieżność sprawiała, że obecna misja Griszanowa była tyleż niezbędna, ile trudna. Griszanow nie był zawodowym oficerem KGB ani tym bardziej żółtoskórym barbarzyńcą i maltretowanie ludzi nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności, nawet gdy chodziło o Amerykanów dybiących na jego ojczyznę. Co innego walka powietrzna, ale obóz? Kłopot polegał na tym, że specjaliści od wyciągania informacji z ludzi nie mieliby pojęcia, jak oszacować wartość tego, co słyszą. Ba, nie wiedzieliby nawet, o co mają pytać. Nie pomogłoby nawet sporządzenie dla nich listy takich pytań, bo w podobnych chwilach trzeba patrzeć przesłuchiwanemu prosto w oczy. Ludzie na tyle inteligentni, że potrafią sporządzać plany wojenne, potrafią również kłamać w sposób przekonywający. Dlatego Griszanow musiał zabrać się do dzieła osobiście.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, bardzo mu nie odpowiadała. Przesłuchiwany wiedział, co robi, nie zbywało mu na odwadze, a w dodatku zajmował się szkoleniem „Łasic” — specjalistów od zwalczania raketowych systemów przeciwlotniczych. Termin mógł przypaść do gustu nawet Rosjanom. Łasica to mały i zwinnie drapieжник, który podczas łowów zapędza się głęboko do kryjówki ofiary. Więzień odbył osiemdziesiąt dziewięć takich lotów, jeśli wierzyć Wietnamczykom i danym, jakie zebrali ze szczątków samolotu. Podobnie jak Rosjanie, Amerykanie zaznaczali każdy udany lot na kadłubie. Zacharias był więc rozmówcą godnym szczególnej uwagi. Może uda się nawet napisać pracę na ten temat? Zwycięskie znaki na kadłubie brały się z pychy, a w razie schwytania informowały przeciwnika, z kim ma do czynienia i ile może im powiedzieć nowy jeniec. Piloci myśliwscy przestrzegają jednak swoich rytuałów tak ściśle, że sam Griszanow głośno by protestował, gdyby ktoś mu kazał zamalować symbole zwycięstw w pojedynkach z wrogami ojczyzny. Rosjanin wmawiał sobie przez cały czas, że próbuje pomóc przesłuchiwanemu. Było oczywiste, że Zacharias zgładził wielu Wietnamczyków, i to nie głupich kmiotków, tylko wyszkolonych w Rosji, wysoko kwalifikowanych specjalistów. Władze Wietnamu będą go chciały za to z pewnością ukarać. Sprawa nie wchodziła w kompetencje Griszanowa, który usiłował pogodzić poglądy polityczne z praktycznymi względami, jakie mu dyktowało zadanie. To, czym się zajmował, stanowiło najbardziej skomplikowaną i naukową stronę całej obrony

narodowej. Griszalow miał obowiązek zaplanować skuteczną obronę przeciwko setkom samolotów ze świetnie wyszkolonymi załogami na pokładach. Znajomość mentalności Amerykanów i ich doktryny taktycznej miały więc takie samo znaczenie jak wiedza o treści ich planów. Co do Wietnamczyków, zdaniem Griszalowa, Jankesi mogli ich sobie tłuc, ile zechcą. Zgraja karłowatych faszystów miała dokładnie tyle wspólnego z filozofią państwa radzieckiego, co banda ludożerców z personelem wykwińskiej restauracji.

— Proszę bez bajeczek, pułkowniku — odezwał się cierpliwym tonem Griszalow i położył na stole niedawno otrzymane dokumenty. — Czytałem sobie do poduszki pańską pracę. Pasjonująca lektura.

Rosjanin nie spuszczał oczu z twarzy Zachariasasa. Amerykanin zaciekał go swoją reakcją. Mimo że sprawy wywiadu nie były dla niego rzeczą obcą, nie powstało mu w głowie, że na rozkaz z Wietnamu i Moskwy ktoś w dalekiej Ameryce wyszpera jego własną pracę dyplomową. Przez dłuższą chwilę miał na twarzy wypisane pytanie: jak to możliwe, że tamci tyle o mnie wiedzą? Jak to możliwe, że potrafią odgrzebać tak odległą przeszłość? Kto im w tym pomaga? Kto umiał się zdobyć na taki wyczyn? Przecież nie ci wietnamscy durnie!

Jak wielu rosyjskich oficerów, Griszalow poważnie i z zamiłowaniem studiował historię wojskowości i podczas setek dyżurów bojowych w pułku skracał sobie czas lekturą archiwaliów. Jedną z takich lektur zapamiętał sobie do końca życia. Dowiedział się z tamtego dokumentu, w jaki sposób niemiecka Luftwaffe przesłuchiwała schwytych lotników. Tych samych sposobów chwycił się teraz w Wietnamie. Szykany i bicie potęgowały tylko opór jeńca, a tu — proszę! Zwyczajny papierek wystarczył, by wstrząsnąć Amerykaninem do głębi. Każdy człowiek ma swoje mocne i słabe strony, ale żeby to wykorzystać, potrzeba inteligencji.

— Jak to się stało, że nikt nie utajnił tej pracy? — spytał Griszalow, zapalając papierosa.

— Po co? To fizyka teoretyczna. — Zacharias wzruszył wychudzonymi ramionami. Pozbierał się już na tyle, że próbował nie okazywać po sobie rozpaczy. — Zaciekała się tym tylko jedna głupia firma telefoniczna.

Griszalow postukał palcem w skoroszyt.

— Coś panu powiem. Wczoraj wieczorem sam dowiedziałem się z tych stron paru ciekawostek. Przewidywanie fałszywych ech na podstawie map topograficznych, matematyczne modelowanie martwych pól, ho, ho! W ten sposób można łatwo wyznaczyć bombowcom trasę dolotu, zaplanować manewry od jednego punktu do drugiego. Kapitalne! Proszę mi powiedzieć, co to za uniwersytet, to Berkeley?

— Zwyczajny uniwersytet. W Kalifornii takich pełno — odparł Zacharias, zanim się ugryzł w język. Nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął gadać. Nie wolno. Na szkoleniach zabraniano mu tego surowo. Powiedziano mu z góry, czego się może spodziewać na przesłuchaniach, na co może sobie pozwolić, ile powie-

dzieć, jak kluczyć i zwodzić. Żadne szkolenie nie przygotowało go jednak na taką ewentualność. Boże drogi. . . Zacharias czuł zmęczenie, lęk, obrzydzenie na myśl o lojalności wobec zasad, które cały świat wyraźnie miał gdzieś.

— Bardzo mało wiem o pańskim kraju, oczywiście pomijając zagadnienia zawodowe. Podobno te poszczególne części są bardzo różne? Pan pochodzi z Utah. Jak tam jest?

— Nazwisko: Zacharias. Imię: Robin. Stopień wojskowy: pułkownik. . .

— Zaraz, zaraz, pułkowniku — Grizzanow podniósł ręce do góry. — Przecież to wszystko już wiemy. Znam też pańską datę i miejsce urodzenia. W okolicach Salt Lake City nie ma baz lotniczych, tyle się dowiedziałem z map. Pewnie nigdy nie zobaczę tego pańskiego Utah, czy w ogóle Ameryki. A w Kalifornii, w okolicach Berkely, jak tam jest? Ktoś mi mówił, że są tam winnice. Przynajmniej tyle wiem, a o Utah w ogóle nic. Tyle, że jest tam jezioro, Wielkie Jezioro Słone. Rzeczywiście słone?

— No, pewnie, dlatego właśnie. . .

— Słone? Jak to możliwe? Przecież to tysiąc kilometrów od oceanu, i to przez góry, tak? — tym razem Grizzanow nie dał Amerykaninowi czasu na odpowiedź. — Sam znam trochę Morze Kaspijskie. Służyłem kiedyś w bazie w tamtych stronach. Nie jest słone. A może? No, ale to pańskie jezioro jest słone na pewno. Dziwne, prawda?

Amerykanin podniósł głowę i zerknął na Grizzanowa, który gasił papierosa.

— Nie wiem, dlaczego jest słone. Nie jestem geologiem. Pewnie pozostałość z innej epoki.

— Może i tak. Góry też tam są, prawda?

— Tak. Góry Wasatch — bełkotliwie potwierdził Zacharias. Grizzanow musiał przyznać, że Wietnamczycy mieli nosa w doborze diety. Karmili jeńców czymś, co nawet świnia zjadłaby tylko w ostateczności. Ciekawe, czy robili to celowo, czy po prostu z barbarzyństwa i bezmyślnie? Nawet polityczni w gułagu jadali lepiej. Na takim wikcie Amerykanie łatwiej zapadali na choroby i głupieli do tego stopnia, że przestawali nawet myśleć o ucieczce. Dokładnie tak samo traktowali radzieckich jeńców faszyci, ale choć porównanie mogło Grizzanowa boleć, nie zmieniało to faktu, że ułatwiało mu to zadanie. Żeby stawiać fizyczny czy psychiczny opór, człowiekowi potrzebna jest energia. Podczas długich przesłuchań można było się przekonać, jak prędko jeńcy tracą siły, jak słabnie w nich odwaga i jak potrzeby ciała odzierają z sił ich psychikę. Grizzanow doszedł w tych sztuczkach do pewnej wprawy. Kosztowało go to sporo czasu, lecz zarazem stanowiło jakąś rozrywkę. Ciekawe zajęcie, rozkręcać na części mózgi takich samych ludzi jak on.

— Pewnie dobrze się tam jeździ na nartach, co?

Zacharias zamrugał, jak gdyby pytanie przeniosło go w inny krajobraz i inne czasy.



— Jeszcze jak.

— Ale tu nie Utah, tylko Wietnam, pułkownika. Narciarstwo odpada. Sam lubię jeździć na biegówkach, dla odprężenia, żeby zająć myśli czymś innym. Dawniej miałem drewniane, ale w moim nowym pułku zaopatrzeniowiec zrobił mi stalowe, z blachy samolotowej.

— Stalowe?

— Z nierdzewnej stali. Cięższe niż aluminiowe, ale bardziej sprężyste, więc nawet wolę. Stal z płata naszego nowego myśliwca przechwytyjącego, prototyp *E-266*.

— Nie słyszałem. — Zacharias rzeczywiście nie wiedział nic o nowych *MiG-ach-25*.

— Wasze sztaby mówią o nich *Foxbat*. Bardzo szybkie. Zaprojektowano je specjalnie do pościgów za waszymi bombowcami *B-70*.

— Zrezygnowaliśmy z *B-70* — sprzeciwił się Zacharias.

— Wiem, wiem, ale nic nie szkodzi. Dzięki tamtym waszym planom mogę sobie polatać fantastycznym myśliwcem. Kiedy wrócę do domu, mam zostać dowódcą pierwszego pułku tych cudeniak.

— Myśliwce ze stali? Jak to?

— Stal mniej się grzeje w locie, niż aluminium — wyjaśnił mu Griszanow. — A ze zużytych części można robić świetne narty.

Zacharias nic już nie rozumiał.

— I co pan na to? Dalibyśmy radę na stalowych myśliwcach przeciwko waszym aluminiowym bombowcom?

— Czy ja wiem? To zależy od... — zaczął Zacharias i znowu zamilkł w pół słowa. Spojrzał ponad stołem na Rosjanina, najpierw niepewnie, a potem inaczej — stanowczo, twardo.

Griszanow skarcił się w duchu za niepotrzebny pośpiech. Nie trzeba tak naciskać, po co? Pułkownik Zacharias nie dawał się zastraszyć. Był odważny na tyle, by ponad osiemdziesiąt razy polecieć swoim myśliwcem „do miasta” — jak mawiali Amerykanie. Ktoś taki nie podda się od razu. Na szczęście Griszanow nie musiał się wcale śpieszyć.

## 12 — Kwatermistrzostwo

„VW garbusa sprzedam, 63, m. prz., op. rad., ogrz.” Kelly wrzucił do automatu telefonicznego dziesięciocentówkę i wykręcił numer. Była sobota i żar łał się z jasnego nieba. Kelly zaś zżymał się na wspomnienie własnej głupoty. Najgorsze są rzeczy oczywiste, takie, których w ogóle sobie nie uświadamiamy, oczywiście do czasu.

— Halo? Dzwonię w sprawie tego ogłoszenia, no, o samochodzie... Dokładnie... — zaczął Kelly. — Choćby zaraz, jeśli o mnie chodzi... To co, powiedzmy, że za kwadrans? Świetnie, bardzo pani dziękuję. Zaraz będę, do wi...

Kelly odwiesił słuchawkę. Nareszcie koniec tego dreptania w miejscu. Ty-le że... Kelly skrzywił się sam do siebie, nim wyszedł z budki. „Springer” stał przycumowany przy gościnnej kei w jednym z ośrodków jachtowych nad Potomakiem. Fajnie, kupi się nowy samochód, tylko gdzie złapać taksówkę? Los okazał się jednak łaskawy. Przed główną bramą do ośrodka jachtowego przedefilowała pusta taryfa. Tylko dzięki temu udało się Kelly’emu dotrzymać obietnicy złożonej babci na drugim końcu linii.

— Essex Avenue, numer 4500 czy coś koło tego — mruknął do kierowcy.

— To jeszcze w Waszyngtonie, czy jak?

— W Bethsedzie.

— U mnie za kurs za miasto jest dopłata — przestrzegł taryfiarz, ale ruszył na północ. Kelly wcisnął mu dziesięć dolarów.

— Jak zajedziemy w piętnaście minut, daję drugą dychę.

— Się robi.

Kelly’ego aż wgniotło w oparcie. Prawie całą drogę taksówkarz unikał jazdy Wisconsin Avenue, na kolejnym czerwonym świetle znalazł na planie Essex Avenue i koniec końców zainkasował drugą dziesiątkę, bo zajechał na miejsce z zapasem dobrych dwudziestu sekund.

Dzielnica okazała się willowa i zamożna, dzięki czemu łatwo było się zorientować, o który dom chodzi. Na podjeździe rzeczywiście stał Volkswagen garbus z karoserią w ohydny burobeżowym odcieniu, tu i tam upstrzoną na dodatek plamkami rdzy. Kelly nie mógłby marzyć o lepszym kolorze, więc z radością przeskoczył cztery stopnie i zapukał do drzwi.

— Kto tam? — usłyszał.

Twarz kobiety w pełni odpowiadała wrażeniu, jakie sprawiał jej głos. Staruszka dobiegała osiemdziesiątki, była szczupluteńka i krucha, ale jej oczy, powiększane grubymi szklami okularów, zachowały cień dawnej, niesamowitej zieleni. W siwych włosach także przeblyskiwały jeszcze blond kosmyki.

— Pani Boyd? Dzwoniłem parę minut temu w sprawie samochodu.

— Z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Bill Murphy. Nie uważa pani, że straszny upał?

— Upał, że coś okropnego — odrzekła staruszka. — Sekundkę, dobrze? Gloria Boyd zniknęła za drzwiami, lecz za chwilę powróciła, przynosząc kluczyki. Posunęła się wręcz do tego, że podreptała w ślad za Kellym do samochodu. Kelly wziął ją pod ramię, pomagając przy schodzeniu ze stopni.

— Bardzo z pana dobrze wychowany kawaler.

— Ależ drobiazg.

— Kupiliśmy to auto dla wnuczki, kiedy szła na studia. A po niej jeździł nim Ken. — Pani Boyd oświadczyła to takim tonem, jak gdyby uznała, że Kelly doskonale wie, o którego Kena chodzi.

— Kto taki?

— Ken, mój mąż — wyjaśniła staruszka nie odwracając się. — Zmarł miesiąc temu.

— Przepraszam, naprawdę nie chciałem pani urazić.

— Długo chorował, oj, długo — dodała pani Boyd. Widać było, że nie otrząsnęła się jeszcze z nieszczęścia, choć zdążyła już się z nim pogodzić.

— Proszę, niech pan sobie popatrzy — zachęciła, podając kluczyki. Kelly otworzył lewe drzwi. Volkswagen rzeczywiście sprawiał wrażenie wozu, którym jeździła najpierw studentka, a potem niedołyżny staruszek. Siedzenia były wytarte, a na skraju jednego z nich widniało rozcięcie, pamiątka pak z książkami czy ubraniami, wożonych podczas ciągłych przeprowadzek. Kiedy Kelly przekreślił kluczyk, silnik zaskoczył od razu. Nawet bak okazał się pełen. Ogłoszenie nie kłamało na temat małego przebiegu, bo na liczniku poprzedni właściciele zdążyli nakręcić tylko 83 tysiące kilometrów. Za zgodą babci Boyd, Kelly przejechał się po sąsiednich uliczkach i wrócił na podjazd, uznając, że technicznie wóz jest w porządku.

— Tylko dlaczego taki pordzewiały? — zapytał, oddając kluczyki.

— Wnuczka studiowała na Northwestern. Wie pan, to w Chicago, na jezdni zawsze śnieg i cała ta sól. . .

— Northwestern? Niezła uczelnia. No, odprowadzę panią do domu. — Kelly wziął staruszkę pod ramię i ruszył z nią do środka. We wnętrzu pachniało wonią domu, w którym mieszka samotna, starsza osoba — zapach kurzu, którego gospodyni nie ma już siły wycierać, kuchenny zaduch resztek potraw, gotowanych wciąż na dwie, nie na jednego domownika.

— Pewnie by się pan czegoś napił?

— A, rzeczywiście. Bardzo proszę. Wystarczy zwykła woda z kranu. Kiedy staruszka zniknęła w kuchni, Kelly rozejrzał się po wnętrzu.

Fotografia na ścianie przedstawiała mężczyznę w mundurze ze sztywnym kołnierzem i w pasie oficerskim. Mężczyzna trzymał pod ramię młodą damę w opiętej, workowatej, białej sukni ślubnej. Na innych zdjęciach uwieczniono życie małżeńskie Kennetha i Glorii Boydów: tu dwie córki, tam syn, tu znów wycieczka na plażę, stary samochód, wnuczęta, wszystko, z czego składało się pełne i uczciwe życie.

— Proszę bardzo. — Staruszka podała mu szklanę.

— Dziękuję. Ciekawe, kim był pani mąż z zawodu?

— Pracował w Departamencie Handlu. Całe czterdzieści dwa lata. Mieliśmy się na starość przenieść na Florydę, ale zachorował, więc muszę jechać sama. Mam siostrę w Fort Pierce, wdowę, taką samą jak ja. Jej mąż był policjantem. . .

Pani Boyd urwała, bo z piętra domu zszedł kot i starannie obwąchał przybyśza. Obecność pupilka dodała chyba pani Boyd skrzydeł, bo staruszka już raźniej ciągnęła:

— Wyprowadzam się w przyszłym tygodniu. Dom już sprzedany, do czwartku muszę oddać klucze. Kupił go ode mnie taki sympatyczny, młody doktor.

— Na pewno będzie się pani podobało na Florydzie. A ile chce pani za ten samochód?

— Sama już nie prowadzę, ze względu na oczy. Katarakta, wie pan. Wszędzie wożą mnie inni. Wnuk mówił, że taki samochód jest wart co najmniej tysiąc pięćset dolarów.

Kelly pomyślał, że przy takiej chciwości wnuczek pani Boyd świetnie się nadaje na prawnika, ale odrzekł tylko:

— Mogę pani dać tysiąc dwieście. Gotówką.

— Gotówką? — Zielonkawe oczy znowu nabrały błysku.

— Właśnie tak.

— Dobrze. Jest pański. — Staruszka wyciągnęła dłoń, którą Kelly bardzo ostrożnie uścisnął.

— Ma pani wszystkie dokumenty? — zapytał i zawstydził się zaraz, bo zmusił staruszkę do ponownego spaceru, tym razem na górę. Szła wolno, kurczowo uchwycona poręczy. Kelly wyciągnął tymczasem portfel i odliczył dwanaście szeszczących banknotów.

Reszta transakcji powinna im być zabrać dziesięć minut, lecz Kelly zmarnował całe pół godziny. Upewnił się z góry, w jaki sposób przerejestrować na siebie kupione auto. Nie dlatego, by miał zamiar dopełniać tych formalności. Kwit ubezpieczenia wozu leżał w tej samej kartonowej saszetce, co dowód rejestracyjny, wystawiony na Kennetha W. Boyda. Kelly obiecał staruszce, że wszystkim tym sam już się zajmie, zmianą tablic rejestracyjnych naturalnie także. Ponieważ jednak

pani Boyd bała się zostać w domu z taką ilością pieniędzy, pomógł jej wypełnić blankiet wpłaty i podwiózł do banku, gdzie pan Boyd wrzuciła kopertę z gotówką i blankietem do szczeliny nocnego sejfu. Zatrzymali się jeszcze przy pawilonie handlowym, żeby kupić mleko i pokarm dla kota, więc dopiero po pewnym czasie Kelly znów znalazł się pod domem i odprowadził staruszkę pod drzwi.

— Dziękuję za auto, pani Boyd — odezwał się na pożegnanie.

— A właściwie na co ono panu? Do zabawy?

— Nie, nie. Do pracy — zapewnił ją Kelly z uśmiechem.

\* \* \*

Tego samego wieczora, za kwadrans dziewiąta, przy parkingu stacji benzynowej i baru przy autostradzie 95 zatrzymały się dwa samochody. Pierwszym był Dodge Dart, drugim czerwony Plymouth Roadrunner. Nie zbliżając się do siebie bardziej niż na dwadzieścia metrów, oba wozy podjechały na pustawy parking przy północnej ścianie baru „Maryland House”, między pasami jezdni na drodze szybkiego ruchu imienia Johna F. Kennedy’ego. Neony zachęcały do przekąski i nabycia benzyny oraz oleju. Reklamowały też kawę, lecz z oczywistych względów nie wzmiankowały o napojach wyskokowych. Dart pokręcił się tu i tam po parkingu i ostatecznie zahamował trzy miejsca od białego Oldsmobile’a z brązowym, plastikowym dachem. Wnosząc z tablic, wóz był z Pensylwanii. Roadrunner zatrzymał się w następnym rzędzie aut, a kobieta, która z niego wysiadła, ruszyła w kierunku ceglanego pawilonu restauracyjnego. Tak się składało, że po drodze musiała minąć białego Oldsmobile’a.

— Się mamy, malutka — odezwał się do niej mężczyzna siedzący za kierownicą. Kobieta zatrzymała się i podeszła parę kroków bliżej. Ten, który się do niej zwracał, był biały, długowłosy — lecz uczesany — i miał na sobie jasną koszulę ze stójką.

— Jestem od Henry’ego — odezwała się.

— Wiem, skąd jesteś — skwitował to mężczyzna z Oldsmobile’a i nachylił się, by pogłodzić dziewczynę po twarzy. Nie stawiała oporu. Mężczyzna rozejrzał się po parkingu i zapytał. — I co, masz coś dla mnie, malutka?

— Mam. — Dziewczyna uśmiechnęła się, z wysiłkiem i z lękiem. Widać było, że się boi, ale na pewno nie wstydzi. Wstyd Doris pozostawiła za sobą już dawno, wiele miesięcy temu.

— Masz ładny bufet, mała — pochwalił mężczyzna głosem pozbawionym jakiegokolwiek uczucia, złęgo czy dobrego. — A teraz goń po towar.

Doris podreptała do auta, którym ją przywieziono, jak gdyby wracała po jakiś zapomniany drobiazg. Tym razem niosła jednak nie drobiazg, a spory pakunek, prawie torbę. Kiedy przechodziła obok drzwi Oldsmobile’a, mężczyzna sięgnął

przez okno i odebrał paczkę. Doris tym razem weszła do ceglanego pawilonu i minutę później pojawiła się na zewnątrz z puszką Coli w ręku. Nie spuszczała oczu z Roadrunnera i z góry drżała na myśl, że mogła coś pomylić. Kierowca Oldsa zdążył już zapuścić silnik. Przesłał dziewczynie pocałunek i ruszył. Doris odwzajemniła gest niepewnym uśmiechem.

— Ale łatwo poszło — zdziwił się Henry Tucker, który siedział niecałe pięćdziesiąt metrów dalej, przy stoliku baru na wolnym powietrzu, obok pawilonu.

— Dobry towar? — upewnił się trzeci mężczyzna. Drugim, tym obok Tuckera, był Tony Piaggi. Siedzieli razem przy stoliku, udając, że napawają się duszną wieczorną aurą. Większość konsumentów wołała klimatyzowane wnętrze pawilonu.

— Najlepszy. Taki sam jak w tej próbce sprzed dwóch tygodni. Ta sama dostawa, i w ogóle — zapewnił człowieka z Filadelfii Piaggi.

— A jak ktoś dupnie tę małą? — nie ustępował tamten.

— Niczego się nie dowie — oświadczył Tucker chełpliwie. — Moje dziewczyny znają mores. Tak je wyuczyłem.

Cała trójka patrzyli, jak inny mężczyzna wysiada z Roadrunnera i mości się za kierownicą Darta.

— Dobrze ci poszło — oznajmił Rick.

— Możemy już jechać, co? Proszę! — odezwała się Doris, która zrobiła, co jej kazano, a teraz trzęsła się ze zdenerwowania i dzwoniła zębami o brzeg puszek z Colą.

— Nic się nie martw, ptaszku, wiem, na czym ci najbardziej zależy. — Rick uśmiechnął się i zapuścił silnik. — Ale musisz być grzeczna. Najpierw mi pokaż coś ładnego. No?

— Ale ludzie patrzą... — przestrzegła Doris.

— I co z tego?

Doris bez słowa rozpięła guziki swojej męskiej, starej koszuli, której poły zaknęła w wypłowiałe szorty. Rick sięgnął za otwarty dekolt i znowu się uśmiechnął. Lewą ręką spokojnie obracał kierownicę. Doris powtarzała sobie w duchu, że mogło być gorzej. Zamknęła oczy i udawała, że jest kimś zupełnie innym, w zupełnie innym mieście. A jeśli jest kimś innym, czy prędko umrze? Oby jak najprędzej, oby już.

\* \* \*

— Pieniądze — odezwał się Piaggi.

— Chyba sobie kupię jeszcze jedną kawę — oznajmił na to człowiek z Filadelfii i wszedł do pawilonu, zostawiając przy stoliku neseser. Piaggi podniósł walizeczkę, zważył ją w dłoni i ruszył wraz z Tuckerem do samochodu, którym

okazał się błękitny Cadillac. Nie czekali, aż amator kawy wróci, żeby się pożegnać.

- Nie przeliczysz? — zdziwił się Tucker w połowie drogi do samochodu.
- Wiesz co będzie, jeśli nas spróbuje okantować. Znasz zasady, przyjacielu.
- Znam — zgodził się Tucker.

\* \* \*

— Moje nazwisko Murphy. Bili Murphy — przedstawił się Kelly. — Podobno ma pan tu parę wolnych mieszkań do wynajęcia?

Dla udokumentowania tych słów wyciągnął przed siebie stronicę niedzielnej gazety z ogłoszeniem.

— Konkretnie jakiego lokum pan szuka?

— Wystarczą mi dwa pokoje, duży i sypialnia. Potrzebny mi byle kąt, żeby postawić walizkę — zaczął tłumaczyć Kelly. — Ciągle jestem w rozjazdach.

— Akwizytor? — upewnił się kamienicznik.

— Właśnie. Specjalność: maszyny do obróbki metalu, skrawarki, frezarki. Jestem tu nowy. Tu, to znaczy na tym terenie.

Dom stanowił część tonącego w zieleni osiedla, zbudowanego niedługo po wojnie dla powracających z frontu, zdemobilizowanych żołnierzy. Wszystkie domy były ceglane i miały po dwa piętra. Także drzewa wyglądały na posadzone w okresie budowy, bo zdążyły już dobrze wystrzelić w górę. Służyły teraz za domostwo sporemu stadku wiewiórek, a przy okazji ocieniały parkingi. Kelly rozejrzał się po umeblowanym mieszkanku na parterze i z aprobatą obwieścił:

— Nada się jak złoto.

Na wszelki wypadek rozejrzał się jeszcze, upewnił się, czy kuchenny zlew nie kapie i czy spłuczka działa jak należy. Meble okazały się sfatygowane, ale jeszcze znośne. Co więcej, każdy pokój wyposażono w osobny klimatyzator.

— Mam jeszcze parę mieszkań. . .

— Nie, pokazał mi pan dokładnie to, o co mi chodziło. Ile pan chce?

— Sto siedemdziesiąt pięć miesięcznie, płatne za dwa miesiące z góry.

— A prąd, gaz, telefon?

— Za prąd może pan płacić sam, albo wliczymy rachunek do czynszu. Niektórzy z lokatorów nawet tak wolą. Przeciętnie wychodzi im za to czterdzieści pięć dolarów miesięcznie.

— Pewno, prościej płacić jeden rachunek niż dwa czy trzy. Zaraz, policzmy. . . Sto siedemdziesiąt pięć i czterdzieści pięć, to będzie. . .

— Dwieście dwadzieścia — pośpieszył z odpowiedzią kamienicznik.

— Nie. Czteryście czterdzieści — poprawił go Kelly. — Niech pan pamięta, że płacę za dwa miesiące. Mogę panu wypisać czek, ale mój bank jest w innym

mieście. Tu nawet jeszcze nie zdążyłem założyć sobie rachunku. Nie pogniewa się pan, jeżeli zapłacę gotówką?

— Nigdy się nie gniewam na gotówkę — zapewnił go rozmówca.

— To świetnie. — Kelly wydobył portfel i odliczył banknoty. Naraz jednak zawahał się. — Nie, inaczej: sześćset sześćdziesiąt. Zapłacę od razu za trzy miesiące, zgoda? I proszę mi wypisać pokwitowanie.

Usłużny kamienicznik wygrzebał z kieszeni spodni bloczek i na miejscu wypisał stosowny świstek.

— Jak będzie z telefonem? — zapytał go Kelly.

— Jeżeli pan chce, mogę się też tym zająć. Powinni założyć do wtorku. Ale to też kosztuje.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł się pan tym zająć. — Kelly odliczył kilka następnych banknotów. — Moje graty dotrą dopiero za jakiś czas. Nie wie pan, gdzie tu w pobliżu mogę kupić prześcieradła, pościel, i w ogóle...?

— Dzisiaj wszystko raczej pozamykane. Za to jutro, w okolicy pełno sklepów.

Kelly zajrzał do sypialni, w której straszyl goły materac. Nawet z daleka widać było jego zapadliny i garby. Ostatecznie jednak wzruszył ramionami.

— Nie szkodzi. Sypiało się na gorszym.

— Na wojnie?

— Byłem w piechocie morskiej — rzekł po prostu Kelly.

— To tak jak ja. Dawne czasy — skwitował nowinę kamienicznik, zaskakując Kelly'ego. — Ale w ogóle, to spokojny z pana człowiek? — upewnił się jeszcze. Nowy lokator wzbudzał zaufanie, ale właściciel osiedla zawsze upominał, żeby z góry pytać o to każdego chętnego, nawet jeśli służył w piechocie morskiej. Tym razem za najlepszą odpowiedź wystarczył potulny uśmiech Kelly'ego.

— Podobno strasznie chrapię.

Po dwudziestu minutach Kelly pędził już taksówką do centrum miasta, gdzie na Penn Station złapał najbliższy pociąg do Waszyngtonu. Z kolejnej taksówki wysiadł w ośrodku jachtowym, a kiedy zachodziło słońce, płynął już „Springerem” w dół Potomaku. Powtarzał sobie, że wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby miał choć jedną osobę do pomocy. Tyle czasu musiał marnować na jałowe przejazdy! Chociaż z drugiej strony, czy rzeczywiście marnował ten czas? Przynajmniej mógł w ten sposób spokojnie wszystko rozważyć i zaplanować, a to było w końcu równie ważne jak cała reszta przygotowań. Na wyspie był nieco przed północą, mając za sobą sześć godzin nieustannych rozważań i planów.

Choć całą sobotę był na nogach, nie miał chwili czasu, aby odzignąć. Z marszu wziął się za pakowanie ubrań, z których większość zdążył kupić na przedmieściach Waszyngtonu. Pościel i żywność miał zamiar kupić po powrocie do Baltimore. Razem z używanym ubraniem Kelly zapakował swój pistolet i oczywiście wkładkę zmieniającą kaliber na 0,22 cala, a do tego dwa pudełka amunicji. Kelly uznał, że więcej i tak nie będzie potrzebował, a amunicja waży swoje.



W warsztacie wytoczył na frezarce następny tłumik, tym razem do swojego sztucera marki Woodsman, a podczas pracy oceniał w myśli stan przygotowań. Był znów w świetnej kondycji fizycznej, równie doskonałej jak wówczas, kiedy służył w 3.SGO. Strzelanie ćwiczył codziennie i z zadowoleniem spostrzegł, że idzie mu ono lepiej niż kiedykolwiek. Rozmyślając nad tym wszystkim, wykonywał kolejne mechaniczne czynności przy obróbce. O trzeciej nad ranem mógł już przykręcić nowy tłumik do sztucera i wypróbować jego działanie. O wpół do czwartej „Springer” odbił od brzegu i wykręcił na północ. Kelly miał zamiar przespać się parę godzin, kiedy tylko minie Annapolis.

Noc dłużyła mu się w samotności. Na niebie widać było kilka rozrzuconych chmur, było sennie. Kelly surowo nakazał sobie czuwanie i chociaż nic zostało w nim już nic z leniwego cywila, pozwolił sobie na jedno piwo. Przez cały czas nie przestawał myśleć nad rozwojem wypadków. Czy na pewno o niczym nie zapomniał? Uspokoiła go trochę myśl, że chyba nie. Mniej pocieszająca okazała się refleksja, jak niewiele na razie wie. Owszem, poznałby Billy’ego i jego czerwony sportowy wóz, Plymoutha. Dowiedział się także, że istnieje pewien Murzyn imieniem Henry. Znał teren swoich przyszłych działań. Ale to już wszystko.

Na szczęście walczył już w życiu z dobrze wyszkolonym i uzbrojonym przeciwnikiem, mając do dyspozycji jeszcze mniej danych, niż obecnie. Miał zamiar zachowywać się równie ostrożnie jak w Wietnamie i w głębi duszy czuł, że tym razem akcja się powiedzie. Przekonanie to po części brało się z pewności, że jest odważniejszym przeciwnikiem niż ci, przeciwko którym wyruszał. Odważniejszym i o niebo bardziej zdecydowanym. Kelly stwierdził jednak nie bez zaskoczenia, że jego pewność wypływa także z faktu, że tym razem zupełnie nie liczył się z konsekwencjami akcji. Z rezultatem, tak, ale nie z konsekwencjami. Sytuacja przypominała mu linijkę wiersza, której nauczone go w katolickim gimnazjum, trafną, choć napisaną prawie dwa tysiące lat temu. Wers pochodził z „Eneidy” Wergiliusza i brzmiał: *Una salus victus nullam sperare salutem* — jedyną nadzieją skazanych jest wyzbyć się nadziei ocalenia. Ponury wydźwięk tych myśli sprawił, że żeglujący pod gwiazdami Kelly uśmiechnął się do siebie. Migotanie gwiazd docierało do niego z otchłani nieba tak odległych, że rozpoczęło wędrówkę długo przed tym, zanim Kelly czy nawet Wergiliusz przyszli na świat.

\* \* \*

Pigułki pozwalały zapomnieć o rzeczywistości, lecz niestety nie do końca. Doris nie tyle miała tego świadomość, ile wyczuwała. Zdążyła całkowicie uzależnić się od barbituranów. Prawie nie sypiała, a w pustce ciemnego pomieszczenia tym trudniej przychodziła jej ucieczka przed sobą samą. Chętnie zażywałaby więcej, lecz jej opiekunowie skrupulatnie wydzielali pigułki po jednej. Doris nie chciała

ich wcale tak wiele, bo zależało jej naprawdę jedynie na krótkiej chwili zapomnienia, na chwilowym wyzwoleniu od strachu — na co zresztą tamci nigdy jej nie zezwalali, bo zależało im na czymś zupełnie przeciwnym. Doris wiedziała więcej, niż ktokolwiek z nich się domyślał i potrafiła przewidzieć swoją przyszłość. Nie było to pocieszające. Spodziewała się, że prędzej czy później złapie ją policja. W przeszłości bywała już zatrzymywana, lecz nigdy z tak poważnych powodów jak teraz. Za to, czym się teraz zajmowała, groziły jej długie lata w celi. W dodatku policjanci będą próbowali pójść z nią na układy, obiecać bezpieczeństwo z zamian za informacje, ale Doris nie była taka głupia, żeby im uwierzyć. Już dwukrotnie musiała patrzeć, jak jej przyjaciółki umierają w męczarniach. Przyjaciółki? Przyjaciółki, na tyle, na ile było to możliwe w ich położeniu. Dziewczyny, z którymi można było czasem porozmawiać, z którymi dzieliło się takie samo życie, jakie by ono nie było. Nawet w niewoli dziewczynom zdarzało się przecież żartować między sobą i staczać drobne potyczki z mocami, które władały ich światem na podobieństwo dalekich błyskawic na nocnym niebie. Dziewczyny, z którymi można było popłakać. Tyle że dwie spośród nich już nie żyły, a Doris musiała obserwować każdą z tych śmierci, pogrążona w narkotycznej mgiełce, lecz na tyle przytomna, że nie mogła teraz ani spać, ani też wymazać tamtych obrazów z pamięci. Już dwukrotnie patrzyła w gasnące oczy i w niczym nie mogła pomóc umierającej — o czym tamci także doskonale wiedzieli. Dlatego jej przerażenie było tak ogromne, że aż porażało myśli. Nawet koszmary są lepsze, bo postać z kosmaru nie może wyciągnąć ręki i dotknąć śpiącej, która sama także może się obudzić i otrząsnąć z majaków. Tu jednak nie było ucieczki. Doris obserwowała siebie samą, jak gdyby patrzyła z zewnątrz, niczym na robota, posłusznego rozkazom innych, ale nie własnym. Jej ciało poruszało się tylko wówczas, kiedy żądali tego od niej inni. Co więcej, Doris musiała ukrywać własne myśli, bojąc się, że tamci odczytają wszystko z jej twarzy. Tym razem jednak Doris nie umiała przestać myśleć.

Rick leżał obok niej w ciemnościach i spokojnie oddychał przez sen. Doris trochę nawet polubiła Ricka, najdelikatniejszego z jej władców. Czasem wręcz dopuszczała do siebie myśl, że Rick lubi ją także troszeczkę — w końcu nie bił jej tak mocno ani tak zajadle jak inni. Musiała oczywiście robić, co jej kazał, bo w złości Rick nie był ani trochę lepszy od Billy'ego. O tak, przy Ricku starała się zawsze być grzeczną dziewczynką. Domyślała się, że takie nadzieje to zwykła głupota z jej strony, lecz nie miała już żadnego wpływu na własną rzeczywistość, w przeciwieństwie do niego. Poznała poza tym skutki głupiego uporu, takiego jak u Pam. Którejś szczególnie fatalnej nocy Pam objęła ją i szeptem podzieliła się pragnieniem ucieczki. Już po fackie Doris modliła się, błagając Boga, by Pam powiódł się niebezpieczny zamiar, bo wówczas znalazłaby się może jakaś nadzieja i dla niej. Nic z tego. Na własne oczy widziała, jak Pam przywleczono z powrotem i zamęczono. Siedziała pięć metrów od niej i patrzyła bezradnie na kolejne

pomysły tamtych. Widziała, jak Pam kona w drgawkach, z płucami pozbawionymi tlenu, mając przed oczami twarz roześmianego mężczyzny. Jedyłą u Doris oznaką buntu, nie zauważoną na szczęście przez tamtych, było to, że uczesała włosy zmarłej. Doris czesała martwą Pam i płakała, łudząc się, że przynajmniej po śmierci Pam w jakiś sposób domyśli się, że jest ktoś, kto o niej pamięta. Po cichu Doris wiedziała jednak, że to pusty gest. Myśl ta sprawiła, że rozplakała się jeszcze boleśniej.

Doris nie umiała się domyślić, czym zgrzeszyła. W jaki sposób obraziła Boga, że ten skazał ją na tak nędzne życie? Jak można kogokolwiek skazać na żywot tak beznadziejny i ponury?

\* \* \*

— Naprawdę mi zaimponowałeś, John — odezwał się Rosen po oględzinach torsu pacjenta. Kelly w samych spodniach przysiadł na skraju kozetki. — Jak tyś tyle dokonał?

— Chodzi ci o ramiona? Pływanie. Osiem kilometrów dziennie. Naprawdę lepiej robi na mięśnie niż kulturystyka, chociaż wieczorami faktycznie trochę dźwigałem. No i jeszcze biegałem. Nic nowego, przedtem też sobie zawsze fundowałem taką zaprawę.

— Żebyś to ja miał twoje ciśnienie... — rozmarzył się chirurg i rozluźnił gumowy rękaw aparatu. Przeprowadził tego ranka poważną operację, lecz mimo to umiał znaleźć chwilkę czasu dla przyjaciela.

— Musisz tylko ćwiczyć, Sam — doradził Kelly.

— Nie mam czasu. — Chirurg powiedział to bez przekonania, z czego obaj zdawali sobie doskonale sprawę.

— Lekarz, i tak się wykręca?

— Racja, niech ci będzie — ustąpił wreszcie Rosen. — A poza tym jak się czujesz?

W odpowiedzi Kelly nie uśmiechnął się ani nie skrzywił. Przeciwnie, mina, jaką zachował, była doskonale obojętna. Rosen nie musiał pytać o nic więcej. Spróbował jednak jeszcze raz:

— Znasz, John, takie stare przysłowie? „Wykop dwa groby, zanim pomyślisz o zemście”.

— Tylko dwa? — zapytał Kelly.

Rosen skinął głową.

— Ja też czytałem wyniki sekcji. Więc nie dasz sobie przemówić do rozumu?

— Jak tam Sarah?

Rosen z westchnieniem przystał na zmianę tematu.

— Strasznie zajęta tymi nowymi badaniami. Tak ją to wciągnęło, że zdradziła mi nawet, o co chodzi. Rzeczywiście, cholernie ciekawa sprawa.

W tej chwili do gabinetu Rosena weszła Sandy O'Toole. I ją, i Rosena ogromnie zaskoczyło, że Kelly natychmiast porwał z kozetki swoją koszulkę i zasłonił się nią. Pielęgniarka na ten widok wręcz się roześmiała. Sam zawtórował jej i dopiero po chwili spostrzegł, że Kelly naprawdę zdążył się świetnie przygotować na to, co zamierzał, cokolwiek by to było. Refleks, jaki wykazywał, wyćwiczone mięśnie, twarde i poważny wyraz oczu, który na żądanie łatwo zmieniał się w wesołość. Rosenowi Kelly przypominał tym wszystkim chirurga. Myśl była dziwna, lecz im dłużej lekarz patrzył na swojego gościa, tym więcej inteligencji dostrzegał w jego postaci.

— Świetnie wyglądasz, jak na faceta, który parę tygodni temu dostał postrzał — zauważyła przyjacielsko O'Toole.

— Bo żyję w czystości, ot co. Przez te sześć tygodni wypilem jedno piwo.

— Panie doktorze, pani Lott odzyskuje przytomność — zwróciła się O'Toole do Rosena. — Żadnych niezwykłych objawów, widać, że wraca do siebie. Był tutaj jej mąż. Jemu też się chyba poprawiło. A już się bałam, jak to wszystko zniesie.

— Dziękuję, Sandy. A ty, John, rzeczywiście wyglądasz jak okaz zdrowia. No, włóż coś na siebie, bo Sandy zaraz się zacznie rumienić — dorzucił Rosen ze śmiechem.

— Gdzie tu u was można coś zjeść? — zapytał Kelly.

— Zszedłbym z tobą i ci pokazał, ale za dziesięć minut mam naradę. Może ty, Sandy?

Pielęgniarka sprawdziła godzinę.

— Chyba i ja coś zjem. Zaryzykujesz szpitalny wikt, czy wyjdziemy na miasto?

— Za takim przewodnikiem pójdę wszędzie.

O'Toole zaprowadziła Kelly'ego do szpitalnej stołówki dla personelu. Jedzenie było mdławie, jak to w szpitalu, ale grymaśni konsumenci mogli sobie sami dosypać pieprzu i soli. Kelly wybrał danie, które wydało mu się sycące i zdrowe, choć mało wyszukane.

— Bardzo bywasz teraz zajęta? — zapytał, gdy usiedli.

— Jak zawsze — zapewniła go Sandy.

— Powiedz mi, gdzie mieszkasz.

— Zaraz przy bulwarze Loch Raven, tuż za miastem.

Kelly przekonał się, że Sandy nie zmieniła się nic a nic. Żyła, pracowała, udawała, że wszystko jest w porządku, lecz pustka w jej życiu nie była wcale różna od tej, którą odczuwał we własnym. Różnica była taka, że Kelly mógł coś na to poradzić, a Sandy nie mogła. Szukała towarzystwa, umiała się zdobyć na żarty, niemniej co chwila dopadał ją bezgraniczny smutek. Smutek potrafi być przełożym żywiołem. O ileż łatwiej jest mieć przeciwników, których da się dotknąć i wyeliminować. Łatwiejsze to niż walka z cieniem.

— To jakiś typowy dom? Z takich, jak w tej okolicy?

— Nie, to stary domek, piętrowy. Bungalow, czy jak się to nazywa. Osobna działka, ćwierć hektara. Oho, coś mi to przypomina — dodała. — W sobotę albo w niedzielę muszę skosić trawnik.

Po tej myśli przyszła zaraz następna: to Tim uwielbiał kosić trawnik i przy jednej z takich okazji postanowił rzucić wojsko zaraz po powrocie z drugiej tury w Wietnamie. Chciał zrobić dyplom z prawa i normalnie żyć. A wszystko to odebrały mu jakieś ludziki z dalekiego kraju.

Kelly nie wiedział, o czym myśli Sandy. Inna rzecz, że nie musiał się nad tym głowić. Wystarczył mu sam widok zmienionej twarzy, nagłe milczenie. . . Jak pocieszyć taką kobietę? Sam zdziwił się własnym pytaniem, bo zważywszy jego plany na najbliższe tygodnie, nie miało ono wiele sensu.

— Byłaś dla mnie wspaniała, kiedy u was leżałem. Dzięki.

— Wszystko dla naszych pacjentów — oznajmiła Sandy przyjaźnie, z nowym ożywieniem.

— Taka ładna twarz powinna częściej tak wyglądać.

— Czyli jak?

— Uśmiechać się.

— To nie takie proste. — Sandy znowu spoważniała.

— Przecież wiem. Ale już raz cię rozśmieszyłem, pamiętasz?

— To dlatego, że mnie zaskoczyłeś.

— Wszystko przez Tima, prawda? — zapytał, zaskakując ją ponownie. Nie był to temat, który Sandy chciałaby poruszać z kimkolwiek. Dlatego przez długie pięć sekund patrzyła Kelly'emu prosto w oczy, a potem odpowiedziała:

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Dobrze, powiem ci, jak to jest. Trochę łatwo, a trochę trudno. — Kelly odkrywał sam dla siebie nowe prawdy, gdy to mówił. — Najtrudniej zrozumieć, co popycha ludzi do takich rzeczy i dlaczego musimy to robić. Sprawa jest niby prosta: są na świecie źli ludzie i ktoś musi się z nimi rozprawić, bo jeżeli się tego nie zrobi, pewnego dnia oni rozprawią się z nami. Można udawać, że tacy ludzie nie istnieją, ale tylko na krótką metę, a poza tym czasami zdarza się coś, na co nie możesz nie zareagować.

Kelly opadł na fotel, szukając właściwych słów.

— Widujesz w tym swoim szpitalu mnóstwo okropieństw, Sandy, ale ja się naoglądałem jeszcze gorszych rzeczy. Wiem, do czego bywają zdolni ludzie. . .

— Jak w twoim koszmarze?

— Właśnie — przytaknął Kelly. — Sam mało nie straciłem życia tamtej nocy.

— Ale jak to było?

— Będziesz żałowała, że w ogóle zapytałaś. Ja zresztą sam nie pojmuję, co siedzi w ludziach, że są zdolni do czegoś takiego. Może chodzi o wiarę. Wierzą w coś tak mocno, że przestają się zachowywać jak ludzie. Może chcą coś osiągnąć

bez względu na koszty. A może mają po prostu źle w głowie. Pokręcone myślenie albo uczucia, sam nie wiem. Liczy się to, co robią, nie to co myślą, i dlatego ktoś ich musi powstrzymać.

Kelly nie dodał, że ta ostatnia zasada obowiązuje nawet w sytuacjach bez nadziejnych, kiedy i tak niewiele to zmieni. Nie chciał, by właśnie od niego Sandy dowiedziała się, że jej mąż niepotrzebnie zginął.

— Chcesz mi wmówić, że mój mąż był księciem z bajki, rycerzem w błyszczącej zbroi i na białym koniu? Czy o to ci chodzi?

— To ty nosisz biały fartuch, Sandy. Walczysz. Masz przeciwnika. Ale przeciwnicy są rozmaici, więc przeciwko tym innym ktoś także musi walczyć.

— I tak mi nie wytłumaczysz, dlaczego Tim musiał zginąć.

Kelly pojął wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Nie o kwestie wielkiej polityki czy sprawiedliwości, lecz o to, aby zwyczajnie żyć. Ludzie dostają życie w darze od Boga albo od losu, a razem z życiem nadzieję, że przeżyją je do samego końca. Kelly widział przedwczesne śmierci. Sam spowodował ich niemało, a każde istnienie, które zniweczył, miało swoją wartość. Jak wytłumaczyć innym, dlaczego akurat ta śmierć była konieczna? A tak w ogóle, jak wytłumaczyć to sobie samemu? Tak można było jednak myśleć patrząc z zewnątrz, bo wewnątrz Kelly czuł niewzruszoną pewność. Może właśnie tu kryła się odpowiedź.

— Ciężko pracujesz, prawda?

— Pracuję — przytaknęła Sandy.

— A dlaczego? Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiegoś lżejszego zajęcia? Bo ja wiem, może przy noworodkach? To najszcześniejszy oddział w klinice, tak mi się wydaje.

— Chyba tak.

— A twoja praca wcale nie będzie tam mniej ważna. Przy dzieciach. Niby ciągle te same obowiązki, ale trzeba wiedzieć, jak się do tego zabrać, nie?

— Owszem.

— Z tym, że ciebie to nie interesuje. Wolisz neurochirurgię. Najtrudniejsze przypadki.

— Ktoś musi. . .

Brawo! Kelly przerwał jej natychmiast:

— Trudna praca. Czasem tak ciężka, że aż boli. Znasz takie uczucie, prawda?

— Znam.

— Ale nie prosisz o przeniesienie.

— Nie — odrzekła Sandy. Czuło się w tym słowie coś więcej niż tylko potwierdzenie faktu.

— Twój Tim myślał tak samo jak ty. Już rozumiesz?

Sandy chyba rzeczywiście zaczynała pojmować wywód Kelly'ego. Zaraz jednak jej przemożny smutek odsunął w kąt wszelkie argumenty.

— I tak powiem, że zginął bez sensu.

— Fakty może nie mają sensu. Za to ludzie go mają — orzekł Kelly i zamilkł, bo nie umiał poprowadzić dalej tej refleksji. — Przepraszam za te kazania. Nie jestem księdzem, tylko stukniętym bosmanem, i to byłem.

— Nie takim znów stukniętym — pocieszyła go Sandy, kończąc posiłek.

— To także twoja zasługa. Dzięki.

Sandy uśmiechnęła się jeszcze raz.

— Nie każdego pacjenta da się wyleczyć. Kiedy się udaje, mamy się z czego cieszyć.

— Kto wie, Sandy, może wszyscy próbujemy zbawić świat, tak po troszeczkę — westchnął Kelly i wstał. Uparł się, że odprowadzi Sandy z powrotem na oddział. Zbierał się przez całe pięć minut, żeby powiedzieć to, na co od dawna miał ochotę:

— Co ty na to, żebyśmy kiedyś wybrali się na obiad. Nie żeby zaraz jutro, ale może...

— Zastanowię się — odrzekła Sandy. Z góry odrzucała takie pomysły, lecz zarazem zaciekawiła ją ta propozycja. Wiedziała równie dobrze jak Kelly, że za wcześnie na eskapady we dwoje. Czy aż tak bardzo za wcześnie? I kim tak naprawdę jest pacjent Kelly? Na jakie niebezpieczeństwa narazi ją ta znajomość?

## 13 — Przydział zadań

Kelly pierwszy raz w życiu miał postawić nogę w Pentagonie. Ta perspektywa onieśmiałą go trochę i zmusiła do zastanowienia się, czy nie powinien pojechać w zielonkawym bosmańskim mundurze. Uznał jednak, że skończyły się czasy munduru i zdecydował się na lekki, granatowy garnitur z miniaturką Krzyża Marynarskiego w klapie. Na miejsce dojechał tunelem dla autobusów i wozów osobowych, po estakadzie doszedł do mapy obiektu i prędko wbił sobie w pamięć jej szczegóły. Pięć minut później mógł już zapukać do właściwej kancelarii.

— Słucham — zagadnął go podoficer Marynarki.

— John Kelly. Jestem umówiony z admirałem Maxwellem. Podoficer wskazał mu fotel i kazał zaczekać. Na stoliku obok leżał egzemplarz „Navy Times”. Kelly nie miał tej gazety w ręku od zakończenia służby. Picusowate historie i cukrowani bohaterowie, których zapamiętał, nie zmienili się z pewnością ani na jotę.

— Pan Kelly? — usłyszał i podniósł się z fotela. Kiedy przekraczał kolejne drzwi, zapaliło się nad nimi czerwone światło i tabliczka NIE WCHODZIĆ.

— Jak się miewasz, John? — zapytał go z miejsca Maxwell.

— Świetnie, świetnie, panie admirale — odbąknął Kelly, który był może teraz cywilem, ale i tak tracił kontenans w obecności takiej szychy. Za chwilę poczuł się jeszcze gorzej, bo zza kolejnych drzwi dołączyło do nich dwóch następnych przybyszy, jeden wprawdzie w cywilu, ale za to drugi w mundurze kontradmirała. Kelly po dystynkcjach rozpoznał w nim lotnika, i to odznaczonego wysokim orderem. Nic, tylko się schować pod ziemię. Na szczęście Maxwell zaczął go przedstawiać go pozostałym.

— Dużo o panu słyszałem — odezwał się Podulski, ściskając dłoń młodego człowieka.

— Tak? To miło... — Kelly stropił się do reszty.

— Znamy się z Kazem nie od dziś — objaśnił Maxwell, kiedy ich już sobie przedstawił. — Ja mam na koncie piętnaście — tu wskazał na rząd sylwetek samolotów na ścianie. — Ale Kaz nazbierał osiemnaście.

— Wszystkie potwierdzone na taśmie, nie żadne tam prawdopodobne — zapewnił Kelly’ego Podulski.



— Co do mnie, mam na koncie zero — wtrącił Greer — ale to dlatego, że zawsze unikałem świeżego powietrza. Źle robi na mózg.

Admirał miał na sobie cywilny garnitur, a pod pachą skoroszyt z mapami. Jedną z map, taką samą jak ta, którą miał rozpiętą w domu, lecz bardziej upstrzoną znakami, wyjął zaraz i puścił w obieg. W ślad za mapą poszły fotografie. Kelly mógł się powtórnie przyjrzeć twarzy pułkownika Zachariasa. Tym razem zdjęcie powiększono i za pomocą jakichś sztuczek poprawiono na nim ostrość, bo twarz stała się zdumiewająco podobna do tej z legitymacyjnego zdjęcia, jakie pokazał im Greer.

— Raz zaniósł mnie godzinę marszu od tego miejsca — zauważył Kelly. — Ale nikt mi nie wspomniał, że...

— Tego obozu jeszcze tam nie było. Zbudowali go niedawno, około półtora roku temu — wyjaśnił Greer.

— Przyniosłeś jeszcze jakieś zdjęcia, James? — zapytał Maxwell.

— Mam te z przelotów *SR-71*, szerokokątne, ale nic nowego. Mam człowieka, który sprawdza na nasz użytek każdą klatkę. Dobry fachowiec, służył w Siłach Powietrznych, a teraz u mnie. Tylko u mnie.

— Jeszcze zrobisz karierę wśród tych szpiegów — zaśmiał się Podulski.

— Firma potrzebuje takich jak ja — odciął się Greer, dość beztrąsko, choć różnie można sobie było tłumaczyć jego słowa. Kelly przyjrzał się twarzom rozmówców. Przechwałki okazały się podobne do pogwarek w mesie bosmańskiej, choć admirałowie obywali się bez grubych słów. Greer zaraz znów spojrzął na Kelly'ego:

— No, i co nam pan powie o tej dolince?

— Powiem, że lepiej tam nie wchodzić.

— Nie, lepiej niech mi pan najpierw opowie, jak udało się panu stamtąd wyciągnąć syna Wściekłego. Ale tak po kolei — polecił mu Greer.

Relacja zajęła Kelly'emu całe piętnaście minut, od chwili kiedy opuścił pokład zanurzonego USS „Skate” do momentu, gdy śmigłowiec przejął go i rannego porucznika Maxwella w delcie rzeki i przeniósł na USS „Kitty Hawk”. Wszystkie w tej opowieści było proste i zrozumiałe, więc Kelly nie bardzo pojmował, dlaczego admirałowie wymieniają między sobą znaczące spojrzenia.

Rzecz polegała na tym, że Kelly'emu wciąż brakowało doświadczenia, by zrozumieć, że admirałowie to także zwyczajni ludzie. Do tej pory przywykł odruchowo uznawać oficerów tej rangi za rodzaj nieśmiertelnych bogów, którzy podejmują wyłącznie decyzje ogromnej wagi i nawet po cywilnemu ani na chwilę nie wychodzą z dostojnej roli. Prócz tego Kelly nie myślał wcale o sobie jako o osobie młodej. Był w końcu na wojnie, a doświadczenie tego rodzaju odmienia człowieka na zawsze. Admirałowie widzieli jednak całą sytuację inaczej: Maxwellowi, Podulskiemu i Greerowi młody mężczyzna, którego mieli przed oczami, nieodparcie przywodził na myśl ich samych sprzed lat trzydziestu. Od pierwszej chwili

nie ulegało wątpliwości, że Kelly to urodzony żołnierz — podobnie jak kiedyś oni. Wymieniali więc porozumiewawcze spojrzenia niczym dziadkowie, którzy obserwują pierwsze niepewne kroki wnuczka po dywanie w dużym pokoju. Z tą różnicą, że kroki Kelly'ego były dłuższe i o wiele bardziej niebezpieczne.

— Niczego sobie wyczyn — pochwalił Greer, kiedy Kelly zakończył relację. — Czy to znaczy, że tamten teren jest gęsto zaludniony?

— I tak, i nie, panie admirale. Zaludniony, owszem, bo są tam jakieś zagrody i coś tam jeszcze, ale nie zabudowany. To nie miasto. Z tym, że na szosie zauważyłem spory ruch. Ciężarówek nie było dużo, ale za to pełno rowerów, wolicz zaprzęgów. . .

— Ale transportów wojskowych nie było? — upewnił się Podulski.

— Nie, wojskowe idą tędy. — Kelly postukał palcem w inny punkt mapy i zauważył tam oznaczenia jednostek armii północnowietnamskiej. — Jak chcecie się tam dostać?

— Sam wiesz, John, że to nie takie proste. Zastanawialiśmy się nad rajdem śmigłowcowym. Druga możliwość to wysadzić desant morski i przebić się wzdłuż tej drogi w głąb lądu.

Kelly potrząsnął przecząco głową.

— Za daleko. Takiej drogi łatwo jest bronić. Panowie, musicie zrozumieć, że Wietnam to kraj, gdzie nie ma cywilów. Każdy mieszkaniec nosi mundur albo w ogóle służy, a kiedy się rozda ludziom broń, zaraz uważają, że bronią wspólnego domu. Moim zdaniem, desant napotka po drodze taki opór, że będzie musiał uciekać w podskokach. Na pewno się nie uda.

— Ta cała ludność naprawdę popiera komunistów? — zdumiał się Podulski, który niby o tym wiedział, lecz zupełnie nie mógł w to uwierzyć. Za to Kelly wierzył bez zastrzeżeń.

— Jezus Maria, panie admirale, to dlaczego już tyle lat się tam grzebiemy? Jak pan inaczej wytłumaczy fakt, że nikt nie pomaga zestrzelonym pilotom? Tamci ludzie naprawdę myślą nie tak, jak my, i kwita. Szkoda, że tak późno zaczęliśmy sobie z tego zdawać sprawę. Ale mniejsza z tym, najważniejsze, że jeśli wysadzicie na plaży desant piechoty morskiej, nikt ich tam nie przywita z kwiatami i orkiestrą. Atak wzdłuż osi drogi można sobie od razu wybić z głowy. Sam tam byłem i wiem, co to za droga. Wygląda jeszcze gorzej, niż na tych zdjęciach. Wystarczy zwalić kilka drzew, i już po drodze. — Kelly podniósł wzrok znad mapy. — Tylko śmigłowce, inaczej nie da rady.

Łatwo się było zorientować, że wniosek nie przypadł admirałom do gustu. Łatwo było też zrozumieć, dlaczego. Ta część Północnego Wietnamu była usiana stanowiskami baterii przeciwlotniczych tak gęsto, że przeprowadzenie udanego rajdu śmigłowcowego graniczyło z cudem. Dwóch spośród oficerów było swego czasu pilotami. Skoro wiązali takie nadzieje z desantem morskim, oznaczało to,

że wietnamska obrona powietrzna nastęrczała jeszcze większy problem, niż Kelly mógł w ogóle przypuszczać.

— Artylerię przeciwlotniczą jakoś się przydusi — zaczął snuć tę myśl Maxwell.

— Nie masz chyba zamiaru znów wysyłać *B-52*? — wtrącił natychmiast Greer.

— Myślałem o USS „Newport News”, okręt za parę tygodni wraca tam jako wsparcie ogniowe. John, widziałeś kiedyś „Newport” w akcji?

— Pewnie, że widziałem! — Kelly podzielał entuzjazm Maxwella. — Wspierali nas dwa razy, kiedy musieliśmy działać w pobliżu brzegów. Niesamowita sprawa, co mogą zdziałać głupie armaty kalibru 203 mm. Ale mnie martwi co innego, panowie. Ile w końcu tych zabawek potrzeba, żeby wykonać zadanie? Im więcej środków nagromadzicie, tym większe ryzyko, że coś się popieprzy. A tu, proszę, śmigłowce, krążownik, i co tam jeszcze... — Kelly opadł na oparcie kanapy, notując w pamięci, że przestroga dotyczy nie tylko admirałów. Sam też mógł napotkać podobny problem.

— Słuchaj, Wściekły, za pięć minut mamy być na posiedzeniu — z ociąganiem przypomniał Maxwellowi Podulski, niezbyt zachwycony wynikiem rozmowy. Greer i Maxwell nie podzielali jego pesymizmu. Bądź co bądź udało się ustalić kilka faktów, a to już coś.

— Chciałem o coś zapytać — odezwał się Kelly. — Dlaczego to wszystko jest taką tajemnicą?

— Sam się zdążyłeś domyślić. — Maxwell przeniósł wzrok na drugiego admirała i przyzwalająco skinął głową. Greer ożywił się i wyjaśnił Kelly’emu:

— Tamci wiedzieli z góry o akcji na Song Tay. Nie wiemy, jak ani skąd, ale już po fakcie dowiedzieliśmy się z naszych źródeł, że wiedzieli lub przynajmniej podejrzewali, na co się zanosí. Nie spodziewali się ataku tak prędko, to inna sprawa. Nasz desant zdobył pusty obóz, z którego tamci ewakuowali jeńców, ale jeszcze nie zdążyli ustawić zasadzki. Szczęście w nieszczęściu. Myśleli, że operacja MACZUGA to kwestia kolejnego miesiąca, a my pośpieszyliśmy się.

— Boże, więc to tak? — Kelly’ego wręcz zatkało. — Ktoś po naszej stronie zdradził im to wszystko?

— Witamy w świecie wywiadu, bosmanie — skwitował to Greer z ponurym uśmieszkiem.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Jeśli kiedyś jeszcze spotkam tego pana, na pewno nie omieszkam się zapytać — uciął Greer. — Swoją drogą, pomysł jest na czasie. Może byśmy tak sprawdzili tok przygotowań do tamtej akcji, jeszcze raz po kolei, ale tak naprawdę po cichu?

— Gdzie mamy archiwum?

— W bazie lotniczej Eglin. Ludzie z MACZUGI szkolili się tam przed akcją.

— Ale kogo wyślemy? — zapytał Podulski.

Kelly poczuł, że oczy obecnych zwracają się zgodnie ku niemu.

— Panowie, chwileczkę, ja jestem tylko podoficerem. . .

— Gdzie pan zostawił wóz, panie Kelly?

— Czeka w mieście. Przyjechałem tutaj autobusem.

— Proszę za mną. Wróci pan ode mnie autobusem, jeździ co pół godziny.

Wyszli z gmachu Pentagonu, nie wymieniając między sobą ani słowa. Samochód Greera, duży Mercury, stał na parkingu dla gości, z boku od wejścia od strony Potomaku. Admirał gestem zaprosił Kelly'ego do środka i ruszył w stronę drogi szybkiego ruchu George'a Washingtona.

— Wściekły sprowadził nam pańską teczkę. Sam też czytałem i przyznam, że jestem pod wrażeniem.

Greer zapomniał dodać, że podczas badania rekrutów, Kelly w trzech osobnych testach na inteligencję osiągnął średni iloraz 147.

— Każdy kolejny dowódca wyśpiewywał hymny na pana cześć.

— Tylko dlatego, że miałem szczęście do dowódców.

— A oni do pana już mniej. Trzech po kolei próbowało zaciągnąć pana do szkoły oficerskiej. . . Nieważne, Wściekły już o tym z panem rozmawiał, a mnie ciekawi co innego: dlaczego nie zgodził się pan przyjąć tamtego stypendium i nie poszedł pan na studia?

— Bo miałem dosyć szkoły. Poza tym zawsze jest coś za coś. W zamian za stypendium miałem występować w uniwersyteckiej drużynie pływackiej.

— W Indianie ludzie za tym szaleją, co? Ale nie o to chodzi. Z takimi stopniami ze szkoły mógł się pan śmiało starać o normalne stypendium. Szkołę średnią też pan skończył niczego sobie, prywatną. . .

— Wtedy też szkoła fundowała mi chesne, a poza tym. . . — Kelly wzruszył ramionami. — W mojej rodzinie nikt nie studiował. Ojciec w czasie wojny służył jakiś czas w Marynarce, więc pomyślałem, że mógł on, mogę i ja.

Kelly nie dodał, jak okropnie jego ojciec gryzł się tą decyzją. Bardzo mu zależało na tym, żeby syn skończył studia. Kelly jednak ukrywał takie fakty przed światem.

Greer rozważał w myślach to, co usłyszał. Niby zgoda, ale trochę za mało, jak na przekonywającą odpowiedź. Spróbował więc z innej beczki.

— Na ostatnim okręcie, jakim dowodziłem, podwodnym, USS „Daniel Webster”, miałem starszego hydroakustyka, proszę sobie wyobrazić, z doktoratem z fizyki. Fachowiec był z niego pierwszorzędnym, znał się na robocie lepiej niż ja na swojej, ale nie umiał dowodzić i kierować ludźmi. Wstydził się, a może bał, nie wiem. Pan taki nie jest, Kelly! Próbuje pan chować głowę w piasek, ale pan taki nie jest.

— Kto mówi, że jestem? Normalna sprawa, że kiedy coś się dzieje, powiedzmy na wojnie, ktoś musi coś postanowić.

— Naprawdę nie wszyscy myślą w taki sposób, Kelly. Na świecie są w ogóle tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którym trzeba rozkazywać i ci, którzy sami potrafią się domyślić, co i jak.

Tablica przy autostradzie tylko mignęła Kelly'emu, lecz na pewno nie było na niej słowa o CIA. Dokąd jadą, zrozumiał więc dopiero w chwili, gdy znaleźli się przed okazałą wartownią.

— Czy w Wietnamie stykał się pan może z ludźmi z mojej firmy?

— Z paroma — potwierdził Kelly. — Miałem przydział do... Zresztą sam pan wie, z mojej teczki. Operacja FENIKS, pamięta pan? Nasz oddział trochę pomagał w przygotowaniach.

— I co pan myśli o ludziach z Firmy?

— Dwóch czy trzech było dobrych, ale reszta... Mam powiedzieć, co myślę?

— Dokładnie o to pana pytam — uspokoił go Greer.

— Reszta najlepiej się nadaje do mieszania Martini. Ale takich bez oliwki, bo nie wcelują do kieliszka — najspokojniej w świecie oznajmił Kelly. W odpowiedzi usłyszał niewesoły śmiech.

— Fakt, jest tu wielu takich, którym praca myli się z filmami z Jamesem Bondem — przyznał Greer. Po chwili odnalazł swoje stałe miejsce na parkingu i szarpnął za klamkę. — Proszę za mną, bosmanie!

Admirał w cywilnym garniturze poprowadził Kelly'ego ku głównej bramie i załatwił dla niego specjalną przepustkę gościnną. Kelly mógł się poruszać po gmachu wyłącznie w towarzystwie kogoś z upoważnionych pracowników CIA. Rzeczywiście, czuł się tu jak turysta w dziwnej i egzotycznej krainie, tym bardziej niepokojącej, że z pozoru tak podobnej do normalnego biura albo ministerstwa. Chociaż CIA mieściło się w zwyczajnym, nowym biurowcu, jakich pełno w Waszyngtonie, nad wszystkim unosiła się tu pewna osobliwa aura, jak gdyby wszystko to działo się w osobnym, innym świecie niż ten za oknem. Greer zaśmiał się cicho na widok miny, jaką miał Kelly. Poszli do windy i wjechali na szóste piętro, gdzie mieścił się gabinet admirała. Dopiero gdy zamknęły się dębowe drzwi, Greer znowu się odezwał do Kelly'ego.

— Bardzo jest pan zajęty w przyszłym tygodniu?

— Niespecjalnie. Mam parę spraw, ale żadna mnie nie wiąże tu, na miejscu — odpowiedział ostrożnie Kelly.

James Greer z namysłem skinął głową.

— Wściekły coś niecoś mi o tym wspominał. Przykro mi, że tak się na pana uwzięliśmy, bosmanie, ale w grę wchodzi życie dwudziestu ludzi, którzy bez naszej pomocy pójdą do ziemi, zamiast wrócić do domu.

Mówiąc to, Greer sięgnął do szuflady.

— Coraz mniej rozumiem, o co idzie, panie admirale.

— Chodzi o to, żeby nam pan pomógł, a skłonić pana do tego możemy na dwa sposoby: przyjemny i nieprzyjemny. Nieprzyjemny sposób będzie taki, że Wście-

kły zadzwoni, gdzie trzeba, a pan dostanie kartę powołania do służby — zaczął Greer z powagą. — Przyjemny sposób polega na tym, że zacznie pan pracować dla mnie, jako cywilny doradca. A proszę mi wierzyć, że nasza dzienna stawka jest o niebo wyższa niż żołąd zwykłego bosmana.

— I co niby miałbym robić?

— Na początek poleci pan do bazy lotniczej Eglin. Samolotem do Nowego Orleanu, tam wynajmie pan w Avisie samochód. Tak będzie najprościej. A to... — Greer rzucił w stronę Kelly'ego portfelik z legitymacją — to z kolei da panu dostęp do ich archiwów. Chcę, żeby pan przejrzał plany tamtej operacji i przekonał się, ile możemy się z nich nauczyć przed naszą.

Kelly obejrzał sobie legitymację. Umieszczono na niej nawet jego stare, paszportowe zdjęcie z Marynarki.

— Ale chwileczkę, panie admirale, przecież ja nie mam kwalifikacji, żeby...

— Moim zdaniem owszem, ma pan dostateczne kwalifikacje, ale dla osób z zewnątrz będzie wyglądało, że rzeczywiście ich pan nie ma. Proszę pomyśleć: młodziutki konsultant, żółtodziób, przyjeżdża zbierać informacje do byle jakiego opracowania, które ktoś zamówił, ale którego i tak nie przeczyta nikt ważny. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale połowa budżetu naszej Firmy rozchodzi się nie wiadomo na co dokładnie w ten sposób — dodał Greer, u którego irytacja często sprawiała, że zaczynał przesadzać. — Rzecz w tym, żeby zajęcie wyglądało na rutynowe i kompletnie niepotrzebne.

— Ale o tamtej akcji mówiliście panowie poważnie?

— Bosmanie, dla tych więźniów „Wściekły” Maxwell zaryzykuje własnym stołkiem. Ja zresztą także. Jeżeli istnieje sposób, żeby ich stamtąd wydostać...

— Ale jaki to będzie miało wpływ na rokowania pokojowe?

Greer nie bardzo wiedział, jak ma to wszystko wyjaśnić chłopakowi, którego miał przed sobą.

— Oficjalnie pułkownik Zacharias nie żyje. Tak twierdzi druga strona, która podała nawet do publicznej wiadomości fotografię jego zwłok. Ktoś ze sztabu zdążył się już pofatygować do wdowy, razem z kapłanem i żoną innego oficera Sił Powietrznych, bo tak jest łatwiej. Wdowa dostała tydzień na odbiór rzeczy poległego z koszar, taka jest oficjalna procedura. Zacharias oficjalnie nie żyje i każdy to panu powie — dodał Greer. — Rozmawiałem po cichu, naprawdę po cichu, z paroma osobami z wyższego szczebla...

Najtrudniejsza część wyznania miała dopiero nastąpić.

— Okazało się, że... Że nasz kraj nie chce dla takiego głupstwa ryzykować fiaskiem rozmów pokojowych. Co mamy w ręku? Parę zdjęć, fakt, że wyostrzonych i powiększonych, ale dla sądu zdjęcie to jeszcze nie dowód, a z nami będzie się rozmawiać jeszcze surowiej niż przed sądem. Nie mamy dostatecznych dowodów i nie będziemy mieli, a ci, którzy podjęli decyzję, doskonale zdają sobie z tego sprawę. Nie chcą dopuścić do tego, żeby akcja taka jak nasza zweekslowa-

ła rokowania na boczny tor. Uważają, że jeśli trzeba poświęcić dwudziestu ludzi, żeby zakończyć tę cholerną wojnę, trudno, zapłacą taką cenę i kropka. Tych ludzi spisano na straty, Kelly.

Kelly nie wierzył własnym uszom. Ciekawe, ile istnień ludzkich Ameryka spisywała na straty dzień w dzień, rok w rok? Nie chodziło przecież tylko o woj-skowych. Niektóre ludzkie „śmieci” żyły tutaj, na ulicach amerykańskich miast.

— Naprawdę tak to paskudnie wygląda?

Zmęczenie na twarzy Greera było oczywiste.

— Wie pan, czemu się zgodziłem objąć tę posadę? Miałem już iść na emery-turę. Odsłużyłem swoje, dowodziłem okrętami, zrobiłem, co do mnie należy. Pora byłaby się przenieść do domku z ogródkiem, dwa razy w tygodniu zagrać partyjkę golfa, trochę dorobić jako ekspert... Rozumie pan? Ale moim zdaniem za dużo na tych stanowiskach ludzi, dla których rzeczywistość to tylko temat do notatki służbowej. Urzędolą tylko, zamiast myśleć o żywych ludziach, o których czytają na papierze. Dlatego przeszedłem do Firmy. Ktoś musi się postarać i wprowadzić między te papierki trochę poczucia rzeczywistości. Aha, robimy tę naszą akcję na czarno. Wie pan, co to znaczy?

— Nie wiem, panie admirale.

— To względnie nowy termin. Pojawił się niedawno, a znaczy po prostu, że takiej operacji nie ma. Nie było i nie ma. Czyste wariactwo. Nie powinno tak być, ale, niestety, tak się sprawy mają. To jak, dołącza pan do nas, czy nie?

Nowy Orlean... Kelly na mgnienie zmrużył oczy i po długich piętnastu se-kundach skinął głową na znak, że się zgadza.

— Jeżeli myśli pan, że mogę się przydać, to zgoda. Ile będę miał na to czasu?

Greer zdobył się na wymuszony uśmiech i cisnął Kelly’emu na kolana kopertę z biletem lotniczym.

— Nazwisko w tej pańskiej legitymacji to John Clark. Łatwo zapamiętać. Wy-latuje pan jutro po południu. Na bilecie nie ma daty powrotu, ale w następny piątek chcę widzieć tu pana z powrotem. Niech się mi pan dobrze spisze. Tu ma pan moją wizytówkę i bezpośredni telefon do mnie do biura. Może się pan zacząć pakować.

— Tak jest, panie admirale.

Greer powstał i odprowadził Kelly’ego do drzwi.

— Aha, i proszę brać za wszystko rachunki. Kiedy się pracuje dla Wujka Sama, trzeba pilnować, żeby nie dopłacać do interesu.

— Zrobi się — zapewnił go Kelly.

— Przed budynkiem jest przystanek autobusowy. Specjalne połączenie do Pentagonu. Będzie panu łatwiej wrócić.

Kiedy Kelly wyszedł, Greer zagłębił się ponownie w papierach. Niebieski au-tobus rzeczywiście nadjechał po paru minutach i zatrzymał się przed wiatą. Jazda zrobiła na Kellym dziwne wrażenie, bo połowa pasażerów była w mundurach, a druga połowa po cywilnemu. Nikt nie zamienił ani słowa z innymi pasażerami,

jak gdyby uwaga na temat pogody albo faktu, że waszyngtońska drużyna futbolo-  
wa w dalszym ciągu tkwi na szarym końcu tabeli równała się zdradzie stanu. Kelly  
skrzywił się lekko, nie bez dezaprobaty, lecz zaraz przypomniał sobie własne ta-  
jemnice i zamiary. Hmm. Greer dostarczył mu sposobności, która przedtem nie  
przyszła mu nawet do głowy. Kelly zapadł głębiej w autobusowy fotel i zapatrzył  
się w świat za oknem. Reszta pasażerów uparcie patrzyła prosto przed siebie.

\* \* \*

— Zrobiłeś nam dużą przyjemność — poinformował go Piaggi.

— A nie mówiłem ci, chłopie, że tak będzie? Jak masz najlepszy towar na  
rynku, każdy do ciebie przyjdzie, nie ma siły.

— Są tacy, którym się to mniej podoba. Znam paru, którzy zostali jak durnie  
z setką kilogramów z francuskiej dostawy. Przez tę naszą okazyjną cenę zostali  
na lodzie.

Tucker uznał, że może zbyć wiadomość głośnym śmiechem. Nie było dla ni-  
kogo tajemnicą, że stara gwardia od lat śpiewała sobie za towar niebotyczne ceny,  
jak każdy monopolista. Umówili się dziś z Piaggim w restauracji dwie przecznice  
od nowego gmachu sądu i rzeczywiście na postronnych mogli sprawiać wrażenie  
pary biznesmenów albo prawników. Piaggi ubrany był nieco lepiej niż Henry, bo  
miał na sobie garnitur z włoskiego jedwabiu, lecz zamierzał już wkrótce polecić  
Tuckera swojemu krawcowi. I tak dobrze, że wspólnik zmienił nieco styl, choć  
został mu pociąg do jaskrawych kolorów i błyskotek. Najważniejsze to wzbudzić  
wyglądem zaufanie. Na pstrokaciznę puszczają się sutenerzy i alfonsi, któ-  
rzy przez głupotę nie wiedzą nawet, jak bardzo i jak niepotrzebnie w ten sposób  
ryzykują.

— Następną dostawa będzie dwa razy większa. Twoi przyjaciele dadzą radę  
tyle opchnąć?

— Bez gadania. A wiesz, najbardziej ucieszyli się koledzy z Filadelfii. Ich  
główny dostawca miał mały wypadek.

— Tak, czytałem wczoraj w gazecie. Chamska robota. Za dużo ludzi do jed-  
nego koryta, co?

— Powiem ci, Henry, że mądrzejesz po prostu w oczach. Tylko żebyś się  
czasem nie zrobił za mądry, zgoda? Radzę ci jak przyjaciel — wycedził niegłośno  
Piaggi.

— Nie ma sprawy, Tony. Chciałem tylko powiedzieć, że lepiej, jak nie będzie-  
my robić takich błędów w naszym gronie. Zgoda?

Piaggi odprężył się wyraźnie i pociągnął łyk piwa.

— Oczywiście, Henry. Powiem ci poza tym, że o wiele mi się przyjemniej  
pracuje z kimś, kto umie pokierować ludźmi. Ale, ale. Ciągłe mnie ktoś pyta, skąd



bierzemy tyle towaru. Na razie powiedziałem, że to moja sprawa, ale wiesz, tak na przyszłość, gdybyśmy mieli większe plany i potrzebowali wsparcia w gotówce...

Tucker omiótł partnera złym wzrokiem.

— Nic z tego, Tony. Nic ci nie powiem, ani teraz, ani nigdy.

— Nie nalegam. Ale tak na przyszłość, może mógłbyś to sobie rozważyć, co?

Tucker skinął głową, kończąc temat, chociaż ciekawiły go „większe plany” partnera. Tak zwanego partnera. W tej branży zaufanie mierzyło się rozmaita miarką. Tucker ufał Tony’emu, że ten go nie wykiwa z najbliższą płatnością i uściwi wszystko w porę. Ostatecznie dał Piaggiemu świetne warunki, a ten umiał je uszanować, bo nie zabija się kury, która znosi złote jajka. W dodatku Tucker osiągał już powoli stan, w którym nawet opóźnienie lub brak zapłaty nie były w stanie zakłócić całej reszty przedsięwzięcia. Dopóki będą napływały kolejne dostawy heroiny, Piaggi i spółka będą się zachowywać jak prawdziwi ludzie interesu. Dokładnie z tej przyczyny Tucker zgłosił się na początku właśnie do nich. Prawdziwej lojalności nie spodziewał się jednak ani przez chwilę. Ufano mu, dopóki był potrzebny. Niby trudno liczyć na coś więcej, ale jeżeli wspólnik nadal będzie tak naciskał, żeby mu wyjawić źródło dostaw...

Piaggi ze swej strony zastanawiał się, czy nie przesadził z tymi pytaniami, zwłaszcza iż nie był pewien, czy Tucker zdaje sobie sprawę, jak wielki majątek mają w ręku. Opanowanie dystrybucji towaru na całym Wschodnim Wybrzeżu za pomocą sprawnej i dyskretnej organizacji było wizją z najpiękniejszego snu. Oczywiście, że w tym stanie rzeczy Tucker już niedługo zacznie się rozglądać za nowymi źródłami kapitału na rozkręcenie interesu. Przyjaciele Piaggiego pytali już na wyścigi, czy jest jakiś sposób, by dopomóc przedsięwzięciu. Było jednak jasne, że Tucker odbiera te uwagi w sposób wrogi i niechętny, a jeżeli nadal będzie się naciskać, pogorszy się tylko sprawę. Piaggi zajął się więc na powrót daniem na swoim talerzu, postanawiając dać na jakiś czas Tuckerowi spokój. Wspólnik był w końcu tylko drobnym złodziejzkiem, co z tego, że obrotnym jak mało kto. A szkoda, szkoda. Być może z biegiem czasu uda się go trochę wychować? Tucker nie miał oczywiście najmniejszych szans, by wejść do Rodziny, ale z drugiej strony mógł się organizacji naprawdę przydać.

— Czyli w następny piątek? — upewnił się Tucker.

— Świetnie. Tylko nikomu ani słowa. Nie róbmy głupstw.

— Spokojna głowa, kolego.

\* \* \*

Lot minął bez przygód. Kelly wsiadł do *Boeing* 737 linii Piedmont, i tyle. Leciał klasą turystyczną, więc stewardesa przyniosła mu tylko lekką przekąskę. Nad Ameryką leciało mu się inaczej niż nad kontynentami, które zdarzyło mu się

już oglądać z wysokości. Zdumiała go przede wszystkim ilość basenów pływackich przy domach. Gdzie tylko okiem sięgnąć, nawet tuż po starcie, a potem nad falującymi wzgórzami stanu Tennessee, słoneczne światło rozbłyskiwało w kwadratowych oczkach błękitnej, chlorowanej wody, otoczonych zielenią trawników. Własny kraj wydawał się Kelly'emu tak sielski i miły, że trudno było uwierzyć, iż z bliska potrafi wyglądać zupełnie inaczej.

Panienska za kontuarem firmy Avis znalazła rezerwację i wręczyła Kelly'emu kluczyki oraz mapę. Okazało się, że mógł polecieć inaczej, bo do miasta Panama na Florydzie, lecz nawet wolał Nowy Orlean. Nic nie szkodzi. Pozostawało wrzucić obie walizki do bagażnika i ruszać na wschód. Autostradą jechało się łątwo, prawie jak jachtem po morzu, choć trzeba było trochę bardziej uważać. By zabić czas, Kelly zaczął rozpatrywać w myślach rozmaite warianty na przyszłość. Od niechcienia wyobrażał sobie kolejne posunięcia i procedury, tylko machinalnie skupiając się na jeździe. Po pewnym czasie na jego twarz powrócił nieznaczny uśmiešek i wyraz lekkiego odprężenia. Nie zdawał sobie z tego nawet sprawy, jak pochłonęło go wyobrażanie sobie wydarzeń, jakie mogły go czekać podczas kilku najbliższych tygodni.

Cztery godziny po lądowaniu w Nowym Orleanie przemierzył już całe wybrzeże stanów Missisipi i Alabama i zatrzymał się przed główną bramą bazy Sił Powietrznych Edlin. Miejsce nadawało się idealnie na trening przed operacją MACZUGA, bo tutejszy upał i wilgotne powietrze do złudzenia przypominały warunki, gdzie miał się znaleźć. Nie wysiadając z samochodu, czekał pod posterunkiem, aż wyjedzie mu na spotkanie błękitny wóz osobowy z tutejszego parku. Oficer, który wysiadł, zapytał krótko:

— Pan Clark?

— To ja. — Kelly podał mu portfelik z legitymacją. Na jej widok oficer zaśladował przybyszowi. Dla Kelly'ego było to zupełnie nowym doznaniem. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tu ma zbyt wysokie mniemanie na temat CIA. Młody oficer najwyraźniej nigdy nie miał do czynienia z pracownikami tej firmy. Oczywiście Kelly zadał sobie trud zawiązania krawata. On też chciał wyglądać dostojnie.

— Proszę jechać za mną — polecił grzecznie oficer, kapitan Griffin. On też zaprowadził Kelly'ego do parterowej kwatery oficerskiej, która przypominała średniej klasy motel, ale za to położona była tuż obok plaży. Griffin pomógł Kelly'emu wyładować walizki i zaprowadził go do kasyna oficerskiego. Za prawo wstępu wystarczyło pokazać klucz od pokoju.

— Nie wypada mi nadużywać gościnności, kapitanie. — Kelly uznał, że to on powinien postawić pierwsze piwo. — Wie pan, co mnie tu sprowadza?

— Sam jestem z wywiadu — odparł Griffin.

— Co, MACZUGA?

Kelly poczuł się jak na filmie, bo oficer rozejrzał się dookoła i dopiero wtedy odpowiedział:

— A, owszem. Przygotowaliśmy dla pana wszystkie dokumenty, o które chodzi. Podobno sam pan tam działał? W Operacjach Specjalnych, tak?

— Zgadza się.

— Chciałbym panu zadać jedno pytanie.

— Niech pan strzela — zachęcił go Kelly między kolejnymi łykami piwa. Jazda z Nowego Orleanu sprawiła, że okropnie go suszyło.

— Czy wiadomo, kto spalił operację?

— Nie — odpowiedział mu Kelly i niemal odruchowo dodał: — Ale może uda mi się tu czegoś dowiedzieć.

— Niewykluczone, że w tamtym obozie trzymali mojego starszego brata. Już by wrócił do domu, tyle że jakiś. . .

— Skurwysyn — odpowiedział Kelly. Oficer aż się zarumienił.

— Właśnie. A jeżeli go pan rozpozna, to co dalej?

— Nie moja działka — odrzekł Kelly, żałując wcześniejszej przechwałki. — Kiedy mogę zacząć?

— Zasadniczo jutro rano, panie Clark, ale mam te wszystkie dokumenty w swoim biurze.

— Potrzebne mi: osobny pokój, kawa i może parę kanapek.

— Myślę, że da się załatwić.

— W takim razie zaczynam od zaraz.

Dziesięć minut później Kelly doczekał się spełnienia listy życzeń. Kapitan Griffin przyniósł mu długi żółty blok do notatek i całą masę ołówków. Na pierwszy ogień poszły zdjęcia lotnicze z pokładu *RF-101 Voodoo*. Podobnie jak w przypadku ZIELENIAKA, odkrycie obozu w Song Tay było najzupełniej przypadkowe. W miejscu, gdzie powinien się znajdować niewielki ośrodek szkoleniowy, przypadkiem zauważono coś zupełnie innego: na dziedzińcu obozu niezliczone stopy udeptały ziemię w kształt litery „K”. Taki sam kształt miały figury ułożone obok baraków z kamieni i sznury z suszącą się bielizną. „K” było umownym znakiem — żartowano, że to od słów „koledzy, ratujcie”. Wszystkie te znaki udało się więźniom umieścić pod czujnym okiem strażników. Lista ludzi, którzy przygotowali operację, stanowiła prawdziwą księgę bohaterów Operacji Specjalnych. O większości z tych ludzi Kelly słyszał legendy, choć nie znał ich osobiście.

Rozkład obozu w Song Tay nie różnił się specjalnie od nowego obiektu zainteresowań Kelly’ego. Sporządzając pracowicie notatki, Kelly natknął się jednak na dokument, który mocno go zaskoczył. Była to notatka służbowa od bardzo ważnego generała do mniej ważnego generała, sugerująca, że chociaż akcja na Song Tay jest sama w sobie warta zachodu, stanowi zarazem środek do innego celu. Ważny generał chciał mianowicie uzyskać potwierdzenie, że jego oddziały specjalne są

w stanie działać na terytorium Północnego Wietnamu. Z takim argumentem w ręku, wywodził generał, otworzą się przed Armią nowe, ogromne możliwości. Jest na przykład w Wietnamie taka zaporą z elektrownią wodną. . . Kelly zdał sobie nagle sprawę, co to znaczy. Generał domagał się prawa odstrzału na całym terenie. Chciał ni mniej, ni więcej wysłać na tyły przeciwnika grupy dywersyjne, z rodzaju tych, jakie OSS wysyłał na niemieckie zaplecze podczas drugiej wojny światowej. Notatkę kończyła uwaga, że z powodów politycznych, ów szerszy aspekt operacji KRAĞ POLARNY — jak brzmiał jeden z pierwszych kryptonimów operacji MACZUGA — należy otoczyć ścisłą tajemnicą. Niektórzy mogliby się w tym dopatrzeć próby eskalacji działań zbrojnych. Kelly podniósł wzrok znad papierów i dopił drugą kawę, zastanawiając się nad pokrętnością polityki. Jak to możliwe, że przeciwnik może wyczyniać co mu się tylko podoba, podczas gdy druga strona trzęsie się bez przerwy, że ktoś oskarży ją o eskalację konfliktu? Kelly napatrzył się na takie sytuacje nawet na swoim, najniższym szczeblu. Chociażby taka operacja FENIKS, rozmyślna próba zwalczania politycznej infrastruktury przeciwnika. Sprawa najściślej tajna. Ale czemu, skoro członkowie owej „infrastruktury” byli ludźmi w mundurach, żołnierzami, do których w czasie wojny można śmiało strzelać? Przeciwnik robił co chciał, masakrował wiejskich wójtów i nauczycieli. . . Podczas tej wojny obowiązywała widać podwójna moralność. Myśl była niepokojąca. Kelly starał się o niej zapomnieć i z zapalem wziął się za drugą stertę dokumentów.

Zebranie grupy szturmowej i zaplanowanie tamtej akcji zabrało wieczność, a w każdym razie spory kawał wieczności. Co nie znaczy, że dobrano złą ekipę. Pułkownik „Byk” Simmons, jeszcze jeden z tych, o których Kelly tylko słyszał, podobno jeden z najbitniejszych dowódców w całej Armii. Dick Meadows, młodszy, ale podobny do Simmons. Ludzie, którzy tylko marzyli o tym, by popędzić przeciwnika w diabły. W dodatku umieli tego dokonać przy użyciu minimalnych sił i bez narażania się na straty. Kelly wyobrażał sobie ich zapal wobec planowanej operacji. Tylko co po zapale, skoro trafiło im się tylu nadzorców. . . Kelly naliczył nie mniej niż dziesięć skierowanych do dowództwa dokumentów, w których grupa obiecywała całkowity sukces — jak gdyby obietnice na papierze miały jakiegokolwiek realne znaczenie w świecie działań bojowych. Po dziesiątym liście Kelly stracił rachubę. Wszystkie brzmiały bez zmian tak samo. Czyżby dlatego, że jakiś kancelista wysmażył standardowy formularz i za każdym razem przepisywał go słowo w słowo? Podoficerowi znudziło się pewnie wymyślanie coraz to nowych kwiecistych sformułowań na użytek swojego pułkownika. Jeśli przepisując wciąż to samo chciał wyrazić swoją sierżancką pogardę wobec hierarchii i spodziewał się, że nikt nie zauważy powtórzeń, najwyraźniej się nie zawiódł. Przez trzy bite godziny Kelly wertował korespondencję między bazą w Eglin i CIA. Panowie zza biurka zasypywali wojaków wciąż nowymi pomysłami i „użytecznymi sugestiami”. Pomysły pochodziły od ludzi, którzy nosili krawat nawet do piżamy i białe

rękawiczki na codzien, ale twardo domagali się odpowiedzi od facetów z karabinami. . . Nic dziwnego, że z niewielkiego choć ryzykownego desantu, operacja MACZUGA rychło rozrosła się do wymiarów kostiumowego filmu Cecila B. DeMille'a. Sprawa kilkakrotnie trafiała do Białego Domu, dyskutowano o operacji także w kancelarii Narodowej Rady Bezpieczeństwa. . .

Kelly dał sobie wreszcie spokój, bo dochodziła trzecia nad ranem, a sterta papierów na biurku wcale nie zmaląta. Zamknął wszystkie dokumenty we wskazanym mu sejfie i pogalopował na kwaterę, gdzie kazał się obudzić punktualnie o siódmej.

Zadziwiająco, jak dalece można się obejść bez snu, jeśli się stoi przed ważnym zadaniem. Kiedy o siódmej rozdzwonił się telefon, Kelly wyskoczył z łóżka i kwadrans później, w samych szortach pędził już na bosaka wzdłuż plaży. Nie był tam sam i choć nie znał liczby żołnierzy w Eglin, w ludziach na plaży mógł rozpoznać bratnie dusze. Niektórzy z mijanych biegaczy niewątpliwie należeli do oddziałów specjalnych i Pan Bóg raczył wiedzieć, czym się naprawdę zajmowali. Poznawało się ich po nietypowo szerokich barach. Bieg stanowił dla nich tylko część codziennej zaprawy, ale w pędzie obrzucali sąsiadów taksującym spojrzeniem, jak gdyby mieli do czynienia z potencjalnym przeciwnikiem. Kelly znał ten odruch i cieszył się, że — wnosząc ze spojrzeń, jakie przyciągał — sam także należy do tego bractwa. Dodatkowy prysznic odświeżył go, a obfite śniadanie wprawiło w dobry nastrój. Mógł znów zasiąść do swoich papierków. W drodze do budynku administracji pytał sam siebie, co, u licha, skłoniło go do tego, żeby porzucić wojsko. Ostatecznie było dlań jedynym domem od czasów, kiedy wyjechał z Indianapolis.

Mijały kolejne dni. Kelly spał sześć godzin w ciągu nocy, ale na posiłki zostawił sobie tylko po dwadzieścia minut. Pomijając powitalne piwo nie pił i wziął się ostro za ćwiczenia. Poświęcał na nie kilka godzin dziennie — jak sobie wmaśniał, po to, by dojść do formy. Nawet sam przed sobą nie chciał się przyznać, jaka jest prawdziwa przyczyna takiego zapału. Postanowił pokazać światu, kto tu jest największym osiłkiem na całej plaży. Nie zadowalała go rola świadka, który przygląda się wszystkiemu i zewnątrz. Na terenie bazy znowu stał się pletwonurkiem z oddziałów SEAL, ba, przypomniał sobie, dlaczego nadano mu przydomek Wąż. Na trzeci czy czwarty dzień poczuł rankiem upragnioną zmianę. Jego sylwetka i twarz stały się dla innych biegaczy częścią porannej rutyny. Najlepsza ze wszystkiego była anonimowość sytuacji, a także blizny, które dawały innym powód do domysłów, co takiego zmalował Kelly i na czym polegał jego błąd. Inni żołnierze zakładali, rzecz jasna, iż blizny nie blizny, Kelly nadal służy w wojsku. Nie przyszło im do głowy, że rzucił służbę. Rzucił? Wycofał się poprawił się w myślach Kelly nie bez poczucia winy.

Robota, choć papierkowa, okazała się fascynująca. Jeszcze nigdy Kelly nie miał okazji do tak daleko idących, samodzielnych analiz, więc zdziwił się szcze-

rze, kiedy odkrył, że ma do tego talent. Przekonał się wkrótce, że planowanie działań bojowych byłoby rajem, gdyby nie ciągła, nudna powtarzalność czynności. Sztabowcy byli jak zazdrosny ojciec, który zbyt długo trzyma pod kluczem piękną córkę. Przed operacją MACZUGA żołnierze dzień w dzień składali i remontowali makietę obozu w Song Tay — czasem nawet kilka razy dziennie, a wszystko to w obawie, że przygotowania spostrzegą radzieckie satelity szpiegowskie. Czynność musiała po pewnym czasie ogłupić żołnierzy do cna. A do tego tyle zmarnowanego czasu... Żołnierze pętali się beczynnymi, dowództwo wahało się, niezdolne do podjęcia decyzji, z terenu napływały wciąż nowe informacje... Trwało to tak długo, że Wietnamczycy nie czekali i przenieśli jeńców w inne miejsce.

— Cholera — szepnął Kelly. Nie chodziło nawet o wyspę. Przy tak ślimaczym tempie przygotowań, nawet gdyby ktoś zdradził cel operacji, przeciek nastąpił zapewne na jednym z ostatnich ogniw łańcucha. Wtyczka dowiedziała się o akcji na samym końcu, lecz skutek był ten sam. Kelly postawił przy tej uwadze znak zapytania.

Samą operację zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach, doszlifowano do perfekcji, przedstawiono zasadniczy plan i pewną liczbę wariantów awaryjnych, a każdą sekcję szturmową wyszkolono tak pieczołowicie, że każdy żołnierz mógł w razie potrzeby nawet we śnie zastąpić każdego innego. Żeby zaoszczędzić czasu na podejście do obozu, postanowiono udać, że potężny śmigłowiec, transportowy *Sikorsky*, przez przypadek ląduje uszkodzony pośrodku placu apelowego. Zamiast ostrzeliwać wieże wartownicze, grupa ścięła je ogniem z działek szybkostrzelnych. Plan nie przewidywał finezyjnych rozwiązań, majstersztyków, forteli i innej bujdy rodem z filmu. O wszystkim miała zdecydować zwykła, brutalna siła. Zdjęcia i materiały zebrane podczas akcji dowodziły, że wietnamscy strażnicy istotnie pofrunęli do nieba w pierwszych sekundach ataku. Kelly wyobrażał sobie dziką radość szturmowców w tamtych pierwszych minutach akcji. Wszystko poszło im jeszcze sprawniej niż na ćwiczeniach — i nagle okazało się, że przez radio ze wszystkich stron padają meldunki: „wynik zero”. „Wynik” miał być oczywiście kodowym określeniem liczby wyzwolonych jeńców amerykańskich. Tamtej nocy do domu powrócili tylko komandosi. Zaatakowano i wyzwolono pusty obóz. Nietrudno było sobie wyobrazić nastrój w śmigłowcach podczas powrotu do bazy w Tajlandii. Gorzki smak porażki jest jeszcze gorszy, kiedy się w niczym nie zawiniło, wręcz przeciwnie, zrobiło się wszystko, aby wygrać.

Operacja MACZUGA mogła się jednakże okazać cenną lekcją na przyszłość. Kelly pilnie sporządzał notatki, gimnastykował zdrtwiiałe palce i co chwila temperował nowe ołówki. Nauka mogła mu się naprawdę przydać.

Wszystko, co się udało podczas tamtej akcji, można było beczelnie skopiować i powtórzyć, tym razem z lepszym skutkiem. Operację rozłożył tak naprawdę tylko ślamazarny harmonogram. Komandosów tej klasy można było rzucić do

akcji o wiele, wiele prędej. Perfekcyjnego wyszkolenia przed akcją żądali od żołnierzy nie ich bezpośredni dowódcy, tylko sztabowe dziadki, którzy dawno zapomnieli, czym jest zapal i pomysłowość młodych ludzi. Operacja przyniosła fiasko nie dlatego, że zawinili Bull Simons, Dick Meadows czy ich Zielone Berety. Komandosi nie wahali się ani przez chwilę ryzykować życiem dla jeńców, których nigdy nie widzieli na oczy. Klęska przyszła dlatego, że inni ludzie nie chcieli ryzykować w obawie, że zapłacą za to karierą albo stanowiskiem. Względem te były, rzecz jasna, ważniejsze niż krew ludzi, którzy odwalali za nich robotę. W historii akcji na Song Tay streszczała się cała wojna wietnamska. Wystarczyło kilka minut, by wyszkolona do perfekcji grupa przegrała, pociągnięta na dno przez zdraycę albo gadułę ukrytego w czeluściach waszyngtońskiej biurokracji.

Kelly obiecywał sobie, że akcja na ZIELENIAK będzie wyglądała inaczej — chociażby dlatego, że planowano ją nieomal jak prywatne przedsięwzięcie paru osób. Skoro podstawową wadą poprzedniej operacji był stały nadzór z góry, rzeczywiście najprościej było wyeliminować taki nadzór w ogóle.

\* \* \*

— Bardzo mi pan pomógł, kapitanie — podkreślił Kelly.

— Przynajmniej udało się panu coś znaleźć?

— Tak, panie Griffin. — Zwracając się do młodego oficera, Kelly bezwiednie przestawił się na obowiązującą w Marynarce formę „pan”. — Przy okazji, pańska analiza na temat tego drugiego obozu była pierwszorzędna. Nie wiem, czy ktoś już panu powiedział, że gdyby wszystko poszło inaczej, dzięki tej analizie paru ludzi zawdzięczałoby panu życie. Powiem krótko, żałuję, że kiedy ganiałem po dżungli, nie mieliśmy ze sobą takiego niuchacza jak pan.

— Nie potrafię latać, więc próbuję się przydać inaczej — zbył go Griffin, zawstydzony tymi pochwałami.

— Ma pan następną okazję. — Kelly podał mu swoje notatki. Na jego oczach kapitan włożył je do koperty i zalakował ją. — Proszę to wysłać przez posłańca. Tu jest adres.

— Tak jest. A panu należy się chyba teraz odpoczynek. Spał pan w ogóle przez ostatnie dni?

— Odetchnę sobie jakiś czas w Nowym Orleanie. Mam stamtąd lot powrotny.

— Niezłe miejsce na relaks — stwierdził Griffin i odprowadził Kelly’ego do samochodu, w którym już czekały walizki.

Kelly nie mógł się nadziwić, jak łatwo przyszło mu zdobycie jeszcze jednej informacji. W swoim pokoju znalazł książkę telefoniczną Nowego Orleanu, a w niej nazwisko człowieka, którego zdecydował się odszukać, gdy w gmachu CIA rozmawiał z Jamesem Greerem.

\* \* \*

Ta dostawa miała ustawić go raz na zawsze i dlatego Tucker bardzo starannie doglądał przygotowań. Rick i Billy kończyli pakowanie. Część towaru szła do samego Nowego Jorku. Do tej pory Tucker był dla świata cwaniakiem, ambitnym przybłędą. Dostarczył na rynek taką ilość heroiny, że zaczęto się interesować i nim, i jego partnerami. Największe wrażenie budził właśnie fakt, że Tucker nie działa w pojedynkę, i że oprócz dostępu do towaru ma także partnerów, i to jakich! Przychodziła jednak pora na następny krok. Tucker chciał ni mniej ni więcej tego, żeby uznano go za jednego ze swoich, a przynajmniej za najsolidniejszego dostawcę w okolicy. Partia, którą pakowali, wystarczy całemu Baltimore i Filadelfii na miesiąc. Może na krócej, jeżeli sieć sprzedaży jest tak sprawna, jak to obiecywali wspólnicy. Resztówka trafi do Nowego Jorku, wygłodniałego po ostatniej wielkiej wpadce. Nareszcie po latach stawiania małych kroczków przychodziła pora na wielki skok.

Billy włączył radio, żeby posłuchać wiadomości sportowych. Zamiast nich trafił na prognozę pogody.

— Fajnie, że się już stąd zbieramy. Mają być burze. Tucker wyjrzał na zewnątrz. Na niebie ani jednej chmurki.

— Nie mamy się co przejmować — oznajmił podwładnym.

\* \* \*

Lamarck uwielbiał Nowy Orlean, miasto o europejskich tradycjach, w którym czar Starego Świata łączył się z istic amerykańską energią. Miasto, w którym rządili niegdyś Francuzi, a potem Hiszpanie, nigdy nie wyzbyło się tych tradycji, do tego stopnia, że tutejszy system prawny dla pozostałych czterdziestu dziewięciu stanów, jak również dla władz federalnych, stanowił zupełną zagadkę. Inną osobliwością była miejscowa gwara, *patois*. Tutejsi mieszkańcy bez przerwy wtrącali francuskie słowa, często tak zniekształcone, że z francuzczyzną nie miały już nic wspólnego. Przodkowie Pierre'a Lamarcka byli jednak rzeczywiście osadnikami z dalekiej Francji, a wielu spośród jego dalszych krewnych nadal gnieździło się wśród bagnistych rozlewisk Luizjany. Lamarckowi jednak dawne obyczaje i zabytki przeszłości były najzupełniej obojętne. Zostawiał takie zainteresowania turystom. Czasem tylko powoływał się na tę tradycję szczegółami stroju albo zachowania, aby wyróżnić się spośród ludzi o tej samej profesji. To ostatnie nie było wcale takie proste, bo Lamarck słynął z efektownego stylu i fantazji w doborze stroju. Swoją wyjątkowość akcentował białym garniturem z lnu, identyczną kamizelką i gładkim, czerwonym krawatem. Wyglądał w tym stroju jak szacowny, choć odrobinę ostentacyjnie ubrany, miejscowy biznesmen. Ten sam wzgląd przyświecał mu przy wyborze auta, Cadillaka o lekko kremowym odcieniu karoserii.



Lamarck gardził ozdóbkami, które tak lubią ludzie jego pokroju, nie zamontował bowiem na przykład fałszywych, chromowanych rur wydechowych. Co innego koledzy: jeden z nich, rzekomy teksańczyk, przykręcił do maski swojego Lincolna parę bawolich rogów. Nic mu to nie pomogło, bo i tak wszyscy wiedzieli, że kowboj jest w rzeczywistości białym obdartusem z zapadłych okolic Alabamy, który w dodatku nie potrafi utrzymać w ryzach własnych dziewczynek.

Za to Lamarck miał prawdziwy talent pedagogiczny. Sam powtarzał to sobie przy lada okazji, nawet teraz, kiedy otwierał drzwiczki samochodu, by wpuścić do środka swój najnowszy nabytek, świeżutką piętnastolatkę o wyglądzie niewiniątka i wstydliwym obejściu, dzięki którym miała szanse na dobre wejść do ośmioosobowej stajni Lamarcka. Był wobec niej uprzejmy jak nigdy w nagrodę za specjalne usługi, jakie mu oddała rankiem. Luksusowy samochód zapalił natychmiast. O wpół do ósmej wieczorem Pierre Lamarck znowu ruszał do pracy, ponieważ w Nowym Orleanie zabawa zaczynała się wcześniej i trwała do świtu. W mieście odbywał się akurat zlot przedstawicieli dużej firmy. Co rusz trwały tu zjazdy, sympozja i zloty. Lamarck umiał zawsze poznać, kiedy zaczyna się kolejna impreza, bo natychmiast poprawiały się obroty jego przedsiębiorstwa. Przyjemnie jest pracować w ciepłą noc, w dodatku z gwarancją pokaźnej fortuny.

\* \* \*

Czuwający kilkadziesiąt metrów z tyłu Kelly nie miał już żadnych wątpliwości, że znalazł poszukiwaną osobę. Kto inny miałby na sobie trzyczęściowy garnitur, a przy boku dziewczynkę w obcisłej minispódniczce? Na pewno nie młodszy księgowy. Nawet z dużej odległości biżuteria dziewczyny sprawiała wrażenie tandetnej, krzykliwej imitacji. Kelly wrzucił bieg — wynajęty wóz miał oddać dopiero na lotnisku — i ruszył w ślad za Cadillac’iem. Nie musiał się nawet trzymać bardzo blisko, wiedząc, jak niewiele się widuje podobnych wozów. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, od Cadillac’a oddzielały go trzy inne samochody. Kelly nie spuszczał jednak oka z Lamarcka, a prowadził właściwie machinalnie. Szło mu to łatwo: tylko raz musiał zaryzykować mandat, żeby nie zgubić zdobyczy. Cadillac zatrzymał się przed wejściem do eleganckiego hotelu. Dziewczyna wysiadła i ruszyła ku drzwiom, energicznie, lecz także z pewną rezygnacją. Kelly nie miał ochoty oglądać z bliska jej twarzy. Po co kusić wspomnienia? Tej nocy nie chciał i nie mógł się rozklejać. Gdyby zawsze przestrzegał tej zasady, nie musiałby przystępować do dzisiejszej akcji. Natchnienia musiał więc szukać nie w emocjach, lecz zupełnie gdzie indziej. Zaczynał już sobie zdawać sprawę, jaki ból sprawi mu to, co zamierzał, ale nie oznaczało to wcale, że zrezygnuje. Kelly przybył na tę właśnie ulicę i o tej właśnie porze w bardzo konkretnych zamiarach.

Cadillac ruszył i parę ulic dalej zatrzymał się przed błyskającym neonami lecz dość podejrzany barem. Lokal mieścił się w pobliżu dobrych hoteli i firm. Do-

tyczyło to całej dzielnicy rozrywek. Tak było wygodniej dla wszystkich. Sznur taksówek i ruch przed wejściem do baru podpowiedziały Kelly'emu, że miejscowy półświatek nie narzeka na brak zajęcia. Kelly zapamiętał więc sobie nazwę lokalu i odjechał.

Zaparkował samochód trzy ulice dalej, rozmyślnie, by wracając spacerkiem wzdłuż Decatur Street zapoznać się z lokalnym kolorytem i topografią miasta. Chodziło mu zwłaszcza o to, by znaleźć dogodny teren dla planowanej akcji. Miał na to czas aż do świtu. Kiedy szedł, dziewczyny w mini uśmiechały się do niego zapraszająco, ze spontanicznością zapożyczoną od świateł na skrzyżowaniu. Kelly nie zwracał na nie uwagi i szedł w swoją stronę, rozglądając się na wszystkie strony. Cichy głos przypominał mu, że był czas, kiedy reagował na takie zaproszenia zupełnie inaczej. W tej chwili zaprzętało go jednak zupełnie co innego.

Ubrał się na ten wieczór dość swobodnie, w luźne, ciemne rzeczy, w sam raz na duszną i wilgotną noc. Ubranie znamionowało zamożność, ale nie ostentację. Szedł przed siebie krokiem, który zapowiadał, że lepiej go nie zaczepiać. Jednym słowem wyglądał jak szacowny obywatel, który postanowił tej nocy po cichu zakosztować uciech życia.

Dochodziło dwadzieścia po ósmej, kiedy Kelly przekroczył próg baru „Chats Sauvages”. W środku uderzyła go fala zgiełku i papierosowego dymu. Na estradce, na drugim końcu pomieszczenia, grał mały, ale hałaśliwy zespół rockowy. Obok był nawet parkiet do tańca, wielkości średniego dywanu, na którym towarzystwo mniej więcej w wieku Kelly'ego podrygiwało rytmicznie. Natomiast przy stoliku, w kącie sali, siedział Pierre Lamarck w towarzystwie znajomych albo kolegów po fachu — o czym świadczył ich wygląd. Kelly pomaszerował prosto do toalety, trochę dlatego, że musiał, ale także po to, by obejrzeć sobie dokładniej całe wnętrze. Nieco z boku sali znalazł zapasowe wyjście, oddalone od stolika Lamarcka tak samo, jak główne, czyli to, którym Kelly dostał się do baru. Najkrótsza droga od stolika do białego Cadillaka wiodła obok barowego stołka, na którym zasiadł teraz Kelly. Posterunek wydawał mu się idealny. Nie pozostawało nic innego, jak zamówić sobie piwo i posłuchać kapeli.

Dwie minuty po dziewiątej do Lamarcka podeszły dwie młode dziewczyny. Jedna usiadła mu zaraz na kolanach, a druga skubnęła go ustami w ucho. Siedzący przy tym samym stoliku dwaj koledzy Lamarcka patrzyli obojętnie, jak dziewczyny podają coś swojemu władcy. Co podawały, tego Kelly nie potrafił dostrzec, zwłaszcza że patrzył tylko na muzyków i umyślnie nie zwracał uwagi na Lamarcka. W wyjaśnieniu zagadki dopomógł mu sam alfons. Kelly nie zdziwił się nawet, kiedy Lamarck zaczął ostentacyjnie przeliczać wręczoną mu gotówkę i, nie kryjąc się, dołączył pieniądze do grubego zwitka, jaki miał w bocznej kieszeni spodni, czyli do tak zwanej „kukły”. Kelly zadał sobie trud, żeby przed akcją zapoznać się trochę z obyczajami i folklorem alfonsów. Dziewczyny zaraz wyszły, a do Lamarcka podeszła następna młoda kobieta. Powtarzało się to przez cały wieczór.

To samo dotyczyło dwóch kolegów Lamarcka. Cała trójka zamawiała sobie coraz to nowe kolejki, płaciła żywą gotówką i dla rozrywki podszczypywała kelnerkę. Zamiast przeprosin wystarczał solidny napiwek. Kelly starał się nie tkwić jak kulek. Po pewnym czasie zdjął marynarkę i zawinął rękawy koszuli w nadziei, że bywalcy wezmą go za nowego gościa. Przez cały wieczór wysączył tylko dwa piwa. Zajęcie było nudne, lecz zajęty obserwacją Kelly nie odczuwał tego. Patrzył, kto dokąd idzie, kto wychodzi, a kto się wita, kto zostaje, kto siedzi stale na tym samym miejscu. . . Wkrótce mógł już umownie ponazywać sobie bywalców baru i dostrzegł prawidłowości w ich zachowaniu. Dotyczyło to zwłaszcza Lamarcka, który nie zdejmował marynarki i stale siedział plecami do ściany. Rozprawiał o czymś z ożywieniem z kompanami, ale było jasne, że nie są przyjaciółmi. Ich gesty były na to zbyt serdeczne, a żarty zbyt głośne. Bez przerwy klepali się po plecach, jak ludzie, którzy chcą zademonstrować sobie i światu, że przestają ze sobą bynajmniej nie ze względu na pieniądze. Kelly przekonał się, że nawet alfonsi wiedzą, co to samotność. Nawet we własnym gronie przebywali wśród znajomych, nie wśród przyjaciół. Tyle, jeśli chodzi o bardziej filozoficzne obserwacje. Z konkretnych spraw Kelly zauważył, że Lamarck uparcie nie zdejmuje marynarki. Mogło to tylko oznaczać, że ukrył pod nią broń.

Po północy Kelly znów włożył na siebie marynarkę i jeszcze raz pomaszerował do toalety. W kabinie przełożył za pasek ukryty dotąd w spodniach pistolet. Dwa piwa w cztery godziny? Z taką ilością alkoholu wątroba powinna się uporać bez trudu. Zresztą przy swojej wadze Kelly nie musiał specjalnie dbać o wstrzeźliwość. Oby tak było, pomyślał z powątpiewaniem.

Udało mu się dobrze wyczuć moment, bo kiedy po raz piąty mył ręce, spostrzegł w lustrze, jak otwierają się drzwi toalety. Widział tylko plecy mężczyzny przy pisuarze, ale ten biały garnitur poznałby wszędzie. Wystarczyło teraz poczekać, aż Lamarck naciśnie spłuczkę i gwoli higieny ruszy ku umywalce. Ich oczy spotkały się w lustrze.

— O, pardon — odezwał się Pierre Lamarck. Kelly ustąpił mu miejsca przy umywalce i zaczął wycierać ręce papierowym ręcznikiem.

— Ładne dziewczynki — szepnął konfidentycznie do alfonsa.

— Hmm? — Lamarck zdążył zaliczyć sześć kolejek, z którymi jego wątroba miała duży kłopot. Nie przeszkodziło mu to jednak podziwiać własnego odbicia w brudnym lustrze.

— Te, co się tak kręcą koło pana — Kelly zniżył głos jeszcze bardziej. — Pan jest może ich, hmm. . . Ich szefem?

— Można tak to ująć, młodzieńcze. — Lamarck poprawiał sobie fryzurę za pomocą czarnego plastikowego grzebienia. — Skąd ta ciekawość?

— Może bym tak parę. . . wynajął? Co? — wykrztusił zakłopotany Kelly.

— Parę? Mamy apetycik, przyjacielu. A damy sobie radę? — zapytał Lamarck z krzywym uśmiechem.

— Jestem w mieście z kolegami. Jeden ma dzisiaj urodziny, więc. . .

— Więc chcielibyście mu zorganizować przyjęcie — dokończył ciepło alfons.

— Właśnie! — Kelly udawał zawstydzienie, lecz wydawało się, że się po prostu płacze. Tak czy owak, przynęta chwyciła.

— Trzeba było mi tak od razu. . . To ile dziewczynek pan sobie życzył

— Trzy. Albo lepiej cztery. Ale może pogadamy na dworze, co? Głowa mnie trochę boli.

— Jasna sprawa. Tylko umyję ręce, dobrze?

— To ja poczekam przed wejściem.

Ulica opustoszała. Nowy Orlean mógł sobie tętnić nocnym życiem w soboty, ale nie teraz, w środku tygodnia. Na chodnikach nie było więc tłoku. Kelly czekał, umyślnie odwrócony plecami do wejścia baru. Wkrótce poczuł na plecach przyjacielskie klepnięcie.

— Nie ma się czego wstydzić. Każdy chce się zabawić, zwłaszcza na wyjeździe. No nie?

— Zapłacę, ile trzeba — zapewnił go gorliwie Kelly.

Lamarck obdarzył go uśmiechem światowca. Podstawowa sprawa to zmieścić frajera, zwłaszcza takiego wieśniaka jak ten.

— Za moje panienki trzeba dać parę dolców. Zaslужują na to. A może potrzeba wam czegoś jeszcze, co?

Kelly odkaslnął i odstał kilka kroków w bok. Jak się tego spodziewał, Lamarck podążył za nim.

— Nno. . . Może by się znalazło coś na rozruszanie? Żeby humor dopisywał?

— Załatwione — zapewnił go Lamarck. Byli coraz bliżej początku zaułka.

— A ja chyba już kiedyś pana prosiłem o pomoc. Ale ładnych parę lat temu. Pamiętam tylko dziewczynę, zaraz, jak jej było. . .? Pam? Właśnie, Pam. Taka chuda, z płowymi włosami.

— Owszem, owszem. Niezła z niej była numerantka. Już u mnie nie pracuje — zbył go Lamarck. — Mam nowe, jeszcze lepsze. Moi klienci lubią taki młody, świeży towarek.

— Chętnie uwierzę — odezwał się Kelly, sięgając pod marynarkę. — Aha, a one też biorą? No, wie pan, o co mi chodzi. . .

— Co, czy biorą moje pigułki rozweselające? Jasne! I dlatego zawsze mają ochotę się zabawić. Kobitka musi wiedzieć, co lubią panowie. — Lamarck zatrzymał się u wylotu zaułka i rozejrzał się, może w obawie przed policją. Kelly’emu bardzo to odpowiadało. Za sobą miał w tej chwili mroczny, długi przesmyk bez okien. Między ceglanymi murami widać było tylko kubły na śmieci i parę bezdomnych kotów. Na drugim końcu zaułek wychodził na sąsiednią ulicę.

— No, to policzmy. Cztery dziewczyny na całą resztę wieczoru. Do tego coś na dobry humor, tak? Wychodzi mi jak nic pięć stów. Wiem, że moje dziewczynki nie są tanie, ale za to potrafią takie sztuki, że. . .

— Obie łapy do góry — przerwał Kelly, celując mu w pierś lufą *Colta*. Lamarck nie wierzył własnym oczom, a w jego głosie rozbrzmiewała prawdziwa wściekłość:

— Uważaj, synku, bo robisz straszne głupstwo. . .

Kelly dla odmiany przemawiał tonem rozsądnym i rzeczowym.

— Nie kłóć się z pistoletem, bo to jeszcze większe głupstwo. Młodzieńcze. W tył zwrot, i jazda do połowy zaułka. Jak będziesz grzeczny, może ci się jeszcze uda zdążyć do tego baru na kielicha przed snem.

— Musi ci strasznie brakować forsy, że idziesz na taki przewał — zauważył alfons tonem ukrytej groźby.

— Oplaca ci się umierać dla paru dolców? — zapytał go Kelly. Lamarck obliczył w myślach swoje szanse i posłusznie ruszył w mrok.

— Stój! — nakazał mu Kelly, kiedy uszli pięćdziesiąt metrów. Stali tuż przy ślepej ścianie baru, a może przy innej, identycznej. Kiedy Lamarck się zatrzymał, Kelly złapał go lewą ręką za kark i z całej siły pchnął na ceglany mur. Trzy razy rozejrzał się, czy są w zaułku zupełnie sami. Słychać było jednak tylko stłumioną muzykę i samochody na ulicach. — Oddawaj broń! Tylko jak mówię: bez głupstw!

— Nie mam. . . — zaczął alfons i naraz tuż przy uchu usłyszał szczęk odwzalonego kurka.

— Masz mnie za durnia?

— Dobra, dobra. . . Już dobrze. . . — Lamarck tracił pewność siebie. — Zachowujmy się jak dżentelmeni, nie? Co tam forsa.

— Mądre słowa — ucieszył się Kelly. Nagrodą za cierpliwość był mały pistolecik. Kelly wsadził palec w kabłąk osłony spustu, by nie zostawić na broni odcisków palców. I bez tego okropnie ryzykował i chociaż do tej pory zachował najdalej posuniętą ostrożność, bardzo jasno zdał sobie teraz sprawę, na co się naraża. A narażał się solidnie.

Pistolecik zmieścił się w sam raz w kieszeni marynarki.

— A teraz pieniądze.

— Już, już! — panicznym głosem zapewnił go Lamarck. Dla Kelly'ego to, że tracił nad sobą panowanie oznaczało dobrą i złą nowinę jednocześnie. Miło było zobaczyć, jak ktoś taki jak Lamarck trzęsie się ze strachu, ale w panice człowiek może się zdobyć na każde głupstwo. Zamiast się rozluźnić, Kelly zamarł w napięciu.

— Dziękuję, panie Lamarck — odezwał się spokojnie, kwitując odbiór pieniędzy. Dopiero teraz alfons zachwiał się i spróbował przyjrzeć się Kelly'emu. Coś widać dotarło do jego świadomości przez mglisty opar sześciu kolejek alkoholu.

— Zaraz, ale skąd. . . Mówiłeś, że znasz Pam, tak?

— Znałem — poprawił Kelly.

— Ale dlaczego... — Lamarck obrócił się jeszcze bardziej w stronę twarzy napastnika. W ciemności ujrzał tylko parę oczu. Resztę spowijał biały odblask i mrok.

— Pomogłeś jej zmarnować życie.

Reakcją było oburzenie.

— Co ty pierdolisz, człowieku?! Sama do mnie przyszła!

— A ty ją naszpikowałeś pigułkami na rozweselenie. Żeby zawsze miała ochotę do zabawy, tak? — zapytał bezpostaciowy głos. Lamarck nie pamiętał nawet w tej chwili, jak wyglądał rozmówca z toalety.

— No to co? Wszyscy tak robią! Sam ją miałeś w łóżku, nie? Była dobra, sam powiedz!

— Och, doskonała.

— Za mało ją poduczyłem. Inaczej nie byłoby cię tutaj, tylko... Zaraz, dlaczego mówisz, że ją „znałeś”?

— Bo nie żyje — wyjaśnił Kelly, sięgając do kieszeni. — Ktoś ją zabił.

— I co z tego? Ja jej nie zabiłem! To nie ja, słyszysz? — Lamarckowi wydawało się, że zdaje egzamin, który ma zdecydować o jego życiu, i że nie ma pojęcia, o co go pytają.

— Wiem, że nie ty — zapewnił go Kelly, zajęty nakręcaniem tłumika. Lamarck spostrzegł to jakimś cudem. Pewnie przywykł już trochę do ciemności. Zdążył jeszcze zapytać cienkim głosem:

— Jak nie ja, to dlaczego... Dlaczego mi to robisz...?!

Był tak zaskoczony, że nawet nie próbował krzyknąć, sparaliżowany czystym nieprawdopodobieństwem tego, co przytrafiło mu się w ciągu zaledwie paru minut. W jednej chwili zniknęła normalność barowego wnętrza, a na jej miejscu piętnaście metrów obok pojawił się ślepy, ceglany mur. W myślach Lamarck gorączkowo szukał odpowiedzi. Dlaczego? Odpowiedź wydawała mu się ważniejsza niż próba ucieczki, która i tak była skazana na niepowodzenie.

Kelly parę sekund zastanawiał się nad odpowiedzią. Przychodziło mu do głowy wiele jej wariantów, lecz tylko jeden z nich rzeczywiście oddawał to, co czuł w tej chwili. Podnosząc do oka broń, postanowił powiedzieć schwytanemu człowiekowi prawdę.

— Dla wprawy.

## 14 — Nauki

Poranny przelot z Nowego Orleanu na lotnisko krajowe w Waszyngtonie trwał krótko, toteż nie wyświetlano filmu, a Kelly, który zdążył już zjeść śniadanie, musiał tkwić bezczynnie w fotelu przy oknie, obracając w palcach szklaneczkę soku pomarańczowego. Na szczęście pasażerowie zapełnili samolot zaledwie w jednej trzeciej, dzięki czemu mógł spokojnie, jak to miał w zwyczaju, analizować w myślach najdrobniejsze szczegóły zakończonej akcji. Nabrał takiego nawyku w oddziałach SEAL, gdzie po wszystkich ćwiczeniach taktycznych dowódcy fundowali mu pogadankę. Nie chodziło o rachunek sumienia, prędzej o podsumowanie testu sprawnościowego.

Pierwszy błąd spowodowały dwa czynniki: potrzeba serca w połączeniu z roztargnieniem. Kelly pragnął, by Lamarck skonał po ciemku, ale skoro tak, niepotrzebnie się przysunął do ofiary aż tak blisko. Roltargnienie? Jak można zapomnieć, że przy ranach postrzałowych głowy krew lubi tryskać na wszystkie strony? Kelly uskoczył przed karminowym gejerem niczym dziecko przed żądłącą osą, lecz oczywiście nie udało mu się go uniknąć tak do końca. Całe szczęście, że był to jedyny błąd, na jaki sobie pozwolił, a wybór umyślnie ciemnego ubrania zapobiegł dalszym konsekwencjom. Lamarck zginął, i to natychmiast — co do tego nie mogło być wątpliwości, bo przecież zwałił się na bruk bezwładnie jak szmaciana lalka. Z kolei śrubki w dwóch otworach, jakie Kelly wywiercił i nagwintował w zamku, przytrzymały płócienny woreczek (również własnoręcznie uszyty przez Kelly'ego). Łuski z obu wystrzelonych pocisków wylądowały wprost w woreczku, uniemożliwiając policji zebranie dodatkowych informacji. Zaczajając się na ofiarę Kelly nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi — ot, bezbarwna anonimowa postać w dużym lokalu, pełnym nie znających się nawzajem ludzi.

Trafny, choć tak pośpieszny, okazał się również wybór miejsca egzekucji. Kelly doskonale pamiętał, jak łatwo się wycofał z zaułka i przebył odległość dzielącą go od samochodu. W motelu błyskawicznie się przebrał, powalane krwią spodnie i koszulę, a potem jeszcze na wszelki wypadek bieliznę, zwinął i wcisnął do plastikowego worka, a pakunek wrzucił do wielkiego kontenera na śmieci na parkingu centrum handlowego po drugiej stronie ulicy. Nawet jeśli ktoś się natknie na te

łachy, pomyśli, że wyrzucił je upaprany niechcący rzeźnik. Przy ludziach Kelly nie zamienił z Lamarckiem ani słowa, a jedynym dobrze oświetlonym miejscem, gdzie rozmawiali, była barowa toaleta — trochę z przypadku, lecz po części dlatego, że Kelly tak to sobie obmyślił. Na chodniku także było ciemno, a Lamarck nie natknął się na nikogo znajomego. Zresztą nawet gdyby ktoś ich rzeczywiście spostrzegł, mógłby w śledztwie opisać Kelly'ego tylko z grubsza, podając co najwyżej jego wzrost i budowę. Spoglądając przez okienko na lesiste wzgórze północnej Alabamy, Kelly uznał, że opłacało się w ten sposób ryzykować. Zabójstwo miało wyglądać na pospolity mord rabunkowy, co potwierdzał zwitek odebranych alfonsowi banknotów w torbie Kelly'ego. Po przeliczeniu, okazało się że „kukła” zawiera równo 1.470 dolarów. Suma, która nie chodzi piechotą, a zresztą, gdyby pozostawić ją przy zwłokach, policja mogłaby zacząć podejrzewać, że komuś zależało na sprzątnięciu Lamarcka z mniej oczywistych i nie dających się tak łatwo uzasadnić w raporcie powodów. Jeśli chodzi o fizyczną stronę akcji — Kelly uważał, że określenie „morderstwo” zupełnie nie pasuje do okoliczności — wszystko poszło jak się tylko da najlepiej. A strona psychologiczna? Kelly sam zadawał sobie takie pytanie. Chodziło mu w tej akcji o to, by sprawdzić własną zimną krew. Eliminacja Pierre'a Lamarcka miała więc dla niego wymiar eksperymentu. Kelly'ego zaskoczyło już to, że w ogóle potrafi postawić sprawę w taki sposób. Minęło ostatecznie ładnych parę lat od czasu, kiedy walczył z bronią w rękę i bezwiednie spodziewał się u siebie innej reakcji, kiedy już będzie po wszystkim. Wstrząsu, drżenia rąk... Doświadczał już tego u siebie wielokrotnie, tymczasem... Od zwłok Lamarcka odchodził wprawdzie dość niepewnym krokiem, ale dalszą część marszruty powrotnej przebył już zupełnie śmiało, choć w napięciu, tak samo jak niejednokrotnie przedtem w Wietnamie. Wróciło mu całe stare doświadczenie, z taką mocą, że Kelly potrafiłby wyliczyć znajome doznania punkt po punkcie, jak na własnoręcznie nakręconym filmie instruktażowym — przede wszystkim wyczucie zmysłów na każdy bodziec, docierający teraz do skóry jak gdyby przetarto ją papierem ściernym, odsłaniając najdrobniejsze nerwy, potęgując wzrok, słuch i węch. Dawno się, kurwa, nie czułem taki żywy, pomyślał trochę melancholijnie, bo ceną za to było odebranie komuś życia. Inna sprawa, że w ocenie Kelly'ego Lamarck dawno odebrał sobie prawo do życia wśród ludzi. Gdyby na świecie była sprawiedliwość, ktoś — nie „człowiek”, tylko „ktoś”, bo dla Kelly'ego Lamarck nie był człowiekiem — kto żeruje na słabszych od siebie, na głupich dziewczynach, nie miałby prawa oddychać tym samym powietrzem, co normalni ludzie. Kto wie, może taki Lamarck zbłądził, bo nie kochała go mamusia, a tatuś łał pasem, może wyrastał w nędzy, nie miał kolegów, może chodził do marnej szkoły, ale czy to cokolwiek zmieniało? Nędzą i skazami w psychice mogą się zająć specjaliści, którzy od tego właśnie są, psychiatrzy, ludzie z pomocy społecznej. A poza tym Lamarck nie wyglądał na upośledzonego, przeciwnie, świetnie sobie radził w swoim świecie. Zdaniem



Kelly'ego, robił to, co lubił z wyboru, chęci zysku i niskich pobudek. Ryzykował, owszem, ale Kelly od niepamiętnych czasów był zdania, że jeśli ktoś umyślnie się wychyla, nie powinien się dziwić, kiedy coś mu utnie głowę. W ślad za każdą z wysyłanych na ulicę dziewczyn mógł nadciągnąć jej szukający zemsty ojciec, albo matka, brat czy chłopak. I Lamarck dobrze o tym wiedział, wkalkulował ryzyko. A kto ryzykuje, może się czasem nadziać, pomyślał Kelly. Skoro facet nie zadał sobie trudu, by ocenić, na co się puszcza, trudno. — Mnie nic do tego szepnął pod adresem ziemi, mającej dwanaście kilometrów pod nim. Jak więc czuł się po fakcie? Warto było się nad tym chwilę zastanowić. Kelly rozsiadł się w fotelu i przymknął oczy, jak gdyby drzemał. Przyciszony głos, który mógł być głosem sumienia, podpowiadał mu, że coś przecież powinien odczuwać, wszystko jedno co, cokolwiek... Kelly szukał w sobie odzewu, lecz po paru minutach dał za wygraną. Nie miał żadnych, najmniejszych skrupułów. Lamarck był dla niego nikim, a i reszcie świata zapewne nietrudno się będzie pogodzić z tą śmiercią. Co najwyżej dziewczyny — Kelly naliczył ich w barze pięć — zostaną nagle osierocone, bez alfonsa. I dobrze, może któreś z nich przyjdzie do głowy skorzystać z takiej okazji, żeby wrócić do normalnego życia. Mało prawdopodobne, ale zawsze. Rozsądek podszeptował Kelly'emu, że nie zbawi się świata w pojedynkę, lecz oprócz rozsądku był jeszcze idealizm — ten zaś szeptał, że chociaż nie naprawi się całego świata, to i owo można jednak zrobić.

Wszystkie te rozmyślenia zaczynały niepotrzebnie przesłaniać pytanie pierwsze i zasadnicze: co właściwie czuł, kiedy strzelał do Pierre'a Lamarcka? Na zimno, po fakcie, jedyna odpowiedź brzmiała: nic. Zadowolenie zawodowca nie miało nic wspólnego z ludzką satysfakcją, no i z prawdziwym charakterem akcji. Skracając życie Pierre'a Lamarcka, Kelly usunął z powierzchni planety szkodnika. Jeśli tkwił w tym element praktyczności, to nie były to nawet pieniądze, które zabrał ze względów taktycznych. Akcja nie była także odwetem za śmierć Pam. Sumienie również milczało, toteż Kelly uznał, że eksperyment powiódł się świetnie. Po tylu długich przygotowaniach dowiódł, że stać go na to, co zamierzył. Z zamkniętymi oczami mógł więc się nareszcie skupić nad dalszym ciągiem zadania. Zdarzyło mu się w życiu zabić wielu ludzi, którzy zasługiwali na to w mniejszym stopniu, niż Pierre Lamarck i dlatego mógł bez drżenia myśleć o zgładzeniu tych, którzy zasługiwali na to znacznie bardziej, niż jakiś gnojek z Nowego Orleanu. Rozdział był zamknięty.

\* \* \*

Tym razem to James Greer pełnił rolę gospodarza, co dało mu niejaki zadowolenie. CIA spisało się tu lepiej niż poprzednicy. Greer załatwił miejsca na parking dla superważnych gości — analogiczny parking na terenie Pentagonu

był zawsze zapchany albo niedostępny — i zabezpieczoną przed podsłuchem salę na spotkanie. Kaz Podulski rozmyślnie znalazł sobie miejsce daleko, przy samym końcu stołu, tuż przy kratce klimatyzatora, by nikt nie utyskiwał na to, że kopci papierosa za papierosem.

— A wiesz, Wściekły, nie pomyliłeś się co do tego chłopaka — mówiąc to, Greer podał odbitki spisanych ręcznie uwag, które nadeszły pocztą dwa dni wcześniej.

— Mówię, trzeba się było uprzeć i zaciągnąć go do tej szkoły oficerskiej, choćby pod lufą. Byłby z niego taki sam materiał, jak my w swoim czasie.

— No, to co się dziwić, że dał drapak! — zaśmiał się nie bez goryczy Podulski ze swojego miejsca przy końcu stołu.

Greer zaśmiał się również i zauważył:

— Tylko nie wiem, kto by się odważył przystawić mu lufę. W zeszłym tygodniu całą noc przeglądałem jego teczkę. To prawdziwy artysta w swoim fachu.

— Artysta? — zdziwił się nieprzyjemnie Maxwell. — Nie chcesz powiedzieć, James, że to jakiś nawiedzony?

Greer w rzeczywistości nie miał na myśli ani jednego, ani drugiego.

— Powiedzmy, że nie trzeba mu tłumaczyć, co i jak. Miał trzech różnych dowódców. Cała trójka podpisuje się oburącz pod każdym pomysłem tego chłopaka, no, z jednym wyjątkiem.

— Akcja PLASTIKOWY KWIAT? Chodzi o sprzątnięcie tego majora-politruka?

— Właśnie. Jego porucznik mało go za to nie zabił, ale jeśli się pomyśli, czego chłopak musiał się naogładać, można go winić co najwyżej za błąd w ocenie. I za to, że się w ogóle wtrącił.

— Już sobie zerknąłem na te materiały, James, i wątpię, czy bym wytrzymał na jego miejscu — rzucił Kaz, podnosząc głowę znad kartek. Mimo lat, zupełnie nie mógł zatracić przywar pilota myśliwskiego. — Sami popatrzcie, nawet zdania składa jak trzeba!

Mimo lekko chropawego akcentu, widać było, że Podulski zdążył pieczołowicie opanować wszystkie niuanse języka przybranej ojczyzny.

— Pamiątka po liceum u jezuitów — objaśnił Greer. — Aha, przejrzałem naszą wewnętrzną ocenę akcji MACZUGA. Zgadza się co do joty z analizą, jaką zrobił Kelly. Z tym, że Kelly w paru miejscach nie bał się wygarnąć, komu trzeba.

— A kto robił analizę CIA? — zaciekał się Maxwell.

— Kto? Robert Ritter. Ekspert od Europy, ściągnęli go niedawno. Fajny facet, może nie z tych wylewnych, ale na pracy w terenie zna się jak mało kto.

— To ktoś z operacyjnego? — upewnił się Maxwell.

— A, owszem. — Ma na koncie parę ładnych numerów, zwłaszcza z placówki w Budapeszcie.

— Ale powiedzcie mi — przerwał Podulski — skąd pomysł, żeby posadzić nad analizą MACZUGI faceta z Operacji?

— Nie udawaj, że nie wiesz, Kaz — wytknął Maxwell.

— Jeżeli dostaniemy zielone światło dla ZIELONA SKRZYNKA, musimy dostać od firmy kogoś z operacyjnego. Musimy, i kropka. Sami nie damy rady, za mało środków. Zgoda, panowie? — Greer rozejrzał się wokół stołu. Odpowiedziało mu kilka niepewnych przytaknięć. Podulski wbił wzrok w papiery, lecz po chwili zapytał, na dobrą sprawę w imieniu wszystkich pozostałych:

— Można mu ufać?

— To nie on stał za fiaskiem MACZUGI, Kaz. Jim Angleton zdążył nam to sprawdzić, poza tym właśnie Angleton wpadł na pomysł z Ritterem. A zresztą, co wam będę mówił, sami wiecie, że jestem tu w firmie nowy. Ritter ma tu lepsze plecy ode mnie, poza tym moja działka to zwyczajne analizy, a on zna się na operacjach. W dodatku nie żaden robot. Wyobraźcie sobie, że prawie wyleciał z firmy za to, że próbował kogoś osłonić. Długa historia: najpierw zwerbował dla nas wtyczkę w rosyjskim GRU, a potem, kiedy się zrobiło gorąco i trzeba było przerzucić gościa na naszą stronę, paru dobrze ustawionych palantów zaczęło Ritterowi marudzić. A czemu właśnie teraz, a jak to wpłynie na rokowania... Jednym słowem, i Ritter, i ten jego agent, znaleźli się na lodzie. Z tym, że Ritter się nie przejął i na własną rękę wyprowadził swojego człowieka. To, że nie wyleciał, zawdzięcza tylko temu, że tamten facet znał parę spraw, za którymi od dawna chodził Departament Stanu.

Greer nie dodał, że incydent nie przysłużył się „geniuszowi od martini” z gabinetu na najwyższym piętrze jego gmachu. CIA działałoby o wiele sprawniej bez kukły w postaci dyrektora.

— Jakiś zawadiaka? — zaniepokoił się Maxwell.

— Nie, po prostu był uczciwy wobec swojego człowieka. W tym mieście zapomina się czasami o takich zasadach — odrzekł Greer.

Admirał Podulski podniósł wzrok znad stołu.

— Czyli ktoś, z kim moglibyśmy się dogadać.

— Dobrze, wprowadźcie go w stan przygotowań — polecił Maxwell. — Ale macie mu powiedzieć, że jeśli się kiedyś dowiem, że tamci ludzie wsiąkli, bo wygadał się jakiś cywil z tego gmachu, osobiście podskoczę do bazy w Pax River, osobiście siądę w A-4 i osobiście siknę mu na dom napalmem.

— Lepiej byś mnie zostawił takie sprawy, Wściekły — zaśmiał się Kaz. — Zawsze lepiej od ciebie upuszczałem takie upominki. Poza tym wylatałem sześćset godzin na tych „skuterach”.

Przez moment Greer nie był pewien, czy to tylko żarty.

— Dalej, co z naszym Kellym? — zapytał Maxwell.

— Jego nazwisko operacyjne w CIA to „Clark”. Jeżeli ma się nam przydać, lepiej będzie go wprowadzić jako cywila. Inaczej będzie sobie co rusz przypomi-

nał, że jest zwykłym bosmanem. Cywile nie przejmują się takimi sprawami, jak szarża.

— Zgoda, załatwione — padła odpowiedź Maxwella, który uznał posunięcie za sensowne. Nie będzie źle mieć w CIA kogoś z Marynarki, w cywilnym garniturze, lecz nadal podległego dyscyplinie wojskowej.

— Tak jest. Jeżeli przyjdzie nam trenować przed akcją, gdzie konkretnie możemy to robić?

— W bazie piechoty morskiej w Quantico — odpowiedział Maxwell. — Generał Young to mój stary kumpel. Też lotnik. Pójdzie mi na rękę.

— Ja też byłem razem z Marty'm na kursie oblatywaczy — dodał Podulski tytułem wyjaśnienia. — Zresztą z tego, co opowiadał Kelly, wynika, że nie potrzebny nam aż tak silny oddział. Zawsze byłem zdania, że do operacji MACZUGA nawadzano za dużo środków. A wiecie co? Jeżeli się uda, trzeba będzie jednak załatwić Kelly'emu ten medal.

— Nie wszystko na raz, Kaz — uciął Maxwell, wstał i obejrzał się na Greera. — Dasz nam znać, jeżeli Angleton coś wyniucha?

— Natychmiast — obiecał Greer. — Jeśli to prawda z tą wtyczką, wykryjemy i ukrećmy facetowi jaja. Jeździłem z Angletonem na ryby i wiem, że pstrąga potrafi wyczarować spod ziemi. Więc może i agenta...?

Kiedy pozostali wyszli, Greer umówił się na popołudnie z Robertem Ritterem. Oznaczało to, że z Kellym trzeba trochę poczekać; Ritter był ważniejszy. Choć z akcją należało się pośpieszyć, nie trzeba się było śpieszyć przesadnie.

\* \* \*

Lotnisko stanowiło miejsce po prostu idealne, bo tłoczne, pełne nieznanymi twarzą i opatrzone mnóstwem automatów telefonicznych. Kelly wybrał numer czekając na odbiór bagaży, ze słabą nadzieją, że wyjadą w spodziewanym miejscu.

— Greer — usłyszał.

— Clark — odpowiedział na to Kelly i uśmiechnął się pod nosem. Nazwisko operacyjne zatęczało mu pomysłami rodem z Jamesa Bonda. — Jestem już na lotnisku. Nadal chce pan, żebym się zjawił po południu?

— Nie. Coś mi wypadło. — Greer przerzucił stronicę kalendarzyka. — Może we wtorek. O wpół do czwartej. Może pan zajechać pod budynek, proszę mi tylko podać markę samochodu i numer rejestracyjny.

Kelly uczynił to, zaskoczony nagłą zmianą planów.

— Dostał pan moje uwagi?

— Owszem, panie Clark, dostałem. Omówimy je sobie we wtorek. Odwalił pan świetną robotę.

— Miło, że pan tak uważa — powiedział Kelly do słuchawki.

— W takim razie we wtorek. — Rozmówca rozłączył się.

— Dzięki i za to — szepnął Kelly, kiedy odwiesił słuchawkę. Po dwudziestu minutach odzyskał bagaże i ruszył na parking, a godzinę później był już w swoim mieszkaniu w Baltimore. Zbliżała się godzina posiłku, więc zrobił sobie dwie kanapki i popił je Colą. Umyślnie się tego dnia nie ogolił. Przekonał się w lusterku, że ma na twarzy pierwszy cień zarostu. Dokładnie tak, jak chciał. Uspokojony ruszył do sypialni, obiecując sobie długą drzemkę.

\* \* \*

Cywilna firma budowlana nie miała pojęcia, czego właściwie chcą od nich wojskowi, ale skoro płać. . . Budowlani zrobili to, co im kazano, bo nie wybrzydza się, mając rodzinę do wykarmienia i domek do spłacenia. Pomieszczenia, które postawili, zaplanowano w sposób zgoła spartański: goła cementowa podłoga, żadnych instalacji, a do tego te osobliwe proporcje, w ogóle nie spotykane w Ameryce. Amerykańskie były tylko materiały, lecz kształt i rozkład domów wydawał się wyjęty żywcem z jakiegoś nietypowego zagranicznego podręcznika. Robota nie była skomplikowana, tym bardziej że teren prac okazał się z góry przygotowany. Część cywilnych pracowników budowlanych miała za sobą służbę, większość w wojskach lądowych, znalazło się nawet paru z piechoty morskiej. Fakt, że przebywali na terenie rozległej bazy wojskowej w lesistej, północnej części stanu Wirginia, trochę ich bawił, a trochę niepokoił. Co rano, jadąc na miejsce prac, mijali grupy kadetów, galopujące wzdłuż szosy. Jeden z majstrów, niegdyś kapral w 1. Dywizji Piechoty Morskiej, patrząc na ogolone głowy rosnących młodzików z bazy zastanawiał się po cichu, ilu spośród nich dochrapie się stopnia oficerskiego i ilu wyląduje tam. Wiadomo, gdzie. I ilu spośród nich powróci do domu przed terminem rotacji, za to w blaszanej trumnie? Były kapral *marines* mógł się tylko domyślać ich liczby, bo miał równie nikły, jak tamci, wpływ na wydarzenia. Odsłużył swój turnus w piekle i powrócił nawet nie draśnięty. Nadal dziwił się, że tak mu się udało, bo w końcu nasłuchiwał się do syta naddźwiękowego trzasku kuł karabinowych i sam fakt, że uszedł z życiem, wydawał mu się graniczyć z cudem.

Dachy domów były już na ukończeniu. Wkrótce trzeba będzie opuścić plac budowy, i to zaledwie po trzech tygodniach świetnie płatnej pracy. Wojsko narzuciło ostre tempo: budowlani nie schodzili z placu przez siedem dni w tygodniu, a w dodatku każdego dnia zostawali dłużej, za co płacono im oddzielnie. Widocznie komuś zależało na pośpiechu. Budowa miała jeszcze inne dziwne cechy. Na przykład asfaltowy parking na sto samochodów. Ktoś wymalował nawet białe linie. Po co parking, skoro budynki nie mają wody ani prądu? Najdziwniejsze okazało się jednak najnowsze zajęcie byłego kaprala. Dostał tę fuchę, bo miał

chody u brygadzysty. Kazano mu mianowicie zbudować plac zabaw dla dzieci. Dużą huśtawkę, drabinki, piaskownicę, do której wysypano już pół wywrotki piachu. Sceneria była wymarzona dla dwuletniego syna byłego kaprała, bo jeszcze parę miesięcy, a mały pójdzie do przedszkola. Najpierw jednak trzeba się było namęczyć nad obróbką, poskładać wszystkie elementy, zbić je w całość... Nic dziwnego, że były kapral i dwaj pomocnicy biedzili się nad rysunkami, niby trójka podwórkowych ojców, którzy usiłują się połapać, gdzie wkręcić kolejną śrubę. O co w tym wszystkim chodzi, nie było już ich zmartwieniem. Chronił ich rządowy kontrakt i umowa związkowa, więc zadawanie pytań nie miało sensu, tym bardziej że zdaniem kaprała, wojsko kierowało się własną, pokrętną logiką. Piechota morska wie swoje, obojętnie jakie głupstwa wyprawia, więc skoro dowództwo uparło się płacić grube pieniądze za huśtawki, ich sprawa. W ciągu trzech dni kapral zarobił tu równowartość miesięcznej raty za domek. Trudno, zwariowana robota, ale pieniądze nie do pogardzenia. Majstrowi nie podobał się co najwyżej długi dojazd do pracy. Montując ostatni szczebel drabinek kapral miał wręcz cichą nadzieję, że sztab w Fort Belvoir wpadnie na podobny, równie zwariowany pomysł. Do Belvoir dałoby się dojechać z domu w głupie dwadzieścia minut. Ale pewnie nic z tego. Wojska lądowe nie mają takiej fantazji jak piechota morska. I całe szczęście.

\* \* \*

— I co nowego? — zapytał Peter Henderson przy kolacji, którą urządzili sobie dziś w restauracyjce nie opodal waszyngtońskiego Kapitolu. Obaj pochodzili z Nowej Anglii, z tą jednak różnicą, że Peter ukończył Harvard, a Wall Hicks uczęszczał na Brown. Peter był obecnie młodszym asystentem jednego z senatorów, a Wally początkującym urzędnikiem Białego Domu.

— Wiecznie to samo, Peter. — W głosie Wally'ego dało się słyszeć rezygnację. — Rokowania pokojowe drepczą w miejscu. My zabijamy tamtych, tamci zabijają naszych, i tak w kółko. Moim zdaniem ta wojna nie skończy się za naszego życia. Nie uważasz?

— Musi się skończyć, Wally — uciał Henderson, nalewając sobie drugie piwo.

— Ale co będzie, jeśli się nie skończy...

Obaj w swoim czasie uczęszczali do tej samej prywatnej szkoły, do Andover. W ostatnim roku nauki stali się parą bliskich przyjaciół, mieszkali w tym samym pokoju internatu i dzielili się wszystkim, czym mogli, od notatek z zajęć po dziewczyny. Dojrzałość polityczna spłynęła na nich jednak dopiero w pewien wtorkowy wieczór października, kiedy obejrzel w czarno-białym telewizorze w świetlicy przemówienie prezydenta kraju. Słowa prezydenta były surowe i pełne napięcia. Obaj młodzi ludzie dowiedzieli się, że na Kubie rozmieszczono pociski rakietowe.

Gazety donosiły o tym fakcie już od kilku dni, ale Pete i Wally jako dzieci pokolenia wychowanego wyłącznie na telewizji, wierzyli tylko w to, co docierało do nich spomiędzy poziomych pasów na szklanym ekranie. Dla obu z nich przemówienie stanowiło cokolwiek spóźnioną przepustkę do współczesnej rzeczywistości, tej samej, do której z taką opieszałością przygotowywała ich droga prywatna szkoła. W tamtych latach życie młodego człowieka w Ameryce wyglądało jednak z reguły spokojnie, wręcz leniwie, tym bardziej że rodziny obu chłopców także próbowały ich ochronić przed rzeczywistością. Grube pieniądze otwierały wszystkie drzwi, lecz nie mogły żadnemu z nich zaszczepić prawdziwej mądrości.

Obu chłopcom jednocześnie zaświtała ta sama, nagła, przerażająca myśl: ich świat stoi o krok od zagłady! Nerwowe pogawarki wśród ludzi przed telewizorem przekonały ich, że się nie mylą. Cały teren wokół ich szkoły roił się od celów. Na południowy wschód od nich leżał Boston, na południowy zachód baza lotnicza Westover, a w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów jeszcze dwie inne bazy strategiczne: Pease i Loring. Do tego jeszcze baza Marynarki w Portsmouth, gdzie stacjonowały atomowe okręty podwodne. Gdyby wystrzelono rakiety, Peter i Wally nie mieli szans na przeżycie: gdyby nie zginęli w wybuchu, dosięgnąłby ich opad radioaktywny. A przecież żaden z nich nie był jeszcze w łóżku z dziewczyną! Inni chłopcy z internatu chwalili się, że przeszli już ten chrzest — niektórzy przeszli go rzeczywiście — lecz Peter i Wally nie oszukiwali się nawzajem i wiedzieli, że mimo uporczywych, stale ponawianych wysiłków, obaj nie zaliczyli jeszcze żadnej kobiety. Jakież to podłe, że świat ma gdzieś ich potrzeby. Jak to, dlaczego? Przecież to właśnie oni należą do elity kraju! Czy nikomu nie zależy na tym, by przeżyli?

Obaj chłopcy nie spali tamtej październikowej nocy aż do świtu i rozprawiali szeptem, usiłując pojąć, jak to się stało, że ich świat bez ostrzeżenia zmienił się z zacisznej kołyski w klatkę bez wyjścia. Było jasne, że nie można siedzieć biernie — trzeba coś zrobić! Koniecznie! Jednakże kiedy rok szkolny dobiegł końca, obaj przyjaciele rozjechali się do domów. Na szczęście Harvard od uniwersytetu Brown dzieliła raptem godzina jazdy samochodem, więc Henderson i Hicks mogli kontynuować przyjaźń i pracować nad powodzeniem życiowej misji, jaką sobie narzucili. Obaj wybrali specjalizację z nauk politycznych, uznając to za najlepszy sposób, by włączyć się w proces, który ich zdaniem decydował o losach kuli ziemskiej. Obaj też zdobyli dyplomy magisterskie, a co najważniejsze, zostali zauważeni przez ludzi na stanowiskach. Pomogli im trochę rodzice. Również rodzice wyszukali im posady rządowe, i to takie, które pozwalały uniknąć służby w mundurze. Kiedy zbliżała się pora poboru do wojska, wystarczył jeden dyskretny telefon do osoby na odpowiednim stanowisku w waszyngtońskiej biurokracji.

W ten oto sposób obaj młodzieńcy doczekali się biurek w dwóch ważnych instytucjach, jako asystenci dwóch ważnych osobistości. Ich rojenia o wdrapaniu się na szczyty władzy przed trzydziestym rokiem życia rozbiły się o ślepy mur rze-

czywistości, lecz w samej rzeczy, obaj mieli większy wpływ na rzeczywistość, niż sami sobie to uświadamiali. To właśnie oni selekcjonowali informacje, jakie szły do ich szefów, to oni decydowali, co i w jakiej kolejności trafi na czyje biurko, to oni mieli najbardziej bezpośredni wpływ na tryb, w jakim zapadały decyzje. Oprócz tego sami posiadali dostęp do danych, które były bogate, urozmaicone i ściśle poufne. Często wiedzieli obaj o danej sprawie więcej niż przełożeni, co zresztą w ich mniemaniu odpowiadało rzeczywistości, bo przecież obaj lubili sobie powtarzać, że znacznie lepiej rozumieją świat, niż starsze pokolenie. Wszystko było takie proste! Wojna stanowiła zło, którego należy unikać za wszelką cenę, a jeśli było to niemożliwe, należało ją zakończyć zaraz po rozpoczęciu. Dlaczego? Dlatego, że na wojnie giną ludzie, a to już bardzo, bardzo źle. Jeśli nie dążyć do wojny, ludzie sami nauczą się, jak rozwiązywać swoje kłótnie drogą pokojową. Były to dla Hendersona i Hicksa prawdy tak oczywiste, że obaj nie mogli wyjść ze zdumienia widząc, iż tak niewielu innych ludzi jest w stanie pojąć Prawdę, która do nich obu dotarła jeszcze w szkole średniej.

Obaj byli bardzo do siebie podobni, choć z jednym wyjątkiem. Jako pracownik Białego Domu, Hicks był trybikiem Systemu. Na szczęście dzielił się z przyjacielem każdą ciekawą informacją. Mógł sobie na to pozwolić tym bardziej, że obaj mieli zezwolenie na dostęp do nader poufnych materiałów. Prócz tego Hicks musiał poznać opinię kogoś, kto go rozumiał i komu ufał.

Hicks nie wiedział natomiast, że Henderson prześcignął go w pokojowym zapale i uznając, że nie potrafi zmienić rządowej polityki od wewnątrz, musi działać inaczej. W dniach gniewnych demonstracji, jakie nastąpiły po inwazji wojsk USA na terytorium Kambodży uznał, że aby powstrzymać rząd, którego działania zagrażały przyszłości świata, pora zdać się na pomoc z zewnątrz. Na świecie były przecież miliony ludzi, którzy podzielali jego, Hendersona, umiłowanie pokoju — ludzie, którzy rozumieli, że nie da się nikomu siłą narzucić niechcianego rządu. Pierwsze kontakty z tymi ludźmi nawiązał Peter jeszcze na Harvardzie. Ktoś z jego znajomych działał w ruchu na rzecz pokoju i skontaktował go z kim trzeba. Peter wyrzucał sobie, że nie podzielił się tą decyzją z przyjacielem, ale nie nadzedł chyba jeszcze na to odpowiedni moment. Nie wiadomo, czy Wally zrozumie tę decyzję. Jeszcze nie dojrzał.

— Musi się skończyć, więc się skończy! — wykrzyknął teraz pod jego adresem i machnął na kelnerkę, by przyniosła im jeszcze dwa piwa. — Wojna się skończy, a my wyjdziemy z Wietnamu. Wietnam będzie miał taki rząd, o jaki walczy. Przegramy tę wojnę, ale nasz kraj tylko na tym skorzysta. Będzie to dla nas nauczka. Nareszcie dowiemy się, że nasza potęga ma swoje granice. Nauczymy się tak żyć, aby dać żyć innym. Ręce precz od Wietnamu!



\* \* \*

Kelly ocknął się tuż po piątej. Wydarzenia poprzedniego dnia wyczerpały go bardziej niż się spodziewał, a poza tym zawsze źle znosił podróże. Teraz jednak nie czuł zmęczenia. Ostatniej doby przespał jedenaście godzin, wypoczął i był w pełni przytomny. Kiedy spojrzął w lustro, ujrzał w nim odbicie draba z dwudniowym zarostem. O to chodzi! Pora była przejrzeć ubrania. Kelly wybrał dla siebie rzeczy ciemne, obszerne i możliwie znoszone. Zabrał to wszystko do blokowej pralni i przepuścił przez pralkę, w gorącej wodzie i z dodatkiem chloru, by dodatkowo sfatygować materiał i zgasić jego kolory. Zwykłe przeciętne ubrania zmieniły się tym sposobem w obrzydliwe łachy. Całości dopełniały grube stare skarpety i znoszone tenisówki — jedno i drugie wcale nie tak dziurawe, na jakie wyglądały. Koszula okazała się zbyt obszerna, co doskonale odpowiadało celom Kelly'ego. Do stroju doszła teraz jeszcze peruka, nie za długa, ze sztywnych, czarnych, azjatyckich włosów. Kelly potrzymał ją przez chwilę pod gorącą wodą, a potem wyszczotkował. Pomyślał, że warto jeszcze znaleźć jakiś sposób, by peruka śmierdziała.

Maskowanie ułatwiła mu tym razem aura, bo ponad miastem przeciągała falami wieczorna burza. Wiatr targał liśćmi i niósł ze sobą strugi deszczu. Pod tą osłoną Kelly bezpiecznie dotarł do Volkswagena. Przejechał spory kawałek i zatrzymał się przed sklepem monopolowym, gdzie kupił flaszkę taniego wina w nieodłącznej papierowej torbie. Niezwłocznie odkręcił zakrętkę i wylał połowę zawartości do rynsztoka. Pora była się zbierać.

Cały krajobraz uległ przemianie. Nie była to już dla Kelly'ego okolica, przez którą się po prostu przejeżdża, niezależnie od tego, czy widzi się niebezpieczeństwa czy nie. Jechał teraz przez strefę frontową. Po drodze minął miejsce, do którego zwiabił Billy'ego w czerwonym Roadrunnerze, więc obejrzał się, czy w glinie widać jeszcze ślady opon. Okazało się, że zniknęły. Kelly pokręcił głową. Przeszłość została daleko. Teraz liczyła się dla niego tylko przyszłość.

W Wietnamie, gdziekolwiek się spojrzało, widać było skraj dżungli miejsce, gdzie otwarta przestrzeń czy uprawne pola przechodzą w tropikalne zarośla. Na skraju dżungli kończyła się strefa bezpieczeństwa. Dalej byli już tylko uzbrojeni Wietnamczycy. Rozglądając się teraz po ulicach, Kelly wyobrażał sobie, że widzi taką samą linię graniczną. Różnica była jednak ogromna, bo tym razem przekraczał skraj miejskiej dżungli sam, nie w otoczeniu pięciu czy dziesięciu kolegów w panterkach, i nie piechotą, tylko w porzewiałym samochodzie. Wystarczyło dodać gazu i już było się w dżungli. Kelly rozpoczął kolejną wojnę.

Wyszukał dla samochodu wolne miejsce pośród innych, równie starych aut i wysiadł prędko. Trzasnął drzwiczkami i zanurzył się w zaułku za domami, pełnym śmieci i porzuconych lodówek. Szedł czujnie, a kiedy stwierdził, że się poci, wręcz się ucieszył. Zależało mu na tym, by sprawiać wrażenie brudnego i spoco-

nego włóczęgi. Dla lepszego efektu przepłukał usta tanim winem, a potem także ochlapał nim sobie twarz, szyję i ubranie. Schylił się, zgarnął spod muru garść ziemi i wysmarował nią sobie dłonie i przedramiona. Jeszcze parę maźnięć na twarz, do której przylepiły się także włosy z peruki. Kiedy wychynał na drugim końcu zaułka, wyglądał zupełnie jak jeden z dziesiątków zapijaczonych dziadków, którzy na tych ulicach stanowili widok jeszcze częstszy niż spece od narkotyków. Kelly szedł rozmyślnie powoli, trochę utykając, a trochę się zataczając. Wypatrywał dobrego punktu obserwacyjnego. Nie szukał długo, bo okazało się, że sporo domów ziele pustymi oknami. Trzeba było tylko znaleźć ten z najlepszym widokiem. Zabrało to Kelly'emu pół godziny. Dom stał na samym rogu, przy skrzyżowaniu, a z narożnego okna w wykuszu na piętrze można było obserwować cztery ulice na raz. Kelly wszedł do budynku tylnym wejściem i prawie podskoczył, kiedy w zrujnowanej kuchni smyrnęły mu spod nóg dwa szczury. Pieprzone szczury! Oczywiście nie były groźne, ale Kelly brzydził się ich pacior-kowatych oczek, wstrętnego futerka i łysych ogonów.

— Kurwa! — sapnął, bo to jakoś mu nie przyszło do głowy. Ludzie boją się pajaków, węży, albo wysokości. Kelly bał się wyłącznie szczurów. Ostrożnie ruszył przez sień, starając się obejść gryzonie szerokim łukiem. Szczury spojrzały na niego bez zainteresowania i cofnęły się, ale tylko trochę. Nie bały się Kelly'ego, a na pewno nie tak, jak on ich. Na jego przekleństwo odwróciły się i znów zabrały się za żer.

Po chwili zamiast strachu Kelly poczuł gniew. Wspiął się po odartych z poręczy schodach na piętro i odnalazł narożny pokój z wykuszem, wściekły na siebie, na własny strach i własną głupotę. Miał przy sobie doskonałą broń na szczury. Nie zanosilo się poza tym na to, że gryzonie sformują batalion uderzeniowy i ruszą na niego szczurzą ławą. Na samą myśl Kelly uśmiechnął się z zakłopotaniem i już spokojniej przycupnął przy oknie, by ocenić pole widzenia i zalety kryjówki. Okna były brudne i popękane, a niektórych szyb brakowało w ogóle, lecz wynagradzał to szeroki parapet, na którym dało się wygodnie usiąść. Najlepsze było jednak położenie domu. Z wysokiego piętra rozciągał się widok w cztery strony świata, bowiem urbaniści wytyczyli ulice w tej części miasta dokładnie wzdłuż osi wschód-zachód i północ-południe. Oświetlenie na ulicy było na tyle słabe, że z zewnątrz nie dało się wypatrzyć, co się dzieje we wnętrzu budynku. W ciemnych łachmanach, na piętrze opuszczonej rudery, Kelly stał się niewidzialny. Mógł spokojnie wydostać z zanadru niewielką lornetkę i rozpocząć obserwację.

Pierwszym zadaniem było zapoznanie się z tutejszą topografią. Ulewa zdążyła przejść, lecz zostawiła po sobie wilgotne powietrze, przesycone kropelkami wody i pełne owadów bzyczących wokół latarni ulicznych. Nadal było ciepło, prawie trzydzieści stopni, choć z upływem czasu zrobiło się trochę chłodniej. Na razie Kelly pocił się trochę i żałował, że nie zabrał czegoś do picia. Trudno, wodę weźmie się następnym razem, na razie da się jakoś wytrzymać. Na szczęście miał ze

sobą gumę do żucia. Uliczny hałas był odmienny w porównaniu z dżunglą, w której wciąż słyszy się cykanie owadów, krzyki ptaków i łopot skrzydeł nietoperzy. Tu, na ulicach, do uszu Kelly'ego dochodził bliski i daleki warkot samochodów, zgrzyt hamulców, stłumione albo głośne echa rozmów, szczekanie psów, klekot blaszanych kubłów na śmiecie. Wczuwał się w tę kakofonię, a jednocześnie spoglądał przez lornetkę i zastanawiał się, co dalej.

Piątkowy wieczór przed dniami wolnymi od pracy sprawił, że uliczny interes szedł dobrze. Szczególnie dopisali dziś zamożniejsi klienci. Prawie dwie przecznice dalej Kelly wypatrzył kogoś, kto musiał sprzedawać narkotyki. Młody chłopak, dwadzieścia parę lat. Po piętnastu minutach Kelly wrył sobie w pamięć rysopis detalisty i jego pomocnika. Obaj krążyli po ulicy bez lęku. Wynikało to z doświadczenia i z faktu, że czuli się tutaj u siebie. Kelly'ego ciekawiło, czy para musiała zdobywać albo bronić siłą tego kawałka chodnika. Interes kwitł. Trafiali się nawet stali klienci. Kelly doszedł do takiego wniosku na widok serdecznej rozmowy, w jaką obaj handlarze wdali się z kierowcą zagranicznego wozu, który zatrzymał się koło nich. Prześmiewki z kierowcą i pasażerem, transakcja, uścisk dłoni, pa-pa na pożegnanie. . . Handlarze byli mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy. Na swój użytek Kelly przeważał pierwszego z nich Kręgiel, a drugiego Dzbanek.

Kiedy przyglądał się nocnemu życiu tych ulic, przeklinał w duchu własną naiwność. Z narkotykami zetknął się dotąd raz, mianowicie kiedy w 3.SGO przyłapał jednego palanta na paleniu trawki — w dodatku tuż przed wyruszeniem na akcję. Chodziło o drużynę Kelly'ego i o podwładnego Kelly'ego, więc chociaż palant był prymusem tuż po szkole pletwonurków SEAL, nie było żadnych okoliczności łagodzących. Kelly postawił palacza na baczność i wyjaśnił mu, spokojnie acz dobitnie, dlaczego jeśli ktoś wyrusza na akcję w stanie mniej niż stuprocentowej czujności, wystawia na pewną śmierć nie tylko siebie, ale i resztę grupy. — Co się czepiasz, człowieku? Po tym jest fajnie! — brzmiała niezbyt inteligentna odpowiedź na tę tyradę. Pół minuty później inni żołnierze musieli siłą odrywać Kelly'ego od cwaniaka, który mu się naraził. Nazajutrz palant spakował manatki i pożegnał się z oddziałem na zawsze.

Kelly nie słyszał o innych przypadkach narkomanii w oddziale, w którym służył. Pewnie, że na tyłach potrafili się zaprawić piwem jak autobusy, a kiedy Kelly i dwaj koledzy polecili na Tajwan na urlop, po pijanemu mało nie wywrócili całej wyspy na lewą stronę, lecz mimo to Kelly był święcie przekonany, że picie a narkotyki to zupełnie nie to samo i nic nie było go w stanie przekonać, że mierzy świat podwójną miarą. Inna sprawa, że ruszając w dżunglę trzymali się od piwa z daleka. Tak dyktowały zwykły rozsądek i wzgląd na morale oddziału. Kelly nie słyszał też, by narkotyki stanowiły problem w innych elitarnych oddziałach. Za to w siłach lądowych, w formacjach złożonych z rezerwistów, którym do Wietnamu śpieszyło się jeszcze mniej niż jemu, narkotyki były na porządku dziennym.

Oficerowie nie potrafili temu zaradzić, czy to przez nieudolność, czy dlatego, że sami mieli dość tej wojny.

Niezależnie od przyczyny, fakt, iż Kelly nie poświęcał dotąd najmniejszej uwagi pladze narkotyków był tyleż logiczny, ile absurdalny. Jakże łatwo było zapomnieć o takich sprawach. Odkrycie nastąpiło późno, a przecież wszystko działało się dosłownie na jego oczach.

Po sąsiedniej ulicy, również widocznej z okna, kręcił się następny handlarz, który widocznie nie miał albo nie potrzebował pomocnika. Kelly nadał mu przezwisko Charlie Brown. W ciągu następnych pięciu godzin wykrył w polu widzenia i odnotował w pamięci jeszcze trzy punkty sprzedaży. Pora była się zastanowić nad wyborem celu. Najlepiej prosperowali Kręgiel i Dzbanek, z tym, że mieli ich na oku dwaj inni detaliści. Charlie Brown krążył po ulicy sam, ale nie opuszczał pobliża przystanku autobusowego. Dagwood stał na chodniku dokładnie naprzeciwko Czarodzieja, a w dodatku obaj mieli pomocników. Nic z tego. Duży Bob był potężniejszej budowy niż Kelly, a jego pomocnik nawet jeszcze większy. Nowy kłopot. Kelly nie miał zamiaru zadzierać z silniejszymi od siebie — przynajmniej na razie.

Kelly wiedział już, iż nie obejdzie się bez dobrego planu tej dzielnicy. I to planu, którego trzeba będzie nauczyć się na pamięć. Podzielił się dzielnicę na sektory, zaznaczył linie autobusowe, komisariaty policji. Trzeba będzie jeszcze poznać zwyczaje policjantów: pory zmian, trasy i częstotliwość patroli. Kelly uznał, że wystarczy, jeśli ograniczy się do terenu kilometra kwadratowego. Nie wolno parkować Volkswagena stale w tym samym miejscu, ani w ogóle w miejscach, które ze sobą sąsiadują. . .

Co jeszcze? W danym sektorze można polować tylko raz. Czyli trzeba będzie starannie dobierać cele. Poruszanie się po ulicach — wyłącznie w nocy. I jeszcze kwestia zapasowej broni. Pistolet? Nie. Lepiej nóż, byle dobry. Zwój sznurka albo kabla. I gumowe rękawiczki, takie jak do zmywania naczyń. Trzeba znaleźć coś na grzbiet, na przykład kurtkę myśliwską, taką z mnóstwem kieszeni. Nie, kieszenie niech będą po wewnętrznej stronie. Manierka z wodą i prowiant. Batoniki, żeby mieć energię. Guma do żucia? Czemu nie. Nawet balonowa! Kelly uśmiechnął się nareszcie i sprawdził czas. Dwadzieścia po trzeciej.

Ulice wyludniły się. Czarodziej i jego pomocnik odmaszerowali ze swojego kawałka chodnika i zniknęli za rogiem. Wkrótce w ich ślady poszedł Dagwood, po którego pomocnik podjechał autem. Kiedy Kelly przeniósł spojrzenie na kolejną ulicę, przekonał się, że zniknął także Charlie Brown. Oznaczało to, że pozostali tylko Kręgiel i Dzbanek na południe od opuszczonego domu i Duży Bob na zachód. Nadal od czasu do czasu opychali towar, nierzadko bogatym klientom w pięknych samochodach. Kelly obserwował ich jeszcze przez następną godzinę. Kręgiel i Dzbanek opuścili rewir jako ostatni. Zniknęli w mgnieniu oka. Kelly

nie wiedział, jakim cudem udało im się taka sztuka. Kolejna sprawa, którą trzeba sprawdzić.

Kiedy się podniósł, był zupełnie zeszywniały. Następny kłopot. Nie wolno tak długo siedzieć bez ruchu. Nawykłym do ciemności wzrokiem Kelly obserwował schody. Poruszał się jak tylko mógł najciszej, bo z wnętrza sąsiedniego domu dobiegały go hałasy. Na szczęście szczury zdążyły zniknąć. Kelly wyjrzał przez tylne drzwi i przekonując się, że w zaułku nie ma nikogo, chwiejnym krokiem pijaka ruszył ku ulicy. Do samochodu dotarł w dziesięć minut, lecz już w odległości pięćdziesięciu metrów zorientował się, że popełnił kolejny błąd: wieczorem ustawił Volkswagena pod samą latarnią uliczną. Przyrzekł sobie, że więcej się to nie powtórzy. Szedł powoli, zygzakując całą szerokością chodnika, dopóki nie zrównał się z samochodem. Rozejrzał się po opustoszałej ulicy, szybko wsiadł, zapuścił silnik i błyskawicznie odjechał. Dopiero dwie przecznice dalej włączył reflektory. Skręcił w lewo i znów ruszył ulicą pośród wyburzonych placów. Wyimaginowaną, choć przecież trochę rzeczywistą dżunglę miał teraz za plecami. Jechał na północ, do mieszkania.

W samochodzie znów mógł poczuć się bezpiecznie i trochę odetchnąć. Jazdąc, przeglądał w myślach wszystko, czego się napatrzył przez ostatnie dziewięć godzin. Wszyscy handlarze palili papierosy, kiedy w ciemności pstrykali zapalniczkami, na parę sekund tracili zdolność widzenia. Im dłużej stali na ulicy, tym mniej mieli klientów. Stawali się też coraz bardziej roztargnieni, nieuważni. Byli tylko ludźmi i nocne zajęcie męczyło ich jak wszystkich, tym bardziej że handlarze kładli się spać ostatni. Każdy z tych szczegółów mógł się okazać ważny i użyteczny. Kelly szukał słabych stron przeciwników, a te mógł najłatwiej znaleźć w ich sposobie bycia i w różnicach między poszczególnymi detalistami.

W sumie Kelly oceniał noc jako udaną. Kiedy minął miejski stadion baseballowy i skręcił w lewo w bulwar Loch Raven, odprężył się zupełnie. Miał wręcz ochotę pociągnąć z butelki łyk wina, ale nie była to odpowiednia chwila, żeby folgować nałogom. Kelly zdjął za to perukę i otarł spocone czoło. Boże, ależ mu się chciało pić!

Zaspokoił pragnienie dziesięć minut później, kiedy zaparkował samochód na swoim miejscu i cicho wślizgnął się do mieszkania. Spojrzał tęsknie na prysznic. Tak by się przydało splukać z siebie cały ten brud i smród... No, i szczury. Cholerne szczury. Kelly aż się wzdrygnął. Napełnił za to wysoką szklankę lodem i dolał wody z kranu. Po pierwszej szklance wypił zaraz następną i jeszcze jedną, a jednocześnie wolną ręką zrywał z siebie ubranie. Cudownie było znów się znaleźć w klimatyzowanym wnętrzu. Stanął przy samej kratce klimatyzatora i rozkoszował się chłodnym powiewem, omywającym ciało jak kąpiel. Zgłodniały wygrzebał w lodówce opakowanie mielonki i zrobił sobie dwie grube kanapki. Popił je następną szklanką wody.

Miał okropną ochotę wskoczyć pod prysznic, ale nie wchodziło to zupełnie w grę. Musiał przywyknąć do tego, że ciało oblepia mu kleista warstewka brudu. Z brudem musiał się zżyć i polubić go, gdyż odór, który wydzielalo jego ciało stanowiły odtąd dla niego część przebrania. Musiał wyglądać i śmierdzieć tak, by na jego widok ludzie odwracali się z miejsca i nie próbowali się nawet przybliżyć. Kelly nie mógł sobie pozwolić na ludzki wygląd. Chodziło mu o to, by zmienić się w dziwadło z miejskich ulic, pokrakę, którą się gardzi i odruchowo omija. Musiał się stać niewidzialny. Idąc do sypialni przejrzał się w lustrze. Twarz zdążyła mu już pociemnieć od zarostu. Wiedziony ostatnim odruchem, postanowił spać dziś na podłodze, nie na łóżku. Po co brudzić nowe prześcieradła?

## 15 — Nauka w praktyce

Piekło rozpętało się dokładnie o jedenastej rano, co nie znaczy, że pułkownik Zacharias wiedział, która jest akurat godzina. Tropikalne słońce o każdej porze dnia wydawało się trwać w zenicie i przepalało wszystko, na co padały jego promienie. Przed jego żarem nie dawało się uciec nawet w celi bez okien. Z równym skutkiem Zacharias mógł szukać wytchnienia od robactwa, które w rekordowym tempie mnożyło się w cieple. Amerykanin zachodził chwilami w głowę, jakim cudem cokolwiek może w ogóle żyć w takiej krainie. Wiadomo było za to na pewno, że wszystko, co w niej żyje, żyje po to, by dokuczyć lub dopiec Zachariasowi. Lepszej definicji piekła nie nauczono go nawet za młodu, w mormońskich szkołach i świątyniach. W wojsku Zacharias odbył szkolenie, które miało go przygotować na ewentualność strącenia i pobytu w niewoli. Kurs nosił miano PUNU, od słów Przeżyć, Ukryć się, Nie dać się, Uciec. Dla ludzi, którzy zarabiają na życie latając samolotami bojowymi, szkolenie tego typu stanowiło obowiązkowy punkt programu, w dodatku punkt najbardziej nienawidzony z całego życia w wojsku, gdyż słuchaczy — wypieszczonych, odpasionych pilotów Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej — zmuszano podczas kursu do wysiłków, przy których zbladłby nawet zaprawiony do wszystkiego instruktor z piechoty morskiej. Normalnie za podobne propozycje trafiało się pod sąd wojenny i lądowało na dłuższy czas w Leavenworth albo Portsmouth. Ani Zacharias ani jego koledzy-oficerowie nie zapisaliby się powtórnie na to szkolenie z własnej i nieprzymuszonej woli. Inna sprawa, że do celi, w której teraz siedział, Zacharias także nie trafił na ochotnika, prawda? Mogło więc wyglądać, że powtarza rok na szkoleniu z PUNU.

Wcześniej prawie nigdy się nie zastanawiał, co będzie, jeśli trafi do niewoli. Nie dlatego, że nie dopuszczał do siebie takiej myśli — trudno było jej do siebie nie dopuszczać, skoro dzień w dzień słyszało się elektroniczny skowyt nadajników alarmowych ze strąconych maszyn i oglądało się czasy spadochronów, próbowało się organizować akcje poszukiwania i ewakuacji i żyło w nadziei, iż wielki transportowy *Sikorsky* spłynie z szumem wirnika nad dżunglę ze swej bazy w Laosie, albo że „Anioł” z pokładu lotniskowca — tak lotnicy Marynarki nazywali swoje śmigłowce ratunkowe — w samą porę wyskoczy znad morza nad obce terytorium. Zachariasowi zdarzało się oglądać udane akcje ratunkowe, ale jesz-

cze częściej widział porażki. Nasłuchiwał się też przez radio panicznych, cholernie mało męskich głosów lotników, którzy lada chwila mieli zostać schwytani. — Zabierzcie mnie stąd! — wrzeszczał do ostatniej chwili pewien major, lecz potem przez radio dał się słyszeć inny głos, wypowiadający sznur słów, z których dało się odczytać tylko nienawiść. Zacharias i koledzy słuchali ich z goryczą i bezradną złością. Załogi ratowników z Armii i Marynarki robiły, co mogły, więc chociaż Zacharias był mormonem i przez całe życie nie tknął alkoholu, sam stawiał ratownikom wciąż nowe kolejki w ilościach, które położyłyby trupem pluton spadochroniarzy — z wdzięczności i z uznania wobec tak wielkiej odwagi, a zresztą w jakież inny sposób okazuje się żołnierską wdzięczność?

Jednak podobnie jak wszyscy inni członkowie tej żołnierskiej społeczności, Zacharias nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że niewola może się przytrafić właśnie jemu. Śmierć, owszem, Zacharias dopuszczał taką możliwość i często o niej myślał. Nie bez przyczyny samolot Zachariasza nazywano „Łasicą” — pułkownik sam był jednym z autorów tej części doktryny walki, a dzięki swej inteligencji i talentom pilota umiał także sprawdzić jej walory w powietrzu. Umiał zapędzać się swoim *F-105* nad obszary największego zagęszczenia sieci obrony przeciwlotniczej w historii i umyślnie wyszukiwał najgroźniejsze, najnowsze systemy obronne, by mierzyć się z nimi, wspomagany tylko własną inteligencją i wyszkoleniem. Na taktykę odpowiadał własną taktyką, talenty przeciwników równoważył własnym, drwił z nich, bawił się w kotka i myszkę i zastawiał coraz to nowe przynęty. Uważał te pojedynki za najbardziej pasjonującą grę na świecie, niczym szachy toczone w trójwymiarze i przy prędkościach przekraczających prędkość dźwięku. Zacharias siedział za sterami dwumiejscowego *Thuda*, a przeciwnik przy konsolach rosyjskich radarów i wyrzutni raketowych. Potykali się niczym zwinna mangusta i kobra, sam na sam, na śmierć i życie, dzień w dzień. Duma własna i niepospolite umiejętności wciąż podpowiadały Zachariasowi, że i tym razem wygra albo przynajmniej zakończy życie nagle, bezcieleśnie, dramatycznie i jak przystało na lotnika, bo w czarno-żółtej chmurze eksplozji.

Ani za młodu, ani teraz nie uważał się za osobę o wielkiej odwadze. Nie bał się śmierci po prostu dlatego, że był wierzący. Gdyby miał nagle zginąć w powietrzu, czuł że mógłby spojrzeć Bogu prosto w twarz, pełen pokory z racji niskiego stanu, lecz zarazem dumny z tego, jak przeżył całe życie. W samej rzeczy Robin Zacharias żył przykładnie i — jak mawiano wśród mormonów takich jak on — rzadko kiedy zstępował ze ścieżki cnoty. Potrafił być dobrym kolegą, sumiennym dowódcą, któremu nie jest obojętny los podwładnych, wzorowym ojcem rodziny i przyjacielem dla gromadki swych bystrych i prostolinijnych dzieci. Nade wszystko był pełnym wiary Starszym wśród ludzi swego wyznania i zgodnie z nauką oddawał swemu Kościołowi Świętych Dnia Ostatniego dziesiątą część wojskowej pensji. Jak wobec tego wszystkiego obawiać się śmierci? Za grobem czekało go nowe istnienie, którego Zacharias wypatrywał z zupełnym spokojem. Niepewność pozostawała



stawiał sprawom tego świata, zwłaszcza w obecnym czasie, kiedy nawet osoba tak silnej wiary jak on, szła czasem za podszeptami swej doczesnej powłoki. Ciało ma swoje ograniczenia, lecz tego pułkownik Zacharias nie był w stanie zrozumieć ani się z tym pogodzić. Powtarzał sobie, że sama wiara powinna wystarczyć, by przeprowadzić go przez najgorsze. Powinna, ale nie wystarczyła. Nauczyciele, którzy wpajali mu w dzieciństwie nauki Kościoła twierdzili, że wystarczy na pewno. Teraz jednak życie uczyło go zupełnie innej lekcji niż tamtych z dzieciństwa, prowadzonych w wygodnych salach szkolnych z widokiem na Góry Wasatch przez nauczycieli w czystoiteńkich, białych koszulach, w krawatach i z podręcznikami w ręku, lekcji wypowiedzianych głosem, którego pewność wyrastała z całej historii tej religii i jej wyznawców.

Ale tutaj jest inaczej. Uparty głos jak w zaciętej płycie powtarzał te słowa w myślach Zacharias. Pułkownik próbował udawać, że nie słyszy i ze wszystkich sił usiłował nie dopuścić do siebie takiego wniosku. Gdyby uwierzył, że jest miejsce, gdzie nie obowiązują uświęcone prawdy, sprzeniewierzyłby się swojej wierze, a tym samym zgodził się na wiekuiste potępienie. Zamordowany przed laty w Illinois John Smith nie bał się umrzeć za tę samą wiarę, i nie on jeden. W Starym i Nowym Testamencie pełno było imion męczenników — „bohaterów”, tak mówiło się o nich w społeczności, do której należał Robin Zacharias — dzielnie znoszących męki z rąk Rzymian i innych oprawców do chwili, kiedy przyszło im skonać z bożym imieniem na ustach.

Nawet męczennicy nie musieli cierpieć aż tak długo — upierał się jednak nikły głos. Rzeczywiście, ile cierpieli bohaterowie? Parę godzin, i już. Minuta piekielnych mąk na stosie, dzień albo dwa dni agonii na krzyżu. Takie męki znosi się inaczej, bo można przewidzieć ich kres, a tym samym i to, co nastąpi później, po śmierci. Łatwiej znaleźć wówczas pociechę, lecz aby wydostać się myślą poza kres istnienia, trzeba najpierw wiedzieć, gdzie ów kres się znajduje — a tego Zacharias nie wiedział.

Siedział w celi zupełnie sam, i chociaż parę razy mignęły mu sylwetki Amerykanów, nie mógł się z nimi porozumieć. Próbował stukać w ściany, lecz nikt nie odpowiadał. Nawet jeśli jeńcy przebywali w tym samym budynku, to zbyt daleko. A może, kto wie, sam stracił słuch? Zacharias nie miał się nawet z kim podzielić takimi myślami, a jako człowiek o dużej inteligencji nie potrafił znaleźć ukojenia wyłącznie w modlitwie. Bał się modlić o ocalenie, i sam przed sobą bał się przyznać do tego lęku. Podobne strachy musiały oznaczać, że chwieje się w nim wiara, lecz z drugiej strony fakt powstrzymywania się od takiej modlitwy również dowodził czegoś niepokojącego — tego, że gdyby się modlił o ratunek długo i na próżno, mógłby z czasem stracić wiarę, a tym samym wyrzec się zbawienia duszy. I właśnie drogą takich wątpliwości w myśli Robina Zacharias zaczęła się wsączać rozpacz: nie dlatego, że świadomie tracił ducha, tylko z tej przyczyny, iż nie chciał prosić swego Boga o coś, co mogło się nie ziścić.

Zacharias nie miał także pojęcia o reszcie czynników: o tym, że głodowa dieta, bolesna dla człowieka tak rozumnego jak on, oraz izolacja od ludzi i strach przed bólem, pogłębiają jeszcze tę rozpacz. Przed bólem nie mogła uchronić nawet wiara. Podobny lęk zna każdy człowiek, i nawet najsilniejszy z biegiem czasu zaczynają się uginać pod brzemieniem ciężaru, który wcale się nie zmniejsza, a przeciwnie, rośnie. Ciało ma ograniczony zapas sił i nie zawsze może wygrać. Zacharias wiedział, na ile może zawierzyć własnemu ciału, lecz duma i wyznawane zasady sprawiły, że zapomniał, iż stan ciała nieodmiennie, choć powoli, odmienia też stan ducha. Dlatego łudził się tylko, że przeraźliwe otępienie, jakie czuł w umyśle, nie stanowi zagrożenia. Dlatego karmił się nieustannie za brak wiary, zamiast złożyć to na karb zwykłej ludzkiej słabości. Gdyby tylko mógł wyznać to wszystko innemu Starszemu spośród mormonów. . . Ale to nie wchodziło w rachubę. Zacharias trwał więc w uporze i zamiast przyznać sam przed sobą, że jest tylko słabym człowiekiem jak inni, brnął coraz głębiej w pułapkę rozpacz. Dopomagali mu zaś w tym ludzie, których zadaniem było zniszczyć go, psychicznie i fizycznie.

Najgorsze zaczęło się właśnie wtedy. Najpierw otworzyły się drzwi celi, a dwaj Wietnamczycy w zielonkawych mundurach spojrzeli na niego z obrzydzeniem i pogardą. Zacharias wiedział, po co przyszli, i próbował wykrzesać z siebie resztki odwagi. Wietnamczycy złapali go pod ramiona i ubezpieczani z tyłu przez trzeciego, z karabinem, powlekli go do większej izby. Zanim jeszcze Zacharias przestąpił próg, lufa karabinu wbiła mu się w plecy, dokładnie w miejsce, które, dziewięć miesięcy po pechowym katapultowaniu, nadal paliło go bólem. Zacharias aż się zachłysnął. Wietnamczycy przyjęli jego ból obojętnie. Nie zadawali też pytań. Pułkownik nie umiał dopatrzeć się w ich postępowaniu oznak, że przyjęli jakikolwiek metodyczny plan — przeciwnie, pięciu oprawców na raz biło go, ot, tak sobie, właściwie bez celu. Zacharias zdawał sobie sprawę, że próbę oporu przypląci śmiercią i chociaż marzył o takim zakończeniu niewoli, prowokując Wietnamczyków popełniałby rodzaj samobójstwa. Tego zaś zabraniała mu religia.

Tym razem dylemat nie trwał długo, bo już po kilku sekundach Zacharias zwał się na betonową podłogę, niezdolny do najmniejszego ruchu. Odgłos ciosów i kopniaków był jak trzaskanie liczydeł, a stężale od bólu mięśnie zmieniły się w drewno. Zacharias zamarł bez ruchu, czekając aż skończy się ta nowa tortura i wiedząc zarazem, że nie nastąpi to nigdy. Nad sobą słyszał chichotliwe głosy, skamlanie szakali, diabłów, które dręczą go jako Sprawiedliwego i nie popuszczają, dopóki. . . Trwało to w nieskończoność.

Z otępienia wyrwał Zachariasa dopiero czyjś ostry krzyk. O pierś pułkownika zadudnił jeszcze jeden spóźniony kopniak, po czym rząd butów odsunął się pod przeciwległą ścianę. Kątem oka Zacharias spostrzegł, że Wietnamczycy krzywią się i spoglądają wszyscy ku drzwiom, czyli właśnie tam, skąd dobiegał głos. Kolejny tubalny ryk, i Wietnamczycy chyłkiem wymknęli się z izby. Wówczas głos

zmienił się, przycichł... Zacharias zdrętwiał, bo głos nie należał do Wietnamczyka, lecz... Do białego człowieka? Skąd ta pewność? Zanim zdążył cokolwiek pojąć, para silnych ramion podniosła go z posadzki i pomogła oprzeć się o ścianę. Potem nastąpił jeszcze jeden krzyk, po którym Zacharias usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi.

— Pij, Robin, no, napij się — wybawiciel podniósł do ust pułkownika aluminiową manierkę.

Zacharias przełknął pierwszy łyk tak szybko, że miał go już w żołądku, kiedy poczuł chemiczny odór wódki. W przerażeniu próbował podnieść rękę i odepchnąć manierkę od twarzy, a potem dławiąc się wyszeptał:

— Nie mogę... Mnie nie wolno... Nie wolno pić...

— To, co ci daję, Robin, to lekarstwo. Nie namawiam cię, żebyś wychylał toasty. Religia chyba ci nie zabrania przyjmowania lekarstw. Co? No, przyjacielu mój, daj się namówić. Chcę ci chociaż trochę pomóc — dodał Grisanow umyślnie łamiącym się głosem. — Pij, Robin.

Zacharias pomyślał, że być może naprawdę obcy chce mu dać lekarstwo. Są lekarstwa, w których stosuje się alkohol jako rozpuszczalnik, żeby zachowały trwałość. Kościół nie zabrania takich leków, prawda? Zacharias nie potrafił sobie przypomnieć takiego zakazu, wobec czego pozwolił sobie na następny łyk. Nie miał, oczywiście, pojęcia, że adrenalina, jaką bicie wyzwoliło w jego krwiobiegu, w połączeniu z alkoholem do reszty osłabi jego dotychczasową czujność.

— Byle nie za dużo, Robin.

Griszanow odebrał mu manierkę i zajął się opatrywaniem siniaków Amerykanina. Pomógł mu wyprostować nogi i wilgotną szmatką przetarł zakrwawioną twarz, po czym parsknął gniewnie:

— Dzikusy! Zastrane żółte dzikusy! Za to pobicie zatłukę majora Vinha jak sukę. Osobiście skręcę mu tę jego małpią szyjkę! — Po tym wybuchu rosyjski pułkownik rozsiadł się na podłodze obok Zachariasasa i z dobroci serca zaczął mu tłumaczyć: — Zauważ, Robin, jesteśmy przeciwnikami, ale jesteśmy też ludźmi i nawet na wojnie obowiązują nas pewne zasady. Ty służysz swojej ojczyźnie, a ja swojej, zgoda, ale ci... Ci ludzie nie rozumieją, że bez honoru nie ma mowy o prawdziwej służbie. Dlatego tacy z nich barbarzyńcy.

Po tych słowach znów podniósł manierkę.

— Masz. Nie mam tu żadnych środków przeciwbólowych, tylko to. Przepraszam, przyjacielu, ale nic nie mam.

Zacharias posłusznie przełknął następny łyk. Nadal czuł odrętwienie, nadal nie wiedział, co się z nim dzieje i dokąd naprawdę trafił.

— Pierwszorzędnie! — ucieszył się Grisanow. — Nie mówiłem tego dotąd głośno, ale naprawdę bardzo odważny z ciebie człowiek, przyjacielu. Trzeba mieć odwagę, żeby tak się nie dawać tym zwierzakom. A ty to umiesz.

— Bo muszę! — wydusił z siebie Zacharias.

— Pewno, że musisz — zapewnił go Rosjanin i znów otarł mu twarz gestem tak czułym, jak gdyby schylał się nad własnym dzieckiem. — Ja też bym tak zrobił — dodał po chwili. — Ale też, Boże! Żeby tak znowu usiąść za sterami!

— Racja, pułkowniku. Sam bym chciał. . .

— Jaki tam pułkowniku! Mów mi Kola — przerwał Griszanow. — Znamy się już tyle czasu, że mówmy sobie po imieniu!

— Kola?

— Mam na imię Mikołaj, a Kola to takie. . . Jak to się mówi? Przewisko? Zacharias oparł się potylicą o ścianę, przymknął oczy i przywołał w myślach widok z kabiny myśliwca.

— Racja, Kola. Sam też bym chciał znowu latać.

— Łatwo byś się przesiadł na nasze — zapewnił go Kola, siadając obok niego na podłodze i po bratersku obejmując posiniaczonego, obolałego Amerykanina. Doskonale wiedział, że dla jeńca jest to pierwsza od prawie roku odrobina ludzkiego ciepła. — Ja tam najbardziej lubiłem *MiG-a-17*. Co z tego, że przestarzały? Boże, jak się do niego wsiadło! To był lot! Wystarczyło położyć czubki palców na dźwazku, maszyna robiła wszystko, co się chciało, jakby ci czytała w myślach. Wystarczyło kiwnąć palcem!

— Nasze 86 też były takie — odezwał się Zacharias. — Też już wyszły ze służby.

— Człowiek pamięta je jak pierwszą miłość, co? — Rosjanin zaśmiał się cicho. — Byłeś młody, poznałeś pierwszą dziewczynę. . . Pierwszą, przy której czułeś się jak mężczyzna, tak? Ale dla takich ludzi jak my, samolot jest jeszcze lepszy. Może nie tak ciepły jak kobieta, ale dużo łatwiej go prowadzić.

Robin próbował także się roześmiać, lecz głos uwiązł mu w gardle. Griszanow znów podał mu manierkę.

— Spokojnie, przyjacielu. A ty, na czym najbardziej lubiłeś latać?

Amerykanin wzruszył ramionami. W całym żołądku czuł przyjemne ciepło.

— Latałem chyba na wszystkim, na czym się dało. Aha, nie, bo ominęły mnie *F-94* i *89*, ale z tego co słyszałem, to nie mam czego żałować. Podobały mi się *F-104*, jak samochody wyścigowe, chociaż trochę krowiaste. Jak o tym pomyślę, wydaje mi się, że najbardziej jednak lubiłem *F-86*, choćby za samą zwrotność.

— A te wasze *Thudy*? — zapytał Rosjanin, który rozmyślnie użył potocznej nazwy *Thunderchiefa F-105*.

Robin odkaszlnął.

— Żeby czymś takim zawrócić, trzeba było mieć miejsca jak stąd do Utah, ale na niskim pułapie *Thud* rwie, jak nie wiem co. Sam wydusiłem z niego dwieście kilometrów ponad czerwoną kreskę.

— A ja słyszałem, że jako myśliwiec jest taki sobie. Ciężarówka, w sam raz do bombardowań. — I tym razem Griszanow przywołał na pomoc pieczołowicie wkuwany żargon amerykańskich lotników.

— Nie jest taki zły. Jak coś jest nie tak, to błyskawicznie wyrwiesz się na nim z oparów. Pewnie, że walkę powietrzną można sobie na czymś takim wybić z głowy. To samo z nalotem. Musisz od razu wcelować, bo inaczej cześć pieśni.

— Co ty powiesz? Powiem ci, jak ja to widzę. W końcu też jestem pilotem. Moim zdaniem sypiecie na ten cholerny kraik bomby jak tylko chcecie, bez pudła.

— Robimy, co się da, Kola, i jakoś idzie — wybełkotał Zacharias. Rosjanin nie mógł się nadziwić, że alkohol odniósł tak błyskawiczny skutek. Trunek, jaki Amerykanin przełknął przed dwudziestoma minutami, był pierwszą dawką alkoholu w jego życiu. Niewiarygodne, że istnieją ludzie, którzy rozmyślnie wyrzekają się takich atrakcji.

— Te wasze naloty na stanowiska raketowe! Obserwowałem nieraz, jak to robicie. Pamiętaj, Robin, że jesteśmy może przeciwnikami, ale obaj jesteśmy lotnikami — powtórzył Griszanow. — Nigdy w życiu nie oglądałem takiej brawury i takich umiejętności. Coś mi się widzi, że w cywilu byłbyś zawodowym hazardzistą, co?

— Hazardzistą? — Robin potrząsnął energicznie głową. — Mnie nie wolno grać w karty.

— A co innego wyrabiałeś w tym swoim *Thudzie*?

— To nie hazard, skąd. Wykalkulowane ryzyko. Nie zdajesz się na los, tylko planujesz wszystko co do joty. Znasz swoje możliwości, trzymasz się planu, potem musisz jeszcze tylko wyczuć, co myśli sobie twój przeciwnik.

Griszanow zanotował w pamięci, że przed następnym terminem przesłuchania trzeba uzupełnić zawartość manierki. Biedził się nad tą sprawą ładnych parę miesięcy, lecz nareszcie udało mu się znaleźć dobry sposób. Szkoda, że cała ta zgraja żółtych dzikusów nie potrafi zrozumieć, że nie zawsze da się złamać człowieka samym biciem. Mimo niewątpliwej buty, żółci patrzyli na świat przez pryzmat własnej kultury, więc ich horyzonty były równie wąskie i pokraczne, jak ich postura. Nie potrafili wyciągać najprostszych wniosków z sytuacji. Griszanow z kolei nie tylko analizował sytuacje, ale też sam je stwarzał. Co najdziwniejsze, wszystkie swoje umiejętności w tej dziedzinie zawdzięczał faszyście, oficerowi niemieckiej Luftwaffe. Wielka szkoda, że Wietnamczycy tylko jemu jednemu zezwolili na serię specjalnych przesłuchań. Trzeba o tym wszystkim napisać w raporcie dla Moskwy. Gdyby góra umiała dobrze nacisnąć, można by zmienić ten obóz w kopalnię informacji. Ciekawe, swoją drogą, jak te dzikusy wpadły na tak genialny pomysł z obozem? Inna sprawa, że w haniebny sposób marnowali okazję, jaką im następczali jeńcy. Niestety, trzeba będzie nadal gnieździć się w tym kraiku, gorącym, wilgotnym i lepiącym się od robactwa, obracać się pośród butnych ludzików o ciasnych horyzontach i usposobieniu jadowitych węży. Jednak tylko tutaj można było zdobyć niezbędne informacje. Obecne, haniebne zadanie mogło się Griszanowowi nie podobać, ale trudno. W jednym z amerykańskich powieściodeł, które czytał, żeby doszlifować swój, i tak znakomity, angielski, Rosjanin znalazł idiom,

który dokładnie pasował do tego, co robił: „To nic osobistego, tylko interes”. Tak trzeba, i już, nie ma się co mazać. Rosjanin doskonale identyfikował się z taką postawą i żałował, że jego amerykański rozmówca najprawdopodobniej nie da się do niej przekonać. Trudno, trzeba inaczej. Kola Griszalow nastawił ucha i słuchał pogmatwanej opowieści o życiu pilotów z dywizjonu „Łasic”.

\* \* \*

Twarz w łazienkowym lustrze coraz mniej przypominała Kelly’emu własną i o to mu dokładnie chodziło. Zdumiewał się jednak, jak wielką potrafi być siła odruchu. Napełnił już umywalkę do połowy wodą i namydlił ręce, nim uświadomił sobie, że miał się przecież nie myć ani nie golić. Mimo wszystko jednak wymył zęby, bo nie mógł znieść ich nalotu, a poza tym jako posiadacz butelki najtańszego wina nie musiał się martwić o usta. Na myśl o winie Kelly aż się skręcił. Potwornie słodkie i gęste, a jeszcze ten kolor! Kelly nie znał się na winach, lecz nawet on potrafił się domyślić, że dobre stołowe wino nie miałyby barwy moczu.

Prędko wyszedł z łazienki, gdyż nie mógł się na siebie patrzeć. Na pocieszenie zafundował sobie porządne śniadanie, pożywne i mdławie, bo od pikantnych dań burczy w żołądku. Po śniadaniu nadeszła pora na ćwiczenia. Mieszkanie na parterze miało tę zaletę, że można było tu biec w miejscu bez obawy, że na sąsiada z dołu zwali się żyrandol. Miało to niewiele wspólnego z prawdziwym biegiem, lecz na razie musiało wystarczyć. Następnie Kelly wziął się za pompki. Nareszcie czuł, że lewe ramię wróciło mu do normalnego stanu — ból, jaki czuł, okazał się zupełnie jednakowy w lewym i w prawym ramieniu. Na sam koniec Kelly zostawił sobie parowanie ciosów i uniki, które wyrabiały refleks, a poza tym mogły się przydać z jeszcze innych przyczyn.

Poprzedniego dnia brudny i zarośnięty Kelly wymknął się z mieszkania za dnia, ryzykując, że zobaczą go w tym stanie sąsiedzi, i w sklepie ze starzyzną wyszukał sobie kurtkę myśliwską, tak wytartą i tak obszerną, że zapłacił za nią dosłownie parę centów. Kelly uznał, że choć nie będzie mu tak łatwo ukryć własny wzrost i muskulaturę, powinny mu w tym pomóc właśnie obszerne i znoszone łachmany. Przy okazji mógł porównać swój obecny wygląd z wyglądem innych klientów sklepu. Prawdopodobnie przebranie było wystarczające. Kelly nie był wprawdzie najbardziej obszarganym osobnikiem w mieście, lecz z pewnością dawał się zaliczyć do najniższego marginesu. Sprzedawca, który zapakował mu kurtkę, uczynił to skwapliwie — zapewne nie ze współczucia, ale dlatego, by jak najszybciej pozbyć się takiego klienta ze sklepu. Oznaczało to mimo wszystko pewien postęp: w Wietnamie Kelly oddałby wszystkie skarby świata za to, by móc się upodobnić do zwykłego miejscowego wieśniaka i w tym przebraniu czekać na przeciwnika.

Cały poprzedni wieczór kontynuował swój zwiad. Nikt z przechodniów nawet na niego nie spojrział. Ludzie brali go za zwykłego zapitego brudasa, śmierdziela, którego nie opłaci się nawet obrobić, bo i tak nic przy sobie nie ma. Kelly przestał się martwić, że ktoś go rozpozna. Wytrwał na opuszczonym pięterku kolejne pięć godzin, obserwując ulicę z okna w wykuszu. Budynek ział pustką, patrole policyjne przejeżdżały z regularnością zegarka, a hałas autobusów również rozlegał się stale o tej samej porze, co trochę Kelly'ego zdziwiło.

Po skończonej zaprawie rozebrał pistolet i starannie go oczyścił, choć nie używał go od powrotu z Nowego Orleanu. Z równą uwagą zajął się z kolei tłumikiem, a potem złożył broń i przystawkę w całość, sprawdzając dopasowanie części. Zdążył tymczasem dopracować swój pierwotny pomysł i przeciągnął farbą cienką białą kreskę wzdłuż górnej powierzchni tłumika. Nocny celownik nie nadawał się do strzału na dalszą odległość, ale Kelly'emu to akurat zupełnie nie przeszkadzało. Parę dni wcześniej kupił też w sklepie turystycznym prawdziwy nóż *Ka-Bar*, taki jak na wyposażeniu piechoty morskiej, i starannie wyszlifował obusieczne, dwudziestocentymetrowe ostrze, świadomy, że w nożach jest coś, co sprawia, że ludzie boją się ich bardziej niż broni palnej. Głupio, jeśli tak uważają, ale Kelly mógł na tym tylko skorzystać. Pistolet i nóż powędrowały kolejno za specjalny pasek i spoczęły na wysokości krzyża, niewidoczne pod fałdami kurtki i ciemnej koszuli. Do jednej z kieszeni kurtki Kelly wsadził płaską butelkę po żytniej whiskey, zawczasu napełnioną wodą z kranu. W drugiej kieszeni znalazły się cztery baloniki Snickers. Wokół pasa okręcił sobie kawał grubego kabla elektrycznego, a do kieszeni spodni wepchał parę gumowych rękawiczek kuchennych. Były żółte i łatwo je było dostrzec nawet w ciemności, ale trudno — Kelly nie potrafił znaleźć lepszych. Chroniły za to dłonie i nie przeszkadzały ani nie utrudniały przesadnie dotyku. W samochodzie Kelly zakładał na ręce parę płóciennych rękawic roboczych, zakupionego Volkswagena dokładnie umył i oczyścił wnętrze, a potem powycierał wszystkie szklane, metalowe i plastikowe powierzchnie w nadziei, że usunie wszelkie odciski palców. Robiąc to wszystko, błogosławił w duchu niezliczone filmy i seriale kryminalne, jakich się naoglądał. Miał cichą nadzieję, że paranoiczna dokładność, z jaką czynił wszystkie przygotowania, okaże się wystarczająca.

Co jeszcze? Dokumenty! Kelly zostawił je wszystkie w domu, zabierając ze sobą tylko parę dolarów w portfelu, nabytym jak wszystko w sklepie ze starzyzną. Może zabrać więcej gotówki? Tylko po co? Woda. Prowiant. Broń. Kabel elektryczny. Lornetkę lepiej będzie zostawić w domu — niepotrzeba i nie warto jej dźwigać. Może trzeba kupić mniejszą? Gotowe! Kelly włączył telewizor i obejrzał wiadomości i prognozę pogody. Ciepło, zachmurzenie duże, możliwe opady deszczu, temperatura minimalna dwadzieścia pięć stopni. Przy okazji Kelly wypił dwie filiżanki kawy rozpuszczalnej. Kofeina na pewno się przyda. Cekał teraz tylko na zapadnięcie zmroku. Nie zabrało mu to wiele czasu.

Dziwne, ale jednym z najtrudniejszych elementów akcji okazało się opuszczenie mieszkania. Kelly wygasił wszystkie światła i wyjrzał kolejno przez wszystkie okna, upewniając się, że nikt nie kręci się na zewnątrz, po czym wymknął się prędko. Za bramą budynku znów przystanął, rozejrzał się i posłuchał, co się dzieje. Nie zwlekając dłużej, ruszył do Volkswagena, otworzył drzwiczki i wsiadł. Natychmiast włożył na ręce płócienne rękawice i dopiero wówczas zatrzasnął drzwi i zapuścił silnik. Po dwóch minutach jazdy minął miejsce, w którym zaparkował na dłużej swojego Scouta. Nieładnie tak opuszczać wierny samochód. Na pocieszenie Kelly włączył radio, wyszukał ulubioną stację z prostą, łagodną muzyką rockową i otoczony zbawiennym, znajomym hałasem zagłębił się w czekające go na południu miasto.

Sam się zdumiał, że wjeżdżając jeszcze raz do tamtych dzielnic, czuje w sobie tak wielkie napięcie. Na miejscu uspokoił się prędko, lecz zanim to nastąpiło, czuł w drodze dokładnie to, co przed desantem, na pokładzie śmigłowca *Huey*. W drodze na jedno i drugie miejsce rozmyślało się o nieznanym. Kelly musiał więc sobie powtarzać, że trzeba wziąć się w garść, że mimo spoconych rąk na kierownicy należy zachować obojętny wyraz twarzy. Kelly skrupulatnie przestrzegał wszystkich znaków i przepisów, nie przejechał ani jednego żółtego światła i nie zwracał uwagi na wyprzedzające go auta. Dziwiło go tylko, że dwadzieścia minut jazdy może się wydawać aż taką wiecznością. Tym razem wybrał nieco inną marszrutę w stronę terenu działań, bo poprzedniego wieczora wyszukał odpowiednie miejsce na samochód, dwie przecznice od celu. W myślach Kelly porównywał obecny teren do Wietnamu: jeden kwartał mieszkalny odpowiadał jednemu kilometrów kwadratowemu dżungli. Na samą myśl, jak bardzo to prawdziwa ocena, Kelly uśmiechnął się pod nosem. Tym razem zaparkował za czymś czarnym Chevroletem z 1957 roku. Tak samo jak poprzednio pośpieszył się z wysiadaniem i natychmiast uskoczył w boczny zaułek, gdzie pod osłoną ciemności mógł dokończyć przebierania się. Kiedy przeszedł następnych dwadzieścia metrów, nie dało się go już odróżnić od dziesiątków innych zapijaczonych włóczęgów.

— Ej, dziadziu! — rozległ się tuż za nim czyjś młody głos. Trójka nastolatków, która go zaczepiała, siedziała na płocie, racząc się piwem. Kelly odstąpił aż pod przeciwległą ścianę zaułka, by im umknąć, lecz na próżno. Jeden z młodych zeskoczył z płotu i podszedł do niego.

— Czego tu szukasz, dziadygo? — warknął bez współczucia. — Jezus Maria, jak ten facet śmierdzi! Matka cię nie nauczyła, od czego jest mydło?

Kelly nie odwrócił się, skulił się tylko jeszcze bardziej i przyspieszył kroku. Tej sytuacji nie przewidział w planach. Schylił głowę i odwrócił ją od młodego, który szedł za nim krok w krok i obmyślał dla ulicznego dziadka następną szykanę. Kelly przełożył butelkę z winem do drugiej ręki.

— Dawaj, co tam masz — rozkazał mu młody i sięgnął po butelkę. Kelly nie oddał jej, tak jak nie uczyniłby tego żaden uliczny pijak. Młody podstawił mu



nogę i popchnął padającego na płot po lewej stronie, lecz na tym poprzestał i zadowolony wrócił do swoich kompanów. „Włóczęga” pozbierał się z ziemi i ruszył w swoją stronę, ścigany okrzykiem:

— I żebyś się tu więcej nie szwędał!

Kelly nie miał takiego zamiaru. W ciągu następnych dziesięciu minut minął jeszcze dwie podobne grupki nastolatków. Tym razem śmiano się tylko z niego, nic więcej. Tylne drzwi do starego posterunku obserwacyjnego nadal stały otworem i nawet szczury szczęśliwym zbiegiem okoliczności przestały się pokazywać. Na parterze Kelly przystanął i chwilę nasłuchiwał, zanim uspokojony wyprostował się i odetchnął.

— Wąż, wzywam Chicago — szepnął żartem, wspominając swój dawny kryptonim. — Desant udany. Zakładam czatę.

Po raz trzeci i ostatni wspiał się po chwiejnych schodach na piętro i przycupnął w swoim kącie w południowo-wschodnim narożniku. Na ulicy wszystko wyglądało jak zwykle. Kręgiel i Dzbanek czuwali w swoim rewirze sto metrów dalej i w tej chwili rozprawiali o czymś z kierowcą stojącego tam samochodu. Dziesięć po północy. Kelly pozwolił sobie na łyk wody i batona, rozsiadł się i spokojnie obserwował, co się dzieje. W ciągu pół godziny nie zauważył niczego, co by odbiegało od tutejszej rutyny. Duży Bob także pracował na swoim rogu ulicy, nie sam, bo z pomocnikiem, którego Kelly przezwał Małym Bobem. Nieco dalej uwijali się Charlie Brown i Dagwood, ten pierwszy nadal w pojedynkę, za to drugi z pomocnikiem, dla którego Kelly’emu nie chciało się wynajdywać przezwiska. Za to Czarodziej zniknął tego wieczora i dopiero później okazało się, że się spóźnił. Pokazał się dopiero po jedenastej, a towarzyszył mu nerwowy współnik, którego Kelly przezwał Toto, na pamiątkę pieska z bajki o krainie Oz. Kelly zagwizdał nawet cichutko piosenkę z filmowej wersji bajki.

Można było z góry przewidzieć, że niedzielny wieczór będzie spokojniejszy niż dwa poprzednie. Kręgiel i Dzbanek nie narzekali jednak na brak zajęcia, może dlatego, że korzystała z ich usług nieco bogatsza klientela. Miejscowi, oczywiście, także kupowali od nich towar, lecz zasadniczy dochód przynosili im ludzie z wielkich, lśniących aut, wyraźnie przybysze z innych części miasta. Kelly postanowił zaryzykować i nie brać tego szczegółu pod uwagę w dalszych planach. Istotne było dla niego natomiast coś, co wypatrzył poprzedniego wieczora idąc ulicą i co dzisiejsza obserwacja zdawała się potwierdzać. Teraz wystarczyło już tylko czekać.

Kelly rozsiadł się i uspokoił. Odkąd podjął ostateczną decyzję, nie było czym się denerwować. Zapatrzył się w ulicę, nasłuchiwał i notował w pamięci każdy szczegół. Mijały minuty. Za dwadzieścia pierwsza jedną z przecznic przeciągnął policyjny radiowóz, chyba wyłącznie po to, żeby pokazać, iż policja nie śpi. Prawdopodobnie powtórzy tę rundę parę minut po drugiej w nocy. Warczały dieslowskie silniki autobusów miejskich. Ten, który przejeżdżał o pierwszej dziesięć

okropnie zgrzytał hamulcami, dokładnie tak jak poprzedniej nocy. Zgrzyt doprowadzał z pewnością do furii wszystkich, którzy próbowali spać wzdłuż całej trasy. Trochę po drugiej ruch zaczął wyraźnie słabnąć. Handlarze mogli już zapalić sobie papierosa czy wdać się w pogwarki, a Mały Bob wręcz przeszedł ulicę i szepnął coś Czarodziejowi. Kelly zdziwił się, że łączą tych dwóch aż tak serdeczne stosunki. Rzadkość. A może handlarz chciał po prostu, by Czarodziej rozmienił mu stówę? Policyjny radiowóz pojawił się i zniknął o przewidzianej godzinie. Kelly dokończył trzeci balonik i pieczołowicie schował opakowanie, a potem na wszelki wypadek posprawdzał pomieszczenie. Okazało się, że nie zostawił żadnych śladów. Na powierzchniach, których dotykał, próżno było szukać odcisków palców, a to z powodu mnóstwa kurzu i pyłu. Kelly bardzo się też pilnował, żeby nie dotykać szyb.

Czyli wszystko gra.

Zszedł na parter i wyslizgnął się przez tylne drzwi. Przemknął przez przecznice i zanurzył się w kolejnym odcinku zaułka na tyłach domów stojących wzdłuż głównej ulicy. Nadal krył się w ciemnościach i szedł zataczając się, ale za to niezwykle cicho. Tajemnica, która tak go zaintrygowała pierwszej nocy, okazała się drogocennym odkryciem. Kręgiel i Dzbanek zniknęli mu wówczas z oczu dosłownie w parę sekund — tylko na tak długo Kelly spuścił z nich wzrok. Nie odjechali samochodem, ba, przez tak krótki czas nie zdążyliby nawet zniknąć za rogiem. Kelly domyślił się w końcu, co się stało. Długi rząd szeregowych domów zbudowali ludzie z głową, którzy aby ułatwić mieszkańcom dostęp do zaułka na tyłach, w połowie szeregu umieścili łukowaty przesmyk, wiodący od frontu ulicy na tyły. Ten sam przesmyk stanowił dla Kręgla i Dzbanka idealną drogę ucieczki. Nic dziwnego, że handlując swoim towarem, nie oddalali się dalej niż na dziesięć metrów od niedużego, czarnego prześwit. Ich błąd polegał na tym, że w ogóle nie sprawdzali, czy ktoś nie kryje się właśnie w przesmyku.

Kelly upewnił się co do tego braku czujności. Obserwował wszystko przez chwilę, oparty o szopę na tyle dużą, że w swoim czasie zmieściłby się w niej pewnie nawet Ford model T, a potem podniósł z ziemi dwie puszkę po piwie i przywiązał do nich dwa końce sznurka. Potykacz był prymitywny, ale przynajmniej nikt go teraz nie mógł zejść bezszelestnie od tyłu. Następnie Kelly sam ruszył w głąb przesmyku, w stronę wylotu na ulicę. Szedł na palcach, ściskając w ręku pistolet z tłumikiem. Od ulicy dzieliło go tylko dwanaście metrów, ale w tunelach dźwięk niesie się jeszcze lepiej niż nad wodą. Dlatego ostrożnie stawiał każdy krok, próbując na nic nie nastąpić i nie narobić hałasu. Udało mu się obejść szeleszczące gazety i kupkę rozbitego szkła. Wylot przesmyku był już blisko.

Z tej odległości obaj handlarze wyglądali prawie jak normalni ludzie. Kręgiel oparł się wygodnie o rudy ceglany mur i palił papierosa. Dzbanek palił także, siedząc na masce czyjegoś samochodu i rozglądał się po ulicy. Co dziesięć sekund obaj handlarze zaciągali się i oczywiście na moment ślepli od jarzących się ogni-

ków. Nie widzieli więc Kelly'ego. Za to on ich widział, i to z odległości trzech metrów. Lepiej już być nie mogło.

— Nie ruszaj się — szepnął pod adresem Kręgla. Handlarz odwrócił głowę, choć bardziej ze złością niż w przestachu. Zmienił minę dopiero na widok pistoletu ze sporym cylindrem na końcu lufy. Prędko zerknął na pomocnika, który jednak nadal patrzył w inną stronę i nucił coś pod nosem, czekając aż nadejdzie kolejny klient. Nie wiedział, że pora zamykać sklepik i że Kelly przybywa z odnośnym nakazem.

— Ej, ty! — szepnął, na tyle głośno, by handlarz usłyszał go przez cichnący hałas ulicy. Dzbanek odwrócił się i ujrzał pistolet przystawiony do głowy szefa. Bez polecenia zamarł w miejscu. To Kręgiel, nie on, miał przy sobie pistolet, pieniądze i większość towaru. Kelly machnął ku niemu zapraszająco. Dzbanek nie wiedział, co zrobić, więc na wszelki wypadek podszedł bliżej.

— Jak idą interesy? — zapytał Kelly.

— Ujdzie — poinformował go cicho Kręgiel. — Czego chcesz?

— A jak myślisz? — zapytał Kelly z uśmiechem.

— Gliniarz? — zapytał Dzbanek. Głupio. Kelly i Kręgiel byli co do tego jednomyślni.

— Nie, nikogo nie przyszedłem aresztować. No, jazda! — Kelly machnął ku nim ręką. — Do środka i plackiem na ziemię! Raz-dwa!

Kelly popędził obu handlarzy parę metrów w głąb tunelu, na tyle, żeby nie było ich widać z ulicy, lecz zarazem by mieć jeszcze trochę światła. Najpierw obszukał handlarzom kieszenie. Kręgiel miał przy sobie zardzewiały rewolwer kalibru 0,32 cala. Broń powędrowała do kieszeni Kelly'ego, który następnie wydobył spod kurtki kabel i okręcił nim mocno przeguby pojmanych. Kiedy się z tym uporał, przetoczył obu handlarzy na plecy.

— Ładnie, że nie próbujecie podskakiwać, chłopaki.

— Wiesz, co będzie, jak się tu jeszcze raz pokażesz — pogroził mu Kręgiel, który nie zdążył jeszcze zrozumieć, że nie chodzi o napad rabunkowy. Dzbanek zamruczał coś na znak potwierdzenia. Odpowiedź wprawiła ich jednak w zdumienie.

— Wiecie, chodzi o to, żebyście mi trochę pomogli.

— Niby jak? — spytał Kręgiel.

— Szukam jednego gościa. Nazywa się Billy, jeździ czerwonym Roadrunnerem.

— Co? Wała ze mnie robisz, czy jak? — najeżył się Kręgiel.

— Odpowiadaj na pytania. Bardzo proszę — Kelly nie zmienił przyjaznego tonu.

— Wypierdalaj stąd w podskokach! — doradził mu Kręgiel.

Kelly przesunął lufę nieco w bok i wsadził dwa pociski prosto w głowę Dzban-ka. Ciałem handlarza wstrząsnęły drgawki. Tym razem krew trysnęła nie na Kel-

ly'ego, który stał z boku, lecz na twarz Kręgiela. Nawet w półmroku widać było, jak handlarz ze strachu szeroko otwiera oczy. Kelly nawet nie mrugnął, uznając, że z Dzbankiem i tak nie nawiązałby ciekawej konwersacji, a czas ucieka.

— Naprawdę bardzo cię proszę — przypomniał.

— Chryste, człowieku! — zachrypiał handlarz. Wiedział, co go czeka za najmniejszą próbę krzyku.

— To znasz Billy'ego, czy nie? Jeździ czerwonym Plymouthem, uwielbia tę gablotę. Zaopatruje detalistów w towar. Masz mi powiedzieć, gdzie go znajdę — odezwał się cicho Kelly.

— Wiesz, co będzie, jak ci powiem. . .

— Wiem. Będziesz miał nowego hurtownika. Mnie — zapowiedział Kelly. — Ale jeżeli polecisz zakapować mnie do Billy'ego, wyślę cię na spotkanie z tym tutaj kolesiem.

Mówiąc to, Kelly trącił stygnące ciało, przytulone do boku handlarza. Chodziło o to, by zostawić pojmanemu promyk nadziei. Może nawet słowo prawdy: coś, co skłoni go do zwierzeń.

— Już łapiesz? Billy i jego kolesie podskoczyli nie tym ludziom, co trzeba. Muszę im troszkę przytrzeć rogów. Przepraszam, że ci kropnąłem człowieka, ale musiałem ci dać do zrozumienia, że to poważna rozmowa, nie?

Kręgiel silił się na spokój w głosie, co nie przychodziło mu łatwo, mimo iż rzeczywiście uchwycił się nowej nadziei.

— Ty nie wiesz, co mówisz, człowieku. Nie mogę ci tak. . .

— No cóż, w takim razie będę musiał zapytać kogoś innego — przerwał mu znacząco Kelly. — Ale wtedy wiesz, jak zakończymy tę rozmowę.

Kręgiel wiedział, albo wyobrażał sobie, że wie i dlatego rozwiązał mu się język. Kiedy skończył mówić, Kelly odesłał go tam, gdzie przedtem odesłał Dzbanka. Szybka rewizja kieszeni przyniosła wynik w postaci pokaźnego zwitka banknotów i całej masy woreczków z narkotykami. Kelly poutykał to wszystko w kurtce, ostrożnie przestąpił nad ciałami, upewniając się, że nie wdepnął w krew, i ruszył przesmykiem w stronę zaułka. Miał zamiar tak czy siak wyrzucić buty, w których dzisiaj chodził. Po drodze odwiązał sznurek, odłożył puszki po piwie tam, gdzie je znalazł, pochylił się i zataczającym się krokiem, okrężną drogą powrócił do swojego samochodu. Każdy krok, jaki uczynił tej nocy, przemyślał zawnazaszu wiele razy. Jadąc na północ dziękował niebiosom, że nareszcie będzie się mógł wykapać i ogolić. Tylko co zrobić z tymi cholernymi narkotykami? Odpowiedzi na to pytanie udzielił mu dopiero los.

\* \* \*

Samochody zaczęto ściągać na miejsce zaraz po szóstej rano, co jak na działalność bazy wojskowej było porą zupełnie normalną. Piętnaście aut, starych gratów,

z których najmłodszy miał trzy lata, pokieroszowane w wypadkach tak bardzo, że poszły na złom. Niezwykłe w nich było tylko to, że choć nie nadawały się do jazdy, z daleka wyglądały na prawie nieuszkodzone. Brygada, która je przywiozła, składała się z żołnierzy piechoty morskiej, a dowodzący nią sierżant nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale na szczęście nie musiał znać odpowiedzi. *Marines* ustawili samochody na parkingu w zupełnie nie wojskowy sposób — auta stały tak, jak gdyby zaparkowali je nieuważni cywile. Po półtorej godzinie brygada uporała się z zadaniem i odjechała. O ósmej rano na miejsce przybyła następna grupa, która z kolei przywiozła manekiny. Kukły były w kilku rozmiarach, obciążone starymi ubraniami. Te najmniejsze, udające dzieci, poukładano na huśtawkach i w piaskownicy. Większe, „dorosłe”, podparto na specjalnych stojakach. Druga brygada również odjechała, lecz w najbliższej przyszłości miała za zadanie dwa razy dziennie wracać na miejsce i przestawiać kukły — ale nie na chybił trafił, tylko według specjalnego schematu, który wymyślił najwidoczniej jakiś oficer, pewnie z braku lepszego zajęcia.

Notatki Kelly’ego zawierały uwagę, że jednym z najbardziej otępiających i czasochłonnych aspektów operacji MACZUGA okazała się codzienna harówka przy wznoszeniu i rozmontowywaniu makiety celu. Uwagę na to zwrócił nie tylko Kelly. Gdyby więc nowy obiekt zauważyły rosyjskie satelity szpiegowskie, na ich zdjęciach widniałaby po prostu grupa budynków o nieokreślonym przeznaczeniu, której towarzyszą plac zabaw i parking. Na placu widać było rodziców i dzieci, a na parkingu samochody, w coraz to innych miejscach. Wszystko to pozwalało żywić nadzieję, że obserwatorzy przegapią inny istotny fakt, a mianowicie, że „przedszkole” wzniesiono o kilometr od najbliższej utwardzonej szosy, i to w miejscu odizolowanym od pozostałej części bazy.

## 16 — Manewry

Ryan i Douglas odstępili dwa kroki, tak aby patrolodzy mogli się zabrać do roboty. Odkrycie nastąpiło tuż po piątej rano. Podczas rutynowego objazdu dzielnicy szeregowy Chuck Monroe, jadąc tą trasą, spostrzegł w przesmyku między domami dziwny cień, toteż zatrzymał się i omiół to miejsce szperaczem. Ciemny kształt mógł się równie dobrze okazać śpiącym po libacji pijakiem, lecz snop białego światła z reflektora zatrzymał się na czerwonej kałuży, a jego odbicie na murze zaułka wyglądało dziwnie różowawo. Monroe zaparkował radiowóz, zlustrował zaułek i przez radio wezwał ekipę. Stał teraz oparty o swój wóz i, paląc papierosa, jeszcze raz opowiadał szczegółowo, jak to było. Czynił to beznamiętnie, bez drżenia w głosie, co cywilom trudno jest czasem zrozumieć.

— Że to tyle krwi się mieści w człowieku. . . — zauważył od niechcienia Douglas. Nie, żeby zebrało mu się na filozofię, skądże. Odezwał się, żeby coś powiedzieć i pogawędką zabić czas, w oczekiwaniu aż zgasną flesze, a ekipa wypstryka ostatnią rolę barwnego filmu. Faktycznie, zaułek wyglądał jak miejsce, gdzie komuś rozlały się dwa wiadra czerwonej farby emulsyjnej.

— Czas zgonu? — zapytał Ryan człowieka z miejskiego Wydziału Zabójstw.

— Nie tak dawno — ocenił patolog, upuszczając rękę jednego z nieboszczyków. — Świeżutki, jeszcze nie zeszywniał. Moim zdaniem już po północy, nawet po drugiej nad ranem.

Przyczyny obu zgonów były nader wyraźne — dziury pośrodku czoła.

— Monroe? — podniósł głos Ryan. Młody policjant zbliżył się do nich. — Znacie może tych dwóch typów?

— Handlarze. Starszy, ten po prawej, to Maceo Donald. Notowany, ksywa Ju-ju. Tego po lewej nie znam, ale moim zdaniem działali w duecie.

— Macie oko. Coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć? — zapytał z kolei sierżant Douglas.

— Więcej nie wiem, panie sierżancie. — Monroe zaprzeczył ruchem głowy. — W ogóle, to jak na ten rewir w nocy był zupełny spokój. Sam przejeżdżałem tędy dobre cztery razy, ale nic dziwnego nie zauważyłem. Zwyczajnie: handlarze, towar, klienci. . .

Obaj starsi rangą policjanci puścili mimo uszu ukrytą pretensję w głosie Monroe. Narkotyki to narkotyki, i tyle.

— Gotowe! — zawołał starszy fotograf i wraz z kolegą odstepił od zwłok. Ryan nie potrzebował specjalnego zaproszenia, żeby się rozglądać. W zaułku było dosyć jasno, ale na wszelki wypadek przyświecał sobie potężną latarką, omiatając krawężnik i płyty chodnika w poszukiwaniu rudego odbłyску.

— Nie widzisz może jakiejś łuski, Tom? — zapytał Douglasa, który robił dokładnie to samo.

— Ano, nie widzę. Strzelano chyba z tego miejsca, nie uważasz?

— Nikt nie ruszał zwłok — zapewnił ich niepotrzebnie facet z Wydziału Zabójstw i dodał: — Na pewno z tego miejsca. Obaj faceci padli plackiem w chwili strzału, to jasne.

Douglas i Ryan, bez pośpiechu, trzykrotnie przepatrzyli każdy skrawek zaułka. Skrupulatność była ich najskuteczniejszym orężem, a czasu także mieli pod dostatkiem — parę godzin, czyli dokładnie tyle, ile trzeba. O takie miejsce zbrodni człowiek może się modlić: żadnej trawy, w której przypadną ślady, żadnych mebli, goły ceglany przesmyk szeroki na dwa i pół kroku, gdzie nic się nie ukryje. Przynajmniej nie trzeba wyłazić ze skóry, żeby coś znaleźć.

— Ja nie mam nic, Em, a ty? — odezwał się Douglas, kończąc trzeci obchód.

— Skoro tak, facet musiał mieć rewolwer.

— Jakiś chojrak z tanią armatą, chcesz się założyć? — mruknął Douglas.

— Może i tak.

Obaj policjanci podeszli do zwłok i po raz pierwszy przykucnęli nad nimi.

— Nie widzę śladów od prochu — odezwał się sierżant z pewnym zaskoczeniem w głosie.

— Ktoś mieszka za tymi ścianami? — zwrócił się Ryan do Monroe.

— Nikt, ani w tym domu, ani w sąsiednim. Za to po drugiej stronie ulicy mieszka masa ludzi.

— Cztery wystrzały, i to nad ranem. Myślałby człowiek, że ktoś to usłyszy...

Ryan nie dodał, że ceglany tunel z pewnością skupił huk wystrzałów niczym soczewka teleskopu. Dwudziestkadwójka słynie z głośnego, suchego trzasku przy wystrzale. Ale z kolei mało to razy zdarzały się już przypadki podobnej głuchoty? Poza tym w takiej wesołej dzielnicy jak ta, ludzie dzielą się na dwie kategorie: jedni nic nie widzą, bo guzik ich to obchodzi, a drudzy wolą nie patrzeć, żeby nie zainkasować zbłąkanej kuli.

— Wysłaliśmy dwóch ludzi, żeby się rozpytali po domach, panie poruczniku. Na razie niczego się nie dowiedzieli.

— Snajper, ten nasz koleżka. Sam zobacz, Em. — Douglas wyciągnął przed siebie służbowy ołówek i dziabnął nim w stronę otworów ziejących w czole niezidentyfikowanej ofiary. Obie dziury, widoczne tuż nad nasadą nosa, dzieliło od siebie najwyżej półtora centymetra. — Ani śladu osmaleń. Morderca musiał stać...

no, metr, najwyżej metr dwadzieścia nad tym tutaj, co? — Douglas podniósł się jeszcze raz, stanął przy nogach zabitego i wyprostował prawą rękę. Gest narzucał się sam przez się, bo w ten sposób najłatwiej było wycelować w obu leżących.

— Chyba się mylisz, Tom. Żeby aż tak...? Może ci sztywni mają na skórze drobiny prochu, tylko ich nie widzimy. Niech się wypowiedzą eksperci...

Ryan miał na myśli fakt, że obaj zabici byli ciemnoskórzy, a i oświetlenie nie było takie świetne. Sam musiał jednak uznać, że gołym okiem nie dało się dostrzec wbitych w skórę drobin spalonego prochu. Douglas myślał widocznie o tym samym, bo jeszcze raz przyjrzał się z bliska ranom.

— Miło, że ktoś nas w końcu docenił — odezwał się facet z Wydziału Zabójstw, który parę kroków dalej ścibolił własne notatki.

— Tak czy siak, Em, temu, który strzelał, nie drgnęła ręka.

Ołówek zawisł teraz nad czołem Maceo Donalda. Również dwie dziurki w czole, może trochę wyżej od nasady nosa niż w poprzednim przypadku, ale za to jeszcze bliżej siebie. — Powiem ci, że to rzadkość.

Ryan wzruszył ramionami i wziął się za przeszukiwanie zwłok. Chociaż był starszy rangą, wolał sam się za to zabrać, a Douglasowi powierzyć spisywanie raportu. Żaden z zabitych nie miał przy sobie broni, obaj posiadali za to portfele z dokumentami. Drugą ofiarą okazał się Charles Barker, lat dwadzieścia. Gotówki obaj denaci mieli przy sobie dziwnie mało jak na swoją profesję. Narkotyków też nie mieli.

— Nie, czekaj, chyba coś znalazłem. Pisz, trzy plastikowe woreczki białej, sypkiej substancji — obwieścił Ryan w żargonie zawodowców. — Dalej, drobne monety, w sumie dolar i siedemdziesiąt pięć centów. Zapalniczka firmy Zippo, metalowa, tania. W kieszeni koszuli paczka papierosów Marlboro i jeden plastikowy woreczek białej, sypkiej substancji...

— Kropnęli ich, żeby zabrać towar — uznał Douglas, podsumowując sytuację. Miał może trochę mało poszlak, ale sprawa wydawała się oczywista. — Hej, Monroe!

— Słucham, sir? — Widać było, że młody policjant nigdy się nie wyzbędzie nawyków z piechoty morskiej. Douglas zauważył, że Monroe wtrąca słowo „sir” prawie w każdym zdaniu.

— Ci nasi milusińscy, Barker i Donald... Doświadczeni handlarze?

— Ju-ju na pewno, kręcił się w tej branży, odkąd zacząłem służbę w tym komisariacie. Nigdy do mnie nie dotarło, żeby ktoś mu podskoczył.

— Nie mają śladów szamotaniny — uznał Ryan, który tymczasem odwrócił zwłoki. — Ręce związane w przegubach, zaraz... Związane drutem, kablem elektrycznym. Pisz, kabel miedziany, w białej izolacji ze znakami firmowymi. Nie wiem, jaka to firma. Żadnych śladów walki.

— Ktoś kropnął Ju-ju! — rozległo się nad nimi. Poznali głos Marka Charona. — A już się miałem dobrać do tego gnojka!



— W potylicy pana Donalda dwie przestrzeliny — ciągnął nie zrażony Ryan, którego drażniło, gdy ktoś mu przerywał. — Kule znajdziemy pewnie na dnie tej czerwonej kałuży — dodał cierpkim głosem.

— Balistykę i tak można sobie darować — przestrzegł Douglas. W przypadku pocisków kalibru 0,22 cala był to normalny obrót rzeczy, po pierwsze dlatego, że cały pocisk był z miękkiego ołowiu i łatwo się deformował, uniemożliwiając analizę wyłobień powstających przy wystrzale, a po drugie z tej przyczyny, iż mimo niewielkiej masy, pociski tego typu głęboko penetrują ciało ofiary, głębiej niż pociski kalibru 0,45 cala i najczęściej rozplaszczają się dopiero o przeszkodę za plecami ofiary — w tym wypadku o beton zaułka.

— Znasz go? Co to za jeden? — odezwał się Ryan do nowo przybyłego.

— Na ulicy prawdziwa szycha. Klienci biją się o niego. Aha, jeździ pięknym, czerwonym Cadillakiem — dodał Charon. — Swoją drogą, łebski facet.

— Już nie. Jakies sześć godzin temu pozbył się mózgu.

— Skok?

— Tak to wygląda — zamiast Ryana odpowiedział Charonowi Douglas. — Nie mają broni, dziwnie mało pieniędzy i towaru. . . Ten, kto ich kropnął, wiedział, czego szuka. Robota zawodowca, Em. Tego nie zrobił żaden ćpun.

— Coś mi się widzi, Tom, że to samo napiszemy w meldunku — przytaknął Ryan, podnosząc się z ziemi. — Kropnięto ich chyba z rewolweru, ale jak na byle gównianą pukawkę, te przestrzeliny są coś za blisko siebie. Mark, nie słyszałeś, żeby w mieście grasował jakiś fachowiec od hop-stop?

— O Duecie słyszałeś — podsunął Charon. — Ale oni chodzą z obrzynem.

— To mi wygląda wręcz na robotę mafii. Popatrzeć klientom prosto w oczy, a potem cyk! — rzucił Douglas, zanim się dobrze zastanowił, co mówi. Bo chyba nie miał racji. Porachunki mafii nie miały w sobie ani odrobiny stylu, a już na pewno nie takiego, jak tutaj. Bandziorzy a snajperzy to wcale nie jedno i to samo, a w dodatku mafia posługuje się przeważnie najtańszą bronią. W końcu obaj z Ryanem zajmowali się paroma morderstwami na takim tle. Ofiara z reguły ginęła od strzału w potylicę, z bliska, ze wszystkimi śladami, które to potwierdzały, albo dostawała serię, znów pośpiesznie i byle jak, której skutkiem był tuzin przypadkowych dziur. Dwóch handlarzy, którzy spoczywali na betonie, sprzątnął ktoś, kto świetnie znał się na rzeczy, gdy tymczasem zestaw „utalentowanych” fachowców od tych spraw, którym dysponowała mafia, był nader skąpy. Ale kto powiedział, że dochodzenia w sprawie zabójstwa to gałąź nauk ścisłych? Wśród znalezionych poszlak niezwykłość szła o lepsze ze zwyczajnością. Z jednej strony pospolity mord rabunkowy, pieniądze i towar zniknęły. Z drugiej, strzelano tak celnie, że morderca musiał mieć niesamowite szczęście, i to dwa razy z rzędu, albo też zawodowo zajmował się bronią. Przy wewnętrznych porachunkach mafii obywa się zwykle bez pozorowania rabunku czy w ogóle czegokolwiek. Przeciwnie, mafijna egzekucja ma pokazać światu, kto tu rządzi.

— Mark, nie obilo ci się o uszy, że ktoś kłóci się o terytorium? — zapytał Douglas.

— A, wiesz, że nie. Żadnych dużych kampanii. Detaliści wyklócają się między sobą, który będzie stał na którym rogu, ale to nic nowego.

— Może byś się jednak popytał — ożywił się porucznik Ryan.

— Nie ma sprawy, Em. Każę ludziom posprawdzać.

Ryan wiedział z góry, że tej sprawy nie da się rozwiązać łatwo ani szybko. Prawdopodobnie trzeba ją będzie umorzyć. No, tak. Tylko w telewizji rozwiązuje się takie i gorsze zagadki w pół godziny, między seriami reklam.

— To jak, można ich ładować?

— A róbcie z nimi co chcecie — zezwolił Ryan człowiekowi z kostnicy. Czarny samochód kombi już czekał, a na ulicach zaczynało się robić gorąco. Wokół ciał krążyły muchy, zwabione wonią krwi. Ryan ruszył zaraz do samochodu, a Tom Douglas poszedł za nim, zostawiając rutynową resztę prac młodszym detektywom.

— Ten ktoś umie strzelać, i to lepiej ode mnie — mruknął Douglas, kiedy jechali w stronę centrum miasta. Przesadzał ze swoją sprawnością, bo tylko raz startował w eliminacjach do reprezentacji komendy.

— Nie ty jeden umiesz strzelać, Tom. Takie czasy. Może ktoś taki jak ty bierze teraz pensję od innej organizacji niż nasza.

— Mafijna egzekucja, tak?

— Mówmy na razie o sprawnym morderstwie — zaproponował Ryan. — A o co naprawdę chodzi, dowie się za nas Mark. Ma kontakty.

— Pierwszorzędna perspektywa, stary — obruszył się Douglas.

\* \* \*

Kelly wstał o wpół do jedenastej rano i po raz pierwszy od kilku dni czuł się czysty. Kiedy tylko wrócił do mieszkania, wziął prysznic, zastanawiając się od niechcienia, czy bura ciecz, która z niego spływa, nie przepali czasem rur kanalizacyjnych. Co więcej, mógł się nareszcie ogolić, a to stanowiło dla niego najlepszą nagrodę za zarwaną noc. Przed śniadaniem — tak spóźnionym, że zjadł je już po południu — pojechał na kilometrową przejażdżkę do miejskiego parku i pół godziny biegał, zanim wrócił do domu, gdzie czekał go kolejny wspaniały prysznic i przekąska. Potem jednak znowu wziął się do pracy. Całe ubranie, jakie miał na sobie poprzedniego wieczora, zapakował w wielką papierową torbę: spodnie, koszulę, bieliznę, skarpetki i buty. Trochę żał mu było rozstawać się z myśliwską kurtką, tak obszerną i tak obficie zaopatrzoną w kieszenie. Trudno, będzie musiał kupić podobną, może nawet kilka. Kelly dałby sobie głowę uciąć, że tym razem udało mu się nie zachłapać odzieży krwią, lecz nie mógł mieć stuprocentowej pewności, bo ciemny materiał maskował plamy. Poza tym na ubraniu z całą

pewnością pozostały drobinki prochu, więc nie warto było ryzykować. Wsypał do torby resztki jedzenia i fusy z kawy, by przykryć ubranie, a całość wrzucił do osiedlowego kontenera na śmieci. Początkowo nosił się z zamiarem, by wyrzucić ją gdzieś dalej od domu, lecz istniała możliwość, że w ten sposób utrudni sobie tylko życie, zamiast je ułatwić. Ktoś mógłby to na przykład zauważyć, zapamiętać go sobie, zacząć się dopytywać, co jest w torbie, i tak dalej. Najłatwiej poszło Kelly'emu z pozbyciem się czterech łusek po pociskach kalibru 0,22 cala, bo kiedy biegał w parku, wrzucił je po prostu do kanału ściekowego. W południowych wiadomościach telewizyjnych ogłoszono, że policja natrafiła na zwłoki dwóch osób, ale nie podano żadnych szczegółów. Być może gazety okażą się lepiej poinformowane. Pozostawało już tylko jedno zadanie. Sięgnął po telefon.

— Cześć, Sam.

— O, cześć, John. Skąd dzwonisz? Jesteś w mieście? — odezwał się Rosen w swoim gabinecie.

— Właśnie. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli wpadnę na parę minut? Powiedzmy, około drugiej?

\* \* \*

— No, więc z czym przychodzisz? — zapytał go Rosen zza biurka.

— Nie z czym, tylko po co. Po rękawiczki. — Kelly wyciągnął przed siebie obie dłonie. — Takie szpitalne, z cienkiej gumy. Nie wiesz, ile kosztuje jedna para?

Rosen omal nie zapytał, po co Kelly'emu rękawiczki chirurgiczne, lecz zreflektował się w porę. Pewnych pytań lepiej było w ogóle nie zadawać.

— Para? Nie mam pojęcia. Dostajemy je w paczkach, po sto par w każdej.

— Aż tyle, to mi nie potrzeba.

Chirurg otworzył jedną z szuflad i cisnął Kelly'emu dziesięć par jednorazówek w plastikowych woreczkach.

— Wyglądasz niesłychanie dostojnie — zauważył. Nie minął się z prawdą, bo Kelly miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, krawat i granatowy garnitur „z CIA”, jak go teraz nazywał. Rosen pierwszy raz widział Kelly'ego pod krawatem.

— Nie rób sobie żartów, doktorku! — przestrzegł go Kelly. — Czasem wypada się trochę pokazać. Dostałem nową pracę, nie na stałe, ale zawsze coś.

— Tak? Ciekawe jaką?

— Jestem teraz kimś w rodzaju doradcy, albo eksperta — Kelly machnął ręką. — Nie mogę ci konkretnie powiedzieć, o co chodzi, bo wiesz, dyskrecja, ale skutek jest taki, że muszę się ubierać jak człowiek.

— A dobrze się czujesz?

— Pierwszorzędnie, naprawdę. Biegam i w ogóle. A ty, jak się trzymasz?

— Jak? Jak zwykle. Więcej wypisuję papierzysk niż operuję, ale w końcu jestem szefem całego oddziału. — Sam wskazał na stertę skoroszytów na biurku. Zdawkowa rozmowa zaczynała go coraz bardziej niepokoić. Wydawało mu się, że przyjaciel przyszedł do niego w przebraniu. Było jasne, że Kelly coś knuje, ale lepiej było go o to nie pytać, jeśli chciało się zachować czyste sumienie.

— Zrobiłbyś coś dla mnie?

— Dla doktora Rosena? Zawsze.

— Naszej Sandy zepsuł się samochód. Miałem ją sam podrzucić do domu, ale idę zaraz na zebranie, potrwa pewnie aż do czwartej, Sandy kończy zmianę o trzeciej.

— No, no, od kiedy przestałeś ją zmuszać do nadgodzin? — zapytał rozba-  
wiony Kelly.

— Czasami, jeżeli akurat nie uczy.

— Jeżeli się zgodzi, żebym ją odwiózł, nie ma sprawy.

Pozostałe do trzeciej dwadzieścia minut Kelly umilił sobie wizytą w stołówce. Sandy O'Toole znalazła go tam schylonego nad talerzem. Dopiero co skończyła zmianę.

— Zasmakowała ci nasza kuchnia? — zapytała go na przywitanie.

— Nawet w szpitalu nie zepsują sałaty — odpowiedział. — Słyszałem, że rozkraczył ci się wóz.

Sandy przytaknęła. Dopiero teraz Kelly spostrzegł, że Rosen miał powody, by dać jej odetchnąć od nadgodzin. Sandy wyglądała na naprawdę skonaną, miała niezdrową cerę, a pod oczami ciemne obwódki.

— Coś z instalacją. Chyba, bo nie chce mi zapalać. Zostawiłam go w warsz-  
tacie.

Kelly podniósł się od stołu.

— W takim razie, cóż, księżniczko, konie zajechały.

Uwaga spotkała się z uśmiechem, w którym było więcej uprzejmości niż hu-  
moru.

— Nigdy cię nie widziałam w garniturze — zauważyła, kiedy szli do pod-  
ziemnego garażu.

— Nie ma się czym podniecać. Jeśli trzeba, mogę się tarzać w bloku jak  
prawdziwi mężczyźni.

I tym razem żart nie wywołał spodziewanej reakcji. Przeciwnie.

— John, naprawdę nie chciałam. . .

— Spokojnie, moja pani. Padasz na nos po całym dniu pracy, a tu jeszcze twój  
kierowca sadzi głupie żarciki.

O'Toole okręciła się na pięcie i przystanęła.

— To naprawdę nie twoja wina, John. Potworny tydzień. Trafiło do nas na od-  
dział dziecko, z wypadku samochodowego. Doktor Rosen robił, co mógł, ale ob-

rażenia były takie rozległe... Dziewczynka zmarła w czasie mojej zmiany, przedwczoraj. Czasami nienawidzę tej roboty.

— Już rozumiem — odezwał się Kelly, otwierając przed Sandy drzwi auta. — Zaraz, mam ci coś powiedzieć na ten temat? Zawsze ginie nie ten, kto powinien. Zawsze ginie się nie w porę. I zawsze każda taka śmierć nie ma sensu.

— Ładne rzeczy. Domyślam się, że próbujesz mnie pocieszyć?

Tym razem, jakby przez przekorę, Sandy uśmiechnęła się, choć nie był to uśmiech, jaki Kelly chciałby oglądać na twarzy kobiety.

— Robimy, co się da, żeby jakoś poskładać świat do kupy, i tyle. Każde z nas. Całe życie walczymy ze smokiem. Ty ze swoim, ja ze swoim — powiedział Kelly bez zastanowienia.

— Tak? To ile smoków zabiłeś?

— Jednego czy dwa — mruknął Kelly, starając się odtąd uważać na to, co mówi. Zdziwiło go, jak ciężko mu to przyszło. Obecność Sandy skłaniała do zwieżeń.

— I co, lepiej ci od tego? Co? John?

— Mój ojciec był strażakiem. Zmarł, kiedy byłem za oceanem. Pojechali gasić dom, ojciec znalazł w środku dwójkę dzieciaków, zaczadziały od dymu. Wyniósł jedno dziecko, potem drugie, uratował je, a sam, jak już było po wszystkim, zmarł na zawał serca. Podobno nie zdążył jeszcze upaść na ziemię, a już nie żył. Przynajmniej coś osiągnął, prawda? — dokończył Kelly, przypominając sobie, co mówił mu admirał Maxwell w szpitalu okrętowym na lotniskowcu USS „Kitty Hawk”. Śmierć powinna mieć jakiś sens. Taka właśnie była śmierć jego ojca.

— Ludzi też zabijałeś, prawda? — zapytała Sandy.

— Jak to na wojnie.

— A czy ich śmierć też miała sens? Co przez to osiągnąłeś?

— Strasznie trudne pytanie. Czemu to służyło, tak w ogóle? Nie umiem ci odpowiedzieć. Wiem tyle, że ci, których zabiłem, nie zrobią już nikomu krzywdy.

W myślach Kelly znów ujrzał sceny z akcji PLASTIKOWY KWIAT. Jak tak dalej pójdzie, w końcu zabraknie wioskowych wójtów i ich rodzin. Być może zastąpił go teraz w tamtych obowiązkach kto inny, a być może nikt.

Sandy zapatrzyła się na ciągnące na północ sznury samochodów.

— A ci, którzy zabili Tima? Pewnie sobie myślał dokładnie to samo.

— Może tak, nie wiem, ale chyba jest pewna różnica. — Kelly chciał już powiedzieć, że nie widział nigdy, by któryś z Amerykanów zamordował kogoś z zimną krwią, lecz uświadomił sobie w porę, że sam odebrał sobie ten argument. I co teraz?

— Daleko nie zajdziemy, jeżeli wszyscy zaczną tak myśleć. Z chorobami jest prościej, bo walczysz ze wspólnym wrogiem, tym samym dla wszystkich. Żad-

nych kłamstw, żadnych względów politycznych. Nie zabijamy ludzi, tylko ich leczymy. Dlatego pracuję w tym szpitalu, wierz mi, John.

— Ale sama pomyśl, Sandy. Nie dalej jak trzydzieści lat temu był sobie facet imieniem Adolf, który bardzo lubił wysyłać do gazu takich ludzi jak Sarah i Sam, bo nie podobały mu się ich nazwiska i nosy. Trzeba go było zabić i tak się też stało, szkoda, że trochę późno, ale najważniejsze, że go unieszkodliwiono.

Kelly triumfował, bo wydawało mu się, że znalazł argument nie do odparcia. Sandy miała inne zdanie.

— Co tam Hitler! Mamy dość kłopotów na własnym podwórku. Przykładów nie trzeba było daleko szukać, bo klinika uniwersytetu John Hopkins mieściła się w nader podłej dzielnicy.

— Nie zapominam o tym, naprawdę.

— Przepraszam, John — ułagodziła go Sandy.

— Ja też cię przepraszam. — Kelly szukał odpowiednich słów. — Ale wierz mi, naprawdę jest tu jakaś różnica. Nie powiesz mi, że wszyscy ludzie są dobrzy. Oczywiście, większość jest dobra, ale istnieją też źli. Nie pozbędziesz się ich, choćbyś chciała, tak samo, jak ich nie naprawisz, bo przeważnie są nie do naprawienia. Ktoś musi bronić dobrych ludzi przed złymi, i właśnie to robiłem w Wietnamie.

— Dobrze, tylko czy w ten sposób sam się nie przyłączysz do tych złych?

Kelly zastanawiał się dłuższą chwilę. Zaczynał żałować, że w ogóle wdał się w tę rozmowę. Po co te roztrząsania, po co ktoś ma mu włożyć z butami w sumienie? Przez ostatnich kilka dni wszystko stało się takie jasne, tak proste. Wystarczyło uznać, że istnieje przeciwnik i na tej podstawie zastosować w praktyce własną wiedzę i wyszkolenie... I w ogóle nie trzeba było przy tym myśleć. W ogóle! A tu, proszę. Sumienie! Co tu ma do rzeczy sumienie?

— Nie miałem takiego kłopotu — odburknął, unikając odpowiedzi, i w tej chwili zrozumiał, w czym kryje się zasadnicza różnica. Sandy i lekarze walczyli nie z ludźmi, lecz z chorobą. Kładli na szalę wiedzę i technikę, by przeciwdziałać skutkom działania sił, których korzeni nie byli w stanie dosięgnąć. Z kolei Kelly i żołnierze tacy jak on kierowali broń przeciwko ludziom, bez wdawania się w motywy działania przeciwnika. Z bronią w ręku można było już walczyć oko w oko i, jeśli dopisywało szczęście, wyeliminować przeciwnika. Ludziom ze szpitala przyświecały absolutnie czyste intencje, lecz nadzieja, iż kiedyś ostatecznie uporają się z wrogiem była znikoma. Żołnierze zaś mogli liczyć na to, że fizycznie wyeliminują wroga, lecz zarazem musieli za to płacić słoną cenę, bo walcząc stawali się tacy sami, jak ich wrogowie. Lekarze i żołnierze. Dwie wojny, z których każda miała podobny cel lecz całkowicie odmienny charakter. Choroby toczące ciało, choroby toczące ludzkość. Ciekawa analogia, co?

— Ujmijmy to w ten sposób: nieważne, z kim albo z czym się walczy, tylko o co.

— No, więc o co walczyliśmy w Wietnamie? — jeszcze raz zapytała Sandy. Odkąd otrzymała nieszczęsny telegram, zadawała sobie to pytanie po dziesięć razy dziennie. — Mój mąż zginął tam, a ja dalej nie wiem, po co i dlaczego.

Zamiast odpowiedzieć, Kelly zamilkł, bo istotnie na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Ameryka weszła do Wietnamu, bo miała pecha, bo ktoś powziął błędną decyzję, bo źle zaplanowano operację, wskutek czego wydarzenia w jednym punkcie świata powodowały, że na drugim końcu globu musieli niepotrzebnie ginąć żołnierze. Nawet, jeśli się tam było samemu, wietnamska wojna mogła się wydawać absurdalna. Oprócz tego Sandy z pewnością słyszała już wszystkie możliwe odpowiedzi na to pytanie, i to z ust mężczyzny, którego teraz opłakiwała. Dlaczego więc nadal pyta? Może po prostu lubi się zadręczać? Może na takie pytania w ogóle nie ma odpowiedzi? Ale jeżeli cała sprawa jest od początku do końca bez sensu, jak można żyć i udawać, że wszystko to czemuś służy? Kelly zastanawiał się nad tym wszystkim jeszcze kiedy skręcał w ulicę, przy której mieszkała Sandy.

— Powinnas kiedyś odmalować ten dom — powiedział, zadowolony, że mogą zmienić temat.

— Wiem. Tyle że nie stać mnie na malarzy, a sama nie mam czasu.

— Sandy... Mogę ci coś powiedzieć?

— Co takiego?

— Zapomnij o tym wszystkim. Musisz zacząć żyć. To straszne, że Tim zginął, ale trudno, stało się. Sam też zostawiłem w Wietnamie paru przyjaciół. Trzeba jakoś żyć.

Zabolał go wyraz wielkiego zmęczenia, jaki pojawił się na twarzy Sandy. Pielęgniarka spojrzała na niego właśnie jak pielęgniarka na pacjenta, bez śladu emocji, bez okazywania własnych uczuć. Jednak Kelly'emu wystarczyła sama wiedza, że Sandy próbuje coś przed nim ukryć.

Sandy tymczasem zastanawiała się nad zmianą, jaka zaszła w Kellym. Co się stało? Skąd ten nowy ton? Najwyraźniej Kelly dojrzał do jakiejś nowej decyzji. Był po staremu uprzejmy, prawie komiczny ze swoimi dobrymi manierami, lecz jego poprzednia melancholia, prawie tak głęboka jak jej własny przeraźliwy smutek, rozviała się bez śladu, a na jej miejscu pojawiło się coś, czego Sandy nie umiała właściwie zgłębić. Wrażenie było dziwne, bo dotychczas Kelly nigdy nie ukrywał siebie przed nią, więc Sandy wyobrażała sobie, że potrafi go przejrzeć. Myliła się jednak, albo nie umiała znaleźć właściwego klucza. Bez słowa patrzyła więc, jak Kelly wysiada, obchodzi samochód i otwiera dla niej drzwiczki.

— Bardzo proszę — powiedział i szerokim gestem wskazał dom.

— Po co te uprzejmości? A może to doktor Rosen...?

— Doktor Rosen powiedział mi tylko, że trzeba cię podwieźć. Słowo daję, Sandy. Poza tym naprawdę wyglądasz na skonaną — przerwał Kelly i odprowadził Sandy aż pod drzwi.

— Sama nie wiem, czemu mam ochotę z tobą rozmawiać — szepnęła już na schodkach.

— Nie byłem taki pewien, czy masz ochotę. Ale masz, tak?

— Chyba tak. — Sandy prawie się uśmiechnęła, lecz wesołość na jej twarzy natychmiast zgasła. — Ale wiesz, John, na razie naprawdę wolę być sama.

— Ja też wolę być na razie sam. Ale chyba możemy być przyjaciółmi, co?

Sandy zastanowiła się.

— Tak. Chyba możemy.

— To może wybierzemy się kiedyś razem do restauracji? Zapraszałem cię już raz, pamiętasz?

— A często bywasz w mieście?

— Ostatnio często. Dostałem nową pracę, a właściwie zlecenie. Z Waszyngtonu.

— Ciekawe. Co tam robisz?

— Nic ważnego.

Sandy oczywiście wyczuła kłamstwo, lecz pojęła, iż Kelly'emu zależy na dyskrecji i nie obraziła się.

— Może w przyszłym tygodniu?

— Dobrze. Zadzwoń do ciebie. Nie znam tu w okolicy żadnej ciekawej knajpy.

— Ale ja znam.

— Czyli co? Odpoczywaj — przykazał jej Kelly. Nie próbował jej pocałować ani nawet uścisnąć dłoni na pożegnanie. Uśmiechnął się tylko, czule lecz po przyjacielsku, i poszedł. Sandy patrzyła, jak rusza sprzed domu, wciąż niepewna, jaka to zmiana zaszła w Kellym. Z pamięci nie znikał jej ani przez chwilę wyraz jego twarzy w szpitalu, dwa dni po postrzale. Umiała jednak wyczuć, że przynajmniej ze strony Kelly'ego nic jej nie grozi.

Jadąc uliczkami Kelly kłął pod nosem, bardzo zły na siebie. Zdążył już założyć płócienne rękawice i jadąc wycierał nimi wszystkie punkty wnętrza, jakich tylko mógł dosięgnąć. Na przyszłość trzeba unikać takich rozmów. O czym w ogóle rozmawiali? Skąd człowiek ma wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? W dżungli wszystko wyglądało o wiele prościej. Wykrywało się przeciwnika, albo, jeszcze częściej, ktoś donosił o jego obecności, liczebności i reszcie szczegółów. Informacje okazywały się najczęściej nieściśle, ale stanowiły jakiś punkt zaczepienia. Na odprawach nikt jednak nie mówił Kelly'emu, w jaki sposób nowa akcja wpłynie na losy świata albo przybliży zakończenie wojny. O takich sprawach można było co najwyżej poczytać sobie w gazetach, w relacjach dziennikarzy, którym było dokładnie wszystko jedno i którzy powtarzali opinie rzeczników, albo polityków. Rzecznicy nic nie wiedzieli, a politykom nie chciało się niczego sprawdzać. Ulubionymi terminami dziennikarzy były takie słowa jak „kadra” albo „infrastruktura”, lecz Kelly i inni musieli polować na ludzi, nie na infrastrukturę. Też pokrę-



ny termin! Infrastruktura to martwy przedmiot, rzecz, taka sama jak wszystko, z czym walczyła Sandy. Infrastruktura mogła oznaczać wszystko oprócz człowieka o złych zamiarach, którego trzeba wytropić i zabić, jak niebezpiecznego drapieżcę. Czy to samo dałoby się powiedzieć o obecnej akcji? Kelly powtarzał sobie, że musi dać spokój z refleksjami, trzymać się paru prostych faktów i pamiętać tak jak w przeszłości, że jeżeli poluje, to na ludzi. Nie miał zamiaru naprawiać świata. Chciał, co najwyżej, wyczyścić jego jeden niewielki zakątek.

\* \* \*

— Ciągłe tak cię boli, przyjacielu? — zapytał Griszanow.

— Chyba mi połamali żebra.

Zacharias siedział na krzeselku. Oddychał powoli i z wyraźnym bólem. Rosjanin zaniepokoił się nie na żarty. Od złamanych żeber był już tylko krok do zapalenia płuc, a w obecnym stanie choroba mogła wykończyć jeńca. Wietnamscy strażnicy trochę przesadzili z obróbką wstępną. Bili na wyraźne polecenie Griszanowa, który jednak kazał im zmiękczyć Zacharias, a nie zakatować go na śmierć. Martwy jeńiec nikomu już nie wyjawi żadnej tajemnicy.

— Rozmawiałem z tym majorem, z Vinhem. Dzikus twierdzi, że nie ma lekarstw, przynajmniej nie dla ciebie. — Griszanow wzruszył ramionami. — Może naprawdę ma pustki w apteczce, kto go tam wie. Więc mówisz, że bardzo boli?

— Przy każdym oddechu — potwierdził Zacharias. Widać było, że nie kłamie. Poza tym był jeszcze bardziej blady niż zwykle.

— Mam tylko jeden środek przeciwbólowy, Robin — odezwał się Griszanow przepraszającym tonem i podał mu aluminiową manierkę.

Amerikanin potrząsnął głową. Nawet ten drobny gest sprawił, że skrzywił się z bólu.

— Nie mogę.

W słowach Griszanowa czuło się bezradność, jak u kogoś, kto wdał się w niepotrzebny spór.

— Robin, nie bądź głupi. Co to komu da, że cię będzie bolało? To nic nie da, ani tobie, ani mnie, a twój Bóg też może się pogniewać. Inaczej nie mam ci jak pomoc, więc proszę cię, pozwól.

Zacharias upierał się nadal. Pić alkohol oznaczało dla niego złamać największe przymierze. Ciało człowieka jest świątynią, której nie może zbrukać żadne świństwo. Tylko co z tego, skoro świątynia leżała w ruinach?

Najbardziej ze wszystkiego Zacharias bał się wewnętrznego krwotoku. Czy ciało będzie wówczas w stanie samo się wyleczyć? Powinno, i w normalnych warunkach czyniłoby to z łatwością, lecz Zacharias nie miał złudzeń co do swego obecnego stanu. Był wycieńczony, wciąż dokuczał mu kręgosłup, a teraz doszedł

jeszcze ból żeber. Ból, od miesięcy nieodłączny towarzysz. Ból, który sprawiał, że coraz trudniej było milczeć. Co wybrać: religię czy wolę wytrwania w opozycji? Zacharias gubił się w tym wszystkim. Gdyby ból złagodniał, może łatwiej byłoby dojść do zdrowia? I łatwiej trzymać się podczas przesłuchań? Co robić? Pytanie było pozornie łatwe, ale odpowiedź okazała się mętna i wieloznaczna. Amerykanin wbił wzrok w aluminiową manierkę, pełną płynu, który przyniesie ulgę — może nie całkowitą, lecz odczuwalną. Ulgę, bez której, być może załamał się. Grisanow odkręcił manierkę.

— A ty jeździsz na nartach, Robin? Pytanie zaskoczyło Zachariasa.

— Jeżdżę. Nauczyłem się jeszcze jak byłem mały.

— Na biegówkach?

— Nie, w górach. Na zjazdowych.

— W tych twoich górach Wasatch musi być masa śniegu, co? Robin uśmiechnął się na samo wspomnienie.

— Pewnie, że tak. Cała masa, Kola. I to jaki śnieg! Puch, sypki jak drobny piasek.

— Aha, pewnie. Taki jest najlepszy. No, masz. — Rosjanin podał manierkę. Zacharias postanowił pozwolić sobie na jeden jedyny łyk. Trzeba czymś zabić ból. Z tą myślą przełknął płyn. Na chwilę zapomnieć o bólu, pozbierać się, odzyskać równowagę...

Griszanow obserwował go spod oka. Amerykanin zaczął łzawić. Byle się tylko nie rozkaszał, bo załatwi sobie żebra do końca. Wódka była pierwszorzędna, prosto z kantyny w rosyjskiej ambasadzie w Hanoi. Jedyne, czego nigdy nie zabraknie ani w ojczyźnie, ani w jej placówkach za granicą. Wódka prima sort, papierówka, ulubiony trunek Koli. Rzeczywiście, podprawiano smak tej wódki starym papierem, czego Amerykanin nie był w stanie docenić. Ani on, ani zresztą sam Kola Grisanow po trzeciej albo czwartej szklance.

— Dobrze jeździsz, Robin?

Zacharias czuł, jak z brzucha rozpełza mu się na wszystkie strony miłe ciepło, od którego całe ciało rozluźnia się, ból przycicha, a mięśniom powraca nieco siły. Skoro Rosjanin uparł się, żeby rozmawiać o narciarstwie, można się do niego odezwać. Co komu zaszkodzi rozmowy o narciarstwie?

— Dobrze. Po najtrudniejszych stokach — odezwał się więc z zadowoleniem w głosie. — Zacząłem jeszcze nim poszedłem do szkoły. Kiedy ojciec zabrał mnie pierwszy raz na narty, miałem pięć lat.

— Twój ojciec też był pilotem?

— Nie. Adwokatem.

— A mój jest profesorem historii w moskiewskim uniwersytecie państwowym. Mamy daczę na wsi, więc kiedy byłem mały, zimą robiliśmy na nartach wycieczki. Po lasach, po polach. Uwielbiam taką ciszę. Słyszysz tylko... Jak to

będzie po angielsku? No, taki świst śniegu pod deskami, i nic więcej, jak gdyby ziemię ktoś nakrył kocem. Żadnego dźwięku, i tylko ta cisza.

— W górach też tak bywa, jeśli się wybierzesz wcześniej. Musisz tylko trafić dobry dzień, tuż po spadnięciu śniegu i bez wiatru. . .

— Jak w samolocie, co? — rozmarzył się Kola. — Lecisz sobie, sam jeden za sterami, w pogodny dzień, na niebie ledwo parę chmurek. . . Ale powiedz mi, zdarzało ci się wyłączać w takich chwilach radio? Wiesz, żeby chociaż parę minut pobyć samemu?

— Pozwalają wam na to? — zdziwił się Zacharias.

Griszanow zaśmiał się szelmowsko.

— Ależ skąd. Tyle, że i tak wyłączam.

— I dobrze robisz. — Robin uśmiechnął się także na samo wspomnienie tego uczucia. Pamiętał zwłaszcza jedno popołudnie, lutowy dzień w 1964 roku, kiedy leciał z bazy lotniczej Mountain Home.

— Sam powiedz, człowiek czuje się w takich chwilach jak Bóg. Zupełnie, ale to zupełnie sam. Przestajesz zwracać uwagę na huk silnika. . . Ja zresztą po paru minutach w ogóle zapominam o silniku, a ty?

— Ja też. Jeśli mam dopasowany hełm.

— Tylko dlatego zostałem pilotem — skłamał Griszanow. — Cała reszta to gówno, wszystkie te papierki, mechanizmy, wykłady, zabałaganione życie. Ale za tę cenę mogę być sam w powietrzu. To tak samo jak w dzieciństwie, samemu w lesie, na nartach. Może jeszcze lepiej? W pogodny zimowy dzień widzisz całą ziemię. . . — Griszanow znów podał manierkę. — Myślisz może, że te małe dzikusy znają takie uczucie?

— Nie wydaje mi się — odbąknął Zacharias z wahaniem. Pić czy nie pić? Z lekkim wahaniem wypił już raz, więc następny łyk chyba mu nie zaszkodzi? Ostatecznie przyjął manierkę i napił się z niej.

— Powiem ci, Robin, jak to robię. Trzymam drążek samymi czubkami palców, o tak — Rosjanin zademonstrował rzecz na manierce. — Potem na chwilę zamykam oczy, a kiedy je otwieram, cały świat wydaje mi się odmieniony. Dlaczego? Dlatego, że nie jestem już częścią świata, tylko czymś innym. Może i aniołem. Dobrze, co? Lecę sobie i mam pod sobą całe niebo, jak gdybym brał kobietę. Najwspanialsze uczucia przychodzą w samotności, nie uważasz?

Zacharias pomyślał, że Rosjanin naprawdę wie, czym jest latanie, ale zbył go na wszelki wypadek:

— A ty co? Poeta?

— Pewnie, że poeta. Kocham poezję. Sam nie piszę, brak mi do tego talentu, ale dużo czytam, uczę się wierszy na pamięć. . . Lubię czuć to samo, co poeta w wierszu, pewnie. . . — wyznał cicho Griszanow. Mówił zupełnie szczerze, choć zarazem pilnie obserwował senny, nieprzytomny wyraz oczu Amerykanina. — Wcale nie jesteśmy od siebie tacy różni, przyjacielu.

\* \* \*

— To co w końcu było z tym Ju-ju? — zapytał Tucker.

— Wygląda, że go ktoś obrobił. Nie uważał i ma za swoje. Twój, tak? — upewnił się Charon.

— Aha. Obrotny był z niego chłopak. Kto go zdmuchnął?

Siedzieli w czytelni Biblioteki Publicznej Enocha Pratta, schowani za rzędami katalogów. Miejsce było idealne. Żadnych podsłuchów, pełna dyskrecja. Sala była cicha i mnóstwo w niej było takich ustronnych zakamarków.

— Tego to nie wiemy, Henry. Ryan i Douglas przewąchawali sprawę, ale wydaje mi się, że niewiele mają w rękę. Poza tym, o co się tak ciskasz? O głupiego detalistę?

— Coś ty, głupi? Tyle, że trochę szkoda interesu. Nikt mi jeszcze nigdy nie obrobił żadnego z ludzi.

— Coś ty, głupi? — odbił piłkę Charon, zanim przerzucił parę stron. — W tej branży wypadki chodzą po ludziach. Ktoś chciał szybko zgarnąć trochę szmalcu, a przy okazji towaru. Może chciał sam go opchnąć, dać się poznać na ulicy. Na twoim miejscu rozglądałbym się za nowym detalistą. Jak znajdziesz u niego swój towar, sprawa jasna. Ale czekaj... Kropnęli tego Ju-ju tak czysto, że może warto by się z kimś takim dogadać.

— Po co mi nowy kioskarz? Zacznie się gadanie, że wymiękłem. To jak załatwili Ju-ju i tego drugiego?

— Zawodowo. Każdemu dwie kulki w głowę. Douglas mówił, że mu to wygląda na robotę mafii.

— Ejże? — Tucker drgnął.

Odwrócony do niego plecami Charon wytłumaczył mu spokojnie:

— Nie myśl sobie czasem, że to tutejsi, Henry. Tony nigdy by ci nie wyciął takiego numeru, nie?

— Pewno nie — odburknął Tucker, który prędzej podejrzewałby o to Eddiego.

— Potrzebuję czegoś od ciebie — odezwał się Charon po chwili.

— Czego?

— Człowieka. Co myślałeś, że pytam, na którego konia postawić w Pimlico?

— Ciężko będzie. Większość to teraz moi. — Henry był do tej pory zadowolony, ba, zachwycony, że dzięki Charonowi może się rozprawić z każdym groźniejszym konkurentem, lecz w miarę jak opanowywał miejscowy rynek, zmniejszała się też liczba ludzi, których mógł podsunąć policji na pożarcie. Dotyczyło to zwłaszcza miejscowych rekinów. Do tej pory Henry wystawiał Charonowi tylko tych, z którymi nie miał ochoty współpracować. Paru, którzy jeszcze działali, mogło się w razie czego przydać — była to tylko kwestia negocjacji.

— Wbij sobie, Henry, do głowy, że jeżeli mam ci osłaniać dupę, muszę mieć jakiś wpływ na śledztwa. A wpływ będę miał tylko wtedy, jeżeli od czasu do

czasu upoluję jakąś grubszą sztukę. — Charon odłożył książkę na półkę, zły, że musi tłumaczyć partnerowi sprawy tak oczywiste.

— Kiedy?

— Na początku przyszłego tygodnia. Tylko, żebyś mi znalazł coś ekstra. Takiego, żebym miał pochwałę w papierach.

— Dam ci znać. — Tucker także odstawił książkę na miejsce i wyszedł. Porucznik Charon przez kilka minut szperał na półkach w poszukiwaniu właściwego tomu. Znalazł go w końcu, wraz z kopertą, której tam przedtem nie było. Nie przelecił nawet zawartości. Wiedział z góry, że kwota będzie ta sama, co w umowie.

\* \* \*

Greer przedstawił ich sobie.

— Panowie, oto generał Martin Young, a to pan Robert Ritter.

Kelly uściskał Youngowi i Ritterowi dłonie. Generał służył w piechocie morskiej, ale jako lotnik, podobnie jak Maxwell i Podulski. Tych ostatnich nie było na dzisiejszym spotkaniu. Kelly nie miał pojęcia, kim jest Ritter, ale to właśnie Ritter odezwał się do niego pierwszy.

— Niezła analiza. Pisana może mało urzędowym językiem, ale trafna, jeśli chodzi o wszystkie istotne zagadnienia.

— Powiem panu, że to nie było takie trudne. Weźmy na początek sam desant. Łatwizna, bo będziemy działać na tyłach, czyli tam, gdzie nie ma pierwszolinowych oddziałów, a poza tym w takim obozie wartownicy patrzą do środka ogrodu, nie na zewnątrz. Karabiny maszynowe na wieżach także celują do środka, prawda? Żeby je przestawić, potrzeba ładnych paru sekund. Pod osłoną drzew można podejść na odległość strzału z granatnika, z *M-79*. — Kelly wskazał odpowiednie miejsca na planie sytuacyjnym. Tutaj mamy koszary. Tylko dwa wyjścia. Założę się, że nie ma tam więcej niż czterdziestu ludzi.

— Włazimy tędy? — generał Young postukał w miejsce, gdzie zaznaczono południowo-zachodni róg ogrodu.

— Właśnie — przytaknął Kelly z uznaniem. Jak na lotnika, generał prędko umiał się połapać w zagadnieniu. — Dowcip polega na tym, żeby podciągnąć grupę uderzeniową, jak się tylko da najbliżej. Najlepiej pod osłoną deszczu, ale o tej porze roku deszcz mamy jak w banku. Dwa śmigłowce szturmowe z pociskami niekierowanymi i działkami. Niech się przejadą po tych dwóch budynkach. Śmigłowce ewakuacyjne będą siadać tutaj. Od pierwszego strzału do ewakuacji akcja powinna potrwać pięć minut. Mówię tylko o fazie lądowej. O resztę niech się martwią lotnicy.

— Czyli, pańskim zdaniem, powodzenie akcji zależy od tego, żeby wysadzić grupę szturmową jak najbliżej celu. . .

— Nie, nie. Jeżeli chce pan powtórzyć akcję z Song Tay, to owszem, może pan skopiować tamten plan, rozbić śmigłowiec na samym placu apelowym, i co tam jeszcze. Tyle, że podobno chce pan działać po cichu.

— Zgadza się — potwierdził Ritter. — To ma być akcja na małą skalę. Nikt nie da nam zgody na cokolwiek innego, niż mała akcja dywersyjna.

— A mniejsze siły oznaczają, że trzeba zmienić taktykę. Całe szczęście, że to taki mały obóz, że musimy stamtąd wydostać tak niewielu jeńców, i że tamci mają mało wartowników.

— Tyle, że ryzyko jest większe. — Generał Young nachmurzył się nagle.

— Dużo większe — przytaknął Kelly. — Trzeba wziąć dwudziestu pięciu ludzi, wysadzić ich w tej dolince, niech przeskoczą to wzgórze, otoczą obóz, załatawają wartowników na wieżach i wysadzą bramę. Na sygnał, oba śmigłowce szturmowe podejną bliżej i palną w te dwa budynki. Oddział szturmowy zajmie się trzecim. Śmigłowce pokrążą, dopóki nie podstawimy autokarów i w nogi, w stronę wejścia do doliny.

— Jest pan optymistą, panie Clark — skomentował rzecz Greer, zarazem przypominając Kelly'emu, jak się powinien przedstawiać. Gdyby generał Young dowiedział się, że Kelly to zwykły bosman, za nic w świecie by się nie zgodził iść im na rękę. W dodatku Young i tak wykazał się już hojnością, bo na wzniesienie makiety obozu w lasach bazy Quantico zużył całą pulę budżetową na remonty.

— Zajmowałem się już tymi sprawami, panie admirałe.

— Kto dobierze personel? — zapytał z kolei Ritter. Odpowiedział mu i tym razem Greer.

— O to proszę się nie martwić.

Ritter usiadł wygodniej i przejrzał kolejne zdjęcia i plany. Od powodzenia akcji zależała cała jego dalsza kariera. To samo zresztą dotyczyło Greera i wszystkich pozostałych. Jednocześnie bierność oznaczała zgodę na śmierć co najmniej jednego oficera, a być może dwudziestu. Ritter musiał jednak uczciwie przyznać, że prawdziwy powód, dla którego przystąpił do planu, jest inny. Działał, gdyż nie mógł się pogodzić z tym, że ktoś na górze poświęcił tych dwudziestu ludzi, jak gdyby ich życie nie miało znaczenia. Tego typu sytuacja mogła się łatwo powtórzyć w przyszłości, lecz mentalność, jaką się w ten sposób popierało, oznaczała w perspektywie krach dla całej Firmy. Jeżeli rozejdzie się pogłoska, że Ameryka ma gdzieś ludzi, którzy jej służą, wkrótce nie uda się już zwerbować żadnego agenta. Nie chodziło tu już więc o zasadę moralną, tylko o bardzo praktyczne skutki bierności.

— Lepiej rozkręcimy trochę te przygotowania, zanim pójdziemy po zgodę — zauważył. — Łatwiej dostać zielone światło dla akcji, która jest już na dużych obrotach. Powiemy, że to jedyna, niepowtarzalna okazja, i tak dalej. Misja ostatniej szansy. Kolejny błąd tych, którzy planowali MACZUGĘ, panowie: chodziło o to, żeby uzyskać stałą zgodę na takie zabawy, a na tym nikomu szczególnie nie

zależało. Więc powtarzam: to jednorazowa akcja ratunkowa. Z taką wersją pójde do swoich kolegów w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa. Powinni się zgodzić, chociaż nie na pewno. Jeśli się zgodzą, musimy być z miejsca gotowi do działania.

— Czy to znaczy, Bob, że jesteś po naszej stronie? — upewnił się Greer. Ritter zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

— Owszem.

— Potrzebne nam dodatkowe zabezpieczenie — wtrącił Young, wpatrzony do tej pory w mapę sztabową. Nie bardzo wiedział, jak śmigłowce mają dotrzeć na miejsce.

— Zgadzam się, panie generale — przyznał Kelly. — Ktoś musi pójść przodem i obejrzeć sobie to wszystko.

Na stole nadal leżały zdjęcia Robina Zachariasa. Pierwsze przedstawiało pułkownika w galowym mundurze, z piersią udekorowaną baretkami odznaczeń i srebrnymi skrzydełkami pilota. Pułkownik stał z dumnie zadartą głową, w otoczeniu rodziny, i uśmiechał się do obiektywu. Na drugim zdjęciu widać było zgarbionego, obdartego człowieka, który za chwilę dostanie kolbą karabinu w nerki. Kelly uzmysłowił sobie, co to oznacza. Kolejną kruczaję, tak?

— Ja pójde.

## 17 — Komplikacje

Kręgiel wiedział nie tak znów wiele, ale jak na potrzeby Kelly'ego, było to zupełnie dosyć. Teraz trzeba było się tylko trochę wyspać.

Nowym odkryciem stał się natomiast dla Kelly'ego fakt, że śledzenie innego samochodu to sprawa o wiele trudniejsza, niż się to widzi w telewizji — jeszcze trudniejsza niż jedyne dotychczasowe próby w tym kierunku, jakie czynił Kelly w Nowym Orleanie. Jechać tuż za śledzonym nie można, bo ten może spostrzec, co się dzieje. Za daleko też nie, bo wtedy łatwo zgubić śledzonego. Wszystko dodatkowo komplikuje ruch uliczny ciężarówki zasłaniają widzialność, koncentrując wzrok na wozie o kilkadziesiąt metrów w przód, traci się z oczu najbliższe samochody, które potrafią wyprawiać najdziwniejsze figle, i tak dalej. Kelly w skrytości ducha był wdzięczny Billy'emu za dobór koloru Roadrunnera. Jaskrawoczerwony wóz rzucał się w oczy na kilometr, więc można go było śledzić, mimo że kierowca brał każdy zakręt z piskiem opon. W mieście nie można było zresztą naruszyć zbyt wielu przepisów ruchu tak, aby nie zwrócić na siebie uwagi policji, a na to Billy miał, na szczęście, równie małą ochotę, co Kelly.

Kelly spostrzegł czerwony samochód parę minut po siódmej wieczorem, w pobliżu baru, o którym wspomniał Kręgiel. Billy mógł sobie być sprytny, ale dyskrecji nie miał w sobie ani trochę — do takiego wniosku doszedł Kelly oglądając jego samochód. Na wypucowanej karoserii nie zostało ani śladu błota, przeciwnie, lakier był świeżo umyty i wywoskowany. Podczas poprzedniego spotkania Kelly zdążył się zorientować, jak bardzo Billy kocha swój wóz. Można to było wykorzystać, i to na kilka sposobów. Kelly zastanawiał się nad tym, jadąc za Billym, stale w sporej odległości. Próbował się zorientować, jakim kierowcą i jakim przeciwnikiem jest Billy. Wkrótce stało się dla niego jasne, że Billy, na ile to tylko możliwe, unika głównych tras, a po bocznych uliczkach porusza się z równą łatwością, co łasica we własnej jamie. Kelly znacznie mu tutaj ustępował, ale na szczęście poruszał się samochodem tak popularnym i zwyczajnym, że na dobrą sprawę niewidzialnym.

Po czterdziestu minutach Kelly zaczął już dostrzegać w jeździe pewną logikę. Czerwony Roadrunner skręcił ostro w prawo i zatrzymał się w pobliżu końca ulicy. Kelly rozważył szybko opcje i zamiast zwolnić, niespiesznie przejechał obok



wozu. Kiedy się zbliżał, z Roadrunnera wysiadła jakaś dziewczyna z torebką w ręku i podeszła do starego znajomego, w osobie Czarodzieja, który zwykle kręcił się z towarem o parę przecznic dalej. Kelly nie widział, czym wymieniają się dziewczyna i Czarodziej, bo para weszła do jednego z domów, ale nie było to konieczne. Dziewczyna wyszła stamtąd po minucie, a Kelly rozpoznał w tej scenie typową sytuację, jaką mu opisywała Pam. Co jeszcze istotniejsze, nareszcie wiedział, co robi Czarodziej. Kelly skręcił w lewo i zatrzymał się na czerwonym świetle. Udało mu się poznać dwa nowe fakty. We wstecznym lusterku mignął mu przeskakujący skrzyżowanie Roadrunner. Dziewczyna także przecięła jezdnię i zniknęła z pola widzenia. Jednocześnie zmieniło się światło przed Kellym, który skręcił w prawo, a potem znów w prawo i wkrótce dostrzegł czerwony wóz, jadący na południe z trójką pasażerów. I tego trzeciego, skulonego na tylnym siedzeniu — prawdopodobnie mężczyznę — Kelly zauważył dopiero teraz.

Ściemniało się. Zmierzch sprzyjał planom Kelly'ego, który nadal jechał śladem Roadrunnera i jak najdłużej zwlekał z zapaleniem świateł. Czekąca go nagroda za te wysiłki, bo czerwony samochód zatrzymał się przy narożnym szeregowym domku, a trójka pasażerów wysiadła i zniknęła za drzwiami. Było jasne, że na ten wieczór mają fajrant: dostarczyli towar czterem handlarzom, a teraz mogą odpocząć. Kelly zaparkował samochód kilka przecznic dalej i odczekał parę minut, po czym pieszo, nadal w przebraniu włóczęgi, wrócił pod narożny dom. Zadanie ułatwiała mu sama ulica, bo wszystkie domy po drugiej stronie miały od frontu szerokie marmurowe stopnie, obramowane murkiem. Wystarczyło przysiąść na chodniku, oprzeć się o murek i obserwować, bez obawy o to, co dzieje się za plecami. Kelly wybrał sobie miejsce, nie daleko działającej ulicznej latarni, ale w dyskretnym cieniu. Nie obawiał się, że ktoś go zauważy, bo kogo obchodzi jeszcze jeden zapijaczony włóczęga? Kelly skulił się w pozie, którą podpatrzył u prawdziwych pijaków i przez następnych parę godzin spod oka zerkał na narożny dom, tylko co pewien czas udając, że przetyka wino z flaszki ukrytej w papierowej torbie.

Grupy krwi 0+, 0- oraz AB-. Kelly pamiętał tę część raportu z sekcji zwłok, która dotyczyła śladów spermy w ciele Pam. Ślady odpowiadały właśnie tym trzem grupom. Siedząc niecałe pięćdziesiąt metrów od narożnego domu, Kelly zastanawiał się, jaką grupę krwi ma Billy. Na ulicy trwał wieczorny ruch. Ludzie szli w jedną i w drugą stronę, ale najwyżej troje z nich w ogóle zaszczyciło go spojrzeniem. Kelly udawał, że drzemie i kątem oka obserwował dom, a przy okazji bacznie nasłuchiwał. Mijały godziny. Na chodniku, ze dwadzieścia kroków od Kelly'ego, uwijał się handlarz z narkotykami. Kelly strzygł uchem, bo pierwszy raz miał okazję słyszeć, jak ktoś zachwala taki towar i targuje się o cenę. Klienci mieli najrozmaitsze głosy. Kelly od dziecka odznaczał się znakomitą słuchem, co niejedną raz ocaliło mu życie. Katalogował więc w myślach wszystko, co do niego dobiegało, analizował i zapamiętywał. W którejś chwili zaczął go obwąchi-

wać bezpański pies — przyjacielsko i bez złych zamiarów, toteż Kelly nie próbował go odpędzać. Ulicznym włóczęgom jest w takich razach wszystko jedno. Co innego, gdyby podkradł się do niego szczur, ale pies? Chodziło w końcu o to, by ani na chwilę nie wypaść z roli.

Przy okazji Kelly zastanawiał się nad topografią ulicy. Po jednej stronie stał rząd ceglanych szeregowych domków. Druga strona wyglądała nieco zamożniej: kamienne domy, choć także szeregowy, były o połowę szersze. Może w przeszłości środkiem ulicy przebiegała niewidzialna granica między dzielnicą robotniczą a sadybami nieco bogatszych rodzin z klasy średniej? Kto wie, może dom, przy którym usiadł Kelly, należał do kupca albo kapitana statku? Może w soboty rozbrzmiewały z jego okien dźwięki fortepianu, a córka właścicieli studiowała w Konserwatorium Peabody'ego? Wszyscy tacy ludzie dawno wyprowadzili się do dzielnic, gdzie przed domami rośnie trawa. Dwupiętrowy kamienny budynek zmienił się w symbol dawnych, jakże innych czasów. Ciekawe, swoją drogą, że ulica jest taka szeroka. Może to pamiątka z epoki, kiedy podstawowym środkiem transportu były konne powozy?

Kelly otrząsnął się z tych myśli, bo wydały mu się nieważne. Zawracanie głowy. Liczyło się tylko zadanie.

Pełne cztery godziny upłynęły, zanim trójka z samochodu znowu znalazła się na chodniku. Obaj mężczyźni szli przodem, dziewczyna za nimi. Była niższa i bardziej krępa niż Pam. Kelly zaryzykował i nieznacznie podniósł głowę, aby lepiej widzieć. Chciał dobrze się przyjrzeć kierowcy, którym był zapewne sam Billy. Udało się. Billy wyglądał niezbyt imponująco, bo był chudy, miał może metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale na jego nadgarstku pobłyskiwało złoto. Zegarek albo łańcuszek. Poruszał się zręcznie i z pewnością... arogancją? Drugi mężczyzna był wyższy i tęższy, lecz wyraźnie czekał na każde skinienie Billy'ego. Tak wynikało ze sposobu, w jaki się poruszał i maszerował tuż za swoim szefem. Dziewczyna szła za nimi jeszcze posłuszniej, wręcz bezwolnie i ze zwieszoną głową. Bluzkę miała rozchełstana i niedopięta, a do samochodu wsiadła nie podnosząc głowy, jak gdyby w ogóle nie obchodziła jej reszta świata. Poruszała się powoli i niepewnie, może pod wpływem narkotyków, ale chyba nie tylko dlatego. Z jej postaci było coś jeszcze, coś niepokojącego, czego Kelly nie mógł nazwać. Może właśnie bezwolność? Rozleniwienie? Kelly aż zamrugał, kiedy sobie przypomniał, gdzie po raz ostatni oglądał takich ludzi. W wietnamskiej osadzie, podczas akcji PLASTIKOWY KWIAT. Dokładnie w ten sam sposób wieśniacy szli na plac, dokąd ich wezwano. Szli z rezygnacją, krokiem automatów, jak zgraja robotów posłusznych komendom wietnamskiego majora i jego ludzi. Dokładnie tym samym krokiem poszliby na śmierć. Właśnie tak poruszała się nieznajoma dziewczyna, i prawdopodobnie taki sam koniec ją czekał.

Kelly uświadomił sobie, że wszystko, co usłyszał, było prawdą. Tamci rzeczywiście używali dziewczyn jako doręczycielek towaru... I nie tylko...

Samochód ruszył. Billy prowadził jak szaleniec: czerwony wóz cofnął się o pół metra, wykręcił i z piskiem opon wyprysnął na jezdnię, znikając z pola widzenia Kelly'ego. „Billy, wzrost 175, szczupły, złota bransoleta albo zegarek, arogancki sposób bycia”. Kelly utrwalił sobie w pamięci ten rysopis, wraz z zapamiętaną twarzą i fryzurą. Wiedział, że nie zapomni. Zapisał też sobie w myślach wygląd drugiego mężczyzny — tego, który nie posiadał imienia, a tylko wyrok, pewny i niechybny.

Kelly wysunął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. Dwadzieścia po pierwszej. Ciekawe, co robili tak długo? W porę przypomniał sobie wszystko, co mu zdążyła opowiedzieć Pam. Pewnie małe spotkanie towarzyskie, „balecik” i te klimaty. Kimkolwiek była krępa dziewczyna, można się było domyślać, że i w niej można by w tej chwili znaleźć ślady spermy odpowiadającej grupom krwi 0+, 0- i AB. Kelly nie powziął jednak zamiaru, by zbawić cały świat za jednym zamachem, a zresztą, nawet gdyby chciał pomóc i tej dziewczynie, najskuteczniejszy sposób nie miał nic wspólnego z wrywaniem jej siłą z rąk prześladowców. Przeciwnie, Kelly rozsiadł się jeszcze wygodniej przy murku i czekał. Jeśli ktoś go obserwował, nie powinien odnieść wrażenia, że to, co robi włóczęga ma jakkolwiek związek z tym, kto wchodzi i kto wychodzi z narożnego domu. W niektórych oknach paliły się jeszcze światła, więc spragniony i dobrze już zdrętwiały Kelly odczekał kolejne pół godziny, zanim się pozbierał z chodnika i powłókł na róg ulicy. Tej nocy zachowywał szczególną ostrożność i dzięki temu udało mu się coś osiągnąć. Nadeszła pora, by wcielić w życie drugą część planu na dzisiejszą noc. Kelly chciał jeszcze raz zaprzętnąć uwagę przeciwnika.

Unikał ulic i starał się iść przez zaułki, powoli, kulejąc i zataczając się. Szlak wił się jak ścieżka pełznącego węża — Kelly uśmiechnął się na to skojarzenie — i dopiero po długim czasie wyprowadził Kelly'ego z powrotem na ulicę. W marszu Kelly zatrzymał się tylko na moment, żeby naciągnąć na dłonie gumowe rękawice chirurgiczne. Idąc, minął kilku detalistów i ich pomocników, lecz szukał dalej. Przeczesał dzielnicę kwartał po kwartale, co chwila pod kątem prostym skręcając w kolejną ulicę, według schematu, w którym centralny punkt terenu stanowił zaparkowany Volkswagen. Jak zawsze musiał zachowywać absolutną czujność, lecz tym razem to on był niewidzialnym łowcą, a zwierzyna nie miała pojęcia o jego obecności i wyobrażała sobie, że to ona jest tu drapieżnikiem. Kelly wspinałomyślnie uznał, że każdy ma prawo do złudzeń.

Kiedy wypatrzył wreszcie ofiarę, dochodziła trzecia nad ranem. Handlarz pracował sam, bez pomocnika. Kelly ochrzcił ten typ mianem samotników. Detalista był zapewne nowy i dopiero uczył się fachu. Nawet z odległości czterdziestu metrów wydawał się młodziutki i bardzo poważny, kiedy tak liczył utarg, plon całonocnych wysiłków i starań. Prawą kieszeń spodni miał wypchaną w taki sposób, iż było jasne, że ma tam pistolet, a nie chusteczkę do nosa, ale na razie nie podnosił głowy. Nie był jednak zupełnie zagapiony, bo na odgłos kroków Kelly'ego

poderwał głowę i zmierzył intruza szybkim, bacznyym spojrzeniem. Zaraz jednak wrócił do swojej czynności i, przestając zwracać uwagę na coraz bliższą sylwetkę, nadal liczył pieniądze.

Zbliżając się do Juniora — każda z ofiar otrzymywała własne imię, choć tylko tymczasowo — Kelly przełożył butelkę z winem do lewej ręki, a prawą wyciągnął zawleczkę samopału ukrytego pod nową kurtką, rozpiętą teraz i fałdami maskującą broń. Samopuł był zwyczajną metalową rurką długości niespełna pół metra, z jednej strony zakończoną cylindryczną nakrętką. Zawleczka dyndała na krótkim łańcuszku. Zbliżając się, Kelly wysunął rurkę z pętelek, które ją podtrzymywały, lecz nadal chował ją przed wzrokiem Juniora.

Handlarz ze złością obejrzał się na intruza. Zapewne najście sprawiło, że się pomylił w rachunkach. Na razie układał banknoty według wartości i widok włóczęgi przeszkadzał mu.

Kelly potknął się i runął na chodnik. Padając nie uniósł głowy i w ogóle starał się sprawić wrażenie nieszkodliwego, zdiagnozowanego włóczęgi. Kiedy się zbierał z ziemi, obejrzał się nieznacznie. W promieniu co najmniej stu metrów nie widać było innych przechodniów, a światła samochodów, jakie widział, były czerwone, a nie białe, co oznaczało, że się oddalają. Kiedy podniósł wreszcie głowę, upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo oprócz Juniora, pracowicie zajętego rachunkami. Juniorowi pilno było chyba do domu, gdzie czekało go coś mocniejszego i miłe, niekoniecznie męskie towarzystwo.

Choć Kelly'ego dzieliły od niego już tylko trzy metry, bandzior zwracał na włóczęgę tyle samo uwagi, co na bezpieczeństwa psa. Kelly poczuł uniesienie, które zawsze czuł tuż przed ostatecznym faktem, kiedy wiadomo było, że wszystko się uda, że przeciwnik wszedł w strefę ognia i nie spodziewa się, że to już koniec imprezy. W takiej chwili czuje się wyraźnie w żyłach pulsowanie krwi i ciszę, o której tylko napastnik wie, że będzie chwilowa. Kelly delektował się tą wiedzą, kiedy czynił następny krok, a jednocześnie wysuwał prawą rękę spod kurtki. Nadal nie kierował się bezpośrednio w stronę celu — przeciwnie, udawał, że próbuje ominąć Juniora. Handlarz podniósł wzrok znad banknotów, by się co do tego upewnić. W jego oczach nie było strachu ani nawet złości. Oczywiście nie ruszył się z miejsca, przyzwyczajony do tego, że to jego się omija z szacunkiem, szerokim łukiem, nie odwrotnie. Kelly stanowił dla niego zwyczajny przedmiot, jedną z rzeczy, które zagracają ulicę, obiekt równie interesujący jak olejowa plama na asfalcie.

W żargonie Marynarki „kurs na zbliżenie” oznacza żeglugę po najkrótszej trasie, którą w prostej linii można podpłynąć jak najbliżej do ładu albo innego okrętu. Tym razem chodziło o głupi metr odległości. Pół kroku od handlarza, Kelly wysunął spod kurtki prawą ręką samopuł, okręcił się na lewej pięcie i odepchnął się prawą stopą od ziemi, a jednocześnie wyprostował prawą rękę, jak gdyby próbował zdzielić Juniora pięścią. Włożył w ten ruch cały ciężar swoich dziewięćdzie-

sięciu kilogramów. Cylindryczne zakończenie rurki dźgnęło handlarza tuż pod splotem słonecznym, pod ostrym kątem ku górze. Kiedy metal zetknął się z ciałem, połączony impet pchnięcia i bezwładności ciała popchnęły cylinder do tyłu, prosto na wspawaną we wnętrzu rurki iglicę. Tkwiący dotąd w cylindrze nabój myśliwski wypalił dokładnie w chwili, kiedy jego zaślepka z zielonego plastiku całą powierzchnią zetknęła się z materiałem koszuli Juniora.

Dźwięk przypominał stuk kartonu upuszczonego na parkiet. Bęc! I tylko tyle. Na pewno nie zabrzmiało to, jak strzał z broni palnej, zwłaszcza iż gazy prochowe zamiast rozejść się na boki, wdarły się w ślad za snopem śrutu do wnętrza klatki piersiowej Juniora. Pocisk był z tych lekkich, do strzelania do rzutków, z miękką mosiężną łuską pełną śrutu numer 8, czyli takiego, jaki się stosuje na zawodach strzeleckich albo na początku sezonu, do pukania w gołębie. Z odległości piętnastu metrów wystrzał mógłby co najwyżej zranić, lecz w bezpośrednim kontakcie z klatką piersiową powodował te same skutki, co trafienie ze sztucera w słonia. Toporna moc śrutowego naboju z zaskakująco głośnym świstem wypchnęła z płuc Juniora całe powietrze. Handlarz otworzył nagle usta, jak gdyby bardzo go coś zaskoczyło, i chyba rzeczywiście był zdziwiony tym, co zaszło. Kiedy jego oczy spotkały się z oczami Kelly'ego, Junior wciąż jeszcze żył, choć serce i dolna część płuc zmieniła się w sito. Trafienie nastąpiło pod takim kątem, że śrut i cała energia wystrzału pozostały w obrębie klatki piersiowej Juniora. Siła eksplozji sprawiła, że ciało jeszcze przez sekundę stało wyprostowane — tylko przez sekundę, lecz dla Kelly'ego i dla Juniora wydawała się ona wiecznością. W następnej chwili handlarz runął na chodnik, prosto na twarz, niczym podcięte drzewo. Kiedy padał, z otwartej rany wyrwało się coś, niby głębokie westchnienie — upadek wydusił z handlarza resztę powietrza i gazów prochowych. Wokół rozniósł się odór kwaśnego dymu, zmieszanego z krwią i innymi smrodami, równie cuchnącymi jak życie, które je wykarmiło. Kelly wyjął zwitek banknotów ze sztywniejącej dłoni Juniora i ruszył przed siebie, z napiętą uwagą wyszukując oznak zagrożenia. Na rogu ulicy zatrzymał się przy krawężniku i zanurzył w kałuży czubek samopału, by zmyć z rurki ślady krwi, a potem poszedł na zachód, w kierunku samochodu. Nadal szedł powoli i chwiejnie, lecz po czterdziestu minutach był już w domu, bogatszy o osiemset czterdzieści dolarów i uboższy o jeden nabój myśliwski.

\* \* \*

— To kogo tu mamy? — zapytał Ryan.

— Nie uwierzy pan. Samego Bandanę — poinformował go mundurowy, skądinąd doświadczony policjant, biały, po trzydziestce. — Handluje herą. Handlował. Do niedawna.

Oczy Bandany były nadal otwarte, co u ofiar morderstwa jest dosyć rzadkie. Jednak tym razem śmierć przyszła zupełnie nagle, za to w straszliwych cierpie-

niach, wbrew pozornemu brakowi obrażeń. Jedynym śladem była rana o średnicy niedużej monety, otoczona obwarzankiem osmalin szerokości pół centymetra. Kopeć wziął się z gazów prochowych, a z rozmiarów rany wynikało niezbicie, że strzelano z gładkolufowej strzelby dwunastki. Za osmaloną skórą ziała pusta przestrzeń, jak we wnętrzu tekturowego pudła. Wszystkie organy wewnętrzne uległy zniszczeniu przy wystrzale albo opadły na dno jamy brzusznej. Po raz pierwszy w życiu Emmet Ryan patrzył nie tyle na martwe ciało, ile wprost do jego wnętrza, jak gdyby miał przed sobą nie trupa, lecz pusty w środku manekin.

— Przyczyna śmierci... — zaczął patolog z ironią morderczą o tak wczesnej porze dnia — ...całkowite spoielenie serca. Tkanę mięśnia sercowego da się zidentyfikować tylko pod mikroskopem. Befszyk tatarski, panowie — dodał patolog i pokręcił głową.

— Rana kontaktowa, to oczywiste. Facet musiał mu wsadzić lufę prosto w brzuch i dopiero wtedy puknąć.

— Jezus Maria! Ten tutaj nawet krwi nie wypluł — odezwał się milczący dotąd Douglas. Z powodu braku rany wylotowej, betonowy chodnik pozostał czyściuteńki, a Bandana z pewnej odległości wyglądał jak zmożony snem, oczywiście dopóki się nie zauważyło jego oczu, rozwartych i pozbawionych życia.

— Przepony też brak — wyjaśnił patolog, dźgając palcem okolice tego, co Ryan po cichu nazwał dziurą. — Powinna być tutaj, między jamą brzuszną i osierdziem. Coś mi się widzi, że płuca i oskrzela też diabli wzięli. Wiecie co, panowie? Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak czystej roboty. A pracuję w tym fachu szesnasty rok. Panowie, proszę o masę zdjęć! Nie żałujcie filmu. Ten przypadek nadaje się do podręczników.

— Doświadczony handlarz? — zapytał Ryan mundurowego.

— Na tyle, że mógłby się lepiej pilnować.

Porucznik przyklęknął nad ciałem i obmacał okolice lewego biodra.

— Pistolet w kieszeni, nawet go nie wyjął.

— Może go kropnął jakiś znajomy? — zastanowił się Douglas. — Do cholery, musiał podejść strasznie blisko, nie ma dwóch zdań.

— Tyle, że trochę trudno ukryć taką strzelbę. Nawet jeśli to obrzyn. A tu, proszę, bez ostrzeżenia? — Ryan odstąpił, aby patolog mógł się zabrać do pracy.

— Dłonie czyste, żadnych śladów szamotaniny. Ten, kto to zrobił, podszedł naszego Bandanę tak zręcznie, że w ogóle go nie wystraszył. — Douglas umilkł na chwilę. — Kurczę pieczone, przecież nic nie robi takiego huku, jak strzelba! Naprawdę nikt nic nie słyszał?

— Czas zgonu to druga, powiedzmy trzecia nad ranem. Dokładniej sprawdzimy w laboratorium — ocenił rzecz patolog. Zwłoki prawie nie zdążyły zesztynieć.

— Nad ranem? Na ulicach wtedy jest cicho — podjął Douglas. — A strzelba naprawdę robi tyle huku, że można się zesrać.

Ryan przejrzał kieszenie spodni ofiary. Znów ani śladu grubego zwitka banknotów. Co jeszcze? Zza żółtej taśmy, którą ogrodzono teren, przyglądało się całej scenie parunastu gapiów. W tej okolicy trudno było o inną rozrywkę. Fascynacja na ich twarzach była równie silna i znamionowała takich samych koneserów, jak policyjny patolog.

— Może to znowu Duet? — rzucił Ryan, żeby coś powiedzieć.

— Ależ skąd! — przerwał mu z miejsca patolog. — Strzelba miała jedną lufę. Dwururka zostawiłaby dodatkowy ślad na lewo albo na prawo od rany, a poza tym energia wystrzału też by się rozłożyła inaczej. Strzelba, nie gwintowana, ale jednolufowa. Na tę odległość to zupełnie dosyć. O dubeltówce nie ma mowy.

— Amen! — przytaknął tym słowom Douglas. — Widocznie ktoś postanowił zastąpić Pana Boga w tych sprawach, bo w trzy dni kropnął trzech detalistów. Jak tak dalej pójdzie, Mark Charon zostanie bez zajęcia.

— Tom — upomniał go Ryan. — Przynajmniej dziś daj spokój.

W myślach widział już następną teczkę z aktami. Kolejny mord rabunkowy na handlarzu narkotyków, znów bardzo sprawną robotą, ale sprawca inny niż w wypadku Ju-ju. Inny styl, inne motywy.

\* \* \*

Ponownie prysznic, golenie, jeszcze jeden bieg w parku Chinquapin, czyli okazja, by się zastanowić. Kelly znał już nie tylko markę samochodu, lecz także adres i twarz osoby, o którą mu chodziło. Akcja zaczynała nabierać wyrazu. Kelly skręcił w prawo, w Belvedere Avenue, przeciął zatłoczoną jezdnię i zawrócił biegiem, kończąc trzecie okrążenie. W parku było bardzo przyjemnie. Niewiele drabinek i huśtawek, za to mnóstwo miejsca na dziecięce biegi i gry ruchowe. Dzieciaków rzeczywiście było tu co niemiara. Niektóre bawiły się pod czujnym okiem matek z sąsiedztwa. Inne kobiety czytały książki i kołysały w wózkach śpiące niemowlęta, które już wkrótce także poznają smak otwartej przestrzeni. Gromadka dzieci, za mało jak na prawdziwy mecz, próbowała grać w baseballa. Dziewięcioletek wyciągnął rękawicę w kierunku piłki, lecz chybił, a piłka potoczyła się aż na ścieżkę. Kelly, nie zwalniając biegu, schylił się i odrzucił ją małemu, który tym razem złapał ją sprawnie i podziękował głośno. Inny, jeszcze młodszy dzieciak puszczał nad murawą plastikowy krążek, tak niezdarnie, że wbiegł Kelly'emu pod nogi. Kelly uskoczył w porę, a matka chłopca posłała mu przeproszające spojrzenie. Kelly pomachał do niej i uśmiechnął się, myśląc, że tak właśnie powinno to wszystko wyglądać.

Parkowe sceny nie różniły się aż tak bardzo od jego własnego dzieciństwa w Indianapolis. Tata w pracy, mama z dziećmi, bo niełatwo było jednocześnie chować dzieci i pracować zawodowo, zwłaszcza dopóki były małe. Matki, które

chciały albo musiały pracować, mogły oczywiście zostawić swe pociechy z kimś zaufanym, kogo dobrze znały, i nie bać się o nie. Letnie wakacje to najlepsza pora na wycieczki do parku i pierwsze kroki w nauce gry w baseball. A przecież społeczeństwo prędko przywykło do myśli, że tego rodzaju dzieciństwo to przywilej nielicznych. Park okazał się tak niesamowicie różny od obszaru działań Kelly'ego... Ale też dlaczego przywileje, jakimi cieszyły się tutejsze dzieci, były przywilejami, a nie czymś najzwyczajniejszym w świecie? Które dziecko może wyrosnąć na ludzi, jeśli pozbawi się je parkowego dzieciństwa?

Kelly powtarzał sobie, że lepiej w ogóle nie snuć takich rozważań, bo jedynym logicznym wnioskiem, jaki z nich płynął, było wziąć się za naprawę świata, a na to zwyczajnie nie było go stać. Kończąc pięciokilometrowy bieg, jak zawsze w takich chwilach spocony i przyjemnie zmęczony, Kelly przeszedł do marszu, żeby ochłonać przed jazdą do wynajętego mieszkania. Od gromadki dzieci dolatywały go okrzyki i piski. Ktoś zawołał gniewnie „oszust!”, choć żaden z graczy nie rozumiał do końca zasad gry. Inne dzieci kłóciły się, kto zagra, a kto przesiedzi następną rundę na trawie. Kelly wszedł do auta i zatrzasał drzwiczki, zostawiając to wszystko za sobą, w innym świecie. Sam także czuł się jak oszust. Rozmyślnie złamał zasady gry, na dodatek świetnie je rozumiejąc. Czynił zaś tak, gdyż szukał sprawiedliwości, lub tego, co sam uznał za sprawiedliwość.

Przecinając kolejną ulicę, Kelly zapytał sam siebie, czy aby nie chodzi mu o zwyczajną, pospolitą zemstę. Nieproszone i nieoczekiwane pojawiło się następne przykre słowo: samosąd. Przykre, ale mniej niż to poprzednie. Kelly czuł się trochę jak rzymski strażnik, który nocami czuwa i przemierza uśpione ulice. O ile dobrze pamiętał lekcje łaciny w szkole Świętego Ignacego, rzymska *vigilia*, czyli czuwanie, miała strzec społeczność przed pożarem, ale wiadomo, jacy byli ci Rzymianie. Na pewno żaden z nich nie rozstawał się z mieczem. Ciekawe, czy ulice Rzymu były mniej, czy bardziej bezpieczne od ulic tego miasta? Pewnie rzeczywiście bezpieczniejsze. Rzymski wymiar sprawiedliwości był na to dostatecznie... Dostatecznie surowy. Śmierć na krzyżu z pewnością nie należała do najprzyjemniejszych. Za niektóre zbrodnie, takie jak ojcobójstwo, prawo nakazywało wsadzić skazańca do worka razem z psem, kogutem i jeszcze jednym zwierzęciem, a worek wrzucić do Tybru — nie po to, by osądzony od razu utonął, lecz aby zginął rozszarpany przez oszalałe ze strachu zwierzęta, próbujące wydostać się z pułapki. Kelly po cichu uważał się za duchowego spadkobiercę tamtej epoki. On także czuwał nocami i we własnym osądzie uważał się za kogoś lepszego niż za przestępcę. W historii Ameryki grupy dokonujące samosądów wyglądały z reguły zupełnie inaczej, niż opisuje to prasa. Zanim w całym kraju powstały regularne służby policyjne, ulic miast strzegli zwyczajni obywatele, którzy pilnując prawa nie przebiegali w środkach. Dokładnie tak jak on?

Nie, niezupełnie. Kelly musiał to sam przyznać, więc parkując samochód pod domem, nadal zastanawiał się, czy czasem po prostu nie szuka zemsty. Po dzie-



sięciu minutach kolejny worek na śmieci wypchany starymi ubraniami wylądował w kontenerze, a Kelly wykąpał się i podniósł słuchawkę telefonu.

— O’Toole, pokój pielęgniarek.

— Sandy? Mówi John. Nadal kończysz pracę o trzeciej?

\* \* \*

— Masz wycucie, kiedy się zjawić — odezwała się Sandy po drugiej stronie linii. Pozwoliła sobie przy tym na lekki uśmiech. — Znowu mi się zepsuł samochód.

Nie dodała, że nie stać ją, żeby się rujnować na taksówki.

— Może chcesz, żebym sprawdził, co z nim jest?

— Nie wiem. Muszę go w końcu naprawić.

— Nie obiecuję ci, że naprawię — usłyszała na to. — Ale za to tanio biore.

— Co to znaczy, tanio? — zapytała, z góry znając odpowiedź.

— To znaczy, że w zamian zapraszam cię na obiad. Dokąd zechcesz, sama wybieraj.

— No... Dobrze, zgoda, ale...

— Ale wolałabyś jeszcze pobyć sama. Pamiętam, pamiętam. Nikt nie czyha na twoją cnotę, masz na to moje słowo.

Sandy nie wytrzymała i roześmiała się głośno. Nie wierzyła wręcz, że ktoś o tak imponującej posturze nie boi się tak pajacować. Wiedziała jednak dobrze, że można mu zawierzyć, a poza tym miała już serdecznie dosyć gotowania na jedną osobę. Samotność, samotność, samotność. Ileż można siedzieć samej w domu?

— Piętnaście po trzeciej przy głównej bramie — powiedziała.

— Będę czekał z kartą pacjenta w zębach.

— Jeśli musisz. — Sandy znów się roześmiała, co wielce zdziwiło jej koleżankę, która akurat nadeszła z tacą lekarstw. — Zgadzam się, zgadzam. Pewnie, że się zgadzam.

— To świetnie. W takim razie do zobaczenia — dokończył zadowolony Kelly i odwiesił słuchawkę. Ucieszyła go perspektywa wieczoru w ludzkim towarzystwie. Prędko ruszył na miasto, najpierw do sklepu z obuwem, gdzie kupił parę czarnych wysokich butów sportowych, rozmiar 44. Stamtąd udał się do czterech kolejnych sklepów obuwniczych, w których uczynił to samo. Starał się kupić buty różnych firm, ale koniec końców okazało się, że nabył dwie identyczne pary. Ten sam kłopot dotyczył kupna kurtek myśliwskich. Tego typu ubiór wyrabiały dwie różne firmy, ale kiedy Kelly obejrzał zakup, okazało się, że obie kurtki różnią się między sobą tylko metką producenta. Nieoczekiwanie dla siebie mógł się zatem przekonać, jak trudno jest zróżnicować przebrania. Nie skłoniło go to jednak bynajmniej do rezygnacji z planu. Kiedy wrócił do mieszkania — które zaczynał już

czasami nazywać „domem”, choć sam wiedział, że to bzdura — wypruł wszystkie metki, ruszył do pralni i wrzucił wszystkie ubrania, w tym stare łachy kupione przedtem na wyprzedazach, do gorącej wody z dodatkiem chloru. Miał już trzy zmiany kostiumu. Za mało. Ciągle za mało.

Kelly zmarszczył brwi. Znowu trzeba będzie grzebać w starych rzeczach, które ludzie sprzedają za bezcen pod domem? Nudne i czasochłonne, zwłaszcza podczas trwania operacji. Jak większość mężczyzn, Kelly nie cierpiał chodzenia po sklepach — tym bardziej teraz, kiedy bez przerwy musiał robić to samo. Nocna rutyna męczyła go solidnie, tyleż ze względu na brak snu, ile na ciągłe napięcie nerwowe. Ładna rutyna, kiedy na każdym kroku zewsząd czyhało niebezpieczeństwo! Kelly przyzwyczyił się już trochę do tego, co robi, lecz to nie oznaczało końca zagrożenia. Stres nie opuszczał go więc ani na chwilę. Było to nawet pocieszające, bo oznaczało, że Kelly nie umie mordować bezmyślnie i z zadowoleniem — tylko, że ciągłe napięcie bywa zabójcze, a podwyższony puls i ciśnienie powodują ciągłe zmęczenie. Kelly próbował z tym walczyć ćwiczeniami fizycznymi, lecz miał coraz większe trudności ze snem. Wszystko niby tak samo jak w wietnamskich krzakach, które „zwiedzał” jako żołnierz SEAL, ale od tamtej pory przybyło mu jednak parę lat. Do tego dochodził jeszcze brak towarzystwa, brak kogokolwiek, z kim można było się podzielić napięciem i przy kim wypocząć po powrocie z akcji. Spojrzał na zegarek. Właśnie, pora spać. W sypialni Kelly włączył jeszcze telewizor, by obejrzeć południowe wydanie wiadomości.

— W zachodniej części Baltimore znaleziono dziś zwłoki kolejnego handlarza narkotyków — obwieścił prezenter.

— Wiem, wiem. — Kelly odwrócił się i zapadł w drzemkę.

\* \* \*

— Sprawa jest tego rodzaju — zaczął przemowę pułkownik piechoty morskiej w bazie Camp Lejeune w Północnej Karolinie. Identyczne słowa wypowiadał o tej samej porze inny pułkownik w bazie Camp Pendleton w Kalifornii. — Szukamy ludzi, ochotników do akcji specjalnej. Wyłącznie ze zwiadu piechoty morskiej. Potrzeba nam piętnastu *marines*. Akcja będzie niebezpieczna, ale ważna, więc jak wrócicie do domu, będziecie mieli czym się pochwalić. Zabierze wam to dwa do trzech miesięcy. Tylko tyle mogę wam dzisiaj powiedzieć.

W bazie Lejeune słuchało tych słów towarzystwo siedemdziesięciu pięciu zwiadowców, z których wszyscy walczyli już na wojnie i wszyscy należeli do najbardziej elitarniej formacji w całym Korpusie Piechoty Morskiej. Ci, którzy siedzieli na twardych krzesłach w sali odpraw, zgłosili się do piechoty morskiej na ochotnika — poborowych tutaj nie było — i również na ochotnika przeszli do elity elit. Białych znalazłoby się tu wśród żołnierzy mniej niż w innych oddzia-

łach, lecz fakt ten mógł może interesować socjologów — na pewno nie zwiadowców, którzy czuli się zawsze i przede wszystkim żołnierzami piechoty morskiej, dla których ze wszystkich kolorów liczy się tylko zieleń munduru. Ciało wielu z obecnych znaczyły blizny — znak, że akcje, w których biorą udział żołnierze z tej grupy są bardziej niebezpieczne i trudne, niż zwykłe zadania *marines*. Zwiadowcy byli specjalnie szkoleni do działań w małych grupkach: skrytej obserwacji przeciwnika i w selektywnej likwidacji celów żywych. Wielu z nich było snajperami tej klasy, że potrafili z czterystu metrów wcelować w głowę, a z tysiąca metrów w tułów wskazanego im człowieka, pod warunkiem, że cel był na tyle uprzejmy, by stać nieruchomo przez sekundę czy dwie, której potrzebował pocisk na pokonanie dystansu. Zebrani byli myśliwymi. Niewielu z nich to, co robili przyprawiało o koszmary senne, nikt też nie cierpiał na wyrzuty sumienia. Zwiadowcy byli drapieżnikami, a nie zwierzyną. Lwy nie mają wyrzutów sumienia.

Zwiadowcy byli też jednak zwykłymi ludźmi. Połowa z nich była żonata, część miała dzieci, czekające aż tata od czasu do czasu pokaże się w domu. Reszta miała dziewczyny i w przyszłości również chciała się ustatkować i normalnie żyć. Wszyscy, co do jednego, mieli za sobą trzynastomiesięczną turę na froncie. Pewna część zaliczyła już dwa takie wyjazdy, kilku nawet trzy. Z tej ostatniej grupy nie zgłosił się do nowej akcji nikt. Ci, którzy się zawahali a takich była pewnie większość — zgłosiliby się z pewnością, gdyby zawczasu wyjawiono im cel operacji. Wiedzieli, czym jest służba, lecz zarazem rozumieli, że służy się na wiele sposobów. Jak na jedną wojnę, większość z nich poświęciła już i tak dostatecznie wiele. Najwyższy czas zacząć szkolić młodszych od siebie i wpajać innym wiedzę, która pozwala człowiekowi cało powrócić do domu. Ci, którym nauka szła gorzej, zostawali po drugiej stronie na zawsze. Szkolenie to także służba, jaką jest się winnym macierzystej formacji. Zwiadowcy siedzieli w milczeniu i patrzyli na stojącego przed nimi pułkownika, zastanawiając się, o co też może chodzić. Akcja ciekawiła ich, lecz nie na tyle, by, po raz nie wiadomo który, ryzykować życiem. Kilku rozglądało się na prawo i lewo, czytając w twarzach młodszych kolegów. Z min żołnierzy można było się natychmiast zorientować, którzy pozostaną w sali i wrzucą do czapki karteczki ze nazwiskami. Wielu mogło później żałować, że się tak wyrwali, lecz nie potrafili inaczej, bo gdyby się nie zgłosili, gryźliby się tym faktem do końca życia. Ci, którzy wyszli z sali, uczynili to wiedzeni myślą o żonach i dzieciach. To ze względu na rodziny uznali, że tym razem rezygnują z akcji.

Po paru chwilach sala opustoszała. Pozostało w niej tylko dwudziestu pięciu czy trzydziestu *marines*, którzy wpisywali się na listę ochotników. Dowództwo miało zamiar prędko zebrać i porównać ich teczki personalne, po czym wybrać ostateczną piętnastkę, drogą losowania, co miało jednak niewiele wspólnego z przypadkiem. Organizatorzy szukali żołnierzy o określonych specjalnościach i dlatego niektórzy z odrzuconych mogli być wręcz lepszymi żołnierzami od tych,

których wybrano. Na tym polega życie w mundurze. Zwiadowcy godzili się na to wszystko, a odrzuceni wracali do zwykłych zajęć z żalem, ale i z pewną ulgą. Pod wieczór wybrana grupa zebrała się jeszcze raz i dowiedziała się, o której będzie wyjazd. Nic poza tym. Okazało się, że pojedą na nowe miejsce autokarem — czyli względnie niedaleko. Przynajmniej na razie.

\* \* \*

Kelly obudził się o drugiej i doprowadził się trochę do porządku. Popołudniowe obowiązki nakazywały mu ubrać się staranniej niż zwykle, czyli w garnitur i koszulę z krawatem. Warto było też trochę przystrzyc włosy, które odrastały nierówno po operacji, ale nie było już na to czasu. Wybrał granatową marynarkę, granatowy krawat i białą koszulę. Piechotą udał się do miejsca, w którym parkował teraz Scouta. Wyglądał jak ucieleśnienie akwizytora za którego się podawał. Idąc przez podwórze, pomachał kamienicznikowi.

Szczęście uśmiechnęło się do niego powtórnie przed szpitalem, bo na głównym podjeździe, jak na zamówienie, zwolniło się miejsce do parkowania. Kelly wszedł do holu, gdzie ujrzał cztero- czy pięciometrowy posąg Chrystusa. Figura miała na obliczu wyraz bardziej pasujący do instytucji szpitala niż do wyczynów Kelly'ego sprzed dwunastu godzin. Na wszelki wypadek Kelly obszedł Chrystusa bokiem i ustawił się do niego plecami. Po co zadreć sumienie pytaniami akurat w takiej chwili?

Sandy O'Toole wyszła zza dębowych drzwi o trzeciej dwanaście. Kelly uśmiechnął się, lecz mina zaraz mu zrzędnęła na widok wyrazu twarzy Sandy. Po chwili sytuacja stała się bardziej jasna: tuż za Sandy dreptał jeden z chirurgów, mały, śniady, w zielonym kitlu. Ledwo nadażał za nią na swoich krótkich nóżkach, za to głos miał donośny i natarczywy. Kelly zawahał się i z ciekawością obserwował, jak Sandy zatrzymuje się i odwraca do chirurga. Może miała już dosyć uników, a może nie miała innego wyjścia. Lekarz był jej wzrostu albo i niższy. Trajkotał tak prędko, że Kelly nie rozumiał wszystkich słów. Sandy obojętnie patrzyła mu w oczy, a kiedy na chwilę zamilkła, oznajmiła:

— Mój raport na ten temat jest już w aktach, panie doktorze.

— Nie miała pani żadnego prawa tego robić! — W śniadej, pulchnej twarzy błysnęła para gniewnych oczu. Kelly przysunął się nieco bliżej.

— Oczywiście, że miałam, panie doktorze. Zapisał pan błędnie lekarstwa. Jestem szefową pielęgniarek na tym oddziale i mam obowiązek zgłaszać wszystkie takie przypadki.

— A ja każę pani wycofać ten raport! Od kiedy to pielęgniarki rozkazują lekarzom?! — Po tych słowach popłynęły następne, które niezbyt podobały się Kelly'emu, szczególnie że padały tuż przy świętej figurze. Doktor z jeszcze bardziej

pociemniałą twarzą, przechylił się i wywrzeszczał jej pielęgniarce prosto w twarz. Z kolei Sandy ani drgnęła. Widać było, że nie da się zastraszyć. Rozjuszyło to chirurga jeszcze bardziej.

— Przepraszam — z boku wtrącił się do ich scysji Kelly. Nie podszedł bliżej, bo chciał jedynie zaznaczyć, że skłócona para nie jest sama. Odpowiedziało mu gniewne spojrzenie Sandy O'Toole, lecz dzielnie, cichym głosem ciągnął: — Nie wiem, o co poszło, ale jeżeli pan jest doktorem, a pani pielęgniarką, wypadaloby prowadzić spory w bardziej profesjonalny sposób.

Chirurg udał, że go nie słyszy. Ostatni raz zignorowano Kelly'ego tak ostentacyjnie w czasach, kiedy miał szesnaście lat. Cofnął się, uznając że Sandy sama będzie musiała wybrnąć z sytuacji. Niestety, doktor wrzeszczał coraz głośniej, i to mieszając angielskie inwektywy z przekleństwami w języku *farsi*. Sandy zniosła to tak dzielnie, że Kelly był z niej wręcz dumny, lecz twarz miała coraz bardziej zaciętą, a pod zaciętością coraz bardziej gęstniał jej lęk. Bierny opór sprowokował lekarza do nowych wyczynów: chirurg podniósł bowiem rękę i zaczął wyzywać O'Toole od „głupich pizd”. Niewątpliwie przyswoił sobie to wyrażenie od kogoś z rodowitych mieszkańców Ameryki. Nagle jednak zamilkł, bo pięść, którą wymachiwał centymetry przed nosem Sandy zniknęła w jednej sekundzie, zamknięta we włochatym łapsku jakiegoś potężnego draba.

— Najmocniej przepraszam — odezwał się Kelly jak umiał najłagodniej. Czy znajdzie się na oddziale ktoś, kto będzie umiał nastawić złamaną rękę?

Mówiąc to, Kelly ścisnął nieco mocniej drobną i delikatniejszą dłoń chirurga. Nie ścisnął jej mocno, dokładnie tyle, ile trzeba. Kłótnia przywabiła do holu strażnika szpitalnego. Lekarz spojrzął prędko w jego stronę.

— Nie zdąży nawet podejść, panie doktorze. No, więc ile jest kości w ludzkiej dłoni? — zapytał Kelly.

— Dwadzieścia osiem — odparł doktor machinalnie.

— A może pięćdziesiąt sześć? — Kelly ścisnął mu rękę jeszcze mocniej. Lekarz spojrzął na niego dopiero teraz i ujrzał twarz, na której nie malowała się złość ani zadowolenie, a tylko obojętność. Kelly patrzył na niego jak na martwy przedmiot, a uprzejmość w jego głosie brała się z szyderstwa. To on był tu panem sytuacji. Co gorsza, chirurg domyślał się, że groźba jest najzupełniej prawdziwa.

— Przeprosi pan tę panią — zabrzmiały następne słowa Kelly'ego.

— Nie poniżam się przed kobietami! — syknął doktor. Za chwilę syknął drugi raz, tym razem z bólu. Jeszcze trochę, a kości rzeczywiście trzasną jedna po drugiej.

— Ma pan bardzo złe maniery, panie doktorze. I bardzo niewiele czasu, żeby się nauczyć lepszych. No, słuchamy! — ponaglił go Kelly.

— Przepraszam panią, pani O'Toole — wybąkał chirurg na odczepnego. Było jednak jasne, że poniżające przeżycie będzie go zadreślało jeszcze długo. Kelly uwolnił mu rękę, a potem podniósł do oczu plakietkę przyczepioną do kitła.

— Prawda, doktorze Khofan, że od razu człowiekowi lżej? Może teraz nie będzie pan już tak wrzeszczał na tę panią? A przynajmniej nie wtedy, kiedy to ona ma rację, a nie pan? I nie będzie pan jej wygrażał pięścią? Prawda? — Kelly nie musiał uzasadniać tych słów. Chirurg masował sobie palce, próbując złagodzić ból. — Bo my tutaj nie lubimy takich zachowań. Zgoda?

— Zgoda, zgoda — rzucił lekarz, który marzył tylko o tym, by się oddalić.

Kelly znów wziął go za rękę i uściśnął ją serdecznie, na przypomnienie.

— Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia, panie doktorze. Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Doktor Khofan czmychnął. Po drodze nie spojrzął nawet na strażnika, który zmierzył Kelly'ego wzrokiem, lecz na tym poprzestał.

— Musiałeś się wtrącać? — zapytała Sandy.

— Jak to? — Kelly odwrócił się ku niej dopiero teraz.

— Sama bym sobie dała radę — parsknęła, idąc ku drzwiom.

— Pewnie, że byś sobie dała radę. A tak w ogóle, to o co poszło? — zapytał Kelly, siłąc się na spokojny ton.

— Khofan błędnie zapisał choremu lekarstwo. Pacjent to starszy człowiek, z dolegliwością kręgosłupa. Ma alergię na to lekarstwo, zresztą tak jest zapisane w jego karcie — zaczęła prędko Sandy, z której uszło nagle całe napięcie. — Gdybym mu je podała, pan Johnson mógłby to ciężko odchorować. Co gorsza, to już nie pierwszy raz. Po czymś takim doktor Rosen będzie mógł się pozbyć tego typu. Dlatego on tak się awanturował. Poza tym szykanuje pielęgniarki, więc ma u nas krechę. Ale po coś się wtrącał? Sama bym sobie poradziła!

— Następnym razem będę patrzył, jak ci łamie nos. — Kelly machnął ręką ku drzwiom. Wiedział, że nie będzie żadnego następnego razu. Wyczytał to w oczach śniadego gówniarza, który tak się stawiał.

— I co wtedy? — zapytała Sandy.

— Co wtedy? Wtedy na jakiś czas pan Khofan przestanie być chirurgiem. Nie lubię, jak ktoś wyczynia takie rzeczy. Nie cierpię chamstwa i nie lubię, jak ktoś straszy kobietę.

— Naprawdę masz takie podejście do ludzi?

Kelly przytrzymał przed nią drzwi.

— Nie zawsze, a właściwie bardzo rzadko. Przeważnie daję im ostrzeżenie, i to wystarcza. Zrozum: jeżeli ten Khofan by cię uderzył, ciebie by bolało, i jego też. Wtrąciłem się, i co? Najwyżej ucierpiała czyjaś duma, ale od tego jeszcze nikt nie umarł.

Sandy nie spierała się z nim dłużej. Owszem, była porządnie zła. Dzielnie stawiała czoła Khofanowi, który wcale nie był aż tak świetnym chirurgiem, a rekonwalescencję po operacji traktował nader lekkomyślnie. Pozwalano mu leczyć tylko darmowych pacjentów i tylko takich, których dolegliwości nie były poważne, ale nie o to chodziło. Nawet najubożsi z pacjentów byli ludźmi, a ludziom na-

leży się najlepsze traktowanie, na jakie stać klinikę i lekarzy. Reakcja Kelly'ego wystraszyła ją nie na żarty. Sandy była mu wdzięczna za obronę, ale w głębi ducha żałowała, że sama nie rozprawiła się z Khofanem, oczywiście w inny sposób. Jej raport w sprawie błędu w sztuce sam w sobie pogrzyźłyby zapewne chirurga na zawsze. Dopiero byłoby śmiechu w pokoju pielęgniarek! Pielęgniarki przypominały podoficerów w wojsku: w rzeczywistości to one decydowały o wszystkim i każdy mądrzejszy doktor wiedział, że nie warto im podpadać.

Przygoda z Kellym nauczyła ją jednak czegoś nowego. Wyraz twarzy, jaki widziała u niego, gdy leżał w szpitalu, nie był złudzeniem. Ściskając prawą dłoń Khofana, Kelly miał na twarzy... Nie miał na niej nic. Żadnego wyrazu. Nie cieszyło go nawet, że może się odegrać na tym szczurze. Dlaczego? Sandy zaniepokoiła się.

— A co z tym twoim samochodem? — zapytał Kelly, wyjeżdżając na Broadway i skręcając na północ.

— Gdybym wiedziała, dawno byłby naprawiony.

— Co racja, to racja. — Kelly uśmiechnął się wesoło.

Odmieniec. Kameleon. Sandy dostrzegała wyraźnie, że Kelly umie zmieniać nastroj, jak na zawołanie. W scysji z Khofanem zachowywał się jak najgorszy gangster. Najpierw próbował rozsądnie pertraktować, ale później sprawiał wrażenie, jak gdyby naprawdę chciał na trwałe okaleczyć doktora. Ot, po prostu. I to bez śladu emocji, zupełnie jakby rozdeptywał karalucha. Ale jeśli to prawda, to jaki jest w rzeczywistości? Choleryk? Nie, chyba nie. Za dobrze nad sobą panuje. Więc może rzeczywiście psychopata? Brrr! Nie, to chyba także niemożliwe. Sam i Sarah nie zadawaliby się z psychopatą. Są za mądrzy, za spostrzegawczy.

Kim jesteś, Kelly?

— Tak sobie myślę... Mam przy sobie narzędzia i trochę się znam na dieslach. Hmm. Jak było w pracy, nie licząc scysji z naszym znajomym?

— Dziś? Fajnie — ożywiła się Sandy, zadowolona, że ktoś pomaga jej się otrząsnąć z czarnych myśli. — Wypisaliśmy do domu jedną małą, z którą było już bardzo źle. Czarna dziewczynka, trzyletnia. Wypadła z łóżeczka. Doktor Rosen dokonał na niej cudów. Za parę miesięcy mała zapomni, że w ogóle była w szpitalu.

— Sam to fachowiec — orzekł Kelly. — Nie tylko jako lekarz. W ogóle, facet ma klasę.

— Sarah też.

„Fachowiec”. „Facet z klasą”. Dokładnie takich samych określeń używał Tim.

— Sarah też jest wspianiała — przytaknął Kelly, kiedy skręcali w lewo, w North Avenue. — Mówię ci, ile zrobiła dla Pam — dodał bez zastanowienia i nagle, jak na komendę z innego wymiaru, na jego twarz powrócił tamten wyraz, wyraz doskonałej obojętności.

Kelly zaczął rozumieć, że istnieje ból, który nie kończy się nigdy. Przez okrutny ułamek sekundy znowu ujrzał Pam w myślach, jadącą obok niego na sąsiednim siedzeniu. Kobieta, która tam siedziała, nazywała się inaczej. Pam już nie ma i nie będzie. Kelly ścisnął plastik kierownicy tak mocno, że zbiełały mu kostki. Nie wolno pozwalać sobie na takie myśli. To pułapka, pole minowe, na które człowiek zapuszcza się niechcący i orientuje się w niebezpieczeństwie, kiedy jest już grubo za późno. Najlepiej byłoby nie pamiętać. Najlepiej byłoby zapomnieć. Naprawdę tak byłoby najlepiej. Kelly pomyślał jednak, że bez wspomnień, wszystko jedno, złych czy dobrych, życie straciłoby wszelkie znaczenie. Po co wówczas żyć? Dla kogo? Kogo się pamięta? Jeżeli się wyzbyć wspomnień i nie wyciągać z nich wniosków, po co żyć?

Sandy umiała wyczytać to wszystko z jego twarzy. Kameleon? Może, ale są chwile, kiedy się przestaje pilnować.

Nie jesteś psychopatą, Kelly, pomyślała. Czujesz ból, a psychopaci nie czują go wcale, a przynajmniej nie wtedy, gdy utracą kogoś bliskiego. Ale skoro tak, to kim jesteś?



## 18 — Wtręt

— Jeszcze raz — polecił.

Usłuchała. Rozległ się kolejny głuchy szcęk.

— Dobra, już wiem, co się stało — mruknął Kelly, który bez krawata i marynarki, z podwiniętymi mankietami zawisł nad silnikiem Plymoutha Satellite. Po pół godzinie prób dłonie miał już czarne od brudu i smaru.

— Tak po prostu? — Sandy wysiadła zza kierownicy, zabierając ze sobą kluczyki. Kelly po namyśle uznał odruch za dość dziwny, bo złodziej i tak nie mógłby uruchomić gruchota. Nie lepiej byłoby je zostawić? Niech złodzieja szlag trafi ze złości, co?

— Wiem, bo inne możliwości odpadają. Poszła cewka w przełączniku elektromagnetycznym.

— Jaka cewka, w jakim przełączniku? — Sandy przystanęła obok Kelly'ego i opuściła wzrok na brudnosrebrzysty kufer tajemnic, jakim był dla mej silnik samochodowy.

— Kiedy przekręcasz kluczyk, puszczasz prąd do rozrusznika, ale nie bezpośrednio, bo od takiej ilości prądu spaliłaby się stacyjka. Przełącznik w stacyjce uruchamia drugi przełącznik, przy silniku. — Kelly wskazał odpowiednie miejsce kluczem nasadowym. — Kiedy przekręcasz kluczyk, uruchamiasz elektromagnes, który zwiera styki tego dużego przełącznika, a ten puszcza prąd z akumulatora na rozrusznik. Łapiesz, czy mam powtórzyć?

— Chyba łapie — odpowiedziała Sandy i prawie nie kłamała. — A mnie mówili, że muszę zmienić akumulator.

— Pewno słyszałaś, że mechanicy lubią sobie czasem. . .

— Że lubią drzeć łacha z głupich bab, co to im wszystko można wmówić? — zacytowała Sandy, krzywiąc się.

— Tak jakby. Inna sprawa, że ja też nie naprawię ci tego za darmo.

— A za ile?

— Chodzi o to, że taki usmarowany nie mogę iść z tobą do restauracji. Musimy zjeść u ciebie w domu — oznajmił i tak jak stał, w białej koszuli i flanelowych spodniach, zniknął pod samochodem. Po minucie wypełznął z jeszcze brudniejszymi rękami. — Spróbuj jeszcze raz.

Sandy wsiadła i przekręciła kluczyk. Akumulator zdążył się trochę rozładować, ale silnik zapalił prawie natychmiast.

— Nie wyłączaj, niech się trochę podładuje.

— Ale co się zepsuło?

— Nic, tylko przewód się obluźował. Przykręciłem jak trzeba, i po krzyku. — Kelly przeniósł wzrok na własne ubranie i wznosił oczy do nieba. To samo uczyniła Sandy. — Powinnaś przy okazji podjechać do jakiegoś warsztatu, niech ci założą podkładkę sprężynową pod nakrętkę, będziesz miała spokój.

— Ale ja ci naprawdę nie kazałam. . .

— Ale jutro rano musisz jakoś dojechać do pracy, zgoda? — wszedł jej w słowo Kelly, który skądinąd miał rację. — Gdzie mogę się trochę obmyć?

Sandy wpuściła go do domu i pokazała, gdzie jest łazienka. Kelly zeskrobał z rąk cały brud i po chwili usiadł obok Sandy w dużym pokoju.

— Gdzieś się tak nauczył naprawiać auta? — zapytała, podając mu kieliszek wina.

— Ojciec stale dłubał przy wozach. Był strażakiem, mówiłem ci chyba? Musiał wyuczyć się tych wszystkich sztuczek, a że sam też lubił majsterkować, jakoś mu zostało. Pokazał mi, co i jak. O, dzięki. — Kelly podniósł kieliszek w toaście. Wina nie pijał, ani się na nim nie znał, ale to nawet mu smakowało.

Głuchy stuk o deski ganku obwieścił, że na progu wylądowała popołudniowa gazeta. Kelly przyniósł dziennik i, nim odłożył go na stolik przy fotelach, przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. Sezon był ogórkowy, więc całą stronę zajmowało doniesienie o odnalezieniu zwłok kolejnego handlarza narkotyków. Chwilę później Sandy spostrzegła, że Kelly zerka spod oka na gazetę, prześlizgując się wzrokiem po pierwszych akapitach tekstu.

\* \* \*

W sytuacji, w której Henry coraz bardziej rozbudowywał organizację, by zmonopolizować narkotykowy biznes w całym mieście, nie mógł dziwić fakt, że kolejny zamordowany detalista okazał się jednym z jego podwładnych. Henry znał jedynie uliczną ksywę zabitego, a jego prawdziwego nazwiska — Lionel Hall — dowiedział się dopiero z gazety. Do tej pory nie spotkali się nawet, ale za to Henry sporo słyszał o tym, jaki to z Bandany spryciarz i koleś, którego warto mieć na oku. Spryciarz, a tak dał się podejść. Henry wzruszył ramionami. W tej branży droga do sukcesu bywa stroma i śliska, a selekcja bezwzględniejsza niż u Darwina. Najwyraźniej pan Lionel Hall nie sprostał rosnącym wymaganiom nowej profesji. Trochę szkoda, ale nie przesadzajmy. Henry podniósł się z fotela i przeciągnął. Znów zasnął, ale mógł sobie na to pozwolić, bo dwa dni wcześniej odebrał pełną piętnastokilogramową partię „towaru”. Rejs do paczkowni i z powrotem

mocno mu dokuczył, ale trudno: póki co, zasłona dymna z Zatoką to konieczność, i tyle. Henry Tucker zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczna w skutkach może się okazać chęć ułatwienia sobie życia przez zmianę systemu. Poza tym, o co chodzi? Wielka rzecz, podoglądać przez noc, jak ludzie pracują... Właśnie, ludzie. Następna dwójka dowiedziała się więcej niż potrzeba, ale Henry miał serdecznie dosyć takiej dłubaniny i chętnie ją powierzył innym. Od tego ma się fagasów, żeby zasuwali. Nie muszą za dużo wiedzieć, byleby pamiętali, że dopóki robią wszystko, co im się każe, mogą żyć jak paniska.

Kobiety nadawały się do tych spraw lepiej niż faceci. Mężczyznom we wszystkim przeszkadza duma, o którą muszą dbać. Im mniejszy mózdzek, tym więcej dumy w takim gościu. Henry nie miał złudzeń, że prędzej czy później któryś z jego pomagierów zbuntuje się i zacznie podskakiwać. A uspokoić takiego klienta jest o wiele trudniej, niż byle zahukaną zdzirę. Poza tym kobitki w ogóle mają masę zalet... Henry uśmiechnął się szeroko.

\* \* \*

Doris przebudziła się około piątej nad ranem. W jej głowie łomotał barbituranowy kac, spotęgowany podwójną porcją whisky, którą ktoś jej wmusił, żeby się rozruszała. Ból podszeptał jej zarazem, że żyje i musi oto się borykać z kolejnym dniem. Mieszanina prochów i alkoholu nie zadziałała i tym razem, nie przyniosła upragnionego wyzwolenia, o którym śniła patrząc na szklankę. Tylko dlatego przełknęła alkohol, nim włączyła się w wir zabawy. Co się działo potem, po alkoholu i prochach, pamiętała jak przez mgłę. Wszystko odbywało się zresztą tak samo jak podczas dziesiątków podobnych okazji. Doris coraz mniej potrafiła oddzielić przeszłość od terażniejszości.

Tamci zrobili się czujniejsi. Przynajmniej tego nauczyła ich historia z Pam. Doris podniosła się trochę z posłania i spojrzała na kajdanki, którymi była przykuta za nogę do żelaznej obręczy. Parę razy zastanawiała się, czy nie spróbować wyrwać okucia ze ściany, razem ze śrubami. Młodej kobiecie, jak ona, zajęłoby to kilka pracowitych godzin. Ucieczka oznaczała jednak pewną śmierć, na dodatek okrutną i powolną. Doris bardzo chciała uciec od życia, które przerastało jej najgorsze senne koszmary. Lecz za bardzo bała się bólu. Kiedy wstawała, łańcuch zadzwonił, wprowadzie niegłośno, ale i to wystarczyło, by po pokoju zajrzał Rick.

— Się mamy, buźka! — przywitał ją z uśmiechem, w którym było więcej rozbawienia niż uczucia, a potem pochylił się, rozpiął kajdanki i wskazał drzwi do łazienki.

— Najpierw prysznic.

\* \* \*

— Gdzieś ty się nauczyła chińskiej kuchni? — zapytał zdumiony Kelly.

— Od pielęgniarki, z którą pracowałam w zeszłym roku. Od Nancy Wu. Odeszła od nas, czy teraz na Uniwersytecie Wirginia. A co, smakuje ci?

— Jeszcze się pytasz?

Jeśli prawdą jest, że najkrótsza droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek, dla kobiety największym komplementem jest prośba o dokładkę. Kelly odmówił drugiego kieliszka wina, lecz na jedzenie rzucił się tak gorliwie, jak tylko pozwalały mu na to dobre maniery.

— Na pewno jadałeś już lepsze — odezwała się Sandy, w oczywisty sposób spragniona następnej pochwały.

— Na pewno bardziej mi smakuje niż to, co sam sobie umiem upitrasić, no, ale jeśli myślisz o tym, żeby napisać książkę kucharską, potrzebny ci bardziej wyrafinowany koneser ode mnie. — Kelly spojrzał na nią z powagą. — Kiedyś siedziałem cały tydzień w Taipei i powiem ci, że twoja chińska kuchnia prawie dorównuje tamtejszej.

— Coś ty robił aż w Taipei?

— Wysłali mnie tam na urlop, takie wakacje, na których nikt do ciebie nie strzela. — Kelly poprzestał na tym wyjaśnieniu, gdyż nie wszystkim, co wyczyniali wówczas z kolegami na Tajwanie, dawało się pochwalić przed damą. W tejże chwili spostrzegł, że i tak palnął głupstwo, bo Sandy odezwała się:

— Tim też jeździł... Wymyśliłam, żebyśmy się spotkali na Hawajach, ale właśnie wtedy...

Znów umilkła. Kelly miał ochotę pogładzić ją po ręce, nachylić się ku niej ponad stołem, lecz nie był pewien, czy Sandy nie weźmie tego za głupie zaloty.

— Wiem, co było dalej, Sandy. Dobrze, a co jeszcze potrafisz ugotować?

— Całą masę dań. Nancy mieszkała razem ze mną parę miesięcy i zawsze kazała gotować właśnie mnie. Świetna z niej była nauczycielka.

— Oj, chyba tak — westchnął Kelly, wymiatając talerz do czysta. — Dużo masz ostatnio pracy?

— Zwykle wstaję kwadrans po piątej, z domu wychodzę po szóstej. Lubię się zjawiać na oddziale pół godziny przed zmianą dyżuru, łatwiej mi wtedy sprawdzić, jak się mają pacjenci i przygotować wszystko na przyjęcie nowych. Na naszym oddziale ciągle coś się dzieje, więc zawsze są jacyś nowi. A jak to wygląda u ciebie?

— Zależy, czy mam robotę. Jeżeli akurat strzelam...

— Jak to, strzelasz? — zdziwiła się Sandy.

— Mówię o robotach strzałowych. Taki mam fach, wysadzanie podwodne. Najwięcej czasu zabiera zawsze, żeby wszystko obmyślić i przygotować. Zwykle kręci się koło mnie paru inżynierów. Kombinują, główkują i mówią mi, co i jak.

Do głowy im nie przyjdzie, że o wiele łatwiej coś wysadzić niż zbudować. Aha, ale wiesz? Robię coś, czego nie robi nikt inny.

— Co takiego?

— Przy wysadzaniu podwodnym, parę minut przed zasadniczym strzałem, zawsze odpalam w wodzie trochę spłonek. Żeby spłoszyć ryby — dodał Kelly ze śmiechem.

Sandy przez chwilę nie rozumiała.

— Jak to? Żeby rybom się nie stała krzywda?

— Dokładnie.

Coś takiego. Kelly, który zabijał ludzi na wojnie i w obecności Sandy i strażnika szpitalnego groził chirurgowi połamaniem gnatów, specjalnie się stara, żeby nie skrzywdzić paru głupich ryb?

— Dziwny z ciebie facet.

Kelly miał na tyle przytomności umysłu, żeby się nie obrazić.

— Naprawdę nie zabijam dla zabawy. Dawniej polowałem, ale dałem z tym sobie spokój. Trochę wędkuję, ale na żyłkę, nie dynamitem. Nieważne, i tak odpalam te spłonki daleko od terenu strzałów, żeby niczego nie popsuć w robocie. Chodzi o hałas, ryby przyskają zaraz, jak tylko coś usłyszą. Przecież ich szkoda, nie? Niech sobie żyją. . .

\* \* \*

Wszystko było kwestią odruchu. Doris była krótkowzroczna i w strumieniach wody wydało jej się, że widzi ślady brudu na ciele. Ślady nie zmyły się jednak i nie były brudem. Nie znikwały nigdy, przenosiły się tylko w coraz to inne punkty ciała, pod dyktando męskich kaprysów. Kiedy Doris przesunęła dłońmi po najnowszych sińcach, nagły ból uzmysłowił jej, że to ślady ostatniej balangi. Niemożliwe do zmycia. Niemożliwe. Doris uświadomiła sobie, że tego brudu nie zmyje z siebie już nigdy. Co warty taki przysznic? Tyle, że się inaczej pachnie. Nawet Rick, w końcu najsympatyczniejszy ze wszystkich, traktował ją jak brudną szmatę. Doris powtarzała sobie te słowa, dotykając palcami brązowego sińca, który zostawił na niej właśnie Rick. Cios nie był wcale bolesny, na pewno nie aż tak jak te, które uwielbiał jej zadawać Billy.

Wyszła spod prysznicza i zaczęła się wycierać. Wanna stanowiła jedyne względnie czyste miejsce w całej łazience. Nikt nie zawracał sobie głowy myciem umywalki czy muszli klozetowej. Nawet lustro było pęknięte.

— Dużo lepiej — rzucił od drzwi Rick, który obserwował ją przez cały czas. Na wyciągniętej ręce podawał jej niewielką pigułkę.

— Dziękuję.

I tak się zaczął kolejny dzień. Środek farmakologiczny budował ścianę między Doris i rzeczywistością, sprawiał, iż życie, choć nieznośne i pełne męki, dawało

się jednak wytrzymać. Z ledwością, ale jednak. Doris popiła pastylkę łykiem wody z kranu, w słabej nadziei, iż zbawienny skutek przyjdzie prędko. Lek wygładzał wszystko dookoła, a przy okazji zwiększał odległość między Doris i Doris. Dawniej odległość była dzięki temu na tyle wielka, że Doris nie musiała patrzeć na siebie samą, lecz to już minęło. Podniosła oczy na rozpromienionego Ricka, który nachylił się nad nią i miętosząc ją dłonią oznajmił:

— Wiesz, mała, jak cię lubię, co?

— Wiem. — Doris uśmiechnęła się słabo pod tym dotykiem.

— Szykuj się na wieczór, Dor. Duży ubaw. Będzie sam Henry.

\* \* \*

Wysiadając z Volkswagena o cztery przecznice od narożnego domu, Kelly miał niemal wrażenie, że słyszy we własnej głowie trzask przełącznika. Myślał teraz zupełnie inaczej niż przed chwilą, choć coraz bardziej przyzwyczajał się do wypadów na „pierwszą linię”. Czuł się wyśmienicie, tym bardziej po wspólnej biesiadzie z Sandy. Jadł posiłek w towarzystwie, pierwszy raz od jak dawna? Od pięciu? Sześciu tygodni? Nieważne. Teraz jego uwagę zaprzętało zupełnie co innego.

Przycupnął w upatrzonym miejscu po drugiej stronie skrzyżowania, na skos od narożnego domu, i tym razem znajdując schronienie w cieniu marmurowych schodków. Cierpliwie czekał, aż ulicą nadjedzie Roadrunner, a tymczasem co parę minut podnosił do ust butelkę z winem. Butelkę sprawił sobie na tę okazję nową, pełną czerwonego sikacza, a nie białego, jak przedtem. Oczywiście udawał tylko, że pije, bo w rzeczywistości omiatał spojrzeniem ulicę, a nawet zerkał do góry, ku oknom na pierwszym i drugim piętrze domów.

Nauczył się już rozpoznawać niektóre z samochodów, więc prędko wypatrzył czarnego Karmanna-Ghię, tego samego, którego pojawienie się stało się jedną z przyczyn śmierci Pam. Przekonał się teraz, że kierowca wozu jest mniej więcej w jego wieku, nosi wąsik, a ulicami krąży umyślnie, w poszukiwaniu swego dostawcy. Kelly’ego ciekawiło, jaka to nieodparta potrzeba skłania takiego człowieka do tak zawziętych poszukiwań, w niebezpiecznej okolicy i daleko od domu. Aż tak mu zależy, żeby skrócić sobie żywot narkotykami? W dodatku amator towaru zwiększał tylko sumę nieszczęść i podsycił ją pieniędzmi z nielegalnej transakcji. Czy to także nic go nie obchodziło? Nie wie, co narkotykowe dochody uczyniły już z całą dzielnicą?

Jednakże sam Kelly również próbował nie zadawać sobie takich pytań. W okolicy nadal mieszkała przecież masa ludzi, którzy próbowali po prostu i zwyczajnie żyć, choćby na zasiłku dla bezrobotnych czy na groszowych pensjach. Ludzie ci co krok stawiali czoło niebezpieczeństwom, w słabej nadziei, że kiedyś wreszcie

uciekną stąd tam, gdzie będzie można normalnie żyć. Udawali więc, że nie widzą narkotykowych handlarzy, a w swym komicznym poczuciu godności patrzyli przy okazji jak na powietrze na ulicznych włóczęgów w rodzaju Kelly'ego. Kelly nawet nie czuł do nich żalu za to ostatnie, bo skoro żyli tam, gdzie żyli, musieli się skupić na tym, by doczekać następnego dnia. Większość tutejszych zwyczajnie nie mogła sobie pozwolić na luksus w postaci wyrzutów sumienia na widok włóczęgi. Żeby zająć się ludźmi w jeszcze większej potrzebie niż my sami, trzeba najpierw zyskać minimum osobistego bezpieczeństwa. A poza tym, czy był ktoś w większej potrzebie niż ludzie z tej dzielnicy?

\* \* \*

Są jednak chwile, kiedy dobrze jest być mężczyzną. Henry powtarzał to sobie, patrząc w łazienkowe lustro. Doris — tyle okrągłości, a wszystkie dla niego. Maria, z Florydy — ta z kolei była chuda jak chart, a do tego głupia. Xantha, ostatnio kompletnie nieprzytomna bez prochów. Coś trzeba z nią będzie zrobić. A do tego jeszcze Roberta, i Paula. Dziewczyny miały około dwudziestu lat, a dwie z nich były jeszcze nastolatkami. Niby takie same, ale każda inna. Henry wtarł w twarz dodatkową porcję płynu po goleniu. Może faktycznie lepiej byłoby sprawić sobie prawdziwą narzeczoną, luksusową kobitkę, której wszyscy będą mu zazdrościć? Tylko czy warto ryzykować? Po co się pchać ludziom w oczy? Wystarczy ta obecna menażeria.

Odświeżony i wypoczęty, Henry wyszedł wreszcie z łazienki. Doris nadal leżała tam, gdzie ją zostawił, półprzytomna od gwałtownych doznań i nagrody w postaci dwóch pigułek. Uśmiechnęła się na jego widok, przymilnie, z prawdziwym szacunkiem. Umiała się zachować, pischczała, kiedy trzeba, i w ogóle robiła wszystko bez pytania. Po co mu jeszcze baba na stałe? Drinki można sobie przyrządzać samemu, a poza tym lepiej milczeć w samotności niż słyszeć uporczywe, kłótlive zrządzenie jakiejś zdziry z pretensjami. Żeby pokazać, jaki jest zadowolony, Henry nachylił się nad Doris i wyciągnął ku niej palec. Ucałowała go z należnym respektem. Jej oczy miały błędny wyraz. Na odchodnym Henry polecił więc Billy'emu:

— Nie męcz jej dzisiaj za bardzo. Niech się wyśpi.

— Spokojna czaszka. I tak muszę dziś skoczyć odebrać forse — przypomniał mu podwładny.

— Tak? — Tucker zapomniał o tej sprawie w ferworze chwili. Ostatecznie, nawet on miał swoje ludzkie słabostki.

— Mały jest mi winien patola za wczoraj. Nie doliczył się, ale go nie przycisnąłem. Pierwszy raz się tak rąbnał. Mówi, że się pomylił, jak liczył. Za to rozszerzył rewir o pięć metrów. Sam na to wpadł, beze mnie.

Tucker pokiwał głową. Małemu nie zdarzały się dotąd podobne pomyłki, a poza tym znał mores. Swoim kawałkiem chodnika rządził tak, jak chciał, więc można mu było to i owo darować.

— Przypomnij mu przy okazji, że wyczerpał u mnie limit pomyłek.

— Oczywiście. — Billy skłonił prędko głowę, by samemu okazać szacunek wobec szefa.

— I żeby się nie wygadał, że mu odpuściłem.

To właśnie stanowiło największy kłopot, a właściwie kilka rozmaitych kłopotów. Chodziło o to, że detaliści z ulicy stanowili bandę prymitywów, chciwców, którzy zapominali, że w interesach najbardziej liczy się stabilność. Stabilność za wszelką cenę. Tymczasem detaliści — bądź co bądź gromada pospolitych bandziorów — zachowywali się po swojemu i nie było na to żadnej rady. Co rusz któryś z tego towarzystwa tracił życie, obrabowany albo sprzątnięty w walce o terytorium. Niektórzy z nich byli wręcz tak głupi, że próbowali po cichu opylać własny towar. Takich typów Henry starał się unikać i przeważnie mu się to udawało. Co pewien czas któryś z cwaniaków zaczynał się dopraszać o nauczkę, bo na przykład oddawał do kasy głupich kilkaset dolców, choć tej samej nocy przeszły przez jego ręce kwoty wielokrotnie większe. Henry znał tylko jedno lekarstwo na takie przypadki i stosował je tak często i brutalnie, że na dłuższy czas mógł się później nie martwić o morale podwładnych. Wyglądało więc, że Mały nie kłamie. Wskazywała na to skwapliwość, z jaką sam zaproponował dopłatę. Poza tym na pewno cenił sobie stałe dostawy i coraz większe obroty. Przez najbliższych parę miesięcy trzeba go jednak będzie mieć na oku.

Najbardziej irytowało Tuckera to, że musi się martwić duperelami, takimi jak błąd Małego w rachunkach. Niby trudno, takie są prawa okresu przejściowego, kiedy człowiek z drobnego miejscowego dostawcy staje się hurtownikiem całą gębą, ale długo się tak nie pociągnie. Trzeba nauczyć się pozostawiać takie zadania innym, chociażby Billy'emu, który chętnie zastąpi szefa w tych sprawach. Tylko czy Billy dorósł do nowych obowiązków? Dobre pytanie. Wychodząc z domu, Henry nadal myślał o tym. Na ulicy dał dychę młodemu, który pilnował mu wozu i przyznał sam przed sobą, że przynajmniej z dziewczynami Billy radzi sobie po prostu świetnie. Mądrała, do tego biały, z górniczej osady gdzieś w Kentucky. Nie notowany na policji. Ambitny. Koleżeński. Może naprawdę należy mu się awans?

\* \* \*

Nareszcie, pomyślał Kelly. Czerwony Roadrunner zajechał przed dom dopiero kwadrans po drugiej. Już od pierwszej Kelly zamartwiał się, że nie przyjedzie, i że z akcji nic nie będzie. Wtopił się jeszcze głębiej w cień i nieco wyprostował. Kiedy przekręcił głowę, mógł się dobrze przyjrzeć pasażerom. Billy i jego pu-cybut. Roześmiani, bardzo czymś ubawieni. Pomocnik potknął się na schodach.



Może wypił jednego za dużo, kto wie? Co istotniejsze, kiedy upadł, w powietrzu zafurkotały prostokątne papiery. Nie mogło to być nic innego jak banknoty.

Czyżby właśnie tutaj liczyli utarg? Ciekawe. Kelly patrzył, jak obaj mężczyźni zbierają pieniądze ze stopni. Billy trzepnął pomocnika w ramię, chyba żartem i powiedział coś, czego Kelly nie mógł dosłyszeć z odległości pięćdziesięciu metrów.

O tak późnej godzinie autobusy miejskie przejeżdżały co trzy kwadransy, a ich trasa była oddalona o kilka przecznic od tej okolicy. Policja także pojawiała się tutaj w regularnych i dających się przewidzieć odstępach. Dzielnica zasypiała. O ósmej osłabł ruch samochodów, a o wpół do dziesiątej miejscowa ludność całkowicie zniknęła z ulic, barykadując się w mieszkaniach za potrójnymi zamkami, i dziękowała opatrności, że udało się przeżyć jeszcze jeden dzień — co nie znaczy, że jutro też się uda. Na ulicach zostali tylko handlarze i ich klientela. Około drugiej i oni zaczęli znikać. Kelly ustalił ten fakt już dawno i po gruntownym namyśle uznał, że wie już wszystko co trzeba. Oczywiście, zawsze mogły zajść pewne nieprzewidziane okoliczności. Taka możliwość istniała, ale nic nie można było na to poradzić — co najwyżej można było czuwać, wyznaczyć sobie zapasowe drogi ucieczki, nie zagapiać się i mieć przy sobie broń. Przypadku nie dało się wyeliminować i chociaż ta myśl niepokoiła Kelly'ego, trzeba ją było zaakceptować jako nieodwołalny i normalny fakt.

Kelly podniósł się ze schodków, przeciął jezdnię i wyćwiczonym, pijackim krokiem ruszył w stronę narożnego domu. Drzwi nie były zatrzaśnięte, jak już to zdążył ustalić, bo kiedy poprzednim razem mijał dom, spostrzegł, że mosiężna płytka wokół klamki dynda krzywo na jednej śrubie. Kiedy poprzedniej nocy planował akcję, drzwi domu stały mu wyraźnie przed oczami. Na schodach znów usłyszał głos Billy'ego i śmiech. Odgłosy dobiegały z okna na piętrze. Śmiech był chrapliwy i mało melodyjny. Kelly znienawidził ten głos i miał wobec jego właściciela pewne plany. Po raz pierwszy udało mu się podejść ludzi, którzy zamordowali Pam. Dwóch? A może więcej? Reakcja Kelly'ego okazała się paradoksalna, bo zamiast zeszywnieć z napięcia, bez wysiłku rozluźnił mięśnie. Tym razem musiało się udać.

— A kuku, panowie — szepnął. Następne posunięcie decydowało o wszystkim i nie można go było spieprzyć. Dlatego Kelly minął narożny dom i ruszył w stronę dwójki Bobów — jak ich nazwał — stojących na rogu, trzysta metrów dalej. Ulica była prościuteńka i szeroka, więc mimo odległości, Kelly miał ich przed sobą jak na dłoni.

Miała to być następna próba — ostateczny test silnej woli. Kelly ruszył na północ, wciąż po tej samej stronie ulicy, bo gdyby próbował się zbliżyć do handlarzy najkrótszą drogą, wpadłby im w oczy i zainteresował ich, a może nawet zaniepokoił swoją obecnością. Podejście musiało tymczasem być skryte. Zmieniając kąt, pod jakim się przybliżał do celu, Kelly pozwalał zgarbionemu ciału wtopić

się w tło, jakie stanowiły mury i zaparkowane samochody. Widać było tylko jego głowę, niewielki, ciemny kształt, na pewno niegroźny. Kiedy od celu dzieliła go już tylko jedna przecznica, Kelly przekroczył jezdnię i przy okazji rozejrzał się na wszystkie cztery strony. Na przeciwległym chodniku ruszył w lewo. Chodnik był szeroki na cztery czy pięć metrów. W regularnych odstępach odchodziły od niego marmurowe stopnie. Kelly miał tu dosyć miejsca, żeby się chwiać i zataczać. Co rusz zatrzymywał się i przytykał do warg butelkę (ukrytą, jak każe prawo, w papierowej torbie), po czym ruszał dalej. Gdy był już blisko, postanowił jeszcze dobitniej zademonstrować swoją potulną naturę. Zatrzymał się i zaczął siusiać do rynsztoka.

— Ależ dziad! — rozległ się za nim głos Małego albo Dużego Boba. Nie było sensu sprawdzać, który z nich się odezwał. Wystarczył ton obrzydzenia, jaki towarzyszył słowom. Takim tonem przemawiają ludzie, którzy się zaraz odwrócą, by pokazać intruzowi plecy. Kelly'emu nawet to odpowiadało, bo rzeczywiście pora już była sobie ulżyć.

Obaj handlarze górowali nad nim wzrostem. Duży Bob, który był szefem, miał metr osiemdziesiąt pięć, a Mały Bob, jego pomagier, równo metr dziewięćdziesiąt. Mały był muskularny, ale już z zaczątkami brzuszka. Za dużo piwa albo mącznych potraw. Obaj sprawiali groźne wrażenie, wobec czego Kelly uznał, że musi nieco zmienić plan. A może minąć ich po prostu i zostawić w spokoju?

O, nie.

Z początku minął ich jednak. Mały Bob zagapił się na coś po drugiej stronie ulicy, a Duży czuwał, oparty o murek. Kelly nakreślił w myślach linię pomiędzy nimi i odliczył trzy kroki, zanim się odwrócił — powoli, by nie spłoszyć swoich ofiar. W półobrocie wsadził prawą dłoń pod fałdy swojej ni to starej, ni to nowej kurtki myśliwskiej i płynnym ruchem uchwycił rękojeść Colta w oburęcznym uścisku. Przygiął ciało i wyprostował złożone ręce — jednym słowem ustawił się w pozycji Weavera. Opuścił oczy na broń, zgrywając białą linię na powierzchni tłumika ze szczerbinką i podniósł pistolet do oka. Jego wyprostowane ręce były lekko przygięte w łokciach. Płynny, precyzyjny ruch sprawił, że pierwszy obiekt znalazł się w celowniku. Szybki ruch przywabia ludzki wzrok, szczególnie w nocy. Duży Bob spostrzegł, że coś się dzieje — coś nieprzewidzianego i niedobrego, tylko co? Wyćwiczony na ulicach instynkt podał mu prawidłową ocenę sytuacji, choć uczynił to za późno. Pistolet! Zamiast uskoczyć, co mogło opóźnić śmierć, Bob sięgnął po broń.

Kelly czubkiem palca przycisnął spust dwa razy: pierwszy raz, kiedy wierzch tłumika pokrył się z celem, a drugi zaraz potem, gdy nadgarstek skorygował niewielki odrzut. Nie odrywając stóp od ziemi okręcił się i mechanicznym ruchem, trzymając broń wciąż w tej samej płaszczyźnie, wycelował broń w Małego Boba. Ten zdążył już zareagować na widok upadającego szefa i wyszarpywał zza paska broń. Śpieszył się, ale nie zdążył. Pierwszy strzał Kelly'ego był kiepski, poszedł

za nisko i odniósł mizerny skutek. Za to drugi pocisk trafił Boba prosto w skroń i zrykoszetował wewnątrz czaszki, tańcząc po puszcze mózgowej jak chomik po klatce. Mały Bob runął na twarz. Kelly upewnił się, że obaj nie żyją, odwrócił się i odszedł.

Skręcając za róg, pomyślał jeszcze: sześciu.

Po chwili serce uspokoiło się po poprzedniej dawce adrenaliny. Pistolet powędrował na swoje miejsce, obok noża. Za cztery minuty trzecia Kelly rozpoczął odwrót.

\* \* \*

Zwiadowca z piechoty morskiej był porządnie tym wszystkim wkurzony. Autokar, który dla nich podstawiono, zepsuł się po drodze. Kierowca, żeby nadrobić stracony czas, postanowił pojechać na skrót i oczywiście utknął w monstrualnym korku. Autokar zajechał do bazy piechoty morskiej Quantico dopiero po trzeciej w nocy i ruszył w ślad za terenówką z wartowni pod budynek, który stanowił cel podróży. Odosobniony budynek koszarowy w połowie już się wypełnił chrapiącymi ludźmi. Przybysze prędko wybrali sobie prycze i padli na nie, żeby odespać zarwane godziny. Akcja mogła się zapowiadać ciekawie, pasjonująco i niebezpiecznie, ale jej początek nie różnił się niczym od normalnego dnia w brzuchu zielonego potwora, jakim jest wojsko.

\* \* \*

Koniec dnia był dla Virginii Charles po prostu fatalny. Charles pracowała jako salowa w szpitalu Świętej Agnieszki, raptem parę kilometrów od domu. Tego wieczora musiała zostać dłużej, bo jej zmienniczka spóźniła się, a nie wypadało zostawiać piętra bez opieki. Charles od ośmiu lat kończyła pracę o tej samej porze, nie miała pojęcia, że wkrótce po tej godzinie zmienia się rozkład jazdy autobusu, którym jeździła. Spóźniła się na pierwszy autobus i musiała całe wieki czekać na następny. Nareszcie wysiadła w pobliżu domu, spóźniona o dwie godziny i zła, że przeszedł jej koło nosa telewizyjny „Tonight Show”, którego starała się nigdy nie opuszczać. Virginia Charles miała czterdzieści lat i była rozwódką z dwojgiem dzieci. Straszny chłopak służył w wojsku, całe szczęście, że w Niemczech, a nie w Wietnamie, a młodszy chodził jeszcze do szkoły. Dzięki posadzie, marnej, ale chronionej umową związkową, pani Charles potrafiła zadbać o obu synów. Zamartwiała się jednak nieustannie, że wpadną w złe towarzystwo, albo że nie dadzą sobie rady w życiu.

Była już bardzo zmęczona i kiedy wysiadła z autobusu, wyrzucała sobie w myśli, że nie skorzystała z wieloletnich oszczędności i nie kupiła samochodu.

Inna rzecz, że za samochód płaci się ubezpieczenie, a kiedy ma się w domu dorastającego syna, stawka idzie w górę, a człowiekowi dochodzą nowe zmartwienia. Kto wie, może za parę lat młodszy syn także wstąpi do zawodowej służby wojskowej. Inaczej niż dzięki wojskowemu stypendium nigdy nie pójdzie na studia. Virginia Charles nie marzyła o lepszej przyszłości dla syna.

Szła czujnie i prędko, choć od nerwowego napięcia rozboleły ją zmęczone nogi. Dzielnica schodziła na psy. Całe życie Virginia Charles spędziła na tych samych kilku ulicach, więc pamiętała, że kiedyś było tu ludno, miło, a przede wszystkim bezpiecznie. Pamiętała, że niegdyś w środowe wieczory, kiedy akurat nie pracowała, mogła sama jedna chodzić do Kościoła Nowego Syjonu. Właśnie, znów opuściła nabożeństwo. Wszystko przez tę pracę. Na szczęście kapnęły jej za to dwie nadgodziny, wzbogacając konto w banku. Pani Charles omiotła wzrokiem ulicę. Tylko trzy przecznice, nie ma się czego bać. Powtarzała to sobie jak modlitwę. Szła szybko i, żeby zachować czujność, paliła papierosa. Tylko spokojnie. W ubiegłym roku napadnięto ją — „obskoczono”, w miejscowej gwarze — już dwukrotnie. Za każdym razem pieniędzy żądali od niej narkomani na głódzie. Tyle dobrego, że obaj synowie dostali lekcję pogładową, czym kończą się narkotyki. Bandyci nie wzbogacili się szczególnie, bo Virginia Charles z zasady nosiła przy sobie tylko drobne na autobus i na posiłek w szpitalnej stołówce. Bolała ją nie tyle strata, ile upokorzenie. Najgorsza była jednak pamięć. Niegdyś mieszkali w tej okolicy ludzie, którzy umieli uszanować prawo. Jeszcze tylko jedna ulica. Virginia Charles skreśliła za róg.

— Stara, dawaj dolara! — zrymowało się komuś za jej plecami. Widziała tylko cień tego człowieka. Natychmiast przyśpieszyła kroku, udając, że nie widzi i nie słyszy. Może napastnik odwzajemni się jej w ten sam sposób? Da jej spokój? Tego rodzaju uprzejmość stała się ostatnimi czasy rzadkością. Z pochyloną głową szła uparcie przed siebie, powtarzając sobie, że nie ma wyjścia. Mało który uliczny bandzior zaatakuje kobietę od tyłu, prawda? Nieprawda. Virginia Charles poczuła na ramieniu dotyk ciężkiej ręki.

— Oddawaj forszę, torbo! — rozległo się. W głosie napastnika nie było nawet gniewu, a tylko stanowczość. Na ulicach obowiązywały teraz inne zasady.

— Ile ja tam mam, smarkaczu. — Virginia Charles okręciła się, żeby iść dalej. Nadal się nie oglądała za siebie. Chodziło jej tylko o to, by wyrwać się i umknąć. Wtedy usłyszała metaliczne klaśnięcie.

— Bo cię pokroję — poinformował ją ten sam spokojny głos. Głos belfra, tłumaczącego głupiej babie podstawowe fakty.

Szczęk otwieranego sprężynowca wystraszył ją na tyle, że zatrzymała się i mamrocząc słowa modlitwy otworzyła zatrask torebki. Odwracała się powoli, nadal bardziej zła niż wylekniona. Nie próbowała krzyknąć, choć jeszcze kilka lat wcześniej mogłoby to przynieść jakiś skutek. Ludzie zaczęliby wyglądać z okien, a może wręcz wyszliby na dwór i przegnali napastnika. Tym razem nie było na to

najmniejszych widoków, choć napastnik miał ledwo siedemnaście czy osiemnaście lat i nieprzytomny wzrok, trochę pod wpływem narkotyku, a trochę dlatego, że upajała go władza nad inną osobą. Virginia Charles poddała się. Trudno, da mu się pieniądze, i spokój. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej pięciodolarowy banknot.

— Aż piątkę mi dajesz? — zdziwił się nieprzyjemnie młodzik. — Za mało, torbo! Dawaj więcej, bo cię pokroję!

Najbardziej przerażający był wyraz jego oczu. Właśnie dlatego kobieta przestała nad sobą panować i pisnęła:

— Nie mam więcej!

— Dawaj, bo ci puszcze farbę!

Kelly skręcił za róg. Od samochodu dzieliło go parędziesiąt metrów. Można się już było odprężyć. Dopóki nie znalazł się za rogiem, nie słyszał nic podejrzanego, lecz oto nagle ujrzał przed sobą jakąś parę, i to niecałe dziesięć metrów od porzewiałego Volkswagena. Błysk odbitego światła uświadomił mu, że widzi nóż.

W pierwszej sekundzie pomyślał tylko: Gówno, nic z tego. Dawno postanowił, co zrobi w takiej sytuacji. Nie miał szans na zbawienie całego świata i nawet mu nie przyszło do głowy, żeby próbować. Zabawa w samarytanina, który udaremnia rabunek, to coś w sam raz dla programów w telewizji. Kelly polował dziś na grubszą zwierzynę. Nie przewidział jednak, że napad może nastąpić parę metrów od jego samochodu.

Stanął jak wryty i, czując przyływ nowej fali adrenaliny, analizował sytuację. Gdyby przydarzył się tu jakikolwiek incydent, natychmiast zwabi to policję, która przez długie godziny będzie się tu kręcić i sprawdzać, co i jak — wszystko to w sytuacji, gdy ćwierć kilometra z tyłu na ulicy leżą dwa trupy. Nawet bliżej, bo idąc tu, Kelly kluczył. Niedobrze. W dodatku nie było czasu na decyzję. Odwrócony wciąż plecami chłopak szarpał kobietę za rękę i wymachiwał sprężynowym nożem. Nawet w ciemności na odległość siedmiu metrów stanowił łatwy cel. Niestety, kula kalibru 0,22 cala zbyt dobrze przenika przez ludzkie ciało. Kelly nie chciał, żeby przy okazji zraniła kogoś niewinnego, kto stoi za napastnikiem. Kto? Kobieta. Po czterdziestce, ubrana jak pielęgniarza. Kelly ruszał już w stronę pary, kiedy zaszła kolejna zmiana. Chłopak dźgnął kobietę w prawe ramię. W świetle latarni ulicznych zaświeciła na czerwono krew.

Kiedy ostrze wbiło się jej w skórę, Virginia Charles zachłysnęła się i szarpnęła do tyłu, upuszczając przy okazji pięciodolarówkę. Chłopak natychmiast złapał ją wolną ręką za gardło. Po jego oczach można było poznać, że zastanawia się, gdzie wbić nóż po raz drugi. Za plecami napastnika pielęgniarce mignęła jakaś postać. W panice, ogarnięta bólem, spróbowała krzyknąć, ale tylko zaskrzeczała. Napastnik spostrzegł, że ofiara wpatruje się w punkt gdzieś poza nim. W co?

Młodzik odwrócił się, by o trzy metry od siebie ujrzeć brudnego, obdartego włóczęgę. Popłoch i agresja ustąpiły z jego twarzy, a na ich miejsce wypłynął leniwy uśmiech.

— Cholera — szepnął do siebie Kelly, bo wszystko układało się dokładnie nie tak, jak trzeba. Schylił głowę i popatrzył spode łba na chłopaka. Sytuacja wymykała mu się z rąk.

— A może ty mi kopsniesz parę dorców, dziadku? — warknął młodzik, oszłamiony własną siłą i odruchowo postąpił krok w stronę włóczęgi. Obdartus mógł mieć grubszą gotówkę niż tamta pielęgniarka.

Kelly nie spodziewał się tego manewru. Młodzik pomieszał mu szyki. Sięgnął po pistolet, lecz w ostatniej chwili tłumik zahaczył się pod paskiem. W ułamku sekundy rabuś pojął, że to już nie żarty i następny, szybszy krok zrobił już z nożem w wyciągniętej ręce. Nie było czasu na szamotaninę z pistoletem. Kelly zatrzymał się, odstąpił pół kroku w tył i wyprostował się w oczekiwaniu ciosu.

Choć agresywny, napastnik okazał się dość niezdamny. Pierwsze pchnięcie zadał byle jak i mocno się zdziwił, że włóczęga sparował je tak łatwo. Kelly tymczasem nie czekał na następne pchnięcie. Rzucił się w przód i wbił prawy prosty w splot słoneczny młodzika. Napastnikowi na moment zabrakło powietrza w płucach, ale zamiast się zatrzymać, przygiął do piersi rękę z nożem. Kelly złapał go za ramię, wykręcił je i przydeptał ciało, zanim zdążyło jeszcze wyrznąć w chodnik. Przeciągły trzask oznajmił światu, że ręka młodzika nadaje się tylko do gipsu. Zamiast ją puścić, Kelly wykręcił ją jednak do oporu, i jeszcze dalej.

— Niech pani idzie do domu — odezwał się cichym głosem do Virginii Charles. Mówił to odwracając twarz i w ogóle miał nadzieję, że kobieta nie zapamięta jego wyglądu. Na pewno będzie z tym miała spory kłopot, bo przebieg bójki był po prostu błyskawiczny.

Pielęgniarka schyliła się po upuszczony banknot i bez jednego słowa pobiegła przed siebie. Kelly obejrzał się za nią. Niedoszła ofiara w biegu trzymała się za krwawiące ramię i zataczała się. Zapewne szok. Całe szczęście, że nie narzucała się z pomocą. Kelly był pewien, że za chwilę kobieta zadzwoni po policję, a przynajmniej po karetkę. Żałował, że sam nie mógł jej pomóc opatrzyć ranę, ale na takie ryzyko naprawdę nie mógł już sobie pozwolić. Młody rabuś zajęczał. Widocznie ból strzaskanego ramienia rozdarł nawet miłosierną zasłonę narkotyków. W odróżnieniu od kobiety, chłopak dokładnie sobie obejrzał twarz Kelly'ego.

— Cholera — wymamrotał po raz drugi Kelly. Trudno, młody chciał poszat-kować starszą kobietę, a na niego rzucił się z nożem. Dwa usiłowania morderstwa, i to pewnie nie po raz pierwszy. Tym razem wybrał sobie złą ofiarę, zły teren i złą taktykę. Przyjdzie mu za to zapłacić. Kelly wysupłał z osłabłej dłoni sprężynowy nóż i wbił go w podstawę czaszki młodocianego bandyty.

Po minucie Volkswagen skręcał już w sąsiednią ulicę.

Siedmiu, pomyślał Kelly, zawracając na wschód. Cholera, czemu siedmiu?

## 19 — Odrobina miłosierdzia

Porucznik Ryan powtarzał sobie, że niedługo podobne raporty staną się czymś tak powszednim, jak poranna kawa i słodka bułka z serem. Dwóch handlarzy w parku sztywnych, każdy z kulką kalibru 0,22 cala w głowie, choć tym razem nie obrabowano ich. Na miejscu zabójstwa ani śladu łusek, żadnych oznak szamotaniny. Jeden z zabitych ścisnął dłonią kolbę pistoletu, ale nie zdążył go nawet wyjąć z kieszeni spodni, jednym słowem, same niezwykłości. Przed śmiercią handlarz zorientował się, co mu grozi i zareagował, choć jak widać, mało skutecznie. W chwilę później do Ryana trafił meldunek o zajściu, do jakiego doszło raptem parę ulic od miejsca zbrodni. Porucznik i Douglas ruszyli tam co tchu, zostawiając teren zbrodni we władanie młodszym członkom ekipy. Drugi meldunek brzmiał bowiem jeszcze ciekawiej, niż ten pierwszy.

— O, cholera! — zachłysnął się Douglas, który wysiadł pierwszy. Trudno mu się było jednak dziwić, bo w końcu nie co dzień widuje się potylicę, z której niczym słupek od parkanu sterczy nóż. — A ja myślałem, że to jakieś żarty!

W tej dzielnicy miasta — podobnie jak we wszystkich dzielnicach wszystkich miast — do typowego zabójstwa dochodziło w zaciszu domowym, podczas kłótni. Najczęściej mordowali się nawzajem członkowie tej samej rodziny albo przyjaciele czy bliscy znajomi, i to zwykle o duperele. Poprzedniego roku, w Święto Dziękczynienia, ojciec ukatrupił syna, z którym pokłócił się o to, któremu przypadnie udko indyka. . . Ryan zapamiętał sobie jednak szczególnie zabójstwo, które zaczęło się od awantury nad pulpetem rybnym — nie z tego powodu, że było w tym cokolwiek zabawnego, tylko przez przeraźliwy kontrast. W każdym z tych przypadków dodatkowe tło stanowił alkohol i życiowa pustka, które ze zwykłych awantur czyniły kwestie honoru. Najczęściej zabójcy skamleli później: „Ja nie chciałem” i dodawali zwykle: „Dlaczego, no dlaczego mi nie ustąpił?” Ponurość tych atrakcji drażyła mózg Ryana, niczym wolno działający kwas. Najgorsza do zniesienia była właśnie wiecznie ta sama typowość. Do czego to podobne, żeby ludzkie życie kończyło się z tak idiotycznych przyczyn? Naprawdę szkoda — tym bardziej że pośród żywopłotów Normandii, a potem w ośnieżonych lasach wokół Bastogne, jako młodsiutki spadochroniarz ze 101. Dywizji, Ryan nauczył się bardzo cenić fakt, że się żyje. Typowy zabójca, który twierdził, że wcale nie

chciał niczego takiego, najczęściej natychmiast przyznawał się do winy i szczerze żałował, że własnoręcznie pozbył się przyjaciela albo kogoś z bliskich. Zabijając kogoś, sam zresztą także łamał sobie życie. Zgoda, ciągle mowa o zabójstwach, których w pijanym widzie dopuszcza się jakiś półgłówek, ale taka jest właśnie natura pospolitej zbrodni. Tym razem jednak o pospolitej zbrodni nie było mowy.

— Co jest, u diabła, z tą ręką? — zapytał Ryan patologa. Nie chodziło mu o ślady igły na skórze denata, tylko o fakt, że nawet w tej pozycji widać było wewnętrzną stronę łokcia. — Wywichnięta?

— Denat coś sobie zrobił w rękę. Stracił ją, na dobrą sprawę — dorzucił patolog po namyśle. — Wokół nadgarstka są sińce, tam, gdzie ktoś trzymał za tę rączkę. A trzymał oburącz i prawie ukręcił ramię w obojczyku. Tak, jakby pan obłamywał gałąź z drzewa. . .

— Jakaś sztuczka karate? — zaciekawiał się Douglas.

— Aha, coś w tym stylu. Żeby gość się nie rzucał. A o przyczynę zgonu nawet nie pytajcie.

— Panie poruczniku, na chwileczkę! — przywołał Ryana umundurowany sierżant. — To pani Virginia Charles zawiadomiła nas, co się stało.

— Nic pani nie jest? — Ryan zaniepokoił się na widok bandaża, który sanitariusz-strażak kończył poprawiać na ramieniu kobiety. Obok pani Charles stał jej syn, szesnastolatek ze szkoły średniej Dunbar, i bez cienia współczucia przyglądał się zwłokom. Ryan potrzebował czterech minut, żeby wydusić z matki i syna wszystkie potrzebne informacje.

— Więc jeszcze raz: włóczęga?

— No, taki pijaczek. To jego butelka, ta, co ją upuścił — wskazała Murzynka. Douglas pieczołowicie zebrał szklane skorupy.

— To co, może spróbuje mi go pani opisać? — zaczął od nowa porucznik Ryan.

\* \* \*

Rozkład zajęć był tu tak typowy i normalny, że na dobrą sprawę mogli się znajdować w którejkolwiek z baz piechoty morskiej na świecie, od Lejeune do Okinawy. Na początek tuzin ćwiczeń na rozgrzewkę, a po nim bieg, znów typowy, bo w rytmie podawanym przez podoficera prowadzącego zaprawę. Nie bez satysfakcji wyprzedzali całą grupą gromady świeżo upieczonych podporuczników, którzy trafili do Quantico na podstawowe szkolenie oficerskie, a pododdziałom flakowatych kandydatów do rangi oficerskiej dokładali, jak chcieli. Osiem kilometrów biegu, potem pięćsetmetrowy tor przeszkód i parę innych punktów szkolenia (ich nazwy miały uwiecznić rozmaitych zasłużonych za życia i po śmierci żołnierzy formacji), a potem marsz w stronę skraju terenu, gdzie kończyła się baza, a zaczynał ośrodek szkoleniowy FBI. Tam jednak oddział skręcał codziennie



z głównej drogi w las, za którym czekał właściwy ośrodek szkolenia. Poranna zaprawa miała im tylko wszystkim przypomnieć, że są żołnierzami piechoty morskiej, a długość biegu uświadomić, że wszyscy są z pododdziałów rozpoznania, w których sprawność fizyczna godna olimpijczyka to rzecz zwyczajna. Pierwszego dnia zdumieli się jednak ogromnie, gdyż u celu czekały na nich niespodzianki: po pierwsze, prawdziwy generał w mundurze, a po drugie, rząd huśtawek i piaskownica.

— Czołem, żołnierze! Witamy w Quantico! — przywitał ich Marty Young, kiedy się zebrali, i dał „spocznij”. Zdyszani po biegu nie mogli nie zauważyć stojącej z boku pary admirałów w śnieżnobiałych mundurach i drugiej pary, złożonej tym razem z cywili, którzy wszystko bacznie obserwowali. Żołnierze przymrużyli oczy, bo zadanie zaczynało się zapowiadać naprawdę ciekawie.

— Zupełnie, jakbym patrzył na te nasze zdjęcia — zauważył po cichu Kaz, rozglądając się po miejscu szkolenia. Admirałowie z góry wiedzieli, o czym będzie mowa na odprawie. — Tylko po co te huśtawki?

— Mój prywatny pomysł — przyznał Greer. — Iwan nawypuszczał tyle tych satelitów, że ciągle mamy je nad głową. Na planszy w budynku A wypisaliśmy w które dokładnie dni w ciągu najbliższych sześciu tygodni, i w jakich godzinach będą nad nami przelatywały. Nie wiemy, jak dobra jest ich aparatura, więc zakładamy, że ich zdjęcia nie ustępują naszym, zgoda? A skoro tak, pozostaje pokazać tym facetom dokładnie to, czego się spodziewają i nie utrudniać im zadania. Ważne amerykańskie obiekty Ruscy poznają po braku parkingu. Dlatego wymyśliliśmy sobie parking.

Procedurę ustalono długo przed początkiem szkolenia. Co dzień rano przybywająca grupa żołnierzy zaczynała dzień na parkingu, gdzie przepychała samochody w inne miejsca. O dziesiątej rano przychodziła pora, by wydostać z aut manekiny i rozmieścić je na całym placu zabaw. Około drugiej albo trzeciej samochody znowu zmieniały miejsce, a manekiny przesiadały się z huśtawek na zjeżdżalnię. Autorzy pomysłu domyślali się, i słusznie, że niezależnie od skuteczności, procedura dostarczy żołnierzom pierwszorzędnej rozrywki.

— Tylko co będzie, kiedy skończymy? — zapytał Ritter. — Zostawimy tak te huśtawki? A, zresztą Bóg z nimi, możemy zostawić, a nuż się przydadzą? Pierwszorzędna robota, James.

— Dzięki, Bob.

— Coś mały ten nasz obiekt — zaniepokoił się admirał Maxwell.

— Wymiary zgadzają się z dokładnością do dziesięciu centymetrów — uspokoił go Ritter. — Trochę oszukiwaliśmy, bo mamy w archiwum radziecki regulamin na temat budowy takich obiektów. Ten twój generał Young pierwszorzędnie się postarał, to fakt.

— W budynku C brakuje szyb w oknach — zauważył Podulski.

— Lepiej byś rzucił okiem na zdjęcia, Kaz — obruszył się na to Greer. — Wszystko jest, jak trzeba, po prostu w Wietnamie brakuje szkła. Budynek C ma za to okiennice, o tutaj, i jeszcze tu. Z kolei areszt — admirał wskazał na budynek B — ma w oknach kraty. My daliśmy drewniane, żeby je można było później łatwo usunąć. Co do rozkładu wewnątrz, musieliśmy się bawić w zgadywanki, ale paru naszych, którym zdarzyło się posiedzieć po tamtej stronie, opowiedziało nam, jak to zwykle wygląda, więc trochę wiemy. Na pewno nie wzięliśmy tego rozkładu z sufitu.

Żołnierze zdążyli się już rozejrzeć po terenie obiektu i domyślić się, jaki charakter będzie miało zadanie. Ponieważ byli weteranami, myśleli teraz głównie o tym, jak dostosować doświadczenie zdobyte w prawdziwej walce do nowego, dziwnego obiektu, jaki mieli przed sobą. Dziwnie jest ćwiczyć szturm pod czujnym okiem manekinów, udających zgraję jasnookich dzieci. Granatami z *M-79* unieszkodliwi się wieże wartownicze, w porządku. Skok tygrysi przez okno budynku koszarowego, dobra jest. Śmigłowce szturmowe pozamiatają teren... Plastikowe „żony” i „dzieci” miały obserwować to wszystko i nie pisać nikomu ani słówka.

Usytuowanie obiektu przypominało właściwe miejsce, o które chodziło. Tego żołnierzom nie trzeba było nawet mówić, inna możliwość po prostu nie wchodziła w grę. Niektórzy przypatrywali już się wzgórz, oddalonemu o niecały kilometr od obiektu. Z wierzchołka na pewno świetnie widać cały teren. Po zakończonym powitaniu żołnierze rozdzielili się na pododdziały o ustalonym składzie i pobrali broń. Zamiast normalnych karabinków *M16A1* otrzymali ich krótszą wersję, zwaną *CAR-15*, lżejszą i przydatniejszą do walki wręcz. Dostali poza tym zwykłe granatniki *M-79*, z celownikami powleczonymi radioaktywnym trytem, by świeciły w ciemnościach. Ładownice pękały w szwach od pocisków ćwiczebnych, jako że początek treningu miał nastąpić już za parę minut. Żołnierze mieli zacząć w pełnym świetle dnia, aby nauczyć się rozkładu obiektu i nabrać wprawy, lecz po paru dniach musieli się przestawić wyłącznie na zajęcia nocne. Generał nie uprzedził ich o tym, lecz nie było to wcale konieczne — wiedzieli o tym sami, bo tego typu akcje odbywają się wyłącznie nocą. Oddział pomaszerował na najbliższą strzelnicę, by przestrzelać nową broń. Zamiast tarcz wisiało tam sześć ram okiennych. Żołnierze z granatnikami spojrzeli po sobie, wycelowali i huknęli pierwszą salwą. Tylko jeden musiał się wstydzić. Pozostała piątka wygwizdała go natychmiast, gdy tylko upewniła się, że biały dym ich własnych granatów bucha zza, a nie sprzed „okien”.

— Zaraz się rozgrzeję, to zobaczycie! — bronił się kapral, i rzeczywiście, w ciągu następnych czterdziestu sekund władował prosto w cel pięć granatów. Strzelanie szło mu dzisiaj wolno, bo w końcu nocą prawie nie zmrzył oka.

\* \* \*

— Ciekawe, ile siły trzeba mieć, żeby odwalić taki numer? — zastanowił się na głos Ryan.

— Anemik to to nie był — przyznał patolog. — Nóż przeciął rdzeń kręgowy dokładnie w miejscu styku z czaszką. Natychmiastowy zgon, nie ma sprawy.

— Z tym, że napastnik, zanim zadał cios, obezwładnił już ofiarę. Ten uraz ręki rzeczywiście jest aż tak paskudny, jak wygląda? — zapytał Douglas i odstał na bok, żeby policyjny fotograf mógł dokończyć dzieła.

— Tak samo, albo jeszcze gorszy. Jeszcze się temu przyjrzymy, ale moim zdaniem facet zgruchotał mu cały staw. Takiego urazu nie naprawią w żadnym szpitalu. Na pewno nie do końca. Nasz denat mógł się pożegnać z rączką, jeszcze zanim dostał nożem.

Ryan wrócił do swoich notatek. Napastnik: biały, około czterdziestki albo starszy, długie czarne włosy, niski, bardzo brudny. Co powiedział Virginii Charles: „Niech pani idzie do domu”?

Pani!

— Kiedy kazał jej odejść, ofiara jeszcze żyła — oznajmił Douglas, podchodząc do porucznika. — Dopiero wtedy napastnik zabrał denatowi nóż, a potem go zwrócił i podziękował. Słuchaj, Em, w jednym tygodniu mamy na karku cztery bardzo sprawne morderstwa i sześć bardzo zimnych trupów.

— Ale cztery rozmaite morderstwa. Dwóch facetów związanych i zastrzelonych, to raz. Rewolwer kalibru 0,22 cala, żadnych śladów szamotaniny. Dwa, facet z brzuchem pełnym śrutu, obrabowany tak samo jak tamci, i jak tamci dwaj nie miał jak, ani kiedy się bronić. Tych dwóch z wczorajszej nocy, prawdopodobnie znów zastrzeleni z dwudziestkidwójki, ale nikt ich nie obrobił ani nie związał. Poza tym wiedzieli, co się święci, kiedy dostali kulkę. Wszyscy handlowali narkotykami, zgoda, ale ten tutaj? Zwyczajny uliczny bandzior. Możesz sobie odłożyć swoją teorię, Tom — dokończył porucznik, chociaż sam zaczynał się poważnie nad tym wszystkim zastanawiać. — Zidentyfikowaliście już tego umrzyka?

— Ćpun — pośpieszył z odpowiedzią mundurowy sierżant. — Notowany. Sześć razy aresztowany za rabunek i Bóg wie, za co jeszcze.

— Nic się nie zgadza — skwitował to Ryan. — Ten tutaj nie pasuje do twoich teorii, Tom, więc jeżeli ten twój morderca jest taki sprytny, dlaczego się ujawnił, dlaczego wypuścił tę kobietę, dlaczego się do niej odzywał? Do cholery, dlaczego się w ogóle rzucił na tego ćpuna? Pasuje ci to do czegoś? Bo mnie nie.

Rzeczywiście, fakty nie składały się w sensowną całość. Co z tego, że dwie pary detalistów zastrzelono z broni kalibru 0,22 cala, skoro małokalibrowe pistolety i rewolwery to na ulicach najpospolitsza broń? Poza tym jedną parę obrabowano, a drugiej nie. Druga dwójka zginęła od kul wystrzelonych bez poprzedniej, za-

bójczej precyzji, choć rzeczywiście, obaj zabici mieli w czaszkach po dwie przestrzeliny. Inny obrabowany detalista zginął od strzału ze śrutówki.

— Spokojnie. Mamy narzędzie zbrodni i mamy tę butelkę z winem, więc tak czy inaczej będziemy mieli odciski palców. Nie wiem, kim był ten napastnik, ale tym razem ni cholery się nie pilnował.

— Zwykły włóczęga, który chce naprawić świat, Em? — zadrwił Douglas. — Ten, kto rozłożył takiego bandziora. . .

— Nie był anemikiem. Wiem, wiem.

Ale skoro tak, to kim jest i o co mu chodzi?

\* \* \*

Spoglądając na siniaki na prawej ręce, Kelly dziękował niebiosom za gumowe rękawiczki. Pozwolił nieopatrznie, by gniew wziął górę nad rozsądkiem, a to było oznaką głupoty! Kiedy wracał w pamięci do sceny na nocnej ulicy, coraz bardziej zdawał sobie sprawę, jak trudna była decyzja, przed którą wówczas stanął. Gdyby pozwolił rabusiowi zabić albo zranić Murzynkę i zamiast jej bronić, wsiadłby do samochodu i odjechał, to po pierwsze, nie umiałby sobie tego przebaczyć, a po drugie, sam stałby się podejrzany o to morderstwo, gdyby ktoś przypadkiem zauważył go, jak wsiada do auta. Kelly parsknął gniewnie, uświadamiając sobie, że tak czy inaczej jest teraz podejrzany o morderstwo. Trudno, na kogoś musiało trafić. Po powrocie do domu przejrzał się w lustrze, tak jak stał, w peruce i brudnych łachach i uzyskał pewność, że osobą, którą Murzynka mogła opisać na policji, na pewno nie był John Kelly. Obfita broda przesłaniała pół twarzy, a resztę rysów maskował brud i długa, równie brudna peruka. Kiedy się zgarbił, wydawał się o pół głowy niższy niż w rzeczywistości. W dodatku na ulicy było ciemno, a kobiecie najbardziej zależało na tym, by się oddalić, a nie na tym, aby się komukolwiek przyglądać. Co nie znaczyło, że nic nie widziała. Poza tym zostawił na chodniku swoją flaszkę. Pamiętał, że upuścił ją, by odparować cios nożem, a potem w ferworze walki zapomniał ją podnieść. Błąd! Kelly był na siebie po prostu wściekły.

Ilu poszlak doszuka się w tym wszystkim policja? Rysopis z pewnością okaże się do luzu. Na dłoniach Kelly miał gumowe rękawiczki, zbyt cienkie, żeby sobie nie posiniaczył rąk, lecz na tyle mocne, że nie pękły. O śladach krwi nie było mowy. Co najważniejsze, Kelly dotykał butli z winem tylko przez rękawiczki. Co do tego miał zupełną pewność, bo od samego początku zdecydował się przestrzegać takiej zasady. Policja mogła się co najwyżej dowiedzieć, że bandziora zabił jakiś uliczny włóczęga, ale takich typów kręciło się po dzielnicy mnóstwo — tymczasem Kelly potrzebował już tylko jednej dodatkowej nocy. Mimo to na wszelki wypadek postanowił nieco zmienić plan działania, a co za tym idzie, obecna akcja

miała być bardziej ryzykowna niż powinna, ale trudno. Wiadomości na temat Billy'ego były zbyt interesujące, by przejść obok nich obojętnie. Poza tym skurwiel mógł coś zwąchać i na jakiś czas zmienić rozkład dnia. A jeżeli liczy gotówkę w kilku różnych lokalach, nie w jednym, albo co parę dni zmienia adres? Gdyby tak było, każda parodniowa nawet zwłoka mogła zniweczyć wszystkie wysiłki, jakie Kelly włożył w rozpoznanie terenu. Musiałby wtedy zaczynać od nowa, w nowym przebraniu — o ile oczywiście umiałby sobie znaleźć równie przekonujący kostium, co nie było wcale takie pewne. Kelly uzmysłowił sobie, że aby zabrnąć aż tutaj, musiał zabić sześciu ludzi. Siódmy nawinął się przez pomyłkę, więc się nie liczył... To znaczy liczył się, ale nie dla niego, tylko dla kobiety, której groził nożem. Ciekawe, co to za jedna?

Kelly wziął głęboki oddech. Czy mógłby spokojnie spojrzeć w lustro, gdyby w tamtej chwili obojętnie patrzył, jak bandzior kaleczy kobietę, albo wręcz ją zabija? Powtarzał sobie teraz, że koniec końców wybrał najlepsze wyjście z sytuacji właściwie bez wyjścia. Takie gówno zdarza się człowiekowi, i tyle. Bójka zwiększała ogólne ryzyko, lecz Kelly miał na uwadze jedynie ostateczny skutek akcji, a nie możliwe zagrożenia. Pora była oderwać się od takich rozmyślań, bo tego dnia czekały go jeszcze inne obowiązki. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

— Greer.

— A tu Clark — odpowiedział Kelly, którego nie przestawało cieszyć nowe nazwisko.

— Coś późno pan dzwoni — zauważył admirał. Istotnie, umawiali się, że Kelly zatelefonuje do niego późnym rankiem, przed lunchem. Na myśl o posiłku, Kelly poczuł jak mu burczy w żołądku. Greer ciągnął jednak: — Nie szkodzi, nic się nie stało. Sam dopiero co wróciłem do biura. Niedługo zacznie nam pan być potrzebny. Zaczynamy.

Kelly pomyślał, że sprawy postępują niebezpiecznie szybko. Cholera.

— Rozumiem. Cieszę się.

— Mam nadzieję, że jest pan już w formie. Wściekły zapewniał mnie, że tak — odezwał się nieco uprzejmiej Greer.

— Chyba wytrzymam.

— Był pan kiedyś w Quantico?

— Nie, panie admirale.

— Niech pan wsiada na tę swoją łódkę. W bazie jest port jachtowy, przynajmniej będziemy mieli gdzie spokojnie pogadać. Czekam w niedzielę rano. Punkt dziesiąta. Tylko niech się pan nie spóźni, panie Clark.

— Tak jest.

Szczęknęła odkładana słuchawka. Niedziela rano? Tego Kelly nigdy by się nie spodziewał. Za szybko, za szybko. Tym bardziej trzeba się pośpieszyć z drugą akcją, tą prywatną. Od kiedy to władze nauczyły się działać w takim tempie?

Kelly nie znał przyczyn tego stanu rzeczy, ale na pewno znał skutki. Trzeba się śpieszyć.

\* \* \*

— Sam też mam obiekcje, ale trudno, taki już mamy system — wyjaśnił Griszanow.

— Naprawdę? Żeby aż tak się powiązać z radarem na ziemi? Po co?

— Powiem ci więcej, Robin. Ostatnio mówi się wręcz o tym, żeby raketę odpalał oficer obrony powietrznej w bazie na ziemi. — W głosie Griszanowa pobrzmiwało nieklamane obrzydzenie.

— Jak to? Przecież w ten sposób z pilota zrobi się głupiego woźnicę! — poczył go Zacharias. — Pilotom trzeba zaufać!

Griszanow marzył o tym, by słowa Amerykanina trafiły do uszu oficerów moskiewskiego sztabu generalnego. Niestety, nic z tego, a szkoda. Skoro nie chcą słuchać swoich, może by wysłuchali obcego? Krajanie Griszanowa żywili głęboki podziw wobec amerykańskich wynalazków i pomysłów, co nie przeszkadzało im planować wielkiej wojny z USA.

— Ta doktryna nie wzięła się z przypadku. W grę wchodzi kilka czynników. Musisz zrozumieć, że te nowe pułki myśliwskie mają stacjonować wzdłuż granicy z Chinami, więc...

— Jak to, z Chinami?

— Co, nie wiedziałeś? W tym roku już trzy razy walczyliśmy z Chińczykami, najpierw nad Amurem, a później na zachodzie.

— Bzdura! — Amerykanin nie wierzył własnym uszom. — Przecież to wasi sojusznicy!

— Sojusznicy? Może jeszcze przyjaciele? — parsknął Griszanow. — Owszem, z zewnątrz może się tak wydawać. Bratni obóz socjalistyczny, wszyscy tacy sami... Przyjacielu, przecież my od stuleci wojujemy z żółtymi. Nie czytałeś historii? Na początku wspieraliśmy Czang Kai Szeka, a nie Mao. Wyszkoliliśmy Czangowi wojsko. Mao nienawidzi nas jak psów. Byliśmy w dodatku na tyle głupi, żeby im dostarczyć reaktory atomowe. Skończyło się na tym, że Chiny mają broń jądrową. A jak myślisz, czyj kraj mogą nią osiągnąć, mój czy twój? Te ich bombowce, sam wiesz, *Tu-16*. Po waszemu *Badger*. Sam powiedz, dolecą do Ameryki?

Zacharias znał odpowiedź na to pytanie.

— Oczywiście, że nie.

— Ale za to łatwo dolecą do Moskwy, tyle ci powiem, a każdy będzie niósł bombę wodorową o mocy pół megatony. I właśnie dlatego nad chińską granicą muszą stacjonować nasze *MiG-i-25*. Wzdłuż tej granicy cały nasz front jest płyciuteńki, Robin. Naprawdę tłukliśmy się z nimi ostatnio, całymi dywizjami! Nie

dalej jak zeszłej zimy zdusiliśmy ich plan, żeby przywłaszczyć sobie naszą wyspę na Ussuri. Napadli nas pierwsi, wytłukli nam batalion pograniczników, a zabitych zmasakrowali. Powiedz mi, Robin, po co? Dlaczego? Czy dlatego, że jesteśmy rudzi, albo może piegowaci? — zapytał z goryczą Griszanow, cytując słowo w słowo gniewny artykuł wstępny zamieszczony w „Czerwonej Gwieździe”. Rosjanom także ostatnie wydarzenia wydawały się czymś zdumiewającym. Griszanow nie musiał wcale kłamać, więc tym trudniej było mu przekonać Zachariasia, że to wszystko prawda. Na pospolite kłamstwa Amerykanin dawał się nabierać dużo łatwiej.

— Jacy tam z nich sojusznicy? Do tego doszło, że nie wysyłamy już broni do Wietnamu koleją przez Chiny. Dranie kradli nam dostawy prosto z wagonów!

— Żeby użyć przeciwko wam?

— A przeciwko komu, jak nie nam? Przeciwko Hindusom? Tybetowi? Mówię ci, Robin, że to zupełnie inni ludzie niż ja czy ty. Inna rasa, inne widzenie świata. Są tacy sami jak hitlerowcy, z którymi walczył mój ojciec. Wyobrażają sobie, że są lepsi niż wszyscy, że są... Jak byś to powiedział po angielsku?

— Rasą panów — podsunął usłużnie Amerykanin.

— Właśnie, z ust mi to wyjąłeś. Świącie wierzą, że to im się należy cały świat. Nas z kolei mają za zwierzęta, co z tego, że użyteczne? Nienawidzą nas. Chcieliby nam wszystko wyrzeć. Chcą nam zabrać całą ropę, drewno, w ogóle całą ziemię.

— Jak to możliwe, że nigdy o tym nie słyszałem? Jako wojskowy musiałbym się dowiedzieć, prawda? — powstrzymał go Zacharias.

— Gównu byś musiał — zgasił go Rosjanin. — Myślisz, że w twojej armii jest inaczej niż w mojej? Kiedy Francja zerwała z NATO i kazała wam się zabierać razem z bazami, myślisz, że ktoś mi oficjalnie powiedział, co się dzieje? Byłem wtedy sztabowcem w Niemczech, i co? Nikt się nawet nie pofatygował, żeby nas oświecić, Robin. Patrzycie na nas dokładnie tak samo, jak my na was. Jesteśmy dla was wielkim kolosem, ale nasza polityka wewnętrzna jest dla nas taką samą zagadką jak i dla was. Trudno się w tym wszystkim połapać, ale powtarzam ci, przyjacielu, mój nowy pułk *MiG-ów* ma czuwać gdzieś między Chinami a Moskwą. Jak chcesz, to przyniosę mapę i ci pokażę.

Zacharias oparł się o ścianę i przymrużył oczy, bo plecy dokuczały mu przy każdym ruchu. To, co usłyszał, nie mieściło mu się w głowie.

— Ciągle tak cię boli, Robin?

— Boli.

— Masz, spróbuj. — Griszanow podał jeńcowi manierkę. Tym razem Zacharias przyjął ją bez oporów. Rosjanin patrzył, jak jeńiec bierze solidny łyk.

— I co, dobre są te wasze nowe myśliwce?

— Co, *MiG-i-25*? Rakieta, nie samolot! — wypalił z entuzjazmem Griszanow. — Ze zwrotnością u niego pewno jeszcze gorzej niż w tych waszych *Thudach*, ale w locie po linii prostej nie dorówna mu żaden myśliwiec, żaden! Bez

działka, cztery pociski rakietowe i najmocniejszy radar, jaki może być w myśliwcu. W dodatku niezagłuszalny.

— Co, krótkiego zasięgu? — upewnił się Zacharias.

— Tak, czterdzieści kilometrów. Ważniejsza skuteczność niż zasięg. Próbowaliśmy połączyć jedno z drugim, ale nic z tego nie wyszło.

— My też mamy z tym kłopoty — przyznał z wysiłkiem Amerykanin.

— Bo wiesz co? Ja tam nie myślę, żeby doszło do wojny między wami a nami. Naprawdę nie przypuszczam. Co my w końcu takiego mamy, co byście nam chcieli zabrać? Surowce, przestrzeń, ziemię — wszystko to macie u siebie. Co innego Chińczycy... Ci potrzebują i surowców, i ziemi, a w dodatku mają z nami wspólną granicę. Daliśmy im broń, której mogą teraz użyć przeciw nam. Mogą nas zwyczajnie zadeptać. Pomyśl, ilu ich jest! Małe, złośliwe ludziki, jak ci tutaj, tylko milion razy liczniejsi.

— I co ty na to wszystko?

— Ja? A cóż ja tam mogę! — Grisanow wzruszył ramionami. — Mogę dowodzić pułkiem myśliwskim. Mogę planować, w jaki sposób ochronić ojczyznę przed chińskim atakiem jądrowym. Tylko jeszcze nie bardzo wiem, jak.

— Bo to nie takie proste. Najlepiej, jeżeli się ma zapas przestrzeni i czasu, no i wyszkolonych ludzi, z którymi można ćwiczyć.

— Mamy jakieś tam lotnictwo bombowe, ale gdzie mu tam do waszego! Słowo daję, nawet gdybyście się nie bronili, wątpię, czy zdołalibyśmy wysłać nad Amerykę więcej niż dwadzieścia bombowców. Ale najbliższy dywizjon bombowy stacjonuje dwa tysiące kilometrów od mojej nowej bazy. Wiesz, co to znaczy? Nie będzie nawet z kim odbyć manewrów.

— Zabraknie wam „czerwonych”?

— U nas przeciwnik to „niebiescy”, Robin. No, nie obrażaj się. — Grisanow zaśmiał się, lecz zaraz spoważniał. — Ale owszem, zgadłeś. Możemy co najwyżej ćwiczyć na sucho, na papierze, albo kazać paru myśliwcom udawać te bombowce, ale przy ich małym zasięgu sam wiesz, ile będą warte te manewry.

— Nad równym terenem, tak?

— Posłuchaj, Robin... Masz prawo mi nie ufać. Wcale mnie to nie zdziwi. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ale zapytaj sam siebie o jedno. Czy naprawdę myślisz, że nasze kraje stoczą ze sobą wojnę?

— Może i nie — przyznał Zacharias.

— A widzisz. Czy wypytuję cię o plany wojenne? To znakomite ćwiczenia w teorii, no i szalenie ciekawe jako gry wojenne... Ale czy kiedykolwiek cię o nie pytałem? — nalegał Grisanow tonem cierpliwego nauczyciela.

— Nie pytałeś, Kola, to prawda.

— A wiesz dlaczego? Bo co mi tam te wasze B-52! Mnie martwią chińskie bombowce, a nie wasze. Mój kraj szykuje się do wojny z Chinami. — Grisanow opuścił wzrok na cementową posadzkę, zaciągnął się parę razy papierosem



i ciszej dodał: — Pamiętam, jak miałem jedenaście lat, a Niemcy podeszli na sto kilometrów do Moskwy. Mój ojciec wstąpił do pułku transportowego. Wcielili tam wszystkich wykładowców z uniwersytetu. Połowa nie wróciła. Moją matkę i mnie ewakuowano z miasta gdzieś na wschód, na wieś, nie pamiętam nawet nazwy. Wszystko działo się w takim popłochu, po ciemku. Martwiliśmy się o ojca, bo sam wiesz. . . Profesor historii, a tu musi jeździć ciężarówką. Niemcy wytłukli mi dwadzieścia milionów rodaków, Robin. Dwadzieścia milionów. Ilu z nich znałem! Ojcowie moich kolegów, ojciec mojej żony — wszyscy zginęli w tej wojnie. Dwóch wujków, ich też straciłem. Człapaliśmy z mamą przez śnieg, a ja obiecywałem sobie, że kiedy dorosnę, zostanę pilotem myśliwskim i będę bronił kraju. Nie napadam na innych, nie atakuję, tylko bronię. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć, Robin? Służę po to, żeby bronić kraju, po to, żeby inni chłopcy nie musieli w środku zimy uciekać z domu. Ziąb był taki, że paru moich kolegów z klasy zmarło przy ewakuacji. Dlatego bronię kraju. Niemcy chcieli nam go zabrać, teraz chcą nam go zabrać Chińczycy. Tacy sami ludzie, jak ci tutaj. . . — Griszanow wskazał na drzwi celi.

Zacharias jeszcze milczał, lecz dla Griszanowa było jasne, że się udało. By do tego doszło, potrzebne były długie miesiące obróbki. Jak uwodzenie dziewczycy, chociaż finał dużo mniej wesoły, zwłaszcza że Amerykanin także nie wróci już nigdy do domu. Wietnamczycy mieli zamiar wymordować jeńców, kiedy przestaną być im potrzebni. Takie marnotrawstwo talentu! Griszanow wcale nie udawał niechęci wobec domniemyanych sojuszników, albo raczej przestał udawać. Od pierwszego dnia po przybyciu do Hanoi nie mógł znieść ich aroganckiej buty i ich niewiarygodnego okrucieństwa. I głupoty. Za pomocą paru ciepłych słów i niecałego litra wódki osiągnął to, czego okrucieństwo wietnamskich oprawców przez lata nie było w stanie przybliżyć ani na jotę. Zamiast zadawać ból, Griszanow dzielił się nim z jeńcem. Zamiast maltretować lotnika, był dla niego dobry, szanował go, w miarę możliwości pielęgnował, chronił przed nowymi torturami i gorzko żałował, iż sam musiał nakazać ich ostatnią serię.

Zadanie nie przedstawiało się jednak aż tak różowo. Żeby osiągnąć cel, Griszanow musiał sam otworzyć serce przed jeńcem, opowiadać mu prawdziwe historie, przywoływać autentyczne koszmary z dzieciństwa i na serio zastanawiać się sam przed sobą, skąd wzięło się w nim zamiłowanie do pilotażu. Umiał się na to zdobyć i dopuścić do takiej sytuacji tylko dlatego, że znał los, jaki czeka mężczyznę zza stołu. Losem tym była samotna, przedwczesna śmierć i pogrzeb w nieoznakowanym grobie. Nawet własna rodzina dawno uznała Zacharias za zmarłego. Zacharias nie był jednak hitlerowcem. Owszem, był przeciwnikiem, ale zwyczajnym i można się było założyć, że oszczędzał cywilów, bo ostatecznie sam miał rodzinę. Próżno było w nim doszukiwać się mrzonek o wyższości własnej rasy nad innymi, czy nawet nienawiści do ludzi z Północnego Wietnamu — co mogło już zaskakiwać, skoro nawet on sam, Griszanow, zaczął odczuwać taką

nienawiść. Zacharias nie zasłużył na śmierć. Griszanow myślał o tym z goryczą. Zaszło bowiem coś, czego nigdy by nie przewidział.

Robin Zacharias i on, Kola Griszanow, stali się przyjaciółmi.

\* \* \*

— I co ty na to? — zapytał Douglas, kładąc na biurku Ryana butelkę z winem, otuloną plastikowym workiem. Całą nieskalaną powierzchnię butelki pokrywała równa warstewka żółtego proszku.

— Nie znaleźli odcisków? — zdumiał się nie na żarty Emmet Ryan.

— Nawet jednej smużki, Em.

W ślad za butelką na biurko powędrował nóż: zwyczajny sprężynowiec, także posypany proszkiem i w woreczku.

— Tu już coś widzę.

— Jeden niekompletny odcisk kciuka. Taki sam, co u denata. I nic poza tym. Nic, oprócz równych, jednakowych smużek. Tak mi powiedzieli w daktyloskopii. Albo facet sam się dźgnął nożem w kark, albo nasz podejrzany był w rękawiczkach.

Pora roku była przeraźliwie upalna jak na rękawiczki. Emmet Ryan opadł na fotel, popatrzył na dowody rzeczowe na biurku, a potem na Toma Douglasa.

— Słucham cię, Tom. Mów dalej.

— Widzimy cztery sceny morderstwa. W sumie sześć ofiar. Śladów — zero. Pięć ofiar, z trzech kolejnych incydentów, handlowało towarem. Dwa różne sposoby zabójstwa, zgoda, ale wszystkie przypadki łączy ta sama pora, kiedy się zdarzyły, brak świadków i fakt, że miały miejsce na tych samych paru ulicach.

— Fachowa robota — zgodził się porucznik Ryan. Kiedy zamknął oczy, widział jak na dłoni kolejne miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Raz rabunek, drugi raz nie. Inna metoda zabójstwa. Ale ostatnio znalazł się świadek. „Niech pani idzie do domu”. Skąd ta grzeczność? Ryanowi nie mieściło się to w głowie.

— Życie to nie powieści Agaty Christie, Tom.

— A ten młody, któregośmy dziś znaleźli, Tom? Powiedz mi, w jaki sposób załatwił go nasz przyjaciel?

— Jak? Nożem. Swoją drogą dawno nie widziałem czegoś podobnego. Silny skurwiel. Pamiętam, w 1958 czy 59 roku. . . — Ryan szukał czegoś w pamięci. — Zdarzyło się, że jeden gość, chyba hydraulik, silny jak małpa, zdrybał żonkę w łóżku z innym facetem. Popędził gacha, a potem wziął dłuto, złapał babę za włosy. . .

— Tyle, że trzeba się naprawdę wkurzyć, żeby odwalić taki numer. Złość, gniew. . . Zgadza się, nie? Tylko dlaczego cios w kark? O wiele prościej poderznąć gardło, a skutek ten sam.

— Gardło? Można się zabrudzić. No, i hałas. . . — Ryan urwał, by przemyśleć rzecz do końca. Mało kto wiedział, ile hałasu robi człowiek z przeciętym gardłem.

Z otwartej krtani dobywa się okropny charkot, ale jeśli jej nie przecinać, ofiara zakrzyczy się na śmierć. W dodatku mnóstwo krwi sikającej jak woda z dziurawego węża, prosto na ręce i ubranie. . .

A przecież, jeśli zaszła taka potrzeba, żeby zabić kogoś szybko i sprawnie, i jeśli w dodatku zawczasu obezwładniło się ofiarę, miejsce, w którym kręgosłup styka się z podstawą czaszki nadaje się do tego idealnie. Metoda jest szybka, cicha i względnie higieniczna.

— Ci dwaj frajerzy parę ulic dalej zginęli mniej więcej o tej samej porze. Nasz przyjemniaczek załatwia ich, rusza w swoją stronę, skręca za róg i widzi, jak ktoś próbuje obrobić panią Charles.

— I co z tego, że widzi? — parsknął Ryan. — Po co się zatrzymywał? Zrobiłby mądrzej, gdyby przeszedł na drugą stronę ulicy. Po co się wtrącał? Morderca z zasadami?

Właśnie. Poczynając od tego miejsca, teoria Douglasa waliła się w gruzy.

— A zresztą, jeżeli nawet ten sam facet wykańcza detalistów, to w jakim celu? Rabunek? Tych dwóch z poprzedniej nocy nikt nie obrabował. Może zresztą coś go spłoszyło, zanim zdążył im zabrać pieniądze i towar. Samochód albo jakiś hałas. Możliwe. Z tym, że jeżeli napady były rabunkowe, nie widzę związku z panią Charles i jej znajomkiem. To wszystko czyste domysły, Tom.

— Cztery zajścia, nawet najmniejszych śladów, facet w rękawiczkach. . . Pomyśl, uliczny dziadek w rękawiczkach!

— Domysły, Tom.

— Każę ludziom z zachodniej komendy rzucić okiem na takich typów.

Ryan nie oponował. Przynajmniej tyle mogli zrobić w tej sprawie.

\* \* \*

Drzwi mieszkania zatrzasnęły się za nim o północy. W dni powszednie całe osiedle było zdumiewająco spokojne. Większość mieszkańców żyła własnym życiem i nie narzucała się innym. Od czasu spotkania z zarządcą Kelly nie wymienił choćby paru słów z nowymi sąsiadami. Ukłonił się kilku osobom, to wszystko. W budynku nie było dzieci, gdyż ogromna większość mieszkańców była w średnim wieku i starsza. Przeważnie małżeństwa, trochę wdów i wdowców. Urzędnicy, którzy co rano jechali autobusem do centrum, a wieczorami zasiadali przed telewizorem i tkwili tak, zanim o dziesiątej czy jedenastej nie poszli do łóżka. Kelly wymknął się jak mógł najciszej, wsiadł do Volkswagena i ruszył bulwarem Loch Raven, mijając kościoły, bloki mieszkalne i stadion sportowy. Okolica stopniowo zaczęła ziać ubóstwem, aż wreszcie przeszła w zupełne slumsy. I tym razem, Kelly ominął zaciemnione wieżowce centrum. Dzisiejsza wyprawa różniła się jednak od poprzednich.

Dzisiaj miało nastąpić pierwsze zasadnicze uderzenie. Oznaczało to dodatkowe ryzyko, ale nie było innej możliwości. Kelly powtarzał to sobie, zaciskając i rozluźniając palce na żółtej kierownicy. Brzydził go dotyk rękawiczek chirurgicznych. Guma oblepiała skórę i grzała ją okropnie. Dłonie Kelly'ego nie ześlizgiwały się oczywiście z kierownicy, ale wrażenie było nieprzyjemne. Innego wyjścia nie było. Kelly przypomniał sobie poza tym, że w Wietnamie także brzydziły go różne rzeczy, na przykład pijawki. Kelly wzdrygnął się, bo pijawki były jeszcze gorsze od szczurów. Szczury przynajmniej nie wysysają krwi.

Nie śpiesząc się, Kelly prawie na chybił trafił objechał teren, by zapoznać się z sytuacją. Opłacało się, bo po drodze ujrzał, jak dwaj policjanci wypytują o coś włóczęgę. Jeden policjant stał blisko, a drugi na wszelki wypadek dwa kroki z tyłu. Niby zwyczajna scenka uliczna, ale odstęp między policjantami był aż nadto wymowny. Ktoś tu kogoś ubezpieczał. Od kiedy to policjanci boją się ulicznych pijaczków?

— Szukają cię, Johnnie — mruknął Kelly do siebie i skręcił w kolejną ulicę.

Można było jednak iść o zakład, że nawet w tym stanie rzeczy policjanci nie zmieniają obyczajów, ani tras patrolowych. Przez parę dni będą się baczniej przyglądać włóczęgom, i tyle. Czekają na nich dużo pilniejsze obowiązki: jazda z odsieczą rabowanym sklepom monopolowym, interwencje podczas rodzinnych awantur, pościgi za samochodami. Zagładanie w duszę ulicznym pijaczkom stanowiło dodatkowe obciążenie dla i tak przepracowanych ludzi, może i odmiana w codziennej rutynie, lecz na pewno nie rewolucja. Kelly zadał sobie dość trudu, by poznać ich rutynowy rozkład pracy ze szczegółami. Dodatkowe niebezpieczeństwo dawało się więc w dużej mierze przewidzieć. Kelly uznał, że jak na jedną akcję, wyczerpał już swój limit pecha. Jeszcze tylko ta jedna noc, a potem zmiana taktyki. Na jaką, tego na razie nie wiedział. Wiedział za to, że jeśli akcja się uda, nie będzie narzekał na brak informacji potrzebnych do takiej decyzji.

Po cichu podziękował opatrności, bo już z odległości jednej przecznicy od narożnego domu spostrzegł czerwoną karoserię Roadrunnera. Pora była wczesna. Jeśli tamci liczą dziś pieniądze, w domu nie będzie dziewczyn. Kelly przejechał obok sportowego auta, ulicę dalej skręcił w prawo, a zaraz potem znowu w prawo. Na widok policyjnego radiowozu spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Gliniarze nadal przestrzegali codziennego rozkładu z dokładnością do pięciu minut. Policjant był tylko jeden. Następny radiowóz pojawi się mniej więcej za dwie godziny. Kelly odnotował to wszystko w myślach, kolejny raz skręcił w prawo i podjechał do narożnego domu od drugiej strony. Zaparkował tak blisko, jak tylko pozwalały mu na to nerwy, wysiadł i ruszył w stronę przeciwną do celu. Na sąsiedniej ulicy wcielił się we włóczęgę: peruka, butelka, chwiejny chód.

Przed sobą na przestrzeni kilkudziesięciu metrów miał dwóch detalistów. Obaj działali w pojedynkę i co chwila rozglądali się podejrzliwie. Może dotarli do nich jakieś plotki? Kelly z trudem powstrzymał uśmiech. Pobratymcy handlarzy zni-

kali jeden po drugim, więc było się czym denerwować. Sam jednak obszedł obu handlarzy szerokim łukiem, choć w duchu bawił się myślą, że musnął ich niczym wcielona Śmierć. Życie obu bandziorów wisiało na włosku, a jednak żaden z nich nie miał o tym pojęcia. Porachunki z detalistami były jednak tylko zasłoną dymną, a tymczasem nadchodziła pora na zasadniczą część operacji. Na rogu ulicy Kelly przystanął i rozejrzał się. Minęła pierwsza w nocy i na ulicach zaczynała zalegać nuda. Nawet dla handlarzy kończył się zwyczajny, pracowity dzień. Chodniki wydudniały się o tej porze, dokładnie tak, jak to ustalił wcześniejszy rekonesans. Nie widząc na ulicy żadnych przeszkód, Kelly ruszył na południe. Po lewej ręce miał szereg dwupiętrowych domków z kamienia, a po drugiej podobny, ceglany. Musiał się bardzo skupiać, żeby utrzymać nierówny, zataczający się chód. Już mniej niż sto metrów dzieliło go od jednego z tych, którzy zakatowali Pam. Może nawet od dwóch z tamtych ludzi. Kelly pozwolił sobie na chwilę słabości, bo przywołał w pamięci twarz Pam, usłyszał znowu jej głos, poczuł w myślach dotyk jej ciała. Potem jego twarz stężeła w kamienną maskę, a pięści zwinęły się ciasno. Trwało to zaledwie parę sekund, bo zaraz odzyskał równowagę i zrobił pięć głębokich, niespiesznych wdechów.

— Cel w zasięgu — szepnął i zwolnił, zerkając na odległy już tylko o trzydzieści metrów dom. Wziął do ust haust wina i wypluł go na koszulę. — Wąż, wzywam Chicago. Cel w zasięgu wzroku. Przechodzę do akcji.

Strażnik — jeżeli był to strażnik — sam zdradził swoją obecność. W blasku ulicznej latarni doskonale było widać kłąb papierosowego dymu, wydostający się przez szparę w drzwiach. Kelly wiedział już, gdzie szukać pierwszego celu. Przełożył butelkę z winem do lewej ręki i rozluźnił mięśnie prawej. Parę razy okręcił ją w nadgarstku, upewniając się, że jest całkowicie gotowa. Zbliżył się do szerokich stopni, a potem zwałił się na nie i zakaszłał. Poczłapał zaraz ku drzwiom, które nie były zatrzaśnięte, i oparł się o nie całym ciężarem, a kiedy ustąpiły, poleciał na wznak prosto w ciemność. Leżał u stóp mężczyzny, który przy poprzednich okazjach towarzyszył Billy'emu. Butelka roztrzaskała się przy upadku. Ignorując obecność mężczyzny, Kelly pochylił się nad skorupami i zachlipał. W całej sieni cuchnęło tanim kalifornijskim sikaczem.

— Nie masz szczęścia, kochany — rozległ się nad nim zaskakująco łagodny głos. — A teraz wypierdalaj.

Kelly nie usłuchał i dalej chlipał, nie podnosząc się z klęczek. Potem rozkaszał się, przekręcił głowę i udał, że dopiero teraz widzi buty i łydki strażnika. Tak, stał nad nim ten sam facet, co przedtem.

— Ruszaj, dziadziu! — rozległo się. Kelly poczuł na ubraniu dotyk mocnych rąk. Mężczyzna podniósł go bez wysiłku. Ręce Kelly'ego zwisały bezwładnie, do chwili, kiedy strażnik zaczął go okręcać twarzą ku wyjściu, żeby wykopać na schody. Kelly zachwiał się i okręcił w przeciwną stronę. Strażnik musiał włożyć

całą siłę w to, by go podtrzymywać. Na tę jedną chwilę złożyły się długie tygodnie ćwiczeń, przygotowań i rekonesansu.

Ciosem lewej ręki w głowę Kelly odepchnął od siebie mężczyznę, a prawą, uzbrojoną w nóż, zadał pchnięcie między żebra. Miał nerwy tak napięte, że czubkami palców wyczuł bicie serca pod ostrą jak brzytwa, obosieczną klingą noża szturmowego. Dla pewności przekręcił ostrze i zostawił je w drgającym ciele. W ciemnych oczach mężczyzny trwał szok, ale kolana ugiwały się już pod nim same. Kelly powoli i ostrożnie opuścił zwłoki na ziemię. Pozwolił sobie przy tym na nieznaczny, pełen zadowolenia uśmiešek. Czekał na tą chwilę tak długo, że nie potrafił wyzbyć się emocji do końca.

— Pamiętasz Pam? — szepnął do konającego i doczekał się nareszcie odpowiedzi, bo w zasnutych bólem oczach mężczyzny zamigotał błysk zrozumienia.

Waż.

Kelly policzył w myślach do sześćdziesięciu i dopiero wówczas wyciągnął nóż spod żeber. Otarł go zaraz o koszulę strażnika. Nóż był zbyt porządny na to, by brukać go taką krwią.

Przez chwilę Kelly odpoczywał, starając się głęboko oddychać. Zadanie bliższe: podwładny — wypełnione. Zadanie dalsze czekało na niego na piętrze. Wszystko szło zgodnie z planem. Kelly dał sobie dokładnie minutę na odpoczynek i wzięcie się w garść.

Schody skrzypiały, ale znalazła się na to rada: Kelly ruszył na górę, trzymając się jak najbliżej ściany. Nie tyle szedł, ile pełznął po zdeptanych stopniach, z wzrokiem utkwionym w piętro. Z dołu nic mu już nie zagrażało. Nóż schował do pochwy, a zamiast niego miał w prawej ręce swój pistolet z nakręconym tłumikiem. Lewą ręką sunął wzdłuż popękanej ściany.

Do połowy schodów słyszał tylko bicie własnego serca, lecz wyżej dobiegły go inne odgłosy: kłaśnięcie dłoni o policzek, jęk, pisk przerażenia. Stłumione, zwierzęce hałasy, po których rozległ się jadowity, ledwie dosłyszalny chichot. Kelly dotarł do szczytu schodów i skręcił w lewo, skąd dobiegały go te wszystkie dźwięki. Doszło do nich teraz sapanie, ciężkie i pośpieszne.

Niech to szlag. Trudno. Za późno, żeby się wycofać.

— Nie, proszę...

Słyszając błagalny szept, Kelly z całej siły zacisnął palce na rękojeści pistoletu. Powoli ruszył korytarzem przez piętro, jak poprzednio tuląc się do ściany. Z największego pokoju wpadało trochę światła z ulicy, przytłumionego dodatkowo przez brudne szyby. Kelly widział jednak po ciemku na tyle dobrze, że pod przeciwległą ścianą spostrzegł dwa ludzkie cienie.

— Noo, co jest, Doris? — rozległ się męski głos. Kelly stanął przy samej futrynie i bardzo powoli wysunął głowę.

Pośrodku pokoju leżał materac. Na materacu zaś klęczała z pochyloną głową kobieta. Mężczyzna ścisnął ją brutalnie za pierś i potrząsnął. Kobieta otworzy-

ła usta, lecz zamiast krzyknąć z bólu, milczała. Na widok jej otwartych ust Kelly przypomniał sobie fotografię, którą pokazał mu w szpitalu policjant. To samo zrobiłaś Pam, ty... wypierdku! – przeszło mu przez myśl. Dziewczyna miała mokrą brodę i w odróżnieniu od mężczyzny nie było jej do śmiechu. Kelly śmiało wszedł do środka i beztruskim, nieomal błazeńskim głosem zauważył:

— Widać, że humorek dopisuje. Może i ja się pobawię?

Billy odwrócił się do gadającego cienia, by ujrzeć wyprostowaną rękę z pistoletem. Spojrzał prędko na stertę ubrań i leżącą obok torbę. Był nagi, a w rękę trzymał jakieś narzędzie — na pewno nie nóż czy pistolet. Broń leżała w drugim kącie pokoju i nie dawała się przyciągnąć wzrokiem.

— Bez głupich pomysłów, Billy — przestrzegł go po przyjacielsku Kelly.

— Skąd, kurwa... Kto...

— Na podłogę, twarzą do ziemi. Raz-dwa, bo ci odstrzelę tego fajfуска! — rozkazał Kelly i wycelował broń w inne miejsce niż przedtem. Zadziwiające, jaką wagę przywiązują mężczyźni do tego organu i jak łatwo to wykorzystać. A przecież przy tak nikłych rozmiarach celu, groźba była wręcz niepoważna. O wiele łatwiej trafić w mózg. — Kładź się! Jazda!

Billy usłuchał. Kelly popchnął dziewczynę na materac i sięgnął do pasa po kabel elektryczny. Potrzebował paru sekund, by skrępować więźniowi ręce. W lewej dłoni Billy nadal zaciskał obcęgi. Kelly pożyczyl je sobie, zęby zacisnąć splot drutu. Billy zajęczał.

Obcęgi?

Jezus Maria. Obcęgi.

Dziewczyna przyglądała mu się w przerażeniu. Oddychała ciężko i równie ciężko się poruszała. I jeszcze ta przekrzywiona głowa. Widać było, że jest zamroczona narkotykami, ale że mimo to notuje w pamięci każdy rys twarzy Kelly'ego.

Czemu się tu przyplątała? Tego nie było w planie. Komplikacja. Co robi się z komplikacjami? No, co?

Jeśli to zrobisz, Johnnie, to wiesz, kim będziesz? Wiesz, kurwa, kim będziesz?

Kelly prawie się załamał. Czuł, jak zaczynają mu drżeć ręce. Wcale nie uroił sobie tego niebezpieczeństwa. Jeśli wypuści dziewczynę żywą, inni dowiedzą się, kim jest, a przynajmniej, jak wygląda. Całkiem wystarczający wstęp do porządnej obławy. Co będzie, jeśli wówczas nie uda mu się wykonać zasadniczego zadania? Mogło się tak bardzo łatwo zdarzyć. Prawie na pewno. Kelly ściągnął sobie jednak na głowę inną, jeszcze gorszą groźbę. Gdyby zabił tę dziewczynę, byłby potępiony na wieki — był co do tego święcie przekonany. Dlatego przymknął oczy i pokręcił głową. A już się wydawało, że wszystko idzie tak gładko.

Zdarza się. Zdarza się, Johnnie.

— Ubieraj się — rozkazał dziewczynie i cisnął jej jakieś łachy. — Pośpiesz się i ani mru-mru. Jak skończysz, czekaj.

— Coś ty za jeden? — zapytał Billy. Nareszcie było na kim wyładować złość. W ułamku sekundy Billy poczuł na potylicy dotyk czegoś okrągłego i zimnego.

— Jeszcze raz mi tu piśniesz, to ci rozsmaruję ten głupi mózdzek po podłodze! Rozumiemy się?

Odpowiedzią było prędkie przytaknięcie. Kelly znów odetchnął i zapytał sam siebie, co teraz. Spojrzał na dziewczynę, która nadal mocowała się z majtkami. Nawet w mętym świetle z ulicy wyraźnie widać było cętki na jej piersiach. Kelly'ego omal nie zemdlilo.

— Pośpiesz się! — warknął na nią i nadal przeklinał w myślach swój los. Sprawdził jeszcze raz, czy drut dobrze trzyma nadgarstki więźnia i na wszelki wypadek zaciągnął jeszcze jedną pętlę wokół łokci. Billy zasyczał, a jego ramiona napięły się boleśnie, lecz w ten sposób można było mieć gwarancję, że nie będzie stawiał oporu. Kelly nie patyczkował się zresztą i łapiąc Billy'ego za wykręcone ramiona, postawił go na nogi. Kolejny wrzask bólu.

— Trochę boli, co? — zagadnął Kelly. Wsadził knebel na swoje miejsce i pchnął więźnia ku drzwiom. — No, jazda. Ty też — dodał pod adresem dziewczyny.

Powoli sprowadził ich na parter. Na schodach poniewierało się rozbite szkło. Bose stopy Billy'ego zatańczyły wokół odłamków, ale nie zdołały ich uniknąć. Kelly'ego zdumiała jednak reakcja dziewczyny na widok bezwładnego ciała przy wejściu.

— Rick! — szepnęła i nachyliła się, by dotknąć zwłok. Kelly podniósł ją szarpnięciem z ziemi, dziwiąc się, że martwy przedmiot w drzwiach w ogóle nosił jakieś imię.

— Idziemy! Tylnym wyjściem!

Na króciutką chwilę pozostawił ich samych w kuchni i wyjrzał przez tylne drzwi domu. Na ulicy pusto. Volkswagen w polu widzenia. Następne posunięcie było ryzykowne, ale Kelly zdążył się już przyzwyczaić do ryzyka. Wyprowadził parę na dwór, zauważając przy okazji, że dziewczyna wpatruje się w Billy'ego, a ten daje jej wzrokiem jakieś znaki. Co gorsza, dziewczyna wydawała się posłuszna tym niemyim namowom. Kelly szarpnął ją za ramię i odciągnął na bok, pouczając: — Nie zwracaj na niego uwagi.

Kazał jej następnie iść w stronę samochodu. Billy dawał sobą łatwo powodować — wystarczyło pociągnąć go za wykręcone ramię. Coś podszeptało jednak Kelly'emu, że jeśli dziewczyna spróbuje pomóc Billy'emu, będzie to dogodny pretekst, żeby...

Nie, do diabła!

Kelly otworzył drzwiczki Volkswagena, upchnął Billy'ego w skulonej pozycji na tylnym siedzeniu, posadził dziewczynę z przodu i prędko podbiegł do swoich drzwiczek. Zanim zapalił silnik, przechylił się do tyłu i mocno odrutował Billy'emu nogi w kostkach i w kolanach.



— Coś ty za jeden? — zapytała dziewczyna, gdy ruszyli.

— Nic ci nie zrobię — zapewnił ją Kelly spokojnym tonem. — Nie bój się. Gdybym ci chciał coś zrobić, leżałabyś razem z Rickiem.

Dziewczyna odpowiadała powoli i z wysiłkiem, lecz Kelly'ego i tak zatkało, gdy usłyszał:

— Po coś go zabijał? On był dla mnie dobry.

Kelly miał wrażenie, że ktoś tu sobie z nim pogrywa w kulki. Dziewczyna wyglądała upiornie, miała zmierzwione włosy i podrapaną twarz. Nieważne. Co tam na ulicy? Kelly aż podskoczył na widok sunącego ku nim radiowozu, ale policjanci zamiast ich niepokoić, pojechali w swoją stronę. Kelly mógł spokojnie skręcić na północ.

Myśl, chłopcze. Byle prędko.

Kelly miał wiele możliwości, lecz tylko jedna z nich wydawała mu się rozsądna. Rozsądna? Sam omal się nie roześmiał.

\* \* \*

Rzadko kiedy słyszy się dzwonek do drzwi o takiej porze jak za kwadrans trzecia nad ranem. Sandy myślała początkowo, że coś się jej przyśniło, ale kiedy otworzyła oczy, usłyszała ten sam dźwięk, który obudził ją sekundę przedtem, niby z magnetofonu. Mimo to nadal nie wierzyła własnym uszom. Już miała ponownie zamknąć oczy, kiedy gong zadźwięczał znowu. Sandy wstała, okręciła się szlafrokiem i zeszła na dół, zbyt zdumiona, by się w ogóle bać. Ktoś stał na ganku. Otworzyła drzwi, a jednocześnie pstryknęła włącznikiem.

— Zgaś to światło! — zachrypiał czyjś znajomy głos. Było w nim coś takiego, że usłuchała bez namysłu.

— A co ty tu robisz?

Przy Kellym stała dziewczyna. Wyglądała jak upiór.

— Zadzwoni do kliniki, że jesteś chora. Nie pójdziesz dzisiaj do pracy, tylko się nią zajmiesz. Ma na imię Doris — zakomenderował Kelly tym samym niskim głosem, jakim chirurg prosi w czasie skomplikowanej operacji o narzędzie.

— Zaraz, zaraz! — Sandy nadal stała w drzwiach, mając w głowie gonitwę myśli. Kelly miał na głowie damską perukę. Tylko dlaczego taką brudną? Był nieogolony, miał na sobie obrzydliwe łachmany, a w jego oczach tlił się dziwny wyraz, ni to wściekłość, ni to gniew. Poza tym trzęsły mu się ręce.

— Pamiętasz Pam? — zapytał natarczywie.

— Pamiętam, oczywiście, ale...

— Ta dziewczyna jest w takim samym położeniu. Sam nie mogę jej pomóc. Nie teraz. Muszę najpierw coś załatwić.

— Ale co ty w ogóle wyprawiasz, John? — zapytała z równą natarczywością Sandy i nagle zrozumiała wszystko od początku do końca. Pamiętała reportaże telewizyjne, które oglądała przy posiłkach na czarno-białym telewizorze w kuchni. Pamiętała także wyraz oczu Kelly’ego w szpitalu: ten sam, co teraz, chociaż nieco inny, bo było w tym wzroku także błaganie o odrobinę zaufania i współczucia.

— Ktoś ją strasznie katował. Cud, że ta dziewczyna żyje, Sandy. Trzeba jej pomóc.

— John — szepnęła w odpowiedzi. — John... Oddajesz mi w zastaw własne życie.

Kelly roześmiał się, czy raczej parsknął, ponuro i nader ironicznie.

— Co, chyba nie pierwszy raz? — rzucił. Potem pchnął Doris ku drzwiom, odwrócił się i poszedł prosto do samochodu. Nie obejrzał się ani razu.

— Będę rzygać — oświadczyła naraz dziewczyna. Sandy prędko zaprowadziła ją do łazienki na parterze i zdążyła w samą porę ustawić nad muszlą. Dziewczyna klęczała nad toaletą i przez parę minut wymiotowała gwałtownie. Potem podniosła głowę. W odbitym od kafelków świetle jarzeniówek Sandy O’Toole ujrzała twarz kogoś, kto wyszedł z piekła.

## 20 — Dekompresja

Kelly dotarł do ośrodka jachtowego dopiero po czwartej. Na wstecznym biegu podjechał Scoutem aż pod samą łódź i wysiadł, by otworzyć tylną klapę. Najpierw oczywiście rozejrzał się, czy w ciemnościach nie czają się jacyś niewygodni świadkowie, lecz na szczęście nie dostrzegł nikogo.

— Wyskakuj! — przykazał Billy’emu, który posłuchał i bez oporu dał się wepchnąć na pokład. Stamtąd Kelly zaciągnął go do mesy, gdzie czekało już kilka dużych marynarskich szekli — typowych żeglarskich okuć, za pomocą których udało się przykuć nadgarstki Billy’ego do klamer w pokładzie kabiny. W dziesięć minut później Kelly rzucił już cumy i płynął ku wodom Chesapeake. Nareszcie mógł swobodniej odetchnąć. Przełączył sterowanie na autopilota i zszedł na dół, by rozluźnić drut na rękach i nogach Billy’ego.

Czuł się wyczerpany. Namęczył się dużo bardziej niż myślał przy wleczeniu Billy’ego z Volkswagena do Scouta. I tak dopisało mu szczęście, że nie natknął się na roznosiciela gazet, który nad ranem wyrzucał na rogu ulicy paczki czasopism, roznoszonych przed szóstą po domach przez małych gazeciarzy. Rozsiadł się więc wygodniej przy sterach i przełknął parę łyków kawy. Przeciągnął się też wygodnie, by wynagrodzić ciału wszystkie nocne wysiłki.

Wyptywając, Kelly zgasił wszystkie światła pod pokładem, nie chcąc, by przy żegludze raził go odbłask z iluminatorów własnej mesy. Po lewej burcie miał pół tuzina frachtowców przycumowanych przy nabrzeżach załadunkowych portu Dundalk, lecz poza tym wody zatoki świeciły pustkami. Uspokajała go zawsze żegluga o tak wczesnej porze, kiedy prawie nie ma wiatru, a powierzchnia morza zmienia się w łagodnie pomarszczone zwierciadło, w którym tańczą odbicia światełek z wybrzeża. Czerwone i zielone ogniki boi nawigacyjnych mrugały miarowo, ostrzegając statki przed mieliznami. „Springer” mijał właśnie Fort Carroll, niską ośmiokątną warownię z szarego kamienia, wzniesioną przez porucznika Roberta E. Lee z Korpusu Saperów Armii USA. Jeszcze przed sześćdziesięciu laty z murów bastionu sterczały lufy armat kalibru 305 milimetrów. Na północy gorzała pomarańczowa łuna nad zakładami hutniczymi koncernu Bethlehem Steel w Sparrow’s Point. Z basenów portowych wypływały powoli holowniki, pomagając frachtowcom odbić od brzegu, inne zaś popychały nowo przybyłych ku przy-

pisany miejscem, a daleki, miły uszom huk ich wysokoprężnych silników niósł się nad spokojną wodą. W ciszy było coś kojącego, coś, co mówiło, że tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy początek dnia.

— Coś ty za jeden? — zapytał ostro Billy, który, uwolniony od knebla, źle znosił milczenie. Ręce nadal miał związane na plecach, ale nogi wolne, dzięki czemu mógł przysiąść na podłodze mesy. Kelly spokojnie siedział i popijał kawę, dając wypocząć zmęczonym mięśniom ramion. Na hałasy za plecami nie zwracał najmniejszej uwagi.

— Pytam się, kurwa, coś ty za jeden?! — zawarczał Billy jeszcze głośniejsze.

Zapowiadał się upalny dzień. Świtające niebo było czyste, wciąż usiane gwiazdami, bez jednej chmurki. Żadnych czerwonych zórz ostrzegających Kelly'ego przed zmianą pogody, za to termometr opadł w nocy tylko do dwudziestu pięciu stopni, co nie zwiastowało miłego dnia. Sierpniowe słońce znów będzie prażyć niemiłosiernie.

— Jeszcze raz się pytam, kurwa, gnojku, coś ty za jeden?

Kelly okręcił się nieznacznie w kapitańskim fotelu i upił następny łyk kawy. Kompas wskazywał kurs jeden dwa jeden. Kelly swoim zwyczajem płynął południowym skrajem toru żeglugowego. Na spotkanie nadciągał mu jaskrawo oświetlony holownik, chyba z portu w Norfolk, ciągnący za sobą dwie barki. Było jeszcze zbyt ciemno, by rozpoznać rodzaj ładunku. Kelly zlustrował zestaw i przekonał się, że wszystkie światła nawigacyjne palą się przepisowo. Straż Przybrzeżna nie miałaby się do czego przyczepić, i dobrze, bo kutry Straży były wyjątkowo cięte na źle oświetlone barki. Ciekawe, jak się żyje na takim holowniku, ciągnąc barki po Zatoce? Na pewno okropnie nudno: co dzień człowiek musi robić to samo, w górę, w dół, na północ, na południe, zawsze z tą samą prędkością sześciu węzłów, zawsze tą samą, znaną na pamięć, trasą. Nie, żeby takie zajęcie było źle płatne, przeciwnie. Ilu ich tak płynie? Szyper, pomocnik, do tego mechanik i chyba kucharz — tak, na pewno mają kucharza. Może jeszcze ze dwóch ludzi od załadunku. Kelly nie znał takich szczegółów, wiedział za to, że cała załoga bierze pensję wynegocjowaną przez związki zawodowe, więc solidną.

— Dobrze już, dobrze! Nie wiem, o co ci chodzi, koleś, ale chyba możemy pogadać jak ludzie, nie?

Najtrudniejsze w takiej pracy są chyba manewry przy nadbrzeżu. Wystarczy w końcu byle wietrzyk... Jak wtedy manewrować taką nieruchawą barką? Ale dziś na pewno nie będzie zmartwienia. Wiatru ani śladu. Tylko upał będzie taki, że niech go cholera. Mijając Bodkin Point Kelly stopniowo zmienił kurs na południowy. Widział stąd czerwone światła, mrugające z podpór mostu drogowego w Annapolis. Wzdłuż wschodniego horyzontu wstawało pierwsze jaśniejsze pasmo świtu. Trochę szkoda — dwie godziny przedświtu to najpiękniejsza pora doby, choć doceniają ją tylko nieliczni. Ludzie naprawdę nie mają pojęcia o świetle, uznał Kelly. Po chwili wydało mu się, że coś zamajaczyło w ciemnościach. Szło

kabiny utrudniało obserwację, więc wyszedł z kokpitu na zewnątrz i podniósł do oczu morską lornetkę 7x50. Potem sięgnął po mikrofon radiotelefonu.

— Tu jacht motorowy „Springer”, wzywam kuter Straży Przybrzeżnej, odbiór.

— „Springer”, tu Straż Przybrzeżna. Gdzie cię nosi po nocy, Kelly? Odbiór.

— Korzystam z akwenów, jak mi gwarantuje Konstytucja, Oreza. A ty? Jaki masz wykret? Odbiór.

— Ja? Ratuję takich frajerów jak ty i szkolę załogę. A co myślałeś? Odbiór.

— No, to gratulacje. Niech Straż Przybrzeżna słucha, coś jej w takim razie powiem. W kabinie znajdziecie dwa takie drążki. Jak je popchnąć w kierunku dziobu, to znaczy tej zaostrzonej części kadłuba, zaraz się szybciej płynie. Aha, ten dziób daje się kierować w różne strony. Wystarczy pokręcić tym dużym kołem. Pokręćcie w lewo, dziób też skręci w lewo, wy w prawo, dziób w prawo. Odbiór.

Kelly usłyszał przez radio chóralny śmiech drugiej załogi.

— „Springer”, zrozumiałem. Przekażę zaraz te wskazówki moim ludziom. Serdeczne dzięki za wykładzik. Odbiór.

Załoga kutra Straży Przybrzeżnej wyła ze śmiechu. Należała im się jakaś rozrywka po ośmiu koszmarnie nudnych godzinach patrolu. Oreza oddał ster młodzieńskiemu marynarzowi, a sam oparty o ścianę sterówki, popijał kawę własnego parzenia i pstrykał włącznikiem mikrofonu.

— Coś ci powiem, „Springer”. Mało komu bym pozwolił na takie żarty. Odbiór.

— Dobry marynarz umie okazywać szacunek. Zwłaszcza lepszym od siebie. Ej, panie bosman, czy to prawda, że wasze kutry mają pod spodem kółka? Odbiór.

— U-u-u-u — obruszył się najmłodszy członek załogi Orezy.

— Ktoś cię musiał nabrać, „Springer”. Kółka zdejmujemy zaraz, jak tylko ostatni frajer z Marynarki opuści stocznię. Słyszałem, że to wy, jak nie widzicie kółek, rzygacie jak koty. Odbiór!

Kelly także się roześmiał i przełożył ster nieco w lewo, aby nie zbliżyć się zanadto do kutra.

— Dobrze wiedzieć, że kraju pilnuje taka fantastyczna Straż Przybrzeżna. Idzie niedziela, może was nikt nie ukradnie!

— Uważaj sobie, „Springer”, bo zrobimy ci inspekcję na pokładzie!

— A róbcie sobie, na coś w końcu płacę te podatki.

— Ty płacisz? Nie wiedziałem, że masz z czego.

— No, dobra, dozorczy przybrzeżni, wyłączam się. Chciałem tylko sprawdzić, czy nie śpicie.

— Zrozumiałem, dzięki za tyle troski. Rzeczywiście troszkę się nam przysnęło. Całe szczęście, że kręcą się jeszcze po Zatoce zawodowcy, żeby nas w porę obudzić.

— Pomyślnych wiatrów, Dniówka.

— Nawzajem, Kelly. Wyłączam się.

W głośniku słyhać było teraz zwyczajne szумы i trzaski. Kelly uznał, że załatwił sprawę jak trzeba. Lepiej, żeby Oreza nie podpływał bliżej i nie wprowadzał się na pokład „Springera”. Wybrałby sobie zły moment. Pozostawało wyłączyć radio i zejść ze sterówki pod pokład. Horyzont po wschodniej stronie zaczynał nabiegać różem. Za dziesięć minut nad krawędzią morza błysnie słońce.

— Co tu się w ogóle dzieje? — zapytał go jeniec.

Kelly dolał sobie kawy i sprawdził, czy autopilot działa jak trzeba. W kabinie było tak ciepło, że po chwili zdjął koszulę. Blizny na ramieniu i plecach, pamiętka po trafieniu ze śrutówki, rzucały się w oczy natychmiast, nawet w mętym pobrzasku świtu. Billy zachłysnął się na ten widok, a potem milczał przez długą chwilę.

— Więc to ty...

Tym razem Kelly odwrócił się w stronę nagiego mężczyzny, przykutego do pokładu.

— Właśnie ja.

— Przecież cię zabiłem! — sprzeciwił się Billy. Nie dotarła do niego wiadomość, że ofiara przeżyła. Henry zapomniał przekazać mu ten szczegół, gdyż sam uznał go za nieistotny.

— Tak uważasz? — Kelly znów nachylił się nad przyrządami. Jeden z pary silników grzał się bardziej niż drugi. Po skończonej robocie trzeba będzie sprawdzić układ chłodzenia. Oprócz tego drobiazgu łódź spisywała się znakomicie i szła naprzód ze stałą prędkością dwudziestu węzłów, kołysząc się leciutko na ledwo widocznych falach. Piękny ślizg, równiuteńki. Kelly mógł się tylko cieszyć. Na razie przeciągnął się i na próbę napiął mięśnie, tak aby Billy mógł sobie dokładnie obejrzyć blizny i to, co widniało pod nimi.

— Aa, więc to o to ci chodzi... Ta mała opowiadała nam o tobie, zanim ją kropnęliśmy.

Kelly omiół wzrokiem tablicę przyrządów, a zbliżając się do mostu sprawdził mapę. Miał zamiar za chwilę przenieść się na wschodnią stronę toru żeglugowego, a tymczasem co minutę sprawdzał wskazania pokładowego zegara, czy, jak go sobie nazywał, chronometru.

— Ta cała Pam to był kawał dziry. Różnęła się jak mało która, i to do samiu-teńkiego końca — wycedził Billy, by sprowokować człowieka, który go schwytał. Jego złośliwe słowa wypełniały drętwą ciszę i pomagały mu przemóc coraz większy lęk. — Fakt, że była głupia. Rozumu to ona nie miała.

Tuż za mostem Kelly wyłączył autopilota i przełożył koło sterowe o dziesięć stopni w lewo. Z powodu wczesnej pory, na wodach nie widziało się prawie nikogo, lecz mimo to Kelly zanim zrobił zwrot, dokładnie przepatrzył Zatokę. Para świateł topowych na horyzoncie zwiastowała, że nadciąga statek handlowy. Prawdopodobnie był jeszcze o jedenaście kilometrów od „Springera”. Żeby to

sprawdzić, Kelly mógł na chwilę włączyć radar, lecz przy tej pogodzie byłoby to marnowaniem prądu.

— A mówiła ci, jakie jej zrobiliśmy malinki na skórze? — zaszydził Billy. Nie zauważył, że dłonie Kelly’ego zaciskają się kurczowo na kole sterowym.

„Ślady na piersiach wyglądają na urazy zadane obcęgami”, głosił wynik sekcji zwłok. Kelly nauczył się treści dokumentu na pamięć, wchłonął każdy suchy, medyczny zwrot i termin tak dokładnie, że tekst utrwalił mu się w głowie jak wyryty w stali diamentową igłą. Nie wiedział, czy lekarze, którzy oglądali zwłoki Pam, odczuwali to samo, co on. Może i tak. Im bardziej zdejmowała ich bezsilna wściekłość, tym bardziej naukowe i obiektywne sformułowania trafiały do ich notatek. Zwykła sprawa u prawdziwych zawodowców.

— Wszystko nam wyśpiewała, wszyściuteńko. Wiemy, jak ją zgarnąłeś z szosy, jak się potem zabawialiście... To myśmy ją nauczyli takich sztuczek, koleś. Nam to wszystko zawdzięczasz! Na pewno ci opowiadała, że zanim uciekła, dała każdemu z nas po trzy, cztery razy. Myślała pewnie, że tak nas przechytrzy, nie? Do głowy jej nie przyszło, że to nie będzie jej ostatni balecik w naszym towarzystwie!

Grupy krwi 0+, 0- i AB-. Kelly pamiętał i to. Grupa krwi 0 należy do najczęściej spotykanych w Ameryce, a to mogło oznaczać, że Pam zgwałciło więcej niż trzech napastników. Ciekawe, swoją drogą, jaką grupę krwi ma Billy?

— Powiem ci tylko, koleś, że to była kurwa. Tak, ładniutka, ale zwykła zdzira. Zdechła też jak zdzira, nie wiesz czasem? Zdechła pod facetem, który ją stukał. Przydusiliśmy ją, ale nawet jak już zsiniała, rzucała się aż do końca. Ciekawa scena, mówię ci — zapewnił z drwiną Billy. Kelly nie musiał nawet na niego patrzeć, by odgadnąć wyraz jego twarzy. — Ja też ją obróciłem, koleś, i to nie raz. Trzy razy! I dołożyłem jej, bo jej się należało. Porządnie jej dołożyłem, słyszysz, koleś?

Kelly otworzył szeroko usta, starając się oddychać powoli i miarowo. Chodziło mu o to, by nie napinać nerwowo mięśni. Poranny wietrzyk przybrał nieco na sile, pochylając jacht w serii pięciostopniowych przechyłów. Kelly pozwolił własnemu ciału kołysać się wraz z pokładem, poddając się łagodnej pieszczocie morza.

— Nie wiem, o co się tak rzucasz, koleś. No, o co? O jedną zdechłą dziwkę? Lepiej spróbujmy się od razu dogadać. Wiesz, coś ty przegapił, durniu? W tym domu było siedemdziesiąt patyków. Przegapiłeś siedemdziesiąt tysięcy, głupi ciołku!

Billy umilkł, widząc że przemowa nie odnosi skutku. Nieważne, trzeba próbować. Trzeba zdenerwować faceta, na pewno palnie wtedy jakieś głupstwo, zrobi błąd... Billy w przeszłości wyprowadził już z równowagi niejednego. Na pewno uda się i teraz.

— Szkoda tylko, koleś, że tak ją załatwiły te narkotyki. Sam wiesz, gdyby miała dojścia gdzie indziej, nie u nas, na pewno byśmy was nie przyuważyli. Sam zresztą spieprzyłeś sprawę, nie? Co, nie pamiętasz, głupolu?

Kelly pamiętał.

— Bo też faktycznie, głupi byłeś jak but. Nie wiesz, do czego służy telefon? Rany boskie, koleś... Kiedyśmy ugrzęźli w tym naszym wozie, zadzwoniliśmy po Burta, żeby podjechał swoim, zamieniliśmy się i w drogę! A ciebie, koleś, naprawdę nie było trudno wypatrzyć w tej całej terenówce! Mała musiała ci naprawdę zawrócić w głowie, co?

Telefon? Czyżby Pam zginęła przez takie głupstwo? Kelly bezwiednie napiął mięśnie i w duchu wyzwał się od ostatnich idiotów. Potem nagle, na pół sekundy, rozluźnił ramiona. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zawiódł Pam i jak próżne są jego obecne wysiłki, by się zemścić. Trudno, może i próżne, ale cóż innego pozostało? Z tą myślą na powrót wyprostował się w kapitańskim fotelu.

Billy spostrzegł, że jego drwiny zaczynają przynosić upragniony skutek. Może nareszcie pora zacząć właściwe pertraktacje?

— A co myślisz, koleś? Taki wóz widać z daleka. Głupota, mówię — zaczął. — Aż sam się dziwię, że żyjesz. Trudno, kropnąłem cię, ale to nie ze złości. Musiałem, i tyle. Nic do ciebie nie mam, możeś nawet nie wiedział, co ta mała dla nas robiła. Za dużo wiedziała, żebyśmy ją mogli ot, tak wypuścić, kapujesz? Jakoś ci to wynagrodzę, nie bój się. To co, dogadamy się jakoś?

Kelly sprawdził autopilota i sytuację na Zatoce. „Springer” szedł równym, bezpiecznym kursem, nie zbliżając się do żadnej z nielicznych jednostek na horyzoncie. Można się było podnieść z fotela i przysiąść na drugim siedzisku, metr od Billy’ego.

— Powiedziała wam, że wróciła do miasta po narkotyki? Tak wam powiedziała? — zapytał Kelly, wpatrując się Billy’emu prosto w twarz.

— No, dokładnie tak — przytaknął Billy z wyraźną ulgą. Zdumiał się zaraz, gdyż wiszący nad nim Kelly zwyczajnie się rozplakał. A może tędy droga, żeby się wyplątać z całej tej kabały?

— No, koleś, przepraszam cię strasznie — zaczął fałszywym głosem. — Nie ma co, miałeś pecha, ale mówi się trudno.

Pech? Kelly, który był tuż obok Billy’ego, przymknął oczy, myśląc: Wielki Boże, więc ochraniała mnie do końca, nawet po tym, jak ją tak zawiódłem... Nie wiedziała nawet, czy żyję, ale na wszelki wypadek skłamała, żeby mi dopomóc...

Wiadomość okazała się ponad siły Kelly’ego, który na parę minut rozkleił się zupełnie. Jednak nawet i to na coś się przydało. Kiedy po chwili otarł oczy i przestał płakać, wraz ze łzami wytarł resztki ludzkich uczuć, jakie mógł jeszcze mieć wobec Billy’ego.



Wstał i wrócił na fotel przy kole sterowym, bo nie miał ochoty dłużej patrzeć gnojkwowi w twarz. Mógłby naprawdę stracić panowanie nad sobą, a na to nie mógł sobie przecież pozwolić.

\* \* \*

— Wiesz, co, Tom? Myślę sobie, że jednak miałeś rację — przyznał Ryan. Z prawa jazdy (sprawdzili już dokładnie, że jego właściciel nie był nigdy aresztowany, za to nałapał bez liku mandatów drogowych) dowiedzieli się, iż Richard Oliver Farmer liczył sobie w chwili śmierci dwadzieścia cztery lata. I wystarczy. Zginął od pojedynczego ciosu noża w klatkę piersiową. Ostrze przeszło osierdzie i dokładnie przebiło serce. Zwykle rany klute zamykają się same i laikowi trudno je nawet dostrzec, lecz w tym przypadku z rozmiarów rany dało się wywnioskować, iż napastnik przekręcił wbite ostrze na tyle, na ile tylko pozwalała przestrzeń między zębami. Wyszarpiana dziura okazała się duża, a szerokość klingi musiała przekraczać pięć centymetrów. Co ważniejsze, tym razem policjanci natrafili na dodatkowy ślad.

— Zawalił sprawę — ocenił rzecz patolog. Ryan i Douglas zgodnie mu przytaknęli. W chwili zgonu Richard Farmer miał na sobie białą bawełnianą koszulę z kołnierzykiem, a na klamce u drzwi wisiała jego marynarka. Nieznany morderca ułatwił sobie zadanie, bo wytarł nóż właśnie w koszulę ofiary, trzykrotnie. Na materiale pozostało doskonałe, krwawe odbicie klingi. Farmer miał za paskiem rewolwer, lecz najwyraźniej nie zdążył po niego sięgnąć. Jeszcze jedna ofiara zaskoczenia i sprawnej akcji, choć w tym wypadku napastnik nie zadbał o wszystkie szczegóły. Młodszy policjant dźgnął ołówkiem krwawe plamy na koszuli i zapytał retorycznie:

— Wiecie, co to za kozik? *Ka-Bar*. Na wyposażeniu każdego żołnierza piechoty morskiej. Sam mam taki w domu.

— Nieźle naostrzony — dodał zaraz medyk. — Rana czyściutka, ostrze przecięło skórę jak skalpel. Facetowi udało się przekroić to serce na połówki, panowie. Dokładne pchnięcie, popatrzcie: nóż trafił dokładnie w poziomie, żeby nie zahaczyć o żebra. Większość ludzi wyobraża sobie, że serce jest po lewej stronie, ale nasz przyjaciel wiedział lepiej. Jedno, jedyne pchnięcie. Dokładnie wiedział, co robi.

— Masz, Em. Jeszcze jeden uzbrojony przestępca. Nasz przyjaciel umiał się zbliżyć i załatwił go w takim tempie. . .

— Zgoda, Tom. Teraz już ci wierzę — przytaknął Ryan i ruszył na piętro, gdzie kręciła się reszta ekipy dochodzeniowej. W sypialni z oknami od ulicy leżała sterta męskich ubrań i płócienna torba wypchana toną dolarowych banknotów. Poza tym znaleziono tam pistolet i nóż. Także materac ze śladami spermy,

z których część była jeszcze wilgotna. Damska torebka. Młodszy współpracownicy wiedzieli, że będą mieli huk roboty z katalogowaniem tego wszystkiego. Na początek trzeba zbadać, jakie grupy krwi odpowiadają śladom z materaca i poznać tożsamość trójki — przypuszczalnie trójki — osób, które znajdowały się w domu w chwili napadu. Nareszcie jakieś zwyczajne morderstwo! Cały pokój pokrywał już proszek daktyloskopijny, a fotografowie wypstrykali tuzin rolek filmu. Ryan i Douglas wiedzieli jednak z góry, co myśleć o tym wszystkim.

— Znasz tego Farbera z kliniki na Hopkins?

— Znam, Em. Pomagał Frankowi Allenowi przy sprawie Goodinga. Sam ich wtedy umówiłem. Facet ma łeb — przyznał Douglas. — Trochę dziwny, ale wie, co mówi. Aha, pamiętasz, że po południu muszę iść do sądu?

— Dobra, sam się tym wszystkim zajmę. Jestem ci winien duże piwo, Tom. Rozgryźłeś to prędzej ode mnie.

— Dzięki, że tak myślisz. Kto wie, może i ja zostanę kiedyś porucznikiem.

Ryan roześmiał się i, schodząc na parter, wygrzebał z paczki papierosa.

\* \* \*

— Będziesz mi jeszcze podskakiwał? — zapytał uśmiechnięty Kelly. Dopiero co wrócił do kabiny, uporawszy się z cumowaniem jachtu przy pomoście.

— A co, może mam ci pomagać? — Billy silił się jeszcze na brawurę.

— Jak chcesz. — Kelly wy dobył obosieczny nóż i przyłożył go do skóry jeńca. Rozmyślnie wybrał szczególnie czułe miejsce. — No, proszę. Podskakuj!

Billy natychmiast zmiękł — zwłaszcza ta jego część, której dotykało ostrze.

— Już dobrze, dobrze!

— Wspaniale. I niech to będzie dla ciebie nauka na przyszłość. Żebyś już nigdy w życiu nie skrzywdził żadnej dziewczyny. — Kelly rozluźnił śruby, odpiął parę szekli i pomógł Billy'emu się podnieść. Nie rozluźnił mu jednak drucianych pęt na rękach.

— Kij ci w oko, facet! I tak mnie zabijesz! Gówno ci powiem, gówno! Kelly okręcił go wokół osi i spojrzał mu w twarz.

— Nie, Billy, wcale nie mam zamiaru cię zabić. Opuścisz tę wyspę żywy, daję ci słowo.

Zmieszanie, jakie odmalowało się na twarzy jeńca, sprawiło Kelly'emu radość tak wielką, że prawie się uśmiechnął, lecz zaraz smętnie pokręcił głową. Powtarzał sobie, że stąpa wąską i niebezpieczną ścieżynką pomiędzy niebezpiecznymi urwiskami. Jeśli tylko zboczy, dopadnie go szaleństwo — jednego bądź drugiego rodzaju, lecz równie zabójcze. Musiał znaleźć sposób, aby na chwilę oderwać się od rzeczywistości, nie zapominając o niej jednak. Wyprowadził pojmanego na brzeg i pchnął go w stronę bunkra, w którym się mieścił warsztat.

— Pić ci się chce?

— Aha. I muszę się odlać.

Kelly odprowadził go na bok, na trawę.

— Lej śmiało.

Billy źle się czuł bez ubrania, wstydził się nagości, zwłaszcza przy obcym mężczyźnie, który mógł z nim zrobić, co tylko chciał. W swej głupocie zaniechał prób rozmowy z Kellym, a przynajmniej nie wiedział, jak się do tego zabrać. Był tchórzem, czego dowiódł na jachcie — to, co opowiadał o zgładzeniu Pam było w końcu nie tyle próbą dotarcia do Kelly'ego, ile sposobem udowodnienia sobie własnej męskości, siły i odwagi. Być może milczenie byłoby lepszym wyjściem — chociaż i ono nie mogłoby go już chyba ocalić. Milczenie mogłoby zasiał w umyśle Kelly'ego ziarno wątpliwości, a gdyby w ślad za nim nastąpiła sprytnie opowiedziana historyjka... Cóż, tchórzostwo lubi chadzać w parze z głupotą. Kelly zastanawiał się nad tym wszystkim, przekręcając szyfrowy zamek w drzwiach warsztatu. Pstryknął wyłącznikiem oświetlenia i popchnął Billy'ego do środka.

Na cementowej posadzce stało tam coś, co wyglądało i w istocie było, stalowym cylindrem półmetrowej średnicy, poziomym, opatrzonym nóżkami na kółkach. Stalowa pokrywa na jednym z końców cylindra była otwarta i chybotąła się na zawiasie.

— Do środka — zachęcił jeńca Kelly.

— Gówno, nie wejdę!

Znowu próba oporu. Kelly palnął jeńca w kark ręką noża. Billy runął na kolana.

— Już ja znajdę sposób, żebyś tam wszedł. Chcesz, żeby cię skaleczył, twoja sprawa.

Kłamstwo okazało się skuteczne. Kelly ujął Billy'ego za kark i wcisnął go głową naprzód w otwór cylindra.

— I żebyś się nie ruszył.

Poszło łatwiej, niż Kelly przypuszczał. Wystarczyło zdjąć z haka na ścianie klucz i rozkręcić szekle na rękach jeńca. Billy napiął mięśnie, myśląc może, iż doczekał się nareszcie szansy, lecz Kelly uwinął się z kluczem błyskawicznie. Aby uwolnić Billy'emu obie ręce musiał zluzować tylko jedną nakrętkę. Dźgnięcie nożem w odpowiednio czuły punkt przekonało Billy'ego, że nie warto stawiać oporu i naprężyć się, a tylko w ten sposób Billy mógł liczyć na podjęcie walki. Jeszcze raz wyszło na jaw tchórzostwo Billa — skoro ucieczka miała być okupiona bólem, nie warto było się szarpać. Trząśnięcie ze strachu, choć w myślach roił sobie kolejne plany ucieczki.

— Właż!

Pomogło dopiero silne pchnięcie. Kiedy z otworu wystawały już tylko stopy Billy'ego, Kelly uniósł klapę i za pomocą śrub osadził ją na miejscu, a potem,

gasząc światło, wyszedł z warsztatu. Pora była coś zjeść i trochę się zdrzemnąć. Billy mógł spokojnie zaczekać. Oczekiwanie mogło go tylko zmiękczyć.

\* \* \*

— Słucham? — odezwał się jej bardzo wystraszony głos.

— Cześć Sandy, tu John.

— John? Co się dzieje?

— Jak tam mała?

— Mówisz o Doris? Zasnęła — poinformowała go Sandy. — Słuchaj, John kto ją tak... Co się jej stało?

Kelly kurzowo ścisnęła słuchawkę.

— Posłuchaj mnie, Sandy. Posłuchaj uważnie, bo od tego bardzo wiele zależy.

— Mów! — przynagliła go Sandy. Odebrała telefon w kuchni, gdzie parzyła kawę. Na dworze gromadka dzieci z sąsiedztwa grała w piłkę na pustym placu. Normalność tego wszystkiego wydawała się Sandy czymś niesłychanie odległym.

— Po pierwsze, masz nikomu nie mówić, że Doris jest u ciebie. A już pod żadnym pozorem nie mów tego policji.

— John, ta dziewczyna jest na ostatnich nogach. Skręca ją z braku prochów, a na dodatek jest chyba chora. Naprawdę będę musiała... .

— W takim razie zadzwoń do Sama i Sary, ale do nikogo więcej. Słyszysz, Sandy? Absolutnie nikogo. Sandy... — Kelly zawahał się. Słowa więzły mu w gardle, lecz musiał je wypowiedzieć i nie było na to rady. — Sandy wiem, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Ci ludzie, którzy tak urządzili Doris, to ci sami, którzy... .

— Wiem, John. Sama się mniej więcej domyśliłam. — W głosie pielęgniarki nie było emocji, chociaż ona także oglądała zdjęcie zwłok Pameli Starr Mad-den. — John, Doris powiedziała mi, że... Że kogoś zabiłeś.

— Owszem, Sandy. Zabiłem.

Sandra O'Toole nawet się nie zdziwiła. Domyśliła się wszystkiego już ładnych parę godzin wcześniej, ale mimo to dopiero kiedy usłyszała, jak sam Kelly... Chodziło o ton, jakim to powiedział: spokojny i rzeczowy. „Owszem, Sandy. Zabiłem.” „Czy wyniosłeś śmieci? Owszem, Sandy. Wyniosłem”.

— Sandy, ci ludzie naprawdę nie żartują. Mogłem zostawić tę całą Doris... Nie, tak naprawdę, to nie mogłem. Chryste Panie, Sandy, widziałaś, co zrobili z... .

— Widziałam. — Sandy odeszła z izby przyjęć ostrego dyżuru tak dawno, że prawie zapomniała, jak ludzie potrafią się nawzajem okaleczyć.

— Wiesz, Sandy, ja cię strasznie przepraszam... .

— Już się stało, John. Ale spokojnie, dam sobie radę.

Kelly zamilkł na moment. Bardzo potrzebował pewności, jaką rozbrzmiewał głos Sandy. Może właśnie na tym polegała różnica między nimi? Był z natury impulsywny i w pierwszym odruchu chciał zawsze uderzać, zdemaskować złoczyńców i rozprawić się z nimi. Wykryć i zniszczyć, jak w rozkazie bojowym. Instynkt Sandy kazał jej bronić życia w inny sposób. Były komandos z formacji SEAL zdumiał się na myśl, że ktoś taki, jak Sandy potrafi się okazać silniejszy od niego.

— Doris naprawdę jest potrzebny lekarz. — Sandy przypomniała sobie w porę o dziewczynie z sypialni na piętrze. W nocy, kiedy pomagała Doris się wykapać, napatrzyła się na straszliwe znamiona na jej ciele. Przeróżające ślady maltretowania nie były jednak najgorsze. Najgorsze ze wszystkiego okazały się oczy Doris — martwe, puste, bez cienia buntowniczej iskry, jaka tliła się nawet w pacjentach na granicy śmierci. Sandy od lat opiekowała się ciężko chorymi, lecz nigdy nie przypuszczała, że można tak rozmyślnie zniszczyć czyjąś psychikę, powoli i z sadyzmem. Teraz, kiedy sama mogła łatwo wpaść w ręce takich oprawców, przekonała się, że chociaż się ich boi, jeszcze silniejsza od lęku jest jej nienawiść.

Kelly żywił dokładnie odwrotne uczucia.

— Dobrze, Sandy, tylko proszę cię, uważaj na siebie. Obiecujesz?

— Obiecuję. Zaraz zadzwonię do doktora Rosena. — Sandy zawiesiła głos. — John?

— Co, Sandy?

— To, co robisz... Nie wolno tak robić, John. — Sandy nienawidziła siebie samej za te słowa.

— Wiem — oświadczył Kelly.

Sandy przymknęła oczy. Wciąż miała przed sobą obraz dzieci uganiających się po boisku do baseballa. W myślach widziała też twarz Kelly'ego i minę, jaką musiał mieć w tej chwili. Musiała mu to wszystko powiedzieć. Zaczepnęła więc głęboki oddech i dokończyła:

— Tak nie wolno. Ale już mnie to nie obchodzi. Już nie. Rozumiem cię, John.

— Dzięki — odszepnął Kelly. — Będziesz się trzymała?

— Dam sobie radę.

— Wrócę zaraz, jak tylko będę mógł. Nie wiem, co zrobimy z tą dziewczyną... .

— To już moje zmartwienie. Zajmiemy się nią, a później coś się wymyśli.

— Świetnie. Aha, Sandy?

— Co takiego, John?

— Dziękuję — powiedział Kelly i wyłączył się.

„Nie ma za co”, dokończyła w myślach Sandy, kiedy odkładała słuchawkę. Dziwny człowiek z tego Kelly'ego. Zabija ludzi, takich samych żywych ludzi jak on sam i nie ma najmniejszych skrupułów — Sandy nie widziała go w akcji, wyczytała jednak dostatecznie dużo z jego spokojnego głosu. Ten sam Kelly traci

czas i naraża się, żeby ocalić jakąś Doris. Sandy nie mogła tego pojąć. Trudno. Na razie trzeba zadzwonić do Rosena.

\* \* \*

Doktor Sidney Farber wyglądał dokładnie tak, jak Emmet Ryan go sobie wyobrażał idąc na to spotkanie: miał około czterdziestki, był nieduży, z bródką, o żydowskiej urodzie, a do tego palił fajkę. Nie wstał zza biurka, kiedy policjant wszedł do gabinetu, a jedynie wskazał mu wolny fotel. Ryan wysłał mu rano przez gońca wyjątki z akt poszczególnych spraw. Okazało się, że psychiatra znalazł czas, żeby się z nimi zapoznać. Poszczególne teczki leżały otwarte na biurku. Farber ułożył je w dwóch równych rzędkach.

— Znam pańskiego partnera, Toma Douglasa — zauważył lekarz, pykając fajkę.

— Owszem, wiem. Mówił mi, że ogromnie mu pan pomógł ze sprawą Goodinga.

— Aaa, Goodinga. Pan Gooding to bardzo, bardzo chory człowiek. Mam nadzieję, że doczeka się takiej terapii, jakiej potrzebuje.

— A nasz nowy okaz? Też bardzo chory? — zapytał porucznik Ryan.

Farber podniósł głowę.

— Zdrowy tak samo jak pan, czy ja. Powiedziałbym, że fizycznie nawet zdrowszy, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, co pan sam przed chwilą powiedział: „nasz nowy okaz”. Zakłada pan, że we wszystkie te przypadki zamieszana była jedna i ta sama osoba. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego. — Psychiatra oparł się wygodnie i czekał.

— Z początku wcale tak nie myślałem. Tom pierwszy na to wpadł. Wszędzie widać to samo rzemiosło.

— Dokładnie tak.

— Czy mamy w takim razie do czynienia z psychopata?

— Nie. — Farber energicznie potrząsnął głową. — Prawdziwi psychopaci to ludzie, którzy nie potrafią sobie poradzić z życiem. Postrzegają rzeczywistość w sposób bardzo swoisty, wręcz ekscentryczny. Zwykle widzą ją zupełnie inaczej niż większość ludzi. Prawie we wszystkich przypadkach zaburzenie tego typu łatwo zauważyć i rozpoznać.

— Ale taki Gooding. . .

— Pan Gooding okazał się. . . Zaraz, mamy na to nowy termin. . . Otóż okazał się „zorganizowanym psychopata”.

— Pięknie, ale dlaczego nie wpadli na to jego sąsiedzi, znajomi?

— Racja. Z tym, że w wypadku pana Goodinga psychoza objawiała się w ten sposób, że masakrował zwłoki swoich ofiar. Jeżeli spojrzysz pan na te nowe przypadki, nie ma w nich śladu rytuału. Zwłoki całe, nie zmasakrowane, żadnych

oznak popędu seksualnego... Zwykle poznaje się to po zadrapaniach na szyi, jak pan zapewne wie. A tu nic. Nie, panie Ryan. — Farber znów pokręcił głową. — Temu panu chodzi o konkretny wynik. Nie zabija po to, żeby się wyżyć, tylko po prostu zabija, i to z powodu, który jemu samemu wydaje się konkretny, racjonalny.

— Na przykład z jakiego powodu?

— Widać wyraźnie, że nie chodzi o rabunek, tylko o coś innego. Widzę w tym człowieku wiele złości. Zdarzało mi się już spotkać takich ludzi.

— Gdzie? — spytał Ryan. W odpowiedzi Farber wskazał na przeciwległą ścianę, gdzie w dębowych ramkach wisiały na czerwonym, aksamitnym tle plakietka pułkowa, skrzydełka spadochroniarza i odznaka komandosów dalekiego zwiadu. Widok ogromnie zaskoczył policjanta.

— Głupota, młodzieńcza głupota — zbył to Farber. — Wie pan, jak to bywa. Młody Żyd chciał pokazać światu, jaki jest twardy. Hmmm, ale koniec końców pokazałem — dodał Farber z uśmiechem.

— Sam nie bawiłem się aż tak świetnie w Europie, ale też widziałem tylko najmniej ciekawe zakątki.

— W której pan służył?

— Kompania E drugi batalion 506. pułku.

— Spadochroniarze. 101. Dywizja, zgadłem?

— Rozgryził mnie pan bez pudła, doktorze — przyznał policjant, który także był kiedyś młody i głupi. Pamiętał jeszcze, jaki był chudy, kiedy skakał przez drzwi desantowe C-47. — Lądowałem w Normandii, a potem pod Eindhoven.

— W Bastogne też pan był?

— A, byłem. Tam już się zrobiło gorąco. Tyle dobrego, że dowieźli nas ciężarówkami.

— No, więc właśnie z kimś takim ma pan do czynienia, poruczniku.

— Proszę mi to wyjaśnić, bo nie bardzo...

— Jasne. Oto klucz. — Farber podniósł z biurka stenogram przesłuchania pani Charles. — Przebranie. To musiał być kostium! Trzeba sporej siły, żeby wbić nóż w nasadę czaszki. Nie ma mowy, żeby to zrobił jakiś alkoholik. Alkoholicy to słabeusze.

— Tyle, że to zabójstwo w ogóle nie pasuje do reszty — przypomniał Ryan.

— Moim zdaniem pasuje, jeśli się dobrze zastanowić. Cofnijmy się w czasie. Jest pan w wojsku, służy pan w elitarnym pododdziale elitarniej formacji. Przed akcją zawsze starannie rozpoznaje pan cel, zgoda?

— Zawsze — przytaknął policjant.

— Powiedzmy, że chodzi o miasto. Jak najlepiej rozpoznać taki teren? Trzeba się przebrać. Nic dziwnego, że nasz przyjaciel umyślił sobie przedzierzgnąć się w pijaczka, włóczęgę. Mało to takich dziadków na ulicach? Brudni, śmierdzą-

cy, ale nieszkodliwi. Jeśli się tłuką, to tylko między sobą. Wychodzi na to, że są niewidzialni, bo w ogóle ich nie zauważamy. Ani pan, ani ja, w ogóle nikt.

— To mi jeszcze nie wyjaśnia. . .

— Zgoda. No, więc w jaki sposób nasz osobnik dostaje się na miejsce? Myśli pan, że autobusem, albo może taksówką?

— Przyjeżdża samochodem.

— Kostium można założyć na siebie, a potem zdjąć. — Farber podniósł z biurka zdjęcie, które przedstawiało miejsce ostatniego zabójstwa. — Facet dwie ulice dalej zabija dwóch ludzi, ucieka stamtąd i idzie tutaj. Jak pan sądzi, po co?

Rzeczywiście, na zdjęciu między dwoma zaparkowanymi samochodami widać było lukę po trzecim.

— O, kurwa! — wyrwało się nie na żarty upokorzonemu Ryanowi. — Doktorze, co jeszcze przegapiłem? Niech pan mówi.

— Po co tak oficjalnie? Jestem Sid. Nic nie przegapiliście. Ten człowiek działa inteligentnie, zmienia metody i tylko w tym ostatnim przypadku okazał jakieś emocje. Do tego właśnie zmierzam. Tylko tym ostatnim razem zabił w złości. Dziś rano było może trochę podobnie, ale o tym za chwilę. Widzimy tutaj zatem złość. Napastnik okalecza ofiarę, tylko po to, by ją za chwilę zabić i to w szczególnie trudny sposób. A dlaczego? — Farber znów pyknął z fajki. — Wpadł w złość, ale czemu? Bo musiał zrobić coś, czego nie miał w planie. Nie planowałby niczego, wiedząc, że napatoczy mu się pani Charles. Z jakiejś przyczyny musiał zrobić coś, czego nie przewidział, więc się zdenerwował. Więcej, puścił panią Charles wolno, chociaż wiedział, że mu się przyjrzała.

— Nadal mi pan nie wytłumaczył. . .

— Mamy do czynienia z byłym żołnierzem. Z kimś niesamowicie sprawnym fizycznie, a zatem z kimś młodszym niż my i doskonale wyszkolonym. To komandos, zwiadowca, albo ktoś z Zielonych Beretów.

— Ale czego szuka na ulicach?

— Nie wiem. Najlepiej, jeśli sam pan go o to zapyta. Ma pan do czynienia z kimś, komu się nie śpieszy, z kimś, kto obserwuje swoje przyszłe ofiary. Wybiera zawsze tę samą porę, czas, kiedy tamci są zmęczeni, kiedy na ulicach nie ma ruchu, kiedy trudniej go zauważyć. Nie rabuje ofiar. Parę razy przywłaszczył sobie ich pieniądze, ale to co innego. A teraz niech mi pan opowie o tych zwłokach, któreście znaleźli dziś rano — polecił Farber, choć to nie on miał zadawać pytania.

— Widział pan zdjęcie. W pokoju na górze znaleźliśmy całą torbę pieniędzy. Nie zdążyliśmy policzyć, ile tego jest, ale na pewno co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Utarg z narkotyków?

— Tak nam się wydaje.

— Czy byli tam jacyś inni ludzie? Porwał ich może?



— Dwie osoby. Wydaje nam się, że mężczyzna i kobieta. Farber pokiwał głową i sięgnął po fajkę.

— Jedno z dwojga. Albo porwał właśnie tę osobę, o którą mu cały czas chodziło, albo jest to tylko etap większego planu.

— Czyli wszyscy ci zamordowani detaliści to tylko zasłona dymna.

— Niekoniecznie. Ta pierwsza dwójka, ci związani drutem. . .

— Przesłuchał ich — skrzywił się Ryan. — Głupio, że się nie domyśliliśmy. Tylko tych dwóch zabił na osobności, nie na ulicy. Specjalnie, po to, żeby mieć więcej czasu.

— Łatwiej być mądrym po szkodzie — przypomniał Farber. — Nie ma o co mieć do siebie pretensji. Pierwszy napad naprawdę łatwo było wziąć za rabunkowy, a poza tym brakowało jakichkolwiek dodatkowych poszlak. Dzisiaj, kiedy tu sobie rozmawiamy, zdążyła przybyć cała masa informacji. — Psychiatra odchylił się w fotelu i zapatrzył w sufit. Uwielbiał zabawę w detektywa.

— Do tego momentu — postukał cybuchem w zdjęcie z najnowszego incydentu — nie mieliście się czego chwycić. Dopiero teraz wszystko się wyjaśnia. Podejrzany umie się posługiwać bronią, zna zasady taktyki i jest cierpliwy. Skrada się za ofiarami jak myśliwy za zwierzyną. Co rusz zmienia metody, żeby zmylić policję, tyle że tym razem powinęła mu się noga. Co więcej, tym razem trochę się zdenerwował, bo rozmyślnie użył noża. Można poznać, że jest wyszkolony, po tym, że natychmiast wytarł ostrze.

— Ale koniec końców to nie czubek?

— Nie. Wątpię, czy w ogóle cierpi na jakieś zaburzenia, w klinicznym rozumieniu tego słowa, ale trudno mu odmówić silnej motywacji, to fakt. Ludzi tego rodzaju cechuje silne poczucie dyscypliny. Nas zresztą także to dotyczy. Widać tę dyscyplinę w jego sposobie działania, ale dlaczego działa? To już kwestia nie dyscypliny, lecz gniewu. Coś go skłoniło, żeby wejść na tę ścieżkę.

— „Pani”.

Uwaga zaskoczyła Farbera.

— Otóż to! Świetny wniosek! Dlaczego nie wyeliminował tej Charles? Mamy w niej jedyne świadka. Był wobec niej grzeczny. Puścił ją. . . ciekawe, ciekawe. . . Ale co nam to daje?

— Przynajmniej wiemy, że nie zabija dla zabawy.

— Zgadzam się — przytaknął Farber. — Wszystko, co robi, ma pewien określony cel. W dodatku ten ktoś jest tak świetnie wyszkolony, że robi podczas tej akcji, co chce. Mówię o akcji, bo to jest zorganizowana akcja. Po tych ulicach krąży naprawdę niebezpieczna postać.

— Eliminuje handlarzy narkotyków, to jasne — odezwał się Ryan. — A co do tego, albo tych, których uprowadził. . .

— Jeżeli uprowadził kobietę, wypuści ją. Mężczyzny nie wypuści. Ze stanu zwłok dowiemy się, czy to ten uprowadzony stanowił cel akcji.

— Będzie się znęcał?

— Na pewno. I jeszcze jedno: jeżeli kazał pan swoim ludziom szukać tego człowieka, proszę pamiętać, że mało kto potrafi tak jak on posługiwać się bronią. Wygląd o niczym nie świadczy, tym bardziej, że facet będzie unikał starcia. Nie zależy mu na tym, żeby zabijać kogo popadnie, bo w przeciwnym razie nie wypuściłby tej pani Charles.

— Ale jeśli go osaczymy...

— Wolałbym wtedy nie być na waszym miejscu.

\* \* \*

— Jak tam? Wygodnie ci? — zagadnął Kelly.

Komora dekompresyjna była jedną z kilkuset, jakie na zamówienie Marynarki wyprodukowały Zakłady Odlewnicze i Narzędziowe Dykstra w Houston, w stanie Teksas. Tak informowała tabliczka znamionowa. Komora, sporządzona ze stali wysokiej jakości, miała za zadanie utrzymywać we wnętrzu takie samo ciśnienie, pod jakim płetwonurkowie pracują na dużej głębokości. Jeden z końców cylindra zaopatrzono w okienko wielkości dłoni, z potrójną szybą z pleksi. Obok widniała jeszcze mniejsza śluza, przez którą można było podać coś do środka — na przykład picie albo kanapkę — a wewnątrz w pancерnej obudowie umieszczono dwudziestowatową żarówkę. Pod walcem komory znajdowała się potężna sprężarka, napędzana własnym silnikiem spalinowym. Siedziało się przy niej na składanym krzeselku, przy którym widniały dwa manometry. Pierwszy był wyskalowany w milimetrach/calach słupa rtęci, w kilogramach na centymetr kwadratowy, funtach na cal kwadratowy, oraz w barach. Jeden bar odpowiadał normalnemu ciśnieniu atmosferycznemu. Drugi manometr przeliczał ciśnienia na głębokość zanurzenia, znów zarówno w metrach jak i w stopach. Dokładnie co dziesięć metrów ciśnienie wzrastało o jeden bar.

— Ty, powiem ci, co tylko chcesz, tylko mnie wypuść — usłyszał Kelly przez głośniczek.

— Co, dobrze mówiłem, że się dogadamy! — ucieszył się Kelly i targnął za sznur rozrusznika. Zaterkotał silnik sprężarki. Kelly upewnił się, że szczelnie zamknął zawór wylotowy przy manometrach i otworzył zawór ciśnieniowy. Powietrze ze sprężarki zaczęło się właczać do wnętrza komory. Igły manometrów drgnęły i powoli ruszyły do góry.

— Umiesz pływać? — zapytał Kelly, wpatrzony w twarz Billy'ego. Jeniec szarpnął się w przerażeniu.

— Ty, nie rób tego, nie... Wszystko, tylko mnie nie utop, słyszysz?

— Nikt nie będzie cię topił. Pytam tylko, czy umiesz pływać.

— Pewnie, że umiem.

— A nurkowałeś kiedyś z akwalungiem?

— Nie. Nie nurkowałem — odpowiedział handlarz narkotyków, coraz bardziej niepewny i zdezorientowany.

— To fajnie. Zaraz cię nauczę, na czym to polega. Na początek musisz ziewnąć i parę razy przełknąć ślinę, żeby się przyzwyczaić do ciśnienia — doradził mu Kelly. Strzałka na manometrze głębokości przekroczyła już wartość dziesięciu metrów.

— Pytaj, kurwa, o co chcesz, i nie pieprz, dobra?

Kelly wyłączył mikrofon. Zbyt wiele strachu słyszało się w głosie jeńca. Kelly naprawdę nie czuł najmniejszego zamiłowania do czynienia krzywdy innym i bał się, że rozbudzi się w nim współczucie dla Billy'ego. Kiedy manometr wskazywał trzydzieści metrów, zamknął zawór ciśnieniowy, ale nie wyłączył sprężarki. Billy powoli przyzwyczajał się do głębokości. Kelly tymczasem wyszukał kawał gumowego węża i rozciągnął go, żeby mieć czym odprowadzać na zewnątrz spaliny ze sprężarki. Na skutki lekcji nurkowania przyjdzie dość długo czekać. Kelly zmartwił się, że zapomniał o tak ważnym szczególe, jak spaliny. Gnębiło go także, iż musi wykonywać wszystkie czynności z pamięci. Na ścianie komory widniała prymitywna tabelka, która w każdym punkcie odsyłała użytkowników do wymienionego z tytułu podręcznika. Cóż, kiedy Kelly nie miał tej książki, a nurkował na duże głębokości kawał czasu temu — ostatni raz podczas prac przy platformie wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej, kiedy obsługą techniczną zajmował się ktoś inny. Żeby skrócić sobie oczekiwanie, Kelly przez godzinę porządkował warsztat, spokojnie, choć przez cały czas kipiały w nim wspomnienia i wściekłość. Kiedy uznał, że dosyć, powrócił na krzeselko operatora.

— I jak tam?

— Ty, już dobrze, zrobię co chcesz! — dobiegł go bardzo nerwowy głos.

— Odpowiesz mi na parę pytań?

— Co tylko chcesz! Odpowiem, tylko mnie wypuść!

— Wypuszczę, wypuszczę. No, to zaczynamy. — Kelly podniósł blok z notatkami. — Byłeś kiedykolwiek aresztowany, Billy?

— Nie. — Kelly dosłyszał tym razem w głosie Billy'ego rodzaj dumy. Dobrze.

— Byłeś w wojsku?

— Nie. — Głupie pytanie.

— Czyli nigdy nie siedziałeś w więzieniu, nie zdejmowano ci odcisków palców, nic takiego?

— Nigdy.

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

— Mówię prawdę, człowieku! Uwierz mi!

— Może i nie kłamiesz, ale na wszelki wypadek sprawdzę, chcesz? — Kelly położył lewą rękę na zaworze wylotowym. Powietrze z sykiem wyrwało się z komory, a wewnętrzne ciśnienie zaczęło opadać.

Billy nie wiedział, co się święci i dlatego przeżył nieprzyjemną niespodziankę. Przez całą godzinę przebywał pod ciśnieniem czterokrotnie większym od normalnego. Jego organizm prędko się przystosował do tej zmiany. Powietrze, które wciągał do płuc, miało oczywiście równie wysokie ciśnienie, jak cała atmosfera w komorze. Cały gaz w jego organizmie miał więc teraz ciśnienie cztery razy wyższe niż kiedykolwiek. Cząsteczki azotu i innych gazów we krwi Billy'ego zareagowały natychmiast na spadek ciśnienia, bo kiedy Kelly przekreślił zawór, zaczęły się rozszerzać. Przeszkadzała im w tym otaczająca je tkanka, lecz gaz był silniejszy. Prawie natychmiast bąbelki azotu zaczęły rozpychać i rozrywać ścianki komórek. Ból rozszedł się najpierw po kończynach Billy'ego — tępą, wszechogarniającą falą, która prędko przeszła w najokropniejsze cierpienie, jakiego Billy doznał w całym swoim życiu. Ból przychodził falami, które pokrywały się dokładnie z coraz prędszymi uderzeniami serca. Jęki przeszły zaraz w przeraźliwy krzyk. Kelly aż się zdziwił, bo ciśnienie w komorze odpowiadało głębokości zaledwie dwudziestu metrów, ale na wszelki wypadek zamknął zawór wylotowy i podniósł ciśnienie w cylindrze z powrotem do czterech atmosfer. Zabrało mu to kilka minut, a ból przeszedł niemal bez śladu, pozostawiając w mięśniach tylko zmęczenie, jak po dużym wysiłku. Billy nie był przyzwyczajony do niczego takiego i nie umiał cieszyć się zmęczeniem jak sportowcy. Jego szeroko otwarte, przerażone oczy upewniły Kelly'ego, że jeniec ma dosyć. Z oczu Billy'ego zniknął wszelki ludzki wyraz — i bardzo dobrze. Kelly włączył mikrofon.

— Taka będzie kara za każde kłamstwo. Lepiej, żebyś o tym wiedział. No, do roboty. Byłeś kiedyś aresztowany, Billy?

— Jezus Maria! Nie byłem!

— Nigdy nie byłeś w więzieniu, nie zdejmowano ci odcisków palców...

— Nigdy, nigdy! Dostawałem mandaty, to tak, ale nie byłem w pierdłu.

— A w wojsku?

— Nie! Już ci mówiłem!

— Doskonale. Dziękuję. — Kelly określił w bloku pierwszą grupę pytań. — Opowiemy sobie teraz, kto to jest Henry i kto z nim współpracuje.

Pobyty w komorze ciśnieniowej przyniósł jeszcze jeden niespodziewany dla Billy'ego skutek. Kiedy ciśnienie przekracza wartość trzech barów, azot, główny składnik powietrza, którym się oddycha, zaczyna działać na organizm jak narkotyk, na podobieństwo alkoholu albo barbituranów. Billy nadal czuł strach, lecz zarazem doświadczał teraz dziwnej euforii i zaczął tracić kontrolę nad tym, co mówi. Stanowiło to dodatkowy korzystny efekt metody przesłuchiwania, którą Kelly wybrał głównie ze względu na spustoszenie, jakie musiała spowodować w organizmie.

\* \* \*

— Nie tknęli forsy? — upewnił się Tucker.

— Znalaziono ponad pięćdziesiąt tysięcy. Kiedy wychodziłem, jeszcze się nie doliczyli, ile tego jest — potwierdził Mark Charon. Znów siedzieli w kinie, jako jedyni widzowie na całym balkonie. Policjant przekonał się jednak, że tym razem Henry nie żuje już prażonej kukurydzy. Nieczęsto zdarzało mu się oglądać Tuckera w stanie takiego zdenerwowania.

— Muszę się dowiedzieć, co tu jest grane. Gadaj wszystko, co wiesz.

— Przez ostatni tydzień... Dłużej, przez ostatnie dziesięć dni co rusz znajdowaliśmy detalistów...

— Ju-Ju, Bandana, dwóch facetów, których nie znam. Wiem, wiem. Myślisz, że to ma jakiś związek?

— Tylko tyle wiemy, Henry. Który to zniknął? Billy?

— Billy. Rick się przekręcił. Dostał nożem, tak?

— Ktoś wyrznął mu kozikiem całe serce, kurwa jego mać. — Charon miał czasami skłonność do przesady. — Jedna z tych twoich dziewczyn też zniknęła?

— Doris — potwierdził Henry. — A pieniądze nietknięte. Dlaczego?

— Może to faktycznie był napad i tamtych coś spłoszyło. Tylko nie pytaj mnie, co, bo nie wiem. Ju-Ju i Bandanę ktoś obrobił, nim ich załatwił. Diabli wiedzą, może naprawdę nie ma tu żadnego związku. Kto wie, może to, co się stało zeszłej nocy, to jakaś zupełnie, ale to zupełnie inna historia.

— Jaka znowu?

— Sam pomyśl, Henry. Ktoś rozmyślnie chciał wykończyć ludzi z twojej organizacji — tłumaczył cierpliwie Charon. — Znasz kogoś, kto by ci chciał wyciąć taki numer? Nie musisz być gliniarzem, żeby zrozumieć motywy, co?

W pewnej mierze, ba, w ogromnej mierze Charon triumfował, że może pomiatać Tuckerem. Co z tego, że tylko przez chwilę?

— Ile wiedział ten twój Billy?

— Dużo. Za dużo. Niedawno go zabrałem pierwszy raz do... — Tucker zamilkł.

— Nie ma sprawy. Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale mógł się już tego dowiedzieć ktoś inny, więc weź to może pod uwagę.

Chociaż było już trochę za późno, Mark Charon zaczął rozumieć, że jeśli chce ocalić skórę, musi trzymać z Henrym Tuckerem do końca.

— Czemu chociaż nie upozorowali rabunku, co?! — pienił się Tucker, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w ekran.

— Ktoś chciał ci dać coś do zrozumienia, Henry. Nie wzięli forsy na znak pogardy. Powiedz, znasz kogoś, kto nie potrzebuje pieniędzy?

\* \* \*

Krzyk stawał się coraz głośniejszy. Przed chwilą Billy udał się na kolejną wycieczkę na głębokość dwudziestu metrów i pobył tam przez parę minut. Obserwacja jego twarzy była zajęciem ze wszech miar pożytecznym. Kelly patrzył, jak jeniec chwyta się za uszy. Po chwili ciśnienie naruszyło gałki oczne i zatoki. Wkrótce zabolą go zęby, jeżeli Billy ma w nich dziury — a tak prawdopodobnie było. Kelly nie chciał go jednak trwale okaleczyć. Jeszcze nie.

— Billy — odezwał się, kiedy przywrócił w komorze poprzednie ciśnienie, a tym samym zmniejszył ból. — Ja ci chyba nie bardzo wierzę.

— Ty kutasie złamany! — wrzasnął więzień do mikrofonu. — To ja ją załatwiłem, wiesz? Patrzyłem sobie, jak twoja cizia zdycha, jak Henry dalej ją obrabia, jak rusza tyłkiem, wiesz! I widziałem jak się mażesz, widziałem, jak płaczesz, ty fiucie!

Przekręcając zawór, Kelly umyślnie przybliżył twarz do szybki. Wysłał Billy'ego na głębokość czternastu metrów, dla przypomnienia. Wiedział, że w ten sposób powoduje krwotok we wszystkich stawach więźnia, bo z jakiejś przyczyny pęcherzyki azotu gromadzą się w tej sytuacji właśnie w stawach. Instynktowną reakcją na objawy choroby kesonowej jest zwinąć się w ciasny kłębek. Stąd zresztą mówi się, że nurka „pokręciło”. Jednak we wnętrzu ciasnego walca Billy nie mógł się bardzo zgiąć, mimo że usilnie próbował. Ciśnienie zaatakowało teraz jego centralny system nerwowy. Azot ścisnął pajęczne nitki nerwów, przez co całe ciało rwało bólem. Billy czuł, że ból gruchocze mu ręce i stawy, i że całe ciało przesywają mu gorące błyskawice. Rozdygotane, oszalałe nerwy wysyłały chaotyczne impulsy elektryczne, od których zaczął przeraźliwie dygotać. Trochę za wcześnie na układ nerwowy. Nie ma co się śpieszyć. Kelly przywrócił w komorze poprzednie ciśnienie i patrzył, jak drgawki przechodzą.

— Wiesz już, Billy, co czuła wtedy Pam? — zapytał, właściwie tylko na swój użytek.

— Boli!

Więzień płakał. W szamotaninie podniósł ramiona i zasłonił rękami twarz, lecz nawet w ten sposób nie potrafił ukryć cierpienia.

— Sam widzisz, jak to bywa, Billy — przypomniał mu cierpliwym tonem Kelly. — Jeżeli uznam, że kłamiesz, będzie bolało. Jeżeli powiesz coś, co mi się nie spodoba, będzie bolało. Chcesz, żeby cię znowu tak bolało?

— Jezus! Nie! — Billy oderwał ręce od twarzy. Gdyby nie szybka, patrzyliby sobie prosto w oczy.

— Spróbujmy w takim razie trochę grzeczniej, co?

— ... przepraszam...

— Ja też cię przepraszam, Billy, ale zapamiętaj sobie, że masz się mnie słuchać.

Billy przytaknął potulnie. Kelly sięgnął po szklanę z wodą, sprawdził zamknięcia śluz, otworzył drzwiczki i umieścił szklanę w komorze pośredniej.

— Fajnie. Jeżeli otworzysz te małe drzwiczki, które masz przed sobą, znajdziesz coś do picia.

Billy zrobił, co mu kazano i po chwili sącył wodę przez plastikową rurkę.

— A teraz do roboty, zgoda? Opowiedz mi trochę o Henrym. Gdzie mieszka?

— Nie wiem! — stęknął Billy.

— Błędna odpowiedź!

— Nie, proszę! Naprawdę nie wiem! Spotykaliśmy się w jednym barze przy szosie numer 40. Umyślnie nigdy nam nie mówił, gdzie...

— Albo przestaniesz kłamać, albo znowu pojedziemy windą na szóste piętro. Gotowy?

— NIEEEE!

Krzyk był tak głośny, że przedarł się nawet przez trzy centymetry stali.

— Proszę, nie! Nie wiem! Naprawdę nic nie wiem!!!

— Pamiętaj, Billy, że nie mam powodów, żeby cię żałować — przypomniał mu Kelly. — W końcu to ty zabiłeś Pam, tak? Zamęczyłeś ją na śmierć. Ile godzin ją katowaliście, Billy, ty i twoi kumple? Dziesięć? Dwanaście? Do licha, Billy, a my tu rozmawiamy dopiero siedem godzin. Sam mi mówiłeś, że pracujesz dla tego gościa od dwóch lat, a tu się okazuje, że nawet nie znasz jego adresu? Coś mi się nie chce w to wierzyć. Winda w górę! — oznajmił mechanicznym głosem Kelly i sięgnął do zaworu. Wystarczyło lekko przesunąć kurek. Już pierwszy syk uciekającego powietrza przerażał do tego stopnia, że Billy zaczął krzyczeć, zanim jeszcze w ogóle poczuł ból.

— Nie wiem! Kurwa, Ja nic nie wiem!!!

Cholera... A nuż faktycznie nic nie wie? Kelly zastanowił się. Trudno, nie zaszkodzi się upewnić, jak to jest. Tym razem wynurzył więźnia tylko odrobinę, do dwudziestu ośmiu metrów, tyle aby odnowić poprzedni ból bez uszkodzenia nowych części organizmu. Lęk przed bólem był teraz równie skuteczny, co samo cierpienie. Kelly uznał, że jeśli posunie się za daleko, ból także zmieni się w narkotyk, a nie o to chodziło. Billy był tchórzem, i to takim, który lubił katować innych ludzi. Gdyby odkrył, że nawet najgorszy ból można mimo wszystko przeżyć, mogłoby to mu pomóc odzyskać odwagę. Kelly nie chciał ryzykować, że tak się stanie. Dlatego zamknął zawór wylotowy i podwyższył ciśnienie do nowego poziomu, odpowiadającego głębokości trzydziestu pięciu metrów, by tym łatwiej złagodzić ból i wzmóc narkotyczne działanie azotu.

\* \* \*

— O mój Boże! — zachłysnęła się Sarah. Nie było jej dane oglądać fotografii zwłok Pam, a kiedy raz zapytała o szczegóły, mąż odwiódł ją od jakichkolwiek dociekań. Usłuchała go bez oporu.

Doris była naga i niepokojąco bierna. Niewiele dało się powiedzieć dobrego o jej wyglądzie, oprócz tego, że Sandy pomogła jej się wykąpać. Sam otworzył torbę i wy dostał z niej stetoskop. Puls dziewięćdziesiąt z kawałkiem, mocny, ale zbyt szybki jak na dziewczynę w wieku Doris. Ciśnienie krwi też za wysokie. Temperatura w normie. Sandy weszła do pokoju i pobrała cztery próbki krwi, z myślą o analizie w szpitalnym laboratorium.

— Kto mógł z nią zrobić coś takiego? — szepnęła sama do siebie Sarah. Na piersiach Doris widać było niezliczone ślady urazów. Na prawym policzku żółknący siniec. Inne, świeże sińce na pośladkach i nogach. Sam zaświecił Doris w oczy. Źrenice reagowały na światło — i tylko one.

— Kto? Ci sami, którzy zabili Pam — szeptem odrzekł chirurg.

— Pam? — odezwała się nagle Doris.

— Znałaś ją? Jak to?

— Ten, który cię tu przyprowadził — zaczęła Sandy. — To ten sam człowiek, który...

— Ten, którego Billy zabił, prawda?

— Tak — potwierdził Sam i nagle zdał sobie sprawę, jak bezsensowne wrażenie musiałyby zrobić ta rozmowa dla osób nie wtajemniczonych.

\* \* \*

— Znam tylko numer telefonu — zagulgotał Billy, oszołomiony narkotycznym działaniem azotu. Kiedy poczuł, że ból zaczyna ustępować, zrobił się nagle chętny do współpracy.

— Podaj mi go — zażądał Kelly. Billy usłuchał, a Kelly zapisał kolejną informację. Zasmarował już w ten sposób ołówkiem dwie strony. Nazwiska, adresy, kilka numerów telefonicznych. Na oko bardzo niewiele, ale o niebo więcej, niż Kelly wiedział jeszcze niecałą dobę wcześniej.

— Które przychodzą narkotyki?

Billy odwrócił twarz od okienka.

— Nie wiem...

— A mnie się zdaje, że wiesz.

I znów syczenie uciekającego powietrza.

Billy rozkrzyczał się jeszcze raz, lecz Kelly postanowiła doprowadzić rzecz do końca. Kiedy igła na manometrze głębokości opadła do dwudziestu pięciu



metrów, Billy zaczął się dławić. Ciśnienie zaatakowało mu także płuca, a każde kasznięcie potęgowało ból, jaki trwał w każdym centymetrze sześciennym jego umęczonego ciała. Billy czuł się jak ogromny balon, czy raczej zbiorowisko małych i dużych baloników, które pęczniały do granic eksplozji i napierały na siebie. Niektóre baloniki były mocniejsze, inne słabsze. Te słabsze, pękające, czuł w najczulszych okolicach ciała. Najbardziej go bolały oczy, które zdawały się wychodzić z orbit. Oczy i zatoki, które tak spęczniały, że Billy czuł, jak cała twarz odrywa mu się od czaszki. Prędko przywarł dłońmi do policzków i przycisnął je z całej siły. Nigdy jeszcze nie czuł takiego bólu ani nie zadał go innej osobie. Z całej siły zgiął nogi, na ile tylko pozwalał stalowy cylinder, w którym tkwił. Gdyby mógł, wryłby kolanami bruzdy w metalowej ścianie. Mógł poruszać tylko ramię, lecz z każdym poruszeniem czuł coraz większą mękę. Przycisnął oczy i przekonał się, że nie jest w stanie już nawet krzyknąć. Czas zatrzymał się i stał się wiecznością, bez światła i bez ciemności, bez dźwięku i ciszy. Cały wszechświat zmienił się w ból.

— Proszę... proszę... — dobiegło z głośnika. Kelly, nie śpiesząc się, podniósł ciśnienie. Billy znowu znalazł się na głębokości trzydziestu pięciu metrów. Jego twarz wyglądała jak dotknięta straszliwą wysypką. Wszystkie naczynka krwionośne pod skórą popękały, podobnie jak duże naczynie w lewej gałce ocznej Billy'ego. Połowa białka w tym oku nabiegła krwią, jeszcze bardziej upodobniając Billy'ego do przerażonego, złośliwego zwierzęcia.

— Pytałem przed chwilą, któredy przychodzą narkotyki.

— Nie wiem — wyjęczał Billy.

Kelly nachylił się do mikrofonu i cichym głosem zaczął:

— Billy, musisz zrozumieć pewne sprawy. To, co ci się przydarzyło do tej pory, to głupstwo. Trochę bolało, ale tylko trochę. Ale jeżeli się postaram, będzie cię naprawdę bolało. Naprawdę.

Billy przewrócił oczami. Gdyby zachował zdolność chłodnej analizy, domyśliłby się, że tortura musi mieć swoje granice. Do pewnego stopnia rzeczywiście tak było, ale tylko do pewnego stopnia.

— Trochę cię bolało, ale na razie postawiłby cię na nogi pierwszy lepszy lekarz. Mówię ci. — I tym razem Kelly prawie nie kłamał, a jego następne słowa pokrywały się z prawdą w całej pełni. — Za to następnym razem, Billy, kiedy wypuścimy powietrze, porobi się z tobą tak, że już ci nie pomoże żaden lekarz. Najpierw trzasną ci naczynia krwionośne w oczach, a ty oślepniesz. Po nich trzasną naczynia krwionośne w mózgu. Lekarze nic na to nie poradzą, a ty będziesz ślepy i kopnięty. Ból też nigdy nie ustąpi. Nigdy. Przez całą resztę życia będziesz chodził ślepy i kopnięty. I zawsze ten ból. Ile masz lat, co? Dwadzieścia pięć? Sam pomyśl, jeszcze czterdzieści lat ślepoty i kalectwa. Zastanów się, czy naprawdę opłaca ci się kłamać.

— ...

— Więc jeszcze raz. Którędy przychodzą narkotyki?

Bez litości. Kelly powtarzał to sobie w myśli. Gdyby tak samo okaleczył psa, kota, albo sarnę, dawno by dobił biedne zwierzę. Ale Billy nie był zwierzęciem. Był... przedmiotem. A także, na swój sposób, człowiekiem, tyle że jeszcze gorszym niż alfonsi czy handlarze narkotyków. Gdyby zamienić ich miejscami, Billy nie czułby tego samego, co Kelly — nie czułby nic, jako że jego wszechświat ograniczał się tylko do jego własnej osoby. Dla Billy'ego liczył się tylko on, Billy, a wszyscy inni byli martwymi przedmiotami, którymi można manipulować dla przyjemności, bądź zysku. Bo też Billy znajdował przyjemność w sadyzmie i lubił pokazywać, kto tu rządzi. A skoro inny człowiek był dla niego rzeczą, dawało mu to prawo do dowolnych poczynań, bo któżby się przejmował, co sobie myśli i czuje rzecz? Billy'emu nie mogło się pomieścić w głowie, że oprócz niego są we wszechświecie jeszcze inne istoty, inni ludzie, którzy także mają prawo do życia, do szczęścia... I właśnie ponieważ tego nie wiedział, narażał się na zemstę ze strony człowieka, którego nie raczył nawet zauważyć. Dopiero teraz zaczynało mu świtać, jak bardzo się pomylił. Teraz, czyli za późno, bo w tej chwili rzeczywistość czekała go już tylko samotna przyszłość w jednoosobowym wszechświecie, w którym zamiast innych ludzi Billy za towarzysza miał znaleźć jedynie ból.

Billy był na tyle bystry, że zrozumiał, jaka go czeka przyszłość i dlatego załamał się wreszcie. Dało się to natychmiast odczytać z jego twarzy. Zaczął mówić, prędko, zdyszany, łamiącym się głosem, w którym nareszcie nie było ani odrobiny kłamstwa. Spóźnił się z tym odkryciem niewiele, bo tylko jakieś dziesięć lat — tak to oceniał Kelly, schylony nad notatkami przy zaworze wylotowym. Dopiero teraz Billy odkrył, że istnieje coś takiego jak litość, ta sama, której nie zaznały martwe przedmioty orbitujące w jego pokręconym wszechświecie. Kelly pomyślał wręcz, że być może Billy nie jest taki zły, i że po prostu nigdy jakoś do niego nie dotarło, że ktoś może go potraktować w ten sam sposób, w jaki on traktował słabszych i mniejszych od siebie. Kolejne spóźnione odkrycie. Było za późno, by ocalić Billy'ego, za późno, by uratować Pam, w jakimś sensie za późno także dla Kelly'ego. Świat roi się od niegodziwości, a sprawiedliwości jest w nim jak na lekarstwo. Proste odkrycie? Chyba nie, bo Billy prawie do samego końca nie domyślał się, że ktoś wymierzy mu jednak sprawiedliwość. Widocznie za mało zaznał jej w życiu, tak mało, że postanowił zaryzykować i żyć według własnych praw. Dlatego przegrał. Litością Kelly mógł więc obdarzyć innych, ale nie Billy'ego.

— Nie wiem... Naprawdę nie wiem...

— Ostrzegalem cię, sam przyznaj! — Kelly otworzył zawór i tym razem wyprowadził więźnia na głębokość zaledwie osiemnastu metrów. Najwcześniej musiały się rozerwać naczynia krwionośne w gałkach ocznych, bo Kelly'emu wydało się, że szeroko rozwarłe źrenice Billy'ego rozbłysnęły szkarłatem. Billy krzyknął

tak przeciągle, że stracił oddech, a jego łokcie i kolana znów zabębniły o grubą stal. Kelly odczekał chwilę, po czym ostatni raz zwiększył ciśnienie w komorze.

— Opowiadaj mi, Billy, bo będzie jeszcze gorzej. Mów prędko!

Billy zaczął śpiewać jak na spowiedzi. To, co mówił, brzmiało chwilami nieprawdopodobnie, lecz na pewno pokrywało się z prawdą — czegoś podobnego nie wymyśliłby nikt, nawet Billy. Ostatnia część przesłuchania trwała trzy godziny. Zawór zasyczał tylko raz, a i to zaledwie na parę sekund. Kelly powracał co pewien czas do poprzednich pytań, upewniając się, że Billy nie zmienia odpowiedzi. Billy jednak nie tylko nie kłamał, ale za każdym razem dorzucał nowe fakty, dzięki czemu zaczynał się zarysowywać coraz jaśniejszy, ogólny obraz sytuacji.

Do północy Kelly opróżnił umysł jeńca ze wszystkich istotnych faktów, a kiedy odłożył wreszcie ołówek, prawie zwyciężyło w nim człowieczeństwo. Gdyby Billy okazał Pam choćby odrobinę litości czy współczucia, być może nie skończyłby w ten sposób. Kelly nie miał mu za złe własnych obrażeń, bo Billy rzeczywiście „kropnął go, bo musiał”. Mówiąc dokładniej, Kelly mógł winić tylko siebie samego za głupotę i za to, że dał się postrzelić. Billy nie poprzestał jednak na zamachu. Zamęczył na śmierć młodą kobietę, którą Kelly pokochał. I właśnie dlatego w oczach Kelly’ego Billy przestał być człowiekiem zasługującym na odrobinę troski.

Klamka dawno już zresztą zapadła. Uszkodzenia organizmu były nieodwracalne, a co więcej, nadal postępowały, w miarę jak oddarte skokami ciśnienia tkanki wędrowały po naczyniach krwionośnych Billy’ego, blokując wciąż nowe żyły. Dotyczyło to w szczególności mózgu. Wkrótce niewidzące oczy Billy’ego błysnęły szaleństwem i mimo iż ostatnie wyjście ku powierzchni było powolne i łagodne, istota, która wypełzła z komory dekompresyjnej nie była człowiekiem. Ale czy była nim kiedykolwiek?

Kiedy Kelly zluzował śruby dociskające pokrywę, w nozdrza uderzył go smród odchodów. Można się było tego spodziewać — zwykły efekt nagłych zmian ciśnienia w pęcherzu i przewodzie pokarmowym więźnia. Wywlekając więźnia z cylindra, Kelly pomyślał, że będzie musiał później splukać wewnątrz komory wodą z węża. Billy legł na betonowej posadzce. Kelly nie wiedział, czy zakuć go znowu w szkle, lecz spostrzegł prędko, iż właściciel ciała będzie miał z niego niewielką pociechę. Dekompresja zniszczyła wszystkie stawy w rękach i w nogach, a system nerwowy Billy’ego potrafił już tylko przewodzić ból. Billy wciąż jednak oddychał, co ucieszyło Kelly’ego. Nareszcie koniec. Można iść do łóżka i mieć nadzieję, że było to ostatnie takie przesłuchanie w życiu. Kelly domyślał się, że przy troskliwej opiece medycznej, Billy będzie żył jeszcze przez kilka tygodni. O ile można ten stan nazwać życiem.

## 21 — Możliwości

Kelly'ego właściwie niepokoiła łatwość z jaką zasypiał. Kryje się w tym coś nienaturalnego, pomyślał, że potrafi przespać spokojnie dziesięć godzin, zważywszy na to, co zrobił Billy'emu. Jednak patrząc w lustro przy goleniu doszedł do wniosku, że i tak nieco już za późno na tego rodzaju wyrzuty sumienia. Jeżeli facet spędził całe życie na handlu narkotykami i krzywdzeniu kobiet, powinien brać pod uwagę konsekwencje takiego postępowania. Spłukał twarz wodą. Zadawanie bólu nie sprawiało mu przyjemności — tego był pewien. W tym przypadku chodziło jedynie o uzyskanie informacji, przy okazji wymierzania sprawiedliwości. Ujęcie tego zjawiska w znajome terminy, takie jak właśnie sprawiedliwość, pozwalało mu na zachowanie wewnętrznego spokoju.

Teraz musiał odwiedzić pewne miejsce. Ubrał się, spakował i przeniósł bagaże do mesy.

Czekała go kilkugodzinna, raczej nudna podróż, której połowa odbędzie się w ciemnościach. Skierował się na południe w stronę Point Lookout i bez pośpiechu przyjrzał się osadzonej na mieliźnie flocie transportowców w okolicach Bloodsworth Island. Zbudowano je podczas pierwszej wojny światowej i składały się one w zadziwiająco swoją różnorodnością kolekcję. Niektóre zrobione były z drewna, inne z betonu — co już samo w sobie było zadziwiające. Zgrupowane wokół wyspy statki przetrwały pierwsze w historii zorganizowane polowanie okrętów podwodnych, ale nie przetrwały ekonomii czasów powojennych. Kelly wszedł na pomost, przez chwilę obserwował jak autopilot kieruje jego łódź na południe i uważnie zaczął przyglądać się przez lornetkę na wpół zatopionym transportowcom; na jednym z nich może być coś interesującego.

Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Pomyślał, że tego należało się spodziewać: na pewno nie zobaczy ruchliwej hurtowni narkotyków. Musiał przyznać, że wybór takiej kryjówki wymagał pomysłowości ze strony organizacji, której członkiem — do niedawna aktywnym — był Billy. Zmienił kurs na zachodni. Ta sprawa będzie musiała poczekać. Kelly uświadomił sobie, że pora zmienić sposób myślenia: już wkrótce stanie się członkiem zespołu, składającego się z ludzi takich jak on. Doszedł do wniosku, że to przyjemna odmiana. Będzie miał też okazję przeanalizować taktykę odnośnie drugiej fazy swojej operacji.

\* \* \*

Wprawdzie policjanci zostali tylko pobieżnie poinformowani o przygodzie, która spotkała panią Charles, ale ich zainteresowanie wyraźnie wzrosło, kiedy dowiedzieli się, w jaki sposób zakończył swój żywot napastnik. Żadne dodatkowe apele o rozagę i ostrożność nie były już potrzebne. Wozy patrolowe obsadziły w większości pary policjantów — z wyjątkiem bardzo doświadczonych (lub zbyt pewnych siebie) funkcjonariuszy, którzy wciąż patrolowali ulice w pojedynkę. Jeden z policjantów miał za zadanie zrewidować napotkanego włóczęgę, podczas gdy drugi przyglądał mu się, stojąc kilka kroków obok, z ręką na kolbie służbowego rewolweru. Pierwszy policjant powinien energicznie poderwać włóczęgę na nogi i sprawdzić, czy nie ma noża. Nikt raczej nie spodziewał się broni palnej — zbyt łatwo można ją było zastawić w lombardzie, by kupić kolejną butelkę alkoholu lub dawkę narkotyku. Podczas pierwszej nocy zrewidowano jedenastu podejrzanych i dokonano dwóch aresztowań za obrazę władzy. Jednak aż do końca nocnej zmiany nie natrafiono na żaden ślad tajemniczego zabójcy.

\* \* \*

— Tak, dowiedziałem się czegoś — powiedział Charon. Jego samochód stał na parkingu przed supermarketem tuż obok Cadillaka Tuckera.

— Czego?

— Szukają faceta przebranego za pijaczka.

— Jaja sobie robisz? — zapytał niedowierzająco Tucker.

— Tak się mówi w Wydziale, Henry — zapewnił go policjant. — Wszyscy mają zachować podczas przeszukania najwyższą ostrożność.

— A niech to szlag — zaklął handlarz narkotyków.

— Gość jest biały, niezbyt wysoki, około czterdziestki. Jest bardzo silny i, jeśli chce, może być niewiarygodnie szybki. W ciągu ostatnich paru dni znaleziono dwóch załatwionych detalistów. Jestem pewien, że zrobił to ten sam facet, który skasował poprzednich.

Tucker pokręcił głową. — Billy'ego i Ricka też? To nie ma sensu.

— Henry, obojętnie czy ma to sens czy nie, tak się mówi w Wydziale. I radzę ci tego posłuchać uważnie. Kimkolwiek jest ten gość, to zawodowiec. Kapujesz? Zawodowiec.

— Tony i Eddie — cicho powiedział Tucker.

— Też mi tak się wydaje, Henry. Ale to tylko domysły. — Charon wrzucił bieg i wyjechał z parkingu.

Podczas jazdy Edmondson Avenue Tucker powtarzał sobie w duchu, że to wszystko nie ma sensu. Dlaczego Tony i Eddie mieliby próbować... czego? Co u diabła się dzieje? Nie wiedzieli wiele o jego operacji. Wiedzieli tylko, że ma

kanal przerzutowy bez pudła i że jego teren ma być pozostawiony w spokoju. Zdawali też sobie sprawę, że powoli staje się ich najważniejszym dostawcą. Byliby idiotami, gdyby chcieli zniszczyć jego sieć przed przejęciem samego kanału przerzutowego. Przejęcie... użył chyba złego wyrażenia, ale..

A może Billy wciąż żyje? Może Billy dobił targu, a Rick nie chciał się na to zgodzić? Rick nie był zbyt lotny, ale można było na nim polegać. Przynajmniej w większym stopniu niż na Billym.

Billy załatwia Ricka, zabiera Doris i chowa ją w gdzieś na uboczu — a on już wie, jak to się robi. Dlaczego? Billy nawiązuje kontakt z... kim? Mały ambitny sukinsyn z tego Billy'ego. Wcale nie taki bystrzak, ale kiedy trzeba, potrafi być twardy.

Możliwości. Billy z kimś się kontaktuje. Z kim? Co wie Billy? Wie gdzie robi się towar, ale nie wie jak się go wwozi do kraju... a może to przez ten zapach, smród formaliny z plastikowych worków. Na początku Henry był bardzo ostrożny podczas dzielenia towaru na porcje, ale podczas ostatnich dwóch dostaw już nie... cholera. Popełniłeś błąd, Henry. Czy Billy sam mógł dowiedzieć się o kanale przerzutowym? Raczej nie: nie znał się na pływaniu, a nawigacji nie jest tak łatwo się nauczyć.

Eddie i Tony znają się na pływaniu, ty idioto, przypomniał sobie Tucker.

Ale dlaczego mieliby go teraz oszukiwać, teraz, kiedy interes rozwija się kwitnąco?

Czy naraził się komuś innemu? No, byli jeszcze chłopcy z Nowego Jorku, ale nie miał nawet z nimi bezpośredniej styczności. Z drugiej strony jednak wszedł na ich teren, korzystając z faktu, że mieli akurat trudności z dostawami. Może to oni?

A co z Filadelfią? Przejęli rolę łącznika pomiędzy Nowym Jorkiem, a jego kanałem przerzutowym. Może chcieli większego udziału? Może dowiedzieli się o Billym?

A może to robota Eddiego, który postanowił zdradzić obu swoich współników?

Obojętnie co się działo, Henry w dalszym ciągu kontrolował kanał. Musi bronić swojego terytorium i swoich układów. Interes stawał się zbyt lukratywny, żeby teraz podkulić ogon. Skręcił w prawo, przyrzekając sobie w duchu, że nie zmarnuje tych lat pracy, które poświęcił na osiągnięcie aktualnej pozycji. Poza tym wojna w Wietnamie wkrótce się skończy i urwą się transporty zwłok do kraju. Nie może sobie teraz pozwolić na problemy z dystrybucją. W ostateczności zbierze jakieś dziesięć milionów i wycofa się. A jeżeli dobrze to rozegra, da radę podwoić tę sumę. Ale to wymaga przynajmniej dwóch lat spokojnej pracy. Teraz już jest za późno na rozpoczęcie od zera. Musi walczyć.

Tak chłopie, musisz bić się o swoje. W jego umyśle zaczął formować się już plan. Jeszcze dziś roześle wiadomość: chce dostać Billy'ego i to żywego. Musi

pogadać z Tonym i wy badać go, czy Eddie może być zamieszany w jakiś układ z chłopakami z północy. Od tego zaczniesz zbieranie informacji.

\* \* \*

To miejsce będzie w sam raz, pomyślał Kelly. „Springer” wolniutko posuwał się do przodu. Kelly’emu zależało na miejscu, które nie będzie opuszczone, ale też nie może przypominać mrowiska. Uważnie przyjrzał się linii brzegowej. Budynek nad wodą prawdopodobnie był szkołą. Nie świeciło się w żadnym z okien. Z tyłu widać było zabudowania niewielkiego miasteczka oświetlonego zaledwie kilkoma latarniami. Od czasu do czasu Kelly obserwował powoli przesuujące się pozycyjne światła samochodów na głównej ulicy. Za zakrętem rzeki dostrzegł plantację, prawdopodobnie tytoniu, z domem stojącym jakieś sześćset metrów od wody. Właściciele najwyraźniej oglądali telewizję, co uniemożliwi im zobaczenie czegokolwiek na zewnątrz. Zaryzykuje w tym miejscu.

Kelly zostawił silnik na jałowym biegu i wyrzucił małą kotwicę dziobową. Bezszelestnie spuścił swoją dingi na wodę i przeciągnął ją na rufę. Przerzucenie Billy’ego przez reling nie nastęczało zbyt trudności, ale umieszczenie go w dingi to już zupełnie inna sprawa. Kelly musiał nałożyć mu kamizelkę ratunkową. Wrzucił go do wody i przywiązał kamizelkę cumką do dingi, po czym powiosłował w stronę brzegu. Po czterech minutach dotknął dnem bagnistego wybrzeża. Teraz już był pewien, że budynek był szkołą. Rano na pewno ktoś się tu pojawi. Wskoczył z dingi i wyciągnął Billy’ego na brzeg. Zdjął mu kamizelkę i szepnął do ucha:

— Teraz tu chwilę zostaniesz.

— ... zostaniesz.

— Dobry chłopak. — Kelly odepchnął się nogą od brzegu i zaczął wiosłować w stronę „Springera”, rzucając ostatnie spojrzenie na Billy’ego. Zostawił go nagiego. Ciało nie nosiło żadnych znaków szczególnych, z wyjątkiem tych, które stworzył Kelly. Billy wielokrotnie zapewniał go, że nigdy nie pobierano mu odcisków palców. Jeżeli była to prawda, policja nie ma najmniejszych szans na identyfikację. Poza tym, w takim stanie Billy nie pożyje zbyt długo. Uszkodzenia mózgu były zbyt poważne, co pozwalało na przypuszczenie, że organy wewnętrzne nie znajdowały się w lepszym stanie. Kelly okazał w końcu nieco ludzkich uczuć — przynajmniej do Billy’ego nie dobiórą się wrony, tylko lekarze. Po upływie kilku minut „Springer” płynął już powoli w górę Potomaku.

Po dwóch godzinach Kelly dostrzegł nabrzeże bazy piechoty morskiej w Quantico. Ostrożnie — był już nieco zmęczony — podpłynął do pomostu.

— Kto to? — odezwał się czyjś głos w ciemnościach.

— Nazywam się Clark — odparł Kelly. — Mieli was powiadomić o moim przybyciu.

— Zgadza się. Ładna łódka — rzucił wartownik, idąc w stronę drewnianej budki. Po kilku minutach od strony kwater oficerskich nadjechał samochód.

— Jest pan wcześniej — zauważył Marty Young.

— Możemy od razu zacząć, panie generale. Wejdzie pan na pokład?

— Dzięki, panie Clark. — Rozejrzał się po mesie. — Jak się panu udało zdobyć takie cacko?

— Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, panie generale — odparł Kelly.

Young przyjął tę odpowiedź ze zrozumieniem.

— Wściekły powiedział mi, że będzie brał pan udział w operacji.

— Tak jest.

— Jest pan w formie? — Young zauważył na przedramieniu Kelly'ego tatuaż i zastanawiał się, co może on oznaczać.

— Chyba tak, panie generale. Co za ludzie zgłosili się do zadania?

— Wszyscy są ze zwiadu piechoty morskiej. Dajemy im nieźle popalić.

— Pobudka o piątej trzydzieści i parę kilometrów przed śniadaniem?

— Zgadza się. Jutro ktoś pana obudzi. — Young uśmiechnął się. — Musimy zadbać, żeby był pan naprawdę w formie.

Kelly odwzajemnił uśmiech. — W porządku, panie generale.

\* \* \*

— Co jest tak cholernie ważne? — zapytał Piaggi, zdenerwowany najściem w sobotni wieczór.

— Myślę, że ktoś chce mnie załatwić. Chcę wiedzieć kto — oświadczył Tucker.

— Naprawdę? — To już był jakiś powód do tak nieoczekiwanej wizyty, pomyślał Tony. — Powiedz, co się stało.

— Ktoś kasuje detalistów na moim terenie — oznajmił Tucker.

— Czytam gazety — zapewnił go Piaggi. Nalał nieco wina do kieliszka gościa. W takich sytuacjach czasami dobrze jest na chwilę oderwać uwagę rozmówcy od dramatyzmu sytuacji. Wprawdzie Tucker nigdy nie będzie członkiem rodziny do której należał Piaggi, ale był jednak cennym współpracownikiem. Należało mu się trochę komfortu psychicznego. — Co w tym takiego niezwykłego?

— Ten sam facet załatwił moich dwóch ludzi. Ricka i Billy'ego.

— Ten sam, który...?

— Zgadza się. Zniknęła też jedna z moich dziewczyn. — Podniósł kieliszek i upił nieco wina, nie spuszczać wzroku z Piaggiego.

— Zwinęła kasę?



— Billy miał przy sobie siedemdziesiąt tysięcy w gotówce. Gliny znalazły je nietknięte. — Tucker dorzucił jeszcze kilka szczegółów. — Gliniarze twierdzą, że wygląda to na robotę profesjonalisty.

— Masz jakichś wrogów na ulicy? — zapytał Tony. Nie było to szczególnie bystre pytanie — każdy w tym interesie miał wrogów — ale liczył się wspomniany przez gościa czynnik profesjonalizmu.

— Zadbalem o to, by gliny wiedziały o moich głównych rywalach.

Piaggi skinął głową. Takie postępowanie mieściło się w normie, ale niesło też z sobą pewien element ryzyka. Henry wyglądał jednak na faceta, który wie kiedy zaryzykować.

— Ktoś wyrównuje rachunki?

— Ten ktoś nie zostawiłby takiej forsy.

— Zgadza się. Mam dla ciebie wiadomość, Henry. Ja też nie zostawiłbym takiej forsy.

Naprawdę? — pomyślał Tucker, przyglądając się swojemu rozmówcy.

— Tony, są dwa wyjścia. Albo ten gość spartaczył robotę albo chce mi coś dać do zrozumienia. Zabił już siedmiu lub ośmiu ludzi i zrobił to bez pudła. Ricka załatwił nożem. Nie, nie sądzę, żeby to był partacz.

— Słyszałem, że innych handlarzy załatwił z dwudziestki dwójki.

— Jednego rozwalił z obrzyna, prosto w brzuch. Gliny sprawdzają wszystkich włóczęgów na ulicy i robią to cholernie ostrożnie.

— O tym nie słyszałem — przyznał Piaggi. Tucker musi mieć świetne źródła informacji, ale w końcu działa na swoim terenie.

— Wszystko to razem wygląda na zawodowca — podsumował Tucker. — Kogoś naprawdę dobrego.

Piaggi skinął twierdząco głową, chociaż tak naprawdę nic z tego nie rozumiał. Świetnie wyszkoleni zabójcy mafii pojawiali się głównie w wyobraźni reżyserów telewizyjnych i filmowych. Wyrok wydany przez organizację wykonywał z reguły jej członek, który na codzień prowadził przeciętne, uregulowane życie. Prawie nigdy nie potrzebne były do tego specjalne umiejętności. Nigdy nie istniała wyselekcjonowana klasa zabójców, którzy cierpliwie czekali na telefon, załatwiali gościa i wracali do swoich luksusowych domów, by oczekiwać kolejnego zlecenia. Oczywiście, istnieli członkowie mafii o nieprzeciętnych zdolnościach w tym kierunku, ale to było jednak co innego. Zazwyczaj chodziło o kogoś, komu zabicie przychodziło bez trudności, co oznaczało, że sam wyrok zostanie wykonany bez zbytniego zamieszania. Styl zabójstwa nie był w ogóle istotny. Tak więc termin „zawodowiec” dla Piaggiego brzmiał raczej jak coś ze świata filmu. Ale jak miał to wytłumaczyć Tuckerowi?

— To żaden z moich ludzi — oświadczył w końcu. To, że tak naprawdę nie zatrudniał żadnych zabójców, nie było tu istotne, pomyślał obserwując jaki efekt wywarły jego słowa na Henrym. Henry zawsze zakładał, że Piaggi wie wiele na

temat zabijania. Z kolei Tony wiedział, że mógłby być uczniem Tuckera w tej dziedzinie. Teraz jednak obserwował twarz Henry'ego, starając się przeniknąć jego myśli. Wypił niespiesznie kolejny łyk Chianti.

Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? To pytanie wyraźnie malowało się na twarzy Tuckera.

— O co chodzi, Henry? — zapytał Piaggi, żeby przerwać napiętą ciszę.

— Nie sądzę, żebyś ty to robił. Jesteś na to za sprytny — oświadczył w końcu Tucker.

— Cieszę się, że tak myślisz. — Tony uśmiechnął się i nalał im obu wina.

— A co z Eddiem?

— Co masz na myśli?

— Czy on kiedyś zostanie członkiem organizacji? — Tucker spuścił wzrok, kołysząc w dłoni kieliszkiem. Jedno trzeba było przyznać Tony'emu — zawsze wprowadzał właściwą atmosferę do rozmów o interesach. Tony był spokojny, zamysłony i zawsze grzeczny, nawet jeżeli zadało się drażliwe pytanie.

— To raczej delikatna kwestia, Henry. Naprawdę nie powinienem z tobą o tym rozmawiać. Ty nigdy nie zostaniesz członkiem. Wiesz o tym.

— Nie ma sprawy. Chodzi mi tylko o interesy z tobą. — Tucker wykorzystał okazję, żeby posłać Piaggi'emu uśmiech, mając nadzieję, że rozładuje w ten sposób napięcie. Udało mu się.

— Nie sądzimy, żeby Eddie został kiedykolwiek członkiem. Chyba się do tego nie nadaje.

— Może stara się udowodnić, że się mylicie.

Piaggi pokręcił głową. — Nie wydaje mi się. Eddie wyciąga niezły kawałek szmału i docenia to.

— W takim razie kto? — zapytał Tucker. — Kto jeszcze wie wystarczająco wiele o interesie? Kto inny wysłałby na tamten świat siedmiu ludzi, żeby zamaskować prawdziwy cel? Kto mógłby zaaranżować wszystko tak, by wyglądało na robotę zawodowca?

Eddie jest na to za głupi, pomyślał Tony. Albo mi się tak zdaje.

— Henry, załatwienie Eddiego spowodowałoby poważne problemy. — Przerwał na chwilę. — Ale rozejrzę się.

— Dziękuję — powiedział Tucker. Wstał i zostawił Piaggiego nad kieliszkiem wina.

Piaggi nie ruszył się, by odprowadzić gościa do drzwi. Dlaczego to wszystko jest tak skomplikowane? Czy Henry mówi prawdę? Prawdopodobnie tak. Tony był jedynym łącznikiem Henry'ego z mafią i naruszenie tego układu przyniosłoby wszystkim straty. Tucker może stać się kimś ważnym, ale nigdy nie będzie kimś z wewnątrz. Był jednak sprytny i zapewniał spore zyski. Mafia często korzystała z usług takich ludzi, „członków stowarzyszonych”, których znaczenie było wprost

proporcjonalne do użyteczności. Wielu z nich miało nawet większy zakres władzy, niż prawdziwi członkowie, ale zawsze pozostawała pewna różnica. Podczas podejmowania naprawdę poważnej decyzji, fakt bycia prawdziwym członkiem był najistotniejszy.

To rzucało nowe światło na sprawę. Czy Eddie był zazdrosny o status Henry'ego? Czy aż tak bardzo chciał zostać członkiem mafii, by zniszczyć tak świetny interes? To nie miało sensu, pomyślał Piaggi. Ale co miało?

\* \* \*

— Ahoj, „Springer”! — rozległ się głos. Kapral *marines* zdziwił się nieco, widząc natychmiast otwierające się drzwi od kajuty. Spodziewał się, że będzie musiał wyciągać przybyłego wczoraj... cywila... z wygrzanego łóżeczka. Zamiast tego zobaczył, że Kelly energicznie wychodzi na pokład w polowym ubraniu i butach. Nie był to mundur piechoty morskiej, ale wystarczająco go przypominał, by świadczyć o poważnym podejściu przybysza do ćwiczeń. Zobaczył też ciemniejsze miejsca po wyprutych plakietkach formacji i naszywce z nazwiskiem. Całość w niejasny sposób wzbudziła w nim szacunek.

— Proszę za mną. — Kapral odwrócił się, a Kelly podążył za nim bez słowa.

Wsiadli do samochodu i ruszyli w stronę wzgórza. Kelly'emu przemknęło przez myśl, że przydałoby mu się kilka dodatkowych godzin snu.

— Jesteś kierowcą generała?

— Tak jest, sir. — Na tym zakończyła się ich rozmowa.

Było ich dwudziestu pięciu. Stali w porannej mgle, przeciągając się i gawędząc leniwie. Na widok samochodu generała wszystkie głowy odwróciły się. Kiedy z jego wnętrza wysiadł Kelly, w oczach wszystkich odbiło się pytanie: kto to u diabła jest?

— Sierżant Irving?

Starszy sierżant Paul Irving skinął głową, taksując wzrokiem nowo przybyłego. — Zgadza się, proszę pana. Pan Clark?

Kelly skinął głową. — O tej porze żadne inne nazwisko nie przychodzi mi do głowy.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Irving wyglądał na ostrożnego, opanowanego podoficera, co było do przewidzenia przy jego wieku i doświadczeniu.

— W jakiej jest pan formie? — zapytał Irving.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać — odparł Clark.

Irving uśmiechnął się szeroko. — Dobrze. Pozwolę panu poprowadzić bieg. Dziś nie ma z nami naszego kapitana.

O, cholera!

— Teraz rozluźnijmy się nieco. — Irving ruszył w stronę zgromadzonych żołnierzy i postawił ich na baczność. Kelly zajął miejsce po prawej stronie w drugim szeregu.

— Czołem *marines*.

— Zwiad!!! — padła tradycyjna odpowiedź formacji.

Rozgrzewka był dość intensywna, ale Kelly nie musiał się zbytnio wysilać. Przez cały czas przyglądał się Irvingowi, który wykonywał wszystkie ćwiczenia niczym robot. Po pół godzinie wszyscy byli już dostatecznie rozluźnieni i po raz wtóry padła komenda „baczność”.

— Chcę wam przedstawić nowego członka naszej grupy. To jest pan Clark. Poprowadzi dzisiejszy bieg razem ze mną.

Kelly zajął jego miejsce i wyszeptał: — Nie mam pojęcia, w którą stronę mamy biec.

Irving uśmiechnął się zjadliwie. — Nie ma problemu, proszę pana. Niech pan tylko postara się nie stracić kontaktu wzrokowego.

— Prowadź, koniku pociągowy — odparł Kelly.

Czterdzieści minut później Kelly wciąż biegł na czele. Prowadzenie pozwalało mu narzucić najwygodniejsze dla siebie tempo, ale na tym kończyły się dobre wiadomości. Teraz koncentrował się tylko na tym, by się nie potknąć, o co nie było trudno przy narastającym zmęczeniu.

— W lewo — rzucił Irving. Nowa ścieżka poprowadziła ich w stronę porośniętych sosnami wzgórz.

Zabudowania! O Jezu, pomyślał Kelly, mam nadzieję, że tu się zatrzymamy. Wijąca się nieco ścieżka wychodziła na budynki i stojące wokół samochody. Co to takiego? Omal nie zatrzymał się ze zdziwienia i wydał rozkaz: — Przejść w marsz!

Manekiny?!

— Oddział — krzyknął Irving — stój! Spocznij! — dodał po chwili.

Kelly z trudem łapał powietrze i w duchu błogosławił swoje przebieżki w parku i wokół wyspy. Tylko dzięki nim zdołał przetrwać dzisiejszy poranek.

— Dzień dobry, panie Clark. — Okazało się, że jeden z samochodów był prawdziwy. Dostrzegł Jamesa Greera i Marty’ego Younga, którzy pomachali mu ręką.

— Dzień dobry — odpowiedział Kelly. — Mam nadzieję, że dobrze panowie spali.

— Zgłosiłeś się na ochotnika, John — przypomniał mu Greer.

— Przybiegli dziś cztery minuty później niż zwykle — wtrącił Young.

— Ale i tak nieźle, jak na szpiega.

Kelly rozejrzał się w wokół, nie kryjąc zdziwienia. Dopiero po minucie zorientował się, co mają przedstawiać makiety budynków.

— A niech to!

— To jest twoje wzgórze — wyjaśnił Young.  
— Rosną tu większe drzewa — zauważył Kelly, oceniając odległość.  
— Wzgórze też jest większe.  
— Dziś w nocy? — zapytał Kelly. Nie było trudno domyślić się, do czego zmierza generał.

— Myślisz, że nadajesz się już do tego?  
— Chyba powinniśmy się o tym przekonać. Gdzie jest prawdziwe miejsce akcji?

Na to pytanie odpowiedział Greer. — Jeszcze nie musisz tego wiedzieć.

— Na ile dni wcześniej się dowiem?

Człowiek z CIA zastanowił się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.

— Trzy dni przed wyruszeniem w drogę. Teraz masz okazję popatrzeć, co warci są ci ludzie. — Greer i Young odwrócili się i ruszyli w stronę samochodów.

*Marines* zaczęli popijać poranną kawę. Kelly dostał styropianowy kubek i wmieszał się w tłumek żołnierzy.

— Niezły jesteś — zauważył Irving.

— Dzięki. Zawsze uważałem, że to najważniejsza rzecz w wojsku.

— Co takiego?

— Szybka ucieczka jak najdalej od wroga.

Irving roześmiał się i zaczął wydawać rozkazy swoim podwładnym, którzy zabrali się do ustawiania manekinów. Okazało się, że zrodziła się już nawet pewna tradycja: manekiny kobiet przyporządkowane zostały poszczególnym manekinom dzieci. Wkrótce *marines* odkryli, że można je ustawić w najdziwniejszych pozach, co w nieuchronny sposób pociągnęło za sobą salwy śmiechu. Dwaj żartownisie przynieśli ze sobą nawet kostiumy bikini i pieczołowicie ubrali w nie wybrane starannie manekiny. Kelly przyglądał się temu z narastającym zdumieniem. Wkrótce zauważył, że ktoś zadał sobie wiele trudu, malując manekiny na naturalny kolor skóry, by dodatkowo przydać im realizmu. Jezu, pomyślał, i to właśnie piechota morska utrzymuje, że Marynarka składa się z samych szajbusów!

\* \* \*

USS „Ogden” był nowym, albo prawie nowym okrętem — został zwodowany w New York Naval Shipyard w 1964 roku. Wyglądał dość dziwacznie, przy swoich prawie dwustu metrach długości, tradycyjnej dziobowej części nadbudówki i jej całkowitym braku w części rufowej. Rufa była właściwie pływającym dokiem, którego pokrywa służyła jako lądowisko śmigłowców. Z doku korzystały jednostki desantowe piechoty morskiej. USS „Ogden” i jej jedenaście siostrzanych jednostek miało za zadanie dostarczyć na brzeg oddziały *marines*. Problem

tylko w tym, że podczas wojny wietnamskiej piechota morska była już od dawna na brzegu (z reguły dostarczana na pokładach samolotów transportowych) i okręty desantowe Floty Pacyfiku pozostały praktycznie bezrobotne. Wykorzystywano je więc do innych zadań. To właśnie stało się teraz udziałem USS „Ogden”.

Dźwigi nabrzeżne przeniosły na pokład okrętu ciężarówki z naczepami. Kiedy już zostały solidnie przymocowane do pokładu, wyrósł wokół nich cały las anten. Zainstalowano je również na nadbudówkach okrętu. Działania te przeprowadzono nie dbając zbytnio o tajemnicę wojskową — w końcu nie jest tak łatwo ukryć przed niepożądanymi oczyma okręt o wyporności siedemnastu tysięcy ton — było więc jasne, że „Ogden”, oraz dwie inne jednostki tej klasy, przekształciły się w pływające stanowiska oddziałów ELINT — elektronicznego wywiadu. USS „Ogden” wypłynął z bazy Marynarki San Diego tuż przed zachodem słońca bez eskorty i batalionu *marines*, który z reguły na nim okrętował. Załoga, składająca się z trzydziestu oficerów i czterystu marynarzy, zajęła się rutynowymi działaniami, na które składały się wachty, ćwiczenia ewakuacyjne, próbne alarmy przeciwlotnicze i inne zajęcia nie pozwalające zbytnio lenić się marynarzom. Po zapadnięciu zmroku okręt był już daleko w morzu. Z ciężarówkami na pokładzie, lasem anten i brakiem piechoty morskiej dawał gwarancję wszystkim zainteresowanym krajom, że nie wyrządzi nikomu poważnej krzywdy.

Dwanaście godzin później, dwieście mil od wybrzeży Kalifornii, szef pokładu wydał nieco zdziwionym marynarzom rozkaz uprzątnięcia z platformy lotniczej wszystkich, z wyjątkiem jednej, ciężarówek. Wkrótce też z pokładu zniknęły anteny, przeniesione śladem ciężarówek w stronę przestronnych luków towarowych USS „Ogden”.

\* \* \*

W bazie Marynarki Subic Bay, kapitan USS „Newport News” wraz z pierwszym oficerem i szefem artylerii pokładowej przeglądali harmonogram zadań bojowych na najbliższy miesiąc. „Newport News” był jednym z ostatnich prawdziwych krążowników na świecie, które uzbrojono w półautomatycznie ładowane ośmiocalowe działa. Naboje do dział przypominały, jeżeli pominąć skalę, zwykłe naboje z mosiężnymi łuskami, które przeciętny myśliwy wkłada podczas polowań do komory naboju swojej *Winchestera* .30-30. O tym, że artyleria pokładowa potrafi stworzyć prawdziwą nawałę ogniową z dystansu dwudziestu mil przekonał się dwa tygodnie wcześniej pewien batalion armii Północnego Wietnamu. Podczas ostrzału szybkostrzelność jednego działa wynosiła pięćdziesiąt wystrzałów na minutę. Środkowe dział drugiej wieży nie było sprawne, tak więc USS „Newport News” był w stanie wysłać w kierunku celu tylko czterysta pocisków na minutę, ale i tak stanowiło to ekwiwalent stu pięćsetkilogramowych bomb lotniczych. Następnym zadaniem krążownika okazało się przeprowadzenie ostrzału

wybranych baterii przeciwlotniczych na wybrzeżu Wietnamu Północnego. Misja wywołała na twarzy kapitana uśmiech zadowolenia, ale tak naprawdę szczęśliwy byłby, gdyby dowództwo Floty Pacyfiku pozwoliło mu którejs pięknej nocy na małą wycieczkę na redę Hajfongu.

\* \* \*

— Wygląda na to, że marnujemy czas, panowie — stwierdził piętnaście minut po drugim w nocy generał Young.

— Żądać od niego pierwszej nocy czegoś takiego nie jest do końca w porządku — zauważył „Wściekły” Maxwell.

— Wściekły, jeśli on chce podejść moich *marines*. . . — To było typowe dla Younga. Wszyscy żołnierze piechoty morskiej byli „jego”. Jemu też przypisywano autorstwo doktryny bezpośredniego wsparcia z użyciem śmigłowców.

Stali na wierzchołku wzgórza górującego nad wzniesionym dla żołnierzy Younga „obozem jenieckim”. Na zboczach pagórka rozlokowało się piętnastu *marines*, których zadaniem było wykrycie i „wyeliminowanie” Kelly’ego, który z kolei miał za zadanie dotarcie na wierzchołek. Nawet generał Young uważał, że to zbyt trudny test dla kogoś, kto tego samego dnia przyłączył się do grupy, ale Jim Greer tak się rozwodził o wyczynach tego faceta. . . A poza tym szpiedzy muszą wreszcie dowiedzieć się, gdzie ich miejsce. Nawet „Wściekły” Maxwell z tym się zgadzał.

— Co za marny sposób zarabiania na życie — zauważył admirał, który miał na koncie tysiąc siedemset lądowań na lotniskowcach.

— Opowieści płaszczą i szpady — zachichotał Young. — Nie da rady. Naprawdę nie sędzę, żeby udało mu się to za pierwszym razem. Mamy w końcu niezłych chłopaków w naszej grupie, co Irving?

— Tak jest, panie generale — zgodził się bez wahania sierżant.

— A co sędzicie, sierżancie, o Clarku? — zadał kolejne pytanie Young.

— Wygląda na faceta, który przeżył już co nieco — przyznał Irving. — W całym niezłej formie jak na cywila. . . i podobają mi się jego oczy.

— Oczy?

— Nie zauważył pan tego? Ma zimne oczy. Musiał się już napatrzyć. — Rozmawiali przyciszonymi głosami. Kelly miał za zadanie dotrzeć tu i nie chcieli ułatwiać mu zadania. — Ale dziś w nocy nie da rady. Już zapowiedziałem chłopakom co ich czeka, jeżeli przedostanie się przez posterunki.

— Czy wy w piechocie morskiej nie słyszeliście o fair play? — zapytał Maxwell, uśmiechając się w ciemności.

— Dla mnie, panie admirale, „fair” oznacza powrót wszystkich *marines* do domu. I niech szlag trafi resztę, za przeproszeniem.

— To dziwne, sierzancie, ale ja też zawsze używałem takiej definicji „fair”.

— Oglądałeś ostatnio rozgrywki baseballu, Marty? — Mężczyźni wyraźnie się odprężyli. Wyglądało na to, że Clark nie da jednak rady.

— W tym sezonie Oriole są chyba najlepsi.

— Panowie, powinniśmy chyba się bardziej skoncentrować — zasugerował dyplomatycznie Irving.

— Oczywiście. Wybaczcie, sierzancie — powiedział Young. Dwaj wyżsi oficerowie zamilkli, przyglądając się jak fosforyzujące wskazówki ich zegarków pełzną w stronę godziny trzeciej, o której według planu miały zakończyć się ćwiczenia. Przez cały ten czas nie usłyszeli nawet, żeby Irving odezwał się. Nie słyszeli nawet jego oddechu. Trwało to godzinę. Słuchali szelestu wiatru w gałęziach sosen, trzepotu skrzydeł nietoperzy i innych nocnych „lotników”. Wreszcie o drugiej pięćdziesiąt pięć Marty Young wstał, przeciągnął się i zaczął przetrząsać kieszenie munduru w poszukiwaniu papierosów.

— Ma ktoś papierosa? Zapomniałem ze sobą zabrać i oddałbym wszystko za dymka — wymamrotał czyjś głos.

— Częstujcie się, żołnierzu — jak przystało na opiekuńczego generała powiedział Young. Wyciągnął paczkę w stronę sylwetki w ciemnościach i zapalił zapalniczkę Zippo. Nagle odskoczył w tył. — Cholera jasna!

— Osobiście uważam, panie generale, że w tym sezonie lepszy będzie Pittsburgh. Oriole nie mają dobrego miotacza. — Kelly pociągnął raz i rzucił papierosa na ziemię.

— Od jak dawna pan tu jest? — zapytał Maxwell.

— Opowieści płaszczą i szpady — rzucił z chichotem Kelly. — Zabiłem pana około pierwszej trzydzieści.

— Ty sukinsynu! — zaklął Irving. — Najgorsze, że mnie też zabiłeś.

— Ty przynajmniej potem siedziałeś cicho przez ponad godzinę.

Maxwell włączył latarkę. Clark — admirał zdecydował się w tym momencie tylko tak go nazywać — stał naprzeciwko niego z gumowym nożem w ręce i twarzą pomalowaną w zielono-czarne pasy. Po raz pierwszy od czasów bitwy o Midway starego marynarza przeszedł dreszcz strachu.

— Jak pan to zrobił, u diabła? — zapytał.

— Chyba nie najgorzej, panie admirale — odparł ze śmiechem Kelly, sięgając po manierkę Marty’ego Younga. — Gdybym wszystkim opowiadał o swoich małych tajemnicach, każdy mógłby tego dokonać.

Irving podniósł się z ziemi i podszedł do Kelly’ego.

— Panie Clark, myślę, że pan się nadaje.



## 22 — Tytuły

Griszanow wyglądał przez okna ambasady. Hanoi było dziwnym miastem, mieszanką starych budynków we francuskim kolonialnym stylu, małych żółtych ludzi i kraterów po bombach. Podróż po kraju będącym w stanie wojny stanowiła niezwykle przeżycie nawet w samochodzie pomalowanym w barwy ochronne. Przelatujący w górze szturmowy samolot Sił Powietrznych USA z łatwością mógł urządzić sobie ćwiczenia strzeleckie, ale z reguły rzadko do tego dochodziło. Na szczęście był pochmurny dzień, co pozwoliło mu wprawdzie na odrobinę relaksu, ale nie komfortu. Zbyt wiele mostów zostało zniszczonych i zbyt wiele dróg podziurawionych bombami, podróż trwała więc trzy razy dłużej niż powinna. Oczywiście lot śmigłowcem byłby szybszy, ale stałby się jednocześnie wyrefinowaną formą samobójstwa. Amerykanie zdawali się wierzyć w to, że samochód może być własnością jakiegoś cywila — w kraju, w którym rower był symbolem statusu społecznego! Jednak śmigłowiec dla pilota myśliwca był tu wyłącznie okazją do domalowania kolejnej sylwetki na kadłubie Phantoma. W Hanoi Griszanow miał okazję znaleźć się w betonowym budynku, gdzie od czasu do czasu była nawet elektryczność, natomiast klimatyzacja pozostawała w sferze fantazji. Otwarte na przestrzał okna umożliwiały wprawdzie oddychanie, ale też ułatwiały dostęp całym rzeszom dokuczliwych owadów. Mimo wszystko Rosjanin nie żałował podróży do ambasady, gdzie mógł wreszcie mówić we własnym języku i przez cennych kilka godzin przestać bawić się w dyplomację o niejasnym statusie.

— No i jak? — zapytał generał.

— Idzie nieźle, ale potrzeba mi więcej ludzi. To zbyt wielkie zadanie jak na siły jednego człowieka.

— To niemożliwe. — Generał nalał swojemu gościowi szklanek wody mineralnej, w której podstawowym minerałem była sól. — Mikołaju Jewgieniewiczu, znów miałem problemy z Wietnamczykami.

— Towarzyszu generale, zdaję sobie sprawę, że jestem tylko pilotem myśliwskim, a nie teoretykiem nauk politycznych. Zdaję sobie sprawę, że nasi socjaliści sprzymierzeńcy znajdują się na pierwszej linii walki pomiędzy marksizmem-leninizmem, a reakcyjnymi siłami Zachodu. Zdaję sobie sprawę, że ta wojna to tylko wstęp do wyzwolenia świata z pęt. . .

— Zgadza się, Kola — przerwał mu generał, skracając w ten sposób recytację lotnika. — To wszystko prawda. Przechodź do rzeczy. Mam przed sobą ciężki dzień.

Pułkownik skinął głową. — Te aroganckie żółtki wcale nam nie pomagają. Wykorzystują nas tylko, i jeżeli to nazywa się marksizm-leninizm, to ja jestem trockistą. — Mało kto odważyłby się na taki dowcip, ale ojciec Grisanowa był członkiem Komitetu Centralnego o nieposzlakowanej przeszłości.

— Czego się dowiedzieliście, towarzyszu pułkowniku? — zapytał generał, starając się wreszcie przejść do sprawy.

— Pułkownik Zacharias jest wart tyle złota, ile waży. Właśnie jesteśmy na etapie rozwiązywania zagadnienia jak bronić *Rodiny* przed Chińczykami. On dowodzi „niebieskimi”.

— Że co? — Generał zamrugnął powiekami. — Możecie to wyjaśnić?

— Nasz jeniec jest pilotem myśliwskim, ale przede wszystkim ekspertem w dziedzinie obrony przeciwlotniczej. Możecie uwierzyć, że został zestrzelony podczas „gościnnych występów”? Jego stałe miejsce pracy to Dowództwo Lotnictwa Strategicznego, gdzie zajmuje się kwestiami zagłuszania podczas ataków i działaniami pozoracyjnymi. Teraz robi to dla mnie.

— Macie jakieś notatki?

Twarz pułkownika pociemniała. — Zostały w obozie. Towarzysze wietnamscy „studiują” je. Towarzyszu generale, zdajecie sobie sprawę, jak cenne są te dane?

Generał służył przez całe życie jako czołgista, nie jako lotnik, ale zarazem był jedną z bardziej obiecujących postaci na firmamencie radzieckich sił zbrojnych. Przysłano go tu, do Wietnamu, żeby analizował wszystko, czego można dowiedzieć się o Amerykanach. — Domyślam się, że są nieocenione.

Kola pochylił się nad stołem. — Za jakieś dwa miesiące, może sześć tygodni, będę w stanie poznać dokładnie ich plan nuklearnego ataku powietrznego. Będę w stanie myśleć tak, jak oni myślą. Będę orientował się nie tylko w ich aktualnej doktrynie, ale uda mi się też przewidzieć ich posunięcia w przyszłości. Ten Amerykanin udziela mi właśnie wykładu na temat doktryny wojennej Stanów Zjednoczonych. Pamiętam dane wywiadowcze z KGB i GRU. Nasi szpiedzy mylą się przynajmniej w pięćdziesięciu procentach. A dowiedziałem się tego tylko od jednego człowieka. Inny jeniec powiedział mi o taktyce manewrów lotniskowców. Jeszcze inny o planach wojennych NATO. Wszystko świetnie idzie, towarzyszu generale.

— Jak wam udało się tego dokonać? — Generał był nowy na tej placówce i tylko raz miał wcześniej okazję spotkać się z Grisanowem. Słyszał jednak o nim same superlatywy.

Kola odchylił się w krześle. — Uprzejmością i współczuciem.

— Wobec naszych wrogów? — ostro zapytał generał.

— Czy naszym zadaniem jest zadawanie bólu tym ludziom? — Wskazał ręką za okno. — Oni się w tym specjalizują i co dostają w zamian? Głównie kłamstwa, które tylko brzmią dobrze. Moja sekcja w Moskwie odrzuciła prawie wszystkie uzyskane od tych małych informacje.

— Po co przyszliście do mnie?

— Potrzebuję więcej ludzi! Co się stanie jeżeli zginę, jeżeli zachoruję na malarię czy zatrucie pokarmowe? Kto będzie prowadził tę robotę? Nie jestem w stanie sam przesłuchać wszystkich więźniów. Zwłaszcza teraz, kiedy zyskałem sobie ich zaufanie, spędzam z każdym z nich coraz więcej czasu. Dzień robi się za krótki.

Generał tylko westchnął. — Próbowałem. Zaoferowali wam swoich najlepszych. . .

— Swoich najlepszych barbarzyńców! — przerwał mu podniesionym głosem Griszanow. — Tylko zepsuliby mi robotę. Potrzebuję Rosjan! Pilotów, doświadczonych ekspertów. Nie przesłuchuję szeregowców. To zawodowi wojskowi. Są dla nas cenni przez to, co wiedzą. Wiedzą wiele, ponieważ są inteligentni, a ponieważ są inteligentni reagują zamknięciem się na prymitywne metody przesłuchań. Wicie, kogo naprawdę mi potrzeba? Dobrego psychiatry.

— Psychiatry? Nie mówicie chyba poważnie. W ogóle wątpię, żeby udało mi się wprowadzić do obozu naszego człowieka. Moskwa opóźnia kolejną dostawę rakiet przeciwlotniczych z „przyczyn technicznych”, co nie poprawia stosunków z miejscowymi władzami. — Generał odchylił się na oparcie i wytarł pot z czoła. — Czego jeszcze chcecie?

— Nadziei, towarzyszu generale. Potrzebuję nadziei. — Pułkownik Griszanow przygotował się na kolejne wyjaśnienia.

— O co wam chodzi?

— Niektórzy z jeńców orientują się w swojej sytuacji. Prawdopodobnie wszyscy się domyślają, co ich czeka. Zdają sobie sprawę, co z reguły dzieje się z amerykańskimi jeńcami i zdają sobie sprawę z tego, że ich status jest czymś, odbiegającym od normy. Towarzyszu generale, ci ludzie dysponują encyklopedyczną wiedzą. Możemy z niej korzystać przez całe lata.

— Do czegoś wyraźnie zmierzacie.

— Nie możemy pozwolić, by umarli — wyrzucił z siebie Griszanow, od razu zastrzegając się: — Przynajmniej nie wszyscy. Niektórzy nawet muszą zginąć. Kilku pójdzie z nami na współpracę, ale muszę im coś zaoferować.

— Chcecie odesłać ich do kraju?

— Po tym piekle, które tu przeszli. . .

— Oni są naszymi wrogami, pułkowniku! Szkolono ich po to, by nas zabijali! Zachowajcie swoje współczucie dla swoich ziomków! — warknął wojskowy, który walczył w śniegach pod Moskwą.

Griszanow nie miał zamiaru ustępować. — Są takimi samymi ludźmi jak my, towarzyszu generale. Ich wiedza może być dla nas nieoceniona, i tylko my mo-

żemy ją wykorzystać. Stoimy przed prostym wyborem: traktować ich jak ludzi i wykorzystać ich wiedzę do obrony naszej ojczyzny albo pozwolić, by zginęli bez potrzeby. Czy w ten sposób przysłużymy się naszej ojczyźnie? — Cały problem sprowadzał się do odpowiedzi na to pytanie, pomyślał generał. Spojrzał na młodego pułkownika.

— Chcecie, żebym ryzykował swoją karierą. Mój ojciec nie jest w Komitecie Centralnym. — Swoją drogą przydałby mi się ten Griszanow w batalionie pod Moskwą.

— Wasz ojciec był żołnierzem — odparł Griszanow. — I to dobrym żołnierzem, tak jak wy. — Obaj zdawali sobie sprawę, że spacerują nad skrajem przepaści. Gdyby ich operacja nie przyniosła spodziewanych rezultatów, GRU i KGB nie darowali by im. W takiej chwili zawodowy wojskowy mógł zrobić tylko jedno.

Generał-porucznik Jurij Konstantinowicz Jakowlew wyciągnął z szuflady biurka butelkę Starki. Nalał do dwóch szklanek.

— Nie mogę dać wam więcej ludzi. Na pewno też nie dam wam lekarza, nawet w mundurze. Ale, Kola, postaram się dostarczyć wam trochę nadziei.

\* \* \*

Trzeci atak konwulsji od chwili przybycia do domu Sandy był już słabszy, co nie oznaczało, że mniej groźny. Sarah złagodziła drgawki zastrzykiem barbituranów. Stan zdrowia dziewczyny był opłakany: kiła, rzeżączka, objawy zatrucia ogólnego i początki cukrzycy. Z pierwszymi trzema chorobami zaczęła już walczyć za pomocą silnej dawki antybiotyków. Z cukrzycą nie była sprawa tak prosta; na razie musiała wystarczyć odpowiednia dieta.

— Pani doktor, ja. . .

— Sandy, czy możesz wreszcie mówić mi po imieniu? Jesteśmy w twoim domu, pamiętasz?

Siostra O'Toole przywołała na twarz niezdecydowany uśmiech. — W porządku, Sarah. Chciałam ci powiedzieć, że się martwię.

— Ja też. Martwię się o jej stan zdrowia fizycznego i psychicznego. No i martwię się jej „przyjaciółmi” . . .

— Ja martwię się o Johna — przerwała Sandy. Doris wyjdzie z tego. Jako doświadczona pielęgniarka zdawała sobie z tego sprawę.

Sarah zeszła na dół do kuchni. W ekspresie właśnie parzyła się kawa. Po kilku chwilach do kuchni weszła Sandy.

— Tak, też się o niego martwię. To zagadkowy człowiek.

— Myślę, że on zabija ludzi. — Powiedzenie tych kilku słów sprawiło Sandy prawie fizyczny ból.

— Myślę, że się nie mylisz. — Sarah Rosen usiadła na krześle i potarła znużonym gestem oczy. — Nigdy nie miałaś okazji spotkać Pam. Była ładniejsza od

Doris, bardzo szczupła, prawdopodobnie na skutek złego odżywiania. Nigdy nie dowiedzieliśmy się o wszystkim, co ją spotkało. Chyba tylko John zna całą prawdę. Ale nie to jest ważne, Sandy. — Sarah spojrzała prosto. — Myśmy wyciągnęli ją z grobu, a to co się potem stało, w jakiś sposób zmieniło Johna.

Sandy odwróciła się w stronę okna. Była siódma rano. Sąsiedzi wychodzili w szlafrokach i podnosili z podjazdów gazety i butelki z mlekiem. Odwróciła się do Sarah. — Nie, on się nie zmienił. To coś zawsze w nim tkwiło. Śmierć Pam, nie wiem, chyba uwolniła to coś. Tak jak otwarcie klatki z dzikim zwierzęciem. Jest w nim coś z Tima, ale też dostrzegam coś, czego nie rozumiem i... boję się.

— Co z jego rodziną?

— Nie ma nikogo. Rodzice umarli. Miał żonę...

— Tak, mówił mi o niej. No i potem Pam... — Sarah pokręciła głową. — Strasznie samotny człowiek.

— Z jednej strony wiem, że jest dobrym człowiekiem, a z drugiej... — Sandy zawiesiła głos.

— Moje panińskie nazwisko brzmi Rabinowicz — powiedziała Sarah, popijając kawę. — Moja rodzina pochodzi z Polski. Ojciec wyjechał, kiedy byłam zbyt mała, by to pamiętać. Matka umarła, kiedy skończyłam dziewięć lat. Miałam osiemnaście lat, kiedy wybuchła wojna. — Dla jej pokolenia słowo „wojna” oznaczało tylko jedną wojnę. — Mieliśmy wielu krewnych i znajomych w Polsce. Pamiętam, że pisałam często do nich. I nagle oni wszyscy zniknęli. Nikt nie został — nawet dziś trudno mi w to uwierzyć.

— Strasznie mi przykro, Sarah. Nie wiedziałam.

— Niezbyt chętnie o tym się mówi. — Doktor Rosen wzruszyła ramionami. — Miałam przyjaciółkę, Rewkę. Niemcy zabili ją, ale nie mam pojęcia, kiedy i gdzie. Wtedy byłam zbyt młoda, by to zrozumieć. Pamiętam, że dominującym uczuciem było zdziwienie... a potem wściekłość. Ale na kogo? Po Rewce pozostało tylko puste miejsce. Wciąż mam jej fotografię, dwunastoletniej dziewczynki z kucykami. Chciała zostać tancerką. — Sarah podniosła wzrok. — Kelly też ma takie puste miejsce.

— Ale zemsta...

— Tak, zemsta. Wiem. Powinnyśmy uważać, że Kelly jest złym człowiekiem. Powinnyśmy zadzwonić na policję, może nawet donieść na niego.

— Nie mogłabym.

— Ja też. Sandy, jeżeli on jest złym człowiekiem, to dlaczego przyprowadził tu Doris? W ten sposób się tylko naraża.

— Jest w nim jednak coś przerażającego.

— Mógł ją po prostu zostawić na miejscu — ciągnęła Sarah, jakby w ogóle nie słyszała Sandy. — Może jest takim człowiekiem, który uważa, że wszystko musi załatwić sam. Jednak teraz musimy mu pomóc.

— Co zrobimy z Doris?

— Doprowadzimy jej zdrowie do porządku, a potem wszystko zależeć będzie od niej samej. Cóż innego możemy zrobić?

— A co z Johnem?

— Nigdy nie widziałam, żeby złamał prawo, a ty?

\* \* \*

Tego dnia trenowali już z bronią. Solidna pokrywa chmur gwarantowała, że żaden satelita — obojętnie rosyjski czy amerykański — niczego nie zarejestruje. Wycięte z kartonu sylwetki „Wietnamczyków” stały już w wyznaczonych miejscach, a pozbawione życia manekiny przyglądały się jak z lasu wyłaniają się żołnierze piechoty morskiej, przebiegają przez bramę, strzelając amunicją o słabszym ładunku prochowym. W ciągu kilku sekund cele zostały rozerwane na strzępy. Dwa karabiny maszynowe *M-60* ziały ogniem w otwarte drzwi baraków — które na tym etapie prawdziwej akcji powinny być już zrównane z ziemią przez śmigłowce *Huey Cobra* — podczas gdy grupa uderzeniowa biegła co sił w stronę „więzienia”. W jego wnętrzu spoczywało dwadzieścia pięć manekinów w osobnych celach. Każdy ważył około siedemdziesięciu pięciu kilogramów — nikt nie wierzył, by Amerykanie uwięzieni w ZIELENIAKU wciąż tyle ważyli — i został wyniesiony przez członków grupy uderzeniowej do strefy lądowania, podczas gdy grupa wsparcia wciąż zasypywała obóz gradem pocisków.

Kelly stał obok kapitana Pete Albiego, który — dla celów szkoleniowych — „poległ” na samym początku akcji. Był jedynym oficerem w zespole, co stanowiło pewne odchylenie od rutyny *marines*, kompensowane obecnością dużej liczby doświadczonych podoficerów. Kiedy na pozorowanym pokładzie śmigłowca znalazł się ostatni manekin, Kelly nacisnął stoper.

— Pięć sekund poniżej zakładanego czasu. — Kelly spojrzął na zegarek. — Ci chłopcy są naprawdę niezli.

— Zapomnieliśmy chyba o jednej sprawie, panie Clark. Operacja nie odbędzie się podczas dnia, prawda? — Żołnierze z jego oddziału jeszcze nie wiedzieli wszystkiego o przyszłej misji, chociaż większość już się domyślała. — W porządku, to dopiero trzecia próba.

Obaj mężczyźni weszli na teren obozu. Liczba manekinów stanowiła wynik mnożenia zakładanej liczby załogi więzienia przez dwa — wszystkie zmieniły się w strzępy. Kelly i Albie przyglądali się zniszczonemu celom, analizując kąty pod jakim prowadzono ostrzał. Usytuowanie obozu miało swoje dobre i złe strony. Zgodnie z jakimś tajemniczym, radzieckim regulaminem rozplanowanie obozu nie brało w ogóle pod uwagę ukształtowania terenu. Dzięki temu najdogodniejsze podejście do obozu było od strony bramy głównej. Obóz z założenia przygotowany raczej do zapobieżenia ucieczkom, niż do obrony przed wrogiem z zewnątrz — ale kto mógł spodziewać się tu wroga?

Kelly w myśli powtórzył plan ataku. Od strefy lądowania śmigłowców do ZIENIAKA dzieli *marines* trzydzieści minut marszu w ciemnościach. Granatniki *M-79* eliminują wieże wartownicze. Dwa *Huey Cobra* ostrzeliwują baraki i wspomagają żołnierzy na ziemi koniecznym wsparciem ogniowym — Kelly był pewien, że obsługa granatników poradzi sobie z wieżami, nawet bez pomocy śmigłowców, w ciągu pięciu sekund. Granaty fosforowe niszczą doszczętnie baraki i likwidują resztki oporu ze strony załogi obozu. Z punktu widzenia Kelly'ego Wietnamczycy nie mieli najmniejszych szans — *marines* dysponowali zbyt miążdzącą przewagą siły ognia. Poza tym nikt nie twierdził, że walka ma być prowadzona *fair*.

— A jeżeli założyli tam pole minowe?

— Na własnym terenie? — odparł Kelly. — Na zdjęciach niczego nie widać, żadnych śladów kopania. Żadnych tablic ostrzegawczych.

— Wietnamczycy powinni wiedzieć, gdzie są miny.

— Na zdjęciach widać pasące się kozy tuż za ogrodzeniem.

Albie skinął głową z widocznym zmieszaniem. — Tak, ma pan rację. Przypominam sobie.

— Nie stwarzajmy sobie niepotrzebnych utrudnień — powiedział Kelly. Zamilkł, przypominając sobie, że jest tylko podoficerem, a rozmawia jak równy z równym — a nawet jak przełożony z podwładnym — z kapitanem zwiadu piechoty morskiej. — Uda nam się.

— Myślę, że ma pan rację, panie Clark. Jak się pan stamtąd wydostanie?

— Jak tylko nadlecą śmigłowce, pobiję rekord olimpijski w biegu w dół wzgórza. Zajmie mi to dwie minuty.

— W ciemnościach?

Kelly roześmiał się. — Panie kapitanie, w ciemnościach jestem szczególnie szybki.

\* \* \*

— Zdajesz sobie sprawę, ile jest noży *Ka-Bar*?

Z tonu jakim Douglas zadał to pytanie, porucznik Ryan wiedział, że odpowiedź będzie nieprzyjemna.

— Nie, ale chyba zaraz się dowiem.

— Do sklepu z demobilem Sunny'go nadszedł właśnie transport kolejnego tysiąca sztuk. *Marines* muszą mieć ich spory zapas, bo teraz byle skaut może sobie taki kupić za jedyne cztery dolary dziewięćdziesiąt pięć centów. W tym mieście jest kilka takich sklepów. Nawet nie potrafię oszacować przybliżonej liczby egzemplarzy na rynku.

— Ja też — przyznał Ryan. *Ka-Bar* był bardzo dużym i solidnym nożem. Przestępcy woleli mniejsze, zwłaszcza sprężynowe.

Obaj nie chcieli się do tego przyznać, ale wiedzieli, że znaleźli się w ślepych zaułku. Ryan spojrzął na otwartą teczkę z aktami sprawy. Zamordowana ofiara — prawdopodobnie przestępca, ale oficjalnie ofiara — została zidentyfikowana natychmiast na podstawie znalezionych w portfelu kart kredytowych, jednak adres w prawie jazdy okazał się fałszywy. Komputer policyjny wykazał, że wszelkie mandaty ofiary w przeszłości płacone były gotówką. Richard Farmer miał praktycznie czyste konto. Rozmowa z matką — ojciec nie żył od dawna — nie przyniosła nic nowego. Kobieta uważała, że jej syn pracował jako sprzedawca w bliżej nieokreślonej firmie. Jednak ktoś niemal wyciął mu serce nożem piechoty morskiej, tak szybko i dokładnie, że ofiara nawet nie zdążyła sięgnąć po broń. W centralnym archiwum FBI nie zarejestrowano odcisków palców ofiary. W sypialni znaleziono trzy pełne zestawy jego odcisków oraz ślady spermy, która odpowiadała jego grupie krwi: 0. Inna plama spermy wskazywała na grupę krwi AB i mogła należeć do mordercy lub zaginionego właściciela samochodu Roadrunner. Istniała możliwość, że zabójca odbył stosunek z kobietą, chyba że był homoseksualistą.

Policja dysponowała również zestawem odcisków, sądząc z rozmiarów, należących do kobiety. Odkryto również odciski niezidentyfikowanego! mężczyzny, ale ich jakość nie dawała większych nadziei ekipie dochodzeniowej. Na domiar złego upał zniszczył praktycznie wszystkie odciski na karoserii i wewnątrz samochodu zarejestrowanego na nazwisko Williama Petera Graysona.

W Centrum Informacji Komputerowej FBI nie znaleziono żadnych danych dotyczących Graysona i Farmera. Wydział Narkotyków Marka Charona też niczego nie wniósł do sprawy. Nie było wątpliwości: wrócili do punktu wyjścia. Jednak praca detektywa z reguły jest mieszanką codzienności i wydarzeń niezwykłych — zdecydowanie z przewagą codzienności. Rutynowe badania ekipy na miejscu zbrodni wykazały, że zabójca miał na sobie nowe (istotna informacja) tenisówki. Z długości kroku wyliczono, że mierzył pomiędzy sto siedemdziesiąt pięć, a sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, był biały i bardzo silny. Wiedzieli też, że miał bardzo dużo szczęścia albo doskonale radził sobie z różnymi rodzajami broni. Wiedzieli, że prawdopodobnie jest przeszkolony w walce wręcz, ale na ile jest dobry trudno było ustalić, ponieważ jego przeciwnik znajdował się pod wpływem heroiny. Wiedzieli też, że przebiera się za włóczęgę.

Reasumując, było to bardzo mało. Ponad połowa populacji Baltimore była biała. W Ameryce mieszkało ponad milion weteranów z Wietnamu, z czego dziesiątki tysięcy z jednostek elitarnych. W dodatku nic nie wskazywało, że musi chodzić o weterana z Wietnamu. Czy zabójca był z branży narkotykowej? Czy zabijał dla pieniędzy? A może, jak sugerował Faber, miał do spełnienia jakąś misję? Ryan skłaniał się ku tej ostatniej wersji, ale nie mógł sobie pozwolić na wykluczenie innych. Nawet najbardziej przekonująca teoria może rozbić się na kawałki w zderzeniu z jednym niewygodnym faktem. Przypomniawszy sobie jeszcze,



co powiedział Faber. Ten człowiek nie był kryminalistą, był zabójcą, a to nie to samo.

Zabójcą, który nie ograniczył się do jednego morderstwa i nic nie wskazywało na to, że jest to już koniec serii zgonów. Nawet najsprytniejszy zabójca wykonując kolejne „wyroki” wcześniej czy później popełni błąd. Ryan był tego pewny. I nie mylił się.

\* \* \*

— Dwa tygodnie — powiedział Maxwell.

— Tak szybko? — James Greer pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. — Wściekły, to cholernie szybko.

— Myślisz, że powinniśmy trochę pozwlekać? — zapytał Podulski.

— Do diabła, Kaz, powiedziałem tylko, że to cholernie szybko. Nie powiedziałem, że źle. Jeszcze dwa tygodnie treningu, tydzień na podróż i przygotowania na miejscu? — zapytał Greer, otrzymując w zamian skinięcie głową. — A co z pogodą?

— Tego nie da się zaplanować — przyznał Maxwell. — Zła pogoda przeszkadza w lataniu, ale przeszkadza również obronie przeciwlotniczej.

— Jak ci się udało tak szybko to wszystko załatwić? — zapytał Greer z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

— Są na to sposoby, James. Jesteśmy w końcu admirałami. Wydajemy rozkazy i — wyobraź sobie — okręty płyną tam, gdzie chcemy.

— Zaczynamy więc za dwadzieścia jeden dni?

— Zgadza się. Kaz leci jutro na USS „Constellation”. Zacznie tam przeszkolenie ludzi ze wsparcia lotniczego. USS „Newport News” jest już wprowadzony, no prawie. Kapitan sądzi, że będą ostrzeliwać nabrzeżne baterie przeciwlotnicze. Nasz statek-baza płynie właśnie przez Pacyfik. Nie wiedzą o niczym, poza tym, że mają się spotkać z Grupą Uderzeniową 77.

— Trzeba wprowadzić kupę ludzi — przyznał z grymasem Kaz.

— Załogi śmigłowców?

— Trenowały w Coronado. Dziś w nocy przylatują do Quantico. A co mówi twój „pan Clark”?

— Teraz jest moim człowiekiem? — zapytał Greer. — Mówi, że wszystko idzie dobrze. Jak by ci się podobało bycie zabitym?

— Tak ci powiedział? — zachichotał Maxwell. — James, wiedziałem, że gość jest niezły, ale to całkiem coś innego, zobaczyć — a raczej nie zobaczyć — tego na własne oczy. Postawił do pionu Marty’ego Younga, a to nie byle co. Wstydu najadło się też kilku *marines*.

— Myślisz, że nie będzie kłopotów z Ritterem?

- Nie sądzę. Jest w końcu jednym z nas.
- Będzie chciał zobaczyć próbę generalną — ostrzegł ich Greer. — Zanim facet stanie po naszej stronie, musi przekonać się jak to działa.
- W porządku. Jutro w nocy próba generalna.
- Będę tam, Wściekły — obiecał Greer.

\* \* \*

Zespół zebrał się w starym baraku przewidzianym dla sześćdziesięciu osób. Wewnątrz było dużo miejsca, tak że nikt nie musiał spać na górnej pryczy. Kelly zajmował osobny pokój, w normalnych koszarowych warunkach przewidziany dla sierżanta kompanii. Zdecydował, że nie będzie spał na w swojej łodzi. Nie można pogodzić przynależności do grupy z osobnym miejscem zamieszkania.

To była ich pierwsza wolna od ćwiczeń noc od czasu przybycia do Quantico i jakaś litościwa dusza zorganizowała trzy kartony piwa. Wypadło dokładnie trzy puszki na głowę, ponieważ jeden z żołnierzy z zespołu pił tylko wodę mineralną, a sierżant Irving dopilnował, by nikt nie przekroczył swojej normy.

— Panie Clark — zapytał jeden z *marines* — o co tu chodzi?

To nie w porządku, pomyślał Kelly, że chłopaki trenują, nie mając pojęcia po co. Z drugiej strony taka sytuacja nie byłaby czymś niezwykłym w każdej armii świata. Spojrzał prosto w oczy pytającemu.

— Nie mogę wam powiedzieć, kapralu. Musi wam tylko wystarczyć zapewnienie, że będziecie cholernie dumni ze swojej misji. Macie na to moje słowo.

Kapral, dwudziestojednoletni chłopak o najkrótszym stażu w grupie, tak naprawdę nie spodziewał się odpowiedzi, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować. Przyjął odpowiedź Kelly'ego wzniesieniem toastu puszką piwa.

— Znam ten tatuaż — odezwał się nagle inny z żołnierzy.

Kelly uśmiechnął się i dopił drugie piwo. — Pewnej nocy strasznie się upiłem i facet od tatuaży musiał mnie z kimś pomylić.

— SEAL nadają się tylko do balansowania z jajkiem na nosie — rzucił jeden z sierżantów.

— Mam to zademonstrować na twoim przykładzie? — odparował Kelly.

— Lepiej nie! — Sierżant rzucił Kelly'emu kolejne piwo.

— Panie Clark? — Irving gestem wskazał drzwi wyjściowe. Na zewnątrz było równie gorąco, ale łagodny wietrzyk. W powietrzu uwijały się nietoperze w pogoni za owadami.

— O co chodzi? — zapytał Kelly, pociągając solidny łyk.

— Też chciałbym wiedzieć — zażartował Irving. Nagle jego głos spoważniał. — Znam cię.

— Tak?

— Trzecia Specjalna Grupa Operacyjna. Mój oddział ubezpieczał was podczas operacji PŁASZCZ. Zaszedłeś daleko od bosmana z szóstą grupą uposażeniową — zauważył Irving.

— Lepiej tego nie rozpowiadaj, ale przed wyjściem do cywila awansowałem o jedną grupę. Czy ktoś jeszcze wie?

— Nie — tylko ty i ja.

— To nie był mój pomysł. Nie mam pojęcia, dlaczego admirałowie uwzięli się, żebym to ja prowadził akcję. Chyba łatwo im zaimponować, nie potrafię sobie tego inaczej wytłumaczyć.

— Mnie nie jest łatwo zaimponować. Z tym swoim pieprzonym gumowym nożem omal nie przyprawiłeś mnie o zawał. Nie mogę przypomnieć sobie twojego nazwiska, tego prawdziwego, ale chyba to ciebie nazywali Wąż? To ty załatwiłeś PLASTIKOWY KWIAT.

— To nie był najrozsądniejszy z moich wyczynów.

— Wtedy też was ubezpieczaliśmy. Ten cholerny śmigłowiec nie chciał polecieć — silnik nawalił trzy metry nad ziemią. Na szczęście nikomu nic się nie stało. To przez ten śmigłowiec nie zdążyliśmy. Najbliższa maszyna była w 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej. Dlatego to trwało tak długo.

Kelly odwrócił się w jego stronę. — Nie wiedziałem.

Ukryty w ciemnościach sierżant wzruszył ramionami. — Widziałem potem zdjęcia z miejsca akcji. Porucznik powiedział, że byłeś głupcem, pakując się w pojedynkę w takie szambo. Ale to była nasza wina. Powinniśmy być na miejscu w dwadzieścia minut po twoim wezwaniu. Może gdybyśmy zdążyli, jedna z tych dziewczynek mogłaby przeżyć. Potem okazało się, że wysiadła uszczelka w silniku. Jeden cholerny kawałek gumy.

— Mogło być gorzej — powiedział Kelly. — Mogliście wejść na pułap, a wtedy nie poszłoby tak łatwo.

— Racja. Ale to marne wytłumaczenie śmierci tych dzieciaków. — Obaj mężczyźni wpatrywali się w ciemności sosnowego lasu, bez przerwy nasłuchując odbiegających od normy odgłosów — nawyk z Wietnamu. — Rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Chcę, żebyś o tym wiedział. Prawdopodobnie zrobiłbym tak samo. Może nie tak dobrze jak ty, ale na pewno bym spróbował.

— Dzięki, sierżancie.

— To ma być coś w rodzaju Song Tay? — zapytał Irving, wiedząc, że tym razem dostanie odpowiedź.

— Coś w tym rodzaju. Dowiecie się już wkrótce oficjalnie.

— Muszę wiedzieć trochę więcej, panie Clark. Tam będą moi *marines*.

— Obóz jest dokładnie taki jak wasza makieta. A poza tym ja też tam będę, pamiętasz?

— Proszę mówić dalej — powiedział spokojnie Irving.

— To ja planowałem podejście do obozu. Gdy ma się dobrych ludzi sprawa jest dość prosta. A ty masz bardzo dobrych ludzi. Nie powiem, że wszystko pójdzie jak po maśle, ale akcja jest do przeprowadzenia. Robiłem już trudniejsze numery. Ty też.

— Jest pan pewien, że warto?

To pytanie było zrozumiałe tylko dla nielicznych. Irving odbył już dwie tury w Wietnamie, i chociaż Kelly nie widział jego odznaczeń, zdawał sobie sprawę, że sierżant przeżył niejedno. Widział jak umierali żołnierze podczas zdobywania wzgórz, które zaraz potem opuszczano, by po sześciu miesiącach powtarzać wszystko od początku. Kiedy po raz trzeci patrzyło się na przyjaciół, którzy giną za ten sam splotek ziemi, pojawiała się właśnie to pytanie: czy warto?

— Nie powinienem wam tego powiedzieć, sierżancie, ale niech tam. Atakujemy obóz jeniecki.

Irving skinął głową. — Domyślałem się tego.

— To nie jest zwykły obóz. Wszyscy jeńcy są już tam praktycznie martwi. — Kelly zmiął w dłoni pustą puszkę po piwie. — Widziałem zdjęcia. Jeden z jeńców został bez żadnych wątpliwości zidentyfikowany jako zestrzelony pułkownik Sił Powietrznych. Północny Wietnam utrzymuje, że wszyscy zginęli, wynika więc z tego, że nikt z jeńców nie wróci do kraju, jeśli sami ich nie wyciągniemy. Człowieku, ja też się nie palę na tę wycieczkę. Boję się. Ale jestem dobry w tym, co robię. To kwestia dobrego treningu, a może talent. — Kelly wzruszył ramionami.

Irving podał mu kolejną puszkę piwa.

— Myślałem, że wypada po trzy na głowę.

— Jestem metodystą. W ogóle nie powinienem pić alkoholu — zaśmiał się Irving.

— W tym obozie są Rosjanie, prawdopodobnie przesłuchują naszych ludzi. Wszyscy jeńcy są wyższymi oficerami oficjalnie uznanymi za zmarłych. Wiemy, że tam są i jeśli nie zrobimy niczego, by ich wyciągnąć... — Kelly przerwał, nagle walcząc z pokusą, by powiedzieć Irvingowi jak wygląda jego prywatna misja. Irving mógłby zrozumieć i w ten sposób nieco ulżyć Kelly'emu.

— Dziękuję za to, co pan powiedział. To będzie niezła misja — zauważył sierżant Irving. — Pierwszy w akcji, wraca ostatni, tak?

— Pracowałem już wcześniej w pojedynkę.

## 23 — Altruizm

— Gdzie ja jestem? — zapytała ledwo dosłyszalnym szeptem Doris Brown.

— W moim domu — odparła Sandy, odkładając na stolik książkę w miękkiej oprawie, którą czytała przez ostatnie kilka godzin.

— Jak się tu dostałam?

— Przywiózł tu panią przyjaciel. Jestem pielęgniarką. Lekarz jest na dole i przygotowuje śniadanie. Jak się pani czuje?

— Fatalnie. — Dziewczyna zamknęła oczy. — Moja głowa. . .

— To normalne. — Sandy wstała z fotela, podeszła do łóżka i przyłożyła dłoń do czoła Doris. Gorączka ustąpiła. Ujęła w palce przegub Doris i zmierzyła tętno. Było silne i regularne, choć wciąż nieco za szybkie. Całe łóżko cuchnęło wymiocinami i potem — nie udało się zachować dziewczyny w czystości, proces uzależnienia posunął się zbyt daleko. Od chwili przybycia do domu Sandy, Doris schudła przynajmniej pięć kilogramów. Była tak słaba, że nawet nie zauważyła pasów na kostkach nóg, biodrach i nadgarstkach.

— Od jak dawna tu jestem?

— Od prawie tygodnia. — Sandy wytarła jej twarz gąbką. — Nieźle nas wystraszyłaś. — Było to raczej łagodne sformułowanie, zważywszy siedem ataków konwulsji, z których drugi był naprawdę przerażający. Atak numer siedem — stosunkowo łagodny — ustąpił osiemnaście godzin temu. Od tej pory nastąpiła wyraźna stabilizacja stanu chorej. Sandy wlała kilka kropel wody do ust Doris.

— Dzięki. Gdzie jest Billy i Rick?

— Nie wiem. — Była to prawda. Siostra O'Toole czytała lokalną prasę, ale starała się nie wgłębiać w doniesienia z rubryki kryminalnej. — Czy to oni cię skrzywdzili?

Doris leżała nago, jeżeli pominąć zaimprovizowane pieluchy: nie była w stanie kontrolować swojej fizjologii. Była jednak młoda, pomyślała Sandy, to widać już po samym tempie ustępowania objawów chorób wenerycznych po zastosowaniu silnej dawki antybiotyków.

— Billy i Rick — powtórzyła Doris.

— Tu ich nie ma — zapewniła ją Sandy, i po chwili dodała z dziwną dla niej samej satysfakcją w głosie: — Nie sędzę, żeby sprawili ci kiedykolwiek jakieś problemy.

— Muszę iść. Proszę. . . — Zaczęła się ruszać i dopiero wtedy zauważyła pasy.

— Dobrze, poczekaj chwilę. — Sandy zaczęła rozpinać sprzączki. — Myślisz, że ustoisz na nogach?

— Spróbuję — wyjęczała dziewczyna. Uniósła ciało jakieś trzydzieści centymetrów, kiedy mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Sandy złapała ją pod pachy i praktycznie zaniósła do łazienki.

— To już krok naprzód — zauważyła doktor Rosen wchodząc do sypialni. — Wyglądasz dziś o wiele lepiej, Doris.

— Czuję się strasznie.

— To minie. Musisz trochę się źle poczuć, żebyś zauważyła poprawę. Jeszcze wczoraj niczego nie czułaś. Zjadłabyś grzanekę?

— Umieram z głodu.

— Jeszcze jeden dobry znak — dodała Sandy i sprawdziła ciśnienie rekonwalescentki. Po chwili oznajmiła: — Sto dwadzieścia dwa na siedemdziesiąt osiem.

— Wspaniale! — powiedziała Sarah.

— Pam. . .

— O co chodzi? — zapytała Sarah.

Musiało upłynąć kilka sekund, zanim Doris wykrztusiła: — Włosy. . . kiedy Pam umarła. . . uczesałam jej włosy.

Dobry Boże, pomyślała Sarah. Sam wspomniał, że w raporcie z sekcji zwłok widniała wzmianka o uczesanych włosach.

— Doris, kto zabił Pam?

— Rick, Billy, Burt i Henry. . . zabili ją. . . kazali patrzeć. . . — Dziewczyna zaczęła płakać.

— Kazali ci patrzeć?

— Tak.

— Lepiej o tym teraz nie myślmy — wtrąciła się Sandy. — Powinnaś się przespać. — Przy pomocy obu kobiet Doris dowlokła się do łóżka. Niemal natychmiast zapadła w sen.

— Chodźmy na śniadanie.

— Dlaczego nie zapisałaś jej w szpitalu jako Jane Doe — osobę o nieznanym nazwisku?

— Po tym co przytrafiło się Pam, oznaczałoby to. . .

O'Toole skinęła głową. — Zgadza się, to naraziłoby na niebezpieczeństwo Johna. . . Zabili jej przyjaciółkę i kazali jeszcze na to patrzeć. Dla nich była tylko przedmiotem! Billy i Rick. . .

— Burt i Henry — poprawiła Sarah. — Nie sędzę, żeby tych dwóch pierwszych miało kiedykolwiek okazję wyrządzenia krzywdy komukolwiek. — Obie

kobiety wymieniły spojrzenia. Obu przysła do głowy ta sama myśl, zrazu szokująca.

— I bardzo dobrze.

\* \* \*

— Obmacaliśmy każdego włóczkę na zachód od Charles Street — powiedział Douglas porucznikowi. — Jeden gliniarz dostał nożem niegroźnie, ale pijaczek poszedł już na długoterminowy odwyk w Jessup. Nie ma natomiast śladu po naszym facecie. Od tygodnia nic się nie wydarzyło.

Była to prawda. Całe miasto wiedziało, że ktoś załatwia handlarzy narkotyków, którzy stali się ostrożni aż do przesady. Może dzięki tej właśnie ostrożności, nikt nie został ostatnio zabity.

— Ja wiem, że on tam jest, Tom.

— Może, ale siedzi cicho.

— Wynika z tego, że chciał dostać tylko Farmera i Graysona — zauważył Ryan, spoglądając na sierżanta.

— Sam w to nie wierzysz.

— Nie. I nawet nie pytaj mnie dlaczego, bo sam nie wiem.

— Przydałoby się trochę informacji od Charona. Miał dawniej bardzo dobre wyniki, ale ostatnio wyraźnie zwolnił.

— Tak jak i my, Em. Wiemy tylko, że jest biały, silny i nosi tenisówki.

— Wiemy też, że jest na kogoś wkurzony i doskonale sobie radzi z zabijaniem. Wiemy, że jest na tyle bezwzględny, by załatwiać ludzi tylko po to, by ukryć właściwy cel... i że jest cierpliwy. — Ryan odchylił się w krześle. — Czy na tyle cierpliwy, żeby wziąć urlop?

Tom Douglas miał jeszcze inny pomysł. — A może jest na tyle sprytny, by zmienić taktykę?

Konsekwencje takiego obrotu sprawy byłyby jeszcze mniej przyjemne, pomyślał Ryan. Może zabójca wyciągnął od Williama Graysona potrzebne mu informacje i przeniósł się do innego miasta, by dokończyć swojego dzieła? To praktycznie oznaczałoby przesłanie sprawy do archiwum, a Ryan nienawidził nie zamkniętych spraw.

— Niewidzialny Człowiek — powiedział cicho Ryan, nadając wreszcie kryptonim śledztwu. — Powinien zabić panią Charles, a nie zrobił tego. Czy ty wiesz, kogo tu mamy?

— Kogoś, z kim nie chciałbym spotkać się sam na sam.

\* \* \*

— Trzy grupy bombowców do zniszczenia Moskwy?

— Jasne, dlaczego nie? — odparł Zacharias. — To w końcu centrum decyzyjne, komunikacyjne i przemysłowe. Nawet jeżeli ewakuujecie Politbiuro, na miejscu pozostaną sztaby wojskowe i ośrodki władzy politycznej.

— Mamy swoje sposoby na wywiezienie ważnych osobistości z miasta — sprzeciwił się Griszanzow.

— Jasne. — Robin omal nie wybuchnął śmiechem. — Kola, my też mamy takie scenariusze ewakuacji. W Zachodniej Wirginii wybudowaliśmy nawet sztywny schron dla naszego Kongresu. W bazie Sił Powietrznych Andrews stacjonuje cały czas 1. Dywizjon Śmigłowcowy, który w razie konfliktu ma wywieźć z Waszyngtonu kongresmenów i senatorów. Ale wiesz co? Okazało się, że śmigłowce nie są w stanie pokonać drogi do schronu i z powrotem bez dodatkowego tankowania. Nikt nie zadał sobie trudu obliczenia zużycia paliwa, kiedy wybierano miejsce na budowę schronu, ponieważ była to decyzja polityczna. Na tym nie koniec. Nigdy nie przetestowaliśmy, jak działa ten system. A wy?

Griszanzow usiadł na podłodze obok Zachariasia i oparł się o betonową ścianę. — Czy teraz rozumiesz? Rozumiesz już dlaczego nie będziemy nigdy walczyć ze sobą? Dlatego, że jesteśmy do siebie podobni! Nie, Robin, my też nigdy nie przetestowaliśmy naszego systemu ewakuacji Moskwy. Nasz schron dla najwyższych władz jest w Żiguli. To coś jak wielki kamień... nie góra, lecz... nie mogę sobie przypomnieć tego słowa po angielsku...

— Monolit skalny? Tak jak Stone Mountain w Georgii?

Griszanzow skinął głową. — Geologowie twierdzą, że jest niezwykle wytrzymały. W latach pięćdziesiątych wykuliśmy w nim sieć tuneli i komór. Byłem tam dwukrotnie. Pomagałem organizować system obrony przeciwlotniczej. Obowiązywała wtedy koncepcja — możesz mi nie uwierzyć, Robin — że wywieziemy tam Politbiuro... pociągiem.

— To i tak nie miałyby znaczenia. Wiemy o waszym schronie. Nieważne z czego jest zbudowany, to tylko kwestia liczby bomb atomowych. Chińczycy też pewnie o nim wiedzą. Ale i tak wyślą bombowce nad Moskwę.

— W trzech grupach?

— Ja bym tak zrobił. Spójrz na mapę. Trzy grupy z trzech różnych baz. Każda grupa składałaby się z trzech maszyn: dwóch bombowców i jednego samolotu zagłuszania, który prowadzi eskadrę. W tym miejscu samoloty schodzą na niski pułap, w te doliny i kiedy zaczną się równiny...

— Stepy — poprawił Kola.

— Tam jest wasza pierwsza linia obrony, prawda? Trzy eskadry lecą nisko, powiedzmy sto metrów nad ziemią. Z początku nawet nie włączają zagłuszania. Może pozwolą, by pierwsze uderzenie wykonała grupa specjalna.

— Co masz na myśli, Robin?

— Macie nocne połączenia pasażerskie z Moskwą, prawda?

— Oczywiście.



— A gdyby tak wysłać jednego *Badgera* z włączonymi światłami pozycyjnymi i rzędem żarówek wzdłuż kadłuba, które udawałyby okienka samolotu rejsowego?

— Nie żartujesz?

— Kiedyś rozpracowywaliśmy taki pomysł. Wciąż jest nawet taki dywizjon *B-47* z zamontowanymi dodatkowymi światełkami. Bazuje w Anglii. Trzeba liczyć się każdą ewentualnością. Ten projekt nazywał się *SKOCZEK*, prawdopodobnie porasta tam kurzem w jakimś archiwum. *B-47* miały zaatakować Moskwę, Leningrad, Kijów... i Żiguli. Za jednym zamachem zmiotlibyśmy całe wasze przywództwo polityczne i wojskowe.

To by się udało, pomyślał ze zgrozą Griszanow. Wystarczyłoby wybrać odpowiednią porę... bombowiec lecący w korytarzu powietrznym do miasta. Nawet podczas podwyższonego stanu gotowości bojowej pilot, który podchodzi do niezidentyfikowanego samolotu i widzi rząd światełek pomyśli, oczywiście, że to samolot pasażerski. Przecież bombowiec strategiczny nie zapalałby świateł pozycyjnych. KGB nawet nie słyszało o tym planie. Ile jeszcze takich podarunków chował w zanadru Zacharias?

— Gdybym był Chińczykiem, miałbym jeszcze inne wyjście. Najpierw wysłałbym jedną grupę pozoracyjną, która mogłaby zaatakować ważne cele strategiczne, ale nie Moskwę. Grupa leci na wysokim pułapie. W tym miejscu — przesunął dłonią po mapie — wykonuje ostry skręt i atakuje jakiś ważny cel, nie brakuje ich tu. Prawdopodobnie wysłalibyście za nimi swoje dywizjony myśliwskie, co?

— Da. — Chłopcy pomyśleliby, że grupa skręca nad kolejny cel.

— Dwie pozostałe grupy Chińczyków podchodzą do Moskwy na bardzo niskim pułapie z innej strony. Na pewno jednej z nich udałoby się. Przeciwiczyliśmy to milion razy, Kola. Wiemy, gdzie macie swoje radary, wiemy, gdzie są wasze bazy, znamy wasze samoloty i w jaki sposób szkolicie pilotów. Wcale nie tak trudno was załatwić. A Chińczycy uczyli się przecież od was, co? Wyście ich szkolili. Znają waszą doktrynę wojenną i co tylko trzeba.

Ten człowiek, który tak lekko wyraził się o zagładzie supermocarstwa, ponad osiemdziesiąt razy pokonał obronę powietrzną Północnego Wietnamu, pomyślał Griszanow. Osiemdziesiąt razy!

— Jak więc...

— Bronić się przed takim atakiem? — Robin wzruszył ramionami, ponownie pochylając się nad mapą. — Potrzebuję lepszych map, ale kilka rad mogę udzielić już teraz. Musicie pamiętać, że bombowiec nie lubi manewrować na niskim pułapie, zwłaszcza w nocy. Z reguły wybiera dolinę i stara się trzymać jak najniżej w jej środku. Rozmieście tam swoje myśliwce i radary.

— Mamy odsunąć obronę powietrzną od granic? To niemożliwe!

— Przecież bronicie ważnych miast, a nie jakiejś linii na mapie. Chyba że chciałbyś jeść do końca życia ryż. W ten sposób skoncentrujecie system ostrzegania na wszystkich możliwych kierunkach podejścia. Oszczędzicie też pieniądze i czas.

Pułkownik Griszanow od ponad dwudziestu lat studiował literaturę lotniczą. Czytał nie tylko protokoły z przesłuchań lotników Luftwaffe, ale i ściśle tajne dokumenty dotyczące formowania Linii Kammhubera, czyli niezwykle skutecznego systemu obrony przeciwlotniczej Zagłębia Ruhry. Ale to, czego dowiedział się od pułkownika Zachariasa pomoże napisać mu unikalne w swojej dziedzinie dzieło: „Powstanie i rozwój amerykańskiej doktryny lotnictwa strategicznego”. Ta książka oczywiście nie znajdzie się w żadnej z bibliotek, ale jej autor prawdopodobnie zostanie marszałkiem, a to wszystko dzięki przyjaźni z pewnym Amerykaninem.

\* \* \*

— Lepiej odsuńmy się nieco — powiedział Marty Young. — Dzisiaj będą strzelali naprawdę.

— Jestem raczej przyzwyczajony do tego, że pociski wybuchają pięćset metrów za mną — zauważył Wściekły.

— A ty zwiewasz z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę — dodał Greer.

Stali za wałem ziemnym jakieś dwieście metrów od obozu.

— Od jak dawna podchodzą?

— Pół godziny. Zaraz powinni być na miejscu — wyszeptał w odpowiedzi Young.

— Niczego nie słyszę — równie cicho powiedział admirał Maxwell.

— Od kilku tygodni wszyscy ludzie z zespołu dostają dawki witaminy A, co powinno dać kilkuprocentową poprawę widzenia w ciemnościach.

— Tam coś widać! — wyszeptał Kelly.

— Marnie, jeżeli zdołał pan coś dostrzec — zauważył zgryźliwie Maxwell.

— Panie admirale, ZIELENIAKA nie ma parkingu z pomalowanymi na biało samochodami, na tle których lepiej widać — odparł Kelly.

— Ma pan chyba rację, panie Clark.

— Wszyscy są już na swoich miejscach — ostrzegł Kelly. — Zatkajcie panowie uszy. Najpierw eksplodują granaty.

Jednak pierwszym słyszalnym odgłosem było łopotanie wirników śmigłowców, które miały odciągnąć uwagę strażników. Mimo iż wszyscy zebrani znali plan od podszewki, prawie wszystkie głowy zwróciły się w stronę źródła dźwięku. Jedynie Kelly wpatrywał się w ciemność przed sobą.

Zdawało mu się, że dostrzeża w mroku ledwie widoczny jasny punkt, mogący pochodzić od podświetlanych kapsułkami z trytem przyrządów celowniczych

granatnika *M-79*, ale równie dobrze mógł być to świetlik. W sekundę później oślepiający blask eksplozji na moment ukazał walącą się drewnianą wieżę strażniczą. Ukryci za wałem mężczyźni bezwiednie podskoczyli do góry, ale Kelly nie zwracał na nich uwagi. Echo nie zdążyło odbić się od ściany sosen, kiedy do pierwszej eksplozji dołączyły trzy następne. Pięć sekund później nad tuż nad wierzchołkami drzew przeleciały śmigłowce, zionąc ogniem ze swoich *Minigunów*. Powietrze przecięły dwa snopy pocisków przypominające neonowe rury. Obsługa granatników zaczęła ostrzeliwać koszary granatami fosforowymi — ich oślepiający blask uniemożliwił widzenie czegokolwiek, poza płomieniami.

— Jezu! — jęknął ktoś obserwując fontanny płonącego fosforu we wnętrzach budynków koszarowych i strumienie pocisków blokujące wyjścia.

— Każdy, kto znalazłby się w środku — wykrzyknął Kelly — przypominałby teraz spalony befsztyk!

Tymczasem grupa uderzeniowa pędziła co tchu w stronę „więzienia”, osłaniana ogniem z karabinków szturmowych. Za krążącymi w powietrzu śmigłowcami *Huey Cobra AH-1* pojawiły się helikoptery transportowe i, w tumanach kurzu, wylądowały tuż obok bramy głównej. Jeden ze śmigłowców szturmowych zaczął krążyć nad siedzącymi na ziemi maszynami, niczym owczarek strzegący stada przed wilkami.

Pojawili się pierwsi żołnierze piechoty morskiej niosący „jeńców” do śmigłowców. Kelly dostrzegł Irvinga liczącego wybiegających z obozu żołnierzy. Ostatni *marines* z grupy wsparcia wskoczył na pokład *Sikorsky’ego* i maszyny powoli uniosły się w powietrze.

— Piętnaście sekund lepiej od rekordu — powiedział Kelly, zatrzymując stoper.

— A co będzie, jeśli coś się nie uda? — zapytał Ritter.

Twarz Kelly’ego rozciągnęła się w uśmiechu. — Wiele rzeczy już się nie udało. Podczas ataku „zginęło” czterech żołnierzy. Chyba też jeden czy dwóch złamało nogę..

— Chce pan powiedzieć, że... .

— Pozwoli mi pan wyjaśnić? — przerwał mu Kelly. — Sądząc z dostarczonych zdjęć, nie ma powodu przypuszczać, by pomiędzy strefą lądowania, a obozem stały jakieś posterunki. Na użytek dzisiejszych ćwiczeń wyeliminowałem losowo z walki czterech ludzi. Powiedzmy, że złamali nogi. Ci ludzie musieli być zaniesieni do śmigłowców, co naturalnie obniżyło sprawność grupy jako całości. Mimo moich ingerencji akcja wypadła świetnie.

Ritter skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem. — Spodziewałem się raczej pokazówki.

— Podczas walki rzadko kiedy wszystko idzie jak po sznurku. Każdy z tych ludzi potrafi dublować zadania swoich kolegów. Ta misja musi się udać.

— Przekonał mnie pan, panie Clark — powiedział pracownik CIA. — A co z personelem medycznym?

— Na USS „Ogden” przetrzuciliśmy lekarzy i sanitariuszy. Kaz jest teraz na pokładzie i wprowadza w szczegóły kogo trzeba. Dowódca Grupy Uderzeniowej 77 wie o wszystkim. „Ogden” to kawał łódki i pomieści wszystko co trzeba: zaplecze medyczne, łączność i transport. Po wylądowaniu śmigłowców popłynię do Subic Bay, skąd przetrzucimy ludzi do Clark na Filipinach. Po czterech dniach wszyscy będą już w Kalifornii.

— No, dobrze, ta część misji wygląda nieźle. Co z resztą?

Na to pytanie odpowiedział Maxwell: — Cała grupa powietrzna z „Constellation” postawiona zostanie w stan gotowości bojowej. USS „Enterprise” będzie kręcić się na północy, w okolicach Hajfongu — to powinno odwrócić uwagę ich obrony powietrznej i dowództwa. Przez następne kilka tygodni „Newport News” będzie ostrzeliwał ich nabrzeżne baterie przeciwlotnicze. Sektory ostrzału zostaną wybrane losowo, a interesujący nas zostanie ostrzelany jako piąty. Reasumując, narobimy tam tyle zamieszania, że powinni zorientować się dopiero po zakończeniu akcji.

— W dalszym ciągu uważam, że to cholernie ryzykowne.

— Nikt nie mówi, że jest inaczej — przyznał Marty Young.

— Czym ryzykujemy, jeżeli jeńcy powiedzieli Wietnamczykom wszystko co wiedzą?

— Chcecie szczerzej odpowiedzi? — zapytał Ritter. — Jest tylko jedna: niczym.

Widać było, że Maxwell z trudem powstrzymuje się przed wybuchem gniewu. — Mógłbyś mi to, synu, wyjaśnić?

— Admirale, to tylko kwestia odpowiedniej perspektywy. Rosjanie chcą wiedzieć na nasz temat wszystko, tak samo jak my na ich. Założmy, że ten pułkownik Zacharias wyśpiewa im wszystko, co wie na temat doktryny Dowództwa Lotnictwa Strategicznego, a inni jeńcy nie pozostaną w tyle. Co zrobimy? To proste — zmienimy plany. Martwicie się panowie głównie o plany strategiczne, prawda? Po pierwsze, zmieniamy je z miesiąca na miesiąc. Po drugie, czy myślicie panowie, że kiedykolwiek wprowadzimy je w życie?

— Któregoś dnia może okazać się to konieczne.

Ritter wyciągnął papierosa. — Panie admirale, czy chce pan, żebyśmy je kiedyś wprowadzili w życie?

Maxwell wyprostował się. — Panie Ritter, tuż po zakończeniu wojny przełatywałem w moim *F-6F* nad Nagasaki. Widziałem, co potrafi bomba atomowa, a to była właściwie zabawka.

— Rosjanie myślą dokładnie tak samo. — Ritter pokręcił głową. — Nie są szaleńcami. Boją się nawet więcej nas niż my ich. To, co wyciągną z jeńców spowoduje, że będą nas się bali jeszcze bardziej.

— W takim razie dlaczego nas pan popiera?

— To przecież nasi ludzie. Myśmy ich tam wysłali i my musimy sprowadzić ich do domu. To całe gówno z kwestią bezpieczeństwa narodowego dobrze brzmi tylko w Kongresie, czy Białym Domu. Tak naprawdę liczą się tylko ludzie, którzy nam zaufali — powiedział szpieg, który kiedyś zaryzykował życiem, wyciągając z Żelaznej Kurtyny człowieka, którego nawet nie bardzo lubił. — Jeżeli ludzie, którzy dla nas pracują zorientują się, że zostawiamy ich na lodzie, przestają dla nas pracować. W moim fachu to podstawowa zasada.

— Nie jestem pewien, czy mogę się z tym zgodzić bez zastrzeżeń — powiedział Marty Young.

— Taka operacja tylko nam pomoże. Rosjanie zrozumieją nasze motywy. Dostaną sygnał, że traktujemy swoich ludzi poważnie. Dzięki temu nasi agenci za Żelazną Kurtyną będą mieli łatwiejsze życie. A to oznacza, że będziemy mogli werbować ich większą liczbę, a przez to trafi do nas więcej informacji — o to nam w końcu chodzi, prawda? — Ritter odwrócił się do Greera. — Kiedy mam przekazać wiadomość ludziom z Białego Domu?

— Dam ci znać. Bob, to dla nas ważne — idziesz z nami na całego?

— Jasne — odparł Tekszańczyk.

\* \* \*

— Dobra. O co chodzi?

— Posłuchaj, Eddie — cierpliwie tłumaczył Tony. — Nasz przyjaciel ma problem. Ktoś skasował dwóch jego ludzi.

— Kto? — zapytał Morello. Nie był dziś w szczególnie dobrym nastroju. Właśnie po raz kolejny dowiedział się, że nie będzie rozpatrywany jako kandydat na prawdziwego członka organizacji. I to po tym wszystkim, co zrobili Morello czuł się zdradzony. To niewiarygodne, ale Tony trzyma z tym czarnuchem, a w dodatku przychodzi teraz po pomoc.

— Nie wiemy. Ani jego, ani moje źródła nie wyłapały niczego.

— A to przykre! Co jeszcze zrobisz? Może chcesz, żeby on został członkiem?

— Daj spokój, Eddie.

— Dlaczego mnie nie poparteś?

— Przykro mi Eddie, ale nie mogłem niczego dla ciebie zrobić. — Piaggi nie spodziewał się, że ta rozmowa gładko się potoczy, ale nie przypuszczał, że Eddie będzie aż tak rozgoryczony.

— To ja rozkręciłem cały ten interes! A teraz, kiedy pojawił się problemik, do kogo przychodzisz po pomoc? Do mnie! Jesteś mi coś winien, Tony! Czy nie widzisz, że on nas wykorzystuje? — Najdziwniejsze, że Morello zdawał sobie sprawę z rzeczywistych relacji pomiędzy nimi a Tuckerem, a Piaggi nie.

— Myślałem już o tym — skłamał Piaggi. — Czego on może chcieć? Układu z Filadelfią? Z Nowym Jorkiem?

— Może. Może myśli, że mu się uda? Czarnuchy są bardzo ambitne, Tony.

— Zajmę się tym później, a poza tym nie sądzę, żeby o to mu chodziło. Teraz musimy dowiedzieć się, kto załatwia jego ludzi. Słyszałeś o kimś spoza miasta?

— Nic mi się nie obilo o uszy.

— Powiedz swoim ludziom, żeby zaczęli się rozglądać. — To był rozkaz i Eddie musiał go wypełnić.

— A może to on sam załatwia swoich ludzi? Myślisz, że ktoś taki będzie lojalny wobec kogokolwiek?

— Nie. Ale załatwianie własnych ludzi nie daje mu niczego. — Tony wstał od stołu. — Zabieraj się do roboty.

— Jasne — wycedził Eddie.

## 24 — Śmigłowce

Raymond Brown pracował jako szef zmiany przy trzecim piecu w Johnes & Laughlin Steel Company. Mieszkał przy Dunleavy Street, w jednym z domów zbudowanych na przełomie stulecia. Pracował głównie na nocnej zmianie, ponieważ w nocy jego dom wydawał mu się szczególnie pusty. Nigdy już nie usłyszy krzątający żony w kuchni, nigdy też nie zabierze na mecz baseballu swojego syna. Nigdy nie będzie miał okazji martwić się podczas sobotnich randek swojej córki.

U jego żony wykryto guz mózgu, pierwsza operacja, potem druga, aż wreszcie lekarze już tylko kręcili głowami. Zaraz po jej zgonie otrzymał wiadomość, że jego syn zginął w jakiejś bezimiennej dolinie w Wietnamie, w dwa tygodnie po przybyciu do Danang. Mimo pomocy ze strony przyjaciół zaczął pić. Została mu już tylko córka i na nią przelał całą swoją miłość, która jednak okazała się zbyt zaborcza. Doris też ciężko przeżyła tragedię rodzinną, ale starała się żyć dalej własnym życiem. Kiedy któregoś dnia zbyt późno wróciła z randki, usłyszała od ojca słowa, jakich szybko się nie zapomina. Wciąż pamiętał trzask drzwi, które zamknęły się za Doris.

Doszedł do siebie następnego dnia, ale było już za późno. Doris zniknęła. Policja zrobiła wszystko co w jej mocy, a to nie było wiele. I tak upłynęły mu dwa lata — pił coraz więcej. Wreszcie na odwagę zebrało się dwóch najbliższych przyjaciół i postanowiło wkroczyć w zaklęty krąg koszmaru, w który zmieniło się życie Raymonda Browna. Przy pomocy miejscowego pastora udało im się ocalić go od nałogu, co nie oznaczało, że jego życie stało się łatwiejsze.

Którejś bezsennej nocy zadzwonił telefon przy jego łóżku.

— Słucham?

— Czy to pan Raymond Brown?

— Tak, kto mówi? — zapytał z zamkniętymi oczami.

— Nazywam się Sarah Rosen. Jestem lekarzem w Baltimore. Pracuję w szpitalu Johna Hopkinsa.

— Tak? — Ton jej głosu zmusił go do otwarcia oczu. Nad sobą zobaczył biały sufit, równie pusty jak jego życie. I nagle pojawił się strach. Dlaczego jakiś lekarz dzwoni do niego z Baltimore? Boże, tylko nie to.

— Ktoś chciałby z panem porozmawiać, panie Brown.

\* \* \*

— Nie mogę.  
— Nie masz nic do stracenia, kochanie — powiedziała Sarah, podając Doris słuchawkę. — To twój ojciec. Zaufaj mu.  
Doris w końcu wzięła słuchawkę do rąk.  
— Tatuś?

\* \* \*

Z dystansu kilkuset kilometrów to wypowiedziane szeptem słowo zabrzmiało niczym dzwon kościelny.

— Dor?  
— Tak, tato. Przepraszam.  
— Nic ci nie jest, kochanie?  
— Nie, tatusiu — skłamała.  
— Gdzie jesteś?  
— Poczekaj chwilę, tato. — W słuchawce odezwał się inny głos. — Panie Brown, tu znów doktor Rosen.  
— Czy ona tam jest?  
— Tak, panie Brown. Od tygodnia nią się opiekujemy. Jest chora, ale wszystko będzie w porządku. Rozumie pan? Wyjdzie z tego. Proszę mi uwierzyć.  
— Boże! Gdzie ona jest?  
— Panie Brown, teraz nie może się pan z nią zobaczyć. Przywieziemy ją panu, jak tylko będzie to możliwe. Ma za sobą straszne przeżycia, ale wszystko będzie dobrze. Obiecuję to panu. Jestem dobrym lekarzem i nie okłamywałabym pana.  
— Błagam, niech pani pozwoli mi z nią jeszcze porozmawiać. Proszę!  
Sarah podała słuchawkę Doris i wkrótce czworo ludzi zjednoczyło się we wspólnym płaczu.

\* \* \*

Bob Ritter wjechał na zarezerwowane dla siebie miejsce na West Executive Drive, byłej ulicy, którą teraz przeznaczono na parking dla personelu Białego Domu i Executive Office Building, w którym mieściły się wybrane agendy rządu USA. Niegdyś korzystały z niego Departamenty Stanu, Obrony i Marynarki. Znajdował się w nim też relikwiarz zamierzchłych czasów: Sala Rokowań z Indianami, mająca swoimi rozmiarami i wiktoriańskim przepychem olśnić „dzikusów”. Zaiste, potężny musiał być Wielki Ojciec z Białego Domu, który zbudował tak



gigantyczne tipi. Rozległe korytarze rozbrzmiewały echem kroków Rittera, kiedy ten szukał właściwego pokoju. Ostatecznie odnalazł go na pierwszym piętrze. Gabinet należał do Rogera MacKenzie, specjalnego doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. To jedno słowo „specjalny” oznaczało, że jest to urzędnik drugiej kategorii, bez istotnego wpływu na bieg wydarzeń w Białym Domu. Prawdziwy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego miał swój gabinet w zachodnim skrzydle Białego Domu. Nie znaczyło to, że MacKenzie był pozbawiony wszelkich splendorów wynikających z pracy dla rządu: miał swój zespół pracowników, co miało mu przypominać o ważności własnej osoby — prawdziwej lub iluzorycznej. Ritter pomyślał, że MacKenzie, choć wcale nie był głupim bufonem, w średniowieczu byłby najwyżej sekretarzem doradcy króla. Z tym, że dziś sekretarz miał do dyspozycji sekretarkę.

— Cześć Bob. Co tam słyszeć w Langley? — wykrzyknął MacKenzie w obecności swoich pracowników, żeby tylko upewnić się, że wszyscy słyszeli o odwiedzinach, z pewnością wysoko postawionego, urzędnika CIA.

— Bez zmian.

— Korki po drodze? — ciągnął MacKenzie, dając swojemu gościowi do zrozumienia, że ten nieco spóźnił się na spotkanie.

— Możemy pogadać?

— Jasne. Wally, będziemy potrzebować kogoś do sporządzenia notatki.

— Już idę, proszę pana.

— Bob, to jest Wally Hicks. Chyba jeszcze się nie spotkaliście.

— Miło mi pana poznać — pośpiesznie powiedział Hicks, wyciągając rękę do Rittera. Jeszcze jeden młody ambitniak z Białego Domu, pomyślał Ritter. Akcent z Nowej Anglii, bystrzak, grzeczny — niczego więcej właściwie nie można spodziewać się po tego typu ludziach.

W minutę później siedział już w wygodnym fotelu w gabinecie MacKenziego, a Hicks, niczym paź na dworze króla, skwapliwie podawał mu kawę.

— Co cię do nas sprowadza, Bob? — zapytał MacKenzie z za swojego imponującego biurka.

— Roger, zidentyfikowaliśmy specjalny obóz jeniecki na południowy zachód od Hajfongu — przystąpił od razu do rzeczy Ritter i w kilkunastu zdaniach streścił MacKenziemiu swoje przypuszczenia o przeznaczeniu obozu.

MacKenzie słuchał uważnie. Podczas drugiej wojny latał jako pilot bombowca B-24. Zaliczył nawet sławny, choć nieudany nalot na Ploeshti.

— Pokaż zdjęcia — powiedział w końcu.

Ritter rozłożył fotografie na blacie biurka. MacKenzie wyjął z szuflady szkło powiększające. — Kim jest ten facet?

— Porównaj z tym zdjęciem — powiedział Ritter i podał MacKenziemiu rodzinną fotkę pułkownika Sił Powietrznych.

— Tak, bardzo duże podobieństwo. Kto to jest?

— Pułkownik Robin Zacharias. Siły Powietrzne USA. Pracował dla Dowództwa Lotnictwa Strategicznego. On wie wszystko, Roger.

MacKenzie tylko zagwizdał z przejęciem. — A ten gość na zdjęciu obok niego... to przecież nie Wietnamczyk.

— Też jest pułkownikiem, tyle że lotnictwa radzieckiego. Nie wiemy jak się nazywa, ale chyba nietrudno domyślić się co tam robi. A tu jest pointa całej tej sprawy. — Ritter podał specjalnemu doradcy prezydenta wycinek z gazety donoszący o śmierci Zachariasia.

— Cholera jasna.

— Tak, wszystko staje się nagle jasne, co?

— Coś takiego może zastopować rozmowy pokojowe — zaczął myśleć na głos MacKenzie.

Walter Hicks siedział w milczeniu, pilnie notując przebieg rozmowy. Jednak przy podkreślaniu słów „zastopować rozmowy pokojowe”, widać było, że pobiełały mu palce zaciśnięte na ołówku. Jednak nikt z obecnych tego nie zauważył.

— Roger, ludzie, którzy siedzą w tym obozie wiedzą cholernie dużo o naszej obronie narodowej. Tylko sam Zacharias zna na wylot nasze plany uderzeń nuklearnych. — Ritter świadomie podwyższył znaczenie pułkownika Zachariasia i innych uwięzionych oficerów dla obronności kraju — dla tych palantów z Białego Domu samo życie kilku ludzi mogło nie przedstawiać zbyt wielkiej wartości. — Panie Hicks, mógłby nas pan zostawić samych na chwilę? — zapytał Ritter.

— Wally, przez jakiś czas obejdziemy się bez notatek — dorzucił MacKenzie.

— Oczywiście, proszę pana. — Hick wstał i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Niech was szlag trafi, zaklął w myśli sekretarz MacKenziego. Robert Ritter, powtórzył cicho, przecież to ten sam facet, który omal nie zerwał bardzo delikatnych rozmów dyplomatycznych, przemycając jakiegoś przekłętą szpiega z Budapesztu. Wyglądało na to, że Ritter wiedział doskonale, jak sobie radzić z takimi ludźmi jak Roger. Wystarczyło spojrzeć na ściany gabinetu wytapetowane zdjęciami MacKenziego na tle bombowców z czasów drugiej wojny światowej. Nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie ten wspaniały pilot w pojedynkę pokonał Hitlera. Ci wojskowi! Nie mają bladego pojęcia o tym, jak można bez fajerwerków rządzić światem.

To może zastopować rozmowy pokojowe. Nawet MacKenzie tak myśli.

Przypomniał sobie wszystkich chłopaków z jego pokolenia, którzy zginęli bez sensu w Wietnamie. A teraz kolejne setki tysięcy ryzykują życiem, ponieważ piętnastu lub dwudziestu zawodowych zabójców spotkał los, na który zasłużyli.

MacKenzie i Ritter wyszli z gabinetu.

— Wally, na chwilę wyskoczę z firmy. Powiedz gościowi umówionemu na jedenastą, że postaram się wrócić jak najwcześniej.

— Oczywiście, proszę pana.

Jak mogło być inaczej? Oczywiście Ritter zrobił z tym cymbałem to, co chciał i ten zaraz pobiegł do doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Ten z kolei rozpęta piekło podczas rokowań i rokowania przedłużą się o kolejne trzy miesiące. Chyba że ktoś zacznie działać. Hicks podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

— Biuro senatora Donaldsona.

— Chciałbym rozmawiać z Peterem Hendersonem.

— Przykro mi, ale jest razem z senatorem w Europie. Wróci w przyszłym tygodniu.

— Dziękuję. — Hicks odwiesił słuchawkę. Niech to szlag. Był tak zdenerwowany, że na śmierć zapomniał o wyjeździe Hendersona.

\* \* \*

Peter Henderson nawet nie wiedział, że jego kryptonim w KGB brzmi Kasjusz. Nadał mu je pewien analityk z Zarządu do spraw Kanady i USA, zakochany w dramatach Szekspira. Spoglądając na fotografię Hendersona doszedł do wniosku, że Brutus nie będzie odpowiednim imieniem — w końcu ten ostatni był prawdziwym patriotą.

\* \* \*

Senator Donaldson odwiedzał właśnie kolejne kraje Europy. Prawdziwym celem jego podróży — oprócz zakupów — było wstąpienie do Paryża w trakcie kolejnej tury rokowań pokojowych, dzięki czemu pojawiłby się na ekranach telewizji w rodzinnym Connecticut. Teraz byli w Londynie i Henderson miał okazję do zwiedzenia miejscowego Tower, obchodzącego właśnie dziewięćset lat straży nad Tamizą.

— Ciepły dzień, jak na Londyn — odezwał się stojący obok turysta.

— Ciekawe, czy zdarzają się tu burze — odpowiedział Amerykanin, podziwiając armaty z czasów Henryka VIII.

— Bywają, ale nie takie jak w Waszyngtonie — dokończył hasło turysta.

Henderson rozejrzał się za wyjściem i ruszył w jego kierunku. W chwilę później szedł powoli ze spotkanym przed chwilą turystą w stronę Zielonej Wieży.

— Pański angielski jest doskonały.

— Dziękuję, Peter. Mam na imię George.

— Miło mi cię poznać, George — powiedział z uśmiechem na twarzy Henderson. Do tej pory nawet nie spojrzął na towarzyszącego mu mężczyznę. Czuł się niczym James Bond, a to, że znajdowali się w sercu Imperium Brytyjskiego dodawało tylko smaczku tej przygodzie.

Rosjanin naprawdę nazywał się Georgij i ostatnimi czasy raczej nie bawił się już w agenta terenowego. Był teraz pułkownikiem KGB i powoli przymierzał się do generalskich gwiazdek. Osobiście przyleciał do Londynu, via Helsinki i Bruksela, tylko po to, by przyjrzeć się na własne oczy Kasjuszowi, i zrobić małe zakupy dla rodziny. W KGB było tylko trzech pułkowników z jego pokolenia, a młoda żona lubiła ubierać się w zachodnie sukienki. Czy jest lepsze miejsce na zakupy niż Londyn? Poza tym George nie mówił ani po francusku, ani po włosku.

— To jest nasze pierwsze i ostatnie spotkanie, Peter.

— Czy mam się czuć zaszczycony?

— Jeśli chcesz. — George uśmiechnął się do Amerykanina. — Twój senator ma dostęp do wielu informacji.

— Zgadza się — odparł Henderson. Nie musiał nawet dodawać, że on też.

— Tego rodzaju informacje mogą okazać się dla nas przydatne. Muszę przyznać, że twój rząd, zwłaszcza nowy prezydent, napawają nas obawami.

— Mnie też — przyznał Henderson.

— Jednak jest nadzieja. Wasz prezydent jest realistą. Jego propozycje *détente* postrzegane są przez nasze władze, jako pozytywny sygnał. Musi jednak zrozumieć, że my też mamy problemy.

— Na przykład jakie?

— W centralnych władzach jest wielu wielbicieli Stalina, którzy tylko czekają, żeby przyjąć twardą linię w polityce międzynarodowej. Podstawową zasadą dwustronnych rozmów między naszymi krajami musi być poczucie odpowiedzialności.

— Jak chcecie to osiągnąć?

— Poprzez równowagę informacyjną. Jeżeli jedna ze stron wie zbyt dużo o drugiej, nieuchronnie pojawia się pokusa wykorzystania tej przewagi, co nigdy nie prowadzi do konstruktywnych rozwiązań.

— To brzmi rozsądnie.

— Peter, oczekujemy od ciebie pewnych informacji. Od czasu do czasu. Nawet nie powiem ci, co nas interesuje. Jesteś na to zbyt inteligentny. Zimna wojna ma się ku końcowi. Nadchodzący pokój zależeć będzie od ludzi takich, jak ty i ja — od zawodowców. Musimy sobie nawzajem ufać. A zaufanie rodzi się z początku pomiędzy dwoma ludźmi. Na przykład między tobą a mną.

— Pokój, to brzmi pięknie — przyznał Henderson. — Jednak najpierw musimy zakończyć tę brudną wojnę.

— Też nad tym pracujemy. Staramy się... wyrzucić... nacisk nie jest chyba tu najlepszym słowem — może raczej — zachęcić naszych sojuszników w Azji do przyjęcia bardziej ugodowej linii. Zginęło już wystarczająco wielu młodych ludzi.

— To miło słyszeć, George.

— Pomożesz nam?

— Pomagałem wam już nie raz, George. — Była to prawda, przez ostatnie dwa lata Henderson kręcił się obok przynęty podsuwanej mu przez KGB — pora, żeby teraz połknął haczyk.

— Pamiętam o tym, Peter. Jednak teraz prosimy cię o nieco więcej. Chodzi nam o bardzo istotne informacje. Wypowiedzieć wojnę jest bardzo prosto, o wiele trudniej doprowadzić do pokoju. Nie spodziewaj się niczyjej wdzięczności. Nikt nigdy nie będzie wiedział, jaką rolę odegrałeś w tym dziele. Przed kamerami spotkają się przywódcy państw i będą ściskać sobie ręce nad podpisanymi traktatami. Jednak te traktaty my im podyktujemy. Peter, nie mogę cię zmuszać do tego. Sam musisz podjąć decyzję.

Henderson odwrócił się w jego stronę. — Już podjąłem decyzję. Ktoś musi doprowadzić do pokoju. Pomogę wam, George.

## 25 — Odlot

Pod koniec tygodnia operacja ZIELONA SKRZYNKA była dopięta na ostatni guzik. Grupa uderzeniowa nabrała takiej pewności, że jej członkowie biegli do „więzienia” zaledwie o trzy metry od strumienia pocisków wystrzeliwanych z *M-60*. Od tego momentu ćwiczenia wprawdzie nie straciły na intensywności, ale przekształciły się w rutynę. Nie było w niej znudzenia w nieskończoność powtarzanymi czynnościami. Zespół przypominał teraz raczej dobrze naoliwiony mechanizm, którego poszczególne trybiki doskonale uzupełniały się wzajemnie.

\* \* \*

— Dzięki, Roger — powiedział do słuchawki Ritter w zaciszu swojego gabinetu w Langley. Nacisnął klawisze, wybierając wewnętrzny numer. — James? Tu Bob. Dostaliśmy zielone światło. Możesz naciskać guziki.

\* \* \*

— W porządku, James. — „Wściekły” Maxwell obrócił się w fotelu i spojrzał na wiszącą na ścianie pamiątkę z czasów, kiedy latał. Był to fragment osłony silnika jego myśliwca *F6-F Hellcat* z wymalowanymi rzędami symboli zwycięstwa. — Chorąży Grafton! — zawołał.

— Tak jest, panie admirale.

— Wyślijcie depezę do admirała Podulskiego na USS „Constellation”: OLIWKA.

— Rozkaz, panie admirale.

Konradmirał Winslow Holland Maxwell wstał z biurka i wyszedł na korytarz E Pentagonu. Po chwili zatrzymał się w jednym z gabinetów sekcji Sił Powietrznych.

— Gary, będziemy potrzebować tych samolotów, o których ci mówiłem.

— Nie ma sprawy, Wściekły — odparł generał Sił Powietrznych, nie zadając żadnych pytań.

\* \* \*

Kelly skończył właśnie codzienne czyszczenie broni strzeleckiej. Jego podstawowym uzbrojeniem był *CAR-15* — skrócona wersja karabinka szturmowego *AR-15*, znanego też jako *M-16*. W kaburze pod lewym ramieniem umieścił pistolet kalibru 9 mm z tłumikiem. Jednak jego prawdziwą bronią był radiotelefon o dużym zasięgu, z tego też powodu postanowił zabrać ze sobą dwa takie urządzenia oraz komplet zapasowych baterii. Wraz z zapasem wody, racji żywnościowych i mapami, jego ekwipunek ważył dwanaście kilogramów. Takie obciążenie zbytnio mu nie przeszkadzało i przekonał się podczas ćwiczeń, że potrafi bez trudności poruszać się z nim w zalesionym terenie.

W strefie lądowania usiadł śmigłowiec Marynarki, z którego wysiadł admirał Maxwell. Kelly wiedział, jaki jest cel jego wizyty.

— Startujemy?

— Dziś w nocy — potwierdził skinieniem głowy Maxwell. — Domyślam się, o co ci chodzi. Masz jednak wrócić przed północą.

— Tak, panie admirale.

— Czego pan potrzebuje? — zapytał generał Young z wyraźną dezaprobatą w głosie. Takich rzeczy po prostu nie robi się tuż przed misją.

— Muszę wrócić na łódź, żeby się przebrać, a potem niech mnie ktoś podrzuci do Baltimore. Wrócę sam...

— Posłuchaj pan, Clark... — przerwał mu Young.

— Generale, to ja zaplanowałem tę misję. Pierwszy wchodzę i ostatni wychodzę, w *marines* nazywają to „pierwszy w akcji, wraca ostatni”.

Piętnaście minut potem Kelly znalazł się w innym świecie. Już po pierwszym rzucie oka na „Springera” przekonał się, że przystaniowy dobrze opiekował się jego łodzią. Wziął szybki prysznic i już w cywilnym ubraniu wrócił do samochodu generała.

— Do Baltimore, kapralu. Wyrzucicie mnie obok lotniska. Tam złapię taksówkę.

\* \* \*

— John! — Kelly nie odezwał się do niej od dwóch tygodni. Bała się, że coś złego mu się przytrafiło, ale teraz pojawił się inny rodzaj strachu: że wciąż jest żywy i robi rzeczy, o których wołała nie myśleć.

— Cześć, Sandy. — Kelly uśmiechnął się promiennie.

— Gdzieś się podziewał? — zapytała, wprowadzając go do środka.

— Miałem coś do zrobienia. Nic nielegalnego — zapewnił ją natychmiast. — Niestety, nie mogę tego ci powiedzieć. Ale zapewniam cię, że to nie ma nic wspólnego z mordercami Pam. Żeby od razu to wyjaśnić powiem ci tak: zabili Pam.

Zgwałcili ją, torturowali i wreszcie zabili — dla przykładu, tak, żeby inne dziewczyny bały się uciec od nich. Mam zamiar dostać każdego z nich i jeżeli wcześniej zginę, to cóż, mam zamiar podjąć takie ryzyko. Bardzo mi przykro, jeżeli to ci się nie podoba. Teraz jednak chodzi o coś zupełnie innego.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Nie wiedziała, co powiedzieć. — Powiedziałaś, że wyjeżdżasz.

— Tak. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wrócę za dwa tygodnie.

— Czy to będzie niebezpieczne?

— Nie, jeżeli zrobię to we właściwy sposób.

— Co zrobisz?

— To misja ratunkowa. Nie mogę niczego więcej powiedzieć i proszę, nie powtarzaj tego nikomu.

— Wietnam? — zapytała po kilku sekundach milczenia.

— Tak.

\* \* \*

— Może to jednak Eddie — przyznał Piaggi. — Kazałem mu się rozejrzeć, a on powiedział mi, że niczego nie wie.

— A od czasu, kiedy z nim rozmawiałeś, nic się nie wydarzyło na ulicy. Wszystko wraca do normy — dodał Henry. — Może chciał być po prostu nieco ważniejszy?

— To możliwe.

— O ile się załóżysz, że jeśli Eddie wybierze się na małą wycieczkę, nic więcej już się nie wydarzy?

— Myślisz, że chce nas załatwić?

— Czy jest jakieś inne logiczne rozwiązanie?

— Jeżeli coś stanie się Eddiemu, mogą być kłopoty. Nie sądzę...

— Pozwól mi się tym zająć. Mam dobry pomysł.

— Jaki pomysł?

Po dwóch minutach Piaggi skinął z aprobatą głową.

\* \* \*

— Jak było w Anglii, Peter?

— Nieźle. Jednak w Paryżu padało. Pierwszy raz byłem w Brukseli i bardzo mi się tam podobało. O czym tak ważnym chciałeś mi powiedzieć, Wally? — zapytał sekretarz senatora, z trudem starając się pokonać zmęczenie wynikające z różnicy czasu pomiędzy Europą a Ameryką.



— Przeprowadzamy inwazję na Północny Wietnam — odparł pracownik Białego Domu.

— Co? Chłopie, przecież dwa dni temu brałem udział w rokowaniach pokojowych. Wszystko idzie jak po maśle.

— To już przeszłość. Przynajmniej na jakiś czas — z ponurą miną powiedział Hicks, wyciągając z kieszeni plastikową torebkę z marihuaną.

— Powinieneś dać sobie spokój z tym gównem, Wally.

— Przynajmniej nie mam kaca, tak jak po piwie. Nawet, jeżeli ktoś się dowie, mam to gdzieś. I tak daję sobie spokój z pracą dla rządu. To wszystko jest bez sensu — można tym głąbom tłumaczyć, a oni i tak nie słuchają. Stary chce, żebym wrócił do jego firmy. Może jak zarobię kilka milionów, ktoś zacznie mnie słuchać.

— Nie zniechęcaj się tak łatwo, Wally. Myślisz, że wszystko da się załatwić w ciągu jednego dnia? Powiedz mi o co chodzi z tą inwazją.

— Odkryli w Północnym Wietnamie specjalny obóz jeniecki... — Po kilku minutach Henderson wiedział już wszystko.

— To fatalnie.

— Wojaki myślą, że przetrzymują tam kilkunastu jeńców. Jednak pewność mają tylko co do jednego. Peter, ryzykujemy rokowania pokojowe dla jednego faceta!

— Kiedy mają zacząć operację?

— Nie jestem pewien. Roger niewiele mi powiedział.

— Wally, nie przejmuj się tak tym. Potrzebujemy w administracji ludzi takich, jak ty.

## 26 — Tranzyt

Pierwszym przystankiem na trasie przelotu *C-141 Starlifter* była baza Sił Powietrznych Elmenford na Alasce. Kelly nigdy nie przestawał się dziwić, że najkrótsza droga dokądkolwiek na Ziemi prowadzi po krzywej. Przeprowadzona na globusie prosta zaczynająca się w Andrews, a kończąca w Danang, przebiegałaby nad Syberią, a to — jak przyznali lotnicy — nie byłaby przyjemna podróż.

Po zatankowaniu i przeglądzie technicznym *C-141* wzbił się ponownie w powietrze, kierując się do Yakoda w Japonii. Trzy godziny po starcie, Kelly wszedł do kabiny pilotów, nieco już ogłuszony nieustannym hukiem silników.

— Co to takiego, tam na horyzoncie? — zapytał.

— Rosja. Mają już nas na swoich radarach.

— To miło — zauważył Kelly.

— Świat jest mały, a oni mają jego duży kawałek.

— Czy rozmawiacie z nimi? Z kontrolą obszaru, czy co tam oni mają?

— Nie — roześmiał się nawigator. — Raczej nie są gościnni. Do Yakody prowadzi nas Tokio, a potem Manila. Jak tam w kabinie? Nie trzęsie?

— Nie za bardzo, ale strasznie się to dłuży — przyznał Kelly, wracając do przedziału transportowego. *C-141* był hałaśliwym samolotem, a Siły Powietrzne USA — w przeciwieństwie do przewoźników cywilnych — nie marnowały pieniędzy na izolację akustyczną.

\* \* \*

Henderson jechał do pracy autobusem. Parkowanie na Wzgórzu było prawie niemożliwe, a autobus podwoził go prawie przed drzwi. Znalazł miejsce z tyłu i rozłożył gazetę. Na następnym przystanku, po pokonaniu dwóch przecznic, poczuł, że ktoś zajmuje miejsce tuż obok.

— Jak było w Londynie? — zapytał niedbale mężczyzna. Henderson obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Nigdy wcześniej go nie widział. Czyżby byli aż tak perfekcyjni?

— Poznałem tam kogoś — odparł ostrożnie.

— Mam przyjaciela w Londynie. Ma na imię George — powiedział mężczyzna nieskazitelną angielszczyzną. Rozłożył gazetę na wiadomościach ze sportu. — Chyba w tym roku Senatorzy nie dadzą rady.

— George powiedział, że ma przyjaciela w Waszyngtonie. Mężczyzna uśmiechnął się. — Mam na imię Marvin. Możesz do mnie się tak zwracać.

— W jaki sposób mam się... Co mam..?

— Co robisz dziś wieczorem?

— Nic specjalnego. Chciałbyś przyjść do mnie?

— Nie, Peter. To nie byłoby rozropne. Wiesz, gdzie jest restauracja „U Alberta”?

— Tak. Na Wisconsin Avenue.

— O siódmej trzydzieści. — Marvin podniósł się z miejsca i wysiadł na następnym przystanku.

\* \* \*

„U Alberta” było włoską restauracją, jakich wiele na całym świecie. Ta słynęła jednak z serwowania wyjątkowo smacznej cielęciny. W rzeczywistości wyśmienite były również inne potrawy, tak więc małżeństwo restauratorów cierpliwie — i nie bez widoków na sukces — czekało na wizytę dziennikarza prowadzącego rubrykę kulinarną w „Washington Post”, który sprowadzi do ich stolików najlepszą klientelę. Jak na razie lokal wypełniali z reguły studenci z pobliskiego Georgetown University. Jedynym zgrzytem była tandetna muzyczka sącząca się nieprzerwanie z głośników. Właściciele będą musieli coś z tym zrobić, pomyślał Henderson, zajmując miejsce przy stoliku.

Marvin pojawił się kilka minut później. Miał na sobie niebieską koszulę z krótkimi rękawami bez krawata.

— Senatorowie znów przegrali — powiedział, kiedy do stolika zbliżył się kelner z drinkiem Hendersona. — Dla mnie czerwone wino.

— *Si* — odparł kelner i odszedł.

Peter spojrział na Marvina. Musi być „nielegalnym”. Jako sekretarz członka Podkomisji do spraw Wywiadu, Henderson przeszedł krótkie szkolenie, prowadzone przez ponurych pracowników FBI. „Legalni” agenci KGB działali pod przykrywką dyplomatów i w razie wpadki, z reguły byli odsyłani do domu jako persona non grata. „Nielegalni” byli agentami, którzy dostali się do USA na fałszywych papierach i w razie aresztowania ryzykowali więzienie, aż do najbliższej wymiany szpiegów, co mogło potrwać czasami kilka lat.

— Przejdźmy do rzeczy. Nie będziemy mogli się często spotykać. Wiesz dlaczego.

Henderson uśmiechnął się. — Tak, słyszałem, że zimy w Leavenworth są nieprzyjemne.

— Nie ma się z czego śmiać, Peter — powiedział oficer KGB. — To poważna sprawa. — Cholera jasna, żeby tylko facet nie okazał się kolejnym kowbojem, pomyślał „Marvin”.

— Racja. Przepraszam.

— Po pierwsze, musimy ustalić sposób kontaktowania się ze sobą. W każdy wtorek i piątek będę przejeżdżał pod twoim domem. Jeżeli zasłony w twoim oknie będą zaciągnięte — wszystko jest w porządku. Jeżeli będą zaciągnięte do połowy, to oznaczać będzie, że pojawiły się problemy. Rozumiesz?

— Tak, Marvin.

— Na początek użyjemy prostej metody przekazywania informacji. Będę parkował swój samochód na ulicy w pobliżu twojego mieszkania. To będzie granatowy Plymouth Satellite z numerami rejestracyjnymi HVR-309. Zapamiętaj je i nigdy ich nie zapisuj.

— HVR-309.

— Meldunki wkładaj do tego. — Przekazał mu mały przedmiot pod blatem stolika. — Nie przykładaj tego przypadkiem do zegarka. To pudełeczko trzyma się na magnesie. Kiedy przejdiesz obok mojego samochodu, możesz na przykład oprzeć stopę o zderzak i zawiązać sznurowadło. Przy okazji włóż pudełeczko pod błotnik. Magnes nie pozwoli mu odpaść.

Cały ten wykład brzmiał bardzo profesjonalnie dla Hendersona. Kelner przyniósł menu i obaj mężczyźni wybrali cielecinę.

— Chyba mam coś, co cię zainteresuje — powiedział Henderson, popijając wino.

\* \* \*

Wszyscy z ulgą przyjęli moment lądowania *C-141* w bazie Danang. Łącznie spędzili w powietrzu dwadzieścia trzy godziny, w hałaśliwym wnętrzu przedziału transportowego. Ledwo zdążył otworzyć się luk bagażowy, kiedy do wnętrza wdarł się smród, znany wszystkim weteranom wojny w Indochinach jako „Zapach Wietnamu”, na który składała się zawartość niezliczonych beczek, w których spalano fekalia za pomocą ropy naftowej.

Na stojance czekały już dwie ciężarówki, które zawiozły *marines* do samolotów Marynarki *C-2A Greyhound*. Z wyrazem udręki na twarzach żołnierze zajęli miejsca we wnętrzu. Oczekiwał ich teraz jednogodzinny lot na pokład USS „Constellation”, gdzie przesiądą się na dwa śmigłowce *CH-46 Sea King*, które przetransportują cały oddział na USS „Ogden”. Tam czeka ich wreszcie upragniony wypoczynek.

\* \* \*

— Mieliście przyjemny lot? — Kelly odwrócił się, słysząc głos admirała Podulskiego, ubranego w wymięty mundur polowy.

— Lotnicy muszą mieć nie po kolei w głowie — odparł Kelly.

— Tyle hałasu o kilka godzin lotu. Proszę za mną — rozkazał admirał, kierując się w stronę nadbudówki. Po pokonaniu kilkunastu stalowych drabinek, Podulski wprowadził gościa do swojej tymczasowej kwatery. Dotychczasowy jej użytkownik — pierwszy oficer — przeprowadził się do kabiny bezpośrednio pod mostkiem.

— Witam na pokładzie! — powitał Kelly'ego kapitan Ted Franks. — Pan Clark?

— Zgadza się.

Kapitan bez słowa zaprosił Kelly'ego do stołu, na którym stała butelka Jacka Danielsa.

— To wbrew regulaminowi — zauważył Kelly.

— To nie moje — odparł z uśmiechem Franks. — To racje lotników.

— Ja to załatwiłem — wtrącił się Kaz Podulski. — Po takim rejsie potrzeba czegoś mocniejszego, żeby zasnąć.

— Nigdy nie spieram się z admirałami. — Kelly zdążył wrzucić już dwie kostki lodu do szklanki.

— Pierwszy oficer właśnie ma odprawę z kapitanem Albie i jego ludźmi. Oni też dostaną lekarstwo — dodał Franks, mając na myśli dwie miniaturki burbona położone na każdej pryczy przeznaczonych dla *marines*.

— Trzeba przyznać, panie kapitanie, że umie pan podejmować gości — powiedział Kelly, pociągając ze szklanki. — Kiedy zaczynamy?

— Za cztery dni. Potrzeba wam dwóch, żeby dojść do siebie po podróży. Piechota morska startuje w piątek, o ile pogoda się utrzyma.

— W porządku.

— Na razie tylko ja i pierwszy wiemy o co chodzi.

— Zwiad?

— Dziś po południu dostaniemy zdjęcia zrobione przez *Vigilante*, który operuje z „Connie”. Dwanaście godzin przed akcją dostaniemy drugi zestaw — odpowiedział Podulski.

— Obiekty? — zapytał Kelly, używając kryptonimu oznaczającego jeńców.

Kaz wzruszył ramionami. — Mamy tylko trzy zdjęcia, na których widać Amerykanów. Na razie jeszcze nie wynaleźli aparatu, który przebiłby się przez drewniany sufit.

## 27 — W stronę celu

Tuż przed świtem rozpoczęła się pierwsza faza operacji ZIELONA SKRZYNIKA. Po nadaniu umówionego sygnału, lotniskowiec USS „Constellation” zawrócił z południowego kursu. Reszta zespołu: dwa krążowniki i sześć niszczycieli, powtórzyła ten manewr, a dźwignie dziewięciu telegrafów maszynowych powędrowały w położenie „cała naprzód”. Od pewnego czasu utrzymywano w kotłach pełne ciśnienie, toteż pochylając się w zwrocie na prawą burtę, okręty zaczęły jednocześnie przyśpieszać. Taki rozwój sytuacji zaskoczył załogę rosyjskiego trawlera. Spodziewali się, że „Connie” skieruje się raczej pod wiatr, co oznaczałoby początek operacji lotniczej. Tymczasem z niezrozumiałych dla nich powodów, lotniskowiec wycofywał się spiesznie ku północnemu wschodowi. Trawler szpiegowski również zmienił kurs, zwiększając zarazem prędkość, w próżnej nadziei doścignięcia lotniskowcowej grupy uderzeniowej. USS „Ogden” pozostał w tyle, eskortowany przez dwa niszczyciele rakietowe klasy Adams. Była to całkiem uzasadniona ostrożność, pamiętając co niedawno spotkało u wybrzeży Korei USS „Pueblo”.

Godzinę później kapitan Franks obserwował rosyjski statek znikający za horyzontem. Dla pewności odczekano jeszcze dwie godziny. O ósmej, na rozległej platformie lotniczej „Ogdena” wylądowały dwa śmigłowce *AH-1 Huey Cobra*, kończąc samotny lot nad oceanem z bazy Marynarki Danang. Rosjanie byliby prawdopodobnie zdziwieni obecnością śmigłowców szturmowych na pokładzie okrętu, który według posiadanych przez nich informacji, służył celom rozpoznania radioelektronicznego, podobnie jak ich „trawler”. Zaalarmowana wcześniej drużyna remontowa odtoczyła *Cobry* do hangaru i niezwłocznie przystąpiła do szczegółowego przeglądu technicznego śmigłowców. Szef mechaników „Ogdena” rozkazał otworzyć warsztaty okrętowe i zapewnić nowo przybyłym niezbędną pomoc. Załogi nie poinformowano dotąd o charakterze wykonywanego zadania, ale dla wszystkich było oczywiste, że szykowało się coś niezwykłego. Czas zadawania pytań minął. Bez względu na to, o jaką cholerną misję mogło tu chodzić, należało uruchomić wszelkie zasoby techniczne statku, nie czekając, aż oficerom przyjdzie do głowy wydać stosowne rozkazy podległym sobie służbom. *Cobry* na pokładzie oznaczały akcję bojową, a wszyscy byli w pełni świadomi, że znajdują

się o wiele bliżej Wietnamu Północnego niż Południowego. Snuto najróżniejsze domysły, ale bez popadania w histerię. Fakty mówiły same za siebie: najpierw grupa cywilów, prawdopodobnie z CIA, potem *marines*, teraz szturmowe *Cobry*, a po południu spodziewano się przylotu kolejnych helikopterów. Służba medyczna otrzymała rozkaz przygotowania w szpitalu okrętowym miejsc dla przybywających.

— Złożymy chyba wizytę tym zasrańcom — oświadczył bosmanowi jeden z matów.

— Lepiej tego nie rozprowadaj — odwarknął czterdziestoosmioletni weteran.

— Panie bosman, a komu do diabła miałbym o tym mówić? Człowieku, chyba wiem co robię, nie?

Co się dzieje z dawną Marynarką? — zapytywał się w duchu weteran bitwy w zatoce Leyte.

— Ty, ty i ty — pokrzykiwał mat, wskazując po kolei na trzech młodych marynarzy. — Robimy obchód platformy lotniczej. — Rozpoczęto skrupulatne sprawdzanie miejsca lądowania śmigłowców, w poszukiwaniu przedmiotów, które przez wloty powietrza mogłyby zostać wessane do wnętrza silników. — Za waszym pozwoleniem, bosmanie — przypomniał sobie mat.

— Rób, co trzeba.

Chłopaczki z koledżu, myślał bosman, wykręcają się od poboru.

— A jak którego zobaczę tutaj z papierosem w gębie, nogi z dupy powyrywam — dobiegły go groźby mata, wypowiedane pod adresem świeżo upieczonych marynarzy.

W przedziale dowodzenia działa się tymczasem rzeczy naprawdę istotnej wagi.

— Mnóstwo rutynowych rozmów — zameldował swoim gościom specjalista od podsłuchu.

— Ostatnio siedzieliśmy na ich łączach telefonicznych — wyjaśnił Podulski. — Dlatego wolą teraz używać radia.

— Sprytne — przyznał Kelly. — Był jakiś ruch od strony obiektu?

— Kilka przekazów. A w nocy jeden po rosyjsku.

— To jest wskazówka, na którą czekaliśmy! — błyskawicznie zareagował admirał. Był tylko jeden powód, dla którego w ZIELENIAKU mógł znaleźć się Rosjanin. — Mam nadzieję, że dostaniemy tego sukinsyna.

— Jeśli tam jest, będzie nasz. Obiecuję, panie admirale — uśmiechnął się Albie.

Atmosfera w zespole zmieniła się w łatwo zauważalny sposób. Już wypoczęci, czując bliskość celu, ludzie nie myśleli teraz o abstrakcyjnym zagrożeniu, skupiając się ponownie na konkretach. Wróciła pewność siebie — nie pozbawiona ostrożności i troski o szczegóły, ale tak zostali przygotowani do tego rodzaju sytuacji. Teraz chodziło przede wszystkim o powodzenie operacji.

Na pokład dostarczono trzydzieści najświeższych zdjęć. *RA-5 Vigilante*, który je wykonał, musiał pohłasować nad, co najmniej, trzema stanowiskami rakiet ziemia-powietrze, aby ukryć zainteresowanie prawdziwym celem.

Kelly wziął do ręki powiększone fotografie.

— Nadal ludzie na wieżach.

— Strażnicy. Czegoś najwyraźniej pilnują — wtrącił Albie.

— Nie widzę żadnych zmian — ciągnął Kelly — tylko jeden samochód, żadnych ciężarówek i nic specjalnego wokół obiektu. Panowie, dla mnie wygląda to całkiem normalnie.

— „Connie” zajmie pozycję na pełnym morzu, w odległości sześćdziesięciu kilometrów od nas. Dziś meldują się na pokładzie sanitariusze. Jutro przybywa zespół dowodzenia. A pojutrze. . . — Franks spojrzął na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Kelly’ego.

— Czeka mnie kąpiel — dokończył Kelly.

\* \* \*

Kaseta z nie wywołanym filmem spoczęła w sejfie dowódcy sekcji waszyngtońskiej placówki KGB, ulokowanej na tyłach ambasady radzieckiej przy Szesnastej Ulicy, o kilka zaledwie przecznic od Białego Domu. Dawna rezydencja George’a Mortimera Pullmana — odkupiona od niego przez cara Mikołaja II — szczycąca się jedną z dwu najstarszych wind w mieście, była największym w stolicy ośrodkiem szpiegowskim. Ze względu na ilość materiału dostarczanego przez ponad setkę wyszkolonych agentów, nie wszystkie informacje opracowywano na miejscu. Kapitan Jegorow był funkcjonariuszem na tyle niskiej rangi, że dowódca sekcji nie uznał jego raportu za wymagający natychmiastowego zbadania. Ostatecznie kaseta, zapakowana w opieczętowaną kopertę, trafiła do worka kuriera dyplomatycznego, który odleciał do Paryża, podróżując w miłej atmosferze kabiny pierwszej klasy samolotu Air France. Na Orly, osiem godzin później, złapał od rzutowiec Aerofłotu do Moskwy. Trzy i pół godziny lotu upłynęło mu na przyjemnej pogawędce z funkcjonariuszem ochrony KGB, który stanowił jego oficjalną eskortę podczas tego etapu podróży. Niezależnie od obowiązków służbowych, kurier prowadził — już na własny rachunek — wielce intratną działalność handlową, polegającą na przywożeniu ze swych regularnych wypraw na Zachód najróżniejszych dóbr konsumpcyjnych. Aktualnym przebojem czarnego rynku były rajstopy; dwie ich paczki powędrowały do nesesera ochroniarza KGB.

Po przybyciu do Moskwy kurier, ominąwszy stanowisko odprawy celnej, wsiadł do czekającego nań samochodu i udał się do centrum miasta. Pierwszy postój miał miejsce nie przed siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale na Placu Dzierżyńskiego, gdzie pod numerem drugim mieści się Zarząd Naczelny



KGB. Tam została przekazana więcej niż połowa zawartości torby kuriera, w tym lwią część paczuszek z rajstopami.

Następne dwie godziny pozwoliły mu dotrzeć do mieszkania, gdzie czekała nań butelka wódki i zasłużony odpoczynek.

Kaseta wylądowała na biurku majora KGB, urzędującego w jednym z niezliczonych referatów Zarządu. Dzięki załączonej do niej notatce, mógł on ustalić, który z oddziałów terenowych jest nadawcą przesyłki. Po wypełnieniu odpowiedniego formularza major wezwał jednego ze swych podwładnych i polecił przekazać film do laboratorium celem wywołania. Okazało się jednak, że pracownia fotograficzna, aczkolwiek nie należała do najmniejszych, była zawalona robotą i na odbitki trzeba było poczekać dzień, lub dwa. Słyszając to major obojętnie pokręcał głową. Jegorow był początkującym agentem, choć niewątpliwie zdolnym i obiecującym, ze względu na interesujące kontakty w sferach politycznych. Niemniej uważano, że musi jeszcze upłynąć sporo czasu, nim Kasjusz przekaze coś naprawdę ważnego.

\* \* \*

Po pierwszej wizycie u doktor Bryant, Raymond Brown opuszczał gmach wydziału medycznego Uniwersytetu w Pittsburghu, z najwyższym trudem tłumiąc ogarniający go gniew. Samą wizytę można było właściwie uznać za udaną. Doris opowiedziała wiele z tego, co wydarzyło się w ciągu minionych trzech lat. Mówiła szczerze, choć chwilami głos jej się łamał; ojciec przez cały czas trzymał ją za rękę, pragnąc w ten sposób dodać córce otuchy. W głębi duszy Raymond Brown siebie winił za wszystko, co spotkało Doris. Gdyby w ten piątkowy wieczór, dawno temu, potrafił nad sobą zapanować... Ale nie potrafił. Stało się. Nie mógł tego zmienić. Teraz był już jednak innym człowiekiem. Był starszy i mądrzejszy, i idąc w kierunku zaparkowanego przed uczelnią samochodu trzymał nerwy na wodzy. W tej chwili chodziło o przyszłość, nie o przeszłość. Lekarka podkreśliła to bardzo wyraźnie, a Ray postanowił we wszystkim przestrzegać jej rad.

Ojciec i córka zjedli obiad w spokojnej restauracji uczęszczanej głównie przez rodzinną klientelę — Ray nigdy nie umiał zbyt dobrze gotować. Rozmawiali o sąsiadach, o tym jak potoczyły się losy przyjaciół Doris z dzieciństwa, jakby ostrożnie próbowali nawiązać utraconą więź. Raymond starał się mówić spokojnie, pamiętał, żeby się często uśmiechać i pozwalał Doris nadawać kierunek rozmowie. Mimo wszystko często się gubiła, głos jej się łamał, a w oczach pojawiał się wyraz bólu. Musiał wtedy pośpiesznie zmieniać temat, rzucić jakąś miłą uwagę na temat jej wyglądu, lub choćby opowiedzieć coś o swojej pracy. Przede wszystkim musiał być silny, tak, by mogła w nim znajdować oparcie. Podczas tych dziewięćdziesięciu minut pierwszej sesji z psychiatrą dowiedział się, że wszystko, czego obawiał

się najbardziej, w ciągu tych trzech lat zdarzyło się naprawdę. I czuł, że to, o czym dotąd nie wie, było jeszcze gorsze. Musiał odkryć w sobie nieznane mu dotąd pokłady cierpliwości, ale – powiedział sobie — dla swojej małej dziewczynki stanie się... opoką, skałą, na której mogłaby się wesprzeć, równie niewzruszoną i trwałą jak wzgórze, na których zbudowano jego miasto. I było jeszcze coś, w czym musiał jej pomóc. Ponowne odkrycie Boga. Lekarka podzielała jego zdanie w tej sprawie i Ray Brown, przy pomocy swojego pastora, zamierzał się tym zająć. Przyrzekł to sobie, patrząc w oczy córki.

\* \* \*

Dobrze było wrócić do pracy. Sandy znów trzęsła swoim piętrem. Sam Rosen sporządził notatkę, w której za przyczynę jej dwutygodniowej absencji podał „oddelegowanie do pracy poza terenem szpitala”. Przy jego pozycji ordynatora oddziału takie stwierdzenie nie budziło niczyich wątpliwości.

Pacjenci w bloku pooperacyjnym stanowili jak zwykle mieszaninę mniej i bardziej poważnych przypadków. Zadaniem zespołu Sandy było zapewnienie tym ludziom opieki. Tylko dwie z jej koleżanek próbowały wypytywać o przyczynę długiej nieobecności. Sandy ograniczyła się do stwierdzenia, że chodziło o pracę związaną z badaniami doktora Rosena i to wystarczyło, zwłaszcza że pacjentów nie brakowało i roboty było zatrzęsienie. Niemniej, większość pielęgniarek zespołu zauważyła, że Sandy jest dziwnie roztargniona. Od czasu do czasu w jej oczach pojawiał się wyraz nieobecności, jakby myślami przebywała gdzieś daleko, jakby pochłaniały ją sprawy bardzo odległe od szpitalnej codzienności. Co to było — nikt nie miał pojęcia. Może mężczyzna? — spekulowano, ale wszyscy cieszyli się z powrotu przełożonej. Sandy lepiej niż ktokolwiek inny z białego personelu radziła sobie z chirurgami. Poparcie profesora Rosena jeszcze umocniło jej pozycję, toteż praca na piętrze ruszyła wkrótce ustalonym torem, bez tarć i wstrząsów.

\* \* \*

— Macie już kogoś na miejsce Billy'ego i Ricka? — spytał Morello.

— To musi potrwać, Eddie — odparł Henry. — Cała ta sprawa może utrudnić nam przerzut.

— Szlag by trafił! Za bardzo to wszystko skomplikowane.

— Wolnego, Eddie — odezwał się Tony Piaggi. — Henry opracował dobry system. Jest bezpieczny i daje rezultaty...

— I jest zbyt skomplikowany. Kto się teraz zajmie Filadelfią?

— Pracujemy nad tym — odpowiedział Tony.

— Ludzie! Jedyne, co macie do roboty, to dostarczyć towar i zgarnąć pieniądze. Nikt tu nie będzie nikogo robił w konia. Pamiętajcie, że pracujemy z ludźmi interesu. — Nie z czarnuchami z ulicy, pomyślał, chociaż miał dość rozsądku, by nie powiedzieć tego na głos. Niemniej to rozumiało się samo przez się.

Piaggi ponownie napełnił kieliszki winem. Jego maniery robiły na Morello wrażenie irytująco protekcyjnych.

— Słuchajcie — powiedział prostując się w krześle — pomogłem załatwić ten interes, zgadza się? Nawet nie zaczęlibyście w Filadelfii, gdyby nie ja.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Eddie?

— Że puszcę dla was tę partię, niech no tylko Henry ściągnie ten syf do kupy. W czym problem? Do diabła, macie przecież dupy, które to dla was robią! — Postaw się trochę, pomyślał Morello, pokaż, na co cię stać. Tak jak tym facetom w Filadelfii. Cholera, może przynajmniej oni zrobią dla niego to, czego nie chce zrobić Tony. Tak jest!

— Jesteś pewien, że chcesz spróbować, Eddie? — zapytał Henry, uśmiechając się w duchu. Łatwo było przejrzeć tego makaroniarza.

— Tak, kurwa!

— Dobra — rzekł Tony z taką miną, jakby postawa Eddiego zrobiła na nim wrażenie. — Zadzwoń i załatw to. — Henry miał rację, myślał Piaggi. Od początku to był Eddie. Handlował na własną rękę. Co za głupota. Nietrudno było go rozgryźć.

\* \* \*

— Nadal nic — stwierdził Emmet Ryan, podsumowując sprawę Niewidzialnego Człowieka. — Tyle śladów i nic z tego wynika.

— Jedyne sensowne przypuszczenie, Em, to takie, że ktoś wchodzi do interesu.

To nie była jednorazowa akcja. Zabójstwa tworzyły serię. I musiał być tego jakiś powód. W wielu sprawach trudno znaleźć motyw, a nawet może to być w ogóle niemożliwe, ale taka zaplanowana i starannie przeprowadzona seria morderstw to inna historia. Wszystko sprowadza się do dwóch ewentualności. Jedna, że ktoś dokonał tych zabójstw, mierząc w rzeczywistości w jedną ofiarę. Jeśli tak, to ta ofiarą musiał być William Grayson, który zniknął z powierzchni ziemi — pewnie na zawsze. Któregoś dnia znajdzie się jego ciało; albo i nie. Ktoś bardzo zły o coś i bardzo zręczny — Niewidzialny Człowiek — doprowadził rzecz do tego punktu i na tym koniec.

Na ile to prawdopodobne? — pytał Ryan sam siebie. Nie da się tego ocenić, ale taki dwutakt początek-koniec wydał mu się jakoś za bardzo arbitralny. Zbyt wyszukany, jak na jedną, w sumie nie liczącą się ofiarę. Grayson, kimkolwiek był,

nie mógł kierować żadną organizacją i o ile te morderstwa stanowiły zaplanowaną sekwencję, jego śmierć po prostu nie mogła być jej logicznym zwieńczeniem. Przynajmniej — Ryan zmarszczył brwi — tak mówił mu instynkt. Nauczył się ufać temu nieokreślonym wewnętrznemu przecuciu, jak zresztą wszystkie gliny. A jednak było faktem, że morderstwa się skończyły. W ostatnich tygodniach poniosło śmierć jeszcze trzech handlarzy. Przybywał z Douglasem na miejsce zbrodni jedynie by stwierdzić, że w dwóch przypadkach chodziło o nieudolnie dokonane pospolite rabunki, a w trzecim — o walkę o teren, w której jeden handlarz pokonał drugiego. Tymczasem Niewidzialny Człowiek zniknął, a w każdym razie przestał działać — i ten fakt rozwiewał teorię, która wydawała mu się najsensowniejszym wyjaśnieniem morderstw, zostawiając go z czymś dużo mniej zadowalającym.

Druga ewentualność miała nieco więcej sensu. Ktoś wszedł do siatki, dotychczas nie wykrytej przez Marka Charona i jego ekipę, i eliminuje niektórych handlarzy, oczywiście skłaniając innych do zwrócenia się ku nowemu dostawcy. W tej wersji William Grayson musiał być nieco ważniejszą figurą — być może miało miejsce jeszcze jedno, może dwa, dotąd nie wykryte morderstwa na przywódcach domniemanej szajki. Kolejny skok wyobraźni uświadomił Ryanowi, że szajka rozwalona przez Niewidzialnego jest tą samą, którą ścigają z Douglasem od wielu miesięcy. Wszystko wiązało się w bardzo zgrabny teoretyczny węzełek.

Morderstwa rzadko dostarczały takiej satysfakcji. Rzeczywiste morderstwo to zawsze coś zupełnie innego niż policyjny film w telewizji. Nigdy nie dawało wyjaśnić się do końca. Nawet jeśli wiedziało się kto, można było nigdy nie dowiedzieć dlaczego, przynajmniej nie w stu procentach. Kłopot ze stosowaniem eleganckich teorii do faktu śmierci przerywającej realne życie był taki, że ludzie nie za bardzo podporządkowywali się teorii. Poza tym, jeśli nawet ta wersja wypadków minionego miesiąca była poprawna, musiało to oznaczać, że w mieście zbrodniczą akcję przeprowadza osobnik świetnie zorganizowany, bezwzględny i piekielnie skuteczny, a to nie była akurat dobra nowina.

— Tom, ja tego po prostu nie kupuję.

— Ano, jeśli to twój komandos, to dlaczego przestał? — zapytał Douglas.

— Zaraz, zaraz, czy mnie pamięć zawodzi? Czy to nie ty wyjechałeś z tym pomysłem?

— Tak, i co z tego?

— A to, sierżancie, że nie bardzo pomagacie swojemu przełożonemu.

— Przed nami miły weekend na zastanawianie się. Jeśli o mnie chodzi, zamierzam w niedzielę przystrzyc trawę na korcie, zagrać ze dwa mecze i robić za zwykłego obywatela. Nasz przyjaciel znikł, Em. Nie wiem gdzie, ale może być i na drugim końcu świata. Najlepiej przyjmij, że to ktoś spoza miasta, kto przyjechał tu na robotę, wykonał ją, i już go nie ma.

— Czekaj! — To była całkiem nowa teoria. Zawodowy zabójca na kontrakcie, człowiek spoza tutejszych układów. Tyle, że tacy ludzie po prostu nie istnieli. Ale Douglas już sobie poszedł, nie dając okazji do dyskusji, która mogłaby wykazać, że każdy z nich w połowie się mylił, a w połowie miał rację.

\* \* \*

Ćwiczenia strzeleckie odbyły się pod bacznym okiem dowództwa i marynarzy — wszystkich, którym udało się znaleźć pretekst, aby oderwać się od pracy. Chłopcy z piechoty morskiej spodziewali się, że dwaj nowo przybyli admirałowie i ten kolejny dupek z CIA będą po podróży równie chorzy, jak oni sami w chwili wylądowania na pokładzie „Ogdena”. Nie wiedzieli, że Maxwell, Greer i Ritter przeskoczyli Pacyfik transportowcem zarezerwowanym dla VIP-ów, w wygodnych fotelach i z drinkami w garści.

Za burtę powędrowały najrozmaitsze śmieci, mogące służyć za cel. Okręt sunął spokojnie z prędkością pięciu węzłów. *Marines* dziurawili pociskami kawałki drewna i papierowe worki i było to raczej widowisko dla zgromadzonych marynarzy niż prawdziwy trening strzelecki. Kiedy przyszła kolej na Kelly’ego, wystrzelił ze swojego *AR-15* kilka serii po dwa, trzy naboje, trafiając w cel. Wkrótce było po wszystkim. Żołnierze zabezpieczyli karabiny i udali się do swych kwater. Kelly’ego, wracającego do nadbudówki, zaczepił nie znany mu bosman z działu mechanicznego.

— Ten facet, co ma iść sam na akcję, to pan?

— Nie wolno mi tego powiedzieć.

Bosman zachichotał.

— Pan pozwoli ze mną.

Ruszyli w kierunku przeciwnym do pomieszczeń mieszkalnych *marines* i niebawem znaleźli się w warsztacie mechanicznym „Ogdena”. Robił imponujące wrażenie i nie bez powodu. Przeznaczony był przecież nie tylko do obsługi okrętu, ale i wszelkiego sprzętu ruchomego, mogącego się znaleźć na jego pokładzie. Na jednym ze stołów warsztatowych Kelly ujrzał pojazd podwodny, którym miał się posłużyć w drodze w górę rzeki.

— Mamy go tutaj od San Diego. Nasz elektryk i ja trochę przy nim pomajstrowaliśmy. Rozebraliśmy wszystko, oczyściliśmy, sprawdziliśmy akumulatory. Nawiasem mówiąc, są z tych najlepszych. Wymieniliśmy uszczelki, tak, że nie powinien brać wody. Sprawdziliśmy go nawet w studni. Instrukcja gwarantuje pięć godzin pracy. Deacon i ja zrobiliśmy kilka przeróbek i teraz powinien działać przez siedem godzin. — Głos mechanika zabrzmiał cichą dumą. — Pomyślałem, że to zawsze jakieś ułatwienie.

— Istotnie. Dzięki, bosmanie.

— Zobaczmy teraz tę broń.

Po chwili wahania Kelly wręczył karabin bosmanowi, który przystąpił do jego rozbierania. Po piętnastu sekundach AR-15 był rozłożony, jak do czyszczenia. Mechanikowi było tego jednak za mało.

— Zaraz, zaraz! — podskoczył Kelly, kiedy bosman oddzielił muszkę od lufy.

— Proszę pana, ta broń jest zbyt głośna. Idzie pan sam, zgadza się?

— Owszem, idę.

Bosman nawet nie mrugnął.

— Chce pan, żebym wyciszył to cacko, czy woli pan być słyszany z daleka?

— Nie może pan wyciszyć karabinu.

— Kto to powiedział? Z jakiej odległości spodziewa się pan strzelać?

— Nie więcej niż sto metrów, może bliżej. Do diabła, wolałbym w ogóle nie musieć go używać. . .

— Bo jest za głośny, prawda? — Bosman uśmiechnął się. — Chce pan popatrzeć? Będzie miał pan okazję czegoś się nauczyć.

Z lufą w rękę podszedł do dużej wiertarki pionowej. Odpowiednie wiertło było już zamocowane i, obserwowany przez Kelly'ego i dwójkę podoficerów, bosman wywiercił serię otworów w końcowych piętnastu centymetrach lufy.

— Rzecz w tym, że istotnie nie da się całkowicie wytłumić wystrzału pocisku naddźwiękowego, ale można wychwycić większość gazów opuszczających lufę i to z pewnością da rezultaty.

— Nawet, jeśli używa się naboju o wysokiej mocy?

— Gonzo, ustawiłeś wszystko jak trzeba?

— Tak jest — odparł starszy mat nazwiskiem Gonzales.

Lufa karabinu wylądowała w uchwycie tokarki, za pomocą której bosman naciał na niej płytki, lecz długi gwint.

— Przygotowałem to wcześniej — powiedział, biorąc do ręki tłumik przypominający puszkę o średnicy siedmiu i długą na około trzydzieści pięć centymetrów. Bez trudu nakręcił ją na koniec lufy. Wycięcie w rurze tłumika umożliwiło ponowne zamontowanie muszki.

— Długo pan nad tym pracował?

— Trzy dni. Widziałem broń, jaką zabraliśmy w ten rejs i doszedłem do wniosku, że coś takiego może się panu przydać. Miałem wolny czas, więc pobawiłem się trochę przy warsztacie.

— Ale skąd, do diabła, wiedział pan, że idę. . .

— Wymienialiśmy sygnały z okrętem podwodnym. Nietrudno było się domyślić.

— Ale skądś musiał się pan dowiedzieć. Skąd? — upierał się Kelly, chociaż w gruncie rzeczy doskonale znał odpowiedź.

— Widział pan kiedy okręt, na którym uchowa się jakiś sekret? Kapitan ma pisarza, a ten lubi sobie pogadać. . . — tłumaczył mechanik, kończąc składanie

karabinu. — Jest teraz o piętnaście centymetrów dłuższy. Mam nadzieję, że nie będzie to panu przeszkadzać.

Kelly złożył się na próbę. Na dobrą sprawę, wyważenie broni nawet się poprawiło. Zawsze wołał karabiny o ciężkiej lufie, ze względu na ich większą stabilność przy strzale.

— Doskonale.

Oczywiście teraz należało przeprowadzić próbę. Udali się na rufę. Po drodze mechanik podniósł walającą się w kącie drewnianą skrzynkę. Stanęli na rufie i Kelly wcisnął do karabinu pełny magazynek. Bosman cisnął skrzynkę do wody i odsunął się. Kelly przyłożył broń do ramienia i oddał pierwszy strzał.

Paf.

Chwilę później rozległ się odgłos uderzenia kuli o drewno, chyba nawet trochę głośniejszy od samego wystrzału. Kelly wyraźnie usłyszał także szcęknięcie cofającego się zamka. Bosman-mechanik zrobił z tym *AR-15* na amunicję pełnej mocy to samo, co Kelly ze swoim pistoletem. Teraz uśmiechnął się do brodu.

— Najważniejsze, to żeby w lufie zostało dość gazów do przesuwania zamka. Niech pan przestawi na ogień ciągły.

Kelly posłuchał a potem wystrzelił serię sześciu pocisków. Owszem, brzmiało to jak odgłos wystrzałów, ale obecnie broń była cichsza przynajmniej o dziewięćdziesiąt pięć procent. A to znaczyło, że z odległości dwustu, trzystu metrów, nie będzie jej słyszeć wcale. Normalny karabin słyszy się z tysiąca metrów.

— Dobra robota, bosmanie.

— Nie wiem, na czym polega pańskie zadanie, ale niech pan będzie ostrożny — powiedział tylko bosman i odszedł.

— Tego możesz być pewien — mruknął Kelly do siebie. Celując nieco ponad skrzynkę, opróżnił magazynek, nim odplynęła zbyt daleko. Pociski rozłupywały drewno na drzazgi, wzbijając niewielkie, białe fontanny morskiej wody.

Jesteś gotowy, John.

\* \* \*

Kilka minut później dowiedział się, że sprzyja mu i pogoda.

Działania lotnicze nad Wietnamem wspierał prawdopodobnie najdoskonalszy system prognozowania pogody na świecie. Niemniej, przesadą byłoby twierdzenie, że piloci doceniali wysiłki służby meteo, czy czuli się zobowiązani do szczególnej wdzięczności.

Starszy meteorolog w stopniu bosmana, przybyły z „Constellation” razem z admirałami, wskazał na mapę synoptyczną i plik najświeższych zdjęć satelitarnych.

— Jutro nastąpi zmiana pogody. Spodziewamy się przelotnych opadów przez cztery najbliższe dni. Od czasu do czasu możliwe ulewne deszcze. Będzie to trwało dopóty, dopóki ten oto wolno przemieszczający się obszar niskiego ciśnienia nie znajdzie się nad Chinami — powiedział do zebranych oficerów.

Członkowie załóg czterech śmigłowców wyznaczonych do udziału w operacji, słuchali tych nowin z kamiennymi twarzami. Pilotowanie helikoptera w trudnych warunkach atmosferycznych nie należy do przyjemności. Żaden też lotnik nie przepada za lataniem przy ograniczonej widzialności. Niemniej deszcz tłumi także odgłosy pracy silnika, a ograniczenie widzialności dotyczy obu stron. Największe zagrożenie stanowiła dla nich lekka artyleria przeciwlotnicza i ogień przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Wszystko, co utrudniało ich obsłudze zobaczenie i usłyszenie śmigłowca, przyczyniało się do wzrostu jego bezpieczeństwa.

— Co z wiatrem? — zapytał pilot jednej z *Cobr*.

— W porywach do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Tam w górze będzie trochę rzucać.

— Nasz główny radar kontroli obszaru całkiem nieźle nadaje się do śledzenia pogody. Pomożemy wam ominąć najgorsze miejsca — zaproponował kapitan Franks. Pilot skinął głową.

— Co pan na to, panie Clark? — odezwał się admirał Greer.

— Deszcz jest mi jak najbardziej na rękę. Jedyne, co może mnie zdemaskować w drodze do celu, to pęcherzyki powietrza widoczne na powierzchni rzeki. Deszcz powinien temu zaradzić. Jeśli to będzie konieczne, będę więc mógł poruszać się także za dnia. — Kelly przerwał, uświadomiwszy sobie, że zbliża się moment podjęcia ostatecznej decyzji. — Kiedy „Skate” może wziąć mnie na pokład?

— W każdej chwili. Jak tylko otrzymają nasz rozkaz — odparł Maxwell.

— Więc jeśli o mnie chodzi, możemy zaczynać, panie admirale. — Kelly poczuł zimny dreszcz na plecach, który zdawał się ogarniać całe jego ciało. Miał wrażenie, że kurczy się, maleje i z wysiłkiem udało mu się zachować niewzruszony wyraz twarzy.

Oczy wszystkich zwróciły się na kapitana Albie z Korpusu Piechoty Morskiej. Wiceadmirał, dwóch kontradmirałów i ambitny agent CIA — wszyscy zależeli teraz od tego młodego żołnierza i jego gotowości podjęcia decyzji. To on miał poprowadzić do akcji główne siły. Na nim spoczywała odpowiedzialność za ostateczny rezultat operacji. Dziwne, pomyślał Albie. W obecności trójki najwyższych oficerów, to on, zwykły kapitan, miał dać rozkaz „naprzód”. Ale jego ocena sytuacji miała zadecydować o życiu dwudziestu pięciu *marines* i być może dwudziestu więźniów. To było jego zadanie i musiał je wykonać dobrze, bo drugiej szansy nie będzie. Spojrzał na Kelly’ego i uśmiechnął się.

— Panie Clark, niech pan będzie naprawdę ostrożny. Myślę, że może pan płynąć. Przystępujemy do wykonania zadania.



Jego słowa przyjęto bez śladu egzaltacji. Mężczyźni zgromadzeni wokół stołu nawigacyjnego wpatrywali się w mapy, usiłując za widocznymi na nich znakami dojrzeć rzeczywisty, trójwymiarowy obraz teatru najbliższych wydarzeń. Popatrywali po sobie, jakby próbowali wybadać się nawzajem. Pierwszy odezwał się Maxwell, zwracając się do załogi jednego z helikopterów.

— Myślę, że możecie zacząć grzać silniki. — Spojrzał na dowódcę „Ogdena”. — Kapitanie Franks, zechce pan wywołać „Skate”?

Odpowiedziało mu krótkie „tak jest” i wezwani podnieśli się i odstąpili od stołu. Decyzje zapadły, nadeszła pora wykonywania rozkazów.

Nie ma się nad czym zastanawiać, pomyślał Kelly. Na to było już trochę za późno. Starał się nie myśleć o grożącym mu niebezpieczeństwie, a skupić się na tych dwudziestu ludziach uwięzionych w obozie. To niesamowite — ryzykować życiem dla kogoś, kogo zupełnie się nie zna. Z drugiej strony, wystawianie na ryzyko własnego życia z zasady nie jest czymś racjonalnym. Jego ojciec robił to przez całe życie i zginął, ratując dwójkę dzieci. Jeśli jestem z niego dumny, a jestem, rzekł sobie w duchu Kelly — w ten sposób najlepiej mogę uczcić jego pamięć.

Możesz to zrobić, chłopie. Potrafisz to zrobić. Czuł, że ogarnia go determinacja. Minał czas podejmowania decyzji. Należało przystąpić do działania. Na twarzy Kelly’ego pojawił się wyraz zawziętości. Niebezpieczeństwo nie było już źródłem strachu lecz czymś, z czym trzeba było sobie poradzić, aby zwyciężyć.

Maxwell zauważył dokonującą się w Kellym przemianę. To samo widział w salach odpraw na lotniskowcach: kolegów-pilotów przygotowujących się wewnętrznie na chwilę, gdy na szali losu położą swoje życie. Admirał pamiętał ten stan, kiedy tężeją mięśnie, a we wzroku żołnierza pojawia się dzikość. Pierwszy w akcji wraca ostatni. Nieraz tak bywało, kiedy pilotując swojego *F-6F Hellcat* walczył z wrogimi myśliwcami, a potem osłaniał wracające do bazy bombowce. To mój drugi syn — niespodziewana myśl zaświtała w głowie „Wściekłego” Maxwella — dzielny jak Sonny i jak on sprytny i mądry. Ale Sonny’ego admirał nigdy nie wysyłał na niebezpieczną akcję, a i sam był o wiele starszy, niż wtedy na Okinawie. Jakoś tak się dzieje, że niebezpieczeństwo, na jakie narażamy innych, wydaje się większe i bardziej przerażające niż to, które staje się naszym udziałem. Ale tak musi być. Maxwell wiedział, że Kelly mu ufa, tak jak swego czasu on ufał Pete’owi Mitscherowi. A jednak brzemie, jakie teraz spadło na barki Wściekłego było szczególnie ciężkie, bo oto patrzył w twarz człowieka, który z jego rozkazu sam jeden miał udać się na terytorium wroga. Kelly pochwycił wzrok admirała i na jego ustach pojawił się pełen zrozumienia uśmiech.

— Niech pan nie pęka, panie admirale — powiedział i odszedł pakować swoje rzeczy.

— Wiesz co, Wściekły — admirał Podulski zapalił papierosa — przydałby się nam ten chłopak parę lat temu. Myślę, że całkiem nieźle by do nas pasował.

Minęło sporo więcej niż „parę” lat, ale Maxwell wiedział, że Podulski ma rację. Byli wtedy ludźmi wojny i byli młodzi — teraz nadszedł czas nowej generacji.

— Mam tylko nadzieję, Kaz, że będzie na siebie uważał.

— Będzie. Tak jak my uważaliśmy na siebie.

\* \* \*

Pojazd podwodny wytoczono na wózku na platformę lotniczą. Zajęli się tym ci sami ludzie, którzy przygotowali go do pracy. W mroku przedświt migają łopaty wirnika gotowego do drogi śmigłowca. Kelly przystanął w wodoszczelnych drzwiach wiodących na pokład i odetchnął głęboko.

Nigdy dotąd nie wyruszał na akcję odprowadzany przez tak liczny komitet pożegnalny. Wszyscy — Irving z trójką starszych podoficerów piechoty morskiej, Albie, admirałowie z resztą wyższych oficerów i nawet ten typek Ritter — gapili się na niego, jakby był jakąś cholerną miss Ameryki, czy kimś w tym rodzaju. Pierwsi podeszli jednak do niego dwaj bosmani z działu elektromechanicznego.

— Akumulatory naładowane. Pańskie rzeczy są w pojemniku. Jest wodoszczelny, więc nic im nie grozi. Karabin jest załadowany i zabezpieczony. Wszystkie radia dostały nowe baterie, dwa komplety dołożyliśmy na zapas. Nie mam pojęcia, co moglibyśmy jeszcze zrobić! — zawołał bosman-mechanik poprzez huk silników śmigłowca.

— W porządku. Myślę, że wszystko gra! — odkrzyknął Kelly.

— Daj im pan popalić, panie Clark!

— Do zobaczenia... i dzięki. — Kelly podał rękę mechanikowi i elektrykowi i podszedł do kapitana Franksa. Stał na baczność i zasalutował.

— Panie kapitanie, proszę o pozwolenie opuszczenia okrętu.

— Zezwalam — odrzekł Franks.

Kelly spojrzął ku reszcie obecnych na pokładzie mężczyzn. Pierwszy w akcji wraca ostatni. Uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową. Wystarczy; w tej chwili to oni czerpali z niego swoją odwagę.

Potężny śmigłowiec ratowniczy *Sikorsky* uniósł się nad pokład. Do spodu maszyny podczepiono pojazd podwodny Kelly’ego. Chwilę później helikopter przesunął się w stronę rufy okrętu, umykając przed zawirowaniami powietrza wywołanymi przez nadbudówkę „Ogdena”. Z wygaszonymi światłami pozycyjnymi odleciał w ciemność i po kilku sekundach zniknął.

\* \* \*

Okręt podwodny USS „Skate” był jednostką mocno przestarzałą. Podstawę jego konstrukcji stanowił projekt pierwszego okrętu podwodnego z napędem atomowym — USS „Nautilus”. Jego kadłub przypominał kształtem raczej zwykły

statek niż wieloryba, tak że w zanurzeniu poruszał się stosunkowo wolno. Dzięki napędowi dwu bliźniaczych śrub posiadał jednak wyjątkową zdolność manewrowania, szczególnie w płytkiej wodzie. Od lat „Skate” pełnił służbę wywiadowczą u wybrzeży Wietnamu. Podkładał się blisko lądu i, wysunawszy anteny teleskopowe, zakłócał pracę radarów i innych urządzeń radioelektronicznych wroga. Wielokrotnie przewoził też płetwonurków udających się na wietnamski brzeg. Kilka lat wcześniej znalazł się wśród nich i Kelly, ale teraz na pokładzie nie znalazłoby się nikogo, kto pamiętał jego twarz.

W bladym świetle sierpa księżyca, który na chwilę ukazał się między chmurami, Kelly ujrzał kształt okrętu, ciemniejszy od połyskliwej powierzchni oceanu. Na początek pilot śmigłowca złożył pojazd podwodny na przednim pokładzie, gdzie został umocowany przez grupę marynarzy. Następnie opuszczono na linie Kelly’ego z jego bagażem. Minutę później znalazł się w centrali okrętu.

— Witamy na pokładzie — tymi słowami przyjął nocnego gościa komandor podporucznik Silvio Esteves. Od niespełna roku dowodził USS „Skate” i po raz pierwszy otrzymał zadanie dostarczenia kogoś na ląd.

— Dziękuję, panie komandorze. Kiedy dopłyniemy do brzegu?

— Za sześć godzin. Trochę czasu zabierze nam jeszcze zorientowanie się w sytuacji na miejscu. Może kawy? Albo coś do jedzenia?

— Wolałbym łóżko.

— Jest wolna koja w kabinie mojego zastępcy. Dopilnujemy, żeby panu nie przeszkadzano. — Wobec obecnych na pokładzie techników z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa komandor podporucznik Esteves nie był tak uprzejmy.

Tak więc Kelly udał się na ostatni prawdziwy odpoczynek przed wyruszeniem w drogę. Musiało mu to wystarczyć na najbliższe trzy dni. Trzy — jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Spał już, kiedy okręt podwodny zanurzał się w wodach Morza Południowochińskiego.

\* \* \*

— Mam tu coś interesującego — oświadczył major, kładąc przekład na biurku swego bezpośredniego przełożonego, również w stopniu majora, ale na etacie podpułkownika.

— Słyszałem o tym miejscu. GRU prowadzi tam jakąś operację, to znaczy, próbuje prowadzić. Nasi północnowietnamscy sprzymierzeńcy nie są zbyt chętni do współpracy. A więc Amerykanie w końcu się o tym dowiedzieli, co?

— Przeczytajcie dalej, Juriju Pietrowiczu — powiedział major.

— Coś takiego! Kto to właściwie jest ten Kasjusz? — Jurij Pietrowicz zetknął się już z tym kryptonimem. Firmował on sporą ilość drobnych informacji pochodzących z różnych źródeł w kręgach amerykańskiej lewicy.

— Głazow zwerbował go ostatecznie dość niedawno — zaczął wyjaśniać major. Zabrało mu to około minuty.

— No cóż, w takim razie zaniosę to jemu. Dziwne, że Georgij Borysowicz nie prowadzi tej sprawy osobiście.

— Myślę, że teraz ją poprowadzi.

\* \* \*

Wiedzieli, że zdarzy się coś niedobrego.

Wybrzeży Północnego Wietnamu chroni gęsta sieć radarowych posterunków obserwacyjnych. Ich głównym zadaniem jest ostrzeganie przed nalotami samolotów, które startowały z lotniskowców operujących na akwenu zwanym przez Amerykanów „Yankee Station”. Oczywiście, Wietnamczycy nazywali ten akwen zupełnie inaczej.

Amerykańskie stacje często zakłócały pracę radarów, ale nigdy w takim stopniu. Tym razem sygnał zakłócający był tak potężny, że na ekranie radzieckiego radaru widać było jedynie wirującą masę czystej bieli. Wietnamscy operatorzy pochylili głowy, wypatrując szczególnie jasnych punktów, mogących oznaczać prawdziwe cele.

— Okręt! — W pomieszczeniu stacji rozległ się nagle czyjś okrzyk. — Okręt na horyzoncie!

Raz jeszcze ludzkie oczy okazały się skuteczniejsze od radaru.

\* \* \*

Jeśli byli tak głupi, żeby poustawiać radary i działa na szczytach wznieścień, to ich problem, nie mój. Bosman sztabowy, specjalista kierowania ogniem, znajdował się na Stanowisku 1, czyli stanowisku dowodzenia artylerią okrętową w wieży na szczycie pomostu bojowego, stanowiącego najzgrabniejszy element profilu okrętu. Jego oczy przywarły do okularów dalmierza o długiej bazie. Skonstruowany w końcu lat trzydziestych, był nadal jednym z najlepszych urządzeń optycznych powstałych w Ameryce. Dłoń bosmana obracała niewielkim pokrętkiem, które uruchamiało mechanizm niewiele różniący się od tego znajdującego się w aparacie fotograficznym, a służącego do ustawiania ostrości. Rozdwojony obraz zbiegł się, wyostrzył, i w okularze dalmierza pojawiła się antena radaru, której metalowa konstrukcja, nie osłonięta siatką maskującą, stanowiła niemal idealny cel.

— Odczyt!

Siedzący obok bosmana starszy mat włączył mikrofon i jął recytować wskazania dalmierza.

— Odległość jeden pięć dwa pięć zero.

W centrali artyleryjskiej trzydzieści metrów poniżej Stanowiska 1, mechaniczny przelicznik przyjął dane wejściowe służące do określania położenia luf ośmiu dział krążownika. To, co nastąpiło później, było w zasadzie dość proste. Już załadowane, działa obróciły się wraz ze swoimi wieżami, unosząc lufy pod właściwym kątem, który kiedyś, całe pokolenie temu, obliczały zastępy młodych kobiet — dziś babć — na mechanicznych kalkulatorach. Dane dotyczące kursu i prędkości okrętu zostały wcześniej wprowadzone do przelicznika, a ponieważ cel był nieruchomy, wystarczyło wyznaczyć wektor prędkości o identycznej wartości lecz przeciwnym zwrocie. W ten sposób lufy dział automatycznie zwracały się ku celowi.

— Otworzyć ogień — zakomenderował oficer artylerii. Młody marynarz wciśnął przyciski odpalania i USS „Newport News” zadrżał od pierwszej tego dnia salwy.

— W porządku. Na kierunku. Zabrakło jakieś... Trzysta... — spokojnie ocenił bosman, obserwując przez dwudziestokrotne szkła swojego dalmierza fontanny ziemi wykwitające niedaleko celu.

— Trzysta więcej! — przekazał telefonista i piętnaście sekund później zagrzmiała kolejna salwa. Strzelający nie wiedzieli, że całkiem przypadkowo już za pierwszym razem zniszczyli bunkier dowodzenia kompleksu radarowego.

— Tym razem trafi — szepnął bosman, kiedy pociski drugiej salwy wydłużonym łukiem mknęły ku celowi.

I istotnie. Trzy z ośmiu wybuchły w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów od anteny radaru, roznosząc ją na strzępy.

— W celu — zameldował bosman do swojego mikrofonu i odczekawszy, aż opadnie chmura wznieconego wybuchem pyłu, dodał: — Cel zniszczony.

— Niedługo będzie lepszy niż samolot — powiedział kapitan, obserwujący z mostka wyniki strzelania. Dwadzieścia pięć lat temu, jako młody oficer artylerii, służył na USS „Missisipi” i bombardowania żywych celów nabrzeżnych uczył się na zachodnim Pacyfiku, podobnie jak jego nieoceniony bosman sztabowy ze Stanowiska 1. Kapitan nie miał wątpliwości, że zbliża się kres ery artylerii okrętowej i gotów był zrobić wszystko, by pożegnanie wypadło hucznie.

Chwilę później na powierzchni morza w odległości około tysiąca metrów od krążownika pojawiły się rozpryski wody. To odezwały się 130-milimetrowe działa północnowietnamskiej artylerii nabrzeżnej. Należało nawiązać z nimi kontakt bojowy przed skoncentrowaniem się na stanowiskach obrony przeciwlotniczej.

— Ogień kontrbaterijny! — popłynął do centrali artyleryjskiej rozkaz kapita-  
na.

— Tak jest. Już się za nich bierzemy.

„Newport News” w ciągu minuty przeniósł ogień na nowy cel. Jego szybkostrzelne działa wymacały i przygwoździły baterię sześciu stotrzydziestek, których dowódcy naprawdę powinni mieć więcej oleju w głowie.

Kapitan zdawał sobie sprawę, że jego akcja ma na celu odwrócenie uwagi Wietnamczyków od czegoś, co działo się gdzie indziej. Nie wiedział od czego, ale musiała to być poważna sprawa, skoro otrzymał rozkaz podjęcia działań zaczepnych na północ od strefy demarkacyjnej. Nie, żeby miał coś przeciwko temu, myślał, czując jak jego okręt dygoce od kolejnej salwy. Minęło trzydzieści sekund; na lądzie gwałtownie rosnąca chmura pomarańczowego dymu obwieściła unicestwienie nieprzyjacielskiej baterii.

— Mam dla was jeszcze kilka drugorzędnych celów — obwieścił dowódca. Obsługa mostka skwitowała to entuzjastycznym wrzaskiem, po czym wrócono do pracy.

\* \* \*

— Proszę bardzo, jesteśmy na miejscu — komandor podporucznik Esteves odsunął się od peryskopu.

— Cholera. Jak blisko! — Kelly’emu wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć jakim kowbojem jest Esteves. „Skate” niemal leżał na dnie, z peryskopem tylko odrobinę wysuniętym ponad powierzchnię. Woda omywała dolną połowę obiektywu.

— To powinno wystarczyć.

— Na górze nielicha ulewa — zauważył Esteves.

— To dobrze. — Kelly wypił ostatni łyk kawy, prawdziwej, marynarskiej kawy z dodatkiem soli. — Zamierzam wykorzystać tę pogodę.

— Już teraz?

— Tak jest, panie komandorze — Kelly skłonił się. — O ile nie zamierza pan podejść bliżej — dodał z nieco prowokującym uśmiechem.

— Niestety, mój okręt nie dysponuje kołami, bo mógłbym spróbować. — Esteves uczynił gest w stronę lądu. — O co chodzi tym razem? Zwykle wiem, co się kroi.

— Nie mogę powiedzieć, panie komandorze. Ale jedno mogę panu wyjawić: jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, usłyszysz pan o tym. — Estevesowi to wystarczyło, zrozumiał.

— W takim razie niech się pan szykuje.

Mimo iż znajdowali się w strefie zwrotnikowej, zimno było stałym zmartwieniem Kelly’ego. Osiem godzin w wodzie o temperaturze nieznacznie nawet niższej od temperatury ciała wystarczy, by wyczerpać zasoby energetyczne organizmu nurka tak jak wyczerpuje się bateria o zwartych biegunach. Jego jedyną

ochronę stanowił czarno-zielony skafander z syntetycznego kauczuku. Założył go, mocując do pasa obciążeniowego dwukrotnie większą niż zwykle liczbę ciężarków. Przebywając samotnie w kabinie zastępcy dowódcy, pozwolił sobie na ostatnią chwilę głębszej refleksji. Prosił Boga o pomoc; nie dla siebie, ale dla tych ludzi, których będzie próbował uratować. Czuł się trochę nieswojo, modląc się po tym wszystkim, co zrobił tak niedawno, choć tak daleko od miejsca, w którym się znajdował. Prosząc o łaskę, wciąż zastanawiał się, czy dopuścił się grzechu, czy nie. Trudno było o lepszą chwilę na myśli tego rodzaju, ale chwila ta szybko minęła. Musiał teraz patrzeć w przyszłość. Może i Bóg pomoże mu ocalić pułkownika Zachariasa, ale i on, Kelly, musiał wykonać swoją część roboty. Ostatnią jego myślą, kiedy opuszczał kabinę, było wspomnienie fotografii samotnego Amerykanina, ze stojącym za jego plecami z wzniesioną do ciosu kolbą jakimś małym skurwielem z północnowietnamskiej armii. Najwyższa pora z tym skończyć, powiedział sobie, otwierając drzwi.

— Do służby tędy — powiedział komandor podporucznik Esteves. Kelly wspinał się po drabince odprowadzany spojrzeniami dowódcy i sześciu czy siedmiu członków załogi „Skate”.

— Niech pan się postara, żebyśmy usłyszeli o tej akcji — rzucił jeszcze Esteves, szykując się do zamknięcia szybu.

— Będę się starał, jak cholera — odparł Kelly dokładnie w chwili, gdy metalowa kłapa zatrzasnęła się za jego plecami. W szybie czekał przygotowany dla niego aparat oddechowy. Według wskaźnika, butle były pełne, ale na wszelki wypadek Kelly osobiście sprawdził ich stan. Ujął słuchawkę zainstalowanego w komorze wodoszczelnego telefonu.

— Tu Clark. Jestem w służbie, gotów do drogi.

— Z sonaru meldują, że na powierzchni nic się nie dzieje oprócz tęgiego deszczu. Potwierdza to obserwacja wzrokowa. *Vaya con Dios, Señor Clark.*

— *Gracias* — odparł Kelly ze śmiechem. Odłożył słuchawkę i otworzył zawór dopływowy. Woda zalała dno śluzy, powodując gwałtowną zmianę ciśnienia w jego ciasnym wnętrzu.

\* \* \*

Kelly spojrzął na zegarek. Była ósma szesnaście, kiedy odchylił pokrywę włązu ratunkowego i wywindował się na pograżony w wodzie pokład USS „Skate”. Włączył latarkę i oświetlił pojazd podwodny. Był przywiązany do pokładu w czterech punktach. Kelly przystąpił do uwalniania go, ale najpierw przypiął do pasa końcówkę linki zabezpieczającej. Ładnie by wyglądał, gdyby jego skuter odpłynął bez niego. Głębokościomierz wskazywał czternaście i pół metra. Okręt podwodny znajdował się w naprawdę niebezpiecznie płytkiej wodzie. Im szybciej Kelly

odpływie, tym szybciej załoga „Skate” będzie mogła schronić się na bezpiecznej głębokości. Odwiązał pojazd i pstryknął włącznikiem zasilania. Dwie śruby napędowe w obudowie z gęstej siatki poczęły się wolno obracać. W porządku. Kelly wyciągnął zza pasa nóż i dwukrotnie stuknął nim w pokład. Poruszył na próbę sterami głębokości skutera i oddalił się od okrętu. Kompas na tablicy rozdzielczej wskazywał kurs trzy zero osiem.

Teraz już nie ma odwrotu, pomyślał. Tyle że dla niego nie było to nic nowego.



## 28 — Pierwszy w akcji...

Na dobrą sprawę w ogóle nie czuł, że znajduje się w wodzie. Przynajmniej na początku. Nie ma nic bardziej denerwującego i odbierającego pewność siebie, jak pływanie pod wodą w nocy. Na szczęście ludzie, którzy zaprojektowali pojazd podwodny sami byli nurkami i zdawali sobie z tego sprawę. Długość aparatu nieznacznie przekraczała wzrost Kelly'ego. W gruncie rzeczy był to rodzaj torpedy o konstrukcji umożliwiającej człowiekowi sterowanie i zmianę prędkości — jakby miniatura okrętu podwodnego, choć z kształtu przypominająca bardziej narysowany przez dziecko samolot. Ustawienie „skrzydeł” — czy raczej płetw — regulował nurek rękami. Tablica rozdzielcza mieściła głębokościomierz, wskaźnik przegłębienia, wskaźnik informujący o stanie akumulatorów i niezbędny pod wodą magnetyczny kompas. Silnik elektryczny i akumulatory miały umożliwić pojazdowi przepłynięcie z maksymalną prędkością ponad dziesięć tysięcy metrów. Przy niższej prędkości dystans ten znacznie się wydłużał. Jeżeli nie przekraczało się pięciu węzłów urządzenie mogło nieprzerwanie pracować przez pięć, sześć godzin; dłużej, jeśli mechanik z „Ogdena” nie mylił się w swoich rachubach.

Poruszanie się za pomocą podwodnego skutera w dziwny sposób przypominało lot *C-141*. Warkot śruby nie był słyszalny z większej odległości, ale głowę Kelly'ego dzieliły od niej niecałe dwa metry. Monotonny jęk sprawiał, że już teraz krzywił się pod maską. Częściowo winna temu była wypita przed zanurzeniem kawa. Musiał znajdować się w ciągłym pogotowiu, więc zaaplikował sobie dawkę kofeiny zdolną ożywić nieboszczyka. W każdym razie powodów do niepokoju nie brakowało. Rzeka służyła jako arteria komunikacyjna. I czy to przewożenie amunicji przeciwlotniczej z jednego brzegu na drugi, czy wyprawa wietnamskiego eleganta pragnącego odwiedzić swoją dziewczynę — wszystko odbywało się przy użyciu niewielkich łodzi. Zderzenie z jedną z nich w taki czy inny sposób miało by śmiertelne skutki. Różnica mogła dotyczyć jedynie tempa wystąpienia owych skutków, nie ich istoty. Jak na ironię widzialność była prawie żadna i Kelly zdawał sobie sprawę, że po zauważeniu jakiejś przeszkody będzie miał nie więcej jak trzy sekundy na jej ominięcie. W miarę możliwości trzymał się środka nurtu. Co pół godziny zwalniał i ostrożnie wystawiał głowę na powierzchnię, aby określić swoją pozycję. Jak dotąd nie dostrzegł żadnego ruchu. W tej części kraju nie zostało już

wiele zakładów przemysłowych w rodzaju elektrowni. Bez prądu umożliwiającego włączenie lampy do czytania czy chociażby radia, życie prostych ludzi stawało się nieznośnie prymitywne, powiększając jeszcze ich okrucieństwo wobec wroga. Wszystko to było smutne i zagmatwane. Kelly nie uważał, by Wietnamczycy mieli większe zamiłowanie do wojaczki niż jakikolwiek inny naród. Niemniej wojna trwała i ich postępowanie trudno było uznać za przykładowe. Określił swoje położenie wobec brzegów i zanurzył się ponownie, uważając, aby nie zejść głębiej niż na trzy metry. Słyszał o przypadku, gdy nurek zmarł, wynurzywszy się gwałtownie po kilkugodzinnym przebywaniu na głębokości zaledwie pięciu metrów. Nie miał najmniejszego zamiaru doświadczyć czegoś podobnego.

Czas mijał powoli. Chwilami pokrywa chmur rzedła i blask księżycyca w no-wiu wywoływał obraz kropli deszczu na powierzchni rzeki — pojawiające się i znikające czarne kółka na widmowo sinym ekranie trzy metry nad głową nurka. Potem napływała kolejna partia chmur i jedyne, co mógł zobaczyć, to ciemno-szary strop, którego nie rozświetlał najlżejszy promień światła. Odgłos padają-cych kropli mieszał się z piekielnym jazgotem śrub. Pojawiło się jeszcze jedno niebezpieczeństwo — halucynacje. Kelly należał do ludzi obdarzonych żywą wy-obrażnią, a oto znalazł się w środowisku całkowicie odcinającym go od jakich-kolwiek bodźców zewnętrznych. Co gorsza, jego ciało zapadało jakby w letarg. Znajdował się w stanie bliskim nieważkości, niczym płód w łonie matki i już sama błogość wywołana tym doznaniem stanowiła poważne ostrzeżenie. Mogło to się skończyć drzemką, a do tego nie wolno było dopuścić. Starał się wypracować jakiś system obronny; sprawdzał po kolei wskazania przyrządów, eksperymento-wał dla zabawy, próbując na przykład utrzymać położenie poziome bez korzystania ze wskaźnika przegłębienia — ale to okazało się niemożliwe. To, co piloci nazywają zawrotem głowy, tutaj chwytalo człowieka nawet szybciej niż w po-wietrzu. Stwierdził, że jest w stanie płynąć poziomo nie dłużej niż piętnaście czy dwadzieścia sekund. Potem nieodmiennie szedł ku powierzchni lub zanurzał się w głębie. Od czasu do czasu wykonywał pełny obrót, dla zwykłego urozmaicenia monotonii jazdy, ale głównie wlepiął wzrok w wodę przed sobą i we wskaźniki, na zmianę, i jeszcze raz, aż to także stało się niebezpiecznie monotonne. Minęły dopiero dwie godziny. Musiał się zmusić do koncentracji, ale nie mógł skoncentrować się na jednej rzeczy, nawet na dwu. Nie wolno mu było czuć się bezpiecznym. Dosłownie każda istota ludzka w promieniu wielu kilometrów z najwyższą przyjemnością pozbawiłaby go życia. Ci ludzie żyli tu, znali okolicę i rzekę, jej wygląd i odgłosy. Ich kraj znajdował się w stanie wojny i wszystko, co odbie-gało od ustalonego porządku oznaczało zagrożenie, obecność wroga. Kelly nie wiedział, czy władze wypłacają jakąś premię za martwego lub żywego Amery-kanina, ale jakiś mechanizm tego rodzaju musiał istnieć. Ludzie chętniej pracują, kiedy mogą liczyć na nagrodę, zwłaszcza kiedy dodatkową pobudką jest ich pa-triotyzm. Kelly zastanawiał się, jak do tego wszystkiego doszło. Nie, żeby miało

to dla niego jakieś znaczenie. Ci ludzie byli wrogami. W najbliższym czasie nic nie mogło tego zmienić. A już na pewno nie w ciągu nadchodzących trzech dni, a dla Kelly'ego była to cała licząca się przyszłość. Musiał założyć, że poza tym terminem nie istnieje żadne „potem”. Kolejny planowy postój wypadł w miejscu, gdzie rzeka zataczała łuk w kształcie podkowy. Kelly zwolnił i ostrożnie wysunął głowę. Od strony północnego brzegu, odległego o jakieś trzysta metrów, dobiegały go dźwięki. Słyszał wyraźnie niesione przez wodę męskie głosy, mówiące w języku, którego rytm zawsze wydawał mu się dziwnie poetycki — lecz szybko zmieniał się, i to w najbardziej obrzydliwy sposób, kiedy wyrażał złość. Brzmi to jak zwykła rozmowa zwykłych ludzi, pomyślał, nasłuchując przez może dziesięć sekund. Skierował pojazd w głąb; pokonał łuk, uważnie śledząc zmiany kursu na kompasie. Przez te dziesięć sekund czuł dziwny związek z tymi ludźmi. O czym rozmawiali? O polityce? W komunistycznym kraju to dość nudny temat. Może o pracy na roli? O wojnie? Niewykluczone, bo głosy były przytłumione powagą. Amerykanie zabili dość ich młodych rodaków, by mieli powód nienawidzić nas, pomyślał Kelly. Strata syna może wydawać się czymś trochę innym tu, podczas rozmowy nad rzeką, niż w domu. Mogli opowiadać znajomym o swojej dumie, że ich chłopiec oszedł, by zostać żołnierzem — spłonął pod napalmem, został posiekany przez karabin maszynowy lub obrócony w proch wybuchem bomby; te historie musiały powracać w takiej czy innej postaci, nawet jako kłamstwa, co zresztą wychodziło na to samo — ale w każdym wypadku ten chłopiec był kiedyś dzieckiem, stawiał pierwsze kroki i mówił „tata” w swoim ojczystym języku. Niemniej żołnierze, z którymi Kelly walczył w trakcie operacji PLASTIKOWY KWIAT też byli niegdyś dziećmi, a nie czuł żalu, kiedy ich zabijał. Podслушана rozmowa brzmiała bardzo zwyczajnie i po ludzku, mimo że jej nie rozumiał. Czym więc różnią się od nas? — zadał sobie mimowolnie pytanie.

Różnią się, palancie! Niech politycy martwią się — dlaczego? Zadając sobie pytania tego rodzaju zapominał, że w górze rzeki przebywa dwudziestu ludzi takich jak on sam. Zaklął w duchu i ponownie skupił się na prowadzeniu pojazdu.

\* \* \*

Niewiele rzeczy mogło oderwać pastora Charlesa Meyera od przygotowań do niedzielnego kazania. Była to może najważniejsza część jego posługi — mówienie ludziom tego, co powinni usłyszeć, w sposób jasny i zwięzły, bo tylko raz w tygodniu spotykał się ze swoją owczarnią. Chyba że działo się coś naprawdę złego, bo dotkniętych nieszczęściem, trzeba było od razu umacniać w wierze, jeśli jego szczególna troska i rada miały rzeczywiście odnieść skutek, Meyer był duszpastrem od trzydziestu lat, czyli przez całe swoje dorosłe życie. Długa praktyka tak wygładziła jego wymowę, będącą jednym z autentycznych darów, jakimi obdarzyła go natura, że w końcu potrafił wybrać dowolny ustęp Pisma i wywodzić

zeń wyrazistą lekcję moralności. Wielebny Meyer nie był człowiekiem surowym. Pośłanie wiary, które głosił, mówiło o łasce i miłości. Był skory do śmiechu i żartów, a choć jego kazania siłą rzeczy były sprawą poważną, jako że zbawienie to najważniejszy cel człowieczy, uważał, że jego zadaniem jest mówić o prawdziwej naturze Boga. O miłości, o łasce, o miłosierdziu, odkupieniu. Uważał, że przeznaczeniem całego jego życia jest pomagać ludziom wracać po tym, jak pograżyli się w zapomnieniu, przyjmować odtrąconych. Tak doniosłe zadanie warte było zmiany w rozkładzie zajęć.

— Witaj w domu, Doris — powiedział Meyer, wchodząc do mieszkania Raya Browna. Był średniego wzrostu, siwe włosy nadawały mu uczony, majestatyczny wygląd. Uśmiechając się ciepło, ujął obie dłonie dziewczyny. — Nasze modlitwy zostały wysłuchane.

Mimo jego serdeczności i życzliwości, miało to być trudne spotkanie dla wszystkich trojga. Doris zgrzeszyła, zapewne dość ciężko. Meyer widział to, choć starał się nie myśleć o tym w kategoriach kary. Naprawdę ważne jest to, że marnotrawna córka wróciła i jeśli był jakiś powód, dla którego Jezus zstąpił na ziemię, to zawiera się on cały w kilku wierszach tej oto przypowieści. Całe chrześcijaństwo w jednej historii. Choćby nie wiedzieć, jak ciężkie były czyjeś występki, ci, co mają odwagę wrócić, zawsze będą przyjęci z otwartymi rękami.

Ojciec i córka siedli obok siebie na starej niebieskiej sofie, a Meyer w fotelu po ich lewej stronie. Na niskim stoliku stały trzy filiżanki herbaty. W takiej chwili herbata była najbardziej odpowiednim napojem.

— Aż dziw, jak dobrze wyglądasz, Doris — uśmiechnął się pastor, ukrywając rozpaczliwe pragnienie, by dać dziewczynie spokój.

— Dziękuję pastorze.

— Było ci ciężko, prawda?

— Tak — odrzekła łamiącym się głosem.

— Doris, wszyscy popełniamy błędy. Bóg uczynił nas niedoskonałymi. Musisz się z tym pogodzić i ciągle starać się postępować lepiej. Nie zawsze nam się to udaje, ale tobie udało się. Wróciłaś. Wszystko, co złe jest już za tobą i przy odrobinie wysiłku możesz to za sobą zostawić na zawsze.

— Tak zrobię — odpowiedziała z determinacją. — Naprawdę tak będzie. Wiedziałam... i robiłam takie okropne rzeczy...

Meyera nie było łatwo zgorszyć. Duchowni z racji swojej profesji umieją słuchoać historii ukazujących rzeczywistość piekła, bo też grzesznicy nie zdołaliby przyjąć przebaczenia, dopóki nie byliby w stanie przebaczyć sami sobie, a to zawsze wymaga współczującego ucha i spokojnego głosu miłości i rozumu. Ale to, co pastor teraz usłyszał, wstrząsnęło nim. Z najwyższym trudem powstrzymał odruch ucieczki. Nade wszystko zaś usiłował nie zapomnieć, że słyszy o czymś, co jego cierpiąca parafianka istotnie ma już za sobą. W ciągu dziesięciu minut dowiedział się rzeczy, przypominających inną epokę, kiedy jako młody kapelan służył

w wojsku w Europie. Ujrzał diabła w całej jego okazałości, coś, na co przygotowała go jego wiara, ale... Oblicze Lucyfera to nie widok dla nie przygotowanych oczu, a już na pewno nie dla młodej, bezbronnej dziewczyny, wypędzonej w przyływie gniewu przez nierozważnego ojca.

Po tym mogło być tylko coraz gorzej. Prostytucja to coś wystarczająco przerażającego. Mogła czynić trwałe spustoszenia w duszach młodych kobiet, toteż z radością usłyszał, że Doris była u doktor Bryant, cudownie uzdolnionej lekarki, do której sam odesłał dwie dziewczyny ze swojej trzódki. Na kilka chwil połączył się z nią w bólu i wstydzie, podczas gdy ojciec dzielnie trzymał ją za rękę, sam walcząc ze łzami.

Potem zaczęła mówić o narkotykach, najpierw o zażywaniu, następnie o przekazywaniu ich innym, złym ludziom. Jeszcze raz stawiała twarzą w twarz z przeszłością zdolną przerazić najodporniejszych i nie dosłyszał w jej słowach żadnej fałszywej nuty; całe jej ciało drżało, łzy spływały po policzkach. Kolejnym wątkiem były nadużycia seksualne, a wreszcie przeszła do najgorszego.

Pastor Meyer ujrzał te rzeczy w całej ich, niczym nie osłoniętej, rzeczywistości. Doris zdawała się pamiętać wszystko, niestety, aż za dobrze. Doktor Bryant będzie musiała użyć wszystkich swych umiejętności, by ten horror zamknąć w przeszłości. Teraz Doris opowiadała na sposób filmowy, niczego nie pomijając. Wydobywanie w ten sposób prawdy na światło dzienne było zdrowe. Zdrowe dla Doris. I nawet dla jej ojca. Ale siłą rzeczy Charles Meyer stał się odbiorcą tego horroru, który inni próbowali z siebie wyrzucić. Ludzie stracili życie. Ludzie niewinni — ofiary, dwie dziewczyny podobne do tej, którą miał przed sobą, zostały zamordowane w sposób godny... potępienia. Pastor powiedział to do siebie głosem, w którym smutek mieszał się z furją.

— Moja droga, dobroć, którą okazałaś Pam, to jeden z największych aktów odwagi, o jakim zdarzyło mi się słyszeć — powiedział pastor spokojnie, gdy było po wszystkim, sam wzruszony prawie do łez. — To był Bóg, Doris. To Bóg działał przez ciebie ukazując ci, że jest w tobie wiele dobroci.

— Tak ojciec myśli? — spytała, zalewając się łzami.

— Bóg zstąpił ku tobie i uratował cię, Doris. Modliliśmy się z twoim ojcem o tę chwilę. Wróciłaś. I nigdy więcej nie będziesz robić takich rzeczy.

Pastor nie mógł wiedzieć o sprawach, które Doris świadomie przemilczała. Wiedział tylko, że jakiś lekarz z Baltimore i jego pielęgniarka przywrócili ją do fizycznego zdrowia. Nie wiedział, jak Doris się u niego znalazła. Przypuszczał, że jak Pam spróbowała ucieczki, tyle że jej się udało. Nie wiedział też, że doktor Bryant ostrzeżono, by nie zdradzała żadnych informacji na ten temat. To zresztą nie było najważniejsze. Ów osobnik imieniem Billy i jego kolega Rick mieli w swojej władzy inne dziewczyny. Skoro jednak pastor poświęcił swe życie walce z diabłem o dusze, było również jego obowiązkiem bronić przed nim ciało. Musiał być ostrożny. Rozmowa taka jak ta, była najświętszą tajemnicą. Oczywiście

poradzi Doris, żeby poszła na policję, chociaż absolutnie nie może jej do tego zmuszać. Ale jako obywatel, jako sługa Boży, musi przecież coś przedsięwziąć, by uratować te inne dziewczyny. Nie był pewien, co dokładnie. Musiał zapytać o to syna, młodego sierżanta policji miejskiej w Pittsburghu.

\* \* \*

Tutaj! Kelly wystawił z wody czubek głowy i rozejrzał się. Żeby lepiej słyszeć, ściągnął gumowy kaptur, odsłaniając uszy. Noc pulsowała najróżniejszymi dźwiękami; słyszał głosy owadów, trzepot skrzydeł nietoperzy i tłumiący wszystko szum deszczu, który akurat nieco osłabł. Wzrok, przyzwyczajając się do ciemności, zaczynał rozróżniać elementy krajobrazu. Jakies półtora kilometra na północ wznosiło się „jego” wzgórze, przesłonięte innym, nieco niższym. Wiedział, z fotografii lotniczych, że dzielący go od wzgórz teren był niezamieszkały. Sto metrów od rzeki biegła droga, w tej chwili zupełnie pusta. Było tak cicho, że na pewno usłyszałby jadący nią samochód. Pora zaczynać.

Kelly skierował pojazd w stronę brzegu. Dla bezpieczeństwa wybrał miejsce osłonięte pochylonymi nad wodą drzewami. Pierwszy kontakt z północno-wietnamską ziemią był dziwnie elektryzujący. Trwało to jednak tylko chwilę. Zdjął skafander i zapakował go do wodoszczelnego pojemnika we wnętrzu wynurzonego teraz pojazdu. Pośpiesznie wdział kombinezon maskujący. Terenowe buty z wysoką, brezentową cholewką miały podeszwy identyczne jak wietnamskie trzewiki wojskowe. Ich odciski nie powinny wzbudzać niczyich podejrzeń. Następnym krokiem było nałożenie maskującego makijażu: ciemnozielone pasy na czole, kościach policzkowych i szczęce; jaśniejsze pod oczami i w zagłębieniach policzków. Zrzucił plecak na ramię i włączył silnik pojazdu. Z otwartymi komorami pławnyymi, aparat wypłynął na środek rzeki i zatonął. Kelly świadomie nie spojrzał za oddalającym się z cichym warkotem skuterem. To przynosi nieszczęście. Nie wolno, pamiętał, patrzeć za helikopterem odlatującym z rejonu lądowania. Takie zachowanie dowodzi braku zdecydowania. Spojrzał w stronę lądu, nasłuchując jakichś odgłosów na drodze. Cisza. Wspiął się na brzeg i bez zatrzymywania przeszedł na drugą stronę wysypanego żwirem traktu. Po chwili zanurzył się w gęstych zaroślach i rozpoczął ostrożną wspinaczkę na pierwsze wzgórze.

Miejscowi musieli w tym rejonie wycinać drzewo na opał. Było to niepokojące — a nuż przyjdą jutro uzupełnić zapasy? — ale i korzystne, mógł się bowiem poruszać szybciej i ciszej. Szedł pochylony, badając grunt pod stopami, nasłuchując i wyteżając wzrok w ciemności. Zabezpieczony karabin trzymał w dłoniach; był załadowany, sprawdził to. Bosman przygotował broń jak trzeba, ale Kelly musiał to sprawdzić osobiście. Niemniej ostatnią rzeczą, jakiej sobie teraz życzył, była konieczność użycia *AR-15*.

Wejście na pierwsze wzgórze zajęło mu pół godziny. Na szczycie zrobił sobie postój, wyszukawszy polankę umożliwiającą wygodną obserwację otoczenia. Dochodziła trzeci nad ranem czasu lokalnego. O tej godzinie wstają tylko ci, którzy muszą i czynią to niechętnie. Funkcje ludzkiego organizmu, przywykłego do normalnego cyklu dobowego, słabną w tej przedrannej porze.

Nic. Pusto i cicho.

Kelly podjął marsz, schodząc w dół zbocza. U jego stóp natknął się na strumyk, który spływał w kierunku rzeki. Skorzystał z okazji, by napełnić jedną ze swoich manierek. Przed zamknięciem naczynia wrzucił kilka tabletek uzdatniających. Raz jeszcze natężył słuch, wiedząc że tu, w dolinę, spływają po wodzie wszelkie odgłosy. Nadal nic. Podniósł wzrok na „swoje” wzgórze — szary, niewyraźny kształt na tle chmurnego nieba. Zaczął podejście w narastającym deszczu. Zarośla były tu mniej przerzedzone przez zbieraczy drewna, co zapewne tłumaczyła większa odległość od drogi. Cały ten teren nie nadawał się raczej pod uprawę. Stoki wzgórza były zbyt strome. Chłopi trzymali się pewnie żyznej równiny nad rzeką, mógł więc liczyć na minimum przypadkowych gości. Kto wie, czy nie dlatego tu właśnie zlokalizowano ZIELENIAK, pomyślał. Wkoło nie było nic naprawdę interesującego, nic, co mogło przyciągnąć czyjąś uwagę.

Był w połowie stoku, kiedy jego oczom po raz pierwszy ukazał się obóz. Między drzewami dojrzał rozległy szmat odkrytego terenu. Kelly nie wiedział, czy była to niegdyś łąka, czy też las wycięto z takiego czy innego powodu. Z przeciwnej strony wzgórza biegła droga, łącząca obóz z szosą nad rzeką. Na jednej z wież strażniczych spostrzegł błysk światła — ktoś palił papierosa. Czy ci ludzie nigdy się nie nauczą? Przyzwyczajenie wzroku do ciemności trwa nieraz całe godziny, a takie błysniecie zapalką wystarczy, by zniweczyć cały wysiłek. Kelly odwrócił spojrzenie od obozu, koncentrując się na trasie swojej wspinaczki. Starał się omijać zarośla, wyszukiwał przejść między krzewami, by uniknąć hałaśliwego ocierania się o gałęzie. Prawie się zdziwił, stwierdziwszy, że znajduje się na szczycie wzniesienia.

Usiadł na chwilę i trwał tak w zupełnej ciszy, nasłuchując i jednocześnie rozglądając się za najlepszym miejscem na stanowisko obserwacyjne. Znalazł je jakieś siedem metrów poniżej grzbietu wzgórza. Przeciwny stok był bardzo stromy i niespodziewany przybysz nie miał szans wspiąć się tamtędy nie robiąc hałasu. Lokując się poniżej szczytu, Kelly miał pewność, że nikt nie zobaczy jego sylwetki na tle nieba. Wybrał miejsce; teraz mógł przystąpić do wykonywania zadania. Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął radiotelefon, jeden z kilku, w które go wyposażono.

— Wąż do Świerszcza, odbiór.

— Wąż, tu Świerszcz, słyszę cię dobrze — odpowiedział radiotelegrafista z wozu łączności ustawionego na pokładzie „Ogdena”.

— Na stanowisku. Rozpocynam obserwację. Odbiór.

— Przyjąłem. Koniec. — Radiooperator podniósł wzrok na admirała Maxwella. Druga faza operacji ZIELONA SKRZYNKA dobiegła końca.

\* \* \*

Jednocześnie rozpoczęła się faza trzecia. Kelly wyjął z plecaka morską lornetkę 7x50 i skierował ją na obóz. Na wszystkich czterech wieżach znajdowali się strażnicy; dwóch z nich paliło. Musiało to oznaczać, że ich dowódca śpi. W armii północnowietnamskiej panowała twarda dyscyplina, kary były bardzo surowe — za całkiem drobne wykroczenia nierzadko płaciło się głową. Niedaleko budynku mieszczącego prawdopodobnie kwatery oficerskie, stał zaparkowany pojedynczy samochód. Teren obozu był nieoświetlony. Nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki. Kelly przetarł zalewane deszczem oczy, wyregulował ostrość kolejno obu okularów i wrócił do lustrowania obozu. Miał dziwne uczucie, że oto znów znalazł się w bazie piechoty morskiej Quantico. Podobieństwo obrazu było niesamowite. Budynki wyglądały nieco inaczej, ale te różnice zacierał mrok; może ich barwa była inna. I jeszcze coś. Dziedziniec, plac alarmowy — czy jak to tam nazwać — pozbawiony był trawy. Jego płaską nawierzchnię stanowiła udeptana czerwona glina. Inny kolor i brak tynku, nadawały budynkom odrobinę odmienny charakter. Inny był też materiał poszycia dachów, ale ich krzywizny identyczne. Naprawdę czuł się, jakby był w Quantico. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia, prawdziwa bitwa wypadnie nie gorzej niż ćwiczenia. Usiadł i wypił łyk wody. Pozbawiona smaku, destylowana woda używana na okrętach podwodnych, wydawała się dziwnie nie pasować do tego obcego otoczenia.

Za piętnaście czwarta w barakach zajaśniały światła świec; żółte i migotliwe. Najpewniej zmiana warty. Żołnierze na dwu najbliższych wieżach przeciągali się, wymieniali jakieś uwagi. Kelly słyszał szmer rozmowy, ale nie był w stanie rozróżnić słów ani intonacji. W każdym razie Wietnamczycy byli znudzeni. Normalne w służbie tego rodzaju. Pewnie trochę psioczyli, ale nie za bardzo. Do wyboru mieli pobyt tutaj, lub wycieczkę przez Laos szlakiem Ho Szi Mina, a bez względu na to jakimi byli patriotami, musieliby zgłupieć, żeby myśleć o takiej alternatywie. Tutaj mieli do pilnowania dwudziestu raptem ludzi, zamkniętych w pojedynczych celach, może przykutych do ścian, czy w inny sposób unieruchomionych, pozbawionych najmniejszej szansy ucieczki. A nawet gdyby któryś dokonał tego zupełnie nieprawdopodobnego wyczynu — to co? Co może zdziałać liczący sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu biały mężczyzna, w kraju niskich, żółtych ludzi, z których żaden nie kiwnąłby nawet palcem, by mu pomóc? Więzienie Alcatraz nie było lepiej zabezpieczone przed ucieczkami niż to miejsce. Tak więc strażnicy mieli zapewnione trzy posiłki dziennie i spokojną, nudną służbę, usypiającą ich czujność.



Dobra nowina, pomyślał Kelly. Nudźcie się dalej, chłopaki.

Drzwi baraków rozwarły się. Na plac wyszło ośmiu żołnierzy. Nie widać było podoficera, dowódcy zmiany. Interesujące; zadziwiająca niedbałość, jak na północnowietnamską armię. Żołnierze dwójkami rozeszli się ku wieżom. Pełniący służbę schodzili na ziemię dopiero wtedy, gdy ich zmiennicy znaleźli się na platformie. Tego należało oczekiwać. Zluzowani gawędząc skierowali się w stronę baraków. Niektórzy palili. Cała ta scena tchnęła atmosferą spokoju i rutyny. Ci ludzie robili to samo od wielu miesięcy.

Zaraz, zaraz. Dwaj z nich kuleją, uświadomił sobie nagle Kelly. A więc weterani. Była to zarazem dobra, jak i zła informacja. Żołnierze z doświadczeniem bojowym to nie to samo, co rekruci. Jeśli zacznie się coś dziać, najprawdopodobniej zareagują prawidłowo. Brak szkolenia w ostatnim czasie nie gra tu roli, decyduje rutyna. Nawet pozbawieni dowództwa mogą stawić skuteczny opór. Z drugiej strony, jako weterani, zdążyli zobojętnieć; swoją służbę, mimo iż nie należała do uciążliwych, traktowali lekceważąco, brak im było gorliwości i służbowej postawy młodych żołnierzy. W sumie to bez znaczenia. Plan ataku opracowano z uwzględnieniem wszelkich niespodzianek. Zabijać bez ostrzeżenia, nie licząc na braki w wyszkoleniu przeciwnika, to była najbezpieczniejsza metoda.

Niemniej przyjęto błędne założenie. Zwykle załogę obozów jenieckich stanowili żołnierze drugiego rzutu. Ci, tutaj, byli z jednostek liniowych, nawet jeśli odniesione rany predystynowały ich do służby tyłowej. Jeszcze jakieś błędy? Kelly zastanawiał się przez chwilę. Na razie nic więcej nie znalazł.

Pierwsza rzeczowa informacja, jaką przekazał do bazy miała postać hasła kodowego, które wystukał alfabetem Morse'a.

\* \* \*

— Odebrałem „Cichy ką”, panie admirale. — Radiotelegrafista nadał potwierdzenie odbioru.

— Dobre wieści? — spytał kapitan Franks.

— „Cichy ką” znaczy, że wszystko wygląda tak, jak oczekiwaliśmy. Nic ważnego do przekazania — odpowiedział admirał Podulski. Maxwell właśnie poszedł się zdrzemnąć. Kaz wiedział, że nie zaśnie, dopóki operacja się nie zakończy. — Nasz przyjaciel Clark skontaktował się dokładnie o czasie.

\* \* \*

Pułkownik Głazow nie lubił pracować w weekendy. Nie mniej, niż jego zachodni odpowiednicy. Zwłaszcza, kiedy był do tego zmuszony, bo jego sekretarz pomylił się i położył jakiś raport nie na tej kupce, co trzeba. I tak dobrze, że

chłopak się przyznał i zadzwonił do szefa, próbując naprawić swój błąd. Pułkownikowi nie pozostało nic innego, jak objechać go za przeoczenie, a jednocześnie pochwalić za uczciwość i poczucie obowiązku. Ze swojej dachy pod Moskwą przyjechał własnym samochodem. Zaparkował na tyłach budynku i wszedł do środka. Zanim wsiadł do windy, musiał się poddać męczącej procedurze sprawdzania tożsamości. Potem jeszcze otwieranie biura i konieczność posłania po właściwe dokumenty do centralnego archiwum, co także trwało dłużej niż w zwykły, roboczy dzień. W sumie od odebrania owego nieszczęsnego telefonu minęły dwie godziny, nim Głazow zasiadł do studiowania tej przeklętej sprawy. Pokwitował odbiór dokumentów i odprawił gońca z archiwum.

— *Bloody hell* — zaklął po angielsku, nareszcie sam w swoim gabinecie na czwartym piętrze. A więc Kasjusz miał przyjaciela w Białym Domu, w biurze doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nic dziwnego, że niektóre z jego informacji były tak wartościowe. Inaczej Georgij Borysowicz nie leciałby do Londynu dla sfinalizowania werbunku. Głazow zaczynał mieć wyrzuty sumienia. Kasjusz chował tę informację w rękawie, jakby wiedział, że zrobi ona piorunujące wrażenie na jego kontrolerze. Oficer prowadzący, kapitan Jegorow, uznał to za naturalne — nic dziwnego — i opisał pierwszy kontakt z Kasjuszem z drobiazgową dokładnością.

ZIELONA SKRZYNKA, wyszeptał Głazow w zamyśleniu. Po prostu kryptonim operacji, taki, a nie inny, bez szczególnego powodu, jak zwykle u Amerykanów. Istotne pytanie, to czy przekazać te dane Wietnamczykom. Była to decyzja polityczna i należało ją podjąć szybko. Pułkownik podniósł słuchawkę i wybrał numer telefonu swojego bezpośredniego przełożonego, który także był w domu i jak zawsze w fatalnym humorze.

\* \* \*

Wschód słońca bardzo nieznacznie odmienił wygląd krajobrazu. Ciemnoszare chmury przybrały nieco jaśniejszą barwę i wyglądały teraz jak kłęby dymu z niewidocznego ogniska. Gdzieś za nimi kryło się słońce, ale tutaj nie pojawi się ono wcześniej, aż ów obszar niskiego ciśnienia, o którym opowiadał synoptyk, nie przesunie się w kierunku Chin. Kelly spojrzął na zegarek. Nie przerywał obserwacji obozu, notując w pamięci wszelkie istotne szczegóły. Strażników było czterdziestu czterech, do tego dochodziło czterech oficerów i może ze dwóch kucharzy. Tuż po świcie wszyscy, z wyjątkiem ośmiu aktualnie pełniących służbę na wieżach, wyszli na zaprawę poranną. Wielu miało kłopoty z wykonywaniem ćwiczeń, a jeden z oficerów, porucznik, sądząc po pagonach, kuśtykał wkoło placu z laską w dłoni. Sposób, w jaki się nią posługiwał świadczył, że miał także niesprawną rękę. Gdzie cię tak urządzili? — pomyślał Kelly. Równie ułomny i naj-

wyraźniej zżerany przez złość podoficer przechadzał się wzdłuż szeregu ćwiczących żołnierzy, wymyślając im w sposób dowodzący wielomiesięcznej praktyki. Przez lornetkę Kelly widział, jak za plecami tego małego sukinsyna, żołnierze krzywią się i robią miny. Było to bardzo naturalne, ucłowieczało jakoś wietnamskich strażników, a Kelly wcale nie chciał widzieć w nich ludzi.

Zaprawa poranna trwała pół godziny. Po niej wydano żołnierzom śniadanie. Przy okazji rozleźli się po całym obozie w zdecydowanie niewojskowy, bezładny sposób. Jak należało oczekiwać, strażnicy na wieżach większość czasu spędzali gapiąc się na to, co działo się wewnątrz ogrodzenia, z reguły oparci łokciami o krawędź balustrady. Broń mieli prawdopodobnie nie załadowaną. Była to całkiem sensowna ostrożność, ale miała obrócić się przeciwko nim jeszcze tej nocy, lub następnej, zależnie od pogody. Kelly po raz kolejny rozejrzał się po otaczających go zaroślach. Nie mógł pozwolić na to, by całą jego uwagę pochłonął obóz. Mimo słabej widzialności nie było mowy o zmianie stanowiska. Pozostało mu tylko słuchać i patrzeć. Zdążył już poznać głosy nawołujących się w gęstwinie ptaków i natychmiast zauważyłby każdą zmianę w ich normalnym zachowaniu. Lufę karabinu owinął kawałkiem zielonego płótna. Miękki kapelusz, maskujący zarys jego głowy i farba na twarzy powinny czynić go niewidzialnym w tym gąszczu. Było gorąco i parno. Jak ludzie mogą walczyć o takie miejsce? Na domiar złego, zaczynały go oblażać owady. Co groźniejsze odpędzał, rozpylając wokół siebie bezwonny środek. Nie bardzo to skutkowało i czując pełzające po skórze robactwo z trudem powstrzymywał się od gwałtownych ruchów, choć wiedział, że musi ich unikać. W takim miejscu byle głupstwo mogło być źródłem śmiertelnego zagrożenia. Zbyt wiele zapomniał z tego, czego się kiedyś nauczył. A żadne szkolenie, choć niewątpliwie przydatne i konieczne, nie przygotowuje człowieka na spotkania z realnym niebezpieczeństwem, kiedy to strach przyśpiesza bicie serca. Niby się o tym nie zapomina, ale też nigdy tak naprawdę się o tym nie pamięta.

Jeść. Pokarm to siła. Wolnym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął dwie tabliczki liofilizowanego koncentratu. W normalnych warunkach nie wzięłby tego do ust, ale tu nie miał wyboru, musiał jeść. Rozerwał zębami plastikowe opakowanie i jął żuć powoli. Siła, jakiej to żarcie miało dostarczyć ciału, była tyleż biologicznej, co psychologicznej natury. Oba czynniki miały jednak znaczenie — musiał walczyć zarówno ze zmęczeniem, jak i ze stresem.

O ósmej miała miejsce kolejna zmiana warty. Schodzący z posterunków udawali się na posiłek. Dwóch żołnierzy wysłano pod bramę; wyglądali na znudzonych zanim jeszcze tam dotarli. Gapił się na drogę, chociaż trudno było liczyć na to, że ktoś zechce odwiedzić to zagubione wśród dżungli i rzecznych rozlewisk miejsce. W obozie podzielono żołnierzy na grupy robocze. Praca, którą wykonywali, niespiesznie i ze stoickim spokojem, była najzupełniej pozbawiona sensu. Było to dla nich równie oczywiste, jak dla Kelly'ego.

\* \* \*

Pułkownik Griszanow obudził się kilka minut po ósmej. Zamierzał wstać wcześniej, chociaż nie spał do późnej nocy, ale ku swemu niezadowoleniu stwierdził, że jego mechaniczny budzik ostatecznie wyzionął ducha, przeżarty wszechobecną w miejscowym klimacie korozją. Lotniczy zegarek na ręku pułkownika wskazywał ósmą dziesięć. Do diabła! Nici z porannego biegania. Wkrótce zrobi się na to za gorąco, a poza tym, wyglądało na to, że znów cały dzień będzie lało. Na małym wojskowym prymusie nastawił czajnik na herbatę. Znów rano bez gazety. Bez wiadomości o rozgrywkach w lidze piłkarskiej, bez recenzji ostatnich przedstawień baletowych. To nieszczęsne miejsce nie było w stanie dostarczyć mu żadnej rozrywki. Służba służbą, ale jak każdy człowiek, potrzebował wytchnienia. Nie mieli tu nawet głupiej kanalizacji. Owszem, zdążył się do tego przyzwyczaić, ale to niczego nie zmieniało. Boże, żeby tak można było znaleźć się w domu, usłyszeć ludzi mówiących po rosyjsku, porozmawiać na jakiś sensowny temat! Griszanow spojrzął w lusterko do golenia i zmarszczył brwi. Przed nim jeszcze wiele miesięcy pracy w obozie, a on narzeka jak jakiś cholerny rekrut. Powinien wziąć się w garść.

Mundur aż prosił się o żelazko. Wilgoć atakowała włókna bawełny, sprawiając, że jego zwykle gładko odprasowana bluza wyglądała jak piżama. Do tego musiał już sięgnąć po trzecią parę butów. Popijał herbatę, przeglądając notatki z przesłuchań prowadzonych ubiegłej nocy. Praca i praca, żadnej rozrywki. . . A na dokładkę był już spóźniony. Spróbował zapalić papierosa, ale wilgoć sprawiła, że i zapalniczki były do niczego. Ano, jest jeszcze prymus. Tylko gdzie podziła się zapalniczka. . . ?

Pobyty w obozie dostarczał mu jednak również czegoś w rodzaju satysfakcji, która — jeśli tak można powiedzieć — rekompensowała dolegliwości wynikające z prymitywnych warunków bytowania. Wietnamscy żołnierze traktowali go z szacunkiem, niemal z czcią — wszyscy, z wyjątkiem komendanta obozu, majora Vinha, zupełnie nieużytego sukinsyna. Uprzejmość wobec sprzymierzeńca z bratniego socjalistycznego kraju wymagała, by Griszanowowi przydzielono ordynansa. Dostał więc małego, tępego wieśniaka, ślepego na jedno oko, który nadawał się tylko do siania łóżka i wynoszenia kubła z pomyjami. Wychodząc, pułkownik mógł mieć przynajmniej nadzieję, że po powrocie zostanie pokój choć z grubsza sprzątnięty. Poza wszystkim miał jeszcze swoją pracę. Ważną, rozbudzającą zawodową ambicję. Ale tego ranka zabiłby dla egzemplarza „Sowietskowo Sporta”.

\* \* \*

— Dzień dobry, Iwan — wyszeptał Kelly. Nie potrzebował nawet lornetki, by zorientować się, kogo widzi. Obserwowany mężczyzna zdecydowanie wyróżniał

się wzrostem — powyżej stu osiemdziesięciu centymetrów — a jego mundur był dalece schludniejszy, niż to, co nosili na sobie Wietnamczycy. W szklach ukazała się blada, zaróżowiona twarz o przymrużonych oczach bacznie obserwujących otoczenie. Skinął dłonią w stronę drobnego szeregowca, czekającego przed wejściem do kwater oficerskich. Ordynans, pomyślał Kelly. Przybywający z wizytą sowiecki pułkownik miał chyba prawo liczyć na nieco wygody, czyż nie? Na pewno był lotnikiem, o czym świadczyły skrzydełka na bluzie mundurowej, zdobnej mnóstwem baretek. Ale dlaczego tylko jeden? — myślał Kelly. Jeden rosyjski oficer do pomocy w torturowaniu więźniów? Dziwne, jak się nad tym głębiej zastanowić. Oznaczało to jednak, że trzeba będzie zabić tylko jedną osobę z zewnątrz. A jakkolwiek w sprawach politycznych Kelly był człowiekiem mało zorientowanym, zdawał sobie sprawę, że zabijanie Rosjan nie prowadziło do niczego dobrego. Śledził obcego lotnika przemierzającego plac alarmowy. Podszedł do niego wietnamski oficer w stopniu majora. Jeszcze jeden kulas, stwierdził Kelly. Niziutki major zatrzymał się i zasalutował roślemu pułkownikowi.

\* \* \*

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

— Dzień dobry, majorze Vinh. — Mały sukionsyn nie może się nawet nauczyć prawidłowo oddawać honory. Pewnie po prostu nie potrafi zachować się wobec wyższych rangą. — Co z dodatkowymi racjami dla więźniów?

— Będą musieli zadowolić się tym, co dostają — odparł Wietnamczyk w źle akcentowanym, kulawym rosyjskim.

— Majorze, chciałbym, żebyście mnie dobrze zrozumieli. To ważne. — Griszczanow uczynił krok do przodu, tak by móc z góry spoglądać na swego rozmówcę. — Potrzebuję informacji, które posiadają ci ludzie. Nie uzyskam ich, jeśli będą zbyt chorzy, by mówić.

— Ależ towarzyszu, mamy dość kłopotów z nakarmieniem własnych ludzi. Żądacie ode mnie, żebym marnował jedzenie, dając je mordercom? — Major mówił spokojnym tonem, w którym pobrzmiwała pogarda dla obcego, pospołu z udawanym szacunkiem dla własnych żołnierzy; gdyby to słyszeli i tak nie rozumieliby o co chodzi. Mimo wszystko, uważali Rosjan za najpewniejszych sojuszników.

— Wasi ludzie nie mają tego, co potrzebne jest mojemu krajowi, majorze. A jeśli mój kraj dostanie to, czego potrzebuje, wtedy pański kraj być może dostanie więcej tego, czego on potrzebuje.

— Ja tylko wykonuję rozkazy. Jeśli ma pan jakieś trudności z przesłuchaniem Amerykanów, służę pomocą. — Bezczelny psie, dodał w myśli Vinh, zadowolony, że znów udało mu się ukłuć Rosjanina w czułe miejsce.

— Dziękuję, majorze. To nie będzie konieczne. — Griszanow podniósł dłoń do czapki. Tym razem jego pozdrowienie wypadło nawet bardziej niedbale, niż gest małego Wietnamczyka. Chciałbym zobaczyć, jak zdycha, pomyślał Rosjanin, kierując się w stronę bloku więziennego. Czekало go pierwsze tego dnia „umówione spotkanie” z amerykańskim pilotem lotnictwa morskiego, który właśnie zaczynał kapitulować.

\* \* \*

Zachowują się dość swobodnie, myślał Kelly, z odległości kilkuset metrów obserwując rozmowę Rosjanina z majorem. Od pewnego czasu obserwował obóz z mniejszą uwagą. Najbardziej obawiał się, że straż obozowa może patrolować okolicę. W warunkach bojowych na pewno wysłaliby zwiadowców. Na szczęście ci, tutaj, byli u siebie, a poza tym trudno ich uznać za jednostkę liniową. W kolejnym meldunku przesłanym na „Ogdena” zameldował, że nie dostrzegł niczego, co czyniłoby ryzyko operacji niemożliwym do przyjęcia.

\* \* \*

Sierżant Peter Meyer zapalił papierosa. Ojciec nie pochwalał tego, ale godził się ze słabością syna, o ile ten oddawał się jej na powietrzu, tak jak teraz, kiedy po niedzielnej kolacji siedzieli na tylnej werandzie plebanii.

— Chodzi o Doris Brown, prawda? — zapytał Peter. Mając 26 lat był jednym z najmłodszych sierżantów w swoim Wydziale i — jak większość czynnych funkcjonariuszy policji — należał do weteranów wojny wietnamskiej. Brakowało mu zaliczenia sześciu godzin do ukończenia szkoły wieczorowej i myślał o Akademii FBI. W sąsiedztwie krążyła już wieść, że niesforna dziewczyna wróciła do domu. — Przypominam ją sobie. Kilka lat temu miała opinię wartej grzechu.

— Peter, chyba rozumiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć. Ktoś zawierzył mi jako pastorowi. Kiedy przyjdzie pora, będę radził tej osobie, żeby porozmawiała z tobą, ale...

— Papo, pamiętaj, że wiem, co o takich przypadkach mówi prawo. Musisz zrozumieć, że tu chodzi o dwa zabójstwa. Dwa trupy plus handel narkotykami.

Prztyknął niedopałkiem Salema w trawę.

— To dość poważna sprawa, papo.

— Nawet poważniejsza, niż ci się zdaje — odpowiedział ojciec ścisząc głos. — Nie tylko zabili tę dziewczynę. Do tego doszły tortury i nadużycia seksualne. Straszne rzeczy. Ta osoba spotyka się w związku z tym z lekarzem. Wiem, że muszę coś zrobić, ale nie mogę...

— No dobrze, rozumiem, nie możesz. Zadzwoń do naszych ludzi w Baltimore i przekażę im to, co mi powiedziałeś. W gruncie rzeczy powinienem poczekać, aż będziemy mieli coś, co naprawdę da się wykorzystać, ale niech będzie, tak jak powiedziałeś, musimy coś zrobić. Jutro z samego rana dzwonię do Baltimore.

— Czy to nie ściągnie na nią... na tę osobę... niebezpieczeństwa? — pastor był zły na siebie, że musiał się poprawić.

— Raczej nie — zawyrokował Peter. — Jeżeli sama wyrwała się z ich rąk... myślę, że chyba nie wiedzą, gdzie jest, bo przecież już by ją dostali.

— Jak ludzie mogą robić takie rzeczy?

Peter zapalił następnego papierosa. Jego ojciec był po prostu za dobry, żeby rozumieć pewne sprawy. Zresztą on też nie rozumiał.

— Najważniejsze, to dopaść tych sukinsynów.

— Tak, przypuszczam, że tak.

\* \* \*

Rezydent KGB w Hanoi nosił stopień generała-majora. Jego praca polegała głównie na szpiegowaniu wątpliwych sojuszników, jakie były ich rzeczywiste zamiary? Czy faktycznie doszło do oziębienia ich stosunków z Chinami? Czy zechcą współpracować ze Związkiem Radzieckim, kiedy — i jeżeli — wojna zakończy się zwycięstwem? Czy wpuszczą marynarkę radziecką do baz opuszczonych przez Amerykanów? I czy ich polityczne preferencje są istotnie tak ugruntowane, jak to sami twierdzą? Generał był zdania, że zna odpowiedzi na wszystkie te pytania, ale rozkazy z Moskwy i jego własny sceptycyzm kazały mu nie ustawać w ich zadawaniu. Utrzymywał agentów w partii komunistycznej, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — wszędzie. Byli tu Wietnamczycy, dla których gotowość udzielania informacji sojusznikowi z reguły oznaczała śmierć. Ze względów politycznych wyglądało to zawsze na „samobójstwo” lub „wypadek”, gdyż formalne zerwanie nie leżało w interesie żadnej ze stron. Generał wiedział, że siła pozorów jest w socjalizmie większa niż w kapitalizmie, jako że symbole produkuje się łatwiej, niż zmienia rzeczywistość.

Rozszyfrowana depesza, leżąca na biurku generała była niezmiernie intrygująca. Tym bardziej że nie zawierała żadnych wskazówek co do sposobu jej potraktowania. Kochani moskiewscy biurokraci! Zawsze wtrącali się w sprawy, z którymi był w stanie poradzić sobie sam. Tym razem nie wiedzieli co zrobić, a bali się nie robić nic — więc całą odpowiedzialność zrzucili na niego.

Oczywiście słyszał o obozie w dżungli. Co prawda prowadził tam operację wywiad wojskowy — GRU, ale generał miał swoich ludzi także w biurze attaché wojskowego ambasady. Ostatecznie zadaniem KGB było mieć na oku wszystko i wszystkich. Pułkownik Griszanow stosował, co prawda, metody niezgodne

z przepisami, ale — jak donosili informatorzy — osiągał niezłe rezultaty. Lepiej radził sobie z tymi małymi dzikusami, niż służby podległe generałowi. Ostatnio pułkownik wystąpił z niezwykle śmiałą koncepcją: zamiast pozwolić Wietnamczykom zabić jeńców — co zwykle prędzej czy później robili — chciał wywieźć ich do Rosji. Był to pomysł w pewien sposób genialny i generał zastanawiał się właśnie, czy powinien poprzeć go w Moskwie, gdzie sprawa oprze się pewnie o Ministerstwo, a kto wie, czy nie o Biuro Polityczne. W sumie uważał, że plan Griszanova jest, istotnie, pełen zalet i to przesądziło o jego stanowisku.

Byłoby bardzo zabawnie, gdyby Amerykanie w wyniku operacji ZIELONA SKRZYNKA uwolnili swoich ludzi. Może wtedy Wietnamczycy zrozumieliby, że powinni bliżej współpracować ze Związkiem Radzieckim, że w tym układzie, to oni byli petentami, a ich państwo wasalem Rosji. Z drugiej strony oznaczałoby to utratę wiedzy posiadanej przez uwięzionych, a do tego nie wolno było dopuścić.

Jak długo można zwlekać z tą sprawą? Amerykanie działali szybko, ale nie aż tak szybko. Operacja została zaakceptowana przez Biały Dom raptem tydzień temu. Wszyscy biurokraci są tacy sami. W Moskwie trwałoby to czort wie, jak długo. Operacja MACZUGA ciągnęła się bez końca i gdyby nie to, zakończyłaby się sukcesem. Tylko dzięki informacji zdobytej szczęśliwym trafem przez podrzędnego agenta operującego na południu Stanów Zjednoczonych, zdążyli ostrzec Hanoi, a i to prawie za późno. Tym razem jednak ostrzeżenie przyszło w porę.

Cholerna polityka. Nie da się jej wyrugować z praktyki wywiadowczej. Poprzednio omal mu nie zarzucili zwłoki w nadaniu sprawie właściwego biegu. Tym razem nie powinien dostarczać im pretekstu do podobnych oskarżeń. Nawet kraje satelickie chcą być traktowane jak towarzysze. Generał sięgnął po telefon. Zamierzał umówić się na obiad z człowiekiem, który stanowił jego kontakt z wywiadem wietnamskim. Będzie go musiał zabrać do ambasady. Choćby po to, by mieć pewność, że dostaną coś przyzwoitego do jedzenia.



## 29 — ...wraca ostatni

Widok tych chłopców podnosił na duchu. Grupa dwudziestu pięciu *marines* przeprowadzała trening kondycyjny, kończąc ćwiczenia biegiem w szeregu, wokół stojących na pokładzie śmigłowców. Marynarze przyglądali się w milczeniu. Pewne informacje dotarły już do wszystkich. Zbyt wielu ludzi widziało pojazd podwodny Kelly'ego. Siedząc nad talerzami w mesie marynarze, niczym zawodowi agenci wywiadu, zestawiali nieliczne znane im fakty, czyniąc z nich podstawę najróżniejszych spekulacji. *Marines* mieli lecieć na północ. Po co — nikt nie wiedział, ale każdy miał jakąś koncepcję. Może chodziło o desant na stanowiska wyrzutni rakietowych i przywiezienia jakiegoś ważnego urządzenia? A może o wysadzenie mostu? Ale najpewniej celem byli ludzie. Ani chybi, wietnamscy bossowie partyjni...

— Jeńcy — oświadczył mat z drużyny bosmańskiej, dojadając hamburgera, w Marynarce zwanego „ślizgaczem”. — Na pewno jeńcy — powtórzył, wykonując ruch głową w kierunku niedawno przybyłego żołnierza służby medycznej, posilającego się przy osobnym stoliku. — Sześciu sanitariuszy, czterech lekarzy, same łebskie chłopaki. Jak myślicie, po co oni tu są?

— Rany! Chyba masz rację, chłopie — przytaknął jakiś marynarz z kubkiem mleka w garści.

— Będzie czym się pochwalić, jeśli to wyjdzie — zauważył inny.

— Paskudna pogoda — wtrącił sternik. — Szef meteo tak się z tego cieszył, a wczoraj w nocy widziałem, jak omal nie wyrzygał flaków. Zdaje się, że nie znosi niczego mniejszego od lotniskowca.

USS „Ogden” istotnie wykonywał dziwne ruchy. Przyczyną była nietypowa budowa okrętu, a porywisty wiatr wiejący prostopadle do kursu jeszcze pogarszał sytuację. Zawsze to zabawne, zobaczyć bosmana oddającego morzu swój obiadek, czy kolację, ale było coś dziwnego w tym, że facet cieszył się z pogody, która doprowadzała go do choroby. Musiał istnieć jakiś powód. Wnioski były oczywiste, a ich trafność doprowadziłaby do rozpaczony każdego oficera kontrwywiadu.

— Jezu, mam nadzieję, że im się uda.

— Zróbmy jeszcze raz obchód platformy lotniczej — zaproponował bosman. Nikt nie protestował. Szybko zorganizowano grupę roboczą. Za godzinę, na pomalowanej czarną farbą przeciwślizgową platformie, nie będzie nawet zapalki.

— Dobre z nich chłopaki, kapitanie — mruknął „Wściekły” Maxwell, który obserwował przeszukiwanie platformy z prawego skrzydła mostka. Co chwila, któryś z marynarzy pochylał się, podnosząc jakiś „obcy przedmiot” mogący uszkodzić silnik śmigłowca. Jeśli tej nocy coś miało pójść nie tak, marynarze chcieli mieć pewność, że nie będzie to wina ich okrętu.

— Większość to szczeniaki po liceum — odparł Franks, z dumą spoglądając na swoich ludzi. — Czasami myślę, że moja drużyna bosmańska nie ustępuje rozumem moim oficerom. — Była to przesada, ale najzupełniej wybaczalna. Zresztą kapitan chciał powiedzieć coś innego; to samo, o czym myśleli wszyscy na okręcie: jakie są szanse powodzenia operacji? Oczywiście nie wyraził tej myśli. Coś takiego przynosi murowanego pecha. Nawet myślenie o zadaniu mogło mu zaszkodzić. Niemniej kapitan, mimo najlepszych chęci, nie mógł powstrzymać się od mówienia.

W swojej kwaterze, *marines* zgromadzili się wokół ustawionej na stole makiety obiektu. Przed chwilą zakończyli omawianie akcji i teraz czynili to powtórnie. Miało to zostać powtórzone po lunchu i to kilkakrotnie — z całym zespołem i w poszczególnych grupach specjalistycznych. Każdy z żołnierzy był w stanie wyobrazić sobie wszystko z zamkniętymi oczami, wracając myślą do poligonu w Quantico i przeżywając na nowo ćwiczenia z użyciem ostrej amunicji.

— Do kapitana Albie — w pokoju pojawił się jeden z pisarzy z kancelarii okrętowej. — Wiadomość od Węża.

Dowódca *marines* uśmiechnął się.

— Dziękuję, marynarzu. Czytaliście to?

Kancelista zaczerwienił się.

— Proszę o wybaczenie, panie kapitanie. Czytałem. Wszystko gra. — Zaważał się, a potem, najwidoczniej z wewnętrznej potrzeby, dorzucił: — Panie kapitanie, mój oddział życzy wam powodzenia. Dajcie im w dupę, panowie.

— Szefie — odezwał się sierżant Irving, kiedy pisarz zamknął za sobą drzwi — ja już chyba nigdy nie będę miał sumienia obić gęby matrosowi.

Albie przebiegł wzrokiem depezę.

— Chłopcy, nasz przyjaciel jest już na miejscu. Naliczył czterdziestu czterech strażników, czterech oficerów, jednego Rosjanina. Obóz funkcjonuje normalnie, nic niezwykłego się nie dzieje. — Kapitan popatrzył po twarzach swoich ludzi. — Nasza kolej, *marines*. Dziś w nocy wkraczamy do akcji.

\* \* \*

— Czołem, Robin.

— Cześć, Kola. — Głos Zachariasa brzmiał niepewnie i słabo.

— Ciągłe próbuję załatwić lepsze jedzenie.

— Przydałoby się. — Amerykanin skinął głową.

— Spróbuj tego. — Griszanow wyciągnął w stronę więźnia kawałek przysła-  
nego mu przez żonę razowca. W wilgotnym powietrzu chleb zaczynała już pokry-  
wać pleśń. Kola zeskrobał ją z grubsza nożem. Mimo to Amerykanin rzucił się na  
jedzenie niczym zgłodniały wilk. Popił łykiem wódki z piersiówki Griszanowa.

— Jeszcze zrobię z ciebie Rosjanina — radziecki lotnik nie krył rozbawie-  
nia. — Dobry chleb, to najlepsza zakąska do wódki. Chciałbym ci kiedyś pokazać  
mój kraj. — Była to próba zaszczepienia pomysłu pułkownika w umyśle jeńca.  
Ot, taka przyjacielska uwaga, rzucona w rozmowie.

— Mam rodzinę, Kola. Jak Bóg zechce. . .

— Słusznie, Robin. Jak Bóg zechce. — I jak zechce Wietnam Północny albo  
Związek Radziecki. Albo ktoś inny. Tak czy inaczej, ocali tego człowieka. I kilku  
innych. Większość była teraz jego przyjaciółmi. Wiedział o nich wszystko: o ich  
małżeństwach, dobrych czy złych, o ich dzieciach, ich nadziejach i marzeniach.  
Ci Amerykanie byli dziwni, tacy otwarci. — A jeśli Bóg zechce, i Chińczycy po-  
stanowią zbombardować Moskwę, to mam tu plan zatrzymania ich. — Rozwinął  
mapę i rozłożył ją na podłodze. Powstała ona jako rezultat dotychczasowych rozmów  
z jego amerykańskimi kolegami. Wszystko, czego się dowiedział i wszystkie  
swoje przemyślenia przelał na ten kawałek papieru. Griszanow był dumny ze swo-  
jej roboty: czytelnie przedstawionej na mapie, wysoce skomplikowanej koncepcji  
strategicznej.

Zacharias wodził palcem po papierze, odczytując angielskie napisy, dziwacz-  
nie kłócące się z pisaną cyrylicą legendą mapy. Uśmiechnął się z aprobatą. Spryt-  
ny facet z tego Koli. Szybko się uczył. Sposób w jaki swoje siły, z lotnictwem ope-  
rującym głównie na tyłach. . . Teraz chyba zrozumiał, na czym polega działanie  
w oparciu o głęboko cofnięte stanowiska obronne. Baterie rakiet ziemia-powietrze  
rozlokowane u wylotu przełęczy górskich, w sposób gwarantujący maksimum za-  
skoczenia. . . Kola myślał teraz jak pilot bombowca, nie jakiś narwany myśliwiec.  
Zrobił właśnie pierwszy krok do zrozumienia o co w tym wszystkim chodzi. Jeśli  
każdy rosyjski dowódca z Obrony Powietrznej Kraju będzie wiedział to samo, to  
nasze Dowództwo Lotniczych Operacji Strategicznych czekają ciężkie czasy. . .

Mój Boże!

Dłoń Robina zawisła nad mapą.

Tu wcale nie chodziło o Chińczyków.

Zacharias podniósł wzrok, a z jego twarzy można było natychmiast wyczytać  
o czym myśli, jeszcze zanim zebrał dość siły, by przemówić.

— Ile bombowców strategicznych mają Chińczycy?

— W tej chwili? Dwadzieścia pięć. Ale budują nowe.

— To co usłyszałeś ode mnie, możesz rozwinąć i zastosować do każdej sytuacji.

— Będziemy musieli to zrobić, jeśli oni rozbudują swoje siły, Robin. Mówiłem ci o tym — pośpiesznie, starając się zachować spokój tłumaczył Griszanow. Ale było już za późno, wiedział to. Jedno na pewno już przegrał.

— Wszystko ci powiedziałem — wymamrotał Amerykanin ze wzrokiem wlepionym w mapę. Zamknął oczy, a jego ramiona zadrżały. Griszanow objął go, próbując ukoić jego ból.

— Robin, powiedziałaś mi tylko, jak mam bronić rosyjskich dzieci. Nie oszukałem cię. Mój ojciec naprawdę porzucił uniwersytet, żeby walczyć z Niemcami. I naprawdę jako dziecko byłem ewakuowany z Moskwy. Tamtej zimy straciłem wielu kolegów, którzy zamrzli na śniegu. To były wszystko dzieci, Robin. To się naprawdę zdarzyło. Widziałem to na własne oczy.

— A ja zdradziłem swój kraj — wyszeptał Zachariasz. Ta świadomość spadła nań niczym grom. Jak mógł być tak ślepy i głupi? Oparł się o ścianę, czując nagły ból w piersi i w tej chwili modlił się, żeby to był atak serca. Po raz pierwszy bowiem w swoim życiu pragnął śmierci. Ale to nie było serce. Po prostu reakcja żołądka; spowodowany stresem nadmiar kwasów, które trawiły jego wnętrzności dokładnie tak samo, jak jego umysł strawił siłę ducha. Złamał przysięgę złożoną Bogu i ojczyźnie. Był przeklęty.

— Przyjacielu. . .

— Wykorzystałeś mnie! — syknął Robin i szarpnął się w bok.

— Posłuchaj, Robin. Musisz mnie wysłuchać. — Griszanow nie wypuszczał Amerykanina z uścisku. — Ja kocham swój kraj, Robin. Tak jak ty kochasz swój. Przysięgałem bronić jego granic. Nigdy ci na ten temat nie kłamałem. I pora, żebyś się dowiedział jeszcze czegoś. — Będzie musiał zrozumieć swoją sytuację. Zamierzał wytłumaczyć mu wszystko bez owijania w bawełnę.

— Czego na przykład?

— Ty nie żyjesz, Robin. Wietnamczycy przekazali do Stanów wiadomość o twojej śmierci. Nigdy nie pozwolą ci wrócić do domu. To dlatego nie jesteś w więzieniu Hoa Lo; wasi nazywają je „Hiltonem”, prawda? — Spojrzenie Zachariasza raniło serce Koli. Zawarte w nim oskarżenie było aż nadto wyraźne. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie brzmiała błagalna nuta.

— Mylisz się, Robin. Zebrałem u swoich przełożonych, żeby pozwolili mi zachować cię przy życiu. Przysięgam na głowy moich dzieci: nie pozwolę ci umrzeć. Nie możesz wrócić do Ameryki. Znajdę ci nowy dom. Zrozum, znów będziesz mógł latać! Zaczнеш nowe życie. Więcej nie jestem w stanie zrobić. Gdybym mógł wrócić ci Ellen i dzieci, zrobiłbym to. Nie jestem potworem, tylko człowiekiem, jak ty. Jak ty, mam swoją ojczyznę. I rodzinę. Człowieku, na Boga, w którego tak wierzysz — postaw się w mojej sytuacji! Co byś zrobił? Jak byś się czuł na moim miejscu.

Jedyną odpowiedzią więźnia był szloch wstydu i rozpacz.

— Wolałbyś, żebym im pozwolił torturować cię? Mogę to zrobić. Sześciu więźniów zmarło w tym obozie przed moim przyjazdem, wiedziałeś o tym? To ja położyłem kres znęcaniu się nad wami! Potem już umarł tylko jeden. I płakałem, kiedy to się stało. Wierzysz mi, Robin? Z chęcią zamordowałbym tego małego faszystę, majora Vinha. Uratowałem ci życie! Zrobiłem, co było w mojej mocy i błagałem, by pozwolono zrobić mi więcej. Dawałem ci własny chleb, Robin, który przysłała mi moja Marina!

— A ja powiedziałem ci, jak zabijać amerykańskich pilotów. . .

— Tylko, jeśli zaatakują mój kraj. Jeśli spróbują zabijać moich rodaków. Tylko wtedy, Robin! Tylko wtedy. Chciałbyś, żeby zabili moją rodzinę?

— Przecież nie o to chodzi!

— O to. Właśnie o to. Nie rozumiesz? To nie zabawa, Robin. Śmierć to nasz fach — twój i mój. Bronić życia, znaczy jednocześnie zabijać.

Może Robin to kiedyś zrozumie. Griszanow miał w każdym razie taką nadzieję. Amerykanin był bystry, myślał realnie. Kiedy się zastanowi, sam dojdzie do wniosku, że lepiej żyć niż umrzeć. I może znów będą przyjaciółmi. Faktem jest, myślał Kola, że uratowałem temu człowiekowi życie. Nawet jeśli zechce mnie za to przekląć, aby wypowiedzieć słowa przekleństwa, musi oddychać. Pułkownik Griszanow gotów był z dumą dźwigać swoje brzemię. Zdobył potrzebne mu informacje i jednocześnie ocalił ludzkie życie. Zachował się jak przystało na pilota wojsk obrony powietrznej kraju, człowieka, który jako przestraszony, zdezorientowany chłopak wieziony z Moskwy do Gorkiego, przysiągł poświęcić swe życie obronie ojczyzny.

\* \* \*

Rosjanin opuścił blok więzienny w porze obiadowej. Kelly widział trzymany przezeń notes, zapewne pełen informacji, które zdołał wydusić z jeńców.

— Mamy zamiar dobrać się do twojej czerwonej dupy — mruknął pod nosem. — Są tacy, co chcą wrzucić ci przez okno parę granatów fosforowych, koleżko, i upiec cię na obiad, razem z twoimi pieprzonymi notatkami. Tak, tak.

Mógł już to sobie wyobrazić. Świadomość, że tylko on wie, co ma się wydarzyć była źródłem skrytej, wewnętrznej radości. Znać przyszłość — cóż to za boska satysfakcja. Pociągnął łyk wody z manierki. Musiał uważać, by nie dopuścić do odwodnienia organizmu. Coraz trudniej przychodziło mu zachować cierpliwość. W zasięgu jego wzroku wznosił się budynek, w którym znajdowało się dwudziestu osamotnionych, przerażonych, cierpiących Amerykanów. I chociaż Kelly nie widział nigdy żadnego z nich i tylko jednego znał z imienia i nazwiska, od niego zależało powodzenie misji. Co do reszty, to próbował przypomnieć sobie

łacińską sentencję słyszaną jeszcze w szkole średniej. *Morituri non cognant* — tak to chyba brzmiało. Mający umrzeć nie znają swego losu. I bardzo dobrze. Kelly'emu odpowiadał taki stan rzeczy.

\* \* \*

- Wydział Zabójstw.
- Cześć, chciałbym rozmawiać z porucznikiem Frankiem Allenem.
- To ja — odrzekł Allen. Minęło raptem pięć minut od chwili, gdy tego poniedziałkowego ranka zasiadł przy swoim biurku. — Kto mówi?
- Sierżant Pete Meyer, Pittsburgh — brzmiała odpowiedź. — Skierował mnie do pana kapitan Dooley.
- Nie rozmawiałem ostatnio z Mike'em. Wciąż kibicuje Piratom?
- Co wieczór, panie poruczniku. Sam staram się obejrzeć od czasu do czasu kilka gier.
- Dać panu cynk na tę kolejkę, sierzancie? — zapytał Allen szczerząc zęby. Gliniarze powinni trzymać ze sobą. — Co mogę dla pana zrobić, sierzancie?
- Poruczniku, mam dla pana informację. Chodzi o dwa zabójstwa. Obie ofiary to kobiety w wieku około dwudziestu lat.
- Momencik. — Allen wziął czystą kartkę papieru. — Kto jest pańskim informatorem?
- Na razie nie mogę tego wyjawić. Źródło jest zastrzeżone. Będę się starał to zmienić, ale to trochę potrwa. Mogę jechać dalej?
- Niech i tak będzie. Nazwiska ofiar?
- Ostatnia nazywała się Pamela Madden, świeża sprawa, sprzed kilku tygodni.
- Porucznik szeroko otworzył oczy.
- Jezus, toż to morderstwo przy fontannie. A ta druga?
- Na imię miała Helen, zginęła jesienią, nie znam dokładnej daty. Oba morderstwa były wyjątkowo ohydne, poruczniku, połączone z torturami i znęcaniem się na tle seksualnym.
- Allen pochylił się do przodu, przyciskając słuchawkę do ucha.
- I mówi pan, że macie świadka obu tych zabójstw?
- Tak, panie poruczniku, na to wygląda. I mam dla pana dwóch podejrzanych. Mężczyźni, biali; jeden ma na imię Billy, drugi Rick. Bez rysopisów, ale nad tym też mogę popracować.
- No dobrze. To nie są moje sprawy. Prowadzą je w śródmieściu, porucznik Ryan i sierżant Douglas. Słyszałem oba te nazwiska, to znaczy, nazwiska obu ofiar. Sierzancie, to wygląda na coś poważnego. Czy wasze informacje są pewne?
- Sądzę, że całkowicie pewne. Dam panu jedną wskazówkę. Ofiara numer dwa, Pamela Madden, otóż, po tym jak została zabita, czesano jej włosy.

W każdej większej sprawie kryminalnej kilka ważnych dowodów ukrywa się przed prasą, by móc potem wykluczyć dziwaków pragnących przyznać się do czegoś, co podpowie im chora wyobraźnia. Właśnie ten szczegół był pilnie strzeżony, bo nawet porucznik Allen o nim nie wiedział.

— Co ma pan jeszcze?

— Te morderstwa wiązały się z narkotykami. Obie dziewczyny były kurierkami.

— Bingo! — zawołał cicho Allen. — Wasz informator jest w areszcie, czy co?

— Właściwie nie powinienem tego mówić, ale... dobrze, będę z panem szczerzy. Mój ojciec jest pastorem. Doradza pewnej dziewczynie. Ale poruczniku, niech to zostanie między nami, zgoda?

— Rozumiem. Czego pan ode mnie oczekuje?

— Czy mógłby pan podać te informacje prowadzącym śledztwo? Mogą się ze mną skontaktować przez komisariat. — Sierżant Meyer podał swój numer. — Jestem tutaj kierownikiem zmiany. A teraz muszę lecieć, bo mam wykład w Akademii. Wracam około czwartej.

— Dobrze, sierżancie. Przekażę to. Wielkie dzięki za pomoc. Em i Tom skontaktują się z panem. Może pan być tego pewien. — Rany boskie, oddałbym Pittsburghowi całą tegoroczną cholerną kolejkę rozgrywek, byle dostać tych sukinsynów, pomyślał Allen i zaczął naciskać guziki telefonu.

\* \* \*

— Cześć, Frank — powiedział porucznik Ryan. Kiedy odstawiał filiżankę z kawą, wyglądało to jak na zwolnionym filmie. Jednak kiedy pochwycił pióro, obraz zmienił się diametralnie.

— Mów dalej, zapisuję.

Sierżant Douglas spóźnił się tego ranka z powodu jakiegoś wypadku na trasie I-83. Wszedł jak zwykle z kawą i pączkiem na tacy i zastał szefa piszącego z gorączkowym pośpiechem.

— Uczesane włosy? Tak powiedział? — pytał Ryan. Douglas przechylił się przez biurko. Ryan miał spojrzenie myśliwego, który właśnie usłyszał pierwszy szelest w gąszczu. — Dobra, Frank, jakie imiona on... — Ręka śledczego zaciśnęła się w pięść. Wziął głęboki oddech. — Dobra, Frank, gdzie jest ten facet? Dzięki. Cześć.

— Ruszyło?

— Pittsburgh — odrzekł Ryan.

— No?

— Telefon od sierżanta policji w Pittsburghu. Możliwe, że mamy świadka zabójstw Pamela Madden i Helen Waters.

— To nie jakaś lipa?

— To ktoś, kto uczesał jej włosy, Tom. I zgadnij, jakie jeszcze padły imiona?

— Richard Farmer i William Grayson?

— Rick i Billy. Pasuje, co? Możliwe, że dziewczyny były kurierkami jakiejś siatki. Czekaj... — Ryan odchylił się w krzesło i wlepił wzrok w pożółkły sufit. — Kiedy zabito Farmera, była przy tym jakaś dziewczyna... przynajmniej sądzimy, że była — poprawił się. — To jest jakiś związek, Tom. Pamela Madden, Helen Waters, Farmer, Grayson — wszyscy są ze sobą powiązani... a to znaczy...

— Także uliczni handlarze. Wszystkich coś ze sobą łączy. Co to takiego, Em? Wiemy, że wszyscy, prawdopodobnie wszyscy, robili w narkotykach.

— Mamy tu dwa różne sposoby działania, Tom. Dziewczyny zostały zaszlachtowane jak... nie, tego nie robi się nawet z bydłem. Cała reszta natomiast... całą resztę zlikwidował Niewidzialny Człowiek. Człowiek wykonujący swoje zadanie. Tak powiedział Farber: wykonujący zadanie.

— Zemsta — rzekł Douglas, przymierzając analizę Ryana do własnej.

— Gdyby któraś z tych dziewcząt była mi bliska... Na Boga, Em, kto by go potępił?

Był tylko jeden człowiek, którego dawało się logicznie powiązać z którymś z dwóch morderstw popełnionych na dziewczynach, bliski jednej z ofiar. I był znany policji, czyż nie? Ryan złapał za telefon i oddzwonił do porucznika Allena.

— Frank, jak nazywał się ten gość, który pracował przy sprawie Goodinga? Ten z Marynarki?

— Kelly, John Kelly. Wyłowił faceta koło Fort McHenry, potem centrala zaangażowała go do szkolenia naszych nurków, przypominasz sobie? Och, Pamela Madden! Rany Boskie! — wykrzyknął Allen, bo nagle wszystko stało się jasne.

— Powiedz mi coś o nim, Frank.

— Cholernie miły gość. Spokojny, jakby trochę smutny, stracił żonę, chyba w wypadku samochodowym.

— Weteran, prawda?

— Płetwonurek. Zakładanie ładunków wybuchowych pod wodą. Z tego właśnie żyje, wysadza różne rzeczy w powietrze. Coś, jak specjalista od robót podwodnych.

— Mów dalej.

— Fizycznie dość mocny, dba o siebie. — Allen przerwał. — Widziałem jak nurkuje, ma jakieś ślady na ciele, chyba blizny. W jakiejś akcji musiał dostać parę kul. Mam jego adres i wszystkie dane, jeśli chcesz.

— Są w moich aktach, Frank. Dzięki, stary. — Ryan odwiesił słuchawkę.

— To nasz facet. To on jest Niewidzialnym Człowiekiem.

— Kelly?

— Cholera! — zaklął Ryan. — Muszę być dziś rano w sądzie!



\* \* \*

— Witam. Miło znów panów widzieć — powiedział doktor Faber. W poniedziałki miał zwykle mniej pracy. Przyjął właśnie ostatniego pacjenta i wybierał się na lunch, a potem był umówiony z synem na tenisa. Policjanci natknęli się na niego w drzwiach gabinetu.

— Co pan wie o ludziach z UDT? — zapytał Ryan, idąc korytarzem obok lekarza.

— To znaczy, o pletwonurkach? Z Marynarki?

— Właśnie. Twarde chłopaki, prawda?

Faber uśmiechnął się, nie wyjmując z ust fajki.

— To oni są pierwsi na brzegu. Przed *marines*. Więc jak pan sądzi? — Przerwał, bo coś przyszło mu nagle do głowy. — Teraz jest nawet coś lepszego.

— Co takiego? — zapytał porucznik.

— Tak się składa, że od czasu do czasu nadal wykonuję małe robótki dla Pentagonu. Uniwersytet Hopkinsa w ogóle często przyjmuje zlecenia rządowe. Laboratorium Fizyki Stosowanej... sporo specjalnych zamówień. Wie pan, czym się kiedyś zajmowałem. — Znowu przerwał. — A więc co pewien czas, w ramach takich specjalnych konsultacji, przeprowadzam testy psychologiczne pod kątem badania wpływu przeżyć wojennych na psychikę. Naturalnie, te dane są poufne. Otóż powstała nowa jednostka do zadań specjalnych, wydzielona z UDT. Nazwano ich SEAL od: SEA-Air-Land. To komandosi, naprawdę faceci z charakterem. Istnienie tego oddziału nie jest szerzej znane. Są nie tylko twardzi, ale i inteligentni. Uczy się ich myśleć, myśleć planowo. Mięśnie plus mózg.

— Tatuaż — przypomniał nagle sobie Douglas. — On ma na ramieniu wytatuowaną fokę.

— Panie doktorze, powiedzmy, że jeden z tych ludzi z SEAL miał dziewczynę i że została ona brutalnie zamordowana. Jaka byłaby jego reakcja? — Było to bardzo proste pytanie, ale Ryan musiał je postawić.

— Chciał pan wiedzieć, jakie on wykonuje zadanie. Oto ma pan odpowiedź. — Faber ruszył w stronę drzwi. Nie zamierzał wyjawiać nic więcej, nawet jeśli chodziło o śledztwo w sprawie morderstwa.

— To nasz chłopiec. Brakuje nam tylko jednego — mruknął Ryan, patrząc za zamykające się za lekarzem drzwi.

— Tak. Dowodu. Za to mamy cholernie dobry motyw.

\* \* \*

Zapadła noc. Dla wszystkich w ZIELENIAKU — z wyjątkiem Kelly'ego — był to wyjątkowo podły dzień. Plac alarmowy zmienił się w grzęzawisko, usiane cuchnącymi kałużami. Wietnamscy żołnierze spędzili większość dnia, próbując

chować się przed deszczem. Ci na wieżach dostosowywali swoją pozycję do kierunku wiatru, który zresztą zmieniał się co chwilę. Taka pogoda nie pozostaje bez wpływu na samopoczucie. Większość ludzi nie przepada za mokrymi łachami i wodą kapiącą na głowę — złości ich to i działa otępiająco, zwłaszcza jeśli do tego nudzą ich wykonywane obowiązki, tak jak tych tutaj. W Wietnamie Północnym taka pogoda oznaczała mniej nalotów, co stanowiło jeszcze jeden powód, by się rozluźnić. Rosnący w ciągu dnia upał dodatkowo zasiliał chmury wilgocią, która w postaci deszczu natychmiast wracała na ziemię.

Co za gówniany dzień — mówili pewnie strażnicy siedząc nad obiadem. Kiwali głowami, zagapieni w swoje talerze. Pochłonięci sobą, obojętni na to, co działo się wkoło. Drzewa nasiąkły wodą. Dużo łatwiej poruszać się cicho między mokrymi liśćmi. Suche gałęzie nie trzeszczą pod nogami. Nasycone wilgocią powietrze tłumi dźwięki. Jednym słowem, pogoda była idealna.

Kelly, zeszywniały od długiego bezruchu, wykorzystał ciemność, żeby rozprostować kości. Siedział pod krzakiem i masował zdrętwiałe mięśnie pogryzając koncentrat. Wypił pełną manierkę wody i wyciągnął się na ziemi. Ze swego miejsca widział wyznaczony rejon lądowania śmigłowców i wybrał już sobie prowadzącą do niego trasę. Miał tylko nadzieję, że *marines* nie będą za bardzo swędziały palce na spustach, kiedy ruszy ku nim w dół wzgórza. O dwudziestej pierwszej zero zero przekazał przez radio ostatnią wiadomość.

\* \* \*

— Zielone światło — powiedział radiooperator. — Aktywność w normie.

— Świetnie. Na to czekaliśmy. Niczego więcej nie potrzebujemy. — Maxwell rozejrzał się po kabinie. Wszyscy kiwali głowami.

— Operacja ZIELONA SKRZYNKA, faza czwarta. Początek o dwudziestej drugiej zero zero. Kapitanie Franks, nadać sygnał dla USS „Newport News”.

— Tak jest, panie admirale.

Piloci śmigłowców wkładali ognioodporne kombinezony i maszerowali na rufę, by przygotować maszyny do lotu. Na platformie lotniczej natknęli się na marynarzy „Ogdena”, czyszczących wszystkie po kolei okna helikopterów. W pomieszczeniach mieszkalnych *marines* zapinali szelki z oporządzeniem. Broń została wyczyszczona. Magazynki naładowano świeżą amunicją, dopiero co wyjętą z hermetycznych pojemników. Żołnierze siadali parami, pomagając sobie nawzajem nałożyć maskujący makijaż. Nie słychać było śmiechu czy żartów. Byli poważni, niczym aktorzy przed premierą. Czynność malowania twarzy, wymagająca lekkiej ręki i delikatności, dziwnie kontrastowała z rodzajem szykowanego na ten wieczór przedstawienia. Chociaż nie dla wszystkich.

— Panie kapitanie, ostrożnie z tą farbą koło oczu — zwrócił się Irving do nieco poddenerwowanego kapitana Albie, który jak wszyscy dowódcy przed akcją miał straszną tremę. Uwaga sierżanta pomogła mu się uspokoić.

\* \* \*

W sali pogotowia operacyjnego na USS „Constellation” dowódca dywizjonu, filigranowy młody człowiek nazwiskiem Joshua Painter, prowadził odprawę załóg. Czekają na nich osiem gotowych do lotu *F-4 Phantom*.

— Osłaniamy dziś w nocy operację specjalną. Naszym celem są stanowiska rakiet ziemia-powietrze na południe od Hajfongu. — Nie wiedział, jaki jest cel wspomnianej operacji. Miał tylko nadzieję, że rzecz warta jest wystawienia na ryzyko jego dywizjonu; piętnastu oficerów, którzy polecą z nim dziś wieczorem. Z „Connie” miało ponadto wystartować dziesięć *A-6 Intruder* z aparaturą przeciwradarową i większość pozostałych samolotów pokładowych, które przeciągną nad wybrzeżem, emitując ile się da zakłóceń radiowych. Painter spodziewał się, że ich misja istotnie jest tak ważna, jak to przedstawił admirał Podulski. Fagle z wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych wcale nie były takie zabawne.

\* \* \*

USS „Newport News” zajął pozycję w odległości czterdziestu kilometrów od brzegu, dokładnie między USS „Ogden” a lądem. Radary miał wyłączone i Wietnamczycy prawdopodobnie w ogóle nie wiedzieli o jego obecności. Po doświadczeniach kilku ostatnich dni zrobili się wyraźnie ostrożniejsi w korzystaniu ze swojego nabrzeżnego systemu obserwacyjnego. Kapitan siedział w fotelu na mostku. Zerknął na zegarek i otworzył zapieczętowaną brązową kopertę, od dwóch tygodni spoczywającą w jego sejfie, a zawierającą rozkazy operacyjne dla krążownika.

— Hmm — mruknął pod nosem. A potem: — Panie Shoeman, niech maszynownia uruchomi pierwszy i czwarty kocioł. W możliwie najkrótszym czasie chcę dysponować pełną mocą. Dziś wieczorem znowu pościgamy się z falą przybrzeżną. Pozdrowienia dla oficera dyspozycyjnego, dowódcy artylerii i ich bosmanów. Mają się natychmiast zameldować w kabinie nawigacyjnej.

— Tak jest. — Oficer wachtowy zanotował polecenia kapitana. Mając pod parą wszystkie cztery kotły, „Newport News” mógł osiągać prędkość trzydziestu czterech węzłów. Chodziło teraz o to, żeby jak najszybciej dotrzeć do wybrzeża, a potem równie szybko się wycofać.

— Witajcie płytkie wody! — zanucił na głos sternik, kiedy tylko kapitan opuścił mostek. — Surfuj bracie, pókiś młody! — Surfingiem, nazwał kilka miesięcy-

cy wcześniej akcje bojowe krążownika na wodach przybrzeżnych pewien starszy marynarz. Kapitanowi podobał się ten żart.

— Podajcie kurs, Baker — odezwał się oficer wachtowy, aby położyć kres występowi sternika.

— Kurs jeden-osiem-pięć, panie Shoeman — zameldował sternik, nie przestając podrygiwać do rytmu swojej śpiewki.

\* \* \*

— Panowie, jeśli zastanawialiście się, czym zasłużyliśmy sobie na frajdę, jaka od kilku dni jest naszym udziałem, oto wyjaśnienie — rzekł kapitan do zgromadzonych w kabinie nawigacyjnej obok mostku. Wyjaśnienia trwały kilka minut. Na biurku kapitana znajdowała się mapa strefy przybrzeżnej z naniesionymi na podstawie zdjęć lotniczych i satelitarnych współrzędnymi wszystkich baterii artylerii przeciwlotniczej. Artylerzyści krążownika właśnie przeglądali te dane. W pobliżu linii brzegowej znajdowało się wiele wzgórz, których szczyty świetnie nadawały się na stanowiska stacji radarowych.

— No tak — westchnął bosman sztabowy artylerzysta, specjalista kierowania ogniem. — Wszystkie, panie kapitanie? Pięcicoalówki też?

Dowódca skinął głową.

— Bosmanie Skelley, jeśli wracając do Subic Bay będziemy mieli w komorze choć jedną sztukę amunicji, sprawi mi pan wielki zawód.

— Kapitanie, proponuję użyć pięcicoalówek z wieży numer trzy do wyrzucenia pocisków oświetlających, a potem, jak długo to będzie możliwe, prowadzić ogień w oparciu o obserwację wzrokową.

W sumie było to zadanie z geometrii. Specjaliści artylerii pokładowej — włączając dowódcę okrętu — pochylili się nad mapami i wkrótce dokonano niezbędnych ustaleń. Obeznani z akcjami tego rodzaju, musieli jedynie uwzględnić fakt, iż tym razem będą działać w nocy.

— Nie zostanie tam żywa dusza, żeby strzelać do naszych śmigłowców, panie kapitanie.

Na biurku dowódcy zadzwonił telefon.

— Tu kapitan.

— Wszystkie cztery kotły pod parą, panie kapitanie. Prędkość marszowa — do trzydziestu, bojowa — trzydzieści trzy.

— Miło usłyszeć, że główny mechanik nie zasypia gruszek w popiele. Doskonale. Załoga na stanowiska bojowe. — Zanim kapitan odłożył słuchawkę, rozdźwięczał się dzwon okrętowy. — Panowie — w głosie kapitana brzmiała pewność siebie — myślę, że piechota morska może liczyć na naszą ochronę. — Dział artyleryjski jego krążownika w niczym nie ustępował załodze USS „Missisipi”. Dwie minuty później kapitan był znów na mostku.

— Panie Shoeman, przejmuję dowodzenie.  
— Kapitan przejął dowodzenie — obwieścił oficer wachtowy.  
— Ster prawo na burt. Przejść na kurs dwa sześć pięć. — Mat Baker zakręcił kołem sterowym. — Jest prawo na burt, panie kapitanie.  
— Świetnie! — skinął głową dowódca. I dorzucił: — Witajcie, płytkie wody!  
— Tak jest, panie kapitanie! — wrzasnął radośnie sternik. Z tego kapitana był facet całkiem do rzeczy, jak na takiego starego piernika.

\* \* \*

W tej fazie operacji najbardziej doskwierają człowiekowi nerwy. Co mogło nawalić? — zapytywał siebie Kelly przyczajony pod szczytem wzgórza. Wiele rzeczy. Śmigłowce mogły zderzyć się w powietrzu, choćby podchodząc do lądowania. Mogły napatoczyć się na nie wykryte stanowisko artylerii przeciwlotniczej i zostać strącone. Drobną usterką, byle uszkodzenie jakiejś uszczelki mogło wywołać katastrofę. A co, jeśli milicja wietnamska zechce dzisiejszej nocy przeprowadzić ćwiczenia? Zawsze było coś, o czym decydował przypadek. Kelly widział akcje, które z najgłupszych, najbardziej nieprawdopodobnych powodów zakończyły się fiaskiem. Dzisiaj to się nie zdarzy, postanowił w duchu. Zbyt wiele trudu włożono w przygotowania. Załogi śmigłowców trenowały intensywnie od trzech tygodni, to samo *marines*. Stalowe ptaki wypieszczono do ostatniej śrubki, w czym pomogli mechanicy z „Ogdena”, którzy wymyślili mnóstwo przydatnych drobiazgów. Całkowite wyeliminowanie ryzyka nie jest możliwe, ale odpowiednie przygotowanie i trening mogą je zminimalizować. Kelly sprawdził broń i skulił się na swoim stanowisku. To nie było to samo, co siedzieć w narożnym domu w zachodniej dzielnicy Baltimore. Ta sprawa miała swoją wagę. Dzięki niej tamto wszystko mógł zostawić za sobą. Na skutek jego błędu, próba ocalenia Pam skończyła się klęską, ale mimo wszystko to, co próbował zrobić, nie było chyba nadaremne. Teraz nie popełnił żadnej pomyłki. Nikt nie popełnił. Chodziło o ocalenie nie jednej, a dwudziestu osób. Rzucił okiem na fosforyzującą tarczę zegarka. Wskazówka sekundnika poruszała się przeraźliwie wolno. Kelly przymknął oczy, jakby w nadziei, że kiedy je otworzy, wskazówka przyspieszy. Ale nie. Nic z tego. Były bosman SEAL rozkazał sobie wziąć głęboki oddech i wrócić do wykonywania zadania. Obecnie polegało to na ułożeniu karabinu na kolanach i skoncentrowaniu się na obrazie widocznym w lornetce. Jego rekonesans zakończy się dopiero wtedy, gdy pierwszy granat z *M-79* wybuchnie na wieży strażniczej. *Marines* liczyli na niego.

\* \* \*

Może w ten sposób pokaże tym facetom z Filadelfii, że jest kimś. Plan Henry'ego nawala i kto bierze sprawę w swoje ręce? Eddie Morello, czyli nie byle kto. Tak myślał, czując, że w miarę posuwania się drogą nr 40 w kierunku Aberdeen, rośnie z minuty na minutę.

Debil, nie potrafi poprowadzić własnej akcji, nie umie znaleźć godnych zaufania ludzi. Mówiłem Tony'emu, że on jest za sprytny, jeśli chodzi o własne interesy; cwaniak — nie poważny biznesmen. O nie, on jest poważny. Poważniejszy niż ty, Eddie. Henry będzie pierwszym czarnuchem przyjętym do rodziny. Zobaczysz. Tony to zrobi. Jak on może? Twój własny kuzyn nie powinien ci zrobić czegoś takiego. To ty skontaktowałeś go z Henrym. Ten cholerny interes nie doszedłby do skutku, gdyby nie ty. Załatwiłeś sprawę, ale nie możesz należeć do rodziny.

— Kurwa! — warknął, zmuszony zatrzymać się przed czerwonym światłem.

Ktoś psuje Henry'emu robotę i kogo proszą, żeby się rozejrzył? Mnie. Jakby Henry sam nie mógł tego sprawdzić. Pewnie nie może, tylko mu się zdaje, że jest taki mądry. I co dalej? On wyraźnie włazi między mnie i Tony'ego.

O to właśnie chodzi, myślał Eddie. Henry chce mnie poróżnić z Piaggim. W ten sam sposób doprowadził do tego, że załatwił Angelo. Angelo, to był jego pierwszy kontakt. On przedstawił go mnie... Ja przedstawiłem go Tony'emu... Tony i ja znaleźliśmy dojsście do Filadelfii i do Nowego Jorku... Angelo i ja byliśmy tylko pośrednikami... On okazał się słaby i dostał po łbie...

Tony i ja jesteśmy drugą parą pośredników...

Jemu tylko o to chodzi, o dojsście do reszty rodziny.

Izoluje mnie od Tony'ego...

Szlag by to strzelił!

Morello wyłowił z kieszeni papierosa i wcisnął zapalniczkę na tablicy swojego kabrioletu. Dach był podniesiony. Eddie lubił słońce i wiatr. Czuł się niczym na morzu, na swojej łodzi do łowienia ryb. Miał także dobrą widzialność. To, że i jego było przez to łatwiej rozpoznać i śledzić — nie przyszło mu do głowy. Obok niego, na podłodze, leżała skórzana dyplomatka. Wewnątrz znajdowało się sześć kilogramów czystej hery. Słyszał, że w Filadelfii naprawdę brakuje towaru, więc niech sami martwią się rozcieńczaniem. Miał to być duży gotówkowy interes. Identyczna dyplomatka wieziona w tej chwili na południe była wypełniona co najmniej dwudziestkami. Dwaj faceci. Nie ma się czym przejmować. To byli zawodowcy, a w grę wchodził długoterminowy interes, korzystny dla obu stron. Nie musiał się martwić, że go wyrolują. Niemniej na wszelki wypadek zabrał sfluwę. Osłonięta wypuszczoną na spodnie koszulą, siedziała za paskiem obok sprzączki, wierząc w brzuch, ale było to najbardziej praktyczne miejsce.

Musisz to sobie przemyśleć, poganiał się w duchu Morello. Sprawa wymagała pilnego wyjaśnienia. Henry manipulował nimi wszystkimi. Manipulował rodziną. Ten brudas próbował ich wszystkich przechytrzyć.

I to mu się udawało. Prawdopodobnie kasował własnych ludzi. Ten kutas przepadał za gnojeniem kobiet, zwłaszcza białych. W tym rzecz, myślał Morello. Oni wszyscy są tacy sami. Choć ten jest dość cwany. Tak, tak, jest cwany, ale nie dość cwany. Jego czas się kończy. Nie będzie trudno wytłumaczyć to wszystko Tony'emu; Eddie był pewien. Załatwi przerzut i jak wróci, umówi się z Tonym na obiad. Będzie spokojny i poważny. Jakby chodził do Harwardu, czy coś w tym rodzaju. Jak jakiś cholerny prawnik. A potem weźmiemy się za Henry'ego i przejmujemy jego robotę. To tylko interes. Jego ludzie nie będą protestować. Siedzieli w tym nie dlatego, że go kochali, ale dla pieniędzy. Jak wszyscy. I kiedy on i Tony przejmą sprawę, Eddie Morello nareszcie zostanie członkiem rodziny.

Wszystko jasne. Morello spojrział na zegarek. Dokładnie o wyznaczonym czasie wjechał na pustawy parking koło jadłodajni. Była to staroświecka buda, przerobiona z wagonu restauracyjnego — tuż obok zaczynały się tereny kolei. Eddie pamiętał swój pierwszy obiad poza domem. Ojciec zabrał go w miejsce podobne do tego. Jedli, przyglądając się przejeżdżającym pociągom. Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Dokończył papierosa i pstryknął niedopałkiem na asfalt.

Na parking wjechał nowy samochód. Niebieski Oldsmobile. W porządku, tak jak było umówione. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Jeden, z dyplomatką w dłoni, ruszył w kierunku Eddiego. Morello nie znał go, ale facet, jak na biznesmena przystało, wyglądał poważnie w swoim eleganckim garniturze. Jak prawnik. Eddie uśmiechnął się w duchu. Starał się nie patrzeć zbyt natarczywie w stronę idącego. Ten drugi został przy samochodzie, przyglądał się, nie wychodząc zza pojazdu. Tak, to byli poważni ludzie. I zaraz się dowiedzą, że Eddie Morello też jest poważnym człowiekiem, pomyślał, kładąc rękę na kolanach, piętnaście centymetrów od ukrytego rewolweru.

— Masz towar?

— A masz pieniądze? — odpowiedział pytaniem Morello. Otworzył dyplomatkę.

— Popełniłeś błąd, Eddie — powiedział nagle tamten.

— Co znaczy, błąd? — Eddie odzyskał nagle czujność. O dziesięć sekund — o jedno życie — za późno.

— To znaczy: do widzenia, Eddie — cicho odparł nieznajomy. Spojrzenie w jego oczy powiedziało Eddiemu wszystko. Sięgnął po broń, ale tamten tylko na to czekał.

— Policja! Nie ruszać się! — krzyknął i niemal jednocześnie pierwszy pocisk trzasnął w odchylony wierzch dyplomatkę.

Eddie zdążył wyciągnąć rewolwer, ale jego strzał poszedł w podłogę samochodu. Gliniarz był o metr od niego i nie mógł chybić. Ten, który go osłaniał,

rzucił się pędem w ich kierunku, zdziwiony, że porucznik Charon nie zdołał obezwładnić faceta trzymając go na muszce. Widział, jak walizeczka leci na bok, a detektyw wyciąga rękę i, niemal przytykając lufę służbowego rewolweru do piersi podejrzanego, strzela mu prosto w serce.

To było takie proste. Przez sekundę czy dwie Morello miał wrażenie, że nareszcie zrozumiał. To wszystko była sprawka Henry'ego. On za tym stał. Morello pojął, że on sam miał tylko doprowadzić Murzyna do Tony'ego. Niczego więcej w życiu nie dokonał. Zważywszy okoliczności, nie było tego dużo.

— Wezwij wsparcie! — zawołał Charon ponad głową umierającego. Schylił się i podniósł rewolwer Eddiego. Minutę później, z piskiem opon wjechały na parking dwa radiowozy policji stanowej.

— Cholerny głupiec! — Minęło kilka minut i Charon rozmawiał ze swoim partnerem, jeszcze rozdygotany po tym, co zrobił. — Sięgnął po broń, zupełnie nie zwracając uwagi, że mam go na muszce.

— Wszystko widziałem — odparł młodszy detektyw. I zdawało mu się, że istotnie tak było.

— Cóż, poruczniku, tak bywa — wtrącił sierżant z policji stanowej. Otworzył walizeczkę, leżącą na podłodze Oldsmobila. — Coś jednak macie.

— Tak — warknął Charon. — Tylko że ten martwy głupek nic już nie może nam powiedzieć.

Była to najprawdziwsza prawda. Niesamowite, pomyślał Charon, niemal rozbawiony ponurym komizmem sytuacji. Właśnie popełnił morderstwo doskonałe, dosłownie na oczach kilku policjantów. Organizacja Henry'ego była teraz bezpieczna.

\* \* \*

Już niedługo. W obozie dokonano zmiany warty. Najwyższa pora. Deszcz padał bez przerwy. Dobrze. Strażnicy na wieżach zajęci byli chowaniem się przed ulewą. Wynudzili się dzisiaj bardziej niż zwykle, a człowiek znudzony przestaje być czujny. Obiekt spowiła ciemność; pogaszono wszystkie światła. Nawet świece w barakach. Kelly wolno, uważnie omiół lornetką cały teren. W jednym z okien budynku zamieszkanego przez oficerów dostrzegł sylwetkę mężczyzny zapatrzonego w deszcz. To chyba ten Rosjanin. A więc to jest twoja sypialnia. Świetnie. Pierwszy granat strzelca numer trzy — nazywał się bodaj kapral Mendez — miał wylądować właśnie w tym oknie. Pieczony Rosjanin.

Żeby już się zaczęło. Chciałbym wziąć prysznic. Mój Boże, ciekawe czy zostało im trochę tego Jacka Danielsa. Mam nadzieję, że tak. Regulamin regulaminem, ale zdarzają się specjalne okazje.



Czuł rosnące napięcie. Nie ze strachu. Zapomniał właściwie o niebezpieczeństwie. Płynąc tutaj, owszem, bał się. Ale teraz wszystko zależało od pilotów śmigłowców. Potem wkroczą *marines*. Jego robota była prawie skończona.

\* \* \*

— Otworzyć ogień — rozkazał kapitan.

Radary „Newport News” zostały włączone dopiero kilka chwil wcześniej. W centrali artyleryjskiej zasiadł nawigator, pomagając artylerzystom w wyznaczaniu odpowiedniej pozycji krążownika na podstawie wskazań radaru skierowanego na punkty orientacyjne na lądzie. Był to może nadmiar ostrożności, ale dzisiejsze zadanie wymagało specjalnego potraktowania. W sumie, radary nawigacyjne i artyleryjskie stacje radiolokacyjne pozwalały obliczyć ich pozycję co do milimetra.

Pierwsze odezwały się pięciocalówki z wieży na lewej burcie. Ostre szczęknięcie podwójnych armat było bardzo niemiłe dla uszu, ale ich wystrzałom towarzyszyło zjawisko nie pozbawione swoistego piękna. Wokół wylotów luf, na kilka milisekund pojawiał się falujący krąg ognia. Niczym żółty wąż, goniący za własnym ogonem. Trwało to przez mgnienie i ogień gasł. W odległości sześciu tysięcy metrów rozbłysła pierwsza para pocisków oświetlających i to samo żółte, metaliczne światło, które przed chwilą zdobiło wyloty luf, zalało północnowietnamską ziemię. W jego blasku wilgotna zieleń krajobrazu przybrała pomarańczowy odcień.

— Wygląda mi na stanowisko armat 57 mm. Widać nawet obsługę baterii.

Dalmierz na Stanowisku I był już ustawiony we właściwym kierunku. Przy świetle nie było to trudne. Bosman Skelley pieczołowicie wyregulował ostrość. Dane o odległości niezwłocznie powędrowały do centrali. Dziesięć sekund później zagrzmiała salwa ośmiu dział krążownika. Po następnych piętnastu sekundach stanowisko wietnamskiej artylerii przeciwlotniczej zniknęło w chmurze pyłu i ognia.

— W celu pierwszą salwą, Cel Alfa zniszczony. — Z dołu dobiegł bosmana rozkaz ustawienia się na kolejny cel. Podobnie jak kapitan, wkrótce wybierał się na emeryturę. Może razem otworzą sklep z bronią?

\* \* \*

Objuczeni ekwipunkiem *marines* maszerowali dwójkami w kierunku rufy. Przyglądała się temu dość liczna grupa marynarzy. Albie i Irving liczyli dwójki w wejściu na platformę lotniczą, gdzie czekały na nich śmigłowce.

Jako ostatni w szeregu marynarzy stali Maxwell i Podulski. Obaj w swoich najstarszych, najbardziej zniszczonych mundurach polowych, które wkładali tylko dowodząc na morzu, a z którymi wiązała się moc dobrych wspomnień i moc przynoszenia szczęścia. Admirałowie także ulegają przesądom. Po raz pierwszy *marines* zobaczyli, że błądy admirał — tak nazywali go w myślach — posiada Kongresowy Medal Honoru. Baretki na mundurze przyciągały spojrzenia żołnierzy; niektórzy z szacunkiem skłaniali głowy, na co odpowiadał z napiętym wyrazem twarzy.

— Wszyscy gotowi, kapitanie? — zapytał Maxwell.

— Tak jest, panie admirale. — Mimo zdenerwowania, głos Albiego brzmiał spokojnie. — Do zobaczenia za jakieś trzy godziny.

— Pomyślnych łowów. — Maxwell wyprostował się sztywno i oddał honory młodszemu mężczyźnie.

— Wygląda naprawdę imponująco — odezwał się Ritter. On także włożył ubiór khaki, żeby nie wyróżniać się spośród innych oficerów. — Dobry Boże, żeby im się tylko udało!

— Taak — westchnął James Greer w chwili, gdy okręt wykonał zwrot, ustawiając się pod wiatr. Kierowane przez marynarzy pokładowych z latarkami, transportowce *Sikorsky*, jeden po drugim podrywały się w powietrze, wyrównywały i kierowały się na zachód, ku lądowi i czekającej je misji. — Teraz wszystko w ich rękach.

— To dobre chłopaki, James — mruknął Podulski.

— Ten Clark też robi wrażenie. Niegłupi facet. — Odezwał się znowu Ritter. — Czym on się zajmuje na codzień?

— O ile wiem, aktualnie jest kimś w rodzaju emeryta. Bo co?

— U nas zawsze znajdzie się miejsce dla faceta, który potrafi szybko myśleć. Niegłupi chłopak — powtórzył Ritter. Pozostali zawrócili w kierunku Bojowego Centrum Informacyjnego. Na pokładzie zostały załogi szturmowców *Cobra*, kończące przygotowywanie maszyn do lotu. Miały wystartować za czterdzieści pięć minut.

\* \* \*

— Świerszcz do Węża. Realizacja według ustalonego czasu. Potwierdzić.

— Robi się — mruknął Kelly. Trzykrotnie, w długich odstępach, kliknął mikrofonem. W odpowiedzi usłyszał dwa kliknięcia. „Ogden” zawiadomił go właśnie, że rozpoczęto realizację zadania i odnotował jego potwierdzenie. Dwie godziny do wolności, chłopaki, w myślach przesłał wiadomość uwięzionym Kelly. Nadchodzące wypadki miały być o wiele mniej radosne dla pozostałych mieszkańców obozu, ale to akurat nie psuło mu humoru.

Zjadł ostatnią tabliczkę koncentratu, a opakowania i inne śmieci poupychał po kieszeniach kombinezonu. Było już tak ciemno, że mógł opuścić swoją kryjówkę w zaroślach. Nieco na oślep starał się zatrzeć ślady swojej obecności w tym miejscu. Podobna operacja mogła się kiedyś powtórzyć, po co więc ułatwiać przeciwnikowi zrozumienie jej mechanizmu. Rosnące napięcie sprawiło, że w pewnym momencie nie mógł już zapanować nad potrzebą oddania moczu. Dziwne, ale poczuł się jak mały chłopiec, chociaż w reakcji jego organizmu nie było nic dziwnego, bo od rana wypił prawie dwa litry wody.

Pół godziny lotu do pierwszej strefy lądowania, dalsze trzydzieści minut na dotarcie do celu. Kiedy obejdą pierwsze wzgórze, nawiążę z nimi kontakt i doprowadzę do samego obiektu. Żeby już się zaczęło!

\* \* \*

— Przenoszę ogień w prawo. Cel Hotel w zasięgu wzroku — meldował Skelley. — Odległość... dziewięć-dwa-pięć-zero.

Znów zagrzmiały działa. Jedna z wietnamskich baterii armat kalibru 100 mm otworzyła ogień do krążownika. Jej obsługa, widząc jak „Newport News” systematycznie unicestwia resztki ich batalionu artylerii przeciwlotniczej, niezdolna porzucić swoich dział, próbowała odgryzać się, żeby przynajmniej zakosztować krwi tego monstrum, które ziało ogniem nieopodal lądu.

— Są śmigłowce — zawołał oficer dyspozycyjny ze swego stałego posterunku w Bojowym Centrum Informacyjnym. Świecące punkty na ekranie głównego radaru przecięły linię brzegową dokładnie w miejscu, gdzie niedawno znajdowały się cele Alfa i Bravo. Oficer sięgnął po telefon.

— Tu kapitan.

— Melduje się zastępca, panie kapitanie. Śmigłowce są już nad lądem. Poszły akurat zrobionym dla nich korytarzem.

— Doskonale. Przygotować się do przerwania ognia. Pilnujcie dobrze tego radaru.

— Tak jest.

— Rany boskie — odezwał się jeden z radarzystów. — Co tam się dzieje?

— Jak to co? Najpierw obłożyliśmy im dupę ogniem — oznajmił jego sąsiad — a teraz robimy na nią inwazję.

\* \* \*

Już tylko minuty zostały do wylądowania *marines*. Deszcz nie ustawał, chociaż wiatr wyraźnie osłabł.

Kelly wyszedł na odkryty teren. Nic mu tu nie groziło, bo bujne zarośla za plecami uniemożliwiały wypatrzenie go na tle nieba. Maskujący kombinezon i farba na twarzy sprawiały, że doskonale wtapiał się w otoczenie. Rozglądał się gorączkowo, szukając czegoś odbiegającego od normy, czegoś, co wieściłoby niebezpieczeństwo — i niczego nie znajdował. Grunt zrobił się niesamowicie grząski. Mokra, czerwona glina tych nieszczęsnych wzgórz, zdawała się poprzez mundur wnikać w głąb jego ciała.

Mają jeszcze dziesięć minut do rejonu lądowania. Od strony wybrzeża wciąż jeszcze sporadycznie dobiegały dudniące dźwięki. Trwało to już tak długo, że tym bardziej nie powinno wzbudzać niepokoju. Teraz naprawdę przypominało odległy grzmot i tylko Kelly wiedział, że to ośmiocalowe działa krążownika. Usiadł na ziemi, oparł łokcie na kolanach i skierował lornetkę na obóz. Bez zmian: żadnych świateł, żadnego ruchu. Byli zupełnie nieświadomi pędzącej ku nim śmierci. Całkowicie pochłonięty obserwowaniem obiektu, Kelly niemal zapomniał nadstawić zarazem uszu.

Odległy warkot był ledwo słyszalny poprzez monotony szmer deszczu. Basowy pomruk nie cichł jednak, lecz przybierał na sile. Kelly opuścił lornetkę, podniósł głowę, obrócił ją nieco i jął nasłuchiwać z otwartymi ustami, próbując rozpoznać obce dźwięki.

Silniki.

Ciężarówki. To nic, niedaleko była przecież droga... nie, główna droga jest za daleko... w innym kierunku.

Może to wóz z zaopatrzeniem? Wiezie żywność i pocztę.

To nie jest jeden wóz.

Kelly wgramolił się na szczyt wzgórza i oparty o drzewo skierował wzrok w miejsce, gdzie od biegnącej wzdłuż północnego brzegu rzeki szosy, odchodziła gruntowa droga wiodąca do obozu. Coś tam się poruszało. Podniósł lornetkę.

Ciężarówki... dwie... trzy... cztery... rany boskie!

Pojazdy miały włączone światła — w osłonach reflektorów widniały tylko wąskie szczeliny. A zatem to wozy wojskowe. Lampy drugiego w szeregu oświetlały nieco jadący przed nim. Ludzie na skrzyni, siedzący po bokach.

Żołnierze.

Czekaj Johnnie, nie panikuj. Nie śpiesz się... może...

Konwój okrążył podstawę Wzgórza Węża. Strażnik na jednej z wież zakrzyknął, ktoś inny przekazał wiadomość dalej. W baraku oficerskim zapłonęło światło. Na placu pojawiła się jakaś postać — chyba major — nie ubrany, wykrzykiwał pytania pod adresem strażników.

Pierwszy samochód zatrzymał się przed wjazdem; ktoś wrzeszcząc domagał się otwarcia bramy. Za pierwszą zahamowała kolejna ciężarówka. Ze skrzyń wysypali się żołnierze. Kelly liczył: dziesięciu... dwudziestu... trzydziestu... Jeszcze... Ale mniejsza o ich liczbę. Ważniejsze, co robili...

Opuścił głowę i zamknął oczy. Nie mógł na to patrzeć. Dlaczego los się na niego uwziął? Niech by to się wreszcie skończyło. Tyle, że nie chodziło tylko o jego życie. Zawsze tak było, jak zawsze odpowiadał także za innych.

Kelly sięgnął po radio i przesunął włącznik.

— Wąż wzywa Świerszcza, odbiór.

Nic.

— Wąż wzywa Świerszcza, odbiór.

\* \* \*

— Jakaś wiadomość? — zapytał Podulski.

Maxwell sięgnął po mikrofon.

— Dowódca Świerszcza do Węza. Co chcesz przekazać? Odbiór.

— Odwołać akcję. Odwołać akcję... Potwierdzić odbiór — popłynęło z głośnika.

\* \* \*

— Powtórz, Wąż. Powtórz.

— Odwołać akcję. — Kelly niemal krzyczał, zapominając o własnym bezpieczeństwie. — Powtarzam, odwołać akcję. Natychmiast potwierdzić odbiór.

Minęło kilka sekund.

— Przyjąłem polecenie odwołania akcji. Potwierdzam. Akcja odwołana. Pozostań na nasłuchu.

— Roger, zostaję na nasłuchu.

\* \* \*

— Co się dzieje? — dopytywał się major Vinh.

— Otrzymaliśmy informację, że Amerykanie mogą zaatakować wasz obóz. — Przybyły oficer w stopniu kapitana obejrzał się w kierunku swoich ludzi. Sprawnie rozwinęli się w szyk bojowy, połowa ruszyła ku pobliskim drzewom, reszta rozlokowała się wzdłuż wewnętrznej strony ogrodzenia, natychmiast po zajęciu stanowisk przystępując do okopywania się. — Towarzyszu majorze, mam rozkaz dowodzenia obroną do czasu przybycia dodatkowych jednostek. Towarzysz major ma niezwłocznie odstawić swojego rosyjskiego gościa do Hanoi. Dla bezpieczeństwa.

— Ale...

— Rozkazy pochodzą bezpośrednio od generała Giapa.

To załatwiało sprawę. Vinh wrócił do swojego pokoju i zaczął się ubierać. Sierżant poszedł obudzić kierowcę.

\* \* \*

Kelly'emu nie pozostało nic innego, jak kontynuować obserwację. Czterdziestu pięciu ludzi, może więcej. Trudno było ich policzyć, bo znajdowali się w ciągłym ruchu. Obsługa karabinów maszynowych kopała rowy na stanowiska strzeleckie. W stronę lasu ruszyli zwiadowcy. Stwarzało to dla Kelly'ego bezpośrednie zagrożenie, ale jeszcze czekał. Musiał upewnić się, że podjął właściwą decyzję, że nie uległ panice, nie stchórzył.

Dwudziestu pięciu przeciwko pięćdziesięciu, działając planowo i z zaskoczenia, mogło sobie poradzić, bez problemu. Dwudziestu pięciu przeciw stu, bez przewagi, jaką daje zaskoczenie... beznadziejna sprawa. Postąpił słusznie. Nie było powodu dodawać kolejnych dwudziestu pięciu nazwisk do listy poległych w tej wojnie. Takiego błędu nie mógł wziąć na swoje sumienie, ani śmierci tych ludzi.

\* \* \*

— Wracają śmigłowce. Tą samą drogą, którą poszły w tamtą stronę — zameldował radarzysta.

— Za szybko — orzekł dyspozycyjny.

\* \* \*

— Do diabła, Wściekły! Co teraz...?

— Akcja odwołana, Kaz — powiedział Maxwell, nie odrywając wzroku od stołu nawigacyjnego.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ tak zdecydował pan Clark — odpowiedział Ritter. — On jest naszymi oczami. On decyduje, czy dać sygnał do ataku, czy do odwrotu. Przecież sam pan o tym wie, admirale. Niemniej, wciąż mamy tam swojego człowieka, panowie. Nie zapominajmy o tym.

— Mamy tam nie jednego, a dwudziestu ludzi.

— To prawda, ale tylko jeden z nich ma dziś wrócić. A i to, o ile będziemy mieli szczęście.

Maxwell podniósł wzrok na kapitana Franksa.

— Ruszajmy w stronę wybrzeża. Tak szybko, jak to możliwe.

— Tak jest, panie admirale.

\* \* \*

— Do Hanoi? A to dlaczego?

— Ponieważ otrzymaliśmy takie rozkazy. — Vinh raz jeszcze przebiegł wzrokiem dostarczoną przez kapitana wiadomość. — Wygląda na to, że Amerykanie postanowili nas odwiedzić. Mam nadzieję, że się nie rozmyślą. To miejsce nie będzie dla nich drugim Song Tay.

Informacja o planowanej akcji nie zrobiła na pułkowniku Griszanowie specjalnego wrażenia. Ale wizyta w Hanoi, nawet niespodziewana, stwarzała szansę odwiedzenia ambasady.

— Pozwoli pan, że się spakuję, majorze.

— Tylko proszę się pośpieszyć — odburknął mały Wietnamczyk, zastanawiając się, czy ta delegacja do Hanoi nie była karą za jakieś przewinienie.

Mogło być gorzej. Griszanow pobierał swoje notatki i włożył je do plecaka. Miał teraz wszystko — całość rezultatów swojej pracy — Vinh był uprzejmy zrezygnować ze swoich roszczeń. Podrzuci te papiery generałowi Jakowlewowi. Mając takiego sprzymierzeńca i takie argumenty, miał szansę pomyślnie rozwiązać sprawę pozostawienia jeńców przy życiu. Nie ma tego złego... — pomyślał, przypominając sobie angielskie powiedzenie.

\* \* \*

Słyszał, jak nadchodzą. Jeszcze byli daleko, poruszali się niezbyt sprawnie — pewnie zmęczeni — ale zbliżali się.

— Wąż do Świerszcza, odbiór.

— Słyszemy cię, Wąż.

— Wycofuję się. Na moim wzgórzu są ludzie, idą w moją stronę. Będę się przemieszczał na zachód. Czy możecie wysłać po mnie śmigłowiec?

— Zgoda. Bądź ostrożny, synu. — To był głos Maxwella. Brzmiał w nim niepokój.

— Ruszam natychmiast. Bez odbioru,

Kelly wsunął radiotelefon do kieszeni i wspiął się na szczyt wzgórza. Jeszcze raz rzucił okiem na obóz, porównując aktualny obraz z tym, co widział wcześniej.

Najszybciej poruszam się w ciemnościach, powtórzył w myślach. Słyszał głosy zbliżających się wietnamskich żołnierzy. Poszukał wzrokiem prześwitu w gęstwinie listowia i ruszył w dół zbocza.

## 30 — Podróż bez biletu

Dla wszystkich było jasne, że sprawy wzięły zły obrót. Śmigłowce ratownicze wróciły na „Ogdena” w niecałą godzinę po odlocie. Jeden natychmiast odtoczono na bok. Drugi, dowodzony przez starszego pilota, uzupełniał paliwo. Kapitan Albie wyskoczył z maszyny ledwie jej koła dotknęły pokładu. Natychmiast pobiegł do nadbudówki, gdzie oczekiwał go zespół dowodzenia. Po drodze zdążył się zorientować, że „Ogden” pełną parą zmierza w kierunku wybrzeża. Przygnębieni *marines* ze spuszczoneymi głowami gramolili się z helikopterów, w milczeniu rozładowywali broń.

— Co się stało? — dopytywał się Albie.

— Clark odwołał akcję. Wiemy tylko tyle, że wycofał się ze swojego wzgórza. Powiedział, że pojawili się tam jacyś ludzie. Spróbujemy go stamtąd wyciągnąć. Jak pan sądzi, dokąd on teraz pójdzie? — zapytał Maxwell.

— Będzie szukał miejsca, gdzie może wylądować śmigłowiec. Spójrzmy na mapę.

\* \* \*

Gdyby Kelly miał odrobinę czasu na refleksję, musiałby dojść do wniosku, że prawdą jest, iż „fortuna kołem się toczy”. Ale nie miał czasu. Gra, w której stawką jest przeżycie, pochłania człowieka bez reszty, a tak się składało, że Kelly taką i tylko taką grę właśnie prowadził. Na pewno nie była ona nudna, a przy odrobinie szczęścia mógł też liczyć na powodzenie. Załoga obozu nie była jeszcze tak liczna, by zabezpieczyć obiekt przed każdym atakiem. Jak na razie nie byli więc w stanie dokładnie patrolować przedpola. Jeśli obawiali się akcji w rodzaju tej w Song Tay, będą się starali maksymalnie skoncentrować swoje siły. Ustawią obserwatorów na szczytach wzgórz i to prawdopodobnie wszystko, przynajmniej w tej chwili. Szczyt Wzgórza Węża został już około pięciuset metrów za plecami Kelly’ego. Mógł zwolnić, odetchnąć trochę i uspokoić się — zdyszany z wysiłku i ze strachu. Osłonięty grzbietem drugiego wzgórza przystanął i wsłuchał się w głosy dobiegające z tyłu; głosy, nie szelest zarośli. W porządku, zatrzymali się. Znaczyło to, że prawidłowo ocenił sytuację. W najbliższym czasie przybędą pewnie dalsze oddziały, ale on powinien być już wtedy daleko stąd.



Żeby tylko przystali ten śmigłowiec.

Przyjemnie było móc o tym pomyśleć.

Bywałeś już w gorszych tarapatach — odezwała się pewność siebie.

Kiedy, mianowicie? — drażył pesymizm.

Jedynym sensownym rozwiązaniem, to odskoczyć na możliwie dużą odległość od stanowisk wroga, a potem znaleźć coś w rodzaju lądowiska, dokąd będzie mógł sprowadzić śmigłowiec. Nie było powodu do paniki, ale nie mógł też za bardzo marudzić. Rano Wietnamczycy otrzymują pewne posiłki, a jeśli ich dowódca zna się na robocie, będzie chciał się upewnić, czy w okolicy nie ma amerykańskich zwiadowców. Jeśli nie wydostanie się stąd do świtu, jego szanse opuszczenia kiedykolwiek tego kraju znacznie zmaleją. Trzeba iść. Do świtu zostały cztery godziny. Helikopter dotrze tu w ciągu, mniej więcej, trzydziestu minut. Miał więc dwie, trzy godziny na szukanie lądowiska i nawiązanie łączności z „Ogdenem”. Nie powinno to przedstawiać specjalnych trudności. Rejon wokół ZIELENIAKU znał z fotografii lotniczych. Rozglądał się przez chwilę, chcąc ustalić swoje położenie. Najbliższy wolny od zarośli obszar znajdował się dokładnie przed nim, po drugiej stronie biegnącej łukiem drogi. Dotarcie tam wiązało się z pewnym ryzykiem, ale możliwym do przyjęcia. Poprawił oporządzenie, tak żeby mieć łatwiejszy dostęp do zapasowych magazynków. Najbardziej przerażała go perspektywa dostania się do niewoli, znalezienia się na łasce ludzi, takich jak ci z PLASTIKOWY KWIAT. Niemożność stawiania oporu równała się utracie możliwości decydowania o swoim życiu. Coś szeptało mu w głębi duszy, że śmierć jest lepsza niż to. Walczyć, nawet jeśli nie miało się żadnych szans, to nie samobójstwo. Dobrze. Tę decyzję miał przynajmniej z głowy. Ruszył przed siebie.

\* \* \*

— Wywołać go? — zapytał Maxwell.

— Nie, nie teraz — Albie pokręcił głową. — To on nas wywoła. Clark jest w tej chwili bardzo zajęty. Dajmy mu spokój.

Do pomieszczenia Bojowego Centrum Informacyjnego wszedł bosman Irving.

— Co z Clarkiem?

— Bierze nogi za pas — odpowiedział mu Albie.

— Wezmę kilku ludzi i zabierzemy się śmigłowcem ratowniczym, jako osłona. W porządku? — Bosman nie miał wątpliwości, że będą próbować wywieźć Clarka. Żadnemu *marines* nie mieściło się w głowie, że można zostawić któregoś ze swoich bez pomocy.

— To moja robota, Irving — rzekł Albie.

— Lepiej by było, gdyby pan koordynował akcję, kapitanie — zauważył Irving. — Strzelać może każdy.

Maxwell, Podulski i Greer nie wtrącali się do rozmowy zawodowców, przysłuchiwali się tylko, mając świadomość, że ci dwaj najlepiej wiedzą, co należy robić. Dowódca oddziału *marines* musiał uznać wyższość racji swojego podoficera.

— Bierz, co ci potrzebne. — Albie spojrzał na Maxwella. — Panie admirale, chciałbym, żeby pierwszy ratowniczy wystartował natychmiast.

Zastępca dowódcy Operacji Powietrznych Marynarki USA zdjął z głowy słuchawkę z mikrofonem i wręczył ją dwudziestoosmioletniemu oficerowi. Tym samym przekazał mu faktyczne dowództwo końcowej fazy i tak już nieudanej operacji. W ten sposób kariera „Wściekłego” Maxwella dobiegła końca.

\* \* \*

Możliwość działania pozwalała zapomnieć o strachu, dawała Kelly’emu poczucie panowania nad sytuacją, decydowania o sobie. Wiedział, że to wrażenie było złudne, ale jego ciało reagowało przyływem energii na aktywność i tak było lepiej. Dotarł do stóp wzgórza, zarośla były tu gęstsze niż na zboczu. Znalazł to miejsce. Dokładnie po przeciwnej stronie drogi znajdował się szmat otwartego terenu, jakaś łąka, czy może stare rozlewisko rzeczne. Powinno wystarczyć. Niczego nadzwyczajnego nie potrzebował. Pośpiesznie sięgnął po radiotelefon.

— Wąż do Świerszcza, odbiór.

— Tu Świerszcz. Słyszemy cię, jesteśmy gotowi. Clark meldował zdyszonym, przerywanym głosem:

— Na zachód od mojego wzgórza, za drogą, około trzech kilometrów od obiektu; otwarty teren. Jestem niedaleko. Wyślijcie śmigłowiec. Mogę sygnalizować swoją pozycję stroboskopem podczerwonym.

Albie spojrzał na mapę, potem na zdjęcia lotnicze. W porządku. Wyglądało to nieźle. Wskazał palcem miejsce na mapie i podoficer kontroli lotów natychmiast przekazał wiadomość dowódcy śmigłowca. Albie zwlekał z odpowiedzią, czekając na potwierdzenie rozpoczęcia akcji.

— Roger, przyjąłem. Pierwszy ratowniczy jest już w powietrzu. Czas dolotu dwadzieścia.

— Odebrałem. — Albie wyraźnie słyszał ulgę w głosie Clarka. — Będę gotowy. Bez odbioru.

\* \* \*

Dzięki ci, Boże.

Już bez pośpiechu, jak najciszej, Kelly przedzierał się w kierunku drogi. Jego drugi pobyt w Wietnamie powinien okazać się krótszy niż poprzedni. Tym razem

nie musiał płynąć, żeby się stąd wydostać. Po tym, co przeszedł w drodze do celu, może przynajmniej teraz nie będzie chorował od wody w tej przeklętej rzece. Napięcie jednak go nie opuściło. Jakby na zamówienie, deszcz przybrał na sile, tłumiąc dźwięki i ograniczając widzialność. Bardzo dobrze. Może Bóg, los, czy kto tam, rządzący tym bałaganem, mimo wszystko jeszcze go nie przeklął. Zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od drogi i jął się rozglądać. Nikogo. Postanowił zaczekać kilka minut, odpocząć i uspokoić się. Nie było sensu śpieszyć się z wyjściem na otwartą przestrzeń; znajdował się w końcu na terytorium wroga. Niczym dziecko swoją maskotkę, ścisnął w dłoniach karabin, zmuszał się, by oddychać głęboko i powoli, czekając, aż uspokoi się rytm uderzeń serca. Po chwili czuł się mniej więcej normalnie. Mógł ruszyć!

\* \* \*

Co za drogi, myślał Griszanow, gorsze nawet niż w Rosji. Jechali jakimś francuskim samochodem, dość dziwnym, ale całkiem sprawnym. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kierowca. Major Vinh sam powinien był zasiąść za kierownicą. Jako oficer, prawdopodobnie wiedział, jak się prowadzi samochód. Ale ten idiota uważał, że nie przystoi to jego randze. Kierowcą został więc jego ordynans — mały, niechlujny wieśniak, który prawdopodobnie nie radził sobie z niczym bardziej skomplikowanym niż zaprzęg wołów. Wóz ślizgał się, tańczył na błocie. Griszanow zamknął oczy. Siedział z tyłu, trzymając plecak na kolanach. Lepiej nie patrzeć, bo tylko się człowiek nadenerwuje. Przypominało to lot w trudnych warunkach atmosferycznych; dla pilota to żadna przyjemność. Zwłaszcza, kiedy ktoś inny siedzi za sterami.

\* \* \*

Na skraju drogi rozejrzał się jeszcze raz. Wyteżył słuch, próbując złowić odgłos silnika ciężarówki. Tego bał się najbardziej. Ale nie. Cisza. I dobrze — za jakieś pięć minut pojawi się śmigłowiec. Podniósł się i sięgnął lewą ręką po przytroczoną z tyłu do pasa stroboskopową lampę sygnałową na podczerwień. Wchodząc na drogę patrzył w lewo, tam, skąd mogły nadjechać ciężarówki z posiłkami dla załogi obozu.

Do diabła!

Tym razem nadmierna koncentracja obróciła się przeciwko niemu. Warkot nadjeżdżającego samochodu, ślizgającego się na błotnistej powierzchni, był dziwnie podobny do naturalnych odgłosów tej deszczowej nocy. Nim Kelly wychwycił różnicę, było już za późno. W chwili, gdy wóz wyłonił się zza zakrętu, znajdował się dokładnie na środku drogi, niczym jeleni pochwycony w strumień światła reflektorów. Kierowca nie mógł go nie widzieć. Kelly zareagował odruchowo.

Poderwał karabin i posłał krótką serię w szybę po stronie kierowcy. Przez chwilę samochód jechał, nie zmieniając kierunku. Następna seria poszła w kierunku miejsca dla pasażera na przednim siedzeniu. Wóz skręcił i trzasnął w przydrożne drzewo. Wszystko to trwało nie więcej niż trzy sekundy. Po przerażająco długiej przerwie, serce Kelly'ego znów zaczęło bić. Puścił się biegiem w stronę pojazdu. Musiał sprawdzić, kogo zabił.

Kierowca, z dwiema kulami w głowie, przy zderzeniu z drzewem wyleciał przez przednią szybę. Kelly szarpnął drzwi od strony pasażera. Był nim... major! Również trafiony w głowę, chociaż nie tak skutecznie jak kierowca; jego czaszka po prawej stronie była otwarta, ale ciało wciąż drżało. Kelly wyciągnął ranego z pojazdu i przyklęknął, by go obszukać. Wtedy posłyszał jęk dochodzący z tylnego siedzenia. Rzucił się do środka i znalazł jeszcze jednego mężczyznę — Rosjanina! — leżącego na podłodze za oparciami foteli. Jego również wytaszczył na drogę. Rosjanin ścisnął w rękach wojskowy plecak.

Postępowanie Kelly'ego było najzupełniej rutynowe, jak odruchowa reakcja na początku strzelaniny. Uderzeniem kolby pozbawił Rosjanina przytomności i wrócił do przeszukiwania munduru majora. Wszystkie dokumenty i papiery mogące mieć wartość wywiadowczą poupychał po kieszeniach. Wietnameczyk patrzył na niego jedynym nienaruszonym okiem.

— Życie potrafi być paskudne, wiem — chłodno stwierdził Kelly, kiedy oko ranego ostatecznie znieruchomiało.

— A co, do diabła, zrobić z tobą? — zapytał, spoglądając na leżącego bez czucia Rosjanina. — Zdaje się, że to ty jesteś tym facetem, który dawał w kość naszym chłopakom. — Klęknął, otworzył plecak i na samym wierzchu znalazł plik papierów. Wystarczył rzut oka na zawarte w nich notatki, by Kelly pozbył się wątpliwości, co do celu obecności Rosjanina w obozie. Sowiecki pułkownik osobiście był chwilowo niezdolny do udzielania jakichkolwiek wyjaśnień.

Myśl szybko, John. Śmigłowiec jest już niedaleko.

\* \* \*

— Widzę sygnał! — zawołał drugi pilot.

— Podchodzimy jak najbliżej. — Pilot prowadzący *Sikorsky'ego* wyciskał co się dało z silników swojej maszyny. W odległości dwustu metrów od łąki ostro ściągnął drążek skoku okresowego, gwałtownie zadzierając nos śmigłowca pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co powstrzymało jego ruch do przodu. Było to wykonane istotnie doskonale, bo helikopter wyrównał nie dalej jak pół metra od w migającej podczerwieni lampy sygnałowej. Zawisł sześćdziesiąt centymetrów nad ziemią, szarpany podmuchami powietrza spod łopat wirnika. Oficer Marynarki pilotujący śmigłowiec był zbyt zajęty, z całych sił starając się utrzymać maszynę w bezruchu, by szybciej zareagować na to, co widziały jego oczy.

— Czy mi się zdawało, że tam było dwóch ludzi? — rzucił do mikrofonu.

— Już, już, jazda! — zabrzmiał w interkomie inny głos. — Spokój na pokładzie! Odjazd!

— No to zabieramy się stąd, do jasnej cholery! — Pilot szarpnął dźwignią zespoloną zwiększając wysokość i kopnął pedał steru. Śmigłowiec opuścił nos i z rosnącą prędkością zawrócił w stronę rzeki. Czy przypadkiem nie mieliśmy zabrać jednej osoby? — pomyślał jeszcze pilot. Mniejsza z tym. Miał teraz co innego do roboty — do morza było ponad pięćdziesiąt kilometrów krętej, najeżonej niebezpieczeństwami drogi.

— A to co za palant? — zapytał Irving.

— Autostopowicz! — zawołał Kelly poprzez huk silników. Pokręcił głową — wyjaśnienia trwałyby zbyt długo, można było z tym poczekać. Irving zrozumiał jego gest. Wyciągnął ku niemu swoją manierkę, Kelly opróżnił ją, nie odrywając naczyń od ust. Potem zaczął się trząść. Na oczach załogi śmigłowca i pięciu *marines* Kelly dygotał, niczym człowiek zagubiony w lodach Arktyki, kulił się, obejmował ramionami, przyciskając do piersi karabin, aż Irving wyjął mu go z rąk i rozładował. Z broni niedawno strzelano. Do kogo i w jakich okolicznościach miał się dowiedzieć później. Boczni strzelcy nie odrywali wzroku od płynącej zielonym kanionem rzeki, której kręta wstęga przesuwała się niespełna trzydzieści metrów pod kadłubem śmigłowca. Wbrew temu, czego oczekiwali, nic się nie zdarzyło — jeszcze raz tej nocy wypadki potoczyły się w sposób niezgodny z wszelkimi przypuszczeniami. Wszyscy chcieli wiedzieć, dlaczego akcja się nie udała. Odpowiedź na to pytanie znał jedynie człowiek, którego zabrali właśnie na pokład helikoptera. Ale kim, u diabła, był ten drugi? I czy to, co miał na sobie, to przypadkiem nie rosyjski mundur? Dwaj *marines* usadowili się w pobliżu nieznanego. Jeden z nich związał mu ręce. Inny zasnurował klapę plecaka.

\* \* \*

— Tu pierwszy ratowniczy, przekroczyliśmy linię brzegową. Mamy Węża na pokładzie, odbiór.

— Pierwszy ratowniczy, tu Świerszcz. Przyjąłem. Pozostaję na nasłuchu. Koniec. — Albie podniósł głowę znad radiostacji. — No, udało się.

Podulski najgorzej przyjął wiadomość o fiasku operacji. ZIELONA SKRZYNKA to od początku był jego pomysł. Gdyby wypalił, wszystko mogło się zmienić. Droga do planu stałaby otworem, kto wie, czy nie zmieniłoby to obrazu wojny — może okazałoby się, że śmierć jego syna nie była daremna. Admirał przebiegł wzrokiem twarze obecnych w centrum dowodzenia. Był niemal gotów zapytać, czy nie mogliby spróbować jeszcze raz; wiedział jednak, że to nie miało sensu. Klęska. To gorzkie słowo i jakże gorzka była jej świadomość dla kogoś, kto służył swojej przybranej ojczyźnie od niemal trzydziestu lat.

\* \* \*

— Ciężki dzień, co? — spytał Allen.

Porucznik Mark Charon był zadziwiająco wesoły jak na człowieka, który miał za sobą paskudną w skutkach strzelaninę i niemal równie paskudne, drobiazgowo przesłuchanie.

— Cholerny głupiec. Nie musiało się tak stać — odrzekł. — Przypuszczam, że nie uśmiechało mu się mieszkanie na Falls Road — dodał.

Porucznik z Wydziału Narkotyków myślał o marylandzkim więzieniu stanowym, którego ponury gmach, położony w śródmieściu Baltimore, jego lokatorzy nazywali „zamkiem Frankensteina”.

Allen nie musiał mu wiele tłumaczyć. Procedury związane z takim incydentem były jednoznaczne. Charon zostanie urlopowany na dziesięć dni roboczych, a w tym czasie Wydział Wewnętrzny ustali, czy użycie broni nie było sprzeczne z oficjalnymi wytycznymi w sprawie stosowania „środków ostatecznych”. W gruncie rzeczy — dwutygodniowe płatne wakacje, jeśli pominąć możliwość dodatkowych przesłuchań, w tym wypadku mało prawdopodobną, jako że całe zdarzenie widziało kilku funkcjonariuszy — jeden z odległości paru metrów.

— Znam tę sprawę, Mark — powiedział Allen. — Byłem na wstępnym przesłuchaniu. Wygląda na to, że wyjdiesz czysty. Nie było sposobu, żeby go spacyfikować?

Charon potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Nie krzyknąłem, ani nic, dopóki myślał, że chodziło o interes. Staralem się wzbudzić jego zaufanie, wiesz, uspokajałem go, nie? Ale wtedy on wykreślił ten numer. Eddiego Morello zabiła jego własna głupota — zauważył porucznik, beznamiętnie konstatuując fakt, że była to szczerą prawdą.

— Stało się, nie mam zamiaru płakać z powodu śmierci jakiegoś ćpuna. A tak w ogóle, mamy dziś dobry dzień, Mark.

— No, a co tam? — Charon usiadł i wygrzebał papierosa.

— Miałem dziś telefon z Pittsburgha. Zdaje się, że jest świadek morderstwa przy fontannie, tego, którym zajmuje się Em i Tom.

— Coś takiego! To dobra wiadomość. Co wiemy?

— Jest ktoś, kto widział, jak to się stało z Madden i Waters. Prawdopodobnie dziewczyna, sądząc z tego, co mówił ten facet. Wygląda na to, że powiedziała o tym swojemu pastorowi i ten stara się ją nakłonić do złożenia zeznań.

— Świetnie — stwierdził Charon, ukrywając wewnętrzny dreszcz, tak samo jak wcześniej ukrył podniecenie z powodu pierwszego zabójstwa, którego dokonał dla pieniędzy. Jeszcze jedna sprawa, z którą trzeba zrobić porządek. Przy odrobinie szczęścia, wkrótce będzie po wszystkim.

\* \* \*

Helikopter zamigotał światłami i łagodnie wylądował na platformie lotniczej USS „Ogden”. Drużyna bosmańska pośpiesznie założyła łańcuchy mocujące. Chwilę później pokład zaroił się ludźmi. Pierwsi zjawili się *marines* i chociaż mogli być już spokojni o swoje bezpieczeństwo, czuli się gorzko rozczarowani obrotem wydarzeń tej nocy. Akcja została zaplanowana bez zarzutu, tego byli pewni. Gdyby wszystko poszło zgodnie z owym planem, w tej właśnie chwili wracaliby na okręt wraz z uwolnionymi kolegami. Od dawna wyobrażali sobie ten moment i tęsknili do niego, tak jak sportowiec tęskni za radosną atmosferą szatni po wygranym meczu. Tymczasem nic z tego nie wyszło. Przegrali i nadal nie wiedzieli dlaczego.

Irving z jednym ze swoich ludzi wynieśli z wnętrza maszyny czyjeś bezwładne ciało. Wielce to zdziwiło zgromadzonych wyższych oficerów, zwłaszcza że tuż za nimi pokazał się Kelly. Pilot śmigłowca wytrzeszczył oczy — miał rację, na łące istotnie było dwóch ludzi. W tej chwili jednak bardziej cieszył się powodzeniem — aczkolwiek niepełnym — swojej kolejnej misji ratowniczej nad Wietnamem Północnym. Okręt zaczął zawracać na wschód.

— A to kto, do diabła...? — zaczął Maxwell.

— Dawać tego faceta do środka. Pod klucz z nim — zarządził Ritter.

— Jest nieprzytomny.

— No to wezwijcie lekarza.

Rosjanina odniesiono do jednego z wielu wolnych pomieszczeń przeznaczonych dla oddziałów desantowych. Lekarz zbadał go i orzekł, że jest oszołomiony, ale zdrowy — obie źrenice były jednakowe, reagowały na światło. Nie istniało podejrzenie wstrząśnienia mózgu. Przy aresztancie postawiono na straży dwójkę *marines*. Kelly miał czas obmyć twarz, ale na nic więcej mu nie pozwolono.

— Właśnie wtedy nadjechały cztery ciężarówki. Wzmocniony pluton, prawdopodobnie karabinów maszynowych. Zjawili się w momencie, gdy oddział szturmowy był już w powietrzu. Natychmiast zaczęli się okopywać. Jakieś pięćdziesięciu chłopów. Musiałem odwołać akcję!

Greer i Ritter wymienili spojrzenia. To nie był przypadek. Kelly podniósł wzrok na Maxwella.

— Jak mi Bóg miły, żałuję, że tak się stało, panie admirale. — Po chwili milczenia dodał: — Wykonanie zadania było niemożliwe. Musiałem opuścić wzgórze, bo zaczęli wystawiać posterunki wokół obozu. Chodzi mi o to, że nawet gdybyśmy sobie poradzili...

— Pamiętajcie, że mieliśmy wsparcie śmigłowców szturmowych — warknął Podulski.

— Spokojnie, Kaz — mitygująco wtrącił Greer.

Kelly milczał, przyglądając się admirałowi. Wyczuł w jego słowach ton oskarżenia.

— Admirale — odezwał się wreszcie — szanse powodzenia były dokładnie równe zeru. Po to wysłaliście mnie tam z zadaniem obserwowania celu? Żeby można było załatwić sprawę możliwie tanim kosztem, zgadza się? Więszymi siłami być może dałoby się tego dokonać. Grupie z Song Tay mogłoby się udać. Zrobiłby się pewnie straszny burdel, ale oni mieli wystarczającą siłę ognia, żeby sobie poradzić atakując cel bezpośrednio, tak jak tam. — Kelly pokręcił głową. — Ale nasz plan był nie do wykonania.

— Jest pan pewien? — zapytał Maxwell.

— Tak, panie admirale. Pewien, jak diabli.

— Dziękujemy, panie Clark — cicho powiedział kapitan Albie. On wiedział, że Kelly ma rację.

— No dobrze — odezwał się po chwili Ritter. — A co z naszym gościem, panie Clark?

— Cóż, spieszyłem sprawę — przyznał Kelly. Wyjaśnił, jak to się stało, że dał się zaskoczyć przez nadjeżdżający samochód. — Zabiłem kierowcę i komendanta obozu, bo to był chyba on. Miał to przy sobie. — Sięgnął do kieszeni i wyjął zabrane Wietnamczykowi dokumenty. — Rosjanin też wiozł mnóstwo jakichś papierów. Sądziłem, że nierozsądnie będzie go tam zostawić. Sądziłem... pomyślałem, że mógłby nam się przydać.

— Te papiery są zapisane po rosyjsku — wtrącił Irving.

— Pokażcie mi parę kartek — rozkazał Ritter. — Znam niezłe rosyjski.

— Potrzebny będzie jeszcze ktoś, kto czyta po wietnamsku.

— Mam kogoś takiego — powiedział Albie. — Irving, sprowadź tu sierżanta Chalmersa.

— Tak jest.

Ritter i Greer oddalili się do stolika w kącie.

— Rany boskie! — odezwał się agent CIA, przerzucając notatki Griszanova. — Ten facet nazbierał od cholery... Jakowlew? To on jest w Hanoi? Tu jest coś w rodzaju podsumowania.

Sierżant sztabowy Chalmers, pełniący w oddziale piechoty morskiej obowiązki specjalisty do spraw wywiadu, zaczął odczytywać dokumenty wiezione przez majora Vinha. Pozostali czekali cierpliwie, aż agenci przejrzą papiery Rosjanina.

\* \* \*

— Gdzie ja jestem? — Griszanow wypowiedział pytanie po rosyjsku. Spróbował sięgnąć do czegoś, co przesłaniało mu oczy, ale nie mógł ruszyć rękami.

— Jak pan się czuje? — posłyszał czyjś głos. Obcy również mówił w jego ojczystym języku.



— Samochód uderzył w coś... — Griszanow umilkł. — Gdzie jestem?

— Znajduje się pan na pokładzie USS „Ogden”, pułkownika — odrzekł po angielsku Ritter.

Przywiązany do koi Rosjanin zeszywniał. Natychmiast oświadczył w swoim języku, że nie mówi po angielsku.

— Więc dlaczego niektóre z pańskich notatek pisane są właśnie po angielsku? — przytomnie zapytał Ritter.

— Jestem radzieckim oficerem, nie macie prawa...

— Mamy takie samo prawo, jak pan przesłuchiwać amerykańskich jeńców wojennych i nastawać na ich życie, towarzyszu pułkownika.

— Co to ma znaczyć?

— Pański przyjaciel, major Vinh nie żyje, ale mamy jego meldunki. Zdaje się, że skończył pan rozmawiać z naszymi ludźmi, prawda? Wietnamczycy zastanawiali się właśnie nad najwygodniejszym sposobem ich zlikwidowania. Chce mi pan wmówić, że o tym nie wiedział?

Przekleństwo, które Ritter usłyszał w odpowiedzi, należało do wyjątkowo pluwawych, ale w głosie Rosjanina brzmiało autentyczne zaskoczenie, a to było interesujące. Ten człowiek był w zbyt głębokim szoku, by dobrze udawać. Ritter spojrzął na Greera.

— Mam jeszcze trochę czytania. Zechce pan dotrzymać mu towarzystwa?

\* \* \*

Nieprawdą byłoby twierdzenie, że Kelly’emu nie przydarzyła się żadna przyjemna niespodzianka. Otóż kapitan Franks mimo wszystko nie wyrzucił za burtę swojego „przydziału dla lotników”. Skończywszy składać sprawozdanie, Kelly odszukał swoją kabinę i zaaplikował sobie trzy głębsze. Minęło napięcie ostatnich godzin i zmęczenie zaczęło brać górę. Trzy pośpiesznie wypite drinki zwały go z nóg, padł na koję, nie pomyślawszy nawet o kąpieli.

Zgodnie z pierwotnym planem, „Ogden” wracał ku zatoce Subic. Prędkość okrętu wynosiła dwadzieścia węzłów. Na wielkim desantowcu zapanował spokój. Entuzjazm i podniecenie ważną misją ustały wraz z jej fiaskiem; załoga przycichła. Wachta następowała po wachcie, okręt funkcjonował jak dawniej, ale podczas posiłków w mesie panowała cisza, przerywana jedynie brzękiem sztućców i metalowych tac. Żadnych dowcipów, anegdotek. Najgorzej znosił tę sytuację dodatkowy personel medyczny. Nie mając nic do roboty lekarze i sanitariusze bez celu plątali się po pokładach. Bo i kim mieli się opiekować? *Cobry* odleciały do Danang, transportowce na swój lotniskowiec. Ekipa wywiadu radioelektronicznego wróciła do pełnienia rutynowych obowiązków. Przeszukiwano eter wyławiając przekazy radiowe, a nowe zadania miały wkrótce zastąpić to, co było już przeszłością.

Kelly spał aż do osiemnastej. Po kąpieli zszedł na dół odszukać *marines*. Czuł, że winien im jest jakieś wyjaśnienie. Ktoś musiał to zrobić. Zastał ich w tym samym pomieszczeniu, które zajmowali przed akcją. Na stole wciąż jeszcze stała makieta obiektu.

— Siedziałem w tym miejscu — powiedział Kelly.

— Ilu było tych łobuzów?

— Cztery ciężarówki. Nadjechali tą drogą, tu zatrzymali się. — Kelly ilustrował swoje wyjaśnienia, wskazując odpowiednie punkty na makiecie. — Tu i tu wykopali stanowiska dla karabinów maszynowych. Wysłali ludzi na moje wzgórze. Wycofując się, widziałem drugą grupę, kierującą się w tą stronę.

— Jezu! — zauważył dowódca pododdziału — dokładnie wtedy mieliśmy dojść do celu.

— Ano właśnie — potwierdził Kelly. — Tak więc, znacie już przyczynę mojej decyzji.

— Skąd wiedzieli, że załoga obozu potrzebuje wzmocnienia? — zapytał jeden z kaprali.

— To już nie moja działka.

— Dzięki, Wężu. — Dowódca *marines* oderwał wzrok od makiety. Wkrótce miała powędrować za burtę. — To nie była łatwa decyzja, prawda?

Kelly kiwnął głową.

— Przykro mi chłopaki. Jak Boga kocham, żałuję, że tak to się skończyło.

— Panie Clark, za dwa miesiące mam zostać ojcem. Gdyby nie pan... — Żołnierz wskazał makietę.

— Dziękuję, kolego. — Kelly zrozumiał, co tamten chce powiedzieć.

— Panie Clark? — Do pomieszczenia zajrzał jakiś marynarz. — Szukają pana nasi admirałowie. Są w mesie oficerskiej.

\* \* \*

— Doktor Rosen — powiedział Sam, podnosząc słuchawkę.

— Czołem, panie doktorze. Mówi sierżant Douglas.

— Czym mogę panu służyć, sierżancie?

— Usiłujemy skontaktować się z pańskim przyjacielem, Kellym. Od pewnego czasu nie odbiera telefonów. Czy może wie pan, gdzie się podziewa?

— Prawdę mówiąc, dawno go nie widziałem — ostrożnie odparł chirurg.

— A nie zna pan kogoś, kto się z nim widział?

— Popytam się — obiecał Sam. I dodał: — A w czym rzecz? — Zdawał sobie sprawę, że jego pytanie mogło być dla sierżanta bardzo niewygodne, ale ciekaw był, co usłyszy w odpowiedzi.

— Eee... nie mogę tego panu powiedzieć. Mam nadzieję, że pan mnie rozumie.

— Hm. Tak, w porządku. Postaram się czegoś dowiedzieć.

\* \* \*

— Lepiej pan się czuje? — zapytał na początek Ritter.

— Trochę — przyznał Kelly. — Co to za sprawa z tym Rosjaninem?

— Niewykluczone, Clark, że zrobił pan coś bardzo pożytecznego. — Ritter wskazał na stół z leżącymi tam stosikami dokumentów. Było ich co najmniej dziesięć.

— Zamierzają wymordować więźniów — odezwał się Greer.

— Kto? Rosjanie?

— Wietnamczycy. Rosjanie chcą mieć ich żywych. Ten facet, którego pan zgarnął, próbował wywieźć ich do Rosji. — Ritter sięgnął po leżącą na stole kartkę. — Oto brudnopis listu, w którym uzasadnia swoje stanowisko.

— Czy dla więźniów to dobrze, czy źle?

\* \* \*

Coś się dzieje, myślał Zacharias. Dźwięki dochodzące z zewnątrz, z obozu, były jakieś inne. Pojawiły się też nowe głosy — chyba Wietnamczyków przybyło. Wykrzykiwali coś w swoim języku, ale pułkownik nie miał pojęcia, jaka była treść tych okrzyków. Po raz pierwszy od miesiąca nie pokazał się też Grisanow. Nie zajrzał nawet na minutkę. Czyniło to samotność jeszcze bardziej dojmującą. I tym bardziej doskwierała świadomość tego, co zrobił. Zafundował Sowiecom kurs dla zaawansowanych w dziedzinie kontynentalnej obrony przeciwlotniczej. Nie było to jego zamiarem. Nie wiedział nawet, co robi. Niemniej nie stanowiło to żadnego usprawiedliwienia. Rosjanie zrobili z niego durnia. On, Robin Zacharias, pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych dał się wziąć na grzeczne słówka i koleżeńskie gesty jakiegoś ateisty. I na kilka łyków wódki. Głupota i grzech — połączenie jakże typowe dla ułomnej ludzkiej natury. Wszystko to była jego wina.

Nie potrafił nawet płakać nad swoją hańbą. Znalazł się jakby poza rzeczywistością — siedział na podłodze swojej celi, zapatrzony w chropowaty, brudny beton między nagimi stopami. Złamał przysięgę, jaką w obliczu Boga złożył swojej ojczyźnie — ta myśl bezustannie tłukła mu się po głowie.

Przez wycięcie w dole drzwi wsunięto naczynia z wieczornym posiłkiem: rzadką, jałową zupą z dyni i zarobaczywionym ryżem. Zacharias nie ruszył się z miejsca.

\* \* \*

Griszanow wiedział, że jest już trupem. Nie ma mowy, żeby go wypuścili. Nie mogli nawet ujawnić, że go mają. Zniknie bez śladu, jak znikali w Wietnamie inni

Rosjanie — obsługujący wyrzutnię rakiet przeciwlotniczych czy wykonujący inne zadania dla tych niewdzięcznych, małych sukinsynów. Ciekawe tylko, dlaczego tak dobrze go karmili. Okręt, na którym się znalazł, wyglądał na dość duży, ale z drugiej strony była to jego pierwsza podróż morską. Nawet przyzwoite żarcie trudno było utrzymać w żołądku. Przynależał sobie jednak zachować twarz. Nie zmoże go ani choroba morską, ani strach o własną skórę. Był pilotem myśliwskim i to nie najgorszym; nie raz śmierć zaglądała mu w oczy, choćby w postaci awarii podczas lotu. W takich razach zawsze zastanawiał się, co powiedzą jego Marini. Teraz też o tym pomyślał. Wyślą list? O jakiej treści? A czy koledzy z Wojsk Obrony Powietrznej Kraju zadbają o jego rodzinę? Czy chociaż przyznają Marini porządną rentę?

\* \* \*

— Pan chyba żartuje.

— Panie Clark, na tym świecie nic nie jest proste. Dlaczego uważa pan, że Rosjanie ich lubią?

— Dają im broń, szkołę. Czy to nie wystarczy?

Ritter zdusił w popielniczkę niedopałek Winstona.

— To samo my robimy dla ludzi w najróżniejszych zakątkach świata. Nie wszyscy z nich są równymi facetami. Musimy jednak z nimi współpracować. Tak samo Rosjanie, no, może nie do końca tak samo, ale ta różnica nie jest tu istotna. W końcu ten Griszanow zadał sobie sporo trudu, żeby ocalić życie naszych ludzi. — Ritter wziął ze stołu kolejną kartkę. — Oto jego żądanie poprawy wyżywienia jeńców... nawet przysłania lekarza.

— Co więc z nim zrobimy? — zapytał admirał Podulski.

— To, panowie, leży całkowicie w zakresie naszych kompetencji — odparł Ritter. Spojrzał na Greera, który przytaknął mu ruchem głowy.

— Chwileczkę — zaprotestował Kelly. — Ten facet wyciskał z naszych informacje wojskowe.

— To co? — Ritter wzruszył ramionami. — Na tym polegała jego praca.

— Zaczynamy oddalać się od tego, co w tej sprawie najważniejsze — odezwał się Maxwell.

— Faktycznie. — Greer dolał sobie odrobinę kawy. — Do rzeczy więc.

— Dzięki temu — Ritter postukał palcem w kartkę z tłumaczeniem rozkazu dla majora Vinha — możemy mieć pewność, że ktoś spalił operację. Zamierzamy wytropić sukinsyna.

Kelly wciąż jeszcze czuł się zbyt oszołomiony długim snem, by od razu pojąć, o co w tym wszystkim idzie. A już zupełnie nie był w stanie wyobrazić sobie swojego przyszłego udziału w tej aferze.

\* \* \*

— Gdzie jest John?

Sandy O'Toole spojrzała znad swoich papierów. Zbliżał się koniec jej zmiany. Pytanie profesora Rosena znów obudziło w niej niepokój, który skutecznie tłumila przez ostatni tydzień.

— Za granicą. Dlaczego pan pyta?

— Miałem dziś telefon z policji. Szukają go.

O Boże!

— Czemu?

— Nie powiedzieli. — Rosen rozejrzał się. Byli sami w pokoju pielęgniarek. — Sandy, ja wiem, że on robił różne rzeczy... To znaczy, myślę, że wiem, ale...

— Mnie też nic na ten temat nie mówił. Co powinniśmy zrobić?

Rosen skrzywił się i spojrzął za siebie.

— Jako dobrzy obywatele powinniśmy współpracować z policją... ale przecież nie zrobimy tego, prawda? Nie wiesz, gdzie on może być?

— Mówił mi, ale miałam nie... robi coś dla rządu... w... — Nie była w stanie dokończyć, zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. — Podał mi pewien numer telefonu, ale nie skorzystałam z niego.

— Ja bym skorzystał — rzucił Sam i wyszedł.

To nie jest w porządku. John pojechał tam i naraża życie dla jakiejś ważnej sprawy, by wrócić prosto na policyjne przesłuchanie. Siostrze O'Toole wydało się, że życie nie może być już bardziej niesprawiedliwe. Myliła się.

\* \* \*

— W Pittsburghu?

— Tak powiedział — potwierdził Henry.

— Swoją drogą, to niesamowite, że masz u nich swojego człowieka. To się nazywa fachowe podejście do sprawy. — Piaggi był pełen uznania.

— Powiedział, że musimy zająć się tym jak najszybciej. Jak na razie dużo się od niej nie dowiedzieli.

— Czy ona naprawdę wszystko widziała? — Piaggi nie musiał dodawać, że tego nie nazwałby fachowym podejściem do sprawy. — Henry, co innego trzymać ludzi za mordę, a co innego wciągać ich we własne sprawy.

— Zajmę się tym, Tony. Ale to musi być załatwione od ręki, kapujesz? — Henry Tucker czuł, że zaczyna finiszować. Za linią mety czekał sukces i poczucie bezpieczeństwa. Aby mógł do niej dotrzeć, tych pięcioro musiało umrzeć, ale to był drobiazg dla kogoś, kto miał za sobą tak długą drogę.

— Dawaj dalej.

- Nazwisko: Brown. Ona ma na imię Doris. Jej ojciec Raymond.
- Jesteś tego pewien?
- Dziewczyny rozmawiają między sobą. Mam tu adres i tak dalej. Ty masz swoje kontakty. Chcę, żebyś zrobił z nich użytek, i to prędko!
- Piaggi zanotował podane informacje.
- W porządku. Nasi znajomi z Filadelfii dadzą sobie z tym radę. Ale to będzie kosztować, Henry.
- Niczego innego się nie spodziewałem.

\* \* \*

Platforma lotnicza bez śmigłowców wydawała się dziwnie opuszczona. Wszystkie cztery maszyny, czasowo przydzielone na USS „Ogden”, już odleciały i platforma, jak dawniej, pełniła rolę okrętowego skwerku, niczym rynek w małym miasteczku. Gwiazdy świeciły jak zawsze, dobrze widoczne na bezchmurnym niebie. Mimo wczesnej godziny, błądy sierp księżyca błyszczał wysoko nad horyzontem. Na pokładzie nie było o tej porze marynarzy. Ci, którzy nie spali, pełnili swoją wachtę. Tylko Kelly i *marines*, przez ostatnie dni wybici z normalnego rytmu dobowego, cierpieli na bezsenność. Znajdowali się w takim stanie ducha, że ich kabiny o stalowych, szarych ścianach, wydawały im się nieznośnie ciasne. Kilwater okrętu lśnił dziwną zieloną poświatą wywołaną przez fotoplankton poruszony ruchem śrub. Na rufie zgromadziło się z pół tuzina mężczyzn, patrzących nieruchomo za ciągnący się za okrętem zielony pas, jakby wytyczający przebytą drogę.

- Cóż, mogło być o wiele gorzej.
- Kelly odwrócił się. Irving, któż by inny.
- Mogło też być o wiele lepiej, sierżancie.
- To nie przypadek, że pojawili się ni stąd ni zowąd, prawda?
- Nie sędzę, żeby wolno mi było o tym rozmawiać. Czy to właściwa odpowiedź?
- Tak jest. A pan Jezus powiedział: Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.
- A jeśli wiedzą?
- Irving chrząknął.
- Chyba pan wie, co o tym sędzę. Ktokolwiek to był, mogliśmy wszyscy zginąć.
- Wiecie sierżancie, choć raz, jeden, jedyny raz, chciałbym coś skończyć jak trzeba.
- Taak. — Irving pomilczał chwilę. — Dlaczego, do cholery, ludzie robią takie rzeczy? — zapytał retorycznie i odszedł.

W ciemności nieopodal desantowca zamajaczył jakiś kształt. Był to USS „Newport News”, którego wdzięczna sylwetka, oddalona zaledwie o dwa tysiące metrów sunęła niczym zjawą, widoczna mimo braku świateł nawigacyjnych. Ostatni krążownik artyleryjski w Marynarce USA, twór odchodzącej epoki, wracał do bazy. Klęska, o której rozmawiali Irving i Kelly, była i jego udziałem.

\* \* \*

— Siedem jeden trzy jeden — odezwał się kobiecy głos.  
— Halo, chciałabym mówić z admirałem Jamesem Greerem — powiedziała Sandy.  
— Nie ma go teraz.  
— Może mi pani powiedzieć, kiedy wróci?  
— Przykro mi, ale nie wiem.  
— Ale to ważne.  
— Czy mogę wiedzieć, kto mówi?  
— A co to za miejsce, do którego dzwonię?  
— Biuro admirała Greera.  
— Nie to miałam na myśli, czy to Pentagon?  
— To pani nie wie?  
Sandy nie wiedziała i to pytanie zbiło ją z tropu.  
— Proszę, niech mi pani pomoże.  
— Zechce pani powiedzieć, kto mówi?  
— Niech mi pani powie, gdzie pani jest. Proszę.  
— Niestety, nie mogę — odparła sekretarka i poczuła się strażnikiem twierdzy, chroniącej bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych.  
— Czy to jest Pentagon? No dobrze, ostatecznie...  
— Nie.  
Więc co? — zastanawiała się Sandy. Wzięła głęboki oddech.  
— Mój przyjaciel podał mi ten numer. Jest z admirałem Greerem. Mówił, że mogę tu zadzwonić i dowiedzieć się, czy z nim wszystko w porządku.  
— Nie rozumiem.  
— Niech mnie pani posłucha. Ja wiem, że on pojechał do Wietnamu.  
— Proszę pani, nie mogę z panią rozmawiać o tym, gdzie jest admirał Greer. — Ktoś naruszył przepisy bezpieczeństwa! Muszę złożyć raport w tej sprawie.  
— Nie chodzi mi o niego, lecz o Johna. — Uspokój się. Nikomu w ten sposób nie pomożesz.  
— Jakiego Johna?  
Weź głęboki oddech. Spokojnie.

— Proszę, niech pani przekaze wiadomość admirałowi. Mówi Sandy. Chodzi o Johna. Admirał będzie wiedział. Dobrze? On będzie wiedział. To niezwykle ważne.

Podala numer telefonu do domu i do pracy.

— Przyjela. Zrobię, co bede mogla. Polaczenie zostalo przerwane.

Sandy chcialo sie krzyczec i omal tego nie zrobila. A wiec admiral tez wyjechal. Dobrze, jest pewnie tam, gdzie John. Sekretarka przekaze wiadomosc. Na pewno. Tacy ludzie, jezeli im sie powie „niezwykle wzne”, robiu sie gorliwi. Zalatwione. W kazdym razie, tam gdzie sie w tej chwili znajdowal, policja tez nie mogla go dostac. Ale przez reszte dnia i nazajutrz, wskazowki jej zegarka zdawaly sie tkwic w miejscu.

\* \* \*

Wczesnym popoludniem „Ogden” wplynal do bazy Marynarki w zatoce Subic na Filipinach. W wilgotnym, tropikalnym upale, podejscie do nabrzeza zadawalo sie ciagnac w nieskonczonosc. Na koniec rzucono cumy i do burty okrętu przysunieto trap. Jeszcze przed jego zamocowaniem, na poklad wbiegl jakis cywil. Wkrótce potem na lad zesla piechota morska, kierujac sie do autobusu, który mial ich zabrac do Cubi Point. Marynarze przygladali sie, jak *marines* maszeruja w dól trapu. Nie obylo sie bez czegoś w rodzaju pozegnania, uscisków dłoni, i tak dalej, bo wszyscy chcieli z tego spotkania zachowac w pamieci cos dobrego. Ale co mozna bylo powiedziec? „Zrobiliście co w waszej mocy” — to niewiele znaczy, a „powodzenia” wydawalo sie nie na miejscu. Na żołnierzy czekal juz *C-141*, którym mieli poleciec do Stanów. Pana Clarka, jak zauwazono, z nimi nie bylo.

\* \* \*

— John, zdaje sie, ze jakaś twoja znajoma martwi sie o ciebie — powiedzial Greer, wręczajac Kelly’emu przeznaczoną dlań koperte. Byla to jedyna utrzymana w przyjaznym tonie depesza, jaka mlodszy funkcjonariusz CIA przywiozl z Mаниli. Kelly przeczytal ja, gdy tymczasem admiralowie wzeli sie za przegladanie pozostalych.

— Zdazę do niej zadzwonic, panie admirale? Niepokoi sie o mnie.

— Podales jej mój telefon biurowy? — Greer byl troche niezadowolony.

— Jej maz sluzyl w 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej. Zginal. Ona sie boi — wyjasnil Kelly.

— Dobrze. — Greer postanowil zapomniec na chwile o wlasnych klopotach. — Kazę Barbarze zawiadomic ja, ze jestes bezpieczny.



Pozostałe depeze nie były przyjemne. Admirałowie Maxwell i Podulski zostali wezwani do Waszyngtonu, celem niezwłocznego wyjaśnienia przyczyn fiaska operacji ZIELONA SKRZYNKA, chociaż oni przynajmniej mieli jakiegoś asa w rękawie. *KC-135* czekał na nich w bazie Sił Powietrznych Clark. Stamtąd trasa podróży wiodła bezpośrednio na Wschodnie Wybrzeże. Jedyne, z czego można było się cieszyć, to powrót do strefy czasu atlantyckiego, do którego wszyscy przywykli.

Pułkownik Griszanow wyszedł na światło dzienne razem z innymi. Miał na sobie ubranie pożyczone od kapitana Franksa — okazało się, że byli mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy — a jego eskortę stanowili Maxwell i Podulski. Kola nie miał złudzeń co do możliwości ucieczki, a już na pewno nie z obszaru bazy Marynarki, położonej na terytorium sojusznika Stanów Zjednoczonych. Półgłosem rozmawiali z Ritterem — po rosyjsku — kiedy cała szóstka schodziła ku podstawionym samochodom. Dziesięć minut później wsiedli do dwusilnikowego *Beechcrafta C-12* należącego do Sił Powietrznych. Po półgodzinie znaleźli się przy odrzutowym *Boeingu*, którym odlecieli w niespełną godzinę od opuszczenia pokładu „Ogdena”. Kelly wyszukał sobie wygodny, rozłożysty fotel, wyciągnął się i zasnął, zanim pozbawiony okien transportowiec zaczął kołować na start. Słyszał, że najbliższy postój wypada w Hickam na Hawajach i zamierzał spać co najmniej do tej pory.

## 31 — Powrót łowcy

Nie wszystkim dane było spędzić czas przelotu na błogim odpoczynku. Jeszcze przed startem Greer zdołał uporać się z częścią depeesz, niemniej on i Ritter mieli mnóstwo roboty. Samolot, którym lecieli — bez zbędnych pytań wypożyczony im na czas operacji przez Siły Powietrzne — był dość dobrze wyposażonym transportowcem z bazy Andrews i często obsługiwał wycieczki członków Kongresu. Oznaczało to, że na pokładzie nie brakowało trunków. Amerykanie pili czystą kawę, natomiast napój w filiżance ich rosyjskiego gościa był zaprawiony brandy — początkowo w niewielkich dawkach, ale rosnących z upływem czasu. Na koniec Griszanow pił prawie nie rozcieńczony alkohol.

Przesłuchaniem Rosjanina zajął się Ritter. Na początek wyjaśnił mu, że bynajmniej nie dybią na jego życie. Owszem, byli pracownikami CIA. On sam, Ritter, był agentem, szpiegiem, jak kto woli — z dużym doświadczeniem wyniesionym z operacji za żelazną kurtyną — o, pardon! w miłujących pokój krajach bloku socjalistycznego — ale po prostu wykonywał swoją pracę, podobnie jak Kola — pozwoli pan, że tak będę się do pana zwracał? — wykonywał swoją. A teraz, pułkowniku, czy zechce pan podać nazwiska naszych ludzi? (Lista nazwisk jeńców znajdowała się w zapiskach Griszanowa). Powiada pan, że byli pańskimi przyjaciółmi? Ależ tak, jesteśmy bardzo wdzięczni za pańskie wysiłki ocalenia im życia. Widzi pan, wszyscy oni mają rodziny, zupełnie jak pan. Jeszcze kawki, pułkowniku? Tak, to pierwszorzędna kawa, nieprawdaż? O, naturalnie, wróci pan do domu, do swoich bliskich. Za kogo nas pan ma? Za jakichś barbarzyńców? Dobre wychowanie nie pozwoliło Griszanowowi ustosunkować się do ostatniego pytania.

Do licha, pomyślał Greer, Bob jest naprawdę dobry w tych rzeczach. Co tam odwaga, czy patriotyzm. Chodzi o człowieczeństwo, o ludzką naturę. Griszanow to twardy gość, prawdopodobnie cholernie dobry lotnik — co za szkoda, że nie mogli dopuścić do przesłuchania Maxwella, a zwłaszcza Podulskiego — ale zarazem bardzo ludzki i ta strona charakteru obróciła się przeciwko niemu. Nie chciał śmierci amerykańskich jeńców. To, plus stres wywołany uwięzieniem, niespodziewanie serdeczne traktowanie i wreszcie całe morze dobrej brandy — wszystko skłaniało go do pewnej wylewności. Jeszcze bardziej pomogło to, że Ritter nawet nie tknął tematów mających związek z istotnymi interesami Związku Radzieckie-

go. Do diabła, pułkowniku, to oczywiste, że nie zdradzi nam pan żadnych tajemnic! Po co więc pytać?

— Wasz człowiek zabił Vinha, tak? — zapytał Rosjanin gdzieś w połowie lotu nad Pacyfikiem.

— Owszem. Ale to był wypadek i . . .

Griszanow przerwał Ritterowi machnięciem ręki.

— I dobrze. To był *niekulturny*, podstępny, mały faszystowski skurwiel. On chciał zabić tych ludzi, wymordować ich. — Przez Kolę zaczynała przemawiać wypita w nadmiarze brandy.

— Cóż, pułkowniku, mamy nadzieję znaleźć sposób, żeby temu zapobiec.

\* \* \*

— Neurochirurgia Zachód — powiedziała do słuchawki pielęgniarka.

— Chciałabym mówić z Sandrą O'Toole.

— Chwileczkę. Sandy! — Dyżurna oddała słuchawkę siostrze przełożonej.

— O'Toole.

— Panno O'Toole, tu Barbara. Rozmawiałyśmy niedawno. Dzwonię z biura admirała Greera.

— Tak, tak! Słucham.

— Admirał Greer kazał mi przekazać pani, że z Johnem wszystko w porządku. Wraca do kraju.

Sandy odwróciła szybko głowę, żeby nikt nie zobaczył łez ulgi, które nagle pojawiły się w jej oczach. Nie wszystko było jeszcze w porządku, ale to szczęśliwa wiadomość.

— Może mi pani powiedzieć, kiedy?

— Jutro, nie wiem dokładnie o której.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Sekretarka odłożyła słuchawkę.

Dobrze, to już jest coś. Więcej niż coś — bardzo dużo. Nie wiadomo, co się może wydarzyć, gdy John już przyjedzie, ale przynajmniej wracał żywy. Timowi to się nie udało.

\* \* \*

Kelly'ego wyrwało ze snu twarde lądowanie w Hickam. Pilot musiał być już zmęczony. Jakiś sierżant z załogi samolotu uspokoił Johna, życzliwie potrząsając go za ramię.

Maszyna kołowała ku odległej części bazy, gdzie miano uzupełnić paliwo i dokonać przeglądu technicznego. Kelly skorzystał z okazji, by wysiąść i rozprostować kości. Było gorąco, ale nie w tak uciążliwy, przygniatający sposób jak

w Wietnamie. W końcu znaleźli się na ziemi amerykańskich, a tu wszystko było inne...

Zupełnie inne.

Choć raz, jeden, jedyny raz... — tak powiedział. Właśnie. Wyciągnę te pozostałe dziewczyny, tak jak wyciągnąłem Doris. Nie powinno być z tym problemów. Następny na liście jest Burt. Porozmawiamy sobie. Może jak z nim skończę, puszczyć sukinsyna wolno. Może. Nie potrafię zbawić całego świata, ale... na Boga, mogę zbawić jakąś jego część!

W hotelu dla wysoko postawionych gości dowództwa bazy znalazł telefon i zamówił rozmowę.

— Słucham? — z odległości ośmiu tysięcy kilometrów dobiegł go słaby głos.

— Cześć, Sandy. Tu John — powiedział z uśmiechem. Nawet jeśli ci lotnicy nie mogli jeszcze wrócić do domu — on wracał i był za to wdzięczny losowi.

— John! Gdzie jesteś?

— Wyobraź sobie, że na Hawajach.

— Nic ci nie jest?

— Jestem trochę zmęczony, ale poza tym wszystko w porządku. Żadnych widocznych defektów — relacjonował, wciąż uśmiechnięty. Sam dźwięk jej głosu wprowadził go w dobry humor. Nie na długo jednak.

— John, mamy kłopoty.

Sierżant, urzędujący w recepcji spostrzegł, że twarz tego gościa przy telefonie nagle przybiera napięty wyraz. Potem tamten odwrócił się do wnętrza kabiny i sierżant stracił zainteresowanie jego osobą.

— W porządku. To pewnie Doris — powiedział Kelly. — Bo tylko ty i lekarze wiecie o mnie, a...

— To żadne z nas — wtrąciła Sandy.

— Dobrze. Zadzwoń, proszę, do Doris i... bądź ostrożna, ale...

— Ostrzec ją?

— Możesz to zrobić?

— Ależ tak!

Kelly próbował się uspokoić i niemal mu się udało.

— Wyląduję za jakieś... dziewięć, dziesięć godzin. Będziesz wtedy w pracy?

— Mam dziś wolne.

— Świetnie. Do zobaczenia niebawem, Sandy.

— John! — zawołała gwałtownie.

— Tak?

— Chcę... to znaczy... — jej głos ucichł. Na twarz Kelly'ego wrócił uśmiech.

— Możemy o tym porozmawiać jak przyjadę, skarbie.

Może nie tylko wracał do domu? Może wracał do kogoś? Zrobił w myślach szybki przegląd sytuacji. Na łodzi nadal znajdował się przerobiony pistolet i reszta

broni, ale wszystkie rzeczy, jakie miał na sobie podczas roboty — buty, skarpetki, odzież wierzchnia, a nawet bielizna — wylądowały na śmietniku. Nie przypominał sobie niczego, co mogłoby stanowić materialny dowód przeciw niemu, a co zostawiłby na swoim tropie. Niewykluczone, że policja ma ochotę rozmawiać z nim. Bardzo dobrze. Tylko że on nie musi z nimi gadać. Oto jedna z miłych stron obowiązującej konstytucji, myślał idąc w stronę samolotu. Niespiesznym truchtem wbiegł po schodkach.

Dotychczasowa załoga mościła sobie właśnie posłania w tyle kabiny pilotów, gdy ich zmiennicy przystąpili do uruchamiania silników. Kelly usiadł obok dwójki funkcjonariuszy CIA. Zauważył, że Rosjanin z błogim wyrazem twarzy chrapie donośnie.

— Będzie miał gigantycznego kaca — zachichotał Ritter.

— Czym go tak uraczyliście?

— Zaczęliśmy od przyzwoitej brandy, a skończyło się na jakimś kalifornijskim paskudztwie. Nie wiem jak on, ale ja po brandy jestem całkiem nie do życia. — Ritter wyglądał na zmęczonego. *KC-135* zaczął kołować w kierunku pasa startowego. Teraz, kiedy więzień nie był już w stanie odpowiadać na żadne pytania, Ritter popijał Martini.

— Co więc zostało ustalone? — zapytał Kelly.

Ritter opowiedział, czego się dowiedzieli. W gruncie rzeczy obóz miał być dla Wietnamczyków kartą przetargową w ich sporach z Rosjanami. Najwidoczniej jednak nie potrafili wykorzystać tej karty w sposób skuteczny, bo postanowili zlikwidować zarówno obóz, jak i jeńców.

— Sądzi pan, że to z powodu naszej akcji?

— Zgadza się. Ale spokojnie, Clark. Mamy Rosjanina i to też jest karta przetargowa. Muszę powiedzieć, panie Clark — Ritter uśmiechnął się nieznacznie — że podoba mi się pański styl.

— To znaczy?

— Zabierając Rosjanina, wykazał się pan godną pochwały inicjatywą. A sposób odwołania misji dowodzi umiejętności właściwej oceny sytuacji.

— Niech pan posłucha, ja nie... to znaczy, nie mogłem...

— Nie nawalił pan. Inny na pana miejscu pewnie spieprzyłby robotę. Podjął pan szybką decyzję i była ona słuszna. Interesuje pana służba dla kraju? — Ritter okraślił swoje pytanie charakterystycznym uśmieszkiem, już zabarwionym nieco alkoholem.

\* \* \*

Sandy obudziła się o szóstej trzydzięci, czyli nieco później niż zwykle. Wzięła poranną gazetę, nastawiła kawę i postanowiła, że jak co dzień, na śniadanie

przyrządzi sobie grzanki. Spojrzała na zegar ścienny w kuchni, zastanawiając się, jak wcześniej mogłaby zadzwonić do Pittsburgha.

Na pierwszej stronie gazety znalazło się doniesienie o akcji Wydziału Narkotyków. Oficer policji wdał się w wymianę strzałów z którymś handlarzy. No i dobrze, pomyślała. Sześć kilogramów „czystej” heroiny, jak głosiła wiadomość, to dużo. Zastanawiała się, czy to ta sama szajka, co... nie, przywódcą tamtych był czarny, przynajmniej tak mówiła Doris. Tak czy owak, jeszcze jeden handlarz został posłany na tamten świat. Znów spojrzała na zegar. Jeszcze za wcześnie na telefon. Jesteśmy w cywilizowanym kraju. Przeszła do pokoju i włączyła telewizor. Mimo wczesnej pory zaczynał się już obezwładniający upał. Późno w nocy obudził ją telefon Johna, potem nie mogła zasnąć. Teraz usiłowała oglądać „Today Show”, ale wkrótce powieki same jej opadły...

Kiedy otworzyła oczy, było po dziesiątej. Zła na siebie, potrząsnęła głową dla otrzeźwienia i wróciła do kuchni. Karteczka z numerem Doris była przypięta obok telefonu. Wybrała numer i usłyszała sygnał — cztery... sześć... dziesięć razy — nikt nie odbierał. Cholera. Poszła po zakupy? Do doktor Bryant? Za godzinę spróbuje jeszcze raz. Tymczasem przemyśli sobie dokładnie, co ma jej powiedzieć. Czy to, co robiła, można było uznać za przestępstwo? Utrudnianie śledztwa? Jak głęboko uwikłała się w tę sprawę? Ta myśl niemile ją zaskoczyła. Tak czy inaczej tkwiła w tym. Pomogła ratować tę dziewczynę i teraz nie mogła się nagle wycofać. Po prostu powie Doris, żeby starała się nie zaszkodzić ludziom, którzy jej pomogli, żeby była bardzo, bardzo ostrożna. Poprosi ją o to.

\* \* \*

Pastor Meyer przyjechał ze spóźnieniem. Telefon zatrzymał go na plebanii — taki już miał zawód, że nie mógł powiedzieć, że ma umówione spotkanie. Zbliżając się, spostrzegł odjeżdżającą ciężarówkę dostawcy kwiatów, która powoli pięła się na wzgórze. Skreśliła w prawo i zniknęła mu z oczu w chwili, gdy zajmował jej miejsce, w pewnej odległości od domu Browna. Był trochę niespokojny. Musiał przekonać Doris, żeby odbyła rozmowę z jego synem. Peter zapewnił go, że zachowają wszelkie środki ostrożności. „Tak, tato, potrafimy ją ochronić”. Teraz trzeba było tylko przekazać tę wiadomość wystraszonej młodej kobiecie i jej ojcu, którego miłość przetrwała najtrudniejszą z prób. No cóż, radził sobie z delikatniejszymi problemami — pomyślał — na przykład zapobiegł kilku rozwodom. Łatwiej negocjować międzynarodowe traktaty, niż ratować rozpadające się małżeństwo.

Mimo wszystko, wejście na ganek wydaje się dziś strasznie strome, myślał Meyer, kiedy trzymając się poręczy wspinał się po zniszczonych cementowych schodach. Na werandzie stało kilka wiader z farbą. Zapewne Raymond chce od-

nowić dom, skoro wraca tu życie rodzinne. To dobry znak, stwierdził pastor, przyciskając guzik dzwonka, który zadźwięczał dwutonową melodyjką. Przed domem stał biały Ford Raymonda. Byli więc w domu. . . ale nikt nie podchodził do drzwi. No cóż, może któreś się ubiera albo właśnie wychodzi z łazienki. . . Odczekał jeszcze minutę, po czym znów przycisnął guzik; zmarszczył brwi. Dopiero teraz zauważył, że drzwi nie były całkiem zamknięte. W końcu jesteś duchownym, nie włamywaczem. Lekko zaniepokojony, pchnął je i wsadził głowę do środka.

— Raymond? Doris? — zawołał dość głośno, by słyszano go w całym domu. Telewizor był włączony, szedł jakiś durny serial. — Raymond!

Dziwne to wszystko. Wszedł do środka, trochę skrępowany, ale i zaintrygowany. W popielniczce dymił papieros, tlił się przy samym filtrze i ta unosząca się pionowo smuga dymu ostrzegała wyraźnie, że coś jest nie w porządku. Zwykły obywatel przy zdrowych zmysłach byłby się w tej chwili wycofał, ale wielbny Meyer nie był zwykłym obywatelem. Zauważył leżące na dywanie pudło z kwiatami, otwarte, a w nim róże o długich łodygach. Róż nie kładzie się na podłozie. Naraz przypomniał sobie swoją służbę na wojnie — była nieprzyjemna, ale zmuszała do wsłuchiwania się w potrzeby ludzi stojących w obliczu śmierci — i zdziwił się, czemu właśnie ta myśl przyszła mu do głowy. Nagle zrozumiał i serce zaczęło mu bić szybciej. Przeszedł przez pokój — teraz już cicho, nasłuchując. Kuchnia była również pusta. Na stole stały filiżanki z torebkami herbaty, w czajniku na kuchence zaczynała gotować się woda. Drzwi do suterenu były otwarte, światło zapalone. Teraz musiał zrobić kolejny krok. Otworzył drzwi na oścież i ruszył w dół. Był w połowie schodów, kiedy zobaczył ich nogi.

Ojciec i córka leżeli twarzami do cementowej podłogi, krew z ran na ich głowach zlewała się na nierównej powierzchni. Pastor znieruchomiał ze zgrozy. Szeroko otwartymi ustami łapał powietrze, patrząc w dół na dwoje parafian, których pogrzeb odprawi za dwa dni. Zobaczył, że ojciec i córka trzymają się za ręce. Umarli razem, ale pocieszenie płynące z faktu, że ta tragicznie doświadczona rodzina połączyła się z Bogiem, nie mogło powstrzymać ryku wściekłości na myśl o tych, którzy byli w tym domu jeszcze przed paroma minutami. Po kilku sekundach Meyer ochłonął. Zszedł na dół, klęknął i dotknął splecionych dłoni, prosząc Boga o miłosierdzie dla dusz tych dwojga. Ufał, że jego prośba będzie wysłuchana. Doris może przegrała życie, ale nie zatraciła duszy — powie to nad ich trumnami — a jej ojciec odzyskał miłość córki. Obiecał sobie powiedzieć parafianom, że ci dwoje dostąpili zbawienia. Potem przyszła pora zadzwonić do syna.

\* \* \*

Dwaj mężczyźni porzucili skradzioną ciężarówkę dostawcy kwiatów na parkingu obok supermarketu. Dla ostrożności weszli do sklepu i wyszli tylnymi

drzwiami. Tam czekał ich samochód. Pojechali na południowy wschód, ku rogatom autostrady stanowej. Powrót do Filadelfii zajmie im trzy godziny. Być może więcej, pomyślał kierowca. Nie chcieli mieć do czynienia z glinami stanowymi. Każdy z nich był bogatszy o dziesięć tysięcy dolarów. Nie znali sprawy i nic ich ona nie obchodziła.

\* \* \*

— Tak?

— Pan Brown?

— Nie. Kto mówi?

— Sandy. Czy zastałam pana Browna?

— Skąd pani zna rodzinę Brownów?

— A z kim mówię? — zapytała Sandy, wyglądając niespokojnie przez okno swojej kuchni.

— Tu sierżant Peter Meyer z policji w Pittsburghu. A więc, kim pani jest?

— To ja odwozłam Doris... Co się stało?

— Jak się pani nazywa?

— Co z nimi?

— Wygląda na to, że zostali zamordowani — odrzekł Meyer z cierpkim spokojem. — A teraz muszę się dowiedzieć, jak się pani nazywa i...

Sandy opuściła palce na widełki przerywając połączenie. Nie chciała dalej słuchać. Jeszcze chwila i byłaby zmuszona do odpowiadania na pytania tego policjanta. Nogi pod nią drżały, na szczęście krzesło było blisko. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w przestrzeń. To niemożliwe, mówiła sobie. Skąd mogli się dowiedzieć o miejscu pobytu Doris? Na pewno nie zadzwoniła do ludzi, którzy... nie, to niemożliwe.

— Jak do tego doszło? — pytała głośnym szeptem. — Jak, jak? Doris nie mogła nikomu zaszkodzić... Nie, mogła... ale jak oni wpadli na jej trop?

Mają wtyczkę w policji — przypomniała sobie słowa Johna. A więc miał rację?

Ale to była sprawa uboczna.

— Cholera, przecież ją uratowaliśmy! — powiedziała Sandy do kuchennej ściany. Mogła sobie przypomnieć każdą minutę tego pierwszego tygodnia, prawie bez snu. A potem stopniowy powrót do zdrowia i własne uniesienie, najczystsza satysfakcję z powodu dobrze wykonanej pracy i radość, jaką sprawił jej wyraz twarzy ojca Doris. Przepadło. Zmarnowany czas.

Nie.

Nie zmarnowany... Takie miała w życiu zadanie — przywracać chorych do zdrowia. Dokonała tego i była z siebie dumna. To nie był zmarnowany czas. To



był czas wykradziony. Wykradziony czas, wykradzone dwa życia. Zaczęła płakać i musiała zejść do łazienki. Otarła łzy i spojrzała w lustro. W swoich oczach ujrzała coś, czego nigdy przedtem nie widziała. I widząc to, zrozumiała.

Choroba to był smok, z którym walczyła czterdzieści albo więcej godzin w tygodniu. Wykwalifikowana pielęgniarka i nauczycielka, świetnie współpracująca z chirurgami ze swojego zespołu. Sandra O'Toole walczyła z tymi smokami na swój sposób, profesjonalną biegłością, życzliwością i inteligencją, częściej wygrywając niż przegrywając. I z roku na rok było coraz lepiej. Postęp nigdy nie był dość szybki, ale był realny i wymierny, i być może dożyje dnia, w którym zginie ostatni smok na jej oddziale, i będzie z nimi koniec raz na zawsze.

Ale na świecie były i inne gatunki smoków, czyż nie tak? Takie, których nie da się zabić życzliwością, lekami i fachową opieką pielęgniarską. Pokonała jednego, ale inny i tak odebrał życie Doris. Na tego smoka trzeba było miecza, i dłoni wojownika. To miecz był właściwym, niezbędnym narzędziem, jeśli chciało się go uśmiercić. Może ona takim narzędziem nigdy nie umiałaby się posłużyć, ale było przecież niezbędne. I ktoś musiał dzierżyć ten miecz. John wcale nie był złym człowiekiem, był tylko realistą.

Ona walczyła ze swoimi smokami, on ze swoimi. To ta sama walka. Niesłusznie go osądziła. Zrozumiała go teraz, widząc w swoich oczach to samo uczucie, które przed kilku miesiącami dojrzała w oczach Johna. Wściekłość przeszła, a jej miejsce zajęła zimna determinacja.

— No, i wszyscy są zadowoleni — powiedział Hicks, stawiając kufle na stole.

— Co się stało, Wally? — zapytał Peter Henderson.

— Operacja zakończyła się kłapą. Odwołali ją w ostatniej chwili. Dzięki Bogu, nikt nawet nie został ranny. Cała ekipa wraca właśnie do domu.

— To dobra nowina, Wally — ucieszył się Henderson. Rzeczywiście tak myślał. On też nie chciał niczyjej śmierci. Tak jak Wally'emu, chodziło mu tylko o to, żeby położyć kres tej przeklętej wojnie. Faktycznie, paskudna sprawa z tymi ludźmi uwięzionymi w obozie, ale są rzeczy, na które nie da się nic poradzić.

— A dokładnie, co się tam wydarzyło?

— Na razie nikt nie wie. Chcesz, żebym się dowiedział?

Peter skinął głową.

— Postaraj się. Komisja Kontroli Wywiadu powinna wiedzieć, kiedy CIA poprze taką sprawę. Mogę ich o tym zawiadomić. Tylko bądź ostrożny.

— Spokojna czaszka. Wiem, jak brać Rogera pod włos. — Nie zwracając uwagi na swego gościa, Hicks przypalił pierwszego w tym dniu skręta.

— Wiesz, że przez coś takiego możesz stracić dostęp do poufnych informacji?

— Co tam. Zawsze mogę wrócić do tatuśka i utłuc kilka milionów na Wall Street, nie?

— Wally, czy ty chcesz zmienić ten system, czy, tak jak innym, jest ci w nim dobrze?

— Noo... chyba chcę.

\* \* \*

Dzięki pomyślnym wiatrom, *KC-135* pokonał trasę Hawaje-Waszyngton bez tankowania po drodze. Tym razem lądowanie było miękkie. Rzecz niezwykła, ale Kelly nie miał kłopotów z aklimatyzacją. Była piąta po południu i za sześć czy siedem godzin będzie gotów na kolejną dawkę snu.

— Mógłbym się urwać na dzień czy dwa?

— Musisz być w Quantico na formalnym przesłuchaniu w sprawie wyników operacji — odparł Ritter urzędowym tonem, rozdrażniony po długiej podróży.

— Jasne. Póki co, nie jestem w areszcie czy coś w tym rodzaju. Nie podrzuciłby mnie ktoś do Baltimore?

— Zobaczą, co da się zrobić — obiecał Greer. W chwilę później samolot zniechęcił się.

Pierwsi pojawili się na ruchomych schodach dwaj funkcjonariusze bezpieczeństwa z CIA — jeszcze zanim uniosła się masywna pokrywa luku bagażowego. Ritter obudził Rosjanina.

— Witamy w Waszyngtonie.

— Bierzecie mnie do naszej ambasady? — zapytał Griszanow z nadzieją w głosie. Ritter mało się nie roześmiał.

— Jeszcze nie teraz. Ale znajdziemy panu miłe, wygodne schronienie. Griszanow był zbyt słaby, żeby protestować. Masował bolącą głowę, marząc o aspirynie. Zszedł po schodkach w eskorcie pracowników Firmy i wsiadł z nimi do samochodu, który natychmiast ruszył w drogę do bezpiecznego lokalu niedaleko Winchester w Wirginii.

— Dzięki za trud, John — powiedział admirał Maxwell, ujmując rękę młodszego mężczyzny.

— Przepraszam za to, co wtedy mówiłem — rzekł Kaz, idąc w jego ślady. — To ty miałeś rację. — Na nich obu też czekał podstawiony samochód. Stojąc w luku, Kelly przyglądał się, jak odjeżdżają.

— Co im się stało? — spytał Greera.

Ten wzruszył ramionami. Razem z Kellym zaczęli schodzić ku płycie lotniska. Bliski huk silników jakiegoś samolotu utrudniał rozmowę.

— Wściekły chciał doczekać nominacji na stanowisko dowódcy Floty, może dowódcy Operacji Morskich. Nie sądzę, żeby teraz do tego doszło. Ta akcja, sam wiesz, to było jego dziecko. I, niestety, zmarło przy porodzie. To go wykończy.

— To niesprawiedliwe! — krzyknął Kelly. Greer obrócił się ku niemu.

— Owszem, niesprawiedliwe. Ale tak już jest.

Na Greera także czekał wóz. Poleciał kierowcy podjechać do budynku dowództwa jednostki, gdzie załatwił samochód dla Kelly'ego.

— Odpocznij trochę i zadzwoń do mnie, kiedy będziesz gotów. Bob mówił serio. Przemyśl to.

— Tak jest — odrzekł Kelly, wsiadając do niebieskiej limuzyny Sił Powietrznych.

Zdumiewające jest, jak to życie się plecie, pomyślał Kelly. W pięć minut znalazł się na międzystanowej autostradzie. Ledwie przed dwudziestoma czterema godzinami wpływał do zatoki Subic; półtorej doby wcześniej przebywał na terytorium wrogiego państwa — a teraz siedział sobie na tylnym siedzeniu rządowego Chevroleta i jedyne niebezpieczeństwo groziło mu ze strony innych kierowców. Przynajmniej na razie. Wszystko znajome: znaki u wylotu autostrady pomalowane zieloną farbą o charakterystycznym, przyjemnym odcieniu, i sama jazda w ostatnim kwadransie lokalnego szczytu. Wszystko wokół głosiło chwałę normalnego życia, podczas gdy trzy dni temu wszystko wydawało się obce i wrogie. A najbardziej zdumiewające było to, że już się do tego dostroił.

Kierowca nie odzywał się, poza pytaniem o drogę, a przecież musiał być ciekaw, kim jest człowiek, który przybył na pokładzie samolotu specjalnego. Dla niego pewnie to nie pierwszozna, dumiał Kelly, a tymczasem samochód dotarł do Loch Raven Boulevard. To wystarczyło, by przestać się głowić nad pytaniami, które i tak miały pozostać bez odpowiedzi.

— Dzięki za podwiezienie — rzucił Kelly wysiadając.

— Proszę bardzo, zawsze do usług.

Samochód odjechał, a Kelly poszedł do swojego mieszkania, uśmiechając się na myśl o tym, że miał przy sobie klucze przez całą drogę do Wietnamu i z powrotem. Czy wiedziały, jak daleko zawędrowały? Pięć minut później był już pod prysznicem, oddając się temu typowo amerykańskiemu doświadczeniu nagłego przechodzenia z jednej rzeczywistości w drugą. Jeszcze pięć minut i, ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami, poszedł do swojego Scouta, zaparkowanego o przecznicę od domu. Po kolejnych dziesięciu minutach przystanął niedaleko domku Sandy. Jeszcze jedno przejście — od Scouta do jej drzwi. Oto wrócił do kraju — i miał do kogo i po co iść, pomyślał sobie. Po raz pierwszy.

— John! — Nie spodziewał się, że Sandy rzuci mu się w ramiona, a jeszcze mniej — łez w jej oczach.

— W porządku, Sandy, nic mi nie jest, nie mam żadnych dziur ani zadrapań.

Nie bardzo wiedział, dlaczego tak rozpaczliwie przywarła do niego, choć było to przyjemne. Ale potem zaczęła szlochać z twarzą ukrytą na jego piersi i pojął, że to nie o niego chodzi.

— Co się stało?

— Zabili Doris.

I znów czas się zatrzymał, i zdawał się rozsypywać na niezliczone okruchy. Po wpływie bólu Kelly zamknął oczy i oto w ułamku sekundy znów znalazł się na tamtym wzgórzu z widokiem na ZIELENIAK i patrzył, jak przyjeżdżają wietnamscy żołnierze; leżał w szpitalnym łóżku, wpatrując się w trzymaną w dłoni fotografię; słyszał krzyki dzieci dobiegające z niedalekiej wioski, której nazwy nigdy się nie dowiedział. Tak, przyjechał do domu, ale po to samo, co tam zostawił. Nie, inaczej, pomyślał, po to, czego nigdy nie zostawiał, co szło za nim, gdziekolwiek się ruszył. Nigdy się tego nie pozbędzie, bo nigdy nie doprowadził niczego do końca. Ani razu. Ani razu.

A jednak było w tej sytuacji także coś nowego — ta kobieta, obejmująca go, odczuwając ten sam palący ból, który i jemu przeszywał piersi.

— Powiedz, Sandy, jak to się stało.

— Wyciągnęliśmy ją z choroby. Zawieźliśmy do domu, a potem — dzisiaj — zadzwoniłam do niej, tak jak mówiłeś. Odebrał policjant. Doris została zamordowana; jej ojciec też.

— Już dobrze. — Poprowadził ją ku kanapce. Chciał ją tylko uspokoić, próbował zachować pewien dystans, ale nic z tego. Znów przywarła doń mocno, dając upust długo tłumionym uczuciom, a także obawie o jego bezpieczeństwo. Przez kilka minut trzymał jej głowę na swoim ramieniu.

— Co na to Sam i Sarah?

— Jeszcze im nie powiedziałam. — Wyprostowała się i powiodła po pokoju niewidzącym spojrzeniem. Potem, jak należało oczekiwać, odezwała się w niej pielęgniarka.

— A ty jak się czujesz?

— Trochę skonany po tych podróżach — odrzekł zdawkowo, ale zaraz poczuł, że musi powiedzieć prawdę.

— To była kłapa. Nasza misja się nie powiodła. Są tam nadal.

— Nie rozumiem.

— Usiłowaliśmy wyciągnąć kilku naszych ludzi z Wietnamu Północnego, jeńców... ale coś poszło nie tak. Znowu się nie udało — dodał spokojnie.

— Czy to było niebezpieczne?

Kelly chrząknął z wysiłkiem.

— Tak, Sandy, można tak powiedzieć, ale wyszedłem cało. — Nie pytała więcej.

— Doris mówiła, że tam są jeszcze inne dziewczyny. Oni wciąż je mają.

— Tak. Billy powiedział to samo. Będę się starał je wyciągnąć. Kelly zauważył, że nie zareagowała na wzmiankę o Billym.

— Co to da, że się je wyciągnie, jeśli... .

— Wiem.

Ta sprawa zaczyna mnie prześladować, pomyślał Kelly. Jest tylko jeden sposób, żeby z nią skończyć. Uciec przed nią nie zdoła, a więc musi odwrócić się i stawić jej czoło.

\* \* \*

— Dobrze jest, Henry. Po robocie. Dziś rano sprawa została załatwiona — powiedział Piaggi. — Zgrabnie i czysto.

— Nie zostawili jakichś...

— Henry, to byli zawodowcy. Zrobili swoje i wrócili do domu, kilkaset kilometrów stąd. Nie zostawili nic, poza dwoma trupami. — Przekazana przez telefon wiadomość istotnie nie zawierała żadnych niedomówień. Zlecenie nie należało do trudnych, bo ofiary niczego się nie spodziewały.

— A więc załatwione — stwierdził Tucker z zadowoleniem. Wyciągnął z kieszeni wypchaną kopertę i wręczył ją Tony'emu, który jako dobry wspólnik wcześniej założył za niego z własnych pieniędzy.

— Teraz, kiedy Eddie przestał bruździć, i kiedy zlikwidowaliśmy ten przeciek, wszystko powinno wrócić do normy. — Najlepiej wydane dwadzieścia patyków w moim życiu, pomyślał Henry.

— Co z resztą dziewczuch? Pamiętasz o nich? — odezwał się Piaggi. — Henry, prowadzisz teraz poważny interes. Nie można się cackać, takie jak one są niebezpieczne. Zajmij się nimi, dobrze? — Schował kopertę do kieszeni i wstał od stołu.

\* \* \*

— Oboje zabici strzałami z dwudziestki w tył głowy — mówił przez telefon śledczy z Pittsburgha. — Przetrzęsaliśmy cały dom i nic. Pudło z kwiatami — nic. Ciężarówka — nic. Skradziono ją zeszłej nocy albo dziś rano. Kwiatciarz ma takich osiem. Cholera, odzyskaliśmy ją, zanim nadano meldunek o morderstwie. To byli więksi cwaniacy, tak jak należało się spodziewać. Zbyt sprawni, zbyt dokładni jak na miejscowych speców. Nikt z przechodniów nie umie nic powiedzieć. Prawdopodobnie wyjechali już z miasta. Ciężarówkę zauważyły dwie osoby. Pewna kobieta widziała dwóch facetów idących do drzwi. Myślała, że to dostawcy kwiatów, zresztą była po drugiej stronie ulicy, pół przecznicy dalej. Żadnych rysopisów. Nie przypomina sobie nawet koloru ich skóry.

Ryan i Douglas słuchali z dwóch aparatów. Co kilka sekund ich oczy spotykały się — rozumieli się bez słów. To był ten rodzaj sprawy, którego policjanci najbardziej nie znoszą i najbardziej się boją. Żadnego widocznego motywu, żadnych świadków czy dowodów, na których można by się oprzeć. Nie ma od czego

zacząć i nie wiadomo, w jakim zmierzać kierunku. Ich najbliższe posunięcie było oczywiste, tak jak świadomość, że na nic się to nie zda. Będą się starali wyciągnąć coś od sąsiadów, ale to dzielnica robotnicza i mało kto był w domu o tej porze. Ludzie zwracają uwagę głównie na rzeczy niecodzienne, a wóz kwiaciarza nie był aż taką sensacją, by przyciągnąć czyjeś badawcze spojrzenie, owocujące potem opisem szczegółów. Morderstwo doskonale wcale nie jest takie trudne — to tajemnica znana bractwu detektywów, a obca literaturze, czyniącej z nich nadludzkie istoty, za jakie wcale nie chcą uchodzić, nawet popijając wśród swoich w barze dla glin. Zresztą, kiedyś może rozgryzą tę sprawę. Któryś z zabójców może zostać złapany przy innej okazji i przyznać się także do tego, licząc na ugodę z oskarżycielem. Mniej prawdopodobne, że ktoś coś chlapnie z rozpędu, pochwali się w obecności informatora, a ten przekaże to dalej. W każdym razie trzeba na to czasu, a trop, już teraz zimny, stanie się jeszcze zimniejszy. To najbardziej frustrująca część pracy policyjnej. Ginęli całkiem niewinni ludzie i nie miał kto przemówić w ich imieniu, pomścić ich śmierć. Tymczasem pojawiały się nowe sprawy, a więc stare trzeba było odkładać ad acta. Od czasu do czasu ktoś jeszcze raz sięgał po teczkę, przeglądał jej zawartość i chował z powrotem do szuflady z napisem „nie rozwiązane”.

Dla Ryana i Douglasa rzecz była dodatkowo przygnębiająca. Przez chwilę istniało ewentualne ogniwo, dzięki któremu można było pchnąć do przodu dwie z ich „nie rozwiązanych” spraw. O Raymondzie Brownie i jego córce wszyscy będą pamiętać. Mieli przyjaciół i sąsiadów, i dobrego pastora. Ludzie odczuwają ich brak i będą wspominać. Ale te czki w biurku Ryana dotyczyły ludzi, którymi nikt nie zaprzęta sobie głowy, prócz glin, a ci robią to za pieniądze, co jeszcze pogarsza sprawę, bo przecież chciałoby się, żeby ktoś zwyczajnie opłakiwał zmarłego. Co gorsze, w łańcuchu tych zabójstw nie dających się sensownie wyjaśnić, pojawił się kolejny sprawca, działający innymi metodami. To nie był ich Niewidzialny Człowiek. Owszem, posłużono się dwudziestkądwójką, ale on wcześniej dwukrotnie miał okazję zabić. Jednak oszczędził Virginie Charles i zadał sobie specjalny trud, by uratować Doris Brown. Prawdopodobnie ocalił ją przed Farmerem i Traysonem. Może przed kimś jeszcze. . .

— Kolego — zapytał Ryan — w jakim stanie było ciało Doris?

— Co pan ma na myśli?

Pytanie było absurdałne, porucznik czuł to, jeszcze zanim je wypowiedział, ale człowiek po drugiej stronie linii powinien zrozumieć.

— No, w jakiej była kondycji fizycznej?

— Autopsja odbędzie się jutro, poruczniku. Była porządnie ubrana, czysta, ładne włosy, wyglądała całkiem przyzwoicie. — Nie musiał dodawać, że z wyjątkiem dwóch dziur w tyle głowy.

Douglas pochwyił spojrzenie porucznika i skinał głową. Ktoś zdążył doprowadzić ją do porządku. To był jakiś punkt wyjścia.

— Będę zobowiązany za wszelkie użyteczne informacje. Możemy sobie nawzajem pomóc — stwierdził Ryan.

— Komuś bardzo zależało na ich śmierci. Rzadko mamy do czynienia z czymś takim. Nie podoba mi się to — zakończył policjant z Pittsburgha. Konkluzja była dziecinna, ale Ryan w pełni go rozumiał. A zresztą, co innego można tu było powiedzieć?

\* \* \*

Nazywało to się bezpiecznym domem i istotnie, trudno by było o bezpieczniejsze miejsce niż ta stuakrowa posiadłość położona wśród wzgórz północnej Wirginii, z okazałym domem i w połowie zajęta stajnią na dwadzieścia koni. Posiadłość miała formalnego właściciela, ale osoba ta, mieszkająca w pobliżu, wynajęła ją Centralnej Agencji Wywiadowczej — a właściwie pewnej fikcyjnej korporacji, która istniała tylko na papierze i jako nazwa na skrzynce na listy — z racji dawnej służby w OSS i, oczywiście, dla zarobku. Dom wyglądał zupełnie zwyczajnie. Przyjrawszy się bliżej, można było jednak stwierdzić, że drzwi i ich framugi są ze stali, okna zaś niezwykle mocne, zaopatrzone w grube szyby i zamknięte na głucho. Budynek był równie dobrze zabezpieczony przed atakiem z zewnątrz, jak i próbami ucieczki z wewnątrz. Tyle, że prezentował się całkiem przyjemnie.

Griszanow znalazł w swoim pokoju ubranie i przybory do golenia — sprawne, ale takiego rodzaju, by nie mógł zrobić sobie nimi krzywdy. Lustro w łazience było stalowe, a kubek do mycia zębów, stojący na półce — papierowy. Mężczyzna i kobieta, prowadzący dom, mówili znośnie po rosyjsku i starali się być możliwie mili. Poinformowano ich, z jakiego rodzaju gościem mają do czynienia. Przywykli raczej do uciekinierów z bloku wschodniego, chociaż wszyscy, którzy bawili w ich domu, byli „chronieni” przez czterech strażników, którzy pojawiali się, gdy do posiadłości przybywali „goście”. Dwaj inni mieszkali na stałe w domku szofera, obok stajni. Nowy przybysz nie zdążył się jeszcze przestawić na czas miejscowy, a wywołany tym rozstrój nerwowy i niepokój czyniły go gadatliwym. Gospodarze byli zdziwieni, że rozkazano im w rozmowach z nim ograniczać się do tematów wziętych z życia codziennego. Tak więc kobieta przygotowała śniadanie — nie ma to jak solidny posiłek dla cierpiących z powodu przekroczenia stref czasowych, a jej mąż wdał się z gościem w dyskusję o Puszkynie, stwierdzając z zadowoleniem, że jak wielu Rosjan, Griszanow był szczerym miłośnikiem poezji. Od strony drzwi przyglądał im się oparty o framugę strażnik, ot tak, na wszelki wypadek.

\* \* \*

— To, co muszę zrobić, Sandy...

— Rozumiem, John — przerwała mu spokojnie. Zdziwiła się, nie mniej niż on tym, jak mocno, jak zdecydowanie brzmiał jej głos. — Przedtem tego nie rozumiałam, ale teraz tak.

— Kiedy byłem tam — czy naprawdę minęły dopiero trzy dni? — myślałem o tobie. Chcę ci podziękować.

— Za co?

Opuścił wzrok na kuchenny stół.

— Trudno to wytłumaczyć. Robię czasem straszne rzeczy. To pomaga, kiedy ma się kogoś, o kim można pomyśleć. Wybacz... nie chodzi mi o to, że... — Kelly umilkł. Prawdę mówiąc, o to mu właśnie chodziło. Umysł wyzbywszy się ograniczeń, wędruje własnymi drogami, i tak było w jego przypadku.

Sandy ujęła go za rękę i uśmiechnęła się łagodnie.

— Kiedyś bałam się ciebie.

— Czemu? — zapytał wyraźnie zdziwiony.

— Z powodu tych rzeczy, które robisz.

— Nigdy bym cię nie skrzywdził — powiedział, nie podnosząc głowy. Poczuł się przygnębiony, słysząc, że wzbudził w niej lęk.

— Teraz wiem o tym.

Mimo tych słów czuł potrzebę wytłumaczenia swojego postępowania. Chciał, żeby zrozumiała, a nie pojął jeszcze, że to już się stało. Co ma powiedzieć? Tak, zabijał ludzi, ale tylko wtedy, gdy był po temu ważny powód. Jak stał się tym, kim jest? Po części dzięki ćwiczeniom — miesiącom ciężkiej pracy, spędzonym w Coronado na wyrabianiu w sobie zdolności do automatycznych reakcji i — co trudniejsze — cierpliwości. Wraz z tym przyszedł nowy sposób widzenia rzeczy, a potem widzenie świata takim, jaki jest i rozumienie racji, dla których czasem trzeba zabić. Wraz z racjami pojawił się kodeks, w istocie pewna modyfikacja tego, czego nauczył się od ojca. Jego akcje musiały mieć określony cel, który zwykle ustalali inni, ale umysł miał dostatecznie ruchliwy, by decydować samemu, dopasowując ów kodeks do konkretnych sytuacji.

— Zbyt wiele kochasz, John — powiedziała. — Jesteś w tym podobny do mnie.

Jej słowa sprawiły, że uniósł głowę.

— Na moim oddziale ciągle umierają ludzie. Tracimy ich dzień po dniu... nienawidzę tego! Nienawidzę chwili, kiedy z człowieka uchodzi życie. Nie znoszę patrzeć jak płacze rodzina, i wiedzieć, że nie możemy niczemu zapobiec. Wszyscy robimy, co w naszej mocy. Profesor Rosen to wspaniały chirurg, ale nie zawsze wygrywamy, a ja nienawidzę naszych porażek. A w przypadku Doris... uratowaliśmy tę dziewczynę, John, a mimo to ktoś nam ją zabrał. To nie była choroba ani jakiś cholerny wypadek samochodowy. Ktoś chciał to zrobić. Była moja, a ktoś zabił ją i jej ojca. Więc ja to rozumiem, zgoda? Naprawdę.

Boże, ona rzeczywiście rozumie... lepiej niż ja.



— Każdy, kto miał kontakt z Pam i Doris, jest teraz w niebezpieczeństwie.  
Sandy skinęła głową.

— Prawdopodobnie masz rację. Powiedziała nam co nieco o Henrym. Wiem, co to za człowiek. Opowiem ci wszystko.

— Wiesz, co mam zamiar zrobić z tą informacją.

— Tak, John, wiem. I proszę cię, bądź ostrożny — zamilkła na chwilę, po czym dodała tytułem wyjaśnienia: — Chcę, żebyś do mnie wrócił.

## 32 — Na tropie

Z Pittsburgha przyszła jedna jedyna informacja, która mogła się na coś przydać. Było to imię: Sandy. Sandy odwiozła Doris Brown do domu jej ojca. Tylko jedno słowo, imię, nawet nie nazwisko — ale sprawy ruszały z miejsca od drobniejszych szczegółów. To było jak ciągnięcie za nitkę. Czasem zostawało się z urwanym końcem, czasem zaś człowiek ciągnął i ciągnął, dopóki cała szpulka w postaci nieporządnej płataniny nie znalazła się w jego dłoniach. Ktoś imieniem Sandy — młody, kobiecy głos. Odwiesiła słuchawkę, zanim tamci zdążyli coś z niej wydobyć, choć wydawało się mało prawdopodobne, by w ogóle miała coś wspólnego z tymi morderstwami. Powrót na miejsce zbrodni — czemu nie, to rzeczywiście się zdarza — ale nie drogą telefoniczną.

Jak to się miało do tego, co już wiedzieli? Ryan odchylił się na oparciu krzesła i utkwiał wzrok w suficie, przebiegając myślą wszystkie znane okoliczności.

Najbardziej prawdopodobna wydawała się hipoteza, że Doris Brown była bezpośrednio związana z tą samą zbrodniczą grupą, która zabiła Pamelę Madden i Helen Waters i której członkami byli także Richard Farmer i William Grayson. John Terrence Kelly, były marynarz z UDT i, jak się zdaje, były komandos formacji SEAL, w jakiś sposób napotkał na swojej drodze i uratował Pamelę Madden. Kilka tygodni później zadzwonił w tej sprawie do Franka Allena, ale dużo mu nie powiedział. Coś musiało pójść wyjątkowo źle — w pierwszej wersji to Kelly był mordercą — i w rezultacie Pamela Madden poniosła śmierć. Ryan nigdy nie zapomni fotografii jej zwłok. Kelly'ego zważyło to z nóg. Były komandos, którego dziewczynę w wyrafinowany sposób zamordowano, powtórzył sobie Ryan. Pięciu handlarzy, sprząniętych, jakby na ulicach Baltimore pojawił się James Bond. Jedno zabójstwo nie związane z tamtymi, kiedy to zabójca z nieznanych powodów udaremnił uliczny napad rabunkowy. Richard Farmer — „Rick”? — zlikwidowany za pomocą noża — można przyjąć, że było to drugie zabójstwo zdradzające furię (przy czym to pierwsze, na osobie Pameli Madden, nie mieści się na tej liście). William Grayson — prawdopodobnie porwany i zabity. Doris Brown, najpewniej w tym samym czasie uwolniona, w kilka tygodni doprowadzona do normalnego stanu i odwieziona do domu. To oznaczało, że znajdowała się pod opieką lekarską, czyż nie tak? Prawdopodobnie, Być może, poprawił się.

Niewidzialny Człowiek... Czy on sam mógł tego dokonać? To Doris uczesała włosy Pameli Madden. Był jakiś związek.

Wróć.

Kelly uratował Madden, ale potrzebował pomocy, żeby doprowadzić ją do porządku. Profesor Sam Rosen i jego żona, też lekarka. A więc, Kelly odnajduje Doris Brown... W czyje ręce mógł ją oddać? To był właściwy punkt wyjścia! Ryan złapał za telefon.

— Słucham.

— Doktorze, tu porucznik Ryan.

— Nie wiedziałem, że dałem panu mój bezpośredni numer — powiedział Farber. — O co chodzi?

— Czy zna pan Sama Rosena?

— Profesora Rosena? Oczywiście. Kieruje oddziałem neurochirurgii, diabelnie dobry chirurg, klasa światowa. Nie widzimy się często, ale jeśli kiedyś będzie pan chciał, żeby zajrzano do czyjejs głowy, to jest to właściwy człowiek.

— A jego żona?

Ryan dostyszał pyknięcie fajki.

— Znam ją dość dobrze. Ma na imię Sarah. Jest farmakologiem, pracuje naukowo, tu, u Hopkinsa. Współpracuje też z naszym zespołem do walki z narkomanią, a my...

— Dziękuję panu — przerwał mu Ryan. — I jeszcze jedno imię: Sandy.

— Sandy... i co dalej?

— Znam tylko imię — przyznał Ryan. Mógł sobie teraz wyobrazić, jak Farber przechyla się do tyłu, opiera głowę o wysokie oparcie swojego skórzanego fotela i zatrzymuje na czymś zamysłone spojrzenie.

— Chciałbym mieć pewność, że rozumiem, o co chodzi. Wypytuje mnie pan, żeby sprawdzić dwoje moich kolegów w ramach śledztwa w sprawie kryminalnej, tak?

Ryan nie był pewien, czy warto kłamać. Ten gość był psychiatrą, jego zawód polegał na wglądaniu w ludzką duszę. I był w tym dobry.

— Tak, doktorze — przyznał po dłuższej chwili, wystarczająco długiej, by psychiatra domyślił się, co ją spowodowało.

— Musi mi pan wyjaśnić, do czego pan zmierza — oświadczył Farber spokojnie. — Rosen i ja nie jesteśmy w zażyłych stosunkach, ale wiem, że nie należy on do ludzi, którzy mogliby wyrządzić krzywdę innemu człowiekowi. A Sarah to istny anioł dla tej zbieraniny smarkaczy, z którą ma do czynienia. Żeby to zrobić, odłożyła na bok ważną pracę badawczą, coś, co mogło jej przynieść wielką sławę. — Farber zdał sobie nagle sprawę, że przez parę minionych tygodni bardzo rzadko widywał ją w szpitalu.

— Panie doktorze, ja po prostu staram się sprawdzić pewną informację. Nie mam żadnego powodu sądzić, że któreś z tych dwojga jest zamieszane w cokol-

wiek niezgodnego z prawem. — Wyrażał się za bardzo oficjalnie i wiedział o tym. Może trzeba przyjąć inną taktykę. Może to będzie nawet szczerze. — Jeśli moje domysły są trafne, grozi im niebezpieczeństwo, z którego nie zdają sobie sprawy.

— Proszę mi dać kilka minut. — Faber wyłączył się.

— Nieźle, Em — skomentował Douglas.

To było jak łowienie na przynętę, pomyślał Ryan, ale, u diabła, próbował już prawie wszystkiego. Po pięciu minutach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, zadzwonił telefon.

— Ryan.

— Farber. Na neurochirurgii nie ma lekarki o tym imieniu. Jest jedna pielęgniarka, Sandra O'Toole. Oddziałowa siostra przełożona. Nie znam jej osobiście. Sam ma o niej wysokie mniemanie, przynajmniej tak mówi jego sekretarka. Ostatnio wykonała dla niego jakąś specjalną pracę. Z tego powodu musiał majstrować przy liście płac.

Farber zdążył już poczynić własne spostrzeżenia. W czasie, gdy Sandra O'Toole pracowała dla Sama, Sarah ani razu nie pojawiła się w klinice. Ale niech policja sama do tego dojdzie. I tak posunął się za daleko. To byli przecież jego koledzy, a nie chodziło o głupstwa.

— Kiedy to było? — zapytał Ryan od niechcienia.

— Dwa, trzy tygodnie temu, przez dziesięć dni.

— Dziękuję, doktorze. Jeszcze będę do pana dzwonił.

— Następne powiązania — zauważył Douglas. — O ile się załóżysz, że ona zna Kelly'ego?

Oczywiście było to tylko przypuszczenie, nie żaden wniosek. Sandra to dość pospolite imię. Ale zajmowali się tą sprawą, tym niekończącym się pasmem zabójstw, już z górami sześć miesięcy, nie natrafiając na żadne dowody ani wyraźne powiązania, nic więc dziwnego, że ten promyk światła wydał im się jutrenką. Tymczasem jednak nadszedł wieczór i Ryan musiał wracać do domu. Żona i dzieci czekały na niego z kolacją. Za jakiś tydzień Jack wracał do Bostonu, do koledżu, a on poświęcał mu ostatnio tak mało czasu.

\* \* \*

Kelly nie miał innego wyjścia, jak poprosić Sandy, żeby zawiozła go do Quantico. Był to jej pierwszy pobyt w bazie piechoty morskiej i to dość krótki, bo czym prędzej skierowali się do portu jachtowego. Sandy nie zdążyła jeszcze dojechać do autostrady I-95, kiedy Kelly opuścił basen portowy, kierując się ku środkowi rzeki. Na środku otworzył przepustnice, wyciskając z silników maksymalną moc.

Moja pani ma nie tylko charakter ale i sporo rozumu, myślał, sącząc pierwsze od niepamiętnych czasów piwo. To chyba naturalne, że pielęgniarka ma doskonałą

pamięć. Wyglądało na to, że Henry w pewnych sytuacjach dawał upust gadulstwu, na przykład wobec dziewczyny, która całkowicie znalazła się w jego władzy. Lubi się przechwalać, sukinsyn. Kelly nadal dysponował tylko numerem telefonu, bez adresu, ale teraz miał jeszcze jedno nazwisko. Tony P. coś tam, Pigi, czy jakoś tak. Biały, Włoch, jeździ niebieskim Lincolnem. Miał też jego niezły rysopis. Prawdopodobnie facet należy do mafii, albo chce się wkręcić. Był jeszcze ktoś o imieniu Eddie... ale Sandy kojarzyła go z człowiekiem zastrzelonym przez policjanta. Miejskowa gazeta donosiła o tym zdarzeniu na pierwszej stronie. A gdyby tak zrobić jeszcze krok dalej: a jeśli to ten właśnie gliniarz jest „człowiekiem” Henry’ego? To dziwne, że oficer policji, porucznik, wdaje się w uliczną strzelaninę. Czysta spekulacja, ale warta sprawdzenia. Miał całą noc na zastanawianie się — i jak okiem sięgnąć gładką tafłę wody, która odbija ludzkie myśli, niczym gwiazdy w pogodną noc. Wkrótce minął miejsce, gdzie zostawił Billy’ego. Ktoś usunął stamtąd jego zwłoki.

\* \* \*

Na grobie w Potter’s Field, zgodnie z tradycją sięgającą czasów człowieka o imieniu Judasz, zdażyła już osiąść ziemia. Tymczasem lekarze w szpitalu komunalnym, którzy zajmowali się nie zidentyfikowanym mężczyzną, wciąż głowili się nad raportem anatomopatologa z koledżu medycznego przy Uniwersytecie Wirgińskim Barotrauma. W całym kraju odnotowywano nie więcej niż dziesięć ciężkich przypadków tego rodzaju rocznie, wszystkie w rejonach nadmorskich. Nie ma się czego wstydzić, że w szpitalu komunalnym nie zdołali postawić diagnozy — mówił raport — zresztą, niewiele by to zmieniło. Właściwą przyczyną śmierci było przedostanie się kawałka szpiku kostnego do tętnicy mózgowej, a w konsekwencji zator i rozległy wylew. Obrażenia innych organów okazały się tak poważne, że można było co najwyżej o kilka tygodni przedłużyć agonię chorego. Zator, wywołany szpikiem, musiał być skutkiem działania znacznie podwyższonego ciśnienia, do trzech tysięcy hektopaskali, może więcej. Jeszcze teraz policja wypytywała nurków z Potomaku. Istniała wciąż nadzieja — choć niezbyt duża — że ktoś w końcu zgłosi się po ciało, toteż administracja okręgu została zawiadomiona o miejscu jego pochówku.

\* \* \*

— Co to znaczy: nie wiecie? — Generał Jakowlew zaczynał tracić cierpliwość. — To mój człowiek! W co go wpakowaliście?

— Towarzyszu generale — ostrym tonem odparł Giap — powiedziałem wam wszystko, co wiem.

— I chcecie mi wmówić, że dokonał tego jakiś Amerykanin?

— Zna towarzysz raport wywiadu równie dobrze, jak ja.

— Ten człowiek posiadał informacje o wielkiej wadze dla Związku Radzieckiego. Trudno mi uwierzyć, że Amerykanie zmontowali akcję, której końcowym efektem było uprowadzenie jedyne go oficera radzieckiego w okolicy. Proponuję, towarzyszu generale, żebyście się bardziej postarali.

— Prowadzimy wojnę!

— Owszem, zdaję sobie z tego sprawę — sucho stwierdził Jakowlew. — A jak sądzicie, dlaczego ja tu jestem?

Giap mógłby skłąć Rosjanina stojącego przed jego biurkiem. Był ostatecznie głównodowodzącym wojsk swego kraju i człowiekiem o niemałych kompetencjach. Niemniej — aczkolwiek nie bez trudu — zmuszony był zrezygnować ze swej dumy. Potrzebował broni, a tylko Rosjanie mogli mu jej dostarczyć. Przełknął więc upokorzenie, pocieszając się myślą, że robi to dla dobra swojej ojczyzny. Jedno wydawało mu się pewne. Cały ten obóz nie był wart kłopotów, jakich mu ostatnio przysparzał.

\* \* \*

Najdziwniejsze, że rygor wyraźnie zelżał. Kola wyjechał. To pewne. Zacharias stracił rachubę czasu. Zasypiał już czterokrotnie, od kiedy przestał słyszeć na zewnątrz głos Rosjanina. Mniej więcej od tego momentu, nikt nie wchodził do jego celi, aby mu wymyślać. Jadł, siedział na podłodze i rozmyślał w samotności. Stwierdził z pewnym zdziwieniem, że tak jest nawet lepiej. Spotkania z Kola stały się dlań nałogiem bardziej niebezpiecznym, niż jego flirt z alkoholem. Teraz to zrozumiał. Prawdziwym wrogiem była samotność, nie ból czy strach. Życie w rodzinie i wspólnocie religijnej oparte było na zasadach partnerstwa. Na tym samym bazowały stosunki międzyludzkie w lotnictwie. Pozbawiony tej podpory, jego umysł spalał się od środka. Wystarczyło, że doszło do tego nieco bólu i strachu i stało się to, co się stało. Z zewnątrz było to dużo wyraźniej zauważalne. A dla Koli niewątpliwie najzupełniej oczywiste. „Jak ty”, powtarzał często, „jak ty”. I tak, myślał Zacharias, dopiął swego. Sprytnie, trzeba przyznać. Pułkownik nie należał do ludzi, którzy często mylą się, a przecież nie zdołał mu się oprzeć. Omal nie zginął, gdy jako młody lotnik podczas szkolenia na myśliwcach popełnił głupi błąd w pilotażu. Pięć lat później, ciekawość, jak też od środka wygląda burza z piorunami, omal nie skończyła się trzepnięciem w ziemię. Teraz popełnił trzeci błąd.

Zacharias nie wiedział, skąd wzięła się przerwa w przesłuchaniach i dlaczego dali mu spokój. Może Kola wyjechał, żeby złożyć sprawozdanie z tego, czego już się dowiedział. Tak czy inaczej, pułkownik zyskał czas do namysłu. Zgrzeszyłeś, kołatało mu w głowie. Zachowałeś się bardzo głupio. Ale więcej tego nie

zrobisz. Siła jego determinacji nie była zbyt wielka i Zacharias wiedział, że musi pracować nad sobą. Na szczęście miał teraz czas na myślenie. Jeśli nawet nie była to droga do prawdziwego wyzwolenia, to zawsze wiodła ona do jakiegoś celu. Wstrząs wywołany tą myślą sprawił, że dostał nagle stanu pełnej koncentracji, jak podczas lotu bojowego. Mój Boże. To słowo! Obawiałem się modlić o wyzwolenie... a teraz... Strażnicy obozowi byliby zdziwieni, widząc pozbawiony radości uśmiech na jego twarzy. Zwłaszcza, gdyby wiedzieli, że znów zaczął się modlić. Wpojono im, że wszystkie modlitwy to idiotyczna szopka. Na tym jednak polegało ich nieszczęście, pomyślał Robin, i w tym, być może, kryła się jego szansa na ocalenie.

\* \* \*

Nie mógł zadzwonić z biura. Po prostu byłoby to niewykonalne. Nie chciał też telefonować z domu. Musiałby skorzystać z linii przecinającej rzekę i granicę stanu, a wiedział, że ze względów bezpieczeństwa wprowadzono kontrolę połączeń telefonicznych na obszarze stołecznego Dystryktu Kolumbia. Wszystkie połączenia były rejestrowane na taśmie komputerowej — Dystrykt Columbia to jedyne miejsce w Ameryce, gdzie działa się tak naprawdę. Wreszcie to, co chciał zrobić, obwarowane było szczegółową procedurą. Należało uzyskać oficjalne zezwolenie, omówić sprawę z szefem sekcji, z dyrektorem Wydziału i tak dalej, wspinając się, kto wie, czy nie aż do gabinetu dyrektora Firmy na siódmym piętrze. Ritter nie chciał czekać tak długo, kiedy w grę wchodziło ludzkie życie. Wziął więc dzień wolnego, całkiem rozsądnie motywując swą prośbę koniecznością odpoczynku po wszystkich tych podróżach. Postanowił, że pojedzie do miasta i wybór padł na Smithsonian's Museum. Minął stojącego w holu słonia i korzystając z tablicy informacyjnej znalazł automat telefoniczny, wrzucił monetę i wybrał numer 347-1347. Sytuacja była z gatunku komicznych, numer ten bowiem umożliwiał połączenie z telefonem na biurku rezydenta KGB, szefa placówki tej instytucji na Waszyngton. Wszyscy o tym wiedzieli, że tamci wiedzą, że oni wiedzą. Praca szpiega, pomyślał Ritter, bywa równie zawiła i wyrafinowana, jak sztuka baroku.

— Tak? — dobiegł go głos ze słuchawki.

Po raz pierwszy Ritter znalazł się w takiej sytuacji, toteż wydała mu się pełna wrażeń — jego własne zdenerwowanie, spokojny ton głosu w słuchawce, podniecenie niezwykłością chwili. Niemniej to, co miał do powiedzenia, ułożył sobie w taki sposób, że ktoś postronny nie wyczułby, że chodzi o coś innego niż legalny interes.

— Mówi Charles. Chodzi o sprawę, która was dotyczy. Proponuję krótkie spotkanie i rozmowę. Będę za godzinę w zoo, koło wybiegu dla śnieżnych panter.

— Jak pana poznam?

— W lewym ręku będę trzymał egzemplarz „Newsweeka”.

— Za godzinę — burkliwie potwierdził głos. Prawdopodobnie planował na dzisiejszy ranek jakieś ważne spotkanie, pomyślał Ritter. A tu taka niespodzianka! Opuścił muzeum, kierując się w stronę swego wozu. Na wolnym siedzeniu z przodu leżał numer „Newsweeka” kupiony w drodze do miasta.

\* \* \*

Na początek sprawa taktyki, myślał Kelly, sterując w lewo, by opłynąć Point Lookout. Póki co, miał jeszcze szerokie pole manewru. Nadal miał bezpieczne mieszkanie w Baltimore z fałszywym nazwiskiem na drzwiach i tak dalej. Policja może chcieć z nim rozmawiać, ale jak dotąd nie udało im się go zlokalizować. Postara się, żeby tak zostało. Wróg nie wiedział, kim on jest. To był jego wyjściowy atut. Podstawowa kwestia, to ustalenie sensownej równowagi między tym, co wie, a tym, czego nie wie, i znalezienie sposobu posłużenia się tym pierwszym, by dotrzeć do tego drugiego. Pytanie „jak” — należało do taktyki. Mógł się przygotować na to, czego jeszcze nie znał. Na razie nie miał na to wpływu, ale w sumie wiedział, co ma robić. Ta wiedza wymagała po prostu strategicznego podejścia do problemu. Co prawda, było to dość frustrujące. Na jego akcję czekały cztery młode kobiety. A nieokreślona jeszcze liczba ludzi — na śmierć.

Działali pod wpływem strachu. Bali się Pam, bali się Doris. Na tyle, żeby zabić. Zastanawiał się, czy aby śmierć Eddiego nie była kolejnym tego przejawem. Na pewno zabijali w trosce o własne bezpieczeństwo, i prawdopodobnie teraz rzeczywiście czują się bezpieczni. To dobrze. Jeżeli powodował nimi strach, tym bardziej wpadną w panikę, kiedy okaże się, że to jeszcze nie koniec.

Najbardziej niesprzyjającym czynnikiem był czas. Liczyła się każda godzina. Policja węszyła za nim. Nie sądził, by mieli na niego coś konkretnego, ale nie było to przyjemne. Przede wszystkim jednak mały szanse tych czterech młodych kobiet. Nie istniało coś takiego jak dobra długotrwała operacja. Cóż, musiał być cierpliwy. Przynajmniej w jednej sprawie. I jak dobrze pójdzie, tylko w jednej.

\* \* \*

Od lat nie był w zoo. Przyszło mu do głowy, że warto by znowu przyprowadzić tu dzieciaki, teraz, kiedy podrosły na tyle, żeby lepiej rozumieć, co oglądają. Przystanął przy wybiegu niedźwiedzi. Było coś fascynującego w tych zwierzętach. Dzieci uważały je za nieco większą, żywą odmianę wypchanej wata zabawki, którą w nocy kładło im się do łóżka. Ritter — nie. Dla niego niedźwiedź był ucieleśnieniem wroga — wielki i silny, wcale nie taki niezgrabny i głupi, na jakiego wyglądał. Warto o tym pamiętać, pomyślał, kierując się w stronę klatki



z panterami. Zwinięty tygodnik przełożył do lewej dłoni, przyglądał się wielkim kotom i czekał. Nie zawracał sobie głowy spoglądaniem na zegarek.

— Cześć, Charles — posłyszał za sobą.

— Cześć, Siergiej.

— Nie znam pana — zauważył rezydent.

— To rozmowa nieoficjalna — wyjaśnił Ritter.

— A bywają oficjalne? — zdziwił się Rosjanin. Ruszył w głąb ogrodu. Pojedyncze miejsca mogli mieć na podsłuchu, ale nie całe zoo. Zresztą, jego rozmówca mógł nosić mikrofon przy sobie, chociaż nie było to zgodne z regułami gry. Szli po łagodnej pochyłości w stronę najbliższego skupiska klatek ze zwierzętami — z ochroniarzem rezydenta, deptającym im po piętach.

— Wróciłem właśnie z Wietnamu — odezwał się Ritter.

— Ciepłej niż tutaj, prawda?

— Nie na morzu. Raczej przyjemnie.

— A jaki był cel pańskiej wycieczki? — zapytał Rosjanin.

— Wizyta. Niezapowiedziana wizyta.

— O ile wiem, nie należała ona do udanych — odparł rezydent, bez specjalnej ironii, ot, żeby dać „Charlesowi” do zrozumienia, że wie, co w trawie piszczy.

— Nie było tak źle. Przywieźliśmy kogoś ze sobą.

— A któż to może być?

— Na imię ma Nikołaj. — Ritter wręczył Rosjaninowi legitymację służbową Griszanowa. — Wasz rząd znalazłby się w kłopotliwej sytuacji, gdyby zostało ujawnione, że sowiecki oficer przesłuchiwał amerykańskich jeńców wojennych.

— Nie tak znowu bardzo kłopotliwej. — Siergiej przekartkował legitymację i schował ją do kieszeni.

— Nie byłbym tego taki pewien. Widzi pan, ci przesłuchiwani zostali przez waszych małych przyjaciół umieszczeni na liście zmarłych.

— Nie rozumiem. — Rosjanin mówił prawdę i Ritter musiał mu wytłumaczyć w czym rzecz. Tamten wysłuchał go w milczeniu. — Nie miałem o tym pojęcia — powiedział wreszcie.

— Zapewniam pana, że to prawda. Ma pan swoje kanały, niech pan sprawdzi, na pewno uzyska pan potwierdzenie tych informacji. — Ritter wiedział, że tamten na pewno tak zrobi. A Siergiej wiedział, że on wie.

— Gdzie więc przebywa nasz pułkownik?

— W bezpiecznym miejscu. I na pewno w lepszych warunkach, niż nasi ludzie w Wietnamie.

— Pułkownik Griszanow nie zrzucał na nikogo bomb — zauważył Rosjanin.

— To prawda, ale uczestniczył w przedsięwzięciu, które miało zakończyć się śmiercią amerykańskich jeńców. A my dysponujemy dowodami na to, że oni żyją. Jak powiedziałem, może z tego wynikać wiele przykrości dla waszego rządu.

Siergiej Wołoszyn był człowiekiem bystrym i dostatecznie zorientowanym w zawiłościach bieżącej polityki, by samemu rozumieć to, o czym chciał go przekonać ten młody pracownik CIA. Umiał także przewidzieć, do czego zmierza ich rozmowa.

— A zatem, co pan proponuje?

— Byłoby dobrze, gdyby wasze władze przekonały Hanoi, aby przywrócono tych ludzi do życia. To znaczy, aby przeniesiono ich do więzienia, gdzie przebywają pozostali jeńcy, i wydano stosowne oświadczenie, tak, żeby ich rodziny wiedziały, że mimo wszystko żyją. W zamian wypuścimy pułkownika Griszanova, nietkniętego. I zrezygnujemy z przesłuchania go.

— Przekażę pańską propozycję do Moskwy. — I chętnie ją poprę, zdawał się mówić ton Rosjanina.

— Proszę się pośpieszyć. Mamy powody przypuszczać, że Wietnamczycy rozważają podjęcie jakichś drastycznych kroków, aby uniknąć ewentualnych komplikacji. A to dopiero skomplikowałoby całą sprawę — ostrzegł Ritter.

— Tak. Istotnie. — Rosjanin zawahał się. — Może mi pan zagwarantować, że pułkownik Griszanow jest zdrow i cały?

— Mógłby się pan z nim zobaczyć w ciągu... no, około czterdziestu minut. Uważa pan, że kłamałbym w tak ważnej sprawie?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale pewne pytania muszą zostać postawione.

— Owszem, Siergieju Iwanyczu, wiem o tym. Nie chcemy skrzywdzić pańskiego pułkownika. Wygląda na to, że naszych ludzi traktował w sposób honorowy. Okazał się także skuteczny w wyciąganiu z nich informacji. Mam jego notatki. Moja propozycja spotkania z nim jest nadal aktualna. Jeśli tylko zechce pan z niej skorzystać...

Wołoszyn zastanawiał się, wiedząc, że za słowami Rittera kryje się pewna pułapka. Przysługa tego rodzaju wymagała wzajemności. Taka była zwykła kolej rzeczy. Przyjąć propozycję Rittera, oznaczało nałożyć na swój rząd pewne zobowiązania, a tego Wołoszyn nie chciał robić na własną odpowiedzialność. A zresztą, ci z CIA musieliby zwariować, żeby łączyć w takiej sprawie. Jeńcy zawsze mogą zniknąć. Ocalić ich może jedynie dobra wola władz radzieckich — teraz i w przyszłości.

— Wierzę panu, panie...

— Ritter. Bob Ritter.

— Ach tak! Budapeszt!

Ritter uśmiechnął się z zakłopotaniem. Cóż, po tym, co wyczyniał, żeby wyciągnąć z Węgier swojego agenta, nie miał nadziei wrócić kiedykolwiek do pracy w terenie, w każdym razie w żadnym ważnym miejscu — a dla Rittera takie miejsca leżały na wschód od Łaby. Rosjanin szturchnął go palcem w pierś.

— Dobrze pan się wtedy spisał. Chwalebna jest taka lojalność wobec własnego człowieka. — Wołoszyn najbardziej szanował Amerykanina za gotowość podjęcia osobistego ryzyka. W KGB takich rzeczy się nie robiło.

— Dziękuję, generale. I dziękuję, że zechciał pan wysłuchać mojej propozycji. Kiedy mam się z panem skontaktować?

— Będę potrzebował jakichś dwóch dni. . . może ja zadzwonię do pana?

— A więc czekam czterdzieści osiem godzin. Ja zadzwonię.

— Dobrze. Do widzenia. — Podali sobie ręce, jak przystało na zawodowców, którymi w istocie byli. Wołoszyn podszedł do swojego ochroniarza-kierowcy i razem wrócili do samochodu. Przechadzka po zoo zakończyła się przed klatką niedźwiedzia z wyspy Kodiak — wielkiego, brunatnego, potężnego. Przypadek? Ritter miał co do tego pewne wątpliwości.

Idąc w stronę samochodu uświadomił sobie, że cała ta sprawa była jednym splotem przypadków. Zasady gry wymagały, żeby przyznał sobie uprawnienia kierownika sekcji. Misja ratownicza zakończyła się niepowodzeniem, owszem, ale właśnie udało mu się wynegocjować z Rosjanami istotne porozumienie. A było to możliwe dzięki przytomności umysłu pewnego młodego człowieka, który ścigany i przerażony, nie stracił zdolności rozumowania. Tacy ludzie byli potrzebni Firmie i do Rittera należało tak nim pokierować, by do niej trafił. W drodze z Hawajów Kelly wahał się i grał na zwłokę. W porządku. To znaczy, że trzeba będzie użyć odrobiny perswazji. Musi porozumieć się w tej sprawie z Jamesem Greerem, ale postanowił już, że jego najbliższym zadaniem będzie wyciągnięcie Kelly'ego z jego nory.

\* \* \*

— Czy zna pani dobrze panią O'Toole? — zapytał Ryan.

— Jej mąż nie żyje — westchnęła sąsiadka. — Pojechał do Wietnamu zaraz po tym jak kupili dom i tam zginął. Taki miły, młody człowiek. Chyba pani O'Toole nie ma jakichś kłopotów.

Detektyw pokręcił głową.

— Nie, skądże. Słyszałem o niej same dobre rzeczy.

— Tam u niej był ostatnio strasznie duży ruch — ciągnęła starsza pani.

Doskonale się z nią rozmawiało. Miała około 65 lat, była wdową i nie mając nic do roboty, wypełniła pustkę w życiu śledząc, co dzieje się u innych. Chętnie powie o wszystkim, co wie, byle ją zapewnić, że to nikomu nie zaszkodzi.

— Co pani ma na myśli?

— Niedawno chyba miała gości. Kupowała dużo więcej niż zwykle. To taka miła, ładna kobieta. Straszne, co stało się z jej mężem. Naprawdę, powinna znowu

zacząć z kimś się spotykać. Sama bym jej to powiedziała, ale nie chcę, żeby myślała, że jestem wścibska. W każdym razie robiła wielkie zakupy i ktoś codziennie do niej przyjeżdżał, a nawet często zostawał na noc.

— Kto to był? — spytał Ryan, popijając mrożoną herbatę.

— Kobieta, niska jak ja, ale tęższa, zawsze była nieuczesana. Jeździła wielkim czerwonym samochodem, zdaje się Buickiem, z jakąś nalepką na szybie. Właśnie!

— Co takiego?

— Byłam przy moich różach, kiedy wyszła ta dziewczyna, i wtedy zobaczyłam tę nalepkę.

— Dziewczyna? — zapytał Ryan naiwnie.

— To dla niej tyle kupowała! — wykrzyknęła starsza pani, dumna z własnego odkrycia. — Dla niej kupowała stroje, założę się. Przypominam sobie, że widziałam torby Hetch Company.

— Może pani powiedzieć, jak wyglądała ta dziewczyna?

— Młoda, dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Pojechały gdzieś... kiedy to było...? Aaaa, pamiętam. Tego dnia przywieźli mi ze szkółki nowe róże. Jedenastego. Samochód przyjechał bardzo wcześnie, bo nie lubię upału, i kiedy odjeżdżały, byłam w ogrodzie. Pomachałam Sandy. To taka miła kobieta. Nie rozmawiam z nią często, ale kiedy już, to ona zawsze ma dla mnie miłe słowo. Jest pielęgniarką, wie pan, pracuje w klinice Johna Hopkinsa i... .

Ryan dopijał herbatę, nie pokazując po sobie zadowolenia. Doris Brown wróciła do domu do Pittsburgha jedenastego po południu. Buickiem jeździła Sarah Rosen, a w oknie jej samochodu niewątpliwie tkwiła przepustka na szpitalny parking. Sam Rosen, Sarah Rosen, Sandra O'Toole. Opiekowali się Doris. Dwoje z nich opiekowało się także Pamelą. I Kellym. Po miesiącach niepowodzeń porucznik Ryan miał wreszcie coś w garści.

— O, idzie — powiedziała starsza pani, wyrывая go z zamyślenia. Ryan obrócił się i ujrzał atrakcyjną młodą kobietę, dość wysoką, niosącą torbę z zakupami.

— Ciekawa jestem, kim był ten mężczyzna.

— Co za mężczyzna?

— Był tu zeszłej nocy. Może to jej nowy chłopiec? Wysoki, jak pan, ciemne włosy... wielki.

— Co znaczy, wielki?

— Jak gracz w futbol, wie pan, potężny. Chociaż musi być sympatyczny. Widziałam, jak go obejmowała. To było zeszłej nocy.

Dzięki Ci, Boże, pomyślał Ryan, są jeszcze na świecie ludzie, którzy nie oglądają telewizji.

\* \* \*

Wybierając karabin, Kelly zdecydował się na powtarzalnego *Savage Model* 54 kalibru 0,22 cala. Była to dość droga broń — sto pięćdziesiąt dolarów z podatkiem. Niemal tyle samo kosztował celownik optyczny *Leopold* z uchwytami umożliwiającymi instalowanie go na karabinie. Ta broń wydawała się wręcz za dobra, jak na swoje przeznaczenie, czyli polowanie na drobną zwierzynę. Kolba i łożo, elegancko wykończone, zrobione były z orzecha. Szkoda, że będzie je musiał pokieraszować. Ale nie mógł przecież nie skorzystać z tego, czego nauczył się od mechanika z USS „Ogden”.

\* \* \*

Aby pozbyć się Eddiego Morello, trzeba było przystać na stratę znacznej ilości towaru. Takie były warunki umowy. W rezultacie, do policyjnego sejfu trafił w charakterze dowodu prezent — sześć kilogramów czystej heroiny. Trzeba to było jakoś odkręcić. Filadelfia wołała o więcej, a i ludzie z Nowego Jorku okazali rosnące zainteresowanie jego usługami. Widocznie im zasmakowało. Henry nie miał innego wyjścia, jak przygotować na statku jeszcze tę jedną, ostatnią wysyłkę. Niebawem to miejsce stanie się niepotrzebne. Tony organizował bezpieczne laboratorium w łatwiej dostępnym miejscu i bardziej odpowiadające jego rosnącej pozycji, ale dopóki nie było gotowe, trzeba było raz jeszcze zadziałać starymi metodami. Sam na tę wycieczkę się nie wybierał.

— Kiedy? — zapytał Burt.

— Dziś w nocy.

— W porządku, szefie. Kto ze mną jedzie?

— Phil i Mike.

Dwaj nowi należeli do organizacji Tony’ego. Byli młodzi, sprytni, ambitni. Nie znali dotąd Henry’ego i nie byli przewidziani do włączenia w jego lokalną siatkę dystrybutorów. Mogli natomiast obsługiwać dostawy zamiejscowe i byli chętni do prostych robót związanych z interesem — mieszania i pakowania. Uważali — i całkiem słusznie — że to etap przejściowy, punkt startu do zdobycia wyższej, bardziej odpowiedzialnej pozycji. Tony zaręczał, że są w porządku, i Henry’emu to wystarczyło. Byli teraz związani, na dobre i złe, wspólnymi interesami i wspólnie przelaną krwią. Od kiedy zaczął ufać Tony’emu, przyjmował też jego rady. Przeorganizował swoją siatkę, rezygnując z dziewczyn-kurierów. Stały się niepotrzebne, a więc nie było powodu, by pozwalać im dłużej żyć. Przykra sprawa, ale po tych trzech ucieczkach stało się jasne, że mogą być niebezpieczne. W początkowej fazie jego przedsięwzięcia, i owszem, spisywały się nieźle, ale teraz stanowiły tylko zbędny balast.

Ale wszystko po kolei.

— Ile tego jest? — zapytał Burt.

— Wystarczy, żebyś przez jakiś czas miał co robić. — Henry wskazał dłonią pudła z lodem na piwo. W tej chwili nie było w nich, oczywiście, zbyt wiele miejsca na piwo. Burt przeniósł je do samochodu. Bez ostentacyjnej niedbałości, ale spokojnie. Trzeba zachowywać się jak człowiek interesu, tak jest. Być może Burt zostanie jego pierwszym zastępcą? Był lojalny, posłuszny, twardy, jeśli wymagały tego okoliczności i o wiele bardziej godny zaufania, niż Billy czy Rick. I był jego bratem. Śmiechu warte. Z początku Billy i Rick wydawali się niezbędni, bo większość poważnych dystrybutorów była biała i Henry wziął ich na swoich reprezentantów. Cóż, los zdecydował inaczej. Teraz biali chłopcy przychodzili do niego, ot co.

— Zabierz ze sobą Xanthę.

— Szefuniu, będziemy mieli kupę roboty — zaprotestował Burt.

— Możesz ją tam zostawić, kiedy skończysz. — Po kolei, pojedynczo. Tak to chyba najlepiej załatwić.

\* \* \*

Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. Owszem, wykształcił w sobie tę cnotę, ale wyłącznie z konieczności. Nie ma jak działanie. Umocował lufę broni w imadle. Jeszcze nie zaczął właściwej roboty, a już jej eleganckie wykończenie diabli wzięli. Ustawił wiertarkę na szybkie obroty i przystąpił do wiercenia otworów rozmieszczonych w równych odstępach na końcowym, piętnastocentymetrowym odcinku lufy. Po godzinie jej wylot obejmowała stalowa rura. Zamocował też celownik optyczny. *AR-15* po takiej przeróbce był całkiem celny, przypomniał sobie Kelly.

\* \* \*

— Trafił ci się twardy orzech do zgryzienia, prawda tato?

— Gryziemy już jedenaście miesięcy, synu — przyznał Emmet, zasiadając do stołu. Przynajmniej raz przyszedł do domu o właściwej porze, tak że żona była prawie zadowolona.

— Mówicie o tej okropnej sprawie? — zapytała.

— Kochani, nie przy obiedzie, dobrze? — zaprotestował. Zawsze robił wszystko, żeby o tej części swojego życia nie rozmawiać w domu. Spojrzał na Jacka i zdecydował się poruszyć temat podjętej przez niego decyzji.

— Więc co, piechota morska?

— Tato, przecież to się opłaca. Ostatnie dwa lata szkoły za darmo, prawda? — Wyglądało na to, że jego syn martwił się o takie rzeczy, jak koszty studiów siostry,

w tej chwili przebywającej na obozie. Poza tym Jack, podobnie jak jego ojciec, chciał zaznać trochę przygód, zanim wyląduje na stałe w miejscu, jakie przeznaczy mu życie.

— Mój syn, gorąca głowa — dobrodusznie burknął Emmet. On też się martwił. Wojna w Wietnamie jeszcze się nie skończyła i może trwać nadal, gdy Jack ukończy szkołę. Jak większość ojców jego pokolenia, zadawał sobie pytanie, czy po to, u diabła, nadstawiał karku walcząc z Niemcami, żeby jego syn musiał robić to samo, walcząc z ludźmi, o których on za swoich młodych lat nawet nie słyszał?

— Spada jak grom z jasnego nieba, co to takiego? — wyrecytował Jack, powtarzając ulubione powiedzonko piechoty morskiej i szczerząc zęby po uczniaku.

Takie odzywki wytrącały z równowagi panią Ryan, która pamiętała pożegnanie z mężem i jak szóstego czerwca 1944 roku przez cały dzień modliła się u świętej Elżbiety. I jeszcze długo potem, mimo regularnych listów i uspokajających wiadomości. Pamiętała, czym było oczekiwanie. I wiedziała, że takie gadanie niepokoi też Emmeta, choć w inny sposób niż ją.

Co spada z nieba? Kłopoty! — chciał odpowiedzieć Ryan, jako że spadochroniarze też mieli swoją dumę. Ale nagle przyszła mu do głowy nowa myśl.

Kelly! Usiłovali złapać go telefonicznie. Straż Przybrzeżna obserwowała wyspę, na której mieszkał. Jego łódź zniknęła. Nigdzie nie mogli jej wypatrzeć. Gdzie był Kelly? Wrócił, jeśli wierzyć młodszej starszej pani. Po śmierci Doris Brown zabójstwa ustały. Na przystani przypominają sobie, że widzieli łódź, ale nocą, wczoraj, Kelly odpłynął i po prostu przepadł. To coś znaczy. Dokąd popłynęła łódź? Gdzie była teraz? Co spada z nieba? Kłopoty. Tak właśnie to się potoczyło. Po prostu spadły na nas z nieba. Spadły i są.

Żona i syn znów mieli przed sobą ten sam obrazek: przeżuwając jedzenie, zapatrzył się w przestrzeń, porwany wirem swoich spekulacji, niezdolny myśleć o niczym innym. Kelly w gruncie rzeczy nie jest inny, niż ja w dawnych czasach, dumiał Ryan. Sto jedynka. „Krzyczące Orły” ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Do dziś zadawali szyku swoimi luźnymi portkami. Emmet zaczął jako prosty szeregowiec i doszedł pod koniec wojny do rangi porucznika, którą zachował do dziś. Pamiętał, jak dumni byli z przynależności do jednostki specjalnej, jak czuli się niezwyciężeni i jak dziwnie łączyło się to z panicznym strachem, gdy wyskakiwało się z samolotu i lądowało na terytorium nieprzyjaciela, w ciemności, za całe uzbrojenie mając tylko broń strzelecką. Najtwardsi ludzie, obarczani najtrudniejszą misją. Misja. Kiedyś był taki sam jak Kelly. Ale nikt mu nie zabił kobiety... Co by się stało, gdyby po powrocie w 1946 dowiedział się, że ktoś zabił Catherine?

Nic dobrego.

Kelly uratował Doris Brown. Oddał ją w ręce osób, którym ufał. Zeszłej nocy był u jednej z nich. Wie, że Doris nie żyje. Uratował Pamelę Madden, potem ona

zginęła, a on wylądował w szpitalu. Wyszedł po kilku tygodniach, a faceci zaczęli ginąć w sposób zdradzający rękę zawodowca. Kilka tygodni... czas na powrót do formy. Potem zabójstwa po prostu ustały, a Kelly przepadł.

A co, jeśli po prostu wyjechał?

I teraz wrócił.

Coś się szykuje.

Z czymś takim nie mógłby iść do sądu. Jedynym dowodem rzeczowym był odcisk buta — oczywiście najzwyczajszego adidasa, jakich codziennie sprzedaje się setki. Czyli nic. Mieli motyw. Ale ilu ludzi mających po temu powody posuwa się aż do morderstwa? Wiedzieli, że ich podejrzany miał sposobność popełnić przestępstwo. Ale czy on sam mógłby wyliczyć się przed ławą przysięgłych ze swego czasu? Nikt by nie mógł. Jak wytłumaczyć to sędziemu... nie, niektórzy sędziowie by to pojęli, ale nie przysięgli, przeszkoleni po łebkach przez świeżo upieczonego absolwenta szkoły prawniczej.

Sprawa rozwiązana, pomyślał Ryan. On wiedział. Ale nic z tego nie miał, poza świadomością, że coś się szykuje.

\* \* \*

— Kto to? Jak myślisz? — zapytał Mike.

— Pewnie jakiś rybak — odparł Burt siedzący przy sterze. Prowadził „Ósemkę Henry’ego” w przyzwoitej odległości od jachtu z pomalowaną na biało kabiną. Słońce już zachodziło. Wyłynęli trochę za późno. Droga do ich laboratorium wiodła przez płataninę szlaków wodnych, a w nocy wszystko wyglądało inaczej. Burt spojrział w kierunku białej łodzi. Widoczny na pokładzie facet z wędką zamachał do nich dłonią. Burt odpowiedział podobnym gestem; skrzył na lewą burtę — dla niego był to po prostu zakręt w lewo. Szykowała się gorąca noc. Z Xanthy nie będzie wielkiego pożytku. No, może trochę, jak zrobią sobie przerwę na posiłek. Szkoda. Właściwie to niezła dziewczyna, tylko głupia i zaćpana na amen. Może tak to powinni załatwić? Dać jej posmakować naprawdę dobrego towaru, a potem siatka, kawałek betonu... Nie kryli się z nią. Siedziała sobie w łodzi razem z Mike’em i Philem i nie miała pojęcia, co ją czeka. Ano, to nie jest zmartwienie. Burt pokręcił głową. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład, jak Philowi i Mike’owi spodoba się praca pod jego komendą. Oczywiście, musi być wobec nich uprzejmy. Chyba zrozumieją. Chodzi o forszę — więc powinni. Poprawił się w fotelu i pociągnął łyk piwa, rozglądając się za czerwoną boją znakową.

\* \* \*

— Proszę, proszę — szepnął Kelly. Doprawdy, nie było to trudne. Billy powiedział mu wszystko, co wiedział. To miejsce leżało w głębi Zatoki. Wpływali



tam łodzią, zwykle w nocy, a rano z reguły wracali. Zwrot przy świecącej czerwonej boi. Cholernie trudna droga, prawie nie do przebycia nocą. Dla kogoś, kto nie znał tego akwenu. Kelly znał. Zwinął żyłkę, na której końcu dyndał pusty haczyk i podniósł do oczu lornetkę. „Ósemka Henry’ego”. Wielkość i kolor się zgadzały. Popatrzmy. Usadowił się wygodnie i obserwował płynącą na południe łódź. Przy czerwonej boi skręciła na wschód. Kelly zrobił znaczek na mapie. Co najmniej dwanaście godzin. Kupa czasu. Takie bezpieczne kryjówki mają zawsze jedną wadę — raz zdekonspirowane zamieniały się w fatalną pułapkę. Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą. Jedno wyjście, jedno wejście — niezły sposób na popełnienie samobójstwa. Czekać aż się ściemni, Kelly wyciągnął ze schowka puszkę farby w spraju i pokrył wierzch swojej dingi smugami zieleni. Wnętrze pomalował na czarno.

## 33 — Maskotka

Billy mówił, że zwykle zajmowało im to całą noc. Kelly miał więc czas, żeby coś zjeść, odpocząć i przygotować się. Podprowadził „Springera” w pobliże złomowiska, gdzie miał polować tej nocy, i zarzucił kotwicę. Zrobił sobie tylko kanapki, ale to było i tak lepsze od tego, co jadł na szczycie „swojego” wzgórze tydzień temu. Boże, tylko tydzień temu. Boże, jeszcze tydzień temu byłem na „Ogdenie” — pomyślał, kręcąc głową ze smutkiem. Jak można żyć tak po wariacku?

Po północy spuścił na wodę swoją małą dingi, pomalowaną w maskujący deseń. Do deski na rufie miała przyczepiony niewielki silnik elektryczny. Miał nadzieję, że akumulator, którym dysponował, wystarczy, żeby dotrzeć do celu i wrócić. To nie mogło być daleko. Z mapy wynikało, że Zatoka nie jest zbyt rozległa, a musieli obrać miejsce w samym jej środku, zapewniające maksymalne odosobnienie. Jeszcze tylko przyczernił sobie twarz i ręce i mógł zagłębić się w labirynt wraków. Sterował lewą ręką, nasłuchując i wypatrując czegoś, co brzmiałoby obco w tym otoczeniu. Niebo najwidoczniej mu sprzyjało. Noc była bezksiężycowa, a światło gwiazd pozwalało zaledwie dostrzec trawę i trzciny porastające zasilane wodami przyływu bagniste rozlewisko istniejące od kiedy pozostawiono tu wraki wielkich statków, powodując kompletne zamulenie tej części Zatoki. Jesienią miejsce to stawało się ulubionym siedliskiem ptaków.

Czuł się trochę jak na tej wietnamskiej rzece, parę dni temu. Niskie buczenie silniczka przypominało nawet odgłos systemu napędowego podwodnego skutera. Oszczędzał akumulator, sunąc bez pośpiechu z prędkością około dwóch węzłów. Tyle, że tym razem gwiazdy pomagały mu wyznaczać kurs. Bagienna trawa wyrastała nad wodą na ponad dwa metry i nietrudno było zrozumieć, dlaczego tamci nie kursowali nocą. Dla amatorów to rzeczywiście był labirynt. Ale nie dla Kelly’ego. Obserwował gwiazdy wiedząc, która wskazuje właściwy kierunek, nawet gdy zmieniały swe położenie na nieboskłonie. Tu on był górą. Oni byli mieszczuchami, nie mieli pojęcia o żegludze, i choć zdawało im się, że w tak sprytnie wybranym miejscu mogą bezpiecznie preparować swój śmiertcionośny towar, to pośród tej dzicy i niepewnych dróg nie mogli czuć się u siebie. — Nie będziecie się pchać na mój teren — mruknął Kelly. Nadstawił uszu, rezygnując na razie

z wpatrywania się w ciemność. Wysoka trawa szeleściła, poruszana łagodną bryzą wiejącą wzdłuż najszerszego w tym miejscu kanału, wijącego się między oblepionymi mułem badylami; tamci nie mieli jednak wyboru, musieli tędy płynąć. Kadłuby starych wraków wokół niego wyglądały jak duchy z innej epoki, i były nimi w istocie — relikdami z czasów zwycięskiej wojny, zabawkami tego wielkiego dziecka, jakim był wtedy ich kraj, dziś zmuszony borykać się z kłopotami dorosłego życia.

Usłyszał jakiś głos. Zgasił motor i przez chwilę dryfował, obracając głowę, by ustalić, skąd dochodził. Miał rację sądząc, że płynie ich szlakiem. Kanał skręcał właśnie w prawo, a hałas też dochodził z prawej strony. Ostrożnie, powoli wszedł w zakręt. Tuż za nim znajdowały się trzy wraki. Prawdopodobnie zostały przyholowane razem, i kapitanowie holowników z zawodowej próżności usiłowali ustawić je w jednej linii. Ten wysunięty najbardziej na zachód stał, przechylony na lewą burtę o siedem, osiem stopni. Miał staroświecką sylwetkę o niskiej nadbudówce, ze stalowym kominem od dawna przeżartym rdzą. Ale w miejscu, gdzie powinien być mostek kapitański, paliło się światło. Słuchają sobie muzyczki, pomyślał Kelly. Pewnie rocka, z którejś z tych rozgłośni nadających nocne programy dla kierowców ciężarówek.

Odczekał kilka minut, żeby lepiej zorientować się w otoczeniu i wybrać w ciemności drogę do celu. Ostatecznie postanowił podejść do dziobu, tam gdzie kadłub statku gwarantował najlepszą osłonę. Słyszał teraz więcej głosów. Ktoś zaśmiał się głośno. Ani chybi, opowiadają sobie kawały. Znow przystanął, omiatając wzrokiem sylwetkę statku w poszukiwaniu jakiejś pułapki, czegoś zwracającego uwagę... Ale niczego takiego nie było.

Sprytnie wybrali to miejsce. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobne lokum — nawet miejscowym wędkarzom nie przychodziło do głowy z niego korzystać — ale zawsze trzeba się mieć na baczności, bo żadne miejsce nie jest całkiem bezpieczne... Dostrzegł łódź. W porządku. Płynął teraz z minimalną prędkością, może pół węzła, trzymając się blisko burty statku, aż dotarł do ich motorówki. Przywiązał swoją cumę do najbliższego kołka. Sznurowa drabinka prowadziła na otwarty pokład wraku. Kelly wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać.

\* \* \*

Mechaniczna, nużąca robota, dokładnie tak, jak zapowiadał Burt, pomyślał Phil. Mieszanie heroiny z laktozą było właściwie dość proste. Przesiewało się ją do dużych misek z nierdzewnej stali, pilnując zachowania ustalonych proporcji. Pamiętał, jak w dzieciństwie pomagał matce przy pieczeniu ciasta, przypatrując się i ucząc rzeczy, o których, oczywiście, zapomniał z chwilą odkrycia baseballu.

Teraz tamte chwile stanęły mu przed oczami, przywołane grzechotaniem sitka, widokiem cukru sypiącego się do naczynia. To był właściwie dość przyjemny powrót do czasów, gdy nawet nie musiał wcześniej wstawać, żeby iść do szkoły. Ale potem następowało nużące przesypywanie precyzyjnie odmierzanych porcji do małych plastikowych kopert, które trzeba było spinać, układać w kupki, liczyć i pakować do torby. Wymieniał wściekle spojrzenia z Mike'em, który pewnie czuł się tak samo. Burt był chyba równie rozdrażniony, chociaż nie okazywał tego. Przy tym był tak miły, że pomyślał o rozrywce. Mieli radio, a w przerwach tę Xanthę, półprzytomną po prochach, ale... chętną, jak mogli wszyscy trzej stwierdzić podczas odpoczynku o północy. Zaćpana czy nie, używali sobie, póki sił starczyło. Spała teraz w kącie. O czwartej będzie jeszcze jedna przerwa, do tej pory zdążą trochę odsapnąć. Coraz ciężiej było czuć, a do tego Phil lękał się całego tego proszku, którego część na pewno unosiła się w powietrzu. Czy wdychał go? Może zaraz będzie na haju? Obiecał sobie, że jeśli będzie musiał robić to znowu, to zorganizuje sobie jakąś ochronną maskę. Owszem, podobał mu się pomysł robienia forsy na sprzedaży tego gówna, ale wcale nie miał ochoty go używać. Tony i Henry montowali porządne laboratorium na miejscu. Dupa nie będzie go tak bolała od podróży. To już coś.

Kolejna partia gotowa. Phil był trochę szybszy niż Mike i Burt. Chciał to już mieć z głowy. Podszedł do pudła z lodem i wziął następną kilogramową torebkę. Naciał scyzorykiem i powąchał, tak jak poprzednie. Paskudztwo, cuchnące jak chemikalia w szkolnej pracowni biologicznej, formaldehyd, czy jak to się tam nazywało. Rozciął torebkę scyzorykiem i wysypał zawartość do pierwszej z brzoгу stalowej miski, a następnie dodał wcześniej odmierzoną porcję cukru i zaczął mieszać łyżką w silnym świetle benzynowej lampy.

— Cześć pracy!

Żadnego ostrzeżenia. W drzwiach stał obcy facet z pistoletem w garści, w wojskowym pasiastym kombinezonie, z twarzą pomalowaną w czarne i zielone plamy.

Kelly nie musiał dbać o zachowanie ciszy. O tym powinna była pomyśleć jego zwierzyna. Zamontował w swoim *Colcie M1911A* starą lufę kalibru 0,45 cala, spokojny, że jej wylot, szeroki jak wjazd do tunelu, wyrze odpowiednie wrażenie. Wykonał rozkazujący ruch lewą ręką.

— Tutaj. Na pokład, twarzą do ziemi, ręce na kark, pojedynczo. Ty pierwszy — rzekł do tego przy naczyniu do mieszania.

— Ktoś ty, do jasnej cholery? — zapytał czarny.

— Ty jesteś pewnie Burt, tak? Nie rób przypadkiem żadnych głupstw.

— Skąd wiesz, jak się nazywam?

Phil zajął swoje miejsce na podłodze. Kelly nakazał drugiemu białemu pójść w jego ślady.

— Wiem to i owo — powiedział, zbliżając się do Burta. Zobaczył dziewczynę śpiącą w kącie. — Kto to?

— Słuchaj, złamasie! — zaczął Burt. Lufa czerdziesiątkipiątki znalazła się nagle na wysokości jego twarzy, oddalona na wyciągnięcie ręki.

— No, co? — spytał Kelly konwersacyjnym tonem. — Na podłogę! Ale już! — Burt posłuchał natychmiast.

Dziewczyna może sobie jeszcze pospać. Teraz musiał ich obszukać. U dwóch znalazł małe rewolwery. Trzeci miał nieszkodliwy scyzoryk.

— Hej, kto ty jesteś? Może porozmawiamy? — próbował zagadywać Burt.

— Porozmawiamy. Opowiedzcie mi o narkotykach.

\* \* \*

W Moskwie była dziesiąta rano, kiedy raport Wołoszyna po rozszyfrowaniu opuścił departament łączności. Kierownictwo I Zarządu KGB w każdej chwili mogło dysponować dowolną liczbą wysokich funkcjonariuszy. Jednym z nich był akademik, pozostający w służbie I Zarządu, specjalista od spraw amerykańskich i doradca szefa KGB oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych w dziedzinie odprężenia, zwanej przez amerykańskie środki przekazu *détente*. Człowiek ten, nie posiadający, jak etatowi pracownicy KGB, stopnia wojskowego, był prawdopodobnie najwłaściwszą osobą do uruchomienia szybkiej akcji — nawet jeśli uwzględnić fakt, iż kopia meldunku trafiła także na biurko zastępcy przewodniczącego Komitetu z pominięciem I Zarządu, dla którego pracował Wołoszyn. Sam raport był jak zwykle krótki i rzeczowy. Akademik zareagował nań wielkim poruszeniem. Zmniejszenie napięcia w stosunkach między dwoma supermocarstwami, i to teraz, w środku prowadzonej przez jedno z nich wojny, zakrawało na cud. Jednoczesne zbliżenie amerykańsko-chińskie stwarzało sytuację, która mogła wieścić początek nowej ery w polityce światowej. Dokładnie to samo powiedział nie dalej niż dwa tygodnie temu w swoim wystąpieniu dla członków Biura Politycznego. Natomiast podanie do publicznej wiadomości faktu, że radziecki oficer zamieszany był w coś takiego... nie, to czyste szaleństwo. Czy za tą sprawą nie krył się jakiś kretyn z GRU? Jeśli tak, należało to sprawdzić. Akademik postanowił więc skontaktować się z zastępcą przewodniczącego.

— Jewgienij Leonidowicz? Otrzymałem właśnie pilną wiadomość z Waszyngtonu.

— Ja też, Wania, ja też. Co sugerujesz?

— Jeśli to, co utrzymują Amerykanie, jest prawdą, zalecałbym niezwłoczne podjęcie odpowiednich kroków. Rozpowszechnianie wiadomości o tym idiotyzmie może mieć katastrofalne skutki. Czy jesteście w stanie potwierdzić informację Wołoszyna? Tam rzeczywiście coś takiego się dzieje?

— Tak. A co potem. . . Ministerstwo Spraw Zagranicznych?

— Jak najbardziej. Po linii wojskowej trwałoby to zbyt długo. Nie będą protestować?

— Kto? Nasi sprzymierzeńcy z bratniego, socjalistycznego Wietnamu? Żeby ich przekonać, wystarczy jeden transport rakiet przeciwlotniczych. Od tygodni zebrzą o nowe dostawy — odrzekł zastępca przewodniczącego.

Tak to właśnie wygląda, pomyślał akademik. Żeby uratować życie kilku Amerykanów wyślemy do Wietnamu broń, od której zginą ich dziesiątki. I Amerykanie gotowi są to zaakceptować. Obłąd. Trudno o lepszy dowód konieczności działania na rzecz *détente*. Jak dwa wielkie mocarstwa mają sensownie zdefiniować swoje wzajemne stosunki, skoro obydwa zaangażowane są — bezpośrednio lub nie — w awantury z mniejszymi państwami? W ten sposób zapominało się o tym, co naprawdę ważne. Tak nie można.

— Stanowczo zalecam pośpiech, Jewgieniju Leonidowiczu — powtórzył akademik. Zastępca przewodniczącego przewyższał go obecnie pozycją, ale kiedyś byli kolegami z jednej klasy i drogi ich karier wielokrotnie się krzyżowały.

— Tak, Wania. Całkowicie się z tobą zgadzam. Po południu znów się skontaktuję.

\* \* \*

To chyba cud, myślał Zacharias, rozglądając się wokół. Od miesięcy nie opuszczał celi i już sam zapach świeżego powietrza, ciepłego i wilgotnego, wydawał mu się jakimś szczególnym darem bożym. Przeliczył pozostałych: osiemnastu mężczyzn, od pięciu lat złączonych wspólnym losem, stojących szeregiem na placu alarmowym. W przyćmionym świetle zmierzchu widział ich twarze. Jedną z nich wydawała mu się znajoma — facet z Marynarki, poznany jakby całe wieki temu. Wymienili spojrzenia i wątle uśmiechy. Inni robili to samo. Niestety, nie pozwolono im rozmawiać. Już przy pierwszej próbie któryś z więźniów zakosztował pięści strażnika. W tej chwili Robinowi wystarczał jednak sam widok kolegów, świadomość, że nie jest sam, że są tu z nim inni. Głupstwo, a przecież tak wiele. Stał prosto, chociaż nie bardzo pozwalał mu na to uszkodzony kręgosłup, a kiedy niski, skośnooki oficer zaczął coś mówić do swoich ludzi, stojących w szeregu naprzeciw nich — spróbował nawet wyprostować ramiona. Nie znał wietnamskiego na tyle, by rozumieć gwałtownie rzucane słowa.

— Przypatrzcie się. Oto wasi wrogowie — mówił kapitan. Wkrótce miał poprowadzić swój oddział na południe. Jego żołnierze mieli nieoczekiwaną sposobność ujrzeć żywego wroga i kapitan doszedł do wniosku, że będzie to świetnym uzupełnieniem ich szkolenia. — Nie są tacy twardzi, ci Amerykanie — perorował. — Spójrzcie, ani specjalnie wielcy, ani groźni, prawda? Ich też można zmusić do uległości, złamać i zranić. To nic trudnego. A to są najlepsi z nich. Ci,

którzy zrzucają bomby na nasz kraj i zabijają naszych rodaków. Z takimi ludźmi przyjdzie wam walczyć. Czy warto się ich bać? A gdyby inni Amerykanie byli tak głupi, żeby próbować odbić tych tutaj, skorzystamy z okazji, by przeciwżyć sztukę ich zabijania. — W tym miejscu kapitan uznał, że morale oddziału zostało dostatecznie podbudowane i rozkazał żołnierzom rozejść się na posterunki.

Mógłbym to zrobić, myślał. Wkrótce nie będzie to miało znaczenia. Z dowództwa pułku dotarły do niego pogłoski, że władze polityczne w każdej chwili mogą dać znak do ostatecznej likwidacji obozu, a wtedy jego ludzie rzeczywiście będą mieli okazję trochę poćwiczyć, zanim udadzą się na szlak Wujka Ho, żeby zabijać dla odmiany uzbrojonych Amerykanów. Póki co, jeńcy stanowili trofeum wojenne, którym mógł się posłużyć, by wypłenić ze swoich żołnierzy strach przed wielką niewiadomą, jaką dla rekruta jest zawsze pierwsza bitwa. I żeby wzbudzić w nich gniew, bo to istotnie byli ci ludzie, którzy swoimi bombami obracali ich piękny kraj w pustynię. Wybrał już grupkę dziesiętnastu młodych żołnierzy i szkolił ich szczególnie troskliwie, nie żałując ich potu. Ci mieli wkrótce poznać smak zabijania. Dobrze im to zrobi. Kapitan niejednokrotnie zastanawiał się, ilu z nich wróci do domu.

\* \* \*

Przed powrotem na północ, Kelly zatrzymał się na przystani miejskiej w Cambridge, żeby zatankować. Wiedział już wszystko — w każdym razie dość, by przystąpić do dzieła. Zbiorniki pełne, jemu zaś udało się zdobyć mnóstwo pożytecznych informacji. I po raz pierwszy uderzył sukinsynów po kieszeni — diabli wzięli ich trzytygodniową produkcję. To powinno wywołać wśród nich trochę zamieszania. Mógłby zabrać heroinę i użyć jej jako przynęty... ale nie, nie mógł tego zrobić, zwłaszcza teraz, gdy sądził, że wie, jaką drogą to przechodzi do kraju. Burt wiedział tyle, że przesyłki odbierane są gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu. Kimkolwiek był ten Henry Tucker, paranoja nie szkodziła jego inteligencji — planował swoje operacje w taki sposób, że w innych okolicznościach Kelly mógłby go podziwiać. Ale chodziło o cuchnące śmiercią torebki azjatyckiej heroiny, przyptykające na Wschodnie Wybrzeże. Ile rzeczy, nad którymi unosił się odór śmierci, przyptywało z Azji wciąż tą samą drogą, na wschód Stanów Zjednoczonych? Kelly mógł myśleć tylko o jednej, a to, że znał ludzi, których ciała trafiały do bazy lotniczej Pope, jedynie podsycalo jego gniew i umacniało w determinacji, by tym razem rzecz doprowadzić do końca. Przepłynął koło murowanej z cegły latarni morskiej na Sharp's Island i skierował „Springera” na północ. Wracał do miasta, w pełni świadom, że tam będzie musiał sobie radzić w sytuacji zagrożenia z wielu stron.

Jeszcze ten jeden raz.

\* \* \*

Niewiele było miejsc na wschodzie Ameryki równie sennych jak okręg Somerset. Na całym tym obszarze, gdzie przeważały wielkie, oddalone od siebie farmy, znajdowała się tylko jedna szkoła średnia. I jedna autostrada pozwalająca na szybki przejazd bez postojów. Trasy wiodące do Ocean City, nadmorskiego stanowego kąpieliska, omijały ten teren, a najbliższa autostrada międzystanowa biegła po drugiej stronie Zatoki. Przestępczość była tu tak znikoma, że właściwie niedostrzegalna, chyba że ktoś szczegółowo badał statystykę w tej czy innej kategorii występków. Pojedyncze morderstwo mogło przez całe tygodnie nie schodzić z pierwszych stron lokalnych gazet, a włamania nie stanowiły problemu, skoro każdy potencjalny rabuś wiedział, że gospodarz poczęstuje nocnego intruza porcją śrutu ze strzelby kalibru 12, i po sprawie. Jedynym bodaj problemem były naruszenia przepisów drogowych i tym właśnie zajmowała się policja stanowa, krążąca po drogach żółtymi wozami z silnikami o niezwykajnie wysokiej mocy, umożliwiającymi pościg za podchmielonymi kierowcami, którzy starali się zwalczać nudę dostatniego życia, nazbyt często odwiedzając okoliczne sklepy monopolowe.

Starszy posterunkowy Ben Freeland, urodzony w Somerset, świeżo upieczony absolwent czteroletniej szkoły policyjnej w Pikesville, odbywał swój codzienny patrol. Zawsze mogło zdarzyć się coś poważnego i uważał za swój obowiązek znać dobrze teren, każdą piędź ziemi, każdą farmę i skrzyżowanie dróg, by jak najszybciej znaleźć się na miejscu, gdy otrzyma naprawdę poważne wezwanie. Właśnie rozmyślał o swoim awansie na kaprała, kiedy na Postbox Road, niedaleko wioski o dziwacznej nazwie Dames Quarter, dostrzegł pieszego. Widok był osobliwy, bo wszyscy tutaj czymś jeździli. Nawet dzieci od małego nie schodziły z roweru, a podrosłszy nieraz siadały za kierownicą samochodu na długo przed osiągnięciem przepisowego wieku, co było jednym z cięższych wykroczeń, z jakimi się stykał. Nie zwrócił jednak szczególnej uwagi na to zjawisko, zanim nie zbliżył się na odległość kilkuset metrów. Otóż pieszy — teraz zobaczył, że to kobieta — szła wyraźnie chwiejnym krokiem. Podjechał jeszcze bliżej i stwierdził po ubiorze, że nie jest tutejsza. To było jeszcze dziwniejsze, bo jeśli ktoś przybywał tu z zewnątrz, to zawsze samochodem. Szła więc zygzakami, to wydłużając krok, to drobiąc, co dla posterunkowego Freelanda oznaczało, że może oto mieć do czynienia z nietrzeźwością w miejscu publicznym, a więc z poważnym, jak na tutejsze warunki, naruszeniem prawa. To z kolei znaczyło, że powinien podjechać i bacznie przyjrzeć się tej kobiecie. Zwolnił, zjechał swoim wielkim Fordem na żwirowane pobocze, wyhamował łagodnie, zatrzymując się półtora metra przed nią i wysiadł, wkładając przepisowo kapelusz i poprawiając kaburę.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmie. — Czy pani się nie zgubiła? Zrobiła jeszcze dwa kroki, po czym przystanęła i spojrzała na niego błędnym wzrokiem.



— Kim pani jest?  
Nachylił się ku niej, ale nie poczuł alkoholu. Dotąd narkotyki nie stanowiły tu poważnego problemu. Ale może to się właśnie zmienia, pomyślał.

— Jak pani się nazywa? — zapytał już bardziej rozkazującym tonem.

— Xantha. Przez iks — odrzekła i uśmiechnęła się.

— A skąd jesteś, Xantha?

— Stamtąd.

— To znaczy skąd?

— Z Atlanty.

— To kawał drogi.

— A pewnie! — zaśmiała się. — Nie widział, że mam jeszcze. — Zdawało się, że uważa swoje słowa za dobry żart i sekret, którym trzeba się podzielić. — Trzymam je w biustonoszu.

— A co takiego?

— Moje pigułki. Trzymam je w biustonoszu, a on nie wiedział.

— Mogę je zobaczyć? — spytał Freeland. Był mocno zaintrygowany. Czuł, że tego dnia dokona prawdziwego zatrzymania.

Zaśmiała się, sięgając za biustonosz.

— Teraz się cofnij.

Freeland usłuchał. Nie chciał budzić jej czujności, choć prawą dłoń przesunął w okolicę kabury. Xantha sięgnęła w zanadrze niedopiętej bluzki i wyciągnęła garść czerwonych kapsułek. A więc to było to. Otworzył bagażnik, potem zestaw do zabezpieczania dowodów i wyjął kopertę.

— Może włożymy je tutaj, żeby nie zginęły?

— Świetnie!

Miły chłopak z tego policjanta, pomyślała.

— Czy mogę cię podwieźć?

— No chyba, zmęczyło mnie chodzenie.

Procedura wymagała, żeby takiej osobie zakładać kajdanki, co też uczynił, a następnie pomógł jej wsiąść na tylne siedzenie wozu. Nie okazała najmniejszego zdziwienia.

— Dokąd jedziemy?

— Powiem ci, Xantho, sądzę, że trzeba ci znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabyś się położyć i trochę odpocząć. Ja ci to załatwię, dobrze?

Wiedział, że ma murowaną sprawę o posiadanie narkotyków.

— Burt i tamci też odpoczywają, tylko że już się nie obudzą.

— Co ty pleciesz?

— Rozwalił ich, bang, bang, bang — pokazała ręką. Freeland zobaczył to w lusterku i omal nie zjechał z drogi.

— Kto to był?

— Biały chłopak, nie wiem jak się nazywa, nawet nie widziałam jego twarzy, ale ich przerobił. Bang, bang, bang.

Jasny gwint!

— Gdzie?

— Na statku, a gdzie?

Dziwiła się, że ktoś może o tym jeszcze nie wiedzieć.

— Na jakim statku?

— No, na wodzie, głuptasie.

— Robisz ze mnie balona?

— A najśmieszniejsze, że zostawił tam cały proszek, ten biały chłopak. A właściwie zielony.

Freeland oczywiście nie miał pojęcia, o co chodzi, ale uważał, że należy to jak najprędzej wyjaśnić. Włączył koguta na dachu i wcisnął gaz do dechy. Zdecydował się jechać do komendy policji stanowej w Wetover. Powinien zawiadomić ich przez radio, ale zrezygnował z tego. Nic by nie osiągnął, co najwyżej kapitan doszedłby do wniosku, że on sam jest na prochach.

\* \* \*

— „Springer”, rzuć no okiem na lewą tylną ćwiartkę! Kelly podniósł do ust mikrofon.

— Znamy się? — zapytał, nie patrząc.

— Gdzieś ty się u diabła podziewał, Kelly? — odpowiedział pytaniem Oreza.

— Podróż służbowa. Co cię to obchodzi?

— Tęskniłem za tobą. Zwolnij trochę.

— Coś ważnego? Śpieszy mi się, Dniówka.

— Hej, Kelly, powiem jak marynarz do marynarza, zwolnij, dobra?

Gdyby nie znał tego człowieka... ale nie, kimkolwiek by był, Kelly musiał grać dalej. Zmniejszył obroty silnika i w ciągu kilku minut kuter zbliżył się do „Springera”. Teraz tamten zażąda, żeby się zatrzymał, i będzie chciał wejść na pokład. Oreza miał do tego wszelkie prawa. Kelly mógł próbować ucieczki, ale to niczego nie ułatwiało. Wyłączył napęd i stanął w dryf. Nie pytając o zgodę Oreza wskoczył na pokład, jak tylko kuter przybił do burty jachtu.

— Czołem, bosmanie — przywitał się.

— O co chodzi?

— W ostatnich tygodniach dwukrotnie byłem na twojej wyspie, żeby napić się z tobą piwa i nikogo nie zastałem.

— No, nie chciałem, żebyś pełnił służbę po pijanemu.

— Człowiek sterczy tu sam i nie ma komu podokuczać.

Nagle okazało się, że obaj czują się dziwnie skrępowani, ale żaden nie wiedział, co jest tego przyczyną u drugiego. — Gdzie, do cholery, byłeś tyle czasu?

— Musiałem wyjechać za granicę. Interesy — odparł Kelly. Było jasne, że więcej nie powie.

— Niech tam. Będiesz w pobliżu przez jakiś czas?

— Taki mam zamiar.

— Dobra, może wpadnę w przyszłym tygodniu wysłuchać kilku łągarstw o tym, jak to się żyje bosmanom w Marynarce. Zwłaszcza tym na emeryturze.

— Bosmani Marynarki nie muszą łągać. Potrzebujesz jakichś wskazówek w dziedzinie nawigacji?

— Nie chrzań! Może od razu powinienem zrobić ci regulaminową kontrolę bezpieczeństwa!

— Sądziłem, że to przyjacielska wizyta — zauważył Kelly i obaj mężczyźni poczuli się jeszcze bardziej zakłopotani. Oreza usiłował nadrabiać uśmiechem.

— Dobra, potraktuję cię ulgowo — powiedział żartobliwie, ale i to nie odniosło skutku. — Będę cię łąpał w przyszłym tygodniu.

Podali sobie ręce, ale już coś ich od siebie odgradzało. Oreza pomachał na swoich, żeby podpłynęli i przeskoczył na kuter jak zawodowiec, którym w istocie był. Odpłynęli.

Kelly wzruszył ramionami i zwiększył obroty silnika.

\* \* \*

Oreza patrzył, jak „Springer” oddala się na północ, zastanawiając się, o co tu, do diabła, chodzi. — Za granicą — powtórzył sobie na głos. Na pewno nie było jego łodzi nigdzie w zatoce Chesapeake, ale w takim razie — gdzie była? Dlaczego gliny tak się interesują tym facetem? Czy to możliwe, żeby Kelly parął się jakąś mokrą robotą? Za coś przecież dostał ten Krzyż Marynarki. Służył w UDT, tyle Oreza wiedział. Poza tym, fajnie się z chłopem gadało przy piwie, i na swój sposób dobrym był marynarzem. No tak, wszystko się skomplikowało, kiedy przestałem robić swoje i zabrałem się za to policyjne paskudztwo, pomyślał kierując łódź na południowy zachód, do Thomas Point. Musiał zatelefonować.

\* \* \*

— Jak to się stało?

— Po prostu wiedzieli, co planujemy — bez wahania odpowiedział Ritter.

— Skąd? — zdziwił się MacKenzie.

— Jeszcze tego nie ustaliliśmy.

— Przeciek?

Ritter wyjął z kieszeni fotokopię dokumentu i podał ją Rogerowi. Oryginał napisano po wietnamsku. Na kopii pod pierwotnym tekstem widniało dopisane

ręcznie tłumaczenie. W maszynopisie kilkakrotnie powtarzało się angielskie słowo ZIELENIAK.

— Znali nawet kryptonim?

— To niedopatrzenie z ich strony, że to ujawnili, ale istotnie, wygląda na to, że znali kryptonim. Przypuszczam, że chcieli wykorzystać tę informację przeciw *marines*, których spodziewali się ująć w trakcie akcji. Takie rzeczy przydają się, kiedy trzeba kogoś szybko złamać. Mieliśmy jednak szczęście.

— Wiem. Wszyscy wrócili cali i zdrowi.

Ritter skinął głową.

— Jednego z naszych wysłaliśmy tam wcześniej. Faceta z SEAL, bardzo dobrego w tej robocie. Widział, jak do obozu dotarły posiłki. To on odwołał akcję. A potem zwyczajnie zlął ze wzgórza. — W takiej pobieżnej relacji brzmiało to bardzo dramatycznie, szczególnie dla kogoś, kto w swoim czasie poznał zapach prochu.

MacKenzie aż gwizdnął z podziwu.

— Facet musi mieć żelazne nerwy.

— To jeszcze nic — spokojnie odparł Ritter. — W drodze powrotnej zgarnął Rosjanina, który przesłuchiwał tam naszych ludzi i wietnamskiego komendanta obozu. Mamy ich obu w Winchester. Żywych — Ritter uśmiechnął się.

— A więc stąd macie ten meldunek! Sądziłem, że z nasłuchu radiowego. Jak on to wszystko zrobił?

— Jak powiedziałeś, facet ma żelazne nerwy. No, i tyle dobrych nowin.

— A teraz pewnie będę musiał wysłuchać złych.

— Mamy powody sądzić, że tamci mogą zechcieć zlikwidować obóz i wszystkich jego mieszkańców.

— Rany boskie... Henry jest właśnie w Paryżu.

— Nie tędy droga. Jeśli on to wyciągnie, nawet na którymś z nieoficjalnych posiedzeń, oni po prostu zaprzeczą. Mogą się przy tym przestraszyć i próbować pozbyć się wszelkich dowodów.

Wiadomo było, że na konferencjach w rodzaju tej, w Paryżu, najważniejsze sprawy załatwia się w kularach, nie przy stole konferencyjnym, gdzie wszystko grzęźnie w protokularnej procedurze.

— Masz rację. Więc co teraz?

— Chcemy to załatwić przez Rosjan. Mamy z nimi bezpośredni kontakt. Ja sam go zainicjowałem.

— Zawiadam mnie, co z tego wynikło.

— Oczywiście.

\* \* \*

— Dziękuję, że zgodził się pan na rozmowę — powiedział Ryan.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytał Sam Rosen. Siedzieli w jego biurze, niezbyt obszernym, we czwórkę, z Sara i Sandy.

— Chodzi o pana byłego pacjenta, Johna Kelly. — Ryan spostrzegł, że nie są specjalnie zaskoczeni tą wiadomością. — Muszę z nim porozmawiać.

— A co stoi na przeszkodzie? — zapytał Sam.

— Nie wiem, jak go znaleźć. Miałem nadzieję, że może państwo, jako jego przyjaciele, wiedzą, gdzie się obraca.

— A o czym chce pan z nim rozmawiać? — spytała Sarah.

— O pewnej serii zabójstw — wypalił Ryan, licząc na wstrząs wywołany brutalnym postawieniem sprawy.

— A kto zginął? — to pytanie zadała pielęgniarka.

— Wiele osób, między innymi Doris Brown.

— John nic jej nie zrobił... — zaprotestowała Sandy, nim Sarah Rosen zdążyła dotknąć jej ręki.

— A zatem wie pani, kim jest Doris Brown — zauważył detektyw, może trochę zbyt pośpiesznie.

— John i ja zostaliśmy... przyjaciółmi — powiedziała Sandy. — Przez ostatnich parę tygodni był za granicą. Nie mógł nikogo zabić.

Ajajaj! — wykrzyknął w duchu Ryan. To była i dobra, i zła wiadomość. Przywołanie osoby Doris Brown nie wywołało aż takiego efektu, jakiego się spodziewał, ale reakcja pielęgniarki na jego oskarżenie była nieco zbyt emocjonalna. Jeden jego domysł został potwierdzony.

— Za granicą? Gdzie? Skąd pani wie?

— Nie sądzę, by wolno mi było powiedzieć, gdzie. Nie powinnam o tym wiedzieć.

— Co pani przez to rozumie? — zapytał zdziwiony policjant.

— Przepraszam, sądzę, że nie powinnam o tym mówić. — Jej odpowiedź zdradzała szczerość, a nie chęć wykręcenia się.

Co to, u licha, ma znaczyć? Ryan postanowił przejść nad tym na razie do porządku.

— Ktoś o imieniu Sandy dzwonił do domu Brownów do Pittsburgha. To była pani, prawda?

— Panie poruczniku — wtrąciła się Sarah — nie bardzo rozumiem, dlaczego zadaje pan te wszystkie pytania.

— Staram się wyjaśnić pewne okoliczności. Chcę też, żeby państwo powiedzieli swojemu przyjacielowi, że powinien się do mnie zgłosić.

— Czy to jest śledztwo w sprawie kryminalnej?

— Tak.

— I pan nas przesłuchuje — zauważyła Sarah. — Mój brat jest adwokatem. Czy nie powinnam go tu wezwać? Pan pyta, co wiemy o jakichś morderstwach.

Jestem tym zaniepokojona. Chciałabym wiedzieć, czy ktoś z nas jest o coś podejrzany?

— Nie, ale przyjaciel państwa — tak.

Ryan nie chciał ściągać sobie teraz na głowę adwokata.

— Chwileczkę — powiedział Sam. — Skoro uważa pan, że John mógł zrobić coś złego i chce pan, żebyśmy go dla pana odszukali, to z tego wynika, że według pana wiemy, gdzie on jest, prawda? Czy to nie czyni z nas ewentualnych... pomocników?... Współsprawców, to jest chyba właściwe słowo?

A nie jesteście nimi? — chciał zapytać Ryan, ale postanowił nie szarżować.

— Czy ja to powiedziałem?

Chirurg zwrócił się do żony:

— Nigdy dotąd nie zadawano mi takich pytań. Ja też jestem zaniepokojony. Dzwon po brata.

— Proszę zrozumieć, ja nie mam powodu sądzić, że ktoś z państwa zrobił coś złego. Ale co się tyczy państwa przyjaciela, to owszem, takie powody istnieją. Chcę powiedzieć tyle: oddacie mu przysługę prosząc, żeby się ze mną skontaktował.

— Kogo on według pana zabił?

— Kilku handlarzy narkotyków.

— Czy pan wie, czym ja się zajmuję? — spytała Sarah gwałtownie. — Czemu poświęcam tutaj większość czasu?

— Tak, proszę pani, wiem. Uzależnionym.

— Jeśli John rzeczywiście robi to, co pan mówi, może powinnam kupić mu pistolet!

— To przykre, gdy traci się kogoś z podopiecznych, prawda? — zapytał Ryan spokojnie, próbując ułagodzić jej gniew.

— Żeby pan wiedział. Nie jesteśmy od tego, by tracić pacjentów.

— Na przykład Doris Brown?

Chciała potwierdzić, ale rozsądek wziął górę i zmilczała.

— To on przyprowadził ją do pani, prawda? — ciągnął Ryan. — I razem z panią O'Toole ciężko pracowałyście, żeby ją wyciągnąć ze stanu, w jakim się znajdowała. Sądzi pani, że mógłbym widzieć w tym coś niewłaściwego? Ale zanim on oddał ją w wasze ręce, zabił dwóch ludzi. Wiem o tym. To byli prawdopodobnie ci, którzy zamordowali Pamelę Madden i o tych mu chodziło. Państwa przyjaciel, Kelly, może być nie wiem jak twardy, ale wszystkich rozumów nie zjadł, choć tak mu się wydaje. Jest różnica, czy przyjdzie teraz do nas, czy poczeka, aż sami go złapiemy. Powiedzcie mu to. Oddacie mu przysługę, zgoda? I sobie też. Póki co, nie sądzę, żeby złamali państwo prawo. Ale może wyjść i na to, jeśli zrobicie dla niego coś innego niż to, o co proszę. Zwykle nie udzielam takich przestróg — dodał surowym tonem. — Nie jesteście przestępcami. Wiem o tym. To, co zrobiliście dla tej dziewczyny, Doris Brown, jest godne najwyższego szacunku i przykro

mi, że tak to się skończyło. Ale Kelly chodzi po mieście i zabija ludzi, i to jest złe. Mówię to tylko na wypadek, gdyby mieli państwo po drodze o czymś zapomnieć. Ja też nie lubię narkotyków. Sprawa Pameli Madden, tej dziewczyny z fontanny, należy do mnie. Ja naprawdę chcę posadzić tych ludzi za kratki, chcę widzieć, jak idą do komory gazowej. To moja robota, dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie jego, moja. Czy państwo to rozumieją?

— Tak, sądzę, że tak — odpowiedział Sam Rosen, myśląc o rękawiczkach, które dał Kelly’emu. Sprawy zaczynały przybierać całkiem inną postać. Dotąd widział wszystko z wielkiego dystansu, silnie przeżywał zabójstwa dziewczyn, a jednocześnie to, co robił jego przyjaciel, było dlań czymś odległym, jak prasowe sprawozdanie z nieciekawego meczu. Teraz rzecz wyglądała inaczej: był zamieszany. — Proszę mi powiedzieć, czy jesteście już bliscy złapania morderców Pam?

— Wiemy już co nieco — odrzekł Ryan, nie zdając sobie sprawy, że taką odpowiedzią zaprzepaścił niepowtarzalną szansę.

\* \* \*

Oreza znów ślęczał nad znienawidzonym biurkiem, utwierdzając się w niechęci do awansu. Jako dowódca musiałby mieć własne biuro, należeć do „kierownictwa”, zamiast po prostu pływać łodzią. Chorąży English był na urlopie, a jego zastępca wyjechał coś załatwić, jemu, jako najstarszemu rangą zostawiając wszystko na głowie. Ale w końcu to była jego praca. Podoficer odszukał na biurku wizytówkę i wybrał numer.

— Wydział Zabójstw.

— Proszę z porucznikiem Ryanem.

— Nie ma go.

— A sierżant Douglas?

— Jest dzisiaj w sądzie.

— Dobra, zadzwonię później.

Odwiesił słuchawkę. Spojrzał na zegar. Dochodziła czwarta po południu, a był na posterunku od północy. Wyjął z szuflady formularz i zaczął wypisywać, ile paliwa dziś zużył, ścigając po zatoce Chesapeake pijanych właścicieli łodzi. Potem pojedzie do domu, zje obiad i trochę się prześpi.

\* \* \*

Problem w tym, żeby zrozumieć, co ona właściwie chciała powiedzieć. Wezwali lekarza z naprzeciwka, który stwierdził zatrucie barbituranami, co nie było

rewelacją, a następnie oświadczył, że trzeba po prostu poczekać, aż substancja sama opuści organizm. Te dwie informacje kosztowały okręg dwadzieścia dolarów. Przesłuchiwano ją już od kilku godzin, ale nic nie zmieniła w swoim opowiadaniu, tyle że na przemian weselała i popadała w przygnębienie. Trzej ludzie zakatrupieni, bang, bang, bang. Coraz mniej ją to bawiło. Zaczęła sobie przypominać, jaki był Burt, i ta rozmowa przestała jej się podobać.

— Tej dziewczynie niewiele potrzeba, żeby weszła na orbitę okołozemską. Struta na amen — zauważył kapitan.

— Trzech ludzi zabitych na jakimś statku — powtórzył posterunkowy Freland. — Mamy nazwiska i całą resztę.

— Wierzysz w to?

— Opowiada wciąż to samo.

— Niby tak. — Kapitan spojrzał na niego. — Lubisz czasem wypływać na ryby. Powiedz, Ben, tak na wycucie, gdzie to może być?

— Gdzieś w okolicach Bloodsworth Island.

— Przytrzymamy ją przez noc za pijaństwo w miejscu publicznym... oskarżenie o posiadanie jest nie do ruszenia, zgadza się?

— Kapitanie, wystarczyło ją tylko poprosić. Sama wręczyła mi to świństwo.

— Dobrze, załatw teraz co trzeba, żeby ją zamknęli.

— A co potem?

— Lubisz latać helikopterem?

\* \* \*

Tym razem wybrał inną przystań. Okazało się, że nie ma z tym kłopotu, bo zawsze na wodzie było dużo łodzi: ludzie łowili ryby albo urządzali przyjęcia, a w dodatku akurat tutaj było mnóstwo stanowisk do cumowania dla chwilowych gości, pływających latem wzdłuż wybrzeża. Kapitan portu obserwował łódź, fachowo wprowadzaną na trzecie co do wielkości stanowisko przy nabrzeżu, co było raczej rzadkością w przypadku właścicieli większych jachtów motorowych. Tym bardziej zdziwił go młody wiek gościa.

— Na długo pan się zatrzymuje? — zapytał, pomagając założyć cumy.

— Parę dni. Może być?

— Oczywiście.

— Nie robi panu różnicy, jeśli zapłacę gotówką?

— Gotówkę też przyjmujemy — zapewnił kapitan.

Kelly wręczył mu pieniądze i zapowiedział, że tej nocy będzie spać w łodzi. Nie wspomniał o swoich planach na dzień jutrzejszy.



## 34 — Podchodzenie

— Coś przeoczyliśmy, Em — oznajmił Douglas. Była dokładnie ósma dziesięć rano.

— No, co tym razem? — zapytał Ryan. Przeoczenie czegoś nie było w tej robocie niespotykanym wydarzeniem.

— Skąd wiedzieli, że ona jest w Pittsburghu? Telefonowałem w tej sprawie do sierżanta Meyera, prosiłem, żeby sprawdzili należności za rozmowy zamiejscowe z domowego telefonu. Nikt z Brownów przez ostatni miesiąc ani razu nie dzwonił za miasto.

Porucznik zgasił papierosa.

— Musisz założyć, że nasz przyjaciel Henry wiedział, skąd ona pochodzi. Uciekły mu dwie dziewczyny, na pewno nie żałował czasu, żeby się dowiedzieć, skąd są. — Ryan pomyślał chwilę. — Masz rację. Prawdopodobnie sądził, że ona nie żyje.

— Kto wiedział, gdzie ona jest?

— Ci, którzy ją tam odwieźli. I jest pewne jak amen w pacierzu, że nikomu nie powiedzieli.

— A Kelly?

— Wczoraj dowiedziałem się w szpitalu Hopkinsa, że był za granicą.

— Taaak? Gdzie?

— O'Toole, ta pielęgniarka, twierdzi, że wie, ale nie wolno jej mówić, nie mam pojęcia, co to ma znaczyć. — Zamilkł na chwilę. — Ale wróćmy do Pittsburgha.

— To było tak: ojciec sierżanta Meyera jest pastorem. Wysłuchał spowiedzi dziewczyny i opowiedział synowi część tego, czego się od niej dowiedział. Dobra. Sierżant porozumiał się ze swoim kapitanem. Kapitan zna Franka Allena, więc sierżant dzwoni do niego, żeby się dowiedzieć, kto prowadzi sprawę. Frank odsyła go do nas. Meyer z nikim więcej nie rozmawiał. — Douglas zapalił papierosa. — Pozostaje pytanie, jak informacja dotarła do naszych „przyjaciół”?

To było całkiem normalne, choć nieszczególnie przyjemne. Obaj byli przekonani, że znaleźli się w punkcie przelomowym. I wszystko wskazywało na to,

że mieli rację. Niestety, jak to często bywa, sprawy biegły teraz zbyt szybko, by można było dokonać niezbędnej analizy i uporządkować całość.

— Tak jak przypuszczaliśmy. Mają kogoś u nas.

— Frank? — zapytał Douglas. — On w ogóle nie miał styczności z żadną z tych spraw. Nie miał nawet dostępu do informacji potrzebnych tamtym.

Istotnie. Sprawa Helen Waters zaczęła się w Dzielnicy Zachodniej od jednego z młodszych śledczych Allena, ale komendant prawie natychmiast przekazał ją Ryanowi i Douglasowi ze względu na skalę przemocy.

— Wydaje mi się, Em, że zrobiliśmy pewien postęp. Teraz jesteśmy pewni. W Wydziale musi być wtyczka.

— Masz jeszcze jakieś dobre wiadomości?

\* \* \*

Policja stanowa dysponowała tylko trzema śmigłowcami *Jet Ranger* i uczyła się dopiero, jak je wykorzystywać. Dostać choćby jeden wcale nie należało do najprostszyc zadań, ale kapitan dowodzący posterunkiem „V” był zasłużonym policjantem, a w jego okręgu panował spokój. Wprawdzie nie tyle dzięki szczególnym kompetencjom kapitana, ile z przyczyn naturalnych, ale zwierzchników interesowały przede wszystkim efekty. Zamówiony śmigłowiec zjawił się na lądowisku przed posterunkiem za kwadrans dziewiąta. Kapitan Ernest Joy i posterunkowy Freeland byli gotowi już do drogi. Żaden z nich nie latał dotąd helikopterem, toteż na widok maszyny tak mizernych rozmiarów poczuli pewien niepokój. Bo też, istotnie, z bliska zawsze wydają się one mniejsze, a już szczególnie, gdy siedzi się w środku. Ponieważ służyły głównie celom ratownictwa medycznego, ich załogę stanowili pilot i odpowiednio przeszkolony skoczek-sanitariusz. Byli to funkcjonariusze policji stanowej, oczywiście uzbrojeni, w lekkich kombinezonach, które ich zdaniem doskonale pasowały do noszonych pod pachą kabur i lotniczych okularów przeciwsłonecznych. Regulaminowy wykład przepisów bezpieczeństwa trwał dokładnie dziewięćdziesiąt sekund i został wygłoszony w takim tempie, że dwaj nowicjusze niczego nie zrozumieli. Chwilę później śmigłowiec drgnął, amortyzujące płozy zbiegły się nieco i już byli w powietrzu. Pilot postanowił nie szaleć. Ostatecznie starszy z pasażerów był kapitanem, a poza tym wycieranie wymiocin z tylnego siedzenia już mu się znudziło.

— Dokąd lecimy? — zapytał przez interkom.

— Bloodsworth Island, cmentarzysko — poinformował kapitan Joy.

— Roger — potwierdził pilot. Uważał, że tak właśnie powinien odpowiedzieć prawdziwy lotnik. Maszyna pochyliła się do przodu skręcając na południowy wschód. Szybko znaleźli się na właściwej trasie.

Z góry świat wygląda inaczej, a ludzie pierwszy raz lecący helikopterem reagują zawsze podobnie. Start, przypominający trochę szarpnięcie w górę samochodu w wesołym miasteczku, wywołuje przestrasz, ale potem przychodzi urzeczenie. Dwaj policjanci ujrzeli swoją okolicę całkiem odmienioną, jakby nagle, dopiero teraz, wszystko nabrało sensu. Drogi i farmy rozpościerały się przed nimi jak na mapie. Pierwszy zrozumiał to Freeland. Znał dobrze swoje terytorium, a raptem spostrzegł, że dotąd wyobrażał je sobie całkiem inaczej. Znajdował się zaledwie czterysta metrów nad ziemią, którą to odległość na drodze samochód pokonuje w kilka sekund, ale dzięki temu widział wszystko z zupełnie odmiennej perspektywy i natychmiast postanowił z tego skorzystać.

— Tu ją znalazłem — powiedział do kapitana przez telefon.

— To daleko od miejsca, gdzie lecimy. Myślisz, że przeszła taki kawał?

— Nie, panie kapitanie.

Okazało się jednak, że do wody nie było tak daleko. W odległości może trzech kilometrów od miejsca, które wskazał Freeland, ujrzeli starą przystań należącą do wystawionej na sprzedaż farmy. Cmentarzysko było osiem kilometrów dalej. Wszystkiego dwie minuty lotu. Zatoka Chesapeake wydawała się teraz bladoniebieską wstęgą, nad którą unosiła się poranna mgła. Na północny zachód od niej leżały rozległe tereny Lotniczego Centrum Doświadczalnego w Patuxent River. Widzieli latający tam samolot — nisko, jak to lubią chłopaki z Marynarki. Pilot musiał więc uważać.

— Przed nami — powiedział. Skoczek wskazał palcem, na wypadek, gdyby pasażerowie nie wiedzieli co to znaczy „przed nami”.

— Stąd to wygląda zupełnie inaczej — powiedział Freeland z chłopięcym zdziwieniem. — Łowię tu ryby. Z bliska to prawdziwe moczary.

Z wysokości czterystu metrów cmentarzysko wyglądało początkowo jak zbiór wysepek, co prawda połączonych smugami zieleni, ale mimo wszystko wysepek. W miarę jak się zbliżali, nabierały one regularnych kształtów — najpierw podobnych do rombów, po chwili zmieniły się w sylwetki statków, wystających z wody porośniętej trzcina i sitowiem.

— O rany, od groma ich tutaj — zauważył pilot. Rzadko tędy przelatywał, a i to głównie nocą, wzywany do wypadków.

— Pierwsza wojna światowa — powiedział kapitan. — Mój ojciec mówił, że to pozostałości z wojny, statki, których nie udało się zniszczyć Niemcom.

— Czego konkretnie szukamy?

— Dokładnie nie wiem, może jakiejś łodzi. Wczoraj zgarnęliśmy narkomankę — wyjaśnił kapitan. — Powiedziała, że gdzieś tutaj jest laboratorium, a w nim trzy trupy.

— Nie! Tutaj?

— Tak mówiła ta kobieta — potwierdził Freeland. Właśnie rozpoznał coś nowego: kanały, które wyglądały równie pośpennie jak wtedy, gdy się nimi płynęło.

Pewnie jest tu mnóstwo raków. Ze swej łodzi widział jedną wielką wyspę, natomiast z góry było to zupełnie coś innego. Czyż to nie frapujące?

— Spójrzcie tam. — Skoczek wskazał na coś po prawej stronie. — Odblask szkła, czy co?

— Sprawdźmy. — Drażek skoku okresowego powędrował w dół i na prawo, kiedy pilot obniżał lot *Jet Rangera*. — Ej, przy tych trzech jest łódź!

— Przyjrzyjmy się z bliska — skoczek uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Robi się — odrzekł pilot. Nareszcie miał okazję, żeby pokazać prawdziwą szkołę pilotażu. Jako były pilot śmigłowców szturmowych w 1. Pułku Kawalerii Powietrznej uwielbiał wyprawiać cuda swoją maszyną. Zresztą, prosto i na stałej wysokości to każdy potrafi lecieć. Najpierw okrążył cel, sprawdzając wiatry, następnie przesunął nieco dźwignię zespoloną, opuszczając śmigłowiec do wysokości sześćdziesięciu metrów.

— Wygląda to na sześciometrową motorówkę — powiedział Freeland. Widzieli teraz nylonową cumkę, którą przywiązano łódź do statku.

— Niżej — rozkazał kapitan. Po kilku sekundach znaleźli się piętnaście metrów nad pokładem wraku. Łódź wyglądała na opuszczoną. Dostrzegli pudło na piwo i jakieś inne przedmioty, zgromadzone na rufie, ale nic poza tym. Parę ptaków wyfrunęło ze zniszczonej nadbudówki statku. Pilot instynktownie szarpnął maszyną, żeby zejść im z drogi. Jedna wrona wessana do turbiny mogła z nich uczynić stały element tego sztucznego krajobrazu.

— Właściciel tej łodzi najwyraźniej nie zamierza wyjść nam na powitanie — zabrzmiał w interkomie głos pilota. Z tyłu Freeland zamarkował gestem dłoni trzy strzały. Kapitan skinął głową.

— Całkiem możliwe, Ben. — Po czym zwrócił się do pilota:

— Może pan zaznaczyć na mapie dokładną pozycję?

— Oczywiście.

Pilot rozważał, czy nie zejść jeszcze niżej i nie spuścić ich na pokład. Gdyby kiedyś służyli w Kawalerii Powietrznej, byłoby to dość proste, ale w tej sytuacji — nie. Skoczek sięgnął po mapę i naniósł odpowiednie znaki.

— Widzieliście co trzeba?

— Tak, zawracamy.

— W dwadzieścia minut później kapitan Joy siadł do telefonu.

— Tu Straż Przybrzeżna, posterunek Thomas Point.

— Kapitan Joy, policja stanowa. Potrzebujemy waszej pomocy. — Wyjaśnił, o co chodzi.

— To nam zabierze jakieś półtorej godziny — odrzekł chorąży English.

— Świetnie.

\* \* \*

Kelly wezwał taksówkę, która zabrała go z przystani. Pierwszym punktem programu była dość podejrzana firma „Kolonel Klunker”, gdzie wypożyczył Volkswagena model 59, płacąc z góry za miesiąc bez limitu kilometrów.

— Szerokiej drogi, panie Aiello — usłyszał na pożegnanie i odpowiedział promiennym uśmiechem. Posługiwał się dowodem osobistym mężczyzny, który już go nie potrzebował. Wrócił wypożyczonym samochodem na przystań i zaczął wyładowywać z łodzi potrzebne rzeczy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W pięćdziesiąt minut był gotów. Wsiadł do swojego „garbusa” i odjechał.

Miał okazję zbadać teren przyszłego polowania, sprawdzić rozkład ulic i warunki ruchu. Była to część miasta, której nigdy przedtem nie odwiedzał, szczęśliwie opustoszała, zamknięta ponurą przemysłową arterią o nazwie O'Donnell Street — miejsce, gdzie nikt nie mieszkał i gdzie mało kto chciałby zamieszkać. Powietrze wypełniał smród chemikaliów. Wiele budynków wyglądało na opuszczone. Co ważniejsze, oddzielały je rozległe obszary wolnej przestrzeni, puste, błotniste parcele, z których korzystały ciężarówki przy zawracaniu. Ani śladu dzieciaków grających w piłkę, ani jednego domu mieszkalnego w zasięgu wzroku, a co za tym idzie, ani jednego policyjnego wozu. Jego wrogowie dość sprytnie wybrali to miejsce, przynajmniej z jednego punktu widzenia. Interesującym go lokum okazał się wolno stojący budynek z częściowo zniszczonym sztyldem nad wejściem. Tylną ścianę stanowił ślepy mur. Wszystkie troje drzwi, aczkolwiek w dwu różnych ścianach, można było obserwować z jednego punktu. Za plecami miał wtedy inny pusty gmach, wysoką budowlę z cementu z mnóstwem wybitych okien. Na tym zakończył wstępne rozpoznanie i skierował się na północ.

\* \* \*

Oreza płynął na południe. Zrobili już szmat drogi w ramach codziennego patrolu i Dniówka zastanawiał się właśnie, dlaczego, do ciężkiej cholery, Straż Przybrzeżna nie uruchomił jakiegoś miniposterunku dalej na Wschodnim Wybrzeżu, czy też koło latarni morskiej Cave Point, gdzie i tak znajdował się posterunek latarnika, który nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko spać i pilnować, żeby na wieży paliło się światło. Nie wydawało mu się to szczególnie wymagającą służbą, choć prawdopodobnie stanowiło odpowiednie zajęcie dla smarkacza, który tam pracował. Zresztą, jego żona właśnie wydała na świat bliźniaki, a Straż Przybrzeżna była formacją nastawioną prorodzinnie.

Pozwolił sterować jednemu z młodszych funkcjonariuszy, a sam stanął na zewnątrz ciasnej sterówki, ciesząc się porankiem i popijając domową kawę.

— Radio — zawołał jeden z członków załogi. Oreza wszedł do środka i wziął mikrofon.

- Tu cztery jeden alfa.
- Cztery jeden alfa, tu English z bazy Thomas. Weźmiesz pasażerów z przystani przy Dame's Choice. Szukaj wozów policyjnych. Za ile mogą się ciebie spodziewać?
- Powiedzmy dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut, panie E.
- Przyjąłem. Koniec.
- W lewo — powiedział Oreza, spoglądając na swoją mapę. Woda powinna tu być dostatecznie głęboka. — Kurs jeden-sześć-pięć.
- Jest jeden-sześć-pięć.

\* \* \*

Xantha jako tako otrzeźwiała, chociaż była bardzo słaba. Jej ciemna skóra przybrała szary odcień, skarżyła się też na koszmarny ból głowy. Nie pomogły nawet środki przeciwbólowe. Zdawała sobie sprawę z aresztowania i z tego, że znane są już jej akta przekazane teleksem z miasta. Była dostatecznie przytomna, by zażądać obrońcy. Zdziwiło ją, że policja nie przejęła się tym specjalnie.

— Moja klientka — powiedział obrońca — chce współpracować.

Zawarcie porozumienia zabrało tylko dziesięć minut. Jeśli będzie mówić prawdę, i jeśli nie jest zamieszana w zbrodnię, zarzut posiadania narkotyków zostanie wycofany. Musi tylko zapisać się na leczenie. Od lat nikt nie proponował Xancie Matthews tak korzystnego układu. I zaraz się okazało, do jakiego stopnia korzystnego.

— Oni chcieli mnie zabić! — powiedziała. Na trzeźwo, zachęcona przez adwokata, wszystko sobie przypomniła.

— Jacy „oni”? — zapytał kapitan Joy.

— Ci, co nie żyją. Zabił ich ten biały chłopak, zastrzelił. I zostawił proszek, cały ładunek tego gówna.

— Niech nam pani opowie o tym białym mężczyźnie — poprosił Joy rzucając Freelandowi spojrzenie, które powinno było wyrażać niedowierzanie, a nie wyrażało.

— Kawał chłopca, jak on — wskazała na Freelanda — ale cały zielony na twarzy, jak liść. Kiedy wyszliśmy, zawiązał mi oczy, potem zostawił mnie na tej przystani i powiedział, żebym łapała autobus czy coś.

— Skąd pani wie, że był biały?

— Miał białe przeguby. Dłonie były zielone, ale tylko gdzieś dotąd — pokazała na swoje ręce. — Miał zielone ubranie w ciapki, jak żołnierz, i wielki pistolet, czterdziestkępiątkę. Spałam i obudziłam się jak strzelał, nie? Kazał mi się ubrać i popłynęliśmy do jego łodzi.

— Co to była za łódź?

— Wielka, biała, wysoka, długa na ponad dziesięć metrów.  
— Skąd pani wie, że oni chcieli panią zabić?  
— Biały chłopak tak mówił, pokazał mi te rzeczy w ich łodzi, tej mniejszej.  
— Jakie rzeczy?  
— Sieć rybacką i betonowe klocki. Powiedzieli mu, że już to robili. Adwokat uznał, że przysłała jego kolej.  
— Panowie, moja klientka jest w posiadaniu informacji dotyczącej poważnej działalności przestępczej. Może wymagać ochrony. W zamian za jej pomoc chcielibyśmy uzyskać środki na leczenie z kasy stanu.  
— Proszę pana — odparł spokojnie Joy — jeśli to się potwierdzi, wyłożę środki z własnego budżetu. Na razie proponowałbym, żeby została w naszym areszcie. To chyba oczywiste, że tego wymaga jej bezpieczeństwo.  
Po tylu latach negocjowania z adwokatami, pomyślał Freeland, kapitan zaczął gadać jak oni.  
— Ale jedzenie macie tutaj gówniane! — oświadczyła Xantha zaciskając oczy z bólu.  
— O to też zadbamy — obiecał Joy.  
— Sądzę, że moja klientka potrzebuje pomocy lekarskiej — zauważył obrońca. — Jak może ją tu otrzymać?  
— Zaraz po lunchu przyjdzie do niej doktor Paige. Panie mecenasie, pana klientka nie jest teraz w stanie poradzić sobie sama. Nie wysuwamy żadnych zarzutów przeciwko niej, w oczekiwaniu weryfikacji jej wyjaśnień. W zamian za współpracę otrzyma wszystko, czego pan chce. Więcej nie mogę zrobić.  
— Moja klientka zgadza się z pańskimi sugestiami i przyjmuje warunki — oznajmił adwokat, nie konsultując się z dziewczyną. Okręg opłaci także jego honorarium. Poza tym czuł, że wreszcie może się przysłużyć społeczeństwu. To była jakaś odmiana w pracy, polegającej na wyciąganiu z opresji pijanych kierowców.  
— Tam jest prysznic. Dobrze by było, gdyby doprowadziła się do porządku. Może pan jej też kupić jakieś porządne ubranie. Przedstawi nam pan rachunek.  
— Przyjemnie robić z panem interesy, kapitanie Joy — powiedział adwokat, gdy szef komendy wyszedł z Freelandem do samochodu.  
— Ben, rzeczywiście trafiłeś na coś ważnego. Potraktowałeś ją z prawdziwym wyczuciem. Zapamiętam to. A teraz pokaż, ile wyciąga to bydłę.  
— Robi się, kapitanie.  
Przekraczając setkę Freeland włączył koguta. Wjeżdżali właśnie do przystani, gdy kuter Straży Przybrzeżnej pojawił się u wylotu kanału portowego.

\* \* \*

Przedstawił się jako kapitan, ale ma naszywki porucznika, zauważył Oreza, salutując wchodzącemu na pokład. Obaj policjanci włożyli kamizelki ratunkowe,

wymagane przez regulamin Straży na małych łodziach. Joy pokazał Orezie swoją mapę.

— Może się pan tam dostać?

— Tak, ale tylko szalupą. Cóż tam mamy?

— Prawdopodobnie potrójne zabójstwo i narkotyki. Rano obejrzelśmy teren z powietrza. W tym miejscu stoi porzucona łódź wędkarska.

Oreza skinął głową z udaną obojętnością i osobiście stanął przy sterze. Płynęli z maksymalną prędkością. Do cmentarzyska — Oreza też tak nazywał to miejsce — było tylko osiem kilometrów, a samo podejście chciał wykonać jak najostrożniej.

— Bliżej nie podpłyniemy? Mamy przyływ — powiedział Freeland.

— Na tym polega problem. W takie miejsca jak to, płynie się przy niskiej wodzie, żeby móc spłynąć podczas przyływu, jeśli osiadzie się na mieliźnie. Tutaj przechodzimy na szalupę.

Podczas gdy jego ludzie spuszczaali czterometrową łódź, Oreza wspomniał sztormową noc sprzed kilku miesięcy, spędzoną z porucznikiem Charonem z Baltimore. Tamten przypuszczał, że gdzieś w Zatoce może się kręcić interes narkotykowy. „To jakaś grubsza sprawa” — powiedział wtedy Orezie. Dniówka zastanawiał się, czy nie chodzi teraz o tych samych facetów, o których wspomniał Charon.

Szalupa, napędzana dziesięciokonnym silnikiem przyczepnym wpłynęła na obszar złomowiska. Oreza obserwował przyływ, trzymając się czegoś, co wyglądało na główny kanał, pełen zakrętów, ale ogólnie prowadzący w kierunku, który wskazywała mapa. Panował tu zupełny spokój. Oreza wspominał służbę w Wietnamie w ramach operacji STRAGAN, która była wkładem Straży Przybrzeżnej w wysiłek Marynarki. Spędzał wtedy czas w towarzystwie gości, którzy przywykli do płytkich wód, a dowodził ścigaczami produkowanymi niedaleko stąd, w Annapolis, przez Trumpy Yard. Jakże tam było podobnie — wysokie trzciny, w których często kryli się ludzie uzbrojeni w *Katasznikowy*. Czy zaraz nie będą mieli z czymś takim do czynienia? Policjanci obmacywali swoje rewolwery i Oreza zadał sobie — za późno — pytanie, dlaczego nie wziął swojego *Colta*. Potem przyszło mu do głowy, że dobrze by było mieć ze sobą Kelly’ego. Nie był całkiem pewien, ale podejrzewał, że Kelly był właśnie jednym z komandosów SE-AL, z którymi pracował w delcie Mekongu. Za coś, u diabła, musiał dostać ten Krzyż Marynarki, a tatuażu na rękę też nie wymalował sobie dla draki.

— No, mamy go, psiamać — westchnął Oreza. — Wygląda na Starcroft szesnaście... nie, raczej osiemnaście. — Podniósł do ust radiotelefon. — Cztery jeden alfa, tu Oreza.

— Słyszemy cię, Dniówka.

— Znaleźliśmy łódź, dokładnie tam, gdzie mówili. Zostańcie na podsłuchu.

— Przyjąłem.



Nagle poczuli autentyczne napięcie. Dwaj policjanci wymienili spojrzenia, zastanawiając się, czemu nie zabrali więcej ludzi. Oreza wolno przybił do burty Starcrofta. Policjanci ostrożnie weszli na pokład motorówki.

Freeland wskazał na rufę. Joy skinął głową. Leżały tam trzy bloki betonu i zwinięta nylonowa sieć. Xantha nie kłamała. Odnaleźli też drabinkę sznurową. Joy wspiał się pierwszy, z rewolwerem w prawej dłoni. Oreza patrzył jak Freeland pnie się za nim. Dotarli na pokład i, już oburącz ściskając broń przed sobą, ruszyli w stronę nadbudówki, znikając Orezie z pola widzenia — zdawało się, że na całą godzinę, ale były to tylko cztery minuty. Jakieś ptaki poderwały się z wraku. Przy relingu pojawił się Joy. Jego rewolwer spoczywał znowu w kaburze.

— Mamy tu trzy ciała i od cholery czegoś, co wygląda na heroinę. Niech pan wywoła swój kuter i powie, żeby zawiadomili posterunek. Potrzebujemy ekipy technicznej. Zdaje się, że popracuje pan trochę jako przewoźnik.

— Panie kapitanie, na przystani rybackiej mają do tego lepsze łodzie. Chce pan, żebym wezwał ich do pomocy?

— Dobra myśl. Może pokręcilibyście się trochę po okolicy. Woda wydaje się dość czysta, a podobno wyrzucili tu gdzieś kilka ciał. Widzi pan ten sprzęt w ich łodzi?

Oreza rozejrzał się i po raz pierwszy zobaczył sieć i bloki betonu. Rany boskie!

— A więc tak to się robi! Dobra, popływamy tu trochę. Przekazał wiadomość przez radio i zapuścił motor.

\* \* \*

— Cześć, Sandy.

— John, gdzie jesteś?

— U siebie, w mieście.

— Wczoraj był u nas policjant. Szukają cię.

— Tak? — oczy Kelly'ego zwęziły się, chociaż nie przerwał żucia kanapki.

— Powiedział, że powinieneś przyjść i porozmawiać z nim, i że lepiej, jeśli to zrobisz od razu.

— To miło z jego strony. — Nie mógł powstrzymać chichotu.

— Co zamierzasz zrobić?

— Myślę, że wolałabyś o tym nie wiedzieć, Sandy.

— Jesteś pewien?

— Tak, jestem.

— John, proszę cię, przemyśl to jeszcze.

— Przemyślałem, Sandy, naprawdę. Wszystko będzie jak trzeba. Dziękuję za informację.

— Stało się coś złego? — zapytała obecna w dyżurce pielęgniarka, gdy Sandy odwiesiła słuchawkę.

— Nie — odparła, ale jej koleżanka wiedziała, że to nieprawda.

\* \* \*

Kelly dopił colę. Potwierdziły się jego podejrzenia w związku z wizytą Orezy. Sprawy zaczynają się komplikować. Zresztą, tydzień temu też były dość skomplikowane. Ruszył do sypialni, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Był nieprzyjemnie zaskoczony, ale musiał zareagować. Wcześniej otworzył okna chcąc wywietrzyć mieszkanie, więc wiadomo było, że ktoś jest w środku. Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Odetchnął z ulgą.

— Zachodziłem w głowę, gdzie pan się podziewał, panie Murphy — powiedział gospodarz.

— Ano, dwa tygodnie roboty na Środkowym Zachodzie i tydzień wczasów na Florydzie — kłamał Kelly z uśmiechem.

— Nie opalił się pan za bardzo. Wyszczrzył zęby, udając zakłopotanie.

— Większość czasu spędziłem w czterech ścianach. Gospodarz uznał to za całkiem właściwe.

— Każdy odpoczywa, jak mu najlepiej pasuje. No cóż, chciałem tylko zobaczyć, czy wszystko w porządku.

— Żadnych problemów — zapewnił go Kelly i zamknął drzwi, nie dopuszczając do dalszych pytań. Musiał się zdrzemnąć. Wyglądało na to, że całą robotę trzeba będzie wykonać w nocy. Zaczynam żyć w jakimś innym świecie, pomyślał Kelly, układając się w niesłanym od wieków łóżku.

\* \* \*

Dzień był upalny. Najlepszym miejscem na spotkanie w całym zoo wydawała się kwatera pandy. Jej klatkę otaczał tłum gapiów, ciekawych wspaniałego daru, jaki ogród otrzymał od rządu Chińskiej Republiki Ludowej — od chińskich komunistów, jak powiedziała by Ritter. Pawilon posiadał klimatyzację i kusił miłym chłodem, ale agenci wywiadu nie czują się dobrze w miłych miejscach, tak więc Ritter przechadzał się dzisiaj po olbrzymim wybiegu dla żółwi z Galapagos czy żółwi morskich — diabli wiedzą, jaka jest między nimi różnica, o ile w ogóle jest. Nie wiadomo też, po co im taki wielki wybieg. To chyba przesada, skoro przeznaczony był dla stworzeń poruszających się z powolnością lodowca.

— *Hello, Bob.*

Posługiwanie się imieniem „Charles” nie było już konieczne, chociaż to Wołoszyn zainicjował spotkanie. Zadzwoił prosto do biura Rittera, pewnie żeby pokazać, jaki jest sprytny. W przypadku kontaktów zapoczątkowanych przez stronę rosyjską, zwykle posługiwano się krytonimem „Bill”.

— Cześć, Siergiej. — Ritter wskazał snujące się po wybiegu stworzenia.

— Ta ich zabójcza prędkość... Czy nie kojarzy się panu z tempem działania naszych rządów?

— Mnie to nie dotyczy. — Rosjanin popijał przez słomkę jakiś soczek.

— Ani pana.

— A zatem, jakie wieści z Moskwy?

— Zapomniał mi pan o czymś powiedzieć.

— Mianowicie?

— Że macie także pewnego oficera wietnamskiego.

— Dlaczego miałoby to pana interesować? — odparł niedbale Ritter, najwyraźniej maskując rozdrażnienie, że Wołoszyn znał jego tajemnicę. Nie uszło to uwadze Rosjanina.

— To nieco komplikuje sytuację. W Moskwie jeszcze o tym nie wiedzą.

— A muszą wiedzieć? — podsunął Ritter. — Sam pan mówi, że to tylko komplikuje nam sprawę. Zaręczam panu, że wasi sojusznicy nie mają o tym pojęcia.

— Jak to możliwe?

— Czy pan ujawnia mi wasze metody? — odrzekł Ritter, wiedząc, że to zakończy rozmowę na ten temat. Tę część gry musiał prowadzić szczególnie ostrożnie, i to z wielu powodów. — Proszę posłuchać, generale, pan przecież też nie lubi tych małych łobuzów.

— To nasi sprzymierzeńcy. Obywatele bratniego socjalistycznego kraju.

— Taa, a my jesteśmy gwarantami demokracji w Ameryce Południowej. Czy będziemy teraz dyskutować na temat doktryn politycznych?

— Mając do czynienia z wrogiem, człowiek przynajmniej wie, czego się spodziewać. Gorzej bywa z przyjaciółmi — przyznał Wołoszyn. Na tym polegał na przykład stosunek jego rządu do aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych: może i drań, ale znany drań. A poza tym — musiał zgodzić się w duchu — faktycznie, niewiele miał pożytku z tych Wietnamczyków. Prawdziwe pole bitwy znajdowało się w Europie. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Od wieków tam właśnie ustalał się kurs historii i nic nie zapowiadało zmian.

— Uznajmy to za nie potwierdzoną wiadomość. Wymagającą sprawdzenia. Nie może pan grać na zwłokę? Naprawdę, generale, stawka jest zbyt wysoka. Jeśli coś stanie się tym ludziom, obiecuję panu, że pokażemy światu pańskiego oficera. Pentagon zna tę sprawę. Chcą odzyskać swoich ludzi i pierdołą *détente*. — Ostatnie sformułowanie dokładnie obrazowało pogląd Rittera na stanowisko Pentagonu.

— A pan? A kierownictwo pańskiego Wydziału?

— Na pewno życie stałoby się łatwiejsze, gdyby niektóre rzeczy dało się przewidzieć. Gdzie pan był w sześćdziesiątym drugim, Siergiej? — Ritter znał odpowiedź na to pytanie, ale ciekaw był, co tamten odpowie.

— W Bonn, jak pan zresztą wie. Oglądałem alarm w waszych siłach zbrojnych w Europie, kiedy Nikita Siergiejewicz zaczął te swoje głupie sztuczki. — Wbrew stanowisku KGB i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, o czym wiedzieli obaj.

— Nigdy nie będziemy przyjaciółmi, ale nawet wrogowie mogą porozumieć się co do zasad gry. Czy nie o to właśnie chodzi?

Rozsądny człowiek, pomyślał z zadowoleniem Rosjanin. Taki zachowa się w sposób możliwy do przewidzenia, a to było coś, czego Rosjanom najbardziej brakowało u Amerykanów.

— Bardzo pan przekonujący, Bob. A więc gwarantuje pan, że nasi sprzymierzeńcy nie wiedzą o zniknięciu ich człowieka?

— Absolutnie. I dodam jeszcze, że moja propozycja spotkania z pułkownikiem jest wciąż aktualna.

— Bez żadnych zobowiązań?

— Musiałbym mieć zgodę z góry. Mogę spróbować, jeśli pan chce, ale to też byłaby pewnego rodzaju komplikacja.

— Chcę. — Wołoszyn stawiał sprawę jasno.

— Dobrze. Zadzwoń do pana. Na co mogę liczyć w zamian?

— W zamian rozważę pańską prośbę. — Rosjanin odwrócił się i odszedł.

Mam cię! — myślał Ritter maszerując w stronę swojego samochodu. Rozegrał właśnie bardzo delikatną partię. Istniały tylko trzy możliwe źródła przecieku informacji na temat ZIELONA SKRZYNKA. Odwiedził wszystkich podejrzanych. Jednemu powiedział, że istotnie wzięli jeńca, ale ten zmarł z powodu odniesionych ran. Drugiemu, że Rosjanin jest ciężko ranny i nie wiadomo, czy przeżyje. Najlepszą przynętą posłużył się jednak w miejscu, gdzie prawdopodobieństwo owego przecieku wydawało się największe. Teraz już wiedział. Zostały cztery osoby: Robert MacKenzie, jego wyrzucony ze szkoły pomocnik i dwie sekretarki. Właściwie była to już sprawa dla FBI, ale Ritter nie chciał robić dodatkowego bałaganu. Dochodzenie w związku z oskarżeniem o szpiegostwo pracownika gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych gwarantowało wszelkie możliwe rodzaje bałaganu. Już siedząc w samochodzie postanowił spotkać się ze znajomym z Wydziału do spraw Nauki i Techniki. W stosunku do Wołoszyna czuł ogromny respekt. Facet był inteligentny, bardzo ostrożny, metodyczny. Przed objęciem rezydentury w Waszyngtonie prowadził agentów w różnych krajach Europy. Dotrzyma słowa i żeby mieć pewność, że nie będzie miał z tego powodu żadnych kłopotów, załatwi to dokładnie według zasad obowiązujących w jego macierzystej firmie. Ritter bardzo na to liczył. Jeśli ta sprawa wypali... plus jego dotychczasowe osiągnięcia... jak wysoko może go to wywindować? Miał szanse na sukces, mimo braku politycznych koneksji i mimo że był synem policjanta z Texasu i aby ukończyć studia w Baylor musiał dorabiać pracując jako kelner. Siergiejowi pewnie by się to podobało — myślał Ritter skręcając w Connecticut Avenue — jako dowód siły przebicia klasy robotniczej.

\* \* \*

Nigdy dotąd nie zdobywał w ten sposób informacji. A był to sposób na tyle przyjemny, że chętnie zgodziłby się stosować go stale. Siedział sobie przy stoliku w kącie restauracji „U mamy Marii” i niespiesznie przeżuwał drugie danie. — Za wino dziękuję, prowadzę. — Elegancki, w swoim garniturze od CIA, świeżo ostrzyżony na biznesmena, z zadowoleniem stwierdził, że przyciąga spojrzenia kilku samotnych kobiet i kelnerki, na której wyraźnie zrobił dodatnie wrażenie, zwłaszcza swoimi dobrymi manierami. Jedzenie było doskonałe, nic więc dziwnego, że restaurację wypełniał tłum gości; to z kolei tłumaczyło, dlaczego Tony Piaggi i Henry Tucker uznali ją za wygodne miejsce spotkań. „Mike Aiello” bardzo liczył na ich przywiązanie do tego lokalu, tym bardziej że od trzech pokoleń restauracja „U mamy Marii” była własnością rodziny Piaggich — służyła miejscowej społeczności swoją kuchnią oraz innymi, mniej już legalnymi usługami, co zaczęło się w czasach prohibicji. Gospodarz osobiście witał wybranych gości, odprowadzając ich do stolików z gościnnością rodem ze Starego Świata. Nosił się elegancko i Kelly nie omieszkła zapamiętać jego twarzy, sylwetki i sposobu poruszania się, pozornie pochłonięty delectowaniem się porcją *calamari*. W drzwiach pojawił się Murzyn w porządnie skrojonym garniturze. Wyglądało na to, że nie jest tu po raz pierwszy. Uśmiechnął się do szatniarki i zaczął, aż dziewczyna odpowie mu tym samym. Dla Kelly’ego był to znak.

Piaggi spostrzegł nowego gościa i pośpieszył do wejścia, przystając jedynie, by krótko uścisnąć dłoń kogoś w przejściu. Podobnie przywitał się z czarnym i — obok stolika Kelly’ego — poprowadził go schodami do służbowej części lokalu. Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi. W restauracji było więcej czarnych i traktowano ich tak samo jak innych. Kelly miał jednak pewność, że nie o tamtych mu chodzi. Wyglądali na uczciwych ludzi. Skupił się, wracając myślą do celu swojej wizyty w tym miejscu. A więc to był Henry Tucker. Człowiek, który zabił Pam. Nie robił wrażenia potwora. Zwykle tak zresztą bywa. Dla Kelly’ego stanowił po prostu cel, którego charakterystyka zapadła mu w pamięć razem z danymi Tony’ego Piaggi. Spojrzał na stół i ze zdziwieniem stwierdził, że widelec w jego dłoni jest zgięty.

\* \* \*

— W czym problem? — zapytał Piaggi. Rozmawiali w pokoju na piętrze. Tony, jak przystało na dobrego gospodarza, napełnił dwa kieliszki chianti. Szybko zorientował się, że wyraz twarzy Henry’ego wieści kłopoty.

— Nie wrócili.

— Phil, Mike i Burt?

— A kto?! — warknął Henry.

— Dobra. Uspokój się. Ile mieli towaru?

— Ile? Dwadzieścia kilo czystej hery! To miało na dłuższy czas wystarczyć dla mnie, dla ludzi z Filadelfii i dla tych z Nowego Jorku.

— Faktycznie, Henry. Kupa towaru. — Tony pokiwał głową. — Może zeszło im się trochę dłużej, co?

— Powinni już być z powrotem.

— Słuchaj, Phil i Mike są nowi, niezręczni, jak ja i Eddie za pierwszym razem... do diabła, Henry, pamiętasz? To było tylko pięć kilo!

— Pomyślałem i o tym — odparł Henry, zastanawiając się, czy rzeczywiście w dostatecznym stopniu uwzględnił tę okoliczność.

— Posłuchaj, Henry. — Tony pociągnął łyk wina, starając się robić wrażenie opanowanego i rozsądnego. — Słuchasz? Po co od razu tak się podniecać? Dotąd wszystko szło dobrze, zgadza się?

— Człowieku, coś mi tu nie gra.

— Co?

— Nie wiem.

— Chcesz wziąć łódź i sprawdzić na miejscu?

Tucker pokręcił głową.

— To by zajęło za dużo czasu.

— Z tymi facetami nie spotkamy się wcześniej niż za trzy dni. Spokojnie. Chłopaki pewnie właśnie wracają.

Piaggi wiedział, dlaczego Tucker wpadł nagle w taką panikę. Tym razem chodziło o wielki interes. Dwadzieścia kilogramów czystej hery, to w detalu ulicznym olbrzymia ilość towaru. Sprzedając heroinę rozcieńczoną i zapakowaną, w postaci najdogodniejszej dla klientów, mogli liczyć na najwyższą cenę. To był ten wielki numer, na który Tucker pracował od lat. Nic dziwnego, że był zdenerwowany.

— Tony, a jeśli to nie był wcale Eddie?

— A kto upierał się, że to musi być on, pamiętasz? — Piaggi zaczynał tracić cierpliwość.

Na ten temat Tucker nie mógł się spierać. W końcu chodziło mu wtedy tylko o pretekst do pozbycia się niewygodnego faceta. Jego obecny lęk jedynie częściowo brał się z przyczyn oczywistych dla Tony'ego. Było jeszcze coś. To, co działo się na początku lata — zaczęło się nagle i bez powodu, a potem równie bez powodu ustało... Sądził, że to sprawka Eddiego. Udało mu się przekonać o tym sobie samego, ale tylko dlatego, że chciał w to uwierzyć. Ale przez cały czas jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że to nieprawda i teraz ten głos powrócił, a nie było Eddiego, na którym mógłby się skupić jego lęk i złość. Był facetem z ulicy, któremu udało się zająć tak daleko dzięki kombinacji sprytu, bezwzględności i instynktu — i najbardziej ufał tej ostatniej ze swoich zdolności. Teraz zaś ten instynkt podpowiadał mu coś, czego nie rozumiał, czego nie był w stanie ogarnąć.

Tony miał rację. Niewykluczone, że chłopaki po prostu grzebią się z robotą. Jeszcze jeden powód, żeby przenieść laboratorium do wschodniego Baltimore. Mogli już sobie na to pozwolić — mieli doświadczenie i zagwarantowany ruch w interesie na najbliższe tygodnie. Tak więc Henry opróżnił swój kieliszek i uspokoił się. Aromatyczny, mocny trunek niósł ulgę jego starganym nerwom, zagłuszał złe przeczucia.

— Poczekamy do jutra.

\* \* \*

— Więc co tam było? — zapytał człowiek przy sterze. Po godzinie drogi na północ od Bloodsworth Island uznał, że czas już coś wyciągnąć od stojącego w milczeniu podoficera. Ostatecznie oni tu na kutrze nic nie wiedzieli, słuchali tylko radia i czekali.

— Nakarmili jakimś gościem te pieprzone kraby! — powiedział Oreza.

— Wzięli ze dwa metry kwadratowe sieci, obciążyli kawałkami betonu i po prostu spuścili faceta do wody. Prawie nic nie zostało oprócz kości! — Z tego co słyszał, technicy policyjni mimo wszystko zastanawiali się, jak wydobyć zwłoki. Oreza był pewien, że nie zapomni tego widoku przez lata — czaszka, kości nadal obleczone w resztki ubrania, poruszające się pod wpływem prądu. . . czy może za sprawą uwijających się w ubraniu krabów. Nie zależało mu na zbyt dokładnym przyglądaniu się.

— Ponury syf, chłopie — zgodził się mężczyzna przy sterze.

— A wiesz, kto to był?

— No? Co ci przyszło do głowy, Dniówka?

— Pamiętasz, jak w maju płynął z nami ten gliniarz, Charon. . . ? Facet na żaglówce z grotem w paski. . . ot, kto tam leży. Głowę daję, że to on.

— Taa. Może być szefie.

Pozwolili mu wszystko zobaczyć, jakby przez grzeczność, bez której — teraz był pewien — mógł się doskonale obejść, ale wtedy nie miał jak się wykręcić. Przecież nie mógł zachować się jak mięczak przy glinach — sam był swego rodzaju gliną. Zdawszy więc relację na temat ciała znalezionego nie dalej jak 50 metrów od wraku, wszedł po drabince i zobaczył następne trzy trupy, leżące twarzą do pokładu w dawnym pomieszczeniu mesy oficerskiej — trzech mężczyzn uśmierconych strzałami w kark. Do ran zdążyły się już dobrać ptaki. Na ten widok omal nie zemdlał. Ptaki były jednak wystarczająco roztropne, by nie ruszać narkotykowego proszku.

— Było tego gówna ze dwadzieścia kilogramów. Tak przynajmniej mówią gliny — opowiadał Oreza. — Grube miliony dolców.

— Zawsze mówiłem, że wybrałem sobie niewłaściwy zawód.

— A gliniarze! Zachowywali się, jakby im kto śledzi w kieszeń nakładł. Zwłaszcza kapitan. Z tego co słyszałem, zostaną tam całą noc.

\* \* \*

— To ty, Wally?

Nagranie było, niestety, nie najlepszej jakości. Wszystko przez te wiekowe linie telefoniczne, wyjaśnił technik. Nic nie mógł na to poradzić. Łącznica w budynku pochodziła z czasów, gdy Alexander Graham Bell konstruował pierwsze telefony.

— Tak. Co jest? — zabrzmiała nieco niewyraźna odpowiedź.

— Chodzi o tego wietnamskiego oficera. Jesteś pewien, że go mają?

— Tak mi powiedział Robert.

Bingo! — wykrzyknął w duchu Ritter.

— Gdzie go trzymają?

— Pewnie w Winchester, razem z Rosjaninem.

— I to wszystko pewne informacje?

— Jak cholera. Sam byłem zdziwiony.

— Chcę, żebyś to sprawdził, zanim... no wiesz.

— Jasne. — Połączenie zostało przerwane.

— Kto to? — zapytał Greer.

— Walter Hicks. Najlepsze szkoły... uniwersytety Andover i Brown... ojciec gruba ryba w inwestycjach bankowych, dobrze ustawiony politycznie. A mały Wally, patrz, gdzie skończył. — Ritter zacisnął pięść. — Chciałeś wiedzieć, dlaczego nasi ludzie nadal siedzą w ZIELENIAKU? Proszę bardzo, już wiesz.

— I co zamierzasz z tym zrobić?

— Nie mam pojęcia.

Na pewno nic nie da się zrobić w zgodzie z prawem. Nagranie było nielegalne. Nie mieli zgody sądu na założenie podsłuchu.

— Dobrze się zastanów, Bob — ostrzegawczo odezwał się Greer. — Pamiętaj, ja też tam byłem.

— A jeśli Siergiej nie zadziała dość szybko? Wtedy ten mały skurwiol ucieknie, a dwudziestu ludzi straci życie!

— Mnie też to się nie bardzo podoba.

— A mnie się wcale nie podoba!

— Zdrada nadal jest zbrodnią główną, Bob.

Ritter podniósł wzrok, chwytając spojrzenie admirała.

— I tak być powinno.



\* \* \*

Kolejny długi dzień dobiegł końca. Oreza czuł, że zaczyna zazdrościć młodzikowi, który opiekował się latarnią w Cove Point. Przynajmniej rodzinę miał przy sobie. Córeczka Orezy, najcudowniejsza dziewczynka pod słońcem, większość czasu spędzała w przedszkolu; prawie się nie widywali. Może jednak wziąć tę robotę w szkole w New London, pomyślał, żeby choć przez rok czy dwa mieć normalne życie rodzinne. Wprawdzie oznaczało to użeranie się z dziećmi, które pewnego dnia zostaną oficerami, ale przynajmniej nauczyłyby się marynarckiego fachu z pierwszej ręki.

Siedział samotny, borykając się z myślami. Jego ludzie dawno już chrapali w kojach. Sam poszedłby spać, gdyby nie prześladowające go obrazy. Człowiek zjedzony przez kraby i tych trzech podziobanych przez ptaki nie pozwolą mu spać, dopóki nie wyrzuci ich ze świadomości... Ale to daje mu chyba prawo, żeby... Oreza pogrzebał na biurku i odszukał potrzebną wizytówkę.

— Słucham.

— Porucznik Charon? Tu sternik Oreza, z posterunku w Thomas Point.

— Hm, trochę późno, nie uważa pan? — burknął Charon. Właśnie szedł do łóżka.

— Przypomina pan sobie, jak w maju szukaliśmy tej żaglówki?

— Tak, a co?

— Zdaje się, że znaleźliśmy człowieka, o którego panu chodziło. — Oreza miał wrażenie, że tamten dopiero teraz się obudził.

— Niech pan opowiada.

Opowiedział więc, niczego nie opuszczając, i czuł, jak uwalnia się od grozy, niemal jakby przekazywał ją po drucie telefonicznym. Nie wiedział, że tak właśnie było.

— Kim jest ten kapitan, który prowadzi tę sprawę z ramienia policji?

— Nazywa się Joy, panie poruczniku. Z okręgu Sommerset. Zna go pan?

— Nie.

— Ach, tak, jeszcze coś — przypomniał sobie Oreza.

— Taak? — Charon notował pośpiesznie.

— Zna pan porucznika Ryana?

— Tak, pracuje w śródmieściu.

— Chciał, żebym sprawdził mu jednego faceta, nazwiskiem Kelly. Ale, ale, przecież pan go widział, pamięta pan?

— Co pan ma na myśli?

— To ten gość, którego spotkaliśmy tuż przed świtem tej nocy, kiedy szukaliśmy tamtej żaglówki. Mieszka na wyspie, niedaleko Bloodsworth. Tak czy owak, ten Ryan chciał, żebym mu go odszukał, nie? Otóż on wrócił, poruczniku, prawdopodobnie jest teraz w Baltimore. Próbowałem przekazać to Ryanowi, ale nie

mogłem się do niego dodzwonić, a dziś cały dzień byłem na wodzie. Mógłby pan mu to przekazać?

— Oczywiście — odrzekł Charon. Jego umysł pracował na pełnych obrotach.

## 35 — Przełom

Mark Charon znalazł się w dość trudnym położeniu. To, że był człowiekiem skorumpowanym nie czyniło zeń głupca. Przeciwnie, miał czujny, analityczny umysł i choć robił błędy, nie był na nie ślepy. Leżąc samotnie w łóżku po rozmowie z człowiekiem ze Straży Przybrzeżnej, zastanawiał się nad stanem swoich interesów. Po pierwsze, Henry nie będzie zadowolony, gdy dowie się, że stracił laboratorium, a do tego trzech ludzi. Co gorsza, wyglądało na to, że przepadła wielka ilość towaru, a zapasy nawet Henry miał ograniczone. Najgorsze zaś było to, że człowiek, który dokonał tej sztuki, pozostawał nieznany, na wolności, i nadal działał.

Wiedział, kim był Kelly. Rekonstruując fakty doszedł nawet do wniosku, że to Kelly musiał całkiem przypadkowo zabrać z ulicy Pamelę Madden w dniu, kiedy zlikwidowano Angelo Vorano, i że to ją widział w jego łodzi z kutra Straży Przybrzeżnej owego sztormowego poranka. I oto Em Ryan i Tom Douglas chcieli się o nim czegoś dowiedzieć i w tym celu zaangażowali Straż, co było środkiem nadzwyczajnym. Co ich do tego skłoniło? Uzupelniające przesłuchanie zamieszcowego świadka, można było przeprowadzić przez telefon. To się zdarzało. Em i Tom rozpracowywali zabójstwo przy fontannie, łącznie z innymi, które zaczęły się kilka tygodni później. Bogaty wałkoń, objający się po wybrzeżu — tyle powiedział o nim Henry'emu, ale gościem interesowała się najlepsza ekipa Wydziału Zabójstw, był bezpośrednio zamieszany w ucieczkę jednej z dziewczyn z siatki Henry'ego, miał łódź i mieszkał niedaleko laboratorium, którego Henry w swej głupocie nie przestał używać. To osobliwie długi ciąg zbiegów okoliczności. Ponadto w dwójnasób dręczący przez fakt, że on sam nie był już policjantem ścigającym zbrodnię, lecz współsprawcą przestępstwa, które stało się przedmiotem dochodzenia.

Świadomość tego uderzyła porucznika z niespodziewaną mocą. Dotąd udawało mu się nie myśleć o sobie w tych kategoriach. Był przekonany, że znajduje się ponad tym wszystkim, że tylko obserwuje i choć od czasu do czasu występuje w roli uczestnika wydarzeń, to przecież nie należy do tego świata, tam, w dole. Ostatecznie miał na swoim koncie najdłuższą serię sukcesów w historii oddziału do walki z narkotykami, uwieńczoną osobistym wyeliminowaniem Eddiego Mo-

rello, może najzręczniejszą akcją, jaką w życiu przeprowadził — majstersztykiem podwójnym, bo zlikwidował prawdziwego handlarza w sposób z góry obmyślony, w obecności przynajmniej sześciu funkcjonariuszy, po czym przedstawił to jako działanie w warunkach wyższej konieczności i uzyskał płatny urlop jako dodatek do tego, co zapłacił mu Henry. Poniekąd robiło to wrażenie jakiejś niezwykle zajmującej gry, i to niezbyt odbiegającej od pracy, za którą płacili mu obywatele jego miasta. Ludzie żyją dzięki złudzeniom na własny temat i w tym Charon nie różnił się od innych. Nie posuwał się aż do tego, by wmawiać sobie, że to, co robi, jest właściwe — po prostu pozwalał sobie na luksus koncentrowania się na donosach, którymi karmił go Henry, i zgarniał z ulicy każdego handlarza zagrażającego tamtemu na rynku. Ponieważ wiedział, co jest przedmiotem dochodzeń jego podwładnych, był w stanie oddać cały lokalny rynek w ręce jednego dostawcy, o którym w jego aktach nie było żadnej istotnej informacji. To właśnie umożliwiło Henry'emu rozwinięcie skrzydeł i zwrócenie na siebie uwagi Tony'ego Piaggi i kooperantów ze Wschodniego Wybrzeża. Wkrótce Charon będzie zmuszony — o czym powiedział już Henry'emu — pozwolić swoim ludziom poskubać trochę na obrzeżach organizacji. Henry to rozumiał, niewątpliwie dzięki sugestiom Piaggiego, wystarczająco obytego, by chwycić subtelniejsze elementy gry.

Ale ktoś wrzucił zapałkę do tej wybuchowej mieszanki. Informacja, którą Charon dysponował, wiodła tylko w jednym kierunku, ale nie za daleko. A więc, trzeba szukać dalej. To jasne. Pomyślał chwilę i przysunął do siebie telefon. Musiał odbyć trzy rozmowy, żeby zdobyć właściwy numer.

— Policja stanowa.

— Chciałbym mówić z kapitanem Joyem. Tu porucznik Charon z policji miejskiej w Baltimore.

— Dobrze pan trafił, poruczniku. Kapitan właśnie wrócił. Oddaję słuchawkę.

— Kapitan Joy — zabrzmiał w słuchawce zmęczony głos.

— Czołem, tu porucznik Charon, Mark Charon z policji miejskiej. Zajmuje się narkotykami. Słyszałem, że trafił pan na coś dużego.

— Można tak powiedzieć — Charon słyszał, jak tamten z westchnieniem ulgi osuwa się na krzesło.

— Mógłby mi pan to streścić w kilku słowach? Może i ja mam jakąś informację na ten temat.

— Kto panu powiedział o tej sprawie?

— Marynarz ze Straży Przybrzeżnej, który pana przewoził — Oreza. Pracowałem z nim kilka razy. Pamięta pan sprawę transportu marihuany na farmie w okręgu Talbot?

— To pan prowadził tę akcję? Myślałem, że to robota przybrzeźniaków.

— Tak wyszło, musiałem chronić mojego informatora. Zresztą, może pan do nich zadzwonić, jeśli chce pan potwierdzenia. Dam panu numer. Szefem posterunku jest Paul English.

— W porządku, poruczniku, przekonał mnie pan.

— W maju byłem z nimi na wodzie przez okrągłą dobę, szukaliśmy faceta, który właśnie nam znikł. Nigdy go nie odnaleźliśmy, ani jego łodzi. Oreza twierdzi. . .

— Człowiek zjedzony przez kraby — westchnął Joy. — Ktoś go utopił, wygląda na to, że już dość dawno. Może mi pan coś o nim powiedzieć?

— Prawdopodobnie nazywał się Angelo Vorano. Mieszkał w Baltimore, drobny handlarz, który usiłował powiększyć interes. — Charon podał rysopis.

— Wzrost jakby się zgadzał. Ale identyfikacja wymaga jeszcze porównania danych stomatologicznych. Świetnie, poruczniku, to nam pomoże. Czego pan potrzebuje ode mnie?

— Hm, a co może mi pan powiedzieć?

Przez kilka minut Charon intensywnie notował.

— Co z Xanthą?

— Trzymamy ją jako świadka, nawiasem mówiąc za zgodą adwokata. Chcemy, żeby została pod naszą ochroną. Wygląda na to, że mamy do czynienia z pa-skudnymi ludźmi.

— Ja też tak myślę. Dobrze, zobaczę, co jeszcze mogę dla pana u nas wygrzebać.

— Dzięki za pomoc.

— Rany boskie! — westchnął, odwiesiwszy słuchawkę. „Biały chłopak. Wielka biała łódź”. Burt i dwóch ludzi, na pewno od Tony’ego, na zimno, w tył głowy z czterdziestkipiątki. Charon poczuł ciarki na plecach. Zabójstwa w stylu egzekucji nie były popularne w interesie narkotykowym. Ale chodziło nie tyle o nastawienie zabójcy, co o jego sprawność. Podobnie było z detalistami, których sprawę prowadzą Tom i Em. Interesują się tym Kellym — białym facetem pływającym wielką białą łodzią, mieszkającym niedaleko laboratorium. To za dużo jak na zbieg okoliczności.

Dobrze chociaż, że może bezpiecznie zadzwonić do Henry’ego. Wiedział o wszystkich podsłuchach związanych z operacjami antynarkotykowymi — żaden nie dotyczył siatki Tuckera.

— Taaak. . . ? — usłyszał zaspany głos.

— Burt i jego przyjaciele nie żyją — oznajmił Charon.

— Co? — To był już głos człowieka w pełni przebudzonego.

— Słyszałeś. Ich ciała ma policja w Sommerset. I to, co zostało z Angela. Laboratorium przepadło, przepadł proszek, mają też w areszcie Xanthę.

Mówiąc to Charon czuł niejaką satysfakcję. Na tyle był jeszcze gliną, by nie czuć goryczy donosząc o udanej akcji policyjnej.

— Co tam się, kurwa, dzieje?

— Myślę, że mam coś do powiedzenia na ten temat. Musimy się spotkać.

\* \* \*

W drodze do domu Kelly postanowił raz jeszcze rzucić okiem na gniazdo wroga. Wystarczyło skierować wynajętego Volkswagena w odpowiednią ulicę. Był zmęczony, ale syty po obfitej kolacji. Dzięki popołudniowej drzemce trzymał się jako tako na nogach i teraz chodziło mu tylko o to, by pozbyć się gniewu, w czym często pomagała mu przejażdżka samochodem. W końcu zobaczył tego człowieka. Tego, który zakończył agonię Pameli, posługując się sznurowadłem. Nie będzie trudno zająć się nim w tym miejscu. I potraktować tak, jak na to zasługiwał. Kelly nigdy nie zabił nikogo gołymi rękami, ale wiedział jak to się robi. W Coronado w Kalifornii, wielu wytrawnych speców poświęciło sporo czasu, by wpoić mu pewną szczególną wiedzę o ludzkiej anatomii. W końcu umiał patrzeć na człowieka jakby przez papier milimetrowy z wyrysowanym schematem — to miejsce wymaga takiego chwytu, tamto takiego... Wiedział, że ma to opanowane i wiedział, że warto zaryzykować.

Tak czy owak, widział już koniec tej sprawy i trzeba było zacząć planować, co potem. Nawet jeszcze staranniejsze niż dotąd. Dobra, gliny wiedziały o nim, ale był pewien, że nic na niego nie mają. Nawet gdyby ta dziewczyna, Xantha, pewnego dnia zdecydowała się mówić, nie widziała jego twarzy — po to między innymi użył farby maskującej. Jedyne niebezpieczeństwo polegało na tym, że mogła zapamiętać numer rejestracyjny jego łodzi, gdy odbijał zostawiając ją na brzegu. Ale o to był spokojny. Bez dowodów rzeczowych nie mogli mu nic udowodnić. Co wiedzieli? Że nie lubił pewnych ludzi? Świetnie. Mogli nawet dowiedzieć się, jakie przeszedł szkolenie. Czemu nie. Grał zgodnie z określonymi regułami. Oni też, ale były to inne reguły. W sumie działały na jego korzyść, nie ich.

Wyglądał przez okno samochodu, a w jego umyśle powoli kształtował się wstępny plan akcji... Trzeba uwzględnić kąt i odległość od celu, opracować zapasowe warianty... Obrali sobie miejsce, gdzie patrole, policyjne były rzadkością, natomiast nie brakowało wolnej przestrzeni. Nikt łatwo nie podejrze nie zauważony... w razie konieczności można pośpiesznie zniszczyć wszelkie obciążające dowody. Z ich punktu widzenia było to logiczne posunięcie taktyczne. Ale nie uwzględnili jednego — że ktoś może posłużyć się taktyką opartą na innych zasadach.

Tym gorzej dla nich, pomyślał, zawracając w kierunku swojego mieszkania.

\* \* \*

— Dobry Boże...! — Roger MacKenzie zbladł i poczuł, że nagle zaczyna mu się robić niedobrze. Stali z Ritterem na kuchennej werandzie jego domu w północno-zachodniej części Waszyngtonu. Żona i córka Rogera wyjechały do Nowego Jorku na jesienne zakupy. Ritter przybył nie zapowiedziany o szóstej piętnaście,

w służbowym stroju, ponury, zupełnie nie na miejscu w ten miły, chłodny poranek. — Znam jego ojca od trzydziestu lat!

Ritter popijał sok pomarańczowy, chociaż kwaśne napoje nie służyły jego żołądkowi, tak jak tego rodzaju sytuacje. Hicks wiedział, że działa na szkodę obywateli własnego kraju, konkretnych ludzi, z których jednego znał nawet z nazwiska. Ritter podjął już decyzje w tej sprawie, ale Roger na razie był na etapie historycznego słowotoku.

— Razem przeszliśmy przez Randolph, służyliśmy w tej samej jednostce w Siłach Powietrznych. . . — ciągnął MacKenzie. Ritter postanowił dać mu się wygadać, nawet gdyby miało go to kosztować trochę czasu. — Razem robiliśmy interesy. . . — Roger zamilkł i wbił wzrok w nie ruszone śniadanie na stole.

— Nie mogą cię winić za przyjęcie go do swojego biura, Roger, ale szczeniak dopuścił się szpiegostwa.

— Co chcesz zrobić?

— Mówimy o poważnym przestępstwie, Roger — zauważył Ritter.

— Zamierzałem właśnie złożyć rezygnację. Chcą, żebym zajął się kampanią wyborczą. Miałem dostać cały Północny Wschód.

— Nie za wcześnie na to?

— Jeff Hicks będzie kierował kampanią w Massachusetts. Pracowałbym z nim na co dzień. — MacKenzie uniósł wzrok znad stołu. Zaczął wyrzucać z siebie krótkie, urywane zdania, niemal pozbawione logicznego związku.

— Bob, śledztwo w sprawie szpiegostwa w naszym biurze. . . ono mogłoby wszystko zniszczyć. Jeśli to, co robimy. . . jeśli wasza operacja dostanie się do wiadomości publicznej. . . to znaczy, jak do niej doszło i dlaczego się nie powiodła. . .

— Przykro mi, Roger, ale ten gnojek zdradził swój kraj.

— Mógłbym pozbawić go dostępu do poufnych informacji, wykopać go. . .

— To za mało — zimno odparł Ritter. — Przez niego mogą umrzeć ludzie. Nie wykręci się tak łatwo.

— Moglibyśmy rozkazać ci. . .

— Zatuszować tę sprawę? To się nazywa utrudnianie śledztwa. To przestępstwo, Roger.

— Twój podsłuch też był nielegalny.

— W dochodzeniach związanych z bezpieczeństwem narodowym obowiązują nieco inne zasady. Trwa wojna, zapomniałeś o tym? A poza tym, wystarczy, że damy mu posłuchać tego nagrania, a wszystko wyśpiewa. — Ritter był o tym przekonany.

— Podejmiesz ryzyko doprowadzenia do upadku prezydenta? Teraz? W takiej chwili? Myślisz, że w ten sposób przysłużysz się krajowi? A co z naszymi stosunkami z Rosją? To przełomowy moment, Bob.

Tylko że zawsze jest ten przełomowy moment, prawda? — chciał odpowiedzieć Ritter, ale zmilczał.

— Cóż, po prostu przyszedłem do ciebie po radę — powiedział.

I Roger poniekąd udzielił mu tej rady:

— Nie możemy pozwolić na śledztwo prowadzące do publicznego procesu. Ze względów politycznych to jest nie do przyjęcia — oświadczył, mając nadzieję, że nie będzie musiał nic dodawać.

Ritter skinął głową i wstał od stołu. Powrót do biura w Langley nie należał do przyjemnych. Świadomość, że ma oto wolną rękę, była dlań źródłem pewnej satysfakcji. Stał jednak w obliczu konieczności, której zawsze chciał uniknąć. Tak czy inaczej, na początek należało zlikwidować podsłuch. I to szybko.

\* \* \*

Tyle się wydarzyło, ale dopiero dzięki artykułowi w gazecie sprawy ruszyły z kopyta. Wielki, czterokolumnowy nagłówek na pierwszej stronie donosił o potrójnym morderstwie w spokojnym dotąd okręgu Sommerset. Zbrodnia miała związek z handlem narkotykami. Ryan pochłonął artykuł, nie zaglądając nawet do działu sportowego, którego lektura była jego codzienną poranną rozrywką.

To musi być on, pomyślał. Kto inny zostawiłby obok trzech ciał „wielką ilość narkotyków”?

Ku zdziwieniu żony, porucznik wyszedł tego dnia o czterdzieści minut wcześniej niż zwykle.

\* \* \*

Sandy skończyła swój pierwszy poranny obchód i wypełniała właśnie jakieś formularze, gdy zadzwonił telefon.

— Czy mogę mówić z panią O’Toole?

— Przy telefonie.

— Tu James Greer. Zdaje się, że to pani rozmawiała z Barbarą, moją sekretarką?

— Tak. Co mogę dla pana zrobić?

— Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale usiłujemy złapać Johna. Nie ma go w domu.

— Tak, jest chyba w mieście, ale nie wiem, gdzie dokładnie.

— Gdyby miała pani z nim kontakt, proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. Proszę wybaczyć, że zwracam się z tym do pani.

— Ależ nie, chętnie panu pomogę.



A to co nowego? — zdziwiła się Sandy. Johna szukała policja. Powiedziała mu o tym, ale nie wydawał się specjalnie przejęty. Teraz znów ktoś stara się z nim skontaktować. Po co?

Chwilę później, w poczekalni, zobaczyła w rękach brata jednego z pacjentów poranną gazetę. Coś tam czytał ze środka, ale ona widziała tylko tytuł w dole pierwszej strony:

MORDERSTWO W SOMMERSET.

OFIARY CZŁONKAMI GANGU NARKOTYKOWEGO.

\* \* \*

— Wszyscy interesują się tym facetem — zauważył Frank Allen.

— Jak to? — odpowiedział pytaniem Charon. Przyszedł do Dzielnicy Zachodniej pod pretekstem, że chce się czegoś dowiedzieć o dochodzeniu w sprawie zastrzelenia Morello. Namówił Allena, żeby ten pokazał mu zeznania innych funkcjonariuszy i trzech cywilnych świadków. Ponieważ Charon i tak zrezygnował z prawa do obrony, a jego przypadek wydawał się czysty, więc Allen nie widział w tym nic niewłaściwego, dopóki rzecz działa się w jego obecności. . .

— Tak to, że zaraz po telefonie z Pittsburgha, że załatwili tę Brown, dzwonił do mnie Em i pytał o niego. Teraz ty. O co chodzi?

— Przypadkowo wypłynęło jego nazwisko. Chodzi o proste sprawdzenie. Co możesz mi o nim powiedzieć?

— Mark, chyba zapomniałeś, że jesteś na urlopie — zauważył Allen.

— Chcesz powiedzieć, że nieprędko wrócę do pracy? Mam wyłączyć swoją mózgowicę, Frank? Czy mogłem przeoczyć, co piszą w gazecie? Że szumowiny w mieście mają na kilka tygodni spokój?

Allen musiał przyznać mu rację.

— Cały ten alarm. . . zaczynam myśleć, że coś jest nie tak z tym gościem. Bo dajże mam o nim jakieś informacje. . . Ach, tak, słusznie, zapomniałem. Poczekaj chwilę.

Poszedł do archiwum. Charon udawał, że czyta zeznania. Po kilku minutach Allen wrócił. Na kolanach Charona wylądowała cienka teczka.

— Masz.

Był to fragment akt personalnych Kelly'ego z okresu służby w wojsku, jednak dość skąpy. Zawierał opis jego kwalifikacji jako nurka, ocenę instruktora i fotografię, poza tym bezwartościowy materiał. Charon spojrzał na Allena.

— Słyszałem, że mieszka na wyspie?

— Tak, pytałem go o to. Śmieszna historia. No dobrze, ale dlaczego on cię interesuje?

— Po prostu pojawiło się jego nazwisko. Prawdopodobnie to nic nie znaczy, ale chciałem ustalić, co to za gość. Ciągłe słyszę jakieś plotki o gangu, który działa na wybrzeżu.

— Właściwie powinienem przesłać ten materiał Emowi i Tomowi. Zapomniałem, że to mam.

Tym lepiej.

— Jadę w tamtą stronę. Chcesz, żebym im podrzucił?

— Mógłbyś?

— Jasne. — Charon wsunął zdobycz pod pachę.

Na początek zatrzymał się przed filią biblioteki Pratta i zrobił fotokopie dokumentów za dziesięć centów od strony. Następnie poszukał fotografa. Pokazał odznakę i w niecałe dziesięć minut miał pięć powiększonych odbitek. Zajechawszy przed komendę, zostawił powielony materiał w skrytce wozu. Nie musiał nawet iść do Wydziału Zabójstw — tuż za drzwiami wręczył teczkę napotkanemu funkcjonariuszowi. Mógł zachować tę informację dla siebie, ale po namyśle uznał, że rozsądniej będzie postępować jak glina.

\* \* \*

— Skąd to się wzięło? — zapytał Ryan, gdy plik dokumentów wylądował na jego biurku.

— Jakiś detektyw dał mi je na dole, panie poruczniku — odrzekł młody funkcjonariusz. — Nie znam gościa, ale powiedział, że to dla pana.

— W porządku — Ryan odprawił go gestem i otworzył teczkę. Po raz pierwszy widział zdjęcie Johna Terrence'a Kelly'ego. Kelly wstąpił do Marynarki dwa tygodnie po ukończeniu osiemnastu lat i służył... sześć lat; przeszedł do rezerwy w stopniu starszego bosmana. Na pierwszy rzut oka widać było, że akta zostały mocno okrojone. Należało się tego spodziewać, bo Wydział interesował się głównie jego kwalifikacjami jako nurka. Teczka zawierała świadectwo ukończenia szkoły UDT i uzyskania uprawnień instruktora. To właśnie zwróciło uwagę policji na Kelly'ego. Świadectwa kwalifikacji służbowej nosiły oceny 4.0 — najwyższy stopień w Marynarce — dołączono do nich entuzjastyczną rekomendację podpisaną przez trzygwiazdkowego admirała, co dla policji okazało się mieć decydujące znaczenie. Admirał nie omieszkał załączyć listy odznaczeń Kelly'ego: Krzyż Marynarki, Srebrna Gwiazda, Brązowa Gwiazda przyznana za odwagę na polu walki, z podwójnym okuciem świadczącym o powtórnym nadaniu tego samego odznaczenia, odznaka Fioletowego Serca z podwójnym... .

Jezu! Dokładnie tak wyobrażałem sobie tego faceta. Odkładając teczkę Ryan spostrzegł, że to część sprawy zabójstwa Goodinga. Czyli — znowu Frank Allen. Zadzwoił do niego.

— Dzięki za dane o Kellym. Kto mi to przyniósł?

— Był tu Mark Charon — wyjaśnił Allen. — Uzupełniam akta jego sprawy z Morello. Zapytał o to nazwisko, mówił, że natrafił na nie w jednej ze swoich spraw. Przepraszam, stary, zapomniałem, że to mam. Powiedział, że może ci podrzucić. Ten Kelly nie pasuje mi na gościa, który może mieć coś wspólnego z narkotykami, wiesz, ale... — po czym przeszedł do spraw, które w tej chwili Ryana nie interesowały.

Cholera, to wszystko zaczyna się kręcić zbyt szybko.

Charon. Wszędzie go pełno. Czy nie za bardzo?

— Frank, mam do ciebie pytanie za pięć punktów. Kiedy dostałeś wiadomość od sierżanta Meyera z Pittsburgha, wspomniałeś o tym komuś?

— Co masz na myśli, Em? — zapytał Allen wyraźnie dotknięty.

— Frank, nie twierdzę, że zwołałeś konferencję prasową.

— To było tego dnia, kiedy Charon rozwalił dealera, nie? — Allen szukał w pamięci. — Mogłem mu coś powiedzieć... zdaje mi się, że tylko z nim wtedy rozmawiałem.

— Dobra, dzięki, Frank.

Ryan odszukał numer telefonu na posterunek „V” policji stanowej.

— Kapitan Joy — głos kapitana zdradzał wielkie znużenie.

— Tu porucznik Ryan z Wydziału Zabójstw w Baltimore.

— Proszę, teraz telefony ze stolicy aż się urywają — zauważył kwaśno Joy.

— Ktoś dzwonił przede mną?

— Porucznik Chair... jakoś tak, nie zapisałem. To było zeszłej nocy, właśnie szedłem do łóżka. Powiedział, że mógłby zidentyfikować jedno z ciał... nie, musiałem gdzieś to zapisać... Przepraszani, padam z nóg.

— Może mi pan zrelacjonować tę sprawę? Choćby w skróconej wersji.

Skrócona wersja okazała się wyczerpująca.

— Ta kobieta jest w areszcie?

— Oczywiście.

— Panie kapitanie, niech pan jej nie wypuszcza, dopóki nie dam panu znać, dobrze? Pan wybaczy... proszę, żeby pan ją zatrzymał w areszcie. Może być ważnym świadkiem w sprawie o wielokrotne zabójstwo.

— Zapomniał pan, że wiem o tym.

— Chodzi mi także o dwa zabójstwa tutaj. Włożyłem w nie już dziewięć miesięcy pracy.

— Póki co, ona nigdzie się nie wybiera. Sami mamy z nią dużo do pogadania. Jej adwokat namówił ją do współpracy.

— Nic więcej nie ma pan o tym strzelcu?

— Tyle co powiedziałem: mężczyzna, biały, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, pomalowany na zielono, jak twierdzi dziewczyna. — O tym Joy nie wspomniał w swojej pierwszej relacji.

— Co takiego?

— Mówi, że twarz i ręce miał zielone, pewnie farba maskująca. I jeszcze coś — dodał Joy. — Naprawdę umie strzelać. Ci trzech zabici... po jednym strzale dla każdego, idealnie w punkt.

Ryan jeszcze raz otworzył teczkę i zerknął na koniec listy wyróżnień: „Expert” w strzelaniu z broni krótkiej.

— Kapitanie, będę jeszcze do pana dzwonił. Wygląda na to, że poradził pan sobie wyśmienicie, jak na kogoś, kto rzadko ma do czynienia z zabójstwami.

— Dotąd ganiałem kierowców przekraczających prędkość — przyznał Joy i odłożył słuchawkę.

— Wcześniej jesteś — zauważył Douglas, wchodząc spóźniony. — Widziałeś gazetę?

— Nasz przyjaciel wrócił i znowu znalazł się na tablicy wyników. — Ryan podał sierżantowi fotografię.

— Teraz wygląda starzej.

— Trzy Fioletowe Serca świadczą, że swoje przeszedł. — Ryan przekazał nowe informacje. — Nie pojechałbyś do Sommerset przesłuchać tę dziewczynę?

— Myślisz, że...

— Tak, myślę, że mamy świadka. A także ich wtyczkę u nas. — Ryan ściszył głos, dzieląc się z sierżantem swoimi podejrzeniami.

\* \* \*

Zadzwoń! Po prostu, żeby usłyszeć jej głos. Był już tak blisko celu, że pozwalał sobie spoglądać w przyszłość. Nie bardzo było to profesjonalne, ale mimo całej swojej zawodowej perfekcji, Kelly pozostawał człowiekiem.

— John, gdzie jesteś? — Jej głos był jeszcze bardziej niespokojny niż poprzedniego dnia.

— Jakoś się ulokowałem. — To było wszystko, co chciał jej powiedzieć.

— Mam dla ciebie wiadomość, James Greer prosił, żebyś do niego zadzwonił.

— Tak, tak. — Kelly skrzywił się. Powinien był zrobić to wczoraj.

— Czy to o tobie piszą w gazecie?

— O czym mówisz?

— Mówię — wyszeptała — o trzech zabitych na Wschodnim Wybrzeżu!

Przeszedł go dreszcz.

— Jeszcze do ciebie zadzwonię — powiedział szybko i odłożył słuchawkę.

Z oczywistych powodów nie dostawał gazety do mieszkania, ale teraz była mu potrzebna. Przypomniał sobie, że na rogu jest automat.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

Co ona o mnie wie?

Nie było sensu pluć sobie teraz w brodę. Miał z nią ten sam problem, co z Doris. Spała, gdy robił swoje, ale obudziły ją strzały z pistoletu. Zawiązał jej oczy, wysadził na brzeg, wyjaśnił, że Burt zamierzał ją zabić i dał tyle forsy, że mogła wsiąść w autobus i pojechać dokąd zechce. Była pod wpływem narkotyku, ale wstrząśnięta i przestraszona. Tymczasem policja już ją miała. Jak to się, u licha stało?

Nieważne jak, człowieku, mają ją!

W jednej chwili wszystko się zmieniło.

Dobrze, więc co teraz zrobisz?

Rozmyślał o tym wracając do mieszkania.

Pierwsza rzecz — musiał się pozbyć swojej czterdziestkiątki, ale to postanowił już wcześniej. Nawet jeśli nie zostawił po sobie żadnych śladów, pistolet mógł go zdradzić. I tak nie będzie mu potrzebny, kiedy zakończy tę sprawę. Na razie jednak potrzebował pomocy, a gdzie miał się o nią zwrócić, jeśli nie do ludzi, dla których zabijał?

— Czy mogę mówić z admirałem Greerem? Tu Clark.

— Proszę zaczekać — usłyszał, a po chwili: — Zdaje się, że miałeś dzwonić wczoraj.

— Mogę być za dwie godziny, panie admirale.

— Czekam.

\* \* \*

— Gdzie Kaz? — zapytał Maxwell. W zdenerwowaniu nie zauważył nawet, że mówi o Podulskim posługując się zdrobnieniem jego imienia. Bosman prowadzący biuro admirała, zrozumiał to jednak.

— Dzwoniłem już do domu, panie admirale. Nikt nie odpowiada.

— Dziwne.

— Może zadzwonić do Bolling? Niech wyślą kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje.

— Dobry pomysł — kiwnął głową Maxwell i wycofał się do swojego gabinetu.

Dziesięć minut później sierżant służby bezpieczeństwa Sił Powietrznych opuścił wartownię i pojechał w kierunku osiedla bliźniaczych domów zamieszkałych przez wyższych oficerów Pentagonu. Napis na tabliczce w podwórzu głosił: KONTRADMIRAŁ C. P. PODULSKI, USN, i opatrzony był parą lotniczych skrzydełek. Sierżant liczył sobie zaledwie dwadzieścia trzy lata i niewiele miał do czynienia z wysokimi oficerami. Otrzymał jednak rozkaz sprawdzić, czy w domu admirała nie stało się coś złego. Na schodku przed wejściem leżała poranna gazeta. Na parkingu stały dwa samochody, w tym jeden z przepustką Pentagonu za

szybą, a sierżant wiedział, że admirał Podulski z żoną mieszkają sami. Zebrawszy się na odwagę zapukał do drzwi. Mocno, lecz niezbyt hałaśliwie. Nic. Spróbował więc dzwonka. Znowu nic. I co teraz? — zastanawiał się młody podoficer. Cała baza stanowiła teren rządowy, miał więc regulaminowe prawo wejść do każdego budynku w obrębie garnizonu. Dostał rozkaz i jego porucznik na pewno w razie czego go poprze. Otworzył drzwi. Rozejrzał się po parterze, w żadnym z pomieszczeń nie znajdując śladów niczyjej obecności. Zawołał kilkakrotnie, ale bez rezultatu. Wtedy zdecydował się zajrzeć na piętro. Wchodził po schodach z dłonią na białej kaburze pistoletu. . .

Admirał Maxwell przyjechał po dwudziestu minutach.

— Atak serca — orzekł lekarz z bazy lotniczej. — Prawdopodobnie podczas snu.

Diagnoza nie dotyczyła żony admirała, leżącej na łóżku obok niego. „Wściekły” Maxwell pamiętał ją jako piękną kobietę i pamiętał, jak głęboko przeżyła utratę syna. Na wpół opróżnioną szklankę wody postawiła na chusteczce, żeby nie zniszczyć drewnianego blatu stolika. Wyrzuciła nawet zakrętkę od buteleczki z pigułkami i dopiero wtedy położyła się przy mężu. Wściekły zajrzał do uchylonej szafy. Biała bluza munduru wisiała na wieszaku, jakby przygotowana na następny dzień służby przybranej ojczyźnie: złote skrzydła nad rzędami baretek i ta niebieska wstążka z pięcioma białymi gwiazdkami. Byli umówieni na rozmowę w sprawie przejścia na emeryturę. Wściekły w dziwny sposób nie czuł się zaskoczony.

— Niech Bóg się nad nimi zlituje — powiedział. Oto miał przed oczami jedynę po stronie własnej ofiary operacji ZIELONA SKRZYNKA.

\* \* \*

Co mam im powiedzieć? — zastanawiał się Kelly, wjeżdżając w bramę. Pokazał przepustkę wartownikowi, który mimo to przyjrzał mu się wyjątkowo uważnie, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego Firma tak marnie płaci swoim agentom. Kelly wprowadził swojego gruchota na parking dla gości, stwierdzając z pewnym zdziwieniem, że wygląda on bardziej dostatnio niż ten przeznaczony dla pracowników etatowych. W holu czekał nań funkcjonariusz ochrony, który poprowadził go na górę. Kelly czuł się dziwnie nieswojo, przemierzając szare, pozbawione wyrazu korytarze pełne obcych ludzi. Chyba dlatego, że miejsce to miało stać się dlań czymś w rodzaju konfesjonału, a nie był całkowicie przekonany o własnej bezgrzeszności. Po raz pierwszy znalazł się w gabinecie Rittera na czwartym piętrze i był zaskoczony jego skromnymi rozmiarami. Sądził, że facet jest kimś ważnym i tak było w istocie, chociaż jak dotąd, biuro miał całkiem skromne.

— Witaj, John — powiedział admirał Greer. Wciąż jeszcze nie mógł się pozbierać po tym, czego dowiedział się od Maxwella pół godziny wcześniej. Wskazał gościowi krzesło, drzwi zostały zamknięte. Ku niezadowoleniu Kelly'ego, Ritter palił.

— Nie ma jak w domu, nieprawdaż, panie Clark? — zapytał agent. Na jego biurku leżał egzemplarz „Washington Post” i Kelly z zaskoczeniem spostrzegł, że tu także historia z Sommerset trafiła na pierwszą stronę.

— Owszem. Chyba ma pan rację. — Greer i Ritter nie mogli nie wyczuć dwuznaczności takiej odpowiedzi. — Dlaczego zostałem wezwany?

— Pamięta pan, o czym rozmawialiśmy w samolocie? Może się jeszcze okazać, że pańska decyzja zabrania Rosjanina pomoże ocalić więźniów. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią szybko myśleć. Pan potrafi. Proponuję panu pracę w moim Wydziale.

— Co miałbym robić?

— To, co panu rozkażemy — odparł Ritter. Miał już coś konkretnego na myśli.

— Tylko że ja nawet nie skończyłem koledżu.

Ritter wyciągnął z szuflady gruby plik papierów. Kelly zorientował się, że są to jego dane personalne z Marynarki.

— Dostałem te dokumenty z St. Louis. Uważam, że bez trudu uzyskałby pan dyplom ukończenia koledżu. Pański iloraz inteligencji jest nawet wyższy niż przypuszczałem. Na przykład zdolności językowe ma pan większe ode mnie. Jesteśmy skłonni odstąpić od wymogu wyższego wykształcenia.

— Fakt odznaczenia Krzyżem Marynarki ma swoją wagę, John — wtrącił Greer. — Twój udział w planowaniu operacji ZIELONA SKRZYNYKA i potem robota w terenie też się liczą.

Kelly wahał się. Co innego podpowiadał mu instynkt, co innego rozsądek. Rzecz w tym, że nie był pewien, czym się w tej sytuacji powinien kierować. Ostatecznie zdecydował, że komuś musi jednak powiedzieć prawdę.

— Widzicie panowie, jest pewien problem.

— Mianowicie? — zapytał Ritter.

Kelly wyciągnął rękę i postukał palcem w gazetę na biurku, rozłożoną na pierwszej stronie.

— Niewykluczone, że powinien pan to przeczytać.

— Już przeczytałem. I co? Ktoś uwolnił świat od paru łajdaków. — Agent wzruszył ramionami. A potem napotkał spojrzenie Kelly'ego i natychmiast w jego głosie pojawiła się czujność.

— Słucham dalej, panie Clark.

— To byłem ja, proszę pana.

— O czym ty mówisz, John? — zdziwił się Greer.

\* \* \*

— Nie mamy tych akt, proszę pana — powiedziała urzędniczka centralnego archiwum wojskowego w St. Louis.

— Jak to? — zaprotestował Ryan. — Mam tu przecież kilka kartek, które z nich skopowano.

— Może pan chwilę zaczekać? Porozumiem się z moją przełożoną. Spojrzał przez okno i skrzywił się. Serdecznie nie cierpiał wisieć na słuchawce. Co to za historia? — zastanawiał się. Przecież w St. Louis lądował każdy kawałek papieru dotyczący jakiegokolwiek osoby — mężczyzny czy kobiety — kiedykolwiek noszącej mundur wojskowy. Przechowywano je tam w bezpiecznym, pilnie strzeżonym kompleksie gmachów, osobliwym antykwariacie, jakże jednak użytecznym dla śledczego. Nie raz dostawał stamtąd cenne dane. Zatrzeszczało w słuchawce.

— Halo, tu Irma Rohrerbach. Czym mogę panu służyć?

Ryan z miejsca wyobraził sobie otyłą białą kobietę, siedzącą przy biurku z walonym robotą, którą miała wykonać tydzień temu.

— Mówi porucznik Emmet Ryan z policji miejskiej w Baltimore. Potrzebuje informacji z pewnych akt personalnych, które są w waszym posiadaniu.

— Panie poruczniku, nie ma tutaj tych akt. Moja urzędniczka przed chwilą pokazała mi odpowiednią notatkę.

— Jak to? Przecież nie wolno wypożyczać oryginałów. Wiem o tym.

— To nieprawda, panie poruczniku. W pewnych przypadkach wolno, i to jest właśnie jeden z nich. Zabrano te akta. Zostaną zwrócone, ale nie wiem kiedy.

— Kto je wziął?

— Nie wolno mi tego powiedzieć, panie poruczniku. — Ton głosu biurokratki doskonale ilustrował stopień jej zainteresowania sprawą. Akt nie było i zanim nie wróca, nie należały do jej świata.

— Mogę uzyskać nakaz sądowy. — To zwykle działało na ludzi, nikt bowiem nie miał ochoty stać się obiektem zainteresowania sądu.

— Tak, wiem. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić? — Widocznie groźby też na nią nie działały. Ostatecznie dzwonił z Baltimore, a pismo jakiegoś sędziego z miasta oddalonego o półtora tysiąca kilometrów wydawało się czymś abstrakcyjnym i bez znaczenia. — Ma pan nasz adres?

Prawdę mówiąc, nie mógł skorzystać z drogi sądowej. Miał jeszcze za mało, żeby iść do sędziego. Takie sprawy załatwia się raczej dyplomacją, nie stanowczością.

— Dziękuję. Jeszcze się odezwę.

— Życzę panu miłego dnia. — Za uprzejmością urzędniczki kryło się zadowolenie z pozbycia się kolejnego natręta.



Po co on wyjeżdżał za granicę? Kto go tam posłał? Ile jeszcze osobliwości kryje ta cholerna sprawa? Ryan wiedział, że musi kryć niejedną. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się je wszystkie zrozumieć.

\* \* \*

— Tak wyglądała po śmierci. — Kelly z nikim nie rozmawiał na ten temat. Streszczając raport z sekcji zwłok Pam, miał wrażenie, że słucha głosu obcego człowieka. — Dla policji śmierć osoby tego rodzaju nigdy nie jest czymś specjalnie ważnym. Wyciągnąłem jeszcze dwie dziewczyny. Jedną zabił. Druga... — Wskazał leżącą na biurku gazetę.

— Dlaczego pozwolił jej pan odejść?

— A co miałem zrobić, panie Ritter? Zabić ją? Takie właśnie były ich zamiary — odparł Kelly, nie podnosząc wzroku. — Kiedy ją wypuszczałem, była mniej więcej przytomna. Na nic więcej nie miałem czasu. Źle oceniłem sytuację.

— Ilu ich było?

— Dwunastu. — Kelly wiedział, że Ritterowi chodzi o liczbę zabitych handlarzy.

— Dobry Boże! — Na dobrą sprawę, Ritter miał ochotę się roześmiać. Rozmawiali, ni mniej ni więcej, tylko o udziale CIA w operacji antynarkotykowej. Z zasady przeciwny był posunięciom tego rodzaju — szkoda na takie drobiazgi czasu ludzi, których zadaniem jest ochrona bezpieczeństwa państwa. Poza tym nie mógł się śmiać, bo sprawa była jednak zbyt poważna. — Piszą tu o dwudziestu kilogramach heroiny. Czy to prawda?

— Chyba tak. — Kelly wzruszył ramionami. — Nie ważyłem. Natomiast mam coś innego. Zdaje się, że wiem jak wwożą towar do kraju. Torebki śmierdzą płynem do balsamowania zwłok. A przybywają z Azji.

— Więc?

— Nie rozumie pan? Azjatycka heroina. Płyn do balsamowania. Transporty odbierane są gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu. To oczywiste. Wykorzystują zwłoki naszych żołnierzy poległych w Wietnamie, żeby przemycić to gównu.

Cholera, facet ma na dokładkę analityczny umysł. Na biurku Rittera zadzwonił telefon. Linia wewnętrzna.

— Powiedziałem, żadnych telefonów — warknął agent.

— Dzwoni „Bill”. Mówi, że to ważne.

\* \* \*

Trudno o lepszy moment, zdecydował kapitan. Jeńców wyprowadzono z cel w ciemności. Znowu nie było prądu i za całe oświetlenie musiały wystarczyć latarki

i kilka związanych w pęczek pochodni. Więźniowie mieli spętane nogi, wszystkim związane na plecach nadgarstki i łokcie. Poruszali się lekko pochyleni do przodu. W ten sposób nie tylko łatwiej było ich pilnować. Równie ważne było podkreślenie ich poniżenia. Za każdym z Amerykanów kroczył jeden z rekrutów. Zaganiali ich na środek placu. Chłopcy zasłużyli sobie na trochę rozrywki, myślał kapitan. Pracowali ciężko podczas szkolenia i niebawem mieli wyruszyć w długą drogę na południe, aby dokończyć dzieła wyzwolenia i zjednoczenia ojczyzny. Amerykanie byli zdezorientowani i wyraźnie przestraszeni odstępstwem od zwykłego porządku dnia. Ostatni tydzień upłynął im w spokoju. Kapitan zastanawiał się, czy poprzednio każąc wyprowadzić ich na plac, nie popełnił błędu. Mogło między nimi narodzić się coś w rodzaju solidarności. Mimo wszystko, była to dobra lekcja pogładowa dla jego żołnierzy. Wkrótce będą zabijać Amerykanów większymi grupami, to jasne, kiedyś jednak musieli zacząć. Kapitan wykrzyknął komendę.

Dwudziestu wybranych żołnierzy zamachnęło się karabinami, każdy celując kolbą w brzuch przydzielonego sobie więźnia. Tylko jeden z Amerykanów zdołał utrzymać się na nogach po pierwszym uderzeniu, ale już nie po drugim.

Zacharias był zaskoczony. Po raz pierwszy doznał przemocy od tego dnia wiele miesięcy temu, gdy Kola powstrzymał maltretującego go Wietnamczyka. Pierwsze uderzenie wybiło zeń oddech. Już i tak bolały go plecy w efekcie zastygłych obrażeń odniesionych podczas katapultowania. Do tego doszła niewygodna pozycja, w jakiej zmuszony był się poruszać. Cios okutą kolbą AK-47 w jednej chwili pozbawił go panowania nad osłabionym, sponiewieranym ciałem. Upadł na bok i już leżąc próbował podkulić nogi, osłonić się. Wtedy posypały się kopniaki. Mając ręce boleśnie skrępowane na plecach, nie mógł nawet chronić twarzy. Przez cały czas widział twarz kopiącego go Wietnamczyka — właściwie chłopca, najwyżej siedemnastoletniego, o niemal dziewczęcym wyglądzie. Była to twarz lalki — te same puste oczy, pozbawione wyrazu spojrzenie. Ani śladu wściekłości, nie odsłonił nawet zębów. Po prostu kopał go, jak dziecko kopie piłkę, bo piłka jest od tego, żeby ją kopać. Robin nie umiałby nienawidzić tego chłopca, ale mógł nim gardzić za jego okrucieństwo. I chociaż już pierwsze kopnięcie złamało mu nos, nie przestał patrzeć. Pułkownik Zacharias dawno już osiągnął dno rozpacz — wtedy, gdy uświadomił sobie, że pozwolił się złamać i zdradził to, co wiedział. Miał jednak czas, aby to wszystko przemyśleć. Zrozumiał, że nie jest bohaterem, ale i nie jest tchórzem — po prostu jest człowiekiem. Zniesie ból, jako fizyczną karę za wcześniejsze błędy, i nie przestanie prosić Boga o siłę. Nie spuszczał podpuchniętych oczu z twarzy znęcającego się nad nim chłopca. Przeżyje to. Przeżyłem gorsze rzeczy, a nawet gdybym umarł, i tak pozostanę lepszym człowiekiem, niż ty będziesz kiedykolwiek — mówiło jego spojrzenie. Zniosłem torturę samotności, a była ona gorsza niż to, chłopcze. Nie modlił się o wyba-

wienie. Na koniec czuł się wewnętrznie wolny i wiedział, że potrafi stawić czoło śmierci tak samo, jak stawił czoło własnej słabości i upadkowi.

Oficer wykrzyknął kolejny rozkaz i żołnierze odstepili od więźniów. Młody Wietnamczyk, zanim się cofnął, jeszcze raz kopnął Robina. Zacharias krwawił, jedno oko prawie całkiem zakrywała opuchlizna, pierś rozrywał mu bolesny kaszel. Żył jednak. Żył, nadal był Amerykaninem i oto przetrwał jeszcze jedną próbę. Spojrzał na kapitana dowodzącego wietnamskim oddziałem. Dostrzegł grymas wściekłości na jego twarzy. Tego właśnie brakowało w spojrzeniu żołnierza stojącego teraz kilka kroków od niego. Robin zastanawiał się, dlaczego.

— Podnieść ich! — wrzasnął kapitan.

Okazało się, że dwaj Amerykanie są nieprzytomni i trzeba było po dwóch ludzi, by dźwignąć ich z ziemi. To wszystko, czym kapitan mógł uraczyć swoich ludzi. Oczywiście, lepiej by było zabić więźniów, ale rozkaz znajdujący się w jego kieszeni zabraniał tego, a armia nie tolerowała łamania rozkazów.

Robin mógł teraz spojrzeć w oczy chłopca, który go bił — z bliska, z odległości dwudziestu centymetrów. Nie znalazł w nich śladu emocji, ale patrzył, a jego wzrok też nie wyrażał w tej chwili żadnych uczuć. Taka mała próba woli, tylko między nimi dwoma. Nie padło ani jedno słowo, chociaż obaj dyszeli ciężko — jeden ze zmęczenia, drugi z bólu.

Chciałbyś to kiedyś powtórzyć? No, odpowiedz jak mężczyzna mężczyźnie: myślisz, że dałbyś radę? Nie wstydzisz się tego, co zrobiłeś? Warto było? Czujesz się teraz bardziej mężczyzną, chłopcze? Nie sądzę. Choćbyś ukrył to przed całym światem, my obaj wiemy, kto wygrał tę rundę, prawda?

Żołnierz kroczył u boku Robina z nieprzeniknioną twarzą, ale z całej siły zacisnął dłoń na ramieniu Amerykanina, i ten uznał to za oznakę swego zwycięstwa. Chłopak wciąż się go bał. Mimo wszystko. Robin nadal był dla niego jednym z tych, których widywał przemierzających niebo — znienawidzonych, owszem, ale budzących lęk. Okrucieństwo jest bronią tchórza i ci, którzy się go dopuszczają wiedzą o tym równie dobrze jak ci, którzy muszą je znosić.

Zacharias posuwał się z trudem. Idąc pochylony nie patrzył przed siebie i nie zauważył samochodu, dopóki nie znalazł się tuż obok niego. Była to zniszczona, rosyjska ciężarówka ze skrzynią przykrytą w miejsce plandeki drucianą siatką. Uniemożliwiało to ucieczkę przewożonym nią więźniom i jednocześnie ułatwiało nadzór. Robin nie miał pojęcia, dokąd ich wiozą. Nie bardzo nawet wiedział, gdzie się znajduje i nie chciało mu się myśleć, co będzie dalej. Nic nie mogło być gorsze od tego miejsca. . . a przecież jakoś przetrwał. Ciężarówka ruszyła z hałasem. Po chwili obóz zniknął w mroku. Pułkownik Zacharias miał za sobą najcięższą próbę w życiu. Pochylił głowę szepcząc modlitwę dziękczynną oraz — po raz pierwszy od wielu miesięcy — modlitwę o wybawienie. Wszystko jedno, w jakiej miałoby przyjść postaci.

\* \* \*

— To pańska zasługa, panie Clark — powiedział Ritter po długiej chwili, kiedy z namysłem przyglądał się odłożonej właśnie słuchawce.

— Prawdę mówiąc, nie planowałem tego w ten sposób.

— Owszem, ale zamiast zabić tego Rosjanina, zabrał go pan ze sobą. — Ritter spojrzął na admirała Greera. Kelly nie widział, jak tamten skinął głową, a przecież oznaczało to zmianę w jego życiu.

— Szkoda, że Kaz o tym nie wiedział.

\* \* \*

— Co oni wiedzą?

— Mają Xanthę, żywą, w więzieniu okręgowym w Sommerset. A ile ona wiedziała? — Obok Charona w spotkaniu uczestniczył Tony Piaggi. Ci dwaj widzieli się po raz pierwszy. Umówili się w bliskim uruchomienia laboratorium w Baltimore. Charon uważał, że ten jeden raz może się tam pokazać.

— Będą kłopoty — rzucił Piaggi. Nikt nie zaprzeczył. — Ale damy sobie radę. Przede wszystkim musimy teraz pomyśleć o dostawie dla moich przyjaciół.

— Człowieku, straciliśmy dwadzieścia kilo! — nie wytrzymał Tucker. Zaczynał się bać. I wiedział, że ma się czego bać.

— Masz jakiś zapas?

— Tak. Schowałem u siebie jeszcze dziesięć kilo.

— Trzymasz to w domu? — podskoczył Piaggi. — Stuknij się w głowę, Henry!

— Ta dziwka nie wie, gdzie mieszkam.

— Zna twoje nazwisko. Dysponując czyimś nazwiskiem, można sporo zdziałać — odezwał się Charon. — Jak myślisz, czemu, do cholery, trzymałem swoich ludzi z dala od twojej ekipy?

— Musimy zreorganizować cały system — spokojnie stwierdził Piaggi.

— Możemy to zrobić, nie? Trzeba się przenieść, ruszyć się. Byle ostrożnie. Henry, twój towar nie przychodzi tutaj, zgadza się? Sprowadź go, a my pchniemy to dalej. Bez problemu przeprowadzimy twój interes w inne miejsce.

— Straciłem całą miejscową siatkę...

— Pieprzyć miejscową siatkę! Zamierzam przejąć dystrybucję na całym Wschodnim Wybrzeżu. Zacznieś ty w końcu myśleć?! Straciłeś jakieś dwadzieścia pięć procent tego, co możesz sprowadzić. Odbijemy to sobie w dwa tygodnie. Przestań się zachowywać jak drobny kombinator.

— W takim razie zostaje sprawa zatarcia śladów. — Nakreślona przez Tony'ego wizja przyszłości wydała się Charonowi wielce obiecująca. — Xantha jest tylko jedna. Narkomanka. Kiedy ją zgarnęli, była nafaszerowana prochami. To

żaden świadek, o ile nie znajdą czegoś na poparcie jej zeznań. Jeśli przeniesiecie się na inny teren, wszystko powinno być w porządku.

— Trzeba się pozbyć reszty dziewczyn. Natychmiast. — Piaggi mówił tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Bez Burta nie mam się kim posłużyć. Mogę ściągnąć kilku znajomych. . .

— Nie ma mowy, Henry. Chcesz teraz wprowadzać nowych ludzi? Zadzwo-  
nię lepiej do Filadelfii. Mamy w rezerwie tamtych dwóch, zapomniałeś? — Henry  
skinął głową na znak, że się zgadza. — Dalej: musimy zadbać o to, żeby moi przy-  
jaciele nie mieli powodów do narzekania. Potrzebujemy dwadzieścia kilo towaru,  
gotowego do sprzedaży. I to potrzebujemy całości.

— Mam tylko dziesięć — zastrzegł Tucker.

— Wiem, gdzie jest go więcej. Wy też. Mam rację, poruczniku Charon? —  
Pytanie Tony'ego tak zaskoczyło policjanta, że na śmierć zapomniał powiedzieć  
o innej sprawie, która także budziła jego niepokój.

## 36 — Niebezpieczna substancja

Pora zastanowić się nad swoją sytuacją. To, co miał zrobić, było dla niego czymś nowym. Nigdy dotąd nie robił takich rzeczy na rozkaz. Nie licząc Wietnamu, ale to była zupełnie inna sprawa. Na dokładkę musiał wrócić do Baltimore, a to wiązało się z ogromnym ryzykiem. Miał, co prawda, nowe dokumenty, ale należały one do człowieka, o którym wiadomo było, że nie żyje. Wystarczy, że ktoś zechce je sprawdzić. Niemal z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy miasto dzieliło się na dwie strefy — jedną stosunkowo małą i pełną niebezpieczeństw i drugą, większą i bezpieczną. Teraz to się zmieniło. Nigdzie nie było bezpiecznie. Policja знаła jego nazwisko, może i twarz. Oznaczało to, że pasażerowie pierwszego lepszego radiowozu — a zrobiło ich się jakoś dziwnie dużo — mogli go rozpoznać. Gorzej, że w takim wypadku nie miałyby się nawet jak bronić — nie mógł pozwolić sobie na zabicie policjanta.

I jeszcze ta sprawa. . . Wszystko się skomplikowało. Nie dalej jak dwadzieścia cztery godziny temu miał przed oczami swój ostatni cel. Teraz zastanawiał się, czy kiedykolwiek to się skończy.

Może byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie zaczynał? Gdyby pogodził się ze śmiercią Pam i zajął własnymi sprawami, czekając cierpliwie, aż policja sama rozwiąże tę sprawę. Ale nie. Nigdy by jej nie rozwiązali. Szkoda by im było czasu i ludzi, żeby ścigać zabójców jakiejś tam dziwki. Kelly aż do bólu zacisnął dłoń na kierownicy. Śmierć Pam nigdy nie zostałaaby naprawdę pomszczona.

Czy mógłbym z tym żyć przez resztę swoich dni?

Jechał na południe autostradą Waszyngton-Baltimore, a po głowie tłukła mu się pewna myśl, coś, co zapamiętał z lekcji angielskiego w szkole średniej: arystotelesowska definicja tragedii. Bohater tragedii skazany był na swój los na skutek wewnętrznego rozdarcia, które stanowiło o jego słabości. Co było słabością Kelly'ego. . . ? Kochał za bardzo, za dużo było w nim współczucia i zbyt wiele dawał z siebie sprawom i ludziom stającym na jego drodze. Nie mógł już zawrócić. Możliwe, że ocaliłby w ten sposób życie, ale byłoby to życie zatrute wyrzutami sumienia. Tak więc musiał ryzykować i doprowadzić rzecz do końca.

Miał nadzieję, że Ritter rozumie jego pobudki. Po prostu nie mógł się wycofać. Ani ze sprawy Pam, ani ze sprawy ZIELONA SKRZYNKA. Pokręcił głową ze smutkiem. Mimo wszystko wolałby, żeby wzięli do tego kogoś innego.

Autostrada przeszła w ulicę Baltimore — New York Avenue. Słońce dawno już zaszło. Nadchodziła jesień, jakże odmienna od upalnego, wilgotnego atlantyckiego lata. Wkrótce rozpocznie się sezon piłkarski, zakończy rozgrywki liga baseballowa. I czas będzie biegł dalej, rok po roku. . .

\* \* \*

Peter ma rację, myślał Hicks. Powinien zostać. Ojciec coraz głębiej wchodził w system. W pewnym sensie stał się jedną z najważniejszych postaci życia politycznego, jako skarbnik i koordynator kampanii wyborczej. Prezydent zostanie wybrany na drugą kadencję, a wtedy i Wally umocni swoją pozycję. Nareszcie naprawdę będzie mógł wpływać na bieg wydarzeń. Donosząc o tamtej akcji, zrobił najmądrzejszą rzecz w życiu. Tak, tak, wszystko się łączy, pomyślał, przypalając trzeciego tego wieczora skręta. Zadzwoił telefon.

— Jak leci? — doszedł do niego głos Petera.

— W porządku. Co u ciebie?

— Masz chwilę czasu? Mam coś dla ciebie. — Henderson zaklął w duchu. Z miejsca wyczuł, że Wally jest znów na hajku.

— Za pół godziny?

— Dobra. Do zobaczenia.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Hicks zgasił skręta i poszedł otworzyć. Za wcześnie na Petera. Chyba to nie glina? Okazało się, że na szczęście, nie.

— Pan Walter Hicks?

— Tak. A kto pyta? — Obcy był mniej więcej w wieku Wally'ego, może wygląd miał nieco bardziej prostacki.

— Nazywam się John Clark. — Przybysz rozejrzał się nerwowo po korytarzu. — Muszę zamienić z panem kilka słów. To zajmie tylko parę minut.

— Na jaki temat?

— ZIELONA SKRZYNKA.

— A o co chodzi?

— Są pewne sprawy, o których powinien pan wiedzieć — odparł Clark. Pracował teraz dla Firmy, toteż był Johnem Clarkiem. W jakiś sposób czyniło to jego zadanie łatwiejszym.

— Proszę wejść. Ale mam tylko kilka minut.

— Wystarczy. Nie chcę zostawać zbyt długo.

Zaproszony gestem do wejścia, Clark przestąpił próg i natychmiast poczuł gryzący zapach palonych konopii, jak smród tłęcej się liny. Hicks wskazał mu fotel naprzeciw swojego.

— Co panu podać?

— Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba — brzmiała odpowiedź. Clark starał się niczego nie dotykać. — Byłem tam.

— Znaczy, gdzie?

— W ZIELENIAKU. Zaledwie tydzień temu.

— Brał pan udział w tej wyprawie? — zainteresował się Hicks, całkowicie nieświadom niebezpieczeństwa, które zawisło nad jego głową.

— Zgadza się. To ja zgarnąłem tego Rosjanina — z niewzruszonym spokojem odparł dziwny gość.

— Porwał pan obywatela Związku Radzieckiego? Dlaczego, do nagłej cholery?

— To w tej chwili nieważne, panie Hicks. Ważniejszy okazał się jeden ze znalezionych przy Rosjaninie dokumentów: rozkaz podjęcia przygotowań do zabicia wszystkich amerykańskich jeńców.

— To przykre — powiedział Hicks. Pokręcił głową, ale widać było, że nie jest specjalnie poruszony. „Och, zdechł panu kanarek? To przykre”.

— Nie robi to na panu wrażenia? — spytał Clark.

— Owszem, czemu nie, ale każdy coś ryzykuje. Zaraz... — Hicks przerwał i zamyślił się. Kelly zrozumiał, że stara sobie przypomnieć coś, co umknęło jego uwadze. — Myślałem, że mamy też komendanta obozu. To prawda?

— Nie. Zabiłem go. Tę informację podrzuciliśmy pańskiemu szefowi, żeby zidentyfikować człowieka, który doniósł Rosjanom o planowanej operacji. — Kelly pochylił się w stronę Hicksa. — To był pan, panie Hicks. Ja tam byłem. Musieliśmy zrezygnować. Ci więźniowie byłiby teraz w domu ze swoimi rodzinami. Wszyscy, cała dwudziestka.

Hicks prawie nie słuchał, co Kelly do niego mówi.

— Nie chciałem ich śmierci. Ale, jak powiedziałem, każdy wie, co robi, jakie podejmuje ryzyko. Nie rozumie pan? To była sprawa nie warta zachodu. I co teraz pan zrobi? Aresztuje mnie pan? Za co? Myślisz pan, że jestem taki głupi? Wasza operacja była tajna. Nie możecie jej ujawnić, bo to oznaczałoby ryzyko zerwania rozmów w Paryżu. Biały Dom nigdy wam na to nie pozwoli.

— Słusznie. Nie chcę pana aresztować. Jestem tu, żeby pana zabić.

— Co? — Hicks omal się nie roześmiał.

— Zdradził pan swój kraj. Wydał wrogowi dwudziestu ludzi.

— Słuchaj pan, to była kwestia sumienia.

— To też, panie Hicks. — Clark wyjął z kieszeni plastikową torebkę. Zawierała narkotyk znaleziony przy zwłokach Kręgla, łyżkę i szklaną strzykawkę. Cisnął to wszystko na kolana Hicksa.



— Nie zrobię tego.

— Też dobrze. — W dłoni Clarka pojawił się nóż. — Zabijałem ludzi także w ten sposób. Tam, w Wietnamie, zostało dwudziestu ludzi, którzy powinni być w domu. Pan okradł ich z życia. Niech pan wybiera, panie Hicks.

— No nie, chyba pan naprawdę nie... — Hicks był blady, oczy rozszerzył mu strach.

— Komendant obozu był wrogiem mojego kraju. Tak jak pan. Ma pan minutę.

Hicks spojrział na nóż w ręku Clarka i zrozumiał, że naprawdę nie ma wyboru. Domyślił się, co znaczy to niesamowite spojrzenie człowieka siedzącego po przeciwnej stronie stolika. Nigdy dotąd nie widział takich oczu.

Kelly myślał o tym, co działo się tydzień temu, co czuł siedząc w błocie na wzgórzu, odległym zaledwie o kilkaset metrów od cel tych dwudziestu ludzi, którzy powinni być dziś wolni. Wiedział, że jeśli będzie o tym pamiętał, nieco łatwiej przyjdzie mu zrobić to, co zrobić musiał. Miał jednak nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał wykonywać takich rozkazów.

Hicks rozejrzał się po pokoju, jakby w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby odwrócić bieg wypadków. Zegar na gzymsie kominka chyba stanął. Hicks zaczynał rozumieć, co się stało. Teoretycznie dokonał wyboru już w 1962, w Andover, i wybrał wtedy śmierć. Całe jego życie było konsekwencją tamtej decyzji i nieuchronnie prowadziło do tej chwili. Dla Waltera Hicksa świat był równaniem, które należało rozwiązać i sprawdzić. I oto zdał sobie sprawę — za późno — że on sam był tylko jedną ze zmiennych w tym równaniu, a nie facetem, który z kredą w dłoni stoi przy tablicy. Zastanawiał się, czy nie zerwać się z fotela, ale jego gość właśnie pochylił się w jego stronę, wysuwając nóż odrobinę do przodu. Spojrzenie Hicksa padło na cienką, srebrzystą linię klingi. Wyglądała na tak przeźrażliwie ostrą, że poczuł, że brakuje mu tchu. Jeszcze raz spojrział na zegar. Mimo wszystko, jego wskazówki się poruszały.

\* \* \*

Peter Henderson nie śpieszył się. Był środek tygodnia, a w takie dni Waszyngton wcześniej idzie spać. Wszyscy ci biurokraci, ich pomocnicy i specjaliści asystenci wstają wcześniej i muszą być wypoczęci, żeby w pełni sił przystąpić rano do kręcenia trybami maszyny swojego kraju. Henderson niespiesznie przemierzał Georgetown, krocząc po nierównym chodniku, którego płyty wypychały od dołu korzenie drzew. Jakaś starsza para wyprowadzała na spacer swojego pieska. Przed domem Wally'ego zauważył tylko jednego mężczyznę. Zwykły facet, mniej więcej w jego wieku, wsiadał właśnie do odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów samochodu. Odgłos silnika, przypominający kosiarkę do trawy, pozwalał bez pudła rozpoznać Volkswagena, i to pewnie starego. To cholerne paskudztwo potrafi

być niezniszczalne. Chwilę później stanął przed drzwiami Wally'ego. Zapukał i wtedy spostrzegł, że nie są zamknięte. W pewnych sprawach Wally zachowywał się okropnie niedbale. Jako szpieg byłby do niczego. Henderson pchnął drzwi i wszedł do środka, szykując się do udzielenia przyjacielowi solidnej reprimendy. A potem zobaczył go.

Hicks siedział w fotelu, lewy rękaw koszuli miał wysoko podwinięty. Prawą dłoń zaciskał na kołnierzu pod szyją, jak ktoś, komu nagle zrobiło się duszno. Prawdziwy powód jego stanu tkwił jednak w wewnętrznej stronie lewej ręki. Peter nie podszedł do ciała. Przez chwilę stał nieruchomo, aż uświadomił sobie, że powinien czym prędzej wyjść.

Wytań chusteczką klamkę u drzwi, zamknął je i odszedł, starając się zapanować nad skurczami żołądka. Był wściekły. Do diabła, Wally! Byłeś mi potrzebny. Umrzeć w taki sposób... od przedawkowania narkotyku!

Tak czy inaczej Wally umarł, tyleż niespodziewanie, co nieodwołalnie. Pozostały jednak jego przekonania, myślał Henderson kierując się w stronę domu. One przetrwają. Już on o to zadba.

\* \* \*

Podróż trwała całą noc. Ciężarówka podskakiwała na wybojach, a każdy taki wstrząs był torturą dla obolałych kości i mięśni pułkownika. Trzej więźniowie znajdowali się jednak w jeszcze gorszym stanie. Dwaj byli nieprzytomni, a Robin nic nie mógł dla nich zrobić, mając związane ręce i nogi. Niemniej odczuwał coś na kształt satysfakcji. Każdy zniszczony most, zmuszający ich do objazdu, był dla niego zwycięstwem. Ktoś wciąż walczył, zadawał ciosy tym bydlakom. Ludzie szeptali między sobą, licząc na to, że strażnicy w tyle skrzyni nie usłyszą ich poprzez hałas silnika. Robin zastanawiał się, dokąd ich wiozą. Pochmurne niebo nie pozwalało orientować się podług gwiazd, ale wraz ze świtem przysłała wskazówka, gdzie znajduje się wschód. Stało się jasne, że kierują się na północny zachód. Ich najbliższe losy stanowiły zbyt wielką niewiadomą, by warto było żywić jakąś nadzieję. Po namyśle Robin uznał jednak, że prawdę mówiąc, nadzieja nie zna żadnych ograniczeń.

\* \* \*

Kelly odetchnął z ulgą, kiedy już było po wszystkim. Śmierć Waltera Hicksa w żaden sposób nie mogła stać się dlań źródłem satysfakcji. Był zdrajcą i tchórzem, powinny jednak istnieć lepsze sposoby załatwiania takich spraw. Dobrze, że Hicks zdecydował się sam odebrać sobie życie, bo nie był pewien, czy zdobyłby

się na zabicie go nożem... czy w jakiś inny sposób. W każdym razie zasłużył na swój los, co do tego Kelly nie miał żadnych wątpliwości.

Ale czy to nie dotyczy nas wszystkich? — pomyślał.

Zapakował swoje rzeczy do walizki. Okazała się dość duża, by pomieścić cały jego dobytek. Zniósł ją do wynajętego samochodu, mając świadomość, że opuszcza swoje mieszkanie na zawsze. Popołudnie zastało go znów w drodze. Wracał do centrum niebezpiecznej strefy, gotów do ostatniej akcji.

\* \* \*

Chuck Monroe nareszcie miał trochę spokoju. Nadal ścigał włamywaczy i przestępców wszelkiego autoramentu, ale rzeź handlarzy w jego rewirze ustała. Czasami nie był pewien, czy należy się z tego powodu tak bardzo cieszyć i nawet wyznał coś w tym rodzaju kolegom z innych patroli, kiedy siedzieli nad posiłkiem o trzeciej rano.

Monroe prowadził swój radiowóz niemal stałą trasą, pilnie wypatrując cze-  
gokolwiek odbiegającego od normy. Zauważył dwóch nowych w miejscu, gdzie  
narkomani zaopatrywali się w trawkę. Będzie trzeba ustalić ich uliczne ksywki,  
może jakiś informator coś na nich znajdzie. Ci od narkotyków ze śródmieścia mo-  
gliby się postarać, żeby i tu zaczęło się coś dziać. Ktoś się postarał, choć na krót-  
ko. Monroe skręcił na zachód, zbliżając się do krańca swojego rewiru. Wszystko  
jedno, kim był ten ktoś. Powiedzieli: uliczny włóczęga. Monroe uśmiechnął się.  
Nieoficjalna nazwa tej sprawy wydawała mu się zdecydowanie najwłaściwsza.  
Niewidzialny Człowiek. Dziwne, że gazety tego nie podchwyciły. W taką nudną  
noc dziwne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy. Ale daj Boże jak najwię-  
cej takich nocy. Ludziska późno poszli spać, bo chcieli zobaczyć, jak Oriole leją  
Jankesów. Monroe zauważył, że istnieje zależność między natężeniem przestę-  
pczości na ulicach, a terminami ważniejszych meczów. Oriole byli coraz bliżsi ty-  
tułu i zamierzali po niego sięgnąć, bazując w tym roku na sile uderzenia Franka  
Robinsona i zręczności Brooksa Robinsona. Nawet najgorsze męty przepadają za  
baseballem, dumął Monroe, i chociaż ten wniosek zabrzmiał mu nieco dziwacz-  
nie, wiedział, że to prawda. Dzięki temu dzisiejsza noc była taka nudna. I dobrze.  
Miał okazję pojeździć sobie, poobserwować i dowiedzieć się tego i owego. I po-  
myśleć w spokoju. Zdążył już poznać rytm życia na ulicach i teraz chodziło tylko  
o to, by nie przegapić chwili, gdy zaczynało się dziać coś niezwykłego. Stary gli-  
niarz zawsze wie, co wymaga bliższego sprawdzenia, a czym nie warto zawracać  
sobie głowy. Tylko w ten sposób można zapobiegać przestępstwom, zamiast cze-  
kać na wezwanie, zwykle po fakcie. Tej sztuki nie da się opanować tak szybko,  
uważał Monroe.

Zachodnią granicę jego rejonu stanowiła ulica biegnąca z południa na północ.  
Jedna strona należała do niego, druga do innego funkcjonariusza. Miał już skre-

cić w tę ulicę, gdy spostrzegł kolejnego włóczęgę. Jego sylwetka wydała mu się dziwnie znajoma, chociaż nie był żadnym z łazików, których Monroe sprawdzał kilka tygodni wcześniej. Zmęczony siedzeniem w samochodzie, znudzony bezczynnością, bo nic tej nocy nie zrobił poza złożeniem jednego meldunku o ruchu ulicznym, zjechał do krawężnika, zatrzymał się i powiedział: — Zaczekaj no, koleś!

Tamten szedł dalej, wolnym, niepewnym krokiem. Może trzeba go będzie zamknąć za pijaństwo w miejscu publicznym? Bardziej jednak prawdopodobne, że to uliczny pijak na okrągło oszołomiony łykaniem jakiegoś świństwa. Monroe wsunął pałkę w uchwyt u pasa i pośpiesznie ruszył za oddalającym się mężczyzną. Miał do niego nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, ale wyglądało na to, że stary sukinsyn był głuchy czy coś w tym rodzaju, bo nie słyszał nawet stukotu skórzanych obcasów policjanta. Dłoń Monroe opadła na ramię włóczęgi.

— Powiedziałem, zatrzymaj się!

Fizyczny kontakt z nieznanym zupełnie zbił go z tropu. Ramię pod jego dłonią było twarde, silne i napięte. Monroe nie był po prostu na to przygotowany — zbyt zmęczony, znudzony, zbyt pewny siebie i przekonany o swojej nieomyślności. Toteż choć jego umysł w ułamku sekundy wykrzyknął: Niewidzialny Człowiek! — ciało nie było gotowe do akcji. Włóczęga natomiast był. Monroe nie zdążył nawet opuścić ręki, kiedy świat przed jego oczami wykonał gwałtowny obrót w dół na prawo, potem w górę na lewo, tak że przez moment widział niebo, następnie chodnik i znów niebo, ale tym razem widok gwiazd zakłócał mu pistolet.

— Nie mogłeś zostać w swoim pieprzonym samochodzie? — ze złością rzucił obcy.

— Kim... ?

— Zamknij się! — Lufa pistoletu na czole stanowiła wystarczający argument za tym, by posłuchać. Ale nie do końca. Widok rękawic chirurgicznych na dłoniach mężczyzny sprawił, że policjant nie zdołał się powstrzymać.

— Jezu! — szepnął z szacunkiem. — To ty!

— Tak, ja. I co mam z tobą, do diabła, zrobić? — mruknął Kelly.

— Nie będę błagał o litość. — Policjant nazywał się Monroe, odczytał Kelly z plakietki identyfikacyjnej, i istotnie nie wyglądał na kogoś, kto ma tendencje do błagania o litość.

— Nie musisz. Odwróć się. Raz-dwa! — Z niewielką pomocą policjant uczynił, co mu kazano. Kelly odpiął mu kajdanki od pasa i założył na przeguby rąk. — Spokojnie, policjancie Monroe.

— Bo co? — Głos gliniarza brzmiał całkiem pewnie, co wzbudziło podziw jego prześladowcy.

— Bo nie zabijam glin. — Kelly postawił policjanta na nogi i poprowadził w stronę radiowozu.

— To nic nie zmienia, kolego — powiedział Monroe, starając się nie podnosić głosu.

— Ciekawe, gdzie trzymasz kluczyki?

— W prawej kieszeni.

— Bóg zapłać. — Kelly zabrał klucze i wepchnął policjanta na tył wozu, oddzielonego siatką chroniącą kierowcę przed agresją aresztowanych. Pośpiesznie uruchomił silnik i wprowadził radiowóz w pobliski zaułek.

— Ręce w porządku? Kajdanki nie za ciasne?

— Jasne. Bardzo mi tu, kurwa, wygodnie. — Policjant zaczynał się trząść, głównie ze złości. Kelly skłonny był go rozumieć.

— Spokój, chłopie. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Samochód zamykam. Kluczyki wrzucę do kanału.

— I pewnie mam ci jeszcze podziękować? — odrzekł Monroe.

— Przecież o to nie prosiłem, nie? — Kelly chętnie przeprosiłby tego człowieka. Wcale nie zamierzał go upokarzać. — Ułatwiłeś mi robotę, człowieku. Następnym razem zachowajcie więcej czujności, policjancie Monroe.

Idąc w stronę wylotu zaułka, Kelly omal się nie roześmiał. Czuł, jak opuszcza go napięcie. Miałem szczęście, pomyślał, skręcając na powrót na zachód. Nie wszystko jednak było w porządku. Nadal sprawdzali pijaków. Miał nadzieję, że po miesiącu już im się to znudziło. Kolejna komplikacja. Postanowił w miarę możliwości trzymać się ciemnych ulic i zaułków.

Informacja Billy'ego, potwierdzona później przez Burta okazała się najzupełniej prawdziwa. Co to znaczy właściwe podejście do ludzi — natychmiast robią się rozmowni. Kelly przyglądał się nieczynnemu sklepowi po drugiej stronie ulicy. Budynki po obu jego stronach również wyglądały na niezamieszkałe. Pomieszczenia na parterze były puste, ale na piętrze paliło się światło. Zauważył, że drzwi frontowe zabezpieczał solidny, mosiężny zamek. Prawdopodobnie tylne wejście wyglądało podobnie. Jakoś sobie z tym poradzi, w taki czy inny sposób. Gorzej, że nie miał zbyt wiele czasu. Policjanci na patrolu muszą się regularnie meldować w centrali. Zresztą, prędzej czy później Monroe otrzyma wezwanie, żeby zdjął komuś kota z drzewa i jeśli nie odpowie, jego sierżant natychmiast zacznie się zastanawiać, gdzie się, do diabła, podział. Cała okolica zaroi się od glin szukających zaginionego. A będą szukać dokładnie. Kelly wolał się nie zastanawiać, co może z tego wyniknąć dla niego, a i czekanie nie polepszało jego sytuacji.

Szybkim krokiem przeciął ulicę. Po raz pierwszy miał działać jawnie, co, zważywszy ryzyko, równało się niemal szaleństwu. Ale czy od początku całe to przedsięwzięcie nie było szalone? Wkoło ani śladu przechodniów. Nikogo. Kelly wyjął nóż z pochwy i jął wydłubywać kit wokół dużej szyby umieszczonej w drewnianej ramie drzwi. Przypuszczalnie włamywacze nie są tak cierpliwi, pomyślał, wolą bardziej prostackie metody, albo kto wie, może lepiej znają się na tej robocie. Sześć długich minut zajęło mu wydłubanie kitu i wyjęcie szyby, przy czym

dwukrotnie się skaleczył. Zaklął, oglądając głębokie cięcie na lewej dłoni. Wsunął się bokiem w wąski otwór i ruszył w głąb budynku. Kiedyś musiał to być rodzinny sklepik, najpewniej porzucony, kiedy okolica opustoszała i zaczęło brakować klientów. Cóż, mogło być gorzej. Podłogę kryła gruba warstwa kurzu, ale przynajmniej pomieszczenie nie było zagrażone. Z tyłu znajdowały się schody na piętro. Kelly usłyszał dochodzące stamtąd głosy. Z pistoletem trzymany w wyciągniętych rękach przed sobą, przemierzał stopień po stopniu.

— No, złotko, miło było, ale na tym koniec — rozległ się męski głos. Kelly posłyszał jakiś hałas i zaraz potem skamlenie kobiety.

— Proszę... chyba nie chcecie...

— Przykro mi, kotku, ale tak to w życiu bywa. — Teraz mówił inny mężczyzna. — Wezmę się za tamte.

Kelly ostrożnie posuwał się wzdłuż korytarza. Tu także nie napotkał żadnych sprzętów. Brudna, drewniana podłoga była stara, ale ostatnio ktoś...

...skrzyp...

— Co to było?

Kelly zamarł na ułamek sekundy. Za późno na szukanie kryjówki. Zresztą nie było się gdzie ukryć. Ostatnie pięć metrów pokonał w kilku susach, by tuż za drzwiami przypaść do podłogi. Obrócił się na bok odsłaniając pistolet.

Widział tylko sylwetki dwóch mężczyzn, młodych, przed trzydziestką. Tyle zdążył spostrzec, zanim jego umysł nie skupił się na tym, co w tej chwili było najważniejsze — wielkość celu, odległość, pozycja. Jeden sięgnął po broń i nawet zdążył wyciągnąć ją zza paska, kiedy dwie kule trafiły go w pierś, trzecia w głowę. Nim upadł, Kelly odwrócił się, kierując pistolet na drugiego.

— Rany boskie! Już. Dobra! — Mały, chromowany rewolwer poleciał na podłogę. Z pokoju we frontowej części budynku dobiegały przeraźliwe krzyki. Kelly nie zwracał na to uwagi. Podniósł się a lufa jego czterdziestkiątki, wycelowana w pozostałego przy życiu mężczyznę nawet nie drgnęła.

— Chcieli nas zabić — niespodziewanie cienkim głosem pisnęła dziewczyna. Była przerażona, choć najwyraźniej oszołomiona jakimś narkotykiem.

— Ilu ich jest? — warknął Kelly.

— Tylko ci dwaj. Chcieli nas...

— Już nie. Jak się nazywasz?

— Paula.

A więc jedna z tych, których szukał.

— Gdzie Maria i Roberta?

— W pokoju od frontu — odparła, wciąż zbyt roztrzęsiona, by zastanawiać się, skąd zna ich imiona. Tymczasem odezwał się mężczyzna.

— Nic im nie jest, koleś. — Porozmawiajmy, mówiły jego oczy.

— Kim jesteś? — Czterdziestkapiątka ma dziwną właściwość wyzwalań w ludziach chęci do rozmowy, pomyślał Kelly. Nie mógł wiedzieć, jakie wrażenie wywierał jego wzrok, kiedy tak patrzył nad lufą pistoletu.

— Frank Molinari. — Powiedziane to było z wymownym akcentem. Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że Kelly nie jest policjantem.

— Skąd jesteś, Frank? Ty tam zostań! — Lewą ręką wskazał na dziewczynę. Prawa, z pistoletem, pozostała nieruchoma. Tylko oczy omiatały pomieszczenie w poszukiwaniu zagrożenia. Nasłuchiwał uważnie.

— Z Filadelfii. Słuchaj, facet, możemy pogadać. — Molinari trząśł się. Zerkał na leżący na podłodze rewolwer i bezskutecznie starał się zrozumieć o co tu, do cholery, chodzi.

Dlaczego ktoś z Filadelfii miał wykonywać dla Henry'ego brudną robotę? Kelly myślał gorączkowo. Ci dwaj z laboratorium wyglądali podobnie. No tak. Tony Piaggi i jego powiązania z mafią. A z Filadelfii. . .

— Byłeś kiedyś w Pittsburghu, Frank? — rzucił nie zastanawiając się.

Molinari nie wiedział co ma odpowiedzieć. Zdecydował się w końcu, ale nie była to dobra decyzja.

— Skąd o tym wiesz? Dla kogo ty pracujesz, co?

— To wy zabiliście Doris i jej ojca, tak?

— Człowieku, dostaliśmy taką robotę. Nie wiesz, jak jest?

Kelly odpowiedział mu w jedyny możliwy sposób. Od frontu znów rozległ się wrzask. Cofnął broń do piersi. Pora pomyśleć. Czasu miał coraz mniej. Podszedł do Pauli i szarpnięciem postawił ją na nogi.

— Boli!

— Ruszaj się, zabierzemy twoje koleżanki.

Maria miała na sobie tylko majtki i była zbyt otępiła, żeby zorientować się, co dzieje się dookoła. Roberta, przytomniejsza, trzęsła się ze strachu. Kelly nie miał czasu, żeby zwracać teraz uwagę na ich stan. Niemal siłą sprowadził całą trójkę po schodach i wypchnął na ulicę. Żadna nie miała butów, wszystkie były natomiast solidnie naćpane, toteż po szorstkim, usianym okruchami szkła chodniku szły niczym trzy kaleki, jęcząc i popłakując. Kierowali się na wschód. Kelly popychał je, warczał ze złością, próbował poganiać i przez cały czas modlił się, żeby nie natknęli się na przejeżdżający samochód. Wystarczyłoby to, aby zaprzepaścić wszystko, czego tego wieczora dokonał. Tempo miało w tej chwili decydujące znaczenie. Te dziesięć minut, zanim dotarli do ukrytego w zaułku radiowozu, wydało mu się równie długie, jak zejście ze wzgórza koło ZIELENIKA. Na szczęście radiowóz był tam, gdzie go zostawił. Otworzył drzwi i kazał dziewczynom wsiadać. Oczywiście zełgał mówiąc, że wyrzuci kluczyki do kanału.

— Co tu się, kurwa dzieje! — zaprotestował Monroe.

Kelly podał kluczyki Pauli, która robiła wrażenie jedynej zdolnej poprowadzić samochód. W każdym razie była w stanie podnieść głowę. Pozostałe dwie zwały się na prawy fotel, starając się trzymać nogi z daleka od radia.

— Policjancie Monroe, te oto damy zawiozą was na posterunek. Mam dla ciebie instrukcje. Słuchasz?

— A mam jakiś wybór, palancie?

— Będziemy prawić sobie teraz grzeczności, czy chcesz wysłuchać ważnej informacji? — Kelly starał się mówić spokojnie i przekonująco. Jego wzrok napotkał spojrzenie policjanta. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy — dwaj trzeźwi mężczyźni, wiedzący czego chcą — aż wreszcie Monroe zrezygnował ze swojej dumy i dał znak głową.

— Gadaj.

— Będziesz rozmawiał z sierżantem Tomem Douglasem, z nikim więcej. Te kobiety wpakowały się w naprawdę paskudne bagno. Pomogą wam rozwikłać kilka grubszych spraw. Pamiętaj, tylko Tom Douglas, jasne? — Spieprz tę sprawę, a jeszcze się spotkamy, mówił wzrok Kelly'ego.

Monroe skinął głową.

— Tak. — Zrozumiał.

— Paula, ty prowadzisz. Nigdzie się nie zatrzymuj, bez względu na to, co on ci powie, rozumiesz? — Dziewczyna przytaknęła. Widziała, jak zabił dwóch ludzi. — Ruszaj!

Była tak struta, że na dobrą sprawę nie powinna prowadzić, ale Kelly nie miał innego wyjścia. Radiowóz ruszył powolutku, by w połowie uliczki otrzeć się z hałasem o słup telefoniczny. Po chwili jednak skręcił i zniknął za rogiem. Kelly odetchnął głęboko i ruszył do miejsca, gdzie zostawił swój samochód. Nie udało mu się obronić Pam. Ani Doris. Ale te trzy uratował. Plus Xanthę. Bez namysłu ryzykował przy tym życiem, bo tak po prostu było trzeba. Prawie już skończył.

Ale niezupełnie.

\* \* \*

Ciężarówki musiały jechać okrężną trasą, dłuższą nawet niż planowano, toteż do miejsca przeznaczenia dotarli dopiero po południu. Było nim więzienie Hoa Lo, znane ze względu na reputację wszystkim amerykańskim jeńcom. Hoa Lo — znaczy mniej więcej tyle, co „palenisko”.

Samochody zatrzymały się na dziedzińcu. Zamknięto bramę i dopiero wtedy pozwolono więźniom wysiąść. Każdemu przydzielono osobnego strażnika, który konwojował go do środka. Przed rozprowadzeniem do cel wolno im było napić się wody, nic więcej. Robin Zacharias stwierdził, że nowe lokum niewiele różni się od poprzedniego. Znalazł sobie wygodny kawałek podłogi i usiadł, zmęczony



podróża. Siedział, z głową opartą o mur i po kilku minutach posłyszał pukanie, dochodzące z drugiej strony ściany.

Otworzył oczy. Przypomnił sobie o używanym przez jeńców wojennych alfabecie dźwiękowym, starym jak świat, opartym na prostym układzie graficznym.

A B C D E

F G H I J

K L M N O

P Q R S T

U V W Y Z

puk — puk — puk pauza puk

3/1, pomyślał Robin. Z podniecenia zapomniał nawet o zmęczeniu. Litera

K. Dobrze, rozumiem.

4/5, 3/5

puk — puk — puk... zaczął nadawać odpowiedź.

4/5, 3/5, 2/4, 3/4, 5/5, 1/1, 1/3

puk — puk — puk — puk...

1/1, 3/2, 5/3, 1/1, 3/2, 3/2...

Al Wallace? AT? To on żyje?

puk — puk — puk — puk...

JAK LECI? — nadał Robin. Przyjaźnili się z Alem od piętnastu lat.

TRZYMAM SIĘ — brzmiała odpowiedź. I jeszcze kilka słów, przeznaczonych dla ziomka z Utah:

1/3, 3/5, 3/3, 1/5, 1/3, 3/5, 3/3...

puk — puk — puk — puk

Robin Zacharias zamknął oczy, po raz drugi w ciągu ostatnich dni dziękując Bogu. I po raz drugi od ponad roku. Jakim był mimo wszystko głupcem, nie wierząc w wybawienie! Zrozumiał to, jakkolwiek dziwne, że dopiero w tym miejscu i w takich okolicznościach. Ale tu, za ścianą odnalazł bratnią mormońską duszę, jego ciało drżało, a jego umysł przenikały dźwięki najukochańszego hymnu, którego ostatni wers zawierał najprawdziwsze potwierdzenie sensowności tej wiary. Ali is well, all is well.

\* \* \*

Monroe nie miał pojęcia, dlaczego ta dziewczyna, Paula, zupełnie go nie słucha. Próbował perswadować i przekonywać, wrzeszczał i rozkazywał, a onajechała dalej, pilnie trzymając się otrzymanych wskazówek. Wlekli się przez wydłużone ulice z prędkością może piętnastu kilometrów na godzinę. Mimo to Pauli z trudem udawało się trzymać właściwej strony jezdni i co rusz zjeżdżała na lewy pas. Trwało to już czterdzieści minut. Dwa razy zgubiła drogę, myląc prawą

stronę z lewą i raz przystanęła na dłuższą chwilę, kiedy jej koleżanka zaczęła wymiotować przez okno. Monroe stopniowo zaczynał rozumieć co zaszło. Głównie dzięki docierającym do niego informacjom.

— Co on tam robił? — zapytał Marię.

— Oni chcieli nas zabić, tak jak tamte, ale on przyszedł i ich zastrzelił.

Jezu, pomyślał Monroe. Teraz już wiedział.

— Paula?

— Tak?

— Znałaś może dziewczynę nazwiskiem Madden. Pamela Madden?

Wolno poruszyła głowę z góry na dół, jeszcze raz próbując skoncentrować się na prowadzeniu. Posterunek był już w zasięgu wzroku.

— O Boże! — westchnął policjant. — Paula, skręć na prawo, na parking, dobrze? Wjedź od tyłu... grzeczna dziewczynka... możesz tu zatrzymać? W porządku.

Wóz szarpnął i znieruchomiał. Paula rozplakała się żałośnie. Monroe musiał poczekać, aż trochę się uspokoi. W tej chwili bał się o te dziewczyny, nie o siebie.

— Już dobrze. Posłuchaj, chcę żebyś mnie teraz wypuściła.

Wysiadła i otworzyła tylne drzwi. Musiała pomóc policjantowi, gdy ten gramolił się na zewnątrz. Uczyniła to całkiem odruchowo.

— Przy kluczach od wozu jest kluczyk od kajdanek. Czy byłabyś uprzejma mnie rozkuć? — Dopiero za trzecim razem udało jej się trafić kluczykiem w zamek. — Dziękuję.

\* \* \*

— Jeśli to zła wiadomość, to chyba kogoś zamorduję! — warknął Tom Douglas. Sznur od słuchawki otarł się o twarz jego żony, także wrywając ją ze snu.

— Sierżancie, tu Chuck Monroe, rejon zachodni. Mam trójkę świadków zabójstwa przy fontannie. I chyba przybyły dwa trupy na koncie Niewidzialnego Człowieka. Kazał mi rozmawiać tylko z panem.

— Co takiego? — Pod osłoną ciemności sypialni twarz detektywa przebiegł skurcz. — Kto kazał?

— Niewidzialny Człowiek. Może by pan tutaj przyjechał? To długa historia.

— Ani pary z gęby, nikomu. Nikomu, jasne?

— Panie sierżancie, on mi powiedział to samo.

— Co się stało, kochanie? — zapytała Beverly Douglas. Podobnie jak mąż, była już całkiem rozbudzona.

Minęło osiem miesięcy od śmierci smutnej, drobnej dziewczyny — Helen Waters. Potem zginęła Pamela Madden. A potem Doris Brown. Teraz dostanę tych sukinsynów, pomyślał Douglas. Ale mylił się.

\* \* \*

— Co tu robisz? — Pytanie Sandy skierowane było do postaci stojącej obok samochodu. Tego samego, który jej kiedyś zreperował.

— Przyszedłem się pożegnać — cicho odparł Kelly.

— Jak mam to rozumieć?

— Będę musiał wyjechać. Nie wiem, na jak długo.

— Dokąd?

— Trudno powiedzieć.

— Znów do Wietnamu?

— Może. Nie jestem pewien. Naprawdę.

Jak zwykle przyszedł w najgorszym momencie, pomyślała Sandy. Był wczesny ranek, a o szóstej trzydzieści musiała rozpocząć pracę. Jeszcze się nie spóźniła, ale tak mało miała czasu, żeby powiedzieć to, co chciała mu powiedzieć.

— Wrócisz?

— Tak, jeśli tego chcesz.

— Chcę, John.

— Dziękuję ci. Sandy... cztery udało mi się wyciągnąć.

— Cztery?

— Dziewczyny. Takie jak Pam i Doris. Jedna jest w Sommerset, pozostałe tu, w mieście, na policji. Postaraj się, żeby ktoś się nimi zajął, dobrze?

— Tak.

— I pamiętaj, cokolwiek usłyszysz, ja wrócę.

— John!

— Nie ma czasu, Sandy. Wrócę — powtórzył, już odwracając się, by odejść.

\* \* \*

Ryan i Douglas, obaj bez krawatów, popijali kawę ze styropianowych kubków, przyglądając się krzątaniu chłopaków z laboratorium kryminalistyki.

— Dwa w korpus — relacjonował jeden z nich — trzeci w głowę. Trup na miejscu. To się nazywa fachowa robota.

— A owszem, owszem — westchnął Ryan, spoglądając na swojego partnera. Oczywiście czterdziestkapiątka. Żadna inna broń nie poczyniłaby takich spustoszeń w ciałach ofiar. Poza tym, na drewnianej podłodze leżało sześć mosiężnych łusek, każda obwiedziona kredą, czekających na fotografa.

Na komisariacie w rejonie zachodnim przebywały trzy kobiety — zamknięte w celi i dodatkowo stale pilnowane przez jednego z policjantów. Ryan i Douglas odbyli z nimi krótką rozmowę, wystarczająco jednak długą, by nabrać pewności, że mają świadków morderstw popełnionych przez niejakiego Henry Tuckera. Dysponowali nazwiskiem i rysopisem, niczym więcej, ale było to nieskończenie

więcej niż to, co wiedzieli godzinę wcześniej. Poszukają tego nazwiska najpierw w swoich aktach, potem, w razie potrzeby, w krajowym rejestrze przestępców FBI. Sprawdzą, czy nie wydano na to nazwisko prawa jazdy. Jeśli to nie wystarczy, wyruszą na ulicę. W takich przypadkach obowiązywała stała procedura. Znając nazwisko, dopadną faceta. Prędzej czy później. Ale teraz mieli jeszcze tę sprawę do załatwienia.

— Obaj spoza miasta? — zapytał Ryan.

— Z Filadelfii. Francis Molinari i Albert Andino — potwierdził Douglas, podając nazwiska z dokumentów zabitych. — O ile chcesz się założyć...?

— Nie chcę, Tom. — Ryan wyjął z kieszeni fotografię. — Monroe, znacie tę twarz?

Policjant wziął niewielkie zdjęcie paszportowe z dłoni porucznika i obejrzał je uważnie. W pomieszczeniu nad dawnym sklepem światło nie było najlepsze. Pokręcił głową.

— Chyba nie, panie poruczniku.

— Jak to nie? Staliście twarzą w twarz z tym facetem.

— Tamten miał dłuższe włosy, umazaną twarz... a kiedy miałem go naprawdę blisko, widziałem głównie wylot lufy jego *Colta*. Było za ciemno i to wszystko działo się tak szybko...

\* \* \*

Nie było to ani łatwe, ani bezpieczne, ale do tego zdążył się już przyzwyczaić. Przed wejściem stały cztery wozy, toteż nie mógł sobie pozwolić na zrobienie najmniejszego hałasu. Niemniej, był to najbezpieczniejszy sposób, mimo tych czterech zaparkowanych samochodów. Stał na występie, jaki stanowiła pozostałość parapetu zamurowanego okna, w miejscu, skąd mógł dosięgnąć kabla telefonicznego. Miał nadzieję, że nikt nie zadzwoni akurat w chwili, gdy będzie podłączał się do linii. Szybko umocował odprowadzenie, opuścił się na dół i ruszył na północ wzdłuż tylnej ściany budynku, zostawiając za sobą własny przewód telefoniczny leżący po prostu na ziemi. Obszedł róg, niosąc szpulę z kablem związającą luźno u lewej dłoni, niczym pudełko z drugim śniadaniem. Przeciął mało uczęszczaną ulicę, idąc niedbałym krokiem, jak ktoś, kto znajduje się na własnych śmieciach. Jeszcze sto metrów i skręcił ponownie, wchodząc do opuszczonego budynku. Schodami dotarł do miejsca, które wybrał na swoje stanowisko. Następnie wrócił do samochodu i zabrał resztę potrzebnych przedmiotów, w tym wierną butelkę po whisky napełnioną wodą i zapas Snickersów. Teraz mógł przystąpić do pracy.

Broń nie została jeszcze przestrelana. Jakkolwiek mogło to wydać się szaleństwem, największą dokładność ustawienia celownika gwarantowało posłużenie się, jako celem próbnym, budynkiem naprzeciwko. Kelly w pozycji siedzącej

uniósł broń do ramienia, badając wzrokiem mur, w poszukiwaniu odpowiedniego punktu. Jest. Odbarwiona cegła. Ustawił lunetę na maksymalne powiększenie, wstrzymał oddech i delikatnie ściągnął spust.

Strzelanie z tej broni było dość niezwykłym przeżyciem. Naboje kalibru 0,22 cala z bocznym zapłonem są z natury dość ciche. Dodatkowe działanie dobrze zaprojektowanego tłumika sprawiło, że Kelly po raz pierwszy w życiu miał okazję usłyszeć dźwięczne „pinggg” uderzenia bijnika w iglicę, równoczesne ze stłumionym „paf” wystrzału. Zaskoczony, niemal nie zwrócił uwagi na dużo głośniejszy trzask uderzenia pocisku o mur. Wzniesiony nią obłoczek pyłu znajdował się pięć centymetrów w lewo i trzy powyżej punktu celowania. Kelly pstryknął pokrętkiem śruby nastawczej lunety i oddał drugi strzał. Idealnie w celu. Cofnął zamek i załadował trzy naboje do magazynka. Na koniec przestawił celownik z powrotem na małe powiększenie.

\* \* \*

— Słyszałeś to? — zapytał Piaggi zmęczonym głosem.

— Co takiego? — Tucker uniósł głowę znad stołu. Siedzieli tu od ponad dwunastu godzin, biedząc się nad najczarniejszą robotą. A sądził, że ma to już za sobą! Nie zrobili nawet połowy, mimo pomocy dwójki „żołnierzy” przybyłych z Filadelfii. Oczywiście, Tony był równie niezadowolony.

— Jakby coś upadło — mruknął Piaggi. Pokręcił głową i wrócił do pracy. Jeśli w tej historii był jakiś plus, to chyba tylko ten, że kiedy wieści rozejdą się po Wybrzeżu, powinny przysporzyć mu szacunku współpracowników. Patrzcie, Anthony Piaggi to jednak solidny gość. Kiedy wszystko zaczęło się sypać, osobiście siadł i odwalił całą robotę. Dostarczył towar i wypełnił swoje zobowiązania. Możecie polegać na Tonym. Taka reputacja warta była nawet tej ceny, a myślenie o tym podnosiło na duchu.

Tony rozciął kolejną torebkę. Przykry odór chemikaliów drażnił mu nozdrza. Znał ten zapach, ale wciąż nie mógł go sobie z niczym skojarzyć. Puszysty, śnieżnobiały proszek powędrował do miski, na to porcja laktozy. Do mieszania służyła Tony’emu zwykła łyżka. Na pewno można by zmechanizować tę czynność, ale maszyny, używane na przykład w piekarniach, są przypuszczalnie za duże. Najgorsze było to, że musiał brudzić sobie ręce taką prymitywną robotą, jak jakiś wynajęty prostak. Niemniej, towar musiał być dostarczony, a nie mieli nikogo do pomocy.

— Co mówiłeś? — wymamrotał Henry.

— Nic. Nieważne — odparł Tony, pochłonięty mieszaniem proszku i własnymi myślami. Gdzie, u licha, podzieli się Albert i Frank? Powinni tu być od kilku godzin. Zdaje im się, że są Bóg wie kim, tylko dlatego, że zajmują się rozwalaniem ludzi. Jakby to miało jakieś znaczenie.

\* \* \*

— Czołem, panie poruczniku. — Sierżant prowadzący centralny magazyn dowodów rzeczowych służył kiedyś w policji drogowej. Stracił nogę w wypadku, staranowany na swoim trykołowcu przez nieostrożnego kierowcę, i został przeniesiony do służby administracyjnej. Nie narzekał — miał swoje biurko, pączki na drugie śniadanie i czas na czytanie gazety, bo papierkowa robota nie zabierała mu więcej niż jedną trzecią ośmiogodzinnej zmiany. O takich jak on mówiono — wycofani z pierwszej linii.

— Co w domu, Harry?

— W porządku, dziękuję. Mogę coś dla pana zrobić?

— Chcę sprawdzić numery inwentaryzacyjne tej partii narkotyków, które przyniosłem w zeszłym tygodniu — odpowiedział Charon. — Niewykluczone, że pomyliliśmy etykiety. Tak czy inaczej — wrzucił ramionami — trzeba sprawdzić.

— Dobrze. Proszę chwilę poczekać, a ja...

— Nie przeszkadzaj sobie, Harry. Możesz spokojnie czytać gazetę. Wiem, gdzie tego szukać. — Charon poklepał sierżanta po ramieniu. Regulamin nakazywał, by do magazynu nie wchodzić inaczej jak w obecności upoważnionego pracownika, ale Charon był porucznikiem, a Harry inwalidą bez nogi, a na dokładkę ciągle miał kłopoty ze swoją protezą.

— To był ładny strzał, poruczniku — zawołał za odchodzącym detektywem. Do diabła, pomyślał, ostatecznie to on załatwił faceta, który przewoził całe to świństwo.

Charon rozejrzał się po magazynie. Pusto. Drogo mu za to zapłacą. Mówili, że przeniosą swoją działalność na inny teren. A on? Znów będzie ganiał po ulicach drobnych handlarzy... co tam, czemu nie? Miał odłożone w banku dość pieniędzy, żeby zaspokoić potrzeby byłej żony i wykształcić trójkę dzieci. I jeszcze trochę dla siebie. W najbliższym czasie mógł się spodziewać awansu. Odwalił kawał dobrej roboty likwidując kilka sieci dystrybucyjnych... Jest!

Transport heroiny, zabrany z samochodu Eddiego Morello, zapakowany w tekturowe pudło opatrzone nalepką, spoczywał na trzeciej półce, dokładnie tam, gdzie go się spodziewał. Zdjął je z półki i dla pewności zbadał zawartość. Każda z kilogramowych torebek została otwarta; próbka heroiny powędrowała do analizy, a torebki ponownie zapieczętowano. Technik z laboratorium, który tym się zajmował, podpisał etykiety inwentaryzacyjne samymi inicjałami — nie trudno było je podrobić. Charon wyciągnął ukryte w spodniach i pod koszulą plastikowe torebki z wysokogatunkowym cukrem pudrem, który konsystencją i kolorem nie różnił się od heroiny. Tylko jego Wydział będzie miał do czynienia z tymi dowodami. A konkretnie on sam. Za miesiąc wystosuje pismo zalecające zniszczenie dowodów w związku z zamknięciem sprawy Morello. Kapitan zgodzi się. Charon

osobiście, w obecności kilku kolegów, wysypie proszek do kanału. Plastikowe torebki zostaną spalone i nikt nigdy się nie dowie, co zawierały. To naprawdę proste. Trzy minuty później porucznik opuścił magazyn.

— Sprawdził pan te numery?

— Tak, Harry. Dzięki. — Charon skinął sierżantowi dłonią na pożegnanie.

\* \* \*

— Może ktoś by odebrał ten pieprzony telefon? — warknął Piaggi. A w ogóle, kto mógł tu, u diabła, dzwonić? Jeden z ludzi z Filadelfii, który zrobił sobie właśnie przerwę na papierosa, podniósł słuchawkę.

— Tak? — spytał. Po chwili odwrócił się i spojrzał na Henry'ego. — To do ciebie.

— Co za cholera? — Tucker podszedł do telefonu.

— Cześć, Henry — powiedział Kelly.

Siedział przy telefonie polowym podłączonym do linii wychodzącej z budynku naprzeciwko. Tym sposobem jego lokatorzy zostali odcięci od sieci miejskiej. Wystarczyło, by Kelly zakręcił korbką, a odzywał się dzwonek ich telefonu. Wszystko to było dość prymitywne, ale za to skuteczne. Telefon polowy był urządzeniem nieobcym Kelly'emu.

— Kto mówi?

— Nazywam się Kelly. John Kelly.

— A kto to taki John Kelly?

— Czterech z was zabiło Pam. Zostałeś już tylko ty, Henry. Tamtych załatwiłem. Teraz twoja kolej. — Tucker rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się znaleźć mówiącego. Czy to jakiś kretyński dowcip?

— Jak... skąd masz ten numer? Gdzie jesteś?

— Całkiem bliźniutko, Henry. Dobrze ci tam z przyjaciółmi?

— Słuchaj, nie wiem kim jesteś...

— Już ci powiedziałem. Jesteś tam z Tonym Piaggi. Wczoraj wieczorem widziałem was w jego restauracji. A przy okazji, jak wam smakował obiad? Bo ja byłem bardzo zadowolony.

Ten Kelly wyraźnie się z niego nabijał. Tucker stał przy telefonie, napięty jak struna, ściskając słuchawkę w dłoni.

— Co więc, kurwa, zamierzasz, chłopczyku?

— Nie zamierzam dać ci buziaka, chłopczyku. Dostałem Ricka, dostałem Billy'ego i Burta, a teraz dostanę i ciebie. Bądź tak uprzejmy i poproś pana Piaggi do telefonu.

— Tony, musisz tu chyba przyjść.

— Co jest, Henry? — Wstając, Piaggi potknął się o własne krzesło. Cholerny świat, ależ był tym wszystkim zmęczony. Lepiej, żeby te sukinsyny z Filadelfii zaczęły szykować forszę. Henry podał mu słuchawkę.

— Kto mówi?

— Ci dwaj faceci na wraku, których dałeś Henry’emu — załatwiłem ich. I jeszcze dwóch dziś rano.

— Co to ma, kurwa, znaczyć?

— Domyśl się. — Połączenie zostało przerwane. Piaggi spojrzał na swojego współnika, spodziewając się, że ten udzieli mu odpowiedzi na pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć głos z telefonu.

— Henry, co tu się, do cholery, dzieje?

\* \* \*

Dobrze, zobaczymy, jak to na nich podziała. Kelly wypił łyk wody i rozpakał Snickersa. Znajdował się na drugim piętrze budynku, prawdopodobnie przeznaczonego na jakiś magazyn, sądząc po solidnej konstrukcji ze zbrojonego betonu. Można by tu przeczekać nawet wybuch niewielkiej bomby atomowej. Problem taktyczny rysował się interesująco. Nie mógł atakować bezpośrednio. Nawet gdyby miał karabin maszynowy — a nie miał — czterech na jednego, to kiepski układ sił, zwłaszcza kiedy nie można liczyć na zaskoczenie. Tak, ta metoda nie wchodziła w rachubę. Nie robił dotąd czegoś podobnego, ale ze swojego stanowiska miał w polu ostrzału wszystkie wyjścia z tamtego budynku. Tylne okna były zamurowane. Jedyna droga na zewnątrz znajdowała się w zasięgu jego wzroku. Odległość nie przekraczała stu metrów, miał więc nadzieję, że da radę. Przyłożył broń do ramienia, ale na razie nie celował w nic konkretnego, jego wzrok cierpliwie i systematycznie, metr po metrze badał fronton budynku.

\* \* \*

— To on. — Henry mówił przyciszonym głosem, tak, żeby nie słyszeli go ci z Filadelfii.

— Kto?

— Facet, który załatwił tych wszystkich detalistów, Billy’ego i całą resztę. Ten sam, który był na statku. To on.

— Ale kto to, kurwa, jest?

— Nie mam pojęcia! — Tucker podniósł głos, ale natychmiast zreflektował się, widząc, że tamci zwracają głowy w ich stronę. — Mówi, że mamy wyjść na zewnątrz.



— Oooo, świetnie... więc w czym problem? Zaczekaj. — Piaggi podniósł słuchawkę, ale sygnału nie było. — Co za cholera?

\* \* \*

Kelly usłyszał brzęknięcie i sięgnął po mikrotelefon.

— No, co tam?

— Kto tam, do kurwy nędzy?

— To ty, Tony? Dlaczego kazałeś zabić Doris, Tony? Nie mogła ci nic zrobić. A teraz ja muszę zabić ciebie.

— Ja nie...

— Wiesz, o co mi chodzi, ale dzięki, że sprowadziłeś tych dwóch tutaj. Bardzo chciałem zakończyć tę sprawę, ale nie spodziewałem się, że będę miał okazję. Przypuszczam, że do tej pory są już w kostnicy.

— Chcesz mnie przestraszyć? — poprzez trzaski na linii przedarł się zdecydowany głos Tony'ego.

— Nie, chcę cię zabić — odrzekł z prostotą Kelly.

\* \* \*

— Kurwa! — Piaggi z trzaskiem odłożył słuchawkę.

— Mówi, że widział nas w restauracji. Że był tam.

Faceci z Filadelfii zdążyli już się zorientować, że coś jest nie tak. Podnieśli głowy, początkowo tylko zdziwieni, ale widok szefów, wyraźnie podekscytowanych, zaniepokoił ich. O co im, cholera, chodziło?

— Skąd mógł się dowiedzieć... no tak! — Piaggi ściszył nagle głos. — Tamci dwaj mnie znali, nie? Rany boskie!

Tylko jedno okno na piętrze zaopatrzone było w zwykłą, przeźroczystą szybę. Inne zamurowano szklanymi kaflami — kwadratowe cegiełki o boku dziesięciu centymetrów przepuszczały światło, a dużo skuteczniej opierały się kamieniom wandali. Uniemożliwiały także wyglądanie na zewnątrz. Jedyne zwykłe okno wyposażono w mechanizm dźwigniowy, dzięki czemu można je było otwierać, unosząc ruchome części. To biuro zaprojektował chyba jakiś pieprznięty dyrektor, który nie chciał, żeby jego sekretarki gapily się na ulicę. I udało się, skubańcowi. Piaggi przesunął dźwignię i otworzył okno, ale tylko częściowo, bo ruchome części podniosły się raptem o jakieś czterdzieści stopni i cały mechanizm znieruchomiał.

\* \* \*

Ruch w pobliżu okna nie uszedł uwadze Kelly'ego. Zastanawiał się, czy nie warto w sposób nieco bardziej przekonujący zaanonsować swoją obecność. Ale

nie. Lepiej być cierpliwym. Takie czekanie najbardziej daje się we znaki komuś, kto nie wie, co się dzieje.

Swoją drogą, to dziwne. Była dziesiąta rano, pogodny, ciepły, wczesnojesienny dzień. Pół przecznicy dalej, po O'Donnell Street, sunęły ciężarówki, przemykały wozy osobowe, ludzie zajmowali się swoimi codziennymi sprawami. Możliwe, że kierowcy tych samochodów widzieli wysoki, opuszczony budynek, w którym znajdował się Kelly i zastanawiali się, kto i po co go zbudował. Może zauważyli cztery wozy zaparkowane przed dawnym biurem firmy przewozowej i chcieliby wiedzieć, czy to oznacza, że ktoś znów ruszył z interesem. Niemniej, nawet jeśli tak się działo, było to tylko przelotne zainteresowanie ludzi, którzy myślą głównie o swojej pracy. Mimo iż dramat rozgrywał się w pełnym słońcu, tylko aktorzy wiedzieli, w czym uczestniczą.

\* \* \*

— Ni cholery nie widać. — Piaggi przykucnął i wyjrzał przez okno. — Nikogo tam nie ma.

Ten facet załatwił moich ludzi, myślał Tucker. Na wszelki wypadek nie zbliżał się do okna. Pięciu, albo i sześciu. Zarznął Ricka, nożem. . .

Lokal, w którym się znajdowali, wybrał Tony. Mieli działać pod szyldem niewielkiej międzystanowej spółki przewozowej, której właściciele byli z Piaggim spokrewnieni, choć nie chcieli się zbytnio angażować w jego interesy. Miejsce wydawało się pierwszorzędne — blisko autostrady, w spokojnej części miasta, rzadko odwiedzanej przez policję. Po prostu budynek jakich wiele, a w nim anonimowi ludzie zajęci swoimi sprawami. Doskonały punkt, pomyślał Henry, gdy przybył tu pierwszy raz.

I faktycznie, doskonały. . .

— Daj mi popatrzeć. — Nie pora chować ogon pod siebie. Henry Tucker nie uważał się za tchórza. Był czas, że walczył i zabijał, nie tylko kobiety. Zdobycie dzisiejszej pozycji zajęło mu wiele lat, a zwłaszcza w początkowym okresie nie obyło się bez rozlewu krwi. Poza tym, nie mógł wyjść na mięczaka przed Tonym i dwójką „żołnierzy”. — Nic nie widać — przyznał.

— Spróbujemy czegoś innego. . . — Piaggi podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Nie było słyhać zwykłego sygnału, tylko odległe buczenie.

\* \* \*

Kelly usłyszał brzęknięcie i spojrzał na aparat. Nie zamierzał na razie odbierać, niech czekają. Sytuacja rozwijała się po jego myśli, ale nadal miał ograniczone możliwości działania. Rozmawiać — nie rozmawiać. Tak niewielki wy-

bór zmuszał do ostrożności w podejmowaniu jakiegokolwiek akcji i do skoncentrowania się na jej skuteczności. W tej bitwie decydującą rolę odgrywała nie siła fizyczna, lecz, jak w większości bitew, umysł.

Robiło się coraz cieplej. To już ostatnie ciepłe dni tego lata. Już było jakieś dwadzieścia siedem stopni. Możliwe, że po raz ostatni będzie ponad trzydzieści. Nie odrywając wzroku od budynku naprzeciwko, otarł twarz. Telefon wciąż po-brzękiwał. Dobrze, niech się pocą. Nie tylko z powodu upału.

\* \* \*

— Szlag by to... — Piaggi cisnął słuchawkę na widełki. — Ej, wy tam!

— No? — odezwał się wyższy z dwójki „żołnierzy”, Bobby.

— Przejdźcie się wokół budynku...

— Nie! — rzucił Henry. — A co, jeśli on tam czeka? Przez to okno ni cholery, nie widać. Może stać przy samych drzwiach. Chcesz tak ryzykować?

— O co ci chodzi?

Tucker krążył po pokoju, ze zdenerwowania posapywał lekko i rozpaczliwie starał się zmusić do myślenia. Jak ja bym to zrobił?

— Chodzi mi o to, że ten skurwiel odciął nam telefon, dzwoni do nas, chce nas przestraszyć, a sam czeka gdzieś na zewnątrz.

— Skąd tyle wiesz o tym facecie?

— Wiem, że zabił pięciu detalistów i czterech moich ludzi...

— I czterech moich, jeśli nie łże...

— A więc musimy go przechytryć. Jak ty byś to załatwił?

Piaggi zaczął się zastanawiać. Nigdy dotąd nie zabijał. Jakoś nie było potrzeby. Jego robota polegała z reguły na kombinowaniu. Ale w swoim czasie zdarzało mu się zmasakrować człowieka, stłuc kogoś do nieprzytomności, a to prawie to samo, nie? Jak ja bym się do tego zabrał? Pomysł Henry’ego nie był zły. Wystarczy się schować, za rogiem, albo w jakimś zaułku, w cieniu, a potem zmusić przeciwnika do patrzenia w inną stronę. Pierwsze drzwi, te, którymi by wychodzili, otwierały się w lewo. Można to stwierdzić z zewnątrz po układzie zawiasów. Ponadto znajdowały się najbliżej samochodów, a że był to ich jedyny środek ucieczki, na pewno spodziewa się, że go właśnie użyją.

Taaak.

Piaggi spojrzał na współnika. Henry zadarł głowę i przyglądał się czemuś u góry. Z podsufitki usunięto płyty dźwiękochłonne. Dokładnie nad nimi znajdowały się drzwi prowadzące na dach. Były zamknięte na zwykłą klamkę, żeby nie prowokować włamywaczy. Można je łatwo bez hałasu otworzyć i wyjść na płaski, kryty asfaltem dach. Tam podejść do krawędzi, wyrzeć na dół i załatwić każdego, kto czaiłby się przy drzwiach wejściowych.

To chyba najlepsze wyjście.

— Bobby, Fred, chodźcie tutaj — rozkazał Piaggi. Pokrótce zapoznał ich z sytuacją. Spodziewali się najgorszego, tymczasem okazało się, że to nie gliny — bo tak wyobrażali sobie najgorsze — toteż odetchnęli z ulgą. Obaj mieli broń, nie byli głupi, a Fred raz już zabił człowieka, który okazał się kłopotliwy dla rodziny w Filadelfii. Teraz aż się palił, żeby dowieść, że jest facetem poważnie traktującym swoją robotę i zasłużyć na uznanie Tony'ego, którego także uważał za poważnego gościa. Razem z Bobbym przesunęli biurko pod drzwi i Fred wgramolił się na blat. Jeszcze za nisko. Na biurku ustawiono krzesło i dopiero wtedy mógł otworzyć drzwi i wyjrzeć na dach.

\* \* \*

Aha! Kelly zauważył mężczyźną wyłaniającą się z otworu na dachu — właściwie tylko głowę i pierś. Uniósł broń i po chwili w przecięciu nitek celownika zobaczył jego twarz. Niewiele brakowało, a nacisnąłby spust. Powstrzymał go sposób, w jaki tamten obmacywał drzwi, rozglądał się, badał płaszczyznę dachu. Najwyraźniej zamierzał wyjść na wierzch. Ano, trzeba mu na to pozwolić, pomyślał Kelly. W odległości pięćdziesięciu metrów od niego zadudnił przejeżdżający ciągnik drogowy. Mężczyzna na dachu stanął na nogi. Przez celownik Kelly widział rewolwer w jego dłoni. Stał wyprostowany, rozglądając się na wszystkie strony, aż wreszcie ruszył w stronę frontu budynku. No cóż, to wcale nie najgorsza taktyka. Zawsze dobrze jest zacząć od zwiadu... ach tak, to o tym myślicie? Macie pecha, chłopcy.

\* \* \*

Fred postanowił zdjąć buty. Gruby żwir boleśnie kłuł go w stopy, nagrzana słońcem smoła parzyła i lepiała się do skarpetek, ale musiał zachować ciszę — a przy tym był z niego kawał twardziela, o czym już raz ktoś się przekonał, w Filadelfii, w krzakach nad Delaware. Jego dłonie z wprawą obejmowały rękojeść rewolweru *Smith & Wesson* z krótką lufą. Jeśli ten kutas czaił się przy drzwiach, strzeli mu z góry prosto w łeb. Tony i Henry wciągną trupa do środka i zmyją krew z chodnika. Potem będzie można wrócić do roboty, bo ta dostawa jest naprawdę ważna. Jeszcze kawałek. Fred był maksymalnie skoncentrowany. Zbliżał się do celu z jedną stopą wysuniętą do przodu, a ciałem odchylonym wstecz, i tak aż do chwili, gdy czubki jego palców dotknęły niskiego murku z cegieł, biegnącego wzdłuż wysuniętej krawędzi dachu. Wtedy błyskawicznie pochylił się do przodu, celując w dół, w... nic! Przebiegł wzrokiem wzdłuż frontonu budynku.

— Cholera! — Odwrócił się i zawołał: — Tu nikogo nie ma!

— Co? — Bobby wystawił głowę na dach, ale Fred właśnie przyglądał się samochodom, żeby sprawdzić, czy nikt nie kryje się za nimi.

\* \* \*

Kelly mógł sobie pogratulować, bo jego cierpliwość, jak to często bywa, została nagrodzona. Ta błaha myśl pomogła mu powściągnąć gorączkę łowiecką, jaka zawsze ogarnia człowieka, gdy w polu widzenia pojawi się cel. Kątem oka wychwytał ruch w otworze i natychmiast skierował broń w tę stronę. Twarz, biały, dwadzieścia kilka lat, ciemne oczy skierowane na tego drugiego, na skraju dachu, w prawej dłoni pistolet. W tej chwili to po prostu cel. Najpierw zdjąć tego. Kelly naprowadził krzyż celownika na punkt tuż powyżej nosa i delikatnie ściągnął spust.

\* \* \*

Plask. Słyszając ten dźwięk, mokry, a zarazem twardy, Fred odwrócił głowę. Nic jednak nie zauważył. Był tylko ten wilgotny, ostry odgłos i jeszcze łoskot, jakby krzesło pod Bobbym ześliznęło się z biurka, a on sam upadł na podłogę. Nic ponadto, ale bez żadnych widocznych powodów po karku przebiegł mu lodowaty dreszcz. Cofał się tyłem od krawędzi dachu, obiegając wzrokiem jego płaską, prostokątną powierzchnię, błyskawicznie kręcąc głową na prawo i lewo. Nic.

\* \* \*

Broń była nowa i jej zamek pracował jeszcze odrobinę za twardo. Kelly wprowadził drugi nabój do lufy i przesunął karabin w prawo. Zamiast jednego, będzie miał dwóch. Cierpliwość nagrodzona. Mężczyzna na dachu rozglądał się, gwałtownie kręcąc głową. W jego zachowaniu widać było strach. Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, ale nie miał pojęcia skąd i jakiego rodzaju. W pewnym momencie pośpiesznie ruszył w stronę drzwi. Kelly nie mógł pozwolić, by do nich dotarł. Celując z mniej więcej dziesięciocentymetrowym wyprzedzeniem, ponownie ściągnął spust.

Pinggg.

Plask. Uderzenie kuli było o wiele głośniejsze, niż stłumiony dźwięk wystrzału. Kelly cofnął zamek, wyrzucając pustą łuskę i załadował następny nabój. W tej samej chwili na O'Donnell Street pojawił się samochód.

\* \* \*

Tucker wciąż jeszcze wpatrywał się w twarz Bobby'ego, kiedy w górze usłyszał głuchy łomot. Gwałtownie zadarł głowę, wlepiając wzrok w sufit. Wiedział, że to nic innego, jak odgłos upadku kolejnego ciała, wzmocniony drganiem stalowych legarów stropu.

— Na rany boskie...

## 37 — Sąd boży

— Wygląda pan o wiele lepiej, pułkowniku — uprzejmie zauważył Ritter. Rozmawiali po rosyjsku. Funkcjonariusz służby bezpieczeństwa opuścił salon, zostawiając Ritтера sam na sam z więźniem. — Karmią pana dobrze? — zapytał, odkładając na stolik przyniesioną z sobą dyplomatkę.

— Nie narzekam — smętnie odparł Griszanow. — Jeszcze na coś czekamy?

Ritter otworzył dyplomatkę, co zaniepokoiło Rosjanina, choć nie dał tego po sobie poznać. Nie miał pewności, czy w środku nie znajduje się pistolet. Jak na więzienie zapewnili mu komfortowe warunki, a gospodarze tego domu także zachowywali się wobec niego bardzo przyjaźnie. Niemniej znajdował się w rękach wroga, we wrogim kraju. Pomyślał o innym człowieku, poznanym daleko stąd i w zupełnie odmiennych okolicznościach. Na tyle odmiennych, że wyrzuty sumienia i wstyd zagłuszyły obawę o własną skórę.

— Na potwierdzenie, że nasi ludzie znaleźli się w więzieniu Hoa Lo.

Rosjanin spuścił głowę i mruknął coś, czego Ritter nie dosłyszał. Po chwili Kola spojrzął na niego i powiedział:

— To dobra wiadomość. Cieszę się.

— Cóż, skłonny jestem panu wierzyć. Przekonuje mnie o tym pańska korespondencja z Jakowlewem. — Ritter nalał sobie nieco herbaty ze stojącego na stole czajniczka.

— Traktujecie mnie całkiem przyzwoicie. — Griszanow nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Zamilkł, czując, że to milczenie ciąży mu coraz bardziej.

— Mamy spore doświadczenie w podejmowaniu sowieckich gości — rzucił Ritter. — Nie jest pan tutaj pierwszym Rosjaninem. Jeździ pan konno?

— Nie, nigdy nie siedziałem na koniu.

— Hmm. — Walizeczka Ritтера pełna była jakichś papierzysek, zauważył Kola. Agent wydobył z niej dwie duże kartki i poduszkę z tuszem. — Czy mógłbym prosić o pańską rękę?

— Nie rozumiem.

— Nie ma powodu do obaw. — Ritter ujął lewą dłoń Rosjanina i po kolei maczał opuszki palców w tuszu, a następnie przykładał je do odpowiednich kratek na

jednej karcie, potem na drugiej. Identyczna operacja została powtórzona z prawą dłonią. — No, już po wszystkim. Nie bolało, prawda?

Radzę umyć ręce, zanim tusz wyschnie. — Ritter wsunął jedną z kart z odciśkami do teczki na akta, gdzie zastąpiła ona inną, którą stamtąd usunął. Drugą położył na wierzchu stosu papierów i zamknął dyplomatkę. Wyjętą kartę umieścił w palenisku kominka i podpalił. Spłonęła bez śladu, powiększając jedynie stos popiołu w ogniu, który gospodarze lubili sobie tutaj często rozpalać. Grisanow umył ręce i wrócił do salonu.

— Nadal nie rozumiem pańskiego zachowania.

— Naprawdę nie warto tym się przejmować. Po prostu właśnie pomógł mi pan coś załatwić, to wszystko. Co pan powie na wspólny obiad? Potem będziemy mogli spotkać się z pańskim rodakiem. Grunt to się nie przejmować, towarzyszu pułkowniku. — Ritter starał się podnieść Rosjanina na duchu. — Jeśli wasza strona wywiąże się z umowy, za osiem godzin będzie pan w drodze do domu. Zadowolony?

\* \* \*

Mark Charon niechętnie jechał tam znowu, chociaż lokal, jako używany od niedawna, powinien być bezpieczny. Co tam, długo nie zabawi. Zaparkował nie oznakowanego Forda przed wejściem i wysiadł. Drzwi były zamknięte, musiał zapukać. Otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Tony Piaggi z pistoletem w dłoni.

— Co znowu? — przeraził się Charon.

\* \* \*

— A to co? — mruknął pod nosem Kelly. Nie spodziewał się, że samochód zajedzie akurat pod ten budynek. Ładował właśnie dodatkowe dwa naboje do magazynka, kiedy wóz zatrzymał się i wysiadł zeń ten mężczyzna. Karabin był tak twardy, że Kelly miał kłopoty z wsunięciem na powrót magazynka. Zanim się z nim uporał, mężczyzna w dole zniknął za drzwiami. Cholera. Cóż, i tak nie wiedział, kto to taki. Ustawił lunetę na maksymalne powiększenie i zaczął przyglądać się wozowi. Wyglądał na niedrogi... Dodatkowa antena? Policjny? Słońce odbijało się w szybach, uniemożliwiając zbadanie wnętrza. Jasny gwint. Popęłnił błąd. Myślał, że po załatwieniu tych dwóch na dachu, będzie miał spokój i reszta pójdzie łatwo. Nigdy nie bądź zbyt pewny swego, głupku! Skrzywił się, dumając nad własną omylnością.



\* \* \*

— Co tu się, do diabła, dzieje? — Charon był wściekły. Dopiero po chwili spostrzegł na podłodze zwłoki, z niewielką dziurką w pobliżu środka czoła, tuż nad prawym, otwartym okiem.

— To on! Jest gdzieś tutaj! — wykrztusił Tucker.

— Kto?

— Ten sam, który załatwił Billy'ego, Ricka i Burta. . .

— Kelly! — wykrzyknął Charon. Odwrócił się i spojrzął na zamknięte drzwi.

— Znasz jego nazwisko? — zapytał Tucker.

— Szukają go Ryan i Douglas. . . chcą go oskarżyć o całą serię zabójstw. Piaggi chrząknął.

— Ta seria się wydłużyła o jeszcze dwóch — Bobby tutaj, a Fred na dachu. — Po raz kolejny przystanął przy uchylonym oknie. — Musi być gdzieś po przeciwnej stronie ulicy. . .

Charon od dłuższej chwili trzymał w ręku rewolwer, choć właściwie nie było po temu powodu. Torebki z heroiną wydały mu się nagle dziwnie ciężkie. Schował broń i wyjął je spod ubrania, kładąc na stole razem z innymi, obok miski do mieszania, kopert i zszywacza. Dokonawszy tego wyczerpał swoją zdolność działania; po prostu gapił się bezmyślnie na pozostałą dwójkę. Trwało to do chwili, gdy zadzwonił telefon. Odebrał Tucker.

— Dobrze się bawisz, złamasie?

— A ty, dobrze bawiłeś się z Pam? — zimno zapytał Kelly. — No — dodał już lżejszym tonem — a jak wasz przyjaciel? Czy to ten gliniarz, którego sobie kupiliście?

— Podobno wiesz wszystko.

— Nie, nie wszystko. Nie wiem, jak mężczyznę może rajcować zabijanie kobiet, Henry. Może ty mi to powiesz.

— Pierdol się, człowieku.

— Chcesz tu przyjść i spróbować? Lubisz także takie numery, dziubdziusiu? — Kelly miał nadzieję, że Tucker nie zniszczył telefonu, tak trzasnął słuchawką. Po prostu nie rozumiał tej gry — i bardzo dobrze. Jeśli nie zna się reguł, nie można skutecznie się bronić. W głosie tamtego pojawiły się oznaki zmęczenia. Podobnie było z Tonym. Ten leżący na dachu miał rozpiętą, wygniecioną koszulę, przez lunetę widać to było całkiem wyraźnie. Spodnie pod kolanami miał wygniecione, jak ktoś, kto całą noc spędził w krześle. Może po prostu niechluj? Raczej nie. Buty, które zostawił przy drzwiach lśniły czystością. Prawdopodobnie całą noc spędził na nogach, po namyśle orzekł Kelly. Są zmęczeni, przestraszeni i nie wiedzą na czym polega gra. Bardzo dobrze. On miał wodę, swoje batoniki i cały dzień przed sobą.

\* \* \*

— Jeśli znałeś nazwisko tego skurwiela, jak mogłeś... niech to szlag trafi! Powiedziałeś, że to zwykły nadziany bubek z Wybrzeża. Mówiłem, że mogę go skasować w szpitalu, ale nie... kazałeś dać mu, kurwa, spokój!

— Uspokój się, Henry — wtrącił Piaggi. Starał się za wszelką cenę zachować zimną krew. — Ten chłopak tam, na zewnątrz, naprawdę poważnie brał się do roboty. Stuknął sześciu moich ludzi. Sześciu! Jezu. Nie pora na uleganie panice.

— Musimy się zastanowić, zgoda? — Tony potarł dłonią zarost na twarzy. Przez chwilę zbierał myśli. — Facet ma karabin i siedzi w tym dużym, białym domu po drugiej stronie ulicy.

— Chcesz się tam przespacerować i dobrać do niego? — Tucker wskazał palcem głowę Bobby'ego. — Patrz, co on wyprawia!

— Słyszałeś o czymś takim jak noc, Henry? Przed budynkiem jest tylko jedna latarnia, tuż nad drzwiami. — Piaggi podszedł do skrzynki z bezpiecznikami, przejrzał schemat na drzwiczkach i wykręcił właściwy korek. — No, teraz nie będzie w ogóle światła. Zaczekamy do nocy i wtedy zrobimy swój ruch. Wszystkich nas nie dostanie. Jeśli będziemy się ruszać dość szybko, może nie trafić nikogo.

— A co z towarem?

— Jeden z nas może tu zostać na straży. Zorganizujemy ekipę i wrócimy po tego sukinsyna, a potem skończymy robotę. Pasuje? — Piaggi uważał, że jego plan ma szanse powodzenia. Tamten nie trzymał wszystkich atutów. Nie mógł strzelać przez ściany. Oni mieli wodę, kawę, a czas działał na ich korzyść.

\* \* \*

Wszystkie trzy zeznania były identyczne niemal co do słowa. W tych okolicznościach mogło to nawet dziwić. Przesłuchiwano je osobno, jak tylko doszły do siebie na tyle, by mówić do rzeczy, a ich nadmierna pobudliwość po zatruciu prochami jeszcze ułatwiała sprawę. Nazwiska, miejsce, sposób, w jaki ten łobuz Tucker wyprowadzał ostatnio swoją heroinę poza miasto, coś, co powiedział Billy na temat dziwnego odoru torebek — potwierdziły to znaleziska w rozbitym laboratorium na Wschodnim Wybrzeżu. Mieli już numer prawa jazdy i prawdopodobnie adres Tuckera. Niewykluczone, że fałszywy, ale znali jeszcze markę jego samochodu i spodziewali się ustalić numer rejestracyjny. Tak więc Ryan wiedział to wszystko, albo przynajmniej był tak blisko większości informacji, że mógł już wypatrywać zakończenia śledztwa. Przyszła pora usiąść na tyłku i pozwolić, by sprawy toczyły się swoją koleją. Nadano wezwanie do wszystkich radiowozów. Na najbliższych odprawach we wszystkich komisariatach patrolowi otrzymają dane o Henrym Tuckerze oraz numer rejestracyjny jego samochodu i ruszą do miasta. To oni stanowili o sile policji, będąc jej rzeczywistymi oczami. Mogą

mieć szczęście i zgarnąć go bardzo szybko. Aresztują, oskarżą, postawią przed sądem i pozbędą się sukinsyna raz na zawsze, nawet jeśli Sąd Najwyższy okaże się nazbyt miłosierny i nie pozwoli skończyć z nim tak, jak na to zasłużył. Ryan wiedział, że bestia znalazła się w potrzasku.

A jednak zdawał sobie sprawę, że wciąż znajduje się o krok za kimś innym. Niewidzialny Człowiek posługiwał się teraz czterdziestkąpiątką, nie pistoletem z tłumikiem. Zmienił taktykę. Nastawił się na błyskawiczne, pewne zabójstwa... nie zwracał uwagi na hałas... i rozmawiał z ofiarami zanim pozbawił je życia, toteż prawdopodobnie wiedział więcej niż Ryan. Ten groźny, drapieżny kot, o którym opowiadał mu Farber, znajdował się gdzieś na ulicy, polując w świetle dnia. A Ryan nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

John T. Kelly, starszy bosman, Marynarka USA, przydział do SEAL. Gdzie jesteś Johnie Kelly? Gdybym był tobą... Gdzie bym był? Dokąd bym poszedł?

\* \* \*

— Jesteście tam jeszcze? — zapytał Kelly, kiedy Piaggi podniósł słuchawkę.

— A jakże. Jemy właśnie późne śniadanie. Chcesz się może przyłączyć?

— Wczoraj próbowałem *calamari* w twojej knajpie. Niezłe. To twoja matka gotuje? — łagodnie wypytywał Kelly, ciekaw, czy otrzyma jakąś odpowiedź.

— Zgadza się — odparł Tony. — Stary rodzinny przepis, przywieziony przez moją prababkę ze Starego Świata.

— Wiesz, co ci powiem? Zadziwiasz mnie.

— A czymże to, panie Kelly? — Piaggi mówił uprzejmym tonem, wyraźnie rozluźniony. Chciał sprawdzić, jakie to zrobi wrażenie na facecie z drugiego końca linii.

— Spodziewałem się, że będziesz próbował ubić interes. Twoi ludzie próbowali, ale ja nie byłem chętny — odparł Kelly, pozwalając, by w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

— Już powiedziałem. Wpadnij, to porozmawiamy sobie przy śniadaniu — szcęknięta odkładana słuchawka.

Świetnie.

\* \* \*

— No, to powinno dać palantowi trochę do myślenia. — Piaggi nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Była już mocno nieświeża — mętna i zalatująca stęchlizną — ale zawierała moc kofeiny. W efekcie, po wypiciu nie wiadomo ilu filiżanek tego paskudztwa, Tony z trudem powstrzymał drżenie rąk. Nadal był

jednak przytomny i czujny. Spojrzał na dwójkę współników, uśmiechnął się i skinął głową, gestem mającym znamionować pewność siebie.

\* \* \*

— Trochę mi smutno z powodu Kaza — powiedział komendant Akademii w Annapolis.

Maxwell pokiwał głową i spojrzał na przyjaciela.

— Co tu można powiedzieć, Will? Kaz nie był najlepszym kandydatem na emeryta. Chyba zgodzisz się ze mną. Nie miał rodziny. Ani tu, ani w starym kraju. To było jego życie i tak czy inaczej zbliżało się do końca.

— Żaden z nich nie chciał rozmawiać o tym, co zrobiła żona Podulskiego. Może za jakiś rok uda im się doszukać poetyckiej symetrii w jednoczesnym odejściu dwójki przyjaciół, ale nie teraz.

— Słyszałem, że ty też złożyłeś podanie, Wściekły. — Dla komendanta Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych była to niezrozumiała pogłoska. Mówiono, że Wściekły był pewnym kandydatem na stanowisko dowódcy Floty. Nominację przewidywano na wiosnę. Ostatnio, z powodów nieznanych komendantowi, sprawa przycichła.

— To prawda — odrzekł Maxwell. Rozkazy — w formie „sugestii” — nadeszły z Białego Domu za pośrednictwem szefa Operacji Morskich. — Już wystarczy, Will. Pora na dopływ świeżej krwi. Naszą wojną była druga światowa... ano, myślę, że czas zrobić miejsce innym.

— Jak sobie radzi Sonny?

— Zostałem właśnie dziadkiem.

— Zuch chłopak! Brawo! — Nareszcie jakaś dobra nowina. Do pokoju wszedł admirał Greer, tym razem wyjątkowo w mundurze.

— James!

— Miły gabinecik — zauważył Greer. — Cześć, Wściekły.

— A więc, czemu zawdzięczam wizytę szanownych kolegów?

— Will, chcemy ci gwizdnąć jedną z twoich żaglówek. Masz coś ładnego i wygodnego, z czym mogłaby sobie poradzić para admirałów?

— Pełny asortyment. Może jedną z dwudziestekszóstek?

— Powinna się nadać.

— Dobrze. Zadzwoń do Działu Szkolenia Praktycznego i każę zaklepać jedną dla was. — Komendant nie widział w tej prośbie nic dziwnego. Greer i Maxwell byli blisko z Kazem, a pożegnanie marynarza powinno odbyć się na morzu. Odprowadził gości do drzwi.

\* \* \*

— Zabrakło ci pomysłów? — zapytał Piaggi z kpiącą pewnością siebie. Doszedł do wniosku, że facet po drugiej stronie ulicy stracił już rozpęd. Warto było go teraz przycisnąć.

— Nie mam o czym z wami rozmawiać. Coś mi się zdaje, bydlaki, że boicie się słońca. Zrobię wam trochę światła — warknął w odpowiedzi Kelly. — Uważaj!

Odłożył mikrotelefon i uniósł karabin, biorąc na cel okno.

Paf.

Zabrzęczało szkło.

\* \* \*

— Ty durny kutasie! — wrzasnął Tony w słuchawkę, chociaż wiedział, że połączenie zostało przerwane. — Widzicie? Zrozumiał, że nic nie może nam zrobić. Że czas działa na naszą korzyść.

Kolejne dwie szyby rozleciały się w kawałki i dopiero wtedy strzelanina ustała. Zadzwoił telefon. Tony z ociąganiem podniósł słuchawkę.

— Spudłowałeś, fiucie!

— Nie widzę, żebyście się gdzieś wybierali, zasańcu! — Głos w słuchawce był tak silny, że Tucker i Charon słyszeli brzęczenie membrany z odległości trzech metrów.

— Myślę, że pora się wynosić, panie Kelly. Kto wie, może to nie my cię zabijemy. Może to będą gliny. Słyszałem, że też cię szukają.

— Zapomniałeś, że to wy siedzicie w pułapce.

— To ty tak twierdzisz, koleś. — Piaggi ponownie rozłączył się pierwszy, żeby udowodnić, że do niego należy ostatnie słowo.

\* \* \*

— I jak samopoczucie, pułkowniku? — dopytywał się Wołoszyn.

— Wycieczka była bardzo interesująca. — Ritter i Griszanow siedzieli na schodach Lincoln Memorial. Ot, dwójka turystów, zmęczonych upalnym dniem, spotyka przyjaciela. Wszystko odbyło się pod bacznym spojrzeniem ochroniarza Wołoszyna, stojącego dziesięć metrów od nich.

— A co z waszym wietnamskim przyjacielem?

— Co? — Kola był nieco zdziwiony. — Jakim przyjacielem?

Ritter uśmiechnął się odrobinę złośliwie.

— Przyznaję, że pozwoliłem sobie na mały fortel. Widzi pan, musieliśmy zlokalizować pewien przeciek.

— Tego się właśnie spodziewałem — kwaśno odparł generał KGB. Taka prosta pułapka i dał się w nią złapać. Prawie. Fortuna mu sprzyjała, a Ritter prawdopodobnie o niczym nie wiedział.

— Gra toczy się dalej, Siergiejju. Chyba nie będzie pan płakał po zdrajcy?

— Po zdrajcy, nie. Lecz po człowieku, który walczył za sprawę pokoju na świecie, tak. Jest pan bardzo sprytny, Bob. Dobrze pan to załatwił.

Chociaż może nie tak dobrze? Może pułapka nie była tak skuteczna, jak ci się zdaje, młody przyjacielu? Nie trzeba było tak się śpieszyć. Udało wam się zabić chłopaka Hicksa, ale nie Kasjusza. Nadmiar zapalczywości, drogi kolego. Zrobiliście błąd i chyba naprawdę nie jesteście tego świadomi.

— Co z naszymi ludźmi?

— Jak uzgodniono, przebywają razem z innymi jeńcami. Jakowlew potwierdził tę wiadomość. Wystarczy panu moje słowo, panie Ritter?

— Owszem, wystarczy. A więc tak: o ósmej piętnaście jest lot PanAmu z lotniska Dullesa do Paryża. Odwiozę pułkownika i będzie pan mógł osobiście go pożegnać. Odbierzecie go sobie na Orly.

— Zgoda. — Wołoszyn zakręcił się na pięcie i odszedł.

— Dlaczego mnie zostawia? — Griszalow był bardziej zdziwiony niż zaniepokojony.

— Dlatego, pułkowniku, że ufa mojemu słowu, tak jak ja zaufałem jemu. — Ritter wstał. — Mamy kilka godzin do zabicia. . .

— Do zabicia?

— Przepraszam, to taki idiom. Mamy kilka godzin dla siebie. Ma pan ochotę na przechadzkę po Waszyngtonie? W Smithsonian Institute mają kamień z Księżyca. Z jakichś powodów ludzie uwielbiają go dotykać.

\* \* \*

Piąta trzydzieści. Słońce świeciło mu teraz prosto w twarz. Coraz częściej musiał ocierać pot z czoła. Za częściowo rozbitym oknem nic się nie działo, tylko od czasu do czasu mignął jakiś cień. Nie odpoczywają przypadkiem? Nie mógł im na to pozwolić. Sięgnął po telefon i zakręcił korbką. To ich postawi na nogi. Muszą czuwać.

— Ktoś mnie wzywał? — odezwał się Tony. Niesamowity facet, pomyślał Kelly. Kogoś takiego właśnie się spodziewał. Doprawdy, szkoda.

— Twoja restauracja sprzedaje na wynos?

— A co, zgłodnieliśmy? — I po chwili: — Może chcesz się z nami dogadać?

— Wyjdźcie stamtąd i możemy pogadać — odparł Kelly. W odpowiedzi Piaggi odłożył słuchawkę.

Prawie miał rację, myślał Kelly, obserwując cień przesuwany się po podłodze. Wypił resztę wody i zjadł ostatniego balonika, obserwując otoczenie budynku

w poszukiwaniu jakichś zmian. Już dawno zdecydował, co zrobi. W pewnym sensie, to oni zdecydowali za niego. Znow zaczął się liczyć czas — miał go coraz mniej, chociaż trudno byłoby określić, ile dokładnie. Gdyby musiał, zawsze mógł się wycofać, ale czy naprawdę mógł? Spojrzał na zegarek. Nie będzie to bezpieczne, ale upływ czasu nie zwiększy już jego przewagi. Tamci byli na nogach od dwudziestu czterech godzin, może dłużej. Postraszył ich, a potem pozwolił przyzwyczaić się do stanu zagrożenia. Sądzą, że mają jeszcze jakieś atuty, że ich sytuacja jest coraz lepsza, a tego właśnie po nich oczekiwał.

Cofnął się od okna, pełzając po cementowej posadzce. Sprzęt zostawił — nie będzie mu potrzebny, bez względu na to, jak sprawy się potoczą. Wstał, otrząpiał ubranie i sprawdził *Colta*. Jeden w lufie, siedem w magazynku. Przeciągnął się. Czuł, że nie wolno mu dłużej zwlekać. Schodząc po schodach wyjął kluczyki do Volkswagena. Co będzie, jeśli nie zapali? Zapalił. Kelly przez chwilę obserwował ruch na biegnącej z południa na północ ulicy przed sobą, czekając, aż silnik się rozgrzeje. Ruszył gwałtownie, wbijając się w lukę między pojazdami i ściągając na siebie stek przekleństw jadącego na południe kierowcy. Udało mu się jednak zgrabnie włączyć w gęsty o tej porze strumień samochodów.

\* \* \*

— Widzisz coś?

To Charon doszedł do wniosku, że Kelly nie mógł w tych okolicznościach bez końca obserwować ich budynku. Natomiast mógł, mimo wszystko, spróbować frontalnego ataku. Dlatego dwaj z nich stale pilnowali obu stron białego budynku. Wiedzieli, że ciągle tam siedział. Teraz oni zaczęli się do niego dobierać. Facet nie przemyślał sprawy do końca, oświadczył Tony. Był cwany, ale jeszcze nie dość cwany. Kiedy się ściemni, wymkną się. Na pewno im się uda. Lekkie pociski kalibru 0,22 cala nic im nie zrobią, jeśli uda im się dotrzeć do samochodu. A jeśli go zaskoczą, mogą. . .

— Tylko samochody po drugiej stronie.

— Nie zbliżaj się tak do okna.

— Odpieprz się, co — burknął Henry. — Lepiej powiedz, co zrobimy z dostawą.

— U nas w domu mówiło się: lepiej późno niż wcale. Kapujesz, o co mi chodzi?

Charon czuł się najgorzej z całej trójki. Być może sprawiła to bliskość fury narkotyków. Źródło zła. Trochę za późno na takie myśli. Czy jest jakiś sposób, żeby się z tego wycofać?

Pieniądze za przyniesioną heroinę leżały tuż obok, na biurku. W kaburze na biodrze miał rewolwer.

Umrzeć jak kryminalista? Obserwował tamtych dwóch, stojących z obu stron okna. To oni byli kryminalistami. On sam nie zrobił nic, czym mógł się narazić temu Kelly'emu. Nic takiego nie przychodziło mu w każdym razie do głowy. To Henry zabił dziewczynę, a Tony kazał zabić drugą. Charon był po prostu przekupionym gliną. Dla Kelly'ego była to sprawa wyłącznie osobista. Nietrudno go zrozumieć. Zabijać Pam w ten sposób, to było okrutne i głupie. Powiedział o tym Henry'emu. Właściwie mógł jeszcze z tego wyjść jako bohater, czyż nie? Otrzymuje informację, wpada, szalona strzelanina. . . Mógłby nawet pomóc Kelly'emu. I nigdy więcej nie wpakuje się w takie szambo. Pieniądze odda do banku, odbierze awans, a po organizacji Henry'ego nie zostanie nawet śladu. Więcej go nie wciągną. Wystarczy podejść do telefonu i rozsądnie porozmawiać z tamtym człowiekiem. Przekonać go. No, i jeszcze jeden drobiazg. . .

\* \* \*

Kelly skrzył w lewo, w przecznice wiodącą na zachód, u jej krańca znów w lewo, na południe, w stronę O'Donnell Street. Czuł, że zaczynają mu się poć ręce. Tamtych było trzech. Musi okazać się bardzo, bardzo dobry. A on był dobry i musiał skończyć tę robotę, nawet gdyby ta robota miała wykończyć jego. Zatrzymał samochód przecznice wcześniej, wysiadł, zamknął drzwi i resztę drogi do budynku pokonał na piechotę. Okoliczne firmy zakończyły już pracę. Naliczył trzy, nadal funkcjonujące i czynne za dnia. Nikt nie wiedział, co dzieje się w pobliżu. . . w jednym przypadku niemal po drugiej stronie ulicy.

Tak, tak, tym razem nieźle to sobie zaplanowałeś.

No, Johnnie-boy, ale na razie to była tylko przygrywka.

Dzięki za słowa otuchy.

Stał teraz obok rogu budynku, rozglądając się na wszystkie strony. Lepiej zacząć stamtąd. . . Zbliżył się do narożnika, z którego wychodziły linie telefoniczne i elektryczne. Stając na parapecie zamurowanego okna, tego samego, którym posłużył się poprzednio, dosięgnął występu dachu, starając się unikać przewodów elektrycznych.

Ładnie. Teraz musiał przejść przez dach, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Po tym żwirze pokropionym smołą?

Istniała jednak możliwość, której nie wziął pod uwagę. Stanął na biegnącym wokół dachu murku, szerokim na jakieś dwadzieścia centymetrów. Po tej ceglanej ścieżce mógł iść zupełnie cicho, z każdym krokiem zbliżając się do otworu w dachu. Ciekawe, czy próbowali do niego dzwonić?



\* \* \*

Charon wiedział, że wkrótce musi uczynić swój ruch. Wstał, spojrzął na pozostałych i przeciągnął się teatralnie, zanim ruszył w ich stronę. Wcześniej zdjął płaszcz i rozluźnił krawat. Jego pięciostrzałowy *Smith & Wesson* tkwił w kaburze u paska z prawej strony. Po prostu zastrzelił sukinsynów, a potem zadzwonił do tego świrusa Kelly'ego. Czemu nie? To były przecież ludzkie śmiecie. Dlaczego miałyby umierać z powodu cudzych zbrodni?

— Co tam, Mark? — zapytał Henry. Nie wyczuł niebezpieczeństwa, zbyt zajęty widokiem za oknem.

Dobrze.

— Zmęczyło mnie to siedzenie. — Charon wyciągnął chusteczkę z prawej kieszeni i otarł twarz. Zmierzył wzrokiem odległość i położenie celu, potem popatrzył na telefon. Jedna rozmowa i będzie bezpieczny. Był już pewien swojej decyzji. Nie ma innego sposobu, żeby się z tego wygrzebać.

Tony'emu nie podobał się wyraz oczu policjanta.

— Usiądź lepiej i odpocznij, co? Niedługo będziemy mieli pełne ręce roboty. Dlaczego on się gapi na telefon? I na nas?

— Odwal się, Tony, dobrze? — rzucił Charon wyzywającym tonem, sięgając do boku, aby schować chusteczkę. Nie wiedział, że zdradził go wyraz twarzy. W chwili, gdy jego dłoń musnęła kolbę rewolweru, Tony uniósł broń i wypalił mu prosto w pierś.

— Myślałeś, żeś taki cwany? — powiedział, stając nad umierającym. I wtedy spostrzegł, że w wydłużonym prostokącie światła z drzwi w dachu, pojawił się cień. Nie zdążył mu się przyjrzeć, kiedy cień znikł, w powietrzu coś mignęło, jakiś zamazany kształt, który ledwie udało mu się pochwycić kątem oka. Henry wciąż wpatrywał się w zwłoki Charona.

\* \* \*

Odgłos wystrzału zaskoczył go. W pierwszej chwili pomyślał, że strzelano do niego, ale już był w ruchu, działał, toteż skoczył w ciemny prostokąt otwartych drzwi. Przypominało to skok ze spadochronu — stopy razem, kolana ugięte, kark wyprostowany, uderzenie o grunt i przewrotka.

Lądowanie było twarde. Podłogę stanowiła klepka kładziona bezpośrednio na betonie, ale jego nogi wytrzymały uderzenie. Kelly przetoczył się błyskawicznie, wyprostował rękę. Pierwszy z brzegu był Piaggi. Kelly podrzucił broń, naprowadził lufę na jego pierś i strzelił dwukrotnie, zmienił ułożenie broni i strzelił jeszcze raz, trafiając w podbródek.

Zmiana celu.

Ponownie przetoczył się po podłodze, tak jak to robił kiedyś w Wietnamie, pod ostrzałem. Jest! Czas jakby zatrzymał się w tym momencie. Henry trzymał w dłoni pistolet i składał się do strzału. Ich oczy spotkały się na nieskończenie długą chwilę — łowca i łowca, łowca i ofiara. Kelly pierwszy się opamiętał. Znow widział muszkę swego pistoletu. Nacisnął spust, posyłając precyzyjnie wymierzony strzał w pierś Tuckera. *Colt* podskoczył mu w dłoni. Zmysły Kelly'ego funkcjonowały w tym momencie z tak niewiarygodną szybkością, że widział gwałtowny ruch zamka do tyłu, wylatującą pustą, mosiężną łuskę, potem skok zamka do przodu, wprowadzający do lufy kolejny nabój. Usztywniony nadgarstek ściągnął podrzucony odrzutem pistolet do dołu i drugi pocisk trafił w pierś Murzyna. Odwróciwszy się od okna Tucker nie zdążył odzyskać równowagi. Albo pośliznął się na podłodze, albo sprawiła to siła uderzenia pocisków, bo z rozmachem runął na podłogę.

Zadanie wykonanie. Przynajmniej tę jedną sprawę doprowadził do końca, po wszystkich niepowodzeniach tego nieszczęsnego lata. Wstał, podszedł do Tuckera i kopnięciem wytrącił mu broń z dłoni. Chciał coś powiedzieć, właśnie tak, patrząc w twarz tego człowieka, jeszcze żywego, ale zabrakło mu słów. Może teraz Pam będzie mogła spoczywać w spokoju. Ale chyba nie, to nie odbywa się w ten sposób. Ludzie umierają i przestaje ich obchodzić to, co zostało za nimi. Kelly nie miał pojęcia, jak to się właściwie odbywa, chociaż myślał o tym dość często. Jeśli umarli zostają w jakiś sposób na ziemi, to tylko w umysłach ludzi, którzy o nich pamiętają. I w imię tej pamięci zabił Henry'ego Tuckera i innych. Może dla Pam nie miało to żadnego znaczenia. Dla niego jednak miało. Spostrzegł, że Tucker rozstał się z życiem, kiedy on zamyślony stał nad jego ciałem. Wciąż badał swoje myśli, starał się wejrzeć w głąb swojego sumienia. Nie, nie czuł skruchy, ani z powodu tego człowieka, ani z powodu tamtych. Zabezpieczył pistolet i rozejrzał się po pokoju. Trzy trupy. I świadomość, że on sam nie był jednym z nich. To w tym wszystkim najlepsze. Podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Samochód zostawił całą przecnicę dalej, a miał wyznaczone jeszcze jedno spotkanie. Jeszcze jeden człowiek miał zakończyć życie.

Zadanie wykonane.

\* \* \*

Łódź stała tam, gdzie ją zostawił. Dojazd do przystani zajął Kelly'emu pełną godzinę. Zaparkował samochód i wyjął walizkę z bagażnika. Zatrzasnął drzwi, zostawiając kluczyk w stacyjce. Więcej nie będzie potrzebował tego wozu. Jazdę przez miasto zapamiętał jako okres zupełnej pustki w głowie, wypełniony mechanicznym wykonywaniem czynności związanych z prowadzeniem samochodu, zatrzymywaniem się na światłach, ruszaniem — byle ku morzu, ku Zatoce, ku

miejscom, które były jego prawdziwym domem. Dźwignął walizkę i idąc nabrzeżem dotarł do „Springera”. Wskoczył na pokład. Wszystko wyglądało w porządku. Za dziesięć minut będzie daleko stąd, zapomni o wszystkim, co wiązało się z tym miastem. Rozsunął drzwi prowadzące do kabiny i znieruchomiał, czując zapach dymu tytoniowego. Po chwili usłyszał głos.

— John Kelly, zgadza się?

— Kim pan jest?

— Emmet Ryan. Zna pan mojego partnera, Toma Douglasa.

— Czym mogę służyć? — Kelly postawił walizkę na pokładzie. Przypomniał sobie o *Colcie* za pasem, pod zapiętą panterką.

— Może zechciałby pan mi powiedzieć, dlaczego zabił pan tylu ludzi? — odezwał się Ryan.

— Jeśli uważa pan, że to zrobiłem, to wie pan też, dlaczego.

— Owszem. Szukam właśnie Henry’ego Tuckera.

— Tutaj go chyba nie ma?

— Więc może pan mógłby mi pomóc?

— Niech pan spróbuje na rogu O’Donnell i Mermen. I nie musi się pan śpieszyć, on tam na pana czeka.

— Co ja mam za panem zrobić?

— Te trzy dziewczyny dziś rano, czy...?

— Są bezpieczne. Zajęliśmy się nimi. Pan i pańscy przyjaciele bardzo przyzwoicie potraktowaliście Pam Madden i Doris Brown. Nie wasza wina, że nic z tego nie wyszło. No, nie całkiem wasza. — Policjant zamilkł. — Muszę pana zatrzymać, wie pan o tym?

— Za co?

— Cztery morderstwa, panie Kelly.

— Nie. — Kelly pokręcił głową. — Morderstwo jest wtedy, gdy giną niewinni ludzie.

Ryan zmrużył oczy. Widział jedynie sylwetkę mężczyzny na tle żółknącego nieba. Słyszał jednak jego słowa i coś w nim chciało przyznać im rację.

— Prawo stanowi inaczej.

— Nie proszę o przebaczenie. Nie będzie miał pan więcej kłopotów z mojego powodu. I nie zamierzam iść do więzienia.

— Nie mogę pana puścić. — Kelly spostrzegł, że tamten mimo wszystko nie wydobył broni. Co to mogło oznaczać?

— Oddałem wam tego Monroe.

— Tak, dzięki — zgodził się Ryan.

— Nie jestem zabójcą. To prawda, zostałem do tego wyszkolony, ale zawsze musi być jakiś powód. Ja miałem wystarczający powód.

— Może. Ale jak pan myśli, co pan osiągnął? Problem narkotyków nie zniknął.

— Henry Tucker nie zabije już żadnej dziewczyny. To osiągnąłem. Nie spodziewałem się niczego więcej, ale tę jedną organizację rozbiłem. — Kelly prze-  
rwał. Było jeszcze coś, co powinien powiedzieć temu człowiekowi. — W tamtym  
budynku znajdziecie gliniarza. Myślę, że był trefny. Tucker i Piaggi zabili go. Mo-  
że wyjdzie na bohatera? Jest tam też zapas heroiny. Wasz Wydział powinien być  
zadowolony. Dzięki Bogu nie musiałem zabić policjanta, nawet nieuczciwego.  
I jeszcze coś. Wiem, jak Tucker przemycał narkotyki do kraju.

Kelly pokrótce zrelacjonował swoje odkrycie.

— Tylko że ja nie mogę pana puścić — powtórzył detektyw. I znowu jakąś  
częstką duszy pragnął, żeby było inaczej. Ale to niemożliwe. Nie mógł tak postą-  
pić, bo jego życiem rządziły pewne zasady.

— Może mi pan dać godzinę? Wiem, że będziecie mnie obserwować. Jedną  
godzinę. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Na tę prośbę Ryan nie był przygotowany. Cała jego policyjna natura sprzeci-  
wiała się czemuś takiemu. Ale z drugiej strony sprzeciwiała się również istnieniu  
bydła, które ten człowiek uśmiercił.

Jesteśmy mu coś winni. . . czy bez niego rozwiązałbym te sprawy? Kto prze-  
mówiłby w imieniu zamordowanych. . . a poza tym, co ten facet mógł zrobić,  
dokąd pójść? . . . Ryan, czyś ty nie zwariował?

Tak, być może zwariował. . .

— Ma pan tę godzinę. Potem mogę pana polecić dobremu obrońcy. Kto wie?  
Może dobry adwokat mógłby pana wyciągnąć?

Ryan wstał i nie oglądając się ruszył ku wyjściu. W drzwiach przystanął na  
moment.

— To dlatego, że nie zabił pan niewinnego człowieka, choć mógł pan to zrobić.  
Pańska godzina już się zaczęła.

Kelly nie patrzył za wychodzącym. Uruchomił układ sterowania silników, że-  
by podgrzać diesle. Godzina powinna wystarczyć. Wszedł na pokład i odpiął  
cumy, nie odwiązując ich od pachołków na nabrzeżu. Zanim wrócił do kabiny,  
diesle były gotowe do pracy. Zaskoczyły od razu. Obrócił łódź i odbił, kierując  
się w głąb portu. Minąwszy basen jachtowy, otworzył do oporu obie przepustnice  
i „Springer” ruszył z maksymalną prędkością dwudziestu dwóch węzłów. Kanał  
był pusty. Kelly włączył autopilota i pośpiesznie dokonał niezbędnych przygoto-  
wań. Przy Bodkin Point szedł z toru ścinając zakręt, ale musiał to zrobić. Wie-  
dział, kogo za nim wysłał.

\* \* \*

— Straż przybrzeżna. Thomas Point.

— Tu policja miejska Baltimore.

Wezwanie odebrał podporucznik Tomlinson. Niedawno ukończył Akademię Straży Przybrzeżnej w New London i tymczasowo przydzielono go do posterunku w Thomas Point. I chociaż formalnie przewyższał rangą dowódcę straży, który mimo iż służył na etacie oficerskim, nie posiadał patentu — wiedział, po co go tam wysłano. Miał dwadzieścia dwa lata i oficerskie belki na jego mundurze nie straciły jeszcze pierwotnego blasku. Nadeszła pora, aby dać mu zakosztować swobody w wypełnianiu zadania, postanowił Paul English. Oczywiście było to możliwe tylko dzięki temu, że w gruncie rzeczy, wszystkim zajmie się Dniówka. Czterdzieści Jeden Bravo, jedna z dwu dużych łodzi patrolowych, będących na wyposażeniu posterunku, była gotowa do wypłynięcia w morze. Silniki właśnie podgrzewano. Młody podporucznik wybiegł z biura w takim pośpiechu, jakby obawiał się, że mogą odpłynąć bez niego. Dowódca zachichotał, rozbawiony. Pięć sekund po tym, jak przyszły wilk morski porwał swoją kamizelkę ratunkową, Czterdzieści Jeden Bravo z hałasem odbiła od nabrzeża i skierowała się na północ, mijając latarnię morską Thomas Point.

\* \* \*

Facet najwyraźniej nie zamierza mi za bardzo popuścić, pomyślał Kelly, kiedy z prawej burty ujrzał płynący w jego stronę kuter. Ano, prosił o godzinę i godzinę dostał. Bliski był włączenia radia, aby nadać pożegnalne pozdrowienie, ale to byłby błąd. Niemniej żałował, że nie może tego zrobić. Gorzej, że jeden z diesli zaczął się grzać. Cóż, długo to nie potrwa.

Zaczynał się wyścig i to, niestety, z przeszkodami, bo dokładnie w miejscu, gdzie Kelly chciał się znaleźć, widać było duży frachtowiec pod francuską banderą, płynący ku otwartemu morzu. Za kilka chwil „Springer” miał się znaleźć między nim, a kutrem Straży Przybrzeżnej.

\* \* \*

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Ritter. Ruchem ręki odprawił funkcjonariusza ochrony, który niczym cień chodził za nim przez całe popołudnie. Wyciągnął z kieszeni bilet. — Pierwsza klasa. Trunki wliczone w cenę, pułkowniku. — Bez przeszkód minęli stanowisko kontroli paszportowej. Wystarczyło wcześniej raz zatelefonować.

— Dzięki za gościnne przyjęcie.

Ritter zachichotał.

— Tak, rząd amerykański zafundował panu wycieczkę na odległość trzech czwartych obwodu kuli ziemskiej. Myślę, że Aeroflot poradzi sobie z resztą. — Ritter przerwał, a po chwili podjął już oficjalnym tonem. — Pański stosunek do

naszych jeńców uznaliśmy za właściwy w tamtych okolicznościach. Pragnę wyrazić nasze podziękowanie.

— Chciałbym, żeby bezpiecznie wrócili do domów. To nie są źli ludzie.

— Pan też nie jest złym człowiekiem, pułkowniku.

Ritter odprowadził Rosjanina do bramki. Pojazd transportu lotniska miał go stąd dowieźć do czekającego na pasie nowiutkiego *Boeinga 747*.

— Niech pan nas kiedyś jeszcze odwiedzi. Pokażę panu resztę Waszyngtonu.

Ritter zaczekał, aż tamten wejdzie na pokład samolotu i zwrócił się do Wołoszyna.

— Porządny człowiek. Czy ta sprawa nie zrukuje jego kariery?

— Przy tym wszystkim, co ma w głowie? Nie sądzę.

— No i dobrze — powiedział Ritter i ruszył w kierunku wyjścia.

\* \* \*

Szanse były bardzo wyrównane. Tamta łódź miała nieznaczną przewagę dystansu i możliwość wyboru kursu. Tymczasem kuter dysponował większą o pół węzła prędkością, dzięki czemu odległość między nimi, co prawda irytująco wolno, ale malała. O wszystkim zadecydować miały umiejętności ludzi, ale i tu, swój trafił na swego. Oreza przyglądał się jak tamten przecina kilwater frachtowca i ślizga się na fali wywołanej przejściem statku, momentalnie przydając swojej łodzi dobre pół węzła szybkości. Trudno było go nie podziwiać. Oreza nie mógłby zrobić nic innego. Facet prowadził łódź z dziecinną łatwością, jakby żartując sobie z praw rządzących wiatrem i falą. Niestety, sprawa była poważna i Orezie wcale nie było do żartów, kiedy patrzył na tych wszystkich ludzi w sterówce, czekających z załadowaną bronią. I kiedy pomyślał, że tamten człowiek jest jego przyjacielem.

— Na litość boską — warknął, delikatnie przesuwając ster na prawą burtę — uważajcie z tymi cholernymi spluwami!

Po tej uwadze, obecni w sterówce marynarze zdjęli ręce z pistoletów i pozapinali kabury.

— To niebezpieczny człowiek — powiedział mężczyzna stojący za Orężem.

— Nie dla nas!

— A co z tymi wszystkimi, których...

— Może, sukinsyny, na to zasłużyli!

Oreza dodał odrobinę gazu i cofnął ster na lewą burtę. Jego taktyka polegała na wyszukiwaniu wśród fal gładszych miejsc i manewrowaniu swoim czternastometrowym kutrem to w lewo, to w prawo, tak, by wykorzystywać ruch fal, zyskując w ten sposób cenne metry do ściganego, który robił dokładnie to samo. Żadne regaty o Puchar Ameryki nie mogły być równie podniecające i w głębi duszy Oreza wściekał się na ludzi, przez których cel tego wyścigu był tak wstrętny.

— Może powinniście pozwolić...?

Oreza nawet nie odwrócił głowy.

— Panie Tomlinson, uważa pan, że ktoś inny może poprowadzić tę łódź lepiej ode mnie?

— Nie, bosmanie Oreza — sztywno odparł podporucznik. Oreza parsknął pogardliwie, nie odrywając wzroku od szyby przed sobą.

— Może wezwać helikopter Marynarki? — niepewnie zapytał Tomlinson.

— Po co, panie poruczniku. Jak pan myśli, dokąd on płynie? Może na Kubę? Mam dwa razy więcej paliwa od niego i jestem szybszy o pół węzła. A on ma raptem trzysta metrów przewagi. Wystarczy policzyć. Jak by nie kombinować, będziemy przy nim za dwadzieścia minut. Bez względu na to, jaki jest dobry.

Poza tym zasługuje na trochę szacunku, dodał w myśli Oreza.

— Ale on jest niebezpieczny — powtórzył Tomlinson.

— Zaryzykuję. Proszę bardzo... — Oreza wszedł w kolejny łuk w lewo, przecinając ślad torowy frachtowca, by dzięki energii wyzwolonej przez ruch statku, zwiększyć prędkość. Ciekawe, w ten właśnie sposób robią to delfiny... a ja zyskuje przez to cały węzeł przewagi. Do tego mój kadłub lepiej się do tego nadaje... Wbrew wszystkiemu, co powinien w tej chwili odczuwać, Manuel Oreza uśmiechnął się. Właśnie nauczył się czegoś nowego o sterowaniu łodzią i zawdzięczał to przyjacielowi, którego ścigał, by aresztować za morderstwa. Za zabicie kilku ludzi, którzy zasługiwali na śmierć. Zastanawiał się, co na to powiedzą prawnicy.

Nie, musi myśleć o nim z szacunkiem. Pozwolić mu odbyć ten wyścig, tę ucieczkę ku wolności, jakkolwiek los jej był z góry przesądzony. Wszystko inne byłoby poniżeniem tego człowieka i — musiał przyznać Oreza — jego samego. Nawet jeśli przegrało się wszystko, zostaje jeszcze honor. Kto wie, czy to nie najważniejsze prawo morza, a Oreza, podobnie jak ten, którego ścigał, był człowiekiem morza.

\* \* \*

Piekielnie blisko. Dniówka był po prostu cholernie dobrym sternikiem, za dobrym, i przez to plan Kelly'ego stawał się jeszcze bardziej ryzykowny. Wykorzystywał wszystkie swoje umiejętności. Prowadzenie „Springera” zakosami w poprzek kilwateru statku, to najlepszy pomysł, jaki mu kiedykolwiek przyszedł do głowy, jeśli chodzi o wyczyny na wodzie. Tymczasem ten przeklęty przybrzeżniak nie był gorszy, a do tego jego łódź miała głębsze zanurzenie. Oba silniki „Springera” były przeciążone i już oba się przegrzewały, a ten przeklęty frachtowiec płynął wciąż odrobinę za szybko. Czy Ryan nie mógł poczekać głupie dziesięć minut dłużej? — pomyślał Kelly. Detonator ładunku zapalającego miał na wyciągnięcie ręki. Pięć sekund po wciśnięciu wyłącznika, wybuchną zbiorniki

paliwa, ale cały plan nie był wart nawet funta kłaków, kiedy ten cholerny kuter pędzi dwieście metrów za nim.

Co teraz?

\* \* \*

— Znowu zarobiliśmy dwadzieścia metrów — zauważył Oreza. W jego głosie duma mieszała się ze smutkiem.

Tamten nawet się nie ogląda, myślał sternik. On wie. Musi wiedzieć. Na Boga, dobry jesteś! — te słowa Oreza w jakiś telepatyczny sposób chciałby przekazać człowiekowi, którego ścigał. Żałował teraz tych wszystkich złośliwości, jakich mu nie szczędził przy byle spotkaniu, ale przecież on musiał rozumieć, że to tylko przekomarzanie się, jak to między żeglarzami. A w tym wyścigu też dał świadectwo szacunku dla Orezy. Miał przecież broń i mógł ostrzelać kuter, by w ten sposób dopiec ścigającym. Nie robił tego jednak i Oreza wiedział, dlaczego. Byłoby to pogwałceniem reguł wyścigu takiego jak ten. Nie, on będzie się ścigał co sił, a kiedy nadejdzie pora, zaakceptuje porażkę, będą dzielić swój smutek i dumę, i zachowają dla siebie szacunek.

— Niedługo zrobi się ciemno — powiedział Tomlinson, wrywając Orezę z zadumy. Chłopak nic z tego wszystkiego nie rozumiał, ale czego się można spodziewać po świeżo upieczonym podporuczniku. Może się kiedyś nauczy. Zwykle tak z nimi było i Oreza miał nadzieję, że Tomlinson zrozumie dzisiejszą lekcję.

— Zdażymy, panie poruczniku.

Oreza obiegł wzrokiem widnokrąg. Francuski frachtowiec zasłaniał mu już blisko jedną trzecią pola widzenia. Jego wyniosły kadłub wznosił się wysoko nad powierzchnię wody, połyskiwał niedawno położoną farbą. Załoga statku nie miała pojęcia, co się dzieje. Nowa jednostka, podświadomie odnotował w pamięci Oreza. Gruszkowaty dziób frachtowca wytwarzał przepiękną falę dziobową, na której mogły się ślizgać małe łodzie.

\* \* \*

Najszybszym i najprostszym rozwiązaniem byłoby pociągnąć za sobą kuter wzdłuż prawej burty frachtowca, potem przeskoczyć przed jego dziobem i wtedy wysadzić łódź... ale... był jeszcze inny, lepszy sposób...

\* \* \*

— Teraz! — Oreza obrócił koło sterowe o jakieś dziesięć stopni, kładąc kuter na lewą burtę i niemal w jednej chwili zyskując pięćdziesiąt metrów. Następnie



cofnął ster, przeskoczył kolejny półtorametrowy wał wodny i przygotował się do powtórzenia manewru. Któryś z młodszych marynarzy wrzasnął radośnie.

— Widzi pan, panie Tomlinson? Kadłub naszej łodzi jest lepiej przystosowany do takich manewrów. Na głębokiej wodzie mógłby nas może pokonać o włos, ale nie na fali. Dlatego nasz kuter jest taki, jaki jest.

— W ciągu dwóch minut odległość między łodziami zmniejszyła się o połowę.

— Jesteście pewni, że chcecie, żeby ten wyścig się skończył, Oreza? — zapytał Tomlinson.

Patrzcie państwo, jednak nie jest taki głupi. Cóż, był w końcu oficerem, a ci od czasu do czasu musieli okazać trochę sprytu.

— Każdy wyścig ma swój koniec, panie poruczniku. I zawsze są zwycięzcy i pokonani. — Oreza miał nadzieję, że jego przyjaciel także rozumie tę prawdę. Sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalił go, trzymając zapalniczkę lewą ręką, podczas gdy prawą, samymi czubkami palców, operował kołem sterowym, wprowadzając drobne poprawki kursu, w reakcji na niemal podświadomie wychwytywane, najmniejsze nawet ruchy fal. Powiedział Tomlinsonowi: dwadzieścia minut. Okazuje się, że był pesymistą. Już wiedział, że to nie potrwa tak długo.

Raz jeszcze zlustrował powierzchnię Zatoki. Mnóstwo łodzi na wodzie, w większości kierujących się w stronę lądu. I nikt nie rozumiał rozgrywających się tu wydarzeń. Kuter nie był wyposażony w migające koguty policyjne. Oreza nie lubił takich rzeczy, uważał je za obrazę swojej profesji. Kiedy podpływa kuter Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych, żadne policyjne światła nie są potrzebne. Poza tym, ten wyścig miał w sobie coś osobistego, coś, co rozumieją tylko zawodowcy i tak właśnie powinno być. Obecność gapiów zawsze wszystko pomniejsza i odciąga graczy od samej gry.

\* \* \*

Znajdował się teraz w połowie długości frachtowca. Jak można się było spodziewać, Dniówka połknął przynętę. Cholera, ależ ten facet był dobry. Jeszcze miła i miałby go na karku, a to sprowadziłoby możliwość wyboru dokładnie do zera. W obecnej sytuacji mógł jednak realizować swój plan. Widział już gruszkowaty, częściowo wynurzony dziób statku. Z mostka przyglądał mu się jakiś marynarz, tak samo jak tego pierwszego dnia z Pam. Przez chwilę czuł pustkę w żołądku, wspominając tamte chwile. Jak to było dawno i ile się od tej pory wydarzyło. Czy postępował słusznie? Któż mógłby to osądzić? Kelly pokręcił głową. Niech Bóg to rozstrzygnie. Po raz pierwszy od początku wyścigu spojrzął do tyłu, mierząc dystans dzielący go od kutra. Byli cholernie blisko.

\* \* \*

Czternastometrowa łódź osiadła na rufie z dziobem zadartym pod kątem około piętnastu stopni. Jej głęboko zanurzony kadłub o dużej wyporności ciął spieniony wał kilwateru. Kuter kołysał się na boki, przechyły dochodziły do dwudziestu stopni, a jego potężne, wolnoobrotowe diesle okrętowe grzmiały specyficzną, jazgotliwą muzyką. Nad wszystkim czuwał Oreza. Jego dłonie operowały przepustnicami i obracały kołem sterowym, a oczy badały powierzchnię Zatoki, szukały optymalnego kursu. Człowiek w białej motorówce robił to samo, starał się wyzyskać każdy obrót swoich silników, wykorzystać całe swoje umiejętności i doświadczenie. Ale to wszystko było za mało, aby pokonać Dniówkę i choć to przykre, tak właśnie musiało być.

Po raz pierwszy tamten spojrzął za siebie i Oreza zobaczył jego twarz.

Już czas, przyjacielu. Wystarczy, zakończmy tę sprawę honorowo. Może będziesz miał szczęście i szybko wyjdiesz i znów zostaniemy przyjaciółmi.

— No, dalej, wyłącz silniki i zawróć w prawo — powiedział Oreza, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos i że wszyscy z jego załogi myślą dokładnie tak samo. I cieszą się, że oni i ich szypier widzą dzisiejsze wydarzenie w ten sam sposób. Raptem półgodzinny pościg, ale zarazem coś, co w marynarskich opowieściach żyć będzie do końca ich służby.

Ścigany odwrócił się znowu. Oreza znajdował się zaledwie o pół długości statku za nim. Mógł już odczytać nazwę na rufie łodzi. Nie było sensu ciągnąć tego do ostatniego metra. To by zepsuło sportowy charakter wyścigu. Byłoby okazaniem małostkowości zupełnie obcej ludziom morza. Coś takiego przystoi niedzielnym żeglarzom, nie zawodowcom.

I wtedy Kelly zrobił coś nieoczekiwanego. Oreza zorientował się pierwszy. Spróbował oszacować odległość, raz, potem drugi i trzeci, i za każdym razem wynik był katastrofalny. Pośpiesznie sięgnął po mikrofon.

— Nie rób tego! — krzyknął. Nadajnik ustawiony był na zastrzeżoną częstotliwość.

— O co chodzi? — pośpiesznie spytał Tomlinson.

Nie rób tego! — wołał w duchu Oreza. Nagle poczuł się sam w jakimś małym, zamkniętym świecie i niemal słyszał myśli tamtego i był oburzony ich treścią. W ten sposób nie załatwia się swoich spraw. Nie ma nic godnego w takim końcu.

\* \* \*

Kelly przesunął ster odrobinę na prawo, żeby pochwycić falę dziobową. Widział ją, spienioną, bijącą spod nasady dziobu frachtowca. Zaczekał na odpowiedni moment i wychylił ster do oporu. Zaskrzeczało radio — głos Dniówki. Kelly uśmiechnął się. Dobry był z niego facet. Życie byłoby puste bez takich ludzi.

\* \* \*

„Springer” pochylił się na prawą burtę wykonując gwałtowny zwrot, potem jeszcze bardziej, pod wpływem wysokiej fali wzniesionej dziobem statku. Kelly lewą ręką przytrzymał koło sterowe, a prawą sięgnął po butlę z powietrzem, obwiązaną sześcioma pasami obciążającymi. Jezu, przemknęło mu przez myśl w chwili, gdy „Springer” wchodził już w zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, nie sprawdziłem głębokości. Jeśli tu jest za płytko... Boże!... Pam...

\* \* \*

Łódź gwałtownie skręciła w lewo. Oreza widział to wszystko z odległości zaledwie stu metrów, ale mogłoby to być tysiące kilometrów, bo i tak nic nie mógłby poradzić. Wydarzenia następowały jakby z opóźnieniem w stosunku do tego, co widział oczyma wyobraźni: motorówka, już mocno przechylona wskutek skrętu, uniosła się na spienionym pagórze fali dziobowej i, stając w poprzek niej, wyróciła się do góry dnem. Błysnęło bielą poszycie, a potem wszystko zniknęło w pianie u podstawy dziobu frachtowca...

Nie tak powinien umierać marynarz.

\* \* \*

Czterdzieści Jeden Bravo zastopowała ostro i wstrząsana falą śladową przechodzącego w bezpośredniej odległości frachtowca, zatrzymała się. Statek również natychmiast zastopował, ale sunął jeszcze pełne dwie mile, nim znieruchomiał. Przez ten czas Oreza i załoga jego kutra przeszukiwali powierzchnię wody, wypatrując wraku. W gęstniejącym mroku zapłonęły reflektory. Twarze strażników wyrażały przygnębienie.

— Straż Przybrzeżna Czterdzieści Jeden Bravo, tu łódź żaglowa Marynarki na waszym lewym trawersie, czy potrzebujecie pomocy? Odbiór.

— Przydałaby się dodatkowa para oczu. Kogo macie na pokładzie?

— Dwóch admirałów. Możemy wezwać śmigłowiec, jeśli to coś pomoże.

— Proszę ich wezwać, panie admirale.

\* \* \*

Wciąż żył. Dla Kelly'ego było to takim samym zaskoczeniem, jakim byłoby dla Orezy. Woda w tym miejscu okazała się dostatecznie głęboka, tak że ściskając w objęciach butlę z mieszanką helowo-tlenową, opadał blisko dwadzieścia pięć metrów, nim zatrzymał się na dnie. Z trudem przypiął butlę do piersi, wstrząsany

zawirowaniami wody idącymi od sunącego w górze statku. Oddalił się pośpiesznie, umykając przed tonącymi silnikami i ciężkim osprzętem, które kilka sekund wcześniej składały się na kosztowną łódź motorową. Minęły dwie czy trzy minuty, nim zrozumiał i zaakceptował fakt, iż przeżył tę próbę losu — sąd Boży. W tej chwili wydawało mu się szaleństwem narażanie się na takie ryzyko. Ale tak się zdarzyło, że po raz pierwszy w życiu uległ potrzebie powierzenia swego życia osądowi kogoś lub czegoś stojącego ponad nim i gotów był ponieść wszelkie konsekwencje tej decyzji. Ocena wypadła dla niego pomyślnie. Jego życie zostało oszczędzone.

Nieopodal, na wschód od niego majaczył kadłub kutra Straży Przybrzeżnej... i głębiej zanurzony kształt łodzi żaglowej na zachodzie. W Bogu nadzieja, że tej, na którą czekał. Kelly odczepił cztery z sześciu pasów obciążeniowych umocowanych na butli i ruszył w kierunku żaglówki. Nie szło mu to najlepiej, bo musiał płynąć na plecach.

Wystawił głowę na powierzchnię tuż za stojącą nieruchomo łodzią, na tyle blisko, by odczytać jej nazwę. Znow się zanurzył i po minucie wypłynął przy zwróconej ku zachodowi burcie dwudziestkiszóstki.

— Ahoj, pokład!

— Jezu... to ty? — zawołał Maxwell.

— Chyba tak. — Chociaż właściwie niezupełnie. Kelly wyciągnął rękę.

Weteran lotnictwa morskiego pochylił się nad relingiem i pomógł posiniaczonej i podrapanej postaci wgramolić się na pokład. Następnie poprowadził Kelly'ego do kabiny.

\* \* \*

— Czterdzieści Jeden, tu łódź żaglowa Marynarki, w tej chwili na zachód od nas... to nie wygląda zbyt dobrze, chłopaki.

— Obawiam się, że macie rację. Jak chcecie, możecie dać sobie spokój. My tu jeszcze chyba trochę zostaniemy — odpowiedział Oreza. I tak zachowali się przyzwoicie, przez trzy godziny przeszukując powierzchnię wody w pobliżu miejsca katastrofy. Na pewno pomoc tych oficerów się przydała. Nawet całkiem nieźle radzili sobie ze swoją żaglówką. W innych okolicznościach Oreza nie przepuściłby okazji do żartów na temat żeglarzy z Marynarki. Ale nie teraz. Oreza i Czterdzieści Jeden Bravo kontynuowali poszukiwania przez całą noc, znajdując jedynie potrzaskane szczątki łodzi.

\* \* \*

Prasa nie omieszkała narobić trochę szumu, chociaż nic z tego, co pisano, nie miało wiele sensu.

Detektyw porucznik Mark Charon, na własną rękę kontynuując rozpoczęte śledztwo — niech państwo sobie wyobrażą, że był czasowo zawieszony, w następstwie niedawnej strzelaniny — natrafił na ślad laboratorium gangu narkotycznego. W trakcie wymiany strzałów, jaka później nastąpiła, zginął podczas wypełniania obowiązków służbowych, pozbawiając przy tym życia dwóch przywódców gangu. Trzy kobiety, które przypadkowo w tym samym czasie wymknęły się spod kontroli handlarzy, zidentyfikowały jednego z zabitych jako szczególnie brutalnego mordercę, co prawdopodobnie tłumaczy heroiczną gorliwość Charona. Wiele dochodzeń można było zamknąć w sposób, który reporterzy kryminalni uznali za wysoce zadowalający. Na szóstej stronie znalazła się wzmianka o wypadku, jaki miał miejsce na wodach Zatoki.

Trzy dni później archiwistka z St. Louis zadzwoniła do porucznika Ryana, aby zawiadomić go, że wróciły akta Johna Kelly'ego. Nie może jednak powiedzieć, skąd. Ryan podziękował jej za fatygę. Zamknął tę sprawę razem z całą resztą i nawet nie dobiegał się do ośrodka danych FBI o akta Kelly'ego. Tak więc trud Boba Rittera, aby odciski palców jego podopiecznego zastąpić odciskami kogoś, kto bez wątpienia nigdy nie odwiedzi Ameryki — okazał się zbyteczny.

Niemniej znalazła się jedna drobna sprawa, która dla Rittera stała się źródłem poważnego zmartwienia. Mianowicie pewna rozmowa telefoniczna. Ale nawet aresztowanym przestępcom wolno jeden raz zatelefonować, a Ritter nie chciał sprzeciwić się Clarkowi, zważywszy charakter sprawy. Minęło pięć miesięcy i Sandra O'Toole zrezygnowała z pracy w szpitalu Johna Hopkinsa i przeprowadziła się do Wirginii, do pewnej nadmorskiej miejscowości, gdzie objęła nadzór nad personelem pielęgniarskim całego oddziału miejscowego szpitala klinicznego. Zawdzięczała to szczególnej rekomendacji profesora Samuela Rosena.

# Epilog

**12 lutego 1973**

„Czujemy się zaszczytzeni, że dane nam było służyć naszej ojczyźnie w tych trudnych dniach”. Swoje krótkie przemówienie powitalne wygłoszone ze schodów samolotu transportowego w bazie Sił Powietrznych Clark, kapitan Jeremiaś Denton zakończył słowami: „Boże błogosław Amerykę”.

— I co państwo na to? — komentator telewizyjny robił wrażenie głęboko zaangażowanego w relacjonowane wydarzenie, chociaż mówił tylko to, za co mu zapłacono. — Tuż za kapitanem Dentonem widzimy pułkownika Robina Zachariasia z Sił Powietrznych. Jest on jednym z grupy pięćdziesięciu trzech jeńców, o których jeszcze do niedawna nie mieliśmy żadnych informacji, razem z...

John Clark nie słuchał dalej. Wpatrywał się w telewizor stojący w sypialni na toalecie jego żony i w twarz człowieka, w tej chwili znajdującego się na drugim końcu świata, a który nie tak dawno temu był niemal na wyciągnięcie ręki od niego. I z którym połączyły go wtedy więzy duchowe. Widział, jak obejmuje nie widzianą od pięciu lat żonę. I tę kobietę, postarzałą od trosk, ale teraz odmłodzoną miłością do męża, który niemal cudem zmartwychwstał. Kelly uronił łzę, widząc twarz tego człowieka, który po raz pierwszy był dlań żywą istotą, nie samym nazwiskiem i widząc jak radość zwycięża największy ból. Ścisnął dłoń Sandy, niemal miażdżąc ją w swojej dłoni, dopóki nie położyła jej na brzuchu, by mógł poczuć ruchy ich szykującego się na świat pierworodnego. Zadzwoił telefon. Kelly był zły, że przeszkadzono mu w takim momencie, ale tylko do chwili, gdy usłyszał w słuchawce słowa:

— Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny, John — mówił admirał „Wściekły” Maxwell. — Wróciła cała dwudziestka. Chciałem się upewnić, że wiesz o tym. Bez twojego wkładu nie byłoby to możliwe.

— Dziękuję, panie admirale. — Clark odłożył słuchawkę. Nie zostało nic więcej do powiedzenia.

— Kto to był? — zapytała Sandy, z powrotem wtulając się w niego.

— Przyjaciel — odparł Clark. Otarł oczy i odwrócił się, aby ucałować żonę. — Z innego życia.

KONIEC